



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

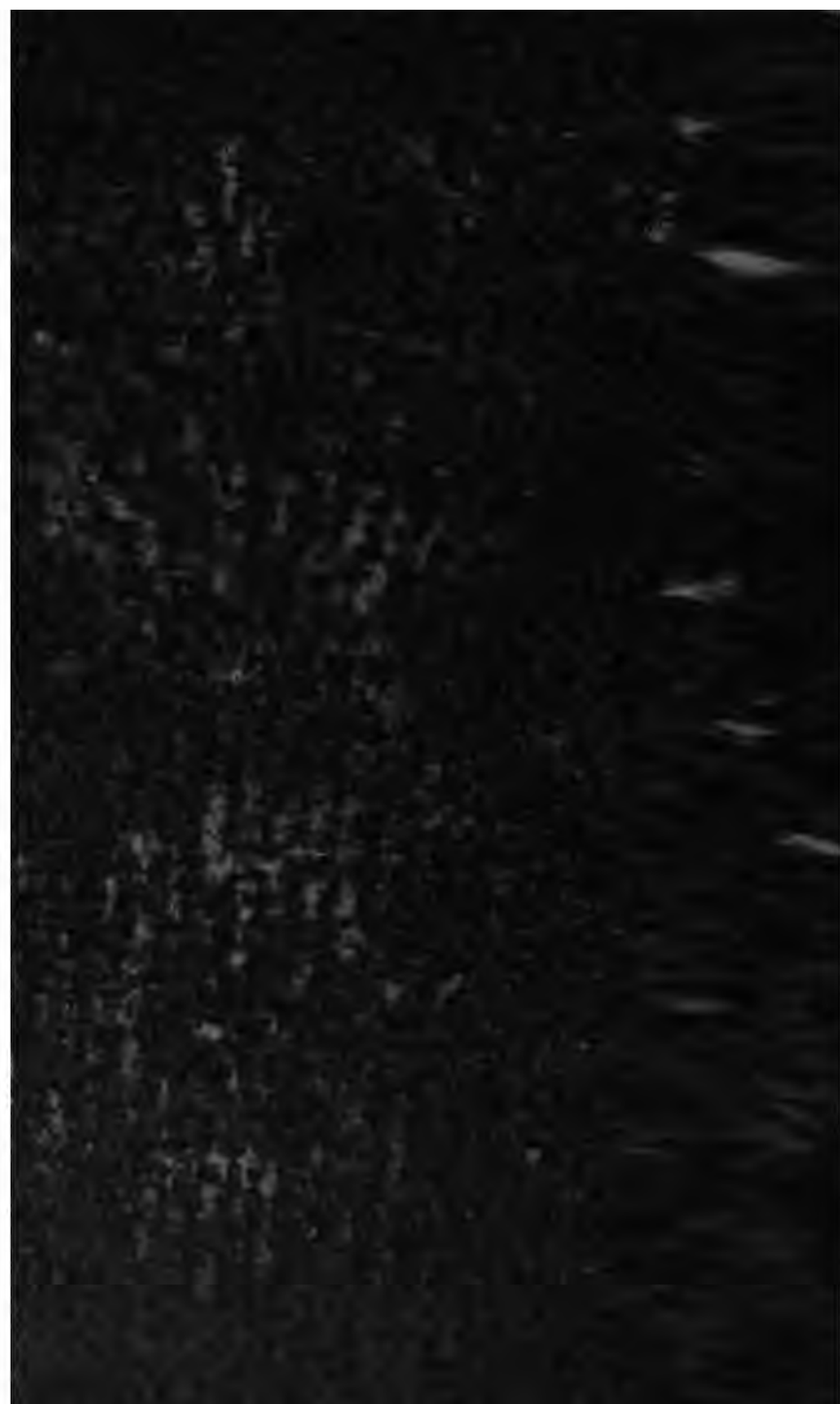
Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Slav 5198.140.5(2)



J.B.

EX LIBRIS
LUCYANARYDLA



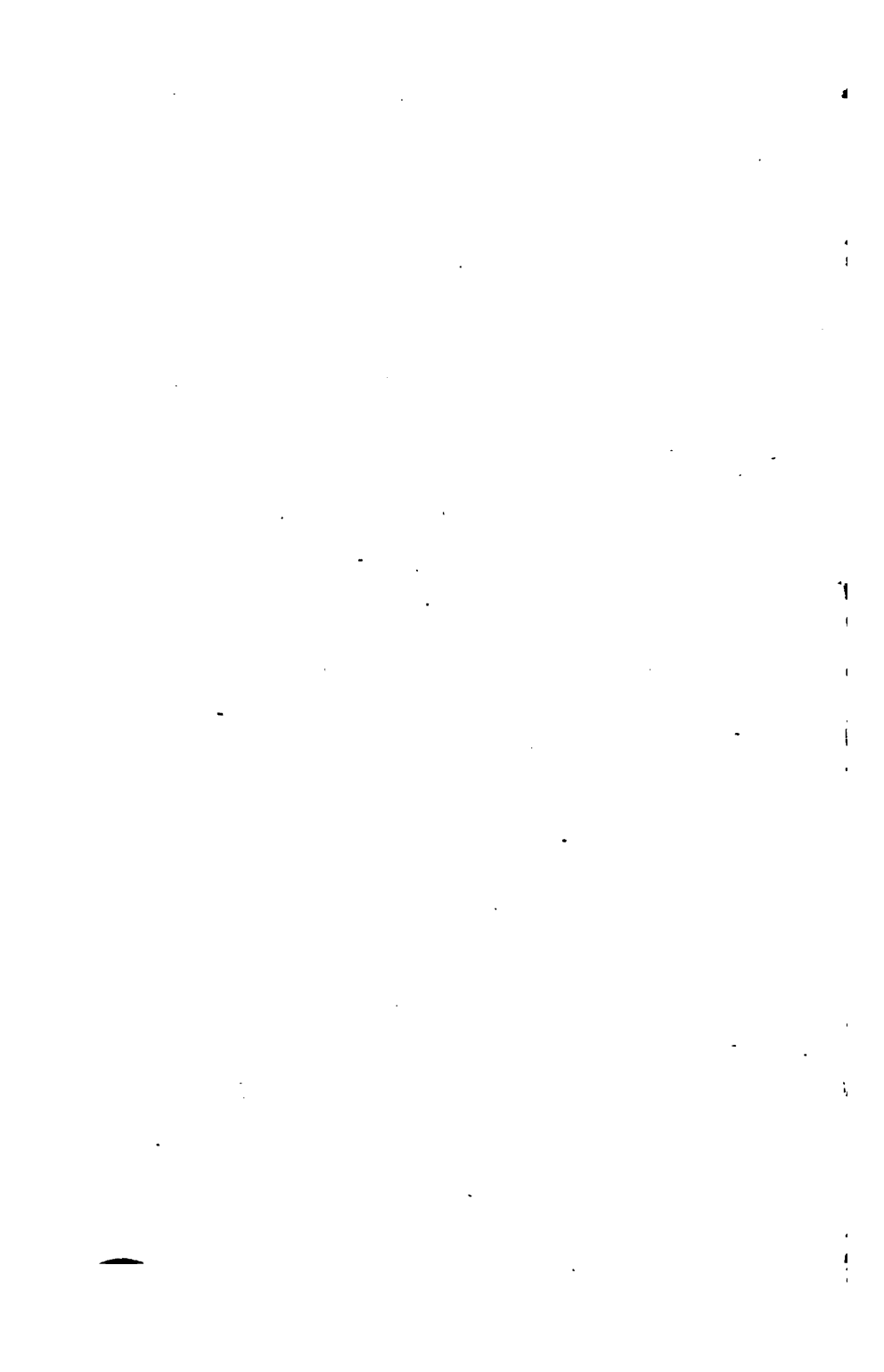
HARVARD
COLLEGE
LIBRARY



CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM II.



CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM II.

ROK PIERWSZY.

Kwiecień — Maj — Czerwiec.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM Drukarni „CZASU“.

1856.

Δ
Slav 5198.140.5 (2).

UK



SPIS PRZEDMIOTÓW

w drugim Tomie zawartych.

KWIECIEŃ.

	stronica
I. Opinia publiczna, przez <i>Maurycego</i> hr. <i>Dzieduszyckiego</i>	3.
II. Z nad Czernai do Kairu, przez <i>Artura</i> hr. <i>Goluchowskiego</i>	28.
III. O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych, przez ks. <i>Zygmunta</i> <i>Goliana</i>	64.
IV. Poezye: Wiersz improwizowany pod rysunkiem zdjętym z kamey przedstawiającej oblicze Chrystusa, przez <i>Autora</i> „Błogosławionój“	142.
Wita Stosa pamięci estetycznych zarysów siedm, przez <i>Cypryana</i> <i>Norwida</i>	145.
V. Powieść Krakowska (ciąg dalszy) przez <i>Aleksandra</i> <i>Szukiewicza</i>	153.
VI. Przegląd piśmiennictwa, przez <i>Lucyana</i> <i>Sie-mińskiego</i>	192.
VII. Podpisanie pokoju, przez <i>Maurycego</i> <i>Manna</i>	217.

	stronica
VIII. Kronika: z Krakowa	236.
Korespondencye: ze Lwowa	243.
z Poznania	249.
z Berlina	252.
z Drezna	258.
z Paryża	266.
z Londyna	275.
z Rzymu	285.
z Warszawy	290.

M A J.

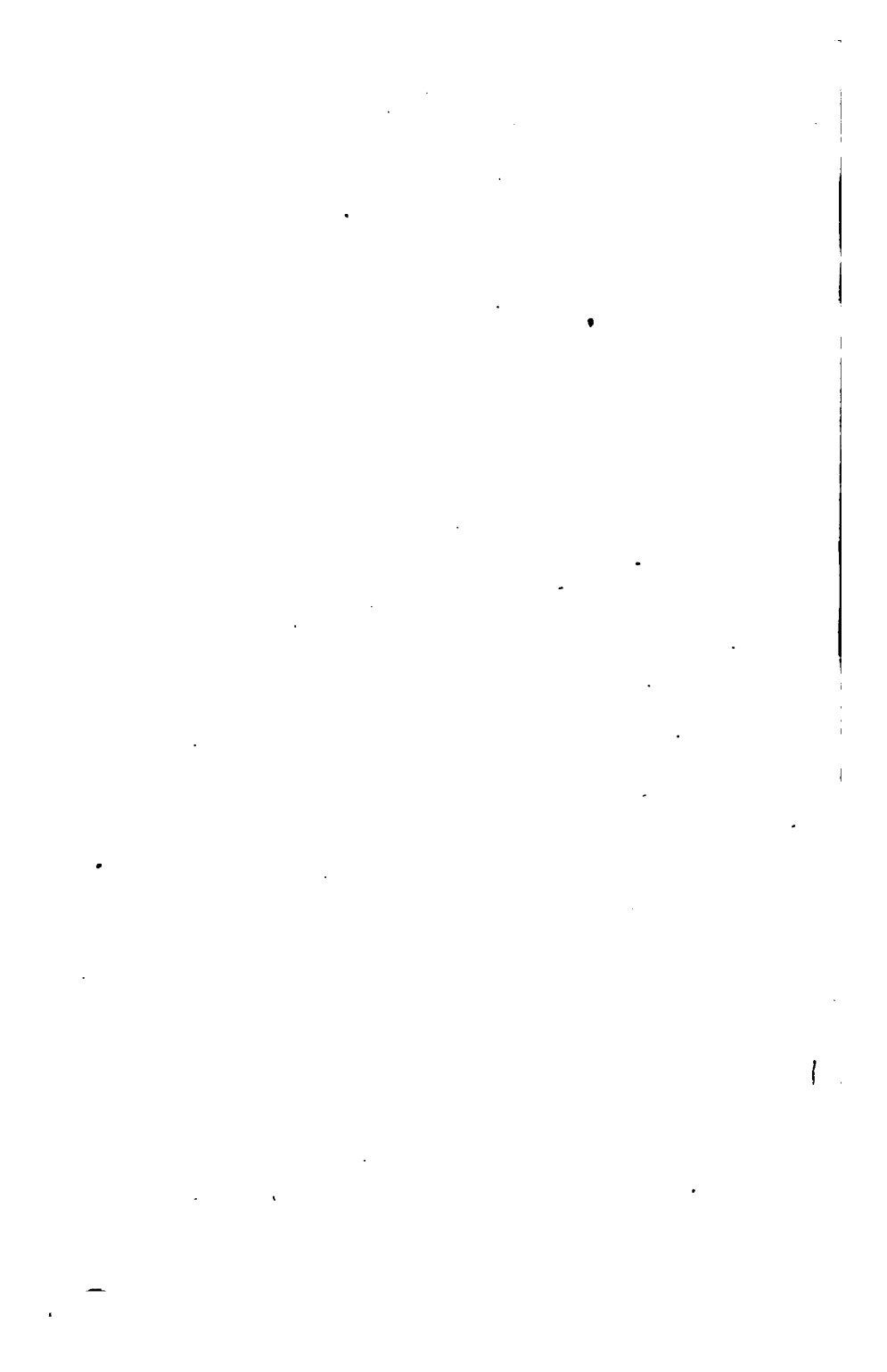
I. Pan Emil de Girardin publicysta i dziennikarz, przez <i>Leona hr. Rzewuskiego</i>	301.
II. O chlebie (z notat do badań „o kuchni w Polsce“), przez <i>Józefa Łepkowskiego</i>	323.
III. Uwagi z powodu artykułów: 1, „O świętę Kindze“; 2, „O Stanisławie i Annie Oświęcimach“, w dziele p. Karola Szajnochy, pod tytułem: „Szkice historyczne“ (Lwów 1854. 8), przez <i>Jana hr. Zaluskiego</i>	343.
IV. Kajetan Koźmian i Franciszek Paszkowski przez <i>Franciszka Wężyka</i>	389.
V. Rękopisy po Adamie Mickiewiczu i niedrukowane ustępy z „Pana Tadeusza“	408.
VI. Powieść Krakowska (ciąg dalszy) przez <i>Aleksandra Szukiewicza</i>	435.
VII. Przegląd piśmiennictwa, przez <i>L. Siemienińskiego</i>	477.
VIII. Dwa Traktaty, przez <i>Maurycego Manna</i>	490.
IX. Kronika: z Krakowa	517.
Korespondencye: ze Lwowa	524.
z Wiednia	529.
z Berlina	534.
z Paryża	542.
z Londyna	551.
z Rzymu	555.

C Z E R W I E C.

- I. O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych (II), przez *X. Zygmunta Goliana* 565.
- II. O rasach zwierząt domowych, przez *Józefa Bogdana Rogojskiego* 625.
- III. Dwa ustępy z rękopismów pozostałych po jenerale *Kazimierzu Małachowskim* . . . 660.
- IV. Poezye: Wiersz *Stefana Garczyńskiego* . . 697.
Księżnie M. C... za muzykę Szopena
przez *Autora „Błogosławionęj“* . 699.
- V. Powieść Krakowska (ciąg dalszy), przez *Aleksandra Szukiewicza* 704.
- VI. Przegląd piśmiennictwa, przez *Lucyana Siemińskiego* 744.
- VII. Następstwa bliższe i dalsze, przez *Maurycego Manna* 757.
- VIII. Kronika: z Krakowa 772.
Korespondencye: ze Lwowa . . . 777.
z Wiednia . . 781.
z Poznania . . 784.
z Berlina . . . 786.
z Paryża . . . 795.
z Londynu . . 801.
z Wenecyi . . 810.
z Florencyi . . 814.
z Rzymu . . . 823.
z Warszawy . 827.
-



Квиециѣ — 1856.



OPINIA PUBLICZNA.

Przejrzałem niakie ludakości obszary.
Z różnych jój mniemań i barwą i szumem
Wielkie i mętne gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

MICKIEWICZ.

W miastach i po wsiach, w domach i na rynkach,
w książkach i w dziennikach, w gronach uczonych
i w lekkich towarzystwach, z ust pierwszym puchem
młodości okraszonych i z takich, które już szron si-
wizny osiągnął, a czasem z samych nawet kazalnicy,
brzmiały dwa słowa obcego pochodzenia, ale widać
myśl wielką obejmujące, kiedy je sobie tak powsze-
chnie przyswojono, i tak często ich używają. Dwa te
słówka położyliśmy też na czele téj pogadanki, żalu-
jąc najmocniej, że nie możemy ozdobić je w jakieś
piękne floresy, aby im jeszcze przydać ile tyle wdzię-
ków, choćby dla oka, bo mamy zamiar przypatrzeć
im się nieco z jednej i drugiej strony, i zbadać je
dokładniej, jak to zabierają się czynić tego roku pa-

nowie astronomowie z nowo zapowiedzianym kometą. (Porównanie, mówiąc nawiasowo, wcale stósowne, gdyż i owe dwa słowa mają blask nie mały, mają długi ogon i powszechną uwagę zwykły ściągać na siebie).—

Komużto z nas nie zdarzyło się słyszeć: „*Tak mówi opinia publiczna*,“ — „*Opinia publiczna tego wymaga, lub jest temu przeciwną*,“ — „*Odwoluję się do opinii publicznej*,“ — a Boże odpuść! te frazesy wychodziły nieraz z tychże samych ust, które były więc naraz i *świadkami* owój opinii, i *sędziami* w imieniu jój wyrokującemi, i *obżalowanemi* poddanemi tejże opinii, kiedy się do jój wyroków odnosiły. Zdarzało nam się przecież widzieć, jak w skutek pierwszego frazesu spuszczano najpokorniej głowy, w skutek drugiego wstrzymywano się w biegu, zaniechiwano różne, czasem najobojętniejsze, lub najniewinniejsze kroki, a w skutek trzeciego frazesu (a liczba *trzy* jest wiadomo już sama z siebie fatalna i mistyczna,) puszczano bezkarnie najtęższego nieraz filuta ba i łotra... Cóż to więc za dziwna i tajemnicza potęga, która zamyka w jednej chwili usta, krępuje nogi, wstrzymuje kij już w powietrzu zawieszony, i tym podobne wyrabia psoty; wszędzie jój pełno, okrąża nas, stoi tuż za plecami, wznosi się w górę, pełza po ziemi, biega, lata, pływa, śmieje się, płacze, moralizuje, przedrzyżnia, grozi, porządnie nawet trzepie, potrąca, wywraca, a nigdzie jój nie widać, jak cień umyka, i chcąc ją objąć, rozpływa się w naszych rękach.

Aby ją poznać, trzeba być zwinnym jak ona, ale trzeba dla samój już oczywiście równowagi, niekonie-

cznie zaraz śmiać się z nią lub płakać, trzeba nade wszystko utrzymać się na nogach, kiedy ona harcuje, i nie dać się porwać w młynca. Niezawadzi przede wszystkim uzbroić się rozmyślaniem i nauką, bo wiadomo, że są sposoby i na samego złego ducha, a tu chodzi właśnie głównie o *rozcznanie duchów*.

Lecz im dalej zapuszczamy się myślą, tém więcej odstępuje nas weselsze usposobienie, a nasuwają nam się coraż to poważniejsze obrazy:

Oto mamy przed sobą rynek ateński, gdzie najpierwszy z greckich ludów, celujący oświatą, kunsztami; prawodawstwem, grzecznością, sam się rządzi i wyrokuje. Właśnie też chodzi o wygnanie owego *Aristidesa*, od całej Grecyi *Sprawiedliwym* przezwanego, a jeden z *obywatelów* nie umiejący pisać, zakłopotany jak skreślić imię Aristidesa na czerepie do tego służącym, prosi samego tego znakomitego męża, którego nigdy nie widział, aby go w tem wyręczył. „*Czy skrzywdził cię kiedy w czém ten Aristides?*“ — spyta on sam. „*Bynajmniej* odpowie obywatel, *ale tego znieść nie mogę, że go tak powszechnie Sprawiedliwym nazywają*“. — I napisał Aristides sam swe imię, aby i téj przysługi współobywatelowi nie odmówić, i poszedł na wygnanie skazany przeważnym głosem *publicznej opinii*, (której *typem* był ów wspomniany od Plutarcha Ateńczyk), a opuszczając swe mury, które tylekroć pierśmi swemi zasłaniał, i gdzie jako Archont najwyższą nieraz piastował władzę, wznosił ręce do nieba z modlitwą: „aby nigdy nie nadeszła chwila, w którejby go żałować musieli!“ i ta sama *opinia publiczna*

przywołała go nazad, lecz dopiero po dwóch latach, kiedy już Xerxes ciągnął z chmurą najezdników na Grecyą... Ta sama *opinia publiczna* wygnała potem *Temistoklesa* i *Cimona*, co Persów pokonali, i znów ich usilnie zaprosiła do domu. — Ta sama *opinia publiczna* podała truciznę *Sokratesowi* i *Focionowi*, lecz nie mogąc ich już wskrzesić, stawiała im statuy jak półbogom. — O statuy, o pomniki opinii publicznej! miał ich 365. Demetriusz z Falery, a potem wszystkie obalono, i jego samego na śmierć skazano! —

Lecz dajmy pokój staremu światu. Oto mamy przed oczami Tego, który był zapowiedziany od początku. Oto lud uniesiony, że go cudownie nakarmił, chce go jednogłównie królem swym obwołać, a On uchyla się od nich na górę; oto znów chce go ukamienować, a On musi się schronić, bo nie przyszła jeszcze Jego godzina; oto otacza Go tłumnie po wskrzeszeniu Łazarza, i wprowadza w tryumfie do Jerozolimy, ścieląc Mu pod nogi swe szaty i gałęzie palmowe, a oto w parę dni później woła jakby mąż jeden: *ukrzyżuj; ukrzyżuj, niech krew jego spadnie na nas i na nasze dzieci*, i urąga Mu się jeszcze na krzyżu, a Bóg-Człowiek lituje się nad tą *publiczną opinią*, i woła: „*Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą co czynią!*“

Komuż była więcéj przeciwną *publiczna opinia* jak pierwszym opowiadaczom Ewangelii? Kogóż więcéj ścigała, aż ręce swe w ich krwi zboczyła? Cóżby się było stało ze światem, gdyby ulegli byli téj opinii Apostołowie, gdyby Św. Piotr nie był wyrzekł zaraz na początku: „*naależy nam służyć raczej Boga jak*

ludzi,“ Komu była póśniej, (aby już przestać raz na kilku najwięcej znanych i bijących w oczy przykładach) więcej przeciwną *publiczna opinia*, jak Krzysztofowi Kolumbowi, kogóż poczytywała wtenczas za większego szaleńca, kiedy ja usiłował przekonać, że są jakieś lądy po tamtój stronie kuli ziemskiej? Próżno prosił i błagał, aby mu na miłość Boską pozwolono dać światu świat nowy; odwracały się od niego, wzruszając z politowaniem ramionami i ojczyzna jego Genua, i oświecona Anglia i świadoma mórz Portugalia, i ledwie nie ledwie wyżebrał sobie w Hiszpanii wbrew publicznej opinii, z wielkiem jój zgorszeniem, od *wyższej nad nią* Izabelli, parę małych statków, z których go jeszcze nieraz w morze rzucić chciano. Cóż gdyby był uległ téj publicznej opinii najoświecieńszych wówczas narodów, najuczeńszych ludzi?

Najświeższym podobno z więcej uderzających przykładów *zmienności i omyłności* publicznej opinii jest jeden z panujących dziś Monarchów. Okrzyczyła go najprzód *awanturnikiem*, potem postawiła na czele narodu, następnie wydała nań krzyk oburzenia, nakoniec sławi go, jako jednego z najznakomitszych mężów XIX wieku; a kto wie co jeszcze kiedyś o nim powie? zawsze podobna do fali, co wznosi się i opada, wre, huczy i pryska, z szumem i pianą! —

Wracając więc do tego, który z taką powagą i uroczyścieścią rzekł nam dopiero: „*Tak mówi opinia publiczna!*“ — „*Opinia publiczna tego wymaga: jest temu przeciwną*“ — „*Odwołuję się do opinii publicznej*“ — stracą podobno te słowa nieco ze swego u-

roku, i może się cokolwiek namyśliłmy nim na pierwszy frazes spuścimy pokornie głowę, nim w skutek drugiego zaraz staniemy, a w skutek trzeciego zaraz uniewinnimy protestującego.

Gdybyśmy bowiem samą tylko *zmiennosc* publicznej opinii, i jej *sprzeciwianie się* samej sobie rozważyli, pomijając nawet cały jej *rodowód*, jej *drogi*, jej *skutki*, i wykazaną dopiero, a właśnie z tych okoliczności wynikającą, jej *omylnosc*, tobyśmy już musieli być nader ostrzchnymi w *bezwzględnej* jej *ubóstwianiu*. — Zasady religii, cnoty, honoru, zdrowego rozsądku są *niezmienne* i zawsze zgodne z sobą, a opinia publiczna o tychże samych osobach i rzeczach raz tak, raz inaczej wyrokuje. Jakżeż może iść ciągle w parze z powyższemi niezachwianemi zasadami? „*Les generations des opinions* (mówi Vauvenargues, w swych Maxymach) *sont conformes à celles des hommes, bonnes et vicieuses tour à tour*“. (Warstwy opinii odpowiadają pokoleniom ludzkim, bywają dobre, bywają i złe).

Tu, (i nie dając nam czasu rozwinąć dalej myśli nasze o powstawaniu i szerzeniu się opinii) przerwą nam przeciwnicy i przytoczą sławne ono przysłowie „*Vox populi, vox Dei*,“ i zawołają; że samo już powszechne przyjęcie i uznanie tej prawdy niewymowniej zbija nasze twierdzenia!... Odpowiemy im najspokojniej:

Najprzód: że w obec przytoczonych dopiero, z dziejów i rozumu czerpanych dowodów nieutrzyma się najdowcipniejsze przysłowie, i że popełniłby zapewne blu-

źnierstwo, kłoby np. na mocy tego przysłowia twierdził, że głos ludu żydowskiego wołającego *ukrzyżuj! ukrzyżuj!* był głosem Boskim. —

Powtóre: że dowodząc nieomylności opinii publicznej przysłowiem, które właśnie orzeka tylko jako filozoficzny pewnik *tę samą nieomylność*, popełnia się jeden z najgrubszych błędów przeciw logice, to jest *kółko w rozumowaniu*, bo to samo dowodzi się przez to samo, i rzecz dopiero dowieść się mająca, przyjmuje się już jako punkt oparcia, jako pewnik. —

Potrzenie, na koniec mylném jest w ogólności uprzedzenie wielu, jakoby przysłowia były niezachwianą powagą, prawdami bezwzględnej, i jakoby w nich zawartą była mądrość i filozofia narodu. Prawdę tę wykazał już bardzo gruntownie jeden z naszych uczonych (a.), odsyłając więc ciekawych czytelników do jego rozpraw, przestaniemy tylko na uwagę: że przysłowia są tylko twierdzeniami czerpanymi z doświadczenia dla codziennego, że się tak wyrazimy, użytku, a nigdy nie mogą zastąpić prawideł czerpanych z rozumu i wyższych zasad, i największą podobno wartość mają pod względem historycznym. Bo jużciż, często nie tylko *są w sprzeczności ze sobą*, (kiedy przepisy rozumu sprzeciwiać się sobie nie powinny), ale co więcej: *nie dają się zawsze pogodzić z prawidłami moralności*, ani ze *zdrowym rozsądkiem*.

Przytoczone przeciwko nam przysłowie: *Vox populi*,

(a.) O stosunku przysłówów i przypowieści do filozofii przez Jana Szlachtowskiego w Bibliotece Naukowej Zakł. Im. Ossolińskich 1843 Tom VII. str. 93—110. —

vox Dei, ma właśnie swego wroga w drugim przysłowiu: *Co głowa to rozum* — Inne, niemniej przeciwnie sobie są np. *Nie szukaj dobra w lichu* == *Niema nic złego, żeby na dobre nie wyszło* — *I w kiju był kiedyś rozum* == *Pięścią prawdy nie dowiedziesz.* — *Nie daleko padnie jabłko od jabłoni* — *Z jednego drzewa krzyż i motyka.* — A bardzoż to moralne są przysłowia: *Gdzie nie można przeskoczyć tam podleść trzeba.* *Ręka rękę myje*, *Kto smaruje ten jedzie* i t. p. Nie należyż do najfałszywszych przysłówiów owo, także zbyt często używane: *De mortuis nil nisi bene*, bo w cóżby się obróciła historia? chyba w panegiryk, w jakieś rzeszoto, przepuszczające wszystko co było złe, a podające to tylko, co było dobre. —

Dajmyż więc pokój przysłowiom, bo one nie za publiczną opinią dowieść nie mogą. Że jednak, (jak to powiedział już podobno Cynceron) nie ma tak niedorzecznej zasady, którejby jakiś filozof nie bronił, więc znalazła i powyższa „*Vox populi, vox Dei*“ swego orędownika w osobie głośnego *Franciszka de Lammennais*, którego system opiera się na twierdzeniu, że: wprawdzie rozum pojedynczych ludzi nie wystarcza do poznania prawdy, lecz że głos powszechny jest nieomylnym. Odpowiedziano mu bardzo gruntownie; że skoro, czemu sam nie przeczy, poznanie w pojedynczych ludziach tysiącnym podlega błędom i pomyłkom, niepodobna dać więcej wagi i mniemaniu powszechnemu, które składa się oczywiście ze zdań pojedynczych, omylnych.

Przyjmując albowiem jego hipotezę, trzeba by koniecznie przypuścić, że nieomyłność jest własnością jakiejś *liczby*, jakiejś *cyfry*. Bo kiedy może omylić się jeden, trzech, dziesięciu, tysiąc i t.d. — musi być jakaś jednostka, którą dodawszy, już tem samem ten cały szereg *omylnych*, zamieni się nagle w *nieomyłność*, a że to sprzeciwia się loice, ponieważ samo zesumowanie pewnych jednostek nie może nigdy zmienić ich wewnętrznej wartości, więc cały ten system upada.

Przypomina to owe sławne słowa mowcy *Mirabeau* kiedy w zwykłym sobie gorączkowém uniesieniu, na uczyniony sobie zarzut: „*Mais tout le monde se trompe* (Ależ wszyscy się w tem mylą) odrzekł bez najmniejszego namysłu: „*Done tout le monde a raison.*“ (Więc wszyscy mają słusność)!... Niech sam bezstronny czytelnik osądzi, dokądby taka zasada doprowadziła? —

Nie trzeba atoli mieszać z tém owych *powszechnych przeświadczeń ludzkości*, które nie w *opinii*, nie w większości zdań, ale w *ludzkiej naturze*, w samej istocie i wymaganiach duszy naszej, źródło swe i podstawę mają, i we wszystkich narodach czy cywilizowanych, czy barbarzyńskich nawet, przez wszystkie wieki, współcześnie, bez żadnej możliwej zmowy ani porozumienia się, *powszechnie i stale* się objawiają, jakimi są np. przekonanie o *Najwyższej Istności*, o *nieśmiertelności duszy*, o *związku tego świata z drugim*, o *różnicy złego i dobrego, cnoty i występku*, bo sumienie jest właściwą cechą ludzkiej natury. Takie przeświadczenia, które często już u dzieci nawet po-

strzegać się dają, na które tak słusznie odwołuje się filozofia i sam kościół, nie są bynajmniej „*Vox populi*“, ale są *vox naturae humanae* (głosem ludzkiej natury) czyli tak zwanym u filozofów: *Sensus naturae communis* (zmysłem powszechnym ludzkości) który utrzymuje się i przebija wszędzie, nawet mimo grubiej mgły barbarzyństwa i ciemnoty. Bo nawet przesady i zabobony, jako to: wiara w czarnoksiężstwo, w magią, w astrologią i t. p. co niektóre wieki cechowała, i dotąd w niektórych plemionach żyje, zdradza przeświadczenie o siłach nadprzyrodzonych, nadludzkich, i o styczności tego świata z drugim. —

Bóg dał człowiekowi prawa nieodmienne, zagłębił w jego sercu sumienie z największą tylko trudnością przygłuszyć się dające, dał mu rozum zdolny do rozeznania w pewnym stopniu złego i dobrego i do kierowania się w tej ziemskiej pielgrzymce, ale ludzie umieli podać w wątpliwość owe prawa, stłumić często sumienie, skrzywić przez namiętności rozum i wolę, i utworzyli sobie różne najbłędniejsze teorye, które potem przez wychowanie w młodzieży zaszczerpić, a przez mowy, pisma, czyny, podstępny, często i gwałty, na wszystkie strony rozszerzyć usiłowali. —

Skrzywienie rozumu, a ztąd wynikłe tysiączne przesady i uprzedzenia, złe skierowanie woli, a ztąd płynące tysiączne, niezgodne z sumieniem działania, musiały oczywiście być najgłówniejszymi czynnikami w tworzeniu się opinii, która jest tylko objawem wewnętrznych usposobień i dążeń. — Stanowisko *Noego* pośród powszechnego skażenia pierwotnego światła,

stanowisko *Lota* pośród ogólnego zepsucia Sodomy, jest poniekąd zwierciadłem stosunku, w jakim znajdują się pośród ludzkości, mężowie nieskazitelni, na których polegać można, których opinia jest rzeczywiście ważną, bo zgodną z prawami boskimi i z rozumem, pośród tylu krzyżujących się zdań, mniemań odgłosów, które przecież nazywają się opinią publiczną, to jest najpowszechniejszą.

Gdy złe daleko zajdzie, spuszcza Bóg czasem światło dla sprowadzenia znów ludzkości na prawą drogę. „*Rozmaicie i wielą sposobami* (mówi S. Paweł na wstępie pamiętnego swego listu do żydów) *mawiał przedtem Bóg ojcom przez proroki, na ostatek tych dni mówił do nas przez Syna*“.... Nie zbywa nam i dziś na świecących gwiazdach, na mężach nieposzlakowanych przed którymi słusznie większość głów powinna by uchylić, lecz ci niestety najczęściej *prorokują na pušczy*, bo przygłusza ich publiczna opinia — jako za dni naszych naderemnie dotąd mówili i pisali dla Hiszpanii *Balmès i Donozokortes*!

Jakże to więc wspaniały widok, kiedy wielki człowiek przejrzawszy zgubne dążności, uzbrojony w środki do ich pokonania i w niezłomną ku temu wolę, walczy z obalamuconą publiczną opinią, i albo ją zupełnie pokonywa, albo przynajmniej ile możliwości na właściwszą sprowadza drogę. Tak działał u nas przez całe życie Zbigniew Oleśnicki, Piotr Skarga, Stanisław Konarski, Andrzej Zamojski, Stanisław Małachowski i inni. Cześć i chwała czasom, kiedy się to udawało, bo złe nie musiało być powszechnem, nieuleczonem!

Taką bohaterską walkę podnieśli w naszym wieku: *De Maistre*, *Chateaubriand* i *Bonald* z szeroko grasującą już przed pierwszą rewolucją francuzką rozpowszechnioną, a przez tę rewolucją panującą opinią publiczną, przeciw wszystkiemu co jest katolickie a nawet chrześcijańskie; i sprowadzili stanowczy zwrot ku religijności.

Taką walkę podniósł *O'Connell*, aby uzyskać dla swój ojczyzny równouprawnienie od tej Anglii, która, mimo swych przechwalanych wolnomysłnych zasad, obchodziła się z Irlandyą jak z niewolnicą, i złamawszy wstępnym bojem tak powszechną i przemożną publiczną opinię, wymógł na drodze legalnej i bez wylewu krwi, prawa dawno się należące. —

Powitamy pewnia wszyscy z okrzykiem radości tego, co skruszy w Zjednoczonych Stanach Ameryki ową haniebną, a tak głęboko na materialnych interesach zakorzenioną opinię, skazującą czarnych bliźnich na wieczną niewolę!

Kiedyżto u nas o Boże! obali ktoś nieszczęsną i nieestety! aż nadto upowszechnioną opinię za *pojedynekami*, kiedyż ta plaga dzisiejszego społeczeństwa, mająca główną swą podstawę na niedorzecznej opinii, tępiącej nawet miecz sprawiedliwości wszędzie napróżno przeciw nim wymierzony, przestanie plamić czasy, co mają się *mimo niej* za oświecone? Czy zaświta kiedyś ów dzień, gdzie opinia publiczna potępi i wstydem obarczy te, w naszym narodzie najwięcej rozpowszechnione *rozwoły*, któreby nie mogły się utrzy-

mać, gdyby nie osłaniała je tak pobłażliwa i zdrożna publiczna opinia.

Wszystko prawie co wielkie czy w świecie moralnym czy w piśmiennictwie, czy nawet w świecie materialnym, wprowadzono najczęściej w brew ówczesnej, publicznej opinii, a nawet czasem po długich z nią starciach.

Dla tego to już w pogańskim świecie najznakomitsi ludzie nie wielką przywiązywali wagę do publicznej opinii, o ile była niezgodną, z wyższymi zasadami— Któż nie umie na pamięć ową piękną pieśń Horacego:

„*Iustum et tenacem propositi virum,*

„*Non civium ardor prava jubentium,*

„*Non vultus instantis tyranni*

„*Mente quatit solida*

.

„*Si fractus illabatur orbis*

„*Impavidum ferient ruinae*“

(Granitowej duszy męża sprawiedliwego i niezłomnego w swych przedsięwzięciach nie zachwieją okrzyki tłumu wymagające zdrożności, nie przerazi twarz gróźnego tyrana. . . . Gdyby rozpadł się nawet ruszony ze swych podwalin świat cały, toby w niestrwożonego ugodziły jego ruiny.)

A Seneka pisał:

„*Male de te loquantur homines? — Sed mali — Mo-*

„verer, si de me *Cato*, si *Lelius sapiens*, si *duo Scipiones* ista loquerentur: *nunc malis displicere laudari est*. — Male de te loquuntur? — Moverer si judicio hoc facerent: nunc *morbo* faciunt, non de *me* loquuntur sed de *se* — Male de te loquuntur? — *Bene nesciunt loqui*, faciunt non quod *mereor*, sed quod *solent*“. — (Żle mówią o tobie ludzie? Ale źli — Dotknęłoby mnie gdyby tak mówił o mnie Kato lub Leliusz mądry, lub oba Scypiony: teraz niepodobać się złym zaletą jest. — Żle mówią o tobie? — Poruszyłoby mnie gdyby się to stało w skutek dojrzałej rozważki, lecz oni to czynią w szale, nie *mnie* tym sposobem wyobrażają ale *siebie*. Żle o tobie mówią? Bo dobrze mówić nie umieją, działają nie według tego, na com *zasłużył*, ale do czego *przywykli*.) Pamiętni będą też po wszystkie wieki słowa prezesa parlamentu paryskiego *Mateusza Molé*, który, gdy mu w zaburzonych czasach Frondy groziła pewna fakcja śmiercią za niezłomne wytrwanie przy obowiązkach, powiedział: „Że daleka jest droga od sztyletu mordercy do piersi prawego człowieka“.—

Przypatrzmyż się teraz tworzeniu się owój publicznej opinii. O! przemyślny jest w tem rozum ludzki! Co namiętność i uprzedzenie, co osobiste widoki doradzają, to umie nader dowcipnie w życie i w ruch wprowadzić.

Jeden utalentowany, śmiały i zuchwały człowiek może dać popęd do opinii, a jeżeli zdoła sobie ująć mnóstwo wymową pismami i jakimeś czynem odpowiadającym chwilowej potrzebie, jeżeli uderzy w słabą stronę

ludzi, jeżeli załechta ich pożądlivości, i poda drogę do zaspokojenia ich, stanie się nieraz ich bożyszczem. To tłumaczy ową przechodnią wziętość niejednej głośnej w dziejach osoby, co jak ogniotrysk wzniosła się nagle z ciemności w górę, z sykiem i trzaskiem, a potem czasem spadła tem haniebniej, że od nikogo nawet nie żałowana. — Ciekawy przykład podobnego utworzenia opinii przedstawia nam ów *Volter*, wszystko wyszydający, wszystkiem pomiatający, uosobioną negacya, który przyszedł w chwili powszechnego obyczajowego skażenia, kiedy ludzie zmateralizowani pragnęli uspokojenia w swęj zgniliznie, łaknęli za przekonaniem, że żadna ich nie czeka kara, że nie ma Sądu na tamtym świecie, a chcieli oraz uchodzić za mądrych i oświeconych. Któż niesłyszał o owęj kuźni publicznej opinii w *Ferney* z hasłem *Ecrasons l' Infame* (Zgniećmy bezecną) to jest religię katolicką. Zgłaszali się tam nawet monarchowie z Berlina i Petersburga schlebując Dyktatorowi opinii, aby im użyczył choć jeden listek ze swego filozoficznego wieńca, dla ozdobienia nim ich koron. Bilecik od Woltera, pochwała z jego ust odebrana była dostateczną dla ugruntowania czyjéjs reputacyi; on rozdawał patenta na filozoficzność, bo każdy należący do tego stronnictwa był *ipso facto*: *filozofem*. — Były więc *Panie filozofki*, *Obywatele filozofowie*, *poeci filozoficzni*, *aktor-ki filozoficzne*, *artyści filozoficzni*, *wojownicy filozofowie*, *monarchowie filozofowie*. Ledwie można było znaleźć kogoś: *un peu comme il faut*, słowem człowieka *dobrego tonu*, coby niemiał się za *filozofa*,

a ta filozofia zależała na tem, aby drwić z religii, z hierarchii, z historyi kościelnéj z całego Nieba i lekko traktować samego Pana Boga, jeżeli go nawet, przez grzeczność lub pobłażanie uznawać raczyli, — a z resztą robić, co się komu podoba. Mnogie klucze do sposobów, jakimi się to wojsko filozoficzne rekrutowało, i jakie miało zadanie, podaje nam kilkotomowa korespondencya samego Patriarchy. Gdy np. pisze dnia 19 stycznia 1757 do d' Alemberta: *Faites un corps, ameutez Vous, et Vous serez les maîtres.* (Utwórzcie jeden zastęp, podnieście gromadnie głosy, a wszystko opanujecie) lub z 25 maja 1758. *Si Vous étiez tous unis, Vous donneriez des lois. Tous les Cacouacs devraient composer une meute.* (Gdybyście byli zgodni między sobą przepisywalibyście prawa. Wszyscy szczekacze powinni składać jedną sforę), lub z 20 kwietnia 1761. *Que les philosophes véritables fassent une confrérie, comme les francs — maçons, qu'ils s'assemblent, qu'ils se soutiennent, qu'ils soient fidèles à la confrérie. Cette académie secrète vaudrait mieux que l'académie d'Athènes et toutes celles de Paris. Mais chacun ne songe qu'à soi et oublie le premier des devoirs, qui est d'anéantir l' Infame. Confondez l' Infame le plus, que Vous pourrez.* (Niech prawdziwi filozofowie zawiążą braterstwo na wzór wolnych mularzów, niech się zbiorą, popierają na wzajem, a trzymają się wiernie koleżeństwa. Ta tajna akademja więcój byłaby warta jak akademja ateńska i wszystkie paryżkie. Tymczasem każdy myśli tylko o sobie i zapomina o najpierwszym z obowiązków, który mu nakazuje zniszczyć

Bezecną. Zawstydzajcie *Bezecną* najwięcej jak możecie!) Któż zresztą niesłyszał o tém upomnieniu, które nieraz w swych *listach pasterskich* powtarzał: *«Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose!»* (Oczerniajcie, oczerniajcie bo zawsze coś z tego zostanie!) A że to wszystko co się pisało, lubo nie miało żadnej gruntowności i najmniejszego nie znosiło krytycznego rozbioru, błyszczowało jednak najczęściej dowcipem, a cały świat lgnął już od czasów Ludwika XIV do francuzczyzny, więc z francuzczyzną i dowcipami rozeszło się po całej Europie, a bywało tém łatwiej chwytane i przyswajane, że dogadzało wszelkim cielesnym wymaganiom, i za bardzo małą ceną dawało reputacyą: rozumu, wyższych pojęć, elegancyi, słowem *filozoficzności!*

Nie mało podobnych przykładów przedstawiają nam dzieje świata, nad któremi trudno obszerniej się rozwodzić.

Nie można przecież pominąć tak słynnej fabryki opinii jaką są i były zawsze polityczne kluby i tajne polityczno-religijne towarzystwa. Co się tam wylęganie, często pośród wrzawy i swarów, to potem roznoszą po rynkach i ulicach, po miasteczkach i siółach, czasem szepcząc tylko do ucha, czasem (jak piękny czas po temu) głośno wołając: *świéże, gorące hasła, nowe sposoby do wiadomego celu* i t. p. Te grona tajemnicze skarżą się zwykle z razu i szeroko rozwodzą po książkach i w pierniach ulotnych nad *brakiem publicznej opinii*, nad niezbędną potrzebą *utworzenia* jęj, i zaraz podają główne jęj zarysy, a jeżeli kto, broń Boże!

objawi jakąś wątpliwość w téj mierze, to zdrajca! to wróg ojczyzny! to egoista! to płatne narzędzie! Głoszą wolność mowy i pisma, a gdyby jakiś łatwowerny biorąc to na serio odezwał się za panowania ich opinii, niekoniecznie jój wtórując, bądź ustnie, bądź pisemnie, zagłuszą go nim skończy, niedadzą wydrukować co napisał. Niema zaprawdę ostrzejszej cenzury, jak cenzura ludzi, którzy są za jój zniesieniem! Główném ich narzędziem są *dzienniki*, które rzeczywiście w naszym wieku przywłaszczyły sobie być publicznej opinii, wyłączny przywilej kierowania nią. Wiemy jak się z tego wywiązywały do niedawna i wywiązują po części dotąd w Niemczech, w Szwajcaryi, we Francyi, we Włoszech, w Hiszpanii i nikt z lepiej świadomych rzeczy nie zaprzeczy; że im po największej części należy przypisać te smutne widoki jakie przedstawiała obalamucona, i nawzajem bałamucają publiczna opinia w latach 1846, 1847, 1848 i 1849.

Tak zwana *opinia publiczna* jest najczęściej płodem jakiegoś czynnego *kółka*, czyto *politycznego*, czy *literackiego*, czy *eleganckiego*, które usiłuje wmówić we wszystkich że *jego* zdania są zdaniem i przekonaniem *ogółu*. W obec tych krzających się żwawo agitatorów i gueryllasów, stoi massa złożona po największej części z ludzi albo obojętnych, czem innem i codziennym swym chlebem zajętych, albo nieoświeconych, czasem nawet bardzo ograniczonych, albo nie mających chęci, czasu lub sposobności, zgłębić prawdę w tym lub owym względzie. Niezbywa też na ludziach, którym lada

co imponuje, u których ten ma zawsze słusność co głośniej mówi, co rzecz dowcipniej przedstawi i do śmiechu pobudzi, co śmieszności bliźnich w jaskrawszém ukaże świetle, co wykładając swoje zdanie umie wmówić w słuchających, że to są i były zawsze *własne ich* przekonania, tylko że ich nie wyjawiali w czém nawet w ten czas niepospolity spryt i takt pokazali i t. p. Nie od wczoraj téż są ludzie skłonniejszymi do złego jak do dobrego, pochopniejszymi do ganienia jak do pochwał. Z drugiej strony tłum pędzi zawsze za szczęściem i powodzeniem, w dziewięciu przypadkach na dziesięć można być pewnym, że przykłaśnie *zwycięzcy*, a odwróci się od upadającego od słabszego, owszem jego upadek i niepowodzenie przypisze jedynie własnej jego nieudolności i głupstwu. Wystarczają mu pozory (*jak cię widzą tak cię piszą*) a nic zwyczajniejszego jak posądzenie o hipokryzję, o zdradę, gdzie ani śladu tychże niema. Słusznie uważa *La Rochefoucauld* w swych maxymach: *Notre mérite nous attire l'estime des honnêtes gens, et notre étoile celle du public.* (Nasze zalety zjednywają nam szacunek ludzi godnych, nasza gwiazda poklask ogółu). Ztąd tak częste, nieraz bardzo tragiczne zwroty opinii publicznej, mianowicie w Rzeczachpospolitych, gdzie nic nie kładzie tamy tworzeniu się i zewnętrznym objawom podobnych opinij, a ktokolwiek zna dzieje Rzeczypospolitych greckich, włoskich i t. p. pamięta jak krwawemi głoskami zapisane są na kartach ich historii.

Za pierwszymi dowódcami powtarzają drudzy, obalamuceni lub z innych osobistych powodów i w najrozlicniejszych widokach, *•za panią matką pociąg,•* i występują z frazesami *•Tak mówi opinia publiczna. •Odwołuję się do opinii publicznej,•* i trwożą słabych i nakazują im milczenie..... Czasem są to tylko jak owe strzały moździerzowe przy uroczystościach, dla dodania świetności i wagi jakiemu twierdzeniu, kiedy sam ten, co używa podobnego *zakłęcia*, nieprzysiągłby czy to jest istotnie publiczną opinią, a może ma sam to aksjoma, z taką fanfaronadą i zarozumiałością wygłoszone, od drugiego podobnego; może nawet nie rozumiawszy dokładnie myśli pierwszego, a ustroiwszy ją własnymi dodatkami sprzedaje z lichwą towar, który za bezcen kupił.

Tymczasem najsmutniejsze zła wynikają skutki! Pomijając przytoczone już wyżej gubne następności, pomijając, że da się tu zastosować często owe upomnienie zacnej Żaby Krasickiego do wyuzdanych łam-partów:

*•Przestańcie chłopcy, bo się źle bawicie,
•Dla was to jest igraszka, mnie idzie o życie!•*

ograniczymy się na dotknięciu moralnego skażenia, które obalamucona i bałamucająca publiczna opinia, zwykle za sobą pociąga.....

A najprzód jest to najczęściej systematycznym rozszerzaniem *falszu z przemyślnem* i wyrachowanym naprzód tłumieniem i zagłuszaniem prawdy. Jest więc

w wieku, gdzie tyle i o postępie rozprawiają, widocznie ujemném i *wsteczném działaniem*, bo każdy *falsz* jest nową ranąadaną społeczeństwu, i o tyle cofa lub przynajmniej wstrzymuje rozwijanie się rzeczywistej oświaty, która polega na zdrowych pojęciach i przekonaniach. Jest *postrachem* i *terroryzmem* dla słabych i mniej oświeconych, lub nie mających dość silnych zasad, aby się temu oprzeć. Bo kiedy zachowanie praw boskich, wytrwanie w cnocie i pełnienie obowiązków, już samo przez się ma do czynienia z wewnętrznem lenistwem, z różnemi namietnościami i wymaga często wyrzeczenia się własnej woli, przezwy-ciężenia złych nałogów i t. p., publiczna opinia mnoży jeszcze nie raz te zapory i trudności, grożąc śmiesznością, utratą względów i wziętości u świata, wzgardą i t. d. Iluż to ludzi złożyło już, i składa co dzień na ołtarzu tej bałwochwalczej opinii swe przekonania, swe sumienie, swą godność, byle uchronić się od, często najmylniej przewidywanych i zagrożonych niebezpieczeństw, lub dla pozyskania owiej *popularności*, na której wychodzi nieraz podobnie jak ów pies w bajce, rzucający dla cieniu w wodzie odbitego, rzeczywistość! Wszyscy piorunują na pochlebstwa i łaszenie się *możnym*, a czemuż proszę różni się od nich ubieganie się za popularnością? Tem chyba, że tamte kłaniają się w *górze* a to kłania się w *dół* i na *około*. Można powiedzieć, że tyrania publicznej opinii jest najwybredniejszą ze wszystkich, bo im więcej ję się poświęca, tém więcej wymaga, a wyrokuje w naj-

wyższej instancyi bez dopuszczenia żadnego dalszego odwołania się.

Co ztwierdzają dzieje całej ludzkości, to popierają nawet i dzieje pismienictwa. Któż świadomy ich niewie, jaki szkodliwy wpływ wywierały długo pewne wyrocznie na rozwój samorodnych pojęć, jak skrepywały polot myśli i dążności każdemu plemieniowi europejskiemu właściwych? Co tylko nie wchodziło w ciasne głowy tych akademij, w wązkie szufladki owych biór literackich, to obarczał ich wyrok znanieniem złego smaku, szaleństwa, głupoty i potężnych trzeba było geniuszów, aby skruszyć te więzy długim fałszywym kierunkiem i najunylniejszymi wyobrażeniami o rzeczach sztuki narzucone. Dość przypomnieć walkę, jaką stoczył z Warszawskiem i recenzentami mistrz niedawno zmarły.

Powiedzieliśmy wyżej jak wysoką wagę przywiązujemy do zdania ludzi cnotliwych, i że tacy czasem istotnie przemogli, i opinię za sobą pociągnęli. Oby panowała zawsze taka publiczna opinia! Lecz niestety! opinia publiczna w siedmiu wypadkach na dziesięć nie ściga tego złego co na chłostę zasługuje, nie wynosi tego dobrego, które zasługuje na zachętę, poparcie i rozpowszechnienie, lecz przeciwnie obarcza śmiesznością różne uczciwe dążności, zachowanie się religijne, obyczajowe, obowiązkowe, a wysławia i stawia na ołtarzu najwięcej rażące zdrożności, lub przynajmniej bierze je pod swoją tarczę, broni, wymawia i tym sposobem dłuższe im zapewnia trwanie. Nie należy bowiem zapominać, że są rzeczy, które prawodawstwo

najogłędniejsze i najbaczniejsza policja wykorze-
nić i wykryć niezdolają, a któreby jedynie dobrze skiero-
wane, prawdziwie chrześcijańska i oświecona publiczna
opinia zwalczyć mogła. Lecz opinia zamiast być cy-
wilizującą, staje się najczęściej rozstrajającą.

Mimo tego ma dziwną pretensję i zarozumiałość,
i mniema że zdoła poskromić wszelkie występki.....
O dziwna Nemezis! Kiedy prawa opinia jest niewąt-
pliwie wielce skuteczną do powściągnięcia od zdro-
żności i wstrzymania czasem ludzi nad brzegiem prze-
paści wiszących, kiedy widziano nieraz przykłady po-
dobnych od niej sprawionych owoców: zwykła, tuzin-
kowa, przewrotna publiczna opinia, jak ten kłamca,
który choć i prawdę kiedy powie, wiary przecież nie
znajduje, w dobrych swych nawet zamysłach nie od-
nosi pożądaných skutków! Zapamiętali adoratorowie
tęj tyrańskiej piękności, występują bowiem nieraz
z wielce budującą i moralizującą postawą i mo-
wą, i twierdzą, że w wypadkach, kiedy ktoś pełza
scieszkami podłości, stanie się *apostatą* od prawych
zasad, a zakrywa go i ochrania właśnie ten mur, przez
który przeskoczył bez namysłu dla zerwania słodkich
owoców za nim będących, *oni* go tylko do zastano-
wienia przywieść, i na drogę obowiązku i honoru na-
zad sprowadzić mogą.

Lecz ten nieszczęśliwy grzesznik zastłoni się wła-
śnie tém: że kiedy najgodniejsi ludzi mało *ich* cenią
i niebardzo oglądają się na *ich* opinią, i on żadnego
do tego niewidzi powodu. Tu właśnie wpada mi na
myśl ciekawe twierdzenie autorki, która niezbyt da-

wno imieniem swem i pismami całą napochniła Europę. Pani *Stael-Holstein* mówi w bardzo czytanéj wówczas *„Delfinie”*. *„Un homme doit braver l'opinion publique, une femme s'y soumettre!”* (Mężczyzna powinien gardzić opinią publiczną, kobieta ma się jéj poddać). Nie podobna zgodzić się z tém, bo najprzód, *co się tyczy kobiet*, niema żadnéj rozsądnéj przyczyny, dla którójby one nie kierowały się w rzeczach moralnych temi samemi prawidłami co i mężczyźni, co więc dla tych jest dobre lub naganne, jest niem i dla tamtych. A *co się tyczy opinii*: to są wprawdzie, (jakeśmy widzieli) *zdrożne*, ale są i *nieposzłakowane*. Chodzi więc przedewszystkiém o ich charakter, o źródła z jakich powstały, o ich dążności i hasła. Kamieniem próbnym zdrowych opinij jest zaś, jakeśmy to już nieraz powiedzieli, ich zgodność z prawem bożem i z rozumem. Co innego jest być niewolnikiem każdéj publicznej opinii, i nie dać się od niéj obalamucić, a co innego *gardzić* wszelką opinią, i działać jéj na *przekorę*, chyba dla saméj oryginalności i próżnéj jakiegóś sławy, co niezgadzałoby się oczywiście nieraz z sumieniem, hobyśmy gardzili także opinią i dobrą reputacją u ludzi cnotliwych, która powinna być każdemu drogą, ponieważ winien ją sam sobie każdy zacny człowiek dla utrzymania swéj godności i dla lepszego nawet wypełnienia swych obowiązków, i łacniejszego sprawienia dobra, które zamierza i wykonać może. Dla tego i Zbawiciel pytał raz uczniów (Mateusz rozdz. 16. wiersz 13), *„kim powiadają być ludzie Syna Człowieczego?”* i mędrzec pański w sta-

rym już zakonie mówi: *•Lepsze jest imie dobre niż wielkie bogactwa.* (Przypow. rozdz. 22, w. I.).

Upór i zaciętość we własném zdaniu i *widzi mi się* w obec rozsądnych i gruntownych przedstawień, a często nawet w obec saméj już powagi ludzi starszych doświadczeńszych, i znanych ze swych cnót i zasług, jest cechą głupoty.

Gdy zaś te uwagi uzupełniają, jak sędzę, myśl moją o publicznej opinii, zakończę na nich tę pogadankę, aby *mnie opinia publiczna nawet rozsądna* nie obwiniła najsluszniej o *wielomowność*.

MAURYCY DZIEDUSZYCKI.

Z NAD CZERNĄ DO KAIRU.

Po kilku dniach podróży nie zbyt pomyślniej, nie nadto też i przykrzej, ujrzelśmy się 10go grudnia nadejściem w bliskości Stambułu. Pierwsze promienie słońca z zachmur się łamiące oświecały nam blado niczém nieporównany widok Stambułu, Pery, Skutari, długiego szeregu pałaców nad Bosforem i t. d. Złotego Rogu wcale widać nie było, tak go okrywała niezliczona masa okrętów kupieckich i statków parowych; okręty zaś wojenne poważnie stały na kotwicach na środku Bosforu. W pośród tego lasu masztów i kominów snuło się mnóstwo statków żaglowych i parowych; jedne rozpinając żagle wolno się z pomiędzy masztów wysuwały, inne przybysujące szukały dogodnego miejsca do zarzucenia kotwicy. Między nimi z dziwną szybkością uwijały się małe parowce, które przepełnione passażerami utrzymują ciągłą komunikację między wszystkimi punktami Bosforu od Bujukdere aż do wysp Książęcych. Ruch ten niezwykle, obecność mnogich okrętów wojennych rozmaitych pawilonów, komendy we wszystkich prawie je-

zykach które się słyszeć dawały, wszystko to przypominało żeśmy się znajdowali już w bliskości owych miejsc, gdzie się w olbrzymiej walce przyszło losy wielu narodów ważyły. Wjazd do Stambułu zawsze przepyszny ma teraz coś tak wielkiego, tak uroczystego, że bez mocnego wzruszenia nie można patrzeć na wszystko co otacza.

Z wielką zręcznością parowiec nasz w tém natłoku okrętów prowadzony, zrobiwszy mnóstwo zygzaków zarzucił kotwicę prawie pod samym mostem łączącym stary Stambuł z Galatą. Ładowanie trwało długo: było nas bowiem przeszło sto pięćdziesiąt podróżnych, a kapitan chciał najprzód debarkować harem zmarłego baszy Albańskiego; ten był nie mały, bo prócz licznych wdów, dzieci, sług i straży haremowej, było mnóstwo jeszcze turków, muszyrów należących do świty, a bagaży bez końca. Nareszcie przyszła kolej i na nasze rzeczy. Wśród zgielku, wołania, szarpania się o passażerów i ich kufry, jak zwykle w takich razach, wsiałem do kufka przebywszy kilka innych członów, które już najęte wypełniały się podróżnemi i ich bagażami, ze wszystkiemi zegnając się jakby z dawnemi znajomemi.

W kilka chwil przybiliśmy do brzegu, gdzie już wielu tragarzy na nas czekało. Jeden z nich porwał moją walizę i płaszcz, kiedy się zaraz jakiś cywilny w fezie pojawił, migami dając do zrozumienia że będzie rewidował. Nie widziałem tam ani rogatki, ani budynku celnego, ani nawet stołu; rewizya więc po turecku, na ulicy, w błocie. Nie było co mówić; szanować wszelkie prawa krajów najpierwszy warunek. Szukałem więc kluczyka, gdy mój tragarz rzekł do mnie: *İngiliz effendi* pokazując że kluczyka nie trzeba, ale natomiast *bakszyş* abym dał urzędnikowi; tak więc zrobiwszy puściliśmy się główną ulicą Galaty. Podobne załatwianie formalności celnych nie mogło mnie z resztą nadto i zadziwiać, gdyż nadużycia zdarzają się wszędzie. W Neapolu to samo

się przytrafia, z tą tylko różnicą, że się tam nierównie więcej czasu traci, bo chcąc aby przy tej manipulacyi nikt oszukany nie był, oznaczono zdaje się *pris-fre* od kufra, celnicy wydają więc resztę z naddanych karlinów, a drobnych często nie mając, pożyczają je u spektatorów, na czém jest niejaka strata czasu. W Stambule urzędnik kontentuje się wszystkiém, procedura w nadużyciach im prostsza tém lepsza. Ale muszę za moim tragarzem podążyć, aby się w ciasnych, krętych ulicach Galaty nie zgubić.

W Pera, które jest *quartier fashionable* stambulskie, szukałem pomieszkania; w hotelach *de Byzance, du Globe, d'Angleterre* wszystko już zajęte zastałem, szczęściem w hotelu *d'Europe* znalazłem jeszcze nie zły pokój. Oberże w Stambule bardzo są teraz drogie, co się łatwo tłumaczy, widząc ten nieustający natłok wojażerów. *Table d'hôte* zwykle dobrze usłużoną bywa, stancyjki zaś ciasne, brudne, a usługa jak najgorsza. Dzwonka niezobaczy nigdzie, ale że się Europejczycy zwykle o taki bardzo upominają, więc im dzwonek przynoszą z którym wychodzą z rana i po korytarzach i schodach tak długo hałasują dopóki im się jakieś *subito signare!* nie odezwie. Ponieważ jeszcze wcześniej było, wyszedłem na miasto i do wieczora spacerowałem.

Lat dwadzieścia jak w Stambule byłem, zmian jednak znalazłem bardzo mało. Prócz pysznych pałaców Czeragan i Besiktasz nad Bosforem, jakiegoś hotelu ambadorskiego, lub nowego szpitalu, z resztą wszystko po dawnemu, może nawet po najdawniejszemu, bo sądzę że przed wiekiem albo i wiekami Stambuł prawie takim samym być musiał. Odtąd jednak większych zmian spodziewać się należy, dzisiejsze polityczne wstrząśnienie zapewne wszystkiemu wielki nada popęd, a następne lata Stambułowi i Turcyi więcej zmian zbawiennych pod każdym względem przyniosą, niż owe cztery wieki od

upadku Bizantyńskiego państwa. Mając niedługo nad Bosforem bawić, pośpieszyłem do obozu francuzkiego pod Maslak. W smutném bardzo miejscu zkąd ani Stambułu, ani morza, ani nawet drzewka nie widać, rozrzucony ten obóz; baraki formują gdyby wsie, mniej więcej od siebie oddalone. Stała naówczas w obozie tylko brygada piechoty, ale pomieścić tam można do 30,000 wojska. Baraki z porządných grubych tarcic, pokryte są płótnem dziegiem napuszczoném. Ztamtąd udałem się do Skutari, gdzie ogromne niegdyś janczarskie koszarы i inne improwizowane, zajęte były przez Anglików i angielskie kontyngensa, między któremi jeden batalion legii cudzoziemskiej w sile 15,000.

Miałem do Krymu płynąć na francuzkim parowcu „Amsterdam“, lecz przybywszy do okrętu dowiedziałem się że z powodów tych i owych dopiero jutro odpłyniemy, trzeba więc było do hotelu jeszcze powracać bez żadnej nawet pewności aby i jutro statek odpłynął, takie za rudy są tam bardzo częste. Wszelako tym razem nie było tak źle, bo nazajutrz z południa opuściliśmy Stambuł. Cały pokład żołnierzami i wojskowemi rekwizytami tak był zawalony, że stawaliśmy w łódkach obok okrętu zawieszonych, aby lepiej użyć cudownego widoku. W zatoce Baikos stało tylko kilka egipskich okrętów, więcej okrętów rozmaitych flag zastaliśmy w Bujukdere. Dla zabrania poczty zatrzymaliśmy się przed jakąś fregatą francuzką stojącą na kotwicy, i kiedy się jej przypatrujemy dostrzegamy na niej *Belle poule*; wszyscy gdyby na komendę powitaliśmy okrzykiem historyczny okręt, na którym zwłoki Napoleona do Francji przewiezione zostały. W krótkce potem znów koła uderzyły, i wjechalіśmy w ścieśniający się coraz bardziej Bosfor, po obydwóch stronach gęsto działami najeżony. Zmrok już zaczął padać gdy do stołu znać dano, opuściliśmy więc nasze wiazące trybuny i udaliśmy się do salonu,

gdzie wszelako nie długo zostaliśmy w komplecie. Wzmagające rzucanie okrętem ostrzegło nas w krótkce że już na wielkiem morzu być musimy; wielu więc czując się niedobrze udało się do swych kabin, z kąd dopiero dojeżdżając do Kamieszu znów się pojawiło, choć podróż nasza mimo przeciwnego wiatru, do przykrych liczyć się nie mogła.

W porcie stało dużo okrętów, prawie same kupieckie, gdyż główna stacya wojennych jest w Bałakwie; na brzegu ujrzelśmy długie szeregi armat, moździerzy, długie stosy kul, bomb, granatów i nieprzerwane treny wozów amunicyjnych i furgonów: tu już zupełnie wojenne powietrze. Na miejscu gdzie był dawny Kamiesz stoi jeszcze kilka zaledwie resztek domów, całe więc dzisiejsze *miasto* jest z baraków złożone, które długie równoległe tworzą ulice; wszystkie te baraki zbudowane i zamieszkałe przez rozmaitych spekulantów, którzy swe pomieszkania mają w tylnej części baraku, na przodzie zaś od ulicy są sklepy. Zaprowadzono mnie do takiego deszczkowego hotelu, do którego w gęstym gliniastém błocie ledwie zabrnąłem.

Hotel du commerce na rue de la gloire jest najpierwszym w Kamieszu; uprzedzono mnie że nieco drogi, ale że za te 25 franków dziennie, już się i dobrze mieszka i wybornie jada. W sali jadalnej zastałem ómę oficerów, podoficerów i żołnierzy francuzkich, których dla kłębów dymu *de la cigarette* w pierwszych chwilach ani rozeznąć można było. Zażądałem pokoju, zaprowadzono mnie po drabinie na strych, który tarcicami poprzegradzany formował z jakie dziesięć ciemnych niby izdebek, z których tylko pierwsza i ostatnia dziurą w dachu nieco oświecone były. W każdej ciemnicy stało po dwa łózka, stolik, krzesło, i nie wiem na co zwiereadło. Chcąc być osobno i mieć nieco więcej miejsca, kazałem z takiego apartamentu wynieść jedno łóżko; roztasowa-

wszy się potem jako tako, spuściłem się ostrożnie po chwiejnej drabinie do sali jadalnej i kazałem sobie dać obiad. Zanim zupeł przyniesiono, obstawiono mnie masą rozmaitych *hors d'oeuvres*, jako to: starém masłem, spleśniałemi korniszonami etc. Usługujący garson podając mi ogromną bułkę, wykroił w nią wprzód olbrzymią dziurę, mówiąc że z temi szczurami rady sobie dać nie można, nic się przed niemi nie ostoi, wszystko z rąk wyrrywają. Łatwo sobie wystawić, ile taka wiadomość apetyt zaostriżyć może, niczego prawie dotknąć się już nie mogłem, myśląc wynagrodzić sobie może *desserem*. Przyszedł i on nakoniec, ale złożony z kawałka sera, kwaśnego jabłka i wysuszonych orzechów laskowych bez tłuczka!!

Zapaliwszy po takim obiadku cygaro, zacząłem rozpamiętywać nad materyalnemi niedogodnościami tauryjskiego półwyspu. O piątęj bębnią pierwsze *roulement*, po naszymu capstrzyk, wypraszające żołnierzy z kantyn; o 7miej drugie *roulement* zapraszające ich do obozów, a punkt o 10tęj muszą już wszystkie ognie i świece być pogaszone w całym Kamieszu; minutowe opóźnienie mogłoby kollizye z żandarmeryą spowodzić, a z tą żartować nie dobrze. To też się jęj boją, że aż miło. Przed samą 10tą nie jeden spóźniwszy się do gospodarza przybiega:

— *Dites donc bourgeois, n'auriez vous pas un gîte à me donner?*

— *Si, mais dépechons nous, car dix heures vont sonner à l'instant, et le brigadier n'est pas homme à entendre raison.*

Takie krzatanie i półgłosowe dialogi słyhać ciągle przed oznaczoną godziną; elastyczna podłoga grozi ciągle zapadnięciem pod szybkimi krokami uwijających się, kiedy z pierwszym uderzeniem zegara, jak przy dobrej zmianie dekoracyi, w okamgnieniu cały Kamiesz nocnym

powleka się kirem i cisza zupełna nastaje. Ale cóż, ci-
sza to tylko pozorna, tylko na zewnątrz; bo prawdziwe
bujanie szczurów dopiero się zaczyna; zewsząd słyszy
się ich bieganie, kłusanie się, pisk na wszystkie strony;
co chwila to lichtarz runął ze stołu, to fiaska, to talerz
leci z pulki i rozbija się na drobne, słowem niepamięć
czy kiedy fatalniejszą noc miałem.

Przetrawwszy wszystkie te większe i mniejsze *niedo-
godności* poszedłem nazajutrz rano do komendy placu,
skąd wzięwszy *permis de séjour* puściłem się manow-
cami ku Sewastopolowi. Nikogo niechciałem brać z sobą,
przewodnik tam zupełnie niepotrzebny, a idąc z nim idzie
się zwykle spieszniej, co przeszkadza rozpatrywaniu się;
potem jego niepotrzebne, nieżądane objaśnienia spra-
wiają dystrakcyę i psują tak miłą illuzyę przenoszenia
się myślą w czasy oblężenia i szturm. Zatrzymując się
co chwila szedłem dalej i dalej, postępując ciągle mię-
dzy morzem a obozami francuzkiemi. Cała ta przestrzeń
jest puszcza kamienistą, często parowami przerywaną;
drzewa, krzaka, ani tam dostrzedz. cała powierzchnia
drobnemi kamieniami okryta. Po prawej, ukazywały się
obozy gdyby oazy porozrzucane, każda dywizya osobny
obóz tworzyła, zewsząd bębny, trąby, czasem muzyki
pułkowe słyszeć się dawały. Nakoniec północne forty
Sewastopola w oddaleniu ukazywać się zaczęły; po nad
niemi wznosiły się chwilami białe kłęby dymu, poczem
w znacznym odstępie głuchy huk ciężkiego działa po-
władnie się rozlegał. Przy dniu cudownie pięknym, cały
ten obraz miał coś nadzwyczaj uroczystego. Przypo-
mniałem sobie naówczas tak trafne o wojnie słowa Gu-
izeta: *ce mélange puissant d'action humaine et de fortune
qui saisit et transporte les âmes les plus hautes comme les
plus simples*. W miarę jak się zbliżałem, pole coraz gę-
ściej zasiane ukamkami bomb, granatów, nawet całych

bomb dość dużo tam leżało, które zbierać nie zadają sobie pracy.

Tak idąc zaszedłem aż do przylądka Chersonesu, z kądem już wybornie ujście portu widać. Zdawało mi się że patrząc na okolicę doskonale mi znaną, na okolicę w której kiedyś długo gościłem, ale gdzie już od dawna nie byłem, tak już wszystko wiadomą jest z opisów i rysunków. Owe forty Konstantyna, Katarzyny itd. któżby ich od razu nie poznał. Perspektywą doskonale widziałem maszty zatopionych okrętów smutnie a śmiesznie z wody sterczące, widziałem żołnierzy rosyjskich łapiących ryby, przechadzających się po brzegu. Widok ten niby znany niby nowy dziwne wrażenie sprawia, i gdyby ciągle wystrzały artylerji i wycie bomb nie przypominały widzowi że go teatr wojny otacza, łatwo by mógł myśleć że się na jakie diorama patrzy. Tak stojąc jak wryty, nie odejmując perspektywy od oka to jednego to drugiego, znajdowałem się nad jedną z baterji które w początkach oblężenia fort kwarantanny ostrzeliwały. W okół baterji od rykoszetów ciężkich pocisków dziura koło dziury, całe pole gdyby zerane. Byłbym szedł dalej, albo stał jeszcze chwilę w tém zajmującym miejscu, ale obejrzawszy się spostrzegłem słońce nad samym już zachodem, puscilem się więc sporym krokiem napowrót do Kamieszu od którego byłem daleko. Rachowałem na gwiazdy, a tu gęsta jakaś mgła raptownie się spuściła i zupełnie się ciemno zrobiło. Idąc bez drogi co moment z mojej dyrekcyi zbacziałem, i byłbym Bóg wie gdzie zanoconwał, gdyby mnie żołnierze nie byli wprowadzali, którzy wesole „*En avant marchons*“ śpiewając z kantyn wracali.

Aby być w samym Sewastopolu trzeba mieć pozwolenie na gśnięcie ze sztabu głównego, i taka przepustka tylko na ten dzień służy w którym jest wydana. Wziąwszy więc konia, ruszyłem nazajutrz murowanym go-

ścińcem do francuskiej kwatery głównej, gdzie z największą uprzejmością żadaną kartę mi wydano, o moje *permis de séjour* ani pytając; nie tracąc więc i minuty, siadłem znów na koń i dalej ku ruinom z tyłu względów sławnym. Zbliżając się ku miastu gościniec znizła się cokolwiek i biegnie ponad coraz głębszy parów ku bastionowi *masztowemu*. Przekopy które się ciągle po jednej i po drugiej stronie drogi widzi, są to rowy zaledwie półtora sążnia szerokie, mające przed sobą eskarpy z faszyn i worków napelnionych ziemią. Tu owdzie głęboko wkopane, cegłą wyłożone magazyny amunicyjne, oto wszystko co prócz bateriów robotami oblężniczymi zowią. Jechałem już czas niejaki między gruzami byłego niegdyś przedmieścia i wjeżdżałem do miasta, gdy niedaleko teatru szyldwach mnie zatrzymał, zbliżył się zaraz kapral, wziął moją przepustkę i odniósł oficerowi służbowemu; ten po chwili wyszedł i oddając mi kartkę, prosił bym zjechawszy na dół nie nadto się nad morzem pokazywał, gdyżbym siebie i szyldwachów tam stojących niepotrzebnie na strzały sztuccowe naraził. Zaspokoiwszy z tej strony porucznika pojechałem dalej. Chcąc aby nędzny mój wierzchowiec nieco wypoczął, wjechałem na jakiś dziedziniec, gdzie konie pociągowe spostrzegłem, i prosiłem wachmistrza by mój koń mógł z parę godzin obok jego koni pozostać.

— Widzisz brygadyerze, rzekłem oddawszy konia żołnierzowi, jakie to szkapy w *Chnapanville* (bo Francuzi inaczej Kamieszu nie zowią) wynajmują nam po 30 franków.

— *Parbleu! avec deux promenades la rosse est largement payée!* zawołał oburzony furgonista i rzucił wiązkę siana przybyłemu.

Kto był w Pompei, ten mieć będzie najlepsze wyobrażenie dzisiejszego Sewastopola. Wszędzie tylko szczątki domów, całe szeregi przetrąconych lub powywracanych

kolumn, co krok głębokie dziury w bruku; w istocie blakając się po tych nieszczęsnych zwaliskach Pompeja nie wychodziła mi z myśli. Jedyne porozrzucane jeszcze gdzieś niegdzie ładownice, manierki, leżące kule, czerepy bomb i tym podobne, przypominają że się jest na świeżem pobojowisku; z resztą nieustające monotonne wystrzały działowe kontrastują z głuchością przedwiecznego grodu. Wszedłem do jakiejś cerkwi, oczywiście drzwi nie szukając, bo zewsząd stała otworem, tylko wysokie wały rumowiska gdyby progi przebywać trzeba było. Na dole zwiedziłem fort Mikołajewski, ogromne półkole z dwoma piętrami strzelnic działowych; dziś wszystkie te forty choć bardzo mało uszkodzone stoją rozbrojone i służą tylko Francuzom na składy rekwizytów wojennych. Potem udałem się ku dokom, ku którym bomby nieprzyjacielskie prawie wyłącznie skierowane. Piękne te i kosztowne dzieła prawie zupełnie podminowane już były; w czasie kiedy tam byłem kilka bomb po nad nami przeleciało, inne szły bokami, jedna tylko w doku uwięzła ale nie pękła. W ogóle to strzelanie bardzo mało zawadza, to też od dwóch miesięcy nie odpowiadano na nie. Z tamtąd grzeczny jakiś oficer poszedł ze mną do Małachowa. Duża ta fortyfikacja jest tylko okopem, którego ani eskarpy ani parapet nigdzie murowanymi nie były; forma jego jeśli się tak wyrazić można, jest wielokątny podłużny kwadrat; poprzeczne, to jest krótsze jego dwie strony ku nieprzyjacielowi i miastu zwrócone, długość zaś poprzecinana kilką obronnymi trawersami. Przy samym prawie przednim parapecie stoi w szańcu murowany bastion, od którego nazwisko, zniesiony jednak prawie do wysokości parapetu. Kazamaty są w ziemi, nad którymi jeszcze belki i faszyny, w czasie oblężenia napiętrzone były. Zmrok padający niedozwolił mi zwiedzić jeszcze „zielonego mamełonu“, który z resztą we wszystkiem podobny do in-

nych Sewastopolskich fortyfikacyj. Zmuszony więc byłem opuścić te zajmujące miejsca, a odszukawszy mego konia, późno już powróciłem do siebie.

Następnych dni jeździłem do Bałakławy i do piemontkiego i angielskiego obozu. Małą ale zewsząd wysokimi górami doskonale osłonioną bałakławską zatokę zastałem dosłownie okrytą okrętami wojennymi. Cały handel skupiony jest dzisiaj w Kamieszu, gdzie wielu majątki porobiło, szczególnie w początkach okupacyi. Największe zyski przynosiła sprzedaż żywności; zapewniali mnie np. że niektóre markietanki po 60 do 80,000 franków zarobiwszy, powróciły do ojczyzny. Teraz już na niektórych spekulacyach tracą, szczególnie na winach *en gros*, bo tych stosunkowo jest dziś więcej w Krymie, niż we Francyi. Bałakława mocno ufortyfikowana, wszelako dla dominujących pozycyij, wielkieby wymagała załogi; z tego względu Kamiesz i Kercz jako *pied-à-terre* mają być dogodniejsze. Kolej żelazna z Bałakławy aż pod Sewastopol zupełnie jest ukończoną; dziwnie się owe latające pociągi w tej pustyni wydają.

Obóz piemontki zastałem nad Czernąją w miejscu gdzie była bitwa 16 czerwca. Porządek i czystość w tym obozie wzorowe, równie jak w obozie angielskim, który nieco na przodzie ku Inkermanowi rozłożony. Obozy francuzkie nie mają tyle militarnej cechy, szczególnie rekwizyta wojenne nie w takim u nich poszanowaniu jak u sąsiadów, furgony a szczególnie uprzęże ich, nieco na folwarczną drużynę zakrawają. Najbardziej uderzyło mnie niebaczne ze strony Francuzów męczenie koni; jak na bulwarach, tak toż samo i w Krymie: nikt żołnierza inaczej nie spotka jak wyciągniętym goniącego klusem; wszelako niepodobna, aby wszystkie bez wyjątku rozkazy większego pośpiechu wymagały. Oficera nie w służbie ani zobaczyć inaczej, jak pędzącego co koń wyskoczy. Być bardzo może, iż temu jedynie przy-

pisać należy, że kawalerya francuzka nigdy słynną nie była, choć niezaprzeczenie z wybornych składa się żywołów; ale nie mogą się tem przejąć, jak dalece jest ważną mieć w kampanii wypoczęte ile możności, świeże konie. Pułki strzelców konnych afrykańskich (*chasseurs d'Afrique*) i Spahisów już cokolwiek orientального przywiązania do koni nabrały, konie też ich dużo się różnią od koni innych pułków. Furgony jeśli tylko nie zbyt obciążone, idą kłusem, a powracające konie lub muły muszą cwałować; mnóstwo ich też ustaje, choć dowozy furazu dostateczne, a wojny od września tak właśnie jak nie ma.

Co znów przyjemnie wszędzie uderza, to prawdziwy duch koleżeński między sprzymierzonymi; we wszystkim jedni drugich uprzedzają, witają się zawsze jak najserdeczniej i wzajemnie szacują. Pewien oficer Zua-wow dużo mi o zimnej krwi anglików opowiadał, o wzorowym porządku z jakim nad Almą manewrowali choć na najtrudniejszym zawsze terenie i pod gradem wszelakich pocisków: „*il reste à savoir si nous l'aurions fait comme ça*“, dodał w końcu. Angliey znów uznają wyższość wykształcenia wojskowego we Francuzach i większą ich intelligencyjną zdatność do rzemiosła żołnierskiego. Piemontczyki dobrze są widziani od wszystkich swych kolegów, zdaje się że ich armia znaczne korzyści z tej wojny odniosła. Pomimo jednak tych tak dobrych stosunków, słyszałem i to nieraz tak anglików jak i francuzów spoglądających z obawą na przyszłe układy o pokój; lękają się bowiem by się w tenczas ta dla zachodu tak pożądana zgoda nie nadwężyła.

Zamierzałem dłużej bawić w Krymie, lecz wzmagając się zimno, a reszta i materialne niedogodności o których wyżej wspominałem, spowodowały mnie do odplynięcia po kilkodniowym tam pobycie. Okręt nasz przepełniony był chorymi francuzkami, mrozy 19go i

20go grudnia liczbę ich bardzo powiększyły; rannych było niewielu, między tymi jeden oficer rossyjski. Przykro było patrzeć na brak starania, powiem nawet na lekceważenie z jakim obchodzono się z chorymi. Uważano ich jako niezdolny ładunek, którym passażerskie statki obdarzano. Dwóch jenerałów i wielu oficerów, którzy się za urlopem do Francji udawali, zbyt swym powrotem do ojczyzny byli uszczęśliwieni, i zajęci opowiadaniem epizodów wojennych, aby do chorych choć zajrzeć, choć się o nich spytać, a przecież to prosty żołnierz francuzki niewątpliwie pierwsze miejsce w armii zajmuje; przyznają to często sami oficerowie. Mówił nam naprzykład jeden z jenerałów: „*un officier une fois à la tête d'une colonne d'attaque, ne saurait s'arrêter même, s'il le voulait, tellement est il poussé par ses soldats.*“ Tak mówiąc niesłyszał wszakże jenerał jęków konających i zanim się Stambuł ukazał, wrzucono już sześciu umarłych w morze.

Po krymskiej puszczy o wiele jeszcze pyszniejszym wydaje się wjazd do Stambułu. Po przejmujących mrozach jakże miłe owe wiosenne ciepło nad Złotym Rogiem; nigdy mi się miasto siedmiu gór piękniejszym nie okazało, żaden hotel londyński lub hamburski nie zdał się być tak wygodnym jak grecka moja lokanda *d'Europe* po zimnym strychu na *Rue de la Gloire*. Aby sobie uzupełnić wrażenie kraju cywilizowanego, poszedłem na teatr, dokąd jakoś pierwój zebrać się nie mogłem, i znalazłem tak lokal jako i muzykę nierównie lepszymi niż sobie wyobrażałem. Szanowna tylko publiczność zdawała mi się mniej dobraną; piękniejszym występom wtórowała ona chórem, a tłukąc laskami po ławkach i ścianach oklaskom dodawała mocy. Na nieszczeście „*Lukrecya*“ wielkiego doznawała tryumfu, przysłoby więc ogłuchnąć, gdyby wytrwale chciało zostać *usque ad finem*; z wielkiem więc zgorszeniem carogrodz-

kich melomanów opuściłem salę po pierwszym akcie.

W ostatnich dniach mego pobytu poznałem pewnego znakomitego oficera, który świętny miał udział w pamiętnej obronie Karsu. Gdy kapitulacya już postanowioną została, i w układy z nieprzyjacielem wchodzić zaczęto, opuścił on Kars wraz z kilkoma innymi i przemknął się szczęśliwie do Erzerum, zkąd później do Stambułu się dostał. Mówiliśmy dużo o tej sławnej obronie, która mimo smutnego końca swego, niemniej zaszczytne miejsce obok wiekopomnej Sylistryi w rocznikach historii zajmować będzie. Szturm 29 września był jak wiadomo rozpoczęty o samym świcie; już od niejakiemu czasu żadnych wedet w nocy przed miasto nie wysuwano, z razu dla tego, że wedety często znikwały, nie chcąc już do smutnego obozu powracać, a później i koni nie było. To ułatwiło niedostrzeżone zbliżenie się nieprzyjacielowi. Owę pamiętną noc księżyc w ostatniej swój kwadrze już tylko pułką nadedniem okolicę trochę oświecał, nie tyle więc okiem jak bardziej słuchem odkryto iż nieprzyjaciel podstępuje, bo zajmowanie zbliżonych pozycji przez artylerją, w zupełnej cichości odbyć się nie mogło. Ostrzeżona o tem kommenda, w kilku chwilach już wszystko miała pod bronią, i spieszożo zajmować ważniejsze stanowiska. Właściwie Karsu fortecą nazwać nie można, gdyż tylko ułamki dawnych murów pozostały, obok których tu i owdzie usypano okopy; nie potrzeba więc było wybijać wyłomu, to też załoga nie zdołała jeszcze wszystkich zająć stanowisk, a już, nieprzyjaciel razem prawie z rozpoczęciem ognia ze swych baterij rzucił piechotę do szturm. Ośm batalionów w kolumnach jedne za drugimi tuż postępując, tworzyły główną kolumnę ataku. Głębokość i ściśnienie takie musiało szturmujących na ogromne narazić straty, bo każda kula lub granat gdziekolwiek trafiły, wyrywały całe szeregi, a oblężonym na

licznej i dobrej artylerii nie zbywało. Pomimo jak najżywszego ognia wdarli się Rossyanie do obozu, a wielu z nich poczytując zwycięstwo już za pewne, rozbiegło się po namiotach. Widząc to dowódcy najbliższych baterij, sygnali w te namioty kartaczami, a na wypłoszonych piechota rzuciła się z bagnietem, tak że nikt prawie z tamtąd nie uszedł. Kilka razy świeże prowadząc bataliony usiłowali szturmujący opanować koniecznie miasto; lecz z coraz większemi odpierani stratami, po czterogodzinnych daremnych a zawsze krwawych wysileniach odstąpili nakoniec. Siedm tysięcy parę set Rosyan między którymi około 300 oficerów pochowano w Karsie. Podobną klęskę i także w równie krótkim czasie tylko nad Czernąją ponieśli; tak tam jak i tu strata odpierających w żadnem nawet porównaniu nie była ze stratą Rosyan; a przyczyną tak znacznych i bezowocnych ofiar, tak nad Czernąją jak i pod Karssem było zawsze bezwzględne rzucanie przebojem na nieprzyjaciela, który i w mocnej stał pozycji i nieczem jeszcze zachwianym być nie mógł. Potem i szyk kolumn szturmowych był bardzo błędny, bo aby wspierać poprzedzające oddziały niekoniecznie trzeba stąpać im po piętach albo na najprostszej za niemi postępować linii; taki szyk ułatwił Turkom strzelanie i ogień ich bardzo czynił morderczym.

Liczba rannych jak wnosili ów oficer, mogła nie być w zwykłym stosunku do liczby poległych, z powodu że najwięcej dnia tego artylerya czynną była i po większej części z bardzo bliska strzelała. Po odparciu szturm, na zmnio już ważniejsze chwile krwawego dnia tego rozbierając, zgadzali się wszyscy, że gdyby tylko 10ciu minutami później Turcy o zbliżającym się ataku byli ostrzeżeni, kto wie jakiby obrót rzeczy wziąć były mogły; i to zdaje się bardzo naturalnem, bo gdzie równe lub prawie równe ciężary na szali się waży, tam

lada co stanowcze przechylenie spowodzić może. Głód jednak coraz bardziej czuć się dawał, dowozy i furazowania stały się już niepodobne, szpitale przepełniały się coraz więcej, наконец śmierć głodowa szerzyć się poczęła, i odtąd więc śmiertelność wzmaczać się koniecznie musiała. Nadziei odsieczy wcale nie było, Omer ciągle postępował zwolna w kierunku Kutais, a w Erzerum nie było sił, z któremiby się dało cokolwiek przedsięwziąć. Myślano chwilę o przeboju, lecz przebijać się w kilkanaście tysięcy wygłodniałej piechoty bez jazdy, a co więcej bez armat, konie bowiem już zjedzono, byłoby tylko niesumienne szaleństwem. W tej więc okropnej ostateczności postanowiono kapitulować. Warunki które załoga uzyskała, przynoszą zaszczyt generałowi Murawiewowi; byż bardzo może, że niezupełnie znane mu było położenie oblężonych, zresztą może wiedział i o niem, lecz nie chcąc nadużywać przewagi jaką mu jedynie pomyślny zbieg okoliczności nadawał, szlachetnie oddając należną cześć walecznej wytrwałości, uczył najwięcej siebie.

Spotkawszy jednego z naszych europejskich baszów, który prosto z rady wojennej powracał, pytałem, co też tam o Omerze mówią?

— *On est furieux contre lui*, odpowiedział; ale furja turecka ulatnia się prędko, zwykle po kilku fajkach, sorbetach ustępuje stoickiemu *Allah kerim!* (Niech tam Bóg rozrządza).

Po wielu naradach wyprawiono nakoniec komisyję do Redut-Kale, by rozpoznać w czem Serdar mógł być winnym, w czem niewinnym. Ta komissya by nie obrażać dumy narodowej złożoną była wprawdzie z Turków, ale Omerowi nie bardzo sprzyjających; wszelako wiadomo każdemu jak łatwo możnym na Wschodzie niechęci, w dobre dla siebie chęci zamieniać. Ztąd przewidywano że sprawozdanie komissyi we wszystkim.

Serdara Ekrem usprawiedliwić nie omieszka. Szkoda wielka tureckiego żołnierza, bo bitny, trudy i niewczasy wytrwale znosi, z musztrą łatwo się oswaja, zwierzechności chętnie ulega, słowem, jest to żywioł z którego by jedną z najpierwszych armij utworzył, gdyby tylko innych miano oficerów tak wyższych jak niższych, ale o tych najlepiej tyle tylko powiedzieć, ile nasz Krasicki o Ryczywole powiedzieć nam raczył.

Przed moim wyjazdem ze Stambułu chciałem jeszcze odwiedzić niewolników rosyjskich na Wyspach Książęcych. Zastałem ich obóz na pięknej uboczy nad samem morzem; tam żołnierze pod namiotami swobodnie oczekują końca wojny, lub wymiany niewolników. Niezdawało mi się jednak, by te dwie szanse *oswobodzenia* ze zbyt wielką niecierpliwością przez nich wyglądane były, gdyż im tam pewnie lepiej jak w wojennej a nawet i pokojowej biedzie. Oficerom czas dłuższym wydawać się może; od rządu mają utrzymanie, jeżdżą do Stambułu kiedy tylko chcą, gdzie na słowo honoru wolno przebywają; pisują też do swoich często, a listów ich nikt niezatrzymuje, choć zawierają często niepotrzebne ustępy przeciw *najeźdźnikom ojczystym*.

Zwiedziwszy to co mnie więcej zajmować mogło, opuściłem Stambuł na francuzkim parowcu *Le Tage* choć nie zbyt wygodnie, gdyż mieliśmy z sobą baszę Alepu, który z ogromną świtą udawał się na miejsce przeznaczenia. On sam z haremem zajmował wszystkie pierwsze miejsca, część drugich zajął jego sztab; a rozmaici baszybozuki zalegali pokład, gdzie jeszcze i kilka koni stało. Bagażów najrozmaitszych mieli coniemiarą; między którymi broń i fajki głównie figurowały, choć były tam i klatki z karnarkami. Z ostatnim czerwieniącym się odbłaskiem słońca parowiec opuścił Bosfor, w kilka chwil potem już się nam księżyc w przeźroczystych falach morza Marmora odbijał. W Gallipoli, Dardanellach, Mitilene zatrzy-

mywaliśmy się tylko dla oddania i odebrania pak pocztowych; w Smyrnie zaś bawiliśmy dzień cały.

Wypływając z golfu Smyrneńskiego mieliśmy najpiękniejszą pogodę, noc cudowną; kiedy przy wyjściu z cieśniny Czesme nad ranem zerwał się silny wiatr i przez cały dzień mocno nami miotał, a w nocy burza coraz bardziej i bardziej wzmacniać się poczęła. Co chwila przysyłał basza po swego lekarza, a że wszystko prawie ciężko chorowało, wnosiliśmy zatem, że z otyłym baszą źle być musi; zapewnił nas jednak powracający doktor, że nie jest tyle chorym ile raczej w niesłychanym zostaje strachu, i że po niego posyła jedynie, by się kapitaną pytać z kąd wiatr, czy się przypadkiem nie wzmacnia jeszcze, czy by może nie dobrze zarzucić kotwicę, choćby na próbę, kto wie może się uchwyci i t. p. Włoch, którego naprzód grzecznie, potem z fukiem odprowadzał kapitan, już sam wymyślał zaspokajające odpowiedzi. Gdy wreszcie wicher już znacznie zwolnił, lekkie zapytania ustąpiły miejsca uczonym dyssertacyom o żegludze w ogólności; tak tedy będąc *en train* informowania się i daskussyi, zapytał Hamdi basza, co znaczą owe niby zegary na pokładzie stojące? Tłumaczono mu więc co bussola, i jaka jój konieczność. Wysłuchawszy dobrze i wyrozumiawszy rzecz dokładnie, rzekł w końcu Hamdi:

— Taka jak ją zowiecie bussola, jest niepotrzebna, bo aby wiedzieć *z kąd wiatr*, dość chustkę na kiju wywiesić.

Nie było rady z baszą, wszystko najlepij wiedział. Miał bo też i wysoką wziętość u swoich, którzy nas zapewniali, że pewno długo w Alepie nie zostaną, bo basza ich wkrótce na ministra do Stambułu powołanym będzie, i że to w każdym razie trzecia osoba w kraju. Kto nigdy w Turcyi niebył poczyta to za przesadę, ci zaś co ten kraj cokolwiek znają, zgodzą się pewnie ze

mną, że takich baszów jest więcej niż oświeconszych. O braku oświaty, braku moralności między wyższemi, nikt wyobrażenia niema: tem jednak jedynie tłumaczyć się daje polityczna bezsilność tego wielkiego i bogatego kraju.

Wśród rozmów o żegludze, wpłynęliśmy do ciasnego wysokimi skalami otoczonego portu w Castel-rosso. Tu jednak lądować nam niedozwolono, dla cholery, która była w Smyrnie, a przed którą żeby się uchronić, basza rodyjski system kwarantanny za najzbawiennejszy uznał. Na to jednak niezważał basza Alepu, kazał czółno spuścić, i wraz z kilkunastu najwierniejszemi przybił do lądu. Tam zasiadłszy pod rozłożystem drzewem oliwaem, kupił barana, kazał go zarznąć, i zaraz się do przyprawienia zabierać; sam z widocznem zajęciem śledząc wszystkie fazy zdejmowania skóry, patroszenia, obracania na różne i t. d. Gdy już pieczone gotowem być miało, zasiadli wierni u nóg władzcy i wraz z nim rozrywając baraninę, poczęli sobie wynagradzać okropności przecierpianej nocy. Niechcąc się w swych dalszych stacyach opóźniać, kapitan postanowił jeszcze przed zachodem opuścić wysepkę, posłał więc czółno po baszę, prosząc by już raczył powrócić, ale przyszłego ministra ani oderwać od barana. Niecierpliwi wyjazdu ciągle mieliśmy zwrócone na niego lornety śledząc co robi, czy już wstaje, do czółna czy schodzi? ale nic z tego; ogromna serweta gdyby kirys bielila się ciągle na piersiach trzeciś osoby w kraju; podano mu kawę, potem *czubuk*, prawdziwa rozpacz, o opuszczenia siedziby ani mowy.

Już słońce dobrze zaszło za góry, kiedy nasz Hamdi przybił na pokład. Cóż było robić? Choć trochę ciemno, rzekł mściwy kapitan, przecież spróbuję przesunąć się między skalami *et si ce n'était qu' à cause du pacha, pour lui faire regretter son gigot.*

Wieher już był ustał zupełnie, ale morze jeszcze ogromnie rozżukane było; po trzydziestu kilku godzinach moenego kołysania stanęliśmy nad ranem przed Mersiną niby wsią niby miasteczkiem, gdzie się jednak liczne karawany schodzą; 500, wielbłądów obładowanych zbożem co dzień tam przybywa, i tyleż znów z wyrobami europejskimi odchodzi. Mając dopiero o zmroku w dalszą puścić się drogę, korzystał każdy z czasu jak mógł najlepiej. Basza kazawszy swój świcie przywdziać złotolitą odzież, puścił się w paradzie na ląd odwiedzić tamecznego baszę. Płynący z nami anglik, namiętny turysta, pośpieszył co prędzej do pobliskiego Tarsus, mówił on płynnie po arabsku, dużo krajów wschodnich zwiedził, i dzieła o nich wydawał, a lubo w spotkaniach z Arabami nie zawsze szczęśliwy, bo dwa razy zrabowany, a raz ciężko ranny, przecież sobie jeszcze zakładał dużo rzeczy zwiedzić i ziem poodkrywać. Ja zaś z francuzem, (który wielką wstęgę legii honorowej Sułtanowi przywiózł, a teraz do Teheranu z ratyfikacją traktatu francuzko-perskiego dątył), poszliśmy na polowanie.

Po zachodzie słońca znaleźliśmy się wszyscy znów na pokładzie; Haradzi spał już od dawna; anglik zadowolony z wycieczki, zapisywał daty do swego dzienniczka, my zamordowani, dyplomata ledwie żywy, przypomnieliśmy kilka krzyków, słomek, bażanta i pardwę. Dużo przed świtem mieliśmy stanąć w Aleksandrecie (Iskenderun). Noc była piękna, kapitan znudzony tłu niewczasami, spuścił się tą razą na pilota, a pilot mąż krępy, rumiany, wiele ufał grokowi. Tak tedy płynąc wśród jasnej miesięcznej nocy, jakoś golfu Iskenderackiego niedopatrzwszy, o wschodzie słońca njrzeliliśmy się pod Łatakiją; nuż więc wracać.

W południe dopiero stanęliśmy w Aleksandrecie. Do wieczora baszę ze wszystkimi akcesoryami na ląd wysadzić, i węgli jeszcze załadować, nie było podobna, za-

sieliśmy więc w Iskenderun do nazajutrz wieczora pozostać, a więc cały dzień stracony. Aleksandretta o połowę jeszcze od Mersiny gorsza, zaledwie sto chałup liczyć może, ale handel równie ożywiony, karawany z okrętami w nieprzerwaną komunikacyi. Skoro się wieść o przybyciu baszy Alepu rozeszła, wnet się zaczęła zbierać zbrojna eskorta, tudzież konie, muły, wielbłądy pod jego świtę, harem, bagaże i t. d. Nazajutrz zrana ruszyła cała ta liczna i nadzwyczaj malownicza kolumna. Najprzód przednia straż, potem harem i bagaże, nakoniec sam Hamdi na czele swego sztabu i mnogiów w długie flinty i cztery razy dłuższe jeszcze dzidy uzbrojonej eskorty. Cała ta kawalkada z przeszło pięciuset ludzi złożona, piękny przedstawiała widok; prawie wszyscy na dobrych różnych koniach, w różnobarwnej odzieży, beduiny w długich swych maszlach, w białe czarne pręgi, mnóstwo różnej a zawsze bardzo błyszczącej broni, między niemi bielejące zastłony kobiet, długie szyje objuczonych wielbłądów, wszystko razem i oryginalne i imponujące. Patrzeliśmy za wijącą się długim węzłem kawalkadą, dopóki nam w załomach gór i wąwozach ostatnie dzidy nie znikły. Anglik nie mając ziem do zwiedzania, zasiadł do czytania podróźnej swęj biblioteki, my zaś z francuzem znów na polowanie, ale się nam tą razą mniej świetnie udało.

Wieczorem opuściliśmy port a raczej zatokę, bo może na całym wschodzie portu właściwego nie ma. Tak jak przed tamtęj nocy, niechcący znaleźliśmy się pod Latakiją, tak znów tym razem ani jęj znaleźć. Jak i kędy wędrowaliśmy, nie wiem, ale rezultat ostateczny żeśmy tam dużo później przybyli jak zapowiedzianem było. Gdy nie było publiczności wiadomem za czyjem się to stało staraniem, przypisywaliśmy więc znów winę niefortunnemu pilotowi. Nakoniec 21 stycznia dużo przed

świtem runął z hałasem łańcuch kotwiczny i stanęliśmy w miejscu.

— *Nous voilà enfin à Beyrouth*, rzekłem do przebudzonego dyplomaty strzelca.

— *Si ce n'est encore une fois Latakia*, odrzekł nieufnie.

Ale nie, tym razem byliśmy rzeczywiście w Bejrucie. Wyszedszy na pokład ukazało się choć zmrokiem pokryte miasto, i sterczący wspaniale, pyszny, śnieżny Liban. Trzeba było dnia czekać aby z kwarantanny przyszła *libera pratica* (wolność lądowania), ale nie schodziliśmy z pomostu by nie stracić najpiękniejszego wschodu słońca z za białych szczytów Libanu. Już nas mnóstwo czółen otaczało, kiedy koło ósmej przyплыła barka z czerwoną turecką chorągwią i *liberą praticą*. Szturmem zaczęto z obu stron wskakiwać na nasz okręt; jedni by wyglądanych znajomych co prędzej powitać, drudzy by pasażerów rozechwytać. Oddałem się jakiemuś grekowi którego mi polecił nasz anglik znający cały Wschód jak swą własną kieszeń. Powiedziałem więc grekowi, że mam nieco kontrabandy z sobą, pytając czy nie wie jakie cło od tego, bo jeśli małe, to zadeklaruję, jeśli większe więc będę mieć przy sobie.—

— Ani pan płacić nie potrzebujesz, ani z tego powodu żadnej nie będziesz miał subjekcyi, rzekł pan Dymitri.

— A to jakim sposobem?

— Najprostszym, że nie pojedziemy na komorę, lecz wprost do mego hotelu.

Tak się też stało. Kiedy wszystkie czółna kierowały się do komory; my popłynęliśmy w inną stronę; widziałem więc, że oi tylko udają się na komorę co nie do oclenia nie mają, innym wolno ją ominąć. Później dostrzegłem jednak budki nad morzem dla strażników ale

zwykle w nich nikogo nie ma, a jeśli kto jest, to łada czem go się zbywa, zupełnie, jak w Stambule.

Instalowany w hotelu *de belle vue* tuż nad morzem, poszedłem do miasta, dokąd miałem kawał drogi nad skałami, pod którymi spoczywają szczątki brygu angielskiego. Rozbił się on tam przed tygodniem téj właśnie nocy, kiedy burza tak nami miotła, a może i w tę samą chwilę, kiedy nam Hamdi najmocniej doświadczenia z kotwicą zalecał. Nikt może z ekipaży nie byłby ocalał, gdyby nie kapitan austriackiego okrętu, który dostrzegłszy że sąsiad jego z zerwanymi kotwicami prosto na skały pędzi, czem prędzej nie był rzucił swego czółna na wodę, i tonącym w stanowczej chwili nie przybył na pomoc. Miasto Bejrut zupełnie arabskie różni się od Stambułu, Smyrny, słowem od miast tureckich budową swych domów po wielkiej części bez dachów, większą szerokością ulic, lepszym brukiem, i mniejszym może brudem. Owych pięknych lasków cyprysowych tam nie ma, co tak zdobią tureckie cmentarze, a tem samem i okolicę, ale natomiast palmowe drzewa, sykomory, banany i piękne ogrody w koło miasta bardzo powabną krajobrazowi nadają postać.

Po dziesięciu dniach pobytu w Bejrucie popłynąłem do Jaffy. Płynąc ciągle po nad brzegami zatrzymaliśmy się w Kaiffa pod górą Karmelu, ale za krótko by wysiąść można, co nam wszystkim a szczególnie pielgrzymom których kilku jechało z nami, bardzo nie na rękę było. W nocy stanęliśmy opodal Jaffy, do której dla mnogich skał zbliżyć się nie można nawet kiedy zupełnie cisza. Jaffa fizyonomią zewnętrzną bardzo odmienna od Bejrutu, ciasne smutne miasto pokrywa dość wysoką górę, która wśród płaszczyzny nad morzem się wznosi. Od morza wydaje się to wcale dobrze, od lądu także nie źle, byle w samym miasteczku nie być. Mnóstwo ogrodów owocowych je otacza, tam szczególnie

najwyborniejszych pomarańcz do zbytku; ich zbiór właśnie się zaczynał; za franka kupowano na targu sześćdziesiąt pomarańcz wyborowych, a dwieście zakupując je hurtem na drzewach. Obieglszy te ogrody, zastałem powróciwszy już dragomana beduiną z niebotyczną lancą i trzy konie w pogotowie, co tam zawsze na skinienie mieć można, i puściłem się jeszcze tego samego dnia do Jerozolimy.

Droga z Jaffy do Ramleh równa i przyjemna; długi czas prowadzi między ogrodami a raczej cytrynowemi i pomarańczowemi sadami, poczem przejeżdża się zielniące się lany dość duże, po których porożrzucane oliwne drzewa. Cugi wielbłądów ciągle się tam wymijają, z podróżnemi i pielgrzymami częste spotkania, choć późniéj ku Wielkiej noccy nierównie ruch na téj drodze większy. Przyjechawszy do Ramleh, miasteczka wesoło położonego na małym wzgórzu, stanęliśmy obozem pod klasztorem, gdzie ządzwoniwszy otworzono mi furtkę i wszedłem do zakonników samych Hiszpanów. Zwykłą stacją podróżnych jest ów klasztor, nocuje się tam jeśli jednym dniem w Jerozolimie stanąć sobie kto nie życzy. Z gwardyanem o sławnej Saragossie wszcząłem zaraz dyskurs skoro mi powiedział że jest rodem z Aragonii. Po wieczery i wygodnym noclegu o 3-ej z rana w dalszą puściłem się drogę.

Szła ona jeszcze równiną, czas niejaki, ale z pierwszem świtaniem wjechaliśmy w góry coraz ogromniejsze; z początku choć pokryte krzakami, w dolinach nawet drzewa tu i owdzie się wznoszą, lecz późniéj nie prócz nagich skał, po których się drapać trzeba, najokropniejszą jak tylko być może ścieżką. To na wysokich skalistych schodach wspinać się przychodzi: to jechać po płytach jak stół gładkich, to znów dla odmiany natrafia się na bryły kamienia które się pod kopytami ugnijają w co raz wyższych odskokach ku przepaści

leca; a ciągle stromo pod górę i z góry. Po takiej pracowitej przejażdżce, o samém południu ujrzelśmy wśród najsmutniejszej krzemienistej okolicy, wysokie popielate mury i czworograniaste baszty opasujące Jerozolimę. Oliwne drzewa z rzadka otaczające miasto są jedyną *niby* zielonością która się oku przedstawia. Było to w niedzielę w dzień bardzo pogodny, ciepły, więc przed bramą *Jaffejską* mnóstwo przechadzających się pieszo i konno. Między temi najprzyjemniej mi było spotykać naszych żydków w tym samym ubiorze który w niczem nie zmienili. Przywitałem się też zaraz z dwoma, którzy uradowani odprowadzili mnie aż do miasta; ale po polsku już im trudno mówić przychodziło. Mój dragoman lingwista, utrzymujący że cztery języki europejskie i tyleż oryentalnych posiada, pytał mnie zdziwiony, jakim to ja językiem z żydami mówię.

W Jerozolimie staje się zwykle w klasztorze a raczej w tak zwaney *casa nova* jedynie dla podróżnych i pielgrzymów różnych stanów, zbudowaney; tam się dobrze mieszka i nie źle z klasztoru stołuje; ja zaś stanąłem w hotelu angielskim, z którego także dość byłem zadowolony. Pierwsze jak należało kroki obróciłem do kościoła Grobu Świętego. Jest to gmach dziwnej nie do opisania budowy zewnętrznej, przypierający z wszech stron do rozmaitych większych i mniejszych budynków; wewnątrz dość duży, bardzo oryginalny i byłby nawet okazałym, gdyby choć cokolwiek lepiej utrzymany; ale jest brudny a w czasie słońca pełen wody; bo kopuła o którą tyle było zwady, hałasu, not dyplomatycznych, stoi zawsze jak stała, nie chroni od deszczu i upadkiem grozi. Klasztory katolicki, syzmatycki i ormiański są opodal w mieście. Ze złem utrzymaniem kościoła, znalazłem zachowanie się w nim, w jak najściślejszej harmonii; nigdzie mi się publiczność mniej pobożną nie

wydała. Turyści rozpatrują się po nim i rozmawiają gdyby w jakim muzeum, zwykle dla większej jeszcze wygody z fezem na głowie. W pierwszej nawet części kościoła Turcy mają wygodne dywany, kawę piją, palą nargile, widuje się to wprawdzie po meczetach, w kościele jednak razi. Prócz tego mnóstwo żebraków snuje się po kościele naprzykrzając się ciągle o jałmużnę, którą przed kościołem każdy chętnie daje.

Obszedłszy miasto w koło, od góry Sijonu idąc po nad doliną Jozefata, potem górą Oliwną aż znów do bramy Jaffejskiej i zwiedziwszy miejsca święte, postanowiłem udać się do Jordanu i morza Martwego. Tę wycieczkę podług upodobania dwojaki można nadać charakter: wojenny i pokojowy, ostatni zwykle podróżnym więcej dogadza, gdyż mało kto zbliżenie się do Jordanu ostrzem miecza lub utratą bagażów zdobywać pragnie. Weszła przeto w zwyczaj transakcyja między podróżnikami z jednej, a Szeikiem Beduinów z drugiej strony. Ów Szeik posiada niejaki zwierzchnictwo nad plemionami niepokojącemi podróżnych, z nim więc trzeba wchodzić w układy. Za takie *li odporne* przymierze płaci się sto czterdzieści piastrów, czyli 30 franków; cena stała dość umiarkowana. Za to Szeik daje od siebie eskortę, na widok której pierzchają zastępy nieprzyjacielskie, zwykle od dwudziestu do czterdziestu Beduinów liczące. Konsul austriacki od którego wiele grzeczności doświadczyłem, posłał więc aby się ułożyć z Szeikiem, i do jego trzech arabów dodał jeszcze swego kawasa. Tak tedy w sześciu, bo miałem i murzyna z żywnością, puściliśmy się drogą a raczej ścieżką ku Jerycho.

Jechaliśmy ciągle nagiemi górami, zupełnie jak po tamtej stronie Jerozolimy; ani krzaku ani trawki nawet nie widząc; białe góry wśród dnia jasnego raziły nam oczy, a ścieżki coraz się bardziej zwężały. Dopiero zje-

chawszy w dolinę Jordanu ujrzelismy drzewka i niby łąki; a pośród tej doliny Jerycho, dziś wioskę arabską z kilku szałasów złożoną. Widzi się tam kawałek wodociągu i jakąś zapadłą basztę, ale i te ruiny nie zdają się datować od owego Jerycha, które na odgłos trąb runęło. Pod jednym z tych szałasów przenocowawszy, pusciliśmy się na jutro przed świtem ku Jordanowi. Zbliżając się do rzeki, zaczęła moja eskorta rozmawiać z wołającymi na nas Beduinami pasącymi bydło, poczem huze broń dobywać, oglądać, panewki podsypywać itd. Widząc to zapytałem o powód owych przygotowań marsowych.

— Ostrzegają nas, odpowiedzieli, że za Jordanem czatują na nas *zli ludzie*, i wskazali mi górę na której w istocie kilkunastu zbrojnych Beduinów dostrzegłem, ale czy *złych* tego nie wiem.

— Cóż nam oni robią, rzekłem, kiedy Szeik mój dobry przyjaciel i potężny protektor.

— Ależ bo ci co za rzeką od naszego Szeika nie zależą, a nie im łatwiejszego jak wodę w bród przebyć.

Po tej odpowiedzi zajrzałem i ja czy się mój rewolwer łatwo obraca, i czy pistony na wszystkich kominach. Tak więc do małego flankierowania przygotowaniu, wjechaliśmy w wysokie zarośla w pośród których Jordan płynie. Ale tam tylko pasące się muły, bawoły, i wielbłądy zastawszy, stanęliśmy nakoniec przed samą wodą. Rzeczka ta bystra, błotnista, drzewami mocno ocieniona, płynie cicho w zupełnie odludnem ustroniu. Beduini którzy wciąż mieli nas na oku, zeszli do półgóry, i usiłowali z naszymi rozmawiać, ale dla odległości nie można ich było zrozumieć. Po kwadransie wytechnienia wsiedliśmy znów na koni, ciągnąc w kierunku morza Martwego. Półtorej godziny blisko jedzie się piaskami, stanąwszy u brzegu zabraliśmy się do mocno już upragnionego śniadania.

Morze Martwe jest jeziorem wązkim ale dość długim; wyjąwszy doliny Jordanu otoczone ogromnemi górami, które stromo nad niem sterczą; nie się tam nie widzi przez wody i wysokich gołych skał, nawet ptasza nigdzie nie zoczy. Woda przezroczysta jak morska, ale jej smak słono siarczasty, nie do opisania przykry.

Pośliwszy się, ruszyliśmy w góry; słońce dobrze dogrzewało, co przy zupełnym braku wiatru dużo nam utrudniało drapanie się po kamienistych uboczach. Były tam miejsca które swą niedostępnością przechodziły jeszcze sławną drogę z Ramli do Jerozolimy; nie wiem istotnie jak się tam spotkawszy wymijają, ale szczególnie nie przyszło do tej próby, bo ani żywej duszy nie widziałem w tej prawdziwie grobowej okolicy. Koło 3ej po południu wyjechaliśmy nagle na jakiś kawałek gościńca z porządnym murem od strony przepaści, w krótkce potem ukazała się nam jakaś niby cytadella; był to klasztor syzmatycki ś. Saby. Zadzwoniono do bramy, poczem jakiś głos z baszty do moich Arabów się odenwał, a po krótkiej z nimi rozmowie, spuścił się koszyk, w który moje *listy wierzytelne* wrzuciłem. Po chwili dość długiej otworzyła się jedna, potem druga brama, obie grubą żelazną blachą okute; pierwszą wprowadzono nasze konie, drugą wszedłem ja wraz z kawałem, a za nami zaraz, ciężkie bramy napowrót się zawarły.

W klasztorze ś. Saby stawają zwykle podróżni; tam nocują, odpoczywają i jadą dalej. Klasztor ów stoi zbudowany na stromej uboczy olbrzymiego parowu, który z ogromu i wspaniałych warstw skalistych bardzo do rzymskich amfiteatrów podobny. Składa się on z kilku małych pomieszczeń, te w koło kościoła, jak gniazda jaskółcze do skał pouczepiane, wszędzie schodami i mostkami połączone, a wszystko razem opasuje wysoki mur

i strzegą dwie baszty. Nie oryginalniejszego nie widziałem. Przyniesiono nam w krótcie wieczercę, i o koniach pamiętano; nazajutrz zaś otworzono mi kościół i kaplicę którą ś. Saba w skale wykuł i gdzie niezliczoną ilość trupich głów złożył, które po jaskiniach pustelniczych miał pozbierać. Widzi się je za kratą w przypierającej grocie. Takich jaskiń w skalach obok i naprzeciw klasztoru mnóstwo, ale teraz wszystkie puste, gdyż Beduini pustelników rabowali, nawet im Biblii nie zostawiając. Przed rokiem 1840, za rządów Ibraima można było temi krajami wędrować tak bezpiecznie jak u nas; dziś bez broni i osobliwych układów z rabusiami nikt się tam ani pokazać może: Do zakonników nie kazałem się prowadzić, gdyż ci tylko po grecku, po arabsku a niektórzy i po serbsku mówią; poleciłem tylko Igumena pozdrowić i podziękować mu za gościnne przyjęcie, a zostawiwszy sługom klasztornym dobry bakszysz opuściłem klasztor, do którego właśnie dwóch Amerykanów wjeżdżało.

Po trzech godzinach z razu przykrój, a potem coraz lepszej drogi, przyjechaliśmy do Betleem. Klasztor i miasteczko na wysokości górze, zkad jednak nie ma widoku, bo tylko białe góry otaczają zewsząd. Obszedłszy miejsca święte, kościoły i klasztor katolicki, odwiedziwszy gwardyana, ruszyłem do Jerozolimy, dokąd się tylko dobrą godzinę jedzie.

Jerozolima i dla Turków jest miejscem świętym, ztamtąd bowiem Mahomet miał pójść do nieba; w meczecie Omara jest kamień, na którym ostatni odcisk jego stopy pokazują. Meczet ten stoi na murach dawnej świątyni Salomona i jest dla *dziawców* niedostępnym; wszelako w nowszych czasach przełamywano te trudności dla znakomitszych podróżnych, a dziś nawet i mniej dostojni goście tam bywają. Trzeba jednak zawsze jakiś protekcy; tę miałem wprowadzić w konsulu, ale nie było

się do kogo udać, bo wówczas basza odjechał był do Napluzy, dla uśmierzenia jak mówili jakichś *wywołanych* buntów. Nie byłem więc w meczecie Omara, tylko w katakombach, które się pod nim i pod całym placem rozciągają. Tam miały być stajnie Salomona, złoby kamienne widzi się tu i owdzie. Mówił mi później Sulejman basza w Kairze, że tam za rządów Ibraima dwa pułki jazdy pomieścił.

Po dwóch dniach powtórnego mego pobytu opuściłem Jerozolimę i znanymi już ścieżkami zjechałem z gór w zieleniącą się dolinę ku Ramle, ta mi się teraz czarującą wydała przychodzącemu z kraju, gdzie tylko kamienie; nie ma prawie ani ziemi ani wody, a przeto i żadnej zieloności. W Ramle zanocowałem u moich Hiszpanów, którym na gościach nigdy nie zbywa; żyją oni tylko z europejskich jałmużn a przecież podejmują mnóstwo pielgrzymów goszczących u nich po dni kilka, i którym jeszcze nieraz na drogę udzielają wsparcia. Wnoszę, że nawzajem wszyscy majątniejsi podróżnicy, fundusze klasztoru zasilać muszą. We wtorki zatrzymuje się zawsze w Jaffie okręt płynący ze Stambułu do Egiptu, przybyłem więc we wtorek rano, choć z małą nadzieją odpłynienia w dniu tym, bo wiatr już od kilku dni pannał zachodni, czasem nawet dość mocny. Przewidując więc że zanocować wypadnie, udałem się wprost do klasztoru gdzie rozpaczających ośmiu podróżnych zastałem; ci już od tamtego wtorku zamieszkali u OO. Franciszkanów Obserwantów, morze do syta obserwowali, *patrząc na wschód swym zwyczajem*. W tej niepewności co tu dalej począć, czy jaką szalupę najać, czy się łodem puszczać, czy też jeszcze trochę zaczekać, mijał już dzień piąty, kiedy jakiś parowiec stanął przed naszymi oknami. Radość więc wielka, ale radość krótka, bo statek przybywał z Aleksandryi i płynął do Bejrutu; przyznał się nam kapitan, że przed kilku dniami *il avait*

brutę Jaffa, to jest niezatrzymywał się przed Jaffą dla burzy. W tych dwóch przygodach niewiedzieć komu więcej zazdrościć, czy tym co na brzegu siedząc daremnie okrętą wyglądają, czy tym co porwani wiatrem, w dalsze gdzieś strony mimowolnie wędrują, zwłaszcza jeśli ich fundusze nie stoją na wysokości rozrzuconych żywiołów. Takie przygody merskie, zwłaszcza w zimie nie są wcale rzadkie. Po przykrém złudzeniu, gdyśmy na nowo naradzać się zaczęli, ktoś z pomiędzy nas zawołał:

— Oto go widzę, co ten, to niechybnie z Bejrutu przybywa!

Wszyscy do perspektyw; w istocie był to statek gdyby po nas przystany; radość więc największa, w jednej chwili byliśmy już gotowi, i statek jeszcze nie zarsnuł kotwicy, kiedy my wszyscy już w łodziach się usadowiwszy niecierpliwie go czekali.

Te trzydzieści kilka godzin podróży miłe przeszły; pogoda nam sprzyjała, towarzystwo dobre i bardzo znajome, bo w Jaffie mieliśmy czas poznać się najlepiej. Dnia 18go lutego z rana ukazały się niskie piaszczyste brzegi Afryki, a koło 10tej zawinęliśmy do portu.

Aleksandrya, dość duże miasto, ma nierównie więcej europejskiej niż wschodniej cechy; ulice długie, szerokie i proste jak strzelił, w czém Odesę przypominają; położenie zaś smutne, widoków ładnych, cała okolica piaszczysto-moczarowata. W równinie takiej nawet jezioro Mareotis ozdobą być nie może, bo go prawie nie widać. Po ulicach krążą europejskie pojazdy, których już dawno nie widziałem, w tém reminiscencya, i mnóstwo się snuje kawaleryi na osłach, w tém znów dla nas nowość.

Po dwóch dniach odjechałem pociągiem kolei sekanej do Kairu. W pół drogi przeprawia się przez Nil statkami parowymi; na tej przeprawie dużo czasu schodzi,

Nie zawsze się na coś czeka, zawsze się coś patuje, słowem nieprzewidzianych wypadków tam codziennie mnóstwo. Na prawym już brzegu, zastaliśmy w porządnym lokalu dobrą restauracyę, gdzie jeszcze jedną godzinę strawiliśmy, zanim nasze bagaże przeprowadzono i znów upakowano. Prawym brzegiem Nilu, jedzie się jeszcze ze trzy godziny do Kairu. Cała ta przestrzeń od Aleksandryi jest nieprzejezdną równiną, miasteczka i wioski fellahów dość rzadkie; po wsiach widać wiele drzew palmowych, innych nie ma na całej tej drodze; okolica więc monotonna, i gdyby nie nadzwyczajna żyzność pól i łąk, byłaby smutną, ale takich zbóż i takich komerców nie ma nigdzie. Dobrze się już ściemniło, kiedyśmy do Kairu przybyli. Wychodząc z dworca kolei zastaliśmy czekające na nas omnibusy, pojazdy, co już dobrą opinię o szerokości ulic nam dało. O świetle księżycy do miasta wjeżdżając zdawało mi się że jestem w jakim parku; tyle drzew, ulic, szpalerów w tej stronie miasta.

Nazajutrz zacząłem z dragomanem objeżdżać miasto i okolice we wszystkich kierunkach, zawsze na ośiach stósownie do krajowego zwyczaju. Z pomiędzy znanych mi miast na Wschodzie, Kair zdawał mi się być najoryginalniejszym i z wielu miar najprzyjemniejszym. O piramidach, Sfinksie, barażu Nilu, ogrodach w Szubra, skamieniałej górze, Heliopolis itd. wspominać nie będą, Kair i Egipt tyle już i tak dobrze opisywane, koniecznie znanymi nie są?

Odbiwszy wszystkie te wydiszki chciałem jeszcze poznać niektóre matadory egipskie. Odwiedziłem więc ze znajomym oficerem najprzód Sulejmana baszę w starym Kairze. Człowiek już 77 letni, ale bardzo jeszcze oświecony, rozmowny, francuz arabizowany wcalem znacząco. Byliśmy potem u gubernatora miasta Etema baszy, i u syna jego, który jest ministrem oświecenia. Gubernator

człowiek jeszcze nie stary, poważny, grzeczny, rozmawiał z nami dość zrozumiale po francuzku; ale syn jego tak młody, a wszelako już od trzech lat minister, bardzo mi się pociesznym wydał. Mąż ten nowej szkoły, w Paryżu wychowany, na jowialnego *petit maitre* dość mocno zakrawał. Niebył on bez dowcipu i pewnej oryginalności, byłby mi się jako typ w swoim rodzaju może i podobał, gdybym tylko o jego posadzie niewiedział; ale ta wszystko psuła, bo mimowolnie zawsze coś mi powtarzało: oto minister oświecenia i wyznań religijnych!..... Życzyłem sobie także poznać Meneklego baszę. Po śmierci Selima, który zginął przy odpięciu szturmie na szaniec Eupatoryi, dzielny ten żołnierz dowodził jedną z dywizyj egipskich; dziś w niełasce, usunięty od służby przez Wice-króla. Rozmowa z nim szła dość trudno bo za pomocą tłumacza, zresztą zdawał się z wypadkami obecnymi dobrze być obeznanym, i zdrowo bez uprzedzenia o nich sądził. Obok tych cywilizowanych grandów, znajduje się nierównie większą liczbę dużo mniej wykształconych; i tak np. jadąc kiedyś bazarem widziałem dwóch dostojnych baszów w sklepie jakiegoś szewca, swobodnie z nim rozmawiających. W półtorej godziny wracając zastałem baszów ciągle jeszcze w najlepsze z szewcem bawiących się. Nie dziwiło mnie to wcale: ten sam stopień oświaty i jednakowe wychowanie dostatecznie to tłumaczy. Nie potrzeba demokracji w tem szukać, pewno na Wschodzie jej nie znajdzie. W istocie niepojmuję się często jak w drugiej już połowie dziewiętnastego stulecia, mogą być jeszcze kraje w Europie, lub tak jak w Europie, gdzieby ciemnota, niemoralność, barbarzyństwo, do tego jeszcze stopnia, że tak powiem, kwitły. W Egipcie widzi się wprawdzie nierównie więcej cywilizacyi jak w Turcyi, ale tylko w tem znaczeniu, że bogactwa krajowe nie leżą tam tak odłogiem; lecz co do cnót wymienionych,

jedno i to samo gdzie tylko półksiężyc dobroczynnie przyświeca.

Wojsko egipskie ile go widziałem, korzystne na mnie zrobiło wrażenie. Prócz tych niegodziwych fezów, praktycznie ubrane, lud piękny, konie dobre; przy tem arab w ogólności zręczny i śmiały.

Przybywając do Egiptu w zimie, niemożna się nacieszyć miłym klimatem, piękną zielonością pól, cieniem drzew; ale to tylko w zimie, wiedząc że się zostawiło za sobą mrozy i śnieżne zawieje; za to najmilszych naszych pór roku wiosny i jesieni, nie masz tam zupełnie; bywa tylko łagodne lato, i skwarne lato. Drzew tracących liście mało, ciągle więc jednostajność, świeżości żadnej. Całą zmianę stanowi Hamsin, który już w marcu od piramid pociągać zaczyna, i coraz gorętszym się staje. Od solstycjów letnich zwraca się wiatr od północy i powoli powietrze ochładza. W październiku zaczyna Nil wzbierać, a po opadnięciu wód jest jakaś chwila, którą by nazwać można wiosną. Ożywiających naszych deszczów w Egipcie niema, posucha prawie ciągle, zieloność drzew martwa, całą naturę nazwałbym obumarłą, gdyby nie zboża i łąki; ale te, jako hreczkosieja prawdziwie mnie zachwycaly. Pszenice wszędzie takie jak u nas kawalkami czasem po dolach bywają; które ze dwa razy kosimy, a potem puste kłosy zbieramy. Wszelako takiego żyznego kraju tylko dwa szlaki po nad Nilem, gdzie piasków niema, i dokąd wylewy i wszędzie porobione irygacye sięgają.

Nie bawiłem ani trzech tygodni w Kairze, i chętnie bym się tam dłużej był zatrzymał, ale nam oznajmiono, że Anglicy już z Suez sygnalizowani za kilkanaście godzin do Kairu przybędą, trzeba się więc było mieć ku wyjazdowi, gdyż statek z Aleksandryi wprost do Tryestu dwa razy tylko na miesiąc płynący, zostaje w związ-

ku z pocztą indyjską. Niechcąc się zatem jeszcze parę tygodni zatrzymać, wyjechałem z Kairu wraz z Anglikami. Aleksandrya w tych epokach nadawyczą jest otwiona mnóstwem podróżnych; jedni z Bombaju i Kalkuty, drudzy z Malty, Marsylii, Tryestu spotykają i krążą się z sobą. Ruch więc wielki, omnibusy, pojedny krążą na wszystkie strony; osły kłusują na wyścigi; wszystko goni do kolumny, i Igły Kleopatry, na burzę lub też na kaczki ku jeziorowi Mareotis. Żniwo dla ożarzystów najobfitasze; wszystkie hotele i lepsze i podrzędne przepelnione, na teatr biletu ani dostać. Taki zgiełk trwa parę dni, poczem wagony jednych, okręty drugich zabierają, i znów na dwa tygodnie cisza w Aleksandryi zupełna.

Dnia 9go marca czytaliśmy przybite w sali naszego hotelu uwiadomienie, że parowiec *Australia* o siłę czterystu koni odchodzi jutro o 11tej p. p. do Tryestu. Przed oznaczoną więc chwilą znajdowałem się już na pokładzie.

Dla podróżnego który tylko zwiedzanie ma na celu, chwile przyjazdu i wyjazdu są zwykle najpożądanejsze, szczególnie te ostatnie kiedy się powraca z kilkumiesięcznej włóczęgi, po krajach wprawdzie bardzo zajmujących, ale też i w niewygody rozmaitego rodzaju bogatych. Co Kochanowski do zdrowia, Mickiewicz do Litwy powiedział, to pewno podróżujący nie raz do swego domu zastosuje. Kilku nas powracało w domowe progi, przyjemnie więc było wszystkim, gdy znany śpiew majtków przy wyciąganiu kotwicy dał się słyszeć; gdy ostatnie uderzenie dzwonka odprowadzających do członów wyprosiło, i schodki zaciągnięto; gdy sternik stanął przy swem kole, a kapitan z tubą w ręku przechadzał się po wysokim swym mostku. W chwilę potem zaszumiały koła, naprzód pojedynczo i w krótkich przerwach, potem razem i silnie długie dwie smugi piany zostawiając

za sobą. Okręty, nadbrzeżne baterye, nakoniec wieża z latarnią morską, przesuwały się nam wolno, potem co raz prędziej, i wkrótce byliśmy zupełnie sami na wysokiem morzu. Przechadzając się po pokładzie poglądaliśmy jeszcze czas niejaki ku niskim żółtawym afrykańskim brzegom, potem straciwszy z oczu i tę coraz węższą linijkę, każdy zszedł do swęj kabiny, by się na dłuższą podróż, jak można najlepiej urządzić.

ARTUR GOŁUCHOWSKI.

O NAJZNAKOMITSZYCH TEGOCZESNYCH MOWCACH RELIGIJNYCH.

Czy dla objaśnienia czytelnika w przedmiocie niniejszej rozprawy potrzeba było wyrazić o jakich to mowcach religijnych mówić zamierzamy? Czy chociażbyśmy też niniejszy artykuł umieścili nie już w czasopiśmie katolickich zasad, ale nawet w jednym z owych bezbarwnych dzienników, których redaktorowie sami ostatecznie niewiedzą czego chcą, albo wiedzieć niechcą, co by i wiedzieć i chcieć należało,— czy nawet w takim czasopiśmie wypadałoby dodać do powyższego tytułu wyraz: *katolickich*? Tak utrzymujących prosilibyśmy bardzo, aby nam raczyli wymienić *mowców religijnych niekatolickich*. Czy wie kto o mowcach religijnych machometkańskich? Jeżeliby ktoś przytoczył Judaizm, to przynajmniej nie pochrytusowy nie *tegoczesny*, a jeżeli przed Chrystusowy, to będzie toż samo co katolicki, bo wymowa katolicka, to żyjąca wymowa biblijna. Z drugiej

strony spytalibyśmy, czy słyszał kto o mowcach religijnych schyzmatycznych? Grecya, ta kolebka wymowy świeckiej, ojczyzna Demostenesa, Eschinesa, Izokratesa — Grecya, która pod wpływem katolicyzmu wydawała takich mowców jak ś. Jan Złotousty, ś. Bazyli, ś. Grzegorz Naziazeński i ś. Grzegorz Nysseński, której religijna wymowa przez usta ś. Ireneusza dotarła do najdalszych kończyn zachodu — ta Grecya od ośmiu wieków, to jest od chwili swój olbrzymiej apostazy czy wydała choćby jednego religijnego mowcę? Czy niezamilkła jak milczą posągi albo cmentarze? Czy powie kto, że zamilkła pod pięścią tyranii? Ależ katolicyzm najpotężniej w katakombach mówił — a potem, jeżeli Grecya zamilkła struchlawszy na tyle wieków pod zabijającym wejrzeniem Islamu, dla czegoż dzisiaj tak grobowo milczy w świątyniach Aten? Tych Aten, w których niegdyś samo powietrze i kamienie zdawały się mówić — tych Aten tak dzisiaj krzykliwych — Aten konstytucyjnych? Czemu się nieodezwie w okrzyczane imię wolności wszech wyznań?

A protestantyzm czy lepszy, czy szczęśliwy? Kto kiedy czytał o znakomitych religijnych mowcach protestantyzmu? A jeżeli niema znakomitych, któżby mógł do nich odnosić wyrażenie „Najznakomitszych?“ Anglia, po kilku wiekach głuchego milczenia lub czczego gadulstwa w swoich świątyniach zaczyna się odzywać z dziwną świeżością i siłą, ale to przez mężów jak Newman lub Faber, przez mężów, których oddała katolicyzmowi. Protestantyzm zaś tylko pisze i drukuje; pismo i druk to jego najczynniejsze apostoły, rozwoziciele biblij to jedyni jego misyonarze. Wszakże to apostołstwo wiemy jak jest zimne, nieme i martwe, bo tylko *słowo* żyje, mówi, wstrząsa, ożywia, porywa; bo tylko Słowo jest bezpośrednim darem Boga, wyrażeniem całego człowieka, kiedy tymczasem druk jest wynalazkiem człowieka

i wyrażeniem najzimniejszej z potęg ducha. To też do jakichże to czynów tém kaznodziejstwem pisma i druku protestantyzm swoich wyznawców zapala? Katolicki nasz poeta cudnie odpowiada: „Smutno — pusto — nigdzie Boga — ani w sercach, ani w pieśni! Drobné czyny — nudne dzieje; — rozum gasi skra zapalu, człowiek studzi się pomału, jako kruszce: — świat kupceje! Dawne gniazda na skał zrębie, ale pierzchły już jastrzębie: więc o liche miasta, sklepy, czubią się ze ślepym ślepy!“ Bogdan Zaleski — (Przygrywka do nowej poezyi).

Protestantyzm zatem tak dobrze, jak Talmudyzm, Machometyzm i Schyzma milczy a rozpisawszy się strasznie w tém trzechwiekowém milczeniu, zdobył się wreszcie na wymowę śmierci i sam się zabił swém słowem. Protestantyzm już dla tego samego niemógł ani stworzyć wymowy religijnej, ani utrzymać wziętej z katolicyzmu, że jest protestantyzmem. Najwyższym przedmiotem wymowy religijnej jest dogmat, dusza religii, oraz moralność z dogmatu wysnuta i od niego nieoddzielna jako religii objaw. Tymczasem protestantyzm z natury swój jest negacją wszelkiego dogmatu, a moralność protestancka od dogmatu oderwana i od opinii powszechnej lub od usposobienia osobistego zależna, moralność ludzka, filozoficzna, wyrozumowana, może być przedmiotem rozpraw, odczytów, wykładów akademickich, nudnej, abstracyjnej etyki, ale nie przedmiotem wymowy religijnej, bosko-ludzkiej, wymowy uczącej, przekonywującej i nakazującej, czyli jednym słowem, kaznodziejstwa. Prawdziwym kaznodzieją protestanckim jest rozum rozwiedziony z wiarą — każdy zaś pastor mówiący w kościele jest tylko tłumaczem tego rozumu — i to rozumu swojego własnego, lub co największa swój szkoły nie zaś rozumu powszechnego; on mówi jako człowiek do ludzi i w każdym innym przedmiocie mógłby być wymownym tylko nie w przedmiocie religii, tylko nie w sa-

kresie stosunków człowieka do Boga i Boga do człowieka gdzie rozum tak wygląda, jakby wyglądała wyobraźnia w zakresie nauk ściśle rozumowych.

Przeciwnie, w kościele katolickim mówca występuje, jako tłumacz nauki wyższej nad wszelki stworzony rozum, nauki, która zstąpiła z nieba, ażeby ludzkość podniosła do nieba, nauki niewyrozumowanej, ale objawionej, nauki rozwiązującej kwestye dotyczące razem w najwyższy i najpraktyczniejszy sposób stosunków stworzenia do Stwórcy, świata do nieba, czasu do wieczności, ziemskiego stanu człowieka do jego przeznaczeń, czyli jednym słowem nauki rozwiązującej niedocieczoną i zawsze ciemną dla samego rozumu zagadkę naszego bytu i życia. Dla tego mówca religijny katolicki mówiąc w imieniu samego Boga, mniej rozprawia, więcej nakazuje, mocą wyższą zdobywa więcej niż przekonanie bo wiarę, a chwytając swoich słuchaczy za wiarę, razem naucza i do praktycznej reformy życia zniewala. Zład wymowa katolicka zwie się kaznodziejstwem a mówca kaznodzieją; on nierozumuje, lecz każe, a każąc, czyli nakazując, zniewalając w imieniu Boga-Człowieka działa na ludzi razem siłą boską i sposobami ludzkimi. Wszakże formy retoryczne, to najsłabsze sprężyny wymowy kościelnej, w której obok boskiej treści najpotężniej działa miłość, zapal wiary, poświęcenie i ta cudowna moc udzielania się innym, której żadna sztuka naśladować niezdola, a z którą nauka katolicka cała drgająca życiem płynie jakby pełnem, wielkich rzek korytem w serce ludzkości, podczas, gdy bez niej przynajmniej sze na oko filozoficzno religijne systemata są jak potoki gór wziębrane i huczące skutkiem chwilowej burzy a wnet po burzy wyschłe i martwe.

Podobnie jak modlitwa — wymowa religijna jest baskiem użyciem danego człowiekowi słowa. Przez modlitwę człowiek mówi do Boga, przez kaznodziejstwo cało-

wiek jest narzędziem Boga mówiącego do ludzi. Przecież Bóg pierwszy mówi do człowieka — a słowo jego wpadłszy w głąb duszy przez słuch wydobywa świętą iskrę modlitwy, przez którą człowiek odpowiada Bogu. Im lepiej człowiek słucha mówiącego doń Boga, tém doskonalszą, czystsza odpowiada mu modlitwą. W społeczności Żydowskiej kaznodziejstwo wzniosło się do najwyższego stopnia potęgi — dla tego ofiary u Żydów mimo całej posepności, mimo że były tylko figuralne, tak przecie majestatyczne — dla tego modlitwa zda się być podsłuchanym hymnem Serafinów. W społecznościach pogańskich, im się one bardziej oddalały od źródła pierwotnych tradycji, im zupełniejsze milczenie siadło na ustach skamieniałych bóstw — tém potworniejsze formy przybierały ofiary, tem się nędzniejszą stawała modlitwa. U Greków i Rzymian, gdzie Pnyx, Agora, Liceum, Portyk, Akademia i Forum trzęsły się wymową świecką, naukową, polityczną lub sądową, ale gdzie świątynie milczały głucho niby wielkie groby bóstw, ofiary były albo teatralnem jakimś przedstawieniem, albo zbrodniami na wielkie rozmiary a modlitwa raczej bluźnierstwem niż rozmową z niebem.

Wszakże, ażeby kaznodziejstwo, ta boska wymowa wprowadzała człowieka w należyty z niebem stosunek, ażeby z głębi jego duszy wydobywała odpowiedź ofiary i modlitwy, tego objawu życia wewnętrznego, na to potrzeba koniecznie, iżby człowiek poddał swą duszę pod działanie boskiego słowa. Jeżeli społeczność niesłucha, wówczas choćby też najpotężniej brzmiało wśród niej słowo religijne, nietylko, że się niewzniesie, ale owszem coraz smutniej w ciemnie duchowego barbarzyństwa zsuwać się będzie — a zaniechawszy prawdziwego związku z Bogiem, prędzej czy później porozwiewuje wszystkie swe węzły i sama się w końcu rozwiąże. Cóż wymowniejszego jak kaznodziejstwo Proroków? A jednak

przez usta tych samych Proroków Pan Zastępów mówi, iż się brzydzi dusza jego ofiarami krwi i dymów a modlącym się nakazuje milczenie, aby ich niewysłuchało Jego miłosierdzie. Kiedy na puszczy grzmiał Przesłaniec Pański a lud Żydowski cisnąc się tłumnie około jego tajemniczej postaci słuchał ku podziwieniu, ale niesłuchał ku poddaniu dusz swych Panu, wówczas dopełniało się tylko straszliwe rozwiązanie tego narodu już wprzód wewnętrznie rozwiązanego na mnóstwo stronnictw, wedle mnóstwa sprzecznie myślących i rozumujących głów. I wymowne wołanie przebrzmiało na głuchej puszczy, ale słowo nieprzebrzmiało — bo słowo przyszło dla prawdziwej społeczności mającej objąć wszystkie ludy i wszystkie pokolenia, to jest dla Kościoła katolickiego, w którym jest — żyje — mówi i ożywia!

To słowo jest treścią wymowy religijnej — to słowo, wyrzeczone przez usta Przedwiecznego Słowa, naraz dało się słyszeć w Jeruzalem, w Antyochii, w Koryncie, w Efezie, w Aleksandryi i w Rzymie, — a niczem niepowstrzymane w swém biegu, przeszło z jednej strony Eufrat, z drugiej Dunaj i pochwyliło twarde, dzikie serca barbarzyńców Galii, Germanii i Scytów. Areopag Grecki zdziwiony potęgą tego słowa spływającego jakby ogniem z ust Apostoła, i jak cudowne nasienie tworzącego nowych ludzi zapytuje: *Czegoż chce od nas ten słowosiejca?* A tem zapytaniem wyznaje jego wyższość nad słowa swych uczonych filozofów i retorów, którzy podniosłszy sztukę mówienia do wysokiego stopnia umieli korzystać z ludzkich namiętności, ale nieprzeczuwali nawet, aby słowo mogło być nasieniem cnoty i życia.

Rzym — dumny wymową swojego Forum, acz w owych czasach już bardzo spodłona, dowiaduje się z podziwieniem, obawą i wzdargą o nowym jakimś przybyśzu. Dwaj nieznani, ubodzy ludzie przynoszą słowo, które

się wnet rozbrzmiewa po wielkiej stolicy świata, i w obec którego błednieje potęga forum. Obydwóch w loch Mamertyński wtrącono — ale ztamtąd jeszcze głośniej i wymowniej do całego świata mówią — więc wywleczono obydwóch i obydwu krew przelano — ale krew niewinnie przelana, to słowo w najwyższej potędze. — Żywi mówili, umarli krzyżować poczęli. Cezar zawołał „męczeństwo!“ i chciał niem zdusić boską wymowę w piersiach apostoelskich — a męczeństwo odpowiedziało najwymowniejazém apostołstwem, a męczeństwo zwyciężyło i Rzym i Cezara.

Tak rozpoczęła wymowa religijna. — A potem jakże bosko spełnia swoje posłannictwo przez usta tych świętych mowców których zowiemy Ojcami kościoła! Wolna od ciasnych a zimnych przepisów świeckiej retoryki, daleka od tego pedantyzmu jakim tchną najpiękniejsze dzieła starożytnej wymowy Grecyi lub Rzymu: mając zawsze na celu tylko interes Chrystyanizmu z Katakumb i z rusztowania przeszła do wspaniałych świątyń, zasiadła na tronach biskupich a w tym samym czasie była głosem wołającego do ludów wschodu i południa, do barbarzyńców zachodu i północy. Niemając nic wspólnego z pojęciami i formami pogaństwa przewyższyła je wspaniałością swoich pojęć, majestatem wysłowienia i potęgą przekonywania tak, jak ta boska religia której ona była wyrażeniem, przewyższała poganizm, tak jak sprawa wieczności przewyższała sprawy ziemskie — jak górowały niebiosa nad ziemią, jak Bóg nieskończonością swoją góruje nad skończonością. Tak wzniosła, tak dzielna była w pierwszych sześciu wiekach u Greków na ustach Orygenesza, ś. Atanazego, ś. Cyrylla, ś. Epifaniasza, dwóch śś. Grzegorzów, ś. Jana Chryzostoma, a u Łacinników na ustach śś. Ambrożego, Augustyna, Maxyma, Fulgencjusza, Leona, Piotra Chryzologa i Grzegorza wielkiego, który sobie stworzył nie tylko no-

wy styl, ale nawet język dziwnie świeży, jasny i silny w wykładzie najgłębszych tajemnic Chrystyanizmu i obowiązków religijnych. Wszakże nie zamilkła z Ojcami, ale i później brzmiała w kościele i wywierała swe ogromne wpływy przez usta takich mężów jak S. Ildelfons, Beda, ś. Jan Damasczeński, ś. Jan Damian, Ivo Carnotensis, ś. Bernard, Ryszard od ś. Wiktora, Innocenty III, Antoni Padewski oraz śś. Dominik, Tomasz z Akwinu, Bonawentura, Wincenty Fereziusz, Bernardyn Seneński, Eneaszy Sylwiusz (później Pius II.) ś. Wawrzyniec Justynianin i wielu innych. Wszyscy ci mężowie równie wiele głęboką nauką, jak żarliwością i poświęceniem, wytwarzali coraz nowsze formy mówienia, ale zawsze z świętą powagą Chrystyanizmu zgodne, zawsze szczęśliwie do czasu i ludzi zastosowane, zawsze dalekie od naśladowania klasyków starego Rzymu lub Grecji, których zbyt częste zamykanie łatwą być mogło pokusą do poświęcenia ducha Chrystusowego na rzecz form pogańskich. Ale czego się oni właśnie obawiali. to prędko przyszło, kiedy szumne retory XVI wieku, ludzie na wzór Erazma, noszący w ostyglém i zepsutém sercu, chętki i zamiary pseudoreformacyi, poczęli mówić do ludu Chrystusowego językiem mowców pogańskich; kiedy naukę o Bogu, o Jezusie Chrystusie, o duszy, o obowiązkach chrześcijańskiego życia zaczęli ubierać w formy zapożyczone u Cycerona lub Demostenesa; kiedy nareszcie zapomniawszy że najpiękniejszym wdziękiem wymowy religijnej jest prostota i miłość boska w każdym słowie tchnąca, poczęli swe kazania oprawiać w ramki przepisów Arystotelesa lub Tuliusza, krajać zimno na części, przybierać w napuszyste figury a tym sposobem niweczyć cały wpływ boskiego słowa.

Tak zwana epoka Odrodzenia (*de la Renaissance*), a właściwie mówiąc epoka wsteczności, epoka zamykająca ducha w grobie form będących nędznym naśladowa-

niem sztuki pogańskiej zrobiła wielką krzywdę wymowie kościelnej. Nie brakło i podówczas na mowcach katolickich — ale w ogóle jak w każdej gałęzi sztuk tak i w wymowie całą uwagę zwrócono na kształty a o głównym celu mało gdzie pamiętano. Polska w tym grzechu nie wzięła podówczas żadnego udziału, polski też kościół jaśniał wielkimi mowcami; Skarga przypominał w licznych swych kazaniach najwymowniejszych Ojców, a w samych nawet mowach sejmowych, gdzie się religia wiąże z polityką, wystąpił z całą potęgą starych proroków i z całą ewangeliczną prostotą. Obok Skargi widzimy takie postacie jak Wujka, w którego homiliach przeglądają się razem jak w czystym zwierciadle i bystrość ś. Augustyna i głębokość ś. Hieronima i ścisłość ś. Tomasza — a z Wujkiem wielkiego Hozyusza którego mądrość i wymowę podziwiali najznakomitsi mężowie kościoła, oraz Białobrzeskiego, Wereszczyńskiego i Birkowskiego. Ten ostatni przecież obok wielkiej siły nosi już cechę swojego wieku i nieraz swą napuszystością razi. Duch pogaństwa wionął i na Polskę z otwartego sarkofagu, ale to o wiele później i daleko słabiej niż gdziekolwiek indziej, niedotknawszy bowiem pojęć, to najwięcej zepsuł, ku podniesieniu czego głównie był wyrachowany, to jest formy, które w naszych kaznodziejach z XVII stulecia nie tyle gorszą, ile razią i śmieszą.

Formy klasyczne nie przystawały jednak do takiej treści jak dogmat, a kiedy się jeszcze obrońcy katolicyzmu umordowali dogmatyczną polemiką w ciągłych zapasach z reformą, kaznodziejstwo zaczęło zchodzić na grunt samej moralności. Wielu z poważnych nawet utrzymywało, iż kaznodzieja nie tyle winien zwracać uwagi na tajemnice wiary, które są raczej przedmiotem katechetyki, ile na moralność i na jej obowiązki nie dosyć znane a przeto i nie dosyć należycie wypełnione.

„Nie apologii nam trzeba, wołano, nie głębokich wykładów tego co mamy wierzyć, ale dokładnego przedstawienia tego, co mamy czynić. Kaznodzieja nie tyle „ma działać na rozum i na wiarę, ile na namiętności ku „nadaniu im należytego kierunku, na serce, ku jego „uszlachetnieniu, na wolę ku poddaniu jęj pod przepisy „boskie. Wykazywać przez dowodzenie lub wnioskowanie, jako z dogmatu wypływa cała praktyka życia „chrześcijańskiego, wszystkie obowiązki moralności, to „stara metoda raczej bawiąca niż nauczająca, to raczej „gimnastyka filozoficzno-teologiczna, niżeli nauka mająca „wpływać na poprawę życia i nawrócenie świata“. Tak mówili postępowi, zapominali jednak, że to, co przeżywali *starą metodą*, było metodą ewangeliczną i apostołską; że sam Chrystus zawsze w swoich kazaniach łączył naukę moralności z nauką dogmatu; że gdy powstawał przeciw występkom, jednocześnie walczył przeciw błędom; że kiedy wskazywał drogę cnoty, tą drogą mienił sam siebie jako prawdę wszystkich prawd, ognisko wszystkiego objawienia; że nakoniec wszystkie swoje nakazy i rady podawał uczniom jakhy w boskiem naczyniu świętych tajemnic swęj wiary. —

Zapominali dalej, że apostołowie w tenże sam sposób kazać nawrócili świat pogański; że ś. Paweł ten pierwszy tłumacz Ewangelii, pierwszy kaznodzieja chrześcijańskiego świata nigdy obowiązków nie oddzielał od wiary; że jego listy, te monumentalne i nieśmiertelne kazania, całą moralność oraz jęj siłę i wzniosłość czerpały z boskiej teologii chrześcijańskiego dogmatu. Zapominali jeszcze, że prawie wszyscy śś. Ojcowie w kazaniach swoich zawsze mieli na oku Jezusa Chrystusa jako źródło wszystkich tajemnic wiary i od niego zawsze słowo swoje zaczynali; że każda ich mowa, każda homilia, była wykładem jakiegoś artykułu wiary, z którego dopiero jako następstwa z zasady wywodzili

obowiązki moralności,¹⁾ — a nadewszystko zapominali, że przenosząc kaznodziejstwo na grunt samej moralności postępowali w duchu luteranizmu, który uznawszy jedynym dogmatem rozum, tem samem wszystkie artykuły wiary poddał w wątpliwość a samą ewangeliczną moralność uczynił treścią swojego wyznania, więc też i jedynie możebnym przedmiotem swego kaznodziejstwa. —

Ta jednak nowa metoda wylęła z protestantyzmu chwytała się tylko głów słabszych i serc zimniejszych. Przeciwnie, wszyscy wyżej myślący i żarliwie w sprawie katolicyzmu występujący, trzymali się drogi wskazanej przez Mistrza a ubitę przez swych poprzedników. Oni to czuli, że co u protestantów było logicznem następstwem, to u katolików byłoby i niedorzecznością i zgorszeniem; że człowiek sam przez się posiadający zbyt słabe pojęcia religijne a zawsze ze stanowiska namietności wnioskujący o swych obowiązkach, potrzebuje być wzniesionym do wysokości swych pojęć nie swoją, ale boską siłą, to jest objawieniem; że aby człowiek moralnem życiem mógł w sobie wielbić Boga, na to potrzeba serce jego wynieść siłą wiary z nizin skażonej natury do wysokości nadnaturalnej według tego boskiego zdania Dawida: *Accedet homo ad cor altum, et exaltabitur Deus* ¹⁾; że nakoniec usta kapłańskie nie ku czemu poświęcone mowom, jak się wyraża ś. Bernard „nie ku prawieniu ludzkich rzeczy ludzkimi sposobami, „ale ku strzeżeniu boskiej umiejętności i ku wykładaniu „moralności zakonnej, jako usta Anioła Pana Zastępów“ nie zaś jako usta świeckiego retora — więc w duchu tego posłannictwa mówiąc, nie tylko, że kaznodziejstwo od zepsucia przez wpływ poganizmu ratowali, ale je owszem w całej świeżości i sile swym następcom prze-

¹⁾ Ps. LXIII, 8.

kazali. Tak pojmowali wymowę kościelną w wieku XVIym Piotr Caraffa (później Papież Paweł IV.), Ludwik z Grenady, ś. Jan od Krzyża, ś. Andrzej z Avelinu, Salmeron, Kaniziusz, Bellarmin, że już nie powtórzę naszych, wyżej wzmiankowanych, z których Skarga niezawodnie wszystkich spózoesnych przewyższył a z Bellarminem stanął na równi. Tak też pojmowali kaznodziejstwo i tak mówili w wieku XVII. ś. Franciszek Salezy, ś. Wincenty à Paulo, Pinamonti, Bartoli, Bossuet, Bourdalou, Massillon i Fenelon, z których czterej ostatni tem właśnie do niesłychanej wznieśli się potęgi, że się najdoskonalej przejęli dogmatyczną stroną Chrześciancezmu i najwierniej poszli drogą wskazaną przez Ojców.

Wiek XVIII pod względem wymowy kościelnej może najsmutniejszy przedstawia nam widok. Zdaje się jakby epoka Bossuetowska była chwilą wielkiego przesilenia po której głuche nastalo milerzenie. W kościołach ledwie gdzie nie gdzie wykładano Ewangelią i to słabo a czasem gorzej jak słabo. Czeze gadulstwo weszło w zwyczaj a niezgrabnym dowcipem chciano zapelnąć straszliwy brak ducha. Bez myśli, bez celu wyrrywano z Ewangelii pierwsze lepsze zdanie i kładziono na czele nędznych rozpraw, które z onym textem tyle miały związku, ile miały odniesienia i zastosowania do życia. W kazaniach była mowa o wszystkim, tylko o tem najmniej, coby miało być ich treścią. W samym Rzymie olbrzymia postać Benedykta XIV rysowała się na widnokregu dziejowym jak wielka lecz samotna góra. We Francyi Ludwik XV niedołęztwem swoim przygotowywał straszną katastrofę i pieścił ludzi spiskujących przeciw Chrystusowi. Europa albo goniła resztkami wiary, usypiając snem zgrzybiałych; albo się karmiła ogryzkami protestantyzmu miotając się przeciw kościołowi z zuchwalstwem najgorszych dzieci, albo zasuwała się

w przepaść ostatecznych następstw reformy grożąc niebu z pychą lucyfera. Bóg chciał ukarać świat *rozmyślający przeciw niemu próżne rzeczy* i dopuścił straszne milczenie, aby się *do złośników odezwał w gniewie swoim; aby je potruwił w zapalczywości swojej a jako naczyńie garncarskie pokruszył* ²⁾).

Grom wypadł, a zgraja ludzi żadnym węzłem bożym niespojona zachwiała się i potoczyła połową jako pijana a połową jako trup. Pijanych któż otrzeźwi? Trupy kto ożywi? Wielu rozmaicie próbowało i wszystko napróżno. Pan wyrzekł do Oblubienicy swój: *Żądam odemnie i dam ci pogany dziedzictwo twoje i osiadłość twą kraje ziemi* ³⁾. Kościół w odpowiedzi wzniósł ku niebu błagalne modły a na usta sług swoich położył tę samą moc, którą przed ośmnastu wiekami podniósł obumarłą ludzkość. Ta moc cudowna, to moc kaznodziejstwa. Jednocześnie na różnych punktach katolickiej Europy słowo Pańskie zasiadłszy w dawnym majestacie na swych świętych tronach, każe na wszystkie strony świata, jak kazało przez usta Grzegorzów, Bernardów i Bossuetów. Katolickie świątynie we Francyi, Włoszech, Niemczech a nawet w Anglii już niezdolają objąć wzrastającego tłumu słuchaczy — więc budują nowe — kończą rozpoczęte przed kilku wiekami, a tymczasem w braku świątyń kaznodzieje misyjni grzmia pod gołym niebem! Kościół w uniesieniu świętej radości odzywa się do swych działek, jak się już dawne nieodzywał wieki — ludzkość zmierza do jakiejś szczęśliwej epoki! Prowadź Boże! My tymczasem przypatrzmy się bliżej czterem postaciom górującym z pośrodku mężów, których wymową i żarliwością w tej wielkiej restauracyi posługuje się niebo, a których mieliśmy na myśli kładąc na czele niniejsze-

²⁾ Ps. II, 1, 5.

³⁾ Ps. II, 8.

go słowa tytuł: O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych.

Tymi czterema są: Lacordaire, Ravignan, Ventura i Newman.

I.

Jan Chrzciciel Henryk Lacordaire, urodzony w r. 1802, już w piątym roku swojego życia objawiał nadzwyczajną żywość umysłu i serca. Kochany i niemal ubóstwiany przez matkę obudzał w niej dręczące obawy zawsze z powodu tej samej żywości, która czasami przechodziła w rażącą gwałtowność. W tych obawach pocieszał ją przecie dziewiczą prawdziwie czułością serca, otwartością i skwapliwością w uznawaniu popełnionych błędów. Kiedy ją widział smutną, a tém bardziej kiedy ją widział płaczącą, natychmiast żal swój z rozrzewniającą tkliwością objawiał — u nóg jej przebaczenia błagał — i w całej swojej drobnej postaci zdawał się być uosobioną skrucą.

Ale po skończonych sześciu latach naturalna ta żywość coraz widoczniej poczęła się zmieniać i przybierała coraz szlachetniejsze formy, coraz lepszy kierunek. Młody Henryk im jaśniej do koła siebie spoglądał, tém więcej wchodził w głąb samego siebie — skupiał wewnątrz wszystkie siły i pierwsze z samym sobą walki nie jak młodzieniec, ale jako mąż dojrzały staczał. Wówczas największą jego namiętnością było czytanie. Zarzucony mnóstwem książek szedł posłusznie za wyborem matki niewiasty rozumnej, pobożnej i w miłości Bożej pojmującej świętość swego obowiązku. Pod tym kierunkiem przeczytał wiele wybornych dzieł, a przeczytał dobrze, gruntownie z wielkim owocem nie tylko pod względem rozwinięcia umysłowego, ale też i pod względem uświęcenia duszy.

To pierwsze rozwinięcie umysłowe z latami postępo-

wało bez przerwy jakkolwiek w różnym kierunku i z rozmaitym wpływem — co zaś do uświęcenia młodzieńczej duszy, to prędko się starło, musiało być jednak głęboko zakorzenione, kiedy ta dusza w chwilach najlepszego powodzenia w świecie i najpiękniejszych nadziei tak się znowu gwałtownie, szlachetnie, bezwarunkowo rzuciła w objęcia Zbawcy.

Takim jest zawsze wpływ chrześcijańskiej matki jako wpływ najświętszej i najpotężniejszej ze wszystkich ludzkich miłości.

Wczas oddany do szkół publicznych w Dijon, zmieniwszy bezpieczne dotąd życie i wychowanie domowe, na życie i wychowanie kollegialne, studenckie, niezadługo stał się podziwem i nauczycieli i współuczniów. W naukach robił niesłychane postępy — z genialnością jednoczył najzaciętszą pracę — po nad wszystkich górował umysłem, ale wśród tych postępów wyniesiona z domu pobożność stygła, wiara chwiejąca się z razu z czasem zupełnie zwietrzała. Czy to skutkiem obcowania z towarzyszami już zepsutymi? Zapewnie — ale najwięcej skutkiem szatańskich dążeń nauczycielstwa szkolnego, które w ścisłej zależności od Uniwersytetu było bezbożne, pogańskie i materyalne.

W roku 1821 — a zatem w roku 19 swego życia już jako skończony prawnik przybył do Paryża i przedstawił się znakomitemu podówczas adwokatowi królewskiemu p. Guillemin. P. Riambourg, prezydent izby w Dijon polecał go z troskliwością ojca; wszakże pisząc o wielkich zaletach pod względem zdolności i serca, nie zapomniiał dodać z pewnym przyciskiem, iż młody Lacordaire będąc nadzwyczaj żywym i nieujętej wyobraźni, potrzebuje troskliwego i wytrawnego kierunku.

Nie trzeba było zbyt długiego czasu, aby p. Guillemin mógł się być dostatecznie przekonać o ścisłej rzeczywistości tej rekomendacji, a ciesząc się wielkimi zdolno-

ściami powierzonego sobie młodzieńca, ukochawązy zalecającego się surową moralnością i szlachetnym sposobem myślenia, nieraz spostrzegał i wyznawał, że gwałtowny prąd wyobraźni i ekstrawagancje genialności żadnym się kierunkiem schwytać ani ujarzmić nie dały.

W rok potem pan Guillemin mianowany został adwokatem sądu kassacyjnego, a Lacordaire przez ośmnaście miesięcy był jego niezmordowanym współpracownikiem. Stanowisko adwokata sądu kassacyjnego, jest jedno z najwyższych stanowisk w Paryżu. P. Guillemin wywierał się bardzo zaszczytnie — ale wyznawał często, że w najtrudniejszych czynnościach Lacordaire był jego prawą ręką. Kilka razy wystąpił sam jako adwokat w obec sądów zwyczajnych — blaskiem i potęgą słowa byłby zgniótł nawet takiego przeciwnika jak Tripier, gdyby opinia zazdrosnej Rady nie głuszyła tego słowa. Jakiś czas nawet mówiono o zapoznaniu go przed tak zwaną *Chambre de discipline* jako mówiącego przeciw świętym rozporządzeniom królewskim. Wiadomość ta nie tylko, że niezasmuciła młodego adwokata, ale owszem rozpromieniła jego oblicze: „Jakażby to była dla mnie „piękna sposobność — rzekł do jednego z przyjaciół — „stanąć przed sądem Rady karniej, dopierożbym mógł „wystąpić, jak jeszcze nie występowałem nigdy“.

Inną razą napisał w liście do kogoś z krewnych: „Dzisiaj rano broniłem sprawy, którą w głębi sumienia „żywo potępiałem. Nie bierz mi tego za złe, zrobiłem „prawdziwie *experimentum in anima tui*, chcąc doświadczyć, czy będę miał dosyć odwagi i głos dosyć silny. „Po tém doświadczeniu mogę cię zapewnić, żebym się „nawet w obec samego rzymskiego Senatu nieuląkł“.

Powodzenie w samą rzecz było kompletne — najzawistniejsi uciekli — najpoważniejsi słuszość oddawali. Z bióra p. Guillemin przeszedł do gabinetu p. Mourre generalnego prokuratora sądu kassacyjnego, choć w do-

mu pierwszego jako syn pozostał. Taka znakomitość jak p. Berryer zaszczytał go swoją przychylnością, robił mu nadzieje pięknej przyszłości — znakomitego w sądach stanowiska.

Wszakże w tych samych prawie czasach wewnętrzny jakiś i niewytłumaczony smutek począł go coraz to częściej chwycić za serce. „Myśl moja, pisze w jednym z swych listów, myśl moja już się postarzała. Oh stara — starsza niżli wam się zdaje. Coraz mniej czuję przywiązania do tego rodzaju życia, wyznaję, że mnie zużywa moja wyobraźnia. Najadłem się już wszystkiego, ale nie dobrze nie zgłębił. O gdybyś wiedział jak mi jest smutno! Ale mnie proszę nie żałuj, bo ja kochocham smutek mój, bo smutkiem więcej i lepiej żyję, niżlibym żył swobodą. Wszyscy mi mówią o sławie autorskiej, o wielkości do jakiej dojść mogę w zawodzie publicznym. Ja sam wielką żądzą pragnąłem podobnej sławy! Ale teraz lituję się nad tymi, którzy o niej marzą, którzy za tém widmem gonią. Dla siebie jednej tylko pragnąłbym rzeczy. Żyć sobie cichutko wśród domowego ogniska bez żadnej pretensyi!”

Takiéj walki było z pół roku.

Aż jednego razu, było to w Maju r. 1824, wchodzi do bióra p. Guillemin i gdy pomieszany, prawie ze łzami w oczach uściskawszy starego swego przyjaciela nie mógł znaleźć słowa, aby mu objawić zamiar swego serca — zacny adwokat tuląc go do swojej piersi zapytał:

— Co ci jest! — co ci się stało?

— Mam o ważnej rzeczy pomówić. Jedném słowem, zmuszony jestem rozłączyć się z tobą.

— Dla czegoż znowu? Alboż nam nie dobrze tak razem.

— Zapewnie, gdyby mi dobrze mogło być na świecie, dla nikogo nie opuściłbym pana — ale go opuszczam dla kogoś z innego świata.

— Nie rozumiem cię mój przyjacielu... Mów wyraźniej — O cóż idzie?

— O to, żebym przestał być czém jestem i abym był czém być powinienem.

— Ależ jesteś właśnie czém być winienesz...

— Nie — bo ja muszę zostać księdzem.

— Księdzem? A to znowu co?

— To rzecz zdecydowana. Postanowiłem bezzwłocznie wejść do Seminarium.

— Jednakże niedawno kiedym ci napomknął o potrzebie jakiejś dyrekcyi.....

— Odpowiedziałem, iż aby przyjąć dyrekcyą duchowną trzeba wierzyć i chcieć życia duchownego — a ja wtenczas anim wierzył — anim chciał...

— Wszakże to nie było tak dawno.... zaledwie temu sześć miesięcy.

— Oh właśnie te sześć miesięcy — to wielka epoka stanowiąca o całą moją przyszłość... Przez ten krótki przeciąg czasu cierpiałem okropnie! Mogę powiedzieć, że skosztowałem strasznych mук wieczności. Bóg przecie zlitować się raczył i duszy mojej błakającej się wśród ciemności a stojącej na samym brzegu rozpaczyl dał tak wielkie światło — że poznałem wszystko — bom uwierzył!..

— Mój przyjacielu — to dobrze — bardzo dobrze — ależ tu jeszcze nie widzę konieczności zerwania stosunków jakie cię wiążą z tym światem i wejścia w świat zupełnego poświęcenia.

— Tę konieczność czuję dzisiaj tak gwałtownie, że wszystkie moje nadzieje, całe moje szczęście widzę tylko w jej rychłym spełnieniu. Wczoraj jeszcze, obok strasznych cierpień zwątpienia krążyły po mojej głowie widma wielkości światowej i nadzieje sławy — dzisiaj widma znikły już zupełnie a nadzieje podniosły mnie nad wszystkie widoki świata — dzisiaj nie pragnę już niczego

więcej jak pracować w cichości i zapomnieniu. Nie wiem jak się to stało — ale czego moja dusza tak silnie zapragnęła, to mi się wszystko jak najżywiej, jak najpiękniej przedstawiło w stanie duchownym. Powiedziałem sobie natychmiast: Więc będę duchownym! I od tej chwili już jestem spokojny a nawet szczęśliwy choć tylko szczęściem nadziei.

P. Guillemin próbował wszelkich sposobów, aby przynajmniej odwlec spełnienie tego zamiaru — radził na jakiś czas wyjechać z Paryża gdzieś na prowincję — to znowu podróż do Ameryki — ale w końcu przekonał się że wszystko na próżno.

— Cóż sądzisz, mówił Lacordaire, mógłbym znaleźć w Ameryce? Jaka podróż mogłaby zagładzić to, co duch mój znalazł i pozyskał wzniosłszy się po nad wszystkie światy?

— A gdybyś wrócił na jakiś czas do Dijon — do Matki której tak dawno nie widziałeś, a która tak cię takliwie kocha?

— Do Matki!.. Oh prawda — jej serce zawsze toż samo — ale czyż dla tego to drogie serce godziłoby się rozdzierać? Moja Matka kocha mnie nad wszelkie wyrażenie — ona dla mnie wymarzyła szczęście i tym marzeniem żyje, tym marzeniem jest szczęśliwa! Ona niezdola mnie pojąć — uwierzyć! Ona weźmie za skutek jakiegoś straszego zawodu.. za owoc rozpacz — to właśnie co jest we mnie skutkiem przejrzenia, owocem z nieba danéj mi nadziei! Z resztą moja Matka jest ubogą wdową — poświęciwszy resztę szczupłego swego majątku na dokończenie mego wychowania, będzie się dążyć, że mi nie może dopomóc i to właśnie teraz, kiedy się miała cieszyć owocem swoich poświęceń. — Wiadomo Panu, że trzy lata pobytu w Seminarjum o własnym koszcie będą wymagać dość znacznej kwoty. I po cóż tym wszystkiém miałbym dążyć jej sercu?

Daleko będzie lepiej uwzględnić ją w ten sposób; gdy już przywrócić ją sukienkę.

Stary — poczerwiał — szlachetny przyjaciel nie widząc już żadnej rady i mniej więcej przekonany, że postanowienie jakkolwiek prędkie i niespodziane, było już nie do zachwiania, uściślał ze łzami swego wychowanka i prosił, aby zechciał przyjąć jego usługi w celu przygotowania funduszu potrzebnego na wstęp i pobyt w Seminarjum.

W kilka dni potem, to jest 12 maja 1824 r. w dzień urodzin a w pierwszy dzień dwudziestego trzeciego roku życia, Henryk Lacordaire wszedł do Seminarjum *Saint Sulpice* jako audytor teologii — i niezapadło napisał ztamtąd do F. Guillemina:

„Stało się już czego zapragnęła tak gwałtownie dusza moja. O! gdybyś mógł widzieć jak w mojem odosobnieniu czuję się coraz szczęśliwszym! Czy wiesz co tu porabiam? Modlę się i rozmyślam — czytuję i znowu modlę się rozmyślam. Do moich dawnych najmilszych zajęć przybyła mi tylko modlitwa — ale gdyby nie to *tylko*, dusza moja zbryzdalałaby sobie i to, co się jej najmilszem zdawało i zwiędłaby do reszty w pośród badań i rozmyślań. To mnie najszczęśliwszym czyni; że się coraz więcej przekonuję, iż jak po za chrystyanizmem w rozumieniu katolickiego kościoła nie ma prawdy; tak znowu w chrystyanizmie ta prawda w boskiej prawdzie wie pełność istnieje. Wszystkie trudności w obec których filozofia wyznaje swą niemoc, chrystyanizm zwycięsko rozwija... Teraz czytam Pascala... Myśl moja ten lepiej mętnieje, dojrzewa, im mniej mam potrzeby wywnosić z siebie i wyczerpywać, im więcej mogę się skupić i w tem skupieniu pracować. Duch mój jest teraz jakoby ziemią odpoczywającą i w tym spoczynku ~~rozrasta się~~ rośnie niebies.... Często sobie przypominam, jak się ~~całkiem~~ wszyscy i niedowierzali memu gwałto-

wnemu przerzuceniu się na stanowisko religijne, jak znajdowali niedorzeczném i nie do pojęcia, abym rzeczywiście drogą idei politycznych mógł trafić do idei religijnych. Teraz niechciałbym rozprawiać o ile to jest rzeczą prostą, naturalną i słuszną. Twierdzę jednak z głębokiem przekonaniem, że do chrystyanizmu każda uczciwa droga doprowadza, bo chrystyanizm jest ogniskiem wszystkich prawd“.

W innym liście dziwiąc się tym którzy postępowanie jego nazywali głupstwem i tym, którzy go oplakiwali jako straconego, tak się wyraża:

„Pewnego wieczora stanawszy w oknie mej celki długo patrzałem w wypogodzone niebo. Księżyc świecił jasno — srebrne jego światło mieszając się z światłem zachodzącego słońca tworzyło uderzający efekt — wszakże żrenica wyteżona czegoś słodszeo, spokojniejszego szukała i znalazła wreszcie. Była to jedna, jedyna gwiazdka zaledwie poczynająca mrugać słabem światłem w niewysłowionej głębinie błękitu. Niewiem dla czego, przyszła mi zaraz myśl porównywająca z ową małą gwiazdeczką to nasze ciche, głęboko-ciche schronienie, a małuczkosć i ubóstwo naszej ziemi z niezmiernością tego sklepienia.... I czyż można nazwać głupstwem, że dusz kilka na tym zaledwie dojrzanym punkciku wielbi Boga, twórcę tych cudów — tych niepojętych ogromów? Czyż się godzi, aby ludzie uważali tego z swych braci straconym, umarłym, który się cały pragnie poświęcić dla uczczenia źródła życia!.... I nie mogłem lez moich powstrzymać i rzewnie płakałem nad tymi biednymi, którzy nieumieją choćby tylko nieco wyżej, nieco głębiej ponad niskosć swoją spojrzeć — i patrząc przyjść do jakiejś szlachetniejszej myśli. W czas niejaki potem, jakby na dowód że się nie omylił w swoim powołaniu i że nowe to życie coraz mu lepiej przypadało do serca tak o sobie pisze:

„Jednym z najmiłszych wdzięków życia seminaryjskiego jest to, że mnie na nowo wprowadza w stan pierwszej młodości. Jestem teraz jak byłem w owym wieku, kiedy dziecko staje się młodzieńcem a młodzieńiec jest jeszcze jakby na pół dzieckiem, kiedy przeświadczenie wyższych sił moralnych jeszcze się miesza z upodobaniami dziecinnego wieku. W szkole jest się jeszcze zbyt dziecinnym i niezdolnym do oceniania i życia i ludzi; w szkole i w kolegium jeszcze się nie ma wyobrażenia rzeczywistych stosunków pomiędzy ludźmi a ludźmi, ani pojęcia prawdziwej przyjaźni mogącej tylko istnieć pomiędzy duszą a duszą. Bo tam dusze zaledwie się czują, bo tam pojęcia zbyt jeszcze lotne — przechodnie. Następnie, kiedy z kolegium wejdzie się w świat, sposobność zawarcia związków i zacnych i stałych zamiast łatwiejszą z wielu powodów raczej się utrudnia. Bo na świecie już ludzie jakkolwiek młodzi nie żyją w takim zbliżeniu, w jakim się żyje w kolegium; bo interes miłości własnej łatwo się wślizga w najczystsze z pozoru stosunki, bo z resztą i serce nie jest tak wolne, swobodne wśród gwaru przeróżnych stosunków społecznych. Ale tak jak tutaj — to zupełnie co innego. Bo proszę sobie wystawić stu czterdziestu młodych ludzi, którzy razem żyją w tym samym żywiole, wśród tych samych zajęć, których serca jedna wiąże myśl, jedna nadzieja, jedno pragnienie; którzy się stykają wszystkimi stronami swych serc i są niby wybranymi i w ciche a święte ustronie przeniesionemi kwiatami! Tu nas jednoczy wszystko — tu nas wszystko przyjaciółmi czyni!“

Pomimo tego nie zbywało i na przeciwnościach — tylko, że te przeciwności nie wpływając bynajmniej w sposób ujemny na serce, dzielnie wpłynęły na zmężnienie zasad i charakteru.

Pod względem pobożności był zawsze wzorowym i jak najlepiej widzianym — pod względem sposobu zapatrywania się na żywotne kwestye religijne często obudzał pewne niepokoje. Była to ta sama żywość, która w dzieciństwie niepokoiła matkę — ale ta żywość w dwudziesto-czterolletnim alumnie rozwinęła się w genialność, w wyższość pojęć, w żar miłości. Nie pojmował jakby można być względem wiary i kościoła tylko umiarkowanie ciepłym, że już nie powiem letnim — więc się palił i tym samym ogniem przejmował serca więcej ku sobie zbliżone. Mówiono o nim a potem nawet pisano, iż przeczuciwszy się z ostatecznością w ostateczność, stał się nieugiętym, niezdolnym żadnej transakcyi, z fanatyka *Aleizmu* fanatykiem *katolicyzmu*. Mówili tak i pisali ludzie na miarę redaktorów *Sigela* albo *Revue de deux mondes*, ludzie którzy jednakże ceniąc ostateczność błędu i ostateczność, czyli nieugiętą stanowczość prawdy, chcieliby mieć świat ten eklektyzmem nieba i piekła. W czemże upatrywali ów fanatyzm dla katolicyzmu? W tem że Lacordaire nie lubiał żadnej półprawdy i pogardzał półśrodkami. Kartezyanizm zbyt wiele przyznający rozumowi — wiedzący do racjonalizmu niezagadzał się według niego z pojęciami chrześcijańskofilozoficznymi. W ustawach Gallikańskich, w artykułach organicznych widział tylko albo dzieło słabości albo pokrytą dążność zbiegostwa i buntu, chętki tworenia kościoła narządowego czyli po prostu schizmy. W transakcyach z uszczerbkiem prawdy widział tehorstwo, zdradę, pewien targ z Bogiem — więc gorąca dusza zasmucała się tém wszystkim, często nawet oburzała się — a oburzenie wyrażało się za silnie, za gorzko. Kanoniści à la Dupin, Teologowie à la Bailly coraz głośniej objawiali swe nieukontentowanie. L' Abbé Roy, professor dogmatyki, człowiek nie wielkiej nauki, ale wielki miłośnik *Statu quo*, rzucał się i gniewał a drę-

czony subtelnetni obiektywami uznania wytoczył nareszcie sprawę przed Radę. Na tej Radzie zawyroковано, że Laccordaine obok lichéj wyobraźni żadnycb prawie nie posiadał zdolności, a co gorsza że był zwolennikiem de la Mennai'go. Oskarżonemu kazano przyrzec, iż na przyszłość będzie przez pokorę *milczał*, co też przyrzekł i dotrzymał z prostotą i uległością dziecka, a l'Abbé Roy jak najdoskonalej zbijał dawne jego zarzuty, jako *bystro i głęboko pomyślane*.

Pierwsze wystąpienie kaznodziejskie z powodu tejże samej żywości wyobraźni nie miało wielkiego powodzenia. Ale bo też samo miejsce i auditorium nader było niekorzystne. Dość powiedzieć że tem miejscem był *refektarz* — a słuchaczami byli professorowie i Seminarystci *obiadający*. Oto jak samocenia w jednym z swych listów trudność tego stanowiska: „Miałem kazanie; czy pojmujesz co to jest mieć kazanie w refektarzu do stu trzydziestu „zajadających słuchaczy? Głos mój migał się z dzwieniem talerzy, łyżek, widelców, szklanek i całego refektarskiego przyrządu. Zdaje mi się, że niema nic „przykrzejszego jak mówić do ludzi jedzących, i sam „Cycero wezwany na obiad senatorski choćby też z największym zapalem rozpoczął swe kategorylinarie zamilknął „by niezawodnie, gdyby za pierwszym frazesem z rąk „słuchaczy nie wypadły prozaiczne grabki. Cóż dopiero „gdyby był zmuszony mówić o tajemnicy Wcielenia? „Wyznaję, że na widok tej obojętności panującej wśród „słuchaczy, którzy się zdawali najmniejszej uwagi nie „zwracać na to co mówiłem, ale całą tę uwagę skoncentrowali w talerzach, kilka razy przychodziła mi myśl „nadzwyczaj oburzająca i miałem nieraz chętkę cisnąć „im na głowy kwadratowy mój biret a samemu uciec „z katedry. Skończywszy odetchnąłem i uszedłem z tem „przekonaniem, że m mówił jak najgorzej. Po takim

„wystąpieniu możesz sobie wyobrazić jak mi smakował obiad.“

Krytyki i sądy były przenajrozmaitsze. Po większej części ganiono, krzyczano, gorszono się i potępiano. Pewna część znowu nieumiała dość wyrazić swego uwielbienia. Chwalono i wynoszono pod niebiosy bez miary. Niektórzy wieszcząc talentu objawiali pewne *ale* bądź co do samej rzeczy, bądź co do formy. Professor wymowy jak tylko można dogodził przeciwnikom a wielbiącym zamknął usta, kiedy po przejrzeniu powiedzianego kazania wyrzekł publicznie: *połowa galimatias a połowa głupstwo*.

Czy professor miał słuszość? Nie wiem — ale to pewna, że uczeń miał wielką słuszość gdy w cichości i pokorze sąd tak dotkliwy przyjąwszy w tym samym czasie napisał: „Choćbym też powiedział jak najlepiej „i był pochwalon jak najszumniej nie byłbym pewnie „tyle skorzystał, ile skorzystałem zganiony i upokorzony. Bossuet boską powiedział prawdę: *qu'il faut laisser venir la gloire après la vertu*. Teraz dusza moja „spokojna i szczęśliwa, bo żywięj niż kiedykolwiek „pragnęła cnoty a czcza nadzieja sławy już sercem nie „miota. Postanowiłem żyć i czynić jak najprostsze „dziecko Boże a razem jako dziedzic Królestwa Niebieskiego, jako zmierzający do posiadania nie więdnącej nigdy chwały. Już nie chcę myśleć, co o mnie ludzie „powiedzą, ale zamieszkawszy miłością po za tym światem, z wielką pociechą czuję to w sobie, że żadna wielkość doczesna, żadna sława już nie ma dla mnie uroku. Czy to na zawsze? Czy to potrwa długo? Nie „wiem, ale mocno wierzę, że z siłą łaski wszystko mogę i że tej siły nie odmówi Bóg!“

Jak wspomnieliśmy wyżej Lacordaire był obwiniany o Lameneizm. — Wszakże podówczas Lameneizmem zwano tylko pewien system teologiczny w stosunku do filo-

zości i polityki i pewien rodzaj apologii chrystyanizmu zastosowany do czasu a z staremi formami nie kwadrujący. De La Mennais jaśniał jeszcze całym blaskiem religijnej i filozoficznej sławy a przytem niepokalaną prawowiernością i gorliwością dla sprawy kościoła. Lacordaire jak każdy młody, rzeczy nieco wyżej i goręcej biorący pragnął się z bliska przypatrzeć tej wielkiej znakomitości rzucającej blaskiem chwały na imiona ludzi z sobą ściśle sprzymierzonych. Pragnieniu temu uczynił zadosyć nim jeszcze wszedł do Seminarium. X. Gerbet, który i znakomitym rozumem i wielkiem sercem już się dał poznać w wyższym katolickim świecie i który najsilniej wpłynął na nawrócenie młodego adwokata służył mu za pośrednika. Było to w roku 1823. La Mennais zrobił na nim ogromne wrażenie. W rok potem już się rzeczy o wiele zmieniły. Autor monumentalnego dzieła *Essai sur l'indéference* gotował się do zaszczytnych wprowadzie, ale zbyt gorzkich i gwałtownych zapasów z przestarzałymi pojęciami Episkopatu o wolności kościoła i i jego stosunkach z władzą doczesną oraz z tą władzą przywłaszczającą sobie coraz więcej prawa i władzę kościoła. Zasady jego wyraźnie i stanowczo wypowiedziane silnie wzbudzały obawy, niechęci i podejrzliwości objawiały się coraz mocniej; w miarę niesłychanego powodzenia jakiego doznały wśród młodszego duchowieństwa nowe pojęcia, starsi coraz groźniej przeciwko nim powstawali. Lacordaire, mimo całego zapału z jakim uwielbiał dążyć do uwolnienia kościoła z więzów którymi go skrzepował Napoleon, a których Restauracya przy najlepszych chęciach z powodu swój niedołężności nie tylko rozwiązać, ale nawet zwolnić nie umiała, mimo tego, że się czuł oczarowanym genialnością wielkiego człowieka, począł się wachać. Obawa postawienia się na fałszywem stanowisku, zaraz na wstępie w zawód kapłaństwa nie ostudziła wprawdzie gorących stosunków,

ale nakazała bolesną walkę z własnym uczuciem i przekonaniem. Ta walka była może najpiękniejszą protestacją przeciw odzywającym się jeszcze zachceniom i nadziejom sławy: „Postanowiłem sobie, pisze on, nie „należyć do żadnej koteryi, nie łączyć swego przekonania z przekonaniem choćby najświetniejszego geniuszu; należę cały i całe należyć tylko do kościoła „mój arcybiskup sam niechaj mną kieruje; odosobnienie, „cichota, modlitwa i rozmyślanie u stóp krzyża, będą „na zawsze moją szkołą.“

Wszakże jak powiedzieliśmy, była to tylko walka—walka z miłością własną, ale nie przeciw szlachetnej i pełnej młodzieńczego zapалу miłości dla człowieka, w którym on widział najdzielniejszego obrońcę sprawy kościoła. Owszem, kiedy bystry jego umysł dostrzegł w zebranych ponad głową La Mennais'go chmurach więcej zawistnych intryg i zastarzałej niechęci niż obawy o skompromitowanie świętej sprawy katolicyzmu, kiedy z drugiej strony widział ciągle skupionych około wzniosłej postaci Bretona eo najgorliwszych i najwybrańszych mężów katolickich, kiedy наконец coraz dotykałniej spostrzegał nie tylko martwą nieczynność, ale co większa przerażającą łatwość, z jaką ludzie starego rzeczy porządku służyli za narzędzie w rękę zręcznych nieprzyjaciół chrześcijańskiej cywilizacji — wówczas ta walka jeszcze w nim silniej utwierdziła ową miłość, jeszcze wyżej podniosła dawne uwielbienie. Serce jego w tém uczuciu było zupełnie spokojne, bo uczucie było szczere, proste, bezinteresowne, szlachetne. W innych stosunkach, mógłby prędkiej szukać samego siebie i mógł się być znaleźć jak najświetniej, przecież ani się szukał, ani się znalazł. Książę de Rohan, arcybiskup de Besançon, okazywał mu szczególniejszą przychylność, z której pokorny Alumn, wcale nie korzystał. Arcybiskup Paryski de Quélen był dla niego z dobrocią prawdziwie ojcowską; biskup

de Manry Forbin-Janson, o którym pamięć sam się wyrzcił w mowie pogrzebowej, że największym jego nieszczerstwem było, iż w czasach plebejuszowskich „nie miał być plebejuszem“ — ten Forbin-Janson, który położył fundament Stowarzyszenia S. Wincentego à Paulo i sprzyjniarzył ludzi wazelkiego stanu i wieku chrześcijańską, czynną miłość dla ubogich, który był twórcą Stowarzyszenia *de la Sainte Enfance* znanego dzisiaj w całym chrześcijańskim świecie — ten Forbin-Janson ukochał naszego naród jak przyjaciela i z radością upatrywał w nim rychłą pocięgę kościoła, a mowca z tych tak pochlebnych dla siebie stosunków korzystając na rzecz nawinięcia duchowego, na rzecz chwwały ani miał ani chciał korzystać.

Miałoby tylko być innym w stosunku z takim człowiekiem jakim był de La Mennais? Tak strzymują ludzie nęskający przyćmić piękną sławę wielkiej gwiazdy obecną wymowy kościelnej. W stosunku tym mógł się być pomylić — mógł wiele skutkiem młodzieńczego entuzjazmu przoczyć — bo i któż z prostą myślących a goręcej kochających mógłby się nie mówić dopatrzeć, ale choćby przeczuć, że ta postać tak wielką miłością kościoła, tak strasznie zmaleje pychę? Ale żeby w tym stosunku miał być powodowany widokami własnego wyniesienia, o to ci tylko zdolni są wielkiego mowcę posądzać, którzy znając swe osobiste ubóstwo, pod knajazkiem cudzej sławy szukają swego uniętnierzenia. Lacordaire nadto żywo czuł w swojej piersi wielkie skarby Boga — aby mógł być zdolnym takiej małuczkoci. On jako katolik i jako kapłan jedną tylko pragnął chwały, o jedném tylko myślał wyniesieniu — Ideałem tej chwały było i jest dla niego odrodzenie Francji przez katolicyzm — szczytem tego wyniesienia tryumf kościoła i panowanie Chrystusa!

W widokach téj sławy gotów był podjąć wielkie poświęcenie — w nadziei, tego tryumfu rzekł się wypieszczonej myśli na urzeczywistnienie której zdobył pozwolenie i matki i arcybiskupa. Był prawie na wyjeździe do Ameryki, gdzie go miłość Chrystusowa ciągnęła, kiedy nagle rozległ się grzmot nowych wypadków i taż sama miłość zatrzymała go w kraju. W kilka miesięcy po sprawie lipcowej, kiedy w rezultacie wielkiego wstrząśnienia zwiększyły się tylko obawy o przyszłość kościoła we Francyi, kiedy rząd wyszły z łona rewolucyi niemogąc wystąpić jako otwarty nieprzyjaciel kościoła zaraz na wstępie położył fundament systematycznego ujarznienia wszelkich instytucyj duchownych i całego duchowieństwa, kiedy pod pozorem utrzymania porządku publicznego deptano i prawa i świętości kościelne, wywoływano najgwałtowniejszą nienawiść przeciw reprezentantom katolicyzmu, z ziemią zrównano pałac Arcybiskupa za jakieś niby dwóznaczne wyrażenie w pasterskim liście Quellen'a; zniszczono kościół de Saint-Germain-l'Auxerrois, za to, że podczas nabożeństwa za duszę księcia Berry, któryś z młodych legitymistów z własnego natchnienia, z lekkomyślnością właściwą swemu wiekowi postawił na katafalku portret księcia Bordeaux; obalono krzyże missyjne dostrzegłszy w ich ozdobach coś podobnego do lilii Burbonów; kiedy co gorsza ministrom znanym z zasad antykatolickich, protestantom, Żydom, ateuszom powierzono wybór na biskupów i wybierano do téj świętej godności ludzi już niemówią bez żarliwości o sprawę Pańską, ale co gorsza ludzi bez czci i wiary, kiedy duchowieństwu wydarto resztki wpływu na szkoły ludowe i mieszano się nawet do wewnętrznego zarządu Seminarjów i do Administracyi Sakramentów, zgola, kiedy systematyczne prześladowanie Juliana odstępcy niemal, że się literalnie powtarzało a kościołowi daleko więcej groziło, niż wszystkie okropności gi-

lotny — wówczas kwintessencya duchowienstwa i gorliwych świeckich katolików wzięwszy się za ręce w gorzkości duszy powiedziała sobie „młeczenie i nieczynność dzisiaj byłyby już zbrodnią.“ X. de La Mennais wystąpił z urzeczywistnieniem swych zasad a dziennik *L'Avenir* otwarł pole do działania.

Czy zamiar sam w sobie był zły? wszyscy bliżsi tej sprawy i zdolni jej ocenienia a przytem dobrzy katolicy odpowiadają, iż owszem był poczęty w jak najczystszych intencjach i miał na celu jedynie obronę ucisnionego kościoła. Czy zasady La Mennais'go mogły być w tej mierze skutecznie zastosowane? Odpowiadamy *nie*, gdyż jako na pół polityczne, niekwadrowały z majestatyczną świętością i spokojnością sprawy katolickiej, a to *nie*, stało się głębokiem przekonaniem wszystkich katolików, skoro je wypowiedział bł. Papież Grzegorz XVI encykliką z dnia 15 sierpnia 1832 r. i listem kardynała Pacca pisanym nazajutrz po wydaniu encykliki.

Wszakże co w roku 1832 pokazało się niestósowném, a nawet z wielu względów fałszywém i złém, to w roku 1830 w żaden sposób podobnie traktowaném być niemogło. *L'Avenir* przyszedł do skutku z powszechną radością dobrych katolików. Jaśniały w nim pełnym blaskiem takie imiona jak Gerbet, Rohrbacher, Salinis, de Scorbiac, Montalembert, Daguerre, d' Ault-Duméni'l etc. Stojący na czele de La Mennais zgromadzając około siebie wszystko, co się odznaczało wyższością umysłową i gorliwością, wyciągnął też ręce ku młodemu kapłanowi pracującemu w kollegium Henryka IV i ukochanemu z zapalem przez młodzież, w której serce wpajał wiarę i miłość ewangeliczną. Tym kapłanem był Lacordaire.

Przystąpiwszy do redakcyi dziennika *L'Avenir* przez cały rok jego istnienia był najczynniejszym współpracownikiem. Liczne artykuły wyszły z pod jego pióra

obok świeżości stylu tęgą i siłą i świeżością myśli i blaskiem zawsze poetycznej wyobraźni i zarem zawsze młodzieńczego niezucia. Największym jego usiłowanem było wrócenie religii jej dawniej popularności i zniweczenie głęboko zakorzenionych przesądów, jakoby wszystkie zamachy przeciwko prawej wolności przez nią były początkowane i jakby zawsze szła rękę w rękę z nieprzyjaciółmi prawdziwej cywilizacji. Każda nowa niesprawiedliwość, każde pogwałcenie praw kościelnych, każdy akt prześladowania wymierzony przeciw biskupom wydierał z piersi jego krzyk oburzenia i najwymowniejszą obronę. Walcząc razem z gallikanami, filozofami, ateuszami, hypokrytami, z ludźmi wszelakich barw, nieprzyjaznej sprawie kościoła czerechy a nawet z katolikami, którzy swoją nieczyność, słabość i bojaźliwość kryli pod zasłoną roztropności, prędko oburzył przeciw sobie ludzi najsprzeczniejszych stronnictw. Ledwie że dziennik liczył miesiąc swego istnienia a już mu wytoczono proces o artykuł pod tytułem *Aut Ébaques de France*. Artykuł ten jakby ewangelicznym ogniem napisany wyszedł z pod pióra Lacordair' a; w skutek zaskarżenia, autor wraz z ks. de La Motteais wezwany przed sąd przysięgłych sam bronił swą sprawę i z powszechną radością wiernych, duchowieństwa i biskupów został zupełnie uniewinniony. Podobny proces niedługo potem dwa razy się powtórzył. W ostatnim, wytoczonym przez Uniwersytet o naruszenie monopolu nauczycielstwa czyli po prostu o to, że Lacordaire wraz z Karolem de Coux i hrabią Montalembert'em wystąpił silnie przeciw najniegodniwszym nadużyciom tego monopolu, obok dzielnej obrony naszego mowy zabrzmiła po raz pierwszy przepyszny głos dwudziestoletniego *Parla France* i, którego niedługo potem nie tylko katolicka Francja ale też i cała katolicka przyklaskująca Europa.

Tym *Parlem* był właśnie hr. Montalembert.

Le Mennais z radością, mistrze i ojce talib obudwu do serca a kiedy imieniem Montalembert'a trząsł się zdziwiony Paryż, o Lacorderze z uśmiechem dumy katolicy powtarzali, iż jest najpiękniejszemu dziełem ze wszystkich dzieł swego mistrza.

Burza jednak coraz się groźniej wzmagala. Z łona samego duchowieństwa wzniosły się ciemne chmury skarg i podejrzeń lub co najmniej, a co może najeluszniej wątpliwości i obawy. Kiedy jedni z uniesieniem radości czytali dziennik a w redaktorach witali przesłańców szczęśliwej bo zwycięskiej epoki kościoła, kiedy drudzy spokojniej o rzeczach sądząc smutne tej walki przewidywali następstwa, i doradzali zejść z niebezpiecznie obranego stanowiska, inni urażeni do żywego zarzutem nieczynności, którego dziennik wcale nieuszczędził, lub zadrzaśnięci w swoich wyobrażeniach, głośno występowali z skargami coraz namiętniej popieranemi.

W skutek tych objaw i podejrzliwości a zwłaszcza w skutek nsposobień całkiem nienawistnych pewnej części duchowieństwa, dziennik *l'Avenir* nagle w kilku dyocezjach został zakazany; czytający go przedtem zwłaszcza młodzi bądź po seminariach, bądź po zakonach z seminariów i z zakonów wydalani, zasady dziennika surowo w wychodzących książkach albo broszurach ścigane. Samo podejrzenie o stosunki z jego redaktorami lub o podzielenie ich zasad było w kilku miejscach powodem, iż professorom poodbierano katedry, a proboszczom parafie. Niektóre dzienniki a zwłaszcza *l'Année de la Religion*, nieprzystając na surowej a często złośliwej krytyce pewnych artykułów, frazesów lub myśli, oskarżeniami swojemi sięgały do samych intencji. W Avignon wyszła książka, w której autor mówi o współpracownikach dziennika jako o nowatorach cuchnących herezjami i utrzymuje, iż o ich myślach zasadach i chęciach nienależy wnioskować z samych wyrazów a to

dla braku szczerości, co zresztą wychodziło na to samo jak gdyby powiedziano, że dziennika nienależy sądzić według tego co w nim napisano, ale według tego co w nim nienapisano. Legitymiści, czyli stronnicy Burbonów zarzucali, iż dziennik pokrywa tylko swoje zamiary albowiem broniąc religii niewystępuje z żadną obroną upadłej dynastji i śmie wykrywać błędy restauracyi— przeciwnie zwolennicy nowego rzeczy porządku pomawiali tenże dziennik o dążności wsteczne z powodu, iż każde energiczniejsze działanie względem kościoła ważył się jako gwałt przedstawiać i jako taki potępiał— Galikanie występowali najsilniej i bili na punkt zasadniczy, w którego przeprowadzeniu upatrywali ostateczną swoją zgubę.

Wszakże pomijając wszystkie namiętne, niesprawiedliwe zarzuty i skargi, wszystkie osobistości, całą złośliwość niecných napastników i oskarżycieli, sprawa dziennika coraz bardziej stawała się zatrwajającą. To prawda, iż żaden z biskupów niewystępował z potępieniem oskarżanych propozycyj, ale prawie wszyscy z niespokojnością spoglądali na te zapasy szlachetne wprawdzie i zawsze podejmowane w miłości kościoła lecz gwałtownością i barwą polityczną coraz niebezpieczniejszy biorące kierunek. Lacordaire przeczuwał to niebezpieczeństwo i gorzkie następstwa walki, w którą się uwikłał skutkiem swego charakteru — wszakże opuszczać redakcyą w chwili, kiedy się przeciw niej wzniosła najgwałtowniejsza burza, to w szlachetnem jego przekonaniu byłoby występkiem zdrady— że się jednak dogodnością stanowiska i nadziejami niełudził, że mu obok tego niezbywało na odwadze pokory dowodzą słowa, które wyrzekł na początku stycznia 1831 r. zatem na 11 miesięcy przed zawieszeniem dziennika: „Popelnilem wiele błędów i wiem, że mnie wielkie czekają gorycze.“

Śmierć Leona XII przyspieszyła smutne rozwiązanie tego dramatu. W sam dzień wstąpienia na tron Grzegorza XVI redakcja zebrawszy w pewne punkta wyznawane przez się zasady i zaopatrzywszy ten akt podpisanymi wszystkich współpracowników, przesłała go do Rzymu z postanowieniem bezwarunkowego poddania swoich przekonań pod sąd głowy kościoła. P. Sebastiani minister spraw zagranicznych podjął się w tej mierze pośredniczyć u Stolicy ś. wszakże jak się pokazało później nieprzesłał nawet powierzonego sobie aktu. Tymczasem stanowisko dziennika coraz stawało się niebezpieczniejszem. Mówiono głośno, iż Rzym zasady jego potępił — tysiące pogłosek jeżeli niezatrważyło, to przynajmniej w niepewności pogrążyło całą redakcyą. Postanowiono udać się do Rzymu; u stóp namiestnika Chrystusowego błagać o położenie kresu tej dręczącej niepewności. 15 listopada 1831 r. po trzynastu miesiącach walki *l'Avenir* następującą odezwą zawiesił a w rzeczywistości zakończył swoje istnienie: „O Ojczyźnie święty z boleścią i nadzieją w sercu idziemy do twojej wieczystej stolicy! tam upadłszy do nóg twoich będziemy błagać, abyś raczył rzucić oczyma na najostateczniejsze z dzieł twoich i posłuchać nas oskarżonych o bunt przeciwko twojej słodkiej a nieomyłnej władzy. Jeżeliby która z naszych opinij choćby najmniej różniła się od twego zdania, zrzeczymy się jej natychmiast i potępimy wraz z tobą, bo twoja nauka jest wskazówką naszych przekonań i inną nigdy znać nie chcemy.“

W samej istocie, z końcem listopada tegoż roku La Mennais, Montalembert i Lacordaire wybrali się do Rzymu ogłosiwszy poprzednio swój sposób widzenia pod względem potrzeb kościoła we Francji. Deklaracya ta napisana przez X. Gerbet pod kierunkiem La Mennais'go i podpisana przez wszystkich współpracowników, dotknęła kwestyj najdrażliwszych o stosunku władzy ko-

ścielnej i władzy świeckiej, o władzy papieżkiej i powadze Soborów powszechnych, o potrzebie zupełnego rozdzielenia dwóch władz i t. p. Prócz tego Lacordaire w skutek uchwały całej Agencji wystosował z wielkim talentem i zręcznością podanie do Ojca świętego, w którym w 9 paragrafach przedstawił nie już zasady lub nauki Stowarzyszenia, ale same fakta oraz zamiary i chęci zapobieżenia nieszczęśliwemu stanowi i coraz większym niebezpieczeństwom kościoła we Francyi. Podanie to X. La Mennais zamieścił później całkowicie w książce wyrachowanej na usprawiedliwienie swego zerwania z kościołem, w książce p. t. *Affaires de Rome*, w której genialność wielkiego niegdyś obrońcy kościoła występuje straszliwie nacechowana pychą upadłego anioła. Wszakże dzieło Lacordair'a stanowiące niezawodnie najpiękniejszy rozdział téj książki, z jój dążnością żadnego nie miało związku i będąc chlubą ucznia bynajmniej nieusprawdliwiała mistrza. Kardynał Pacca zobowiązał się podanie to przedstawić Ojcu świętemu, a w krótkce po jego wręczeniu oznajmił trzem przybyszom, iż Papież działania Agencji w żaden sposób pochwalać nie może, że jednak na bliższe zbadanie całej sprawy zezwala a sąd jój na później odkłada. Po takiem oświadczeniu Lacordaire z boleścią w sercu, ale razem z pokorą Chrześcjanina i kapłana wrócił do Francyi, Montalembert udał się do Neapolu, sam La Mennais pozostał w Rzymie. W krótkce potem bł. p. Grzegorz XVI w Encyklice wydanej do wszystkich Patriarchów, Prymasów, Arcybiskupów i Biskupów objawił swe najwyższe zdanie, co do potrzeb kościoła i sposobów zaradzania tymże, a Kardynał Pacca przesłał jój egzemplarz La Mennais'mu wraz z listem następującej treści:

„Mości Księżu!

„Według zrobionój wam nadziei Ojciec święty posta-

„nowi! sam bliżej zbadać i osądzić zasady i opinie dziennika *l'Avenir*, a tym sposobem przychylić się do waszych usilnych żądań.

„Jego Świętobliwość tém się prędkiej przychyliła do prośb waszych przedłożonych sobie za mojem pośrednictwem, że w tym samym czasie ze wszech stron odwołują się do jego nieomylnego sądu biskupi błagając o uroczystą decyzję względem pewnych nauk dziennika *l'Avenir*, które od samego początku istnienia tego dziennika tyle narobiły hałasu i stały się powodem najsmutniejszych rozterek między duchowieństwem.

„W Encyklice, którą Ojciec święty wydał do Patriarchów, Arcybiskupów i Biskupów świata katolickiego w celu oznajmienia im o swém wyniesieniu na tron papieżki, a której egzemplarz dołączam tutaj z wyraźnego rozkazu Jego Świętobliwości, będziesz się mógł dowiedzieć Mości Księżę o zdaniu świętej Stolicy co do niektórych opinij, które Jego Świętobliwość jako przeciwnie nauce Kościoła potępia a razem dowiesz się, czego się trzymać potrzeba, ażeby w tych punktach nieodstępować od świętej tradycyi i niezmiennych zasad Kościoła. Pomiędzy pierwszemi znajdziesz i takie, jakie dziennik *l'Avenir* wyznawał i rozwijał.

„Ojciec święty dopełniając świętego obowiązku swego Apostolskiego posłannictwa, niechciał przecież pominąć względów, jakie mieć raczy co do twój osoby już to z powodu wielkich twych zdolności, już dla twych dawnych zasług względem religii. Będziesz się mógł o tém przekonać Mości Księżę, gdy w Encyklice ani twego imienia, ani tytułu dzieł, z których czerpano zasady przez stolicę ś. odrzucone, ani razu wzmiankowanych nie znajdziesz.

„Wszakże, gdy miłość prawdy zapewne ożywia cię zawsze i gdy ją pragniesz poznać, aby ję drogą zawsze postępować, zatém przedstawię ci otwarcie w kilku

„słowach główne punkta, które po zbadaniu dziennika
„*l'Avenir* najwięcej się Jego Świętobliwości niepodobały.

„Najprzód tedy wielce to zasmuciło Ojca świętego,
„iż Redaktorowie pozwolili sobie rozprawiać w obec ca-
„łej publiczności a nawet wyrokować w przedmiotach
„kwestyi najdrażliwszych bez żadnego względu na rząd
„Kościoła i na jego Naczelnika, do których rzecz ta wy-
„łącznie należy. Nie możesz zaprzeczyć Mości Księżu,
„iż z tego powodu wynikły liczne zamieszki i rozterki
„zwłaszcza między duchownymi, co zawsze na wiernych
„wpływ nader szkodliwy wywiera.

„Również nagania i potępia Ojciec święty nauki do-
„tyczące kwestyi politycznych, które, niewątpię, że
„przeciw twym własnym intencyom dążą z samej swęj
„natury do obudzania i rozszerzania ducha nieuległości
„i nieładu. Wiadomo ci jednak Mości Księżu, jak tego
„rodzaju dążności wprost się sprzeciwiają zasadom Ewan-
„gelii.

„Nauki dziennika *l'Avenir*, co do wolności wyznań i
„prassy, są traktowane z taką przesadą i tak daleko
„posuwane przez pp. Redaktorów, iż równie zasługują
„na naganę jako sprzeciwiające się nauce, zasadom i
„praktyce Kościoła. Wielce też one udręczyły Ojca świę-
„tego, boć jeżeli w pewnych okolicznościach roztropność
„doradza tollerancyą mniejszego złego, nigdy przecież
„złe to nie może być traktowane przez katolika jako
„coś dobrego lub pożądanego.

„Oto jest Mości Księżu, oświadczenie, które Jego
„Świętobliwość poleciła ci uczynić w formie konfiden-
„cyonalnej. Pamiętny na piękną i uroczystą obietnicę
„z jaką się oświadczałeś wraz z swymi współpraco-
„wnikami i jaką ogłaszałeś publicznie, że *według na-*
„*kazu Zbawiciela będziecie posłusznymi jako dzieci jego*
„*namiestnikowi*, Ojciec święty tém wspomnieniem pocie-
„sza strapione swe serce. Jestem pewien, że obietnica

„wasza nie pozostanie bez skutku, a ty Mości Księżo
„wraz z towarzyszami swymi nie będziesz się wachał
„iść za przykładem wielkiego męża i pralata, który stał
„się zaszczytem waszego narodu, a którego imie pozo-
„stanie na zawsze drogiem i szacownem dla Kościoła.
„Nie zapominaj Mości Księżo, że ten mąż daleko stał
„się większym przez swe szlachetne wyznanie, niżby
„nim był przez swe dzieła. Niewątpię że pójdziesz za
„tak godnym siebie wzorem.

„Naprzód ci tego winszuję i z przyjemnością chwy-
„tając za sposobność wyrażenia ci mego szacunku oraz
„że zostaję

twym najprzychylniejszym sługą.

Rzym, 16 sierpnia 1832 r.

Bartłomiej Kardynał *Pacca*.“

Wskutek tego najwyższego Sądu Świętej Stolicy dzien-
nik *l'Avenir* dotąd tylko zawieszony przestał zupełnie
istnieć, a Stowarzyszenie ogłosiło się za rozwiązane.
Lacordaire swém niewzruszonem postanowieniem prze-
łamał jeszcze upór swego dawnego mistrza, który, jak
się pokazuje z jego własnych wyznań ⁴⁾ wcale swém
usposobieniem nie odpowiadał oczekiwaniom szlachetne-
go kardynała, a obrażony w swęj dumie już począł
w sercu najnieszcześniejszą nienawiść i dla Stolicy świę-
tej i dla całego Kościoła. Pomimo tego La Mennais
oświadczenie Agencji podpisał i takowe z uprzejmym
jeszcze listem kardynałowi przesłał. Wszakże była to
tylko uprzejmość; zimne wyrażenia zdradzały jeźli je-
szcze nie nienawiść, to przynajmniej straszliwą jakąś
złodowaciałość dla sprawy sercu jego niedawno jeszcze
tak drogiej. Milczący i z sercem pełnem goryczy wrócił
do ulubionego zacisza La Chesnaie — Lacordaire prze-

⁴⁾ *Affaires de Rome* — str. 149.

czuwając na co się zanosi pospieszył tamże z księdzem Gerbet'em ratować nieszczęśliwego przyjaciela.

On czuł dobrze potrzebę oparcia się na ognisku jedności katolickiej, on pojmował, że to oparcie się, winno być oparciem przekonania, oparciem serea, oparciem zupełnem, bezwarunkowém; on wierzył, iż dla społeczeństwa w posiadaniu prawdy zagrożonego, schorzałego, rozdzierającego się w swych własnych żywiołach a nawet już rozdartego, jak nie mógł być ratunkiem ów mdły, nieoznaczony, sentymentalny, lamartynowski chrystyanizm niekatolicki, tak podobnie nie mógł nim być ów katolicyzm emancypowany z pod pełnej władzy i ciągłego wpływu najwyższej głowy Kościoła, ów katolicyzm tworzący kościoły narodowe, a w faryzajskich obawach hypercentralizacyi czyli *zbytniej jedności* z Rzymem tworzący deklaracye, punktuacye i tym podobne krotofile schyzmy; jak gdyby *zbytnią jedność* tu zwłaszcza była możebną, jakby samo to wyrażenie pod względem jedności katolickiej, żywotnej, nie było sprzecznością i dowodem już zamyślanego buntu, — on to wszystko jasno pojmował i co poprzednio z całą żywością swęj wiary, z całą gorącością serca a razem z całą swą genialnością przelał w swe artykuły, co pragnął, aby było wiarą i przekonaniem całej Francyi a szczególnież duchowieństwa, to wyznawał czynem synowskiego poddania się Stolicy świętej, czynem zrzeczenia się prędkiego i chętnego pewnych zasad, których Rzym nie potępiał nawet, ale ze względu na okoliczności tylko niepochwalał, nieapprobował. — On czuł nakoniec, że właśnie nadeszła chwila pokazania czynem, jaka to powinna być jedność z Rzymem i uległość jego wyrokom — a tak pojmując, tak czując, wierząc i chcąc, czynił co tylko mógł, ażeby w La Mennais'go podobną wiarę i podobne przekonanie wmówić. Jemu samemu nie trudno było zatrzymać się, uchylić głowę, uderzyć się w piersi skoro

tylko Grzegorz XVI dał do zrozumienia, że szli za daleko i że tak idąc mogliby sprawę królestwa Bożego skompromitować, ale pracując nad swym dawnym mistrzem drżał z obawy, ażeby serce jego zranione nie przerzuciło się w pewną gorzką obojętność względem Prawdy, tak po rycersku przedtém bronionej, a może nawet w pewną milczącą nienawiść względem Kościoła, który napominając upokarzał, a upokarzając ratował. Usiłowania były długie, czasami nader przykre i bolesne — ale daremne, bo co przedtém było hartem katolickiego geniuszu, to się już zmieniło niestety, w zatwardziałość upadłego anioła. Lacordaire w bolesném rozczarowaniu opuścił la Chesnaie a w czas niejaki pisząc do jednego z swych znajomych wyznawał, iż bardzo długą i okropną przeszedł walkę, nim przyszło do stanowczego zerwania tak niegdyś miłych i silnych stosunków.

Po takiej burzy i takiém rozbiciu potrzeba było odpocząć, skupić się, nabrać sił nowych do nowego wystąpienia w sprawie, która dla serca młodego kapłana nie straciła bynajmniej uroku skutkiem doznanego zawodu, ale owszem jak gdyby nowym zajaśniała wdziękiem. Postanowił zatem czas niejaki przepędzić w zaciszu i odosobnieniu; w tém odosobnieniu nowym oddał się pracom. Czytał dzieła ś. Augustyna, ś. Tomasza z Akwinu, badał najgłębsze ich prace, przykuł się do nich z pewną namiętną miłością, przenosił w swego ducha najpiękniejsze ich pomysły, przyswajał je sobie, obracał w soki żywotne, a skutkiem tych prac rozjaśniał swój umysł niby dyamentami myśli dwóch najpotężniejszych doktorów Kościoła.

Wszakże zanadto już był znany, nadto ceniony, ażeby mógł dłużej nieco pozostawać w tém ukryciu. Arcybiskup Quélen, który sam myślał swego ulubieńca po-

chwalił i zamiarowi dłuższej pracy błogosławił, sam go niezadługo wyprowadził z błęgiego zacisza. Na prośbę dyrektora collegium Stanisława, wezwał on Lacordair'a do wystąpienia w zawodzie kaznodziejskim, i na ten cel przeznaczył mu kaplicę kollegialną. Było to w roku 1834; powodzenie było tak wielkie, że w krótkim czasie kaznodzieja zgromadził około siebie nietylko co najzdolniejszą młodzież, ale nawet ludzi wytrawnych i znakomitych, a co większa iż mnóstwo serc zjednał, Kościołowi. Kazania były improwizowane, przygotowywał się do nich czytaniem Ewangelii, Ojców świętych i modlitwą, a nie myśląc wiele o zewnętrznej formie słowa, świeżością i potęgą wyrażenia niesłychany wpływ wywierał.

W tym samym czasie chcąc z jednej strony dowieść, iż poddanie się jego Kościołowi nie było wymuszone jakimiś względami ani też pozorne, a z drugiej strony pragnąc przykładem swoim choć z daleka zachęcać jeszcze nieszczęśliwego przyjaciela, otworzyć mu oczy i zniewolić go do stanowczego, bezwarunkowego pojednania się z Kościołem, ogłosił drukiem pierwsze swe dziełko szczupłej prawda objętości, ale znakomicie napisane pod tytułem: *Considerations sur le système philosophique de M l'abbé de La Mennais*. Długo się wachał i wielu się radził zanim to pismo był wydał. Arcybiskup z początku odradzał stanowczo, obawiając się w miejsce dobrego wpływu tém większego rozjątrzenia i Lacordaire uznawszy słuszność czynionych sobie uwag, postanowił albo się wstrzymać, albo zupełnie wszelkiej publikacyi w tej mierze zaniechać; wszakże gdy rzeczy przyszły prawie do ostateczności, gdy La Mennais wylał całą swą gorycz w małą książeczkę odślaniającą cały ogrom jego pychy, gdy mimo próśb przyjaciół i rady jeszcze sobie przychylnych biskupów broszurkę tę ogłosił drukiem pod ty-

tulem *Paroles d'un Croyant* ⁵⁾), naówczas i Arcybiskup i Lacordaire zmienili zupełnie swe zdanie co do powyższej wspomnianej broszury — i publikacya jęj została wspólnie zadecydowaną.

Wszakże zanim to przyszło do skutku, Arcybiskup na prośbę Lacordaire'a z ojcowską dobrocią i słodyczą napisał jeszcze list, w którym objawiwszy swe obawy wsparte na coraz głośniejszych pogłoskach, wzywa dawnego obrońcę Kościoła, aby sam oświadczeniem się swojém zawstydził potwarców rozgłaszających jego ostateczne zerwanie z Kościołem: „Napisz mi, tak kończy „swoj list, napisz mi sam, że to jest kłamstwo, że to „jest potwarz, że książki podobnej wcale ogłaszać nie „myślisz, twoja odpowiedź pokryje wstydem oskarży- „cieli a mnie wiele pocieszy, mnie, który wszystkim „odpowiadam własnymi twojemi słowy, iż *postanowiles „zupełnie milczyć w przedmiocie religii*“ ⁶⁾).

Ale odpowiedź nieugiętego Bretona była bolesna, okropna. Utrzymuje on, iż postanowiwszy w samej istocie przez miłość dla religii nie odzywać się więcej w przedmiotach wprost jęj dotyczących, zamierzył pisać tylko w zakresie filozofii, umiejętności i polityki; że broszurka o którą Arcybiskup zapytuje należy właśnie do publikacyi filozoficzno-politycznych; że jest napisana w sposób dla ludu przystępny i przeznaczona wyłącznie dla ludu, że do ogłoszenia jęj i puszczenia w obieg zniewala go coraz straszliwszy stan Francyi i całej Europy, że jęj

⁵⁾ Książeczka ta zaraz została przetłumaczoną na nasz język p. t. *Słowa wiary* i w licznych egzemplarzach w obieg puszczona a przez ludzi młodych, namiętych i Kościołowi nieprzychylnych z wielkim zapalem czytana. Wydawca starał się o ile tylko można wycofać ją z obiegu i resztę edycyi zniszczyć. W duchu miłości Kościoła postąpi, kto się do jęj zniszczenia przyłoży.

⁶⁾ *Lettre de M. l'archevêque de Paris à M. l'abbé La Mennais (Affaires de Rome).*

celem jest dobro ludzkości a szczególnie dobro uciskanych i cierpiących, gnębionych, że jednak zniewolony wspomnieć kilkokrotnie imię Jezusa Chrystusa, wystrzegając się wszelkiego zastosowania do Chrystyanizmu i ani razu z pod jego pióra nie wyszła nazwa Kościoła, a na koniec, że podając tę książkę w ręce ludu czuje iż dopełnia ścisłego ze swój strony obowiązku i nowego poświęcenia i według tego pragnie być sądzonym ²⁾).

Powiedzieliśmy, iż odpowiedź była okropną. W samej istocie książka ta z szatańskim prawdziwie wyrachowaniem przeciw najwyższej głowie Kościoła i przeciw katolickim pojęciom o stosunkach rządzących do rządzonych wymierzona, jest okropnym, monumentalnym dowodem, jak dalece zaślepić może pycha najuczestniejszych nawet obrońców religii, kiedy tylko zdoła wmówić w ich serce, iż są narzędziem ku spełnieniu wyższych widoków Opatrzności względnie Kościoła, że Kościołowi są potrzebni niezbędnie, że bez nich Prawda ostać się nie może itp. itp. Książka ta dowodzi, iż w innej epoce La Mennais, byłby Ojcem nowej herezyi, herezyi najniebezpieczniejszej, gdyż zabijającej nie tylko wszelakie pojęcie hierarchii i negującej tych lub owych dogmatów, ale sprowadzającej wszystkie dogmata, wszystkie przykazania Chrystyanizmu do jednego dogmatu i przykazania *powszechnego braterstwa ludzkości*; wystawiającej krzyż nie jako sztandar zgody człowieka z Bogiem i człowieka z człowiekiem, ale jako krwawą pochodnię zawiści i walki na śmierć z tém wszystkiém co stanowi porządek społeczny; zachęcającej wreszcie ludzkość, aby wstępowała na szczyt Kalwaryi, nie jako na szczyt poświęcenia ale jako na wrzący ogniem krater straszego wulkanu. Jeden z najprzychylniejszych i najzdolniejszych

²⁾ *Affaires de Rome* p. 189. *Reponse de La Mennais à M. l'Archevêque de Paris.*

uczniów La Mennais'go, człowiek wielkiej nanki i wielkiej słodyczy, Gerbet, nie może powściągnąć swego oburzenia gdy mówi o tej broszurce: „Czuję się obowiązany, mówi on, krzyczeć jak najgłośniej i tym krzykiem zapobiegać nieszczęściom, jakie ta książka gotuje, wywracając wszelkie pojęcia społecznego ładu i wiodąc do niesłychanej anarchii“ ⁹⁾.

I czyż podobna było, czy się godziło po tem wszystkim milczeć? Czy się godziło milczeć tym zwłaszcza, którzy kilka lat przedtem z takim się skupili zapalem około tego człowieka, który w obronie Chrystyanizmu wystąpił z blaskiem i żarliwością pierwotnych obrońców kościoła? Czy mógł milczyć *Lacordaire*, którego powszechnie zwano uczniem, dzieckiem La Mennais'go? Czy to milczenie niebyłoby pewnego rodzaju approbacyą i to jeszcze w obec Encykliki Rzymu ⁹⁾ jak najwyraźniej i jak najściślej potępiającej zasady La Mennais'go po raz pierwszy wyraźnie i stanowczo w owém piśmie wyrażone! w obec sądu Najwyższej głowy kościoła i w obec tego oburzenia z jakim ten sąd wyraża mówiąc: iż bez zgrozy niemożna czytać tej książki ¹⁰⁾ i że jej wyrażenia jako kłamliwe, potwarcze, bezbożne, słowu boskiemu przeciwne i gorszące potępia i przez wszystkich katolików potępieniem mieć chce? Czy podobna było zapytujemy raz jeszcze w obec tego wszystkiego milczeć Lacordair'owi?

Tak utrzymywało wielu. Że tak utrzymywali nieprzyjaciele kościoła, to niedziwno, ale dziwno, że tak mieć

⁹⁾ Du dernier écrit de M. de La Mennais, par M. l'abbé Ph. Gerbet... w czasopiśmie p. t. *L'Université Catholique*.

⁹⁾ Encyklika ta wystosowana do całego świata katolickiego zaczyna się od słów: *Singulari nos affecerant*.

¹⁰⁾ Horruius sane Venerabiles Fratres vel ex primo oculorum obtutu auctorisque caecitatem miserati intelleximus, quonam scientia prorumpat.

chcieli nawet niektórzy z duchownych i wielu na pozór dobrych katolików. Lacordaire poszedł za radą arcybiskupa i swoje *Considerations* drukiem ogłosił. W książce tej zachował on wszelakie względy dla osób. Obok miłości kościoła pachną z niej, że tak powiem, tkliwa miłość dla upadłego wraz z uczuciami szacunku, żalu i boleści. Z całą skromnością wyznaje w niej niższość swoją pod względem umysłowym, niewacha się przecież obok tego z całą otwartością upominać dawnego przyjaciela o błędzenie, wyniosłość i niewdzięczność względem Oblubienicy Chrystusa; przedstawia mu niebezpieczeństwa wypłynąć mogące z jego zasad choćby też przy najlepszych intencjach. Co jest najznakomitsze w tej książce, to rozdział wstępny o *stanie Kościoła we Francyi*, w którym się zdaje, że autorowi każde słowo poddaje tkliwa, synowska miłość względem Ojca świętego, a w którym przepysznie tłumaczone ustępy z dzieł ś. Augustyna i ś. Tomasza dowodzą nadzwyczajnego przejęcia się ich pismami. Głównym celem tego dzieła jest wykazanie La Mennais' mu, iż największym błędem jego filozofii i źródłem wszystkich innych błędów *jest postawienie na równi powagi ludzkiego rodzaju obok powagi kościoła a nawet przekładanie pierwszej nad drugą.*

Chęć odosobnienia się, pragnienie cichości znowu się żywo obudziły w sercu Lacordiar'a; wszakże coraz więcej znajdując przeszkód w skutecznieniu tych pragnień coraz też żywiej tęsknić zaczynał do stanu, w którymby łatwiej dogodzić żądzy zupełniejszego poświęcenia się Bogu. Z kolegium Stanisława arcybiskup powołał go na kaznodzieję katedralnego — ze strony arcybiskupa był to dowód wielkiej przychylności tem bardziej, że wielu z starszych duchownych piastujących wyższe dostojności objawiało już to obawy, już niechęci względem młodego kaznodziei, tem bardziej, że i w opinii publicznej wiele głosów było przeciw niemu. W r. 1835

wystąpił w czasie postu po raz pierwszy — powodzenie było nad spodziewanie. Młodzież tak zapełniła ogromny kościół *Notre Dame* jak już niebывało od niepamiętnych czasów. Oto jak się wyraża o tych pierwszych konferencyach sam nieprzychylny wielkiemu mowcy autor biografii duchowieństwa współczesnego: „Wszystko co „tylko Paryż miał świetnego, uczonego, znakomitego, „wszystko to otaczało tłumnie ambonę w *Notre Dame* „skoro tylko mówił z niej *Lacordaire*. *Chateaubriand* przy- „chodził punktualnie wraz z p. *Pozzo di Borgo*; pp. de „*la Martine* i *Arago* byli zawsze jedni z najpierw „przychodzących; pana de *Cormenin* i *Cahen* uczonego „izraelitę mogłeś znaleźć za każdą razą między najuwa- „żniej i z największym zajęciem słuchającymi. Mnóstwo „z tych nawet którzy niedawno tak surowo sądzili i „potępiali mowcę *wolnej* szkoły (de l'Ecole libre), w r. „1831 słuchali go i z uniesieniem podziwiali w roku „1834 ¹¹⁾“.

Co się dotyczy sprawy *mowcy wolnej szkoły w r. 1831*, czytelnicy przypominają sobie, żeśmy o niej napomknęli nieco powyżej, tu więc o tyle tylko jeszcze o niej wspomniemy, o ile to posłużyć może do przedstawienia i tej przytomności i tej nieustraszonej śmiałości z jaką *Lacordaire* zawsze występował w obronie swych religijnych przekonań. Rzecz cała toczyła się o założenie szkoły bezpłatnej na ulicy ś. Jakuba przez *Lacordaire'a* *Montalembert'a* i *de Coudan*, za co po rozpędzeniu szkoły wytoczono im proces i zapozwano przed kratki. P. *Persil* adwokat jeneralny stanął przeciwko nim i był prawie zgnieciony ognistą wymową naszego kaznodziei, który bez żadnego przygotowania wystąpił razem jako adwokat, trybun, subtelny i straszliwy dyalektyk, oraz jako broniący się i oskarżający własnego swego oskar-

¹¹⁾ *Biographie du Clergé Contemporain, par un Solitaire* 8 Livraisons Octobre 1841.

zyciela. „Dla czegoż Panowie, pytam was, dla czego „mam odpowiadać z miejsca oskarżonych, kiedy pro- „kurator generalny zasiada miejsce wprawdzie dostojno- „ści swojej odpowiednie, ale nie odpowiednie swemu po- „stępowaniu? Jakiem prawem adwokat jeneralny śmie „występować jako mój oskarżyciel, on który podobnie „jak ja zawinił i który winę swą popełnił tu właśnie, „w tem samem miejscu z którego mnie oskarża? Oto, „żem użył prawa nadanego kartą konstytucyjną, kiedy „ta karta nie była jeszcze urządzoną. Ależ on sam nie- „dawno temu żądał głów czterech ministrów i żądał „w moc prawa na tejże samej karcie konstytucyjnej za- „pisanego i także jeszcze nie urządzonego. On na mocy „karty żądał rozlania krwi, ja na mocy tejże karty „chciałem nauczać darmo dzieci biednego ludu. Obadwaj „działaliśmy na mocy tego samego artykułu. Więc je- „żeli sam prokurator jeneralny przez to zawinił, jak „może mnie oskarżać sam nieoskarżony, a jeżeli nie za- „winił, jak może przeciwko równie niewinnemu wystę- „pować“ (12)

Podobna obrona w obec podobnych sędziów nie mo-
gła się naturalnie skończyć inaczej tylko wyrokiem po-
tępiającym. O samej obronie a pomimo jój wielkiej zrę-
czności i śmiałości nie można powiedzieć, aby się zale-
cała tą spokojną godnością i tą chrześcijańską pokorą,
z jakąby się winny odzywać usta katolickiego kapłana,
dla tego nie chwalcę jój bynajmniej pod tym względem
przypominamy jednak czytelnikowi, że to było jeszcze
w chwili, kiedy Lacordaire zostawał pod wpływem La
Mennais'go i kiedy sprawę kościoła zbyt jeszcze namięt-
nie mieszał z sprawą polityczną; przytoczyliśmy zaś
ten ustęp dla tego tylko, aby dać poznać jacy to nie-
przyjaciele, jacy sędziowie słuchali go w r. 1835 i po-

12) Biographie du Clergé Contemporain.

działał z uwiesieniem, gdy już tylko jako mowca religijny, jako kaznodzieja z podobną zręcznością i niustraszonnością występował po raz pierwszy nie już przeciw prokuratorowi jeneralnemu, ale przeciw okropnej potędze ducha czasu i przeciw wszechwładnej opinii publicznej tak w ówczas gróźnie i namiętnie miotającej się na kościół. Pierwsze te albowiem konferencye były właśnie apologią kościoła.

Ażeby dać dotykalsze pojęcie czem był Lacordaire w tej apologii, stawmy go obok sławnego obrońcy Chryścianizmu, biskupa Frayssinus, który naszego mowcę nie wielu laty w stolicy Francyi wyprzedził. Jeźlibyśmy ich chcieli porównać wedle natury talentu i według ducha czasu powiedzielibyśmy tylko, iż obadwaj doznawali powodzenia o jakim od czasu wielkiej epoki Ludwika XIV roczniki kościoła we Francyi nie wspominają. Chcąc rozsądzać pomiędzy nimi potrzebaby najprzód wiedzieć, który z nich więcej zdobył dusz dla sprawy królestwa Bożego, co gdy wcale nie jest łatwem, lub prawie jest niepodobnem przeto poprzestać musimy na ich ocenieniu według tego, jak który mówił. Autor Obrony Chrześcianizmu zda się więcej wykończonym, jego kazania ściśle wykonane według przepisów wymowy klassycznej; tym czasem Lacordaire silniejszy, więcej mężki, oryginalniejszy. Czytając dzisiaj kazania pierwszego widzimy w nich raczej pięknie brzmiące i wygłaskane rozprawy niż kazania, ale też razem dziwną przejrzystość myśli i we wszystkim cudny porządek, gdy tymczasem drugi nigdy swych kazań nie pisząc, zupełnie inny przedstawia obraz; nie zatrzymując się bowiem, pędem prawie bierzy do rzeczy, jest pelen życia i różności, zawsze natchniony, w dowodzeniach prostszy a w wywodzie następstw ściślejszy i prawdziwszy. Frayssinus jest retorem, Lacordaire jest oratorem, albo raczej mniej oratorem a więcej *tém*, czem być

powinien. Frayssinus był człowiekiem dworu, kaznodzieją społeczności znudzonej i umordowanej, więc umysły wzburzone chciał, że tak powiem ukołysać, uspokoić harmonijnem dźwiękiem przepysznych frazesów. Przeciwnie Lacordaire żarliwy, palący się i usiłujący zapalić wszystko, z uspienia, z obojętności gwałtem wydiera, z chwiejących i z namysławiających się chciałby wykrzesać natychmiast iskrę czynu, którąby zaraz w pożar poświęcenia dla sprawy pańskiej rozdmuchał; on bez uwagi, że prawda, mogłaby oburzyć, zirytować rzuca ją pod nogi swego audytorium nagą, szorstką, twardą, gromiącą i gniotącą przeciwnika; przedstawia rzeczy tak jak są, bez żadnej gry wyrazów, bez żadnych osłon, frazesów, bez troski o formy, o piękność zewnętrzną, owszem z pewnem, że tak powiem lekceważeniem wszystkiego co nazywają *prawidłami wymowy*, z pewną wzdargą dla wszystkiego co wyszukane i sztuczne. Ktoś powiedział, że jak Frayssinus jest Izokratesem francuskim, tak Lacordaire ma coś z fizyonomii Eschinesa, ale to porównanie, jakby zapewne miłem było pierwszemu, który obok miłości Ewangelii miał jeszcze wiele słabości dla klassycyzmu, tak jest ubliżającym drugiemu, który Eschinesa zna i lubi jak się zna i lubi piękny posąg z czasów pogańskiej starożytności, ale który poznawszy Chrystusa umiłowałszy go i zapragnąwszy jego królestwa w duszach swych braci, wie dobrze, iż jak mądrość tego świata jest głupstwem u Boga, tak i piękność czysto świecka jest dzieciństwem, którem za ledwie mimochodem warto się zajmować.

Wszakże nie myślemy przeczyć aby fizyonomia nie miała także swoich korzyści i wpływu na serca słuchaczy, chcieliśmy tylko powiedzieć, że kaznodzieja taki, jak Lacordaire ani potrzebował, ani chciał zapewne myśleć o tém, co bez myślenia i studiów, tylko z głębokiego przejęcia się rzeczą Boską i z wykształcenia

się na Ewangelii i na ojcach wypływa samo korzystnie, a o czym im się więcej myśli, tem się bardziej traci z oka to, coby właśnie całą duszę kaznodziei wypełniać powinno. Lacordaire najmniej mógłby wpływać tém, czém jest zewnętrznie. Wzrost jego średni, twarz blada i nacechowana pewnym wyrazem cierpienia, głos jakby zardzewiały i słaby, to wszystko wcale nie jest zbyt przemawiające. Ale proszę nań uważać kiedy mówi. Głos z początku słaby i drżący, tak słaby że ledwie od najbliżej stojących przy ambonie może być słyszany, i że obudza w sercach przychylnych obawę, aby nie ustał w samym początku, aby się nie wyczerpał w połowie, w miarę jak w duszy jego wzmagą się zapal, coraz silniejszym, coraz czystszym, coraz dźwięczniejszym się staje. Życie rumieńcem wytryska na wybladłe lice, wielkie i czarne oczy zdają się płonąć, pryskać świętymi iskrami, ruchy coraz pełniejsze, coraz majestatyczniejsze, w całej postaci cudowne jakieś dzieje się przemienienie i gdy niezliczony rój słuchaczy z wlepionymi wien oczyma z na pół otwartymi ustami już nie powiem słucha ale tonie w tej wzniosłej i jakby z wyższego świata przybyłej postaci, kiedy każdy sam oddech tłumi, aby nie stracić jakiegoś słowa i gdy najmniejszy szmer nie zdradza powszechnego entuzjazmu — on sam wzbiwszy się na skrzydłach miłości na podobieństwo ewangelicznego orla, szponami słowa zbłąkane owce na łono dobrego Pasterza unosi.

Po dwóch latach, w czasie których oprócz kazań miewanych z powodu rozmaitych okoliczności mówił przez cały post w Notre Dame, kończąc drugi oddział swych konferencyj, tak się odezwał do wzruszonego głęboko audytorium:

„Kto by mi to dał, abym was mógł natchnąć myślą „zwrócenia się do Boga w modlitwie i odnowienia z nim „świętych związków nie tylko przez umysł, ale i przez

„silne pragnienie serca! Tego pożąda dusza moja w tej chwili, kiedy was opuszczam, a nadzieję, że się tak stanie unoszę wraz z sobą. Mówiąc z tego miejsca do was z woli mojego Pasterza i z waszego wyboru, w ręce tegoż Pasterza składam posłannictwo moje. Tą pochwójną aureolą jaśniało przez chwilę me czoło; teraz, pozwólcie abym się na czas niejaki oddalił, i zapraszam się samego siebie, abym się sam znalazł w obec wasz i w obec Boga!”

Skończył — a tłum słuchaczy jakby przykuty tym słowem pożegnalnym i jakby jeszcze czegoś oczekujący, w milczeniu ściagał swym wzrokiem rozpromienioną twarz mowcy. Rzekłbyś, iż kiedy dźwięk słowa umilknął, słuchano jeszcze, jak się to słowo bez dźwięku samym wyrazem oblicza wypowiadało; tymczasem milczenie to przerwał głos poważny i zwrócił na siebie powszechną uwagę — był to głos Arcybiskupa, który z miłością Ojca i z tonem tklivego żalu rzekł do swych owieczek:

„W krótko opuści nas miły nasz kaznodzieja *pomimo* *tych i kilkakrotnie z naszej strony ponawianych prze-* *kładach*. Idzie on do miasta wiecznego, by aż na grobie świętych apostołów złożyć świadectwo swęj silnej wiary i swojęj miłości. Miejmy nadzieję, że powróci do nas jeszcze, że powróci jeszcze ku więkšej *sere* naszych pociesze....“

Wielu z przeciwników a szczególniej najnieprzychylniejszy Madrolle, utrzymują, iż Arcybiskup wcale nie był zadowolniony z tych konferencyj, że wiele znajdowało się w nich takich rzeczy, które wprost były przeciwne jego przekonaniu i zasadom; że niektóre wyrażenie potępiał, — wszakże możemy twierdzić na śmiało, że to wszystko są tylko inwencye tych dusz miernych, które nie mając nic na pocieszenie się w swych zazdrościach i w uczuciu swęj niższości, nie cofają się przed

żadnym środkiem, któryby im mógł posłużyć do zaimienia lub przyśmienia wysokości i blasku geniuszu. W tém przekonaniu utwierdzają nas fakta, bo pominawszy, iż powyższe wyrażenie Arcybiskupa w obec wyboru owieczek, w świątyni Pańskiej wyrzeczone, jak najchlubniejsze mowoy oddaje świadectwo, przytoczyć możemy najprzód to, że po zakończeniu konferencyj postnych mianował go kanonikiem paryżkim, a co więkksza, że w obec kilkotysięcznego audytorium nazwał go: *prorokiem nowego rzeczy porządku* (*un prophète d'un ordre nouveau*). Wyrażenie to dające nader wiele do myślenia, wyrzeczone z głębokim wzruszeniem, zrozumiane było literalnie i jak pragnących pewnego zbawiennego ruchu, któryby z Rzymem zjednoczył ściślej duchowieństwo i któryby przez Kościół mógł z Bogiem pogodzić ludzi wielce pocieszało, tak ludzi lękliwych, ludzi małej wiary i ociężałych nader zraniło boleśnie. Z samych kanoników niektórzy wynurzali z tego powodu swe oburzenie i dręczące obawy. Jeden z wielkich wikaryuszów arcybiskupich tak głęboko tém wyrażeniem został zasmucony, iż się nie mógł od łez powstrzymać.

Jeżeliby się kto zapytał po co wyjeżdżał do Rzymu, odpowiedzielibyśmy z całym przekonaniem o dostateczności tego powodu, iż wyjechał dla tego, że kochał Rzym; że w tém ognisku królestwa Chrystusowego na ziemi pragnął zagrzać swe serce nowym zapasem miłości Kościoła, ażeby w jego sprawie tém żarliwiej, męśniej i skuteczniej mógł sobie poczynać. Z resztą jeżeli to komu nie wystarcza i chciałby widzieć powód, jak to mówią realniejszy, wówczas jakkolwiek wiemy i wierzymy oparci na powadze boskiego słowa iż w obec Boga jedynie realną rzeczą jest *Miłość*, moglibyśmy przecie i inne powody przytoczyć, jak na przykład, że się pragnął bliżej przysłuchać, jak też kasnodzieje rzymsey mówią

a zwłaszcza słynący podówczas Wentura, że chciał w samém źródle umiejętności religijnej zgłębić doskonałą teologią, co wszystko zdaje nam się daleko więcej zasługuje na uwzględnienie jak owe szlachetne wprowadzenie, ale na rzeczywistą potrzebę nie bardzo oparte pobudki do wysyłania młodych artystów do Włoch, aby się mogli na mistrzowskich doskonalić wzorach. To ostatnie może świadczyć o dobrym smaku społeczności i z tej strony niezaprzeczenie pochwały jest godne, ale wysyłanie kapłanów do stolicy Chrześcijaństwa w celu doskonalenia ich na dobrych teologów, mowców i pasterzy, świadczyłoby o głębokim przejęciu się potrzebami Kościoła i sądząc o rzeczach w duchu Kościoła, zdaje nam się, iż byłoby bardzo do życzenia, a urzeczywistniane, bardzo byłoby godne uwielbienia. Wszakże Lacordaire miał jeszcze jeden nader ważny powód — on bowiem w głębi serca nosił pragnienie doskonalszego poświęcenia się Bogu, myśl wstąpienia do zakonu, a gdy wiedział czem są zakony w Rzymie, te zakony, które gdzieindziej duch obojętności lub nienawiści przeciw Kościołowi zepsuł, albo zupełnie zniweczył; gdy z drugiej strony czuł potrzebę odnowienia na swą ziemi tej Chrystusowej armii, bez której usiłowania pojedyncze choćby też najszlachetniejsze niewystarczają, cóż słusniejszego jak, że środków urzeczywistnienia tej myśli i tych pragnień poszedł szukać w Rzymie?

A przecież w samej istocie wielu na tę wyprawę krzyżowało jako na rzecz wcale niepotrzebną i tylko młodzieńczą egzaltacją spowodowaną. Bądź co bądź Arcybiskup powody uznał za słuszne a kapłanowi wybierającemu się w drogę w towarzystwie księdza Boutod i młodego człowieka świeżo z nedorzecznosci Saintsymonizmu uleczonego, udzielił swe pasterskie błogosławieństwo. W dwa lata potem Lacordaire wraz z owym młodym człowie-

kiem nazwiskiem Hipolit Requeda weszli do klasztoru OO. Dominikanów pod nazwą Minerwa, będącego wówczas główną rezydencją jenerała tegoż zakonu i tam przez czas niejaki sposobili się do Nowicyatu. Grzegorz XVIty dał im szczególne posłuchanie i przyjął ich z wielką dobrocią, a kiedy mu jenerał przedstawił, iż mają zamiar przywdziać sukienkę ś. Dominika i pracować w Kościele jako Bracia kaznodzieje, Ojciec święty odpowiedział z uśmiechem zadowolenia: „Niechże więc idą, naprzód, błogosławimy szlachetnemu ich zamiarowi“— jakoż w samej rzeczy w kilka tygodni potem Lacordaire i Requeda przywdziawszy białe sukienki udali się zaraz do Quercia w pobliżu Viterbo i tam wraz z siedmiu dawniejszymi pracowali nad rozwinięciem i ustaleniem w sobie ducha zakonnego. Nie możemy przemilczeć, iż w liczbie owych siedmiu znajdował się także młody kapłan polski oraz znakomity malarz francuzki Besson, obecnie przeor klasztoru przy kościele ś. Sabiny, gdzie się już wychowuje nowa generacya Braci zreformowanych według pierwotnej reguły ś. Dominika. Requeda w kilka miesięcy umarł na febrę, co do Lacordair'a, reguła zakonna tak mu przypadła do serca, tak mu się zawsze zdawała łatwą i naturalną, jak gdyby była dla niego samego napisaną. „Tam na wszystko znalazłem dość czasu, pisze sam o sobie, tam mi dzień boży wystarczał i na modlitwę i na nauki i na swobodną rozmowę z braćmi i na błogą a tak mi zawsze miłą samotność; było to prawdziwie niebo na tej ziemi. Ale nie wiem jak to będzie później, kiedy wypadnie opuścić to święte zacisze!... Bóg da że będzie dobrze, bo zresztą cóż może być lepszego jak w takim oderwaniu się od świata pracować dla zbawienia świata!“ Że czasu nie brakowało, a przynajmniej, że chwil pozostałych od modlitwy i ćwiczeń duchownych używał dobrze, dowodem tego dwie śliczne książki w tych czasach na-

pisane chociaż o wiele później ogłoszone drukiem, z których pierwsza była odwołaniem się do sprawiedliwości narodu francuzkiego w celu przywrócenia we Francyi zakonów a zwłaszcza Zakonu Braci Kaznodziejów ¹³⁾, a druga mistrzowskim obrazem życia ś. Dominika, o której sam Chateaubriand był wyrzekł, iż zawiera w sobie ustępy, które na zawsze zostaną chlubą literatury współczesnej ¹⁴⁾.

Jako Dominikan wrócił do Francyi w r. 1841 — a tegoż samego roku 14 lutego ukazał się znowu na ambonie Notre Dame. Mówił o podwójnej Ojczyźnie, ziemskiej i niebieskiej; przedstawiał najprzód chwałę, jaką Bóg w widokach swego królestwa przydziła naród francuzki. — Ogromna świątynia napełniona słuchaczami trzęsła się prawie uniesieniem, którego wybuchu już nie nie mogło powstrzymać — nagle mówca ustał a milczeniem swoim nakazał wszystkim milczenie i było znowu cicho, że się zdawało jak gdyby wszyscy przestali nawet oddychać a w tej majestatycznej cichości zabrzmiał na nowo silny i dźwięczny głos zakonnika: „Zanadto mówiłem długo, rzekł wreszcie, ależ to nie moja wina, tylko wina mojego narodu, wasza wina, bom ja wasze opowiadał dzieje, przebaczenie mi żem was zniewolił do spełnienia kielicha chwały aż do dna“.

A potem zmieniawszy ton, głosem smętnym a raczej ponurym tak mówił: „Francya jednak zdradziła własne „swoje dzieje! Francya zdradziła swoje wielkie postanowienie. Aż po wiek XVIII jeżeli ktoś w narodzie naszym powstał przeciwko religii, powstawał jako przeciwnik ogromnej potędze. Wiek XVIII rozpoczął z nią „walkę mieczem śmiechu i szyderstwa. Śmiech i szy-

¹³⁾ Mémoire pour le rétablissement en France de l'ordre des frères prêcheurs. 1841.

¹⁴⁾ Vie de Saint Dominique (zaraz po wyjściu na język polski przetłumaczone).

„derstwo zstąpiło z wytyń filozoficznych między dworaków, „śmiech przeszedł do szkół, salonów i między lud prosty. „Śmiech i szyderstwo dotarły aż do stopai tronu; śmiech „i szyderstwo widziano nawet na ustach kapłana; śmiech „bezecny, zabijający wśliznął się w ognisko rodzinnego „Aycia, zjawił się pomiędzy matką i dziećmi! Wielki „Boże! i z kogo, z kogo się śmiano? Francya trzęsa się „śmiechem z Jezusa Chrystusa i z Ewangelii!

„Gdyby się Bóg był radził swój sprawiedliwości, czy „wiecie co by był z nami uczynił? Byłby nas zabił, „byłby nas zgruchotał jako naczynie garncearskie i „w guiewie swoim byłby się naśmiał z naszego zachwal- „stwa. Wszakże nieuczynił tego, postanowił nas zbawić „ale przez expiacją tak wzniosłą jak straszliwą była „zbrodnia Francyi!“

Po tém kazaniu na długo znowu zamilkł dla Paryża wyjechał bowiem na prowincyą i kazał przez całą zimę r. 1842 w Bordeaux a w roku następnym w Nancy po czem schronił się do klasztoru w Bosco niedaleko od Aleksandryi, gdzie czas niejaki uczył nowicjuszków aż wreszcie na wezwanie arcybiskupa wrócił na mównicę Notre Dame i w siedmiu konferencyach poprowadził siedmią laty przerwana Apologią katolicyzmu.

Konferencye te mimo niewykończonój a często nawet zaniedbanój formy, mimo wad stylu, szorstkości i zbyt-tniej popularności wyrażen, mimo częstych i rażąco-nych wycieczek w zakres historyi, filozofii, polityki i umiejętności ścisłych mimo krwawej jaskrawości obrazów i śmiałości w porównaniach— zgoła pomimo wszystkiego, co im zarzucają bądź to pod względem formy, bądź pod względem treści są jednak, według sądu ludzi głębokich i z wysoka na rzeczy patrzących, są i zostaną jednym z najpiękniejszych kwiatów wymowy religijnej. Że też nie były bez ogromnego wpływu najlepszym tego dowodem jest owa chciwość i zapalczywość, z jaką do

samego ostatka napelniano katedrę Notre Dame, wiele kroć razy Lacordaire miał się odezwać; z jaką obok ludzi wszelkiego stanu a nawet rozmaitych wyznań cisnęło się tłumnie duchowieństwo świeckie i zakonne; z jaką sami biskupi przybywali do stolicy, ażeby obok tronu arcybiskupiego umieścić się naprzeciw ambony, z której pokorny i ubogi zakonnik potęgą bożego Słowa elektryzował umysły i serca i z niezrównanym wdziękiem majestat owego Słowa przedstawiał. Ostatnie z tych konferencyj miewane w r. 1851 o *Rządach Opatrzności* słuchane były z zapalem prawie niepodobnym do opisanja. Za każdym przestankiem trzeba się było obawiać, aby słuchacze już z samego usposobienia narodowego tak skorzy do objawienia swych uczuć niewybuchnęli jak to bywało w pierwszych latach głośnym i powszechnym oklaskiem, od czego mowca kilkakrotnie powtarzanemi prozbami a nawet i surowem upomnieniem zaledwie ich zdołał odzwyczaić. Zapewnie, że tego rodzaju demonstracye niedowodzą jeszcze zbawiennego działania słowa, ale kiedy po skończonych konferencyach konfesyonały zaczynają być w coraz większem obłęzieniu, kiedy liczba komunij Wielkanocnych rok rocznie już niepowiem podwaja się, ale się mnoży, potęguje, kiedy zamiast dwóch tysięcy przystępujących w tym czasie, jak to niestety bywało przed dwudziestu laty, przystępuje sto tysięcy, kiedy się tłumnie nawracają żydzi, protestanci, ateusze, racjonalisci, rozpustnicy niemal po każdorocznem wystąpieniu mowcy, naówczas trudno byłoby chcieć zaprzeczyć ogromnego a rzeczywistego wpływu jaki ów mowca na słuchających wywiera. Być zresztą może iż do stóp Ołtarza niewielu doprowadził, jak niektórzy utrzymują, aleć jeżeli, czego nikt zaprzeczyć niemoże, jeżeli on nieujęte przedtem tłumy potęgą słowa do kościoła sprowadził, on też ma wielką zasługę w doprowadzeniu tych tłumów do osta-

tecznych następstw nawrócenia; bo jakież byłby sposób na zniewolenie do praktyk kościelnych tych wszystkich, którzy niedawno jeszcze ani wiedzieli, ani chcieli o kościele wiedzieć? Powiedzieliśmy, że konferencye te są i *zostaną* jednym z najpiękniejszych kwiatów wymowy religijnej. Proszę zaś zważyć, iż dla mowcy jak Lacordaire, który nigdy swych kazań niepisze, ale który owszem, jak sam wyznaje w tenczas z największą łatwością mówi, kiedy najmniej porządkuje, to co Bóg w czasie modlitwy i pobożnego rozmyślenia poda, że dla takiego mowcy wcale niełatwo przejść silnym wpływem do potomności. Zwykle kazania tego rodzaju schwyta i wydrukowane, kiedy się już niesłuchają, ale tylko czytają niemają wiele pociągu, owszem rażą i nudzą swoją długością swemi zboczeniami, brakiem barwy, ognia, życia, brakiem akcyi, zgoła brakiem wszystkiego, czem mówiący może wpływ słowa niezmiernie podnieść i czem na słuchaczów działa. Kazania nawet wypracowane i głęboko pomyślane, kiedy się tylko czytają w książce a nie zaś słuchają tracą na mocy i są po prostu czytaniem, które może działać na umysł, ale nadzwyczaj rzadko działa na zdobycie przekonania; oż dopiero kazania mówione bez przygotowania i w większej części pomyślane dopiero wówczas, kiedy mowca już stoi w obec swych słuchaczy? takie improwizacye schwyte przez stenografów i wydrukowane mogą wprawdzie dać jakieś pojęcie rzeczy — ale będzie to coś podobnego do pojęcia, jakie daje wierny szkic o pięknym obrazie; będzie to może kwiat, ale kwiat zasuszony bez pełności kształtów, bez barwy i bez zapachu.

To prawie powszechna reguła; wszakże Lacordaire stanowi w tej mierze ogromny wyjątek. Jego konferencye czytają się jak się czytają kazania Bossuet'a, jak się czyta wykład na Ewanielią ś. Augustyna. Wielki

improvizator zda się być wielkim pisarzem; jeżeliś słyszał którą z jego konferencyj czytasz ją potem nie z równem prawdzie, ale z podobnem wzruszeniem i zajęciem; czujesz w nich wyraźnie pełność i siłę, która się tylko przez modlitwę, przez pracę ducha i przez badanie dzieł świętej mądrości z wyższego zaczerpuje świata.

Pomimo tego, zarzutów niebrakowało, a świeckie i duchowne krytyki nieraz z całą zajadłością ścigały wielkiego mowcę. Wielu z poważnych nawet duchownych, niemogą mu przebaczyć, że sobie stworzył formę całkiem inną od téj, w jakiej mówili Bourdalou, Bossuet i Massillon, zapominają jednak, że on mówił do całkiem innej społeczności; że nie mówił dla ludzi mierzących rzeczy łokciem akademickiej piękności ale, że mówił do dusz umęczonych niewiarą a łaknących światła i pociechy; że mówił o rzeczach boskich w takiej formie i takim językiem, jakich właśnie potrzeba było, aby się dobrać do serca, jakich wymagało obecne stanowisko słuchających, a nie zaś w owych, jakie przypadać mogły do epoki wielkiego wprawdzie zepsucia pod względem moralności, ale jeszcze dosyć silnej wiary. Lacordaire niemógł wystąpić jak występował Bossuet lub Massillon, bo on to czuł dobrze, właśnie jako wielki mowca, że się trzeba było odezwać nie do jakiejś cząstki ludzi, nie do téj lub owéj koterii, ale do wszystkich a szczególnie do młodzieży i do ludu niepojmujących wcale ani podobających sobie w doskonałościach form, ale potrzebujących słowa prawdy, słowa życia, słowa zastosowanego do ich potrzeb i pojęć, słowa że tak powiem przyjacielskiego, któreby mniej rozkazywało, więcej goiło, słowa litującego się, współczującego, na podobieństwo słowa Chrystusowego mówiącego z góry do tłumów łaknących chleba wiary i spragnionych winą duchownej pociechy. Inni znowu 'mają mu za złe, iż

więcej ściągał słuchaczy siłą erudycji, poezją, blaskiem niezwykłych form, niżeli istotą rzeczy; niemogąc ścierpieć tej nowej potęgi tak wzruszającej i porywającej i niemogąc zaprzeczyć oczywistego powodzenia, to mu zarzucali, co właśnie było najpiękniejszą jego chwałą, co mu dawało wyższość nad innych, to jest, że niemówił, jak mówili inni i często nad zasługi jego przekładali zasługi proboszczów i wikaryuszów parafij pracujących bez rozgłosu, jakby na przykład można zarzucać naszemu Skardze, że o nim współcześni i potomni więcej mówili, niż o pracujących podówczas w mieście lub na wsi proboszczach.

Tego rodzaju krytyki lub ubolewania zwykle się powtarzają przez ludzi, którzy religią i wszystko co się do niej odnosi pojmują ze stanowiska zwykłych spraw doczesnych a to tylko za dobre uznają, co się w pewne rubryki da ująć; ludzie którzy bądź to w skutek zobojętnienia religijnego, bądź też w skutek pokrytości, czy też zresztą w skutek swój mierności i niechęci dla wszystkiego co się tylko nad jej poziom wzniesie, wiecznie objawiają swe podejrzenia i obawy, skoro się tylko dowiedzą o energiczniejszym i do istotnych potrzeb religijnych zastosowaniem wystąpieniu, wiecznie lamentują ze strachu, żeby przypadkiem sprawa religii nie postąpiła *za nadto*. Według nich, wszystko, co tylko wychodzi po za obręb *status quo* nie jest warte, i tylko śmiechu albo potępienia godne. Bez żadnego względu, czy ów *status quo* dobry lub zły, czy zgodny z duchem Kościoła, czy temu duchowi przeciwny, czy prowadzi do jakiegoś rezultatu czy pomaga tylko do zmartwiałości, czy jest wypływem wiary lub niewiary, dzieckiem szczerze katolickiej lub całkiem bezbożnej epoki, bez żadnego na to względu, zawsze ów stan w ich argumentowaniu jest punktem wyjścia i stanowi tak zwaną w języku scholastycznym *propositio maior*, zawsze ich *ergo*

jest wystrzałem przeciw wszystkiemu, co z ową propozycją nie kwadruje. Podobnie jak w hierarchii kościelnej gotowi zawsze lekceważyć Papieża i władzę jego określać na rzecz biskupów dla tego, że Papież daleko a biskupi blisko, dla tego że zgnilizna febronianizmu przesiąkła w społeczeństwo do którego należą, — podobnie jak gdy tego potrzeba, poniewierają powagę biskupów i nad ich działanie stawiają działanie proboszczy, dla tego może, że owa powaga zadrasnęła w czemś miłość ich własną — podobnie wreszcie jak nad działanie kapłana pasującego się z niewiarą i zepsuciem klas miejskich oceniają nieskończenie wyżej działanie wiejskiego proboszcza, dla tego że sami nic nie robią, albo też to tylko robią, co się robi zwykle, aby się przecie jako tako to życie plużyło — tak podobnie zdawało się onym sędziom wielkiego mowcy, o którym mówimy, iż go całkiem z wysokości na której stanął strącili i zgnetli, — owszem, że coś nader słusznego i stanowczego orzekli, kiedy poczęli krzyżeć, że pierwszy lepszy wiejski wikaryusz sto razy więcej się poświęca i więcej z działania swego może mieć zasługi niż kaznodzieja Lacordaire.

Z drugiej strony racjonaliści w żaden sposób nie mogli tego strawić, że mnich jeden z taką odwagą i z taką siłą odważył się powstawać przeciwko systematom przez nich podejmowanym, tworzonym, wznawianym lub od Niemców zapożyczanym i wyznawanym z pewnego rodzaju zaciekłym fanatyzmem. Ci więc zarzucali znów mowcy, że w obec wiary ludzki rozum upokarza i że naturalnej ludzkiej nie dość uznaje godności. Chcieliby byli, ażeby Lacordaire tak, jak on widział tylko w nauce Jezusa Chrystusa pewną wielką epokę w rozwoju ludzkiego ducha, pewne tylko ogniwo w postępie cywilizacji do której ludzkość w moc swoich naturalnych potęg zmierza, tymczasem mowca przekonywał

i mnóstwo przekonał, że okrom imienia Jezusa Chrystusa, nie było, nie ma i nie będzie żadnego imienia, któremu by rodzaj ludzki miał zawdzięczać swe zbawienie, że po za Ewangelią nie ma nic innego okrom ciemności, że po za moralnością Ewangeliczną jest tylko nędza i zbrodnia, że po za katolicyzmem jest tylko wieczne i doczesne piekło. Przecież tak będąc przekonany i tak nauczając bynajmniej niezaprzeczał rozumowi jego praw w właściwym zakresie, owszem nazywał go nawet w zakresie religii *siostrą wiary*, uwielbiał jego działalność, pieścił się przedstawiając jak bogato Bóg obdarzył człowieka, gdy go obdarzył rozumem.

To co do krytyki, teraz abyśmy mogli ocenić rzeczywistą wartość mowy, na to potrzebaby go koniecznie słyszeć a przynajmniej trzebaby konferencye jego porządnie przeczytać. Konferencye te ogłaszane drukiem w miarę jak były mówione stanowią trzy wielkie tomy, z których każdy zawiera w sobie trzy lata. Tom czwarty ma dopiero jeden poszyt i byłby już zapewne skończony, gdyby mówca nie był zmuszony zamilknąć na lat blisko cztery, wszakże spodziewamy się że ukończony będzie niezadługo, gdyż znowu roku zeszłego odezwał się w jednym z wielkich miast Francyi, a peryodyczne pismo *Le Correspondent*, którego Lacordaire jest współpracownikiem, przyobiecuje wkrótce ogłosić ośm konferencyj mających stanowić drugi poszyt tomu czwartego.

Mamyż szczegółowo dotknąć tej znakomitej pracy, przedstawić treść każdej konferencyi a przynajmniej każdego poszytu? Byłaby to rzecz i zbyt uczaj trudna. Zbyt uczaj trudna, albowiem w artykule niniejszym nie zamierzylśmy mówić o kaznodziejskich dziełach Lacordair'a, ale o Lacorderze jako o najznakomitszym z tegoczesnych kaznodziei; a nadzwyczaj trudna, gdyż chcieć przedstawiać treść kazań improwizowanych, w któ-

rych każdy niemal okres ma swe osobne skarby i które nie ulegają żadnej tożsamości formy, byłaby to praca więcej może wymagająca mozółu i czasu niż gdybyśmy chcieli przedstawić je w całkowitym przekładzie.

Wszakże aby czytelnikowi dać jakiegokolwiek pojęcie owej potęgi i świeżości, jaką ten mówca jaśnieje na widnokregu wymowy religijnej, sądzimy że nie od rzeczy będzie zakończyć tę pierwszą część naszej pracy przytoczeniem chociaż kilku ustępów szczególnie nacechowanych ową świeżością i siłą. W pierwszych ośmiu konferencyach mianych w roku 1835 — mówca zaczął od apologii Kościoła. Mówi najprzód o potrzebie Kościoła nauczającego i o jego wyłącznym charakterze, następnie przedstawia hierarchiczny układ Kościoła, jego moralną władzę i nieomylność, ognisko tej władzy i nieomylności w Namiestniku Chrystusa a gdy przychodzi do stosunków Kościoła z władzą świecką i wykazuje że Kościół moc swoją i swe posłannictwo wziął prosto od Boga, na zarzuty nieprzychylnych Kościołowi a nawet nienawistnych, których podówczas wcale nie brakowało we Francyi, tak odpowiada:

„Jeźliby się ktoś zapytywał, jakim prawem Kościół „moc tę odebrał władzcom ziemskim, jakim prawem „władzę swoją obok władzy Cezarów postawił, to za- „pytanie wychodziłoby zupełnie na jedno i toż samo „jak gdyby zapytywał jakim prawem Chrystyanizm „śmiał się ustalić wśród ludzi? Ależ Chrystyanizm róż- „nie stary jak ten świat; Kościół nikomu niewydarł „wewnętrznej, boskiej siły łaski, bo tej siły krom Ko- „ścioła nikt nieposiadał na ziemi, a co do wolności „ogłaszania Ewangelii, tej także z nieczyich innych rąk „niewziął, tylko z rąk boskiego swego ustawodawcy. Tak „jest, żadna z potęg tego świata ani tej mocy niepo- „siadała, ani tej wolności zaprzeczać Kościołowi niemo- „żli. Kościół ją z prawa boskiego posiada. Kościół nau-

„czu, bo mu to Jezus Chrystus nakazał mówiąc: *Idźcie i nauczajcie wszystkie narody*. Kościół odpuszcza grzechy, bo Jezus Chrystus doń wyrzekł: *Odpuszczajcie grzechy, co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie*. Kościół działa, uświęca i zbawia, bo Jezus Chrystus dał mu w tym celu razem moc i wolność mówiąc: *Bierzcie Ducha świętego*; a tak i jedno i drugie „wziawszy od Boga posiadamy jedno i drugie właśnie „dla tego, żeśmy je wzięli od Boga. Potęgi tego świata „mogą sobie podać ręce, ażeby waleczyć przeciw tym „przywilejom Kościoła, mogą te prawa znieważać hańbiąciami nazwy, mogą je przedstawiać jako zgubne „społeczeństwu, ale Kościół nieprzestanie dla tego opowiadać prawdy, odpuszczać grzechów, waleczyć przeciw „występkom i uświęcać Duchem Bożym. I jeźliby nas „za to skazano na wygnanie, my na wygnaniu toż samo „czynić będziemy, i jeźliby nas wtrącono do więzienia „my i w więzieniu zrobimy toż samo; i jeźliby nas obciążono kajdanami i jak złoczyńców do kopalni lub „na galery wysłano, mybyśmy to samo w kopalniach „lub na galerach czynili. Z jednego miejsca wygnani „spieszylibyśmy na drugie, bo nam powiedziano, że do „skonczenia świata nie braknie nam miejsca na ziemi „ku opowiadaniu królestwa Bożego. A gdyby nas ze „wsząd wygnano, gdyby potęga Antychrysta wzniosła swe „berło nad światem, naówczas my ucieczemy do grobów, „my jak pierwotni męczennicy schronimy się do katakumb. Gdyby zaś i tam nas ścigano, i gdyby nas „z grobów wywleczono na rusztowanie, naówczas w sercu każdego szlachetnego człowieka my znajdziemy „jeszcze schronienie, tak jest, bo my nigdy nie zwątpimy o prawdzie i o sprawiedliwości ⁽¹⁵⁾!“

⁽¹⁵⁾ Sixième Conférence. Des Rapports de l'Eglise avec l'ordre temporel. T. I.

Po tym ogólnym wykładzie nauk o Kościele, w roku następnym (1836) mowca przystąpił do szczegółowego przedstawienia ustawy, posłannictwa i władzy Kościoła pod światłem Pisma ś., Tradycyi, Rozumu i Wiary, a traktując z osobna te wielkie próbiez Prawdy katolickiej, w ostatniej konferencyi o sposobach nabycia wiary mówi o modlitwie jako właśnie o najpotężniejszym środku zyskania wiary, a mówi z taką siłą i słodyczą, z tak głębokiem przejęciem się tym najdroższym podarunkiem, jakim Bóg obdarzył człowieka a razem z tak ścisłym zastosowaniem się do osłabionej niewiarą a zdruzgotanej nieszczęściami generacyi, przyszłej na świat w pośród bluźnierstwa i okropnych wstrząśnień, że sam ten ustęp wystarczałby za dowód nie powiem już wyższości kaznodziejskiego talentu, ale wyższości posłannictwa do odradzającej się społeczności XIXgo stulecia. Oto są jego słowa:

„Bóg sam się raczył uczynić dłużnikiem wielkiej naszej nędzy. Bóg w serca nasze wlał cudowną moc, którąśmy mogli rozbroić jego gniew, przychyłać sobie jego łaski, złagodzić straszną nierówność pomiędzy człowiekiem-grzesznikiem a Bogiem — niewysławioną świętością. Bóg to uczynił, gdy nam dał modlitwę. „Modlitwa jest królową świata. W pokorne przybrana szaty, z pochylonem czołem, z wyciągniętymi rękoma ona świat ten osłania i ratuje swym błagalnym majestatem. Ona ustawicznie z serca nędzarza płynie do serca Ojca i Pana wszechrzeczy, a im niżej to serce z którego ona na skrzydłach jęków wybiega, tém wyżej biegnie, tém pewniejsza wygrana. Gdyby robak mógł się modlić, gdyby nas zdołał błagać w chwili kiedy go zdeptać myślimy, czyliżby w sercu naszym nie obudził wielkiego politowania? Dla czego? bo ten robaczek daleko niżej od nas, a kiedy bez porównania, my nieskończenie niżej względem Boga, więc też za-

„dla prośba nie mogłaby tak być potężną, zwycięską, jak ta, która z serc naszych biegnie aż do jego tronu! Ona też wciąż odnawia nasze związki z Bogiem; ona go nam zniewala, ale tak cudownie zniewala, że w niczem wolności jego nie nadweręża; ona też jest w nas matką wiary. I dla tego wyrzekł był Chrystus: *Proście a będzie wam dano, szukajcie a znajdziecie, kołaczcie a będzie wam otworzono. Albowiem wszelki, który prosi bierze, a kto szuka znajduje, a kołaczącemu bywa otworzono*“ ¹⁶⁾.

W roku 1843, kiedy po siedmioletniem milczeniu ukazał się znowu w kościele Notre Dame i już nie jako kapłan świecki ale jako Dominikan miał poprowadzić dalej swe dzieło, wielu się obawiało, czy te lata przepędzone w zupełnem oderwaniu się od świata, wśród ćwiczeń zakonnych i głębokich badań teologicznych nie odjęły mowcy tej młodzieńczej energii i świeżości, tej pełności życia, jaką przedtém drgało każde jego słowo — ale obawy za pierwszym wystąpieniem przeszły w uniesienie bez granic, kiedy się pokazało, że mowca nic nie straciwszy z dawnego, zyskał owszem bardzo wiele, że nie zestarzał, ale tylko zmęźniał i pod względem myśli i pod względem wyrażenia. W tym roku mówiąc o wpływach nauki katolickiej na ducha ludzkiego i przedstawiając między skutkami tego wpływu najprzód pewność rozumową a potem pewność mistyczną, jakimi katolicyzm obdarza człowieka, dowodzi pod względem pierwszej, iż ona nie jest owocem badań filozoficznych, naukowych, ale skutkiem bezpośredniego działania Boga; że w przeciwnym razie pewność ta rozumowa będąc potrzebną każdemu człowiekowi, jako istocie myślącej, byłaby tylko możebną, pewnej części ludzi mających i czas i zdolności do badań ściśle naukowych. „Powiecie

¹⁶⁾ S. Mat. r. VII, w. 7 i 9.

„może, mówi on, iż dla reszty zgotował Bóg *pewność*
„*rozumową pośrednią*, że ich postawił w zetknięciu z tymi,
„którzy posiadają umiejętność, z arystokracją wiedzy i
„pewności rozumowej? — Ależ nie zapominajcie, że na
„tęj ziemi są dwie powagi nauczające, jedna, która
„twierdzi a tą jest Kościół katolicki; druga, która prze-
„czy a tą jest racjonalizm! Nie zapominajcie, że na tej
„ziemi istnieje ogromne sprzysiężenie umysłów, do tego
„stopnia, że kiedy lud chce (co się tylko przypuszcza),
„że kiedy, mówię, lud chce się odnieść do powagi, mię-
„sza się natychmiast i sam nie wie co sobie ma począć.
„Bo lud widzi z jednej strony ten zadziwiający Kościół,
„to zgromadzenie ludzi, którzy porwani jedną myślą,
„jedną siłą — wierzą, twierdzą, chrzczą, poświęcają się
„praktykami swęj wiary; ma przed oczyma ten ogro-
„mny widok nauczycielstwa katolickiego, wyrażający się
„w modlitwie przez świątynie, w słowie przez kazania
„i katechizmy, w życiu przez miłość, w poświęceniu
„przez rozlanęj krwi świadectwo..... ale ten sam lud
„widzi z drugiej strony ludzi, którzy nauczają wprost
„przeciwnie, którzy bluźnią lub szydzą z rzeczy wiary,
„znieważają świątynie, stawiają filantropią naprzeciw
„miłości, księgi przeciw księgom, uczonych przeciw pa-
„sterzom, prozelityzm niewiary przeciw żarliwości w na-
„wracaniu do wiary!... I czyliż łatwo temu ludowi,
„niememu świadkowi tak okropnej walki, czy jemu tak
„łatwo zdać sobie sprawę ściśle umiejętnie, rozróżnić
„filozoficznie w tym podwójnym głosie uderzającym bez-
„ustannie jego słuch zdziwiony, który z nich jest krzy-
„kiem fałszu a który echem żywej, boskiej prawdy?!

.....
„Czyż w samej istocie sądzicie, że Wielki Bóg zrobił
„zależnym abawienie swego ludu od tych wszystkich
„kłótni i logogryfów, któremi się szamota mądrość ludz-
„ka od sześciu tysięcy lat? Żywie Bóg tak nie jest i

„tak nie będzie! Prawda nie jest jak ów bajeczny a „potworny Sfīx dający ciągle zagadki, a tych, którzy „ich nie umieją rozplątać, pożerający bez miłosierdzia!

„Przypuśćmy, że się lud odniesie do powagi czysto „ludzkiej, czy wiecie, co by ztąd wypłynęło? Oto ludz- „kość rozpadłaby się na dwie kasty. Byliby brami- „i Parias. Jedni by stali w bezpośredniem zetknięciu „z nauką, drudzy by ją brali przez trzecie ręce; jedni „widzieliby prawdę, mówiliby z Bogiem, drudzy mówi- „liby tylko z człowiekiem i nie widząc nic okrom czło- „wieka, z rąk człowieka na ślepo odbieraliby prawdę, „którą tylko mędrcy mogliby zgłębiać na mocy wyją- „cznego przywileju; taka zaś pewność jest-li czémś in- „nóm jak wiarą? Wierzonoby wówczas w naukę kato- „licką, jak się wierzy, że był kiedyś Cezar, ponieważ „ludzie świadczą, że był. Bóg i Cezar mieliby za sobą „jedną i tę samą pewność“ ¹⁷⁾.

Kończąc tę konferencyę po przedstawieniu téj głębo- kiej wiary, która lud prosty, niewiastę i dziecię tak sil- nie jednoczy z Kościołem, zapytuje:

„Jest-li to powątpiewanie, lub jest-li to pewność ja- „sna światłością wyższą nadnaturalną? Boć jeżeli to jest „pewność jasna światłem tylko naturalném, mogliby wam „przecie coś odpowiedzieć gdy im dowodzicie że nauka, „którą wyznają jest błędem i kłamstwem, tymczasem „nie odpowiadają nic. Wy im dowodzicie metafizycznie, „historycznie—wy mówicie do jednego z nich: ale mój „bracie, ty jesteś władzą a Kościół ciebie zrobił niewol- „nikiem; tobie przeznaczone bogactwa a Kościół zrobił „cię nędzarzem; twój głód, to Kościół; to że pragniesz, „to Kościół; to żeś nędznie przyodziany, to Kościół; „śpisz na barlogu, to Kościół—wszystkich twoich cier-

¹⁷⁾ Année 1843, Quatorzième Conférence. De la certitude ration- nelle produite dans l'esprit par la doctrine Catholique.

„pień Kościół jest przyczyną a ty tego nie widzisz! —
„Tak jest, wy tak przekonywujecie, ale powiadam wam
„z góry, że ten nędzarz nic wam na to nie odpowie.
„Gdybyście przynajmniej pomówili ze mną, moje słowo
„mogłoby się zmierzyć z waszém, ale ten lud prosty,
„cóż wy chcecie, żeby ten lud odpowiadał, kiedy on
„nie ma ani waszego rozumu ani waszój nauki? — Na
„szczęście lud ten ma światło boskie, w obec którego
„wasze rozумы są niczém. Wasze téż słowo tyle na nim
„sprawia, ileby sprawił widok ślepego zaprzeczającego
„bytu słońca. My widzimy to słońce przedwiecznej pra-
„wdy — wasze słowa nam przeczą. Cóż ztąd? My was
„nawet nie słyszymy. Wasz głos obok głosu mówiącej
„w nas pewności niknie jak brzęczenie natrętnój muchy
„wśród grzmotu wzburzonych żywiołów!“

W innej konferencji mówiąc o pewności mistycznej jako o drugim skutku nauki katolickiej ze względu na ducha ludzkiego i twierdząc, że ta pewność jest możebną i rzeczywiście istniejącą tak się wyraża:

„Czyż rozumiecie w samój rzeczy, że Bóg tak na rze-
„czy patrzy i tak je widzi jak my je widzimy? Czy
„rozumiecie, że On, który jest światłością istotową, w so-
„bie istniejącą, postępuje tak jak my, w sposób czysto
„rozumowy, to jest kładzie zasady, z zasad wyprowadza
„wnioski a z wniosków znowu powraca do zasad; zgola,
„że jak my, w poznawaniu rzeczy przechodzić musi ca-
„ły ów proces, który zowiemy rozumowym, logicznym,
„naturalnym, filozoficznym (mniejsza o nazwę)? Nie.
„Bóg jedném prostém spojrzeniem ogarnia wszystko,
„widzi wszystko, zna wszystko, siebie samego i wszy-
„stko, cokolwiek jest możebném, cokolwiek z woli jego
„może istnieć, jednym, niezmiennym aktem wszechwie-
„dzy widzi wszystko, co było, jest i będzie po miria-
„dach wieków — całe następstwo i zmienność rzeczy stwo-
„rzonych. Proszę was teraz, dla czegożbyśmy w pewnym

„stopniu nie mogli mieć udziału w tém nadprzyrodzonym,
„nadumysłowém świetle? Dla czegoż Bóg, który czo-
„wiekowi dał możność poznawania przez zasady i wnio-
„ski, nie mógłby nam udzielić dla pewnych przedmio-
„tów, w wielkich celach coś z własnej swojej światłości?
„Dla czegożby człowiek, który posiada zdolność wnio-
„skowania i odnoszenia się do zasad, nie mógł posia-
„dać siły czystego poglądu — intuicyi? Czyż nieposia-
„dacie téj władzy, w zakresie nawet tylu niższych rze-
„czy będących przedmiotem waszego badania? Czy nie
„posiadacie téj intuicyi, tego wewnętrznego poglądu na
„rzeczy, tego doraźnego chwytania razem i zasad i wnio-
„sków?

.
„W wielkich bataliach czemuż jest geniusz wojenny?
„Kiedy wódz mając dwakroćstotysięcy po za sobą i
„dwakroćstotysięcy przed sobą, stoi wśród gęstych dy-
„mów, wśród ścierających i krzyżujących się mass i
„kiedy każde doniesienie przerywa w połowie jęk śmierci
„donoszącego, nagle (jak mówi Bossuet nad zwłokami
„Kondeusza) porywa go i ogarnia jakieś światło nie-
„spodziane, duch jednym spojrzeniem obejmuje wszyst-
„ko — wydaje ostatni rozkaz i już spokojny bo pewien,
„że wszystko skończone.

„Jako nazwiecie, jeżeli zaprzeczacie pewności mi-
„stycznej?”

.
„Czy powiecie, że to zjawisko niebędąc rozumowem,
„niemoże też być przedmiotem daskussyi?..... To zwy-
„kła taktyka niewiary. Wiecie-li na czem cała jęj zręcz-
„ność polega? Oto na rozdzielaniu w tajemnicy wiary
„od siły mistycznej. Rozdzielają, aby tem łatwiej poko-
„nać, bo każda z osobna wzięta nierozwiązuje trudności.
„Jeżeli im stawiamy *siłę rozumową* nauki katolickiej,
„wówczas mówią: „Ależ zwróćcie uwagę na dzieci, na

„kobiety, na lud prosty,— jest-li dla nich ta nauka ro-
„zumną?“ I wnoszą ztąd, że ogromna większość nie-
„może osiągnąć pewności rozumowej. Jeżeli teraz prze-
„ciwnie przedstawimy *im siłę mistyczną*, wnet odpowia-
„dają: „Ależ to siła wcale nierozumowa, to może coś zna-
„czyć w przekonaniu dziecka, kobiety lub prostego lu-
„du.“ Więc znowu wnoszą, że siła owa niczem niejest
„w odniesieniu do uczonych. Ale czegoż to dowodzi?
„To dowodzi, że nienależy rozdzielać czego rozdzielać
„niemożna. Siła rozumowa i siła mistyczna to dwa fi-
„lary, na których w nas sklepienie prawdy oparte. Siła
„rozumowa, to ciało; siła mistyczna to dusza. Ciało bez
„siły mistycznej jest trupem, siła mistyczna bez ciała
„jest niepochwyconą fantazyą!“

.
„Kościół w moc siły rozumowej i siły mistycznej
„zbudował w tym świecie gmach, którego zewnętrżność
„i wewnątrz utrzymują się wzajemnie i odpowiadają
„wszystkim potrzebom ludzkości. Widział to Jan święty
„na wyspie Patmos, gdzie był wygnany za wiarę. Za-
„chwycony usłyszał wielki jakiś szum, a odwróciwszy
„się ujrzał Syna człowieczego, z którego ust dwa ostre
„wychodziły miecze. Dwa te ostre miecze są żywym
„obrazem dwoistej siły Kościoła. Miecz Kościoła jest
„podwójny— jednym walczy przeciw mędrcom dumnym
„siłą rozumową; drugim podcina umysły ciemne dumne
„siłą mistyczną. Uczujcie! ach uczujcie uderzenie tego
„miecza, którego jedyna rękojeść w prawicy Boga— a
„podwójne ostrze— wszędzie; ⁸⁾!“

Na dowód jak fałszywemi są zarzuty racjonalistów,
iż Lacordaire na rzecz wiary zaprzecza rozumowi jego

¹⁸⁾ Dix-huitième Conférence. Des Causes de la certitude supra-
rationnelle ou Mystique produite dans l'esprit par la doctrine ca-
tholique.

praw, a z drugiej strony jak fałszywemi są krzyki-z obozu wprost przeciwnego, iż rozumowi przyznaje zbyt wiele— na dowód jak pod tym względem głęboko wchodzi w myśl katolicyzmu, który stawiając tamę zuchwałym szamotaniom się rozumu, jednak prawa jego nawet w badaniu prawd religijnych uznaje, hyleby wzajemnie rozum uznawał swoje granice, przytaczamy jeszcze z tej części następujący ustęp.

„Katolicy wierząc, posiadają też pewne świadome i „niezmienne przekonanie tego co wierzą, acz w rozmaitym stopniu..... Kościół nigdy niepozwalał nato, „aby przekonanie religijne odzierano z powodów rozumowych i zawsze stawiał opór tym, którzy go chcieli „ogolocić z jego przedniej strażnicy logicznej, z jego podstaw w porządku obecnym, widzialnym. *Kościół ocalił „rozum, tak jak ocalił wiarę.* Zajęty bezustannie utrwaleniem panowania wiary i jej potężnych, boskich wpływów na dusze, oraz utrwaleniem panowania łaski, czuwa także nad zachowaniem praw rozumu, tego rozumu, „który się zbroi, walczy w sprawie wiary i sprawia, że „ta wiara będąc aktem nadnaturalnym, jest także przedmiotem jak najgłębszych badań naukowych. Któżby „śmiał zaprzeczyć tego sojuszu wiary z rozumem w ś. „Augustynie, w ś. Tomaszu, w Bossuetcie, Fenelonie „i tylu innych, których niewymieniam z obawy, aby „im nie było ciśnień w moich ustach, jak waszym głowom w tej wielkiej świątyni? Któżby śmiał twierdzić, „że te olbrzymy nie byli razem ludźmi wiary i ludźmi „rozumu, że dłoń ich wprawna niewalczyła z równą „doskonałością mieczem loiki jak mieczem łaski? Kto „nam, katolikom śmiałby zaprzeczyć rozumowi? Jesteśmyż „nierozumnymi dla tego, że *rozum schylamy pokornie „pod stopy wiary, że twierdzimy, iż światło skończone „niższe jest i słabsze od światła nieskończonego?* Jakto? „Czyż dla tego, że twierdzę, iż słońce niejest Bogiem

„zaprzeczam słońcu, że świeci i świat ten oświeca?
„Posiadamy więc świadome przekonanie Chrystyanizmu,
„jesteśmy jako dzieci w obec Boga Stwórcy naszego,
„ale jako dzieci spoglądające na ojca, rozmawiające
„z nim razem językiem czasu i mową wieczności!....“

Konferencye o pokorze, czystości i miłości téj potrójnej koronie katolicyzmu, której mu żadne usiłowania i wal-ki fałszywych religij, żadne zamachy fałszywych filozofij wydrzeć nie zdołały, a która najwymowniej świadczy, że nauka katolicka zstąpiła z nieba, aby nam rozjaśniała i ułatwiła drogę do nieba — Konferencye te są według najsurowszych krytyków arcydziełem kaznodziejstwa. W nich mowca zdaje się czytać w sercu Zbawiciela, zdaje się mieć przed oczyma te trzy królowe chrześcijańskich cnót, te trzy arcy-cnoty, w których Bóg-człowiek przedewszystkiem naśladować się każe. On je przedstawia nie z téj wybladłej strony, z jakiej się na nie zapatrują ci wszyscy, którzy o pokorze, czystości i miłości prawią, jak się prawi o skromności, przyzwoitości lub uprzejmości, ale widząc w nich dar Boga-człowieka, mówi o nich z jak najżywotniejszym odniesieniem się do zasadniczego dogmatu Chrześcianizmu, to jest do Łaski; wykazując bowiem, iż człowiek w zepsutej swojej naturze raczej do pychy, nieczystości i samolubstwa skłonny, oczyszczony przez katolicyzm, bierze z rąk jego potrójny kapitał tych cnót, aby go w końcu z procentem własnych czynów i zasług powrócił Boskiemu dawcy. Dowiódłszy tym sposobem, że sam tylko katolicyzm przez owe cnoty umoralnia człowieka przechodzi następnie do wykazania, iż kiedy ani racjonalizm, ani despotyzm, ani kacerstwa nie posiadają organizacyjnej siły społeczeństwa, ale owszem społeczeństwo albo do śmiertelnych wstrząśnień albo do zgnilizny materializmu wiodą, katolicyzm tymczasem podnosi, skupia, ożywia i buduje. Trudno opisać, z jaką znajomością ludzkiego

serca i stosunków tak rodzinnych jak społecznych przedstawia wpływ katolicyzmu na społeczeństwo co do prawa, własności, rodziny i władzy.

Tak odsłoniwszy wszystkie cudowne wpływy nauki katolickiej przedstawiwszy jej nieocenione zasługi pod względem umysłowym, moralnym i społecznym, przystępuje nareszcie do boskiego Twórcy tej nauki, do osoby Jezusa Chrystusa i przedstawia Go z kolei w życiu wewnętrznym i cudownym, w jego działaniu zewnętrznym, w ustanowieniu, rozszerzaniu się i uwiecznieniu jego królestwa. Mówiąc o potrójnym królestwie Chrystusowym i wystawiwszy w straszliwych barwach czém był świat w chwili gdy Chrystus wśród niego królestwo swoje rozpoczął — jakie bóstwa stały na ołtarzach gdy je przyszedł mocą swego słowa zepchnąć, aby sam był czczony na wszystkich świata ołtarzach — nakoniec jaką była potęga pogańskiego Rzymu w chwili, kiedy go przyszedł przez swych apostołów zmienić na stolicę swego królestwa na ziemi, tak kończy:

„Rozkaz jego brzmiał na cały świat a woli jego stało się zadosyć. Na opustoszałe ołtarze cóż w miejsce „dawnych bóstw wzniesiono? Człowieka poniżonego, „skazanego na haniebną śmierć, człowieka przybyłego „z krainy, nad którą Rzym władał śmiechem, wzgardą i uciskiem! Na ołtarzu postawiono Nazareńczyka, „Żyda ukrzyżowanego! Poniżenie w miejsce wielkości! „Pokuta i umartwienie w miejsce rozpusty! Pokuta i umartwienie — jakież to słowa! Dziś, po dziewiętnastu „wiekach istnienia królestwa Chrystusowego zaledwie „śmiem je wymówić, czując niestety, jak ponuro brzmią „jeszcze w uszach waszych wciąż karmionych językiem „Ewangelii — a tu — to samo słowo trzeba było wypowiedzieć z całym przyciskiem, wypieszczonym, rozpustnym, urzędowo-religijnie rozpustnym Rzymianom!

„..... Trzeba im było powiedzieć: Oto przychodzimy „z różgą w ręku, aby was nauczyć, że z ciałem macie „postępować jako z niewolnikiem i że inaczej nie wy- „zwolicie swęj duszy tylko podbijając to ciało w każd „niewolnictwa. Trzeba się było tak odezwać do ludu „nadętego siedmiowiekową wielkością, sławą i potęgą! Trzeba było zniweczyć Boga usprawiedliwiające „wystawne tego ludu sromoty!

„Rozkazał — a królestwo bałwanów runęło w obec „królestwa krzyża (19)!“

W latach następnych mówiąc o stosunku człowieka z Bogiem, zdumiewał już nie tylko samą wymową ale też i głęboką znajomością teologii, której brak często mu przedtem nieprzyjazne krytyki zarzucały. Mówiąc o łasce a zwłaszcza przedstawiając jęj stosunek z naturą już to w pierwotnym, już w upadłym człowieku, rzucał ogromnemi światłemi wziętemi wprawdzie z dzieł ś. Tomasza, tego Anioła szkoły, ale obejmującemi w ustach kaznodziei wszystkie najpraktyczniejsze stosunki życia. Przepysny jest kiedy analuje, czém jest człowiek bez łaski, czém jest świat bez Boga, czém jest społeczeństwo i wszystkie stosunki społeczne po rozerwaniu świętych węzłów, łaski. Trudno się wstrzymać od przytoczenia, choćby tylko jeszcze następującego ustępu:

„Dziś świat nie wierzy w to zjednoczenie, nie wierzy „w rzeczywistą obecność Boga w człowieku, ale czy „uważacie, jak tém samém nisko spadła wartość i „cność człowieka? Czém jest dzisiaj człowiek w obli- „czu człowieka? Gdzie jest powaga? gdzie uznanie go- „dności, gdzie uszanowanie? Starożytni, jakkolwiek „bardzo oświeceni szczątkami zepsutęj tradycyi, zachowali ideę tęg obecności Boga w świecie, a samo bał-

(19) Conf. Trente - Neuvième. De l'établissement du Regne de Jesus Christ. 1846.

„wochwalstwo jest tylko ogromném, choć fałszywém zastó-
sowaniem téj prawdy. To ślad dawnéj wielkości widny
„i dotykalny nawet wśród ruin moralnych rodzaju ludz-
„kiego. Pojmowano nędzę człowieka, więc by nie u-
„padł w ostateczne znikczemnienie uznano w nim obe-
„cność pewnego rodzaju bogów. Aby wszystkiego nie
„okryć pogardą — poświęcano wszystko. Bogowie zna-
„potykają się w kolebce i we krwi narodów, bogowie
„strzegą granic ojczystych, bogowie pod murami miast,
„bogowie na czele praw. Naczelnik lub konsul jakkol-
„wiek wybrany wolą narodu lub powołany w moc dzie-
„dzicznego następstwa, brał przecież koronę, lub odbie-
„rał władzę wśród uroczystych obrzędów. Pojmowano,
„że prosty akt wyboru lub następstwa nie wystarczał,
„by człowieka owego przemienić w oczach ludzi, by
„przed jego majestatem schylić wszystko i poddać mu
„wolę wszystkich. Tak było nawet wśród ruin ludzkości.

.
„Dzisiejszy świat w miejsce naczyń z świętymi ole-
„jami posiada zdolności; naukę, geniusz, siłę, chwałę,
„wspaniałe wybory. Ale lud obrzuciwszy wzdargę dzie-
„ło swojej woli, rzeknie do zdolności: ty jesteś oszu-
„stem, a do wielkiej nauki: ty jesteś śmieszną pychą;
„i do gieniuszu: tyś jest głupcem; i do cnoty: tyś jest
„kłamstwem; tak wszystko ginie w osławionym
„naszym wieku, bo wszystko jest tylko ludzkie! Sama
„tylko Łaska zstępuje z wyżyn wieczności, a porywając to
„wszystko, co jéj nie stawia oporu, i co z nią współ-
„działa, zkad była wyszła — tam wraca ²⁰⁾!”

Z kilku tych ustępów z różnych miejsc powyciąga-

²⁰⁾ Soixantième Conference. Du Concours de la Nature et de la Grace dans l'homme. T. III. 1860.

nych nikt zapewne nie będzie chciał oceniać mowcy, o którym mówiliśmy dotąd. Oryginalność myśli, obszerna nauka, siła dowodzenia, świeżość formy, patetyczność, wszystko to piękne rzeczy, wszystko to w mowcy nader pożądane, ale przecież możnaby to wszystko posiadać, a nie być jeszcze mowcą religijnym — kaznodzieją. To, cośmy przytoczyli z konferencji nie wystarczałoby (nawet przy całkowitym przekładzie) do oceny, choćby tylko tych zewnętrznych przymiotów, na to bowiem trzeba by widzieć i słyszeć mówiącego a nie zaś czytać. Wszakże nie o to nam idzie, iżby przed oczy czytelników stawić w wykończonym obrazie postać najznakomitszego z tegoczesnych kaznodziei, ale o to jedynie, aby ich obznajmić z duchem mówiącego, z kierunkiem jaki w dzisiejszych czasach przybiera wymowa kościelna, z jęj dążnościami i wpływem. Pod tym względem widzimy Lacordair'a występującego razem w całej sile i w całej prostocie ewangelicznego posłannictwa. Nie jest to ani retor, ani orator, ale jest to apostoł, który opowiada królestwo Boże — i który nie innego zda się nie mieć na sercu, oprócz świętej żądzy rozszerzenia i utrwalenia tego królestwa. Wziąwszy w swe serce sprawę swego narodu zmierzającego do przepaści ostatecznych konsekwencyj niewiary i sprawę Kościoła deptaną przez otwartych nieprzyjaciół, podkopywaną przez systematycznych prześladowców, zdradzoną przez obłudnych protektorów, zaniedbaną lub całkiem znieważoną przez znaczną część duchowieństwa jeszcze grubo gallikańskiego — sprawę tę podwójną, wielką miłością stopił w jedną sprawę a jęj obronie całe swe życie i wszystkie ducha zasoby poświęcił. Ażeby słowo Boże mógł opowiadać, jak je opowiadali pierwotni obrońcy chrześcijaństwa, ażeby mocą tego słowa mógł skutecznie roztrząsać ludzkie serca, nawracać, porywać, zapalać, podobnie jak to czynili pierwsi wysłańcy Chrystusa, jak to

czynili święci Ojcowie, jak to czyniły wielkie potęgi średniowieczne, podobnie też jak oni wyższe ewangeliczne rady uczynił, swoim prawem, swoim zakonem a na szczytach ewangelicznej doskonałości rozwinął majestat katolicyzmu, odsłonił jego najpiękniejsze strony, pokazał niezliczone źródła pociech, jakich właśnie umęczona ludzkość tak strasznie była spragniona. Wielu z tych, którzy z nim współcześnie tę wielką pracę podjęli jak na przykład Salinis i Gerbet już na stolicach biskupich zasiedli i z duchowieństwem swoim przedstawiają wzniosły, pocieszający widok, nie już gallikańskiego, ale jak najsilniej Rzymsko-katolickiego Kościoła tak pod względem wiary, jak i pod względem karności, obrzędów, zwyczajów, zgoda pod każdym względem — On zaś, znalazłszy nawet jako ubogi zakonnik sposób doskonalszego poświęcenia się Bogu przez udział w wielkiej reformie swego zakonu i w postawieniu go na pierwotnej wysokości, z tej wysokości świeci blaskiem kaznodziejstwa i dokonywa swego posłannictwa z chwałą swojego narodu, z chlubą i pociechą Kościoła!

X. ZYGMUNT GOLIAN.

W I E R S Z

Improwizowany przez autora „Błogosławionej“

pod rysunkiem zdjętym

z Kamey przedstawiającej oblicze Chrystusa *)

Na początku było Słowo,
A Słowo idące z Boga
W czystość ciała liliową
Przyjęła Panna uboga,
Przez świętego Ducha wiew.
A nad schyloną w pokorze
Wzniosły wszystkie chóry boże
Najwdzięczniejszy Panu śpiew.

*) Znajduje się Kamea, na której podług tradycji, Cesarz Tyberiusz kazał wyrobić wizerunek Zbawiciela; przypuścić można, że jest najpodobniejszy; bo rzeźbiarz mógł znać osobę Syna Bożego. Pod Kameą znajduje się następujący napis objaśniający jej pochodzenie: *Vera Salvatoris nostri effigies ad imitationem Imaginis Smaragdo incisa jussu Tiberii Caesaris uno Smaragdo postea ex thesauro Constantinopolitano Turcarum Imperator Innocentium VIII Pont. Max. Rom. Donavit Pro Redimendo fratre Christianis Captivo.*

Z niedostępnych krain oku
Wiecznej pieśni rozdźwięk brzmiał,
I z powietrza, gdzie w obłoku
Anioł zwiastun jeszcze lśniał.

Przestwórz niebios, ziemia cała
W jedną z niebem pieśń się zlała,
Drżeniem twory przebiegł cud;
Przez to jedno boże tchnienie
Rozjaśniło się stworzenie
Na wschodzącej prawdy wschód.

I co dla świata było tajemnicą,
Aniołom pieśnią, a szatanom trwogą,
Tobie się stało pod strzechą ubogą
O przynajświętsza Dziewico!

Tobie, klęczącej w obliczu obłoka,
Przepowiedzianej prorocstwem proroka
Poczętej w Bogu, gdy poczyniał świat.
Którój oblicze ukazał w jutrzence,
Na ziemi rozwiął twe kształty panięce
W srebrzystej lilii kwiat.

Tobie się stało o wzorze pokory!
Która niebieskie przebija zapory
I w łonie bożem owoc bierze swój.
Bowiem niebyło w Tobie żadnej plamy,
Tylko On wieczny i wiecznie ten samy
I oto Bóg Twój, Syn Twój!

O Maryo! Maryo! po wiek wieków zbożna,
Przez Twe poczęcie, przez Niepokalane,
Nieracz spoglądać na ziemię, jak zdrożna
Ach! racz spojrzeć na ranę

Jakże głęboka, otwarta szeroko
Jak z niej ostatnie włókna krwi się wloką,
Ostatni z piersi dobywa się dech.

A ludzie — lody, a wielec — kamienie,
Pamięć stracona, zatyle sumienie,
Niemiłosierdzie i śmiech.

O Maryo! Maryo! jakoś łaski pełna,
Spójrz, jak baranka potargana wełna,
Żałośnie beki i rzeź.

W obliczu Boga zagniewanej twarzy,
Nad skrawą łuną, nad ziemią cmentarzy,
Oczy błagalne wznieś.

Spraw byśmy Panno! jako w wieków dali
Na poświęconej blask nosili stali
Przed nadchodzącą nieszczęść nawałnicą.

I niechaj Kościół, gdy świat się zachwieje
Z bark wciąż skrzydlatej wiary promienieje,
Boga Rodzico! —

WITA STOSA

PAMIĘCI

Estetycznych rarysów siedmiu

przez

CYPRIANA NORWIDA.

WSTĘP.

Te rzeczy mędrzec niechaj w lesie czyta: ()*
Indianin pisał na pewnych tablicach —
— A święty Bernard mówi: że jest skryta
Treść — której w puszczach więcej, niż w księżnicach;
Wszakże już nieraz, i w ludnych ulicach
Napotkasz puszczy, *jeżeli chcesz do syta!*...

.....

(*) Niektóre *Vedas* miały to ostrzeżenie na początku, iż jedynie przez żyjących w lasach czytane być mogą z korzyścią.

I.

Piękno.

...Bóg, widzi wszystko —

„Jakże to być może

„By tyle brzydot zniosło oko Boże...?”

— Chcesz poznać jak to? w drobnem przybliżeniu,

Spojrzyj artysty okiem na ruinę,

Na pajęczyny, przy słońca promieniu,

Na mierzwi na polach, na gancarską glinę —

— *Wszystko* nam dał On, nawet ślad jak widzi

Sam, nie zazdrości nic, nie się nie wstydzi!

— Jest wszakże pycha, co złoci się słońcem

Dufając że jój słońce nie przenika;

Ta, kontemplacyi i wzroku jój końcem

Ta, zatrzymaniem Boskiego promyka

By zgasła jasność i noc, czuł u powiek

Najniewdzięczniejszy twór *na* świecie: człowiek.

— *W każdej z sztuk niechże wszystkie lśnią — prócz onój*

Przez którą utwór będzie wyrażony.

II.

Ewangelista.

Gdy Pan zmatwychwstał i jak w dni czterdzieści

Dotykał swoich pod różnemi miary

Stosownie do ich powołań i wiary

W osobie, w duchu; w znaku, albo w wieści,

Tym macać ran swych, tym głos dając słyszeć

I zrozumiewać pismo jak się czyta:

Albo się w głębi sumienia uciszyć —

Do Apostołów przystał neofita
Lukasz (co znaczy *światły*) ¹⁾ Syrianin,
Że z Antiochii rodem, w pierw poganin.
— Ten, uczniem Pawła, Barnaby i Sili
Pisarz koronny, w niczem się nie myli.
Acz często kornie dodać się ośmiela
Co słyszał z mowy Matki Zbawiciela, ²⁾
I akta pisząc których każda głoska
Jest, jako winnej-maci latoroska,
Pierwszy, jał pędzel by na desce stołu
Skreślić, *Najświętszej Panny wizerunek*:
— Czemuż przyrównam *sztukę* i rysunek?
Pismu, literze.... *pracę* zaś ich? Wołu
Co w pierw pogańskim długo był bałwanem ³⁾
Nim w Betlejemie zgiąwszy się przed Panem
Nozdry swych parą członki grzał dziecięce
A *ów* mu siana podawał na ręce....

III.

Męozennik.

Konstantynopol, jako kameleon
Mienił się w łuny wszech-rządź i wszech-błędów;
W koronę cięty Imperator *Leon*
Spada przez całą drabinę urzędów
Które potworzył.... i przepadł.... i gdzie on?...

¹⁾ *Lukasz* wykłada się *światły* — pod inwokacją tego Ewangelisty formowały się stowarzyszenia artystyczne w Rzymie, Florencyi i t. d. pokąd nie było tych formuł, które dziś akademiami sztuk sowią uczeni.

²⁾ Tak utrzymują pisarze kościoła na zasadzie szczegółów jedynie przez *Lukasza* Ś. cytowanych.

³⁾ Alfabet jest fenickim rezultatem Symboliki pogańskiej sztuki i wiedzy.

— Ten to płaszcz nosząc Najświętszej Dziewicy ⁴⁾
I sam się czyniąc chodzącym bałwanem;
Obrazy wyklął, bez cienia chciał świecy
Bez tęczy arki nad wód oceanem.

— Kto dotknął pędzla lub dłuta, wygnany —

Teofil również pojmował pogany:

I *Michał trzeci*, Nerona kopijsta,

Co chóry nagich satyrów wyprawiał,

Kiedy processia szła gdzie uroczysta!

Albo w kucharską sztukę rad się wprawiał,

Mąż popularny! z woźnicami śwista....

I Michał owy, tym samym sposobem

Oczyszczał sztukę wygnaniem lub grobem.

Był więc Mnich *Lazarz* któremu Pan za się

Dał dar (treść wieczną wyobrazać w czasie

Przez sposób pędzla) tego, jąwszy *rota*

Chrześcian; powlekła za klasztoru wrota

I w czarnej kuźni, ręce mnicha obie

Upalonemi w czerwoność obcegi

Po łokcie skwarzy i szarpie jak wstęgi,

I pośmiewając w twarz pyta „co tobie?”

„Co mnie? Nowy wam powie kontemplator

„I lilij polnej wdzięk co ku mnie spływa

„I Łukasz święty co owdzie przyzywa....“

Tu, dym go okrył i znikł — — *sta viator!*

IV.

Chrzestoliel.

Bułgarski naród bez prawdy żywiącej
Powietrzem także przewiany morowem

⁴⁾ Imperator Leon sztukę wszelką na usługi kościoła oddaną za bałwochwalstwo uważając, sam odziewał się w płaszcz taki, jaki ówczesne obrazy dawały *Matce Boskiej*.

Jest jako Łazarz, czy w grób się kładący
Czy powstający?... nie zgadniesz przed *słowem*....
Pogański książę smutki te rozprasza
Stanowiąc nowe osady i miasta
A k'temu Mnicha do siebie zaprasza;
By gmach, co świeżym ukazem wyrasta
I puścił kolumn szpalery z korzenia;
Ubrał w malowne tęczę a złocenia.
Mnich był *Metodus* (posłan może cudem
Pisarz, a przytem „pingendi non rudem“)
Ten w świeże gmachu zaszedłszy obszary
Kolory swoje rozcierał tęczowe,
A płakał ludu bez Boga i wiary;
I tak malował to rękę, to głowę —
Gdy słońce gasło, zamykając sienie
Że nikt niewiedział, jak będzie sklepienie.
— Aż raz go książę zawoła i pyta:
„— Kiedy rzecz będzie na światło odkryta?...“
„Książę!...“ odrzecz mu święty *Metody*
„Dano mi *Sądu* zrobić przedstawienie
„Zacnych i niecných — niebo i płomienie —
„Gdy więc odkryję rzecz, każ przynieść wody...
— Jakoż w dzień wtóry rzecz była odkryta
I książę przyszedł z całą służbą swoją
I rzesza wielka stanęła jak wryta,
Patrzac na wrytych co przed panem stoją.
Płacz wielki wzmógł się, gdy mnich chwycił słowo
Opowiadając ile to jest *cieniem*
Rzeczy, dziejących się nad naszą głową;
Skrytych a widnych jeno Objawieniem —
Tak, iż rybackich płócien złożył sidło
Na bok, i pędzel zamienił w kropidło
I zęgnął *cienie*.... a *światłem* darował
I chrzcil — i całą Bulgarię uchwował!

V.

Krytyk ex professo.

1.

... Wiem ja że Miłość, gdy prawo obrania
W czas, widząc co się cierpieć już niegodzi,
Obowiązuje, współczyni i rodzi —
Lecz nie wiem co jest krytyk z powołania
Który wyłącznie to rzemiosło czyni;
Jak niewiem co jest odzwierny w pustyni!...

2.

— Chcesz znać, o ile *ważną* twoja praca?
Zważ, jak z niej prędko myśl do *Boga* wraca...

VI.

Manieryzm.

— Ku rusztowaniu skoczył akrobata
Patrz, jak mu w stawach kość się z kością strzyże
Aż brzękły.... zadrzał.... stanął.... i nie złata!
— Cierpiał, co któryś z ciągniętych na krzyże
Lecz, dla *zdziwienia* nie *zbawienia* świata!...

VII.

Profan.

1.

Po jednéj stronie Rzymskiego obszaru
Scipion, w namiocie nad gruzem *Kartagi*

Stań! młodzieńczy a pełen powagi
I patrzył zimno na dyny towaru,
Przemysłu dumę w popiół ścierające
— Po drugiej stronie Rzymakiego obszaru
Filary, w liście się rozścielające
Jak marmurowy las z pni swych padały;
Piorunem cięte — te, *Korynt* się zwały.

2.

— Mummius, opodał rozbiwszy namioty
Wedle ukazów z Kapitolu wziętych,
Pakować kazał wazy i klejnoty,
I Bógów dobrze słomą obwiniętych;
A rocie która przy bigach (*) ładownych
Stała — w tych prawi wyrazach wymownych:
„Baczenie! by żaden Apollin, ni który
„Jowisz, i Venus gdzie była popsuta;
„Co, gdyby zaszło?! téj saméj natury
„Rzeczy, zrobicie... marmur dam i dużo...”

.

EPILOG OBJAŚNIAJĄCY.

1. Że te zarysów siedm *całość jednej gammy* mające,
w sposób zarówno lakoniczny jak na ściśle historycznych
faktach oparty, wyobrażenie dają o głównych pojęciach

*) Dwa-koleśny wóz Rzymaki *biga*.

wznawiającej się a sumienniejszej nad obecną estetyki; uważam je za całość i jako taką publiczności przedstawiam — do czytelnika należy odgadnąć powody dla których przenoszę dziś taką rapsodyczną inicjację nad doktrynę okrągłą, systematyczną, abstrakcyjną. Prawdy te i obrazy różnemi czasami zbierane są, zwiedzając Wszech-Expozycję *Amerykańską*, *Angielską* i *Francuzką* a nie przeto odnosząc się do przyszłych tegoż przedsięwzięcia możebnych odrodzeń i pojawów.

2. Symboliczne tłumaczenie powołania Łukasza śgo i szczegóły żywota, wzięte są z dzieła pod dozorem Arcybiskupa *Mellon Jolly* wydanego.

3. Męczeństwo śgo Łazarza *Mnicha* malarza za wolą Teofila Imperatora dokonane, przez wszystkich dziejopisów, na kartach Ikonoklastów dotyczących, zapisane jest.

4. Nawrócenie Bulgarów i chrzest tychże opowiada Cedrenus edit: reg. pag. 540. Lebeau. Hist. de Bas-Emp. Tom XV pag. 39. i inni — wzmiankując to o Metodusie iż był pisarzem uczonym „*pingendi non rudem*.”

5. „*Mummius* tam rudis fuit ut capta Corintho cum „maximorum artificum perfectas manibus tabulas ac statues in Italiam portandas locaret—juberet praedici conducentibus: si eas perdidissent novas eos reddituros“.

— *Vellejus Paterculus lib. I. cap. 13.*

— W nieuniknionym dotknięciu obrazów które dosyć jest wiernie przedstawić, aby karykaturą były, uważam za słuszne, do najmonumentalniejszego jakiego prawdziwego i historycznego, odnieść się — tym sposobem unika się płaskości, lubo się nie unika prawdy.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

III.

Po odejściu Stanisława Onufry spojrział na zegarek wiszący nad łóżkiem. Był to zegarek srebrny ze sznurkiem z włosów plecionym, a pod nim atlasowa podkładka w formie serca wykrojona — dzieło przezornej Marysi. Onufry przeraził się wielce dostrzegłszy że już dziewiąta minęła. On co był tak punktualnym zanim się dostał na etat, miałaby teraz okazać, że ta jego dotychczasowa pilność nie była skutkiem przejścia się obowiązkami, nie płynęła z zamiłowania do stanu, ale raczej z rachuby, aby urząd złowić? Cóż pomyślą przełożeni, jakiż przykład dla niższych, dla bezpłatnych aplikantów? Urzędu on swego nie poczytywał wszakże za sinekurę, ani nawet za sposób utrzymania się, lecz za coś wyższego, niemal za misję.

Wielkiem było zaś dla niego szczęściem ów zwrot ku obowiązkom. Nie dało mu to zastanowić się wolniej nad

słowami brata, a któż wie, czy ścisły i spokojny rozbiór ich nie byłby rozwalil całej budowy przyszłego jego szczęścia stawianej na fundamencie 90ciu złotych miesięcznie i na przywiązaniu do osób z którymi tyle lat przeżył. Życ z nimi wspólnie stało się dla niego potrzebą; nawet hałasy izby krawieckiej, zrzędziarstwo pani Ignacowej, podchmienie majstra, plectenie trzy po trzy dziadka stały się dlań niezbędnem wypełnieniem téj lub owéj godzinki jaka mu od zatrudnienia niekiedy wolną została. Z Marysią prawie nigdy nie rozmawiał, wyjąwszy kiedy mu to koniecznie wypadło. Może ta konieczność była częstokroć umyślnie sprowadzana ale nie przechodziła nigdy w poufną dwójga kochanków rozmowę. Grywał z nią w zielone, ale nigdy nie przegrał, pilnując się tak jakby to było biórowym obowiązkiem. Za to Marysia często przegrywała, a owa podkładka, sznurek włosieny do zegarka, woreczek paciorkowy z cyfrą i wieńcem róż i mnóstwo innych drobiazgów i porządeczków w jakie się zwolna Onufry zaopatrzył, były okupnem tych przegranych. Baczno oka pani Kozińskiej nie uszły te niby skrytości stosunków Marysi i Onufrego, nie ośmielała obojga, lubo pragnęła aby się te związki zamieniły na trwałe, wszelako nie przeszkadzała niewinnym igraszkom.

Lecz kto wie, czy gdyby owa skazówka zegarka co przekroczyła już pięć punkcików po za stanowczą godzinę, była się zatrzymała o tyleż przed, kto wie, czy słowa Stanisława które zaledwie pamięć zdołała pochwycić, wzięte pod zimny rozbiór, ważone kolejno na szali uczucia i rozsądku, rozgatunkowane na rzeczywistość i przywidzenie, nie byłyby sprawiły wielkiej zmiany w losie i Onufrego i Marysi i większej jeszcze liczby osób. Lecz fatalna skazówka ani na chwilę nie zatrzymała się w ruchu, a Onufry szedł za nią w pogoń i myślą i ciałem. Ubierał się z niesłychaną szybkością,

i w niespełna dwie minut dognał już czas stracony. Nie wiele więcej trzeba było aby dopaść w przyspieszonym pochodzie do bióra, ale myśl jego już była rozsiadła się za stolikiem i z zarękawkiem płóciennym na łokciu a piórem za uchem, przebiegała numerą ternionu i zaległych exhibitów. Ale jeszcze dwoje rzeczy pozostawało mu zrobić: schować pugilares zostawiony przez Stanisława i założyć na siebie zegarek. Biorąc pugilares w rękę, wzdrygnął się. Za te cyfry i gzygaki na pergaminie można było kupić sobie tyle uciech życia, nieznanym, niemarzonym, a przecież przeżywanych! Onufry wetknął pugilares do kieszeni z tém szarpnięciem, jakie towarzyszy często zwycięstwu po długiej walce i jest jakby przymuszeniem ręki do posłuszeństwa woli. Była to niebezpieczna dla Marysi chwila — Anioł-Stróż jej ocalił ją — Onufry sięgnął ręką po zegarek.

Zakładając machinalnie włosieny jego sznurek, jak-
koś mu się złęży naraz zrobiło. Tak jak godzina dzie-
wiąta przypominała mu obowiązki jego biórowe, tak
podobnie ten sznurek z włosów Marysi przypomniał mu
obowiązki względem niej zaciągnięte. W téj plecionce
włosiennej nie było owęj tajemniczej siły, która sympa-
tycznym węzłem łączy dwoje serc wylanych dla siebie,
bo ani Onufrym gwałtowne miotają uczucia, które w każ-
dej by najmniejszej pamiętce kochanki uosobiają jej po-
stać, ani téż ciche przywiązanie Marysi podniecone było
prawdziwymi lub wymarzonemi cierpieniami do owego
stanu drażliwości nerwowej, która sama jedna na świe-
cie, a częściej jeszcze w książce, rości sobie wyłączne
prawo do nazwy prawdziwego uczucia. Młodzież płci
obojej wsteczném dopiero naśladowaniem bohaterów po-
wieści i romansów kopiuje odmalowane w nich niby
ideały kochanków i staje się zwykle mdłym odbiciem
potwornych wzorów, w których namiętność przechodzi
bądź w szalenstwo, bądź w ekliwość, miłość wygląda jak

dziecko zaszlochane, a serce wznosząc się w piersiach choruje na spazmy.

W plecionce téj z włosów Marysi nie mogło także być nic zmysłowego. Nie pukiel to ucięty, co wonią swą, miękkością i polyskiem pieści zmysły i wyobraźnię przenosi na owe alabastrowe ramiona, które spływający zwój włosów całuje nieustannie, a choć potem ucięty, nosi jeszcze na sobie ciepło tego pocałunku i drży jeszcze oddechem, który już dawno rozwiął się w powietrzu. Zwój ten wszakże skręcony w sznurek zeszywniał i zrudział, przestał być pamiątką, a zamienił się w rzecz użytku, i świadczył tylko o cierpliwej pracowitości, która poświęca godziny czuwania przy łojowej świeczce, i o téj opiece, która skrzydłami swemi ogarnia wszystko co tylko ukochaną osobę otacza. To téż wszystko to coapełniało skromne mieszkanie Onufrego, nosiło na sobie cechę téj skrzętnéj a troskliwéj pieczołowitości, która na najdrobniejszym przedmiocie zostawia ślad nie pamiątki ale pamięci, która nie potrzebuje uroku tajemniczości ani podniety wyobraźni aby się drogą stawiała, ale jako istotny dowód przywiązania objawia się w tém wszystkiém, co nosi na sobie cechę rzeczywistości, co uprzyjemnia uytalitarną stronę każdego przedmiotu.

W umyśle atoli Onufrego właśnie ta forma była odpowiednią pojęciom jego o miłości. Werterowskie cierpienia, a tém mniej balzakowa anatomia serca nie były jeszcze wówczas wykształciły u nas tego pokolenia, które w samobójczych zapasach ducha z ciałem wycieńczyło się do takiego stopnia, iż ani myśli ani czynu spłodzić już niezdolne.

Onufry wetknął pugilares z listami zastawnemi do kieszeni mając zamiar oddania go bratu przy pierwszym z nim widzeniu się i pośpieszył do bióra. Spóźnienie się jego dało powód towarzyszom pióra do złośliwych drwinek, bo już wieść o jego małżeństwie doszła ich była

różnemi drogami. Pociski te obijały się jak groch o ścianę o twardy umysł Onufrego i one same byłyby zdolne bez innych nawet pobudek utwierdzić go w raz obraném postanowieniu na przekor wszystkiemu i wszystkim.

Nadszedł nareszcie dzień wesela. Wymieciono izbę krawiecką, wyrzucono stoły, ławki i tapczany, wyrównano podłogę, wybielono ściany i zrobiła się z tego dostatnia sala, zdolna pomieścić kilkadziesiąt osób z pozostawieniem w środku miejsca dla taneczników. Ale kiedy nadszedł ów upragniony wieczór, zebrało się tyle gości, że się nie było gdzie obrócić. Pani Kozińska, która od dnia wyjścia pierwszej zapowiedzi nie mogła znaleźć dla siebie miejsca, lecz biegła to do żydowskiego miasta za sprawunkami znajdując zawsze że czegoś niedostaje, to do kawiarni żeby poradzić się z kumoszками nad zastawieniem stołu, nie tylko że nie pominęła żadnej przyjaciółki by jej nie zaprosić na wesele, ale nadto w tych kilkunastu dniach pozawieżywała nowe związki przyjaźni i coraz bardziej rozszerzała koło sproszonych na wesele gości. Pan Koziński zaniedbał roboty, bo tę co miał, rozdał między czeladź za domem pracującą, a nowęj nie podejmował się wcale. Miał on sobie powierzony wydział piwniczny, a nie chcąc zrobić zawodu, zwiedzał od tygodnia wszystkie winiarnie, żeby sobie smak wyrobić i jako prawdziwy znawca, porównując gatunki, lata i ceny. Wypadało mu przeto często powrócić raz i drugi do zakosztowanego dniem przedtém gąsiora, a nawet w chwilach wątpliwych zasięgnąć zdania przyjaciela, którego się zdybać nadarzyło. Nie szło to ani łatwo ani prędko, bo handlów winnych było wtedy w Krakowie bez liku, a co drugi dom to piwnica zastawiona beczkami, antałkami, gąsiorami i butelkami. Zamożniejsi mieszczenie wkładali kapitały swoje w wino, jeśli bowiem towar dopisał, to wartość jego niesły-

chanie z każdym dniem rosła, a taka lokacya kapitałów była i przyjemną i korzystną.

Onufry ze swęj strony kilku tylko najbliższych sprosił kolegów, ale co go mocno ubodło, iż brat nie czekając wesela odjechał. Owe nawet listy zastawne zostały przy nim, a to tym przypadkiem, iż Stanisław jak mu powiedział, nie chciał ich trzymać w domu zajezdnym a przed wyjazdem miał odebrać. Nigdy Onufry nie mógł przypuszczać, aby brat nie był na jego weselu, a nadto aby bez pożegnania miał odjechać. Tymczasem tak się stało.

Wesele odbyło się bardzo hucznie. Maciek który w tym dniu w jakąś opiętą wlażł kurtkę i w buty Onufrego, był pierwszym cześnikiem, a pragnąc zarobić sobie na łaskę całego cechu, nieszczędził wina, napieniając bez przerwy próżne kieliszki i szklanki. Koledzy Onufrego z których nie jeden porównywał w téj chwili stan swój ubogi z dostatkami wesela krawieckiego, prowadzili rej w kole tańczących, a chociaż łokciami szturchano się i deptano, chociaż nie zawsze wytrzymywano figury tańca i muzykanci zagrzani trunkiem i rozmarzeni gorącem nie pilnowali taktu, wszelako bawiono się wybornie. Po kolacyi suto zastawionej, starsze osoby co nie miały kogo pilnować, zaczęły się wysuwać cichaczem lubo nie bez trudności ze strony gospodarzy, a kiedy się trochę więcej miejsca zrobiło, dopiero tańce na dobre: i krakowiaki z dowcipnemi a dwuznacznemi zwrotkami swemi i obertasy i drabanty z butelką w rękę, z której panny zręcznie wśród płasów nalewać musiały, a niebezpiecznie rozlać bo zła wróżba. Mury trzęsły się od hołupców, szyby drżały od okrzyków, sam tylko Onufry przechadzał się milczący i poważny, albo wysuwał się do sieni i tam zatapiał się samotnie w myślach. Nikt na niego nie zważał, każdy sobą zajęty, czasem tylko badające oko Marysi spoczęło na nim, a w ten

czas Onufry starał się łagodnym wejrzeniem i uśmiechem rozbroić ciekawość żony. Nienauczona czytać w głębi serca, poprzestawała na tém co jęj po wierzchu pokazywano, i o tém tylko myślała, że ją nie już z Onufrym nie rozdzieli.

W jednej z takich chwil niedostrzeżonych Onufry wysunął się cichaczem do sieni i po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać nad przyszłością. Te krzyki i śpiewy, przeraźliwy głos klarynetu, tupania i hałasy nie mile go raziły; zaczął się cieszyć zaprawdę, że Stanisław wyjechał, boby się był musiał przed nim rumienić. Żonie swojej miał znów za złe, że dała się uwieść spokojnemu wyrazowi twarzy, jaką jęj okazywał. Wtém Maciek wypadłszy za czemś do sieni, dostrzegł go przy świetle dogorywającego kaganka jak z zwieszoną głową stał wsparty na poręczy schodów, więc myśląc że mu słabo się zrobiło, zbiegł szybko na dół i powrócił z dzbankiem wody, myśląc sobie po drodze:

— Szczególna rzecz, gdzie on mógł tyle wina wypić, kiedy go odemnie nigdy nie chciał; zapewne dorwał się go już wprzód gdzie w kącie.

— Niech się pan napije panie Onufry — rzekł Maciek — to pana orzeźwi.

— Masz słuszność mój chłopcze — odpowiedział Koniecki i przychylił do ust dzbanek wody, który mu Maciek podtrzymywał, a potem usiadł na pierwszym stopniu schodów.

Maciowski ani przez głowę nie przeszło, aby marzenia Onufrego nie były skutkiem zbytniego użycia wina, a że widział nieraz iż najskuteczniej w takim przypadku zlać głowę wodą, więc zręcznie go ochlusnął. Niespodziewana ta kąpiel zgniewała Onufrego tak dalece, iż zerwawszy się z siedzenia rzucił się za chłopcem, a ten widząc że strach, wpadł do izby i przytrzymał drzwi wzywając ratunku obecnych przeciw pijanemu panu

młodemu. Rzuciło się ku drzwiom kilkanaście osób, z czego Maciek korzystając wlaź w kąć poza muzykantów i ukrył się za ogromnemi basami. Kilku starszych wyszło do sieni mitygować Onufrego, a ten bynajmniej nie mógł im wytłumaczyć, że prócz niezbędnych parę kieliszków wiwatowych przy kolacyi, nie więcej nie pił.

— Zwyczajnie, słabą ma głowę, niewprawny — zamruczało kilku, niewątpiąc wszakże, że operacya z dzbankiem wody przyniosła pożądany skutek i otrzeźwiła pana młodego. Nie miano za złe Onufremu, iż sobie podpił, lecz że głowę ma słabą, a jaki taki pomyślał: zaprawi się, zaprawi!

Po oczepinach, które zwykłą odbyły się formą, to jest, iż pannę młodą i dwie druchny starsze okryto zasłonami, a potem kazano panu młodemu wybierać, która z nich jego jest żoną, przyczem nieobyło się bez pomyłek i śmiechu, po wypiciu zdrowia państwa młodych i wytańczeniu panny młoděj na pożegnanie stanu panieńskiego przez wszystką młodzież, po zagranu tak zwanego „chmielu“ odprowadzono nowo zamężnych do mieszkania pana młodego, to jest do dawněj kawalerskiej izdebki Onufrego po drugiej stronie sieni, wypito jeszcze kilka garncy wina we drzwiach, potem pode drzwiami i na schodach, a kiedy goście wytoczyli się na ulicę, już dobrze dniało chociaż było to na krótkim dniu i zaczęły się już otwierać sklepy korzenne a przekupki rozkładały swoje stragany.

Ile zjedzono i wypito na tem weselu, tego z pewnością nigdy dojść nie było można; wszelako mało co chybiło od tego, co starożytnemi przepisami królewskiem i wydaniami dla miast pod prawem magdeburskiem zostających, zastrzeżono jako maximum przy takich okolicznościach.

Tegoż samego wieczora w tylnéj izbie przytykającej do szynku „pod beczką“ odprawiało się wesele Kasine z Grucą. Zapomoga jaką Szczepanowa dostała od Stanisława Konieckiego, a przytem zręczna pomoc Chłapczyńskiego doprowadziły swaty do skutku. Chłapczyński był to pisarz pokątny jakich w Krakowie bywało pełno, ale jego liczono do rzędu pierwszych w mieście tego rodzaju prawników. Doskonała znajomość prawa, nabyta praktyką i wrodzonym darem do matactwa, zuchwalstwo i bezczelność, a przytem powolność sądów, zjednały mu liczną klientellę między chłopami wsi pobliskich, po przedmieściach i nawet między łatwowiernemi w mieście. Chłapczyński pisywał podania dla każdego i o co chcieć było, każdą kłótnię i spór wprowadzał na drogę procesu cywilnego lub policyjnego a nawet często kryminalnego; stawiał zawsze w imieniu stron w sądach pokoju, gdzie zaś nie mógł być obrońcą, tam przynajmniej był za świadka, a w trybunale wyręczał się adwokatem, który kładł tylko podpis i odczytywał przed kratkami obrony wypracowane przez Chłapczyńskiego. Zdarzało się niekiedy, że adwokat czytając nagle się zatrzymał, albo niemogąc kulasów kładzionych przez Chłapczyńskiego wydukać, albo natrafiwszy na jaki ustęp obrony, który wziąć na siebie wahał się. Chłapczyński nie wzdrygał się przed kłamstwem, oszczerstwem, nieprzyzwoitością, byle otumanić sąd lub potępić stronę przeciwną, a jemu i jemu podobnym zawdzięczano to mnóstwo spraw tak zwanych „parszywych“ które nie były zaszczytnemi dla adwokatów i ubliżały powadze trybunału. Chłapczyński podkopywał powagę sądów już i przez to, że wybierał od stron daninę pod pozorem łapówek dla sędziów.

Opieka wszakże jego nietylko rozciągała się do samych spraw sądowych. Nabywszy imienia wielkiego znawcy interessów i biegłego spraw kierownika, używany

bywał w różnych okolicznościach przez przyjaciół, którym za małą nagrodę pomocy swęj udzielał. Czy to więc kupno domu w mieście lub gruntu na wsi, czy pożyczka pieniężna, czy swaty lub rady familijne, nie się nie obezšlo bez jego pośrednictwa. A nie tylko liczył on klientów w klasie niższej, której imponował terminami technicznymi, ale uciekali się nieraz do niego i ludzie wyższych pozycyí socyalnych, tam gdzie im samym świecić się niewypadało. Mimo tego wszystkiego Chłapczyński nie zrobił majątku. To co w dzień zapracował, w nocy przepił i przegrał, a że miał do czynienia z ludźmi różnego stanu, więc prócz w sądach można go było zawsze spotkać o pewnych godzinach na winie, o innych na miodzie, a w dni targowe w szynkach wódeczanych, gdzie z chłopami się zdybywał.

Szynk „pod beczką“ był więc jedną z głównych jego stacyí. Tam wysłuchawszy żalów Szczepanowej nad niestałością Grucy, a potem dowiedziawszy się o poprawie losu szynkarki, i jak ta w najświetniejszych kolorach przedstawiała mu przyszłość córki o której wielki pan pamięta, Chłapczyński przyrzekł zająć się bezwzględnie wyswataniem Kasi, dodając, że jeżeli nie Gruczyński, to inny w jego miejsce się znajdzie.

Jakoż tego jeszcze dnia po obiedzie przechodząc ulicą spotkał się z Grucą.

— Jak się pan masz, panie Gruczyński?

— Ot tak jak pan widzisz panie adwokacie (bo zwano go przez grzeczność adwokatem). Zdrów do usług.

— A czy to dziś poniedziałek że nie w robocie?

— E gdzie tam! ale chciałem sobie trochę wypocząć, a potem namyślę się, może gdzie w świat pójde, już mi się tu w Krakowie przykry. Pokłóciłem się z Kosińskim, który mi gwałtem chciał na kark zwalić córkę.

— No i czemuż było nieprzyjać? — zapytał Chłapczyński nby o niczem nie wiedząc — dziewczyna niczego i starzy muszą mieć grosz w skrzyni.

— Djabła go tam mają! mieliby żeby nie karmili darmożjadów i z chłopakami zbytów nierobili. Ale to i ojciec w domu i guwerner licha wie do kogo, i księdzu synowi często co poślą, i terminatorów na tym samym trzymają, stole co i czeladź.

— A prawda, prawda, że to zbytki. Mnie też to dziwi, że tyle lat już majstrem a nawet starszym, i nie kupił sobie przecież kamienicy. Żeby miał na długach, tobym ja to wiedział, znam całą hipotekę od końca do końca, wyciągałem najmniej sto ekstraktów tabularnych, Kozłńskiego nigdzie niema. Ha, widać hołysze. Dobrześ to pan zmiarkował panie Pawle, widać człek z ciebie roztropny i niewierzący na słowo. A musieli złote góry obiecywać?

— Oho! niezłapie mię tak łatwo.

— Zapewne, zapewne. Jaby też panu Pawłowi nasnął lepszą partyę, żeby nie wiedział, że takiego jak ty byle czym niesprowadził.

— Co to za poczeiwa dusza ten Chłapczyński!

I uściskali się obaj.

— Ale ale, czy pan wiesz panie Pawle jakie szczęście spotkało Szczepanową?

— No, czy wygrała na loteryi?

— Uchowaj Boże, jeszcze coś lepszego, bo ani stawka nie kosztowała.

— I cóż takiego?

— Ej, opowiem kiedy indziej, ale to prawdziwe szczęście!

— Panie Chłapczyński, może na kieliszek?

— O dziękuję, dziękuję, ja nic nie pijam.

— Ależ przecie....

— Panie Pawle nie zmuszaj mię....

— No no, dla przyjaciela nieodmówisz.

— I coś mam z tobą robić, kiedy tak natrętnie prosisz.

— Więc Szczepanowa jak pan powiadasz ma pieniądze?

— Powiedziałem że ma pieniądze?— jeżeli to powiedział, to się niechcący wygadał. Prosiła mnie żeby nic nie mówić, boby się do niej zbiegano pożyczać. Ale to nie jej pieniądze, tylko dla panny Katarzyny, a nawet i nie dla panny Katarzyny ale dla Zosi.

— Ej, to wszystko jedno.

— Jaki to z was filut panie Pawle! Otóż jak powiedziałem, ten pan ze wsi, co to..... no to był tu umyślnie żeby się przekonać jak Szczepanowej idzie; zostawił pieniądze, kazał wydać córkę za męża i przyrzekł posyłać co rok na edukacyą dziecka— ale otóż i „beczka“ ha to wreszcie wstąpmy i tutaj, kiedy nam po drodze.

Tym sposobem odnowioną znajomość szybko uwieńczył skutek. Wprawdzie wzbraniała się Kasia iść za Grucę, bo dziewczynie we dworze chowanej nie przypadła do smaku czeladnik nieokrzesany, któremu ani dowcip lokajski, ani rozrzutność panicza nie towarzyszyły. Gruca więcćj rozmawiał ze Szczepanową niż z Kasią, rozwijał przed pierwszą rozległe plany swoje, które się niezatrzymywały aż na propinacyi Przegorzał albo i Rakowic. Szmulowa potakiwała wszystkiemu, rozповідаła o bogatym panu, który popłacił długi i dał zapomogę, a lubo wszystko troje, Szczepanowa, Chłapczyński i żydówka nie namawiali się wcale, zeszli się jednak w jednym kłamstwie: że ten pan corocznie obiecał przysyłać pieniądze, a Chłapczyński nawet dodał, że gdyby chybił, to go nie tylko zmusić można do tego prawem, ale jeszcze na nim zyskać, nastraszywszy go, że mu się wstydu narobi.

Nazajutrz po ślubie, Gruczyński który nie miał swojej roboty, zajął się krzątaniem około domu, zajrzał do piwnicy, przemierzył okowitę, obliczył wszystko co w domu było, potem ze Szmulową zaczął szept, a w kilka dni czuć było już nowego pana. Skrzętny, zabiegliwy, ściągnął do szynku mnóstwo nowych gości, a szczególnie czeladź rzemieślniczą, a z wolna dostawszy w rękę cały obrót pieniężny, stał się dla Szmulowej przykrym, dla Szczepanowej grubijaninem, a dla żony tyranem. Chłapczyński tylko sam jeden umiał utrzymać ścisłą z nim przyjaźń i on zajął ten stółek, który niegdyś wyłącznie Szmulowej był siedzeniem.

Takim trybem szły rzeczy rok cały z okładem. Szczepanowa z zuchwałej kobiety zmieniła się na trusią i we własnym szynku nie zajmowała już roli pani ale służebnej szynkarki. Donośny jej głos jakoś złagodniał, często lzy ocierała zapaską lub pieściła małą Zosię, żeby jej wynagrodzić za szturchańce jakie ją czasem od Pawła spotykały, kiedy mu się w drodze nawinęła. Córce nie śmiała spojrzeć w oczy, żeby w nich nie wyczytać wyrzutu. Pawłowa znosiła w milczeniu los jaki przeczuwać się zdawała idąc za Grucę, lecz pokrywała jak mogła, żeby matki nie trapić. Zajęta kuchnią i domowem gospodarstwem, kiedy tymczasem Szczepanowa cały dzień i wieczór do późna w noc w szynku zatrudniona: obie kobiety nie miały prawie nigdy sposobności pogadania ze sobą swobodnie i bez świadków.

Wszelako nadeszła pewnego razu od dawna od nich upragniona chwila, gdzie mogły być znowu razem i same. Gruca, któremu wszystko szło jak z płatka, wydobywszy się z pod opieki Szmulowej, wyjechał sam do Prus za okowitą, zapowiedziawszy, żeby w nieobecności jego największy panował porządek. Chłapczyński miał sprawę w sądzie pokoju; Szmulowa która w sieni czatowała na jego odejście, wsunęła głowę we drzwi

nieśmiało, a widząc pustki w szynku, weszła i kiwając głową zaczęła wyrzekać. Pawłowa trzymała Zosię na kolanach, a matka ocierała zapłakane oczy. I te trzy kobiety wzruszający przedstawiały widok. Nie zawodziły one żalów długimi i wymownymi okresami krasomowskimi, a słowa ich przerywane to łkaniem to wybuchami gniewu lub rozpacz, to przekleństwami nawet, niemniej jasno malowały stan ich uczuć, jak sentencyami i bogactwem wyrażen ozdobiony dyalog. Były to wprawdzie słowa urywane, ale dla nich zrozumiałe. Oddać je trudno, bo siła ich i znaczenie nie tyle tkwiły w nich samych ile raczej w głosie i tonie ich. Żydówka rzadko przemówiła, lecz tylko kiwała głową nad płaczącymi.

W tem uchyliły się drzwi boczne nieśmiało, i dwoje oczu badawczo przejrzały całą izbę, a potem wszedł jakiś mężczyzna. Kobiety zerwały się z siedzenia, otarły oczy, wypogodziły twarz jak można, a Szczepanowa wysunęła się za kasę szynkową. Zjawisko takie nie bywało obcym, że w godzinie w której zwyczajni goście nie zalegają ław szynkowych, zjawi się jakiś niezwykły przybysz, co *incognito* łyknie, położy pieniądze i cichaczem się wysunie; jeśli zaś znajdzie jakiego świadka niepohamowanego pragnienia swego, to albo się cofaie przepraszając że się omylił, lub zapyta o osobę którą w tym domu nie mieszka, albo jeśli odważniejszy, to skrzywi się boleśnie i zażąda wódki gorskiej na wzmocnienie żołądka. Nowo przybyły zamiast wszakże przystąpić do stołu szynkowego, na którym w wannice wodą napelnioné ustawione były w przegródkach caworograne fiaszki, posunął się w stronę przeciwną i z wielkiem zadziwieniem obecnych kobiet wziął pod brodę Zosię, pogłaskał i rzekł:

— Wszak to Zosia?

Pani Pawłowa jakkolwiek od płaczu zaczerwieniona, jeszcze silniejszym pokryła się rumieńcem, spoglądając na przybyłego mężczyznę, a słowa zamarzy jej na ustach.

— Czy to Zosia? zapytał powtórnie mężczyzna — to musi być ona, taka podobna.

— A cóż to pan sobie życzysz? — przemówiła Szczepanowa wymowniejsza i śmielsza od córki.

— Chciałem się widzieć z matką Zosi, z panią...

— Gruczyńską? — dodała matka.

— Nie byłem pewny, czy poszła za męża. A tak, z panią Gruczyńską.

— Cóż to za dziwne podobieństwo! — szepnęła Pawłowa do ucha matki, która wśród tej indagującej rozmowy wróciła z za szynkasu na dawne miejsce.

— To ja jestem — rzekła nieśmiało Pawłowa.

— Więc mam tu oddać pani 950 złotych, lecz mię proszę pokwitować. Pieniądze te przeznaczone są na wychowanie Zosi, a sądzę, że co rok będziesz je pani mogła odbierać. Jestto procent od dziewiętnastu tysięcy, które zapewne, jeśli inaczej zarządzonem nie będzie, staną się posagiem Zosi. Wymawiam sobie tylko, aby procent ten był wyłącznie obracany na korzyść dziecka, gdyż w przeciwnym razie, gdyby Zosia nie odbierała przyzwoitej edukacji, mam prawo wstrzymać dalsze wypłaty. Bo lubo nie są to moje pieniądze, wcale nie potrzebuję zdawać z nich nikomu rachunku, i użyć ich mogę na inne cele, choć nie na własną potrzebę.

Cała ta przemowa zimnym i suchym tonem wyrzeczona inne na każdej z kobiet sprawiła wrażenie. Żydówka która kiwała wprzód głową na znak ubolewania, zaczęła nią kręcić dziwiąc się wielce tej tajemnej wspa-
niałomyślności. Szczepanowa, w której na widok pię-
ciozłotówek rozkładanych na stole z obojętnością kasye-

ra cudze liczącego pieniądze, obudziła się dawna żyłka obciwości, z jakiej ją Gruca tak szczęśliwie wyleczył, wstrzymywała z trudnością ręce, aby przed czasem nie zgarnąć srebra w zapaskę, którą już była na ten cel podniosła; Pawłowa zaś krzątała się szukając pióra, papieru i atramentu, bo takowe niekiedy Chłapczyński w szufladzie stolika zostawiał. Tym razem jednak nie znalazła.

— Nie macie czem i na czem napisać kwitu, a może i pisać nie umiecie? — zapytał obcy. — Spodziewam się, że Zosia będzie umieć pisać.

— Pisać umiem — odrzekła Zosina matka — nauczyła mnie pani u której byłam we dworze. . . .

— Oto jest papier, atrament i pióro — rzekł nieznajomy, dobywając rekwizyta piśmienne z kieszeni. Wyjął potem scyzoryk, przyciął pióro któremu nos się zakrzywił, umaczał je i posuwistym zamachem napisał „Próba pióra“, a potem szastnąwszy w lewo i w prawo piórem po rękawie, podsunął Pawłowej nowy arkusz papieru i podyktował jej kwit z odbioru pieniędzy bez wymienienia osoby pokwitowanej.

Jeszcze kwit nie był gotów, kiedy Szmulowa cichaczem wysunęła się za drzwi i zawoławszy jakiegoś przechodzącego żydka, zaczęła mu coś szwargotać. Żydek trop w trop posuwał się potem za nieznajomym, kiedy ten ze szynku był wyszedł. Wszelako wrócił nie wiele się dowiedziawszy, bo rzeczony jegomość znikł mu przed nosem w gmachu rządowym, wszedłszy do jakiegoś bióra. Szmulowa nie chciała dać żydowi trojaka po którego rękę wyciągał, lecz kazała mu obiecawszy podwójną nagrodę, wrócić na powrót i starać się o wywiedzenie, coby to był za jegomość.

Nazajutrz Szczepanowa zajęła się sprawunkami dla Zosi i w parę dni dziecko było wystrojone jak pańskie a wiele jeszcze innych rzeczy dla niego obstałowano.

— To pewnie od pana Stanisława — mówiła Pawłowa do matki. — Mój Boże, gdyby mię mamunia nie była zmuszała.....

— Bój się Boga Kasiu — przerwała jej Szczepanowa — ja nigdy w życiu nie przebaczę sobie, żeś się tak zwieść dała temu łajdakowi. Wszakże to ze szynku i z pomocą jeszcze tych pieniędzy można było nam żyć wygodnie. Ale to widzisz moje dziecko, mój — Panie odpuść mu! — był wielki ładaco, więc ja chciałam dać cię za rzemieślnika, a Gruca mi się wydawał porządnym, gospodarnym i przezornym człowiekiem, a potem, nie chciałam żeby cię wytykano palcem jak słomianą wdowę.

Te i tym podobne rozmowy prowadzono przez czas nieobecności Pawła. Żydziak wysłany na zwiady niczego się nie dowiedział, bo go wypchnięto za drzwi z kancelaryi; przed Chłapczyńskim tajono się, a nie przyszło na myśl kobietom, co zrobić z pieniędzmi, żeby je ukryć przed Grucą i jak mu znów wytłumaczyć sprawunki porobione dla Zosi. Zajęte przez wszystkie wolne chwile rozmową o posłanniku, przenosiły się niekiedy marzeniami w szczęśliwe czasy: Szczepanowa kiedy panowała udzielnie na karczmie, a Kasia kiedy posługiwała we dworze rannemu paniczowi. Człowiek na każdym szczeblu hierarchii społecznej ma jedno i też same przymioty i słabości, tylko pojawy ich, tylko forma jest różna. Radość i smutek, rokosz i boleść jednakowo są uczuwane, jeśli ta radość i smutek, rokosz i boleść odpowiadają stopniem swęj mocy zdolności ich przyjmowania. Zdolność ta nie zawisała tyle od stosunków zewnętrznych, ile od siły uczucia bądź wrodzonej bądź wychowaniem rozwiniętej.

Gruca wróciwszy do domu zdziwił się mocno ujrzawszy łódeczko z porządną pościelą dla Zosi i ją samą ubraną w sukienki schludne a nawet ozdobne. Dziecko

jakby przeczuwając co je czeka, na widok wchodzącego Gruca rzuciło się skryć za matkę. Indagacya rozpoczęła się surowa, a trwała niedługo. Obie niewiasty wyspowiadały się z każdego kroku i słówka, a mimo tego Gruca nie był zaspokojony. Do rachunku jego brakowało mu 50 złotych; bo naprzód, że mu gadano przed weselem, iż obcy pan dał tysiąc złotych, więc mniemał, że i teraz takż sam tysiąc przypaść powinien, powtóre, że mu ta nieokrągła summa wielce zdawała się być podejrzana. Któż ofiarując tyle, nie zaokrągli tysiąca pięćdziesięciu złotemi?

— Co mi tam pleciecie obie za bzdurstwa! Spiknęłyście się na mnie, a jakim żyw nie daruję 50 złotych. Słyszysz Kaśka, gadaj gdzieś je podziała. Może je ta stara czarownica schowała?

Szczepanowa nie mogła się od złości powstrzymać, i lubo wiele znosiła dotąd, byleby córki nie porzucić, wszelako przebrała się jej miara cierpliwości, i przypominając sobie dawne czasy, wyrzuciła taki potok słów obelżywych, iżby jej pozazdrościł Homer opisujący kłótnie bohaterów swych przed walką, albo Bórne, że ich nie użył w swoim „słowniku wymyślań“ któremi chciał raz na zawsze odpowiedzieć na obelgi przeciw sobie miotane.

— Precz z mojego domu! — wrzasnęła w końcu Szczepanowa. — To mój szynk i mój konsens.

— Ha ha ha! — roześmiał się Gruca, który nigdy się nie unosił, jeśli gniew nie wchodził w rachubę jego planów. — Co ty babo mówisz, że to twój szynk i konsens? a czy mnie to tu nie było? Słyszysz Chłapczyński — rzecze do wchodzącego właśnie z pliką papierów pokątnego adwokata — ona mi nie chce wierzyć że konsens na imię moje przepisany i okowita opłacona także na moje imię w konsumpcyi.

Szczepanowa wskoczyła na stół, ze stołka na szynfas i sięgnęła ręką po konsens na niebieskim papierze za szkłem wiszący na ścianie obok obrazu Matki Boskiej, przed którym paliła się każdego piątku lampa nie z pobożności lecz przez wzgląd na chłopów, którzy na to bardzo zważali. Lubo Szczepanowa czytać nie umiała, poznała jednak, że w konsensie musiała jakaś zjść zmiana, bo papier świeższy nie zbladł był jeszcze od wilgoci. O mało nie zleciała ze stołu poznawszy zmianę. Podała w milczeniu konsens córce, która przytłumionym rzekła głosem:

— Konsens na imię Grucy napisany.

— Grucy mówisz? — zawołał mąż i wyciął jej policzek.

Katarzyna upuściła z rąk konsens, i szkło za którym był oprawny rozsypało się po podłodze.

— *Atas* Gruczyński: stoi wyraźnie napisane — dodał Chłapczyński patrzący z obojętnością na tę scenę pożycia małżeńskiego.

Szczepanowa jak rozjuszona tygrysica przyskoczyła z pazurami do zięcia, lecz ten z zimną krwią zastawiwszy się stołkiem, zawołał:

— Wara odemnie, bo was obie ztąd wyżenę.

— Uspokójcie się Szczepanowa — rzekł Chłapczyński — a jutro pozwać i wytoczyć proces o pobicie, a jeżeli znaki jakie będą, to kazać zrobić *visum et repertum*. Dajcie mi na stęple, ja zaraz się tem zajmę. Pokażcie mi konsens, może on też sfalszowany.

Mówiąc to Chłapczyński łypnął oczami na Grucę, żeby mu niby okazać, że to na drwiny.

Epizod ten domowego pożycia zakończył się szczęśliwie przybyciem zgrai pijaków. Katarzyna wyszła płakać do sieni, a Szczepanowa popchnięta samą mocą nawyknięcia, stanęła za szynfasem i rozstawiać poczęła kieliszki przed przybyłymi.

Nazajutrz Gruca zapowiedział żonie i matce że lubo nie ma do nich żalu, radzi im przecież nigdy go drugi raz tak nie drażnić. One nie miały odwagi powiedzieć mu że mają żal do niego. I rzeczywiście, nie był to już żal, ale nienawiść u matki, a u córki odraza. Zapowiedział im także że bez jego wiedzy i woli nie mogą nic sprawiać w domu, jeszcze raz natrącił o 50 złotych, których brakowało, a postanowiwszy w duchu pilne zwrócić oko na kroki matki, której nie ufał, był co do reszty spokojny. Dla Zosi jakoś stał się nie żeby przyjaźniejszym, lecz nie tak gwałtownym i dbał o jej zdrowie, bo ona mu przedstawiała wartość renty 950 złotych, mniej kosztem jadła którego nie warto było wtedy nawet obliczać na takie dziecko. Nie dowiedziawszy się od żony ktoby to był ten pan co owe pieniądze przyniósł, postanowił zwolna ją wybadać, bo nie przepuszczał aby to nie miało jej być wiadome. Szło mu zaś o to nie przez prostą ciekawość, ale iż pragnął wiedzieć kto i z jakiej odległości dom jego ma na oku.

Nie długo potem Szczepanowa stojąc w progu szynku ujrzała tegoż samego mężczyznę, który im pieniądze był przyniósł i zawoławszy Kasi pokazała go palcem.

— Czego się tam tak gapicie? — krzyknął pan do mu — Kaśka nie wystawać przed sklepem bo tego nie lubię, do kuchni zaraz!

Chłapczyński, który ze swojego stołka rzucił okiem przez drzwi otwarte w kierunku wzniesionego przez Szczepanową palca, rzekł do Gruce:

— Wiesz Pawle, oto pokazały tego, co ci z przed nosa Marysię porwał.

— Konieckiego? zapytał Paweł.

— Aha! — zawołały jednogłośnie obie kobiety spojrzawszy na siebie znacząco.

— Cóż was tak dziwi? ja mu tam nie zazdroszczę, chociażbym w jego miejscu stał daleko lepiej. A tam

z nim dość chudo — i starym Koziańskim źle idzie. Dobrze im tak, tyrali też mną, tyrali.

— Żebym ja był na miejscu tego Konieckiego, jakiebym ja interesa robił! — zawołał pisarz pokątny — ale on na to za głupi.

IV.

Rzeczywiście był to Onufry co pieniądze Pawłowej przyniósł. Pisywał on do brata list za listem, pytając co ma zrobić z owemi dziewiętnastu tysiącami zostawionemi z pugilaresem, wszelako ani razu nie wymówił mu że go odjechał bez pożegnania i nie czekając wesela. Po pewnym dopiero przeciągu czasu nadeszła odpowiedź od Stanisława, a właściwie nie odpowiedź, lecz list jakby świeżo zawięzujący korespondencyę. W nim była mowa o tém i o owém, w ogóle o rzeczach obojętnych, a sam tylko dopisek odnosił się do przedmiotu, który tyle Onufrego niepokoił. Przypisek zaś ten był taki:

„P. S. Co do pieniędzy którem zostawił, „rób z niemi co ci się podoba. Przeznaczam je „dla rodziny i sądzę, że tym sposobem wywiązuję się z obowiązków, jakie względem niej „zaciągnąłem“.

Słowa te wielki sprawiły ból sercu Onufrego. Nie był on zdolny pojmować tego rodzaju miłości braterskiej wypłacającej się monetą brzęczącą lub listami zastawnemi. Jeżeli te pieniądze mają być dla rodziny, to jedyne do nich prawo ma córka Kasi. Tak rozumował Onufry i niechcąc ich trzymać u siebie jakby w obawie by go kiedy nie napadła żądza przywłaszczenia ich sobie, ułokował je na hipotecę, a pierwszy procent jaki przynio-

sły złożył wedle przeznaczenia swego na ręce matki Zosiniej.

Kto inny byłby może pod imię tej familii o której list Stanisława wzmiankował, podciągnął przedewszystkiem siebie i swoją siostrę. Anusia o której prawie słychać nie było, prowadziła wciąż gospodarstwo opiekunowi swemu co ją zaraz po śmierci matki wziął był na wychowanie. Musiała ona zapewne być szczęśliwą, bo ledwie co parę lat pisywała do brata, a w listach jój było więcej o krowach, przychowku i drobinu niżeli o sobie samej. Onufry ubolewał początkowo nad niedostatkiem jój edukacyi, co można było poznać że i pismo niekaligraficzne i pisownia dowolna i w układzie okresów zupełny panował nieład; z czasem jednak oswoił się z jój kulasami, w jój opisach znajdował jakąś swobodę niemal sielankową i zaczynał pojmować, że bez pisowni i kaligrafii można być szczęśliwym.

Spokojny więc o los siostry, a uznając że nie ma prawa do pieniędzy przez brata zostawionych, nie podciągnął i jój pod toż prawo. Surowy dla siebie, był też surowym i dla drugich. Życie jego zresztą nie płynęło mlekiem i miodem i nie kołysało się na wonnym z róż posłaniu. Odebrawszy pierwszą miesięczną płacę swoją, mniemał że za 90 złotych utrzymać zdoła lubo skromnie lecz przyzwoicie siebie i żonę. Obliczywszy się wszakże lepiej, przekonał się, że zanim dostał się na etat, miał przecież większe dochody, lubo go te nie tak regularnie lecz kapaniną dochodziły. Nie mogło się mu jednak nigdy w głowie pomieścić, jak koledzy jego liczną nieraz obarczeni familią wystarczają na wszystko, i dom utrzymują i pozwalają sobie jeszcze na małe zbyteczki, palą tytoń, piją piwo, grywają w billard i do teatru chodzą. Chłapczyński wszakże lepiej to rozumiał, kiedy zawołał, że chciałby być na miejscu Onufrego.

Pierwszy rok pożycia małżeńskiego zszedł jako tako

Konieckim. Mieszkając prawie jakby u rodziców, bo przez się tylko od nich odłączeni, mieścili się w owej kawalerskiej izdebce Onufrego, jadali u rodziców, nie trzymali sługi i żadnych nadzwyczajnych nie ponosili wydatków. Najmłodszy terminator krawiecki wszeregą licznych zatrudnień swoich obowiązany był jeszcze posługiwać „młodszym państwu“.

Po upływie wszakże roku zmieniły się rzeczy. Rodzina Konieckich powiększyła się nowo narodzonym, wydatki jedne za drugimi rosły, trzeba było i sługę przyjąć i mieszkanie nająć obszerniejsze, a wreszcie nie wypadało dłużej objadać starych, którzy pracując dość długo na dzieci, powinni byli nareszcie pomyśleć o zapewnieniu sobie spokojnej starości.

Zwyczaj ten żywienia u siebie dzieci w pierwszym roku ich zamęścia, dość bywał dawniej po miastach powszechny; dziś lubo nader rzadki, zdarza się jeszcze gdzieś, najczęściej jednak u żydów. Ma on i dobrą swoją stronę, iż nie przerzuca nagle córki z domu rodzicielskiego w obcy dla niej świat męzowski. Dziś zwyczaj ten mniej już potrzebny: córka łatwo od matki odwyka będąc oddana dzieckiem na pensję, albo też chowana pod wyłącznym okiem guwernantki; nie potrzebuje ona wtedy odtęsknić za domem rodzicielskim i za matczynym sercem.

Wyprowadzenie się Konieckich już i dla tego samego było niezbędnym, że starym coraz gorzej powodzić się zaczynało. Pan Ignacy jeszcze przed ślubem córki przez cały tydzień próbując i skupując wina poodmawiał zamówione u siebie roboty, a nowych nie przyjmował wcale, przez co odstęczył sobie kilka domów. Początek upadku najgorszy; potem idzie jak po równi pochyłej z chyżością przyspieszoną w miarę tego jak się wysoko było. Koledzy Onufrego, z których niejeden oporządzał się dawniej u jego teścia, przeniesli się gdzieś indziej,

байд niechcąc zdradzać tajemnic swojej garderoby przed teściem swego kolegi, bądź też nie śmiąc targować się z nim o zapłatę dla tejże samej przyczyny. Ci co byli na weselu usunęli się także, bo na przypadek niezadowolenia z roboty, jak tu ją przyrzucić temu u którego się gościem było? Inni usprawiedliwiając złośliwie ten swój krok mawiali między sobą:

— Musiał on przecież dobrze nas zdzierać, skoro go było stać na takie wesele.

Drobne te niechęci razem wzięte nie miały przynieść uszczerbek w zarobku. Do tego, Kosiński stracił był jakoś smak do miodu a za to częściej zaglądał do handlów winnych, co niemogło wypaść na korzyść kieszeni, dla wielu zaś było oznaką wynoszenia się. Gruca szkodził mu także podburzając czeladź wśród najpilniejszej roboty, a nawet częstując ją u siebie, przez co nie tylko zmącić swojej dogadzał, ale obowiązywał i jednał sobie stałych gości. Nadszedł wreszcie czas nowych wyborów na starszego, a Kosiński który raz po raz na tej godności korporacyjnej był potwierdzany, nie mógł przypuszczać, aby go tym razem przegłosowano. Wszelako tak się stało, a było to dla niego wielkiem jakoby upokorzeniem i lubo złożył rachunki cechowe jak należy, wszelako nieznający rzeczy lub złośliwi brali ztąd pochop do obmawiania go, a nawet w skutku tego kredyt jego na Kazimierzu mocno się nadwężył. Zaczął więc opuszczać ręce, roboty nie pilnował, a wiadomo, że pańskie oko konia tuczy.

Nadeszła też pora zupełnego przeobrażenia mód tak w strojach jako i we wszystkich rzeczach smaku. Kapryśna i nieodpowiednia formom ciała odzież męzka ustępować poczęła miejsca większej naturalności i prostocie, a rewolucya ta wstrząsła całym systemem kroju i miary. Na ruinach reputacyi dawnych firm krawieckich wzniosły się młodsze, ruchliwsze, przyjmujące

każdą zmianę bez przesądnego przy dawném obstawania, i dla tego ich była przyszłość. Upaść więc musiał Koziański, i po kilku latach bieda na dobre zaglądać do jego domu zaczęła. Onufry jak mógł dopomagał rodzinom żony, lecz choćby sobie był ręce pourabiał, jak to mówią, po łokcie, wszystko było za mało. Przychodziła też na Koziańskiego taka czasem chwila, że żałował iż córki za Grucę nie wydał. Porównywał on los dawnego swego czeladnika, człowieka prostego i niepiśmiennego z losem zięcia, który ukończywszy nauki i lat tyle w biórze pracując pozostał ubogim, kiedy tamtemu drzwiami i oknem szły pieniądze.

Rzeczywiście Grucy powodziło się szalenie. Trzymał on już kilka szynków w mieście pod cudzemi nazwiskami, a drugie tyle cudzych zaopatrywał w wódkę. Na Zwierzyncu za rogatką miał swoje składy okowity, a lubo przy tak rozrzuconém gospodarstwie rzadko już teraz w domu siadywał, wszelako wszystko tam szło jak z płatka. Matka, żona i sługi przyuczone do ślepego wykonywania jego rozkazów, tak się już były wdrożyły, że im ani przez myśl nie przeszło uchybić im w czémkolwiek. Początkowe wybuchy niepodległości karcił Gruca jakby zuchwałstwo i krnąbrność naprzeciw panu, z resztą nie tyranizował bezmyślnie, ale od czasu do czasu dawał uczuwać że jest samowładnym. Nie było wszakże już wtedy potrzeby uciekania się do gwałtownych środków, bo jedno słowo, jedno jego skinienie wystarczało do wprowadzenia wszystkiego w karby posłuszeństwa.

Pieniądze składane na wychowanie Zosi wpływały także do kieszeni Grucy, wprawdzie w pierwszych parę latach z protestacją jej matki i babki, później zaś w milczeniu oddawane, jakby danina słusznie się należąca. Rokrocznie o jednym dniu i niemal o jednej godzinie przynosił Onufry pieniądze, groził że wypłatę wstrzyma

na rok następny, lecz następnego roku przychodził i wypłacał. Gruca nigdy nie zapytał kto pieniądze przynosi, lecz jakby wiedział kiedy to nastąpi, tego dnia w domu się nie pokazywał, a i Chłapczyńskiego zawsze gdzieś pod jakim pozorem ze sobą wyciągnął.

Trwało to tak lat kilka. Onufry nie miał nigdy odwagi aby wstrzymać wypłatę, a to już głównie dla tego, iż nie wiedział co w takim razie począć z pieniędzmi. Właśnie odebrał był przypadający procent i obładowawszy nim kieszenie wchodził po godzinie kancelaryjnej do sieni domu gdzie był szynk „pod beczką“, kiedy mu drogę zaszkła Szmulowa.

— Może wielmożny pan ma co wekslować?

— Nie mam nie.

— Może wielmożny pan ma ruble obrączkowe? ja wymienię na inne i dam agio. Ja potrzebuję rubli obrączkowych, a wielmożnemu panu to wszystko jedno byle pieniądź. Co wielmożnemu panu to szkodzi? wielmożny pan często rublami płaci.

— A wy zkad wiecie że ja mam ruble?

— Ny, a cóżby my żydzi niewiedzieli? Ja wiem nawet wiele jegomość pieniędzy tam niesie do szynku. A czy to warto temu Grucy tak zapychać worek? a za co on ma brać pieniędzy? to łotr, to oszust! A kto to widział tyle płacić za takie dziecko! to za dziesięć groszy nie zje przez dzień, a chodzi boso; to jak jegomość da dwieście złotych, to oni i tak przystać muszą. A czy to jegomość nie ma dzieci swoich?

Onufry stanął jak wryty. Słowa te silne na nim uczyliły wrażenie, a lubo nie myślał wcale aby obrócić pieniądze na swoją korzyść, wszelako nie miał siły odepchnąć pokusy żydowskiej. Pochwyciła tę chwilę Szmulowa i rzekła:

— Niech wielmożny pan robi jak się mu podoba, a

maie co do tego? ja tylko jegomości chciałam wymienić ruble.

Wymienić mogę zawsze — pomyślał Onufry — co zyskam z wymiany to przyłączę do procentu.

Żydówka i w tym razie jakby odgadła myśl Onufrego, przynajmniej pierwszą jej część, więc rzekła:

— Proszę jegomości do drugiej kamienicy. Maie tu ztąd wygenił Gruca. A na co jemu waksłarki, kiedy on sam większy spekulant niż wszyscy żydkowie.

Poszedł Onufry za Szmulową, a w rulenach rubli znalazło się więcej niż połowa obrączkowych, które żydówka wymieniła na karbowance zapłaciwszy po trzy grosze na sztuce. Ruble takie potrzebne są dla handlarzy wołów jadących do Rosyi. Onufry odliczywszy na nowo pieniądze zaczął je składać w kupki, lecz ma żydówka znówu wzięła perswadować i perswadować. Nie odrzekł ani słowa, tylko chcąc się zbyć czempredziej, zgarnął pieniądze do obu kieszeni i wyleciał z bramy jakby nieakając przed złem. Zimna krew go odešla i w roztargnieniu pobiegł dalej w ulicę; wreszcie przypomniawszy sobie że miał iść „pod hecażę“ wrócił się i uspokojony nieco wszedł do mieszkania Pawłowej. Zaczęło się już zmierzchać. W izbie za szynkownią stał stół zastawiony różnem mięsiwem a na jedną osobę nakryty. Spodziewano się co chwila przybycia pana domu. Onufry powitał zimno Pawłową i kazał sobie Zosię przyprowadzić.

Dziewczyna pamiętała, że epoka przybycia obcego pana była zawsze naznaczona sprawieniem nowej sukienki i jakim lakociem, na które Gruca w wspaniałomyślności swojej odrzucał parę złotych. Zbiegła więc po drabinie na stryżka, który odkrawając od izby najwyższą wypukłość sklepienia, zwykle w starych domach bardzo wysokiego, tworzył nad izbą podwój. Był to pokój sypialny Zosi i garderoba całej rodziny.

— Cóż ty umiesz Zosiu? — zapytał Onufry głośno pod brodę.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy z figlarnym uśmiechem, nie pojmując zupełnie tego pytania.

W tém ozwał się naraz w sklepie piorunujący głos pana domu:

— Hej świecy! czemu to się nie świeci dotąd?

Zerwali się wszyscy. Szczepanowa wpadła ze szynku szukać ognia, Pawłowa pobiegła do spiżarki niosąc z niej resztę zastawy stołowej, a Zosia wbiegła z szybkością wiewiórki po drabinie na strych, wyścibiając tylko głowę otworem i wołając na Onufrego:

— Cyt! jegomość idzie!

Obraz ten był dostatecznym dla Onufrego, aby pojął stosunek jaki zachodzi między członkami tej rodziny. Nie czekając dłużej wyszedł, a Pawłowa która się cichaczem wysunęła za nim do sieni, rzekła doń błagalnym lecz przytłumionym głosem:

— Przyjdź pan jutro wcześniej, *on* będzie w składzie.

O kilka kroków za domem szła Szmulowa wracając na Kazimierz z tłomoczkiem, owocem całodziennej pracy swojej, a ujrawszy Onufrego rzekła do niego:

— Z przeproszeniem, ale wielmożny pan głupstwo zrobił, że dał Grucy tyle pieniędzy.

I jakieś tajemnicze przekleństwo żydowskie z ust jej wyszło.

Już dobrze się ściemniło kiedy Onufry wszedł do swego mieszkania miotany gwałtownymi uczuciami. Zrzucił płaszcz ze siebie, cisnął na stół plikę papierów i zamiast powitać żonę jak zwykle, zaczął się przechadzać wielkimi krokami. Żona w milczeniu spoglądała na niego nie wiedząc czemu przypisać ten stan niezwykły, a kiedy potem usiadł i podparł czoło, zbliżyła się do niego, położyła mu rękę na głowie i zapytała łagodnie:

— Onufry! co tobie?

— Nic — odrzekł westchnąwszy — to przejdzie, lekki zawrót głowy.

— Ciebie praca i niewywczas zabija, a ja nieszczęśliwa nie mogę przyłożyć się w niczem aby ci ulżyć. Tę bieliznę com przez pół roku szyła dla téj pani ze wsi, to mi za nią nie zapłacono jeszcze. Powiedziano, że to dla kogo innego, a ten inny ma dopiero przysłać pieniądze. Byłam dziś w hotelu, i powiedzieli, że ta pani już odjechała. Pewnie przepadnie. Czy ty nie wiesz Onufry zkąd ona?

Onufry słyszał wprawdzie głos żony, ale nie rozumiał wyrazów, bo wyrazy Szmulowej brzmiały mu ciągle jeszcze w uszach, a darmo im się oganiał, one jak natrętnie brzęcząca mucha wracały wciąż, niecierpliwiać go. Marysia przypisując stan mężowski przyczynom fizycznym, przemyślała nad środkami.

— Ty potrzebujesz wzmocnienia — rzekła mu — kielszek wina dobrego, możeby ci pomógł.

Zapaliła świecę, pobiegła do komody, lecz z kluczykiem w ręku zatrzymała się w pół przechylona i rzekła opuszczając ręce:

— Zapomniałam że to dziś pierwszy, to jeszcze pensyi nie odebrałeś.

W tém weszła służąca i postawiła na stole dymiące jeszcze parą ziemniaki.

— Siadaj Onufry do stołu — rzekła spoglądając niepokojnie na męża.

— Cóż więcéj jest do jedzenia?

— Co więcéj? albo my to jadamy kiedy wieczór co innego? odpowiedziała pani Koniecka przymuszając się do uśmiechu.

— Alem ja strasznie dziś głodny. Zdaje mi się, mówiłaś Marysiu, że po wino posyłasz. Mam zaprawdę jakiś szczególny do wina dziś apetyt. I zjadłbym coś dobrego.

Marysi zakręciły się łyzy w oczach.

— Nie mam nic w domu więcej, nie mam nawet.... na jutro do miasta.

— Gdybyś była poszła za Gruce, niebyłabyś potrzebowała kłopotać się, co dać mężowi na stół. Co to za szczęśliwy ten Gruca! jada za trzech, pije za pięciu, a nie brakuje mu nigdy na pierwszego. Szkoda, szkoda.

— Onufry, tyś tego nigdy nie powiedział.

— Ale bom nigdy nie widział tak jak dziś tego człowieka w jego domowym życiu. Słuchaj no Marysio, twój stary uważa się że ja nie taki bogaty jak Gruca. Powiedz mu więc, że matka żony jest u niego za dziewczkę. Kozłowski jeździłby u niego niesypiał w sieni, żeby pijaków ze szynkowni przez bramę wypuszczać, to możeby miał posłanie na strychu jak Zosia i uciekałby po drabinie jakby usłyszał, że zięć nadchodzi.... Tyś sobie niewyobrażała, że będziesz jadać za mężem jałowe ziemniaki na kolację; lecz gdyby twój mąż był szynkarzem a nie urzędnikiem, tobyś mogła nieraz ogryźć po nim kości lub niosąc z kuchni na stół, czasem jakiś kasek smaczny ukradkiem pochwycić....

— Bój się Boga Onufry co tobie!

— Mnie? nie! oto każ mi kupić wina i poślij do traktierni po co dobrego.

To mówiąc Onufry zaczął brząkać pieniędzmi w obu kieszeniach. Marysia spojrzała na niego z podziwieniem i uśmiechnęła się, mniemając, że mąż dostawszy pieniędzy żartuje sobie i trapi ją na przekorę.

— A widzisz jak się zaraz rozradowałaś usłyszawszy brzęk srebra. Słuchaj co to za dźwięk czysty.

To mówiąc dobył z kieszeni rubla i zaczął nim ciaskać po stole.

— Jagusi, choć no tu! — zawołał Onufry na służącą — przynieś mi tu zaraz dwie porce kapłona i co tam takiego, bo nie mam szpajscetlu więc nie wiem co oni

dziś dobrego gotują. A potem wina butelkę, tylko nie wiem jakiego — no spytaj które najlepsze. Rubla to mało, masz dwa — i rzucił pieniądze, że się aż na ziemię potoczyły.

— Ej nieszkoda to Onufry? takie zbytki! do wina to ja sama cię namawiam, a nawet sobie poślij po co do zjedzenia, ale ja nic jeść nie będę — ote i ziemniaki wystygły.

— Pal je lichy! ale się nie bój Marysiu, mam ja więcej w kieszeni takich rubelków, niż sobie wyobrażasz.

To mówiąc zaczął wykladać obu rękami pieniądze na stół.

— Zkąd przyszedłeś do tego wszystkiego mój mężu? — zapytała dalej pani Koniecka.

— Zkąd? ot tak, jak się to dzieje, przypadkiem. Mam bogatego brata, zrobiłem interes z jedną żydówką..... Słuchajno Marysiu; ojciec twój który mię tyle lat zadarmo żywił, mógłby sobie teraz porachować za to wszystko. Skwitujemy się, bo ja mu co rok przez tyleż lat zwracać będę strawne. Ale niech mi się stary nie waży gadać, zem ja hołysz, a Gruca pan. Ja postanowiłem sobie Grucę prześcignąć. Dziś już pierwszy krok zrobiłem. Wiesz co Marysiu, że i w biórze będąc można zarobić różnemi sposobami, tylko trzeba się umieć brać do rzeczy. Ty płaczesz? powiedz mi co ci jest?

— Onufry! Onufry! przebacz mojemu ojcu jeśli cię w czem obraził. Widzisz on zbiedniał, to czasem i sarka, ale on cię kocha jak syna.

— Czyż ja mu mam za złe, że mu żal iż cię za Grucę niewydał? on tylko Grucę zna z pieniędzy. Jak się dowie że i mnie się dobrze powodzi, to nie będzie zazdrościł że moim teściem.

Służąca wniósła jedzenie i postawiła butelkę wina na stole. Onufry nalał sobie szklankę, wychylił ją dusz-

kiem, a nie przywykły pić, przytem w stanie umysłu w jakim się znajdował rychło się rozmarzył i na pół senny a na pół pijany, zaledwie się dał skłonić, że się układował do łóżka. Pani Koniecka ukłękła i dłużej niż zwykle tego wieczora się modliła.

Dobrze jeszcze było ciemno, kiedy się Onufry przebudził. Wszystko co wczoraj przeżył, wydawało mu się snem, a lubo zwolna wracała mu pamięć zdarzeń i myśli minionego wieczora, to wszelako nie mógł zdać sobie dokładnie sprawy, co w tem wszystkiem było rzeczywistością, a co marzeniem. W miarę jak umysł jego trzeźwiał ze snu, niknęły z przed oczu dziwne widziadła, które go były téj gorączkowej nocy trapiły, a miejsce ich zastępowała dotykalna prawda, stokroć więcej bolesna niż wszystkie okropności sennych przywidzeń. Pierwszy brzask dzienny rozwidnił izbę. Na stole leżały jeszcze pieniądze, stała napoczęta butelka wina, nietknięte jadlo, świadki tego co się wczoraj tu działo. Na teatrze wielkiego świata, gdzie życie szerszemi posuwa się krokami, gdzie rozleglejszy i bogatszy w szczególności widnokrąg, gdzie więcej wypadków przemyka codziennie przed oczami, wrażenia jedne z łatwością zacierają drugie i musiałyby nadzwyczaj jaskrawe mieć farby, aby z pod innych świeższych przebijać mogły. W życiu wszakże tak jednostajnem a cichem jak Onufrego, w kółku tak ciasnem w jakim się obracały zdarzenia składające się na historię rodziny Konieckich, najmniejszy wypadek wychodzący po za obręb codziennej kolei, każde mocne wstrząśnienie, musiało się stać źródłem niepokoju i nie pozostać bez długotrwałego wpływu.

Onufry zaczął zastanawiać się co mu teraz czynić wypadało. Jedna chwila wahania, jeden podszept chciwości wprowadziły go w bój z obowiązkami swemi, rozigrały żądze w czystem sercu, zostawiły zmażę na

nieposzlakowanym dotąd charakterze i postawiły go względem żony w przykrą alternatywę, wycofania się kłamstwem lub przyznania się z pokorą do winy. Obrął to drugie, nie tylko z wrodzonej do kłamstwa odrady, ale że chciał żonę swoją we własnych jej podnieść oczach. Marysia lubo przekonana była dotąd o niezmienną miłości męża, lubo była pewną iż żadne inne pobudki nie skłoniły go do starania się o jej rękę, przecież uważała się zawsze za niższą od niego, oznaki uczuć z jego strony przyjmowała z wdzięcznością jakby na nie zasłużyć sobie nie była zdolną, a nawet stan ich ubogi przypisywała sobie, iż nie tylko nie wniosła do domu męzowskiego, ale jeszcze ciężarem mu się stawiała przez swoich rodziców. Czuła ona że zamknęła świat Onufremu, że inna żona przez związki swoje rodzinne z rodzinami w mieście wielowładnemi, byłaby posłużyła mężowi za szczebel do wspinania się na wyższe posady, więc nie tylko z pokorą znosiła wszystkie przeciwności losu, ale w każdym jej słowie i spojrzeniu była jakby prośba wznoszona do męża o przebaczenie za to ubóstwo i usunięcie się od świata.

Onufry umiał czytać w duszy żony swojej, a jeżeli w ciągu nieprzerwanych zatrudnień nie miał czasu bliżej zastanowić się nad tem jej względem niego położeniem i zbadać je aż do głębi tej tajemnicy psychologicznej, jeżeli z lekka tylko ją odgadywał; to dziś usposobiony będąc do ścisłego rozbioru samego siebie, uderzony nagle został ogromem tego odkrycia i w niem znalazł główny rys cechujący żonę, w niem dopatrywał jedyny powód tej nieśmiałości Marysi, a większą tamę jej szczęścia niż walka z potrzebami codziennego życia. Ażeby dojść do tej wiedzy, należało Onufremu wejść w wielkie zapasy z namiętnościami, należało upaść choć raz i mocować się z sobą, żeby się z tego upadku podźwignąć. Myśl ta uczyniła go niemal szczęśliwym, a

naprawdę podniosła go i nagle przeobraziła z machinalnego przepisywacza, który całą swoją działalność skoncentrował w stawianiu martwych liter na papierze, na człowieka głębszych myśli i rozległych pojęć. Uczuł że mu przybyło energii i że mu jój wystarczy na przełamanie przeciwności. Wstał z łóżka i ubrawszy się szybko, począł po cichu zbierać pieniądze ze stołu, lecz niemógł tego uczynić żeby nieobudzić Marysi. Widząc go zdrowym, wyciągnęła ku niemu rękę, a kiedy się zbliżył i podał jój swoją, pochwyciła ją i zaczęła pocałunkami okrywać. Onufry zaczął przeproszać żonę, iż ją wczoraj tyle zmartwienia nabawił, a potem zwolna i stopniowo wziął się opowiadać wszystkie przyczyny wczorajszego stanu swego, wychodząc z zasady, iż pieniądze zostawione przez brata mają i muszą mieć to jedyne przeznaczenie, aby służyły na wychowanie Zosi. Opisał jój stosunki swoje familijne po raz pierwszy po tem kilkoletniém pożyciu z całą dokładnością i przyznał się że wymiana rubli u Szmulowej obudziła w nim pierwszy niepokój żądzy przywłaszczenia sobie cudzych pieniędzy, widok zaś zastawionego u Grucy stołu i jego pożycie domowe dokonały reszty. Marysia słuchała go z uwagą, nie starała się osłabić w umyśle męża przeświadczenia o świętości obowiązku wypłaty, lubo ten obowiązek przyjęty był dobrowolnie, bez zastrzeżenia, nie zawarowany notaryalnie, a Onufry zdziwił się wielce znalazłszy w żonie swojej tyle zdrowego rozumu, tyle delikatności uczuć, tyle zasobów umysłowych, których brak jedynie sposobności nie rozwinał należyte.

Zaufanie Onufrego wielką sprawiło pociechę dla serca Marysi. Wtedy dopiero pojęła, że jest jego żoną, że ma prawo dzielić z nim jego radość i smutek, zasięgać jego rady i swoją otwarcie udzielać. Przy tej zaraz sposobności wystawiła mężowi, iż postępowanie jego co do Zosi mija się z celem jaki sobie zamierzył, że przy-

zwoite wychowanie dziecka w szynkowni jest niepodobnem, że dziś trudniejsza będzie sprawa z Grucą skoro już od lat kilku pieniądze zabierał, ale rzecz tę trzeba raz przełamać, Zosię z domu matczynego odebrać i umieścić na pensyi, a przy edukacyi i kilkunastu tysiącach posagu znajdzie się dla niej stósowna partya, jeżeli zaś kiedy w sercu Stanisława obudzą się uczucia ojcowskie, nie oziębi ich moralne zaniedbanie córki.

Proste lecz wymowne słowa Marysi skutkowały zupełnie. Szło tylko o wykonanie zamiarów. Konferencya małżonków odłożoną została do wieczora, a Onufry idąc do bióra wstąpił do Pawłowej i z wielkiem jęj zadziwieniem oświadczył, iż grosza jednego nie powierzy odtąd do rąk jęj, że jeżeli zechce, niechaj córkę z domu usunie, a wtedy o jęj potrzebach będzie się mieć najtroskliwsze staranie.

Pawłowa z trwogą wysłuchiwała to co jęj Onufry mówił, a lubo przyznała mu we wszystkiem słuszość i nawet wdzięczność mu swoją okazała, lubo chętnie przystała na rozstanie się z dzieckiem, byle mu piękniejszą zapewnić przyszłość, to przecież wspomnienie męża i obawa przed nim zagłuszały niekiedy głos miłości macierzyńskiej. Zosia cieszyła się kiedy jęj powiedziano, że będzie chodziła w ładnych sukieneczkach jak te panienki za któremi służące książki noszą ze szkoły, że oprócz wielu pięknych rzeczy będzie się uczyć śpiewać i tańczyć; Szczepanowa tylko była temu przeciwną, bo straciwszy Zosię, nie wiedziała czy byłby jakiś przedmiot coby ją jeszcze zajmował. Na myśl tę uczuła taką próżnię, taką czczość życia, że to jęj przywiązanie uszlachetniło tę surową i nieokrzesaną postać dawnęj karczmarki.

— Ba ba! radbym to widzieć! — zawołał Gruca, kiedy mu żona po długich ceregielach i przygotowawczych omówieniach wyłożyła zamiary Konieckiego.

— Niechno przyjdzie Chłapczyński to my się tu naradzimy co zrobić. Nie dam sobie z przed nosa porwać takiego kaska. A'cóż to? czy to źle dziewczynie? djabli ję tam po książkach i naukach! Książki chleba nie dadzą, bo gdyby go dały, toby pierwszy Onufry nie lizał lapy z głodu. Niech sobie tam gada co chce, a ja powiadam, że pan Stanisław uczynił zapis i basta! Co mi to takie pleść baję, że to z Onufrego łaski pieniądze? Czyż ja to taki głupi żebym temu na ślepo wierzył; i on czy taki głupi, żeby ich dla siebie nie brał, gdyby tylko mógł. Ho ho! zaczyna kręcić. Hej Zośka!

Dziewczyna która przez ciąg tego monologu siedziała na swoim stryszku i nadstawiała ucha ze drżeniem, zaczęła krzyczeć przeraźliwie, jakby w przeczuciu zresztą nieraz już usprawiedliwionem, że interpelacya o nią Gruca jest pierwszym przygotowawczym krokiem do chłosty. Nie śmiać jednak niepokazać się, bo zawsze na tem gorzej wychodziła kiedy ją Gruca sam poszedł szukać na strychu, gdzie nie było matki i babki po za któremi kryjąc się uniknęła niejednego ciosu, który obrońcom ję się dostawał, wyścibila głowę i zaczęła wołać

— Już nigdy nie będę!

Gdyby ją kto zapytał, czego nie będzie? toby mu nie umiała wytłumaczyć tego wykrzyknika skruchy i dalszej poprawy, lecz jest on wspólny dzieciom chowanym pod batogiem.

— Słuchaj Zośka! — rzekł Gruca — jeśli słowo piśniesz przed kim, że ci tu źle i że chcesz odejść od matki, to cię tak oćwiczę, że się sama ztąd nie ruszysz, chyba cię wyniosą.

Obie kobiety płakały, a Gruca do nich obróciwszy się pogroził tylko i trzasnąwszy drzwiami wyszedł szukać Chłapczyńskiego, który o tej godzinie zawsze był w sądach, bo jeżeli sam nie miał jakiej sprawy, to przez otwarte drzwi sali posłuchalnej słuchał obrony adwo-

katów, ćwicząc się tym sposobem w sztuce dyalektyki sądowniczej i z biegiem spraw w mieście obznajmiając się.

Chłapczyński nie traktował lekko tej sprawy, lecz naprzód z akt hipotecznych przekonawszy się że wiarytelność zapisana na imię Onufrego Konieckiego, poznał, że tylko drogą zgodną traktować można, gdyż między braćmi inna co do tego zachodzić musi umowa. Onufry odrzucał wszelkie przedstawienia Chłapczyńskiego, a kiedy go ten w domu nachodzić począł i żonę jego nawet męczyć, zagroził mu, że go za drzwi wyrzuci, co wreszcie po przygotowanym gieście przy otwarciu drzwi, skutkowało jak najzupełniej.

Pośrednictwo starego Kosińskiego, do którego Gruca trafić umiał przez słabą jego stronę, także nie skutkowało. Nie jedną buteleczkę wysuszył krawiec z dawnym swoim czeladnikiem i nieodstępnym jego doradcą, zanim zbadał należycie w toku rozmowy, stan całej sprawy; mniemał bowiem początkowo, że Onufry obowiązany jest piśmiennie ponosić koszt utrzymania Zosi. Dowiedziawszy się jak rzeczy stoją, usunął się od Grucy, a począł nachodzić zięcia i natrętnie własną mu biedę przesadzał, a w domu u siebie narzekał na jego chytrłość i sknerstwo. Maciek który jako czeladnik i jedyna dawnego warsztatu podpora utrzymywał dom pracą swoją, ośmielał się stawiać w obronie męża swojej niegdyś panienki, ale Kosiński nawykły traktować go wciąż jeszcze jako terminatora a przynajmniej wyzwolęca, zjeździł go i o mało się na niego nie porwał. Stary ojciec milczał nie chcąc ognia bardziej podniecać, ale mruczał pod nosem z niechęcią.

Maciek któremu się już przejadło na jednym miejscu i od dawna wyśmiewany przez inną czeladź, jakoby dotąd jeszcze terminował, wziął to sobie za pochoch do wypowiedzenia roboty. W kilka tygodni potem, dom Kosińskich na nich tylko obojgu się ograniczył, bo sta-

ry jęj ojciec przeniósł się na chleb dobroczynny, przywdziawszy szarą kapotę z czerwonymi z sukna wyasytami głoskami T. D.

Przykry to był niezmiernie dla Onufrego widok kiedy dziadka swojej żony spotkał na mieście z puszka żobraczą, a powitawszy go uprzejmie namawiał, żeby już raczj do niego się przeniósł.

— Nie chcę i nie mogę mój panie Onufry. Ty masz familię i obowiązki, zresztą wspierasz Basię i jęj męża, a do tego, nie myśl, żeby nowa moja służba była mi przykrszjszą od dawnj. Znalazłem tam moich starych znajomych, gawędzimy razem, a wolę że mi czasem prowizor trzeszczy nad uszami niż własny zięć. Od obcych to człowiek prędzej przyjmie i łatwiej zniesie. Za moich czasów to było inaczej. Podupadły rękodzielnik znalazł pomoc i wsparcie w cechu, a na starość w szpitalu, lecz nie tak jak dzisiaj, co cię nacechują; tylko że szpital, to był jakby dla emerytów schronienie. A nawet dostać się na dziadka do kościoła Maryackiego było chlubaie, bo się resztę sił poświęcało służbie Bożj bez przerwy, a w kruchcie zasiadali z taką powagą, dawni mieszczenie krakowscy, i tak ich starość tam szanowano, jak kiedy za młodsza będąc ławnikami, w izbie rajeckiej w ratuszu o dobru miasta radzili. A czyżto nie wyższa rzecz około służby Bożj porządek czynić i kościoła pilnować, niż dozierać czystości w mieście? czyż nie godniejsza, z dzwonkiem po kościele zbierać kwestę na światło do ołtarza, niż wybierać miejskie opłaty? Ale ja się tu rozgaduję, a mnie czas, bo ilem tu wystał, tyle mi groszy uciekło z puszeki.

To mówiąc brzęknął puszka Onnfremu, a kiedy ten wpuścił w nią trojaka, starzec pociągnął dalej s kostanrem w rękę, obchodząc wszystkie sklepy koleją.

Onufry mocno wzruszony tēm spotkaniem wrócił do domu i zastał tam już Macia z tłumoczkami na płasach,

który przyszedł na pożegnanie, na wędrówkę się wybierając. Rozplakał się pocziwy chłopak, a lubo mu Onufry dla rozweselenia go przypominał kąpiel, jaką mu tenże na weselu sprawił, to przecież nie mógł sam bez rozczenia rozstać się z tym, który okazywał zawsze nieklamane do niego i jego żony przywiązanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ALEXANDER STANISŁAW.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Po różnych dziennikach polskich ukazały się już liczne artykuły spowodowane zgonem Kajetana Koźmiana, starca przeszło 80-letniego, który od dawna usunąwszy się od urzędów publicznych, piastowanych przez ciąg życia zaszczytnie, osiadł w zaciszu wiejskiem w swoich Piotrkowicach pod Lublinem. Tam oddając się ulubionym Muzom, nie tracił do samej śmierci ani bystrości umysłu, ani poetycznego ognia, ani popadał w to zobojętnienie dla spraw świata i ludzi, w jakie najczęściej popadają ci, co wyskoczywszy nagle w roli posłanników ludzkości, z trąbą zapowiadającą nową erę zbawienia, spędzeni są rzeczywistością rozwijającą się w innych warunkach. Wydymione te wulkany stoją zazwyczaj bezużytecznie; fundusz ich wewnętrzny starczył ledwo na jeden wybuch; a na żużlach i popiołach trawa nawet nie rośnie.

Kto, jak ś. p. Kajetan Koźmian umiał do ośmdziesiąt piątego roku życia zachować umysł w takiej czerstwości, że się prawie z latami odświeżał, jak tego dowód mamy

w niektórych utworach lirycznych na krótko przed zgonem pisanych, ten widocznie innego był hartu, niż dzisiejsze pokolenie, ten musiał mieć wielki fundusz ducha którym rozrządzał rozumnie, nie marnując go na czcze rojenia, ani rozpraszać w drobiazgi. Jest to bowiem jednym z ujemnych przymiotów naszego wieku, wkładać całe bogactwo umysłowości w najdrobniejszą cząstkę jakiej rzeczy i dochodzić jej składu, podobnie jak fizjologowie, co przez szkło mikroskopu rozbiierają atomy i najdelikatniejsze włókna i tkanki. Tego rodzaju praca analityczna nietylko niepozwała ogarniać ogromu całości, ale, co więcej, wyobrażenie tej całości w duszach zacięra. W literaturze nowszej można tę dążność często spotykać w tych zaściankowych prowincjonalizmach, w tém rozczłonkowywaniu dziejów i społeczeństwa, zgoła w tej rozkładowej robocie, z której ciągle nam wróżą wielkie rezultaty; zupełnie jakby kto chciał robaków roznoszących ciało schorowanej osoby, nazwać przyszlymi konserwatorami jej zdrowia.

Kajetan Koźmian, umysł przedewszystkiém zachowawczy, nosił w sobie zapewne wyobrażenia i uczucia tych czasów, które młodością widział, do których w męzkich latach należał —; nie dziw że mu się przeciwném zdawało wszystko, co malało, rozdrabniało się, zapominało tradycyi, co mu wreszcie psuło ten ideał całości, będący, że tak się wyrażę, najpierwszą jego muzą, źródłem wysokiego tonu, na który nastrojał swoją lutnię. Wykształcony na starych wzorach łacińskich, wżyty w tę wielkość instytucyj Rzeczypospolitej, co choć gasnące, olśniły go całym blaskiem, nawykły patrzeć na ludzi budzących poszanowanie dla swych cnót prawie rzymskich, dla swój biegłości w sprawach publicznych, wychowany nareszcie w karności i prostocie obyczajów staroświeckich, nie mógł się tak łatwo oswoić z wyobrażeniami nowego czasu, z odmienną fizjonomią społeczeństwa, i

z tém wszystkiem co się w około niego działo. — Czwiek więcej niż dwóch pokoleń, świadek tylu zmian i przeobrażeń, zachowanyż został przez Opatrzność, jak ten dąb co go zostawują w wyrąbanym lesie, aby do jego wysokości pięły się młode latorośle zapustu? —

Pospolicie, lecz w innych zupełnie stosunkach, takiego człowieka nazywają zabytkiem przedpotopowym, człowiekiem który się przeżył — my, w naszym położeniu powinniśmy go nazywać: żyjącą tradycją. Podług mnie, nieznam wspanialszej postaci w społeczeństwie, jak starca, który młodemu pokoleniu przedstawia w sobie żywą przeszłość. — Kajetan Koźmian przedstawiał ją w swoim żywocie ziemiańskim: dobry gospodarz, nie pan, lecz opiekun i przyjaciel poddanych, światły doradca, gościny sąsiadom, poważny ojciec rodziny, a nadto jeszcze pamiątka chodząca, serce podnioslejsze, około którego można się było ogrzać — wszystko to składało męża niezwykłych zalet w życiu domowem; a tacy ludzie nigdy się przeżyć nie mogą, przynajmniej niewiem ktoby ich przeżycia się pragnął. — Jak ulubiony jego poeta, Jan Kochanowski, najszcześliwszym się uczuł kiedy z większej sceny świata zeszedł w wiejskie zacisze —; chociaż obowiązki i powinności obywatela powołały go do wysokich urzędów które piastował, jednakowoż dusza jego zawsze tęskniła za cichą niepodległością i miernością, jak to wyśpiewał, w jednym z najdawniejszych swoich wierszy do fortuny *):

Szafuj innym twoje względy,

Sławę, bogactwa, urzędy

Ja się przed twoim ołtarzem nie przestaję modlić

By mię nad ludzi twoja nie wzniosła opieka

*) Prośba wieśniaka do fortuny.

Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam nie dam upodlić.

Taki duch godności osobistej i obywatelskiej przebiega w każdym wierszu Koźmiana. Gdybym tylko pytał pięknych sentencji, moralnych, publicznych, domowych, których pełno w jego rymach, odgadłbym już charakter i sposób myślenia podniosły i szlachetny autora; lecz daleko snadniej mi to przychodzi gdy zwracam uwagę choćby na te dwadzieścia kilka lat ostatnich które wieszcz starzec spędził w zaciszu wiejskiem, otoczony jak patriarcha obowiązkami rodziny i obywatelstwa, a przytem wydobywający z lutni swój ton tak rozgłośny, że wszędzie dochodził, i tak przenikliwy, że każdą szlachetną duszę poraszał. Kto żył w takim poszanowaniu i powadze u ludzi, tego wewnętrzna istota musiała się szczerze odzwierciedlać w utworach natchnienia; niemogły to więc być piękne słowa, skombinowane sztuką, a w dysharmonii z człowiekiem, który je pisał, a o którym nieśmielibyśmy się wyrzec to, co on sam o Horacym powiedział:

I wieszcz, filozof, dworak, choć wieśniak pozorem,
Coś zalecał w twych pieśniach, zaprzeczałeś wzorem.

Z resztą język prawdy i przekonania ma swoją właściwą cechę, niedającą się sztuką zastąpić. To jednak pewna, że nasi pisarze z tak zwaney szkoły klasycyzmokonweneyonalnej, bardzo mało indywidualności swojej wkładając we własne utwory, słabo się tylko w nich odrysowują. Zbyt może zajęci wzorem jakiego klasyka będącego w ich pojęciu takim (*Антик*) doskonałości, wszystko, i co widzieli zewnątrz i co wewnątrz czuli, odnosili do niego, jego przemawiali językiem, jego tworzyli natchnieniem. Głos ich duszy z tru-

dnością się przez te formy przedzierał. Przeciwnie, romantycy obierając inną drogę kreacyi, usiłowali więcęć snuć z siebie, we własną głąb zazierać, a choć i tu nie brakło na konwencyonalizm i naśladowaniu, z tém wszystkiem indywidualności silnięć się rysowały w tém, co z ich piór płynęło. Ztąd poszło że nowa szkoła zainteresowała nietylko pewną odrębnoscią swoich płodów, ale nawet pisarze należący do nięć, intrygowali publiczność, odgadującą w nich wyjątkowe jakieś istoty arcyduchowe i płomienne, cierpiące i tajemnicze, które porównane z klasykami zazwyczaj ludźmi pewnięć pozycyi w towarzystwie, form zimnych, prozaicznych, a zasad konserwatywnych, musiały tych ostatnich zdyskredytować. Łatwo teraz pojąć, gdy się te czasy odsunęły już od nas i sąd nastał spokojniejszy, jaką krzywdę wyrządzano wyznawcom klassycyzmu, odmawiając im wszelkich możebnych zalet, nawet gniazdowych, dla tego tylko, że nieposzli za duchem romantycznym. Wyrok ciężący na całym tym rodzaju, dotykał i Koźmiana; a jak zazwyczaj stronna gorliwość za daleko się unosi, więc w klassyku potępiono i człowieka i zastósowano do niego ten wiersz:

„Napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu“
wtenczas, kiedy dokoła odgrywała się ciemna trajedya, mogąca czem więcęć natchnąć jak dydaktycznym *wieńcem Wirgilego chwały*. Salon literacki Warszawski w *Dziadach* wiele miał rysów zdjętych z natury, tego trudno zaprzeczyć; lecz zatem nie szło, aby koryfej szkoły klassycznęć, był obojętnym na to co żywo obchodziło każde uczciwe serce. Co więcęć, on, tak twardo stojący na wyłomie swojego obozu, odpowiadający na zaczepki i szwały przeciwników dowcipnym sarkazmem lub biczem satyry, sam w końcu ogrzał się tem ciepłem młodej literatury, i w późnięć starości zaczął żywięć i duchowięć czucia swoje tłumaczyć. To pokazuje, że w piszącym

zawsze odbić się musi duch epoki, choćby jak się jemu opierał i protestował.

My dziś wolniejsi od uprzedzeń naszych poprzedników, winniśmy to co z właściwego wyrugowano miejsca, co potępiono bezwzględnie, odnieść do należnego porządku i usprawiedliwić.

Kajetan Koźmian, jak tylu innych, których zastała później reforma romantyków, należał do epoki pisarzy Księstwa Warszawskiego. Komu wiadomo o jak zwątlonych siłach powstało Księstwo, i jakie wpływy przeważnie działały na umysły pod każdym względem, ten sobie łatwo wytłumaczy, że działanie wyobrażeń francuzkich w epoce Stanisławowskiej zatrzymane upadkiem politycznego bytu, a więc i upadkiem literatury, musiało silniejsze jeszcze parcie wywierać, kiedy zwycięstwa Napoleona dały tej części kraju byt i organizację. Jeżeli tedy literatura wielkiego Cesarstwa była jakby echem buletynów, deklamacyjna i zimna, jednostronna i formułkowa, nie dziwnego że się to i u nas odbiło. Zkąd przyszedł kodex cywilny, ztamtąd szło i poetyczne natchnienie i forma. O samodzielności trudno było myśleć, bo ta wymagała geniuszu, lub głębokich studiów na inną drogę; a tymczasem geniusze i talenta absorbowała wojna, a na studia czasu niebyło. Ludzie bowiem naukowci i piśmienni wszyscy poszli w służbę publiczną, i tam ich zasług szukać należy, a nie na polu sztuki. Jeżeli więc ukazywały się twory wyobraźni, to jedynie jako owoc chwili wykradzonej obowiązkom publicznym.

Odnosząc do tych czasów ody i pieśni Koźmiana, widzimy w nich niepospolitą siłę, pęd liryczny, ton podniosły, a niekiedy miejsca tak szczęśliwe, że je za wzór poetycznej szczytności podaćby można. Oprócz tych zalet jest jeszcze forma i język, wysoko udoskonalone, co już niepoślednią miało zaletę wówczesnym stanie na-

szego języka którego nieuczono. Niesłusznie tedy zwolennicy przeciwnej szkoły, wyrzucali klasykom poprawność i ubieganie się o wdzięczne formy; bo porównywając ich sposób pisania z dawniejszym z epok penegiryków zawsze pokaże się ogromny postęp. Każde przeto zaniedbanie i lekceważenie tego co już raz było osiągnięciem i zrobionem, prowadzi do upadku, jak to się sprawdziło na wielu pisarzach romantycznych co naśladowując jenialność gardzącą formą nanieśli dziwacznych i dzikich wyrażań, a nadewszystko rozbratali się z loiczną a rozumną jasnością będącą jedną z cech słowiańskiego ducha.

Virgiliusz i Horacy, jakkolwiek umknęto im znaczenia, przeto że ślepo trzymali się wzorów Greckich, niemniej jednak mają swój odrębny charakter będący odbiciem się wielkości ówczesnej Romy, pani świata — jest w nich tyle humanizmu, taki wyraz wytwornej cywilizacyi, taka znajomość życia, że nowożytni ludy przechodząc z opieki Kościoła, na pole świeckości, wzięły sobie tych swoich przewodników za kodex, podług którego usiłowali kształcić się na obywateli. *Civis Romanus* był to ideał zmodyfikowany pojęciami chrześcijaństwa; cóż dziwnego że i dwaj poeci rzymscy co ten ideał przekazali, stali się owym wzorem najdoskonalszym, po za którym nie już niewidziano. Przypomnijmy sobie wreszcie, że umysły uchylając się z pod jedynęj powagi Kościoła rozciągającej wpływ na wszelkie stosunki społeczne, poddały się innej — powadze starożytnych. Długo byłoby rozprawiać o znaczeniu i ważności powagi, której dziś wszędzie wypowiedziano posłuszeństwo, zwyczajnie jak w chwili przechodnej; chociaż to pewna, że kiedy analiza się sprzykrzy i zużyje, musi nastąpić panowanie syntezy, a z nią powagi z różnicą że ją przeniosą na takiego Danta, Szekspira i t. p. Koźmian należał do tych jeszcze, dla których wzory Baym-

skie były nienaruszoną powagą w rzeczach literatury; była to tradycja idąca nieprzerwanym ciągiem przez całe nasze piśmiennictwo. Niesłusznie mu przeto wyrzucano naśladownictwo Wirgilego i Horacyusza, kiedy on człowiek innej epoki niemógł nawet dopuścić żeby coś wyrównywało tym wzorom doskonałości; wreszcie jak każdy nosi w duszy swój ideał, swoje uczucie piękna tak i on nosił — a trudnoż układać estetyczny kodeks dla stosunków formy z treścią, gdyż piękność zachwycająca nas w obrazie i słowie zawsze będzie tajemnicą świata; jest to właśnie ten czar, wdzięk, gracya, horacyuszowe *dulcia sunt*, którą więcej czuciem można pojmosować, niż wyuczać się z prawideł.

Toż i nasi klasycy mieli inne pojęcie piękności, i w czem inném jój szukali.

Nieujmuje to nie utworom Koźmiana, ani go robi niewolniczym naśladowcą kiedy w swoich lirykach co chwila powołuje się na Horacego, a w dydaktyce opisowej na Wirgila — tak jak nie ujmuje nie kaznodziei kiedy przytacza teksty pisma Ś. i na nich się opiera — bo i mowca kościelny i klasyczny poeta dumni są z powag idących im w pomoc.

Z tego punktu uważając jego liryki i inne utwory tak dydaktyczne jak epickie, niemożna im odmówić niezmiernie wykończonój formy i tego natchnienia idącego z głowy, co jeżeli nie sprawi uroku i wrażenia głębokiej poezyi, ma zawsze urok rozumu; a przyznam się, ostatni ten przymiot mógł robić śpiewaka Ziemiaństwa dumnym, kiedy swoje rymy porównywał ze wszystkimi głośnościami co weszły przebojem w naszą literaturę. Czuł w tem swoją wyższość, i wiedział czem to zagraża; z wielkim też dowcipem zgromił tę swawolę w jednym niedrukowanym wierszu do Jenerała Morawskiego, który może dać miarę o jego talencie w rodzaju satyry:

Gdy równie słynny pieniem jak marsowym szykiem
Morawski mi powiada: nie chcę być klasykiem!

I woła na nieśmiała Feba towarzysze:

„Nie ucz się, lecz pisz; jak chcesz! — a sam tak nie
pisze —

Przypomnić wiersz klasyka nadaje mi prawo:

„Nie rwijcie chłopcy kwiatków, bo wąż jest pod trawą.

Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w sidła!

Lecz komu uciążliwe rozsądku prawidła,

Niech spali dzieła, takięj uległe przyganie,

A choć zginie Horacy, Baka pozostanie.

Więc na przekór pierwszemu stargawszy przepisy,

Łączcie węże z ptakami z jagnięty tygrysy,

Do końskiej szyje ludzkie przyprawiajmy głowy,

Rybę z piękną kobietą spójmy od połowy,

I, nad temi cudami napelnioną kartą

Niechaj się gmin zadziwi z gębą wpółrozwartą.

U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,

Zasiadźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządky,

I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory

Spiewajmy wilkołaki, widma i upiory.

Wszak już uczeń Krzemieńca w Ukraińskim smaku

Nuci dyndającego wisielca na haku,

Drugi za nim podobnie budzi podziw w gminie,

Spiewając nam balladę szczytną o Pierzynie.

Z tak szczęśliwych początków, wróżyć mi jest trudno,

Że nam zaśpiewa kaszę, a choć ta jest brudną,

Przedmiot gminny dostarczy wątku do osnowy —

Cóż ztąd że nieco trąci — ale narodowy!

A tylko gminny obraz godny wieszcza śpiewu,

Niech więc nasze pasterki pasą trzodę z chlewu,

Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,

Po co smakiem salonów, psuć czysty smak w ludzie?

Zgrzeszył Brodziński, zgwałcił nowych wieszczów prawa,

Gdy krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława!
Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a Muzy u bydła!
Chceszli nam obraz szczytny wystawić a szczery,
Idź do jaskini zbójców, tam twe bohaterę;
Maluj wielkie ludzkości poetycznej dzieje:
Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje;
A gdy owoc twych płodów rozmnoży się wszędzie
Za mistrzem wielkim głosem wołaj: Co to będzie?!

Antagonizm obrońcy konwencyonalnego klasycyzmu uderzył tu na żywioł gminny wprowadzany do literatury często bardzo nieszczęśliwie i nieumiejętnie, ale zawsze odświeżający ją technieniem rodzinnem; co mimo wstrętu do gminności nie uszło jego uwagi, gdy Brodzińskiemu oddał słuszość za uszlachetnienie ludowych postaci; zawsze jednak list do Pizonów musiał być na stole; wierny tej powadze nie odstąpił jej do śmierci.

Daleko jednakże trafniejsze było poczucie Koźmiana kiedy w ostatnich latach zabrano się do przerabiania ustalonych pojęć narodu co do zasług i wartości niektórych ukochanych pisarzy, i Autor Prawodawstw zaczął, tymże duchem pędzony, dowodzić wyższości Klonowicza nad Kochanowskim — była to prawdziwa obelga zadana czci otaczającej pamięć słowika Czarnolasu, tego pobożnego ziemianina-wieszcza, co pierwszy miał łzy natchnione, co pierwszy umiał zanucić hymn godny Boga ojców naszych. — Nowy ten estetyk nie mogąc znieść wyższości uświęconej, chciał ją zastąpić zgryźliwym, żółciowym Klonowiczem, dla tego że miał koloryt mieszczański — Kilka wierszy satyry Koźmiana zrobiło doraźną sprawiedliwość:

Jakież to obłąkały rozsądek mamidła?
Czyliż gad, że ma żądło, już ma przeto skrzydła?

Wprawdzie mól tak szczególną odebrał naturę,
Iż z zbutwiałych szpargałów czasem wleci w górę;
Wiem, że robak, co toczy podwaliny skrycie
Kiedy szczyt na dół runie, czółga się po szczycie;
Wiem, że złowrogie ptastwo, wśród zamierchłej doby
Porze skrzydłem powietrze, nim padnie na groby;
Lecz czy ztąd wniosek idzie i wiary nabierze,
Że gdzie nie sięgną orły, sięgną nietoperze?
Pedanci! tworom wieszczów czyniący wyrzuty,
Pomnijcie, że sąd szewca nie sięga za bóty. —

Jak nadmienilem najwięcej ognia i trafności postrzeżeń znajdziesz w jego satyrycznych wierszach, mających przytém dużo powagi nieznizającej się nigdy do szarpania osobistości; karcici on tylko grzechy swojego czasu, i staje się wymownym, nad podziw.

Cenzor, przed Rzymem skarży ten sam Rzym wyrodny.

To jego własny wiersz najlepiej malujący ducha jego satyry, — która nie ograniczała się li na samych biczach kręconych na romantyków, ale nieraz ohłosnęła i nadużycia publiczne. Do tego ostatniego rodzaju należy *Mowa Katona Cenzora o Obyczajach Rzymskich*, którą napisał podobno w roku 1811. Nawykły jak zawsze odnosić wszystkie pojęcia i uczucia do wzorów i dziejów rzymskich, tak i w tym wierszu włożył w usta Katona to, co sam chciał powiedzieć na pewne swawole w wyższych sferach szczególnież na całe otoczenie ówczesnego naczelnego wodza Xięcia Józefa. — Są to niezmiernie silne i wymowne wyrzuty; każdy wiersz jak grot wpruwał się w odsłonięte słabe strony i pewnie ocucił nie jedno przygłuchłe sumienie:

Gdzież są owe cnót wielkich i odwagi wzory,

Niezazdrośni Wodzowie, dzielne Dyktatory?
Już są w grobie....

Albo:

Kto z was teraz Ryma pozna po tak wielkich stratach!
Czyli pewnie po mowie? czy pewnie po szatach?
Czy go pozna po prawach, zwyczajach, przymiotach?
Poznałby go po mężtwie, lecz nigdy po enotach....

Najsilniejsze jednak wrażenie — bo strzał był zbyt bli-
ski i celny — zrobiły te wiersze:

Wstyd wspomnieć na co idą składki i zabory,
Które ze łzami ludu odnoszą Pretory.
Spojrzenie na przepych pułków i na wodzów zbytki,
Kannejskie po ulicach żebrzą niedobitki *)
A srebro złotem błyszczą w pośród nowych szyków,
I gmachy się pod tłumem walą biesiadników. —

Kto tak się odzywał, niemożna mu odmówić oby-
watelskiej odwagi. —

Pieśni i Ody ulubionego mu Horacyusza umiał Koźmian
przepolszczać z niezwykłym talentem; jest to najlepszy
z naszych tłumaczy; wszakże i tu nie poprzestał na roli
prostego tłumacza, gdyż zwykle wybierał takie ody
coby się dały do okoliczności bieżących stosować; brał
więc myśl horacyuszową i wlewał w nią swoją, odpo-
wiedną chwili. Tak on wybornie zastosował wypadki
roku 1809 do sławnej ody: *Justum et tenacem propositi
virum*, gdzie między innemi przestrogi i tę dorzuca:

*) Aluzya do kalek i starców z Konfederacyi Barskiej, żebrzą-
cych, kiedy młódt tonała w sztykach, i świeciła słocistami salify.

Nędzne są kraju takiego losy,
Gdzie rządzców sławę i czyny
Płochóść bez zasług wznosi w niebiosy,
Zazdrość potępia bez winy.

W odach na cześć Napoleona pisanych w różnych czasach, widać entuzjizm bez deklamacji; czujesz że to nie oficjalne hymny, lecz szczere uniesienie wdzięczności posunięte aż do postawienia bohatera na równi z Niebiany, za co potem sam siebie strofuje w innej Odzie, należącej już do innej okoliczności, bo opiewającej Upadek dumnego:

Bóg! to Bóg! głos mój powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą!
Ach! bo kto narody stwarzał
Jakież mu imie przysłało?
Chociaż godne przebaczenia,
O bluźniercze uniesienia!
Zagińcież z bezbożnym wiekiem!
Mógłżem tak Stwórcę poniżyć
By ku niemu tego zbliżyć,
Co się nie znał być człowiekiem!

W ostatnim wierszu znowu za daleko poszedł w potępieniu — ale w okolicznościowych rymach trudna miara, zawsze w czemśi przebiera, co potem ze zmianą dekoracji odwoływać trzeba — wierszem. W gorączkowych momentach trudno znaleźć punkt ogarniający całość czy zdarzenia, czy człowieka — Byron i Lamartine dopiero później mogli nad Upadkiem Bohatera podumać. — Nie wypada mi, ponieważ nieprzytoczyłem dotąd żadnego przykładu wielkiej lirycznej piękności, pominąć kilku wierszy z tej ody, w których olbrzymim pędzla pocią-

giem oddał zniszczenie armii Napoleońskiej w śniegach
Rosyi:

Porzucaj godowe stoły,
Uchodź zguby w cofnych krokach,
Słyszysz ryczące żywioły
Poznaj boską dłoń w obłokach.
Lecz cię trwoga niewycięża,
Jeszcze się rwiesz do oręża.
A tu z twych groźnych zastępów
Marzących boje i łupy,
Wmarzłe w ziemię stoją trupy,
Pastwa dla kruków i sępów.

U dwóch sprzecznych ziemi kresów,
Gdzie tchną mrozy, gdzie wrą żary,
Na dwóch świata Kambizesów,
Stoi równy pomnik kary.
Świat się pyta z trwogi zbłądły,
Jak te góry z niebios spadły
I zgmiotły tłumy szeregów?
Pan, by w pychę proch obrócił,
Ze wszechmocnej dłoni rzucił,
Tam garść piasków, tu, garść śniegów.—

To prawdziwy głos poezji — to piękność wyższego
rzędu, nieprzemijająca, jakiegokolwiek nastana szkoły.

Poemat większego rozmiaru, *Ziemiaństwo*, zaczął Ko-
zmian pisać w r. 1810 i przez wiele lat pisał, dodawał,
poprawiał, gładził. Szydzono sobie że utwór ten trzy-
mał w tece dłużej niż dwakroć, jak Horacy przepisał.
Wszakże, wpatrzywszy się w jego zasadę, zbliżenia się
o ile śmiertelne siły starczą, do nieśmiertelnego wzoru
jaki sobie obrał, wypada ją uszanować, jako sumien-
ności przykład. Kiedy do większej części dzisiejszych
pism mało kto drugi raz zagląda, *Ziemiaństwo* zawsze

będnie czytane, nie jak się czytały romanse, ale przez wszystkich chcących się ztamtąd nauczyć siły, jasności i zwięzłego pisania. Każdy utwór w który pisarz włożył wiele rozmysłu, wiele staranności, już tém samém ma większą żywotność niż wszelkie prace *alla prima* robione.—Poemat ten na Wirgiliuszowej kanwie osnuty, opiewa bogactwa ziemne naszego kraju i zachęca do uprawy roli, pokazując i korzyści i rozkosze wiejskiego żywota. Nieradbym uważać tego utworu za proste ćwiczenie się w opisach znanych dobrze przedmiotów gospodarczych, ale za coś więcej istotnego. Urok wojennej sławy za Napoleona anosił wszystką młodzież na pola bitew, gdy tymczasem żywot cichy rolniczy mniej nęcił; społeczeństwo wyrzucone z wielowiekowej kolei biegło szukać zaspokojenia swych żądz w różnych zawodach, a nadewszystko w przepychach wielkiej stolicy cesarstwa, ztąd przywiązanie do obyczaju ojców i do domowej strzechy a roli, stygło i zacierzało się. W takiej chwili obudzić miłość do ziemianńskiego żywota tego niewyczerpanego źródła zamożności, i enót pa tryarchalnych, było zadaniem godnem poety. Poczul to śpiewak Ziemianstwa, jak poczul wzór jego, śpiewak Georgik za czasów Augusta Rzymskiego.

Będę usiłował wyjaśnić lepiej ten stosunek.

W dydaktyce potrzeba uważać dwa różne od siebie momenta; jeden, gdzie dydaktyka jest naturalną potrzebą; drugi, gdzie jest sztuczną kombinacją. W epoce takiej jak Hezydowa, kiedy czas dla nauk specjalnych i rzemiosł jeszcze nie był przyszedł, gdzie każdy sobie był wszystkiem i wszystko musiał umieć, gdzie zjawiska natury jeszcze powlekała tajemnica, gdzie ciekawość nauczania się gorąca, a do zaspokojenia trudna—tam poezycja wystarczyć mogła, jak wystarczały hezydowe *Prace i Dnie*.—W bardziej rozwiniętych zaś cywilizacyach, gdzie się już umiejętności ściśle ustaliły, dy-

daktyki właściwej niema, bo jej nie potrzeba; jednakowoż poeci wśród wykwintów miejskich eleganckiego świata odbiegającego od natury, starają się sztucznemi sposoby, przenieść się w niepodobne położenie pierwotnej prostoty i szukać natchnień jakie mogły się zrodzić w kolebce społeczeństw. Ostatnia ta epoka jest epoką Wirgila. Z témwszystkiem Georgiki daleko są wyższe od tak zwanych poematów *opisowych*, będących zazwyczaj skalą upadku, bo pisarz nie mając co wysnuć z siebie, szuka tego w przedmiotach zewnętrznych, czego we własnej duszy znaleźć nie może. Wirgilowe opisy ożywia interes patriotyczny, społeczny. Rolnictwo z którego wyszły silne cnoty Rzymu i sława, niebyło już w stanie wyżywić odrodnych potomków. Przyczyn tego upadku wiele; to użycie do pracy niewolników w miejsku ludzi wolnych, to zakładanie ogromnych willi i parków bezużytecznych, to spustoszenia wojny domowej, to zastąpienie dawnych posesyonatów weteranami Sylli, Cezara, Oktawiana nie mających wyobrażenia o uprawie.

Zle do tego doszło, że nikt się pracy rolnej nie imał z zamiłowaniem — rolnictwo uciekło z Italii. Wirgili chce mu cześć przywrócić, ożywić, znowu miłość pługa zaszczerpić, a z nim i staroświecki obyczaj, i dawne ojców cnoty. Tego rodzaju dydaktyka była na dobie. —

Nasz śpiewak *Ziemianstwa* poczuł tę analogią, i postanowił patronować sprawę zaniedbanego pługa;

Opiekuj się więc pługiem, z którego szczodroty
Płyną twoje dostatki, a krzewią się cnoty!
Pługiem, za którym jeszcze niech się wspomnieć godzi
Dawna wiara i skromność przedków twoich chodzi,
I szczerłość nieobludna, praca i wstyd prawy,
Lepszy stróż społeczeństwa, niż mądrów ustawy. —

Pod opieką ulubionego mistrza, podobnie jak Dant,

który Wirgila wziął za przewodnika w podziemne kraje i on się puszcza po ziemi Lechickiej z tą jednak różnicą, że Dant patrzył własnymi, Koźmian Wirgila oczyma. —

Główna przyczyna dla czego ten poemat nie zrobił wrażenia, jest ta, że w nim studiów odpowiednich zbyt mało; malarz natury polskiej przestał na dostarczonych mu patronach; niepodstuchił tajemniczych głosów tej ziemi, a wszystko co widział i co mógł czuć, gwałtem przymierzał do czegoś znanego, obcego. Wszakże z drugiej strony Ziemiaństwo uważane w tym kierunku jakiegoś się trzymała klassyczna szkoła, jest najwykońcześniejszą pracą, w której można spotykać miejsca prawdziwie z ogniem natchnienia pisane, szczególnie niektóre apostrofy i ustępy o rasie koni i wołach — rysunek byka po mistrzowsku skreślony:

Na ich czele poważnie idzie wódz wspaniały,
Tocząc się jak ogromny obłom siwój skały,
Gruby kędzior pochmurne czoło mu zakrywa,
W grubych marszczkach podgarle do goleni splywa;
Bądź rogiem się zastawia, bądź krzywy zyz toczy
Pasterz zbrojny kosturem nie śmie zająć mu w oczy;
Przygłuszonym pomrukiem liczne wiedzie stada,
I, jak szeroka przestrzeń, tak szeroko włada.

Tu czujesz że śpiewak obraz ten wysnuł z siebie, że własnymi oczyma widział *ten ogromny obłom siwój skały*; ale Koźmian niewierzy nawet żeby mógł co sam przez się czuć i widzieć bez Wirgila, kiedy powiada:

Są cuda, których samo bóstwo niepowtarza,
Raz stworzyło naturę i raz jój malarza.

Ostatnich lat kilkanaście życia poświęcił Koźmian napisaniu wielkiego historycznego poematu; *Stefan Czarniecki*, który liczy do 15 tysięcy wierszy. Ponieważ utwór

ten nieogłoszony drukiem, powiem o nim pokrótce. Zamierzając dać narodowi epopeję, trafił na bohatera którego otaczała cudowność, i ta wiara, że był umyśl nie przez Boga wybranym na wybawienie króla i ziemi swój, od najazdu pięciu gróźnych nieprzyjaciół wpadających pod przewodnictwem Karola Gustawa, a zesłanych na ukaranie grzesznych słabości Jana Kazimierza i swawoli szlachty znęcającej się nad włościanami... Cud obrony Częstochowy przez Kordeckiego dał hasło do pokrzepienia się w ufność i na siłach; w skutek czego zawiązała się konfederacya Tyszowiecka stawająca przy królu. Tu występuje Czarniecki, którego poeta przeprowadza przez tysiączne koleje bitew i tryumfów, aż do zawarcia pokoju w Oliwie kończącego wojnę Szwedzką.

Przedmiot niezmiernie bogaty w sytuacye i charaktery; ale jak w innych utworach Koźmiana tak i w tym, działanie zastąpione bywa opisem, zawsze na jeden on wygłoszonym, bez zastosowania dykcyi do przedmiotu. Koturnowy Wirgili znowu mu przewodniczył — czemuż nie Homer, który po ziemi stapał, bosą nogą, prosty, z miejsca na miejsce przenoszący się gęślarz?—

Zbytnie przywiązanie się do jednego wzoru i form jego, zepsuło wszystkie te dary i zasoby wyobraźni i ducha jakimi mógł sędziwy śpiewak Czarnieckiego rozrządzać; tak dalece, że nie wiem czyli sam prosty przykład homerycznych poematów nie odpowiadałby więcej potrzebie naszej wewnętrznej patrzenia na rzeczywistość i prawdę, podniesioną do wielkich rozmiarów i niedojrzanych wysokości, duchem boskiego piewcy, — niż ten narodowy poemat, w którym poeta prawdę i rzeczywistość podciągnął pod formy zbyt znane, a wysłowił po akademicku, bez tej prostoty i naturalności, bez jakiej trudno wiarę i serce czytelnika pozyskać.

Są inne jeszcze względy, które czynią epos tak trudnym w nowożytnym świecie zadaniem, a te są: tradycje bardzo żywe, i wiara niezaprzeczoną, podzielaną przez wszystkich. W wieku gdzie historie piszą, gdzie analiza panuje, opinie się różnią, bohaterowie dzienni cześć odbierają — może być ledwo poemat historyczny. Czy Stefan Czarniecki Koźmiana, odpowiada temu zupełnie? — powie świat czytający i sądzący.

Poprzestańmy teraz na jednym wyjątku, będącym niejako węzłem całego utworu: świętobliwy pustelnik, w klasztorze bielańskim obwieszcza Janowi Kazimierzowi przyszłość odnoszącą się do jego panowania, i objawia przyjście męża mającego Rzeczpospolitą z ostatniej toni wybawić: —

Za okopami Wazów stółecznego grodu,
Jest gaj, wieczne mieszkanie ciszy, cienia, chłodu.
Oslaniają go liściem dęby wiekuiście
Wisła wilży, z gór źródła przeryniają czyste,
Gaj ten, gdy lato kłosa szumiące zapłoni
Zda się zielonym wieńcem na rolniczej skroni
Tu klasztor Romualda z Kameldul czcicieli,
W swych murach pustelniczych wznosi się i bieli.
Dziwna sprzeczność z stolicą. Tam zgiełk, hałas, wrzawa,
Zbytek, przepych, uciechy — zgoła tam Warszawa
Nurza się w żądzach życia, tonie w ich potopie
Tu zakonnik ogródek i grób sobie kopie.
Tam zalotność zabawy tam biesiady tłumne
Tu pobożny wstręt od nich wzrok ma wryty w trumnę.
Niestety! ledwie słowik wiosnę zapowiada,
Co rok tę ustronń grzmiąca Warszawa napada.
Spienionemi rumaki lśknącemi rydwany
Wieżie sprośną rozpustę, wiezie jej kapłany,
Znieważa gwarem biesiad świątki uroczyste
Samotność pustelniczą — wzrok i serca czyste,

A na przekor pobożnej skrusze i pokucie
Poi z czary rozkoszy rozpasane chucie. —
Nie ta była téj świętej uchrony postawa
Gdy pierwszy kładła kamień ręka Władysława
Las ponury natrętą odpychał stolicę
Zwierz przebiegał, gdzie dzisiaj gmachy i ulice.
W te bory raz Władysław zapędzon na łowy
Kiedy ściga jelenie przez knieje, parowy,
Zatrzymał się u brzegu cienistej pieczary
Siedział przed nią pustelnik poważny i stary,
Długa broda sędziwe wydawała lata
Krzyż szkarłatny na piersiach, śnieżna jak włos szata,
Wśród modłów, których tylko puszcza słucha czarna,
Po wieńcu kokosowym, święte spuszczał ziarna. —
Spostrzegłszy króla wstrząsnął w drżącej dłoni czarą
„Wspomóż“ rzekł „zakon Pawła nieskapą ofiarą“
Król zdjęty z szyi wsunął w czarę łańcuch złoty
A pustelnik rzekł: „Królu za dar Twój szczodroty
Bóg Cię ubłogosławi — ukrzepi prawieć
Przerazisz gromem zwycięstw północną stolicę.
Czernichów, Siewierz włączysz do świetnych zdobyczy
Od dzikich ludów Ugra Polskę odgraniczy;
Na odgłos Twoich zwycięstw zadrży Osman z trwogi,
I przez posły uniży księżycowe rogi,
Ojciec kościoła, swemi uwienczy Cię dary
I ogłosi obrońcą Chrystusowej wiary.“

Rzekł król: jeżeli się Ojciec sprawdzą wróżby Twoje
I zwycięstwem ukończę twarde z dziecią boje,
Nad tem źródłem w téj puszczy i nad tą jaskinią,
Wzniosę na podzięk Bogu Klasztor i świątynią,
Zakon wasz pustelniczy po kraju rozmnożę
I Ciebie nad mistrzami pokory przełożę.
Spełniły się świętego pustelnika słowa
I król dotrzymał ślubu. — Wzniosła się budowa.

Władysław jeden domek zachował dla siebie
Tam w każdej rodu swego i kraju potrzebie
Gdy go chrapliwe trąby na bój krwawy wiodły
W lubém sobie ustroniu składał Bogu modły.
Ten to bór mija Kaźmierz gdy mu w myśli stawa
Pustelnik, wróżby jego, zwyczaj Władysława.
Więc od obozowego zwrócił konia toru,
Wraz z giermkim po bezdrożach dąży do klasztoru,
Wiedzie ich błady księżyc, wiedzie ich noc cicha
Król nad sobą a giermek nad swym Królem wzdycha.
Wtem staną przed murami. Zsunęli się z koni
Tknięta ręką wisząca spiż nad furtą dzwoni.
Słychać z pod głuchych sklepień stopy zakonnika,
Z brzękiem kluczy skrzyptł wrzeczadź, brama się odmyka,
Brat słowy: „Pomnij na śmierć“ Króla swego wita,
Ten o świętego Ojca troskliwie go pyta.
Odpowiada „Duch jego jeszcze mieszka z nami
Lecz ciało wynędzniałe pokutą i łzami,
Ziemskich pokarmów więcej już z braćmi nie dzieli,
Tem żyje co mu z Nieba przynoszą Anieli.“ —
Idąc, do ciasnej celi zbliżyli się progu
Widzą zatopionego śmiertelnika w Bogu.
Leży krzyżem na ziemi kapłan Pawła święty
Przed nim Zbawiciel świata na krzyżu rozpięty.
Wstał zakonnik a jasność błysnęła mu z skroni
Przychodniów oblał potok nieznanej im woni
Król rzecze: „Uciśniony bolesną żalobą
Ojcze! igrzysko wszystkich nieszczęść masz przed sobą!
Upadam pod gromami, objaw mi kres ciosów
Ublągaj śmierć lub ulgę u groźnych Niebiosów“ —

Milczał starzec, stał długo jak posąg ze spiżu
Padł krzyżem i wzrok utkwiał w Zbawiciela krzyżu —
O! w jakże uroczystej spoczywa on ciszy
Ziemskiego władzcy tronu ni widzi ni słyszy

A ten jak tajemniczą odepchnięty trwogą
Korną od męża niebios, odsuwa się nogą.—
Rozmów z Niebem grzesznemu słuchać się niegodzi
Tak rzecze i do celi poblizkiej odchodzi.
Tam wizerunek brata uderza mu oko;
Utopił w nim wzrok tkliwy i westchnął głęboko
Dla strapionego serca odpoczynku wzywa
Do zwilżonych łzą źrenic sen mu nieprzybywa.
Ta cisza, ta spokojność za klasztornym progiem
To święte towarzystwo z Modlitwą i Bogiem
Przeszłego stanu pamięć przywodzi do myśli
I z obecną wielkością porównanie kreśli.
Wini niestałość ludzkiej wrodzoną naturze
Że od portu pokuty puścił się na burze
O szczęśliwy! rzekł, kogo od marności świata
Ta klasztorna na wieki oddzieliła krata.
Raz wyłączon od błędnych tój ziemi tułaczy
Nie wystąpił na padoł nędzy i rozpaczy.
Próżność nad próżnościami i wszystko próżnością
Wróciłem do świetności, płacząc nad świetnością.
Ach! kto za tronem świata z tój ustroni wzdycha,
Niech skosztuje goryczy z mojego kielicha.
I w nadmiarze boleści nim świt błysnął z rana
Z czarną w duszy rozpaczą wraca do kapłana.
Wstał zakonnik nie czekał na króla pytanie
Przeniknął je, wyczytał i odrzeka na nie:
„Są chwile gdzie duch ludzki do ziemi przykuty
Z ciała wycieńczonego chłostami pokuty
Wzbija się w wrzących modłach zachwyceniem płonie
I w rozwartych przed sobą głębiach Niebios tonie
Takię łaski niegodny płaz ziemi doznałem
Lecz że nie jest nędznego śmiertelnika działem
Objąć górnych światłości morza niezmierzone,
Bóg mi tylko z ich części odchylił zasłonę

I widziałem jak w niebie blaskiem gwiazd promienny
Stał jak posąg tryumfu krzyż wzniosły płomienny,
Z słońca się nań wieczności zlewał potok chwały,
W około całe ludy męczenników stały.
Stroiła mężne czoło korona zasługi;
A te z ran ich wylane męczeńskiej krwi strugi;
Ten nurt święty co niegdyś ziemskie zbracał katy
Tu wonnemi Krzyż Pański opływał szkarłaty.
U stóp jego stojący lśnił się kielich wiary
Cnotliwych on boleści przyjmuje ofiary,
Z każdą łzą co weń wpada tysiąc świętych głosów
Z brzmiającą prozbą do wyższych wzbija się niebiosów.
Tam zkąd w źródłach miłości ciągnęła litość spływa,
Lecz i grom potępienia głąb piekieł przeszywa.
W tej to chwili o Królu! z serca wyciśniętą
Ujrzałem tam łzę Twoją, spadła w czarę świętą
I łącząc się ze łzami tylu naszych króli
Przepełniła nareszcie ten kielich niedoli
Wzniosły się grzmiącym chórem hymny męczenników
I aż w głębi najświętszych zasięły tajników
Wszystko drżało nadzieją — a gdy groźne Bóstwo
Ważyłó nasze cnoty, większe przestępstw mnóstwo
Zdało się jakby w górze głos święty niewieści
Sercem matki dziecięce przedstawiał boleści
A najwyższej o litość błagając istoty
Takim prawie brzmiał jękiem, jakby w dniu Golgoty;
I w krótee się mym smutkiem, żalem, rozrzewniony
Anioł pociech z naszemi przybliżył patrony
I wskazał mi na złotym kreślone obłoku
Te wyrazy w niecofny m gorzące wyroku:
Jam jest Bóg, karzę zbrodnie a cnoty nagradzam,
Narody gdy chcę wznoszę, kiedy chcę zaglądam —
Chłostać ich będę długo i chłostać dopóty
Aż doczekam poprawy skrucy i pokuty. — i t. d.

Gdzie tylko przedmiot jest natury więcej lirycznej, tam Koźmian nie pozostawia do życzenia, jak w wyt przytoczonym ustępie — lecz gdzie dramat życia zachodzi, gdzie potrzeba obrazów plastycznych, i postaci narysowanych i postawionych tak, aby się mogły utrzymać na nogach, aby się nierozpływały w mgle sentencji — tam mniej go podziwiać mogę; choć zawsze niedostatki te pokrywa szata ślicznie utkana, udrapowana rozumnie, a olśniewająca oczy jak syryjska purpura na którym z Cezarów. —

O innych pracach ś. p. Koźmiana nie mówię, z powodu, że mi szło głównie o secharakteryzowanie jego pism rymotwórczych, stawiających go w czelnym szeregu naszych pisarzy; — jednakże wyczytawszy w *Kronice* Warszawskiej w pięknym artykule, ręką jego syna skreślonym, wiadomość o mającym wyjść kompletnym zbiorze dzieł Kajetana Koźmiana, czuję potrzebę powtórzyć takową. Zbiór ten pomieści się w czterech tomach. W pierwszym: oryginalne wiersze, Siedm ód, w części nieznanych, pieśni i hymny, listy wierszem, poezyje do różnych osób — Cztery bajki — epigramaty, napisy — a nakoniec Ziemiaństwo. — W drugim: Stefan Czarniecki. — W trzecim: Przekłady z Horacego, Wirgiliusza, Tybulla itd. — W czwartym Pisma prozą: Mowy pogrzebowe — obrona podoficera Grotkowskiego — Żywot Kasztelana Jana Tarnowskiego, Jenerała Dąbrowskiego — Kilka rozpraw krytycznych, kilka nekrologów, a nakoniec niektóre rozdziały z jego wspomnień; na same bowiem Pamiętniki, nie pora. — Mały to poczet ksiąg — ale dla tego jest w nich i treść i pocziwe ziarno.

Szlachetnie i godnie spełnione posłannictwo pisarza! kiedy współcześni a tém mniej po nas idące pokolenia nie ośmielą się mu wyrzucać, że ich serca zatrul jadem, pomieśzał rozumy, wyrzucił z karbów świętych powinności, nabawił niesmakiem życia, lub rozpałił nigdy nie

nasyconą żądzą.... Przeciwnie, błogosławić będą, że w pięknej, treściwej mowie przechował im tyle szczytnych prawd życia, tyle myśli podniosłych, tyle do cnoty zapalu, a do rodzinnej strzechy — miłości.

Niepodobna mi lepiej zamknąć tego literackiego przeglądu jak parą strofkami, które ś. p. Koźmian napisał o sobie, w wierszu do Księdza Baranowskiego proboszcza w Bychawce. Miał wtenczas 77 lat wieku:

Już się przybliży kres mego żywota:
Niezbędna starca oczekuje droga
Pójdę w nią śmiało, bo otworzą wrota
Gdy ty zapukasz i westchniesz do Boga —
Nieszczędź pociechy mojemu plemieniu
Wzorem, nauką, zachowaj od skazy,
Nad memi zwłoki wyryj na kamieniu
Jeślim zasłużył, te krótkie wyrazy:
„Tu leży starzec, Bóg mu lat przyczynił
Czcił Boga, kraj swój kochał, ludziom niezawinił“.

Są to wyrazy prawdy, którym potomność zapewne kłamu niezada. —

LUCYAN SIEMIŃSKI.

PODPISANIE POKOJU.

W téj saméj właśnie chwili kiedy ostatni zeszyt tego pisma opuszczał prasę, to jest 30go marca, pełnomocnicy siedmiu mocarstw europejskich, Austrii, Francyi, Anglii, Prus, Rossyi, Sardynii i Turcyi, zebrani na konferencyi w Paryżu od dnia 25go lutego, po ośmnastu posiedzeniach podpisywali pokój, i aktem tym kończyli spór rossyjsko-turecki od trzech lat trwający.

Lecz spór ten nie pozostał był jak wiadomo na téj stopie na jakiej go missya księcia Menszykowa w roku 1853 postawiła. Przybrał on niesłychane rozmiary, a co większa zmienił się nawet w swéj istocie. Nie tylko wywołał wojnę, ale w następstwach swych kwestyę tak zwaną Wschodnią przemienił w kwestyę europejską, w kwestyę równowagi; podzielił Europę na trzy obozy: mocarstw wojujących, sprzymierzonych i neutralnych; stał się powodem do różnych traktatów, nadwreżył dawniejsze stanowiska państw pierwszego rzędu względem

siebie i innych, stworzył niektóre przewagi, odkrył niektóre słabości, wyprowadził na jaw wiele interesów trzymających się dotąd w ukryciu, wywołał wiele kwestyj uważanych za załatwione, — słowem, zachwiał istniejącym stanem politycznym Europy do tego stopnia, że zjazd pełnomocników w celu zakończenia sporu, poczytano powszechnie za kongres europejski przeznaczony aby urządzić stanowczo najważniejsze sprawy, rozstrzygnąć nieodwołalnie wszystkie zawikłania i trudności, spisać nowe prawo publiczne na nowym oparte systemacie — a przynajmniej zjazd ten poczytano za przygotowawczy do takiego kongresu.

Do takiego sposobu zapatrywania się na konferencyje paryżkie spowodował opinią publiczną nie tylko skład samychże konferencyj, zawezwanie do nich Prus, mocarstwa w spór bieżący bezpośrednio nie wmięszanego, nie tylko ogłoszenie podstaw na jakich obrady polegać miały, nie tylko zdania wyrażone o konferencyach przez osoby udział w nich biorące, które zapowiadały, iż obrady te w razie niezzerwania ich, staną się dziełem wielkiem, nowym dla Europy kongresem, — ale owe uznanie ważności konferencyj, a przynajmniej oczekiwanie stanowczego z obrad wypadku, usprawiedliwiała sama natura rzeczy, sytuacja polityczna, jaka się w skutek lat ostatnich wywiązała, a głównie ów stan niepewności, rozdrażnienia, wahania się, w jakim społeczność europejska przez cały ciąg bieżącej sprawy zostawała. Położyć koniec choćby na czas niejaki owemu anormalnemu stanowi w Europie, zdawało się być koniecznem zadaniem konferencyj. To też nieufność i powątpiewanie, które towarzyszyły działaniom wojennym i usiłowaniom pokojowym zawieszono podczas obrad, a nadspodziewane przyjęcie *ultimatum* austriackiego przez Rosyę, naprowadzające na domysł, iż ta bądź z konieczności, bądź z innych powodów, zwró-

cila się na drogę pokoju, pozwalało wnioskować o skuteczności otwartych układów.

Jakoż konferencye nie napotkały nieprzełamanych trudności, nie zostały zerwane i pokój podpisano; osnowa jego atoli pokryta dotąd tajemnicą, uchwalono bowiem, że traktat dopiero po ratyfikowaniu ma być ogłoszony.

Dla dokładnego ocenienia jakie wrażenie fakt tak ważny wywarł na społeczność europejską, niechaj wolno będzie odwołać się do kilku słów na tém samém miejscu w styczniu skreślonych. Artykuł ów pod tytułem „Pokój i Wojna“ pisany w obec stanowczej chwili przyjęcia *ultimatum* przez Rosyę, miał zamiar nacechować stan polityczny i społeczny Europy w téj właśnie chwili, i jako taki służyć był winien za punkt wyjścia w ocenianiu dalszego biegu wypadków i zmian które przewidywać kazał niespodziewany obrót, ustąpieniem Rosyi sprawie bieżącej nadany.

Powiedzianem tam było, i jakkolwiek w krótkich wyrazach dostatecznie z powodu bijącej oczywistości. dowiedzionem, — że stan anormalny Europy zależał na tem, iż pokój którego większa część społeczności używała, zawierał w sobie żywioły towarzyszące wojnie, i nosił znamiona które téj ostatniej są właściwe. Skoro więc fakt podpisania pokoju doszedł do wiadomości publicznej, społeczność europejska nie była tyle uderzoną samem zawarciem pokoju, na co była zresztą przygotowaną, jak raczej z całą żądzą wyjścia z nader przykrego położenia, zwróciła uwagę ku jego istocie. Pokój był jęj prawie obojętnym, bo wiedziała z doświadczenia i to długiego, że można wśród pokoju nie używać spokoju i cierpieć wszystkie prawie dolegliwości wojny, ale pytanie, „jaki pokój“ poruszało aż do głębi wszystkie oczekiwania, nadzieje i interesa. Dowodów na to było bardzo wiele, i każdy bezstronnie patrzący

mógł się jak najłatwiej o tem usposobieniu przekonać.

Dla tego to opinia publiczna nie wiele się troszczyła jakim sposobem pokój zawartym został, albo które z mocarstw najwięcej się do tego przyczyniło, nie wiele ją także obchodziło jakie, i jak wielkie ustąpienia poczyniła Rosssya, jak wytkniętą zostanie granica w Besarabii, ale pytała tylko o to: czy kwestye konferencyom poddane, stanowczo rozstrzygniętymi zostały, bo to pozwalało jój wnosić czy kwestya Wschodnia rozwiązana lub tylko zawieszona. Radaby była dowiedzieć się czy przymierze Francyi z Anglią zostało nadwerężone czy wzmacnione, bo to posłużyć jój mogło za miarę trwałości nowo ułożonego systematu równowagi europejskiej; czy swobody zapewnione tureckim rajasom otrzymały dostateczne w podpisanym pokoju rękojmię, bo z tego rokować mogła o sile podstawy przyszłej równowagi. Nakoniec opinia publiczna radaby była dowiedzieć się czyli jakie kwestye europejskie nie dotyczące się bezpośrednio sprawy wschodniej, zawsze jednak przez nią wywołane, zajmowały konferencye i co w téj mierze uchwalonem zostało; bo w tem upatrywać mogła skazówkę, w jakim stosunku owe konferencye podniesione przez nią do wysokości kongresu, zostają z kongresem wiedeńskim, jak dalece ustanowienie nowego prawa publicznego mogło być zadaniem zjazdu pełnomocników w Paryżu....

Na wszystkie te pytania i wiele innych, nie mógł dać odpowiedzi huk dział, który się rozlegał nad brzegami Sekwany i obwieszczał podpisanie pokoju, ani też powtarzające go echo z londyńskiego Toweru i z carogrodzkiej Pery. Nie zaspokoił ich również i *Monitor* znanem swem oświadczeniem, że wojna się skończyła. Wiadomość ta szybkością błyskawicy po całej rozniesiona Europie nie podniosła nigdzie giełdy, tego barometru i spokojnych dążeń i pokojowych oczekiwań w dzi-

siejszej społeczności. Pozostał on na tym stopniu, na jaki poskoczył na wiadomość, że Rossya propozycje austriackie podpisała bo odtąd już o skończeniu wojny niewątpił. Lecz opinia publiczna widziała w niem tylko przedłużenie zawieszenia broni w tej chwili, i tak też było w istocie. Ale czy dla tego że wojna się skończyła nastąpił rzeczywiście pokój? Wojna materyalna ograniczała się w małym kółku, ale prawdziwego pokoju nie było nigdzie; wojna trapiła małą część ludzkości, ale brak spokojności czuć się dawał we wszystkich społeczeństwach sferach najwyższych i najniższych. Czyliż koniec wojny zwiastował rzeczywisty pokój? Podpisany pokój byłże takim, aby mocarstwom wolno było zmniejszyć armie na stopę pokoju? aby ulżył ciężarów społeczeństwu? Zgoda między mocarzami przywrócona byłaż taką jakiej sobie życzył Napoleon III, gdy na obiedzie danym dla zebranych w Paryżu pełnomocników we wzniesionym toaście wyrzekł: „Oby zgoda ta była trwałą, a będzie nią, jeżeli się zawsze opierać będzie na prawie, na sprawiedliwości, na prawdziwych i słusznym interesach ludów!“...

Nie tyle wszakże chodziło tu o wiecznotrwałość podpisanego pokoju, bo na tę rachować nie można, a z resztą trwałość to kwestya przyszłości, a dla opinii publicznej więcej rzeczą przeczucia niż przekonania. Ale szło głównie o bezpośrednie pokoju następstwa: to jest czy z podpisaniem pokoju zmieni się uciążliwy stan rzeczy, czy z końcem wojny skończy się niepewność i życie z dnia na dzień jakie każdy mniej więcej od pewnego czasu prowadził. Na to zawsze potrzeba było przynajmniej ustalenia równowagi w Europie do tyła, żeby jój lada kwestya, lada zmiana, lub wypadek zepsuć nie mogły. Rękojmij w tej mierze nie dawał ani *Monitor*, jakkolwiek zapowiadał że pokój zapewnia spokojność Europie na trwałych i stałych podstawach, ani lord Pal-

merston, oświadczając w Parlamencie że cel wojny został dopięty. Wkrótce bowiem, a raczej nawet równocześnie z ogłoszeniem że pokój podpisany, wystąpiły w dziennikach wszystkie kwestye składające sprawę Wschodnią, jako dowód że takowa nie rozwiązana jeszcze, konferencye prowadziły obrady, komissye do urządzenia właśnie tych podstaw trwałych miały być dopiero wysadzone — zgola, każdy chcąc niechcąc dojść musiał do przekonania, że oprócz podpisania pokoju to jest ukończenia wojny, nie więcej dokonaniem nie było. Opinia publiczna skoro wiatr rozwiał tumany dymu z wystrzałów pokojowych, została w tem samym położeniu w jakim była po pierwszych wojennych wystrzałach; wróciła też aż do pewnego stopnia do dawnego usposobienia. Jak dawniej nie chciała uwierzyć w wojnę, tak dziś nie dowierzała pokojowi. Niewątpiła ona aby mu ratyfikacyj odmówić miano, tu dostateczną znajdowała rękojmię w przedłużeniu zawieszenia broni, w rozszerzeniu go do wojny morskiej, w zniesieniu blokady i wolności jakiej używają rossyjskie pawilony w żegludze po wszystkich morzach, niewątpiła że wojna się skończyła, ale nie miała przekonania aby już dla tego używać można było korzyści pokoju, owęj właśnie spokojności, którą jęj zapewniał dziennik urzędowy francuzki. Słowem obawiała się aby jak przed podpisaniem pokoju stan moralny społeczności europejskiej dawał się określić przez wyrazy: „pokój i wojna;“ tak znów aby po podpisaniu nie przyszło go oznaczyć równie krótko: „ani pokój ani wojna.“ Obawa ta przebijiała nietylko w większej części organów opinii publicznej, nie tylko w całym zachowaniu się społeczności w obec wypadku 30 marca, ale nawet w czynach będących najloicniejszymi następstwami położenia politycznego tak Turcyi jak innych mocarstw, w utrzymaniu wojsk w pewnych prowincyach, w dalszem przeciągnięciu konferencyj, w nie-

pewności Europy co do tego kiedy i jakim sposobem konferencye się skończą.

Uspodobienie to o jakim mowa, odpowiadało całkiem usposobieniu społeczności europejskiej przed trzema laty. Nikt zapewne jeszcze nie zapomniał jak przyjmowano wiadomości o sporze rossyjsko-tureckim w chwili jego wywiązania się, jak odpychano wszelkie rozumowania prowadzące do tego wypadku, że spór ten wojną zakończyć się musi i to wojną na wielkie rozmiary; z jakim wreszcie niedowierzaniem przyjęto samą już wieść o wydaniu wojny. Nie przypuszczano aby pokój mógł być zerwany, wtedy jeszcze gdy już posłowie mocarstw poróżnionych opuszczali wzajem stolice, niewie-rzono wojnie dosłownie, aż dopiero po bitwie nad Almą. Wnioskowano ztąd i powtarzano ciągle: Europa niechce wojny. Szukano w różnych powodach źródła tej nie-przewyżczonej niechęci; odkryto bezwątpienia wiele słuszných i prawdziwych, ale pominięto jedną przyczynę nader prostą i jeżeli tak wyrazić się wolno leżącą jak na dłoni. Pominięto ją może właśnie dla tego; a zresztą nie było na to rady, bo tak być musiało w dzisiejszym składzie społeczności europejskiej. Europa nie-chciała wojny, a raczej uwierzyć ję niechciała, dla tego że niewiedziała o co ją prowadzić ma i będzie.

Minęły już bowiem dawno te czasy, kiedy wiedzano o co wojna poszła, jaki ję cel, jakie powody. Wówczas wojnę prowadziły narody, i nikomu nie mogło być tajno o co się biją i dla czego się godzą. Wiadomą była przyczyna wojny, wiadome warunki pokoju. Lecz wiedza pod tym względem opinii publicznej przestała być tak jasną od czasu jak w systemacie politycznym Europy miejsce narodów zajęły państwa. I nie mogło być inaczej jak skoro wojnę prowadzą państwa, o powodach do niej sądzą gabinety bez udziału w czemkolwiek narodu, przemawiają o niej właściwym sobie ję-

zykiem to jest dyplomatycznym, i kończą ją wreszcie stósownie do uznania rządów czy ją skończyć lub wieść dalej wypada. Im wybitniej występowała idea państwa, im bardziej według swęj istoty kształtowała społeczeństwo, im silniej sprowadzała w harmonię swęj jedności wszystkie żywioły składające dawniej sztukę rządzenia, tém więcej polityka przybierała formy dyplomatyczne, tém więcej ukrywały się przed ogółem narodu rzeczywiste przyczyny wojny, a zastępowały je pozorne.

Prawda ta którąby łatwo było wykazać historycznie przez ciąg wojen od traktatu Westfalskiego, nigdy jeszcze tak namacalną nie była jak w ostatnich latach. Opinia publiczna nie mogła dopatrzeć powodu wojny w sporze turecko-rossyjskim, przeto wojny nie przypuszczała. Wszystkie noty dyplomatyczne ogłaszane drukiem, wszystkie usiłowania łożone na załatwienie sporu potwierdzały ją w tém mniemaniu. Według aktów dyplomatycznych nie było w całym sporze ani jednej polityki marzącej o zaborach lub zdobyczy, nikt i w niczem niechęciał nadwierać niepodległości i nietykalności państwa Ottomańskiego, wszystkie państwa pragnęły swobód rajasów wspólnie z Rossyą a nawet z Turcyą, Księstwa Naddunajskie obudzały sympatyę wszystkich rządów, nikt wolności żeglugi na Dunaju niezaprzeczał, nikt również nie odmawiał Turkom prawa zamykania Dardanellów — wszędzie zatem była pozorna zgoda — wszyscy chcieli pokoju. Czemuż więc wojna wybuchnąć miała? Niektóre różnice zdań, więcej w wyrażeniach niż w istocie rzeczy na pozór leżące, dla których nota wiedeńska z 9go sierpnia 1853 w pierwszych konferencyach między Austryą, Francyą, Anglią i Prusami ułożona, z pewnemi tylko modyfikacyami w Stambule przyjętą być mogła, nie były tak ważne, aby pokój nadwierać były w stanie. Nikt również nie wątpił, aby Rossya nie miała ustąpić z Księstw gdyby inne mocar-

stwa postawiły jęj w tęg mierze wyraźne żądanie w formie *ultimatum* — jakoż sama Austria dokazała tego w roku następnym. Wypowiedziana więc wojna we wrześniu r. 1853 przez Turcyą, była już niespodzianką, a przystąpienie do niej Francyi i Anglii w r. 1854, pomimo licznych i ciągłych dowodów „że Europa nie chce wojny“, utwierdzić musiało mniemanie, że nie jest wiadomem o co rzeczywiście chodzi, jaki był powód wojny.

Z niedowierzaniem tęg przypatrywała się raczej opinia publiczna aniżeli brała udział w tęg sprawie gdzie wciąż wszystkie życzenia skierowane były ku pokojowi, gdy tymczasem wojna przynajmniej co do liczby państw wojujących coraz większe przybierała rozmiary. Czuła bardzo dobrze, że stan w jakim znajdowała się społeczność nosił oba te znamiona, ale niewiedząc dokąd wojna dąży, jakie jęg cele, nie mogła sobie zdać sprawy na czém się skończy, i jakie wypadki mogą położyć kres tęg anormalnej sytuacji.

Nie mogła ona sobie wytłómaczyć wojny pomimo nawet całej jawności z jaką na dyplomatycznym polu toczyła się przed nią sprawa. Mówiono wprawdzie i powtarzano, że polityka zdobywcza Rossyi i przewaga tego państwa zagrażała równowadze europejskiej — że to więc był powód wojny. Ale Rossya nie przyznawała się do tęg polityki, pomimo ogłoszonych poufnych aktów, a opinia publiczna biorąc rzeczy po prostu, szukała w biegu wypadków i w kolei jaką wojna postępowała, ażali rzeczywiście ten był jęg powód. Nie widziała jednak aby przedsiębrane środki zmniejszyć miały tę przewagę i przywrócić równowagę. Środki najprostsze zdawały jęg się być najlepszymi. Tymczasem ciągle wahania, ograniczania wojny do tego lub owego wojennego teatru, długa nieczynność wojsk sprzymierzonych, wolny odwrót z Księstw dozwolony wojskom rossyjskim, na koniec wyprawa do Krymu — nie pozwalały wnosić aby

szo tylko o poskromienie siły, a przeto o ukrócenie przewagi i powrót do równowagi, ale chyba o jakieś inne cele nieznanne. Nieufność tę a oraz nieświadomość bardziej jeszcze powiększał anizeli zmniejszał język dyplomatyczny używany przy ciągłych układach. Opinia publiczna pojąć nie była w stanie, aby przewagę można tam złamać, gdzie jak to przy konferencyach wiedeńskich z 1855 r. głośzono „nie ma ani zwycięzców ani zwyciężonych“, aby „bezinteresowność i abnegacya“ mogły być podstawą polityki mocarstw wojujących, a nowém i wielce dla dyplomacyi chlubném byłoby odkryciem, osiągnięciem celu przez wojnę w którejby niebyło ani zwycięzców ani zwyciężonych. Historia nie przedstawia podobnego przykładu.

Podobnież przypuszczać ona nie mogła aby powodem do wojny miała być kwestya religijna. Była to tylko jedna strona sprawy i będzie nią zawsze ilekroć wystąpi kwestya Wschodnia, bo to leży w naturze rzeczy, bo tam islamizm styka się z chrystyanizmem a katolicyzm ze schizmą. Lecz jakkolwiek Rossya utrzymywała że wojnę prowadzi z religijnych pobudek, jakkolwiek powtarzała to do końca a nawet przy podpisaniu pokoju, w ostatnim manifestie religijny a nie inny powód i cel prowadzonej wojnie zakreśla; to wszakże oczywiście było od samego początku dla opinii, że powodu istotnego wojny gdzie indziej szukać wypada. Usunięcie spieszne kwestyi o Miejsca Śte jeszcze podczas misyi księcia Menszykowa, ustąpienie nawet Francyi w tym przedmiocie i w téj chwili, zdradzało bardzo wyraźnie obawę, aby ta sprawa religijną cechą mającą nie weszła w istotę sporu, aby spór ten nie przeniósł się na owo pole. Wszelkie też na niém stawiane przez Rosyę żądania, oceniane bywały przez Mocarstwa zachodnie z politycznego wyłącznie stanowiska. Protektorat religijny do jakiego rościła pretensye Rossya, uważany

był przez Francję i Anglię za uroszczenia do politycznego protektoratu, za naruszenie praw zwierzchniczych Sultana, który przecież nie ma religijnej władzy nad Chrześcianami. Sprawa rajasów lubo gorliwie przez Zachód podjęta, załatwioną być miała na zasadzie wolności wyznań a nawet równości religijnej. Zresztą sam fakt przymierza zaczepnego i odpornego mocarstw chrześcijańskich z mocarstwem mahometańskim przeciw mocarstwu chrześcijańskiemu, i jego następstwo, przyjęcie mahometańskiego państwa w skład polityczny państw chrześcijańskiej Europy, sam ten fakt, pominąwszy wiele innych, był dostatecznym aby przekonać opinię publiczną, że nie kwestya religijna była powodem wojny.

Więcej jeszcze obalamucono ją przedstawieniami i rozumowaniami jakoby wojna toczyła się w sprawie cywilizacyi. Na tej drodze, a raczej na tém bezdrożu, opinia publiczna już w zupełnej zostawać musiała nieświadomości tak co do powodu jako i celu wojny; tu już największa czekała ją niepewność jakie koleje przebiegać będzie i gdzie się zatrzyma, bo cóż jest cywilizacya i jaka jej sprawa? Cywilizacya jestże ogląda obyczajów, jak to dawniej mówiono? Rzecz wtedy bardzo prosta, sprawa cywilizacyi jest sprawą mającą na celu „ogładszać obyczaje“ nieoświeconych narodów. Ale wtedy wojna toczona w tej sprawie, byłaby powrotem do barbarzyńskich czasów, gdzie oświecone narody z bronią w ręku nakładały cywilizacyą mniej oświeconym. Któż zresztą zasługiwał na takowe ze strony Zachodu w sprawie cywilizacyi wystąpienie? Rossya należała do składu mocarstw cywilizowanych, Turcya życzy sobie przyjąć tak zwane dobrodziejstwa cywilizacyi, nakładać ich więc nie ma potrzeby, a w końcu nie przeciw niej ale z nią razem prowadzono wojnę. Trudno i to przypuszczać aby zniesienie niewoli i poligamii na Wschodzie tak dalece obchodzić miało Francją i Anglią, żeby dla tego

poświęcać chciały miliony i wojsko. Jakże o cywilizacyi wyraża się sam mistrz teoryi w tym przedmiocie p. Guizot: „Myśl postępu i rozwoju, mówi on w swęj *Historyi Cywilizacyi*, jest myślą zasadniczą zawartą w nazwie cywilizacyi. Obejmuje ona dwa fakta: rozwój działalności społecznej i działalności osobistej, postęp społeczeństwa i postęp ludzkości.“ Cywilizacya w tém znaczeniu jest nieco ciemno pojmowaną, i niewiedzieć za prawdę, jakimby sposobem, i na jakiej podstawie wystąpić można zbrojno w jęj sprawie. Ile słów bowiem w tém ocenieniu, tyle prawie przedstawia się pytań równie zawilych. O jakimże tu postępie mowa? Składająz go żywioły religijne, moralne, należaz do cywilizacyi miłość kraju, uczucie sprawiedliwości? Nie zdaje się, albowiem właśnie w wiekach najbardziej cywilizowanych, a zatém gdzie według p. Guizota postęp był największy, cnoty te były najsłabsze, albowiem wielez to właśnie niesprawiedliwości i występków niespełniono pod płaszczykiem cywilizacyjnych dążeń. Na to dość wspomnieć, aby nie sięgać starożytnej historyi na wiek XVIII i znaczenie jakie w ustach filozofów i rewolucjonistów przybierał wyraz cywilizacya. Nie łatwo także domyśleć się co znaczy „rozwój działalności społecznej“, co to jest nawet „działalność społeczna“. Czyliż wszystkie społeczności nie są czynnemi, już przez to samo że żyją, czyż nie działają? Idzie więc tylko o to, jak działają, i w jakiej formie ich działanie ujęte. W tém tylko widzieć można postęp i rozwój. Wyrazy te są tak elastyczne że się do najsprzeczniejszych zasad dadzą zastosować. Jedni i słusznie, widzą cywilizacyą w postępie moralności i rozwoju uczucia sprawiedliwości na tle niezmiennęj podstawy Chrystyanizmu, i dla tych jedna tylko być może cywilizacya prawdziwa to jest chrześcijańska; dla drugich zaś, i niestety dla większej nierównie liczby, postęp jest twierdzeniem ciągłego i powszechnego ruchu,

zaprzeczeniem wszelkiej niezmiennej podstawy, wszelkiej odwiecznej niewzruszonej zasady. Dla pierwszych uznanie prawa i obowiązków jest postępowaniem, a rozwojem staranie około ich wykonania, bo to koniecznie ludzkość udoskonalać czyli naprzód posuwać musi; dla drugich każdy ruch jest postępowaniem a każda zmiana rozwojem. Ci chcą uszanowania dla praw tradycyjnych, historycznych, tamci w prawach takich widzą tylko przywileje; dla pierwszych istnieją społeczność, naród, rodzina, dla drugich niema nic prócz indywiduów i ludzkości; u tych postęp cywilizacji ma swoje granice, bo jest coś nad nią wyższego, dla tamtych postęp jest nieskończony, bo nic nad cywilizację... Jakże do tych sprzecznych dążeń zastósować sprawę o którą wojnę toczono? Jeżeli powód do niej miał być sprawą cywilizacji, to które z tych dążeń miała zaspokoić, czy pierwsze czy drugie? i jakim sposobem?... Co większa, czyliż miano cywilizacji nie jest tak ogólne, czyliż wyrazy postęp i rozwój ludzkości, nie są tak chwiejne, że się nagiąć dają do wszelkiej sprawy, wszelkiego interesu nawet do wszelkiego największego i najmniejszego wynalazku? Nie używały go i nie nadużywały wszystkie stronnictwa?... Każda sprawa chce być na drodze cywilizacji; wszystko co jej sprzyja wydaje jej się być na drodze postępu, wszystko co jej bieg hamuje, sprzeciwia się rozwojowi społeczeństwa. Możnaż więc tak niedokładnie określone dążeń popierać środkiem tak praktycznym jakim jest wojna, i powód do niej upatrywać w sprawie cywilizacji? Tu jedna tylko odpowiedź może być stanowcza. Jeżeli przez cywilizację rozumie się ten postęp jaki ludzkości w niedoścignionych swych wyrokach Opatrzność wytknęła, to wtedy każda sprawa może być zwaną sprawą cywilizacji, bo w końcu znajdzie ona zawsze swe właściwe miejsce w historii świata, stanie się ogniwem w szeregu wypadków z ja-

kich się składa życie ludzkości. Jeżeli zaś mowa o cywilizacji na jaką się składają ludzkie usiłowania, to wtedy ta tylko sprawa mogłaby się stać powodem do wojny, któraby postęp społeczności zwracała na drogę najwięcej odpowiednią idei państwa, i systematowi politycznemu istniejącemu w Europie. Dziś taką tylko sprawę uznałyby państwa za sprawę cywilizacyjną. To jak się zdaje dowodzenia nie potrzebuje. Sprawa więc cywilizacyjna podana jako powód wojny wschodniej naprowadzała tylko na domysły.

Wszakże opinii publicznej nie szło o domysły lecz o pewność. Takowej pewności chciano także dopatrzeć się w interesach materyalnych, których pomyślność coraz większa jest zresztą dla wielu ściśle ze sprawą cywilizacji związana. I tu wszakże poszukiwania nie łatwe. Interesa materyalne grają bezwątpienia wielką rolę w polityce dzisiejszej, ale do ocenienia nader trudną. Idea państwa, na której systemat polityczny Europy się opiera, już przez to samo że przedstawia jedyną siłę i najwyższe prawo, nie może zostawiać obok siebie niezspolonych z sobą żywiołów i dąży też do sprowadzenia wszystkich czynników społecznych w jedność odpowiednią jej koniecznym następstwom i wymaganiom. Jedne całkiem usuwa jako niepotrzebne, inne przerabia na swoją modłę, a przerobionych używa. Przykładów w tej mierze nie brakuje: dość spojrzeć na Francją, na ową demokrację która się stała godłem cesarskiem. Podobnie dzieje się i z owym czynnikiem społecznym, objętym pod ogólnem mianem interesów materyalnych. W systemacie państw interesa materyalne nie są tem samem, czem były dawniej; interesami tyjącemi się po prostu agronomii, przemysłu lub handlu. Są one interesami państwa i jako takie jeżeli nie całkiem przeobrazić się musiały w swęj istocie, to przynajmniej co do formy swojej. Zmiana ta polega na zmianie praw na

jakich się opierały. I nie mogło być inaczej: bo jeżeli prawo i potęga idei państwa polega na zastąpieniu jedną myślą państwa wszystkich praw indywidualnych i wszelkich sił interesów w skład jego wchodzących, to naturalnie w takiej centralizacyi wszystkie prawa nawet najważniejsze, jakim jest np. prawo własności, to jest moc zarządzania i rozrządzania nią dowolnie, musiały ulegć pewnym odmianom i ograniczeniom. To też państwa niepotrzebują właścicieli ziemskich w dawnem znaczeniu tego wyrazu, ale tylko producentów; niepotrzebują korporacyj przemysłowych i ogłaszają wolność przemysłową; instytucye handlowe także całkiem są inne, ruchem kapitałów kierują państwa, a nawet kredyt, ów najtrudniejszy do pochwycenia żywioł, ujęty został ideą państwa w pewne karby i częstokroć widzieć go można jak ulega dążnościom z góry wskazanym. Jakkolwiek więc żadnej nie można było mieć wątpliwości, że strona interesów materyalnych w sprawie Wschodniej jest znaczną, to stosunku jęj do polityki ogólnej oznaczyć się nie dało. Opinia publiczna zresztą, nie uwłaczając bynajmniej ważności interesów różnych państw wiążących się z wpływem na Wschodzie, z wolnością żeglugi na Dunaju, i neutralizacyą morza Czarnego, mogła się wahać, czyliby korzyści otrzymane ztąd dla handlu i przemysłu były tak wielkie, aby w nich z pewnością upatrywać można rzeczywisty powód do wojny, czyli mówiąc językiem spekulacyjnym, aby warto było w tym interesie ryzykować tyle kapitałów. Jakoż noty dyplomatyczne zaręczały że mocarstwa nie mają w wojnie żadnego wyłącznego interesu, żadnej korzyści na celu, że stają w obronie zagrożonej równowagi.

Z pobieżnego przeglądu błędnego koła w jakim zostawała od zawiązania się wschodniego sporu aż do skończenia wojny opinia publiczna w Europie, wypadła podobno dość jasno że powód rzeczywisty wojny nie

był jój dokładnie wiadomy. Usprawiedliwia to zdanie bardzo dobitnie ostatnia broszura hr. Ficquelmonta wydana w Wenecyi w styczniu r. b. pod tytułem: „O przyszłym pokoju,“ lubo napisana w innym celu i do innych datają konkluzyj. Co spowodowało Rossyę, pyta autor, do wdania się w wojnę obecną, czy interes czy sumienie? Ani jedno ani drugie, śmiało odpowiada. Sumienia nie było nigdzie: nieco fałszu a wiele dwuznaczności wszędzie. Rossya wdała się w wojnę z powodu kwestyi o pierwszeństwo (*préséance*) dyplomatyczne, z powodu kwestyi, którą potem pokryła płaszczykiem religijnym; Anglia wdała się w wojnę z powodu kwestyi o interesa materyalne, którą ukrywa pod nazwą walki barbarzyństwa z cywilizacją; Francya rzuciła się w wojnę z różnych powodów, i nieprzyznała się podobnie do prawdziwego bodźca według jakiego działała. Z talentem sobie właściwym dowodzi publicysta tego założenia, i w dowodzeniu przebiega dwie pozorne przyczyny wojny: religijną i cywilizacyjną. Pierwsza według niego była tylko pozorną już dla tego samego, że Rossya która jój używała, równocześnie z wyrażoną koniecznością oswobodzenia kościoła greckiego w Stambule, niweczyła swoje religijne na Wschodzie stanowisko i osłabiała tamże swój wpływ oświadczeniem, że nieprzystanie nigdy na przywrócenie cesarstwa greckiego. Po tym kroku strona religijna w tym sporze musiała być tylko uważaną za narzędzie, a kwestya cała za wyłącznie polityczną, nawet dla Rossyi. Zachód zaś użył wyrażenia „wojna w sprawie cywilizacyjnej“ raczej za przeciwstawienie wyrażeniu „wojna religijna“ używanemu przez Rossyę, za blichtr naprzeciw blichtrowi, za manifest na manifest, niżby miał upatrywać jakkolwiek korzyść dla cywilizacyi w wojnie z Rossyą. Cywilizacya więc zdaniem tego dyplomaty nie była wcale powodem do wojny, w której widziano trzy wiel-

kie mocarstwa walczące razem z przyczyn, zdawałoby się istniejących tylko w wyobraźni. Rossya walczyła w obronie wiary, której nikt nie zagrażał; dwa mocarstwa Zachodnie i ich sprzymierzeni w sprawie cywilizacyi, której Rossya nie stała bynajmniej na zawadzie. A przecież musiał być jakiś powód wojny? Hrabia Ficquelmont widzi ten powód w żądzy osiągnięcia przewagi politycznej.

Dotknęta tu została tylko jedna i to mała bardzo strona broszury hr. Ficquelmonta, która się wiele trudni moralną stroną kwestyi wojny i pokoju, i nosi nawet na tytule napis: „Rzecz sumienia“ (*cas de conscience*) Politykę państw sądzić ze stanowiska sumienia osobistego, jest rzeczą niepodobną, bo jakże sumienie państwa oznaczyć i kto jego sędzią? Lecz słusznie ma znakomity pisarz, gdy z politycznego stanowiska rzeczy biorąc, w żądzy osiągnięcia przewagi widzi rzeczywisty powód wojny. Sprawa była polityczną, a wojna innego powodu nawet mieć nie mogła. W systemacie równowagi nie masz innego powodu do wojny, przewaga jednej siły może tylko zepsuć systemat na równoważeniu sił oparty. Wszelkie inne powody, dałyby się usunąć na dyplomatycznej drodze, zwłaszcza z prawem publicznem jak obecne, które wszystkie ważniejsze sprawy odsyła przed trybunał wielkich mocarstw. Pozostaje tylko jedno pytanie, bo nie doskonale na świecie być nie może, czy systemat równowagi, może się obejść bez przewagi jednego z mocarstw? czy nawet przewaga takowa nie jest potrzebną do zachowania systematu? czy nie miało zawsze przewagi jedno państwo w chwili nawet gdy układano w traktatach równowagę?....

Lecz niezapuszczając się w tę kwestyą, któraby za daleko prowadziła, bo na pole historyczne, lub pole domysłów, łatwo pojąć, że opinia publiczna szukając materalnego, jeżeli tak wyrazić się wolno powodu do

wojny, nie natrafiała tylko na pozorne, a nie widząc powodu czemu wojnę prowadzono, nie była zupełnie zaspokojoną faktem podpisania pokoju; że czekała z niecierpliwością ogłoszenia traktatu pomimo, a może właśnie dla tego iż jej oświadczone, „że traktat zaszczytny dla wszystkich“. Nie zupełnie może jasno jej się przedstawia jak to być może; wyrazy że „cel dopięty“ nie objaśniały ją w tem względzie zwłaszcza że je wyrzekli równocześnie Cesarz Wszech Rosyi w manifestcie i minister angielski w Parlamencie co wyraźnie dowodzi że istotnie jak mówiono w konferencyach wiedeńskich nie było zwycięzców ani zwyciężonych.

Nie zadowolnili jej także i sam traktat który już ratyfikacye wszystkich dworów uzyskał, jeżeli w nim koniecznie czegoś więcej szukać zechce, jak końca wojny, to jest ukończenia starcia się chwilowego na polu kwestyi Wschodniej. Niewypada tu przesądzać co się w nim znajduje, tem mniej gdy piszący te słowa, dziwnym zbiegiem okoliczności w tem samem co w miesiącu marcu znajduje się położeniu. Jak wówczas pisał o konferencyach nie wiedząc o ich wypadku, który za dni kilka miał być wiadomy, tak też i tym razem traktat prawdopodobnie będzie ogłoszony zanim niniejszy artykuł dojdzie rąk publiczności.

Wszelako zważając że kwestye dotyczące się równowagi politycznej, a o tę idzie przedewszystkiem, nie są tak namacalne aby wszystkim były dostępne, że one więcej są rzeczą gabinetów, przygotować się winna opinia publiczna że w traktacie kwestye te nie będą może wyraźnie rozwiązane. O przymierzach angielsko-francuzkiem, to jest o jego sile i przyszłym wpływie w obec pokoju, więcej nierównie wnioskować będzie można z obiecanych protokołów konferencyi, aniżeli z samego aktu. O innych kwestyach, nie dotyczących się bezpośrednio sprawy Wschodniej żadnej zapewne w traktacie nie bę-

dzie wzmianki; domyślać się jednak będzie można, czy konferencye paryzkie już stanowczo zakończyły dzieło pokoju, czy dopiero były przejściem do późniejszego kongresu. Jeden tylko fakt wybitnie w nim ukazywać się będzie, skoro „cel ma być dopięty,“ to jest zamiar położenia kresu przewadze Rossyi, objawionej głównie zbyt szczerem niegdyś wypowiedzeniem niespokojności o przyszłość Turcyi, jak niemniej widoków w razie gdyby Państwo Ottomańskie rozpaść się miało. Czy jednak neutralizacya morza Czarnego, jedyny fakt dokonany przez wojnę, usunie na zawsze niebezpieczeństwo od Turcyi? Czy w dalszém rozwinięciu kwestyi Wschodniej, księstwa Mołdawii i Wołoszczyzny i wolność żeglugi na Dunaju staną się dostateczną zasłoną W. Porty od strony lądu, uwzględniając zwłaszcza położenie terytoryalne i wpływ religijno cywilizacyjny jaki wywierać na Wschodzie zdaje się być przeznaczeniem Rossyi? Czy przewaga Rossyi rzeczywiście złamaną, a całość Turcyi istotnie zabezpieczoną została, i na jak długo?... Zdaje się że pytań tych traktat stanowczo nie rozwiązał.

Odpowiedź na nie należy do przyszłości, tak jak do historyi należy już sąd o zakończonym przez podpisanie pokoju sporze. Ona to kiedyś wypowie jasno całą w tej mierze prawdę, odsłoni i powody do wojny i cel jej ostateczny; bo jak pięknie powiedział z tej okazji w wspomnionj wyżej broszurze publicysta austriacki: „można przez czas niejaki obrzucić historję zasłoną ale współniczką fałszu uczynić jej nie można.“

MAURYCJ MANN.

KRONIKA.

Kraków w kwietniu.

Wszystko się jakoś psuje na tym bożym świecie. Wiosna nawet z dnia na dzień się ociaga, kwiecień się kończy, a drzew kwiecie nie ubieliło jeszcze, trawka nawet złudzona przyjaznem na chwilę spojrzeniem słońca, zaledwie wyścibi zieloną szypułkę listka, kurczy się zaraz owiana mroźnym wiatrem górskim. Wiosna, czeże słowo! gdzież twoja zieloność, śpiew ptasząt, łagodny powiew wietrzyka, zapach łąk, roje motyli i roje nadziei? Daleko jeszcze, daleko, a my co tak tęsknie wśród długiej zimy przybycia twego oczekiwali, zawołać musimy: jeszcze nie czas! i karmić się samemi o tobie wspomnieniami, jak to uczynił poeta kreśląc obraz twój:

„O wiosno kto cię widział jak byłaś kwitnącą...“

Co mi to za pora, kwiecień w Krakowie! Chociaż kalendarz Czechowski właściwym sobie językiem terminowym powiada, że „pogodą przysłużyć się stara“, ale cóż to za pogoda, kiedy ni mróz ni gorąco, ni zima ni lato, a jeśli sucho, to jedynie ztąd iż wiatr każdą kro-

plę dżdzu w locie wysuszy. „Strónami godzi“ powiada dalej ten sam kalendarz, cóż z tego kiedy nas omija, jakby się wahał ożywcze kropkami rozzielenie trawniki plantacyj naszych. Szczęśliwy czytelniku, który te wyrazy dopiero w maju czytać będziesz, obojętnie wzruszysz ramionami na te kwietniowe żale, nie znajdziesz u ciebie współczucia biedny kronikarz, który myślą przebiega całą kwietniową przeszłość, aby ci uszczknąć (mówiąc obrazowo) kilka suchych listków wspomnienia nie tylko z tego oto upłynionego miesiąca, ale nawet z ostatnich dni marca. Zajrzyj bowiem do marcowego zeszytu, wyraźnie tam stoi smutnej pamięci obietnica zdania sprawy z odbytych Świąt Wielkanocnych. Gdyby nie to, że złożona na piśmie, anibyś się do niej przyznawał, nie będąc z rzędu tych smakoszów, co w miesiąc, ba i później obлизywać się jeszcze umieją na wspomnienie smacznego kaska.

Pamiętam że zajęty byłem w ówczas gorliwie obowiązkami konsumenta, ażeby tym sposobem wpłynąć na podniesienie produkcyi krajowej; starałem się raczej o pośpiech niż o wybór, w przekonaniu, że szybki i o ile można rozległy popyt wpływa korzystnie na podniesienie wartości i obudza nieograniczone współzawodnictwo, które jest głównym bodźcem postępu na drodze materialnej. Usiłowania moje i moich towarzyszy już dla tego samego musiały być podniesione, iż wielka liczba drobnych producentów albo wcale tego roku ze święconem nie wystąpiła, albo też w tak szczupłych rozmiarach, iż należało się obawiać znacznego niedoboru w produkcyi wielkanocnej. Rzeźnicy, piekarze, cukiernicy i różni handlarze artykułów konsumowych widocznie to dostrzegali.

W samej rzeczy od roku do roku święcone traci jakoś ze swojej starodawnej cechy. Z jednej strony maleje, z drugiej zaś zmienia pierwotną swoją formę i przechodzi na rodzaj śniadania *à la fourchette*, gdzie szynka, kielbasa i placek nikną wśród licznych szeregu potraw, przypraw i zapraw, na które sztuka kucharska wysila się. Proszę pytać, gdzie znajdzie dziś wielkanocnego baranka z wyszczerzonym w zębach jajkiem, w którego łonie mieściły się przeróżnego rodzaju siekanki i potrawki, czyli jak je dziś przechrzczono: frykasy

i pasztety. Tam gdzie wpływ cudzoziemski już przeważał, goście przesuwają się na święconem jakby to była sala bufetowa; każdy rad sobie tylko i o sobie pamięta, a do służby tylko należy pilnować, żeby gościowi nie zbywało na tem czego zażąda. Skoro półmiski opróżnione, każdy wysuwa się cichaczem, goniąc z kolei na drugie święcone, gdzie toż samo się powtarza; całą zaś różnicę tych święconych między sobą stanowi doskonałość kucharza i wartość piwnicy — gospodarz i gospodyni są rzeczą całkiem obojętną; połowy gości nie widzą w tłumie, a niektórych znają zaledwie z widzenia. Gdy wszakże dom się otwarty prowadzi, nikomu wstępu zabronić nie można kto przyzwicie ubrany, chyba by mówili przeciw niemu tak ciężkie zarzuty, iżby mu lokaj mógł na własną odpowiedzialność zamknąć drzwi przed nosem. Święcone gromadzi wszystkie te razem osoby, które kiedykolwiek w ciągu całego roku złożyły wizytę gospodarstwu, nie pomijając i tych, których pobyt w salonie nie ma innego celu, jak żeby kiedy niekiedy powiedzieć: „Cara widziałem i przed jenerałem niako kłaniałem i z pażem gadałem“.

W klassach średnich zdarza się jeszcze niekiedy owa niby gościnność staropolska, której tak dalece nie pojmują w naszym wieku, iż sądzą że się na tem zasadza, aby gości utuczyć i spoić. Tam bezprzestannie gospodarz dolewa, a gospodyni zachęca i namawia a przeprasza że nie smakuje. Wydobyć się ztamtąd niełatwo i takiego święconego byle czem nie zbędzie. Święcone trwa tam do drugiej niedzieli, a niekiedy resztki onego przechowują do Zielonych Świątek, a raczej nie są to resztki, lecz nowe, pomnożone wydanie. Rzadko już teraz o takie domy, bo nawyknięto żyć z krédką, a rozliczne mnóstwo nieznanych dawniej potrzeb i wygódek, pochłania tę część dochodów, którą dawniej głównie na stół obracano.

W drugie święto idzie się lub jedzie na „Emaus“ pod klasztor Zwierzyniecki, niby na *Long-champs* krakowskie, w trzecie zaś na Krzemionki, gdzie z kopca Krakusa rzuca się jaja gotowane, jabłka, orzechy, bułki i pierniki, uganiając się za tym posilnym gradem gawiedzi, a zowie się to „Rękawką“. Początek i znaczenie jej nie są dotąd należyte zbada-
dane. Nazwa i miejsce obrzędu na mogile usypanej rękami,

kazałyby się domyślać, że to pamiątka jej założenia; czas zaś obchodu na wiosnę, zgadza się z obrzędem Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiej, kiedy oddawano cześć pamięci zmarłych. Rękawka jest zapewne takim obrzędem czci wielkiego naczelnika, który przed wiekami władał w tej okolicy, a po którym nie zostało prócz nazwiska, tego kopea i obchodzonej na nim w trzeci dzień Wielkiénocy Rękawki.

W tym roku i na Emausie i na Rękawce było pusto i głucho. Szczyt góry zajmowało tylko mnóstwo straganów z wódką i rój przekupek, a jedyne głosy jakie się dały słyszeć, były to śpiewy dziadów i kalek wło-czących się po odpustach. Pomiędzy temi pieśniami usłyszeć niekiedy można jakąś zwrotkę, treścią swoją i budową wiersza zdradzającą starożytne swe pochodzenie, a zbieracze pieśni ludu nie powinni by omijać takiej sposobności; bogatsze by tam odkryło się dla nich źródło, niż w nieustających a ciągle przeinaczanych krakowiakach, gdzie i forma i obrazy aż do przesytu powtarzane.

Takich wyśpiewujących żebraków nie spotka wcale w Krakowie. Ród ich wyginął tu bardzo już dawno, dzięki instytucjom dobroczynnym w jakie miasto nasze obfituje. Chcąc ich szukać, trzeba za nimi chodzić po odpustach w Galicyi, wszakże do Podgórza nie jeden jeszcze zabłąka. Ubóstwo, które po krakowskich zakładach miłosiernych się mieści, należy już do pokolenia co straciło tradycję cechu dziadowskiego. Są to podupadli mieszczenie lub przygnębieni starością albo chorobami wyrobnicy i dzieci osierociałe. Istnieją dla nich zakład Towarzystwa Dobroczynności, zakłady szycia, domy dobrowolnej pracy, ochrony i t. p. instytucje bądź stale i dawno istniejące, bądź świeżo założone lub chwilowo w miarę potrzeby otwierane a w miarę zasobów rozszerzane. W kwietniu odbyły się na cele wsparcia tych zakładów, loterya fantowa i koncert.

Tegoroczna loterya fantowa niczem się od dawnych nie różniła prócz wyższą ceną biletów, a przeto zapewne i większym pożytkiem. Główna zabawa na tem tu zależy, żeby jak najmniej wyciągnąć nihilów. Pocieszna to zaprawdę, jak los niekiedy na przekór obdarzy cy-garniczką panienkę, a mężczyźnie parasolką. Uniosłszy

z tej loteryi jako jedyną pamiątkę pusty piórniczek nihilowy, gwizdałem na nim wracając do domu na nótę z Roberta Djabła: „Złoto jest tylko chimera“. Ale kiedy mi się piórniczek rozkleił, zastanowiłem się nad ową chciwością wygrania, którą pokryć chciałem pozorem miłosierdzia i zapytałem się w duszy, czy byłbym włożył bez wahania te pieniądze do puszek jałmużnej, które wydałem na kupno losów. Odpowiedź na to zapytanie wolę zataić, bo mi wstyd prawdę wyznać.

Drugim aktem dobroczynnym w tym miesiącu, ma się rozumieć, z głośnych, bo któż zdoła policzyć dzieła cichego miłosierdzia?— drugim aktem głośnym był koncert na korzyść domu zarobku, instytucyi świeżo założonej, która z wolna roztropnie prowadzona może się stać źródłem utrzymania dla niejednej podupadłej rodziny chcącej pracować lecz pozbawionej chwilowo zarobku. Wyznajmy, że nie tylko sam cel miłosierny zgromadził w sali reutowej to znaczne grono słuchaczy, lecz zarazem a może i głównie, imię hr. Tyszkiewicza znanego w świecie muzykalnym jako wykonawca, kompozytor i krytyk. On był głównym, omal nie jedynym filarem tego koncertu, a że jest amatorem nie zaś z rzemiosła muzykiem, więc dziwić się należy tej pamięci z jaką w każdej chwili najgłębsze a zawile nieraz kompozycye Webera, Dreyschoka, Liszta lub Chopina, wykonywa ze wszystkimi najdelikatniejszymi cieniowaniami tych różnostronnych autorów muzycznych. Dawać koncert w sali reutowej, należy zapewne do najwyższych dowodów zaparcia się, dawać go z orkiestrą taką jak na tym koncercie, liczy się już do heroizmu. Szkoda starłej sali Knotza, tam niema perystylu zasłoniętego płócienną ścianą, która tem jest dla muzyki, czem gąbka dla wody, lub wypchany poduszka brzuch Falstaffa dla miecza nieprzyjacielskiego.

Miano również sposobność na dwóch muzykalnych wieczorach słyszeć zdolnego skrzypka p. Mieczysława Starzewskiego tarnowianina. Dzieckiem jeszcze, przed dwunastu podobno laty dawał się on już zaszczytnie słyszeć w Warszawie, a odtąd z wiekiem talent jego rósł pod kierunkiem umiejętnego dyrektora konserwatorium wiedeńskiego p. Hellmesbergera. W roku zeszłym otrzymał p. Starzewski wielki medal, a dziś stoi na tym

szezeblu z którego krok tylko jeden przedziela go od znakomitości Wieniawskich, Ernstów i t. d. Podziwiano wykwinność i świetność gry jego w koncercie Allarda, rzewność i delikatność w „melancholii“ Hellmesbergera, a wielką mechaniczną biegłość i siłę w przewyciężeniu niesłychanych trudności jakie Vieuxtemps nagromadził w wielkim swym koncercie. Odegranie tego to koncertu zjednało p. Starzewskiemu medal, który nietylko jest nagrodą talentu, ale i pracy z jaką się do doskonałości dochodzi. Mylne jest mniemanie, jakoby pocie, malarzowi, muzykowi dość się było urodzić poetą, malarzem, muzykiem, aby być nim. Wrodzony talent potrzebuje uprawy jak bujna ziemia zasiewu, żeby nie chwastem samym zarastać. Szczególnie podobał się w p. Starzewskim kierunek jego muzycznego talentu: nie popisuje się z trudnościami, bo te pod palcem jego i smyczkiem schodzą do rzędu najspokojniejszej egzekucyi, nie goni za efektami, w grze jego nie masz łamanych sztuk czém tak wielce grzeszą dzisiaj, ale pewność, okragłość każdego przejścia, spokojność pociągu smyczka, wykończone oddanie myśli kompozytora przypominają niekiedy poważną grę Lipińskiego. Żałować tylko należało, że stan zdrowia niepozwalał p. Starzewskiemu dać się słyszeć publicznie, bo na koncercie nie można poprzestać na odegraniu jednego utworu, lecz wypadałoby znaczną część wieczora grą swoją zappełnić, na co mu sił zbywało. Wyjazd jego za granicę na parę lat, nietylko mu do odzyskania zdrowia posłuży, ale zapewne zbogaci jeszcze jego talent i doda mu blasku europejskiego skrzypka.

Kiedy już mię tak rozkołysała harmonia, że pisząc to, każda kropka nad *i* wydaje mi się być nutą przypisaną, nadmienić muszę, że mieliśmy tu i na scenie prawdziwie muzyczne wielkości, panie Hermann-Czillag i Palm-Spazzer. Rozbierać ich talent byłoby to powtarzać znane już rzeczy; nie większego na pochwałę ich powiedzieć się nie da, nad to, że są to śpiewaczki pierwszego rzędu, które po pierwszych stolicach Europy zyskawszy sławę i złoto, przybyły i tu po skromniejsze owacy, a może też poczytały nas za niezmiernie muzycznych, bo za takich przynajmniej mają nas w Wiedniu fabrykanci fortepianów, którzy bez przerwy do Krakowa wysyłają

swoje wyroby. Jest to takie samo zładzenie jakiemu już nleży patron statku parowego na Renie, podziwiając Anglika, który ze statku nie wysiadając, dziesięć razy tam i napowrót odbył przejażdżkę wzdłuż czarujących brzegów tej rzeki.

— Musisz pan być wielkim miłośnikiem pięknych widoków, kiedy tyle razy podróż Renem odbywasz?

— Panie kapitanie — odrzekł Anglik — odstęp mi two-
go kucharza, nie mogę się odjeść jego kotletów.

O mało mię ta *associatio idearum* między fortepianem a kotletem leżąca może w podobieństwie ich formy, nie zabiła z tropu przedstawień publicznych, niewyczerpanego do Kroniki przedmiotu. Nie zabawię wszakże przy nim długo, właśnie dla tego, że wiem iż go nie wyczerpię. Od obchodu jubileuszu teatralnego z nieuniknionym ogniem bengalskim, aż do „Pepity w Słownikach“, teatr krakowski przechodził przez wszystkie fazy sztuki dramatycznej: opera, tragedia, dramat, komedia i fraszka. Podziwiać należy w tak krótkim przeciągu czasu tę różnorodność małego grona aktorów naszych, z których każdy nieledwie co dzień co innego przedstawiać jest zmuszony. Gdzie tu czas dla studyów? a przecież inaczej być nie może, tam gdzie dwa lub trzykrotne na tydzień przedstawienia jeszcze i tak nie zapełnią zawsze wszystkich ławek. Benefis wszakże panny Radzyńskiej ulubionej i zasłużonej artystki, gdyby był na dwa wieczory rozłożony, i tak jeszcze sprowadziłby tłum publiczności umiejącej ocenić prawdziwe zasługi. Winszujemy także Dyrekcyi nabytku takiego jak p. Miłaszewski: był on potrzebny do uzupełnienia grona i dobrego obsadzenia repertoaru. Wkrótce grono polskich aktorów wyjeżdża na przedstawienia gościnne, których kolej od Wiednia poczyną. Życzymy mu w tej wędrówce powodzenia, lubo się obawiamy zbyt surowej krytyki tam gdzie nawyknęto widzieć pierwsze talenta dramatyczne.

Od dni kilku niesłychany ruch panuje u nas w mieście. Zaludniają się hotele przybyłymi kupcami, w budach na rynku rozkładają towary, improvizowane kramy rozstawiają na stołach pod płóciennym dachem, a sprzedawać będą na pół darmo, jak głoszą afisze. Kupcy tylko tutejsi ze spuszczoną głową i założonemi rękami stoją przed pustym sklepem, widząc jak cała czereda ochci-

wych nowości mieszkańców poczynawszy od wielkiej damy aż do najniższej subretki przeciąga koło nich w milczeniu, przekonana, że jakieś niewidziane tu nigdy stroje pojawią się, że fabryki całej Europy umyślnie na ten jarmark wysiliły swój dowcip i tajemnice nowych deseniów zdumionemu światu rozłożyły na rynku krakowskim.

Nie chcę wszakże przedmiotu tego na pół przerywać i zostawiam go w całości do następnej Kroniki, bo to dopiero początek jarmarku. Ruch jego właściwy jeszcze się nie objawił. Jest to tylko prolog. Epilogiem jarmarku będzie elegia mężów nad pustkami kieszeni wypróżnionej i chór żon uwielbiających nowe stroje.

Brakuje jeszcze budy z bajazzem — niech ją czytelnik uzupełni z Jana Nep. Kamińskiego:

„Panowie i Panie! najpiękniej prosimy
„W téj budzie dość miejsca, w niej wszystkich zmieścimy.”

P.S. Pogoda śliczna — niedźwiedz na Rynku tańczy.

Lwów w kwietniu.

Pierwsze wiosenne dni zawitały nakoniec i do nas, z nimi jak zwykle wszystko woła: „na wieś! na wieś! przecież raz ta zima skończyła się”. — Niewdzięczny świat! Zmiana jest mu potrzebnym warunkiem uciech. Na odchodzącą zimę spogląda z obojętnością. „A przecież to zima was zgromadzała w liczne, świetne, uroczyste koła; zima niosła wam zabawy, bale, tańce; zima robi ludzi więcej towarzyskimi, ułatwia zbliżeniem się zamianę myśli, zdradza niejedno dobro dla was i dla bliźnich”. — Daremnie prawisz apologii zimy, nikt o niej już teraz wiedzieć nie chce, jak o walkach krymskich. Jak na giełdach „pokój! pokój!” tak u nas „wiosna! wiosna!” Ztąd perspektywa, że wkrótce Lwów będzie pusty.

Proszę jednak tego wyrazu nie brać zbyt literalnie i zostawić mu właściwą prawdę. Co do téj, mogę się pochwalić na następujące świadectwo: „To nieznośne lato już nadechodzi” mówi mój fryzyer, (bo fryzyer ucywilizowany według najnowszego wzorca, ma sobie za obo-

wiązek bawić gościa rozmową jaką, w odwet za skrzywienie nozyczkami nad uchem.)

— A dla czegożto nieznosne?

— Proszę pana, kiedyś był w szkołach na chirurgii, bo ja uczęszczałem także na chirurgię, nieboszczyk pan Berres, doktor, powiadał nam, że człowiek w zimie więcej zje jak w lecie; a ja proszę pana w lecie więcej przejem, niż w zimie, bo co zarobię w zimie, wszystko poszło w lecie.

— No to widać, żeś dobrze zrozumiał pana Berresa. Może inna przyczyna tego, np. brak zarobku.

— A cóż ta pora warta, w której niema zarobku.

— Inni możeby właśnie dla zarobku chwalili lato.

Mój artysta, który sądzi, *que tout finit où finit son domaine*, zawołał z podziwieniem:

— Broń Boże! a kto we Lwowie chwali lato, kiedy zaledwo na dzień jeden ekwipaż ujrzeć można; kiedy wiele okien zakrywa się zasłonami, aby ich nie odsłonić aż w listopadzie; kiedy kupcy w sklepach ziewają lub książki czytają; kiedy w teatrze więcej osób czasem na scenie, jak w łóżach i na parterze, choć terazniejsza dyrekcyja i w zimie to szczęście często miewa; kiedy zresztą cukiernicy i fryzjerzy muszą wynosić się do wód, a modniarki i jubilery na jarmark do Tarnopola, do Ułaszkwowic itd.

Już myślałem że znowu jaka zaraza ma przepłoszyć Lwowian, gdy oto wylatuje jak bomba ostatni argument:

— Wszyscy państwo wyjeżdżają na wieś, balów ani wieczorów nie będzie, a my — kto nie myśli przeziwać lata lub drzymać w sklepie, ten musi za państwem dalej.

— A dokądże to pan Bóg prowadzi w tym roku?

— Do Truskawca, panie; tam co niedziela bal, le-dwie nie co wieczór jakaś zabawa i toalety, tam fryzjerowi jak w zimie. W lecie kiedy panów niema, niema co robić we Lwowie.

— A kontrakty?

— Panie! albożto kontrakty? to tylko cień kontraktów. Mój nieboszczyk ojciec niegdyś także perukarz opowiadał, że dawniej w kontrakty, kiedy się panowie zjechali, cały Lwów wyglądał jak wielki kilkutygodniowy bal; a po kontraktach wszystkie sklepy tak były

próżne, jakby Tatarzy miasto zrabowali. Dziś mój brat, dependent u adwokata powiada, że kontraktów nie robią, tylko intabulacye.

— To ma swoje słuszne powody. Świat oszczędza i dobrze czyni. Nie trzeba nadużywać darów Opatrzności.

— A kto zarabia uczciwie, niech mało je w lecie. A to pięknie. To pan Dobrodziej coś tak mówi jak nieboszczyk p. doktor Berres? Nie, my za państwem do Truskawca, do Lubienia, na jarmarki, my także jeść chcemy. A coby to było, gdyby państwa na świecie nie było?— Może pan każe zapisać i wypomadować?

— Niema co, nie trzeba.

— Ot widzi pan, jak tu błogosławić lato, trudno jednej głowy na dzień utrefić, a co to będzie kiedy się państwo porozjeżdżają.

Widząc, że mój artysta *amicitias utilitate probat*, i z tego tekstu zabiera się do długiej przemowy, powstałem, i położywszy na stole cenę zwykłą, wyszedłem do kościoła na oratorium Hajdena, był albowiem Wielki Piątek.

Oratorium Hajdena! Tak, my we Lwowie mówiąc o muzyce choć nie wiele możemy, to przynajmniej wiele mamy chęci, a tą razą nawet wiele odwagi. Wskrzeszone znowu towarzystwo muzyczne, radeby dać znać o sobie w sposób godny, i tak przyszło do oratorium w kościele katedralnym, a wypadek tych dobrych chęci był wcale niespodziewany. Introdukcyą w *D mol* odegrano zupełnie z godnością i zatrzymaniem charakteru wzniosłego treści, toż samo i numer 1szy (*B dur*) 2gi (*C mol*) zaczynający się kwartetem odśpiewanym przez pannę Ambros, panią Grodker i pp. Subera i Szumlańskiego. Ostatniego głos basowy, pełen świeżości i dźwięku ożywiał harmonię i dopomógł do utrzymania właściwego charakteru tej szczytnej muzyki. Inne numery tego utworu byłyby doznały podobnego powodzenia, gdyby instrumenta metalowe dzisiejszego wynalazku, tak zwane *puzany* i *bombardony* zastosowały swój głos do całości harmonii i nie odzywały się głosem zwalania murów Jerychu. Popęłniły one anachronizm. Kiedy Hayden tworzył swoje oratorium, nie było jeszcze w orkiestrze owych ogromnych metalowych potworów, należałoby więc, aby się one zastosowały do kompozycyi,

i swoje *fortissimo* po dawnemu rozumiały. Mościół był przepelniony: nie zbywa i u nas na wielbicielech klasycznej muzyki.

Nie sądzię jednak, by sama tylko muzyka Haydena zapełniła ludem świątynię pańską. Kto zna Lwów od dawna, jak wasz korespondent, i już kilka dziesiątków lat ma za sobą, ten dostrzeże wielkiej różnicy między usposobieniem religijnem dawniejszych lat, lat pokongresowych i teraźniejszego czasu. Dzięki niebu, z aciechą spoglądamy na wzrastające coraz bardziej usposobienie umysłów dla poszanowania wiary i religijnych obrzędów. W ogólności w dzisiejszym świecie liezne rozczarowania, które czas przyniósł, obaliły dawny wolterianizm i niedawny hegelianizm w wielkiej liczbie umysłów, tak w tych co Woltera i Hegla bliżej poznali, jak w tych, co ich nie znając za krzywym kierunkiem swego czasu poszli. Bożyszcze niemieckiej filozofii runęło w nagięj swojej czczości. Napróżno usiłują Moleschott i consortes w równie nagim materyalizmie odbudować jego ołtarze. Nie przypadała też nigdy bardzo do smaku naszój młodzieży niemiecka filozofia spekulacyjna, a ci co na czas jakiś zaciągnęli się pod jej chorągwie, widzą, że pod tym sztandarem abstrakcyjnej nicności nie można się dobić prawdy, a najmniej pociechy w życiu ziemskiém i zaziemskiém. Lecz dosyć o tém. Wolę wspomnieć o kilku budujących przykładach, które do serca więcej mówią i więcej czci dla siebie jedną, niż owa, jak ją tam ktoś trzeźwy nazwał, *Trostlosigkeitstheorie*; chcę mówić o istniejących we Lwowie zakładach dobroczynnych.—

Najstarszym z nich we Lwowie jest dom ś. Łazarza przez obywateli miejskich przed parą set laty założony. Według ostatniego przeglądu administracyi tegoż, mieści się w nim 60 ubogich. Zakład ten ma swego własnego kapelana, którego wysyła kapituła lwowska obrz. łac., jako successorska majątku należącego niegdyś do kościoła ś. Ducha; wszakże największy ciężar ponosi tak zwany fundusz miejski ś. Łazarza.

Drugim zakładem tegoż rodzaju jest Instytut ubogich w r. 1814 założony i potwierdzony przez N. Cesarza Franciszka I. Na czele tegoż zakładu stoi zawsze Arcybiskup lwowski obrz. łac. jako prezes zakładu ubogich;

zarząd sam prowadzi komisya składająca się z precesu wyżej wspomnianego, z radcy rządowego, z trzech kanoników z których jeden z każdego obrządku: łacińskiego, ormiańskiego i ruskiego, z superintendenta luterskiego wyznania, dyrektora policyi, radcy magistratu i z czterech obywateli miasta. Sekretarzem i referentem komisyi tej, jest zwykle kanclerz konsystorza łacińskiego. Fundusz zakładu tego powstał z darów prywatnych, a szczególnie przez zapis ś. p. kanonika infułata Hofmana, który ten zakład uczynił dziedzicem całego majątku swego, przez co fundusz ubogich wzniósł się do 160,000 złr., którego renta roczna wraz z ubocznymi darami niestalemi do 12,000 rocznie wynosi. Zakład ten utrzymuje on domu własnym 240 ubogich. Prócz tego rozdaje on miesięcznie porcyę po 2 złr. ubogim za obrobem zakładu żyjącym, a którzy jeszcze po części zarobkowi oddać się mogą. To wsparcie rozdawane, jako też utrzymanie samego zakładu wynosi rocznie 16,000 złr., a brakujące cztery tysiące do powyższej renty uzupełnia kasa miejska. Z darów dobroczynnych zakład kupił sobie przed dziesięciu laty na własność dom za 10,000 złr. Największy w tém udział ma hrabina Honorata Berzowska, która nie tylko dom ten własnym swym kosztem do użycia zrestaurowała i urządziła, lecz później dla księdza i rachmistrza osobny dom na swój koszt postawić kazała, dokupiwszy niemały kawał gruntu przyległego na ogród. Niedawno też sama pani przeznaczyła dług jeden wynoszący 6,000 złr. na wybudowanie nowego domu, aby oprócz 240 osób więcej jeszcze pomieścić można. Dom ten już pod dach wzniesiony wkrótce ukończonym będzie.

Zakład ochrony małych dzieci. — Pierwsze usiłowania ku jego założeniu zawdzięczamy ówczesnemu precesowi sądów szlacheckich, a dzisiejszemu Ministrowi Sprawiedliwości baronowi Krausowi, jako też teraźniejszemu Namiestnikowi Wyższej Austrii baronowi Eminger. Pod ich zarządem zakład ten wzrósł tak znacznie, iż go umieszczono w dwóch domach na przedmieściach różnych, i zebrano kapitału funduszowego do 13,000 złr.

Po oddaleniu się wspomnianych założycieli ze Lwowa, zakład przeszedł pod zarząd Magistratu lwowskiego, w której to epoce nastąpiły mniej szczęśliwe dla niego

koleje, żył bowiem z kapitału. Następnie dołączona została do tego zakładu tak zwana *Crèche*, a na czele obojga stanęła JE. Namiestnikowa hr. Gołuchowska, dama pałacowa Najjaśniejszych Państwa. Odtąd zakład ten wznosi się widocznie i rokuje najpomyślniejszą dla siebie przyszłość, którą jedynie troskliwej opiece i gorliwym chęciom swojej Naczelniczki zawdzięczać będzie.

Zakład ślepych.—S. p. Skrzyński założył go w roku 1850, wybudował dom, dziś wartości 20,000 złr., i zostawił mu kapitał 10,000 złr. na uposażenie. Z woli fundatora lub jego successorów stoi na czele tego zakładu Dyrektor, któremu Namiestnik kraju członków dodaje. Dziś ten zakład posiada fundusz do dwudziestu kilku tysięcy złr. wynoszący, z darów i zapisów wynikły, utrzymuje nauczyciela udzielającego stósowne nauki dzieciom, których zakład do 18 liczy. Do zakresu nauk udzielanych należy religia, muzyka i niektóre rzemiosła, jakoto: szewstwo, koszykarstwo, robienie mat i t. p. z czego corocznie publicznie odbywają się popisy. Wyroby tego zakładu sprzedają się, a dowodem, że i ślepi przy stósowném kształceniu mogą być użyteczni, jest, że jeden z uczniów tego zakładu poszedł już na organistę i więcej ich sposobi się do tego zawodu; ślepi bowiem okazują zwykle wiele talentu do muzyki. Czyn więc poczęty w miłości bliźniego rzuca światło w ciemnie nieprzystępne i zasiewa ziarno pożytku nawet pod brzemieniem niedoli.

Szpitalik dla małych dzieci chorych założony przed dziesięciu laty i dotąd pod naczelnym zarządem księżnej Jadwigi Sapieżyny zostający. Zakład ten opatruje corocznie do paręset dzieci biednych rodzin, które w chorobie otrzymują pomoc lekarską i staranną opiekę. Niezmordowane usiłowania Księżnej opiekunki postawiły zakład ten w pomyślném położeniu, tak iż z darów dobroczynnych, a szczególnie z daru hrabiny Honoraty Borzęckiej 5000 złr. wynoszącego, kupiono dom na własność, a nadto z zebranych darów, składek, urządzonych na ten cel teatrów lub zabaw pokryto zaległy niedobór. P. Adamski obywatel tutejszy, jako członek czynny wielu z pomienionych zakładów dobroczynnych, gorliwie zajmuje się ich zarządem.

O innych zakładach dobroczynnych doniosę później,

a chociaż to rzeczy wiadome w kraju, wszelako znacnym chęciom i nocie jakże nie złożyć hołdów zawsze i wszędzie? Pozwólcie mi zakończyć je słowy Hołowińskiego:

Rajskiem to szczęściem pośród tego świata
Błogie uczucie: że się wsparło brata.

Poznań w kwietniu.

Nie bez wahania się list ten zaczynam, bo w obec strat bolesnych, klęsk wewnętrznych, zawodów zewnętrznych, słuszną jest obawa, by pismo moje nie było jakoby fałszywym tonem wśród listów, które z innych, szczególniejszych stron odbieracie—ale trudno rzeczywistość inną oddać, jaką jest w naszym biednym kraju.

W ciągu ubiegłego miesiąca, zakończył życie w Turwi, ś. p. Aleksander Koncewicz Dr. Medycyny, w pełni wieku, bo w 32gim roku życia swego; od 13 lat przybył w nasze strony z Warszawy, nauki uniwersyteckie w najświetniejszy sposób w Berlinie ukończył, ale jako nie tu urodzony, nie mógł wedle praw pruskich praktykować — dla jego gorącej, za pracą i poświęceniem tęskniącej duszy, był to dotkliwy zawód, który niezawodnie bardzo się przyczynił do nadwątlenia sił jego. Tylko nadzwyczajne klęski, zdobywały dla niego możność poświęcenia się dla ludzkości, raz więc przed kilku laty, w czasie srogięj cholery, wezwany został do pracy; obecnie, powtórnie panujący tyfus otworzył mu pole zasługi ale zarazem i ofiary, bo pielęgnując innych, poświęcenie swe życiem przypłacił. Krótki był pobyt jego na tej ziemi, lecz w zamian tego Bóg użył mu stałej siedziby grób otwierając; pośród nas zaś, zarówno uszanowanie i zaufanie starszych, jak miłość i przyjaźń rówieśników wieku, w krótkim czasie zdobyć sobie umiał — dowodem tego był pogrzeb jego, gdzie oprócz mnóstwa wdzięcznego ludu, zebrało się znaczne grono duchowieństwa, najpoważniejszych obywateli, i szczerze miłującej go młodzieży, która do grobu zwłoki jego zaniósła. X. Prusinowski serdecznie i wymownie przemówił do zasmuconych. — Obok medy-

czny, której głównie się oddał, silna inteligencja, wszechstronna nauka zgasłego, i na inném odznaczyły się polu, różnemi pracami poważnej treści po pismach peryodycznych zamieszczanemi.

Pamięć tego młodzieńca, który zyciem, wyrazem twarzy, ujmującemi formami towarzyskimi tak wydatnie przedstawiał harmonią umysłu i serca, jaką tylko gorąca wiara religijna dać może, nie wygaśnie nigdy z pamięci jego znajomych, przyjaciół, oby i przykład jego żywym pozostał na obwałę Boga a pożytek kraju. Rzewny nekrolog zmarłego, zamieszczony w Gazecie W. Kstwa Poznańskiego z 3go kwietnia, wiernie oddał żal ogólny jaki zgon ten wywołał — a zaledwie wieść żałobna o śmierci Dra Koncewicza obiegła Księstwo, a już ta sama choroba nową, bolesną zśród nas zażądała ofiary.

Pan Marcelli Żółtowski utracił córkę jedynaczkę, jeszcze niespełna 16 lat liczącą; jeżli śmierć tak młodej osoby zawsze rozrzewnić musi, o ileż więcej tą razą, gdzie cios ten srogi dotknął jednego z najzacniejszych i najwięcej szanowanych obywateli kraju naszego. Współudział jest też tak ogólnym, tak serdecznym, że mógłby stać się pociechą zmęczanym rodzicom, gdyby pociecha w podobnych razach zkad inąd jak z nieba spływać mogła.

Śmierć Kasztelana Koźmiana i Ordynata Zamojskiego, i u nas pokryły żałobą członków ich rodzin, przyjaciół lat ubiegłych, a śmierć pierwszego patriarchy wieszczów naszych, nie mogła być obojętną każdemu eo zasługi na polu literatury ojczystej szanować umie.

Przechodząc od strat bolesnych do klęsk wewnętrznych, trudnoby je wszystkie wyliczyć: w jednym słowie dadzą się streścić — że ruina majątkowa dotknęła bardzo znaczną część Księstwa, a w wielu powiatach jest głód wyraźny — a nawet tyfus głodowy gdzieniegdzie pojawiać się zaczyna, ale dzięki Bogu dotąd nie epidemiczny, w skutku zachodów i poświęcenia się duchowieństwa i właścicieli. Dwuletni nieurodzaj, strata kilkukroćstotysięcy owiec, znacznej liczby bydła rogatego, zachwiała większą część majątków; doświadczeni gospodarze twierdzą, że w dwóch ostatnich latach Księstwo utraciło niezawodnie tyle, ile fundusz umorzenia Towarzystwa kredytowego wynosi, to jest około 10 milionów

tańarów. W takim stanie konkurencyja z obcym kapitałem, który z całej Rzeszy tu płynie, bo tu ziemia jeszcze tańsza niż gdziekolwiek a ułatwienia wszelkie, staje się coraz trudniejszą, nowych nabywców co chwila liczba się wzmacza, co postać kraju zmienia. Wymarzenie przynajmniej $\frac{3}{4}$ części rzepaku, do upadku majątkowego jeszcze się przyczyni, bo w wielu okolicach z braku własnej pszenicy do siewu i funduszu do jej zakupuienia, niestosunkowo wiele rzepaku zasiano. Bank w Poznaniu świeżo założony, nie zapobieży tej kryzys finansowej, sądząc z zasad na jakich powstaje, z akcyonaryuszów i osób zarząd stanowiących — równie trudno się ludzi, by nowe Towarzystwo kredytowe zle mu zaradzić mogło, najprzód z powodu, że dotąd tylko o niem mówią, ale do wprowadzenia go w życie zdaje się jeszcze daleko; powtórę, że ma być ono odrębnem od istniejących, pod zarządem osób mianowanych w formie biurokratycznej, zapewne więc trudności przejścia z obecnych do nowego będą tak wielkie, że pomocy i ratunku znacznego trudno się spodziewać, tém więcej gdy niebezpieczeństwo tak groźnem i blizkiem.

O zawodach publicznych niepotrzebnie mówić, i nie tu pole do tego. Co do literatury, jeżeli nie dostaniemy cenzury, to zupełnie pewnie zamilkniemy, wydawcy bowiem nie ośmielą się do żadnej publikacji — myślemy że stan obecny pochodzi z zbytniej ostrożności z jednej a nieznanomości języka polskiego z drugiej strony, dość wam powiedzieć, że obok wielu innych dzieł, wydanie Pisma Kaspra Miaskowskiego, które np. w Warszawie wolno się sprzedaje, tu przez policją opieczetowane zostało, o ile jeszcze egzemplarzy znaleziono w księgarniach. *Ziemiannin*, pismo rolnicze, które Towarzystwo agronomiczne Gostyńskie znów wydawać postanowiło, dotąd nie może znaleźć drukarza, bo ostatecznie każdy drukarz obawia się odebrania sobie konsensu.

Towarzystwa agronomiczne szerzą się po kraju, ale oprócz Gostyńskiego i Wrzesińskiego, po większej części niewiedzieć co reprezentują i co znaczyć mają — by wam dać przykład wydatny, dość powiedzieć, że w powiecie Kościańskim założono podobno towarzystwo, bez wezwania do przewodnictwa a nawet udziału jen. Chłapowskiego, którego zasługi pod względem podniesienia

rolnictwa, trochę dalej jak w granicach Księstwa są znanymi i ocenianymi.

Kończę wiadomością nieco pociechy niosącą przy tych różnorodnych boleściach i krzyżach, jakimi Bogu się podoba kraj nasz nawiedzać — oto Missye znów się już rozpoczęły z wiosną, pierwsza w Biechowie pod Wrześnią; JWX. Biskup Stefanowicz pospieszył dzielić prace misyonarzy.

Berlin w kwietniu.

Doznawszy z powodu kilku nadzwyczajnych wypadków, zaszłych w pierwszej połowie ubiegłego miesiąca, niepospolitego fizycznego i umysłowego wstrząśnienia, Berlin powrócił pod uroczym wpływem świat wielkanoctnych i pięknych dni wiosennych, do swjej normalnej spokojności. Powracam zatem i ja do przerwanej ostatnim listem szkicu towarzyskich stosunków jego, a nąginając myśl i wyobraźnię do przyjętej przez Redakcyę dla tej części pisma zasady *utile dulci*, chwytam na pióro z toczącego się przedemną fizycznego i duchowego żywota stolicy pruskiej najwięcej takie szczegóły, które wskazanemu celowi przed innemi odpowiedzieć są zdolne. W jakim to czynię porządku, w jakiem następstwie odrabiam szczegół jeden po drugim, to dla całości i jedności obrazu zdaje się być tak samo obojętnem, jak gdy malarz przeniesione z kartonu na płótno lub ścianę główne zarysy kompozycyi od jednego lub drugiego przedmiotu wykończyć zacznie. Wszakże prawdopodobnie zacznie najczęściej od tego, który stanowi środkowy punkt obrazu, a jeżeli to jest portret, zacznie zapewne od najcharakterystyczniejszego rysu fizjonomii: od oczu, czoła, ust, nosa lub innej części.

Używając tej samej wolności, bo mam także obraz do odmalowania, i mogąc pod każdym względem i z najsluszniejszych przyczyn uważać Berlin za istotę żyjącą, organiczną, za indywiduum mające ciało i duszę, głowę, gębę, nogi, ręce, piersi, płuca, żołądek i inne wyrażalne i niewyraźne członki — znam przecież pewnego hrabiego w Księstwie, który z wielką fantazyą i nie-

małym dowcipem, a większym jeszcze siebie samego zadowoleniem, tak samo sobie cały glob, całego planetę naszego przedstawia, i wskazuje w nim członki, któremi ję, pije, trawi i wszystko to co każdy zwierz robi, — mogąc więc, mówię, z większym prawem, wystawić sobie Berlin jako indywiduum organiczne z takichże członków złożone, nie widzę wcale powodu, dla któregobym, malując obraz jego, nie miał zacząć np. od uszu.

Od uszu? — tak, od uszu, szanowny Redaktorze. Dziwi cię taki początek? Ciebie, który patrzysz, wachasz, smakujesz, żujesz, oddychasz, czujesz, myślisz, słowem, żyjesz uchem, chociaż nie powiem, że jak wielu tobie podobnych, żyjesz z ucha? Ciebie, który siedzisz w pracy po uszy, a gdy ci ją przychodzący gość przerywa, ściskasz go witając i żegnając uszyna; który zawsze pełne masz świata całego uszy, a mając, gdziekolwiek się ruszysz, pióro za uchem kładziesz niem nieustannie drugim w uszy, czy chcą, czy niechcą, czy im miło czy niemiło, niesłychane rzeczy; nacierasz także raz po raz uszu to temu to owemu, a cieszysz się zawsze, gdy sam w takim razie z zdrowymi uszyna do domu powracasz? Ciebie, który nieprzystając na własnych uszach, oglądasz się w kraju i zagranicą za cudzemi, i każdego korespondenta, którego wziąłeś na ucho, chciałbyś na obraz i podobieństwo swoje, na ucho przekształcić, z posługującymi mu wszystkimi innymi organami? — Nawiasem mówiąc, dziękuję za honor co do mej osoby, jeżeli to ma być taki i ten, którego godłem latarnia. Zawsze to prześliczna postać — człowiek przemieniony na ucho: starożytność jej nie znała, Owidiusz zna tylko stookiego Argusa, pilnującego z rozkazu zazdrosnej Junony panny Jo, w krowę przemienionej kochanki donżuanującego Jowisza, a którego Leporello-Merkury, aby pannę swemu dogodzić, ukamienował, a wedle innych muzyką (miał więc i uszy) uspił, potem mu głowę odciął. — Tobie więc, nowożytny stouchy Redaktorze, najmniej przystoi dziwić się, że obraz olbrzymia berlińskiego, który mam przed sobą, od uszu chcę zacząć malować.

Uśmiechasz się? Myślisz może o oślich lub zajęczych uszach, które chcę przypisać olbrzymowi? Bardzo się mylisz. Biorę rzecz na seryo. Nie mam wcale zamiaru pozbawiać biednych osiołków i zajęczków ich przyro-

dzonęj, niewinnęj, naiwnęj i tak niesłusznie przez wszystkich pogardzanęj ozdoby i cnoty. Mówię o ludzkich uszach, które małości swojej bynajmniej wstydzić się nie potrzebują, albowiem nieprzebraną ilością i rozmaitością cnót swych przewyższają one owe kolosalne prototypy organu słuchu nie tylko w ogóle, lecz i w tych funkcjach, które tamtych są jedyną właściwością. Przysłuchaj się tylko, mój wszystko słyszeć chcący Redaktorze, obradom pewnych zgromadzeń politycznych, które się nazywają ciałami prawodawczemi, parlamentami, sejmami, izbami, landtagami, i t. d., zaczynając np. od Paryża: przekonasz się, jakie to tam pojętne, jak wykształcone, jak delikatne, jak powolne ku słuchaniu mają uszy! Żadnego zajęcia, żadnego ośła uszy nie mogą z niemi wytrzymać porównania. Tam żadne słowo wyrzucone z góry nie idzie mimo, żadne nie pada na ścianę, żadne nie przebrzmiewa głuchém echem. Po kiwających się głowach jak na figurkach chińskich, poznasz, jaki to tam posłuch. To tylko cywilizacya podnieść go może do takiego stopnia. Albo przysłuchaj się np. rozmowom pewnych salonów. Z jaką to tam ciekawością chwyta ucho najdrobniejsze szczegóły rozpraw o balach, obiadach, prezentacjach, wyścigach konnych, modach, strojach, grze na giełdzie i w karty, załotach, przygodach, tryumfach lub klęskach miłosnych, niekiedy dla odmiany i o literaturze, o *Filles de marbre*, *Demi Monde*, *Dame aux camelias*, niekiedy i o sztuce „jak Rubens w marmurze jeszcze lepiej rznął twarze, a w architekturze nie było celniejszego mistrza nad Wandyka.“ Albo, jeżeli nie chcesz nurzać się po uszy w niewypowiedzianie miłych i powabnych szumowinach cywilizacyi zachodniej, która się wezbranemi potoki na Europę rozlewa, i tak ją czyni do siebie podobną, że niezadługo nie poznasz, czyś Francuzem, Anglikiem, Niemcem, Turkiem lub Żydem, a nawet czyś jeszcze człowiekiem; to odwróć ucho w przeciwną stronę, może wiatr ztamtąd idący coś innego ci przyniesie. Czy cię nie dolatuje jakiś przenikliwy, przerywany głos, rozlegający się w trzech częściach świata? Głos będący wyrazem siły i ducha najrozleglejszego w świecie mocarstwa? Głos tak podobny do tego, co brzmi na Zachodzie, a spełniający przepowiednię nowożytnego Cezara,

co się stanie z Europą za lat pięćdziesiąt? Głos ten powinienś znać, i znasz go bardzo dobrze, słyszałeś go stokroć w życiu. Delikatny, dźwięczny, harmonijny, uprzejmy, jak głos ukształcenia, a góry, wzmacnia się, nabrzmiewa, twardnieje, surowieje coraz więcej ku dołowi, a u samego spodu grzmi, huczy, tętni, wyje jak orkan, straszliwém, pokorném, przez miliony ust powtarzaném słowem: słuszaju! słuszaju! słuszaju! To także głos porządku społeczeńskiego, głos cywilizacyi, głos ery cesarów! Każdy inny jest głosem wołającego na puszczy. Temu nie dawaj ucha, albo przestań być redaktorem, zabierz manatki, wstąp po mnie, pojedziemy do Mormonów, gdzie zostaniemy świętymi.

Widzisz więc mój miły Redaktorze — z uchem i piórem w herbie, bo to dziś znaki lojalności i talentu — że, czy to będę uważał Berlin za jestestwo organiczne, mające ciało, duszę, pięć zmysłów, szósty wykręt i kilka innych organów funkcjonujących lub niefunkcjonujących; czy będę wychodził z natury i powinności korespondenta zamienionego przez ciebie na ucho; czyli wreszcie będę poglądał na dzisiejszy stan społeczeństwa europejskiego odbierającego cywilizacyą przez zmysł słuchu; w każdym razie powinienem być dostatecznie przed tobą usprawiedliwiony, że obraz mój od ucha zaczynam.

Ależ, mój drogi, poco się tyle usprawiedliwiasz? Zaczniij sobie od czego chcesz, ale zaczniij. Z przeproszeniem mojego łaskawcy, to jemu łatwiej powiedzieć, niż mnie wykonać. Nie naraz sztuka. Kraków nie naraz był zbudowany. Panu Dobrodziejowi chodzi o list na miesiąc kwiecień, kalkulujesz jak redaktor, jak dziennikarz, który żyje nowinami z dnia na dzień. Mnie zaś chodzi nie o jeden, lecz o kilkaset, najmnij o kilkadziesiąt listów, bo sędzę po coraz silniejszym zapuszczaniu korzeni w ziemię, żeś się, szanowny Redaktorze, z „Dodatkim“ twoim, na długi żywot przygotował, a mnie mam, że i Berlin tak prędko z ziemi nie zniknie, i przynajmnij połowę tak długiego czasu istnieć będzie, jak „Dodatek do Czasu“, co uważam za bardzo do prawdy podobne. Więc, mój łaskawco, kilkadziesiąt, kilkaset listów, to całe dzieło, to praca, której nie można tak lekkomyślnie rozpoczynać, tém mniej, że to ma być

kronika Aten nad Sprewą, miasta tak mądrego, że od zbytniego natężenia się w pracowni myśli, jednym włożymy na głowie całkiem wychodzą— nigdzie niemasz tyłu łysych co w Berlinie,— drugim na jawie i we śnie dębem stoją — to też nigdzie niemasz tyłu perukarzy i fryzyerów, jak tutaj. Coby więc sobie czytelnik pomyślał o piszącym z takiego miasta i o mieście takim, gdyby mu rzeczy bez planu i bez systemu przedstawiał? Powiedziałby, że mieszka w Berlinie, lecz zamiast Hegla, sieczkę ma w czuprynie. Ja więc, szanowny mój Redaktorze, nie myślę bynajmniej mózgu mego na sieczkarnię obracać i krajać dla ciebie co miesiąc z bieżących wypadków nie mające z sobą żadnej spójni korespondencye. Z sieczki nie złożysz napowrót snopa, z pisanych bez ładu korespondencyj nie skleisz całości, nie utworzysz jednego całkowitego obrazu, obrazu organicznego jestestwa, do którego Berlin wyżej porównałem.

Zacząć więc, szanowny Redaktorze, jak tego żądasz, to rzecz łatwa; zacząć tak sobie, ni w pięć ni w dziesięć, od tego co samo do głowy przychodzi i jak przychodzi; i tymże sposobem i takąż przypadkowo z chwilowych okoliczności schwyconą treścią zapełniać korespondencyą jedną po drugiej. Może ten sposób pisania więcej się publiczności podoba. Ale czyż to we wszystkim należy publiczności dogadzać? Ot co jest, jak mówi prowincyał bernardynów nieświeżskich w „Obrazach litewskich.“ To nie moja rzecz, bo przyznam ci się, szanowny Redaktorze, że mię nudzi to ciągle żebranie jałmużny u bieżących wypadków. Zysk to bardzo skąpy, powszedniego chleba zań nie kupisz. Nie mam wreszcie czasu do zbierania codziennych brukowych lub salonowych wiadomości lub plotek, a mniej jeszcze do ich notowania. Pamięć zaś czém innem zajęta, jedném uchem je wpuszcza, drugim wypuszcza. Trzeba więc ją przykuć do ważniejszych przedmiotów, przy których wtedy i przelotne rzeczy tém łatwiej się spamiętają. Kronika na tém nie straci, bo nie będzie w niej nieuniknionego w przeciwnym razie powtarzania, które nudzi nawet w Homerze. Wypada więc, powtarzam, zrobić przedewszystkiem jakikolwiek plan czyli rozkład obrazu, oznaczyć grupy, odszukiwać ich chara-

kter, ustawić je w stósownej perspektywie, powiązać je dne z drugimi właściwym wyrazem i ruchem, a wszystkim dać kierunek ku głównej myśli obrazu. Na obraz sam będzie można, dla większego efektu, koniecznego warunku dzisiejszej mody, rozlać potrójne światło — słońca, księżyca, lampy, rzucić kilka gatunków cieni, w razie potrzeby polyski błyskawicy, rozdzierające ciemności nocne. Wreszcie, ponieważ obraz zbyt wielkie ma rozmiary, stósowna będzie zrobić go ruchomym, posuwającym się, na wzór cykloram amerykańskich, od nie wielu lat w modzie będących. Tym sposobem i całość i szczegóły w swoim każdy ujrzą się świetle, i jedność obrazu będzie organicznie we wszystkich swych częściach zachowana.

Bardzo pięknie, ale to tylko opis planu, a plan sam jaki? Niezmiernie się niecierpliwisz, szanowny Redaktorze, tak że gotówbym już był pisać i bez planu. Oto go masz.

Za podstawę rozkładu materii przyjmuję pięć zmysłów i szósty wykręt. Berlin będzie najprzód uchem, to jest, będzie przedstawiał się najprzód przez zmysł słuchu; dla tego właśnie najprzód przez ten, a nie przez inny, bo oprócz wyżej wspomnianych przyczyn, zmysł ten jest od niejakiemu czasu dominującym w Atenach nad Sprewą. Będzie potem okiem, czyli powtarzając jak wyżej, będzie się przedstawiał przez zmysł wzroku. Będzie następnie nosem, to jest, zmysłem powonienia. Będzie dalej językiem, to jest, zmysłem smaku. Będzie wreszcie ciałem organicznem, to jest, zmysłem dotykania czyli czucia. Będzie w rezultacie, czyli w teoretycznym i praktycznym wszystkich tych zmysłów zastosowaniu, uduchownioną istotą wykrętną, to jest, tych nieskończonych sposobów i sposobków życia umysłowego i fizycznego, przez które człowiek opanował naturę i stworzył sobie świat udziałny ducha, wyższy, wznioślejszy, cudowniejszy od natury, a w używaniu go, stworzył na nim takie sprośności i nikczemności, że natura wzdryga się na samo ich wspomnienie. Otóż i cały plan. Samą fizyologią zmysłów mało się myślę zajmować, najwięcej tyle tylko, ile do lepszego i weselszego przedstawienia tego lub owego szczegółu, zastanowienie się podobne będzie potrzebnem. Psychologiczna i antropologiczna ich strona główną od-

grywać będzie rolę. Z niej brać będą rysy i farby do charakteryzowania pojedynczych szczegółów i grup obrazu. Nadmienię mi tylko jeszcze wypadła, w własnym interesie, że tych pojedynczych części nie mam zamiaru od razu w całości wykończyć. Świat natury lub ducha należący do jednego zmysłu jest zbyt obszerny, aby go na małej przestrzeni jednego lub kilku listów można pomieścić. Przedewszystkiem więc o ogólny charakterystyczny zarys takiego świata na widnokregu berlińskim chodzić będzie, w szczególności o najwydatniejszą jego stronę, o bezpośredni produkt funkcji tego zmysłu, o którym właśnie będzie mowa. Takim produktem np. może być malarstwo przy zmyśle wzroku. Jeżeli więc w późniejszych listach o tym samym przedmiocie mówić wypada, to będzie to tylko szczegół, dopełniający poprzedniego głównego oddziału. Względ na bieżącą kronikę miesięczną inaczej postąpić nie pozwala. W przekonaniu więc, szanowny Redaktorze, że się na takowy plan pracy mojej zgodzisz, przystępuję wprost do rzeczy, ale jak widzisz, nie w tym, lecz w następnym liście. Przedstawię w nim najdoskonalszą stronę ucha berlińskiego — muzykę. Spodziewam się, że mnie w nim z większą niż w niniejszym uwagą słuchać będziesz, muzyczny stouchy Redaktorze!

Drezno w kwietniu.

Nikomun nie radzę przyjeżdżać do Drezna w miesiącu kwietniu. Dzień ni długi ni krótki, temperatura ni zimna ni ciepła, ruch miejski ni ożywiony ni martwy, wszystko nosi na sobie charakter nijaki, tymczasowy, jakby w oczekiwaniu świetniejszej kampanii. Hotele, dziękując za łaski zimowym i mniej pożądanym gościom, gotują mieszkanie dla letnich turystów, na których polega główne ich zniwo. Familie polskie, które tu bawiły przez zimę dla edukacji, zwijają swoje manatki, wymawiają komorne gospodarzom, zapowiadają koniec godzin profesorom, sposobią się do wyjazdu z panienkami opatrzonemi w patenta dojrzałości. Te z pomiędzy nich, które tu zatrzymał interes zdrowia, odbywają kon-

sultacye z lekarzami, układają plany przyszłej kuraćy, kreślą marszruty do wód mineralnych jakie im sztuka zaleca. Teatr nawet, co przynosi Dreznu tyle zaszczytu, jest w tej chwili ni dobry ni zły, rozpożyczył celniejszych swych artystów innym stolicom niemieckim. Pan Dawison i pani Btrde-Ney (od niejakiego czasu Jenny Ney) zbierają laury w Berlinie, Pani Beyer-Brük w Wiedniu. Podobnym panom i paniom, trudno zgąnić gorączkę błakania się po śwlecie: ich podróże są to w istocie przejażdżki pod róże, a raczej po róże. Entuzyazm Berlińczyków ogłosił pana Dawisona pierwszym aktorem Niemiec i pożegna go jak mówią, gratyfikacją pięćiu tysięcy talarów za 12 reprezentacyj. Panna czy pani Ney (bo nie wiem już jak te panie tytułować) pojedzie do Londynu, i za trzy miesiące ma z sobą przynieść 20,000 talarów. — Jeden tylko pan Devrient żegna się z przyszłością i literalnie zstępuje ze sceny. Na Wielkanoc skończyło mu się 25 lat służby na tutejszej scenie, dające mu prawo do emerytury. Obchodził to srebrne wesele w tym miesiącu, występując po raz ostatni w roli Margrabiego Pozy w Don Carlosie. Jest to też sama rola, w której przed 25ciu laty zaczynał tu swój zawód, którą najwięcej w życiu swoim lubił, sam ją niejako utworzywszy i wydoskonaliwszy. Abdykacye artystów równą im czasem przynoszą pociechę co i koronacye. Doświadczył tego pan Devrient przy pożegnaniu. Że grał po mistrzowsku, tego się każdy spodziewał, ale nikt sobie nie wyobrazi zapątu społeczną, jakim go wynagrodziła publiczność. Przez cały ciąg reprezentacyi scena wyglądała jak ogród, tyle mu rzucano bukietów i wieńców. Wywoływany po tysiąc razy, podziękował jej naostatek, w wyrazach tak rzewnych i czułych, że gdyby był nie zakończył swęj mowy wyrazem: *do zobaczenia!* wszyscyby się rozeszli ze łzami w oczach. Pan Devrient będzie jeszcze występował na scenie drezdeńskiej, ale już nie z obowiązku. Spotkały go i inne hołdy. W dzień reprezentacyi przed południem, deputacya od kolegów przyniosła mu do domu wiersz pożegnalny, który zaraz odśpiewało kilku śpiewaków. Naczelnik deputacyi wystąpił z mową i złożył mu w darze srebrną tarczę z dębowym wieńcem, na którego liściach wyryte były nazwiska wszystkich arty-

stów sceny. Wieczorem, gdy wchodził do teatru, zastał garderobę ubraną w kwiaty a na jednej z jej ścian, dwa afisze Don Carlosa, jeden z r. 1831 drugi z roku 1856 wydrukowane obok siebie na welinowym papierze i oprawione za szkło. Po skończonej reprezentacji, niższe personale teatralne odprowadzało go z pochodniami do domu. Nazajutrz król przysłał mu na pamiątkę brylantowy pierścion z cyfrą, a siostra królewska księżna Amalia (także autorka dramatyczna) kosztowną broszę. Któryż artysta sceniczny nie pozazdrościłby podobnego jubileuszu?

Teatr tutejszy mógł śmiało rozpuścić część swoich artystów na urlopy, bo w przeciągu trzech upłynionych miesięcy, obdarzył publiczność trzema nowościami: jedną wielką operą, jedną wielką komedią i jedną wielką dramą. Operę *Santa Chiara* wystawiono tu z równą niemal pompą jak w Paryżu; tłumaczą to stosunki dostojnego kompozytora z dworem tutejszym, ile że sam zjechał, żeby się przypatrzeć efektowi swjej pracy, w własnej ojczyźnie. Znawcy utrzymują, że ta opera zamyka w sobie prawdziwe piękności. Moim szlacheckim rozumem zaprzeczyć nie śmiem, a potwierdzić nie mam ochoty! Jestem sobie po prostu melodysta nie harmonista, nie lubię muzyk, które mi nie pozostają w uszach, i dziękuję za sztuki, na które każą mi chodzić trzy lub cztery razy, żeby je zrozumieć. Raz drzyrać, zgoda, ale trzy razy, upadam do nóg, i gdyby mnie pan Liszt gwałtem ciągnął na Tannhäuserów, powiedziałbym mu: „odczep się ode mnie mój królu, i daj mi święty pokój“ O panu Liszcie kursuje w tych dniach osobliwsza anegdotka. Wiecie że i muzyka ma swoją *młodą Italię*; jej stolicą jest Weimar, arcykapłanem Liszt, a prorokiem Wagner, autor Tannhäuserów. *) Otóż przed kilku tygodniami przyjechali do Liszta do Weimaru dwaj jego przyjaciele Berlioz i Litolff. Liszt zaprosił ich na obiad, a przed obiadem na próbę nowęj opery Wagnera pod tytułem: *Lohengrün*, która ma być arcydziełem, odślaniającem styl muzyki przyszłych

*) Pan Wagner skompromitowany w wypadkach 1848 opuścił swoją ojczyznę i bawi dziś w Anglii, jest on bratem znakomitej śpiewaczki w operze berlińskiej.

wieków. Berlioz i Lüttolf stawili się na próbie, ale po pierwszym akcie taki ich sen zmorzył, że chcąc nie chcąc wrócili do hotelu, żeby się jakim kordyałem ocucić. Po skończonej próbie Liszt przybiega do nich, wyrzuca im ich obojętność, wzywa na dyskusję o zaletach nowej opery i nareszcie uniesiony gniewem, ciska im w oczy następujące *dictum acerbum*: „Wagner wart więcej niż wy obadwa“ To wyrzekłszy wyszedł, trzasnął drzwiami i skwitował ich z obiadu; czy i z przyjaźni? nie wiadomo. Z fanatyzmem trzeba bardzo ostrożnie, jak z jajkiem. Są tu muzycy z długimi włosami których taka porywa wściekłość gdy ktoś palcem zakrzywi na Wagnera, że fraszka oburzenie niektórych krakowianek, gdy ktoś poszodzi z tańczących stolików.

Wracam do tutejszego teatru. Nowej komedyi, pod tytułem: *Ella Rose* dostarczył pan Gutzkow, dzisiejszy Ścribe niemiecki, który już napisał dziewięć tomów rozmaitych sztuk dramatycznych. Miał on tu do odreparowania wielkie fiasco, którego doznała przedostatnia jego sztuka: *Lentz und Söhne*. Był to niby plastyczny obraz obyczajów dzisiejszego wieku, ale przepełniony tak głębokim dowcipem, że gdybyś nawet nadstawiał ucha z uwagą jakiej wymagają Szekspirowskie dyalogi, nie zrozumiałbyś i połowy. Pan Gutzkow rozgniewany zimnem przyjęciem jego pracy (bo gniewać się umie) wycofał ją z repertoaru zaraz po pierwszej reprezentacji, wyrzekając się pracowania dla widzów, nieumiejących cenić prawdziwej rzeczy wartości. Z czasem jednak, wzięta w nim górę zimniejsza rozwaga: postanowił podwoić gorliwość w odzyskaniu ich łaski i zdobyć bądź co bądź Sebastopol. Na ten koniec przygotował *Ellę Rose*. Kto przysięga że zwycięży, powinien posunąć uzbrojenie do najwyższej potęgi. Tak też uczynił pan Gutzkow; wyciągnął na scenę wszystkie siły teatralne, rozdając nieme nawet role artystom pierwszego rzędu; pozyskał sobie przychylne pióro krytyki i dokazał swego. Publiczność przyjęła sztukę rzesistemi oklaski i zaszczyciła autora wywołaniem. Mojem jednak zdaniem, nowy ten utwór, po raz pierwszy słucha się z interesem, ale pójść na niego drugi raz, nie bierze ochoty. Główne tło sztuki zdaje mi się nienaturalne, bo proszę tylko posłuchać: Najpocziwsza żona, opuszczona

przez zimnego męża, zrujnowanego przemysłowemi spekulacyami, z potrzeby poświęca się muzom, odkrywa w sobie talent nieporównany, wzbudza podziw całego świata, uszczęśliwiona nowym swym zawodem oddaje serce szlachetnemu poecie, który w niej pierwszą iskrę jenuiszu rozbudził. Wtém po pięciu latach, mąż wraca bogaty, nasza heroina porzuca szczęście, porzuca sławę i wraca w jego objęcia. Jest to, przyznam się, bardzo moralnie, ale cokolwiek nie praktycznie i publiczność odchodzi z żalem, że heroina nie była więcej występna, że nie została wierną człowiekowi daleko godniejszemu jój serca. Oględny autor strzedz się powinien podobnych sytuacji, a przynajmniej usprawiedliwiać je czemś więcej, niż suchym obowiązkiem. Gazyty zapowiedziały sztucę długą przyszłość, tymczasem ta przyszłość jakoś się zatrzymała w tej chwili. Na pierwszą reprezentacyą zabijano się o bilety, na drugą i trzecią dostali ich każdy co chciał, a na czwartej kto się obejrzał na salę, śpiewał już z Wirgiliuszem:

„Apparent rari nantes in gurgite vasto“

Słowem, po czwartej reprezentacji, dyrekcyja teatralna postanowiła trochę sobie wypocząć i odłożyć dalsze *ad feliciora tempora*.

O trzeciej nowości, to jest o dramacie pana Hamer pod tytułem *Die Brüder*, nie wiele wam powiem. Na pierwszą reprezentacyą trudno się było docisnąć; a drugą dotąd nie dano z powodu nagłej słabości głównej aktorki. Krytyka teatralna unosi się nad zaletami tego utworu, ale krytyki, pisywane zwłaszcza przez jedną osobę, nie zawsze są ewangelią. Pani Birch-Pfeiffer na przykład, która układa czasem wcale ładne sztuczki, nie może się tu doczekać ani słówka pochwały; a kiedy są osoby o których zawsze źle, mogą być i takie, o których zawsze dobrze. Nie uwierzę więc aż zobaczę.

Ukończona wojna sprawiła tu równą radość jak w innych krajach Europy. Śpiewano Tedeum z powodu podpisanego pokoju, śpiewano Tedeum z powodu narodzin następcy francuskiego tronu, ale uboższa część mieszkańców śpiewa jeszcze Tadeusza, bo drożyzna pierwszych

artykułów życia, dotąd nie ustaje. Zgadnijcie też koma się tu najwięcej uczuć dały skutki prowadzenia wojny, acz w niej Saksonia nie brała udziału? pannom na wydaniu. Na nic im się nieprzydała neutralność. Urzędowo ogłoszony rapport statystyczny pokazuje, że w r. 1855 było o 8% mniej małżeństw, niż w roku poprzednim. Coby to było, gdyby wojna potrwała dłużej? Z ubytkiem małżeństw wykrył się w téjże samej proporcji i ubytek w narodzonych dzieciach. Chwilowa strata w młodej populacji nie byłaby jeszcze dla Saxonii tak wielką klęską; snuje się tu po ulicach i promenadach tyle drobiazgu, że musisz bardzo ostrożnie chodzić żeby które nie potracić lub nie przydeptać; ale przy téj okoliczności zgorszył nas inny rezultat. W liczbie urodzonych w roku 1855 dzieci, pokazała się czwarta część naturalnych a raczej nienaturalnych, jak gdyby każda czwarta matka, poślubiła z rozpaczny maksymy niewiaśc sekty Mormonów. Byłoby może gorzej gdyby wojna nie miała i dobrej strony, gdyby nie podniosła cokolwiek ducha religijnego. Kiedy trwoga to do Boga, mówi przysłowie. W roku 1855 na stu tysiącach mieszkańców Drezna, liczono blisko 50,000 komunikantów (obrazdaku protestanckiego); nie jest to jeszcze tyle jak przed 200 laty, kiedy na pięciudziesięciu tysiącach mieszkańców przystępowało 90,000 do pańskiego stołu, ale zawsze więcej niż w poprzednich latach pokoju. Nie liczę w tem ludności katolickiej; ta co raz się powiększa i pełni obowiązki chrześcijańskie co raz przykładniej; w r. 1855 na pięciu tysiącach dusz, komunikowało przeszło 7000.

W innych ułomnościach ludzkich, wojna nieczwodziła tu wielkiej zmiany. Liczba występków też sama, przestoczyły tylko swoją naturę. Mniej oszustw, mniej morderstw i t. p. ale więcej kradzieży; naturalna konsekwencya biedy.

Apodos kradzieży, muszę wspomnieć o jednej, która tu niedawno poruszyła całe miasto. Pewnego poranka sąd kryminalny ogłosił 500 talarów nagrody, za wykrycie sprawcy kradzieży dwudziestu kilku tysięcy talarów w akcyach, obligacyach i innych papierach publicznych. Każdy wybiegł na ulicę żeby powziąć języka, komu i jakim sposobem wyrządzono tak niemłą surpryzę. Go-

spodarcz mego hotelu rozesał na zwiady wszystkich swoich kelnerów. Pokazało się, że kradzież popełnioną została u pewnej majątnej wdowy, że pieniądze schowane w blaszane pudełko, leżały w zamkniętym kantorku, że złodziej wyniósł je niewiedomo którego dnia, niezostawiwszy żadnego śladu gwałtu i nietknąwszy się innych kosztowności. Podobne fakta niezaintrygowałyby tak dalece publiczności, gdyby im nie towarzyszyły inne okoliczności, noszące na sobie jakąś barwę tajemniczą. Poszkodowana tała kradzież przez cały miesiąc, wiedziała o sprawcy; niechęć go kompromitować próbowała wszelkich środków do skłonienia go aby się upamiętał i szkodę zwrócił, i dopiero gdy nie nie pomogło, zdecydowała się na esklandr. Osobą na którą pada jej podejrzenie, ma być ktoś taki co z nią niegdyś zostawał w blizkich bardzo stosunkach, używa dotąd dobrej sławy i piastuje zaszczytny urząd w obywatelstwie. Pociągnięty przez sąd do tłumaczenia, jak najmocniej czynu zaprzeczył, oskarżenie poczytał za potwarz, a uczyniona u niego rewizya nieodkryła najmniejszego śladu występku. Na tém rzecz stoi. Każdy ciekaw jaki będzie skutek dalszego śledztwa, i kto wie czy się z tego zdarzenia nie utworzy jaki dramat pod tytułem: kradzież nie kradzież.

Jeszcze jedna nowinka, ale już ostatnia. Na samą wiadomość o zawrzeć się mającym pokoju, zjechał tu gość, który objeżdża całą Europę. Wiecie co to jest *Credit mobilier*. Jest to instytucya, która garnie do siebie, jakby siłą magnetyczną, wszystkie kapitały i wielkie i małe, a której twórcę pana Izaaka Perreire świat finansowy postawi kiedyś obok Kolumbów, Franklinów, Jennerów i Wattów. Wynaleziona we Francyi (czegoż Francuzi nie wymyślą!) przeszła już po za Pireneje, po za Ren i zapewne przejdzie niebawem do Rossyi i do Turcyi, bo jakoś i owe ludy *nieskazonych obyczajów i czystej wiary*, co to zdaniem niektórych smętoszów, mają kiedyś zdeptać cywilizacyą *zgnilego zachodu*, wyglądają jej jak kania dżdzu. Otoż tedy ów *Credit mobilier* w przejeździe na Wschód, zatrzymał się w Lipsku i utworzył kompanią dla Saksonii. Dzień 26 i 27 marca wyznaczonym był na zbieranie subskrypcyi. Policya tutejsza, ostrzeżona przykładem Paryża, ogłosiła ośmiu dniami wprzód program porządku jakby na jaką uroczystość

koronacyjną. Wskazała ulice wolne od cyrkulacji pojazdów, naznaczyła punkta w których się ma zaczynać processya do świątyni Plutusa, przepisała kolej pochodu, objętość szeregów itp. Ostrożności te pokazały się zbytne, ścisk ludzi znoszących złoto (bo każdy podpisujący powinien był złożyć dziesiątą część kapitału) nie był tak wielki, ale zamiast półczwarta miliona talarów podpisano 450 milionów, to jest przeszło sto razy więcej niż było potrzeba, tak iż gdy przystąpiono do proporcjonalnego podziału akcji, mali kapaliści odeszli z kwitkiem. Byłem świadkiem jak jeden z tych ostatnich użalał się przed bankierem na niesprawiedliwość, że też człowiekowi z małemi pieniędzmi nie można się docisnąć do żadnego zysku. — „Moi panowie — rzekł mu bankier — po co wam się mieszać do rzeczy która do was nie należy. Jeżeli chcecie akcji, czemu nie przychodzić do nas, my wam ich sprzedamy ile tylko żądacie, ma się rozumieć za opłatą prymki, podług kursu. Oto i dzisiaj, za 100 talarów daj 125 a jestem na twoje usługi.

— Ale jabym właśnie chciał bez prymki, podług nominalnej wartości i z pierwszej ręki.

— Żądanie niewłaściwe mój panie. Czy kupujesz Wpan z pierwszej ręki pieprz, cukier, roznki, bławaty? Nie kupujesz, idziesz do kupca który handluje temi towarami i płacisz cokolwiek drożej. Otóż my bankierowie handlujemy akcyami, naszym towarem są papiery publiczne, zkądże ta pretensya żeby nie kupować od nas?

— Zkąd? ztąd że subskrypcya każdemu wolna i nam i panom, i jeździć po nią daleko nie trzeba.

— To zupełna illuzya mój panie. Wpan podpiszesz sto, a ja podpiszę milion; Wpan stawisz talara, a ja uderzę banco! co mówię banco? dwa razy, trzy razy, dziesięć razy banco! a więc jak przyjdzie do proporcjonalnego podziału, ja zawsze dostanę coś a Wpan dostaniesz tyle co nic i żal się Boże twoich zachodów. Czyż to nie lepiej udać się do nas po towar, choćby go zapłacić cokolwiek drożej? Ryzykujecie więc a nie chcecie ryzykować mniej. Czyż to my wam utrudniamy spekulacye? owszem ułatwiamy. Wy spekulujecie na dobre, a my spekulujemy tylko na waszych spekulacyach, co jest wielka różnica.

Mowa bankiera trąciła cokolwiek cynizmem, ale niestety! zamykała w sobie wiele prawdy. Trudna to walka z siłą złota. Rząd tutejszy wszystko robił, żeby akcye kredytu saskiego dostały się w ręce prywatnych mieszkańców; nie nie pomogło: massa akcyj dostała się po większej części bankierom zagranicznym. Sam Rotszyld kazał podpisać na 30 milionów, choć ich tylko było półczwarta. Dziś jeden drugiego wyściga żeby ich się pozbywać z największym ile możności zyskiem; z początku kazali sobie płacić po 25 tal. przewyżki za akcyą, dziś już żądają daleko mniej i spadek ceny trwać będzie dopóty, dopóki akcye nie przejdą w stałe ręce. Może kto z waszych czytelników uczuje kiedyś pokusę do jakiego nowego kredytu *mobilier*, niechże sobie pamięta trzy rzeczy: *pro primo*, jeżeli nie ma milionów niech się nie ciśnie do podpisu, bo to mu się na nie nie przyda; *pro secundo*, jeżeli ma ochotę kupić z prymą, niech się nie spieszy. Pierwsze ceny są zwykle podejrzane, nastrojone przez bankierów. Niech czeka póki nie minie gorączka; *pro tertio*, niech pamięta, że każdy *Credit mobilier*, byleby był prowadzony porządnie i uczciwie, choćby nie robił tak kolosalnych interesów jak francuzki lub austriacki, może zawsze rachować na zysk bankierski, to jest od 10—15 od sta, bo sam nie jest niczem innem jak stugłównym bankierem.

Ale ja tu prawie o finansach, a sam je nie tego prowadzę, mój komisarz nie przysyła mi pieniędzy. Skoro jednak przyśle, porzucam tutejsze miasto i wracam do mego Karlsbadu po coś ważniejszego niż finanse, to jest po zdrowie. Nie dziwcie się przeto, jeżeli nastąpi przerwa w naszych korespondencyach.

Paryż w kwietniu.

Nie mało nasłuchaliśmy się za młodu o świetności napoleońskich czasów. Każdy z nas miał ojca, stryja, wuja, lub sędziwego przyjaciela co grał rolę w tych tytanicznych dramatach, których teatrem był świat cały. Wszystkie te *piomy*, *laufry* i *skoczki* olbrzymiej napoleońskiej szachownicy, któremi Bonaparte zdobywał *wieże*

i matował króle, zgadzają się, że Paryż nigdy nie był świetniejszy jak w epoce ślubów Napoleona Igo z arcyksiężniczką Austryacką. Mówią, że nigdy za czasów największej potęgi dawniej monarchii nie widziano uctwspanialszych we francuskiej stolicy, ani tyle głów ukoronowanych nad brzegami Sekwany — nigdy arystokracja nie była tak bogata i hojna jak wtedy, nigdy tyle złotych haftów i gwiazd nie błyszczało na mundurach, ani tyle dyamentów na sukniach damskich, na które patrząc wydawało się, iż wszyście bogactwa kuli ziemskiej spłynęły do salonów paryzkich.

Otóż, obecny stan Paryża przypomina opowiadania naszych weteranów — a chociaż młoda generacja wyleczona na pół z ojcowskich słabostek, patrzy na te tryumfy i dostatki bez entuzjazmu i spółczucia, przyznać atoli musi jako bezstronny sędzia, że Paryż jest dziś co się zowie przepyszny, a świetność jego bardzo podobna do blasku jaki rzucił pod koniec 1809 roku, kiedy cesarstwo Napoleona doszło do szczytu swęj potęgi — kiedy odgłos zwycięskiej pobudki z pod Wagram brzmiał jeszcze w sercach ościennych monarchów — kiedy stanął pokój pomiędzy Francją i koalicją, a królowie i książęta krążyli jako satelity w okół Napoleona ciągnącego za sobą całą Europę.

Teraźniejszy Paryż podobny jest do tamtego, z tą różnicą, że bogactwo ulic odpowiada bogactwu salonów, a świetność drugiego cesarstwa nie pała jaskrawym ogniem przelotnego meteoru, nie wydaje się być spotęgowanym blaskiem słońca ciśnionego wieńcem chmur burzliwych, ale spokojnym promieniem gwiazdy błyszczącej na pogodnym niebie. Dzisiejszy Paryż kwitnący, artystyczny, bogaty, przebudowany z gruntu i ustrojony rzędami przepysznych nowych gmachów, tēm słuszniej zasługuje na nazwę Aten nowożytnych, że istniejąca władza nie tylko pracuje usilnie nad przysporzeniem Francji bogactwa, ale i objawia je na zewnątrz w formie przypominającej starożytne splendory.

Zeszlóroczna Wystawa była tylko hasłem do wystawy powszechnej w Paryżu. Od czasu jak zamknięto podwoje świątyni Przemysłu, wszystkie sklepy zajaśniały nieznanym przedtēm przepychem — nowych zaś namnożyło się tyle rozsianych na ogromnej przestrzeni a na-

pelnionych samemi dziełami sztuki, że kto potrzebował tygodnia na obejrzenie gmachu elizejskiego, dziś przez pół roku nie obejrzy wszystkich nowych arcydzieł.

Jeżeli taki był stan handlu podczas wojny, jeżeli Paryżanie jednem zaledwie uchem słuchając co się dzieje na teatrze wojennym, wyteżali całą uwagę i energią na wewnętrzne finansowe operacye, łatwo wyobrazić sobie, jaki będzie wzrost tego miasta po zawarciu upragnionego pokoju.

Że dzisiejsza Francya postradała zupełnie dawnego ducha wojennego, to zdaje się nie było tajemnicą dla nikogo, nikt jednak nie przypuszczał, że tak się spragnioną pokaże pokoji i witać go będzie z tak niesłychaną radością.

Widziałem Paryż w rozmaitych paroksyzmach uciechy: widziałem go w lutym 1848 roku jak się radował z ogłoszenia rzeczypospolitéj — później, jak wyprawiał uczyty prezydentowi — jak po *coup d'état* cieszył się z przywrócenia cesarstwa — jak fetował ślub Ludwika Napoleona — jak obchodził wygrane w ostatniej wojnie bitwy, i po dwakroć wzięcie Sebastopola, raz na rok przed zdobyciem téj fortecy, drugi raz po jej zdobyciu — jak witał królową Wiktoryą i powracające z Krymu gwardye — jak 16 marca obchodził narodziny Napoleona IV — ale nie widziałem go nigdy takim, jakim był teraz po ogłoszeniu pokoju. Wszystkie te uczyty które nam się pierwéj wydawały wspaniałemi, zbladły zupełnie obok trzechniowej fety, do której dały hasło sto jeden wystrzałów działowych, zwiastujących miastu 30go marca o drugiej z południa zawarcie pokoju.

Jeszcze nie przebrzmiał upragniony sygnał, a już wszystko co żyło wyległo na ulice, i wszystkie domy w mgnieniu oka ustroiły się w różnobarwne chorągwie, pomiędzy którymi dwugłowy orzeł na pomarańczowém polu najgęściej powiewał. Na włoskich bulwarach naprzeciwko *Maison Dorée*, ukazał się ogromny portret Cesarza Aleksandra II. wraz z kolosalnym herbem Rosyi i rosyjskim napisem „*Boże Caru chroń.*“ Podczas kiedy jedni witali go okrzykami najżywszej sympatii, drudzy wyrrywali sobie *Monitora* oznajmającego szczęśliwy wypadek, lub cisnęli się do rozlepionych po rogach ulic afiszów, na których także zieleniała różczka oliwna.

Zaledwie blask zachodzącego słońca przestał oświecać rozradowane oblicza Paryżanów, wzięto się do zapalania illuminacyi. Wnet, jak Paryż wielki, zajaśniały po domach od dołu aż do poddaszów, długie linie kolorowych lampionów, przerywane co kilkanaście kroków jakąś niespodzianką przygotowaną przez jeszcze gorliwszych zwolenników pokoju, jakoto: transparentem z wiwatami, gazową cyfrą monarchów, bukietem z trójkolorowych lamp, światłem elektrycznym, ognistym wierszem na cześć pokoju — i tam dalej. Kto nie miał domu lub mieszkania, któreby mógł illuminować, illuminował sam siebie — co krok spotykałeś kogo z dwoma latarniami w ręku, lub latarnią na głowie zamiast kapelusza. Kto by nie wiedział że Ludwik Napoleon panuje Francyi, pomyślałby pewnie patrząc na te chodzące po mieście latarnie, że to nowe francuzkie Diogenesy szukają ze świecą człowieka.

Dom Rotszylda gorzał jak stos ofiarny, równie wszystkie rezydencje prywatne wyjąwszy domu Thiersa, który nawet jednej łojówki nie wystawił — na szczęście, ogródek przedziela go od ulicy, inaczej pewnie by postradał szyby owej nocy.

Do pierwszój z północy tłum ludzi na wszystkich ulicach był tak wielki, że niepodobna się było przecisnąć pieszo a cóż dopiero powozem. Nazajutrz od rana znów wszyscy wysypali się na miasto ponawiając też same okrzyki, illuminacye, manifestacye — i tak trwało przez trzy dni. — Entuzjazm ten jedyny w swoim rodzaju, zanotować warto — prawdziwa byłaby szkoda żeby tyle zapалу jaki Paryż w ciągu tych trzech dni wyszafował, miał przeminąć bez śladu dla potomności.

Wybuchy pokojowój radości spółziomków, natchnęły jednemu z tutejszych humorystycznych dzienników wyborną anegdotę. Opowiada on, że skoro telegraf zawiadomił sąsiadów za kanałem o szale szczęścia w jaki wtraciło Francuzów pogodzenie się z Rosyą, Anglicy uznali chwilę za stosowną pomszczenia się aby jednym figlem za figle, które im nieustannie płatają Francuzi. Na raz tedy pojawiło się na rozmaitych punktach Paryża kilkuset Cobdenów. Gdzie tylko zapukał z nich który i nazwał się imieniem reprezentującym ideę błogiego pokoju, przyjmowany był z nieopisaną gościnno-

ścią. Z powozu wynoszono go na rękach i sadzano na najwygodniejszej kanapie w całym domu. Gdzie się pokazał ścigały go owacye i wiwaty.

Do jednego z takich Cobdenów miasto wysłało deputacyą celem złożenia dziękczynień temu, którego idea wielka i niezem niezachwiana wytrwałość z jaką przy niej obstawał, zwyciężyła świat nakoniec, i przekonała go, że po za pokojem niema nic prócz płaczu i zgrzytania zębów.

Anglik wierny swój roli słuchał długo cierpliwie francuzkiej wymowy, co jak młyn parowy pyłowała wielkie idee rzucając w około piasek i plewy — aż na raz jakby ze snu zbudzony syn Albionu krzyknął: „*Taisez-vous!*“ Deputacya zmięszana zamilkła na chwilę — a gospodarz myśląc że może znużenie z podróży, niedosć gościinne przyjęcie lub choroba, tak nieżyczliwie usposabiają gości, przystąpił pytając go, czy nie słaby i czym by mu służyć w tej chwili? — Daj rozbifu i dużo wina, rzekł pacyent.

Uradowany gospodarz sam służył do stołu — a deputacya znów nawiązawszy zerwane struny na nowo rozpoczęła swe trele. Anglik był już w połowie rostbifu, kiedy poczucie godności narodowej przeważało w nim apetyt i wszystkie inne względy; zerwał się i potrząsając widelcem: „*Vô m'embétez beaucoup avec votre paiz!*“ zawołał, po czem trzasnąwszy drzwiami wyszedł wielkim krokiem i nie oparł się aż w Londynie, gdzie nie było ani iluminacyi, ani fajerwerków, ani transparentów, ani chorągwi, ani radości z zawarcia pokoju. —

Jeżeliś jeszcze nie usnął czytając ten pokojowy opis, który nużący być musi jak wszystkie obrazy doskonałego szczęścia na tym padole płaczu — przedstawie ci dla dywersyi bitwę — krwawą, zażartą, namiętą, brzemienią nadziejami i pełną wielkich epizodów — tylko przepraszam z góry, że będzie to bitwa na płótnie, co mi zapewne wybaczysz przez wzgląd że w tej chwili inną nie mam pod ręką.

Horacy Vernet wymalował dla księcia Hieronima *Bitwę nad Almą*, a raczej jeden ustęp tej bitwy — chwilę — kiedy książę Napoleon ustawia dwie baterye dział mające zasłaniać przeprawę jego dywizyi przez rzekę.

Nowoczesna strategia tak rozszerzyła pole bitwy, a

wynalazek broni palnej tak je ogłosił z dawniej epicznej poezji, że nawet Vernet, ów Homer bojów XIX wieku, w niemałym znajduje się kłopotcie, mając dramatyzować systematycznym szpalerem wyciągnięte linie piechoty z jedną w górę podniesioną nogą, lub konne szwadrony sztywne, proste i ustawione równolegle jak rząd samowarów.

Poezya bojów nowoczesnych nie jest jeszcze pochwyciona i określona jak poezya walk starożytnych — trzeba ją odgadywać i nowe dla niej obmyślać formy. Dla tego to zapewne społeczeńsi malarze bitew przed Verne-tem, trzymając się ślepo teorii starożytnych mistrzów, ograniczali się na ustawieniu we środku walczącej grupy, a resztę obrazu osłaniali dymem strzałów armatnich, które zupełnie wykluczone z akcji, były tém w krwawym obrazie, czem wybuchający wulkan pośród pejzażu. Żołnierze ich walczyli ze sobą *corps à corps* jak Achillesy lub Ajaxy, a konnica na pół naga występowała jakby na marmurowych rumakach Fidiasa. — Taki układ boju jest zapewne piękniejszy od tego, jaki stworzyła nowoczesna strategia, ale razi nieprawdą.

Dzisiejsze pole bitwy podlega prawom geometrii, do których artysta koniecznie zastosować się musi, jeżeli chce malować wiernie. Zdarzają się i teraz tu i owdzie pojedyncze utarczki, ale cała akcja odbywa się massami. Wódz władający gromem tej nawalnicy nie walczy sam jak Hektor, ani nie zgarnia lanc w swe piersi jak Winkelried — nieruchomy, z lunetą przy oku, stoi na wyzynie jak posąg kamienny, zapalając lub gasząc bój jednym słowem, jednym nieznacznym skinieniem ręki — stoi, jak myśl dominująca ruchy olbrzymiego ciała, które się zowie armia.

Vernet pierwszy zrozumiał moralną potęgę wodzów nowoczesnych i usiłował zastąpić nią fizyczną potęgę pogańskich bohaterów; ale myśl wzniosła nie zawsze da się uplastycznić efektownie — dowodem freski Corneliusa, które tylko w opisie wydają się przecudnie — dowodem obrazu samego Verneta, które choć są wiernym dagierotypem dzisiejszych bitew i górują nad starożytnymi siłą moralną swych przywódców, niemogą atoli iść w porównanie pod względem artystycznym z walkami jakie przedstawiał Salvator lub Casanova.

Cożkolwiek bądź, Vernetowi należy się zasługa że może z ujmą swęj sławy porzucił sfery idealne w których zamykali się jego poprzednicy, a przez miłość prawdy zstąpił odważnie w zakres rzeczywistości, mniej piękny, ale zgodny z duchem czasu.

Tutejsi krytycy jako wielki błąd zarzucają wernetowskię *Bitwie nad Almq*, że główna figura tego obrazu, książę Napoleon, jest zupełnie chybiony. Pojąć nie mogą, jakim przypadkiem przytrafić się to mogło Vernetowi, który lepiej niż ktokolwiek bądź umie uchwycić podobieństwo, jak tego dowiódł na tyłu obrazach przedstawiających całe grupy wojskowe złożone z portretów osób żyjących. Krytycy mają zupełną słuszość: nietylko twarz i postawa księcia podrzędną w tym obrazie gra rolę, ale co dziwniejsza, koń jego wcale nie wernetowski, razi mizernym kształtem. Rzeczywistym bohaterem obrazu nie jest książę Napoleon, ale Spahis w białym turbanie i marsowej pozie, oparty o swą lancę, nieruchomy, udrapowany w szkarłatny burnus. — Że tak jest, nie ulega kwestyi — chodzi tylko o to, czy co oficjalni krytycy zwą błędem, nie jest raczej ze strony artysty złośliwym figlem, a jeżeli wolisz, słusznym wymiarem sprawiedliwości. — Malownicze dwie figury Spahisa i przy nim stojącego Zuawa z owym sztandarem co błysnie za chwilę na przeciwnych wyżynach, są wspaniałem uosobieniem afrykańskiej Francyi, która całe półki nowych Achillesów wyrzuciła na Krymskie wybrzeża. Trudno przypuścić, żeby artysta co takich umie malować żołnierzy, mógł robić błędy w obrazie — nie, nie, z wielkiem przeproszeniem tutejszych artystycznych wyrocni, my ten błąd nazwiemy największą zaletą wernetowskiego obrazu.

Na poparcie powyższego twierdzenia przychodzą w pomoc wszystkie grupy konne i piesze oddane, niemożna lepiej. Koń komendanta Bertranda biegnący wprost na widza w potrójnym galopie, jest arcydziełem. Ranny Zuaw podnoszący w górę pałasz zdobyty na nieprzyjaciela i ustrojony w trójkolorową wstęgę, a drugą ręką wspierający rannego highlandera, tchnie stoicyzmem i zapalem wziętym żywcem z natury tego niezrównanego żołnierza. Na licach zabitego jenerała angielskiego niesionego na płaszczach, zastygła wraz z życiem duma i

zimna. odwaga owych nieprzepartych szeregów, które były podziwem ostatnich czasów.

Drugi plan obrazu cały jest w ruchu: na lewo pali się wioska Burluk — Zuawy do pasa we wodzie przepływają działa przez rzekę — pierwsze kolumny na pół zaćmione dymem, już spinają się po przeciwległym urwisku; na wyżynie, daleko, daleko, jak czerwone mrowisko widać biegnące do szturm bataliony Zuawów, gwałtowny atak dywizji Canroberta, i Bosqueta nacierającego na lewe skrzydło nieprzyjaciela — wszystko oddane wyraźnie i naturalnie, wydaje się jakby rzeczywista bitwa widziana przez odwrotny koniec lornetki. Niknący horyzont opasuje w półkole modra wstęga morskich odmetów, i dymne kłęby wystrzałów floty co jak wieńce róż białych wylatują w powietrze.

Takie są główne zarysy tego widoku, a raczej ramy jego, które jeżeli zdołasz wypełnić imaginacją, mieć będziesz co się zowie piękny obraz. —

Po opisie bitwy opis muzyki — zawołasz, rzuciwszy okiem na ciąg dalszy — brakuje już tylko opisu kolorów żeby relacją uczynić kompletnie zabawną. — Prawda. Ale gdyby to tylko czytać co zabawne lub mądre, lektura musiałaby się ograniczyć do kilku książek — a to mało na zapelnienie życia w naszych literackich czasach. Uzbój się przeto w cierpliwość i czytaj dalej — kolory już ci na ten raz daruję.

Z początkiem kwietnia teatr włoski wokalny bardzo świetnie zakończył swoje reprezentacje wspierany niezrównaną akcją i sympatycznym głosem Giulii Grisi, która porzucając na zawsze scenę, chciała jeszcze raz zaśpiewać w tej samej sali, o której ściany obity się pierwsze echa jej rodzącej się sławy. — Giulia Grisi znówu ukazała się Paryżowi w roli Normy, w tej przepysznej roli, której piękności pierwsza wyspiewała światu i pozostała w niej pierwszą; bo chociaż inne śpiewaczki dorównały jej głosem, to żadna nie dorównała postawą. Wyższa o całą głowę od wszystkich współczesnych artystek, Giulia z posagową twarzą i potężnymi ramiony, zdaje się być odlana umyślnie do roli Normy w zatraconej formie kapłanki Druidów.

Na tych co ją dawniej znali, których potok srebrnego jej głosu wtrącał w zachwyty, napróżno szukane później

po teatrach i koncertach całego świata, terazniejsze wystąpienia Grisi czynią wrzenie wspaniałego zachodu słońca. Czuć jakiś ubytek w tej jeszcze promiennej gwiazdzie. Potężna Diva jeszcze nad szczyty swych świętych dębów wylatuje natchnieniem — a jednak rzuca cię jakiś smutny na tych których młodość opromieniała.

Nic jak muzyka nie przypomina przeszłości — nic jak ona nie uplastycznia obrazów od wieków zasypanych jak druga Pompeja popiołami sercowych wybuchów. Każdy ton znaną pieśni spada na duszę jak uderzenie młota odsłaniającego z popiołów cały świat dawny zapadły... za każdym akordem wstaje z martwych jakiś budynek przeszłości opleciony girlandą kwiatów uschłych a jeszcze kolorowych i wonnych. Pieśń co nam brzmiała nad kolebką, przypomina modlitwę zmówioną niegdyś na kolanach matki — późniejsza, wesołe tańce i ostatnia, przypomina niepokoje burzliwego życia, zachwyty i katusze goniącej za ideałem duszy. Później już się w nas żadna nie odbije nuta, bo później serce brązuje się lub pęka.

Otoż, ostatniego wieczora *Casta Diva* cofnęła nanie o dziesięć lat w tył. Oparty o aksamitną kolumnę łoży, widziałem oczyma duszy inny wcale wieczór, chociaż też sama wtórowała mu nuta. Wtedy grano także *Normę*, ale słuchano jej inaczej. Rubini grał *Poliona* — Grisi *Normę*; Lablache *Tamburini* i Pasta rozebrali pomiędzy siebie inne role główne.

Pod koniec sztuki kiedy *Norma* przed gorejącym stołem rzuci kochankowi bolesny wyrzut w formie duetu, który jak krople łez na serce spada szmerząc po cichu: „*Qual cor tradisti, Qual cor perdesti*“ — a dumny *Rzymianin* na klęczkach odpowiada jej: „*Ah troppo tardi t'ho conosciuta, sublime donna io t'ho perduta*“ — cała sala podniosła się do sycylijskiej temperatury i zerwał się jeden z owych włoskich huraganów entuzjazmu, niepojęty i nieznany przedtem we Francji; sala trzęsła się cała: klaskano, tupano, krzyczano, byli tacy co płakali na głos, kilku Włochów dostało palpitacji serca, kobiety mdlały po łożach i nikt ich nie cuciał, bo nikt nie widział ani słyszał tylko *Normę* i *Poliona*, i jak szalony wrzeszczał *brava!! brava!!* — Rzęsisty deszcz

kwiaków padał bez przerwy, aż na scenie kwitnąca zamieść powstała. *La Sacerdotessa* poważnie kłaniała się w koło — w tém nagle z właściwym włoskiej naturze popędem, jakby tknięta wyrzutem że ten entuzjazm nie jej się samą należy, wybiegła za kulisy i za chwile wyszła na scenę tyłem, ciągnąc obiema rękami małego człowieczka w nankinowych obcisłych spodniach i niebieskim fraku, nogami i rękami opierającego się promocy potężnej Divy, która podobna do olbrzymiego posągu ateńskiej Pallady, stała trzymając w ręka trzepocące się *Zawyciestwo*.

— *Evvvva Bellini! Evvva sublime Maestro!!* wrzasnęła sala podwajając oznaki zapалу.

Sublime Maestro nieprzytomny, zarumieniony, z pochyloną głową i spuszczonei oczyma, stał jak na żarzących węglach trzymany silną dlonią Normy pod grzmiotem oklasków — aż upatrzwszy na podłodze najpiękniejszy wieniec, podniósł go — spiawszy się na palec położył kwiaty na czarnych warkoczach Normy, i jednym skokiem wpadł za kulisy. „Teraz już mogę amrzeć“ — zawołała Grisi, i zakryta czarną krepą wstała na stos. —

Oto co przed dziesięciu laty widziałem tutaj w témże samém miejscu, oparty może o tę samą kolumnę — oto co mnie i wielu innym przypomniat zeszłego wieczora śpiew Grisi. Powiedz, czy nie warto jej słuchać chociażby tylko na to żeby takie budzić przypomnienia? Jeżeli wszystko minąć musi, i wszystko mija jak kwiat będący motylom gospodą, cóżby się z nami stało, gdybyśmy nie mieli wspomnień?

London w kwietniu.

Jednem z ważnych tu zjawisk jest, że piśmiennictwo angielskie w rozmaitych odnogach wznaga się na wysoką stopę. Niedost, że mnóstwo co tydzień wychodzi dzieł o różnych przedmiotach umiejętności, nauk i sztuk, a osobiwie podróży ogarniających całą przestrzeń morza i ziemi; lecz nadto, piśmiennictwo dziennikarskie

przybiera na się olbrzymie zakresy i objętość. Oprócz dzienników zdawna znanych jako to: *Chronicle, Herald, Post, Advertiser, Daily News, Standard, Sun, Globe* i *Times*, który ostatni jak Lewiatan objętością swą nad wszystkimi góruje i zdaje się ogromem swym je przygniatać; oprócz rozlicznych dzienników na prowincyi, gdzie niemasz jednego nawet miasteczka coby nie miało swego miejscowego dzienniczka, kiedy większe z nich jak np. Plymouth połączone z Devonport posiadają na 100,000 mieszkańców sześć tygodniowych dzienników wyrównujących londyńskim, — pomimo tak wielkiej ich liczby, widzimy przecie co miesiąc i co kwartał, od czasu zniesienia podatku stemplowego, zjawiające się nowe dzienniki. Nie tyle już chodzi między nimi o wewnętrzne zalety i dobroć, gdyż jednym i drugim nie zbywa na piszących dobrze, tak że nowe dzienniki nie tylko wyrównują dawnym zaletami, lecz częstokroć je nawet przewyższają — ile raczej chodzi im o współzawodnictwo w niżaniu cen. Owóż taniością swą nowe dzienniki walczą z dawniejszemi i usiłują je pobić, bo kiedy te ostatnie zachowują się przy wysokich cenach 4 do 5 pensów za egzemplarz, nowe natomiast dając równą ilość materyi i druku niżają cenę do 1 penna, — i nawet dla oszczędzenia kosztów przesyłki pocztą, przez osobnych agentów po kraju rozwożą. Z przyczyny trudności tak rozdrobnionej administracyi przedsiębiorstwo to nie zawsze się udało, i redakcye zbankrutowały; należały one po większej części do pojedynczych osób i wydawców. Współzawodnictwo dziennikarskie niedało się przecież tem odstraszyć. Potworzyły się spółki do wydawania dzienników z ogromnemi kapitałami, chcące bądź co bądź albo zwalić dawne dzienniki albo zmusić je do zrównania cen ze swemi. Do rzędu takich należą *Daily Telegraph* i *Morning Star* (gwiazda poranna). Jako omnibusy ludzi po Londynie, tak one teraz poczęły rozwozić oświatę po kraju, za najniższą jaka może być cenę — za penna. Na jak długo, czas to pokaże. Inne redakcye, a mające w tem cokolwiek doświadczenia, niewróżą im zysków. Niedziwiłbym się wszakże, gdyby się we wróżbach zawiodły. W Anglii czytanie gazet zamieniło się w potrzebę dla ludu; gazety nazywane są księgą ubogiego (*poor mans book*); a przeto o ile wię-

oś jest ubogich czytelników co na penna się zdobędą (a i bogaci taniością niegardzą), o tyle można liczyć na podobieństwo utrzymania się tych pism jednopennowych.

Oprócz gazet dziennych i tygodniowych, wychodzą jeszcze tak zwane *Serials*, czasopisma poświęcone wyłącznie szczególnym przedmiotom religijnym, politycznym lub towarzyskim, a mocno uwagę powszechną zajmującym. Ogłaszane bywają zeszytami w oznaczonych terminach i pisane stylem przystępnym. Trzymają one miejsce między gazetami a miesięcznymi czasopismami zwanymi *Magazine*. Takich *serials* czyli szeregowców wychodzących jakby na harc, naliczyłem w tej chwili sześć: jeden z nich poświęcony jest wyłącznie wyjaśnieniu następstw z obecnej wojny. Lecz wspomnę tu tylko o drugim z nich, pod tytułem *The Great World of London* (Wielki świat Londyński) przez Henryka Mayhew, byłego współpracownika do *Puncha*, tego londyńskiego *Charivari*. Pierwsza i druga część tego pisma już wyszła. Opisuje w niem wydawca stolicę angielską z różnego punktu widzenia, tak rzeczywistego jak i wymarzonego, jak mu go bujna wyobraźnia na myśl nastrecza. Znajdujemy tam obraz panoramiczny Londynu, jego ulic i sklepów, bogactw obok ubóstwa, przepychu obok nędzy; opis różnych klas robotniczych i próżniackich, szczególnie jaki jest świat Londynu prawniczy, lekarski, duchowny, kupiecki, uczony, teatralny, modny, polityczny, wojskowy, marynarski, wyrobniczy, kryminalny, podróżny, mądry i szalony! Pod tytuł różnemi względami p. Mayhew obraz stolicy i jej ludności skreślił, jedno w nim wyjaśnia, ocenia drugie, a wszystko jaskrawemi barwami narzucone — oczywiście z powodu trudności jaką ma autor w znalezieniu i dobraniu kolorów na odmalowanie tytuł nadzwyczajnych rzeczy jakie mu się tłumem nastreczają. Pierwszy rzut oka na stolicę czyni p. Mayhew z balonu; inaczej niezdolałby ogromu jej objąć ani dostrzedz jej granic. *Londres c' est plus qu' une ville; c' est une province couverte de maisons*, jak się dowcipnie Horace Say, francuzki ekonomista o tej stolicy wyraża. Lecz sądzić o tak wielkiej stolicy jak Londyn z samej tylko powierzchni jaką zajmuje na ziemi, dzielić ją na obwody lub powiaty, to według

p. Mayhew za mało i wydaje się mu niestosownem, on woli raczej nazwać ją królestwem, albo jeszcze właściwiej jak to tytuł jego pisma nosi: wielkim światem londyńskim. Na poparcie, że Londyn zasługuje na to imię, którem go ochrzcił, powiada, że przestrzeń jego zajmuje 122 mil kwadratowych (angielskich), liczy w swym obrębie 327,391 domów i 2.362,236 mieszkańców, do 10,500 różnych ulic przejezdnych, niektóre z nich jakoto Oxford-street, mające milę i więcej długości. Bruk tych różnych ulic kosztował do 40.000,000, a sama naprawa jego teraz wynosi przeszło 1.800,000 rocznie. Mieszkańcy miasta, gdyby rozstawieni byli po dwóch parami i jednym rzędem, taki rząd rozciągałby się wzdłuż na 670 mil (ang.), który aby przejechać po trzy mil na godzinę, potrzebowałby więcej niż 9 dni i tyleż nocy, zanimby przeciągnął w takiej procesyi. Taka procesya byłaby prawdziwym dziewięciu dób cudem. Opisawszy tę rozległość stolicy jak się mu wydawała z balonu nasauskiego — poczytywanego za największy, bo na nim kilka osób odbyło podróż z Londynu aż do Nassau — autor spuszcza się z góry na dół i wchodzi nawet w tak drobne szczegóły, jak na przykład: ile Londyńczycy potrzebują rocznie pokarmu na wyżywienie. Wylicza zatem, że zakupuje się dla miasta na mięsiwa różnego rodzaju bydła blisko za 9.000,000 fst., mianowicie cieląt do 30,000 sztuk, świń 34,000, wołów 277,000, a owiec do 1.480,000. Przechodzi następnie do trunków jakich stolica dla swjej ludności rocznie potrzebuje, i wylicza poszczególnie ich gatunki i ilość, jako to: 65,000 pip wina, 2.000,000 garncy wódek i spirytusów, 43.200,000 garncy porteru i piwa, a wody garncy 19.215.000,000. Trudno tu wyliczyć ilość spożywanych owoców różnego gatunku, krajowych lub przywożonych ze stałego ładu i z Ameryki. Na sam opał i kuchenne potrzeby wychodzi 3.000,000 beczek węgla. Co do samej mowy mieszkańców stolicy, przypomina ona nam mieszaninę języków wieży Babilońskiej. Ile mów i narzeczy znajduje się na świecie, wszystkie można słyszeć na ulicach przebijające się z pośród rodowitej mowy londyńczyków dzielącej się na klasyczną i różne dyalekta ludu. Każda klasa i rzemiosło ma właściwy sobie odmienny język. Marynarz mówi swoim, rybak swoim, jockey swoim,

nawet żyd skupujący starzyznę na tandetę woła swoim: *old clost!* Boxarze bijący się na pięści, *wrestlers* idący w zapasy, wyrażają się swym technicznym językiem. Cech złodziejski (*swell mob*), który jest liczny w stolicy i ma rozgąszenia swe po prowincjach, ma także swój osobny język i znaki tajemnicze, po których się jego członkowie jak Masoni poznają i w przykrych położeniach ratują. Ta odmienność mów i nawet samego wyśłowienia — a londyńskie poczytuje on za najgorsze — rozciąga się do wszelkich innych zawodów życia i przemysłu, tak że z ich mowy i zgięcia głosu nietrudno dla mających cokolwiek doświadczenia poznawać różnych klas zatrudnienia, nałogi, talenta, przesady, namiętności — słowem, cnoty i zbrodnie. Świat londyński jest wielkiem ogniskiem, gdzie można widzieć skupienie razem największych sprzeczności, rozwój złego i dobrego i rozpromienianie się obudwóch szeroko na okręg świata.

Towarzystwo geograficzne odbyło niedawno jedno z swych posiedzeń, na którym roztrząsano potrzebę zajęcia i osiedlenia północnej części Australii; lecz pierwszy jak się członkom zdawało, należałoby ją zwiedzić i rozpatrzeć się w nią, przez wysłanie światłych i doświadczonych ludzi. Na wykonanie takiej wyprawy, hrabia Strzelecki, nasz ziomek, który jest członkiem Towarzystwa, oświadczył, że miał 10,000 fst. doręczonych sobie od p. Uzielli do użycia, w razie gdyby rząd odmówił wysłania takowej misyi eksploracyjnej z własnego ramienia. Pan Strzelecki, albo jak go tu jako szlachcica polskiego tytułują hrabia S., opuścił był kraj na kilka lat przed rokiem 1830, z powodów zupełnie osobistych czyli domowych, które pomijam jako wcale tu nie należące. Przebywał niejaki czas w Anglii, a następnie udał się do Australii i tę mało znaną część świata a w złoto obfitującą pierwszy dokładnie opisał, a to pod najważniejszym bo geologicznym względem. W Australii był on jak najlepiej widziany przez gubernatora angielskiego osad tamecznych; urzędnicy i obywatele przyjmowali go w swych domach, i znam osoby co go wtedy pamiętają. Wydaniem dzieła swego o Australii za powrotem do Anglii zwrócił na siebie uwagę nie tylko mających stosunki kupieckie z opisaną przez niego częścią świata, lecz także i uwagę samego rządu. Podczas pa-

miętnego głodu w Irlandyi przed kilkoma laty, użyty był przez rząd do rozdziału pomiędzy ubogich, funduszów ze składek na ich rzecz zbieranych. Przy podziale tych funduszów sprawił się w komissyi z takim zewsząd zadowoleniem, że otrzymał od królowej order łąziebny i w nagrodę pensyą roczną ze skarbu. Teraz używany bywa przez rząd do szczególnych poleceń i komisyj, mianowicie handlowych i finansowych, w czém zdaje się posiadać wiele znajomości.

W poprzedzającym liście przyrzekłem wam co donieść o narodowej naszej literaturze w Anglii. Uiszczaam się z tego długu. Ograniczę się wszakże jedynie do ostatnich i najnowszych usiłowań w przedmiocie naszego piśmiennictwa.

Naprzód powiem, że mamy w Tottenham drukarnię polską, w której na przypadek potrzeby polskie pisma się drukują, i czasem nawet Anglicy się do niej udają. Przeszłego roku np. z drukarni tej wyszedł Nowy Testament polski stereotypowany dla Towarzystwa Biblijnego. Jest ona własnością Aleksandra Rypińskiego, który jest oraz drukarzem i pisarzem. Na dowód wyliczam tu jego poezye wydane pod tytułami: *Raj i Pery*, tłumaczenie poematu Tomasza Moore, w Londynie 1852. — *Polska*, poemat J. G. Fergusona, r. 1852. — *Niaczyścik*, ballada białoruska pisana w białoruskiem narzeczu, które autor będąc rodem z pod Witebska doskonale sobie przyswoił, i nawet akcentami śpiewność jego w balladzie swęj ozna- czył. — *Sierżant Filozof*, legenda albo sen o przechodze- niu dusz, zabytek z dawnęj wojenki, Londyn, 1854. Legenda ta przełożona już jest na język francuzki, a angielski przekład w téj chwili gotuje się do druku. Ostatnie dwie poezye pisane w lekkim humorystycznym stylu. Te i poprzednie pisma jego są wszystkie osno- wane na podaniach i zabytkach pieśni ludu.

Napoleon F. Żaba wydał swe poema: *Nadzieja*, w czterech częściach, i inne poezye. Londyn, 1853. W tym znów roku ogłosił w angielskim języku Najgłówniejsze rysy Historii Polskiej, pod tytułem: „*The Principal Features of the History of Poland. London 1856.*“

Dwa lata temu wyszła bezimiennie: *Powieść z czasu mojego* czyli *Przygody Literwskie*. Londyn 1854. Wysta- wia ona obraz życia towarzyskiego i obyczajów owo-

czesnych, i w znacznej części osnowana na prawdziwych zdarzeniach. Autorem jęj jest kapitan Jackowski.

Lach Szyrma przełożył na język angielski ostatnie dzieło prozą pisane przez Adama Mickiewicza i *Dziennik Ewy Felińskiej*; ostatni wydany jest pod tytułem: „*Revelations of Siberia, by a banished Lady, in 2 vols. Colburn and co., London, 1852*”. Wydał także w tłumaczeniu znaną powieść *Kirdżali* przez Michała Czajkowskiego pod tytułem: „*The Moslem and the Christian or the adventures in the East. By Sadyk Pasha. Translated and revised, with original Notes, by Colonel Lach Szyrma. In 3 vols. London, Hurst and Blacket 1855*.” W przypiskach do ostatniej powieści tłumacz miał szczególnie na celu objaśnienie historii i obyczajów ludu krain naddunajskich, mało cudzoziemcom dotąd historycznie znanych, a obecnie na wielką polityczną widowieć świata występujących.

Posiada angielska literatura także tłumaczenie prozą, Wallenroda Mickiewicza, przez kapitana Jabłońskiego. Przed trzema laty umarł on we Francyi, gdzie się był udał dla poratowania zdrowia.

Bronisław Waręski wydał w obecnej porze: *Obraz statystyczny Rosyi przez Arseniewa (Statistical sketches of Russia)*. Do niego dołączył w przekładzie z rosyjskiego: *Rys polityki rosyjskiej w obecnej wojnie na Wschodzie przez Pogodina*. Tenże młody pisarz poświęca swe pióro utworom poezyi. Ile ja sam i inni rodacy o nich wiedzą, są one: 1. *Beduini* powieść romantyczna, w trzech pieśniach, przeszło 2000 wierszy. — 2. *Poemat niedośpiewany*, osnowany na tle dziejów nowoczesnych i nieco większej objętości od pierwszego. — 3. *Orla*, powieść romantyczna kroacka, na wzór Maryi Malczewskiego. — 4. *Juliusz Cezar* Szekspira, tłumaczony wierszem. — 5. *Burza i Ruiny*, dwa poematy. — 6. *Duma o Banie*. Oprócz wymienionych pisał on ballady, sielanki, śpiewki i różne rozmaitości. To wszystko leży i pomnaża się w jego tece dopóki sposobność nie zawita do wydobywania ich z pod klucza.

Ponieważ raz wpadłem na rękopisma, niechże i dalej tę rzecz prowadzę. Dostały mi się do rąk prace piśmienne ś. p. hr. Molla, o którym jużem pierwój udzielił wam niektórych szczegółów. Przeglądając je znalaz-

złem kilka dramatów wierszem pisanych. Nie mogąc w tej chwili dostatecznie wejść w ich zalety i o ile one przydałyby się na wystawę na scenie polskiej, tyle tylko nadmieniam, że prawie wszystkie są pisane jako i inne zmarłego utwory, wedle wzorów dawnej szkoły francuskiej: wyliczam tylko ich tytuły: — 1. Zenobia — 2. Gdzie miłość prowadzi. — 3. Polak w stolicy Szkockiej. — 3. Sieroty Warszawskiej Pragi, drama w 5ciu aktach „z dedykacją dla starożytniej Akademii krakowskiej przez hr. Mola dawnego ucznia téjże Akademii.“ — 6. Różne poezye, jako to: Lafayette, poemat obszerny — Przygody nasze — Matka Pielgrzymka i Wędrownik, ballada — Sieroty.

Wyczytawszy z *Czasu* z jakim czcigodnym zapalem i gorliwością zbierają się piśmienne zabytki w kraju, i wiele z nich ogłasza się drukiem, nie mogę zamilczeć że i my tutaj idziemy waszym torem. W Londynie istnieje od roku 1837 Grono Historyczne, którego wyłącznym jest celem wyszukiwanie starodawnych zabytków, i robienie wypisów historycznych z dawnych rękopisów, gdziekolwiek one się znajdują, czy to w Muzeum Brytańskim, czy po bibliotekach publicznych, lub w archiwach rządowych za pozwoleniem od rządu zyskanem. Zbiór tych wypisów w różnych językach był dotąd obfitym, i ile ich się uezbiera, odsyłane bywają do biblioteki w Paryżu na przechowanie. Grono osobnego sekretarza na ten cel utrzymuje. Powinszować też Krakowowi trzeba względów rządu Jego Ces. Król. Ap. Mości że zamianował p. Popiela konserwatorem dla zachowania dawnych zabytków w W. Ks. Krakowskiem.

Na licytacji w Bolton wystawiona była na sprzedaż sławna biblia Bowyerska (*Bowers Bible*) w 45 tomach, z mnóstwem rycin, nad którymi do 600 rytowników pracowało. Sprzedaną była panu Robertowi Heywood za 550 f. st. Przypomniała mi się przytem sprzedaż przed kilkoma laty, i podobnie przez licytacją, naszej Biblii Radziwiłłowskiej, *in folio*, z piękną oprawą, i od tylu wieków bez najmniejszego uszkodzenia. Nabył ją Thorpe księgarz londyński za 62 f. st. Była ona w posiadaniu księcia Sussex, stryja królowej, którego biblioteka słynęła najliczniejszym zbiorem Biblij różnych wydań i w różnych językach. Po jego zgonie rzadka Bi-

blia Radziwiłowska poszła w cudze ręce. Rzadki ten zabytek radbym widzieć przeniesiony do jakiej publicznej biblioteki polskiej. Byłby jęj ozdoba.

Umarł w Anglii, gdzie tylu królów schronienia dla siebie szukało, król, i jaki jeszcze — król Cyganów. Miejszkanie miał pod Norwood w bliskości Londynu, w miejscu nazwanem (snadź od jego rodu) Górą Cygańską (*Gipsy-hill*). Nazywał się Samuel Cooper, i pod tém mianem uznawany był przez cyganów za naczelnika. Był on jednym i ostatnim z jedenastu synów zmarłego ich króla, który sam i synowie idąc za rzemiosłem zwyczajnem Cyganom, nie najlepszą w tamtejszych okolicach, a osobliwie w Hrabstwie Surrey, po sobie zostawili pamięć. Zmarły król Samuel miał dwie żony: po śmierci pierwszej pojął drugą, a ta była wdową po bracie zabitym przez drugiego brata. Posiadał kilka morgów ziemi opodal od Norwood, gdzie żył przez wiele lat z swą rodziną pod namiotami i na wozach, a puszczając się na swe zwyczajne włóczęgi, nie zostawiał nigdy tęj miejsciny samej, nie pozostawiwszy tam dziecka, konia lub psa. Własność tę zdawna posiadał, dopóki niezapotrzebowaną była na koleje żelazne do pałacu kryształowego. Kiedy król cyganów zagniony był ustąpić ją towarzystwu kolei za wynagrodzeniem, postradawszy kawał pustego gruntu, nie miał gdzie rozstawiać namiotów i z rodziną już zmuszony był mieszkać pod dachem i w murowanym domu. Zła dola jednak tak zrządziła, że kiedy siedział przy pracy, — może przy lutowaniu starych kociołków, lub splataniu koszyków — ogień nagle wybuchnął w domu. Dla uratowania domu Samuel z dwoma synami spiesźnie wlaźł na dach, i zmoczonymi w wodzie szmatami potrafil przydusić pożar. Lecz gdy tak byli zajęci gaszeniem ognia na dachu, ojciec uczuł nagle ból w boku lewym i zawołał na syna: „Nelsonie Cooper, mdło mi — upadnę“. Synowie rzucili się by go wstrzymać, posadzili go na bezpieczniejszem miejscu na dachu — trzęźwili; lecz na próżno — Król skonał. Przypadek ten sprowadził, jak w razach nagłej śmierci zawsze bywa, śledztwo rządowe (*coroner's inquest*). Lecz pokazało się, że umarł naturalną śmiercią, na chorobę serca, na co od niejakiemu czasu był się skarżył i nawet lekarskiej pomocy zasięgał.

Sąd przysięgły zatem wydał wyrok, iż Samuel Cooper umarł z przypuszczenia bożego. Śledztwo to z powodu śmierci człowieka uznawanego za króla wszystkich cyganów angielskich, nie mało zainteresowało publiczność okolicy, tłum ciekawych zebrał się na miejsce obrzędu. Cyganów mnóstwo tuła się jeszcze po Anglii. Można ich spotykać z brykami i namiotami przy gościńcach i na pobocznych drogach przy tlejących ogniskach. Główném ich zatrudnieniem bywa jak i u nas wrózenie i kowalstwo — bo pokrywam tu milczeniem łapanie kur, owiec i wszystkiego innego co po drodze im szczęście nadarzy. Badacze pochodzenia narodów w Anglii, wywodzą ich rodowód z Indyj, zkąd jako plemię prześladowane zmuszeni byli do rozsypania się po świecie. Dawniejznaczono im za ojczyznę Egipt, do czego podobieństwo *Gipsies* (bo tak się Cyganie w Anglii nazywają) do Egypcyan, było głównie powodem; lecz ten wywód źródłowy uznany jest teraz za zupełnie bezzasadny i mylny, jak to najczęściej bywa z rozumowaniami na źródłosłowiu opartymi. Głębsze badania nowoczesnych pisarzy dowiodły, że ród wędrownych Cyganów czyli Zingarów, nie jest afrykański lecz azjatycki. Wszędzie zostaje w stanie wielkiego poniżenia i podług charakteru różnych rządów mniej lub więcej używa swobody do wrodzonego sobie tułactwa. Dobrze, że teraz w Księstwach Naddunajskich zyskał przecież jakie takie dla siebie usamowolnienie.

Cieszy mnie to że w Krakowie odbywa się wystawa sztuk pięknych. Na tutejszą wystawę przygotowują się także wielkie utwory. Wspomnę tu choć o jednym historycznym, z pod dłuta snycerza Thomson. Jest to Boadicea nieszczęśliwa królowa dawnych Bretonów, z dwójgiem córek, w jednej grupie z marmuru. Wyobrażona jest właśnie w chwili najgłębszego czucia kiedy pobudza Bretonów do pomszczenia się wyrządzonych krzywd jój samój i jój dzieciom. Zajmuje ona pośredkowe miejsce w téj grupie, w draperyi naksztalt Normy. Postawa jój pełna godności, oczy wzniesione, brwi zmarszczone gniewem, usta ściśnione jakoby przez to tem silniej chciała wyrazić uczucie, które nią miota. W prawej ręce trzyma podniesiony miecz, — miecz krótki naksztalt rzymskiego. Przed nią obie córki pochy-

lone u jej stóp leżą, jakby dwie lilie od burzy zmiecione, zielone—niezdolne głów swych podnieść by spojrzeć na swych braci. Ogólny wyraz całej grupy jest utworem wysokiego rzędu i charakteru. Przeznaczony on jest dla akademii sztuk pięknych na tegoroczną wystawę.

Taki posyłam wam różnobarwny, jakby kalejdoskopowy obraz rzeczy tutejszych. Kończę, bo większy nie mógłby może pomieścić się w waszych ramkach.

Rzym w kwietniu.

Pewien Anglik zapytany co to jest Rzymianin, odrzekł: „Jest to zwierzę które śpi przez sześć miesięcy, „a przez drugie sześć miesięcy ssie krew cudzoziemców.“ Śluszne to bardzo spostrzeżenie, bowiem dla Rzymianina XIX wieku, *panem et circenses*, jest cudzoziemiec, *il forestiere*, którego o ile tylko może, zdziera, aby gdy nadejdą gorące miesiące, mógł się duszą i ciałem oddać włoskiemu *dolce far niente*. Wyglądają oni z niecierpliwością pierwszych dni zimy, liczą przybyłych, klasyfikują ich majątki i podług tego sądzą, czy rok będzie korzystny lub nie. Z końcem więc zeszłego, nie małe było ich zmartwienie, kiedy cudzoziemcy nie przybywali a hotele i mieszkania stały wszędzie pustkami. Atoli od nowego roku, nie wiem prawdziwie dla jakich przyczyn, zjawił się taki natłok podróżujących, że od 1go stycznia do pierwszych dni marca, złożono na policyi trzydzieści i sześć tysięcy paszportów. Ci zaś co się opóźnili i zawitali tutaj dopiero na uroczystości Wielkiego Tygodnia, musieli formalnie koczować lub szukać schronienia na poddaszach. A kiedy się co rok powiększa liczba przybywających na pomienione uroczystości, zdaje się, że nadal nie-będzie już podczas Wielkiego Tygodnia żadnych ceremonij w kaplicy sykstyńskiej, tylko je odprawiać będą w samej bazylice śgo Piotra. Zamiar ten pochwalić musimy. Widzimy co rok takich, którzy przybywają z dalekich krajów, poświęciwszy czasem ciężko zarobiony grosz dla odbycia świętej pielgrzymki i widzenia wszystkiego, a potem zmu-

szeni są zostawać za drzwiami. Opisywać wam obojdy Świąt Wielkanocnych nie jest moim zamiarem. Któż nie czytał już sto razy ich opisu, lub nie był choć raz w życiu w Rzymie? Ale wspomnę tylko, że podczas postu były niemal po wszystkich kościołach kazania z przygotowaniem do spowiedzi Wielkanocnej. Nam zaś wykladał naukę w niedziele, ksiądz Hieronim Kajsiewicz, w kościele śgo Klandynusza. Francuzom i cudzoziemcom nie umiejącym po włosku, trzy razy w tygodniu, w kościele *St. Louis des Français* ksiądz Causette, bardzo uczony człowiek lubo z nieprzyjemnym akcentem południowym. Nareszcie najznakomitsze kazania słyszałem w kościele *Gesù*, dokąd uczęszczała cała arystokracja rzymska i gdzie zresztą był zawsze taki natłok ludzi, że trzeba było przyjść godzinę pierwiej dla znalezienia miejsca. Znakomity kaznodzieja jezuicki, ojciec Fontana, co dzień po całych godzinach przemawiał tam do wiernych. Trzeba mieć szczególną pamięć, ażeby powiedzieć z rzędu czterdzieści kazań, bo się nie improwizuje z ambony, gdzie trzeba każde słowo wziąć pod rozwagę. A na poparcie mojego twierdzenia powiem, że gdy jeden dworzanin Ludwika XIV zbliżył się do ojca Massillona i zapytał go, kiedy zaimprovizował najlepsze kazanie; kaznodzieja odrzekł. „W dzień, kiedym się go najlepiej nauczył na pamięć“. — W niedzielę palmową, podczas Mszy Świętej, którą tak solennie odprawia Papież w bazylice Ś. Piotra, w chwili kiedy zaintonowano *Credo*, dał się słyszeć z warowni Ś. Anioła strzał działowy. Wiedzieliśmy już że tym sposobem Francuzi oznajmją wiecznej stolicy, szczęśliwe rozwiązanie Cesarzowej Eugenii. To nie przeszkadzało jednak, że ta wiadomość wszystkich nas nie mało zelektryzowała, a gdy padł dwudziesty i pierwszy strzał, powstał w kościele a szczególnie w trybunie dyplomatycznej szmer wcale nie przyzwoity. W ambasadzie francuskiej miał być bal na uczenie nowonarodzonego Napoleona, ale dla ciągłej słabości posła hr. de Rayneval, musiano wstrzymać zabawy. Rozeszła się nawet pogłoska, jakoby wspomniany poseł miał opuścić Rzym z nieograniczonym urlopem.

Od Świąt mieliśmy dopiero dwa wieczory tańcujące i bodaj się na tem zakończą tegoroczne bały: jeden u

Księstwa Doriów, a drugi u *Chargé d'affaires* brazylijskiego pana Figueiredo. W teatrze zaś przedstawiono po raz pierwszy „Nieszpory Sycylijskie“, pod tytułem *Gionanna de Gusman*. Powszechnie podobała się ta nowa muzyka Verdego, a została wykonaną po mistrzowsku przez pp. Coletti i Fraschini. Biednego zaś Roberta Diabła, jak cenzura zaczęła chrzcic i obcinać mu pazury, to zrobiła z niego takiego dziwoląga, że go już nie śmia przedstawić ciekawej publiczności.

Przyjechała nareszcie tutaj z Neapolu owa gwiazda północna, o której wam już wspomniałem w ostatnich moich listach. Jój przyjazd oznajmił dwoma dniami pierwój tu przybyły *en courier extraordinaire* książę de Rohan. Bagatela! To nie żarty takie kurjery! *Roi ne puis, prince ne daigne.... courier suis!* Rzym, który mimo całej swój powagi, jest jak wszystkie mniejsze stolice, zajęty światowymi plotkami, przez kilka dni o niczem innem nie mówił, tylko o zjawieniu się tój jaśniejszej planety. Naszem życzeniem było, widzieć piękną tę rodaczkę w wielkim świecie, ale dla krótkiego pobytu nie chciała zabierać nowych znajomości. Ciekawością zdjęty, poszedłem do niej, gdzie w jój salonie znalazłem tak dobrane towarzystwo, żeby go mogła pozazdrościć najzaciętsza z naszych dewotek. Spotkaliśmy tam kardynała Ugolini, księcia de Rohan, margrabiego de Noailles, hr. Spada, kilku Monsignorów i nareszcie parę figur z ambasady francuskiej. Mówią, że nasza gwiazda północna liczy w gronie naszych rodaczek wiele nieprzyjaciółek. Rzecz łatwa do pojęcia, bo kiedy żadna z naszych choć najładniejszych polek nie wytrzyma z nią porównania, to cios zaledwie bolesny, żeby go tak prędko darować. Pokazała się ona raz tylko ciekawym rzymianom na wyścigach konnych. Wystąpiła w bogatej i gustownej toalecie i chociaż rzymianki przywdziewają na ten dzień, co im tylko Paryż dostarcza najnowszego *pour la demi-saison*, to jednak najlepiej dowodzi jak sądzę, że była bohaterką tego dnia, iż powoli cała „złota młodzież“ opuściła inne rozmowy, aby powiększyć koło, w którym ona królowała. Przestraszyły się piękne rzymianki na widok tak niebezpiecznego nieprzyjaciela i dopiero się uspokoiły, gdy się

dowiedziały, że nasza planeta opuszcza Rzym za dwa tygodnie.

W dziwnie pięknem miejscu nazwaném *la Cecchina*, odbywają się wyścigi konne. Na ogromnej płaszczyźnie, zieleniejącej się już całą świeżością wiosenną, z której widać z dala Tivoli, Rocca di Papa, Frascati i całe pasmo gór Sabińskich, których szczyty tu i owdzie jeszcze bieleją od śniegu, zjeżdża się całe towarzystwo rzymskie. Same przez się wyścigi są wielką lichotą, a bieguny, po największej części, proste szkapę. Dziwnie brzmią na tej ziemi wspomnień, słowa ulubieńców sportu jak np. *turf-heats-refuse* i t. d. ale może z czasem i tutaj zasmakują na prawdę w tej zabawie, tem więcej, że prezėsowie, książęta Borghese i Odescalchi, dokładają największego starania, aby ustalić modę wyścigów. Wspomniemy tylko o dwóch *steeple-chase*. W pierwszym jeździli sami panowie. Naturalnie że wygrał Anglik, sławny zresztą jeździec, p. Knight. W drugim, na lichym koniu włoskiej rasy, jockey margrabiego Vitelleschi. —

Jakiś szlachcic, obywatel, rodak czy ziomek — nazwijcie go zresztą jak chcecie — przybył niedawno z nad brzegów Wisły do Civita-Vecchia, ale przybył ze zbołałym zębem. Wylądowawszy, kazał sobie pokazać mieszkanie dentysty dla spiesznego rozstania się z trzonowym nieprzyjacielem. Civita-Vecchia posiada tylko jednego artystę w tej sztuce, a przytem jest on golibrodą i piastuje jeszcze jakiś inny wysoki urząd. Ucieszył się niepospolicie nasz operator na widok schorzonego cudzoziemca, przeczuwając w nim nie-małe wynagrodzenie. Po odbytej szczęśliwie operacyi, nasz wędrownik wychodzi, mówiąc że w pośpiechu zostawił pieniądze w hotelu, ale że z temi natychmiast wróci. Artysta-urzędnik czeka parę godzin, nareszcie znudzony posyła do gospody, gdzie się dowiaduje ze zgorzeniem, że jego pacjent przy najlepszym zdrowiu zemknął dyliżansem do Rzymu. Niewiadomo czy ów słowianin był dystryktem, czy kawalerem przemysłu, ale co pewna, to że dentysta z całą zawziętością mieszkańców południowych krajów, zaprzysiągł mu wieczną *vendettę*. Na drugi więc dzień, wysyła swoją żonę do Rzymu, oddawszy jej *corpus delicti*, to jest dziwniej wielkości na wpół czarny

trzonowy zab. Przybywazy tutaj dowiaduje się ta posłuszna małżonka, że się *Polonia* zwykle zbiera wieczorem w kawiarni *Grecco*. Przychodzi więc tam i opowiada nam każdemu z kolei, jak jej mąż stał się ofiarą ratując naszego rodaka. Chciała ona koniecznie żeby nas wszystkich bawiących teraz w Rzymie, zawołano do generała S.... jako najstarszego wiekiem i żeby nam ten kazał, zapewne na kommandę, pokazać zęby dla złapania delinkwenta. Mówiła, że mąż jej nigdy nie myślał darmo robić tej operacyi i opierając się na naszym przysłowiu, iż tylko darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, twierdziła, że ma prawo żądać od nas, abysmy się wszyscy poddali tej próbie. Jeden z naszych artystów przemówił do niej jak najczuliej i opowiedział jej pierwej przygodę, która nas także dawniej spotkała z Włoszką, z królową Boną, radził, żeby się zabezpieczyła na summach neapolitańskich.

Co do nowości literackich, mogę wam donieść najprzód: że w trzecią sobotę kwietniową wyszedł w *Civiltà Cattolica* artykuł o literaturze polskiej, który najchlebniej wspomina o waszym dzienniku; potem powiem, że temi dniami przejeżdżał przez Rzym, udając się wprost na Neapol, Malte, Tunis do.... Poznania, młody autor z Warszawy p. Ludwik Niemojowski. Zamiarem jego jest drukować swoje prace w Księstwie Poznańskiem u Żupańskiego. Miałem sobie uprzejmie udzielony od poety rękopism jego p. n. *Obrazy z Piema Świętego*. W tej pracy, piękną zalecającą się polszczyzną, jest wiele ślicznych ustępów, pełnych świeżości i kolorytu obrazów, pomysłów jędrnych i samodzielnych, przy niepospolitej harmonii wiersza. Zapewne praca p. Niemojowskiego będzie przyjęta i powitana ze słusznem ziomków naszych współczuciem, skoro się ukaże na literackim widnokręgu; niech mi więc będzie wolno dać wam niejaki przedsmak tego literackiego zjawiska, przytaczając tutaj krótki wyjątek ze wspomnionego utworu. Jest to chwila, w której Mardocheusz wysła posłańca do Estery przypominając niedolę żydów:

„Powiedz królowej“ — gniewnie mąż zawoła,

„Że gdy kraj cały grzmi płaczem żałosci,

„Że gdy lud cały gnie w prochy swe czola,

„Hańbą jest błyszczeć odzieniem radości!
„Powiedz królowej, że hańbą ta siła
„Co wstaje z mogił ojców, braci, mężów,
„I chleb, którego krew plony zrosiła,
„I blask co świeci z morderczych orężów.
„Powiedz królowej, że żyć wśród zniszczenia,
„Pić łzę rozpaczy, jeść ziarno katuszy,
„Zmieszać śpiew szczęścia z jękami cierpienia,
„Jest piętnem podłej i nikczemnej duszy!“

I potem dalej, kiedy Estera mówi Mardocheuszowi,
że zginie jak się stawi nie zawołana przed Aswerusem:

— „Więc giń“ rzekł starzec „bo blask twojej chwały
„Może nasz popiół w grobach sponiewierać.
„Bo gdy swe prochy ród twój grzebie cały,
„Żyć tobie hańbą — a chlubą umierać!
„Wiedz, że nie dosyć zbawić się od zgonu,
„Nie dosyć złotem i wdziękami słynąć:
„Gdy plód krwi naszej królów sięgnął tronu,
„Zbawić nas musi — albo z nami zginąć.“

Warszawa w kwietniu.

Skarżycie się w Krakowie i słusznie bardzo na ogromną różnicę w wydatkach codziennych, jakiej doświadczacie skutkiem poskoczenia w górę cen, które dawniej były stosunkowo bardzo niskie u was. Ale cóż my tu w Warszawie mamy powiedzieć? Życie i utrzymanie się w naszym mieście droższe jest niżli w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, a dorównywa prawie Londynowi i Petersburgowi. Ma się rozumieć, że w tych miastach za pieniądze które się u nas po części marnują, więcej jest zabaw i przyjemności życia a nawet wygod i rozrywek. W Paryżu na przykład, kto zna dobrze miasto i wie gdzie czego szukać, może żyć wygodnie tanim porównawczo kosztem, chociaż prawda i to, że kto chce zbyt kawać, ten do syta zadowolnić się może i w krótkim czasie stracić majątek, ale przynajmniej jak to powiadają: *użył świata za to*. U nas zaś na niczem oszczędzić nie po-

dobna, a ci którzy stracili majątki, nie mogliby nawet powiedzieć na co je stracili.

Już nie mówię o cenach żywności, bo w tych drożyna jest przypadkową, skutkiem wojny, nieurodzajów, złego wydatku zboża, zarazy na kartofle, braku rąk do pracy itp. chociaż drożyna chleba wszystko inne za sobą pociąga. Ale u nas mamy to przekonanie na smutném doświadczeniu oparte, że jak ceny raz poskoczą, to potem przy sprzyjających nawet okolicznościach zniżą się bardzo mało, i stan drożyny staje się normalnym stanem, dopóki znowuż jaka przyczyna nie wpłynie przeważnie na podrożenie wszystkiego. Nie tu miejsce wyliczać szczegółowo ile co kosztuje, powiem wam tylko, że najlichsze wyżywienie służącego lub służącej wynosi od 50 gr. do 2 złp. dziennie, a z tego bierzcie miarę. Ogłoszenie pokoju mało nam czuć się dało pod tym względem, chleb tylko staniał po groszu na funcie i sprzedaje się obecnie po dziewięć groszy funt, reszta pozostała tak samo.

A tymczasem chociaż podrożały pożywienie, lokale, ubiór; dochody pozostały też same, owszem można powiedzieć, zniżyły się co do ogólnej ilości. W Warszawie mianowicie najwięcej ucierpiała klasa ludzi pobierających stałe peryodyczne płace, jako to urzędników i oficyalistów rządowych, którzy składają wielką część ludności warszawskiej. Liczne sprawy wytoczone lichwiarzom w ostatnich czasach, nie wykorzeniwszy lichwy ścieśniły ją jednak; bardzo to piękny i chwalebny krok, ale niestety, w nieszczęśliwych wymierzony czasach, sprawił też same skutki co wypędzenie Maurów z Hiszpanii, jeżeli się wielkie z małym równać godzi. Kredyt upadł zupełnie, żydzi zaprzestali pożyczać pieniądze i mnóstwo ludzi znalazło się w rozpaczliwém położeniu. Lichwa zagnieżdżwszy się u nas tak zgangrenowała wszystko w około siebie, iż ażeby chociaż w części zaradzić straszliwym skutkom téj choroby społecznej, trzeba było rozszerzyć jeszcze rany. A na to nie było rady. Słyszałem wielu skarżących się na usiłowania, które podjęte dla ich ocalenia, popychały ich jeszcze w przepaść.

Któż obok głodu panującego po wsiach, obok niedostatku w stolicy, obok ciągłych nieurodzajów, ruiny majątków i klęsk różnorodnych, które w ostatnich latach

na nas spadły, któż mówię wytłumaczy ten popęd do zbytków, który czuć się daje w naszym mieście? Wyszedszy na ulicę w dzień pogodny, kiedy tłumy przechadzających zalegają trotuary, dziwić się trzeba kosztowności strojów i różnego przyboru toaletowego zdobiącego wdzięki i niewdzięki niewiast warszawskich. A i panowie nie żałują sobie w niczem. Miasto nasze podobnóm jest trochę do bankiera, który czując się bliskim bankructwa podwaja wydatki, naprzód dla niepoznaki, powtóre dla tego, że nic już nie ryzykuje. Bo nawet i wielkich majątków nie ma już prawie u nas; pomiędzy najwyższą klasą społeczeństwa na palcach by można zliczyć tych, którzy nie świecą blyszczącą nędzą, których fortuna nie jest fikcyjną, szystem naśladowującym połysk złota. Jedni potracili co mieli i utrzymują się.... z długów, drudzy przez złe administrowanie majątków albo kradzież oficyalistów z rozległych dóbr żadnych nie mają dochodów, owszem, dopłacać jeszcze muszą. A tu trzeba jednak żyć w świetle i żyć na stopę do której się przywykło, stopę podwyższającą się coraz. Wykwintność i drogość mieszkań, umeblowania, ekwipażów, warsta coraz bardziej. Salon Ordynatów Zamojskich, w pałacu ich przy placu bankowym, który przed kilkunastu latami za najzwyklejniej urządzonej w Warszawie mógł być uważanym, obecnie w porównaniu do kilkunastu salonów w ostatnich latach urządzonych, nędzną i ubogą prawie przybrał powierzchowność. Pałace zjadają częstokroć dobra, prawda że i w tych dobrach nie ma co jeść. Niedalekie to jeszcze czasy, kiedy bankier warszawski posyłał wozy obładowane żywnością na użytek chłopów tutejszego magnata, którzy umierali z głodu.

Bankierzy, a tych mamy kilku rzeczywiście majątnych, utworzyli nowy żywioł arystokracji pieniężnej, i kilku z nich wdarło się podbojem do niektórych domów w wyższych sferach, chociaż zawsze jako goście, jako przybysze są oni tam uważani. Ale i pomiędzy tymi bankierami wielu już mieliśmy takich, których głos publiczny za bankrótów ogłaszał? Płonne to zapewne wieści, oparte o ile się zdaje na nadzwyczajnych wydatkach, często prawie nad możność podjętych, ale źle już bardzo i takie wieści chodzą, bo reputacya bankiera tak

jak reputacya pamię na wydaniu, żadnej plamy na sobie dopuszczać nie powinna.

Och te panny na wydaniu, biedne to są u nas stworzenia! Marnieją jak kwiatki na podciętych łądych, bo tych którzy mogą i chcą się żenić bardzo ograniczona liczba. Tam paryżcy sprawozdawcy dziennikowi narzekają na brak tancerzy, u nas by ich znalazło się cokolwiek, ale też tancerzy tylko. Tak zwane *partye*, to jest ludzie którzy są w stanie utrzymać dom i rodzinę tak stają się rzadkimi, że można ich zaliczyć do rodzaju skamieniałości przedpotopowych. Panny mówią z westchnieniem: „Słyszałyśmy od matek i babek, że kiedyś w Warszawie żeniono się, a teraz.....“ Bo też kiedyś a teraz, to wielka różnica; kiedyś była młodzież, teraz mamy dzieci i starców, młodzieży już nie ma; kiedyś można było utorować sobie drogę w świecie, wyrobić pozycję i majątek, teraz dwa tysiące złotych polskich pensyi na urzędzie, to najwyższa kariera, do której młody człowiek średniego stanu wzdychać może; kiedyś wielcy panowie mogli dopomagać młodzieży, trzymali ją po dworach, kierowali (jak to mówią) *na ludzi*, teraz trzeba by nieraz wielkim panom dopomagać; kiedyś kto nie był magnatem, przestawał na miernem życiu i utrzymaniu domu a w szkatule było pełno, teraz lada gdzie palisandry, mahonie, aksamity, atłasy, adamaszki, koronki, złoto i klejnoty, a to wszystko na kredyt; zresztą, kiedyś zasługa przynosiła pieniądź, teraz pieniądź przynosi zasługę, więc nie dziw iż się nie żenia.

Ot ciekawy w tych dniach rozstrzygnął się proces pomiędzy panną a kawalerem, tylko kawaler należał do złotej młodzieży a panna była z baletu, z tego naszego warszawskiego baletu, co jest Indyami Wschodniemi dla pewnego rodzaju istot płci żeńskiej, które mają rozum w nogach a serce w kuferku.

Otóż kawaler wystawił na imię panny kilka obligacyj a w każdej z nich zeznawał że winien jest pannie taką a taką sumę pieniędzy; rewersa były spisane podług wszelkich form prawnych i nie zapomniano dla uniknienia wszelkich kwestyj, o tych koniecznych wyrazach: „których walutę w gotowiznie odebrałem.“

Po rozerwaniu czułych stosunków, parę z tych rewersów spłacił kawaler własnymi funduszami, ale pozosta-

wał trzeci najważniejszy, podobno na 20,000 zł. pol. wystawiony; pieniędzy już zbrakło a panna groziła procesem: trzeba się więc było udać do opatrności, która w postaci skąpego ojca czuwa zawsze nad marnotrawną młodzieżą.

Nastąpiło najzupełniejsze wyznanie błędów i obietnica poprawy. Skutkiem tego, sprawiedliwość rodzicielska postanowiła, iż synowi błędy będą przebaczone pod warunkiem, iżby schowawszy do szuflady lorynetę teatralną a wspomnienia warszawskie zamknawszy w głąb piersi (styl dramatyczny), dopilnował odtąd centryfugów cukrowarnych i angielskiej młockarni, co zaś do wspomnionego rewersu rodzic postanowił, iż ponieważ Terpsychora i tak kilkadziesiąt już tysięcy otrzymała za swoje *pas d'ensemble*, powinna poprzestać na tem i nie upominać się o 20,000 zł. pol., które jej się w żadnym razie nie należa.

Ale panna nieprzystąpiła na ten wyrok, owszem, rzuciła się w objęcia adwokata, naturalnego obrońcy niewinności i zapozwała kawalera o zapłacenie długu z prawa jej przypadającego. Rzecz wytoczyła się przed sądy. Obrońca panny ukazał rewers stanowiący prawny dowód, obrońca zaś kawalera a raczej opatrności rodzicielskiej przytoczył naprzeciw temu, że strona zapozwana nie zaprzeczając właściwości rewersu, utrzymuje, iż *waluty w gotowiznie nie odebrała*. Naznaczono pozwanemu przysięgę. Sprawa od trybunału przeszła do apellacyi, nareszcie panna przegrała sprawę i została skazaną na koszt procesu z przyczyny iż kawaler udowodnił przysięgą, iż rzeczywiście *waluty w gotowiznie nie odebrał*, jeżeli zaś odebrał jaką walutę, ta żadną miarą w obliczu prawa za gotowiznę przyjęta być nie może.

Powiedziałem wam już że wiadomość o pokoju nie wiele dotychczas wpłynęła na zniżenie cen a tem samem podwyższenie ruchu. Jednakowoż zaraz nazajutrz po tej wiadomości rozpuszczono nowowziętych rekrutów, dwadzieścia kilka tysięcy ludzi co przy braku rąk do pracy który coraz bardziej dawał się tu uczuwać, błogie dla kraju przyniesie skutki. Więc też pomiędzy ludem, zaraz po wypuszczeniu bardzo wielka panowała radość, na śmierć się zapijali z uciechy. Szczególniej radości żydów nie możecie sobie wystawić, bo już bądź co

badź, oni nie mają wcale powołania na Leonidasów i Scypionów. A ponieważ kryją się tak po dziurach jak tylko zasłyszają o brance iż niepodobieństwem prawie ich wytropić, postanowiono brać ich w daleko młodszym wieku niżli innych. To wywołało pomiędzy nimi rwetes niesłychany i strach paniczny. Żyd niczego nieszczędzi żeby się wydobyć od tak straszliwej ostateczności. Znam jednego tutaj bardzo bogatego żyda, który ma kikanascioro dzieci a za każdego chłopca dał zastępcę. I regularnie co rok nowy mu Lejserek przybywa, a skoro się narodzi, zaraz po obrzezaniu żyd godzi zastępcę, a zapytany o przyczynę odpowiada, iż to daleko bezpieczniej, bo i taniej kosztuje i nie wiedzieć co będzie w przyszłości, bo prawi „żydowie tak zasłynęli za odważnych, że ich od piersi wkrótce będą brali do wojska.“

O teatrze tym razem nie wiele wam powiem: z nowości mieliśmy małą komedyjkę Scribego pod tytułem: *Moja Gwiazda* i dramat Jerzego Sanda *Mauprat*, komedyjka grana dobrze, sztuczki bowiem tego rodzaju właściwie dają się u nas obsadzać i odegrać, to jest *cheval de bataille* naszego teatru. — Co do dramatu (wiatr wieje teraz u nas na dramata), wybór jego nie szczególny, bo dalibóg nie wiele tam się dopatrzeć można. Już to wielu krytyków robiło tę uwagę, że pani Sand powinna by poprzestać na pisaniu powieści i rzeczywiście powieść *Mauprat* daleko lepsza od dramatu. Mnóstwo tam strzałów, pożarów, szturmów, sztuk gimnastycznych itd. Efektu tego rodzaju podobają się pewnej publiczności ale to nie dowód — sztuka jednak dobrze była obsadzona. Palińska ciągle się kształci i może zająć daleko, byleby tylko chciała unikać zbytecznej patetyczności tak w deklamacyi jak i w giestach — Komorowski znalazł nadspodziewaną siłę i energię, mówią że zachany, miłość cuda działa — Królikowski grał dobrze, u niego każdy krok, każdy giest, każdy wyraz z góry wyrachowany i obmyślony; artysta ten widocznie wiele bardzo pracuje, a role czarnych charakterów jak Jana *Mauprat* którą w nowym dramacie przedstawiał, właściwsiemi są do jego rodzaju talentu — reszta wszystko role drobne: Rychter nic nie mógł ze swojej zrobić, bo też i rola niewdzięczna: wiele słów mało rzeczy, Chęciński coraz bardziej się kształci, przed tym mło-

dym artystą, piękna może być przyszłość, bo chętny, pracowity i talentu mu nie brak, a nie wiem dla czego u nas używają go za popychadło do wszelkiego rodzaju ról drugorzędowych i zastępczych. —

Ależ nie takich sztuk jak Mauprat nam potrzeba! Nie pustej tylko zabawy i rozstrojenia nerwów żądamy po teatrze naszym, teatr u nas powinien mieć ważniejsze powołanie. Nieszczęściem jest, iż naśladowujemy błędy drugich wtedy właśnie gdy oni z tych błędów poprawiać się zaczynają; we Francji Augier i Ponsard nastąpili po Dumasie, a my zaczynamy dopiero lubować się w chorobliwym usposobieniu teatralnem, z którego się Francya wyleczyła. Jak owe ubiory przestarzałe, któremi Europa zasila mieszkańców Oceanu południowego, tak nam Zachód przesyła przestarzałe idee. — A my połykamy to wszystko w najlepszej wierze i nieświeże prasowane jarzyny bierzemy za nowalie. —

Już to przynajmniej pani Lotti della Santa śpiewaczka która bawiła tu przez parę tygodni nie może być nazwaną przestarzałym pokarmem. I wiek młody i głos świeży i talent w całej sile wzrostu i sława rozpoczynająca się dopiero, ale zaprawdę piękna to jutrzienka. Pani Lotti powinna wkrótce zająć miejsce pomiędzy najznakomitszymi śpiewaczkami europejskimi, a tyle tam wakansów zrobiło się w ostatnich czasach, że nie trudno jej będzie dostać się na te wysokości. Warszawa kwiatami jej zaskala drogę, ale niech się nie bardzo pyszni z tego zaszczytu, bo taki sam za każdym prawie przedstawieniem spotyka nasze baletniczki.

W literaturze dziennikarskiej ruch ogromny, gazety nasze wyglądają jak konie na wyścigach: starają się ubiedz jedna drugą. Od pierwszego kwietnia wyszła już *Kronika*, musicie ją mieć u siebie. W piśmie tym pojawiła się nowa strona, obca jeszcze prawie warszawskiemu dziennikarstwu, mnóstwo tam ukazuje się artykułów przemysłowych, ekonomicznych i t. p. w ogóle poważnej treści.

Gazeta Warszawska i Codzienna

Wydobyły z pochew miecze

Jedna rąbie drugą siecze.

Do tego rozlewu atramentu miesza się i *Kuryer* od pewnego czasu systematycznie przez *Gazetę Warszawską*

napadany i broniący się wedle możności. Czas by już zaprzestać tej gorszącej polemiki, z której nic nie przyjdzie ani czytelnikom ani prowadzącym ją pismom; nie chcę tu rozstrzygać czyja wina, notuję tylko fakt. Wydawałoby się jakby gazety nasze dały obecnie przytułek owej dawniej kłótliwój sejmikowej szlachcie, u której nie obeszły się żadne rozprawy bez kieraszowania czerepów i szermowania zajadłego: zawsze gdziekolwiek nasze dawne *liberum veto* przedrzeć się musi.

O śmierci Kajetana Koźmiana w pismach warszawskich drukowano już dwadzieścia kilka artykułów i artykułików a niezawodnie nie skończy się na tem. To trochę za wiele. Jest to wadą w dziennikarstwie tutaj, że jak złapią jaki przedmiot, to nie mogą się już od niego odczepić. Każdy chce wtrącić swoje trzy grosze, a jeden za drugim powtarza to samo. Tu i owdzie drukowano wiersze zmarłego, kto wziął jaką gazetę do ręki, ten zostawał zagrzebany po uszy w nawale klasycyzmu.

Nowin literackich nie wiele, w ruchu księgarskim stagnacya; dzieł drukuje się nie wiele i kupujących mało. Dopiero przy zjeżdżaniu się szlachty na świętojański jarmark wszystko się jakoś ożywi. Z poezyj nowych przyszedł do nas świeżo do Warszawy, u was zapewne dawno już znany *Lestaw*, poemat dramatyczny Zmorzkiego, wyszedł także z druku *Salomon* dramat przez Wacława Szymanowskiego, i poezye autorki „W Imię Boże.“ Już to poetek u nas teraz nie, brak, a każda z nich pisze najmniej za czterech mężczyzn, więc możecie sobie wystawić jak straszliwą powodzią poezyi zalani jesteśmy. Pani Ziomecka przygotowała do druku dzieło pod tytułem: „Zarys Filozofii katolickiej.“ Jest to owoc kilkoletniej pracy autorki, która od pewnego czasu złamana ciężką chorobą zerwała wszelkie stosunki ze światem i zamknęła się w domu i w sobie. Utwór to pocziwy treścią i zakresem, sumienny obrobieniem a w porę przychodzi, bo dzieł tego rodzaju w literaturze naszej brak. Korzeniowski wykończy nową powieść podobno dla *Gazety Warszawskiej*, Kraszewski pisze ich aż dwie na raz: płodny ten talent ciągle sam w sobie się odnawia, można go przyrównać do literatury francuzkiej, która już tyle wydawszy, wiecznie jednak świe-

za odradza się na nowo. Odyniec napisał tragedję pod tytułem: „Barbara Radziwiłłówna,“ ci co czytali następny wielkie im oddają pochwały, nie wiadomo jednak czy wymagania cenzury dozwolą mu drukować to dzieło. Chodziło także wykończył parę nowych powieści. Wolf drukuje dawno zapowiedziane „Pamiętniki Michałowskiego“ przez autora Listopada i „Wyprawę po żonę“ Korzeniowskiego, którą już przed rokiem nabył i niewiadomo dla czego przetrzymał tak długo. Zamierza on podobno jeżeli się da, w ostatnich tomach Skarbczyka zamieścić parę poematów albo przynajmniej wyjątków z poematów autora Wallenroda, coby wielce podniosło wartość tego zbioru, w którym utwory naszych poetów straszliwie pokiereszowane, niepodobne prawie do siebie. Trypplin sypie jak z rękawa, — kończy już „Maskaradę w obłokach“ w *Gazecie Codzienniej*, a teraz wzniosł się nad obłoki i wydaje: „Podróż po księżycu“. Gdzie go dalej jeszcze uniosą skrzydła fantazyi, vulgo kłamstw i plagiatów literackich! Ten człowiek chce się gwałtem dostać *ad astra*, ale nie przez stopy angielskich, francuzkich i niemieckich kompilacyj droga tam wiedzie.

Warszawa stroi się w nowe budynki, w szczególności część miasta sąsiadująca z koleją żelazną, która za lat kilkadziesiąt będzie może sam środek miasta stanowić. W początkach maja spodziewamy się Najjaśniejszego Pana, i zapowiadają nam liczne bale i zabawy publiczne. W oczekiwaniu tego wszystkiego, nie rozjeżdżają się jeszcze po wsiach, jak to innych lat zaraz po Wielkiejnoce bywało.

May—1856.



PAN EMIL DE GIRARDIN

PUBLICYSTA I DZIENNIKARZ

Na samym końcu pól Elizejskich, od łuku tryumfalnego *de l'Etoile* niedaleko, przy ulicy Chaillot, znajduje się dom opasany murem, drzewami ocieniony, znane pomieszkание pana Emila de Girardin. Tam, w owym kwadratowym pokoju któremu cichość i prostota urzędzenia, szczególniejszą cechę pracowni umysłowej nadają, spotkałem się jednego poranku ze świeżo przybyłym z Francji południowej podróżnym, który panu Girardin od przyjaciół był zaleconym. Wszczęła się była rozmowa o przedmiotach naukowo politycznych, kiedy tę nagle p. Girardin przerwał zapytaniem, w jakich stosunkach ów podróżny z rządem zostawał? Gdy tedy on odpowiedział iż się rząd uważać powinno jako działacza niezbędnego i najważniejszego przy każdym postępie narodowym, iż tylko jemu przeprowadzenia

reform pożytecznych służy prawo, наконец iż największém dla narodu złém byłoby wytrwanie w zaciętym opozycji, odrzekł p. Girardin: kiedy takie są pańskie zasady, jesteśmy w zgodzie, i na wszelkie zapytania z zupełną otwartością odpowiadać gotów będę.

Był wtedy r. 1847: nie mogły takie słowa być niespodziane, gdyż niezbyt dawno przedtém było się w dzienniku *la Presse* czytało:

Wiara nasza w władzę rządu jest tak silną, jak drugich wiara w potęgę wolności. W myślach naszych dobrem kraju zajętych, pierwsze miejsce trzyma władza, na drugiem dopiero staje wolność. Przeciwko władzy powstawać, chociażby tylko słowami, nawet w obronie własnej, jest bolesno, a zwycięstwa nad władzą są klęskami zwycięzców (*La Presse*, czerwiec 1847).

W tych wierszach klucz zachowania się politycznego pana Girardin znajdujemy, i nie będzie bez korzyści rozważyć, jak z jednej strony niezłomnie wiernym zasadzie swojej zostawał, kiedy z drugiej mógł się na zarzut największej niestateczności wystawiać, przerzucaniem się w burzach politycznych, iż tak powiem, z łodzi jednej do drugiej, na pawilon nie patrząc byle go naprzód ku celowi niosły. A zaś celem pana Girardin było przeprowadzenie każdego postępu społecznego jedynie tylko przez władzę rządową, choć przytém gorąco pragnął do grona rządzących wezwanym zostać. Pierwsze jest zasadą czysto francuzką, drugie było wynikiem osobistości. Pierwszej zasady głoszenie i przebijanie się przez wszystkie najbardziej namiętne artykuły *Pressy*, pod rządami króla Ludwika Filipa,

pod ni rządem krótkiej rzeczypospolitej, pod prezydentą, było podstawą więtości dziennika odpowiadającego instyktom jedynowładczym Francyi. Drugiej działalności skutkami były nieraz jak namiętne wykroczenia głównego redaktora *Pressy*, tak wywołane przez to gniewy ambicyi współzawodniczych i obrażenie opinii.

Że instykt Francyi jest monarchicznym i rządowym, tego dowodem cała jej historia, a nieznających historii doświadczenie najnowszych czasów powinno przekonać. Więtość którą zasady angielskie w nielicznej klasie wzbudziły, niczego źródłem stać się nie mogła jak tylko sztucznego organizmu Orleańskiego, który przez pierwsze tchnienie rewolucyi został obalony; ponieważ duch narodu Francuzkiego nie ma wspólnego z duchem Anglii. Chwilowy tryumf republikańców tak zwanych, był dla Francyi nieznosnym, dla tego samego iż Francuzi są praktycznym ludem, a nie niepraktyczniejszego od powołania wszystkich do rządów, tam gdzie najpierwszą wszystkich potrzebą jest praca. Jakie były ściśle zasady pana Girardin, o formie rządu, czy absolutnego jedynowładztwa, czy takiego który zdaniom obywatelstwa objawiać się w granicach prawa dozwala, tego nie wiemy, i to wtenczas dopiero byłoby się okazało, gdyby ster rządu był jemu został powierzony. Wolno przecie wnosić, iż kto nie widzi żadnej użytecznej siły do przeprowadzenia postępu społecznego prócz siły rządowej, ten gdy ją zadzierży wahać się nie będzie do najwyższej działalności nastróić. Zdać się więc może iż pana Girardin ideałem było jedynowładztwo? nie wątpię iż instyktom do tego

był prowadzony. Zkądże mógł nieraz za rewolucjonistą uchodzić? Nie zaiscie naturalniejszego, albowiem rewolucjonistą stać się może łatwo każdy nieszczęśliwy kandydat do władzy.

Przecie doktrynerem pan Girardin nigdy nie był: teorye o formach rządu stawiać, nigdy dla niego wielkiej ważności nie miało. Jemu o to szło zawsze żeby tego rządu który był, jakiegokolwiek poczęcia, jakiegokolwiek formy on był, stać się uczestnikiem niezbędnym, i to miał wspólne z wszystkimi ambicjami małemi lub poważnemi które zamieszkania narodowe i system szkolny po całej Francyi rozwinęły. Ale to wyższego uzdolnienia jego było dowodem że takimi sposobami które powagę władzy mogły osłabić on nigdy do władzy przyjść nie chciał. Przeto nie konspirował, agitacyjnych zgromadzeń nie zwoływał i przeciwko głowie rządu nie powstawał, jak długo głową rządu była istotnie.

Na dowód tego założenia wyjątki z rozmaitych lat *Pressy* przytoczymy, poczynając od charakterystyki opozycji którą w r. 1838 był skreślił.

Jest takich wielu, którzy innego zdają się nie mieć zadania ino poniżać i osłabiać nie tylko mężów władzy lecz i samą władzę, występując przeciwko niej jakby przeciw nieprzyjacielowi publicznemu, którego być co być zgładzić należy. Tym ludziom wszystko jest na rękę, i dobro i zło; wszystkie środki pożądane i godziwe i niegodziwe, byle rząd w opinii narodu mogli zhańbić: a przy tem przedsięwzięciu nie będą niczego szczędzić, ni sofismów, ni potwarzy, ni zdradliwych domysłów, ni przycinków krwawych. Wtenczas dopiero tryumfować

będą, gdy władzę zbezczeszcili, i to zdanie utwierdzić potrafili że władza jest podłą, niemoralną, zdradziecką i tyrańską. W tém jakiś patryotyzm upatrują, żeby akrużyć potęgę polityczną i moralną, która to czyni iż jest ojczyzna, a kto by ich słuchał, musiałby mniemać iż dopiero wtenczas wolność najwyższa i postęp największy zakwitną, gdy żadnej władzy nie będzie. (27 stycznia 1838).

Kilka lat później, zerwawszy z ministeryum pana Guizot, a może upadek jego już przewidując, napisał :

Któregoż dnia stało się rozłączenie *Pressy* od gabinetu ? 27 marca 1847, w onym dniu w którym się p. Guizot wyrzeczonych w Lisieux obietnic wyparł.... Wtenczas *Pressa* gabinet opuściła.... Ale z mężami gabinetu paróżniona, z równem poświęceniem tych zasad porządku, spokoju i władzy bronić będzie i nadal, których od pierwszego dnia bytu swojego broniła. Miejmy nadzieję iż żadna niesprawiedliwość, żadna niewdzięczność, nas przemódz nie zdołają i wtrącić w szeregi opozycyi nie-szczerzej i niepożytecznej. Dohrze będzie pokazać, iż żadna krzywda tak wielką być nie może, by nasze umiarkowanie większem nie zostało. (25 czerwcą 1847).

A jeżeli się o dziesięć lat w tył cofniemy, podobne zasady znajdziemy w żywym obrazie ówczesnego stanu Francyi :

We wszystkich czasach napotymano ludzi słabego umysłu, nieprostego rozsądku, którzy *a priori* w każdej władzy widywali ucieszenie, ludzi dumnych, którzy od razu najwyższych szczeblów hierarchii społecznej chcieli dopiąć, i zapalców, którzy w burzeniu i niszczeniu form istniejących dziką roskosz znajdowali. Takie przywary są pewnej ciasności pojęć i pewnemu szalowi namiętności właściwe, od których zupełnie ciała polityczne

uwolnić jest tak niepodobna, jak niemożebném spędzenie z ciał ludzkich wszystkich chorobliwych humorów. Jednak co w stanie normalnym, małą bardzo liczbę zaraża, to dziś w najrozmaitszym kształcie po całym szerzy się społeczeństwie. Umysły mdłe i rozумы skrzywione, fanatyzm polityczny i duma osobista powstawają przeciwko władzy, to otwarcie i zuchwale, to podejrzeniami i niechęcią; prasę opanowały, mownicę zajęły, na ławie przysięgłych zasiadają, wszędzie są. Rząd chcą uczyć jak ma rządzić, czyny jego błędne zwiększają, niebłędne spotwarzają, rany jego zatruwają, i cel mają jedyny, cel najważniejszy: spodlenie władzy. Jakże świetną, jak słynną, jak szczęśliwą będzie Francya a nam jakaż będzie przyświecać szczęśliwość, gdy mieć będziemy rząd znieważony, spodlony, bezwładny, wszelkiej powagi moralnej pozbawiony i deptany w błocie pod nogami stronnictw zapamiętałych. (*La Presse* 1837).

Co pan Girardin w r. 1837 przewidział, to się w 1848 sprawdziło. Królestwo Lipcowe z Francyi nagle wyrzucone, chaos zostawiło po sobie, i rządu chwilowe nastąpiło zaćmienie. Wtenczas mógł najwierniejszy stronnik zasad porządku być zachwianym, i wahać się w swoim działaniu. Nie wahał się ani przez dzień jeden pan Girardin: natychmiast stanął przy rządzie prowizorycznym, bo innéj władzy nie było, i wsparł go potężnie sławnym artykułem swoim «Ufności! ufności!». Bo téż anarchii lękać się należało przed wszystkiém, i walki stronnictw o spuściznę monarchii nie dopuścić. Bronił przeto pan Girardin tę przypadkową władzę, której imie wszystkim imponowało, której skład wszystkich zawieszał nadzieje, której istotna słabość nie straszyla nikogo. Wszelako bystrego wzroku pu-

blicysty ująć nie mogło, że nad odzierzeniem stanowczém władzy pracowała koterya *Nationala*, ta frakcyja nie mająca w uczuciach narodu żadnej podpory, przeto rządzić niezdolna inaczej jak tylko z pomocą praw wyjątkowych. On w tych republikanach zaporę tylko widział niedającą prawdziwemu rządowi powstać, i natychmiast przeciwko nim z niezrównaną śmiałością, taką do nich piorunującą apostrofą wystąpił:

Zamieniliście zwycięstwo w zamieszanie, i wolnością przezwaliście własną swawolę! A dziś słyszymy wołających do broni! przeciw komu?

Przeciw komu? na to wam odpowiadamy: Oto przeciwko wam!

Przeciwko wam, boście żądzy waszój usłuchali, a sił waszych nieumieliście zmierzyć!

Przeciwko wam, bo macie duszę ale pojęcia nie macie, ambicyja jest w sercach waszych, ale wiary nie ma.

Przeciwko wam, bo zubożyć potraficie bogatych, ale biednych losu nie polepszycie.

Przeciwko wam, boście wszystkie pytania poruszyli, a żadnego nieumiecie rozwiązać.

Przeciwko wam, boście utrudzili konsumpcyą, a produkcyą niezdolniście ułatwić.

Przeciwko wam, bo wam odwagi nie stało wysłowienia prawdy przed narodem, który słuchania jój był go-dzien. (26 marca 1848).

Do takiej śmiałości była w poprzedzającym dniu *La Presse* przygotowała publiczność:

Chwała pierwszemu męczennikowi, który odparcia terrorystów da przykład. Cały Paryż z wyjątkiem zbrodniarzy, pójdzie za jego marami, i cała Francya po nim żałobę przywdzieje.

Można przeto życie nam wydrzeć, nie będziemy go bronić, ale czego żaden gwałt na nas nie wymoże, to jest żebyśmy uciekli albo milczyć mieli!

W krótkce p. Girardin miał sposobność okazania, iż to co mówił, to czynić był zdolny. Gdy bowiem po krwawych wypadkach czerwcowych, które niedołężności władzców skutkiem były, stan oblężenia w Paryżu został ogłoszonym, on niekonsekwencyą koteryi republikańskiej wystawił.

Pamiętają wszyscy jak ostremi słowami *National* chłostał Rząd Lipcowy, za to że nad Paryżem stan oblężenia zawiesił. Oto patrzcie! *National* od czterech miesięcy sam rządzi, a jakież widzimy następstwa?....

W skutek tego artykułu został p. Girardin do więzienia wtrącony, ale ta sama niedołężność która przeszkodzić niczemu nie mogła, karać także nieśmiała. Po kilkodniowej niewoli, nieustraszony dziennikarz pisał dalej (30 listopada 1848).

O dyktatorowie których chwila wydała! wczoraj zarozumiałością napuszeni, dziś nieradni, wy których mamkami *National* i *la Réforme*, wy których odsądzenie więcej Francją kosztowało niż dwie inwazyje 1814 i 1815 roku, winszujcie sobie szczęścia, że tylko dziennikarza mam pióro, a nie mam pióra dziejopisa!....

Rozważając tę epokę, i to że ówczesnych władzców żadną miarą jako stanowiących rząd prawdziwy brać niemożna, żadną też miarą opozycji pana Girardin odszczepieństwem od zasad swoich zwać nie należy. Wszak pierwszą cechą rządu, na poczęcie jego niebacząc, jednolitość celów być musi i zgodność w wyborze środków. Ale członków rządu prowizory-

cznego właśnie różnorodność celów i zasad, do składu jego była wyniosła. Był każdy niemal z nich reprezentantem jeżeli nie innéj przeszłości, innych nadziei, innych opinii, to przynajmniej człowiekiem innego odcienia stronnictw politycznych. Dupont de l'Eure nie tak myślał jak Garnier Pagès, Socyalizm Ludwika Blanc niebył ten sam co Alberta, a Lamartina zdania zupełnie od tamtych były różne, nakoniec i ludzie mający obok rządu prowizorycznego groźną postawę jak Barbès, Raspail, Sobrier, Flotte i t. d. pewnie widoków następcy po rządzie prowizorycznym dyktatora wcale niepodzielali. Te różnorodne wpływy, z których żaden nie miał większości w narodzie, mogły wedle okoliczności doprowadzić do politycznego nicstwa, lub do anarchii, ale rządu nigdy niebyły zdolne utworzyć. Gdy zaś od tego zbawienie Francyi zależało aby rząd istotny mógł być ustalonym, więc opozycya pana Girardin przeciwko rządowi prowizorycznemu po najpierwszych chwilach rewolucyi, potem przeciwko dyktaturze Cavaignaca, była mu nakazana przez instynkt jego polityczny i przez okoliczności. Dwojakie w ten czas zadanie widział przed sobą. Najprzód do prezydentcy niedopuszczyć koteryi *Nationala*, bo ci rządu trwałego utworzyć żadną miarą niemogli, powtóre takim drogę przygotować, którzy mogli, a takim był Ludwik Bonaparte. Już przez to samo wykryła się niedołężność stronnictwa jenerała Cavaignaca, że pana Girardin do siebie nieumieli przyciągnąć, i że dążąc do władzy, zazdrości, gniewy i współzawodnictwo dzien-

nikarskie wlekli ze sobą, kiedy Ludwik Bonaparte pomoc *Pressy* sobie zapewnił przekonany że ona go nigdy opanować niepotrafił. Jedni przez swą podejrzliwą niechęć, dali miarę swój słabości, drugi przez ufność w postępowaniu okazał siłę jaką czuł w sobie.

W *Pressie* 19 listopada 1848 w formie listu od robotników przesłanego, objawia się podwójne działanie pana Girardin za kandydaturą Ludwika Bonaparte i przeciwko kandydaturze generała Cavaignac:

Panu Ludwikowi Bonaparte głosy nasze są zapewniłone dla tego, żeśmy się dzienników i dziennikarzy pytali, z jakich przyczyn on celem jest tak wielkiej nienawiści, a w odpowiedź tylkośmy próżne słowa usłyszeli. Wybierzemy go dla tego żeśmy widzieli jak go szkalowano z rozkazu władzców obecnych, jak go stronnictwa rozdrażnione przeklinały, szczególnie zgraja lichych przyjaciół ludu, filozofów szynkowych, pisarzy brukowych, czerwonych chustek z r. 1848, ponurych spadkobierców po przedawnionych samolubstwach, i ci wszyscy których widnokrag jest zazdrością i zawiścią ścieśniony, których prorokiem Robespierre, stołem ofiarniczym gilotyna, ideałem mordy r. 1793 i zemsty r. 1815..... Wybierzemy go dla tego jeszcze żeśmy oskarżonego widzieli, a powodów oskarżenia szczerze, jasno, otwarcie nikt nieumiał przytoczyć, i niespostrzeżliśmy nigdy ani przypadku z którego oskarżenie wytoczyć, ani wypadku którym oskarżenie usprawiedliwić było można.

Za panem Ludwikiem Bonaparte będziemy głosować dla tego że jego życie jest zbrodniami niesplamione, dla tego że hypokrytą nigdy niebył, że monarchii niesłużył kiedy monarchia kwitnęła, będąc jak pan Cavaignac gorliwym republikanem, dla tego jeszcze że wiernie kochał ojczyznę, i nie mu zarzucić niemożna chyba

że jest cesarza synowcem a Ludwika Filipa nieprzyjacielem.

Ale w oczach naszych urodzenie pana Ludwika Bonaparte nie jest żadną plamą. Pokrewieństwo z cesarzem jest właśnie pierwszą podstawą naszego przywiązania i naszych nadziei. To samo powiemy o jego imieniu. Bo to imie zawsze najdroższém ludowi, najbardziej znaném, najbardziej szanowném zostanie. W dziejach naszych żadne go świetnością i sławą nieprześcignie..... Jest to imie w sercu Francyi wyryte.....

Wiadomo z jaką dzielnością *Pressa* kandydaturę Ludwika Napoleona poparła. Pięć i pół milionami głosów został prezydent wybranym, a wkrótce przynosząc na głowę jego cesarską koronę, okazała Francya jak wysoko ceni tych którzy silnie nią władać umieją. Pana Girardin jak i całej prasy nierządowej działalność zdrobniała. Polemika publicystów praktycznego celu więcéj niemiała i z mównicą polityczną ucichły polityczne dzienniki. Pan Girardin odtąd z pola musiał ustąpić na którym przez długie lata walczył za rządem silnym jakiego Francya potrzebuje, i którego nakoniec dopięła. Czy zaś prywatna jego ambicya została zadowolnioną, to rzecz inna, osobistości jego tycząca się, którą nateraz zajmować się niema my potrzeby. Dość nam było wykazać stateczność zasad publicysty upatrującego w silnym rządzie warunek postępu narodowego. Przyjdzie jeszcze rzucić okiem na zawód czysto dziennikarski.

To wszelako rozróżnienie pomiędzy publicystą i dziennikarzem, dokładniej usprawiedliwić najprzód wypadnie, powtóre ważną uwagę zamieścić co do sta-

nowiska z którego piśmiennictwo dzienne sądzić należy. Tych dwóch przedmiotów niemożemy rozłączyć bo się w jednym wykaże co drugiemu służyć będzie za dowód.

Publicystę przeto w pana Girardin widzimy kiedy stałą niezmienną stawia zasadę postępu społecznego przez władzę, i kiedy tę zasadę broni przeciwko nadarzającym się objawom zasad przeciwnych. A zaś w nim dziennikarza widzimy kiedy sprawy bieżące rozbiera, opowiada, wychwala lub gani, kiedy tego lub owego ministra osądza, wspiera lub potępia, kiedy tych lub owych środków nastręcza potrzebę dla otrzymania skutków podrzędnych. Publicysta zasadami polityki narodowej, dziennikarz zastosowaniem polityki do spraw codziennych bywają zajęci. Niepowiadamy przeto bynajmniej żeby dziennikarzy stanowisko mniej chlubnem od stanowiska publicysty być miało, bo każdego znaczenie od osobistego uzdolnienia zależy, a praca dziennikarza jest przy równych zdolnościach nierównie trudniejszą, i daleko więcej bystrości spoglądów, wprawy w pisaniu, i taktu w wyrażeniu się wymaga.

Inną zatem miarą publicystę, inną dziennikarza mierzyć trzeba, i od ostatniego, tej konsekwencji, tej jednostajności zdania nieżądać, którą publicysta może zachować i zachować powinien, ani nawet tej nieomyślności w przytoczeniu faktów, bo tych sprawdzać, praca koniecznie nagle niepozwała. Któżby mógł chcieć dziennik takiej samej krytyce poddać co książkę? Codzienne artykuły nierodzą się wprost tej ci-

chości, tej swobody, któreby umysł pogodnym zostawiały, i każde słowo ważyć, mierzyć i gładzić pozwoliły. Ani też artykuły są pisane dla czytelników bezstronnych, spokojnych, przeto zdolnych sądu sprawiedliwego. Mówię o tej epoce dziennikarstwa francuskiego, w której pana Girardin wzniosło się znazwienie. W takiej zaś epoce jakże się praca dziennikarza musi odbywać? Zaszedł wypadek, trzeba dla honoru dziennika, żeby nazajutrz rano został abonatom doniesiony, i należyście przedstawiony. Potrzeba nielewko w mgnieniu oka przy nocnej lampie, wszystkie szczegóły zebrać i osądzić, jedne opuścić, drugie wydatnie oznaczyć; potrzeba byстрыm spoglądem zbadać co dzienniki przeciwne powiedzą, jakie dla siebie korzystne wnioski ciągnąć zdołają, jak im czoło stawić, a przytém z własną partją nieporóżnić się: trzeba przeczuć postępowanie rządu, czego sobie będzie życzyć, czego nieprzepuścić: trzeba trafić w usposobienie publiczności, ażeby w niej wzbudzić to przekonanie, którego dziennik potrzebuje, i przytém przewidzieć jakie będą skutki tak napisanego artykułu, ze względu na cele, które sobie redakcyja postawiła. Na to wszystko czasu niewiele zostaje, bo wysłaniec z drukarni niecierpliwi się w drugim pokoju. A tu znajduje dziennikarz że doniesienie uczyniono mu niedokładne i niezupełne, więc tę słabą stronę musi zreżnym wysłowieniem się ukryć: odgadnię namiętną napaść przeciwnika, tej musi zapobiedz: domysli się instrukcyi przesłanych dziennikom urzędowym, wedle tego musi mierzyć swe słowa: a prócz tego wszystkiego trzeba

stylu nie zaniedbać żeby był gramatyczny bez zma-
zy, i żeby był spokojny lub namiętny stósownie do
tego czy namiętności ma poruszyć lub uśmierzyć.
Jest to więc cząstkowym obrazem wszystkich tru-
dności do redakcyi dziennika politycznego przywią-
zanych, a o tém niewspomnieliśmy wcale że umysł
samego redaktora może być osobistemi napaściami
rozdrażniony lub pracą znękany, lub domowemi wy-
padkami zajęty. Te nawet okoliczności opuszczając,
musimy przyznać iż artykułów dziennikarskich osą-
dzać byłoby niesłusznnością, niemając względu na
okoliczności, w których i na cele, dla których były
pisane tudzież na gorączkową atmosferę, w której
znajdowali się jak ci którzy piszą, tak ci dla któ-
rych pisano. Jeżeli téj uwagi z pamięci nie stracimy,
będziemy mogli czysto dziennikarską biografią pana
Girardin ocenić sprawiedliwiej aniżeli ci wszyscy czy-
nili, których nieprzyjaźń ściągnął na siebie. Którzy zaś
byli najzaciętszemi jego nieprzyjaciółmi, dla czego
nimi byli, i jakim sposobem masę cudzoziemców we
Francyi przebywających na swą stronę przyciągnąć
zdołali, to się w ciągu pisania potocznie wykaże.

Prywatnego życia pana Girardin radzibyśmy nie
tykać się wcale. Wszakże to jest niepodobna: bo jak
klucz publicystycznego zawodu znaleźliśmy w zasa-
dzie rządowej jego, tak klucz zawodu dziennikarskie-
go w życiu jego znajdziemy, rozważając jednocześnie
koleje przez które sam przechodził, i zmienności któ-
remi się indywidualność jego w dzienniku wyrażała.

Posłuży nam do tego poczęści książeczka pod tytułem *Emile* w której pan Girardin początki swe wypowiedział, poczęści powszechnie znane opisy lat ostatnich.

Pan Emil de Girardin około 1803 r. urodził się w Paryżu, matki nieznał nigdy, ojca dopiero w latach późniejszych Jenerała de Girardin. Tak więc od najpierwszej młodości swojej własnej sile i własnym zdolnościom los swój powierzać został przyuczonym. Jakże w nim wrzały myśli z tych słów wiadać, które w przytoczonej powyżej książce zapisał: •Bogactwo to religia dzisiejsza, egoizm duchem wieku! Żeby się z ciemności wydobyć jeden tylko pozostaje środek, drapać ziemię pazurami jeżeli niestac na narzędzia, ale póty drapać póki złota niewydobędziesz. (*Emile* str. 79).— Narzędziem pana Girardin było pióro niepospolite, wytrwałość, śmiałość, i determinacya niezłomna. Najprzód dziennik rozpoczął na wzór magazynów angielskich z wielkiem szczęściem. Potém pod opieką księżnej de Berry czasopismo *la Mode* które do lepszego życia mu dopomagało, gdy rewolucya lipcowa wybuchała. W krótkce po téj ożenił się z Delfiną Gay słynącą wdziękami, dowcipem i poezją. Wnet dziennik •Wiadomości pożytecznych• (*Connaissances utiles*) założył wedle systemu swojego tanich abonamentów, i niebawem to pismo stotysięcy abonentów liczyło. Kilka jeszcze czasopismów założył, przytem instytut agronomiczny w Coetbo, ale to wszystko podrzędne dla niego były zajęcia, aż na-

koniec w r. 1834 na deputowanego departamentu la Creuse został wybranym.

Odtąd się przed nim polityczny zawód otworzył. Ale pan Girardin mowcą niejest i na tém polu, na którém Guizot, Thiers, Molé, Dufaure, Lamartine i inni jaśnieli, on chwalebego występowania niemógł mieć nadziei. Osądziwszy doskonale własną niemoc siłę, inną sobie mownicę wytworzył założeniem dziennika *la Presse*, którego na dniu 15 czerwca 1836 prospectus ogłoszonym został. Wtedy pana Girardin praktyczny umysł i znajomość charakteru francuzkiego udowodniły się przeto iż abonament roczny spuścił na 40 franków, kiedy dzienników innych kosztował dwa razy tyle. Niska cyfra abonamentu zapewniła *Pressie*, w narodzie oszczędnym jakimi są Francuzi wielką wziętość odrazu, którą niebawem talent i takt polityczny redakcyi w przeważny wpływ zamieniły. Ale to zniżenie ceny dziennika wywołało nieusmierzoną zawiść innych dziennikarzy francuzkich, dla których kwestya pieniężna wielką ma ważność. Nie przypisujemy téj pogoni za pieniędzmi szczególnemu narodowemu usposobieniu Francuzów, ale widzimy w tém skutek konieczny przemian społecznych które żadnego innego źródła wpływu i znaczenia nie zostawiły prócz pieniędzy lub urzędów.

Rozpoczęły więc inne dzienniki walkę na zabój przeciwko *Pressie*, i zaczęły redaktora głównego ze strony osobistej uczciwości, gdyż umiarkowanie redakcyi do zaczepki na polu zasad niedawało powodu. P. Girardin napastników do odpowiedzialności

sądowej pociągnął. Tego procesu skutkiem bezpośrednim był pojedynek, w którym zginął Armand Carrel redaktor główny *Nationala*, a następstwem niezatarta nienawiść całego stronnictwa niby republikańskiego. Ale na tej nienawiści nie stanęło albowiem wszyscy wychodźcy którzy we Francyi przytułek znalazłszy, obietnicami *Nationala* uwodzeni wpływowi jego ulegali, uczucia tej partyi sobie przysposobili, i wraz z nią pana Girardin oszustem, sprzedajnym człowiekiem i ajentem obcego mocarstwa okrzykli. Na to wszystko p. Girardin zdawał się niezważać, ale politycznym rozprawom cały swój talent i swą łatwość poświęcał. W r. 1837. *Pressa* wspierała ministerium pana Guizot, i od tego ministra wsparcia nawzajem doznawała; z którego powodu na wyrzuty niemałe wystawioną była. Po rozwiązaniu izby w r. 1839 p. Girardin znów w tymże samym departamencie został obranym, ale niechęć licznych przeciwników wybór ten unieważnić potrafiła w sposób najboleśniejszy bo dotknięciem nielegalnego urodzenia, i przez lat kilka w izbie niemógł zasiadać. Ten cios zatruł umysł pana Girardin gorczyzą: odtąd namiętne począł rzucać pociski na znaczniejszych członków izby deputowanych, i na tak zwane ministeryum koalicyi, łączące w sobie najsprzeczniesze żywioły bo p. p. Guizot, Thiers i Odilon Barrot! Gdy przecie w r. 1840 p. Thiers uformował ministeryum z uposłedzeniem pana Guizot, wrócił p. Girardin pod tego ostatniego znaki, przewidując iż do niego władza wkrótce powróci, i tak długo przy nim trwać będzie jak korona na głowie

Ludwika Filipa. Tak też i było, ale nie bez racji napisał p. Girardin te słowa o swoim dzienniku:

Pressa jest zegarem który spieszy o sześć miesięcy w politycznych wypadkach które przewiduje (*Presse* 30 grudnia 1848).

Może w ostatnich miesiącach r. 1847 już *Pressa* przeczuwała że się ministeryum pana Guizot przeciwko przemagającej opozycji utrzymać długo niezdola. Prócz tego przykry wypadek przyczynił się do przerzucenia pana Girardin w szeregi osobistych nieprzyjaciół pana Guizot. Albowiem oskarżającemu ministrów w izbie o różne nadużycia odpowiedział p. Guizot przeczytaniem listu, w którym p. Girardin zdawał się ofiarować gabinetowi pomoc lub przynajmniej milczenie *Pressy* byle parostwo ojcu jego generałowi de Girardin daném zostało. Odtąd wyraźnie opozycyjną barwę przeciwko ministrom *Pressa* przybrała, ale z partją radykalną żadnych stosunków niezawiała. Gdy bowiem 15 stycznia 1848 r. hrabia Montalembert z mownicy namiętne rzucił potępienie na schadzki ultra rewolucyjne, które się w niektórych miejscach Francji odbywały, *Pressa* z największemi pochwałami o téj mowie wspomniała.

Ale zbliżała się szybko katastrofa ostateczna. Pan Girardin był na nią przygotowany, bo już 7 lutego w energicznym liście dymissyą swą izbie deputowanych przesłał, jak ten majtek który rozbicie okrętu przewidując zrzuca z siebie wszystkie przybory. Abdykacya króla zdawała mu się podobno rzeczą konieczną, a rejencya nowém polem wyniesienia się.

Wiadomo jak niespodziewany obrót wzięły rzeczy, jakie nastąpiło zamieszanie pod imieniem republiki.

Nie stawiać prądowi czoła, bo nie wiedzieć na czyją korzyść, z nieprzyjaciółmi tryumfującemi zawrzeć mir chwilowy, władzę przypadkową ale jedyną wspierać w pierwszych chwilach, to było roztropnością nieodzownie nakazaną, i tego nigdy panu Girardin niewyrzucano, chociaż śmiałość zadziwiać mogła niejednego. Ale ganił raptowne wychwalanie wolności nieograniczonej i przybranie nazwy socjalisty. Przecie jeżeli zważymy że nie było nic bardziej sprzecznego z doktryną socjalistów od nieograniczonej wolności, uznajmy w tém wszystkiém bardziej fortel dziennikarski niż zmianę zasad. Rozważymy przeto, dla czego p. Girardin był teraz za wolnością nieograniczoną, on który w 1847 napisał iż w jego myślach pierwsze miejsce trzyma władza, na drugim dopiero staje wolność; — powtóre rozberzemy, jakim on stał się socjalistą i dla czego.

Co do pierwszego obaczmy po jakich szczeblach p. Girardin od zdania dopiero przytoczonego do teoryi wolności nieograniczonej przyszedł. W pierwszych tygodniach rewolucyi lutego pisał w *Pressie*:

Wolność sama przez się niebezpieczną nie jest, tylko przez zawrót który nagłego wychylenia kielicha bywa skutkiem (7 lutego 1848). Wolności każdej zbytek, jest śmiercią wolności, kiedy należytego niebyło przysposobienia w narodzie. (3 marca 1848).

Ale 28 stycznia 1850 czytamy w *Pressie*:

Musiał p. Girardin kwestyą wszechstronnie rozważyć,

aż dopiero idąc za zdaniem które zapisali Mirabeau, Chateaubriand, B. Constant, Guizot, Thiers, O. Barrot, Passy, Tocqueville, Tracy, wyznał iż własne zdanie było mylnem, iż *wolność* i *granice wolności* są dwa pojęcia tak z sobą sprzeczne jak *całość* i *ułomek*.

Takie zdanie, któremu przytoczenie nazwisk wszelką szczerość odejmuje, nie jest wyznaniem zasady publicysty, lecz oczywiście fortem dziennikarza, występującego przeciwko przymusowi, którego zwyciężkie stronnictwo użyć chciało, dla narzucenia Francyi myśli swoich. Odkąd anarchiści stać się chcieli despotami, mógł p. Girardin mniemać iż przeciwko nim tych samych broni użyć wypadało, któremi do zwycięstwa byli przyszli. Nie oszukało takie postępowanie nikogo ale panu Girardin zaszkodziło. Ludzie porządku widzieli w nim zbiega, anarchiści niebezpiecznego rywala, socjaliści przeciwnika dążeń swoich absolutnych. *Pressy* znaczenie upadło i p. Girardin pod rządami Cesarstwa stał się nieużytecznym.

Co do socjalizmu pana Girardin, uważmy najprzód iż nazwa socjalizmu żadnej wyraźnej zasady nieoznacza, a tém samém da się przybrać przez wszystkie teorie jak ekonomiczne, tak polityczne, które pod pozorami dobra społeczności ludzkiej (*société*) do zmian ekonomicznych lub politycznych dążą. Lada reformator pod takim występujący sztandarem, mógł powiedzieć iż jest 'socjalistą'. Bo jeżeli socjalistami byli Louis Blanc i Considérant, tyle różni w doktrynie i w celu, a zarazem i Proudhon, który wszystkich doktryny i cele wyszydzał, dla czego nie mógł i p.

Girardin powiedzieć o sobie w r. 1850 „nie zostałem socjalistą, ale zawsze nim byłem”.

P. Girardin był istotnie oddawna reformatorem, i ciągłym dążeniem jego znaleźć środki urzeczywistnienia myśli swoich przez władzę rządową jaka była. W takiej więc epoce, w której każdy człowiek polityczny musiał sobie nazwę jakiego stronnictwa przypisać, żeby do innych nie być porwanym, p. Girardin republikana niechęć nieść nazwiska, Orleanizmowi niedowierzając, legitymizmu niepojmując, do religijnych ludzi nienależąc, komunistą ani *czerwonym* niebędąc, nazwał reformatorskie swe teorye socjalizmem, słowem nader obszernego znaczenia, tak jak ludzie niesmakujący w maskach Chińczyków, trubadurów, rycerzy lub zwierząt, w przestronie domino na reducie oblec się zwykli, bo taki strój na reducie być pozwala i własnego ubrania złożyć nienakazuje.

Dość że p. Girardin ani organizacyi pracy Ludwika Blanc, ani falansterów Wiktora Considérant, ani rozmaitych innych projektów socjalistycznych przewodzców, niepodzielił. Z jednym panem Proudhon chciał zawiązać stosunki, który właśnie niedorzeczności wszystkich systemów wykazywał. Czém więc było to wyznanie socjalizmu? Manewrem dziennikarskim żeby reformom swym torować drogę w publiczności rewolucyjnej. A być może iż działaniu takiemu zręczność byłoby się przyznało, gdyby wypadkom nagłego obrotu nie był nadał energiczny czyn 2 grudnia...

Na tém to zeszkicowanie zawodu pana Girardin zakończymy, nie dotykając wcale tych spraw, które nie-

konieczny z publiczném jego występywaniem miały związek. Jak wsławić tak potępić go, nie było naszym zamiarem. Osądzić nawet nie chcemy, bo stosunki uprzejme któreśmy z nim samym mieli, ganiących na zarzut niewdzięczności, chwalcących na zarzut stronności, mogłyby wystawić. Pan Girardin jest niezawodnie pisarzem nadzwyczajnego talentu i mężem nieustraszonej odwagi. Tego nikt nigdy zaprzeczyć mu nie śmiał. Syn własnych usiłowań, dopiął niezrównanej wziętości jako dziennikarz, zdobył położenie towarzyskie i polityczne znaczenie. Zdało się nam, iż rozważenie zawodu tego jednego z najcelniejszych redaktorów politycznych, sprostować może błędne o nim mniemania w kraju naszym krążące, oceniając stanowisko dzienników francuzkich przed ogłoszeniem Cesarstwa. Zaś rozprawa o dziełach pana Girardin, wychodziłaby po za obręb któryśmy sobie zakreslili.

LEON RZEWUSKI.

O CHLEBIE.

(z notat do badań „o kuchni w Polsce“).

„Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek się nim raczy jak słowy świętymi;
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Stwórcy z ludakością przymierze.
A gdzie Bóg zsyła swojego Anioła,
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa.
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa;
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy,
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy;
W marnój okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty Sakrament ludzkości“.—

Trudno wznioślej przedstawić wagę i znaczenie chleba, jak powtórzeniem tych słów Syrokomli. Gdzie się

historia jakiego narodu zaczyna, tam chleb pierwszym jest z wyrazów, który dziejopisowi wyrzec przychodzi. Gdy Bóg karze, to pola nie złocą się ziarnem, a straszne słowo *głód*, brak chleba opowiada. Jeśli błogosławieństwo ożywczą rosą bujne odwilży ląny; to znów ciesząc się chlebem, jako łaskę i wejrzenie Boże przyjmuje lud dar Pański. Chleb i w najdroższej okruszynie jest podzielny, aby zawsze miłosierdzie nim pełnić można — to też chleb jałmużnę czyni i jałmużną rośnie. Łzy na chleb padają — Anieli z nieba świętym go znoszą; a Zbawiciel czyni zeń żywe i prawe ciało swoje. Od najstarożytniejszych czasów widzimy chleb na ołtarzach — u wszystkich pojawia się ludów jako znamie symboliczne: błogosławieństwa, miłości i braterstwa.

Chleb (*panis*) znaczy w piśmie świętem wszelki rodzaj żywności. Jest tam i chleb leż, bezbożności, oszukiwania — chleb anielski i duchowny. Przez chleb oznacza się niekiedy Kościół, — że jako ten z tysiąca ziarn, tak z wielu wiernych składa się chleb święty Chrystusów; owo mistyczne ciało w pojęciu Kościoła wyrażone. Niekiedy sam Zbawiciel, ten pokarm nasz duchowny; chlebem bywa zwany. Chleby w liczbie dwunastu przez Judzkie pokolenia na ołtarzu kładzione, zwie pismo Boże świętymi. Jestto jakby figura Apostołów, którzy świat nakarmili słowem objawienia.

Już Indowie, Grecy, Rzymianie i ich następcy aż do czasów pierwszych wieków Chrześcijaństwa, na groby umarłym jako ostatni dar ziemi chleby zanoszą. Toć dopiero świętej Monice zakaz Ojca Kościoła Ambrożego wzbronił zanieść chleba do grobów męczenników.

U nas za czasów pogaństwa a potem w dzień zaduszny, kładziono umarłym chleby na mogiły. Na Litwie dotąd dwa bochenki niby na odprawę z ziemi dają do trumny umarłemu. Zona gdy wyniosą męzowskiego trupa, kładzie tam w chacie chleb, gdzie leżała głowa

jego. Jakoby przez to prosiła Litwinka nieba: by z wiecznem zaśnięciem téj głowy, nie skończył się dla niej dostatek. Na Rusi i do trumny i na jój wieku kładą po bochuie chleba, gdy ciało zmarłego opuszcza próg rodzinnej chaty.

U nas chleb był rzechy można godłem narodu — od niego poczęły się dzieje nasze, bo Anieli koroną darzą Piasta, że miał dość chleba na gościnność i jałmużnę. To też piękne jako poezya powieści o tych wiekach co się poczęły od chleba przełamanego z wysłaneami botemi. —

*„Był kraj cały jednym lanem,
A lud wszystek wielkim panem“ —*

Stała ta pomyślność miłością, która sama jedna po wsze czasy pięciorgiem chleba miliony żywić może. Mądra ta przeszłość co nam zostawiła powiastkę o chlebie oliwskim, wskazując jako w rękach złego i ten dar Boży kamieniem się staje.

Zostawmy mędrkom zimne słowo *zabobon*, a z przekonaniem że nie błahe to i lekkie co dziesięć uświęciło wieków; przypatrzmy się zwyczajom w których nam przeszłość stare o chlebie gadki opowie.

Z siekierą, ogniem i garścią ziarna, staje chłop na pustem polu — trzeba budować chatę; ów przytułek dla chleba. Po założeniu podwalin, kładzie gospodarz w każdym rogu ośródkę, zostawiając ją na noc — uważa na-
zajutrz: czyli z której strony nie zginęła. Jeśli jój nie znajdzie, pewny że to miejsce nieszczęśliwe — dobre duchy o głodzie go przestrzegają. Posuwa więc podwaliny w inną stronę, gdzie pozostały nienaruszony chleb dobrze zawróży.

Oto skowronek z pod bryłki chłodnej jeszcze ziemi, uleciał już w rozjaśnione wiosennem słońcem wyżyny;

a gospodarz po raz pierwszy wychodzi z garścią ziarna na sprawione pole. Żona nie wydaje tego dnia nikomu ognia z domu, a on zabiera z sobą z chaty: chleb, sól i wodę. Te symbole darów Bożych stawia w miejscu gdzie ma wrzucić pierwsze ziarna zboża, rozpoczynając siew modlitwą by mu starczyło: dla rodziny, gościa, złodzieja i ptaka.

Rozciąganie troskliwej pieczołowitości ku zwierzętom, spowodowane nie już względami korzyści ale uczuciem; często się znajduje w zwyczajach ludu. Chcąc się bliżej przypatrzeć przyczynom takiego zjawiska, stosunek człowieka do zwierząt tłumaczyć by przyszło — czem odbieglibyśmy na inne pole od założenia obecnej pracy naszej:

Niektóre rośliny wedle wiary ludu (osobliwie ruskiego) są strzeżone przez złe duchy. Przed ich tedy wykopaniem, kładzie przy sobie rolnik kruszynę chleba; którą potem jako zapłatę złemu, w miejscu wykopanego ziela zostawia.

W domach chłopskich i szlacheckich, na stole nakrytym leżał zawsze chleb z solą, owa gościnności oznaka — witano nim każdego co próg przestąpił.

Pierwszy chleb z nowego ziarna upieczony, dawano zwykle panu we wsi i panującemu w kraju. Wójt krakowski na czele rady gminnej, w ceremonialnym pochodzie nosił na Wawel ten wdzięczny upominek. Królowie chlebną ziemi, ze łzami w oczach odbierali zwykle ten dar pełen narodowej szczerości. Jeszcze Stanisławowi Augustowi woził burmistrz krakowski co roku w święty Jan, bochenek promnickiego chleba, który w Warszawie odbierał.

Chleb uważa się za święty; złąd stół na którym leży profanowanym być nie może — okruszyny zbierają skrzętnie, a dla zachowania ich od poniewierki w ogień

wrzucają. Przed rozpoczęciem dzielenia nowego bochenka, krajaćcy nożem kreśli na nim krzyż.

Gdy się dwa bochenki chleba połączą przy pieczeniu, wtedy gospodyni domu rozłamuje je nad głową dziecięcia, co jest rodzajem błogosławieństwa. Przyczyna tego leży w odwiecznym uważaniu liczby dwóch za symbol płodności i szczęścia — począwszy od bliźniąt a skończywszy na dwóch zrosniętych owocach lub liściach; zawsze z posiadania lub znalezienia takiej dwójki, pomysłność wrócono.

Chleba przewrotnie na stole kłaść nie wolno, gdyż to niezgodę do domu sprowadza. Gdy bochenek upadnie, przepraszają dar Boży, całują go podnosząc.

Wyniesienie chleba i soli na graniczne kopce wsi, w czasie powitania nowego dziedzica, jest oznaką największej przychylności.

Kto obcemu wyda piątkę z chleba, szczęście dom jego opuści.

Chłop nasz (na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie) nawet ogień gościnnie przyjmuje, chcąc srogość jego dobrą wolą przejednać. W czasie pożaru wynoszą przed domy chleb i sól.

Jest zwyczaj zapraszać się *na chleb żałobny*, rozumiejąc przez to ucztę po odbytym pogrzebie. Wyrażenia i związane z niemi pojęcia jak: *chleb dobrze zastużonych* (*panis bene meritorum*) i *chleb łaskawy*, można nazwać najszlachetniejszymi w języku i obyczajach naszych. Tu należy określenie dobroczyнного, o którym mawiano: że *Dla Nieba dorabia się chleba*.

W medycynie ludowej chleb nie mało znaczy ¹⁾ — na fluxyą pomagają żółtka z solą i gliną z miejsca gdzie chleb się piecze — na bólenie gardła dobre bułeczki Śtój

¹⁾ O przesądach lekarskich ludu, pisał rozprawę Dr. M. Zieleniewski — wyszła w Krakowie 1845 r.

Agaty. Przy odczynieniu uroków, wypada dojść czy mężczyzna czy kobieta urzekła; w tym celu do naczynia pełnego wody, wrzuca się trzy kawałki żytniego chleba i trzy żarzące węgliki; jeśli chleb pierw tonie kobieta urzekła, jeśli węgle mężczyzna. Krwotoki z ran tamują się ośródką i pajęczyną — biegunka leczy się grubym chlebem. W przeszłym już wieku używano chleba i wody za powszechną na wszelkie choroby medycynę; przekonać się o tem można z broszury: „*Chleb i woda, ludzka wygoda*“ którą był X. Olaw Gottwald wydał w Krakowie 1778 r.

Za życia przygotowaną trumnę nasypywano żytem; gdy się ziarno szparami wytrzęsało lub je myszy ścierały, śmierć bliską znaczyło — brak chleba to i koniec żywota.

Dał Pan Bóg dostatek, starczy dla rodziny i gościa dziewczka dorosła; przed domem stoi już koło od wozu na wysokości tyce, na znak że jest co wywieźć z tej chaty — lub też wieniec zawieszony na żerdzi, głosi o pannie na wydaniu — wreszcie wrota wapnem upstrzone wabią swatów, ukazując gdzie się rutka sieje. A więc idą swaty i będzie weselisko. Niema obrzędu któryby się obył bez chleba, i przy weselnych tedy zwyczajach nie błahe miewa znaczenie.

Na Litwie i Podlasiu swaty przychodzą do rodziców dziewczki z chlebem pana młodego. U Mazurów gdy do ślubu jadą, jest obyczaj iż najstarszy druhna od połowy drogi (między kościołem a chatą) wraca galopem, pędzi do domu po chleb i z tym objeżdżając drużynę, na ucztę zaprasza. W krakowskiem pannę młodą przy oczepinach na dzieży sadowią — wracających z kościoła po ślubie spotykają u progu chaty z chlebem, miodem i solą; a gospodarz państwa młodych i całą drużynę owsem osypuje. W Lubelskiem po uczcie weselną młodzi małżonkowie dostają od swachy po bochenku chle-

ba, każde z nich toczy go po podłodze; jeśli razem idą i razem upadną to znak pomyślności, przeciwnie, zła wróżba. Zwykle przy chłopskich i szlacheckich zaślubinach, matka wyprawiająca córkę za mąż, przed wyjściem do kościoła kładzie jej w wianek: chleb, cukier i pieniądze, życząc temi symbolami: życia, słodczy i dostatku.

W Litwie matka panny młodej przychodzi po ślubie do synowej z chlebem — obdarzona trzy razy w okół stołu dar obnosi, dziękczyniąc i kłaniając się kątom. Na Białej Rusi czyni to panna młoda, gdy pierwszy raz w dom męzowski wchodzi — przybywszy z orszakiem przed próg, przestępuje rozniecony na nim ogień; a owo obchodzenie stołu z chlebem oznacza zapewne: że tutaj czuje się już gospodynią i gościa częstować jej się godzi. W zadniestrzańskiej Rusi przy zaręczynach jest obecnym kapłan, wiąże ręce oblubieńcom na chlebie białą chustą przykrytym. W krakowskiem oblubienica zapraszając na wesele, chodzi po wsi i rozrzuca chleb w kształcie małych jakby kulek pieczony, *osutkami* czyli *rozsutkami* od rozsypywania zwany. Na Podlasiu kiedy państwo młodzi na wesele jadą, matka chleb kładzie przed końmi a osypuje oblubieńców solą, aby ich od uroków uchronić.

U szlachty i mieszczan, wracających z kościoła nowożeńców witano chlebem, a w tym często sto czerwonych złotych się wzięło.

Korowaj jest pieczywem uprzywilejowanem w obrzędach wesel chłopskich; na Rusi piecze go sama panna młoda z pomocą 3, 5, 7 (zawsze nieparzysto) kobiet — wtedy śpiewają w ten sens: Sam Bóg ciasto na korowaj miesi, Najświętsza Panna go święci, Anieli wodę noszą. Zwykle korowaje piecze się w niedzielę rano w czasie Mazy stój — są to chleby z mąki pszennej, różnie ozdobne szyszkami złożonemi, kwiatkami i różycz-

kami jodłowemi — jak wszystko tu symboliczne, takie też znaczenie mają jaja w dwóch końcach utkwione. Przez cały tydzień weselny korowaje są w zapasie dla powinowatych, przyjaciół i gości, noszą je też w ceremonialnym orzaku i do dworu. Pierwotnie ten rodzaj pieczywa zdobił u nas książęce i pańskie weselne uczy. Korowaj stawiają zwykle na wieku od dzieży zaslaném owsem.

Owo pojawianie się owsa wszędzie gdzie chodzi o wyrażenie dostatku, plenności, słowem chleba; jest powszechne w krajach słowiańskich. Owies przedstawia wszelki rodzaj ziarna — kiedy się nowa siejba poczyna: święcą owies w dzień Wniebowzięcia N. M. Panny; modląc się o błogosławieństwo polom i rolnęj pracy. Święcą także owies w drugi dzień Bożego Narodzenia, zwyczaj to tylko w Polsce i u Słowian znany. Mylnie tłumaczą przyczynę, przywodząc tu pamiątkę kamienowania Ś. Szczepana i obrzucanie dla tego owsem kapłana. Także nie zdaje nam się twierdzenie: iż powód tego obrzędu leży w zwyczaju dawnym płacenia w ten dzień czeladzi zbożem za rok ukończonych zasług. Sądzimy że to może wyrażenie owęj wielkiej chwili gdy: Bóg się rodzi, chleb się rodzi!

W pierwotnych czasach Chrześcijaństwa w Wilią Bożego Narodzenia, odbywano w kościele ucztę miłości (*Agape*). Jako członkowie jednej chrześcijańskiej rodziny, na znak równości którą miłość rodzi, łamali się chlebem, roznosząc okruchy z błogosławieństwem do domów. Ztąd po wejściu gwiazdy, przy zasiadaniu do Wieczerzy Bożego Narodzenia, łamiemy się opłatkiem, na znak obowiązku wzajemnego poświęcenia się jednych za drugich przez miłość bliźniego. Łamanie się chlebem i jedzenie go spolem, tworzyło w obyczaju naszym braterstwo; między tymi co z sobą chleb i sól jadali nie było niezgody, bójki i zdrady.

W siano zasłanego na wieczerzę stołu kładzie się: chleb, drobną monetę i lalki — co kto wyciągnie jest mu wróżbą, w tym roku spełnić się mającej przyszłości.

W pierwszych wiekach Chrześcijaństwa wierni przynosili z sobą chleb do ofiary Mszy świętej — z tego brał kapłan tylko tyle, ile do konsekracyi potrzeba, resztę zaś błogosławił i rozdawał; takie też święcone chleby biskupi i księża do domów jako duchowne podarki rozdawali. Z tego zwyczaju pochodzą opłatki na kolendę przez proboszczów parafianom udzielane. Kościół Matka obdziela wtedy chlebem społeczeństwo wiernych w miłości żyjące.

Jest na Rusi zwyczaj, że gumienny przychodząc na nowy rok z kolendą do dworu, sypie na podłogę wszelkie zboże życząc urodzaju.

W święto Trzech Króli, szczodry wieczór; darzono się upominkami. U ludu piecze się wtedy chleb i rozdawa ubogim, jako królowie Wschodu raczyli darami Zbawiciela. Po te bochenki chodzą od chaty do chaty chłopcy ubogie — a chleb ów od szczodroty, *szczodrakami* się zwie.

Dnia 5 lutego w uroczystość świętej Agaty, jest zwyczaj w kościele święcenia chleba i wody. W modlitwie przy tym obrządku błaga kapłan Boga: aby przez wstawienie się świętej męczenniczki, ogniem ludu swego nie karał. Święta cudownie ocaliła miasto Katanę, zwracając od niej wylew lawą buchającej Etny. Ogień jest nieprzyjacielem chleba i wody — stąd w czasie pożaru biegną dziewice z temi święconemi symbolami ochrony od ognia, ciskając je w płomienie.

Ów chleb co go na godach i przy zasiewie tak skromnie owies reprezentuje; jakże się świetnie przedstawia w czasie pożywiania jajka wielkanocnego. Tu już chcąc tylko wyliczyć różne rodzaje tych przepysznych zastaw, trzeba by rzecz traktować z całą kucharską umiętnością

ścią — toś i napisy dowcipnie przemawiają z bogato ozdobionych placzków i ornamenta jakby rzeźby kunsztem zalecają się oku; wreszcie różną konjekturą przygotowały zręczne gosposie figliki i krotoczwile ku uweseleniu gości. Choćby uazwać tylko przyszło każdy kołacz jego mianem, toby słownik powstał z owych: *bab petynetowych* (dziurkowanych), *lukrowanych*, *migdałowych*, *razowych*, *obartuchów*; to znów *jajeczników* i *serowców* a *maczniczków* i *mazurków* w tysiącnych odmianach. Nie będziemy tu powtarzać opisów wielkanocnych wystawności święconego, jakie nam z przeszłości pozostały; to powieści z tysiąca i jednej nocy, w czasach kiedy już nie chleb wykwintny ale razowy marzeniem się staje!

Podczas obchodu paschy w starym zakonie prawo Mojżesza nakazywało użycie chleba praśnego, a kwaszonego w ten dzień nawet w domu mieć nie było wolno — ztąd dowód, że przy ustanowieniu Ś. Eucharystii Zbawiciel praśnym chlebem się łamał. Używają tedy w obrządku łacińskim do N. Sakramentu chleba niekwaszonego; ale Kościół zostawia w tym względzie dowolność, nie uważając przeciwnego w kościele greckim obyczaju za naganny.

Jałmużna i ubóstwo wyniosły chleb i na świętych obrazach — w ikonografii mają niektórzy święci chleby za symbole i tak widzimy go na przedstawieniach: ŚŚ. Jana de Deo (wyżebrany), Gallusa (pustelnicy), Ś. Mikołaja (zesłany z nieba), Bertolda (miłosierny), Elżbiety z Węgier i Godfreda z Kappenburga (jałmużniczy), wreszcie Ś. Notburga (biedaczy). Często malują Boga Ojca śpiącego z obłoków na ziemię *zboże*, ów dar z *bożej* łaski, co go *ubodzy* nie na ziemi ale *u Boga* mają.

W najodleglejszej starożytności pierw zapewne jedzono zboże suszone i gotowane; a dopiero daleko później po wynalazku żarn i młynów piec chleb poczęto. Nie

będziem się tu spierać kto pierwszy chleb z maki wynalazł: czy Arkas syn Jowisza (na 1760 lat przed Chr.) jak chcą jedni; czyli też Grek Tryptolem o trzy wieki wcześniej, jak się drugim twierdzić podoba. Toć na przekór tym literackim kłótniom widzimy już na 2000 lat przed Chrystusem, jako Abraham na przyjęcie Aniołów chleb piec rozkazuje. Wierzymy tedy że to nie samego człowieka dzieło, ale Bóg łaską swoją chlebem ludzkość obdarzył.

Sądząc wedle etymologii przyjąłoby wypadło, żeśmy się od Greków pieczywa nauczyli; oni bowiem pieczony chleb zwali *κλιβανος* (*clibanos*) ²⁾ — *bułki* zaś (za Jagielly już, później w Bielskim etc.) *zemellami* i *zemłami* zwane, oraz owe *rożki*, *strucle* i *precte* ³⁾, Niemcy nam pewno z naszego ziarna popiekli.

Mieliśmy prócz tego różne rodzaje chlebów: *płatki-ry*, *płatkury*, *proskury*, (opłatki) już tak w rachunkach Jagielly i Jadwigi zwane, także wspomniane *obwarzanki*, wreszcie: sławny *promnik*, *chleb żółty*, *gruby* (*borys literewski*), *pszenany*, *żytni* (*rzany*), *podługowaty* (za Augusta III królewskim zwany), *razowy*, *komiśny*; *obroczny*, (dla czeleodzi), *placki mosiężne* (*tworożne*), *kukły*, *kukiołki* (słynne zielenieckie); *bułki mętawe* (z maki marmymonekiej), *siedleckie*, *poznaneńskie*, *rzędkowe*, *maślane*, *kukły*

²⁾ O ile w ogóle pokarmy i napoje nasze z wspólnego źródła ludzkości wypłynęły od Żydów, Egipcyan, Greków i Rzymian, oraz od innych później Europejskich ludów; zrozumieć można, czytając źródła cytowane w *Archäologie der Hebräer* Dra J. L. Sakselschütz Königsberg 1855 I. 42, i w dziele Duńskiego pisarza J. Hoffa które był Dr. E. F. Bojesen pod napisem *Römische Antiquiteten* w r. 1849 w Frankfurcie wydał. Natrąciwszy o etymologii nazwy chleba, dodam: iż po sanskrycku *paczati* znaczy *piec*, *prażyć*, a *pupack* *chleb*, *papka*.

³⁾ O początku tych pieczyw, czytaj legendy i podania w Berleppsa *Chronik vom Bäckergewerk* str. 167).

bieckie i wojnickie, rogalki, plecionki, czerniawczyokie obwarzanecki itp.

Do chleba prostego ludu wchodzi: owies, żyto, jęczmień albo sam albo na poły z hreczką przesiany, i dla tego *siemieszką* się zwie.

Pszenica uprażona i przypieczona, zwie się *prażmo*, a stanowiła zapewne pierwotne pożywienie, takiż owies nazywają Litwini *tołokno*. Do najdawniejszych rodzajów pieczywa należą pewno: *podplomyk* (z mąki jęczmiennej między węglem upieczony placek), *powalka* (chleb ubogich), *osuch* (kołacz suchy) i *podskrobek* (placek z reszty ciast). Między pieczywem a leguminami pomieścić można te różne wytwory z ziarna przez lud sporządzane, jako: *gryczanek* (kluski z mąki tatarczanej), *żur*, *kisiel* (z mąki owsianej), *kwasza* (z żytniej i hreczanej), *lemieszka* (z hreczanej), *prażucha* (zacierka z pszennej prażonej mąki), *pęcak* (z jęczmienia lub orkiszu tłuczonego z grochem), *sałamacha* (papka z mąki), *ciastuchy* (kluski obwarzane), *gruca* (owies lub orkisz tłuczony), *grycek* (placek z grysu czyli mąki tatarczanej ordynaryjnej), *sałamachy*, *szolodusze* (pszenniki z mąki i jagiel), *tatarczuch* (chleb z tatarczanej mąki); wreszcie *bliny*, *knysze*, *mamałygi*, *paciary*, *kutia* (z pszenicy, miodu i maku), *pamuły*, *zacierki*, *wodzianki*, *biermuszki*, *gramatki*, żydowskie *mace* i przeróżnych nazw z mąki przyprawy.

Opuściwszy leguminy, wspomnieć nam nieco wypada o ciastach cukierniczych. Tych niezliczone mnóstwo moda naniosła na stoły przodków naszych — miewaliśmy: *francuzkie*, *angielskie*, *włoskie*, *rakuskie*, *puszkowe*, *formowane*, *moździerzowe*, *garnuszkowe*, *fumentowe*, *biskopaty*, *talmuzy*, *paszty genueskie*, *torty hiszpańskie*, *wiedeńskie*, *konfektowe* i różne inne; gdzie prócz olbrzymich nieraz tych kołaczów postaci, nadawano im pewny rysunek do okoliczności stósowny; lub figlami a nawet maszyneryą na żart zdobiono. Że tutaj cukrowa-

nie główniejszą gra rolę jak ciasto, a więc rzecz zostawiamy do czasu, kiedy nam o ozdobach stołu polskiego mówić przyjdzie. Wreszcie nie zamierzaliśmy sobie podawać sekretów kuchni, bo nas w tém wyręczyli dawniejsi jak: Czerniecki i Wielądek; a niemało ciekawego podał Łukasz Gołębiowski w swoich nieoszacowanych do historyi obyczajów naszych materyałach.

Jeszcze zwróćmy uwagę gdzie z zacisza rozlega się turkot młynka, co się opowiadać zdaje że głodu nie będzie.

Długo mielono u nas zboże na żarnach, mimo że młyny wodne odwiecznej są starożytności, przecież pierwszych używano najczęściej po wsiach, drugich w bliskości miast. W najstarszych nadaniach z czasów Piastowskich, widzimy młyny jako własność panujących lub szlachcie przywilejami ustępywane. Przybyli do nas w XIII stóleciu Cystersi wpływają na postęp rolnictwa, i dotąd jeszcze klasztory ich leżą zwykle w zaciszach dolin, a młyny huczą pod murami. Młyny wietrzne, wspominają już za Kazimierza Wgo — w Wielkopolsce szczególniejsz są w użyciu; a Litwa podobno dopiero w XVII wieku zaprowadziła je u siebie.

Jak to smutno w okolicy kiedy pustka wieje z opuszczonego wiatraka; zepsute skrzydła zamiast wartkiego pędu, piskliwym przerażają skrzypem; owa ruina zdaje się mówić o! głodzie, a czart bierze w posiadanie ten przybytek chleba.

Różne rodzaje maki wytwarzano u nas we młynach, wychodziły ztamąd: *gryzowa* i *razowa* (dla czeladzi), *pszenna*, *marymoncka*, *pyłkowa*, *prażona*, *przypiekana*, *jęczmienna*, *owsiana*, *hreczana*, *podkrupna*; wreszcie teraz *parowa*, z *kukurudzy*, *ziemniaków* itd.

Wypadłoby tutaj uważać jeszcze chleb ze stanowiska ekonomicznego; przecież gdy to przechodzi zakres specyalności naszej, więc czytelnika odsyłamy do dzieł ten

przedmiot traktujących. Tu tylko nadmienimy, iż krótką wiadomość o rodzajach i pochodzeniu różnych gatunków zboża, znaleźć można: w dzienniku Agronomicznym który był w pierwszych latach naszego stulecia w Zamościu wychodził. W tém także (na swój czas) redagowaniem umiejętnie i postępowém piśmie, jest rzecz o składzie wiatraka z wskazaniem używanego u ludu nazwania wszystkich jego części (*Dziennik Zamajski* z r. 1804. Od Nr. 16 do 19).

Aby przedmiot wyczerpać, powiedziełby też przyszło o szpichlerzach, co je za czasów już Józefa syna Jakóbowego w Egipcie widzimy; a wreszcie i pierwotne dzieje rolnictwa traktowałby wypadło; to jednak przechodzi zakresłone przez nas granice rozprawki niniejszej.

Przecież trudno nie wspomnieć o *piekarzach* i *bakternikach*.

Gdy Bóg serce kobiety uczynił przybytkiem miłości, a pierś jej napełnił pierwszym dla człowieka pokarmem, to też niewieście dostał się zaszczyt pieczenia chleba dla rodziny, czeladki i gościa. Jak daleko podanie zasięgnąć może, widzimy kobiety jako ową Abrahamową Sarę, piekące chleb dla aniołów nawet.

W starożytnych pisarzach znajdujemy często wzmianki o wybornym chlebie, wypiekanem w Kapadocyi, Fenicyi, Lydyi, Atenach a wreszcie w Rzymie.

Gdy do trzech wyrazów wiążących ludzi w społeczeństwo, to jest *pracy*, *zasięwu* i *żniwa*, przybywa czwarty: *kupia*, z pojęciem *handlu* i obrony łączący już wyobrażenie: o miastach, władzy i kraju; wtedy też i pieczenie chleba rzemiosłem się staje.

Z osadzeniem miast na prawie magdeburgkiem, przechodzi do nas *cech* jako połączenie braci jednego rzemiosła. W narodzie co koło pługa nauczył się życia towarzyskiego, a miłość otrzymał od Stwórcy na godło

swych dziejów, prędko przyjęła się instytucja bractw; przedeź w rozwinięciu między mieszczanstwem naszym, nie zbyt daleko odbiegła od tych dróg jakimi szła u sąsiadów Niemców. Mając tedy mówić o cechach piekarzy naszych, nie zblądzimy: odsyłając czytelnika po uczenie zebrane wiadomości, do dzieła które był p. Berlepsch świeżo w St. Gallen ogłosił (*Chronik vom ehrbaren Bäckergerwerk*). Toć na pieczęci krakowskich piekarzy widzimy ten sam precel, który niemieccy majstrowie na swych chorągwiach i dokumentach kładą; a ustawy dla czeladzi i porządku w cechu wydane, nawet tą samą co i tam mową u nas spisano.

Na skrzynce gdzie krakowski cech piekarzy przechowuje swoje przywileje i berło starszego, w całkowitej rzeźbie wystawili przodkowie postać Łazarza — nie można było przypomnieć lepiej panom braciom cechowym, czém się nświęca chleb, jak przywodząc im nędzę przed oczy *).

*) Archiwum cechu piekarzy krakowskich dochowuje kilkanaście oryginalnych przywilejów królewskich zgromadzeniu nadanych. Stefan Batory rozsądzając spór między krakowianami a kleparzami majstrami (r. 1583). powołuje się na przywilej w r. 1368 dla pierwszych wydany. Inne listy królewskie jak z lat: 1545, 1562, 1578, 1581, 1633 i późniejsze, cytują potwierdzające przywilej Janá Alberta, który w r. 1496 cech piekarzy urządził i swobodami nadał. Ciekawe są wewnętrzne cechowe ustanowienia dochowane w księgach złożonych u starszego majstrów piekarzy krakowskich: Są tam księgi posiedzeń (od r. 1540), akta zapisów (62 r. 1571), sporów (od r. 1569), wydatków (od r. 1632), wreszcie przy cechowym *Missale pro defunctis* jest (od r. 1715) wykaz umarłych, a poczyna się od słów: „zalecamy do pobożnych modłów waszych dusz świętej pamięci: Królów, fundatorów, Biskupów, proboszczów, kaznodziei, panów Radkic krakowskich i nas cechowych“ — tu spis imion z którego wność można, że piekarze prawie wszyscy byli Polacy. Bratnia cęchowi mnié u XX. Dominikanów kąpięć (dziś spalona) Orlikowską zwaną; gdzie się przed

Wprawdzie już z rachunków dworu Jagielly i Jadwigi widzimy: że na skromnym stole królewskim torty bywały; przecież gdy cech piekarzy już przed rokiem 1366 w Krakowie istnieje; to akta zgromadzenia cukierników, dopiero rok 1747 rozpoczyna. Pierwiastkowo ciasta lukrowane wytwarzały gospodynie i kunsztowni kucharze. W r. 1765 *pasztetnicy* zawiazali się w Krakowie w cech, którego przepisy potwierdził Stanisław August w następnym 1766 roku, odkąd też wszystkie księgi dzisiejszego zgromadzenia cukierniczego się poczynają. Owi pasztetnicy bywali prawie sami Polacy, a przy skrzętności gospodyń naszych, nie świetnie szło ich rzemiosło. W aktach doczytasz się tylko kłótni panów majstrów z przekupkami i piekarzami białego pieczywa — wreszcie w końcu zeszłego stolecia (w r. 1788) było ich trzech tylko, którzy niemogąc się kucharzom zamożnych domów obronić, z traktyjerami w jeden cech się połączyli. W ostatnich dopiero czasach Włosi i Szwaj-

ich patronem Śtym Mikołajem co Suchedni odprawiała Msza Śta, w obec zgromadzenia wszelakiej czeladzi piekarskiej. Cechy: kasimierski, kleparaki i przedmieść, uznawały rodząj supremacyi cechu krakowskiego.

Srebrne wyszlacane berło rozszezepione u góry w siedm kunsztownie ozdobych listków, przechowane u starszego z braci, odnieść można do zabytków XVII stulecia.

Jak wiadomo, Wojewodowie ustanawiali taxę na żywność i wyrób rzemieślniozy — taką taxę objaśniającą ceny pieczywa w XVI wieku, można czytać w *Zbiorze pam. hist. J. U. Niemcewicza* wyd. Bobrow. T. III str. 326.

Wedle wykazów statystycznych z r. 1853 było w Krakowie i na jego przedmieściach piekarzy majstrów 85, czeladzi 149; w WKs. Krakowskiem majstrów 230, czeladzi 69 — w Galicyi zaś i Krakowskiem liczą razem: 817 piekarzy a 466 czeladzi.

W dawném uzbrojeniu Krakowa, cech piekarski miał swoją armatę przy *Nowej Bramie*, która ich straży sileconą była.

cary, owe cukry i ciastka kunsztownie jako rzemiosło wytwarzać i piec poczęli ⁵⁾.

Wreszcie na przekąskę po wódce i dla dziatwy, miewano u nas w zapasie *pierniki* przez miodosytników i cukierników lub też w domu wyrabiane. Nawet drogą handlu wchodził na stoły nasze ten przysmak ulubiony—bywały pierniki sławne i smaczne: *złociste, norymberskie, toruńskie, wareckie* i t. p.

Co do pieców piekarskich te nie tylko u nas ale w całej Europie niewiele postąpiły, gdy takie jak dzisiejsze już w Pompei odkopano. Obecnie słyną piekarnie hanowerskie, także: Schoerga w Monachium, Wimméra w Wiedniu, Jametel i Lamare w Pradze, wreszcie Chel-sea w Londynie.

Jeszcze przychodzi wspomnieć o *praktykach młynarzy i piekarzy*, oraz o *przysłowiach* chleba się tyczących. Chcąc wyczerpnąć rzecz co do młynów, z wodą i wiatrem spotkaćby się przyszło; a to sprawa jak morze bezdenna, a jakby wichrem po całym rozwiana narodzie. Nadmienię tylko, iż chcąc urzec młyn, wkłada się kawałek krędy wisielcowi w zęby, tak aby się zgniotła nacisnąwszy szczękę trupa—krede taką rzucają zli pod koła, a te przez rok i sześć niedziel łamać się będą, jeśli wcześniej szkodnik uroku sam nie odczyni. Gdy jednak pobożny młynarz o Bogu i krzyżu niezapomina, ustrzeże się szkody kręśląc co roku na młynowym wale Imie Jezus, kredą w dzień Trzech Królów święconą.

⁵⁾ Wedle przywileju Stanisława Augusta pasztetniki i cukierniki (*Crustularti*) wyrabiali na majstersztyk: *krokanty karmelowe i rżnięte, ciasta biskoptowe, francuskie, hiszpańskie, angielskie, ryżowe, grochowe, marchwiane, maczniczki, mazurki, kompoty, pasztety, galarety i kremy.*

Wykaz statystyczny z r. 1853 okazuje w Krakowie cukierników majstrów: 12, czeładzi 24; w Galicyi i Krakowie razem majstrów 38, czeładzi 49.

Przy pieczeniu chleba łopata ów symbol lysogóskich czarownic nie małej jest wagi. Gdy się gospodyni zabiera do wsadzania chleba w piec, powinna zważać aby leżącej na ziemi łopaty nie przestąpić, ale ją obejść — wypada trzymając się łopaty, trzy razy podskoczyć i tyleżkrotnie cmoknąć, a uda się pieczywo — aby chleb rósł, łopatę na wywrót o nalepę oprzeć.

Gospodyni nie piecze wtedy chleba w chacie, kiedy pisklęta kur lub innego drobiu wylęgać się mają. Przed rozpoczęciem pieczywa wydają niewiasty mężczyźni z piekarni, aby nie urzekli. Jeżeli dziad jest w izbie gdzie chleb piec mają, urywa się kawałek ciasta z pierwszego bochenka i piecze zeń placuszek; z tego tylko część dawać zwykli żebrakowi, aby całego szczęścia z domu nie zabrał. Ubogi nieopatrzony wówczas ni kruszyną chleba, może sprowadzić przeklęstwo, jak się to stało za czasów pobytu Zbawiciela na ziemi — rzecz się tak miała: Jezus Chrystus nie mając jako owi ubożuchni ani miejsca gdzieby głowę skłonił, ani ogniska gdzieby pokarm uwarzył; chodził z Ś. Piotrem po chatach wybierając jałmużnę i miłosierdzie za słowa Zbawienia.

Tak chodząc, przestąpili próg izby gdzie zamożna gospodyni właśnie chleb piekła na ucztę weselną. Na prośbę Chrystusa by głód jego zasyciła kruszyną, rzekła z fukaniem złośliwa niewiasta: że dla dziadów nie ma chleba w jej piekarni. Jak powiedziała tak się i stało — ubodzy odeszli, a chleb w kamienie się przemienił.

Gdy pobożna gospodyni pierwszy bochenek do pieca wsuwa, żegna go trzykrotnie i tajemne znaki kręśli palcem na jego powierzchni. Ciekawą byłoby rzeczą zebrać, porysować i odgadnąć owe wielorakie znakowanie, jakie na chlebie gospodynie i piekarze czynią; także nad różnościami kształtu bochenków, bułek i placków, zastanowiłby się wypadło.

Przy wsadzaniu chleba do pieca piecze się pierw podłomyk, aby się czart nie śmiał i nie popsuł pieczywa. Żeby się placki nie łamały, upieczony małeńki na dach wyrzucają ptactwu na uciechę. Nietrzeba się śmiać zaglądając do pieca, bo się chleb wyszczyrzy (popęka). Jeżeli kto płacze przy zarabianiu ciasta, to bochny płaskie wyjdą z pieca. Aby chleb był rumiany, sypie się mąkę na węgle — aby miał połysk, pomiotło spalić wypada.

*Jak chleb na desce,
Napłjuwa się jeszcze!*

Zbierz przysłowia chleba się tyczące, a będziesz miał reguły żywota; szkic cnót, wad i obyczajów naszych. Tu znów tylko zlekka przypatrzymy się rzeczy, ani zaglądając w księgi skądby nam naleciało przypowieści jako liścia z lasu. Któż o chlebie nie mówił i pisał? — temu *dano chleba gdy zębów nie stało* — ów znów pomny na przykaz: *czyj chleb jesz tego piosnkę śpiewaj*; darzy drugiego nauką: *jedz chleb z każdą warzą, a rób co ci każą*. I tak: *chlebem, solą i wolą, ludzie ludzi niewolą*.

*Głodnemu chleb na myśli
a Chlebu rad psu by zjadł.
Chleba dorabiać się trzeba.
Bez prace nie będą kołacze.
I Boża marna za dorobkiem pada.
Chleb pracą nabyty
Bywa smaczny i syty.*

I zaiste! wystawiwszy sobie chleb uwieszony gdzieś między niebem a ziemią na włóknie łaski pańskiej, powiedzieć można słusznie: że praca i modlitwa są owemi

konduktorami ściągającemi do domów naszych ten największy z darów bożych.

*Miłości jednak trzeba
Na zaprawę chleba.*

Z nią i razowy czarny podplomyk smakuje, bo go dobra wola i serdeczna przychylność podaje — bez tej osłody, nawet lukrowany kołacz goryczą, opieczce ci usta.

Kraków w Wielkanoc r. 1856.

JÓZEF ŁEPKOWSKI.

U W A G I

z powodu artykułów:

1. „O świętej Kindze“; 2. „O Stanisławie i Annie Oświęcimach“,

w dziele p. **Karola Szajnoch**,

pod tytułem:

Szkice historyczne (Lwów, 1854. 8).

Pospolicie u ludzi niewtajemniczonych w sposób poznawania ułomności, zwłaszcza historycznego piśmiennictwa, stało się przysłowiem: „*Musi być prawda—bo wydrukowane!*“ — Tém hasłem odzywa się w obec każdego, coby się poważił powątpiewać o wartości jakowego dzieła, wielka, kto wie nawet czy nie większa część czytającej publiczności. — Aliści „*nie wszystko prawda, co wydrukowane!*“, powinno się głosić właśnie na wspak treści formuły przytoczonej. — Że to drugie orzeczenie stosuje się w szczególności do dzieła, którego częściowy rozbiór tu przedsiębranym zostanie; wykaże się z mającego się wysnuć poniżej założenia.

O ile tedy łatwo przychodzi pisarzom historii zyskiwać na tak utartej drodze wiarę w przedmioty w pismach podane u ogółu lub większości czytających; o tyle twardsza ciąży na nich odpowiedzialność za to: by treść ich pisma nie rozmięła się z prawdą — owszem była najbardziej zbliżoną do rzeczywistości. Odpowiedzialność ta jest tém większa u nas: ile że w piśmiennictwie krępowaném stosunkami, jak nasze — osobiwie w tutejszej prowincyi, gdzie tak niewiele jest organów publicznych; nie prędko wypada pisarzom historycznym spodziewać się recenzyi doraźnej — a więc mniej jeszcze ocenienia dokonanego w pełni wytrawnej krytyki, uskutecznionego z bezstronnością poglądu i uzasadnieniem znajomością rzeczy. Nieuwzględnienie potrzeby zauważenia owiej okoliczności ze strony pisarza, wkłada przeto obowiązek — rozumie się w braku sędziów właściwych, na chociażby dorywczego recenzenta: objawienia słusznego sądu o utworze historycznym autora, którego by poniekąd posądzić można o lekceważenie publiczności z tego powodu: że ją w danym razie karmi jakoby na przekor pierw przytoczonej, lubo wygodnej dlań modle, łatwych w swém zdaniu czytelników — nie szczéremi specyałami prawdy, lecz pochybnemi wiedmami uprzedzenia. — Przedsiębranie wszelako objawienia uzasadnionego zdania w téj mierze nie ma bynajmniej na celu uszczuplenia rozgłosu imienia historyka. Co się więc tutaj powie: nie będzie się mówiło w chęci zajrzenia jego piśmienniczéj sławie, którą bogdajby zawsze — byle rzetelnie zasłużoną, wszyscy autorowie mieli w udziale. Krytyka albowiem, jako poręczycielka wytrawionéj słusznym sądem mianowicie w rzeczach naukowych opinii; powinna stawać u rozdróża wyobrażeń dającéj często w wątpliwym razie rozmaicie swe zdanie publiczności — powinna wysławiać starannie drogi, które ku prawdzie, niemniej i te, które w jéj odwrotną stronę wiedą. — Obrac z taką pomocą,

o ile się da, jedną z dróg prawdziwych — zdążyć nią, bez zarożumienia własnej niedoskonałości, a wzajem obojętne zasługi ku niezmaconemu źródłu jasni jest powinnością każdego pisarza — tém bardziej recenzenta poważnego przedmiotu.

Niech przeto takowe orzeczenie posłuży do zjednania tym niewielu słowom potrzebnej wyrozumiałości, opartej na przekonaniu: iż tylko dojście do prawdy jest zadaniem następnej pracy — oraz że jeżeli wywnioskowany sąd o rzeczy roztrząśnionej zdawać się będzie komu nie dość zasadnym: wszelkie w tym względzie czynione spostrzeżenia będą przyjęte chętnie i bez uprzedzenia.

Pod tytułem *Szkiców historycznych* wyszła r. 1854 w jednej z księgarni lwowskich książka, zawierająca wiele szacownych, ze względu na dzieje polskie przedmiotów, w kilku umiejętnie skreślonych artykułach. Jakkolwiek utwór ten może być uważany za pracę *w swych częściach* pożyteczną, bo pouczającą w materji dziejowej, nie jest on wszakże *w swojej całości* wyraznie i wyłączenie historycznym dziełem, i trudno zrozumieć: dla czego — jeżeli już koniecznie „*Szkicami*“ nazwanym być musiał, lubo niektóre artykuły pod względem swęj donosności i wykończenia właściwieby do rzędu *rozpraw* policzone być powinny — dla czego, powtarzamy, rzeczony utwór właśnie „*Szkicami historycznymi*“ jest nazwany? — Jedna z zamieszczonych tamże ważniejszych rozpraw n. p. jest raczej treści *polemicznej*, niż *historycznej*: t. j. owa, która ma stawić dowód: że poeta Wacław Potocki był autorem poematu noszącego tytuł: „*Wojna Chocimska*“. — Inny artykuł rozbierający rękopiśmienny dyaryusz Stanisława Oświęcima sposobem komentarza, jest, lubo nie w całej osnowie, ale przynajmniej w swém zakończeniu podobnie *polemicznym* dziełem.

Pomijając jednak okoliczność mniej lub więcej trafnie dobranego tytułu — tudzież zapowiedzenia w nim z góry

w sposób niewłaściwy tej albo owej treści dla książki całkowitej; nachodzą się w samej osnowie dzieła, not i przypisów do niego niektóre miejsca, które z powodu wyrażonych tam porywczo zdań i ztąd wysnowanych domysłów, dostarczeniem świeżych, wyświecających przedmiot szczegółów wyjaśnione — albo z powodu uczynionych tamże bez dostatecznego uzasadnienia orzeczeń sprostowane — albo nareszcie, z przyczyny nachodzących się w nich pomyłek poprawione być muszą.

Wiadomo już: że całe dzieło składa się, jak się powyżej rzekło, z kilku pojedynczych artykułów. Założeniem wszakże niniejszego pisma nie jest poszczegółne ocenienie tych wszystkich części dzieła pod względem ich różnostronnej wartości; tém mniej, że tego, acz w sposób jeno urywkowy, zatem nie każdemu artykułowi odpowiedni dopełnił recenzent inny w pewnym poważnym polskim piśmie ²⁾). Lecz założeniem tej recenzji będzie wskazanie i roztrząśnienie niektórych, do sprzecznych autorowym wniosków, prowadzących miejsc i ustępów. — Zarzuty z tego powodu dziełu p. Szajnochy czynione, rozłożone będą w szczególności na dwa artykuły ocenić się mającego pierwotworu, które niejako w zakres rozbierającego ich osnowę wchodzi — mianowicie artykuły: I. „*Ś. Kinga*“ (głównie ze względu na dołączony doń w pierwotworze przypisek pod tytułem: „*Szlak Batu Chana*“); II. „*Stanisław i Anna Oświęcimowie*.“ — Krom tego przydaną będzie w końcu jeszcze uwaga do artykułu: „*Wnuka króla Jana III.*“

I.

Zarzuty przeciw osnowie artykułu o ś. Kindze ograniczają się do wytknięcia pewnych niedokładności, za-

²⁾ *Przegląd Pownński*. Rok 1854. (Półrocz. II. str. 172—184).

szyłych odczytaniu starożytnych dyplomów, załączonych do tego artykułu. Z równoczesnego porównania albowiem osnowy dwu przywilejów przytoczonych całkowicie w notach 78 i 109 do rozprawy o ś. Kindze, z tekstem obudwu, zamieszczonym w dwu odnośnych dziełach — a mianowicie: znanym „*żywotopisie tej świętej Patronki*“ — tudzież w „*dyplomatarjuszu Ziemi Spitzkićj*,” ^{3/a}); okazuje się w ich brzmieniu kilka ważnych, snadź niedrukarskich pomyłek. Mówimy niedrukarskich: ponieważ błędy te przeszły również do przekładu obu wspomnianych przywilejów, który się w całej rozciągłości w onej rozprawie znajduje.

Aczkolwiek przystępujemy do wyszczególnienia owych niedokładności; wszelako nie chcąc trudzić nadaremnie Szanownych Czytelników, wyliczymy tu tylko co — ważniejsze z nich i zestawimy je w porównawczem przytoczeniu i tłumaczeniu dotyczących miejsc i wyrazów, tak jak je autor *Szkiców historycznych* podaje, z wierzytelnemi odpisami pierwotworów pomienionych przywilejów, według ich poprawnego brzmienia w obu cytowanych dziełach. Czynimy to dla unaocznienia: iż błędy owe nie są prostemi *pomyłkami drukarskiemi*. — Są one następujące:

Strona 45 Nota 78:

Wiersz 11 od góry; powinno być: *praeostendens* — ale nie „*praeostendendo*,” (w tłumaczeniu jest: *przeokazując*).

^{3/a}) Ks. Maro. Ignacy Frankiewicz, kust. Sandec.: *Wizerunek świętej doskonałości w Błogosławionej Kunegundzie, królowej Polakidj jaśniejącej* (Kraków dr. Ces. 1718. fol str. 94—96 i str. 136—139) — Joannes Bárdozy: *Supplementum Analectorum Terrae Scepusiensis*. (Leutschowiac. Typis. Mich. Podhorański. 4°; MDCCCH. pag. 86—90 et pag. 157—163).

Wiersz 13 od góry; powinno być: *hominem* — ale nie „*homini*,” (w tłumaczeniu jest: *człowiekowi*) ^{3/b}.

Strona 51. Nota 109.

Wiersz 16 od dołu; powinno być: *Christo* — ale nie „*ipso*,” (w tłumaczeniu jest: *Nim*).

Wiersz 15 od dołu; powinno być: *per arctam viam et angustam portam* — ale nie „*per arctam et angustam portam*” (w tłumaczeniu jest: *przez wąską i ciasną bramę*).

Wiersz 7 od dołu; opuszczony jest ustęp: *fratre Boguslao lectore fratrum Praedicatorum*.

Wiersz 4 i 3 od dołu; nachodzi się wtęret: „*fratre Boguslao lectore fratrum Praedicatorum*” (w tłumaczeniu jest w temże miejscu: *braciszka Bogusława, lektora braci z zakonu kaznodziejskiego*) ^{4/a}.

Strona 53. Nota 110.

Wiersz 7 od góry; powinno być: *Kłęczany* (u Frankowicza na str. 137 jest: *Klaczany*) — ale nie „*Olzana* (?)”.

Wiersz 10 od góry; powinno być: *Łubinka* (u Frankowicza jest *ibidem: Elbina*) — ale nie „*Łukowa* (? może *Zbenek*).” ^{4/b}

^{3/b}) Z łącznego zrównania tekstów odpisu we wszystkich trzech dziełach wspólnych, okazuje się: iż w przytoczonej u p. Szajnochcy w Nocie 78 osnowie przywileju (z r. 1257) nachodzą się oprócz powyższych wyszczególnionych; jeszcze 4 omyłki (*dotatam*; — *imperante*; — *quoad*; — *metam*) — 1 wtęret (*nostras*) — 2 omissa (*se*; — *Anno*) — 1 *mutatum* (*quomodolibet*).

^{4/a}) Oprócz już wykazanych błędów, znajduje się w osnowie przywileju (z r. 1280). przytoczonego w Nocie 109; 5 omyłek (*concomitantia*, — *praedictis*. — *nostram*, — *contraire*. — *ao*) 1 *mutatum* (*sunt haec*) — 1 wtęret (*Dominum*).

^{4/b}) Większa część w Nocie 110 podanych, z niedokładnie nakreślonych nomenklatur na mapie cudzoziemca *Liesgeniga* na domyśl cytowanych nazw miejscowych, jest w ogólności w powołanym dziele Frankowicza najdokładniej wymieniona.

Do artykułu o świętej Kindze dołączony jest przypisek pod tytułem: „*Szlak Batu Chana*“. Jest to niby uzasadnienie zrobionego założenia, przyjętego przez autora za podstawę kwoli opisów najazdu Mongołów na Polskę w ślad opowiadania kronikarza Długosza, utrzymującego: że *Batu Chan szedł z swoimi zastępy przez kraje polskie, a mianowicie przez Kraków*“.

Aby orzec: że takowe twierdzenie jest prawdziwem lub że jest mylnem; trzeba się przenieść myślą w dobę będącego w mowie wypadku, i za pomocą świadectw zebranych z kilku-rodnych pism dziejowych, dać stanowcze, nie tylko prawdopodobieństwem, lecz niejako znamieniem pewnika historycznego zalecające się orzeczenie. Owóż wynikiem uczynionego w tej mierze dochodzenia jest kilkoro spostrzeżeń następujących.

Że najście hord Batu Chana było głównie skierowane na bogate i obfitujące w stepowe pastwiska Węgry — a nie na chudsze od nich i lesiste północne kraje; o tem, stósownie do świadectw ówczesnych trzynastego stolecia dziejopisów węgierskich, *Szymona Kezy*⁵⁾ i wiadomego kanonika *Rogeryusza*, ztwierdzających: iż Mongołowie natarli z trzech ścian t. j. od wschodu przez Siedmiogród — od północy przez Ruś — od północnego zachodu przez Morawy, na węgierskie ziemie; wątpić niemożna. ⁶⁾ Słuszną rzecz więc mniemać: że tam, kędy atak wielki był przedsiębrany; znajdowała się także osoba *Naczelnego Wodza* — i że wódz ten, lubo barbarzy-

⁵⁾ *Simonis de Kesa* — scriptoris saeculi XIII, *Chronicon Hungaricum*. (Editio originaria; Horanyi. — Budae, apud Landerer),

⁶⁾ Pobudką do skierowania napadu na Węgry, miała być Bata-mu ucieczka księcia Połowców (kumanów) Kotjana z 40000 narodu swego do króla Beli IV; również jak i namowa bojarzyna ruskiego Dymitra w Kijowie. (*Karamayn: Historia państwa Rosyjskiego* — przekład *Baczyńskiego*, w Warszawie 1825 — Tom IV. str. 11 i 12).

niec — nie był tak poślednim strategikiem: by udając się z Halicza do środka Węgier aż na Kraków wybożyć musiał.

Jakkolwiek z takowego przypuszczenia nie może, na pierwszy rzut oka na rozpoznanie granic odnośnych doń krajów, wynikać prawdopodobieństwo faktu; widzimy go wszakże na prawdę utrzymywanym w „*Szkicach historycznych*“ z uzasadnieniem opisu dotyczących onego okoliczności powagą już rzeczzonego kronikarza Długosza, obfitego w pragmatyczną wiadomość wypadków — ale niekoniecznie baczącego w narracji ich szczegółów na historyków obcych: gdy przeciwnie sami następcy Długoszowi — dziejopisowie polscy szesnastego stulecia, owo twierdzenie Długosza, co do bytności Batego w Polsce, w oględnienu się na dowodność zdania kompetentniejszych od nas w tym razie historyków węgierskich w wątpliwość podają, a przynajmniej zdanie jego wazą na szali krytyki historycznej. Tak czyni Kromer ⁷⁾, możnaby rzec, naśladowca Długosza, który wiele rzeczy z onego czerpiąc, nie idzie jednak wszędzie w jego tropy na oślep: rozróżniając wiadomości pewne od niepewnych — zawodne od dowodnych. Podobnie postępują późniejsi dziejopisarze polscy, którzy acz przytaczają zwykle relacyą Długosza w zupełności; oglądają się przecie, jak słuszną, na zdanie dziejopisów zagranicznych, w obec opinij, których twierdzenie jednego tylko Długosza na opak stawia.

Aliści okoliczność, która jak napisano w „*Szkicach historycznych*“, udowadnia wszakomo mylność zdań owych

⁷⁾ Tametsi Bonfinius in libris „*de rebus Ungaricis*“ Battum per id tempus cum longe maximis copiis in Ungariam expeditionem fecisse scribit (Mart. Cromeri: *De origine et rebus gestis Polonorum*. Basil. 1568. liber VIII. pag. 141).

historyków w obec Długoszowego twierdzenia — która przytem ma niby właśnie stanowić jedno z znamion prawdopodobności jego relacji; nie jest w wiadomej rozprawie czyli raczej w przypisku do niej dosyć rzetelnie i w bezstronnej co do nakreślenia swego postaci podana. — Nie jest zaś podana rzetelnie: albowiem widzimy w przytoczonym odnośnie do niej ustępie *odmieniony tekst listu kanonika Rogeryusza* stanowiący właśnie podporę wniosku przeciwnego. — W przypisku zapewnia autor, jakoby tenże rzekł: „*quando Rusciam totaliter et unanimiter destruxerunt*“.... W Rogeryuszu atoli stoi: „*quando Rusciam et Comaniam totaliter et unanimiter destruxerunt*“.... — Wielka jest tedy różnica między osnową tego miejsca, podaną w „*Szkicach historycznych*“ — a brzmieniem rzeczywistym listu Rogeryuszowego. — W rozprawie jest jeno Ruś miana na względzie — Mongołowie atoli, zanim się przeprawili do Węgier, spustoszyli, jak Rogeryusz prawi, nie samą Ruś tylko, ale Ruś i *Multany* które się w owych czasach *Komania*, od narodu Połowców czyli Kumanów, który w niej mieszkał nazywały. Spustoszyli zaś te kraje do szczytu (*totaliter*) i *wszyscy* t. j. Mongołowie wszyscy wspólnie (*unanimiter*). Nie grasowały przeto tamże hordy pojedyncze; lecz ogół wojsk Bału Chana splądrował obie ziemie łącznie. Co zatem, według „*Szkiców historycznych*“; miało dotyczyć samej Rusi, dotyczy, jak widzim, dwu owych krajów razem. Co się przeto w kombinacjach militarno-jeograficznych, jak je w „*Szkicach historycznych*“ czytamy, podobnem do prawdy wydawać, mogło w uwzględnieniu miejscowości tylko *jednego* kraju to zasię doznać musi, w zauważeniu: że o miejscowościach *dwu* ziem jest mowa — ważnych modyfikacyj; i w dalszém rozwinięciu daje wcale inne wyniki. Cofnięcie się Mongołów, po spustoszeniu Rusi tylko, na cztery lub

pięć dni pochodu *) ku północnemu zachodowi; nie odwiódłoby ich w kierunku ku Polsce kędy indziej (biorąc pograniczne Polsce grody Chełm, Belz i Przemyśl, jako zachodnie strażnice Rusi, w koncentrycznie zchodzących się promieniach za punkty wyjścia) chyba do ujść rzek Wieprza i Pilicy **) — a odwiódłoby ich widocznie od wkroczenia w granice Węgier *od ścian Rusi*. Odwrot ich przeciwnie wykonany z dzisiejszych Multan (te ostatnie są w relacyi Rogeryusza więcej miane na uwadze nie zostając bynajmniej na uboczu Mongołom; owszem będąc im po drodze w pochodzie od brzegów dolnego Dniepru i Bohu do Węgier) w kierunku podobnie północno-zachodnim na taką samą odległość (4 lub 5 dni drogi); przywiódł ich w samo wnętrze Czerwonej Rusi: w okolice Żurawna, Kałusza i Halicza na prawym brzegu rzek Stryja i Dniestru — pełne najwyborniejszych pastwisk, mogących żywić długi czas konie ich hordy. Tak tedy mogli Mongołowie według Rogeryusza Ruś i Multany prawie równocześnie spustoszyć — wyminąć przytem granice węgierskie od strony Pokucia i Bukowiny: by mieć ten szlak ubezpieczony na powrót dla siebie pod względem żywności i paszy — a oraz zmierzając w stronę zachodnio-północną, niby ku Polsce, nie oddalać się z poza obrębu granic Węgierskich;

*) W Rogeryuszu równa się jeden dzień drogi: ośmiu lub dziesięciu dzisiejszym milom jeograficznym. — Widać to z wzmianki jego o odległości miast węgierskich *Ostraygomia* (Gran) i *Białogrodu* (Stuhlweissenburg) z których pierwsze mil austriackich? — drugie mil 9 od Budzyna jest oddalonym; gdy powiada (Caput XVIII): „*Ipsæ enim de Strigoniensi et Albensi civitatibus, quas ad unam tantum diacem distabant*“.

**) Tym szlakiem szedł w samą istotę oddział wójak tatarskich pod dowództwem Pety. — To też, *dopełniony* taktycznego koła pochodem przez Polskę i Śląsk; wkroczył ten wódz dopiero od strony Moraw do Węgier.

owszem mieć je nieprzerwanie na flanku: gdy granice owe w ciągu ich z Multan na Ruś, aczkolwiek w odstępie kilkudniowej drogi, przylegały zawsze do lewego skrzydła ich pochodowych kolumn. — Z tej też okolicy t. j. od strony Żurawna, Kałusza i Halicza prze-walała się wielka horda chana Batego łożyskiem rzeki Stryja na Węgry — do Polski zaś wyszedł oddział pomniejszych, który stanowiąc prawe skrzydło ogółu armii Mongołów, przedarł się później przez Małopolskę, Śląsk i Morawy także do Węgier w celu połączenia się tamże z głównym korpusem.

Dawszy zarys ogólny naszemu zarzutowi, wymierzono-mu przeciw owemu twierdzeniu autora „*Szkiców historycznych*“; przystępujemy obecnie do wyłuszczenia szczegółowych dowodów.

Poczynamy od wyświecenia nomenklatury „*Porta Russiae*“, której Rogeryusz w liście swym używa, a o której autor mniema: jakoby w trzynastym wieku miała oznaczać „*przeprawę przez pasmo Karpat w okolicy Sądca*“.

Wyraz *porta* znaczy w terminologii jeograficznej łacińskiej *łęk górski* czyli *przesiedlinę w pasmie gór*, przez którą idzie trakt ułatwiający komunikacyą handlową i wojskową w przeprawie końmi i innemi bydłami wie-rzechowemi, juczniemi, lóznemi lub idącemi sprzężajem. Dawni Polacy tłómaczyli *Porta*, wyrazem *brona* t. j. *brama górna* (ma się rozumieć: „*górska*“) — późniejsi mówili *passy górskie*¹⁰⁾; — dzisiaj zaś zowiemy takie wkle-słości czyli przesiedliny *najśluszniej łękiem górskim*. — U dawnych jeografów węgierskich (łacińskich) oznaczała nas w szczególności jedna z dwóch nazw *Porta Russiae* *łęk górski*, którym idzie na poprzek Działów Bieszczadzkich starodawny trakt z ziemi Przemyśkiej a w szczególności z byłej ekonomii Samborskiej, mianowicie z Bo-

¹⁰⁾ *Łac. passus przemysk górski.*

ryńskiego klucza — do zamku Monkaczowa na Węgrzech. Tym łąkiem utrzymywała się z dawien dawna komunikacya ziem: Przemyskiej, Zydaczewskiej i Halickiej — w ogóle *Rusi Czerwonej*, z Marmo-Rusią (*Marmarossiensis Comitatus*) t. j. Rusią węgierską, duktem od porzeczka rzeki Stryja przez wsie Wysokie i Husnę po naszą — a wieś Łatórkę po węgierskiej stronie; do porzeczka rzeki Łatórcy, która o kilkanaście mil poniżej do Cisy wpada. Najbliżej owego łęku górskiego położonymi miasteczkami są obecnie: *na północnej pochyłości* Beskidów — miasteczko Turka i targowisko Smorza; *na pochyłości południowej*: targowisko *Werekie niżne*. — Że tedy szła już w czternastém stóleciu najpospolitsza z Rusi Czerwonej do Marmo-Rusi droga, dowodzi okoliczność iż Teodor Koryatowicz, niegdyś książę w Nowogródku litewskim, postradawszy swoją ojcowiznę wyprosił sobie u Karola I., ówczesnego króla węgierskiego: by mu nadał prawem lennem księstwo Monkaczowskie, niby będące najbliżej jego pierwszej ojczyzny i że tamże w moc wyjednanego przywileju podług zamku i miasteczka Monkaczowa, mającego najpierwszy i najśladniejszy przystęp (z powodu bliskości wyż-wzmiankowanego łęku górskiego) od strony Rusi, zatem największą łatwość znoszenia się z władzami ruskimi (albowiem przez długi przeciąg czasu wyświęcali się duchowni dla Rusinów zakarpackich w dyecezyach Czerwonej Rusi) — w r. 1360 monaster dla zakonników ś. Bazylego, pod wezwaniem ś. Mikołaja założył. ¹¹⁾

Jako zaś nawet już pierwiej, bo w wieku trzynastym punkt ten w paśmie Karpat był uważany za najważniejszy i z powodu znacznego obniżenia się gór w tém miejscu, za najwłaściwszy do przeprowadzenia się z Rusi do

¹¹⁾ *Brevis notitia fundationis Theodori Koriathovics* (Cassevin. 1804) Tomus II. Pars IV. pag. 6.

Węgier; udowadnia podanie samego Długosza¹²⁾ o księciu ruskim Lwie, który w górującej łęk ów pozycyi u szczytu góry nazwanej z wołoska *Pikuj*, położonej w samej granicy rusko-węgierskiej, u rozgranicza żupaństw Wongwarskiego i Bereżańskiego (*Comitatus Unghvariensis et Bereghensis*), tudzież rozdziału wód rzek Stryja, Wongu (*Ungh.*) i Łatórey, kazał być umieścić znak granic państwa ruskiego: kładąc napis wyryty na opoce cerkiewnemi literami — któryto napis, acz dzisiaj, za wpływem czasu, prawie już nieczytelny jeszcze istnieje. Książę ten, panujący około 1280 r., zatem w czterdzięści lat po wпадnięciu Mongołów, nie kładłby był bezwątpienia znaku granicznego w ustroniu zapomnianém: gdyżby go tam nikt nie był czytał; ale dał go podle drogi ułatwiającej wstęp z Rusi do Węgier i nawzajem — niedaleko miejsca, nazwanego przeto od Węgrów „*Porta Rusciae*“ — niby „*wrót Ruskich*“, albo, mówiąc dzisiejszym językiem: *klucza* do wnijscia w ów kraj; gdyż najistotniej wnijscie Węgom do Rusi, a wzajem Rusinom do Węgier otwierał i ułatwiał^{12½)}. Tędy była dla

¹²⁾ *Historia Polon.* (Lipsiae MDCCXI) pag. 35.

^{12½)} Ważność i niemal wyłączność tej drogi pod względem wojakowym, potwierdza skądinąd samo założenie i skupienie w siemi Przemyskiej, osobliwie w byłej ekonomii Samborskiej, tylu osad tak nazwaney *szlachty żunowej*. Osady te, utworzone po części jeszcze za panowania udielnych książąt ruskich; rozszerzone zostały i dotowane należycie przez króla polskiego Władysława Jagiełłę, celem, jak świadczą rękopiśmienne kroniki miejscowe w Samborze i Turce: ubezpieczenia granic Czerwonej Rusi od napadów Węgrzynów, usiłujących rewindykować byłe królestwo Halickie. że zaś Węgrzyni zwykli się byli wdzierać do Rusi *tędy* t.j. przez prawą Worecką — *po pod górą Pikuj*; to też widzimy osady owe, rozpołożone jedno po sadrugiem — po większej części na porzeczku rzeki Stryja; tworzące kolumnę sawaze gotową do odparcia wkraczającego w kraj nieprzyjaciela — opartą o najsilniejsze w jezdnych ziemian okolicy — sięgając czołem po pasmo granicznych Karpat. Osady (że inne pominiem) Kruszelnica, Kropiwnik, Jajwa.

Mongołów najwłaściwsza do przeprowadzenia się na stronę węgierską droga; albowiem na przestrzeni między Stryjem z jednej — a Monkaczowem z drugiej strony, jest pasmo Karpat najwyższe: Mongołowie zaś, wyłącznie jezdny naród, zwykli byli oglądać się w wyprawach swych głównie na kraje stepowe, płaskie: kędy równie snadno tak wielką liczbę koni wyżywić — jak i z najpomyślniejszym dla siebie skutkiem walkę stoczyć mogli. Ciagnienie ich zatem tą drogą było nader trafnie, ze względów taktyki zarówno, jak i ekonomii wojennej obmyślaną operacją — *raz*: iż Batu Chan uderzając ztyd na Węgry w pośrodku dwu wielkich skrzydeł swojej armii, ciagnących do Węgier przez Siedmiogród i Morawy nie oddalał się zbyt daleko od żadnego z nich; był zatem w stanie przyzywania ich w pomoc, lub dawania im wzajem w potrzebie pomocy; — *powtóre*: że nie zbaczal z prostego szlaku, wiodącego jego środkowy zagon najkrótszą drogą do właściwego kresu jego działania t. j. do centrum i stolicy Węgier, a mianowicie miast i grodów królewskich i biskupich Budzyna, Ostrzygomia, Wyszehradu, Wacowa i Pesztu; — *potrzebie*: że tym sposobem ustrzegł, o ile tylko mógł, swoje wojsko od niefortunnych dla każdego oddziału konnicy w przeprawie górskiej przypadłości; jako to: od braku końskiej paszy w okolicy jałowej i lesistej — od drogi ostrzej na krzemienistém łożu potoków górskich (jedynych naturalnych szlaków, któremi bez pomocy techniki w poprzek pasm gór przejechać się zdarza), której skutkiem

ra, Ilalik, Wysokie niższe, Komarniki, Wysokie wyższe, Matków, Mochnate, a wreszcie Iwaskowice a stóp Pikuju — oto nieprzerwany zastęp rycerstwa, przeznaczonego strzedz bramy Rzeki, przypuszczonego w skutek uznania tak ważnej krajowi usługi do kłajnotu szlachectwa Polskiego — zwykłe z herbem „Sas“. — Wale szlachty Janowej dochodzą tylko w tym jednym punkcie t. j. w okolicy gór Pikuju: do pasma gór Karpackich.

ochronianie koni następować zwykło — nareszcie od nie-
pomysłnej dla jazdy rozprawy w stanowiskach górskich:
na przypadek gdyby jej tamże w korzystniejszych dla
broniącego, zwłaszcza pieszego żołnierza zasiękach i cie-
śniach wojsko nieprzyjacielskie drogę zastąpiło. — W sku-
tek więc tak roztropnie obliczonej i dzielnie wykonanej
operacji, skrócił Batu Chan przeprawę dla centralnego
zastępu swego przez góry do najmniejszości, czego je-
dynie posuwaniem się na linii Stryjsko-Monkaczowskiej
dopiąć podobna było. — Pocóżby miał kierować pochód
głównego zagonu Mongołów do Węgier *przez Kraków*,
gdy pomijając bardzo znaczny przybytek drogi — byłby
jeszcze (na linii od Krakowa do Miskowca ^{13/a}) miał o
wiele dłuższą przez góry przeprawę, której z powy-
żej wyrażonych przyczyn właśnie unikać był winien?
W „*Szkicach historycznych*“ jest powiedziane: jakoby
od naszej granicy podległej Sądca było bliżej do Pesztu—
niż od strony Marmaro-Rusi. To trzeba tak rozumieć: iż
od granic naszych u rzek Dunajca albo Popradu jest
bliżej do Pesztu tylko w linii jeograficznie prostej, za-
tém bez zauważenia właściwości poziomu, który ma to
do siebie: że o ile jego powierzchnia *równa* ułatwia; o
tyle jego powierzchnia *górzysta* utrudnia przeważnie ko-
munikacye. Gdy jednak na drodze od Śpiża ku Budzy-
niowi są *wielkie góry* do przebycia — a przeciwnie na
przestrzeni od Monkaczowa ku Pesztowi ziemia jest *ró-
winnutemka* (tak nazwane *bagniska nadcisiańskie* nie były
tak obszerne, by ich snadno nie można było objechać
i nie tamowały właściwie nigdy komunikacji w tém
miejscu; więc niema się czemu dziwić: że hufiec mon-
gołski, mający nadzwyczaj ręce, do gonitw na stepie
wprawne lubo bose konie, przejechał tę przestrzeń prę-
dziej — niżby był w stanie przebyć drogę od granic pol-

^{13/a}) Miskolts.

skich podle Sądca aż do Pesztu, aczkolwiek krótszą — ale dziesięćkroć, zwłaszcza dla jazdy o niekowanych koniach zmudniejszą: bo poprzerynaną w poprzek przykremi i ostremi z powodu kamienistego pokładu grzbietami pasm górskich.

Dwie wielkie drogi wiodły rzeczywiście niegdyś *lękami góorskimi* z Rusi do Węgier i bywały od jeografów węgierskich (łacińskich) nazywane „*Portae Rusciae*“. Jedna z nich była droga *Werecka*, o której już wspomnieliśmy: od strony Drohobyczy, Stryja i Halicza — wtóra zaś była droga *Jaśliska*: od strony Sanoka. Ta ostatnia niema atoli nie wspólnego z drogą Sąddecką t. j. Spiską, która od niej niemal o cały stopień jeograficzny dalej ku zachodowi jest położona. My tu o przeprawie Sąddeckiej czyli raczej Spiskiej mówić nie będziem; albowiem ona wiodła w trzynastym wieku przez *Podolnec* lub *Kieszmark* na Śpiżu — zatem nie przez kraje ruskie; lecz wprost z Polski do Węgier. Uwzględnimy tylko dwa szlaki już wspomniane t. j. drogę *Werecką* i drogę *Jaśliską*, ^{13/b)} jako komunikacye Rusi z Węgrami głównie ułatwiające, i przeto nazwane „*wrotami Ruskimi*“ (*Portae Rusciae*). Innych bowiem szlaków do przeprowadzenia tak wielkich wojsk z Rusi do Węgier wówczas nie było. — Chociażby Batu Chan nie przeprawiał się był drogą *Werecką* (na linii z Drohobyczy i Stryja do *Monkaczowa* i *Wielkiej Bani*) — lecz (czego nie było w istocie) drogą *Jaśliską* (na linii z Sanoka do *Bardzowa*, *Preszowa* i *Tokaju*); to jeszcze nie wynika ztąd prawdopodobieństwo: iżby odbywał pochód na Kra-

^{13/b)} Pierwsza swała się u pisarzów węgiersko-łacińskich (w wiekach średnich) „*Magna Porta (Russiae)*“ — druga: „*Antiqua Porta (Russiae)*“ (vide: apud *Kátona*, Tom VI, p. 82. et *ibidem*: in *Thomae Archiepiscopi Strigoniensis* diplomate; ad annum 1312). — Tamta była u źródła rzeki *Stryja*; — ta w pośrodku źródła *Wiśłaki* i *Jaśiołki*.

ków: gdyż natedy musiałby, aby w ciągnięciu z pod tego miasta wkroczyć do Węgier (według słów Rogeryusza) *per „Portam Rusciae“*; cofnąć się od Krakowa na wstecz przynajmniej aż do *Jaślik* (niemal o dwa stopnie jeograficzne): bo bliżej Krakowa położonego, głębiej na zachód wychylonego szlaku górskiego, któryby nazywano *szlakiem ruskim* (*Porta Rusciae*) nie było nad *szlak Jaślicki*. Cofnięcia się jednak takowego, równie jak i całego mniemanego zapędu Batu Chana pod Kraków przypuszczać nie można; tak jak się w rzeczach poważnych nierozsądnego pomysłu nie przypuszcza. — Co się powiedziało obecnie; tyczyło się mniemanej przeprawy Batu-Chana przez *szlak Jaślicki*. Nie przeprowadził on się wszakże tym szlakiem, lecz szedł, jak wyżej powiedzieliśmy, z Rusi do Węgier *drogą Werecką* (na linii Stryjsko-Monkaczowskiej). Rogeryusz bowiem powiada: że Batu wkroczył do Węgier *per Portam Rusciae, quae propior erat ad locum, in quo rex congregabat exercitum* (ma się rozumieć owo miejsce, w którym najpierw zgromadziły się wojska królewskie na obronę kraju od Mongołów pod przywództwem wojewody Dyonizego). Owóż mając pewność: że wojsko węgierskie oczekiwało Mongołów podle Monkaczowa; można być również pewnym: iż wzmiankowaną „*Porta Rusciae*“ nie był szlak inny—jeno „*przeprawa Werecka*“. Jako zaś Węgrzyni oczekiwali istotnie Mongołów u szlaku Wereckiego; tego dowodzi historyograf Meynert ^{14/a}), czerpiący, jak wiadomo,

^{14/a}) Indessen sog die furchtbare Gewitterwolke der Mongolen, den Sturm der Verheerung schauend und die Blitze des Verderbens sendend, unter dem Donner zahlloser Hufschläge heran. Auf derselben Strasse, welche vor vierthalbhundert Jahren die siegenden Magyaren nach Pannonien geführt hatte, brachen jetzt (12 März 1241) Batakhans schreckliche Horden über Munkacs und Ungvar ein. Umsonst hatte der Palatin Dyonysius mit seinem kleinen Häuflein sich am Werecker Passe den Feindesschwärmen entgegenge-

materyał do kreślonych przezeń dziejów austriackiego państwa i wchodzących w jego skład narodów i krajów nie tylko z dawnych kronik — ale po części i z starożytnych pisanych aktów, przechowywanych w archiwach rządowych i partykularnych, które mu pod tym względem otworem stały: niemniej poniekąd i z dawnych tradycyj utrzymujących się tu i owdzie w pełni u ludów osiadłych na ziemi węgierskiej, a dochowujących pamięć owego nadzwyczajnego wypadku ^{14/b}).

Autor *Szkiców historycznych* usiłuje powyższe twierdzenie swoje o wyboczeniu Batego do Polski aż na Kraków, a równocześnie i o wkroczeniu jego do Węgier mniemanym *szlakiem ruskim* na Sącz, podeprzeć tym domysłem: że w wieku trzynastym rozumiano pod mianem Polski tylko ówczesną Wielkopolskę — nie zaś Sędomierz i Kraków; że co większa, liczone podówczas całe podgórze księstwa Krakowskiego do krajów ruskich. — Według tego mniemania sądzi on tedy, że można poczytać i drogę Sądecką, po której za jego zdaniem (acz *pochybmie*) szły wojska mongolskie Batego z pod Krakowa do Węgier — także za *szlak ruski*. — Domysł ten niema jednak żadnej podstawy; albowiem

stellt, um des Vaterlandes heilige Schwelle zu schützen. Über die Leichen seiner Tapfern drangen die Verwüster weiter etc. etc. MEYNER: *Geschichte Österreichs, seiner Völker und Länder*. (Pesth, 1844.) IV Band. Seite 190 und 191.

^{14/b}) Z tych tradycyj wymieniamy tylko fakt jeden notorycznie pewny, który historia węgierska w zupełności potwierdza: jako wszystkie prawie ludność górską nadgranicznych Rusi szepców Wongwarakiego, Bereżańskiego i Marmaryskiego, padła była pod orędem przechodzącej tamtędy Wielkiej Hordy. Ludność owa była narodowości i języka wołoskiego; dopiero książę Teodor Korystawicz, otrzymawszy ku temu właściwy przywilej, sprowadził w tę okolice, jako najbliższą położoną jego pierwszej ojczyźnie, znaczny poczet osadników ruskich na zaludnienie. (Vide: „*Brevé notit. fundat. Th. Koriatowitcs.*“)

słowo według przyznania ¹⁵⁾ samego autora były w owym stuleciu znane *tylko dwie drogi ruskie*, któremi spodziewamy się dosyć dowodnie, *jedną*: drogę Jaślicką — *wtórą*: drogę Werecką, wykazaliśmy; to już samo z siebie wynika, iż w poczcie tych *dwu szlaków ruskich* niema miejsca dla *trzeciej* drogi ruskiej, którą autor mylnie *szlak sądecki*, wiodący do Węgier *wprost z krajów polakich* być mieni ^{16/a)}. Fakta nareszcie nie świadczą zbyt silnie za prawdopodobnością domysłu autora: jakoby wonezas pod nazwą Polski rozumiano *tylko Wielkopolskę*; gdyż każda ówczesna historia potwierdza to jedno: że *Mongolowie w Polsce byli*. Twierdzenie to nie miałoby atoli miejsca, gdyby miano *Polski* nie odnosiło się oraz do Księstw Krakowskiego i Sandomierskiego ^{16/b)}.

¹⁵⁾ Str. 55 — wiersz 2, od góry.

^{16/a)} Z rozumowania autorowego, którym swój domysł uzasadnił się stara, widąc pomyłkę, w którą popadł p. Szajnocha porysując *przeprawę Dukielską właściwie Jaślicką za jedno i to samo z przeprawą Sądecką*; gdy tymczasem między jednym a drugim z tych szlaków jest prawie stopień jeograficzny odległości.

^{16/b)} Na udowodnienie okoliczności: iż węgierscy dyplomacy w połowie trzynastego stulecia nazywali przyłogte ich krajowi, a w szczególności książstwu Szaryakiemu i ziemi Spiakić *Księstwo Krakowskie Polską* przytaczamy prawie w całej osnovie *jeden z przywilejów króla węgierskiego Wajcischa (t. j. Béli) Czwartego* z r. 1248, w którym przy określaniu granic, nadawanych pewnemu dworzaniowi w posiadłość obszarów, Sądeczyźnie pogranicznych, wymienione są najwyraźniej krańce czyli szlaki graniczne *Polski*. (*Vide Joan Berdoss pag. 44—48*). — Dokument ten opiewa następująco: „Bela Dei Gratia Hungariae, Dalmatiae, Croatiae, Ramae, Servinae, Galiciae, Lodomeriae, Comaniae, Bulgariaeque rex: Omnibus Christi fidelibus, tam praesentibus, quam futuris, Salutem in omnium Salvatore. Licet regia pietas manum munificam porrigere debeat universis; illum tamen, cujus experta probitas laudata est cum in prosperis tum in adversis, principaliori debemus prosequi munere et favore, ut alij ejus exemplo incitati, ad fidelitatis opera fortius accendantur. Hinc est, quod cum Detricus, filius Mohel, serviens noster, qui a primae-

Odnosiło się ono tem mniej do samej Wielkiejpolaki: że Mongołowie w wyprawie swój krom województw Sieradzkiego i Łęczyckiego, tudzież krańca Kujaw *to właściwej Wielkiej Polsce* (Poznań — Gniezno — Kalisz) *nie byli*. — Z całego toku wojowania Mongołów w Polsce widać owszem: że potęga ich prawego skrzydła grasowała w Małej Polsce: do granic i ziem Wielkopolskich zaś dotarło tylko ich ostateczne prawe skrzydło. Pewna rzecz jest: że jeżeliby Wielkopolska była istotnym celem wyprawy prawego skrzydła hordy; toby wódz Peta był poprowadził tędy całą moc danego mu pod rozkazy zagonu. W takim razie nie uszłyby ani katedra Gnieźnieńska, ani inne wielkopolskie kościoły, w któ-

vis pueritae suae temporibus. Nobis gratum et acceptum indefessae fidelitatis studuisset impendere obsequium gratiosum in diversis regni nostri expeditionibus, cum armis militaribus et armatis viris fortunae casibus viriliter se exponens, et aliis articulis, quae longum esset enarrare per singula, absequiosum se, devota promptitudine et prompta semper Devotione, juxta nostrae beneplacita voluptatis exhibere curraset, nolens parcere rebus neque personae, et specialiter quando conflictum juxta fluvium Sajoo cum saeva gente Tartarorum habuissemus, idem Detricus cuidam, adversa acie super nos irruenti, viriliter se opposuit, et ab ipso crudeliter vulneratus a morte nos liberavit; quamobrem ob ejusdem exigentias moritorum grata vicissitudine occurrentes, licet pro modico reputemus, quod ad praesens agimus respectu servitiorum ejusdem, quaedam loca venationis nostrae, ultra indagines prope terminos terrae nostrae existentia in exitu ad *Poloniam*, in comitatu de Sarus, cum omnibus utilitatibus et pertinentiis eorundem Bacamesey, Torkeley et Veres alma vocata, non ut donationes a regia benignitate concessas, sed ut descensum haereditarium praedicto Detrico, filio Mohol, et haeredibus suis, haeredumque successoribus contulimus, dedimus, donavimus ac tradidimus jure haereditario et irrevocabiliter perpetuo possidenda, in cujusmodi cunotarum terrarum corporalem possessionem praedictum Detricum, filium Mohol, personaliter nos introduximus, quarum *metas* et termini hoc ordine distinguuntur: Prima meta incipit a capite fluvii, Litona vocati, qui manat in indagine ad longitudinem ipsius indaginis, et cadit in fluvium, Tarcha vocatum, et supra ipsum

rych skarbcach się już podówczas bezwątpienia wielkie kosztowności w wotach apparamentach kościelnych znajdowały— napaści chciwego zdobywcy nieprzyjaciela.

Chociażby atoli wszystkie powyżej przytoczone okoliczności nie starczyły za dowód: że Batu Chan nieodbywał pochodu przez Polskę; to wszakże tyle jawna każdemu, kto przebiegł uważnie dzieje owych wypadków: iż w przypuszczeniu, jakoby Batu nawiedził pierwój Kraków, a ztamtąd dopiero udał się do Węgier ¹⁷⁾; jest anachronizmem, którego autor niczem nie objaśnia. Jeżeliby się bowiem istotnie rzecz tak miała była: że chan pociągnął przez Kraków do Węgier; toby oczywiście żagon jego nie mógł stanąć wprzód w okolicy Pesztu— zanimby nie uderzył na Kraków. Tymczasem rzeczy się miały zupełnie inaczej; ponieważ Mongołowie pobili Węgrów pod dowództwem wojewody Dyonizego Hederváry już 12 (*dwunastego*) Marca ¹⁸⁾ w okolicy Monkaczowa; a 17 (*siedmnastego*) Marca zdobyli już i

fluvium, Tarcha vadit supra ad partem occidentalem in directum, usque Kukeneger Patak vocatum, et super eundem rivum Kukenger Patak vadit supra versus aquilonem usque meatum seu exitum ejusdem rivi, et ibi separat a metis villae, Tarcha vocatae, et abinde transit per montes ad altas arbores, ad partes aquilonis, et cadit in fluvium Poloucha vocatum, qui cadit in fluvium Poprad, et ibi segregat a terra Poloucha, et super ipsum fluvium Poprad tendit et vadit usque metas terrae *Poloniae*, deinde circuit ad partes orientales usque ad metam priorem, et ibi terminantur. Ut igitur hujus nostrae donationis series robur perpetuae firmitatis obtineat, praesentes concessimus litteras, duplicis sigilli nostri munimine roboratas. Datum anno gratiae millesimo ducentesimo quadragesimo octavo.

¹⁷⁾ *Sakice historyczne* stron. 17.

¹⁸⁾ venit idem solus, qui nocte dieque cursitaverat Palatinus dicens: „quod duodecimo die intrante Martio in Porta congressum habuerat cum iisdem etc. etc. *Rogerii Epistola in miserabile carmen*. Cap. XVI.

złupili miasto Waców podle Pesztu ¹⁹⁾: gdy przeciwnie wedle świadectwa samego, tylekroć przez autora w porękę przyzywanego Długosza dopiero dnia 24. (*dwódziesiątego czwartego*) Marca pod Krakowem stanęli.

Zdanie nasze, które na podstawie powyżej wyluszczonej dowodów objawiamy w tej osnowie: że *Batu Chan nie był w Polsce; lecz że się prosto z Rusi przeprawił do Węgier*; wsparte jest nakoniec powagą Chwalczewskiego, kronikarza mało dotąd uwzględnionego: acz zasługującego z wielu miar na uwagę — piszącego dzieje polskie w języku narodowym, w pierwszej połowie szesnastego stulecia. Chwalczewski nie znał kroniki Długosza, ale znał zdaje się, źródła historii polskiej dawniejszej, z których zapewne i Długosz czerpał — znał widać i kroniki zagraniczne. On tedy, mający tak niepoślednie (jak na owe czasy) ku napisaniu swojej kroniki przygotowanie, mógł też mieć w zakresie historii nieuprzedzone zdanie. Aczkolwiek był świadom utrzymującego się po części już za jego czasów w *pewniej* jak powiada, *historii Polskiej*, podania o bytności Baty w Polsce — z drugiej strony zaś czytał był relacyą Rogeryuszową, prowadzącą do zupełnie innych konkluzji: oświadczając się przecie nareszcie, zważywszy po krótko okoliczności przemawiające za wierzytelnością lub prawdopodobieństwem jednego albo drugiego zdania na szali prostego rozumu; za podaniem Rogeryusza, jako naocznego świadka, i ocenia jego opis za zgodnie z prawdą skreśloną relacyą ²⁰⁾ Mniema więc w końcu:

¹⁹⁾ *Meynert: Geschichte Österreichs. Seite 191.*

²⁰⁾ powyada Hystorya Polska, a zgada syc z Rogeryussem: *ync Baty czarsz Tatarsky nye bel w Polsce*, jako przesieczona Hystorya powyada; alye gdy chozyl *yachacz do Węgier z Russy*, polowycze swego woyska (z) *xyaszocyem ymyenym Peta ka spuathosenyu Polsky poslal* Albowiem Baty przes *gorną bronę*, *slamawssy (swo) yą moczą xyaszoczyna krolesthwa węggyer-*

ze Batu Chan w Polsce, według samego przyrównania dat, znajdować się nie mógł.

Równie pobieżnie i porywczo jak w objawieniu swego zdania o pochodzie Chana Batego, postępuje sobie autor „*Szkiców historycznych*“ w przedmiocie dania opinii o bitwie książąt polskich z Mongołami pod Opolem. Dziwna zaiste: jak można było tak dalece pobiłdzić, by mimo wszelkiego niepodobieństwa do prawdy, które się tłumaczy wielce różną niejscowością, poczytać miasto Opole na Szlązku, podle którego książęta: Bolesław Wstydlivy i Władysław Opolski zostali pogromieni od Mongołów — za małą miejscinę tego imienia w województwie Lubelskiem. Wszakżeż Stenzel, dziejopis Szląski, wyświeca zasadnie okoliczność téj bitwy.²¹⁾ Z objaśnień jego wynika niezaprzeczony dowód, którego atoli autor „*Szkiców historycznych*“ jeno trefunkiem domyślać się zdaje: iż w kronice Bogufałowej (Sommersb. II. 60) imiona owych dwu książąt są na wspak położone. — że więc nie trzeba czytać: „*Boleslaus Oppolensis et Wladislaus Sandomiriensis*“ — lecz *Wladislaus Oppolensis et Boleslaus Sandomiriensis*“. — że nasz Bolesław Wstydlivy był ówczesnym księciem Sandomirskim: to rzecz wiadoma i dowodzenia nie potrzebuję — że zaś

skyego usthawyonego przez króla strzech they brony *daya 18 Marce*: wyachal przed Kwycethnyą Nyedzyelą w palaez ass do Pesthu przeosyw krolowy. — Usthappyel y przyoyagnal — a odstępywssy, gdy syg za nym krol Bella udal, otoczywssy węgeryskie woysko, po-
byel y rozprossel. *Tego czasu Peta z Kracowa do Wrocslawoya yachal; a Bathy czareo tatarsky nyemogel byda yednego czasu we dwu krolestwyech. Stanisław Chwalczewski: Kronika Polska (Warszawa; wyd. Gałęz.) 1829. Cap. XLI. str. 136 i 137.*

²¹⁾ Während Batu mit der Hauptmacht in Ungarn eindrang, eroberte ein Haufen unter seinem Feldherrn Peta Sandomir, drang über Krakau vor, schlug bei Oppeln die Herzoge von Sandomir und von Oppeln etc. etc. *Stenzel: Geschichte Schlesiens. (Breslau 1853) Seite 47—49.*

Władysław, brat Miecysława II. księcia Opolskiego, później sam panujący książę na Opolu, jeszcze na kilka lat przed wypadnięciem Mongołów (bo już w r. 1235) działał był wojowniczym hufcem przywódcą po rycersku, na własną rękę; to poświadcza historyja Szlązka. ²²⁾ — Słuszna zatem: że dziedzic Opola i przyszły następca na księstwo Opolskie po domniemanem zejściu swego podówczas jeszcze panującego brata (rzeczywiście objął po nim rządy w pięć lat później, t. j. w r. 1246 ²³⁾) bronił usilnie zamku i stolicy swego księstwa od napaści nieprzyjaciół. O ile rzecz takowa łatwo się tłómaczy: o tyle przeciwném rzeczywistości jest przypuszczenie bytności tego szlązkiego książęcia w owęj, wielkiem i nagle niebezpieczeństwem grożącej dobie — opodał od swego rodzinnego gniazda: bo aż u miasteczka Opola w województwie Lubelskiem. — I otóż to autor tak poważny, jak p. Szajnocha, mógł sobie w brew zamilczeniu dziejopisów o oném nie-historycznym Lubelskiem (ówczesném *Sędomierskiem*) Opolu, gdzie ile wiadomo ani osady, ani zamku, ani książęcej siedziby, ani w trzynastém stóleciu bitwy nawet nie było — podobnie mylną rzecz wyobrażać i w nią ni-ztąd ni-z owąd uwierzyć! ²⁴⁾.

²²⁾ Wladislaus, der älteste nun mündige Sohn Herzogs Kasimir von Oppeln, hatte Heinrich dem Bärtigen (1235) Beistand in diesem Kriege geleistet etc. etc. *Stenzel*; ibidem. Seite 44.

²³⁾ Roku 1246 umarł Miecysław II, książę na Opolu, Raciborsu i Cieszynie, którego wdowę Judytę, córkę Konrada księcia Masowieckiego pojął za żonę Henryk III. książę Wrocławski, a ona mu tysiąc grzywien srebra w posagu wniosła. — Po Miecysławie II. nastąpił brat jego Władysław I. — *J. Lampa: Krótki rys historyi miasta Opola i księstwa Opolskiego.* (G. C. 1855. N. 27 i 28 str. 221 i 226).

²⁴⁾ „*Szkice historyczne*“ str. 37 i 38. Nota 38. — Najmocniej świadoczy przeciw mniemaniu autora w tym względzie, podana przez

II.

Obecnie przystępujemy do podniesienia zarzutu przeciw treści drugiego z kolei artykułu zawartego w „*Szkicach historycznych*“, którego roztrząśnienie wzięliśmy sobie również za zadanie, — a który nakreślony jest w tém dziele pod tytułem: „*Stanisław i Anna Oświęcimowie*“.

Odmienny charakter treści objętej tym artykułem rozprawy nasuwa nam zarazem na myśl inne uwagi od owych, z którymi zabieraliśmy się do ocenienia poprzedniej pracy autora. — Historia niniejsza, lubo rzecz jęj wchodzi właściwie tylko w zakres powieści rodopisowych; wstąpiła już wszakże od dawna w poczet podań gminnych, a od niejakiego czasu widzimy ją nawet przepiesioną z dziedziny podań ludowych na pole romantycznego piśmiennictwa. Nie poczuwając się do potrzeby i obowiązku rozbadywania obszernie jęj wątki ze stanowiska estetyki i umnięctwa, zastanowim się jeno ile można jak najkrócej nad względnym stosunkiem podań do historyi: zanim ogłosimy zrobione odnośnie do treści rozprawy założenie.

Nie pierwszy-to raz można słyszeć narzekania historyków na osnowanie w drodze przesady poetyckiej opisu minionych wypadków. Rozwaga rozbierająca zimno każdą rzecz, nie pozwala im podzielać przeświadczenia o prawdzie mniemanych częstokroć wybujałości fantazyi natchnionego gminu: nawzajem zaś uwierzytelnieniu

jeografa Świąckiego okoliczność: że miasteczko Opole dopiero w wieku XIV przez Władysława księcia Opolskiego (ze Szląska) rejenta, w Polsce za Ludwika króla, założoném zostało. (*Starożytności Polskie* Tom II. Poznań. 1852. artykuł: „Opole w województwie Lubelskiem“). — Nazwaném zaś zostało to wtóre Opole ku pamiętce szląskiego Opola, w którém książę — założyciel dzisiejszy.

powieści nie obliczających się w swych podaniach z wymaganiami krytyki prostaczków, stawia na zawadzie sceptycyzm dziejopisarzów *par excellence*. — Opiniowanie w takowym sporze wymagałoby więcej niż ogólnie bezstronnego rozpatrzenia się w zasadach rzeczy rozważyć się mającej — wymagałoby każdokrotnie drobiazgowego roztrząśnienia treści przypadłego do ocenienia przedmiotu. Baczenie tak usilne na użyczenie trwałych podstaw stanowić się mającemu orzeczeniu bywa wprawdzie tém pożądanyszem: czém trudniej jest z góry zawyrokować: przy kim w podobnym razie słuszość zostaje. Mimo to trzeba, zdaje się, dokonanie sądu w tej mierze zdać jedynie na rozsądek i dobrą wiarę głosicieli opinii sobie przeciwnych: z wezwaniem ich do zobopólnego porozumienia się — co przy niejakiem przestrzeganiu oględnego zachowania się strony poważniejszej nauką w obec przeciwnika rzeźwiejszego uczuciem nie zdawałoby się niepodobnem do uskutecznienia. Lubo albowiem, jedni i drudzy — t. j. dziejopisowie i poeci mają w zawodzie kreślenie podmiotowych opisów pewien właściwy stawający sobie czasem na przekór rodzaj tworzenia; to nie są przecież w każdym razie tak zarozumiali, by nie zdołali uznać zasług strony przeciwniej. W ten sposób pojmuję, jak jeden z naszych poważnych badaczy historii, aczkolwiek niewątpliwie oziębły na wrażenia romantyki, ale snadź nie wiedziony w obłąd myślą upatrywania w zdaniu swém nieomyślności, ocenia trafnie ważność podań w ogólności — a o poetach, chociaż wprawdzie ostrzega o szkodliwości rozbujania fantazyi w obrębie dociekania natury wydarzeń dziejowych, powiada przecie z przyznaniem i im przynależnej zasługi: że „*co oni w swych dziełach zostawili; jest najdawniejszym zbiorem wiadomości wszelkiego rodzaju, gdzie naleźć można pierwsze podania lu-*

dzi* . . . ²⁵⁾ — Jeżeli snadź uznana jest za słuszną zasada prawa, orzekająca wiadome prawidło: „*audiat et altera pars!*“; toć posłuchajmy także w tej rzeczy niezrównanych słów drogiej pamięci mistrza naszych piewców, które on w niniejszej materji wymowną pieśnią wajdeloty głosi:

„O wieści gminna, ty arko przymierza
„Między dawnemi i młodszemi laty:
„W tobie lud składa broń swego rycerza,
„Swych myśli przędzę, i swych uczuć kwiaty.

„Arko! tyś żadnym niezłamana ciosem,
„Póki cię własny twój lud nie znieważy;
„O pieśni gminna, ty stoisz na straży
„Narodowego pamiątek kościoła,
„Z archanielskimi skrzydłami i głosem —
„Ty czasem dzierzysz i broń archaniola. ^{26/a)}

Nie roztrącajmy podań, lecz szanujmy one, jeżeli nie z dowierzaniem zupełnie ich treści, to przynajmniej poczytując je za to, czem się rzeczywiście okazują to jest za materyał przydatny do osnowy każdej historyi! boć zaprawdę miał słusność ten pisarz, który rzekł: jako „*i w widomój karcie historyi, podania rzucają jeszcze na nią odbłysek prawdziwego światła, i dopomagają nieraz do właściwego jej pojęcia i zrozumienia*“.....

Jakkolwiek bądź: nie do nas należy rozwodzić się bliżej nad właściwem powołaniem i wartością podań w obec ściśle pojmovanych prawideł umiejętności. Tego

²⁵⁾ Ks. Hugo Kołłątaj: „*Badania Historyczne*“; (Kraków 1842) Tom I. str. 9.

^{26/a)} *Pisma* Adama Mickiewicza. (Paryż; wyd. 7. 1844) Tom III. str. 39.

tylko sądzimy, nie można całkiem zaprzeczyć: że podania historyczne nawet i w zakresie nauki nie są bez pożytku i znaczenia. W każdym razie prawie są one zbiorem pierwotnych wiadomości: uwzględnienie ich przeto tam jest mianowicie niezbędne, gdzie powaga świadectw piśmiennych nie wystarcza: by uzasadnić zdanie przeciwne ich treści. Bez stawienia przeciw-dowodów, odrzucić powieść podaną: nie jest rzeczą bacznego historyka — nie zbadawszy zwłaszcza uprzednio jej wątki u źródła t.j. na miejscu dotychczasowego istnienia — nie przekonawszy się zarazem, jeżeli można na drodze intuicji w pomnikach, które dały pochop do roznucia przedmiotu w kształcie powieści: o nicości lub prawdopodobieństwie podania.

Przystępując do rzeczy zamierzonego roztrząśnienia rozprawy o Oświęcimach; niemyślimy bynajmniej przeczyć: iż w istocie niema jeszcze dostatecznie nagromadzonych poszlaków do uzasadnienia stanowczego wniosku o naturze wzajemnego stosunku obojga wiadomych rodzeństwa, w ślad powszechnego przypuszczenia: iż takowy był innym krom zwykłego stosunku, jaki miłość rodzinna kojarzy.

Zadaniem przeto następnego rozbioru, nie jest w ogólności kreślenie historii Oświęcimów ^{26/b)} ani

^{26/b)} Ciekawszych w tej mierze czytelników, a w ogóle zbieraczy szczegółów rodopisowych odsyłamy po bliższą wiadomość do archiwum galicyjskiej tabuli krajowej, złożonego w klasztorze Bernardyńskim we Lwowie — a w szczególności do aktów b. Grodu Bieckiego, w których się najwięcej dokumentów dotyczących rodziny Oświęcimów oblatowanych znajduje. Dla ich użytku sporządziliśmy z ce najprzedniejszych *oblat* i załączamy następujący

Summaryuss

dokumentów jednośnyh do rodziny Oświęcimów, wciągniętych w akta byłego Grodu Bieckiego: od roku 1565 do r. 1673.

w szczególności usiłowanie dowodzenia rzeczywistości faktu, mającego dotąd jedyną podporę w domysłach ludzkich— nie jest kuszenie się o danie dowodów prawdziwości odnośnego podania: gdyż wiadomość o naturze tego zdarzenia przekazaną została potomności wyłącznie w formie powieści ludowej i *w niezwykłym* (jak każdy przyzna, co rzecz własnymi oczyma oglądał) objawieniu boleści brata nad stratą siostry *w całym nastroju, wystawieniu i ugrupowaniu świadczących o jego nadzwyczajnej miłości ku niej pamiątek* — lecz zadaniem rozbioru będzie odparcie niektórych dowodów stawionych

1565. Fer p. f. Conversion. s. Pauli.

1. Divisio Oświęcimów et Siedliński.

1634. Fer 2. post D. „Invocavit.“

2. Privilegium pro Parte Oświęcim; super Bona: Klecie, Błasz-kowa, Wola Januszewicze, Skerowa, Gogolowa, Czyrwina, Bukowa, Glinik, Dambowa, Brzesiny, Mała, Smaraczchowa, Siedlińska, Gorzaniowa, Kamienica.

Eodem. F. 2 post. D. „Cantate.“

3. Recognitio pro Parte Oświęcim.

4. Detto. — Recognitio pro Parte Ejusdem.

1649. Fer. 4. post. D. „Conductus Paschae“.

5. Intercisa inter Oświęcimowa et Borowski.

1652. Sabb. ante F. Nativ. s. Joannis Bap.

6. Recognitio pro Parte Oświęcim.

7. Detto. — Intercisa inter Oświęcim *).

8. Detto. — Litterae pro Parte Oświęcim.

1673. Fer. 5 post f. s. Dorotheae.

9 „Salvus Conductus“ pro Parte Oświęcim.

Rodzina Oświęcimów zwała się aż włącznie do piętnastego stolecia „Oświęcimkami“, i posiadała już wówczas dobra ziemskie w okolicy Krosna. — Jan Oświęcimka z Kunowej podpisał w r. 1464 wspólnie z innemi sąsiadami dokument, mocą którego gmina i rajcy miasta Krosna ustępują swemu Wójtowi część lasu Szczepańskiego (Obacz: Dodatek tyg. prasy Gaz. Lwów. Rok 1855 Nr. 6 stron. 23 i 24).

*) Jest to ten sam układ między wdową a dziećmi i. p. Floryana Oświęcima, którego transsumpt z aktów b. Grodu Saneckiego, poniżej podamy.

przez autora „Szkiców historycznych“ przecho treści podania o Oświęcimach w szczególności.

Pan Szajnocha nie bywszy w Krośnie— miewszy tylko *Dyaryusz Stanisława Oświęcima*, i to jak sam się przyznaje, niekompletny w rękę; usiłuje mimo tak niedostatecznej informacji orzec na drodze *rozumowego* dochodzenia: iż wzajemny stosunek wzmiankowanego rodzeństwa nie był nadzwyczajnym, i że powieść o miłości namiętnej (ma się rozumieć *nie rodzinnej*) Brata ku Siostrze jest *bajką*. — Nie mielibyśmy nic do zarzucenia takowemu orzeczeniu, ponieważ jak już wyżej powiedzieliśmy: nie zamierzaliśmy utrzymywać prawdziwości owego zdarzenia w przypuszczonej treści, ani stawać w obronie dotyczącego podania — gdyby jeno autor *Szkiców historycznych* był się postarał o przytoczenie ku poparciu swego tak stanowczego zaprzeczenia dowodniejszych w każdym rodzaju argumentów. Że atoli przeciwnie stawione przezeń w tym celu mniemane dowody, tak specyalne jak i dydaktyczne w ogólności, niemają wcale silnej podstawy; to wykażemy następnie.

W rzeczy poparcia owego zaprzeczenia upatruje pan Szajnocha *w tém* niby najgłówniejszy dowód: iż Stanisław Oświęcim w swoim pomienionym *Dyaryuszu* nazywa siostrę Annę: *Rodzoną*. Wnosi ztąd że musiała być rzeczywiście jego rodzoną t. j. jak *dzisiaj* mówim, z jednego ojca i matki rodzoną siostrą — kiedy ją w ten sposób mianuje.

Otóż w myśl uczynionego w poprzód założenia ma się obecnie udowodnić: *iż tak nie jest.*

Przedewszystkiem musimy uprzedzić, ktoby o tém niewiedział: że w dawniej polszczyźnie (jak było w używaniu do połowy ośmnastego wieku) używano owego wyrazu: albo w formie trzech-rodzajowego przymiotnika *rodzony, rodzona, rodzone* w połączeniu z imionami *brat, siostra* i t. p. np. *brat rodzony siostra rodzona* —

albołiteń w formie rzeczownika, stojącego samodzielnie: np. *mój rodzony moja rodzona*. — W obu razach oznaczał ten wyraz *brata lub siostrę po młeczcu w ogóle; nie wchodziło w to: czyli oni byli sobie rzeczywiście, jak się dziś wyrażamy rodzeni — czyli raczej (jak dziś pojmujemy) przyrodni — czy też, byli stryjeczni bracia albo siostry*.

Objasnia to następujące przykłady:

1. Stanisław Wierzbowski, starosta łączycki, żyjący w wtórej połowie siedemnastego i na początku ośmnaściego stulecia, wyraża się w swojej, świeżo przez nas do druku podanej *Konnotacie wypadków*²⁷⁾ (której, autograf każdorazem w celu naocznego przeświadczenia się oglądać można) o swoim starszym *podług dzisiejszego rozumienia „przyrodnim“ bracie* Zygmuncie, zrodzonym (według brzmienia skróconej przez tegoż samego starostę łączyckiego genealogii domu Wierzbowskich)^{28/a)} z Przylęckiej, *pierwszej żony* Hieronima wojewody sieradzkiego: gdy przeciwnie Stanisław z *jego wtórej żony*, Ginwillówny Piotrowskiej się rodził — pod rokiem 1666 następuje:

Tego roku odesławeru odjechał JMc Pan Hieronim Wierzbowski, chorąży łeczycki, i obłoczy suknie kapłańskie; a pierwsze święcenie od ka. Nuncyusza (bierne) (Die) 3tia Octobris wyjechał do Rzymu z JMcją Panem Zygmuntem wojewodziecem sieradzkim a bratem rodzonym moim.

Nazywa tedy tego lubo *dzisiaj wedle naszego pojmowania* tylko *przyrodniego brata* — swoim bratem *rodzonym*.

²⁷⁾ *Konnotata wypadków familijnych krajowych* od r. 1634 do 1689 zanotowanych; przez Stanisława Wierzbowskiego, starostę łączyckiego skróconas etc. etc. (Lipsk; w księgarni zagranicznej, 1846).

^{28/a)} Genealogia Wierzbowskich pochodzi się w poprzód *Konnotaty Wypadków*, w tym samym woluminie autografu.

2. Antoni Jendrski, Franciszkan, nazywa w kazaniu, mianem na pogrzebie Jana Kazimierza, Stadnickiego, wydanem we Lwowie roku 1645 pod tytułem: *Trzy znaki Łaski Bożej* — brata stryjecznego onegoż nieboszczyka, (Jana Adama Stadnickiego, podczaszego krakowskiego) na stronnicy 3: *stryjeczny rodzony*^{28/b)}.

Twierdzenie, jakoby wyrazy „*Rodzony*“, „*Rodzona*“ miały u dawnych Polaków znaczyć *z jednego ojca i matki* zrodzonego brata lub zrodzoną siostrę — z wyłączeniem tak zwanych obecnie *brata przyrodniego i siostry przyrodniej*: zrodzonych z innej matki, a tego samego ojca; usiłuje autor uzasadnić powołaniem się w tej mierze na zdanie lexykografa Lindego. Linde atoli, (pominąwszy okoliczność: iż w słowniku swym wyrazy owe *bardzo niedostatecznie* objaśnia;) nie jest powagą dostateczną w ogólnem definiowaniu wyrazów wyłącznie w *dawnej* polszczyźnie używanych, ani też w opiniowaniu o względnej donośności ich każdokrotnego znaczenia; z tej prostej przyczyny: *ż za jego czasów już się tak nie wyrażano*. Istotną powagą naukową w tym względzie jest dawniejszy od Lindego słownikopisarz Knapiusz,^{28/c)} który też owe tylekroć rzeczzone imiona „*Rodzony*“ (brat) — „*Rodzona*“ (siostra) w swoim słowniku wyraził: „*germanus frater*“ — „*germana soror*“ tudzież:

^{28/b)} Po prawniczymu: *frater Patruelis germanus*; która nazwa traża się często w dawnych łacińsko-polskich aktach sądowych.

^{28/c)} Pan Szajnochą zaglądał, jak sam mówi, jeno do wydania Knapiusza z roku 1780 — zatem z epoki najpóźniejszej wydał tego słownika, gdzie pierwotny tekst onego już był przeistoczony i dostosowany do mowy ówczesnej. Dla lepszego zrozumienia naszych zarzutów, radsimy przeto zajrzeć do lexyków dawniejszych tego pisarza — rozumie się do jedynie kompetentnych w tej mierze wydań z XVII wieku; np. do wydania z r. 1698: a tam znajdzie się na str. 318 tłumaczenie łacińskiego „*frater germanus*“ na bardzo związłe polskie „*Brat*“ (bez żadnego określenia ani przydatku).

„*Semigermanus*“ w łacińskim tłumaczeniu kładzie ^{29/a)} — *Frater germanus* i *soror germana* znaczą jednak i znaczyły w języku łacińskim *brata* albo *siostrę* „rodzonych z jednego ojca“ — ale „nie koniecznie z jednej matki.“ Można to czytać w autorze klasycznym Korneliuszu Neposie w przedmowie do dzieła: „*Vitae excellentium imperatorum*“, gdzie historyk ten wspominając o ślubach małżeńskich wodza ateńskiego Cymona z jego *rodzoną* (z jednego ojca — lecz *nie z jednej matki*) siostrą, wyraża się temi słowy: „*Neque enim Cimoni fuit turpe, Atheniensium summo viro, sororem germanam habere in matrimonio; quippe quum cives ejus eodem uterentur instituto.*“ Który to wyraz *soror germana* w powyższym okresie się nachodzący, filolog niemiecki Hohler objaśnia: „*Halb- oder Stiefschwester, (die den nämlichen Vater, aber nicht die nämliche Mutter hat) zum Unterschiede von soror uterina, Halbschwester von der nämlichen Mutter.*“ ^{29/b)} — Że wreszcie owa siostra była Cymonowi rzeczywiście *tylko z ojca* *rodzoną* siostrą, tego dowodzi jeszcze dobitniej sam tekst Korneliusza w życiorysie Cymona (zob. *Cimon I.*) gdzie jest napisane: „*Habebat autem in matrimonio sororem germanam suam, nomine Elpinicen, non magis amore; quam more ductus. Nam Atheniensibus licet eodem patre natas uxores ducere.*“ ^{30/a)}.

^{29/a)} *Thesaurus Polono-Latino-Graecus seu Promptuarium linguae latinae et graecae. Opera Gregorii Cnapii e S. J.* — Editio II (Cracoviae, Typis: Fran. Caesarii MDCXLIII) pag. 922.

^{29/b)} EM. TH. HOHLER: *Cornelii Nepotis „Vitae excellentium imperatorum“.* Cum notis et scholiis in usum studiosae juventutis denuo editae. Editio quarta. (Viennae, 1844) Praefatio: pag. 2, nota 17.

^{30/a)} Rodzeństwo rodzone „z jednego ojca i z jednej matki“ swało się u dawnych Rzymian: *ex eisdem parentibus nati* albo *natae* — ma się rozumieć „*fratres*“ aut „*sorores*“; jakoż tak mianuje powyżej cytowany autor Korneliusz Nepos w życiorysie Ko-

Wyrazy tedy *germanus*, *germana* — poezytywane, tak jak są w istocie, za *substantiva appellativa*; okazują się u łacinników jeno prostemi równoznacznikami rzeczowników *frater* i *soror*, bez przypuszczenia jakowego ograniczenia ^{30/b}). — Ta okoliczność tłumaczy: czemu u dawnych Rzymian mawiał (w piątym przypadku) jeden brat do drugiego: *mi germane!* — albo pokrótce: *germane!*; tudzież jedna siostra do drugiej: *mi germana!* — albo pokrótce: *germana!*; nie wchodząc w to: azali tenże brat albo ta siostra byli rzeczywiście sobie rodzonemi dziećmi z jednej matki ³¹.

Dawni Polacy używali wyrazu „Rodzony” ku mianowaniu *jakiegokolwiek* (byle „po mieczu”) *pokrewnego* brata — w odszczególnieniu takowego od *nie-pokrewnego* Brata, którym był w ogólności *każdy szlachcic* polski. Kształcąc się wyłącznie na wzorach starożytnych przenieśli *synonymon* łacińskie do swego języka, biorąc wyrazy „rodzony” — „rodzona” w nader rozciąglém znaczeniu łacińskiego *frater* i *soror*, oraz odpowiedniego tymże równoznacznika „*germanus*” — „*germana*” ³²). — Prze-

rynkiego obywatela Timoleona, *siostrę* tego dowódcy — przytaczając o nim (XX. I.) że: „*Hac mente per haruspice communemque affinem, cui „soror ex eladem parentibus nata”, nupta erat; fratrem interficiendum curavit.*” — Wyraz ów: „*soror ex eladem parentibus nata*”, objaśnia filolog Hohler w wiadomém dziele (pag. 224, nota 13.) po niemiecku: „*eine leibliche Schwester.*”

^{30/b}) Vide: FRANCISC. WAGNER: „*Phraseologia latina.*” (Vienne et Tergesti) pag. 309, articulus: „*Frater*”.

³¹) W Enejdzie Wirgiliuszowej, księdze czwartej, czytamy wyrazy *germanus*, *germana* w bardzo częstém powtarzaniu. Z zestawienia tedy objaśnień i przykładów tych wyrazów, nachodzących się po komentarzach i tłumaczeniach owego poematu w dziełach zagranicznych i własnych filologów możemy się przekonać: iż je mianowicie jeno w znaczeniu *synonymów frater* i *soror* pojmowano i tak tłumaczono i komentowano, na co wszędzie dowód znajdzie.

³²) Jak dalece obaczerném było niegdyś pojmowanie nomenklatury „*frater*” i indziej, powiada Pismo ś. mówiące każdego człowieka

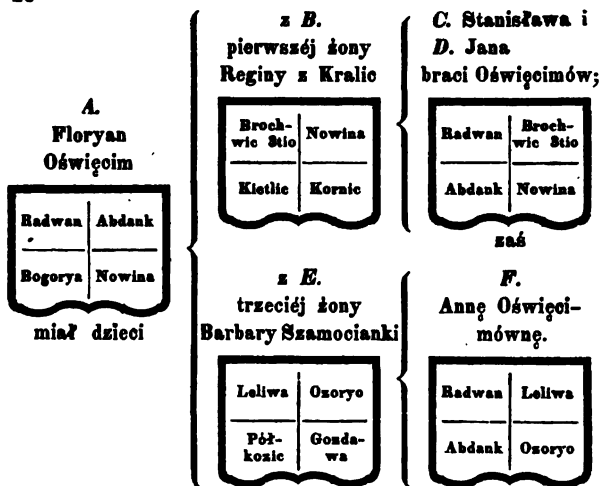
ciwnie wyrazu *przyrodni*—*przyrodnia* używali dawniejsi Polacy w znaczeniu łacińskiego „uterinus“ — „uterina“ (*frater* — *soror*) t. j. brata albo siostry z jednej matki, ale nie z tego samego ojca. — Tak wyraża się Stanisław Wierzbowski w przytoczonej powyżej „Konnotacie Wyпадków“, czyniąc wzmiankę o swoim bracie Janie Skarszewskim, zrodzonym z tejże samej matki Katarzyny z Ginwiłłów Piotrowskich (pierwszego małżeństwa Wierzbowskiej) — z jej powtórnego małżeństwa z Stanisławem Skarszewskim, kasztelanem wojnickim — pod rokiem 1678 w ten sposób:

„Tegoż roku na ś. Jan wiązał JMó Pan Wojnicki we Łowowie króla JMci złotą czarą, pełną portugałków. Oddawał toż wiązanie JMó Pan Jan, syn (jego), a brat mój przyrodni.“

Udaremnienie więc wniosków autora „Szkieł historycznych“ w przedmiocie donośności znaczenia wyrazów staropolskich „rodzony“ — „rodzona“; niemniej onym odpowiednich łacińskich „germanus“ — „germana“, udaremnia oraz wysnowane przezeń mniemanie: „że Anna Oświęcimowna była, jak dzisiaj mówim, *rodzoną* siostrą brata swego Stanisława.“ Byłać ona mu wprawdzie „Rodzoną“ t. j. „siostrą“ w tém znaczeniu, w jakim ten wyraz w dawném społeczeństwie polskiem, zwłaszcza w siedemnastym wieku był pojmowanym; ale *w szczególności* była jego siostrą *tylko z ojca* — ale nie z matki. — Okoliczność pochodzenia Anny z innszej matki niż z téj, z której się Stanisław urodził, udowadniają w sposób jawny i niezbity pomniki rodziny Oświęcimów w kaplicy

choćaby dalszego rodzeństwa płci męskiej „bratem“. — Wiadomo np. że ś. Jakób *mniejszy* był tylko bratankiem Chrystusa — mimo to nazwan jest w Piśmie „bratem“ Zbawiciela. Zob. ks. PIOTR SKARGA S. J.: „Żywoty Świętych“ (Kraków, 1644) str. 321, — tudzież: „Dictionnaire de la Bible“ (Paris, MDCCCLXIV) page 159 i 160. Article: „Jacques“ (le Mineur). — © onóm ROSENTHALLER,

u OO. Minorytów w Krośnie. Są to tarcze herbowe o czterech polach; ma się rozumieć z znamionami herbowymi *dwu pokoleń*: w obu życiodawczych czynnikach: „mieczu“ i „kądzieli“ na wstecz ku ich genezie postępując, w cztery działy się rozkładające. — Tarcz tych jest *sześć*: tyle ile się znajduje portretów członków rodziny Oświęcimów w kaplicy — powyżej których portretów owe tarcze sztukaterniczą robotą t. j. tłoczone modeluszem w gipsowej massie na ścianie się znajdują. — Harmonia architektonicznego układu równie jak plastyki i treści heraldycznej owych tarcz *jest najzupełniejsza*. — Owóż z zestawienia wspomnianych tarcz, w ślad unaoznaczonych herbami każdej z sześciu wyobrażonych na właściwych portretach osób pokrewnego wątku, wynika że



słynny komentator Pisma ś., w dziele: „*Scholia in Novum Testamentum*“ tak pisze: „... placet Hieronymi sententia, qui *consobrinus* Domini arbitratus est fuisse eos, qui hic et supra (cap. XII. 46.) *fratres* vocantur. Nam Jacobus et Ioses erant filii Mariae, quae erat Cleophae uxor, et matris Domini soror. (Joann. XIX. 25.) *Fratres* vocantur consobrini, loquendi genere *etiam*

O Reginie z Kralic, pierwszej żonie Floryana Oświęcimsa wiadomo: że była matką Stanisława — ponieważ ją także w akcie stanowiącym rozporządzenie mających się odprawiać za dusze zmarłych członków rodziny watyw, który dokument konwent OO. Minorytów dotąd posiada, swą rodzicielką nazywa. Także w napisie pod jej portretem w kaplicy powiada o niej, że była: „*mater fundatoris*“ t. j. jego matką.

O Barbarze Szamociance, późniejszej żonie Floryana Oświęcimsa atoli wiadomo: że męża swego przeżyła. Mamy tego oczywisty dowód w dokumencie sporządzonym w obec aktów starościńskich grodzkich sanockich.³³⁾

Graecis et Romanis noto.“ (Vide: Tom I. Edit. 6. Norimb. 1815. pag. 300.) — tudzież: „*Alii et veteres et recentiores Jacobum, Alphaei filium epistolae nostrae auctorem esse existimant, quem Domino ab alio latere cognatum, eamque ob causam ἀδελφὸν τῷ κυρίῳ appellatum esse censent.*“ (Vide: Tom V. Edit. V. Norimb. 1808. pag. 319).

³³⁾ Dokument ten opiewa w kopii urzędowej, jak następuje:

„Nro 45. ex 1855. — (*Locus thymbrī 30 kr. C. M.*) — Extractus. — Actum in Castro Sanocensi, Feria tertia: ipso die Festi Sancti Valentini Martyris. Anno Domini *Millesimo Sexcentesimo Quinquagesimo Primo*. — Comparentes personaliter coram Officio Actisque praesentibus Castrensibus Capitanealibus Sanocensibus Generosi *Stanislaus*, Aulicus Sacrae Regiae Majestatis; *Joannes et Albertus Oświęcimowie de Kunowa*, olim Generosi *Floriani Oświęcims* filii et successores legitimi, suo et Generosi *Simeonis Oświęcims*, Fratris sui *Germani* Minorcanis, pro cujus rathihabitione cavent ac se praesentibus inscribunt — nomine, ab una; et Generosa *Barbara Szamocianka* ejusdem olim Generosi *Floriani Oświęcims* relicta consors, parte ab altera: sani mentibus et corporibus existentes, et Terris, Districtibus, Juribus, Jurisdictionibusque suis quibusvis propriis et competentibus. recedendo — Praesenti vero Castrensi Capitaneali Sanocensi Jurisdictioni se cum successoribus ac bonis suis generaliter omnibus, quo ad actum praesentem attinet, totaliter et plenarie incorporando ac subjiciendo; palam, libere, publice, ac per expressum recognoverunt et quilibet illorum suo pro interesse recognovit. Quia ipsi se ac suos successores in et super

pod rokiem 1651, w którym z jednej strony daleci nieboszczyka Floryana Oświęcimsa: *Stanisław, Jan, Węciech i Szymon Oświęcimowie* — z drugiej strony zaś rzeczona *Barbara Szamocianka*, Floryana Oświęcimsa pozostawała wdowa pewien układ czynią.

Dyaryusz Stanisława Oświęcimsa, służący autorowi „*Szkiców historycznych*“ za podstawę do wniosków w rozprawie o téj rodzinie, poświadcza (stronnica 1091): że Barbara z Szamotów była *trzecią* żoną Floryana — którą okoliczność sam p. Szajnocha w owéj rozprawie (stron. 190, wiersz trzeci od góry) za wierzytelną uznaje. — Przyjmując tedy okoliczność tego *trzeciego* małżeństwa,

bonis suis generaliter omnibus summisque pecuniae quibusvis habitis et habendis mutuo et invicem Una pars alteri parti et successoribus partis utriusque inscribunt et obligant praesentibus: Intercoisam certam inter se Recognoscentes ratione certarum rerum et conditionum in eadem Intercoisa contentarum, de actu et data ipsius: in Sanok die hodierną in actu contenta; id est: die decima quarta mensis Februarii, anni praesentis confecta, manibus eorundem Recognoscentium atque Generosorum Mathiae Alexandro Strasz, Notarii Castrensis Sanocensis et Generosi Joannis Chrzęstowski propriis subscripta et sigillis obsignata. In omnibus et singulis ejusdem Intercoisae Conditionibus, punctis, clausulis, articulis, Vadio, ligamentis ac nervibus generaliter universis firmiter tenere, complere, exequi ac inviolabiliter observare, omnibusque et singulis illius contentis, tam in toto, quam in quavis minima parte, toties, quoties opus fuerit satisfacere: Intercoisam praedictam ad Inscriptionem praesentem et Inscriptionem hanc ad illam Intercoisam in toto vicissim referendum: Idque sub vadio Quinque Millium florenorum pecuniae polonicae per partem unam sive ejus successores parti alteri vel ipsius posteris in casu non completionis Praemissorum omnium et singulorum ad solvendum succumbendo. Pro quo quidem Vadio praefato modo praemisso taliter ad solvendum succubito, ac reali qua principali ex praemissis non completa complendisque praemissis citata existens pars una, praemissa non tenens vel ipsius successores — ad instantiam partis alterius praemissa tenentis, vel ipsius posterorum: Ad Officium Castrense Capitaneale Biocense, extunc Recensu superscripto, quoad respondendum spectat, mediante: semper in pri-

za rzecz niewątpliwą, wypada się zastanowić: dla czego portret i tarcza z herbem Barbary są umieszczone w kaplicy?

Że Barbara nie była matką Stanisława: o *tém już wiadomo* — że również nie mogła być matką ignorowanego w rozprawie p. Szajnochy, brata jego późniejszego Podczaszego Bielskiego *Jana Oświęcimska*: potwierdza krom zgodności herbów na tarczy Janowej z herbami Stanisławowemi w kaplicy, okoliczność: iż on był niemal równy wiekiem Stanisławowi; skoro począwszy od roku 1646, aż do roku 1672 piastował godność Podśódkka grodzkiego oraz Pod-Starosty w ziemi Sanockiej ^{34/a}).

mo Citationis termino, tanquam peremptorio stare, juri parere, respondere, Vadium praefatum luere, Inscriptioni huc satisfacere ac omne indicatum pati debbit et tenebuntur; seque ac suos successores ad eadem omnia obligant: Eundem Terminum primum peremptorium, uti et alios omnes exinde consequentes Causae ejusdem terminos semper peremptorios: Vera infirmitate pro majori — Minorenitate Successorum, legatione intra vel extra Regnum, Servitio Militari ad Evictorem, ad Munimenta, vel aliis quibusvis dilationibus et legalibus impedimentis non diferendo, ad quietationem etiam ultra proximos Terminos Officii praefati Castrensis Capitanealis Biocensis Dilationem sibi non recipiendo, nullasque motiones, protestationes ac earum prosecutiones faciendo, praemissaque omnia poenis simplicibus vel triplicatis, Evasionibus, suspensionibus, fatalis Juris: praescriptione, terrestri Bello Conventionequae; Tum et aliis omnibus Juris Remediis et defensis non subterfugiendo: Hac sua praesenti mutua Inscriptione ad praemissa omnia mediante. — Ex Actis Castrensis Sanocensis Inscriptionum Libr. 65. pag. 1316. extraditum. — (*Locus Sigtilli Archiv. Caes. Reg. Tabulae provincialis Gallicae et Lodovici.*) — Joannes Engel mp. O. R. prov. gal. Tabulae Vice-Director et Archivarius. — Hxt. Misiągiewicz mp. — Coll. per Rejek mp. — Zur Zahl ⁵¹/₄₅ ist die Taxe von 5 fl. Con. Masse am 5 Oktober 1855 erlegt, und zur Zahl 47. der Anzug am ⁷/₁₀ l. J. von der Parthei behoben worden. — H. v. Schmitt.

^{34/a}) Mamy w ręku przeszło dwadzieścia oryginalnych dokumentów starośódkskich grodzkich Sanockich z daty: 1646, 1655, 1657, 1658 i 1659 roku z następnym jego podpisem: „*Joannes*

Niepodobna wcale: aby urzędnik tak znakovity w ziemstwie i grodzie, zatęm mąż w poważnym już wieku będaćy, miał być synem Barbary, która jak autor „*Szkiców historycznych*“ (na stron. 190) zapewnia, była około roku 1644 jeszcze młodą osobą ^{34/b}). Cóż więc dało pochop założycielowi kaplicy do umieszczenia tam obrazu a razem tarczy herbowej Barbary Szamocianki, gdy takowa, jak wykazaliśmy uprzednio, nie była matką Stanisławowi ani Janowi braci Oświęcimom? — Zapewne nie bez przyczyny zostały te pomniki tam umieszczone; albowiem jeżeliby Barbara nie była w stosunku rodzicielki do którego z dzieci Floryanowych reprezentowanych utworami pęzła na ścianach kaplicy, toby lićina jęj i tarcza herbowa były wykluczone podobnie z wyobrażonego tam dziełmi sztuki koła rodzinnego — jak wykluczony żeń widzim obraz *wtorej* żony Floryana Oświęcima, o której tam ani śladu, ani słyhu nie ma z powodu: „*że tamże nie ma konterfektu jęj dzieci.*“

Owóż przyczyną zamieszczenia wizerunku i tarczy herbowej Barbary Szamocianki, trzeciej żony Floryana Oświęcima w kaplicy u OO. Minorytów, jest porównaniem herbów na zwyż wykazanych tarczach uzasadniony pewnik: „*że Barbara była matką rodzicielką Anny Oświęcimównęj*“ — bowiem tę okoliczność jawną czyni

Oświęcim de Kunowa, Vice-Capitaneus et Judex Castrensis Sanocensis m/p.“; wreszcie z daty: 1660, 1661, 1663 i 1670 z podpisem: „*Joannes Oświęcim de Kunowa, Pocillator Bielscensis, Vice-Capitaneus et Judex Castrensis Sanocensis. m/p.*“ — W archiwum byłych dóbr Odrzykońskich (w XVII stóleciu własności Firlejów potęm Tarnowskich) przechowywanęm obecnie we dworze w Kroćcienku podłe Krosna, nachodzi się także (jak nas upewnia-no) jeden akt z roku 1672, z zupełnie takim samym podpisem Jana Oświęcima.

^{34/b}) Wedłęg świadcetwa księgi metryk ucśniów akademii Jagiellońskięj, został wpisany Jan Oświęcim w poczet akademików w roku 1629, za rektorstwa Daniela Sigoniusza.

zupełna zgodność herbu matki i córki. — Ojciec Barbary był herbu *Leliwa* — to też w tarczy Anny widzimy *matczyn* herb *Leliwa*. Matka Barbary była herbu *Ozoryo* — to też więc na tarczy Anny widzimy *babczyń* herb *Ozoryo*.

Tarcze herbowe opisaliśmy tutaj w najrzetelniejszym ztreszczeniu: tak, jak je najstarsi ludzie z widzenia i z tradycyi (że nigdy odmieniane nie były — bo i kaplica, krom kilkokrotnego bielenia nigdy odnawiana nie była) znają i pamiętają — jak je tedy z dawien dawna na miejscu widywano ³⁵). Jeżeli ś. p. ksiądz Siarczyński inaczej te herby opisał, to nie nasza w tym wina — i pokazuje tylko: „że czasem i uczeni ludzie pomylić się mogą“.

³⁵) Pan Szajnocha zdaje się posądzać (Szkice historyczne, str. 204) acz sam nie wie kogo, o podrobienie pomników Oświęcimów u OO. Minorytów w Krośnie. Można by rzec na to: że zarzut takowy jest błahy, nie prowadzący do żadnych wyników. Jest on zaszczytnym ostatecznym ratunkiem tych, którzy suławszy wszystkie naukowe argumenta, nie mają środka do dalszego prowadzenia polemicznej walki. Zarzut ten jest jednak oras gorzszym dla drużyny naukowej; przysięm bywa on częstokroć mieczem obojętnym, który na dwie strony rasi. Wypadałoby snadź raciej uwzględnić owo przykazanie natury, które wyraźnie stanowi: „że co tobie nie miło, tegoś nikomu innemu czynić nie powinien!“ Takim samem prawem albowiem, jakim p. Szajnocha przypuszcza podrobienie pomników Oświęcimów, od *początku* w publicznem miejscu się znajdujących — można by zarzucić podrobienie rękopiśmiennego Dyaryusza Stanisława Oświęcimsa, nie-od dawna przechowywanego w Zakładzie publicznym. Kto się szczerzy prawami i w dobrej wierze działaniami postępkami — nie powinienby zaiste podejrzewać innych o złą wiarę i nieprawe postępowanie; boó każdemu jest oczywiste sumienie również pożądanym klejnotem — chyba że ma do usasadnienia takowych obwinień *gruntowne* powody, czego jednak autor „*Szkiców historycznych*“ nie ma i mieć nie będzie. — „*Wer Andere ehrt, der ehrt sich selbst*“, powiada niemieckie przysłowie. Kto innych opinią cenić umie, ten się słusnie nawzajem upomnieć może o sprawiedliwe ocenienie swojego zdania — kto wszakże innym bezzasadnie kłam zarzuca, ten sam może z własnej winy uleść oszczerstwu.

Dla udowodnienia zaś pomyłki księdza Siarczyńskiego w dostrzeżeniu specyalności i wywnioskowaniu nomenklatury owych herbów, wzywamy każdego, ktoby niniejszemu podaniu naszemu o istocie tych znaków heraldycznych nie dawał wiary, do obejrzienia ich naocznie — co wielce snadno uskutecznić można: ponieważ wstęp do kaplicy nikomu nie jest wzbroniony ²⁶⁾ a kształty herbów są wcale wyraziste.

Że atoli wizerunki herbów, a w szczególności tarcze herbowe Stanisława i Anny, umieszczone nad ich łici-nami, przechowały się po dziś dzień w autentycznych zarysach i formie; tego zostawił sam tkliwy i przezorny założyciel najdowodniejszą kontrolę i próbę w wtórotworach (*duplikatach*) obu dotyczących tarcz herbowych wprawionych misternie w postumenty przodowych kolumn ołtarza w kaplicy Oświęcimów. Tarcze te są

²⁶⁾ Byłoby do życzenia aby wstęp do grobu nie byłby doswolenym każdemu, a każdokrotne świadzenie onego odbywało się przynajmniej w obec dorosłego sługi kościelnego lub braciarska konwentu; ale nie w obec drobnych śaków używanych zwykłe do ministrantury. W roku 1854 zdarzyło się bowiem, że dwaj lekarze podobnie garnizonowi, przybywasy do kościoła pod dobrą datą, w celu świadzenia grobów, poważyli się w obec nie imponującego im bynajmniej i nie broniącego śaka ministranta, przetrząść i pominierać sposobem niby jak to mówią *breed manu* przedsięwziętą rewizyi balsamowane zwłoki pochowanych tam nieboszczyków; a mianowicie *Stanisławów Oświęcimski*, tudzież szlachetnego rycerza *Półki* uderzającego onych olbrzymią budową ciała i wzrostem. Śak kościelny, będący temu przytomny, opowiadał nam ten wypadek i dodał, jakoby lekarze ewi mówili: że rewidują ciała zśwżonych nieboszczyków dla tego: ponieważ mieli wiadomość: że zwłoki ich nie są prawdziwe — lecz podrobione!! — Owóż mamy piękne skutki analizy rezumowej! daj Boże! aby rychło wprowadzenie w życie napowiadzanego od dawna urządzenia konserwacyi pomników starszytnych, ochroniło groby i szczątki naszych przedków od prób podobnie wandalicznych, wykonanych bezprawnie na spoczywających w świętém schowaniu zwłokach.

z drzewa, złobione kunsztem rzeźbiarskim w kształt rozet i powleczone malarstwem złotem. — Z prawego boku liciny Stanisława nachodzi się tarcza z rzeźbionymi na niej herbami: *Radwan, Abdank Brochwie 3tio, Nowina* — podzielonemi na cztery pola tarczy tym samym szykiem, jak to widzieć można w tarczy, która się nad portretem jego znajduje; tuż zaś poniżej herbów jest wyrzeźbiony na allegorycznej wstędze napis dużemi polskimi literami: „*Stanisław z Kunowój Oświęcim*“ — W lewym zaś boku ołtarza, od strony portretu Anny znajduje się podobnie jej tarcza z rzeźbionymi na niej herbami: *Radwan, Abdank, Leliva - Ozoryo*, — rozłożonemi na czworopół tarczy zupełnie takim samym porządkiem jak to na tarczy herbowej, która nad jej obrazem na ścianie jest umieszczoną, widzimy. Pod polami herbowemi zaś wyryty jest również na wstędze czyli przepasce symbolicznej napis inicjałami polskimi: „*Anna Oświęcimowa*“.— Obie tarcze, ozdoby, przedziały i wstęgi czyli taśmy są wspólnie kubek w kubek jednakiego rozmiaru i kształtu — prócz różnicy herbów i odmiennego napisu.

Dokonawszy naszego założenia odnośnie do treści rozprawy „o Oświęcimach“ tuszemy: iż przywiedzione powyżej objaśnienia i szczegóły wystarczą do wykazania nieuzasadnienia twierdzeń autora „*Szkiców historycznych*“ o zachodzącym — w myśl dzisiejszego pojmowania, stopniu najbliższej krewności; albo raczej o urodzeniu z jednego ojca i jednej matki Stanisława i Anny Oświęcimów.

Podania o tej rodzinie, jak już na wstępie rzekliśmy nie bronimy: ponieważ nam w tym kierunku badania na autentycznych dowodach zbywa; wszelako radziłyśmy ujrzeć samego pana Szajnochę na obec onych wymowną symboliką przemawiających, acz z martwej materii zdziałanych pomników — zdającego sobie sprawę

z ich dotychczasowego lekceważenia i z nieuważenia tywém okiem głęboko w nich rytęj zagadki, która — (aza słusznie lub niesłusznie dotąd wykładaną, bywała: tego roztrząsać nie będziem) chociażby podanie o Oświęcimach zamilkło; samaby je znowu ożywić zdołała — a której wątką dopatrzyć się nie trudno w następnych ścisłą harmonią tudzież niezwykłością układu i objawu swego zwłaszcza w dostrzeżeniu przedmiotowem wiele do myślenia dających okolicznościach ustroju pamiątek w rzeczonym familijnym przebytku; a mianowicie: w

1. Osnowie napisu nad wnijsiem z kościoła do kaplicy.
2. Ustawieniu, formie i ugrupowaniu portretów.
3. Znaczeniu wprawienia wiadomych dwu tarcz herbowych w kolumny ołtarza.
4. Pomyśle kompozycyi oddanej pędzlem artysty w obrazie ołtarza.
5. Uszykowaniu trumien w grobie rodzinnym.
6. Rozporządzeniu dotyczącem odprawiania fundowanych wotyw codziennych — kreśloném na tablicy marmurowej, wmurowanej w ścianę sklepu grobowego ³⁷⁾

³⁷⁾ Czyniąc wsmiankę o sklepie grobowym pod kaplicą Oświęcimów, nie możem pominąć milczeniem naglącej potrzeby restaurowania onego: jeżeli tamoczne filary murowe dłużej potrwać i sklepienie grobu a jednocześnie spód kaplicy nadal tak jak dotąd dźwigać mają. Żadna restauracya atoli nie pomoże ze skutkiem: dopóki popod posadzkę sklepu grobowego nie będzie bity kanał, którymby woda z okolicznego znacznie nad bazę grobu wywyższonego poziomu ściekać i po za obrębem murów grobowych i kościelnych do bliskiej rzeki uchodzić mogła. Z wiosny, gdy ziemia staje się sucha, siewają się do grobu wszystkie wilgotne z zamroźonego potąd podziemia przyległych ulic wyniki i napełniają go wodą tak: iż niżej leżące trumny w całym znaczeniu słowa są zatopione, a sklep grobowy raczej do cysterny niż do ubikacyi przemianowują

U W A G A

do artykułu

„Wnuka króla Jana III.“

Pisząc o Maryi Klementynie Sobieskiej, wypadło mniemamy choć słowem natraścić o tém: iż posiadała w wysokim stopniu dar składania wierszów i władała umiejętnie łacińskim językiem. Uzdolnienie takowe czyniło ją jak na owe czasy wprawną poetką nawet i w tym lubo klasycznym, ale za zwyczaj nieprzypadającym do smaku płci niewieściej, bo martwym języku: czego dała niejednokrotne dowody. — W artykule p. Szajnochy o dotyczących jęj osoby okolicznościach niema atoli żadnej wzmianki o biegłości królewiczownej w sztuce poetyzowania.

Uzupełniając to, czego w téj mierze w „*Szkicach historycznych*“ niedopełniono; podajemy notorycznie przez nią w najciekawszym, aczkolwiek nader przykrym epizodzie jęj życia skreślone wiersze łacińskie, które w przedjutrze ucieczki z więzienia Innsbruckiego, w miejscu swego dotychczasowego przytrzymania napisawszy, na karteluszu tam zostawiła była — i które zawierają aluzję do okoliczności jęj ówczesnego położenia, a oraz wska-

na chowanie zwłok ludzkich jest podobnym. Skutkiem tak niepotrzebnego zalewu próchniejących mury, niszczonej trumny i ciała umarłych. — Nie byłoby w tém nic nadzwyczajnego: gdyby w drodze dobrowolnej składki u jakoś takich samożądnych ziemskich obywateli i obywaterek okolicy Krosna, wyrozumiałych, jak tego dowodzić nie potrzeba na rzeczy obchodzące oświeść i chwałę przodków — usiłował ktoś z pobliskiej osiadłych miłośników pamiątek narodowych zebrać kwotę kilkudziesięciu złotych reńskich celem wystawienia tyle potrzebnego kanału pod grobami Oświęcimów i równocześnie odnowienia już podupadłego sklepu grobowego.

zówkę pobudek do później uskutecznionego wydobywania się na wolność, w dystychu osnowy następującej:

„*Me jubet ad patrios Caesar remeare Penates,*
„*Ast Amor ad Sponsum me jubet ire meum.*
„*Quid faciam? frustra est dominis servire duobus.*
„*Quis vincet? — Vincens omnia, vincat Amor! —*
„*Scilicet imperio quamvis sit magnus uterque:*
„*Hic tamen imperium Caesare majus habet.*

Przytaczamy tę poetycką próbę słowy księdza Pijara Stanisława Konarskiego, zasłużonego przeobraziciela systematu wychowania młodzi w Polsce zeszłego stolecia, który o nią w swém znaném dziele ³⁵⁾ tak pisze:

..... „*ex antithesibus suspicitur carmen, sequens Regiae Principis Poloniae Clementinae Sobiesciae, in conclavi arcis Aenipontinae relictum, cum inde clam evasisset, ubi eam inclusam Carolus VI Imperator detinuerat: ne Stuardo, regi Angliae, Romae (obstante domo regia Hannoverana) connubio locaretur.*“

³⁵⁾ *De emendandis eloquentiae vitiis liber.* — (Varsaviae 1741) 8. 20 arkussy. Pars II. §. V. De Elocutione. — Antithesis: pp. 62 et 63.

JAN ZARUSKI.

KAJETAN KOŹMIAN

1

FRANCISZEK PASZKOWSKI.

I.

W jednymże czasie, prawie w dniu jednym, utraciliśmy dwóch mężów poważnych wiekiem, znakomitych przez swe zasługi, naukę i cnoty. Kajetan Koźmian b. senator, kasztelan Kr. P. zamknął dni swoje w dniu 7 Marca r. b. w Piotrowicach w bliskości Lublina w 85tym roku życia swojego. — Franciszek Paszkowski generał w. p. zgaś w Krakowie w dniu 10 t. m. i r. dopełniając rok 78 cichego i skromnego żywota.

Niech będzie wolno kreślącemu to pismo złączonemu z obiema nader ścisłemi związkami rzucić zarazem garść kwiecica — na te obiedwie mogiły! Różne były zdolności i zajęcia tych mężów. Ale ich! dusze tak były sobie pokrewne, że obok siebie stanąwszy przed Bogiem,

mogą tём pewniej w miłosierdzie zaufać. Niech nikt nie szuka pochwał, podobnych pismom pośmiertnym. Te zostawimy miernościom. Tu czysta prawda wystarczy. Inaczej duchy obudwóch mężów o których mówić będziemy zaparłyby się skreślonych wyrazów.

Już jest z pism wielu świadomo, że Andrzej Koźmian herbu Nałęcz przyszedł na świat w dniu ostatnim roku 1771 z szlacheckich i zacnych rodziców: i że się w szkołach polskich wykształcił — Ależ te szkoły urządzone wzorowo przez komissyą wychowania publicznego w Polsce, zniesione następnie — równych sobie dotąd nie miały, a założone przez ówczesne ustawy Seminarium Nauczycieli w Krakowie po wydaniu świetnych owoców przez lat nie wiele swego istnienia, uległo równemu z szkołami losowi. Dojrzawszy pod tym wpływem K. K. w smutnej epoce prócz domowego zacisza nie znalazł innego pola do swoich pięknych zdolności. Gdy więc w r. 1809 wystąpił jako pisarz poeta — kraj się zadławił z kądem w nim od pierwszych kroków objawiła się taka pewność i taka dojrzałość. Miał on czas na to od r. 1795 aż do wzmiankowej epoki, by ogień wrzącej młodości przy piersi starożytnych a wzorowych pisarzy przetrwać — i nie chciał pewnie występować z pierwotkowemi płodami: a kiedy w pierwszej swjej odzie tę strofę umieścił:

„Tak Arabi skwarem spiekle
„Miotają bluznierstwa waciekle
„Na to słońce co ich pali —
„Próżne wycia, marne wrzaaki!
„Wrą pod ich nogami piaski,
„Słońce toczy bieg swój dalej.

Natychmiast znawcy dostrzegli w nim mistrza i tym pozostał do zgonu.

Odtąd napisał Od kilka w których tenże sam duch, też sama zwięzłość i obrazowość jaśniała. *).

Lecz Koźmian przez cały swój zawód pisarski był zawsze uczniem jednej i starożytnej szkoły. Gruntowna znajomość łaciny, kazała mu od dzieciństwa pokochać takich pisarzy jakimi byli Maro, Horacy, Lukan, Tybullus, Propertius, Tacyt lub Liwiusz. Umiał on ich na pamięć, i dnia nie było by do nich nie zajrzał, by się ich duchem nie skrzepił. Ztąd może poszła jednostronność ale razem i głęboka tych pisarzy znajomość — a dodawszy do nich swojskie płody i francuzkich poetów, poprzestał na nich, bo oni sami zdolali zajmować ciągle i jego własną fantazją i dostarczać mu wzorów które odpowiadały jego smakowi. Ktoś tam z dzisiejszych śmiał wyrzec: że Koźmian ciągle pętał za Wirgilim. Prosimy o toż samo zacnego pewnie z inąd krytyka. Gorzej może wypadnie jeżeli się okaże i nieznajomość pięknych wzorów — i pętlanie za lichemi utwory. Nic snadniejszego nad takie zdanie. Nic wstydniejszego jak poklask nieuków. I dobre wzory i same ich naśladownictwo przetrwać potrafi tak nieoględne wyroki. Nie wstydał się Horacy iść zdala za śladami Pindara. Dawusy same z sobą i z swą nicością zostały.

W latach 1810—1812 zaczęto przeglądać w Warszawie w różnych fragmentach Ziemianstwo Koźmiana czytane na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk do którego przyzwano Autora, niebawem, przepisywane od wielu a pożądane od wszystkich zaledwo w roku 1839 światło dzienne ujrzało. Wielka sumienność autora, by płodem niedojrzałym nie częstować powszechność, po-

*) Ody te po większej części wywołały polityczne stosunki — a chociaż gdzieś Goethe powiedział: ein garstig Lied, Pfayl ein politisch Lied — nie przeto mniej w nich rozwinął talentu. — Oda zaś do *fortuny* stanęła wyżej od tamtych i nie pożywanem od obcych stosunków światłem jaśniała.

łączyła się z okolicznościami znanemi, które stanęły na przeszkodzie drukowi. Ależ podówczas nie znamo jeszcze *drukowej gorączki*, która się pojawiła współcześnie z cholerą i nikt nie mówił o literackich płodach: *zapótno*: tak jak nikt jeszcze nie latał na skrzydłach pary. Co było piękne i miało w sobie prawdę: to było zawsze na czasie. Wiele w tym płodzie jest naśladownictwa do czego sam się autor przyznawał. Ale najwięcej zyskały poklasku te zwroty szczęśliwe ku swojskim rzeczom, ku czczonemu i od nas i od przodków rolnictwu — słowem ku sprawom domowym. I dawni orali, siali i bujne żniwa zbierali — pielęgnowali trzody i pszczoły. Co więc raz pięknie o tych przedmiotach skreślono, nie chciał tego nasz ziomek przerabiać — naprawiać — i ztąd jaśniej jego zasługa. Lecz tym najwięcej zasłynął, co przyniósł ojczyznie, nowego. Dla tego kiedy mnóstwo dzisiejszych płodów pójdzie na pastwę pożeraczom kurzom i molom, jego Ziemiaństwo żyć będzie i będzie zawsze czytane. a).

a) W Dodatku Kwietniowym do Czasu, wyszytując ze szbudowaniem to zdanie, że Koźmian był zachowawczego umysłu. Będzie nim zawsze każdy sumienny pisarz i człowiek. Nie tak jest łatwo zdobyć się na to suchwalstwo, by zburzyć dom w którym mieszkali Ojcowie, rozsypać w proch i rozrzuścić na wszystkie wiatry drogę dla wielu po nich pamiątki — i w miejsce wzniesionych ich ręką gmachów — wznosić próżnię; następnie zaś do jakiejś fantastycznej budowy przyklepić *gniado jaskółcze*. Z tego to gniado wylatujące niedawno pisklęta, skalec sdołały bez trudu wszystko co było przed nimi. Ale przeciwko temu stawia rozsądek i nawet boskie prawo w dawnym i nowym zakonie: które opiewa; ojców Ojca twego i Matkę jeśli chcesz długo żyć na ziemi. Za pogwałcenie pierwszego spełnia się dziś drugi warunek — Za pierwszym poszła w piśmiennictwie naszem Epoka *przewrotu*: po drugim — nadchodzi zwolna Epoka *nowotwu*: a tego świadkiem widoczny są nader treściwe myśli w Przeglądzie Czasu — do których dalszego ciągu śmiem Szanownego autora zachęcić. Jest u nas wielka potrzeba zdań wytrawnych — i to dziś niechybią celą bo są na cza-

Lecz od roku 189 K. Koźmian jak wszyscy wówczas uzdolnieni męzowie, zostawszy urzędnikiem, musiał swe prace podzielić między dwa zawody. Z Vice-przesa Administracyi Lubelskiej, został Referendarzem Rady Stanu w Warszawie. — Był on następnie Sekretarzem jeneralnym Konfederacyi — potem Radcą Stanu nareszcie Dyrektorem Wydziału Wewnętrznego i Senatoren Kasztelanem, przecież te nowe zajęcia nie przeszkadzały mu do poświęcenia się Poezyi. Tkwi dobrze w pamięci współczesnych *Mowa Katona* w której przed r.

sie. Mamy zbyt wiele *sarysów* — *poglądów* — i *przeglądów* do dziejów piśmiennictwa polskiego — a dziejów jeszcze nie mamy. Nawet najświetniejsza Epoka Zygmuntońska — leży dotąd odłogiem — a najzdolniejszy pisarz tych dziejów — po wielu Tomach świetnych i inną pomyślał, zakończył na dostarczeniu materyałów jeżeli nie na zastosowaniu tego gminnego wyrazu: *chłustał, chłustał i ustał*. Tak to nie łatwym zadaniem są *dzieje*.

Przed rokiem czytałem w jednym gazeciarzkim odcinku wyrok okropany na Tow. Przyjaciół Nauk Warszawskie wydany, jakoby tylko się zajmowało pochwałami swych członków. Prawda że czasy owe, w których rozpoczynało swe prace, nie trafiły na zbiór tych geniuszów i arcygeniuszów których dziś mamy tak wiele i przestac musiało: na Albertrandych, Skrzetuskich, Kołatajach i Czackich, na dwóch Śniadeckich, Poczebucie, Jundzille, Piramowiczu, Kopczyńskim, Staszicu na Woronicsu i Niemcewiczu — i tym podobnych — że o nowszych nie wspomnę. Ależ kto po zupełnym rozbiornie kraju uratował język, pomniki dziejów, i nauki, od zupełnej zagłady, kto do nich zapął w młode pokolenie naszospół, kto silnem ogniem powiślał przeszłość z przyszłością? Gdyby to Towarzystwo dotąd istniało, pewnieby się odmłodziło nowymi żywiołami, których, polegając na doniesieniach od brzegów wszystkich rzek polskich, mamy tak wiele: ale wielkowsy w siebie jeden naprząkłał nowy żywioł: Powieściopisarzy — do pomieszczenia tylu znakomitości — możeby potrzeba jakiego Luwrn; bo gmach przez *Staszica* wniesiony na końcu krakowskiego przedmieścia, jużby się za szczupłym okazał.

Szczęśliwa niwa, około której tyle się pracowników kruszą i z tak potężnym skutkiem owoc prac swych objawia!

1812 powstał na zbytki ówczesnej Epoki — i ten wiersz małego rozmiaru, lecz wielkiej wagi objawił w nim wysokie uzdolnienie do Satyry, w której potrafił władać Juwenalisa orężem. W podobnym smaku napisał w r. 1813 wiersz na *tańczący Kraków* i na *pogrzeb cnotliwego, w którym powszechność żadnego nie wzięła udziału*. Tym samym duchem tchnęła Oda którą na zgon L. Osieńskiego napisał: równie jak i późniejsze zwroty na literaturę ojczystą. Wydaje się jasno duch tenże w kilku Epigramatach, między którymi celuje zwięzłością stylu sześciowiersz na koncert K. skreślony. Wszystkie te płody znane są fragmentarnie — a godne żeby w snop jeden związane, światło dzienne ujrzały.

Prawdziwe życie K. K. rozpoczęło się w r. 1832 gdy przeszło sześćdziesiąt-letni starzec, wolen od urzędniczego zajęcia, zasiadł na ziemi przodków i tam zaczął słynąć nieunużoną pracą i szlacheckimi cnotami. Wtedy to objawił ziomkom przykładem, co niegdyś spiewem wygłosił: Rola i książka, naczelnictwo patryarchalnej i zgodnej rodziny, miłość swych włości, i poddanie się w najczystszej wierze boskim wyrokom — gościnność wreszcie tak przyrodzona jego plemieniu — Oto jest co pociągało ku niemu i dawnych znajomych i tych co z bliska poznać co chcieli — a poznawszy dochowali cześć aż do zgonu — Oto jest co przynęcało mnóstwo ludzi do leżących blisko Lublina *Piotrowic*; a choć go wiek pokrył siwizną, choć mu się nieraz zdawało — że już na siłach upada, duch jego zawsze żywo ogarniający przedmioty i zawsze świeży, przez całe lat 24 dostarczał nowych pomysłów i nowym podziwieniem oglądających na niego ogarniał. Ztąd poszedł znany wiersz wieszczą młodego poczynający się w ten sposób:

„ Czemuż mistrzu masz siwiznę
„ Stokroć młodszą, méj młodości “ &

Na który odpowiedź K. K. jeszcze raz dowiodła — że miał zupełną słuszość zapytujący się — bo kto wie czy ona nie wyżej od zapytania stanęła? — I nie ubliżył prawdzie kreślący niniejsze wyrazy gdy na życzenia Koźmiana by mu służyły wody do których się w r. 1852 miał udać, w ten sposób odpisał:

Ty co z siwizną wrzącą łączysz duszę!
Chcesz, bym w kąpielach znękany i stary
Odzyskał zdrowie? jadę tam — bo muszę —

Ale bez wiary.

Zdrojów leczących skutek mi nie nowy.
Wielem ich zwiedził. Wróc zgasłą nadzieję
Wyrwij cień z piersi, albo pamięć z głowy,

A ozdrowię.

Gdy ja się codzień o kęs ulgi modłę,
Ty trzy pokoleń swym głosem zdumiewasz,
Raześ się skąpał w czystych natchnien źródle

I trwasz i śpiewasz.

I jam wrzał niegdyś żądzą pięknej sławy
Zdała za tobą biegając w zawody,
W tobie czcił mistrza—dziś starzec zgrzybiały,
Tys dotąd młody. &

Niewiem czyli nie będzie stósowném ogłoszenie wiersza napisanego w dniu 1 stycznia 1854 do K. K. pod napisem *Starzec do starca* który z obawy unużenia czytelników do przypisu odeszłę. b).

b) Stary rok z bark swych zdartą składa odsieć,
A nowy strojny kwiatami nadziei
Spiessy wzywany przez pochoptą młodzień.
Lecz nim po śliskiej wymknie się kolei
Czy wróżbom świetnym choć w części odpowie
Z trwogą o przyszłość pytają starcowie.

I w tym to czasie wykończył Koźmian wielkiego rozmiaru Poemat, pod napisem *Stefan Czarniecki* dzieło pełne rzadkich piękności i znane w części z kilku rozdrukowanych i rozpisanych ustępów. Nie chcemy uprzedzać o niem zdania powszechności krajowej. Dość wspomnieć, że autorowi służyły za wzór starożytnie epiczne utwory.

Przyszłość! . . . to przepaść czarną skryta nocą.
Dzieje przeszłości — to są żywe świadki
Że ludzie wiecznie szarpią się, szamocą
Bez rozwiązania stanowczej zagadki.
A choć dni lepsze ludzkości przyświecą
Słowo jój będzie wieczną tajemnicą.

Ciało! kruch z gliny. Gdy w nim Bóg zapali
Iskrę co światy z nicości wywiodła,
Moc ta się z czasem kartałci, doskonali,
By czystsza wrócić do swojego źródła.
Jeśli więc w starcu ogień boski tleje
Kruszy się ciało — lecz duch olbrzymieje.

Duch nie zna zgonu. Przez wieków zamiecie
Przetrwa, do swalisk jak bluszon się przytali
Wniknie w podania w pieśń się ludą wplecie
I drobne działki w powieściach rozczuli:
W snajach oraczom, w ranach męgom dzielnym
Błyska obliczem — wielkiem — nieśmiertelném

Czemże jest szelność, poświęcenie, oneta?
Czem dla rozkoszy po szlachetnym czynie?
Czem z pełni życia w inny świat tęsknota?
To szczeble ducha ku lepszej dziedzinie.

* * *

Duch, to twa niwa, pracą ją zdobyłeś,
A śpiewem wzniośku dodajesz swój pracy:
Dziwięćkroć dziwięćkroć nowych lat przeszyłeś,
Więc dziwem zdjęci wołają rodacy:
„O chlubo staroów i wzorne młodszych
„Niech nam brumi długi głos twój wiecznie świeży“.

Nie mógł on pisać inaczej, bo na tych wzorach wykar-
miony i te jedynie poczytujący za piękne, nie łatwo by
się do innych kształtów nakłonił. Ale któż nie podzi-
wiał tę jedrność mowy, do której nas nazwoczył Ko-
źmian i ten zapal nie stygnący w nim z wiekiem?
Wiele on lat strawił pieszcząc się z swém dzieckiem
ostatniem — wiele ognia i siły przelał weń z swęj da-
szy, i w nien odkazał najmilszą po sobie puściznę. Je-
żeli ten poemat ujrzy kiedy światło dzienne, wtedy do-
piero będzie można zdać o nim sprawę dokładną, a ci
co go z bliska poznali, tuszą niepłonnie, że wyżej stanie
od Wojny Chocimskiej, czyli ją Wacławowi Potockiemu
czy też Lipskiemu przyznają. Jestto wybitną cechą na-
szej epoki — że się tacy znaleźli, którzy stawiają wy-
żej Klonowicza i Miaskowskiego od Kochanowskiego —
podobnie Wojna Chocimska swoich znalazła wychwal-
ców: bo trzeba z pyłu wygrzebywać mierności by te sna-
dniej do dzisiejszego strychu przypadły. Z podobnego
powodu może, zaczęto przyznawać Koźmianowi wyż-
sze stanowisko jako *Mowcy* niżeli jako *Poezie*. Znane są je-
go mowy i noszą cechę niepośledniej wartości — ale on
sam i znawcy bezstronni wyżej cenią plód jego poety-
cki osobno wzięty, jak wszystko co tylko prozą na-
pisał.

Na schyłku życia najmilszą jego rozrywką było listo-
wanie z kilką przyjaciół i dobrych dawnych znajo-
mym. Z tęsknotą wyglądał pocztę — z zajęciem i da-
wnym ogniem odpowiadał na każdą odezwę i listy jego
obszerne, nauczające, wymowne, nosiły na sobie odcie-
tęj pięknej duszy, która w nim jaśniała. Lubił powta-
rzać to wszystko czego się z inną o literackich zaję-
ciach dowiedział. Lubił przytaczać starożytnych do wy-
darzonych wypadków. Dołączał chętnie i swoje plody
kryjące się dotąd pod dachem domowym, gdy te miały
do rzeczy, o której była mowa, stosunek. Składał i prze-

chowywał starannie i w wielkim porządku to wszystko co tylko ważniejszego od swych korespondentów otrzymał, a razem wszystko co tylko godniejszego uwagi zaszczytało, pilnie do swego pamiętnika zapisywać miał zwyczaj. Kreślący niniejsze wyrazy posiada od r. 1848 przeszło pięćdziesiąt podobnych listów, które zachowuje na pociechę lat swych sędziwych; gdy część ich na blizkich z uniesionym do wieczności przepędził stosunkach a resztę ciąglem i zaszczytnem listowaniem wypełnił.

Gdy już w starości wstąpił Koźmian na tę drogę, która dziś jedynie szlachetnie zrodzonemu i prawemu mężowi rzetelnych pociech dostarcza; gdy się wydobył z chmur mętnych i prochu miejskiego: to co tak pięknie w Ziemianstwie wyśpiewał — jeszcze piękniej wprowadził w życie osiadłszy raz w Piotrowicach wsi własnej i z wielu względów ponętnej. Tam on od razu tym został czym być powinien polski Ziemianin — opiekun włościan, sąsiad, gościnnik — jednym słowem patryarchalna głowa zacnej rodziny. I błogosławił mu Pan, w drugiej połowie jego istoty, w najzacniejszej małżonce, w dobrym i wysoko wykształconym synu — w godnej wszystkich synowej, w lubych i wdzięcznych wnuczętach — a na domiar rzadkiego w świecie przykładu miał obok siebie pełnego cnót i światła Plebana. Godzien tu wzmianki ten mąż wzorowy (Prałat Barnanowski expi-jar) — przyjaciel rzetelny, powiernik domowych stosunków — pocieszyciel w nieszczęściach — przewodnik na drodze zbawienia. Mamy ślad świetny uczuć Koźmiana w wierszu prześlicznym, który nasz wieszcz w roku blizkim osiemdziesięciu lat do niego wystosował — z całą żywością młodzieńczą, z całą dojrzałością mędrca i starca. Ale to szczęście domowe któreśmy skreślili, nie obyło się bez ciosów przeciwnych, śmierć synowej wyrwaną z Piotrowickiego grona w samej sile wieku — nie tylko osierociła dom ten z najcelniejszej

ozdoby a dwoje dzieci z wzorowej matki, ale była dla chylącego się do grobu ojca najboleśniejszą raną, raną śmiertelną: gdy zaś czas ją zabliznił, zgon Janowej Koźmianowej z domu Chłapowskiej rozdarł tę ranę na nowo. Jedna Religia, jedne nauki przyjaciela kapłana, położyć zdołały na tkliwe serce cośkolwiek balsamu.

Jeszcze o jednej a nader ważnej okoliczności przemilczeć nie mogę. Dóm Koźmiana w Piotrowicach urządzonej uczciwie ale bez zbytku, był wzorem dawniej gościnności i patryarchalnych obyczajów. Na jednym dziedzińcu w schludnych a nieokazywałych komnatach dwie rodziny mieszkaly. Ale tuż obok była zawsze gotowość do przyjęcia gościa, który dość często ten przybytek odwiedzał. Ciągnęła ku niemu poważna i znakomita starca naczelnika osoba — przynęcała uprzejmość syna i dwojga wnucząt jakby na pociechę i chlubę domu stworzonych. Wszyscy, których okoliczności w lubelskie zbliżyły, wszyscy którzy się chcieli ukrzepić albo pocieszyć widokiem cnót dawnych uosobionych niejako w tej szanownej rodzinie — wszyscy co jeszcze pragnęli usłyszeć śpiew ostatni, śpiew łabędzi uwielbionego starca, do Piotrowic spieszyli. Był to hołd poniewolny narodu dla rzadkiej cnoty w tym wieku samolubstwa, dla niepospolitych zdolności a raczej Bogu, który utworzył K. Była to najwymowniejsza odpowiedź na wszystkie niecne pociski zgubnego krajowi i piśmiennictwu stronnictwa. I ta pielgrzymka do miłych swoim i obcym Piotrowic trwała tak długo aż póki ów starzec zawsze krzepki na duchu, choć coraz słabszy na siłach w osmdziesiątym piątym roku pełnego życia, niezwrócił Bogu w dniu 7 marca r. b. tego ducha, który go tak długo ożywiał. Śmierć jest próbieczą chwilą żywota. Ten co go przebył bez skazy, nie zadrży przed chwilą ostateczną, bo ona zawdy mu była obecną. Miał i nasz starzec pewną przewodnię do zaszczytnego przebycia tej

chwili. Tą była potężna wiara w odwieczne prawdy, w czyste sumienie i w zbawienne nauki zacnego plebana. On go opatrzył na dalszą drogę ku nieskończonej wieczności; on zwłoki jego złożył w skromny i wcześniej obmyślony grobowiec, a lud tych włości, a bliscy i dalsi sąsiedzi, a pokryta żałobą rodzina, łzami go swemi uczęła.

Nie masz cię więcej pomiędzy żyjącymi rzadki nasz wzorze cnót starożytnych, niezgiętej wiary, i ciągłej pracy na niwie, którą ci Bóg wydzielił, ale jest przykład obecny w ziomków pamięci, jest i powinność szczerego i bezwzględnego wyznania prawdy, żeś ty był jednym z patryarchów narodu naszego.

II.

Franciszek Paszkowski generał wojsk polskich urodził się w r. 1778 z niebogatych ale szlacheckiego stanu rodziców. Gdyby ten stan innéj nie przedstawiał zalety nad domowe przykłady, już byłby przez to samo szanownym. Ale szlachectwo dawne, to było *bractwo* tak jak inne różnego miana i różnéj istoty. Dla tego szlachta polska zwała się bracią nawzajem. Poświęcenie otwierało tego bractwa podwoje i przez ciągłość poświęceń utrzymywało w niem ducha. *Noblesse oblige* zwykli byli mawiać francuzi. Do czegoż więc obowiązywało szlachectwo? Do ciągłych usług powszechnemu dobru, do ciągłej gotowości w pomocy dla braci. Już to nam wyjaśniły dzieje, że niebezpieczeństwo jednego herbowca, pobudzało wszystkich podobnego godła do wsparcia; niebezpieczeństwo ojczyzny, pobudzało całą szlachtę. Piękne to było bractwo, gdzie jeden stał za drugiego, a za jednego wszyscy. Dla tego szlachta nawet uboga i piękne wzory i piękniejsze jeszcze miała powinności, i nasz młodzieniec w tym wychowany du-

chu ledwie się kształcić począł, wnet pjął do czego został stworzony. Wyrównać przodkom albo ich nawet prześcignąć w poświęceniu się dla innych: to było jego hasłem na całe życie.

Rychło on przebiegł stopnie początkowej nauki gdy już w 17 roku życia wyższe wykształcenie w uniwersytecie lwowskim pobierał. Przeniósł się z tamąd do Paryża, gdy w tem mieście od najdawniejszych czasów zwykli byli czerpać nauki Polacy. Ależ to były czasy wojenne a ktokolwiek poczuł się na siłach, szukał ich zastosowania w służbie wojskowej. Jako ochotnik wstąpił do wojska francuzkiego we Włoszech (1797). Ziemia klasyczna tego pięknego kraju zawsze miała wielką ponętą dla pochopniejszych umysłów. Tam nasz Paszkowski razem ze służbą wojenną, kształcił się w innych naukach, a przebiegłszy rychło niższe stopnie z zaszczytem, już w rok po wejściu w wojskowe szeregi zostaje podporucznikiem, a w następnym roku kapitanem, w którym to stopniu aż do r. 1802 czynnym pozostał. Zreformowanym został pułk w którym służył. Powrócił przeto do nauk w Paryżu. Jest w jego pozostałości i świadectwo i list zaszczytny pana de Sacy, po odbyciu z wielkim postępem kursu arabskiego języka. Jest koran z notatami świadczący, że nie daremnie czas strawił na téj nauce.

I w tym to roku (1802) znalazł skarb nowy Paszkowski. Kiedy Kościuszko Stany Zjednoczone opuścił, osiadł w Paryżu i tu odbierał liczne hołdy od obcych i swoich, wtedyto dał mu się poznać Paszkowski. Czyż nie dość będzie powiedzieć, że obarczony wiekiem i dolegliwościami starzec, mąż używający powszechnego szacunku, w tym jeszcze roku dwudziestocztarechletniego młodzieńca przyjacielem swoim nazywał, że go dość często powoływał do siebie, że mu i dom swój i serce otworzył. Wielu miał wielbicieli Kościuszko, nikogo

nie pokochał podobnie, nikomu równie nie sprzyjał do zgonu.

Ale Paszkowski musiał być czynnym i dla tego widzimy go w r. 1803 zaliczonym do 114 pól brygady francuskiej, a w r. 1805 adjutantem sztabu księcia Bergu, Murata. W rok później krzyż legii honorowej pozyskał. Przybył on z pomienionym księciem do Polski i zaraz na początku 1807 został szefem batalionu w wojsku krajowém a następnie szefem sztabu dywizyi księcia Poniatowskiego Józefa i pułkownikiem i kawalerem krzyża wojkowego polskiego. Na tym to stopniu najwięcej czynności rozwinął Paszkowski, a z niego przeszedł do boku Fryderyka Augusta króla Saskiego i księcia warszawskiego jako adjutant królewski. Dotąd trwa w Dreźnie miła pamiątka jego kilkoletniego pobytu.

Były to czasy, w których wojna lub pokój, nowe wojny rodziły. Jakoż podobna przygastęj w Tylży burza, już w r. 1809 nową wzniciła. Gdy Fryderyk August był przynaglony opuścić swoją stolicę, odesłał swego adjutanta Paszkowskiego do korpusu księcia Poniatowskiego mającego oddzielny zakres działania, oddzielne pole do pozyskania sławy i rozszerzenia granic księstwa Warszawskiego. A kiedy zawartym został pokój preszburgski, już nie przydatny w działającym dotąd polskim korpusie, wrócił Paszkowski na swą posadę do Dreznia. Ale nie długo na niej pozostał. Mianowany w maju 1812 r. Jenerałem, objął dowództwo przeznaczonej mu brygady i z nią wyciągnął na nową wojnę, która się niebawem poczęła.

Jaki w niej miał udział Paszkowski, to jest z wypadków ówczesnych świadome. Brygada jego znajdowała się we wszystkich celniejszych bitwach od przejścia Niemna, aż do słynnego klęskami odwrotu. Wrócił z tej nieszczęśliwej wyprawy Paszkowski w grudniu do Warszawy i zaraz tak się roznieomógł, że już zwąt-

piono o jego życiu. Lecz gdy przy końcu stycznia zabłysła słaba nadzieja, zwątpił ją wyjazd wśród ostrych zimy do Drezna; zwyciężyła jednak moralna siła; resztę zdziałały Teplickie kąpiele. Jakoż widzieliśmy go niebawem dzielącego trudy i losy korpusu marszałka St. Cyr nim on jako niewolnik wojenny musiał się przenieść do Węgier. Gdy jednak traktat paryzki zakończył wojnę w r. 1814, powrócił Paszkowski do kraju i należał do Deputacyi wysłanej do cesarza Aleksandra, polecającej wspańiałości tego Monarchy Księstwo Warszawskie na blizkim Wiedeńskim kongresie. Przyjęty nader łaskawie przez cesarza w Białym Radziwiłłowskiej, udał się na jego skinienie do Puław, a następnie do Warszawy powrócił.

Chwiały się losy Europy na kongresie Wiedeńskim. Zebrani w stolicy generałowie polscy wezwani zostali do komitetu mającego się zająć nową organizacją wojska polskiego. Chciano powierzyć pióro w tym komitecie Paszkowskiemu. Lecz gdy los kraju dotąd rozstrzygniętym nie został, głos sumienia nie dozwolił mu prac tego komitetu podzielać, od czego został uwolnionym w dniu 15 stycznia 1815 r.

Po tym wypadku udał się do Paryża i Anglii: i znowu w stolicy Francyi zetknął się z generałem Kościuszką. Odnowiły się dawne stosunki. Świadczą o nich i listy z Solury do miejsc rozlicznych Francyi i wreszcie do Drezna pisane: śmierć je jedna przerwała.

Wracającemu przez Drezno do kraju ofiarował król Saski Fryderyk August i miejsce zaszczytne i komandoryę orderu wojskowego ś. Henryka. Przyjął z wdzięcznością to drugie — lecz razem wyrzekł — że sama tylko rodzinna ziemia ma prawo do jego usług. Następnie osiadł na szczupłej dzierżawie w W. Księstwie Poznańskim — i tam w r. 1817, śród nowych zajęć rolniczych, dowiedział się o zgonie wielbionego przez siebie

Naczelnika, i o tym niepoślednim zaszczycie— że go przez swój testament spadkobiercą mianował. Jeszcze Kościuszcze pozostał do rozrządzenia kapitał 100,000 franków, z tych on połowę córce domu w którym życie zakończył— a połowę drugą Franciszkowi Paszkowskiemu zapisał! Dar znakomity i świetny, ze względu na dającego— i tego który go odbierał. Mało jest wreszcie ziomków, którzyby tak wiele pamiątek z pozostałości znakomitego męża wynieśli.

Jeszcze raz udawszy się z tój pobudki za granicę, gdy skutek chlubnego zapisu uzyskał— wrócił do kraju i w krótko osiadł stanowczo w bliskości Krakowa, nabylszy na własność dziedziczno-dzierżawną wieś Tonie, w której od r. 1820 cichy i skromny żywot przepędzał. Tam go szukali liczni czciciele cnót prawych i rzetelnego światła, tam go znajdowali — albo na polu, lub z książką w ręku — a zawsze z twarzą pogodną i z sercem czystym i do dobrego pochopnym.

Gdy Senat krakowski postanowił w dniu 19 lipca 1820 uczcić przewiezione ze Szwajcar do dawniej polskiej stolicy zwłoki Kościuszki najprostszym pomnikiem, to jest usypaniem mogiły, któż mógł współzawodniczyć z Paszkowskim w kierunku dzieła natchnionego tą myślą? On był powiernikiem i przyjacielem, on spadkobiercą Kościuszki. On wszystkie do tego konieczne usposobienia posiadał. Ztąd poszły liczne pod jego przewodnictwem narady — ztąd sprawozdania i postęp samego dzieła, które do dziś dnia poszanowanie u wszystkich obudza.

Skromny był zawód który sobie obrał na resztę życia Paszkowski. Ale do niego wpływała ciągła i codzienna nauka, a kiedy w chwilach już bliskich zgonu odwiedzający go przyjaciele codziennie go z książką albo z piórem w ręku widzieli — na zapytanie jaki był owoc tych niezmordowanych usiłności— odpowiadano— studia. Tak mąż ten znakomity z cnót i zdolności — uczył się aż do

śmierci. Cóż na to powiedzą nasi ośmnastoletni mędrkowie? Ale są pozostałe i piękne ślady prac Paszkowskiego w piśmienniczym zawodzie. Jest znakomita książka wyszła z druku w 1840 pod napisem: *Pomyśły do dziejów Polski* — a zawarte w niej prawdy i powiedziane śmiało, w brew popularnym zdaniom, będą wiecznym pomnikiem równie czystości duszy jak głębokiego rozumu. Kto się w nią wczyta, ten musi stać się oględniejszym i lepszym, albo zrozpaczyć przyjdzie o jego rozsądku i sercu. Dzieje wojenne w Polsce z roku 1794 i gruntowne nad wojną z roku 1831 uwagi nie można dosyć zalecić nauce potomnych. Miał styl swój odrębny nasz autor, chcąc być za nadto zwięzłym, był niekiedy zawiłym — miał wyrażenia ulubione i sobie tylko właściwe: ależ to stanowi jego oryginalność — niewyczerpaną zład inąd cechę głębokości i własnodzielności jego umysłu. Lecz jakże się świetnie w każdym niemal zwrocie jego prawość i jego czyste sumienie odbija! —

Znana jest piszącemu niniejsze sprawozdanie, Podróż do Anglii, w tym samym duchu i stylu skreślona. Jest i bogaty materiał do dziejów życia swojego wzoru i mistrza Kościuszki, a jeśli kiedykolwiek które z tych pism ujrzy światło dzienne, wtedy się powszechność przekona, że Franciszek Paszkowski był równie wzorowym żołnierzem, zacnym obywatelem, jak jędrnym i niepoślednim pisarzem, a poczoivszego nadeń człowieka nie było.

Tak mu spokojnie i pogodnie upływały godziny, dni, lata; a złota mierność górowała nad całym jego obejściem. Mało miał potrzeb, mało życzeń i wymagalności, i te wszystkie snadno zaspakajał względem siebie, rozsądkiem, a względem drugih, miłością. Już na lat ośm przed zgonem, usunął się i od wsi tak sobie lubej i od zajęć gospodarskich, tak kłopotliwych, a nie zawsze skutecznych, a jeśli się kiedy z swego ustronia

wychylił i był od cierpień fizycznych swobodnym, pogodna twarz jego jaśniała prawdziwym blaskiem męża sprawiedliwego i oraz duszy niezłomnej. Gdy go zaś ostatnia choroba cisnęła o łożo, spojrzawszy niezłękem okiem w przyszłość bez granic, dopełnił równym umysłem obowiązków chrześcijańskich, jak gdyby się miał udać na ucztę przygotowaną dla czystej swej duszy, poczem równie spokojnie jak żył, poszedł na łono wieczności. Rzadki wzór życia i zgonu: a rzadszy jeszcze nauki, skromności i cnoty.

Nie nadaremnie tych dwóch mężów obok siebie stałem. Byli albowiem wielce do siebie podobni, choć się nigdy nie znali. Całą ich przeto różnicę stanowiły oddzielne zdolności, ten dar Stwórcy, tak rozmaity i wielki, że dotąd nikt nie wykazał w naturze dwóch istot, a nawet dwóch listków do siebie podobnych. Oba dwa posiadali wielką szlachetność serca i umysł do wszystkiego co tylko było pożytecznem a dobrem, pochopny. Wychowany na wzorach rzymskich i w szkołach narodowych Koźmian, więcej okazał zdolności do obywatelskiego zawodu. Młodszy od niego Paszkowski wtedy się kształcił, kiedy sztuka wojskowa najwięcej znaczyła. Dla tego jęj się poświęcił, i na tę ziemię pośpieszył, która pierwszego wojownika tych wieków tak wysoko wstawiła. Jak tylko wstąpił na swoje pole Koźmian, zaraz się okazał zdolnym do wyższych urzędów. Jak tylko przebiegł kolej szkoły żołnierza Paszkowski zaraz przechodząc szybko podrzędne stopnie, nie długo powitany został przez Kościuszkę tem mianem, do którego powinien dążyć przez pracę i wprawę każdy wojskowy. Koźmian przeniósł do swego zawodu tę prawość i ścisłość obowiązków, które dawnych Rzymian szczyciły: Paszkowski wskazywał i zasadami i wzorem, że wojskowość najsilniej na karności polega, i że uboczne względy odrywają jęj kroki od prawdziwej zasady.

Koźmian mógł przestać na tem co z swęj szkoły zaczerpnął i jako urzędnik i pisarz;—Paszkowski szukał pomocy dla siebie w źródłach tak swoich jak obcych i dla tego wszystkie prawie nowożytnie posiadał języki, a dla wytchnienia po znojach wojny, karmił się równie starożytnemi pismami, jak Dantem i Göthem. Służyli obydwu wiernie i pocziwie swemu krajowi, póki okoliczności były dla nich przyjazne. Obadwa odeszli z spokojnem sumieniem do zagród domowych i szukali pociechy w rolnictwie. I na tem polu każdy z nich rozwinął zapas swych wiadomości i cnót patryarchalnych, które od wieków prawych ziemian zdobyły, żaden zaś nie przepomniął o lubych mu księgach, żaden nie rzucił pióra i szli obadwa wiernie i pilnie za wziętym z niebios rozkazem. Za Koźmianem przeniosła się do wiejskiego zacisza rozgłośna sława i liczne w kraju stosunki;—Paszkowski wziął z sobą czystość ducha i serca, skromność pracowitość i zamięłowanie upragnionej cichości. Razemeśmy obydwóch stracili, ztąd żal tém większy, i ztąd niemożność dla żalu wykończenia tak pięknych obrazów.

FRANCISZEK WĘŻYK.

RĘKOPISY

po *Adamie Mickiewiczu*

i niedrukowane ustępy

z Pana Tadeusza.

I.

Przyjaciele zmarłego ś. p. Adama Mickiewicza wezwani przez Opiekę nieletnich jego dzieci, do spisania inwentarza papierów po nim pozostałych, dokonali już poruczoną sobie pracę. Inwentarz ułożony przez Karola z Kalinowki zajmuje przeszło 80 stronnic in 4to w porządku następującym: a) Pisma urzędowe i potoczne, familijne, pamiątki. b) Poezya. c) Pisma prozą. d) Archiwum L. p. 1848. e) Korrespondencya. f) Rozmaitości. —

W pierwszym oddziale znajdujemy 1) Extrakt metryki Ad. M. z ksiąg kościoła Nowogrodzkiego. Ochrzcił go X. Kanonik Antoni Postlett 12 lutego 1799. Rodzicami chrzestnemi byli: Bernard Obuchowicz Sędzia No-

wogrodzki i Podkomorzyna Aniela Usłowska. 2) Patent szkolny z klasy szóstej szkół Nowogrodzkich wydany 10 czerwca 1815. 3) Nominacya jego przez Radę Stanu kantonu Waldenskiego dnia 11 Marca 1840 na profesora zwyczajnego Literatury łacińskiej w Akademii Lozańskiej. 4) List Min. Ośw. fran. P. Cousin 10 sierp. 1840 donoszący Mickiewiczowi iż nominacya jego na profesora Literatury słowiańskiej w Kolegium Francuzkiem przedstawiona królowi do zatwierdzenia. 5) Postanowienie Min. Ośw. 8 września 1840 który porucza Mick. spisanie manuskryptów znajdujących się w bibliotece królewskiej. 6) Dyplom na członka Tow. Etnologicznego Paryskiego 11 list. 1841. 7) 1852 Nominacya Mic. na Bibliotekarza przy Bibliotece Arsenалу.

Oddział drugi i trzeci jako najwięcej interesujące miłośników Literatury ojczystej, wypisuję prawie dosłownie:

Poezya: *Dziady*. „Widowisko cz. I. dotąd niewydana“ Rękopis własnoręczny in 4to stron. zapisanych 22. zaczyna się od wiersza:

Świeco nie dobra! właśnie pora była zgasnąć
I nie mogłem doczytać

a kończy się:

Przebóg co to ma znaczyć? . . . Nie zbliżaj się do mnie!

Dziadów cz. III. w 3 aktach. Autograf in 4to Dedykacya — przemowa — urywki; stronnic zapisanych 10.

Dziadów cz. III. autograf w książeczce in 8vo str. 42. na początku wiersz: Reduta Ordona.

Giaur w książeczce in 8vo Autograf — po Reducie Ordona, w 3 połowie następuje tłumaczenie Giaura od:

Najczulsze serce kiedy zakochane. str 6.

i z drugiego końca książki na odwrot, od wiersza:

Krwiają swą najlepszą, najmiłąś ociekły. str. 5.

Sekstern in 4to Autograf stron. 20 poczyną się od wiersza:

Jak się ten zowie kalajor ponury?

i kończy:

Spotkawszy widmo brzydaze od upiorów.

Pan Tadeusz książka in 4to Autograf od początku powieści w. 62 aż do wiersza:

Lub cicha radość była gazetą ziemianów.

w luźnych ówijkach 79 kart zapisanych. autograf.

Poezye ulotne w autografach — na świstkach.

Pieśni: Pieśń pielgrzymka:

Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią. 8 strof.

Pieśń żołnierza:

Ja w tój izbie spać nie mogę
Choć u ciebie spać sąsiedzie. 6 strof.

i urywek 6 wierszy:

Usnęli w pijactwie &.

Słowiczku mój . . . do B. Z. (drukowany)

Dumania w Lozannie:

1. Nad wodą wielką i czystą
Stały rzędami opoki. 6 strof.
2. Polały się łzy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie. 5 wierszy.
3. Ach już i w rodzicielskim domu
Byłem złe dziecię . . . 8 wierszy.
4. Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada
W oczy zagląda wam i głośno gada.
Dusza wtenczas daleka — ach daleka
Błąka się i narzeka — ach narzeka! 14 wierszy.

Do samotności 1830:

Samotności, do ciebie biegnę jak do wody
Z codziennych życia upałów . . . 14 wierszy.

Widzenie:

Dźwięk mię uderzył — Nagle moje ciało
Jak ów kwiat polny otoczony puchem
Pryśło zerwane anioła podmuchem
I ziarno duszy nagie pozostało 80 wierszy.

Wiersz natchniony wizytą P. Fr. Grz:

Świeci się pomnik mój nad szklanny Puław dach.
Przetrwą Kościuski grób i Paców w Wilnie gmach . . 12 w.

Tłumaczenie z Niemieckiego, drukowane:

Znaszli ten kraj gdzie bluszcz pagórki stroi
Majowy gaj

Urywek:

Bóg miłosierny wejrzał w końcu na rodzeństwo
Na którym takie było niebłogosławieństwo. 15 wierszy.

Bajki i powieści.

Bajki w autografach:

Trójka:

Z naszych poetów Litwy jeden brat Antoni (Górecki)
Miał trójkę koni &.

Lis i koziół (dwa exemplarze odmienne od siebie)

Już był w ogródku, już spotkał się z gąską,
Gdy robiąc skok wpadł w studnię . . .

Żona uparta:

Teras tyle samobójstw że czyhają strażę
Nad rzeką

Bajki przepisane ręką Al. Ch.

Koza, kózka i wilk, z Lafontena 1830:

Sąsiadka kosa, ta co to rozwódka
Z rodu Ostrorożanka

Zając i żaba z Lafontena 1829

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach
Nie tracąc serca póki osuł się rączy . . .

Przyjaciele 1829:

Niemasz teraz prawdziwej przyjaźni na świecie
Ostatni znam jej przykład w Ossinińskim powiecie.

Trójka koni 1832.

Żaby i ich króle:

Rzeczpospolita żabska wodami i lądem
Szerzyła się od wieku . . . a stała nierządem.

Król chory i lisy 1831.

Na ukaz jego listej mości
Dany do nas z Jaskiniowska
Zbójskiego . . .

Tchórz na wyborach 1832.

Po owęj porażce swierzgął
Wszczął się w ich armii nierząd.
Zwołana wojenna rada
Z rady swada;
Każdy każdemu się śali
Każdy przed każdym się chwali
I każdy winę na każdego wali . . .

Osieł i pies:

„Jeśli chcesz ośle by pies kochał ciebie
Kochajże ty psa“ Słowa są Lokmana.

Lis i Kozieł 1851.

Powieści w autografach:

Samolub — 6 kart in 8vo.

Gdzie dobrze, tam ojczyzna — A gdzieś kiedy było
Komu lepiej — gdzieś kiedy komu się przysniło
To wszystko, w co pan Baron na jawie opływa . . .

Żona uparta — 3 kart in 8vo.

U nas kto jest niby chory

Zwołuje sara doktory —
Lecz oszują się bardzo słaby
Prosi chłopca albo baby . . .

Król Bobo i królowa Lala — 2 karty in 4to.

Za czarnem i siném morsem był kraj sbył cudny
Obfity w mąki i łąki, rybny i ludny . . .

Książka oprawna in 8vo z klamrą — w niej 11 kart
zapisanych wierszami własną ręką Mick. w różnych
kierunkach:

„Miałem sen w Dreźnie 23 marca 1832 który ciemny
i dla mnie niezrozumiały, wstawszy zapisałem go wier-
szem — Teraz 1840 przepisuję dla pamiątki:

Śniła się zima — ja biegłem w szeregu
Za processyą, pod niebem, po śniegu —
Nie wiem, skąd wiemy że na brzeg Jordanu
Idsiem — i w górze odgłos: chwala Panu 88 wierszy.

Przypowieści — jest ich 121. drukowane.

Urywek: Lozanna 1839.

Snuć miłość jak jedwabnik nie wnętrzem swém snuje
Lać ją z serca jak źródło . . . 10 wierszy.

Exegi monumentum — wiersz jak wyżej, nieco od-
mienny:

Świeńciejszy pomnik mój, niż asklanny Paław dach . . .

Dalej sześć wierszy tłumaczonych na łaciński język
z Zosiówki Trembeckiego i Oda do Napoleona III. oso-
bno drukowana a umieszczona w dz. Constitutionnel
(1856).

Ode in Bomarsundum captum:

Qualis fugacem quum Amphitryonis . . .

Les Confederés de Bar drame en 5 actes (prozą) są
tylko dwa pierwsze akty ręką ś. p. Bogdana Jańskiego
spisane — 46.

Jacques Jasinski ou les deux Polognes tragedie en 5

actes (prozą). Jest tylko scena 1 i 2 Aktu Igo autograf.

Ostatnie pisma własnoręczne przywiezione z Konstantynopola przez Henryka S.

Akt IV. Scena I. Urywek Dramatu prozą: zapewne *Jasiński*, który był zaczęty po francuzku str. 5 in 8vo.

„W czasie kiedy pierwszy raz zaczęłam myśleć o sobie . . .

Urywek wyznania czy dziennika Polki — str. 8 in 8vo.

Conversations des Malades str. 6 in 8o, jest to rozmowa cholerycznych.

W oddziale Historji znajdują się:

Pierwiastki Słowiańszczyzny. Pismo obcej ręki — dwie odmienne redakcy — pierwsza ma arkuszy 14 1/2, druga 16 1/2 in folio.

Historja Polska kopia ręką Felixa Wr. zgodna z autografem znajdującym się w zbiorze ś. p. Adolfa Cichockiego str. 115 in 4to.

X. I. Słowiańszczyzna — od wyjścia jęz z Azyi do czasów Lecha, Czecha i Rusa czyli Ruryka. Dzieje mityczne Słowian pod Lechami.

X II. Polska w rodzinie Piasta aż do podziału Państwa. Epoka odpowiadająca dziejom Lechii do Popiela. Bolesław W. Mieczysław II. Bolesław śmiały — Władysław Herman — Bolesław Krzywousty.

Polska w podziałach — Rząd Panów — Mieczysław Stary — (historja kończy się na śmierci Kazimierza Spraw. 1194).

Rozmaitości historyczne. Elekcyja Nerwy Cesarza (ręką M. Ch.) data 2 czerwca 1853 — 5 półark. in folio.

Des Peuples de l'Italie avant la fondation de Rome — ręką obcą. 4 półark. in folio.

Wypisy mityczne z Herodota, Justyna, Prokopa i t d. ręką Mick. 12 ćwiartek.

Polityka: Missya polityczna — autograf str. 4 in 4to.

Widzenia polityczne r. 1831 autograf str. 16 in 4o.

Odpowiedź Mic. na pytania J. Z. co w obecnym stanie (1832) poczynąć można, czego unikać — autograf kart 3 in 4to.

Myśl Towiańszczyzny — po franc. ręką Al. Ch. 4 stron. in folio.

Lettre aux Cit. Michelet et Quinet datée de Rome le 2 Mars. 1848. (kopia).

Memorandum dla Nap. III. 1855 str. 14 in 4to. Niewiadomo czy było podane.

Fragmenta Kursu Literatury łacińskiej w Lozannie, Literatury słowiańskiej w kollegium francuzkiem — notatki filologiczne (Pierwiastki wyrazów — etymologia wyrazów polskich kart 10 ręką Mic. — Wyrazy polskie w dawnych pomnikach języków, kart 24 po większej części ręką obcą, Macieja St. spisane).

Pisma mistyczne: Jacob Böhme — wykład jego doświadczeń w 4 oddziałach — str. 21 przepisane ręką P. Levi z dopiskami Mick.

Le Livre des Concordances — rękopis własnoręczny Mic. rzecz nieskończona str. 10 in 8vo.

Widzenie mistyczne, autograf 1 stronnica — rzecz niecała.

„Pamięć ludu mego obcisnęła serce moje dwunastu taśmami płomienistemi, i czułam zawsze tkwiące w sercu dwanaście węzłów zawiązanych na pamiątkę ludu mego . . . “

W zbiorze listów są listy: Dawida rzeźbiarza, Lafayette, Micheleta, Montalemberta, G. Sand, Sainte Beuve, Sismondego, Ed. Quinet, Alf. de Vigny, Kollara, Kopitara, Żukowskiego i wielu innych Słowian. — Najlichnieszy zbiór listów polskich a między temi najwięcej: Domėjki Ign. z Chili — Garczyńskiego Stefana — Niemcewicza J. U. — Witwickiego Stefana i Bohdana Zaleskiego i t. p.

II.

Jeden z bardzo utalentowanych pisarzy, który od niejakiego czasu z wielką szkodą dla naszej literatury skazał siebie na naganne milczenie, tak się niegdyś wyraził oceniając *Pana Tadeusza* w artykule bezimiennym, ogłoszonym jeszcze w r. 1840 (*Wspomnienie o piśmienictwie Polskiem*).

„*Pan Tadeusz* jest to pierwszy romans prawdziwie polski, i pierwszy dobry romans w naszym piśmienictwie. Uroszczenia jego są bardzo ograniczone. Choć często poetyckie barwy przybiera i wierszowaniem strojny, przecież nie chce uchodzić za poemat; nie staje nawet w godności wysokiego romansu, jak *Ryszard w Palestynie*, *Iwanhoe*, *Purytanie*, epopeje które największy twórca z nowoczesnych pisarzy zakreslił od ręki, wśród zatrudnień około roli i budowli. *Pan Tadeusz* jest romansem obyczajowym, i jeszcze nie bardzo wgładającym w duszę człowieka, ale zatrzymującym się chętnie na powierzchni tej różnobarwnej, dziwacznej społeczności szlacheckiej; coś naksztalt *Pana Czerwonki*, tylko posunięte do majestatu *Ksiąg dwunastu*, i opatrzone rymem, wyborną zbroją przeciwko razom czasu. Skromne to założenie poeta wypełnił z rozrzutnością talentu. Czując że jest przy schyłku towarzystwa, które maluje, nie zaniedbał żadnego szczegółu, naznaczył najłżejsze odmiany, wszystkie jego ruchy uchwycił, i w tak dokładnie urobiony manekin tchnął życie dawne. Nie można mu też brać za złe drobiazgowości w opisach, nie był tu do niej skłoniony powszechną dziś chorobą poezyj, ale samą naturą rzeczy. W sztuce, mowność idzie w odwrotnym stosunku wagi przedmiotu: wielkie charaktery wyraża się kilkoma zarysami; ale mienione drapeiry całej społeczności, potrzebują szczegółowej, pra-

cowitej roboty. Kiedyś wyobraźnia potomków naszych odbudowywać będzie z Panem Tadeuszem domową i szarą stronę historii naszej; jaskrawo błynie przed ich oczyma jak szlachta pila, jak się pieniała, jak broniła, którą już nie błyskała u granic kraju, umiała dochodzić krzywd osobistych, a potem odrysują się na tle przeszłości, obce już im postacie ówczesnych ekonomów, kluczników, wojskich, wreszcie sędziów i podkomorzych, nie w powadze urzędu, ale w niedbałym stroju, w codziennej zwyczajności zachowanych. Zaścianki zahuczą próżniackim i hałaśnym rojem, zabrzęczą szablami. Jeżeliby niedłota cywilizacya wygnała od nas wschodnią architekturę i wschodnie stroje, mistrzowski porównawczy opis karczmy i figury żydowskiej przechowa ich pamięć potomności. Jeżeli wreszcie jak miuiemam, późne wnuki pomimo czaru oddali, nie będą bardzo smakowały w tak wydanych pradziadach, to przecież dojrzą z rozczuleniem, że nawet wśród pieniactwa, hulank i bezładu, przechowała się tam świętość rodziny i pobożna cześć poświęcenia.

„Słyszeliśmy jak nieraz powstawano, że Mickiewicz mając przed sobą przedmiotowość polską dziewięciu wieków historycznych, kopalnie bogate tyloma sprzecznościami złe spojonych narodowości, dziwaczne życie polskiego społeczeństwa, pełne jeszcze azyatyckich miazmów żydostwa, Ormian, Tatarów,—a prawie nietknięte od artysty, bo jeden dopiero Malczewski wydobyl zeń Miecznika, on, Mickiewicz, górnych natchnień poeta, zwiedzając to Herkulanum nieukochał tam żadnej posągowej postaci, ani przywódców Rzeczypospolitej jak Sobieski, Zamojski, ani buntowników jak Zborowscy, Nałęcz; ani zdrajców jak Głiński; nierozmłował się w żadnym z dramatów wojenno-politycznych odgrywanych to na szwedzkiej lub tureckiej granicy, to sejmowych lub elekcyjnych; ale się zapatrzył z rozkoszą

w szary koniec naszych pokątnych dziejów, i wyniósł na jasną, i starannie odnowił obraz szlachty wylęgłej pod czasy ostatniego z Augustów, kiedy krew przestała już obiegać żyły Rzeczypospolitej. Wyboru poety nie chcemy usprawiedliwiać, ale staniemy w obronie jego prawa. Użył wolności swojej według upodobania, a kaprysowi swojemu dogodził w sposób przynoszący zaszczyt piśmiennictwu.“

Te uwagi krytyka bezimiennego, mało może publiczności polskiej znanego, mogą posłużyć przy okoliczności ogłoszenia nieznanych dotąd ustępów z powieści *Pan Tadeusz*, które opuszczone zostały w druku w obu dwu jej wydaniach, a pominione albo dla tego że je autor innemi zastąpił, albo że rad był z niektórych zrobić całopalną ofiarę dla swoich przyjaciół a zwłaszcza s. p. Stef. Witwickiego, nieubłaganego purysty. Rękopis *Tadeusza* dziś podobno znajdujący się w zbiorze zmarłego także Adolfa Cichowskiego, posłużył do dopełnienia opuszczeń. Na egzemplarzu zaś *P. Tadeusza* wydanym w r. 1844 sam nieśmiertelny nasz poeta własnoręcznie poczynił inne jeszcze zmiany i poprawił błędy druku. Nim więc wyjdzie nowe zupełne wydanie jego Poezyj, nie będzie obojętną rzeczą znaleźć w niniejszym artykule wszystkie poprawki zamieszczone, które każdy posiadający edycję z r. 1844 może sobie wpisać, aby się ucieszył tekstem poprawnym —

Przystąpmyż zatem do główniejszych, dłuższych ustępów jakie po raz pierwszy mamy przyjemność ogłosić w piśmie naszym:

KSIĘGA I. *Gospodarstwo*. Tadeusz skończywszy nauki wraca do rodzinnego domu, do Soplicowa, gdzie właśnie odbywały się pod tę chwilę sądy graniczne. Nie zastał ani stryja, ani gości, bo całe towarzystwo było na przechadzce, ale dostrzegł w ogródku młodą dzie-

czynę, która wnet z przed oczu jego znikła. Wojski powitał Tadeusza, opowiedział mu co się dzieje w Soplicowie— tymczasem wszyscy wrócili z lasu i poszli na wieczerzę nakrytą w ruinach zamku Horeszków. Przy stole jedno miejsce nie zajęte, snąc czeka na przybycie . . . ale czyje? Tadeusz gubi się w domysłach (str. 13, po wierszu *Lilia jezior...*)

Tadeusz przypominał: jak wszedł do komnaty
Pustej jak to siedzenie, i patrzył przez kwiaty
Jak przez głowy sąsiadek; patrzył w okna sadu,
Jak teraz we drzwi sieni. Szukał znowu śladu
Pamiętki zostawionej po prześlicznej nóżce
Co głębiej w myśli tkwiła niż w piasku na różce,
I nie śmiał oczu podnieść do góry; był pewny
Że ujrzy na filarze jej ubiór powiewny
Włos pokręcony w białe obwinięty strączki
I na piersiach odkrytych skrzyżowane ręczki.

W czasie wieczerzy pan Sędzia rozprawia o dawnych obyczajach, o grzeczności młodzieży, nareszcie przychodzi do powieści o Wojewodzicu (str. 17, w. 12).

„Pamiętacie waćpaństwo jak tu z zagranicy
Przyleciał Wojewodzie— W naszej okolicy
Pan najpierwszy, po ojcu senatora dziecię,
Przystojny, pełen nauk, bywalec na świecie.
Wszyscy za nim latali jakby za rarogiem;
Zazdroszczono domowi, przed którego progiem
Wojewodzica koczyk stanął z koni dwójką,
Ekonom ojca jego nieboszczyk pan Łojko
Wstydzili się zajeżdżać dryndulką tak małą,
Lecz Wojewodzie nazwał swój kocz *damą białą*.
Z tyłu zamiast lokaja wziął kusego pieska,
A na kozłach był Niemiec wychudły jak deska

Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,
W pończochach, ze srebrnymi sprzączkami trzewiki,
I peruka z ogonem uwiązany w miechu.
My starsi patrząc na to parskali ze śmiechu,
A chłopci zegnali się mówiąc: że w powiecie
Jeździ wenecki djabeł w zamorskiej karecie.
Wszakże młodzieży przypadł ten djabeł do smaku,
Brali sobie do sukien kroje z jego fraku,
A damy uczyły się grymasów, ukłonów,
Konceptów przywiezionych z paryzkich salonów.
Ja zaś mówiłem: że to człowiek niedorzeczny,
Źle skończy, a wnosiłem ztąd że był niegrzeczny.
Ciągłe tęsknił w ojczyźnie, znaleźć nie mógł ludzi,
Nie miał s kim żyć — powtarzał że się na śmierć nudzi.
Przedrwiwał najzacniejsze kobiety w powiecie,
Bo prostaczki, na wielkim niebyswale świecie;
Trudno z niemi rozmawiać, niepodobna bawić,
Nie umiały go dosyć ocenić i sławić.
A wiecież jak on skończył? Poznał się z otyłym
Żydem jakimś bankierem z Królewca przybyłym.
Siostra szachraja, dziewczka długa i dzióbata,
Nie piękna i nie młoda, nawet nie bogata;
Lecz ówik baba; umiała przynęcać młodzików,
Plotąc jak opętana dziesięciu języków.
Wojewodzie przysięgał że czystym mówiła
Akcentem, jak gdyby się na bruku rodziła
Paryskim. Owoż teraz popadł babie w szpony,
I jest już w pół zrujnowan i w pół ożeniony,
I oczu teraz nie śmie pokazać przed światem.“
Odetchnął Sędzia, potem rzekł kończąc: „a zatem“
(Co był znak że przychodzi już do wniosków mowy),
Razem na Tadeusza rzucił wzrok surowy.
Zląkł bardzo synowica — w tém z potrawą czwartą
Podszedł lokaj i z trzaskiem boczne drzwi otwarto.

Następnie wszczyną się między Rejentem a Asesorem spór o charty (str. 28, w. 9).

Potrzeba także wiedzieć: że on Telimienie
Nadskakiwał i niby kochał się szalenie.
Żałował więc że dał się ułować tak prędko;
Widać że już na inną rybkę dybie z wędką,
Więc zbliżył się, i z wolna gładząc faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:
„Sławną Akademią macie państwo w Wilnie,
Lecz z katedry o chartach nauczano mylnie;
Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie,
I u nas na wsi — U nas jest stare przysłowie:
„Chart bez ogona

Księga I kończy się przyjazdem Bernardyna (str. 36, w. 28).

Teraz gdy wszyscy spali, w Sędziego komorze
Gadał długo; wychodząc ostrzegł że nie może
Być na mszy obławniczej, bo jutro w niedzielę
Musi w parafialnym nauczać kościół.
Potem będzie powrotu strzelców w karczmie czekał,
Lub gdy prędko nie wrócą szukać ich przyrzekał.

KSIĘGA II. *Zamek*. Spór myśliwych nie został roztrzygnięty w polu, gdzie charty Rejenta i Asessora uganiały się za zajacem — za powrotem do domu kłótnia podniosła się zwawsza i już przychodziło do pięści, kiedy z drugiego pokoju porwali się wszyscy aby zwaśnionych rozbroić, i unieśli z sobą stojących na progu Telimienę i Tadeusza, młodą parę (str. 65).

Podobną Janusowi, dwólicemu bogu

Który gdy wyroczemi skrzypnie zawiasami
Krzyczą, dzieci i matki zlewają się łzami.

X Robak ucisza gromadę, a Wojski jakby przebudzony (str. 66).

Z głębokości dumania, w środku się postawił
Wąsy siwe pokręcił, kapoty poprawił—
Iskrzyły mu się oczy—(zawsze postrzegano
Ten blask niezwykły kiedy o łowach gadano).
Obiegał zgromadzenie . . . :

Żeby położyć koniec swarom p. Sędzia, powołuje
wszystkich do lasu na rydze (str. 68 w. ostatni).

Daléj na rydze! waszeć mości Rotmistrzysko,
Kaź wnieść stół obiadowy, tylko nie w zameczysko.

Ks. III. *Umizgi*. Podczas obiadu gajowy donosi że niedźwiedź ukazał się w ostępie. Obmyślono obławę na jutro i całe towarzystwo idzie spać wcześniej żeby przebudzić się z rana (str. 99).

Tadeuszowi dano dziś izbę w budynku.
Wszedłszy drzwi zamknął, świecę postawił w kominku,
Udając że już zasnął—lecz oczu niezmrużył,
Czekał on widać nocy, a czas mu się dłużył.
Stał przy oknie i patrzył wyrzniętym otworem
Co robi stróż chodzący ciągle pode dworem.
Gdy go ujrzał daleko: nogami równemi
Wyskoczył, okno zamknął tuląc się do ziemi
Jako wyżeł skradał się; dalsze jego kroki
Jesienna noc gęstemi osłoniła mroki.

Ks. IV. *Dyplomatyka i Łowy*. Tadeusz zasnął—prze-

budzony co żywo ubiera się, dopada konia i pędzi ku karczmom kędy obławnicy zebrać się mieli. Następuje opis karczmy Jankiela (str. 107 po w. 14).

Karczma z dwóch ciał jest zrosła jak sporysz orzecha Różnych od siebie, choć je kryje jedna strzecha.

Nareszcie myśliwi dochodzą do puszczy (str. 118 w. 22).

.....

Lecz tajne mu ich wewnętrzne serca tajemnice:
Bo dalej niżli bory i podszyte knieje
Są miejsca — bajka tylko wie co się w nich dzieje;
Miejsca nigdy człowieka niezgwałcone krokiem,
Jak zakłète, okryte tumanów obłokiem,
Który wiecznie z trzęskiego dmą oparzeliska,
Popłątane zieleń sieci, żmii legowiska.
Tu i owdzie jeziora jako wilcze doły,
Zdradnie ukryte, zieleń zarosłe na poły, (w. 119)
A głębokie tak, że ich dna nikt niedośledzi.
W tych to jeziorach mówią wszyscy, że bies siedzi.
Woda ich brzydka, lśkni się jak skorupą rdzawą
I ciągle nakształt dymu zionie woń plugawą,
Od której drzewa w koło tracą liść i korę
Złysiałe, karłowate, robaczliwe, chore,
Pochyliwszy konary, mchem kołtunowate
I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate
Siedzą około wody jak czarownice kupa
Koło czarnego kotła, w którym ważą trupa.
Dalej zaś niedostępne, niezbadane okiem,
Leżą jary nakryte tumanów obłokiem
Który wiecznie ze trzęskich oparzelisk bucha.

Za tymi tumanami jak wieść niesie głucha
Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica
I tam jest zwierzęcego królestwa stolica.

Tam są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona
Z których się rozrastają na świat ich plemiona.
Tam jak w Arce Noego, z wszelkich zwierząt rodu,
Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.
Te pary królujące i patryarchalne,
W jądrze puszczy ukryte, ludziom (światu) niewidzialne.
Rodzą się, umierają, bezpieczne siedliskiem, (str. 120)
Żaden z nich nigdy ludzkim nie zginął pociskiem.
W samym środku, jak słychać, mają swoje dwory
Żubr ogromny i niedźwiedź, puszcza imperatory;
Okolo nich na drzewach gnieździ się ryś bystry
I żarłoczny rosomak, jak czujne ministery;
Dalej zaś jak podwładne potężne wasale
Mieszkają dziki, wilki, i łosie rogale.
Nad głowami sokoły i orłowie dziecy
Żyjący z łaski państwa, dworacy zauszniczy.
Wszystkie zaś tam zwierzęta żyją w dawniej zgodzie (str. 121)
Nigdy jeden drugiego nie kąsa, nie bodzie:
Tylko zwierz, który z gniazda na świat się zacieka
Uczy się obyczajów wojny od człowieka.

W téjże stolicy słychać, że lasów mocarze
Mają swe niezbadane od ludzi smętarze
Bo wiadomo że w miejscach kędy człowiek gości
Nigdy nieznaleziono zmarłych zwierząt kości,
Gdy każdy zwierz raniony lub w ciężkiej chorobie
Na smętarz bieży spocząć w przodków swoich grobie.*)
Głupi niedźwiedziu.....

*) Inna wersja opisu była następująca:

Któż zbadał puszcze litewskich szerokie krainy, (str. 118)
Ich cienie nieprzejrzane, ich wnętrza głębiny!
Gdzie z borów dory, z gęstych gęste ciągną knieje,
Strach tylko albo baśka wie co się w nich dzieje,

Kto zabił niedźwiedzia, kto pierwszy z oszczepem gotów był się nad rzucić, pytania nierozjaśnione dały powód wracającym z obławy do nowych sporów; więc Wojaki żaby do zgody dowieść kończył im o Dowejce i Domejce powieść (str. 132).

„A co się onych tycze, Dowejka z Domejką
Mieli dwory w sąsiedztwie nad rzeką Wilejką.

Bywali u mnie często — chociaż ja daleko
Od nich miałem folwark mój nad Uszą rzeką.....

KS. V. *Kłótnia* KS. VI. *Zaścianek* KS. VII. *Rada*.

Wieść o zbliżaniu się Francuzów rozbiegła się po zaściankach — Szlachta gromadzi się, radzi. Bartek prusakiem zwany chciałby zaciągnąć zdania Ojca Bernardy-

Nie lęka się rybaków dno przepastne morza
I myśliwiec nie zgwałci puszcz litewskich łoża,
Zna je tylko po wierzchohu, ich postać, ich lice,
Leos obco mu ich serca, życia tajemnice.
Są tam jakby za światem w ukryciu głębokiem
Miejscu, nigdy człowieka niesbadane okiem.
Tam od wieków panują puszcz imperatory
Żubr pyszny, niedźwiedź groźny ze swojemi dwory,
Syn panuje po ojcu, bezpiecznie siedziśkiem
Żaden z ich przodków ludzkiem niezaginął posikiem.
Blisko nich też żyjący nie tak okazale
Wilcy ich ministrowie, dziki ich wassale.
A nad nimi latają niby zausznicy
Sępy i orły, gromów i burz posłannicy. (str. 121)
Człowieka tam nieznają — Onby mógł niebrojny
Wórodku tych zwierząt strasznych przechodzić spokojny;
Onby nad patrzyły tym warkiem zdziwienia
Jakim w owym ostatnim dniu dzieła stworzenia
Ojce ich pierwsze co ich rody zacynowały,
Patrzyły na Adama, nim się z nim poznały.
Nikogo niezawiodły w głębie tych przepaści
Ni ciekawość nauki, ni żółwów napaści,
Czasem tylko.....

na, na co oburzył się Maciej Kropiciel (str. 203. w. 5).
Co! zawoła, czekać, zwlekać, a potem uciekać:

Ot plan pruski! — pocichu sza, sza, sza uzbrajać
Czy my..... mamy jako baby bajać?

Tymczasem kiedy się gotują do powstania, hrabia podnieca szlachtę do zajazdu — zdobywa Soplicowo ks. viii. przychodzi do bitwy z jęgrami ks. ix. Narady z kapitanem Rykowem nad zabezpieczeniem losu zwycięzców — Obawy Rykova aby komendant Płut niezdrażdził tajemnicy. Klucznik (str. 290. w. 19) daje do zrozumienia że Płut już nie żyje:

Potem dłonie powoli podniósł i otworzył
Skrzywił się, kiwnął głową i znowu powtórzył:
Płut już niebędzie gadać — potrzeba tak było
Koniecznie; co zrobiło, to się już zrobiło.

Po załatwieniu na prędce tej ważnej sprawy, pan Sędzia, Klucznik i ks. Robak zamykają się w izbie. Mnich czuje że mu kilka chwil zostaje do życia więc w obec Sędziego brata swego, wyznaje przed Klucznikiem że jest Jackiem Soplicą, ojcem Tadeusza. Na te słowa Klucznik (301. w. 24).

Jak ryś nim z drzewa spadnie myśliwcowi w oczy
Sierść nadyma, wąs wznosi i ogonem toczy.....

Ale Jacek zdołał go uspokoić i czyni spowiedź z całego swego życia, (str. 305) opowiada miłość jaką miał dla Ewy córki stolnika Horeszki, którego zabił. Ile razy miał wyznać przed nim swe uczucia, zaraz starzec wrzucał jakieś obojętne słowo albo.....

O mych dawnych miłostkach, bo prawda niestety
Że już bałamucilem i dawniej kobiety,
Zwyczajnie młody głupiec — on gadając o tém
Przy swojej córce, serce me przeszywał grotem.
I po takich wspomnieniach w rozpacz i gniewie
Czułem że już nie mogłem mówić mu o Ewie.
Ach gdyby on przyzwolił, byłbym się poprawił
Ustatkował i z żoną wiek szczęśliwy strawił.
A wszakże wielka moja wina! Panie Boże
Otoż pycha! stało się — odstać się nie może!
Panie świeć jego duszy! —

Nieraz przychodziło mu na myśl gwałtem porwać
Ewę, ale (str. 308).

Wiosenna gąsiennica! z rodzinnego drzewa
Zerwać ją, byłoby ją zabić — czułem, Ewa
Nieprzeżyłaby nigdy mojego zwycięstwa
Nieprzeżyłaby nigdy rodziców przekłęstwa.....

A potem powiedzianoby jeszcze (309)

Soplica mścił się, że mu odmówiono dziewczkę
Jacek Soplica mścił się za czarną polewkę.

Po dopełnionem zabójstwie, ożenił się — żona mu
zmarła zostawiwszy Tadeusza, a wtenczas on poszedł
w obce kraje, zawsze mając w sercu i pamięci obecną
postać Ewy (str. 310 w. 9).

Jeszcze nie skończył — prawda że pierwszy raz w życiu
I ostatni wyjawiam, co było w ukryciu
Na dnie sumienia — Niech mi to Pan Bóg wybaczy.

Szukał zemsty przed tem, nim kraj opuścił. W chwili

kiedy Targowiczanie z Moskwą oblegają zamek Stólnika, nadarzyła się do niej pora — ale Jacek Soplica nie zdradzał, choć wiedział że gmin szczęśliwym przebacza.

Po wielu latach cierpień, skruszony wchodzi między mnichy. — O swych poświęceniach dla kraju zamilcza (str. 317).

nie dla chwały
Ziemskiej, biegłem tylekroć na miecze, na strzały.
Przybrawszy obce imię któżby się chciał wślawić
Gdy sławy krewnym, dzieciom, nie może zostawić,
Tyle mi wolno wyznać że żył dla ojczyzny,
Żem najmiliej te spełniał rozkazy starszyzny
Gdzie wiele niebezpieczeństw mało było sławy,
Przemilczę różne moje za krajem wyprawy.....

KS. XI. *Rok. 1812.* KS. XII. *Kochajmy się.* Wkróczenie wojsk. Uczta staropolska dla generała Dąbrowskiego i Kniaziewicza w Soplicowie. Podczas uczty wszyscy podziwiają arcy serwis (str. 351. w. 2).

Zważcie iż w każdej kupce, stoi wyższy człowiek
Widać z tych ust otwartych, z podniesionych powiek,
Rąk zadartych — odgadniesz mowcę, co tłumaczy,
Uważajcie jak palcem na dłoni coś znaczy.

Z tych mowców i z tych kupiek wprawne oko zgadła,
- Że to przedsejmikowa domowa narada;
Ci mowcy, kandydata są to przyjaciele
Zamawiają dlań kreski, lecz ja powiem śmieie
Że się wybór nieuda, widać z min słuchaczy
Że niechętni i kilku mowców jest w rozpacz.

Wprawdzie, w tej kupce szlachta przyłożyła ucha

Ten ręce za pas włożył, schylił się i słucha,
Rękę przy uchu trzyma, a wąż coraz kręci
Rozważa słowa mowcy i składa w pamięci.
Cieszy się mowca, widzi że są nawróceni
Maca kieszeń, że kreski ich ma już w kieszeni.

Lecz.....

Goście uczują, spełniają kielichy (str. 355. w. 4).

Tymczasem serwis dalej zmieniał pory roku,
Powierzchnia jego oschła z konfitur potoku,
Zieloną, różnobarwną zabłysnęła wiosną,
Wychodzą różne zboża, jak na drożdżach rosna,
Pszemica z cukru żółtym malowna szafranem
Na kłosach przysypana liściem pozłacanem;
Groch z świętojańskim strąkiem, z masła owies błady
I gryka wyrobiona sztucznie z czekolady.
Z drzew powoli białawe otopniało kwiecie
Wydając na jaw owoce dojrzały jak w lecie.
Sapieżanki i dule i jabłka i bery
Zielone, malinami skrapiane szpalery.

Ledwie..... (jak w druku)

.....
Bo serwis jako świat nasz koniecznym obrotem
Zmienia kształt; już owoce malowane złotem
Nabrawszy ciepła w izbie powoli topnieją
Upadają z gałązek, liście czerwienieją.

Goście poczęli zrywać gałązki, pnie i korzenie (str. 356).

Lecz na końcu serwisu, stał porcelanowy
Dom, jakoby dwór pański prześlicznej budowy
Gustem włoskim podobny do onych pałaców
Które w Litwie stawiała rodzina Paców.

W tym domu otwarły się na sprężynach bramy
I wyjeżdżają tłumnie panowie i damy
Na koniach piernikowych, a wiodą na smyczy
Charty s ciasta; za nimi orszak obławniczy
Z flintami, z oszczepami, prowadzący sfory
I ogarów, dalej sieci ciągną się tabory.

Jenerał Dąbrowski rad wiedzieć kto jest tym kunszt-
mistrzem co takie dziwa przedstawił, zagaduje Woj-
skiego, a ten objaśnia że się tego wszystkiego nau-
czył z książki, która takim trafem wpadła w jego rę-
ce: (str. 357).

Tę książkę jak mówił mnie Bartosz Dobrzyński
Posiadał w Wielkopolsce naprzód Pan Poniński.
Nie ów Poniński Łódzia, człowiek z brzydką sławą
Co skrewiwszy, umarł u żyda pod ławą;
Lecz Poniński Starosta — Ten żyjąc wspaniale
Podług téj książki dawał obiady i bale.
Przed śmiercią zapisał ją sąsiadowi swemu
Co mieszkał w Kopaszewie Panu Skórzewskiemu.
Wręczył książkę, od Pana Skórzewskiego żony
Dostał Bartek Dobrzyński Prusakiem rzeczony,
Gdy gościł w Wielkopolsce — Jak zabytek drogi
Prawych zwyczajów, przywiózł ją w ojczyście progi;
Lecz małą mając kuchnię, człek miernego stanu
Oddał ją mnie — Niechaj służy Wielmożnemu Panu.

W końcu uczty Dąbrowski wnosi toast Cesarza Na-
poleona — Maciej jakoś nieradnie kielich wychyla —
nie wiele dobrego wróży z przyjścia Francuzów (str. 363.
w. 19).

Tu widzę inni ludzie niż byli w mych latach.
Kędy posłuchasz, wszędzie mowa o harmatach,

Manewrach — Noszą tylko lance, karabiny;
Nawet i szlachta, nawet wielkich panów syny.
Widziałem dwóch Potockich — i któż to uwierzy
Szwędających się konno, samych jak żołnierzy,
A to byli synowie Potockiego Jana
Wprawdzie trochę dziwaka, lecz wielkiego pana.

.....
.....
Kto to wszystko zrozumie! to grenadjery,
To znowu fizyliery, to znów woltyzery.
Więcej tu Knechtów niżeli Polaków,
Ni usarzy nie widać, ni pancernych znaków!
A szable, a mój Boże! wszak to kara nieba
Temi szablami u nas nieukroisz chleba.
A muszą też być z Knechty Turki czy Tatary.

Dalej powstaje na rabunki świątyni:

Na Litwiną uderzył Cesarz jak na wroga.
Idzie mówią do Moskwy — daleka to droga.
Pono Cesarz Jegomość

Przychodzi w końcu do rozwiązania miłosnego dramatu. Telimena prawie zaręczona Rejentowi, żąda od Hrabiego aby jej wyraźnie powiedział czy ją kocha. Na to otrzymuje odpowiedź: (str. 366. w. 24).

— Widzę, rzecze Hrabia, żeś w nim zakochana.
Dowodzi tego nagle charakteru zmiana —
I czegoż to nie mogą miłości płomienie
W hydrę najłagodniejsze przerobią stworzenie.
Przebaczam ci — Bym szczęścia twojego nieklócił....

To wyrzekłszy ze wzgardą od niej się odwrócił.
I ażeby niewierną zapomnieć kochanki
Obrócił serce swoje do Podkomorzanki:

Nawzajem Zosia zaprzysięga miłość Tadeuszowi i zapewnia go (str. 369).

Obaczysz Tadeuszu nim kilka lat minie,
Będiesz miał z twojej Zosi sławną gospodynię.

III.

Kiedy czytelnik tę nową a nieznane dotychczas sobie rymy zmarłego już wieszczą, zechce porównywać z całością Powieści, niechże sobie zada jeszcze jedną pracę i poprawi w swoim egzemplarzu *Pana Tadeusza* liczne błędy drukarskie, których wydawcy dopuścili się pod okiem i nadzorem samegoż autora.

Str. 23 po w. 13 opuszczono:

Ale myśl twarz nadobną odgadywał swykła;

Str. 39 po w. 4 opuszczono:

Już wróble skaczące świerkać zaczęły pod strzechą,

Str. 66 po w. 2. Wiersz opuszczony i w pierwszym wydaniu — niedopisany na drugim wydaniu przez samego Mickiewicza.

Str. 125 w. 6. niewytrzymanym popr. własn. A. M. *wiropatym*.

„ 128 „ 3 po wyrazie: *prawdziwa* dodaj: *ta*.

„ 142 „ 9 *trzępotaństwo* poprawił *gdęranie*.

„ 155 „ 7 wiersz opuszczony i w pierwszym wydaniu.

„ 172 „ 2 *wpadła* czytaj *padła*.

„ „ po w. 23 opuszczony:

I wyspi się bo jutro będzie wielka praca.

Str. 176 w. 1. *wstąpić* cz. *estąpić*.

" 186 " 23 *kręci* cz. *krąży*.

" 189 " 13 *od* cz. *do*.

" 200 " 2. Zamiaśt:

Mógł więc nie mało światła udzielić obradom

A. M. poprawił:

W niebytności Maćka swykle przewodził obradem

Str. 203 w. 9. *czy ma żaki* zamiast *czy my żaki*.

" 209 po w. 22. Opuszczone w obu wydaniach a do-
dane własnoręcznie

Była wieść że od przodka Dobrzyńskich ta kłiga

Wydarta pod Grunwaldem z rąk Mistrza Junginga

Str. 211 po w. 18 opuszczony:

I jeszcze chce ostatki wydrzeć z rąk dziedzica.

Str. 214 w. 13. *Precz żydzie* — cz. *Precz ztąd żydzie*.

" 217 " 11 między wyrazami *plusk plusk* i opusz-
czone.

" 225 " 2 *wzywał* cz. *wyzywał*.

" 227 " 10 *Sapieżyna* poprawił A. M. *Puzyminą* (bo
istotnie ona to łożyła koszt na obser-
watorium Astronomiczne w Wilnie).

" 228 " 5 *Bo* cz. *Co*.

" 241 " 22 *przycisnąwszy* cz. *przycięwszy*.

" 242 " 16 *miał* cz. *ma*.

" 249 " 12 *w pierś* cz. *w piersi*.

" 251 po w. 12 opuszczone:

I z długiego biczyska porobiwszy petle

Drzemające ptaśtwo śledzi przy latarki świetle

Str. 255 w. 5. *gwałtu zdrada* cz. *zdrada! gwałtu! zdrada!*

" 270 " 15 *i pieścił* cz. *i spieścił*.

" 274 " 21 *Sak broniąc dworu* dodaj *stanął*.

" 297 " 23 *Rzekł—na Telimenę* cz. *Rzekł i na Telimenę*.

- Str. 306 w. 5 *Spieszylem się cz. Spieszylem.*
„ 319 „ 3 *I krew cz. I miecz.*
„ 323 „ 8 *żelazne cz. żelazem.*
„ 325 „ 2 *pod Słonim cz. po Słonim.*
„ 331 „ 3 *po wyrazie o grzechach dodaj jego.*
„ 349 „ 23 „ *kazał ten sprzęt dodaj na*
urząd.
„ 352 „ 19 „ *Łatwo zgadnąć dodaj że.*

Trzy tuziny błędów w samym *Tadeuszu* dostrzeżonych przez samego autora, który wielkim był poetą ale zbyt lichym korektorem. Pewnie drugie tyle mniej ważnych jeszczeby się znalazło — a ile w owych czterech tomikach!!

Ten stan oplakany (bo w błędach) wyzywa potrzebę rychłej naprawy — błędy zasiane każą nietylko język ale przeistaczają myśli pisarza, który dziś za krzywdę sobie wyrządzoną ująć się nie może. Zapewne poprawna edycja zaradziłaby złemu, co nim nastąpi, niniejszy artykuł, niech choć w części wywiąże się z obowiązku szanowania nieśmiertelnego słowa naszego wie-szcza.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

V.

Prześliczny był ranek letni, kiedy Maciej (bo go od wyzwolin Maćkiem zwać przestano), z tłumoczkim na plecach, z kijem w rękę i fajką w zębach, posuwał się równemi krokami drogą ku Kielcom. Nigdy jeszcze nie czuł się tak lekkim i swobodnym jak w tej chwili. Lubił za Krakowem nie tęsknić, wszelako potrzeba mu było kilku dni wędrówki, żeby się oswoić z nowym dla siebie stanem wędrownika i zaprzestać myśleć o czeladnej izbie Kosińskiego, w której lat tyle przesiedział. Pierwszy raz dzisiaj, zielone pola, mleczem i jaskierem ozłocona łąka, trzepocący liść brzeziny, wierzbowa wiecha u płotu budziły jakiś nieznany mu dawniej urok.

Wprawdzie Maciej urodził się na wsi, a przynajmniej jak dawno zapamięta, pierwsze lata swoje spędził jako pastuch na półwsiu Zwierzynieckim, gdzie poznał państwa Kosińskich, którzy tam czasem na kwaśne mleko chodzili. Służba u chłopów to i dla dziecka ciężka: być

Petrz seazyt marcowy i kwietniowy.

sługą chłopskim a koniem żydowskim, to na jedno wychodzi: niedojeść i niedospać, zimą marznąć i do tego bicia co nie miara. Już to dla pasterzy dawno przeminął ów wiek złoty o którym tak słodko wspominają sie-lankopisarze; miejsce jego zajęła zziębła, naga i głodna rzeczywistość. Maćkowi nie mogło nigdy przyjść na myśl, aby wielki jego protoplasta miał panować na górze Idzie i rozdawać tam złote jabłka boginiom. Marzenia jego sięgały wprawdzie niekiedy do złotych jabłek gospodar-skiego sadu, lecz owoc ten i dla niego również zaka-zany, prawie zawsze biciem okupywał. Łatwiej mu już bywało dorwać się cichaczem w grzedy ziemniaczane, aby potem piec ziemniaki na błoniu. Lecz oprócz tych przyjemności, reszta pastuszego życia jego, zwłaszcza zimową porą, w ciężkiej upływała biedzie, póki się nad nim nie ulitował pan Kosiński, który potrzebował takiego chłopaka, na popychadło w domu, a zręczność, zwinność i pojętność Maćka, najlepszym mu były listem zalecającym.

Długo Maciek tęsknił w nowym swoim zawodzie za szerokiem błoniem, rykiem krów i swoim biczem, z którego dzielnie trzaskać umiał, lecz pełną miską jadła i ciepły w zimie zapiecek w izbie krawieckiej wygnały mą niebawem z pamięci troski i uciechy dawnego stanu, a łaska majstrowej i panienki szczodłą ręką zlewała nań dary swoje w formie większej niż zwykle kromki chleba lub kawała sera.

Dwa razy potem tylko do roku obchodził Maciek pamiątkę życia wiejskiego: raz w Zielone Świątki na Bie-lanach, dokąd niósł kosz z jadem za majstrową, i w je-sieni na Krowodrzy, gdzie ścinał lby kapuście, a po-tem na szczycie wozu nią naładowanego wróciwszy z tryumfem do domu, przez cały tydzień nie wziął igły do ręki zajęty szatkowaniem i ubijaniem kapusty, a wtedy przechodził z pod władzy czeladzi pod wyłączną

władzę pani majstrówej. Były to dla niego jedyna w roku dni czystej radości, których nie zaspłił ani zwykły w Zielone Świątki deszcz, ani przeszedzie przyszłego nieśmaku przekisłej kapusty bezkrowej. To też przeciąg terminu swego Maciek zapatrywał się na całą naturę z tego dwoistego punktu widzenia: albo mu się ona kołysała niezliczonemi huśtawkami białąskimi, albo jeżyła się milionami głów kapuścianych. Zostawszy czeladnikiem lubił chodzić na błonie przyglądać się pasącemu się bydłu, a z dawnego życia pasterskiego pozostał mu na zawsze szczególniejszy pociąg do ziemniaków pieczonych. Później jednak, kiedy utrzymanie domu majstra na samej jego polegało pracy, znikła i ta reazta swobody, umysł spoważniał a nawet zaspłiał i głębszego dla siebie szukał zajęcia. Wtedy wieczory niedzielne przepędzał w domu Onufrego, który odwiedziny Macieja poczytywał zawsze jakby godzinę nauki w szkółce niedzielnej, a słowa swoje jakby wykład nauczycielski.

Dzisiaj znowu całkiem inne uczucie owładnęło sercem Macieja. Cała natura przybrała dla niego szatę świętą, uśmiechała się doń wdzięcznia, przemawiała świergotaniem ptasząt, poila wonią ulatującą z parą rasy. Kilka dni drogi wystarczyło, aby go po długim odwyknieniu zbierać napowrót z naturą, która mu tak zohęzała w warsztacie, iż o tyle tylko miała dla niego powabu, że mu przerywała jednostajność życia i dozwalała wyprostować skulone przy robocie nogi.

Daleki dzwonek kościoła wiejskiego przypominał mu że to dzień niedzielny, więc zmówiwszy modlitwę poranną puścił się za tym głosem najbliższą miedzą na przełaj, i przełazłszy przez kilka pól, minawszy kładkę na rzeczule i zarośla wikliny ujrzał się we wsi niedaleką kościół.

Uroczystość była podwójna. Zjechał bowiem nowy dziedzic i młody wikary przysłany na zastępstwo proboszcza, miał pierwszy raz kazać. W ciągu nabożeństwa Maciej parę razy rzucił okiem na dziedzica siedzącego w chórze na pierwszym miejscu, i zdawało mu się, że gdzieś twarz tę już widział, lecz sobie przypomnieć jej nie mógł; a potem zląawszy sam siebie, że się czém innem zajmuje, oddał się cały modlitwie. Lubo rzadko bywał w kościele, bo u krawca do południa w święto najpilniejsza zawsze robota, wszelako miał tę do modlitwy łatwość, jaką zwykle miewają czyste, proste a nie skażone dusze, w sercu zaś jego spoczywały skarby uczuć jemu samemu nieznanych, a osłoniętych grubą powłoką prostactwa. Czytać i pisać nauczył go wprowadzie Onufry, ale do dalszej nauki nie stawało czasu. Wpływ dopiero modlitwy rozmiękczał tę skorupę, rozgrzewał serce, a uczucia wzbierały w niém pełno, bo gorącość ducha tak jak gorącość w świecie fizycznym działa rozprężliwie — i wtedy prosty i nieokrzesany krawczyk rósł moralnie i w jednej chwili przechodził fazę edukacyi, któraby w innem zwykłym położeniu wymagała powolnego i stopniowego kształcenia się. Umysł jego od samego dziś rana był na ten kamerton nastrojony, więc potrzeba było tylko właściwą potrącić strunę by czysty dźwięk wydobyć. Nie zawsze się to powiedzie, bo najczęściej bywa, że chwila taka przeminie niezapłodniona natchnieniem i dla tego nie wyda owocu, albo też o serce uderzy właśnie jaki silny nacisk namiętności, co tę stronę jego potarga, lub wreszcie potrąci o nią złośliwa ręka i fałszywy dźwięk z niej dobiedzie.

Tacy ludzie jak Maciej nie należą jednakże do zjawisk nadzwyczajnych. Są oni pod pewnym względem autodydakdami, tylko że droga nauki idzie do nich przez serce. Dziwić się też niekiedy potrzeba, z kąd w ludziach

nieuczonych lub chowanych samopas, bierze się nie ów rozum praktyczny, co go się z czasem samem nabywa doświadczeniem, ale ów wyższy rozum natchniony zwany mądrością, a który jest zespoleniem głowy i serca? Zkąd u ludzi umiejących zaledwie rozróżnić co złe a co dobre, bierze się niekiedy ta delikatność uczuć, która jest zwykle nabytkiem bardzo starannego wychowania?

Na téj drodze kształcenia się Maciej krok jeden dzień uczynił.

Ksiądz wikary wszedł na ambonę. W słowach pełnych prostoty a przecież wymownych, biorąc pochop z przybycia dziedzica, kazał o wzajemnych obowiązkach panów i czeladzi. Lubo rzecz się odnosiła głównie do stosunków wiejskich, wszelako Maciej brał to wszystko do siebie i zdawało mu się, jakby w każdym słowie księdza leżał dla niego wyrzut, że porzucił dom w którym się wychował i majstra któremu zawdzięcza los swój na całe życie, że się stał niewdzięcznym opuszczając go wtedy właśnie, kiedy pracą swoją mógł go jeszcze od ostatniej uchronić biedy. Wyszedł z kościoła mocno zafrasowany i sam z siebie niekontent. Gdyby nie obawa, że się na śmiech wystawi wracając tak rychło z wędrowki, byłby w téj samej jeszcze godzinie zebrał się na powrót do Krakowa, ale czując jak straszna jest broń szyderstwa która mu się i tak już nieraz dała we znaki, chwiał się mocno między dwiema rozstajnymi drogami.

Tak chodząc zadumany po smętarszu kościelnym ujrzał wikarego wracającego z kościoła do plebanii; przyszła mu więc szczęśliwa myśl zażądania rady od tego, który w nim ten niepokój obudził. Poszedł zatem za księdzem do mieszkania. Wikary wysłuchał go w milczeniu, ale z tym uprzejmym wyrazem twarzy, który zachęca do mówienia i nie okazuje najmniejszego nie-

cierpliwienia się, chociaż mu Maciej nadszyt rozwickie rzecz opowiadał.

— Poczciwy z ciebie chłopiec mój przyjacielu — rzekł ksiądz nareszcie — ale to co zwiesz obowiązkiem, za daleko chcesz posunąć. To już nie obowiązek, ale poświęcenie. Ani cię więc do niego zachęcać ani odmawiać mogę, bo poświęcenie nie jest owocem uznania słuszności, ale wewnętrznego popędu, którego nie należy rozbiierać, lecz go czuć tylko można. Jest to pragnienie, które przedewszystkiem zaspokoić trzeba nie wchodząc w przyczyny, które je zrodziły. Wszelako ta niepełność która cię zniewoliła udać się do mnie o poradę, dowodzi właśnie, żeś nie miał tego pragnienia, ale tylko chciałeś się uspokoić co do obowiązków twoich względem twójgo majstra. Nic im wszelako nie uchybiłeś, iż odszedłeś od niego, boć całe życie u jednego majstra trawić nie mogłeś, i w rzemiośle twojem kształcić ci się należy, ale żeś go odszedł w skutku rozdrażnienia, jakkolwiek ono ze szlachetnej wypływało pobudki. Czyn ten twój nie był czynem rozważi lecz namiętności, i dla tego trapi cię niepokój i wyrzuty, lecz z drugiej strony są one najpiękniejszym twego serca świadectwem. Wszakże gdybyś był powodując się nie chwilowem uniesieniem lecz rozumem, oświadczył poprzednio już majstrowi, iż na wędrowną się wybierasz, czyż kazanie dziśjsze byłoby w sercu twojem wywołało te wyrzuty jakich teraz doświadczasz? Trzeba więc złe naprawić jak można. Wracać do Krakowa byłoby zbyt ciężką dla ciebie karą. W obec Boga żal ten twój policzonem ci jest jako zadosyć uczynienie, w obec człowieka względem którego zawiniłeś, staraj się naprawić złe środkami jakie najbliższej i najłatwiej masz pod ręką. Napisz więc do majstra, przeproś go żeś się z nim rozstał w niezgodzie, a to twoje upokorzenie zatrze w jego ser-

cał i uścisk, jeśli jaka powstała, jeśli zaś jej nie było; zjedna ci jego miłość i poważanie.

Maciej chciał ucałować ręce młodego kapłana który tak umiał czytać w jego duszy i przyniósł mu strapiotnemu pociechę; a pragnąc jak najprędzej ciężar jaki go cisnął zważyć z serca, prosił wikarego żeby mu dał zaraz papieru i atramentu, bo ich w karczmie pewnie nie znajdzie.

— Słusznie masz — rzekł ksiądz — że nie chcesz zwlekać, możesz tu u mnie list napisać, oddam go sam na pocztę w Kielcach bo jadę tam ze świtem, a tym czasem zostawię cię tu gospodarzem, bo mnie czas do dworu; już tam na mnie pewnie czekają.

Wikary otworzył staroświecki kantorek, podniósł klapy jego; która się w wachlarz zwiłała i rozstawił przed krawczykiem cały porządek pisarski. Ciężka to była dla Macieja praca pierwszy list w życiu napisać, bo chociaż myślał dość składowie, to jednak nie mając wprawy w budowę okresów, namęczył się co nie miara, a to zapewne dla tego, że chciał lepiej pisać, niż mu pod pióro szły myśli. Najczęściej tak bywa, że dużo w życiu piórem się namachawszy, nabiera się dopiero przekonania, iż wtedy dobrze się pisze, kiedy się pisze tak po prostu, jakby się mówić miało. Maciej któremu ta tajemnica autorska obcą była, potrzebował dużo czasu na ułożenie listu i dużo napsuł papieru, nim jako tako kilkanaście wierszy napisał, i byłby jeszcze na tem nie poprzestał, gdyby nie to, że chciał skończyć przed powrotem księdza. Zapieczętowawszy więc list położył na nim taki adres:

Do rąk własnych
Imię Pana Ignacego Kozłńskiego
na Mikołajskiej Ulicy
w Krakowie —

oddać proszę.
Pilno pilno.

Tymczasem ksiądz wikary zastał dziedzica z miną, nieco zadasaną. Stał przy oknie i bębnił palcami po szybie niby nie słysząc jak się drzwi otwały i wchodzący odezwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Upadam do nóg Wielmożnego Pana i Dobrodzieja! — dodał ksiądz później na środku pokoju, nisko się skłoniwszy.

Dziedzic bębnił dalej pobudkę.

— Sługa i podnózek Wielmożnego Pana — głośniejszy powtórzył wikary.

— A to ksiądz wikary! myślałem już że na mnie nie łaskaw. Ja przywykły do punktualności już tak od młodego. Nauczyłem się w wojsku pilnować porządku i przekonałem się, że kiedy świat cały idzie jak zegarek, to i na świecie wszystko powinno iść podług zegarka.

Wikary uderzony został temi słowy mającemi za sobą cały pozór wzniosłej prawdy, a będącemi w samą rzecz wypływem materyalizmu. Pogodziły go one z tém przyjęciem ostrem, jakiego doznał i już się odpowiedzieć zabierał, kiedy wszedł mężczyzna już nie młody, w sieraku ubrany, którego dziedzic przedstawił jako pana Chwałkiewicza przyszłego może dzierżawcę Brzezinki.

Dano zaraz do stołu. Obiad nie trwał długo, bo i dziedzicowi i dzierżawcy pilno było, a ksiądz nie zdołał rozmowy ożywić, nie mając z gospodarzem swoim tych punktów zetknięcia, które albo długa zażyłość albo życie na wielkim świecie nastęrcza. Z początku, kiedy ksiądz pamiętny słów wyrzeczonych przez dziedzica pragnął nadać rozmowie tok zadaniu temu odpowiedni, szlachcic zręcznie mu się umiał wymykać podsuwając jaki bezbarwny ogólnik lub tu i owdzie wsuwając słówko z innego całkiem zakresu. Bieglejszy od wikarego

dostzegacz, byłby zaraz poznał, że mówca powierzchowną tylko posiada oglądę, taką jaką zwykle wystarcza w codziennych towarzyskich stosunkach. Dzierżawca mileżał wprawdzie, lecz za to tём gorliwiej zmiatał z talerzy.

Rozmowa przerzuciła się na pole zdarzeń. Dzierżawca zaczął opowiadać swoje przygody wojskowe i miłosne, pełne, jak to zwykle w takim razie bywa, przechwałek i nadzwyczajności, okraszał je jeszcze żarcikami dwuznacznymi, gdzie rubaszość zastępowała miejsce dowcipu; a podobny ton rozmowy nadaje zwykle w świecie miano przyjemnego, miłego i wesołego człowieka. Dzierżawca każdemu słówku dziedzica czy ono było jałowe czy jędrne, mdłe czy drastyczne, wtórował obowiązkowym śmiechem z pełnego gardła, wikary zaś nie mogąc spędzić mówcy z tego tropu, tak zimną przybrał na siebie powierzchowność, że samemu dziedzicowi zdawać się zaczęło, iż większa połowa wartości żartów jego ginie w przelocie, zanim się z ust jego do ucha słuchacza dostana.

W przerwie między jednym a drugim żartem dziedzica, kiedy już dzierżawca przeszedł całą skalę wokalną śmiechu i wzmaśniał gardło nowym kieliszkiem żeby zacząć *da capo*, wikary przeprosił że dłużej pozostać nie może, gdyż zostawił w domu gościa, który niecierpliwie go czeka.

— Aha! rozumiem, rozumiem, — rzekł znacząco dziedzic — pewnie jaka pobożna dusza.

Dzierżawca zawtórował obowiązkowym swym śmiechem, który tak znecierpliwiał wikarego, iż mu rzekł:

— Niewiem zaprawdę, co w tem może być śmiesznego. W istocie bardzo to pobożna dusza, na którą słabe słowa moje dziś w kościele nadspodziewanie taki wpływ wywarły, iż się do mnie o poradę udała.

— Ciekawym, bardzo ciekawym! zawołał — Chwałkie-

wiecz — dobrze bo to poznać ludzi we wsi, z którymi się będzie miało do czynienia.

— Otóż kiedy to nie ze wsi lecz z miasta: wędrowny krawczyk z Krakowa, któremu przykre że odszedł od majstra.

— Musiało mu być tam dobrze, a teraz pewnie bieda bodzie — dodał praktyczny dzierżawca.

— Żle pan o ludziach sądzisz — odrzekł urażony wikary — a przekonam pana jak opowiem, dla czego krawczyk przyszedł do mnie o poradę.

— No proszę! a to rzadki człowiek — zawołał Chwałkiewicz kiedy Wikary przestał mówić — żeby to takiego dostać na ekonoma!

— Zdałby się i na dzierżawcę — dołożył śmiejąc się dziedzic — Przyślij go do mnie księże wikary, ja mu tu znajdę robotę, muszę o nim pomyśleć.

Po wyjściu Wikarego zaczęła się sprawa o interesach.

— Dalibóg panie Chwałkiewicz, ani grosza nie odstąpię od tego, com raz powiedział. Brzezinka to wieś ładna tylko nieco zaniedbana, ale bo też tyle lat w procesie. Jeszcze ojciec mojej żony uzyskał wyrok przyznający, ale się nie doczekał egzekucyi. Ja z téj wsi grosza jednego nie wziąłem dotąd. Kilkanaście tysięcy eo mi przyznano za szkody, musiałem dać na zapomogę dla dalekich krewnych. Wiadomo panu że to się zdarza czasem ktoś biedny w rodzinie eo go wesprzeć trzeba, potem puściłem wieś w dzierżawę i nie mogłem się pozbyć dzierżawcy bez procesu. Ale mi pana zachwalili jako człowieka gospodarnego, więc wolę już spuścić tanio, byle w pewne i uczciwe ręce.

— To też i u mnie Mości Dobrodzieju familia ciężarem na głowie. Wziąłem sierotę i muszę się opiekować. Z dobrego to domu, tylko że ojciec nie umiał się rozdzić i zostawił wdowę z trojgiem dzieci w biedzie,

potem i matka umarła w Krakowie, a syn jeden gdzieś zginął w wojsku, a drugi podobno pisarkiem. — Może to i jakie dalekie pokrewieństwo z wielmożnym panem, bo się podobnież nazywa Koniecka.

— Na imię jej Aniela.

— A tak, Aniela.

— Panie Chwałkiewicz, a ja jestem Stanisław Koniecki, brat Anieli.

— A mój Boże! czy to być może? a gdzież ja się mogłem tego spodziewać! No proszę, pan Stanisław taki wielki pan!

— Ożeniłem się dobrze i wzięłem w posagu dobra w Mazowieckiem i tę wieś z procesem dostałem po ojcu.

— Nie ma to jak się dobrze ożenić, ja to zawsze mówię Anieli.

— A jej się za mąż nie trafia?

— A skądżeby? czy to tak łatwo dostać teraz męża nie mając posagu. Zresztą, ona jest tak do mnie przywiązana, żeby mi nie opuściła nigdy.

— Jakto? niema posagu. Czy Onufry nie jej nie pisał, że mu zostawił gotówką dziewiętnaście tysięcy?

— Dziewiętnaście tysięcy! — zawołał Chwałkiewicz przeciągłym głosem. — Pierwsze słyszę!

— A to lotr braciszek! Ktoby się był spodziewał po nim! mówił — Stanisław chodząc po izbie — Jakto, Aniela nic o tem nie wie?

— Ani słoweczka. Ona nic nie ma przedemną skrytego; ona mię tak kocha, że ja nieraz już miałem zamiar... człowiek tak długo wdowcem, a to żona w domu i w gospodarstwie przecież potrzebna.

— A czy ja wam hrabnie pobrać się?

— Cóż to za poczdwy i kochany braciszek! Niechże pana uściskam panie Stanisławie.

— Słuchaj pan, panie Chwałkiewicz! pogadajmy o-

twarcie. Tyś człowiek roztropny. Jak powiedziałem, daję ci na dwanaście lat dzierżawę i przystaję na cenę jaką mi ofiarowałeś; ten tysiąc złotych rocznie o który nam szło niech będzie na posag dla Anieli. A z Onufrym rób sobie co ci się podoba, tylko wymawiam sobie że-
byście mnie do niczego nie miesza-
li. A gdzież Anielę?

— Została w Kielcach.

— Pojedziemy tam jutro do notaryusza i zrobimy kontrakt, jeśli Anielę mi powie iż zechce iść za ciebie. Jeśli nie, to mi dajcie święty pokój; ja nie mogę się obarczać interesami, familia mojej żony by mię zajadła, żeby wiedziała iż ja na was łożę. Moja żona wciąż chora, a oni jak kruki czyhają tylko na jej śmierć. Jeśli mi majątek zapisze, to potem zobaczymy.

Chwałkiewicz rzucił się na szyję Stanisława, pocałował go całować po obu policzkach a potem po rękach, i nie mógł znaleźć dla siebie miejsca z wielkiej radości.

— Dobrze już dobrze — rzekł Stanisław wyrrywając mu się i obcierając chustką poślinione policzki — tylko sekret!

— O możesz być pan spokojny, ja nie w ciemę bity.

Tymczasem na plebanii inna scena poznania zaszła.

Wikary wyszedłszy ze dworu odetchnął swobodniej. Ta pierwsza próba jego wejścia na świat i w bliższy z ludźmi stosunek nie przypadła mu do smaku. W seminarjum jeszcze będąc marzył o tém wielkiém powołaniu proboszcza, sięgającym jedną stroną tradycyjnego życia szlacheckiego ze wszystkimi świetnemi jego przymiotami i cnotami domowemi, a drugą stroną schodzącym do ludu, który miał oświecać i do dobrego zaprawiać. Zdawało mu się, że będzie pośrednikiem między dwoma temi obcemi a tak bliskimi sobie żywiołami, że zjednoczy je na łonie religii, której jest obwieścicielem. Dzisiejszy obiad rozwił po części jego marzenia, lecz za to tém mocniej utwierdził go w przekonaniu o

potrzebie takiej misyi kapłana na wsi. Zamiast cnót szlacheckich, zastał egoizm, upadek moralny i głupotę, i dopiero na widok Macieja wypogodził twarz, a zbliżywszy się do niego zapytał:

— No jakże? list gotów?

Maciej oddał mu go do ręki. Ksiądz rzuciwszy okiem na adres, zatrzymał się, a potem ze łzami w oczach pochwycił Macieja za ręce, pociągnął ku sobie i uściśnął.

Maciej był w osłupieniu.

— No, nie wiesz co to znaczy mój przyjacielu—rzekł ksiądz po chwili—ja jestem Jan Kosiński, syn twojego majstra. Niech ci Pan Bóg wynagrodzi za twoje przywiązanie.

— Jakto? Ksiądz Jan? syn mojego majstra? wychowaniec pana Onufrego?

— Ten sam, ten sam. Słyszałeś pewnie nieraz o mnie?

— A jakże, i to nie było dnia jednego, a i u pana Onufrego zawsze, i panna Maryanna, czy tam pani Kosińska ciągle wspominała, że też to ksiądz ani się pokaze w Krakowie.

Maciej tak był uradowany, że nie mógł oderwać oczu od księdza, a na pytania mu zadawane odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć, aż naraz przyszło mu coś do myśli i mocno się zafrasował.

— Wié ksiądz Jan, że to złe się stało z tą moją poradą. Że też to ja nie powiedziałem zaraz z początku że mojemu majstrowi Kosiński!

— Mój przyjacielu, nic złego się nie stało. Tę samą radę jaką ci dał ksiądz, powtórz ją raz jeszcze syn twojego majstra. Raz powziętego zamiaru nie zmieniaj. Dziś na noc wszakże jesteś moim gościem, musisz mi wszystko opowiedzieć co tylko wiesz o rodzicach moich, o mojej siostrze, o panu Onufrym, o Krakowie, bo teraz nie mogę się z tobą długo zabawić, czas już na

nieszpory, a po nabożeństwie idź zaraz do dworu, gdzie ma ci jakąś nastreczyć robotę, może się podejmiesz, tobyśmy i dłużej mogli się z sobą nagadać.

Maciej poczał się skrobać w głowę.

— Czy mi masz jeszcze co powiedzieć?

— Ej, bo to widzi ksiądz Jan — rzekł krawczyk nieśmiało dobywając węzełek jakiś z kieszeni — ja sobie rachowałem że w drodze więcej wychodzi, a to nieprawda, za kilka groszy można żyć dzień cały. A do tego może mi dadzą jaką robotę we dworze, to mi już i tyle nie będzie potrzeba, a możeby te kilka złotych dołożyć do listu; jak wrócę do Krakowa, to się tam z majstrem obliczę.

— Nie, mój Macieju — rzekł wzruszony Wikary — ofiara twoja chwalebna, ganić jej nie mogę, ale zważ sam, czybyś wtedy kiedy listownie majstra swego przepraszasz, nieupokorzył go zarazem tym darem, choć go chcesz pokryć inną nazwą? Mam nadzieję, że i ja teraz łatwiej będę mógł dopomódz rodzicom. Od syna przyjmą oni choćby nie wiele, ale od kogo innego, nawet od takiego jak ty przyjaciela, musiałoby im być bardzo dotkliwie. A i mnie wielkaby to sprawiło przykrość, że mię ktoś w obowiązkach moich wyręcza.

Wieczorem wrócił Maciej ze dworu mocno zmieszany.

— Czy ksiądz dobrodziej wie, kto jest dziedzic Brzeźniki?

— No i któżby? pan Koniecki.

— Stanisław?

— Stanisław. A, wiem co cię tak dziwi. Pewnie to że się tak nazywa. Ale cóż w tém dziwnego? Nazwisko Konieckich nie rzadkie w Polsce, bo mi powiadano, że i żona dziedzica także z domu Koniecka, a Stanisław to bardzo powszechne imię.

— Ale kiedy ja powiadam, że to brat pana Onufrego. Już mię w kościele na mszy uderzyło, żeś gdzieś go

widział bardzo dawno; zapytałem potem lokaja jak dzie-
dzie się nazywa, ale on mi się potem w żywe oczy wyparł.

— Jakto? więc go o to zaczepiłeś?

— A oczywiście. Przychodzę do dworu, a on do mnie,
czy nie przyjmę u niego służby. Jakto? służby, pytam,
kiedy ja czeladnik krawiecki. A on w śmiech i propo-
nuje mi żebym do niego poszedł za lokaja. Mnie to tak
zgniewało, że mu powiedziałem, że ja siedziałem do je-
dnego stołu z jego bratem w Krakowie z panem On-
nrym Konieckim.

— Cóż on na to?

— Kazał mi iść do diabła wraz z panem Onnrym.
Ja mu też powiedziałem, że nie znam drogi, bom nie
tutejszy.

— Nie należało przywodzić go do gniewu. Było po-
 prostu odmówić ale go nie drażnić. Grzech spada na
tego, który się staje powodem gniewu. Widzisz że ci
się zdawało że to brat, a przecieby tak o bracie nie
gadał.

— A kiedy ja mówię że brat, bo jakem mu powie-
dział że drogi nie znam, on mi na to: ja ci ją pokażę
i wypchnął mnie za drzwi. A w przedpokoju lokaj za-
czął się ze mnie wyśmiewać, że ja muszę być bardzo
dumny kiedy nie chcę takiej dobrej służby, bo słyszał
wszystko podedrzwiami, ale mi był potem wdzięczny,
żem nie przyjął miejsca i nie wysadził go z tamtąd.
Otóż powiadał mi, że słyszał całą rozmowę po obiedzie
między panem Konieckim a dzierżawcą, że u tego dzier-
żawcy jest siostra pana i Bóg wie nieco. Już to te lo-
kaje, to wszystko wiedzieć muszą.

W poniedziałek rano dwie bryczki pędziły do Kielc.
Na jednej siedział ksiądz i krawczyk, którego wziął
z sobą Wikary żeby mu parę mil drogi pieszej oszczę-
dzić; na drugiej Koniecki i Chwałkiewicz. Bryczka dzie-
dzica dzielną trójką zaprzężona, wyprzedziła chłopski

zaprzęg księży i zajechała przed mały domek za miastem, niby to wiejski niby miastowy.

— Więc to tu mieszkacie? — zapytał Koniecki.

— Cóż robić? dzierżawa mi wyszła, nie znalazłem zaraz inną, musiałem osiąść pod miastem i najmować grunta pod paszę, bo mi żal było sprzedać cały inwentarz.

— Przygotujże Anielę na moje przybycie, ja kąkę tymczasem kontrakt napisać, tak jak powiedziałem, na lat dwanaście, tysiąc złotych opuszczam jak sam chciałem. Aniela niepotrzebna przy kontrakcie. Jak będzie gotów, to ja tu przyjadę po ciebie.

Dzierżawca nisko się skłonił, a Stanisław kazał zawrócić.

Wnętrze domku dzierżawcy składało się z czterech izb przedzielonych sienią. Jedna przeznaczona była na kuchnię, druga za nią była mieszkaniem Chwałkiewicza, na przeciwną zaś stronę było siano i słoma, sieczka i owies, a z tamtąd wchodziło się do izby gospodyni, gdzie sypiała Aniela i parę dziewczek. Aniela nie wiele się różniła od swoich towarzyszek i służebnic, wyjąwszy, że nie chodziła boso i ubiór jej był pół wsio-wy a pół miejski, to jest, że zamiast kaftanika ściąganego na przódzie, był stanik z takiego samego płócienka jak spódnica, zamiast zaś warkocza w tyle puszczonego, włosy były zebrane na czub głowy. Aniela żyła cała w gospodarstwie. Krowiarnia, kurnik, chlewy wyłącznie ją zajmowały, a nieupatrywała w gospodarstwie środka zarobkowania, lecz czy to krowa czy wieprz, gęś lub kura stanowiły w jej wyobrażeniach jestestwo żywe przeznaczone dla siebie samego, a człowiek który je chował, był tylko opiekunem tych zwierząt. Z każdym też cieleciem rozstawiała się z boleścią serca, a Chwałkiewicz nie śmiał w jej obecności sprzedać sztuki

bydła rzeźnikowi, lecz zawsze ją zwodził, że ją oddał gdzie na folwark.

— Jak przyjdzie żyd co tu był w piątek po siwulę — rzekł Chwałkiewicz do Anieli — to mu powiedz, że jej wcale nie sprzedam.

— O to dobrze, mój jegomość, mnie też taki żal było téj krówki, a nawet płakałam, bo mi Magda powiedziała że to rzeźnik, a nie faktor z Brzezinki. Do Brzezinki, tobym ją już dała, bo tam śliczne pastwiska.

— A ty byś chciała mieszkać na folwarku w Brzezince, nieprawdaż?

Aniela uśmiechnęła się i rzekła:

— E, co też to o tém gadać, taka duża wieś, czy to jegomości stać, żeby ją wziąć w posesyę.

— Prawda że nie, ale Brzezinka dostała się niedawno bliskiemu krewnemu twemu, toby ją może i dał taniej, żebyś ty o to prosiła.

— Ja? a mój Boże, cóż ja biedna dziewczyna mogę poradzić?

— O i bardzo, ten krewny mi mówił, że gotówby dla mnie i dla ciebie to zrobić, byleby wiedział, że oboje będziemy w Brzezince gospodarować.

— A dla czegożby nie?

— No, moja Anielo, zmienić się wiele może, jakbyś ty poszła za męża, tobyś się musiała ze mną rozłączyć.

— A to nie pójdę! Wszak jegomość wie, że odmówiła na rozkaz jegomości temu ekonomowi, a on mi potem powiedział, że jegomość dla tego nie chce mię za męża wydać, iżby musiał mi oddać pieniądze zostawione na mnie po matce.

— Kto, on gadał? a to... Słuchaj Anielko, nie dla tego nie chciałem cię za niego wydać, że mi szło o jakieś tam pieniądze, lecz że nie chciałem cię wydać za takiego pijaka i nieponia. A przytém wyznam ci Anielko — dołożył Chwałkiewicz jak mógł najczuliej — żeby

mi pozostać się z tobą, bardzo było trudno, ja cię tak kocham — i pocałował ją w czoło.

— Wiesz co — dodał po chwili — kiedyś ci odmówił jednego, to ci dam drugiego meża. No chcesz?

— A kogo?

— Chocoby mnie samego.

Aniela się zapłoniła i zakryła twarz zapaską.

— No, cóż, jak ci się zdaje?

— Jegomość sobie ze mnie żartuje. Jakżebym ja śmiała!

— Cóż w tym dziwnego moja Anielko, ja cię chowałem zawsze w tej myśli, że będę miał z ciebie pociechę i na starość opiekę, że mi się wywdzięczysz za twoje wychowanie, że mi zastąpisz swoją ciotkę a nieboszczyk żonę moją. Zresztą nie jestem ja przecie taki stary, a ten ekonom co się o ciebie zgłaszał, to o dziesięć lat tylko młodszy. Zresztą tak chce familia, nie opieraj się temu. Brat twój będzie tu dziś jeszcze, idź do izby twojej i ubierz się na jego przyjęcie.

— Mój brat! mój poczoivy Onufry! — zawołała Aniela — przecie że go kiedy w życia zobaczę.

— Nie Onufry to moja Anielko, lecz Stanisław, starszy brat, którego wcale nie znałaś a przynajmniej pamiętać nie możesz.

Stanisław był dla uczuć i wspomnień Anieli zupełnie obojętny.

— Słyszałam, że gdzieś daleko ztąd mieszka, pisał mi Onufry, i że się dobrze ożenił.

— A nie więcej ci niepisał?

— Nic, wszakże ja jegomości daję wszystkie listy od niego do czytania.

— No, dobrze już dobrze. Otóż moja Anielo, ja cię nie zmuszam wcale, ale przynajmniej powiesz panu Stanisławowi, jak tu zajędzie, że chcesz pójść za mnie, a w takim razie będziemy mogli dostać Brzezinkę

w dzierżawę. Jakby ci się o to trafiło, to ja nie będę od tego i łatwiej mi przyjdzie wtedy dopomóc ci gdy będę na gospodarstwie, aniżeli tutaj, gdzie co Maciek zarobi to Maciek zje. Pamiętajże, że dzierżawa Brzezinki od ciebie tylko zależy, a od Brzezinki zależy i twój los. Na takiej wsi jak będziesz, to prędzej zajrzy kto do nas, nawet co porządnego; pogadamy o tem, tylko nie zapomnij, żeby na wszystko przed bratem przystać.

Tym sposobem Chwałkiewicz dostał tanio w dwunastoletnią dzierżawę Brzezinkę. Stanisław kontent, że i wieś paścił, która mu niewiele przynosiła i los siostry zapewnił, odjechał niebawem do siebie w tem przekonaniu, że Onufry wziął całe dziewiętnaście tysięcy dla siebie; lecz ponieważ od lat kilku nie do niego nie pisał, więc temi kikunastu tysiącami, tak jak znów teraz dwunastoletnią dzierżawą zbył się z głowy rodziny swojej i dał jakoby odczepnego, a sam zajął się cichą a uporczywą walką z rodziną żoniną, co czychała na pozbawienie go majątku, którego spadek prędzej czy później otworzyć się musi. Żona bowiem Stanisława była uznana przez lekarzy za niewyleczoną, a małżeństwo ich było bezpotomne.

Chwałkiewiczowi pozostawało jeszcze dosyć czasu do Ś. Jana, terminu objęcia Brzezinki w dzierżawę, postanowił więc korzystać z niego i wyjechał do Krakowa, uzyskawszy bez najmniejszych trudności od dobrze już pełnoletniej wychowawicy swojej ogólną plenipotecyą do działania w jej imieniu. Aniela nieprzeczuwała bynajmniej, że aktem tym podaje broń przeciw własnemu bratu, którego kochała. Chwałkiewicz przybywszy do Krakowa zażądał od Onufrego na mocy plenipotencji zwrotu połowy summy oddanej na jego ręce przez Stanisława, a mandantce jego z prawa się należąc. Onufry wprawdzie niezapierał, że pieniądze otrzymał,

lecz nie miał ich sobie udzielonych dla siebie i siostry; dla kogoby zaś one były, tego powiedzieć nie chce i nie może. Chwałkiewicz wziął to oczywiście za prosty wybieg i wytoczył Onufremu proces. Niemogąc wszakże produkować żadnego tytułu do połowy summy o której przeznaczeniu ustne miał tylko zapewnienie ze strony Stanisława, przegrał sprawę. Onufry nie zapierał i w sądach że pieniądze otrzymał, lecz zaprzeczał do nich komubądź prawa własności. Chłapczyński, który wiedział o co rzecz idzie i nawet się wkręcił w zaufanie Chwałkiewicza, mógł być mu wyjaśnić co to za pieniądze, nigdy wszakże nie byłby się dopuścił kroku mogącego skrócić lub przeciąć proces, a tem mniej tu, gdzie szło o podkopanie dobrego imienia Onufrego, ku któremu nie inną miał zawiść, prócz téj, jaką miewają zwykłe ludzie zli do uczciwych.

Wygrana procesu stała się dla Onufrego źródłem niewypowiedzianych zgryzot. Znajomi jego niewątpili bynajmniej, że on korzystając tylko z braku formalności ukrył pieniądze przed siostrą i oszukał ją, a spokojne sumienie nie wystarczyło tu aby znosić milcząco i cierpliwie wszelkie przyczinki przy każdej sposobności mu czynione. Że dobre imię jego mocno ucierpiało, o tem przekonał się już z tego samego, iż co nigdy dawniej nie było, żydy nachodziły go w domu z różnemi propozycjami odnoszącemi się do biórowych czynności. Marysia mocno czuła to położenie męża, ale go zagrzewała do cierpliwości, a tem przecuciem jakie często cechuje kobietę nieznającą nawet świata, odgadła od razu cele Chwałkiewicza i namawiała męża, aby dla dobra samej Anieli wytrwał przy raz powziętem postanowieniu obrócenia, jak sobie zamierzył, daru brata na rzecz Zosi.

Koledzy Onufrego i nawet jego przełożeni dowiedziawszy się o tym procesie, powzięli szczególny dla Onu-

frego respekt, to jest, przestali uważać go za niezdolnego do ważniejszych czynności a natomiast przyznawali mu pewną zręczność i biegłość spraw, jakiej nigdy przedtem w referatach jego nieodstrzegali. Skutkiem tego zaczęto mu powierzać prace rozleglejsze i mniej samych tylko formalności wymagające, a taki rodzaj zatrudnienia rozruszał nawet umysł jego jednostajną bezmyślną robotą biórową niekiedy przygnieciony. Nie długo potem Onufry posunięty został na wyższy stopień, a każdy dziwił się tylko, że to dopiero teraz nastąpiło.

VI.

Gruca przekonawszy się, że ani proźbą ani groźbą nie wymoże na Onufrym pieniędzy na Zosię przeznaczonych, nie dbał już o nią i najmniejszej nie stawiał przeszkody, kiedy się dowiedział, że dziecko idzie z domu. Pawłowa zaprowadziła ją więc do mieszkania Onufrych, a Szczepanowa szła za nimi niosąc małe zawiniątko z manatkami wnuczki i ocierając zapłakane oczy. Te parę miesięcy przez które trwały zabiegi Grucy aby uzyskać od Onufrego pieniądze, przyniosły jakoby fundusz zaoszczędzony, z którego pani Koniecka porobić mogła sprawunki na jej oporządzenie. Ciężka to wprawdzie była chwila rozstania się z dzieckiem dla obu kobiet, a lubo Szczepanowa nie czuła mniej zapewne od córki swojej, to przynajmniej nie tyle hamowała się w boleści co Pawłowa, która z rezygnacją przyjęła los swój, przekonana będąc, że dobro jej dziecka tego wymaga.

Pani Koniecka zaprowadziła Zosię na pensję do *Madame Julie*, która używała reputacji najdoskonalszej ochmistrzyni. *Madame Julie* zjawiała się w Krakowie po

powrocie rozbitków napoleońskich z pod Moskwy. Była ona jak sama utrzymywała, wdową po jenerale francuzkim poległym w Rosyi, imienia jego wszakże nie używała, nie chcąc ubliżać pamięci jego. Jako współniczka nieszczęść wielkiej armii znalazła w mieście łaskawe w kilku domach przyjęcie, a lubo maniere jęj były nieco za rubaszne, przebaczano im, raz że była francuzką, a jako taka winna być zawsze wyżej cenioną, powtórę, że spędziwszy całą młodość swoją w obozie przy boku męża, musiała koniecznię zachwycić nieco obozowych obyczajów. Francuzczyzna jęj nawet nie zbyt czysta, znajdowała usprawiedliwienie w tem, że wielka armia składała się jak wiadomo z ludzi wszelkiego narodu, więc młoda osoba z łatwością przejęła niektóre wyrażenia, których rodowitęj polce mówiącej po francuzku użyć niewolno. Wprawdzie przejeżdżała późnięj przez Kraków jakaś awanturnica, która dała się słyszeć, iż zna Julię doskonale, gdyż obie były markietankami w obozie francuzkim, nikt temu jednak wiary dać nie chciał, a nawet pani jenerałowa tyle już wówczas znalazła protekcyi, że francuzicę intrygantkę za potwarz wydalonę z Krakowa. Wtedy pani Julia nieograniczone w salonach panowanie objęła we wszystkich rzeczach mody i edukacyi tyczących się i pensya jęj miała z czasem tak imię utrwalone, że go nic już zachwiać potem nie mogło.

Pani Koniecka przedstawiła Zosię jako sierotę z dalekich stron daną sobie przez krewnych w opiekę. Grucowa zganiając się z córką upominała ją, by u Madamy ani słówka nie pisaęła nigdy o szynku „pod beczką“; znała ona bowiem o tyle świata, będąc sama niegdys dwórką, że chcąc wstąpić na wyższy szczebel społeczeństwa, niedość otrzepać pył z nóg swoich, któryby zdradzał po jakim gruncie się chodziło, ale nawet z wspomnieniami przeszłości zerwać zupełnie należy, inaczej

zawsze wrócić tam będą nowego przybysza za intruza. Nakaz ten nie był dla Zosi tak dalece do dopilnowania trudny, jakby się tego po dziecku w jej wieku spodziewać należało; nauczyła się już ona dawno w domu matczynym skrytości, udawania i wybiegów, któremi się przed Grucą broniła i używała ich nawet nieraz dość zręcznie w obronie matki i babki przed tyranizującym je szynkarzem; widziała również jak matka i babka nigdy z nim otwarcie nie postępowały. Państwo Konięcy przyjęli milcząco na siebie część tego kłamstwa przez wzgląd na jego konieczność, by zapewnić szczęście Zosi i upatrywali jedyny w ten sposób usunięcia dziecka raz na zawsze z pod wpływa matczynego, który zdawał im się być przeszkodą do należytego wychowania dziewczyny. Nie szło tu wreszcie o wyraźne zaparcie się matki, ale tylko o milczenie.

Zosia miała metrykę wydaną na imię Zofii Wojtasionki po matce swojej Katarzynie Wojtasionce, lecz *Madame* wyraźnie oświadczyła przyjmując ją, że nazwiska tego używać nie może, że nawet z takim nazwiskiem przyjąłby jej niemogła bez skompromitowania siebie i swojego zakładu. Pani Konięcka i na to chętnie przystała w dalszej konsekwencyi raz powziętego zamiaru odłączenia Zosi od stosunków z domem matczynym. Nie zachodziła w tem zresztą najmniejsza trudność, bo Zosia, jak to się często zdarza między dziećmi jej stanu, nazwiska swego nie знаła. *Madame* dodała jej tylko na pensyi drugie niby imię, mające jej zastąpić nazwisko, a kiedy Zosia nauczyła się pisać, podpisywała się zawsze na zeszytach szkolnych: *Sophie Albertina*.

— To dziewczyna z wielkiego domu — rzekła *Madame* do swoich uczennic, kiedy je zawiadomiła o przybyciu nowej koleżanki — pochodzi ona podobnie z Litwy czy też z Ukrainy. Losem jej zajmuje się tymczasowo

plenipotent jój dziadka, pewien tutejszy urzędnik. Ale to okropna historia, opowiem ją, lecz pod wielkim sekretem. Wiadomo wam, że się ona zowie *Sophie Albertine*, przyjdzie jednak czas, że będzie mogła odkryć prawdziwe swoje nazwisko, ale teraz jeszcze niebezpiecznie. W matce jój kochał się pewien szlachcic, lecz ojciec zmusił ją że poszła za wielkiego pana. O szlachcicu nie było długo słyhać, aż naraz zjawia się na czele bandy rozbójników, napada zamek swojego rywala, morduje go, żonę jego uprowadza, a zamek podpalić każe, pewnym będąc że Zosia, która wtedy była w kolebce, zginie w płomieniach.

— Ach! to okropne! — zawołały panny chórem.

— Otóż — ciągnęła dalej *Madame Julie* — zbójcy widząc że zamek cały w ogniu, odeszli, a wtedy stary sługa który na rękach swoich wypiautował ojca Zosi, rzuca się w płomienie, wynosi dziecko, oddaje je jednej wieśniaczce, a sam umiera napół opalony. Dziad Zosi a ojciec jój matki, poprzysiągłszy zemstę, ściga jój uwodziciela i szuka córki, którą ten uprowadził w góry i zapewne trzyma dotąd zamkniętą w jakiejś podziemnej jaskini, lecz dopóki herszt rozbójników nie padnie trupem, Zosia musi się ukrywać w Krakowie. Przeczytam wam coś podobnego w Korsarzu lorda Byrona, którego Wanda Malecka prześlicznie opisała.

— Ach! to musi być bardzo piękne — zawołały panny powtórnie.

— Nie dziwcie się więc — mówiła dalej *Madame* — że Zosia chowana przez kilka lat u wieśniaczki, ma takie ordynarne maniery. Za staraniem mojem pozbędzie się ich wkrótce. Tylko jój nigdy nie mówcie o tem com wam pod sekretem opowiedziała; należy zawsze uszanować nieszczęście.

Pensyonarki struchlałe na ten okropny opis przygód, dały sobie słowo być uprzejmymi dla ofiary prześlado-

wania, spoglądały na Zosię z litością i chętnie pomagały jej w nauce. W kilka dni, wszystkie matki w Krakowie wiedziały, że na pensyi u *Madame Julie* znajduje się jakaś księżniczka z dalekich stron, żywy obraz „Kopciuszka,” który właśnie na ówczas rozczułał publiczność teatralną.

Pod wpływem takiego wychowania, pojętna i przebiegła córka szynkarki „z pod beczki” nabyła szybko powierzchownej oglady: nauczyła się gadać po francusku, brząkać na klawikorcie, śpiewać kilka aryj z operetek, obracać się w koło w takt muzyki, kłaniać się na tempo, siedzieć prosto i układowie, chodzić z niechcenia; w dalszym zaś ciągu edukacyi wiedziała kiedy spuszczać oczy a kiedy je zuchwale podnosić, kiedy się uśmiechnąć i jak się uśmiechnąć, jaki winien być najwłaściwszy wyraz twarzy na znak rozczenia lub surowości, jaki układ ciała nadać sobie trzeba kiedy się chce okazać lekkość, a jaki kiedy powagę, słowem, częścią wprawą i naśladowaniem, częścią zaś przez wrodzoną przenikliwość, Zosia skupiła w sobie wszystkie te przymioty, jakie na pierwszy rzut oka cechują pannę „skończoną” i „dobrze wychowaną.”

Onufry rzadko kiedy miał sposobność widzenia swojej wychowanki, która jeśli wychodziła, to nigdy sama lecz zawsze w towarzystwie grona koleżanek swoich; żona zaś jego wolała iść do *Madame* kiedy miała do Zosi jaką potrzebę, niż ciągnąć ją do siebie do domu, bo za Zosią trzeba było posyłać służącą, a pani Koniecka jedną tylko trzymała sługę, a przytem nie życzyła sobie aby się Zosia spotkała z matką lub babką. Onufry zanosił regularnie do *Madame* umówioną płacę i przy téj sposobności chciał się niekiedy przekonać jak daleko wychowanka jego w naukach postąpiła, lecz że w francuszczyźnie nie był mocny, a *Madame* utrzymywała, że wszystkie nauki, nie wyjmując pierwszych zasad religii,

wykładają się wyłącznie po francusku, więc ile razy przyszło do podobnego egzaminu, *Madame* usiłowała skompromitować tylko opiekuna. Pani Koniecka wierzyła ślepo w mądrość nauczycielki i tylko bolała nad tem, że sama tak dalece zaniedbaną była, iż oprócz czytania, pisania i katechizmu, tudzież robót kobiecych, wszystko inne było jej całkiem obce.

Dom Grucy osierocony z dziecka smutniejszy jeszcze przedstawiał obraz, a lubo już nie tak często jak dawniej słyszano w nim hałasy szynkarza i szlochania jego żony i jej matki, wszelako mylnie wnosili z tego ciekawsi sąsiedzi, że szczęście zawitało w ten dom po wydaleniu z niego téj, która w oczach świata uważaną była za główny powód niepokoju. Sąsiedzi wszakże nie widzieli cichych łez Grucowej, która je zarówno tała przed mężem i przed matką, a kiedy ją ujrzano z zaczerwienionemi oczami, zawsze się żaliła, że kuchnia dymi; nie rozumieli także smutku Szczepanowej, a milczenie jej i zółkłe lica przypisywali znudzeniu przy pracy i starości, która u jednych objawia się stopniowo, drugich zaś nagle niekiedy zaskoczy i twarz gładką w ciągu kilku miesięcy okryje zmarszczkami, jakby wynagradzając sobie naraz zbyt długie czekanie. Gruca sam jeden nie zmienił się bynajmniej. Zajęty od świtu do późnego wieczora, pracował z taką gorliwością niepohamowaną, jak gdyby miał żyć wiecznie. Podczas częstej jego w domu nieobecności Szczepanowa wymykała się cichaczem i wystawała naprzeciwko okien pensjonatu w którym była Zosia, póty nieodechodząc, póki jaki przypadek nie sprowadził Zosi do okna. Wtenczas szynkarka wracała do domu uradowana, rozповідаła córce o Zosi i przez cały dzień następny była znacznie rozmowniejszą z gośćmi.

— Czego ta baba tu wciąż wystawa naprzeciwko i patrzy w nasze okna? — mawiały panny.

— Czy ona przypadkiem nie jest wysłana od tego przywódcy zbójców który porwał matkę Albertiny? — odezwała się jedna.

— Czy uważasz jak się radośnie uśmiechnęła ujrzawszy teraz Zosię? — rzekła inna.

— O Boże! żeby tylko nie jakie nowe nieszczęście — zawołała trzecia.

— Zosiu? co tobie? tyś tak zbladła? czy ty znasz tę kobietę co teraz odchodzi?

— Ja... nie, nie znam.

— Założyłabym się o podwieczorek, że ona ją musiała kiedyś już widzieć — szepnęła jedna z pensyonarek do swojej sąsiadki.

— A to dla czego?

— Widziałam jak się wzdrygła, a potem nagle się zmieniła.

— Przeczucie może, przeczucie.

— Jak mamę kocham, tak powiem *à madame*, że rozmawiacie po polsku.

— Dobrze, dobrze, panno Adelo, mów sobie co ci się podoba, kiedy ty sama gadasz po polsku.

— *Moi, c'est autre chose, je voulais seulement vous faire observer...*

— *Bien, bien, il ne faut pas être si exigeante quand on n'est pas sans reproche.*

— *Ah! c'en est trop.*

— *Mesdemoiselles, silence! Madame vient d'entrer.*

Kiedy weszła pani Julia, sprawa wytoczyła się przed nią, lecz nie o polszczyznę i francuszczyznę, ale o Zosię i kobietę z przeciwka. Zosi już nie było w tym pokoju, wyniosła się z niego nagabywana będąc przez swoje koleżanki i zagłębiła się niby w książkę, właściwie zaś chciała ukryć pomieszczenie jakie ją ogarnęło na widok babki a którego ukryć nie umiała. Zosia przemysliwała

jak się ma w podobnych przypadkach na przyszłość zachować.

Wybież na ulicę i rzucić się w objęcia babki — dyktowało jej serce.

Nie zdradzić się, wytrzymać pierwsze napady ciekawych pensyonarek i zachować o ile można obojętność — szeptała pycha.

Jednakże jak cię ta babka kocha, kiedy niczego nie pragnie byle tylko ujrzeć cię w oknie — rzekło serce.

Skompromitujesz się i wystawisz na szyderstwo, a wtedy pożegnaj wszystkie nadzieje i wróć za szynklas — odpowiedziała pycha.

Twoja matka tęskni za tobą, a choć przystała na rozbrat byle ci szczęśliwszą zapewnić przyszłość, to przecież poświęcenie to wiele ją kosztuje — mówiło znów serce.

Więc i ty ją naśladowaj, — rzekła pycha — poświęć tęj konieczności twoje uczucia, poskrom je a przynajmniej zmusz do milczenia. Zwycięztwo takie jest zaszczytne, ono cię w twoich własnych oczach podniesie. Zwycięztwo takie nie będzie bez nagrody, a nagrodą tą niczem już niezaprzeczonego wstępu w podwoje wielkiego świata. Każ wyobraźni swojej roztoczyć wspaniały obraz przyszłości.

Zosia podparła główkę i wnet ujrzała w marzeniach swoich obszerny salon błyszczący tysiącem światel, które się odbijały w zwierciadłach, łamały tęczowymi barwami w szklanych wisiorach świeczników; zalały ją stamtąd upajająca woń kwiatów i dźwięki czarującej muzyki, szelest jedwabnych sukien suwających po woskowanej posadzce, a wśród tego turkot zajeżdżających powozów i stentorowy głos lokaja meldujący same księżniczki i hrabianki, samych książąt i hrabiów, a dalej szmer pochlebnych słówek szeptających jej, że jest królową balu, a potem... potem jedno cichsze, miękko a rzewnie tuż przy uchu wyrzeczone słowo tajemniczego zapewne zna-

czenia i siły, czarodziejskiego wpływu, bo za wypowiedzeniem jego dziewczyna się zapłonila mocno i serce jęj w przyspieszonych unosiło się przestankach.

— A kiedy ja mówię że to Zosia Wojtasionka!

Na głos ten wzdrygła się Zosia. Znikła sala złocona ze swoim światłem, brylantami i kwiatami, znikły piękne panie i panowie bogaci, a przed Zosią stała Szczepanowa wyciągając ku niej żylaste ręce swoje.

— O moje najdroższe dziecię! moja kochana Zośka!

Zosia zamiast odpowiedzi zsunęła głowę z ręki i opadła zemdlona na poręcz krzesła. Szczepanowa ujrawszy ją w takim stanie rozpięta i poczęła trzeźwić, a potem wybiegła z pokoju wołając: — Wody! wody! prędko!

— *Ne faites pas de bêtises ma chère, tout va bien, on ne se doute pas ici, qui est cette femme*—rzekła *Madame*.

— Zosia zakryła twarz rękami i poczęła płakać. Szczepanowa przyniosła szklankę wody, a za nią wciśnięto się kilka panien do pokoju, lecz *Madame Julie* skinieniem ręki kazała im wynieść się na powrót, a obróciwszy się do Szczepanowej, odebrała od niej szklankę i rzekła:

— Moja kobiecino, zostaw Zosię w spokojności, zbytne wzruszenie mogłoby jęj zaszkodzić.

Szczepanowa rzuciła na Zosię okiem politowania i przebakła półgłosem:

— Już to ja zawsze mówiłam, że te nauki nie wyjdą jęj na zdrowie.

Madame Julie odprowadziła Szczepanową aż do sieni i tam rzekła do niej po cichu:

— Zaczekaj tu moja kobieto, wpuszczę cię do mojego pokoju temi drzwiami, tam się rozmówimy na osobności.

Szczepanowa została w sieni, a pani Julia wróciwszy rzekła do panien:

— To była właśnie owa kobieta u której się Zosia przez kilka lat chowała. Bierzcie przykład ze Zosi moje panny, co to jest wdzięczność; a przecież ta kobieta nie jest ani krewną Zosi, ani jej nie dała wychowania przyzwoitego jakie tu pobieracie.

— A cóż się dzieje z matką Zosi? — zapytały panny.

— Nie mogę wam dziś nic jeszcze powiedzieć. Możecie iść do pokoju Zosi, lecz nie okazywać jej, żeście tę kobietę widziały. Nie należy drażnić jej czułości.

To rzekłszy weszła pani Julia do swego pokoju i zasnawszy drzwi za sobą, wpuściła Szczepanową która czekała w sieni.

— Narobiłaś mi tu wielkiego kłopotu — rzekła pani Julia — po co było wystawać pod kamienicą i zwracać na siebie uwagę moich panien. Jeżeliś chciała widzieć Zosię, to było się wprost do mnie udać. Jak mi powiedziały panny, że jakaś kobieta wystawa na ulicy i ujrawszy Zosię w oknie daje jej znaki ręką, wysłałam służącą żeby was do mnie sprowadzić, a wy zamiast tego, wpadliście jak szalona do sali szkolnej i kiedy panny was wstrzymać chciały, póki ja nie nadejdę, zaczęłaś wołać, że musisz się koniecznie widzieć z Zosią Wojtasionką. Któż widział takie robić hałasy! Moja kobieto, pan Koniecki mi coś natrącał o was i waszję córcę, ale ja nie ciekawa, tylko mi powiedzcie wiele na Zosię rocznie przysyłają, bo to widzicie, ja się zgodziłam tanio, a to i życie teraz droższe i mieszkanie mi podnieśli, nauczycieli i guwernantkę trzeba dobrze płacić, a przytem Zosia rośnie to potrzebuje też coraz więcej, a pan Koniecki nie chce nic sprawiać i Zosia chodzi gorzej niż inne panienki i wstyd ją; ani to parasolki ani kapelusika porządnego. Powiadali mi, że wasza córka ma się dobrze, niechże więc pamiętać o dziewczynie. To niegodnie tak o niej zapominać. Dla dobra więc Zosi postanowiłam ani wam ani waszję cór-

cenie pozwolić ni razu przyjść tu do mojego pokoju, jeżeli nie przyniesiecie z sobą na sprawunki i drobne potrzeby dla Zosi. Wszakże to i w dziecku stygnie przywiązanie, kiedy się tak o nióm zapomina.

Po téj nauce odprawiała *Madame* Szczepanową, uzyskawszy od niéj obietnicę, że na jéj ręce składać będą po kilka lub kilkanaście złotych, z czego *Madame* kupować będzie dla Zosi, to co uzna za potrzebne. W rozmowie téj *Madame* wypowiadała szynkarkę ze wszystkiego co tylko tyczyło się jéj samej, Pawłowej i jéj męża, Zosi i obu Konieckich, a potem ją odprawiała, upominając surowo, aby nie ważyła się bez podarunku przychodzić.

Szczepanowa ucieszona widzeniem Zosi, lubo sobie czyniła wyrzuty, że tak nagle i niespodziewanem wpadnięciem przeraziła ją i nazbyt wzruszyła, wszelako właśnie ujrzała w tem dowód oczywisty przywiązania dziewczyny. Pewna téj miłości nie dbała bynajmniej o to, czy Gruca wrócił lub nie i co powie nie zastawszy jéj w domu. Grucy wszakże nie było jeszcze, lecz żona jego z niecierpliwością wyglądała powrotu matki, nie spokojna będąc co się z nią stało, bo Szczepanowa wychodząc z domu na czaty pod okna Zosine, nie mówiła gdzie idzie. Zdziwiła się przeto Pawłowa niezmiernie, kiedy jéj matka opowiedziała swoje widzenie się z Zosią i rozmowę z Madamą, a kiedy oznajmiła o warunku pod jakim dozwolono jéj przystępu do dziecka, Pawłowa zastanowiła się nieco jakby szukała w umyśle jakim sposobem ma mu zadosyć uczynić i oznajmiła matce, że za pierwszą nieobecnością męża pójdzie odwiedzić córkę.

Odwiedziny matki i córki odbywały się odtąd na przemian co tydzień lub co parę tygodni jak się zdarzyła pora. Trzeba się im było strzedz nie tylko Grucy ale

i Chłapczyńskiego którego zawsze miały w podejrzeniu, że je szpieguje.

Zdarzało się wszakże, że *Madame* otrzymawszy od której z nich datek przeznaczony na drobne sprawunki Zosi, wracała z oznajmieniem, że Zosia jest właśnie przy lekcyi i nie może przybyć, albo też Zosia sama wbiegłszy zawołana przez *Madame*, powitała matkę lub babkę z niechcenia i spiesźnie wynosiła się, nie mając chwili wolnej od nauk. Dziwne to były obu kobietom te coraz rzadsze z Zosią rozmowy, lecz jedna przed drugą tały to spostrzeżenie, każda sądząc, że to tylko jēj tak się zdarza.

— Cieszy mię moje dziecko że szlachetne uczucia biorą u ciebie górę — rzekła pewnego razu do Zosi pani Julia — los nieszczęśliwy chciał, że matka twoja z gminy pochodzi, bo ojciec twój, mogę ci to Zosiu powiedzieć, bo już nie jesteś więcej dzieckiem, starożytnego jest rodu. To też krew która w żyłach twych płynie nie dozwala ci zniżać się nigdy, a jeżeli cię boli stan twojēj matki, jakże byłoby okropnie podzielać go! Myśl ta zapewne cię przeraża, ale nie lękaj się: z twoją pięknoscią i edukacją możesz zawsze świetnego spodziewać się losu; pamiętaj, żeś mnie winna wszystko. Ja cię dobrze pojmuję, ciebie przeraża widok tēj starēj kobiety która się babką twoją być mieni, i z matką twoją nie możesz także wymieniać idei; *elle est si grossière! Pauvre enfant, venez sur mon coeur qui seul te comprend.*

Wycieczki Pawłowej i Szczepanowej do Zosi nie mogły zostać długo tajemnicą dla Grucey. Zaszedłszy raz drogę żonie, zagnał napowrót do domu, wyprowadził jak najściślejszą indagacyę, zrewidował kieszenie, a znalazłszy kilka złotych, zbił ją, mówiąc że go okrada i pod najsurowszą karą zabronił chodzić do *Madame*. Szczepanowa cichuteńko się sprawiła tym razem i nie

ujęła się za córką, jakby lękając się, żeby i na nią kolej nie przyszła, bo się poczuwała do winy. Gruca się zaklął, iż jeśli jeszcze raz stanie się co podobnego, to zrobi awanturę na pensyi i zmusi Madam do oddalenia z domu Zośki.

Pogróżka Grucy nigdy nie była prózną, obie niewiasty ogarnął przeto strach i postanowiły zaprzestać czas jakiś wizyt swoich; żeby jednak i Madame i Zosię przysposobić, wysłały Szmulową z wyjaśnieniem stanu rzeczy. Missya ta bardzo przypadała do smaku pani Julii, bo postanowiła za jej pośrednictwem załatwiać najważniejszą stronę odwiedzin obu kobiet, a przytem uniknęła ich bywania nazbyt częstego, a które, z czasem mogło się stać kompromitującem. Szmulowa chętnie za małym wynagrodzeniem podjęła się posyłek, zwłaszcza, że ani jednej ani drugiej stronie nie zdawała rachunków. Była to także z jej strony mała na Grucy zemsta, wyciągając od żony jego i jej matki ile się dało, a zemsta tem miłsza, iż zarazem bardzo zyskowna. Ubytek parę złotych dziennie nie dał się czuć w tak dużem gospodarstwie jak Grucy, wszelako Chłapczyński na przekór szynkarzowi utrzymywał, że kiedy zaczęto raz wynosić pieniądze z domu, to już tego nie zaniechają nigdy; w miarę tylko przeszkód będą ostrożniejsze.

— Oho! wiem ja na co ty godzisz bratku; chciałbyś mi wpakować na kark tę szynkarkę z Kleparza, do której się umizgasz. Dopierobyście mnie oboje darli.

— Ja, ciebie? największego rzyjaciela od serca! Pawelku, ty mię spotwarzasz. Rób co ci się podoba, ja nie mam w tem najmniejszego interesu, chciałem cię tylko przekonać że cię kradną.

— A 'skąd wiesz o tem?

— Skąd wiem? bo znam ludzi. Mój kochany, czy to ja mało nasłuchiwał się spraw kryminalnych? dawniej to codziennie bywałem za assyidenta, czy za tego czy za

owego znajomego, wszakże i cały przeszły miesiąc chodziłem za ciebie, a wtedy pewnie w najlepsze gospodarowano u ciebie, bo myśzy nie czuły kota w domu.

— No to cóż? jakem raz złapał i dał pamiątkę moją, to ani ona ani stara kroku z domu nie ruszyły.

— A ja ci mówię, że cię kradną, i jeżeli nie tym to innym sposobem z domu wynoszą. Mówilem ci że nie na próżno chodziłem na assyidenta tak jak wielu innych co drzymią podczas indagacyi. Uważałem zawsze, że jak kto raz się ośmieli, to potem choćby go i karano nie potrafi się wstrzymać. Kara nie kładzie tamy, lecz uczy tylko przezorności. Weźno złodzieja kiedy go pierwszy raz złapią, to taki głupi, jak nie obrażając cię, twoja żona; ale spróbuj ty drugi raz żonę swoją złapać na pieniądzach, zobaczysz, że już kręcić będzie. Wierzysz czy nie?

— Kiedy to z ciebie szatan kusiciel!

— No załóż się!

— A o co?

— Dasz mi pół garnca wódki gdańskiej, a jak przegram, nazwiesz mię łajdakiem.

— Oho! bracie, zakład nierówny.

— Jakto nierówny? a czyż to mój honor nie wart pół garnca wódki?

— Jabym za niego półkwatka nie dał.

— Pawle, ubliżasz mi — rzekł prawnik z powagą.

— No, niech cię djabli porwą, przyjmuję zakład. Nie idzie mi o nic, tylko żebym się przekonał.

Uderzyli w dłonie na znak zapadłej ugody i rozeszli się.

Chłapczyński nie zaspiał sprawy, lecz natychmiast udał się do *Madame Julie* i zażądał widzieć się z nią w nagłym interesie.

— Ach pani — rzekł do wchodzącej — przybywam tu w bardzo delikatnym interesie od matki panny Zofii.

Ona sama przyjść tu nie może, bo mąż jej człowiek jak pani wiadomo bardzo ordynarny, wzbrania jej nie tylko widywać się z córką, lecz nawet dosyłać jej pieniądze na drobne a nieuniknione potrzeby.

— Ależ panie, to nie może być! od Zosi tak mało płacą, że tylko łaskę robię, iż ją trzymam, a taka panna potrzebuje... Ale któż pan jesteś?

— Chłapczyński, do usług pani, zasłużony urzędnik, licznemi związany stosunkami z familią panny Zofii.

— No to pan musisz wiedzieć zapewne, jaki stan majątku Zosi.

— Wiem, wiem pani dobrze, i właśnie myślę o tém, jaką drogą postarać się o stósowne wynagrodzenie za troskliwą opiekę i wysoką edukację...

— Panie, pan mię zawstydzasz pochwałami swemi.

— Oddaję tylko sprawiedliwość zasłużoną. Chciałbym wszakże wiedzieć, wiele pani żądaś na potrzeby panny Zofii i na wynagrodzenie dla siebie oprócz tego co opiekun płaci; matka jej bowiem postanowiła przeznaczyć oddzielny na ten cel fundusz. Jest to i bezpieczniej i dogodniej dla obu stron, niżeli takie drobne nieregularne przesyłki. Przynajmniej ja się przy tem upieram.

— Masz pan zupełną słuszność.

— A przytem matka panny Zofii pragnie wiedzieć, wiele pani otrzymała od ostatnich jej tutaj odwiedzin.

— O, niewiele, nie pamiętam dokładnie.

— Jest w tém wszakże powód bardzo ważny, podejrzanie bowiem pada, że nie dochodziło panią to wszystko, co było jej przeznaczanem.

— A ja mimo tego dawałam tej żydówce za fatygę... z własnej kieszeni — zawołała Madame — jedynie przez wzgląd na Zosię.

— Racz pani napisać wiele ta żydówka wszystkiego przyniosła.

— Ale czyż to potrzebne? ja panu powiem. Zaraz, zaraz, przypomnę sobie.

— Nie idzie tu pani o mnie, lecz o matkę Zosi, którą przekonać pragnę, iż taki rodzaj częściowych przeżytek jest niepewny i kosztowniejszy, niż gdyby największą sumę przeznaczyć miesięcznie. Ale mi matka Zosi nie chce wierzyć; gdybym więc powiedział jój ustnie, mogłaby mię posądzić o zmyślenie lub omyłkę, a ja pragnę dowodnie ją przekonać. Racz pani przeto napisać sama w ten sposób:

Otrzymałam od pani Gruczyńskiej za pośrednictwem żydówki... Szmulowej jeśli się nie mylę? wszak prawda?

— Tak jest.

— Za pośrednictwem Szmulowej złotych tyle a tyle na potrzeby Zosi, od dnia tego i tego, i podpisz się pani.

Uzyskawszy to czego żądał Chłapczyński, wszedł z tryumfującą miną do szynku i zawołał:

— Półgarnca wódki gdańskiej!

— A gdzież dowód? — spytał Gruca.

— Oto jest! ale co ci z tego przyjdzie kiedy nie umiesz czytać.

— Gruca porwał z chciwością kartkę, wlepił w nią oczy, jak gdyby z tych nieprzystępnych sobie tajemniczych znaków chciał wydobyć myśl w nich leżącą i opuścił ręce; nigdy może tyle co w tej chwili nie czuł on nieuctwa swego, skoro szkody te których nie dostrzegł w kassie, przecież istnieją dowodnie. Pióro szybszym tu i pewniejszym okazało mu się rachmistrzem, niżeli ta ręka która pieniądz liczyła.

— Czytaj! — rzekł do żony, podając jój pismo.

Pawłowa odczytawszy głośno pierwsze wyrazy ucichła, zbladła jak ściana i wyjąkała: O ja nieszczęśliwa!

— Czytaj głośno! — zawołał Gruca głosem głuchym

a przecież donośnym, jak gdyby dech był silnym jeszcze, lecz krtań krwią tak nabiegła, iż powietrze z piersi wydobywające się o nabrzękle jej ściany uderzało.

Pawłowa wyczytała z cicha — 40 złotych — i siły ją odeszły.

— A Szmulowa wiele zaniosła? to jest, wiele ona znów skradła?

— Wszystkiego było sześćdziesiąt dwa złote — odrzekła żona.

— Dobrze więc, sześćdziesiąt dwa złote w ciągu dni dwudziestu. Więcej niż tysiąc złotych rocznie! A mnie tysiąca złotych nie płacił Stanisław żem się ożenił z tobą! Nie dbałem o stratę tych 950 złotych rocznie które mi przynosił Onufry, bom się pozbył wraz z niemi i dziecka twego; lecz pieniądz ten to mój własny, przymennie ciężko zapracowany, pieniądz ten za który chciałem sobie kupić starość niegłodną, który mi zastąpił dziś wszystko co człowieka szczęśliwym zrobić może: miłość żony, przywiązanie dziecka, pokój domowy, poważanie u ludzi... ten pieniądz, ty mi go wydzierasz! Precz z oczu moich! Chłapczyński! wygrałeś zakład, weź sobie pół garnca wódki gdańskiej. Słuchaj Chłapczyński, jakbyś przegrał, nazwałbym cię łajdakiem. Nieprawdaż?

— Prawda, prawda, mnie szło nie tyle o zakład, co o dobro twoje.

— Tak mówisz? wierzę ci. Chłapczyński! weź sobie cały garniec, aleś ty łajdak!

Chłapczyński przygryzł wargi, lecz postanowił na nie dziś nie zważać.

Pawłowa pierwszy raz w życiu uczuła litość dla męża, litość która będąc uczuciem słodko bolesnem tak blisko z miłością graniczy, że jedna odrobina szlachetności w duszy Grucy, jedno słowo przebaczenia z ust jego,

byłyby mogły jeszcze zamienić małżeńskie ich jarzmo na węzeł któremu Bóg błogosławi.

Ale napróżno tego słowa wyglądała, bo kiedy zbliżyła się ku mężowi i rękę jego pochwycić chciała, Gruca uczuł, że nie może darować tej która go ukrzywdziła w tém co miał najdroższego w życiu, i odsunął ją lekko, bo odepchnąć nie miał siły.

Cios ten zachwiał żelaznem jego zdrowiem, lecz wola odniosła jeszcze na czas pewien zwycięstwo nad ciałem. Wyszedł z Chłapczyńskim zostawiwszy żonę w dziwném zdumieniu, z nienawiścią na nowo ożywioną, a po głowie jej przesuwały się tak straszne myśli, jakie niekiedy przy większej nieco energii charakteru dają początek zbrodniom. Pawłowa nie była w stanie pojąć, aby stratę tych kilkudziesiąt złotych mógł mąż jej tak mocno uznać, bo ona wysokość cyfry tylko oceniała, on oceniał pieniądź w ogóle, jako wyobrażenie jedynej wartości jaka pod słońcem dla niego istniała. Wprawdzie te kilkanaście złotych które żonie z kieszeni wydobyl przytrzymałszy ją idącą do Zosi, nie były i u niego niczem więcej tylko kilkunastu złotych, ale systematyczne podkopywanie jego majątku, ale uboczna droga obrana przez nią po surowym zakazie jego, przeraziły go, bo poczuł, że spostrzeżenia Chłapczyńskiego przy indagacjach kryminalnych, były prawdziwe.

Powróciwszy z Chłapczyńskim w godzinę, oznajmił żonie i matce, iż od jutra rana obejmie u niego szynkowanie Jakóbowa z Kleparza, i że jej mają oddać pod rachunkiem sklep i piwnicę. Pawłowa i matka przyjęły to oznajmienie w milezeniu, tylko spojrzały na Chłapczyńskiego jak gdyby go oczami przebić chciały. Chłapczyński przyjął wdzięcznie ten srogi dla siebie cios, i zacierając ręce rzekł do Pawłowej:

— Przed oddaniem rachunku proszę o mój gąsiorek goldwasseru.

— Wiesz co Pawle — rzekł zwracając się do niego Chłapczyński — tyleś mię już razy częstował wódką, a jeszcze też mnie nie zdarzyło się poczęstować ciebie i to we własnym twoim szynku. Do ciebie! — i przychylił usta do butli.

Paweł uśmiechnął się gorzko i lubo zwykle bardzo umiarkowanym był w trunkach, przyjął w ręce gąsiorek i dobrze się z niego zaciągnął, lecz w tej samej chwili wypadł mu z rąk gąsiorek a krew rzuciła się ustami i nosem.

Przywołano chirurga, który puścił natychmiast dobrą dozę krwi i uratował wcześniej od napadu apoplektycznego. Wszelako choroba Pawła trwała czas jakiś, a wśród niej żona czyniła około niego starania jakie lekarz nakazywał, ale w usługach jej nie było nic prócz obowiązku. Była ona podobną do najetj do chorego kobiety, która żadnego nie pominie przepisu i ściśle przestrzega godziny lekarstwa, ale ręka jej nie drży nigdy, oczy ani razu nie zabiegły łzami, twarz nie pała rumieńcem trwogi lub nadziei.

Jakóbowa objęła szynak i co tydzień oddawała pieniądze utargowane, które Paweł w oczach swoich przełiczyć żonie kazawszy, spuszczał do skórzanego miecha i ten pod poduszkę chował. Wstawszy z tej ciężkiej choroby zajmował się na nowo gospodarstwem swoim rozrzuconém, lecz nigdy już do zupełnego nie przyszedł zdrowia. Lekarz kazał mu się szanować, a szczególnie chronić od wszelkich gwałtownych wstrząśnień i zbytowego zmęczenia, nie ukrywając bynajmniej, że powtórny atak zabić go może. Paweł stał się o zdrowie swoje tak dbałym i lęklwym, że go aż Chłapczyński wyśmiewał.

— Słuchaj ty stary lisie — rzekł szynkarz do pokątnego pisarza — tybyś już chciał żebym ja nogi wycią-

gnał, bo ci łatwiej by przyszło w mętnej wodzie łowić. Muszę ja pomyśleć zawczasu, żeby ci szyki pomieszać.

— Co się tobie stało Pawle, że mi od pewnego czasu nie ufasz; właśnie odkąd cię ostrzegłem i dowód w ręce złożyłem, iż własna żona cię oszukuje.

— O, tyś mi tym dowodem wielką wyrządził przysługę, usunąłeś mi z pod nóg deskę na której stałem i odtąd wiszę na powietrzu nie mając gdzie nogi oprzeć i tylko rękami jak mogę chwytam się. Żadnej podstawy... ha! jak ręce się zmęczą, spadnę i łeb roztrzaskam na bruku. O, co to za życie!

— Masz przyjaciela, który ci za wszystkich obstoi.

— Precz odemnie gadzino!

Po tej rozmowie poznał Chłapczyński że mu nie robić nie pozostaje w tej chwili, jak tylko unikać Pawła póki nie zdarzy się sposobność, gdzie on sam pomocy jego zażąda. Ale sposobność ta jakoś nie nadchodziła; owszem dostrzegł, że Gruca ze starym Kozińskim często przestaje, a potem dowiedział się o przyjeździe księdza Kozińskiego, co go tém mocniej przeraziło.

Oho! wpadł w ich ręce — pomyślał sobie.

W samej rzeczy przypadkowe zetknięcie się księdza Jana wikarego z Brzezinki z Grucą, miało ważne następstwa. Zdziwiła się nawet Pawłowa znalazłszy pewną zmianę w postępowaniu męża od tego czasu, a jednego razu nie mogła uszom swoim dowierzać, kiedy jój rzekł mąż:

— Przyprowadź tu Zosię w niedzielę i zrób lepszy niż zwykle obiad. Dziewczyna musi być już spora; powiedział mi Onufry że anibym jój poznał.

Przyszła niedziela. Grucowa kazała sobie raz jeszcze rozkaz męzowski powtórzyć, a potem poszła po córkę. Nie chciano jój wpuścić. *Madame Julie* zagniewana była na nią jak się zdaje. Wróciła wreszcie ale z odpowiedzią odmowną, strawiwszy parę godzin w sieni

nim otrzymała od służącej rozkaz aby nie wystawała pode drzwiami. Gruca nie rzekł i słowa, lecz za chwilę wyniósł się z domu. W pół godziny potem przywieziono go w doróżce. Żona wybiegła przerażona, otwierając drzwiczki, Gruca był nieżywy.

W domu pani Julii odbyła się scena, która wielki popłoch między pannami zrobiła. Gruca wszedł do sali i zażądał widzieć się z panną Zofią. Zosia ujrawszy go krzyknęła z przerażenia. Drzwi były otwarte do sali, gdzie wszystkie panny stały gotowe do zwykłej niedzielnej przechadzki przedobiedni. Gruca nie robił ogródek, oświadczył wręcz pani Julii że jest szynkarzem z „pod beczki“ znanym całemu miastu a mężem matki Zosiniej, a przeto nie ma obawy pozwolić Zosi aby z nim poszła do jego domu, w którym od lat kilku niepostała. Panny zaczęły się chichotać, pytając się na-przód cicho, potem coraz głośniejszy, czy ten szynkarz jest dziadkiem mścicielem, czy hersztem rozbójników, czy wreszcie ojcem Zosi zamordowanym w zamku. Śmiechy te i żarciki były jak ukąszenia jadowitego węża dla serca Zosi. W tej chwili spadła ze szczytu marzeń swoich i projektów tak sztucznie ustawionych i cała gwałtowność jej charakteru wybuchła w nienawiści ku sprawcy wszystkiego jej nieszczęścia. Uczuła że dziś koniec jej wychowaniu, że czas zrobić rozbrat z pensją, przestać być uczennicą — nie miała też nic do oszczędzania i nieoszczędzała nikogo: ani matki, ani Julii, ani Grucy, ani nawet ojca swego którego nie знаła i któremu złorzeczyła. Sam Gruca przerażony został znalazłszy w młodej dziewczynie tyle złości i tyle zawziętości. Chciał ją ugiąć i upokorzyć; chciał w niej ngiać wyniosłość stanu która ponad niego wyrosła, upokorzyć niezależność która się wydobyła z pod władzy jego. Pochwycił ją za rękę i zawołał:

— Chodź ze mną! ja ci każe!

— Ty! a ty eo masz za prawo do mnie? zawoła Zofia wyszarpnawszy się z rąk jego.

— Mam prawo jako mąż twojej matki, mam, dopókiś małoletnia. Ja cię zdepczę i poniżę, obrócę na dziewczkę do szynkowni. Dałem się złudzić namowom i chciałem spróbować czy cię potrafię pokochać jak dziecko moje, ale teraz poznaję dla czego cię zawsze nie nawidziłem. Chodź ze mną! powtarzam ci, bo cię każę sprowadzić do domu przez komornika.

To mówiąc chciał ją powtórnie uchwycić, lecz go odepchnęła z siłą jaką tylko rozpacz daje. Gruca z wściekłością rzucił się raz jeszcze ku niej, schwylił za rękę że aż krew siną pręgą na niej zbiegła; lecz w tej samej chwili zbyt uczucie wzburzenie krwi ponowiło atak apoplektyczny. Posłano po dorózkę, udano przed domownikami, że jakiś pijany człowiek wpadł i hałas narobił i sprowadzono go na dół. Nim dorózka przed szynk „pod beczką“ zajechała, już Gruca żyć przestał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ALEKSANDER SZUKIEWICZ.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Zgasły nasz wieszcz w drugim kursie swojej literatury Słowiańskiej, taką robi uwagę o historyzmie w romansach Walter-Skota:

„Metoda upowszechniona przez Walter-Skota narobiła wiele klęsk w literaturze Słowiańskiej, i grozi ciężkim „spustoszeniem. Tego nikt niechce zrozumieć że działającą w nim ideą była pycha, może jeszcze większa, niż pycha Bajrona. Przyznaje on sobie znajomość do „najgłębszej skrytości serca wszystkich ludzi, których „wprowadza do swoich romansów i ma pretensyą, znać „cały grunt ich charakteru, zgadywać co mogli pomyśleć i zrobić, wymierzyć całą rozciągłość ich duchowego i ziemskiego zawodu. Bierze więc bohaterów jak „marynetki, porusza niemi dowolnie, gada za nich i o „nich zawsze tonem wyższego, z niejaka, poufałością „bardzo krzywdzącą.“

Bystry sąd wieścza i profesora odstąpił jedyną ukrytą stroną tego zadziwiającego talentu, mniej ważną dla czytelników zachoda dla których zabawy pisni, a głównej wagi i płodną w następstwa dla Słowian za-

chwyconych nim jak wszyscy, i naśladowających go jak wszyscy.

Z pojawieniem się historycznego romansu zabrali się i nasi pisarze tak w poezji jak prozie wyprowadzać na widownię drogie narodowi postacie, otoczone pewnym nimbem świętości, których samo imię budziło cześć, a czyny olbrzymiały w mgle tajemniczej oddalenia. Owóż przez zbliżenie ich ku nam, przez oddanie w rysach pozorniej rzeczywistości, przez analizę ich uczuć i myśli (będących najczęściej uczuciami i myślami piszącego) nikło wiele uroku, wielkość i znaczenie tradycyjne bohatera gasło, zostawała najczęściej lalka poruszająca się i mówiąca, jak jęj ukryty za zasłoną kunsztmistrz mówić lub ruszać się kazał. W miarę jak piszący był tego lub innego politycznego pryncypium, tych lub owych sympatyj i dążeń, taką i jego osoba musiała odgrywać rolę. Po prostu, kreacye dzisiejsze przywłaszczające sobie imię i fizjonomię historycznej figury, dowodziły tylko że autor niebędąc w stanie stworzyć i narysować postaci własną wyobraźnią, uciekał się do tych pomocy jakie znachodził w historii. Było to zwyczajne nadużycie prawdy, *pycha*, jak Mickiewicz powiada, mająca pretensję wymierzyć całą rozciągłość duchowego i ziemskiego zawodu historycznych ludzi. W rzeczy samej jakąż to potrzeba mieć ufność w swojej wyższości aby wniknąć w tajemne myśli męża stojącego na czele narodu, i wytłumaczyć wszystkie sprężyny poruszające jego krokami! a tymczasem przystępowano do tego niekłopocąc się wcale co na prawdę mógł myśleć, co czuć, jakie mieć posłannictwo od Boga, z czem miał do walczenia wewnątrz i zewnątrz, co pokonał, a co osiągnął, bo to wszystko improwizowało się i rozwiązywało w dialogu—i niepodobna było inaczej, kiedy o tem nikt nie mógł wiedzieć; jeżeli zaś była historia i pamiętniki służące za punkt oparcia, to najczęściej nie téj natury co

Wyznania Jana Jakuba Rousseau, a tylko spisujące zewnętrzna stronę wypadków. Wprawdzie z drobnych wzmianek, z jednego słówka, starano się odgadnąć zagadkowe czyny lub charaktery, co zawsze dawało w wypadku wątpliwość, czy zagadka trafnie rozwiązana, lub nie? Koniec końców na fikcyę wkładano maskę prawdy, bo ta precyzja w opisach szczegółowych, ten realizm posunięty do ostatnich granic, ażeby wszystko czytelnikowi uzmysłwić, i tym sposobem wzbudzić w nim wiarę, miały cechę tej prawdy jaka mogłaby płynąć z ust naocznego świadka. Dowodzi to wielkiego artystostwa, ale mija się z poważnym celem historyi, co więcej, osłabia jej znaczenie.

Jak dalece szkodliwą rzeczą, nawet w samej dziedzinie sztuki jest zrywanie się na uświęcone poważną przeszłością postacie, aby je nieudolnem piórem ściągać z miejsc, na których stanęły tradycyą, albo też spoczywały skryształizowane w malowniczem i trafnem słowie współczesnego historyka lub kronikarza, świeży miałem dowód gdy najprzedniejszemu z naszych dramatycznych pisarzy, raz w potocznej pogadance, podsunąłem myśl napisania komedyi czysto w duchu staropolskim, z jednego wielce humorystycznego ustępu pamiętników Paska. Poddany pomysł tknął artystę i zaczął zapewne w jego duszy przybierać kształty, ruszać się życiem, wyrastając jak to pasmo Alp nad mgły usuwające się z ich boków — gdy w tém pojawia się komedia, jak raz ułożona z tego ustępu pamiętników.

Przypadek ten dowiódł, że przedmiot musiał obfitować z natury swój w komiczny i dramatyczny żywioł, kiedy zeń chcieli korzystać pisarze niezostający w żadnym ze sobą stosunku; ale zarazem i tego dowiódł, że jedno dotknięcie się nieszczęśliwe jakiego przedmiotu, czy on będzie ustępem kroniki lub pamiętnika, czy legendą, czy piosnką gminną — jedno dotknięcie się —

powiadam — sprawia ten skutek co na bańce mydłańdź, kiedy bujająca w powietrzu, mieniąca się złotem, szafi-rum, opalem, rubinem, nagle pęka i ciężka kropla brudu spada na ziemię.

Najcudowniejszy widok, najjenialniejszy pomnik, po-psuje ci trywialny cicerone — ty chcesz słuchać głębo-kiego i cichego głosu wzruszenia, któreby ci dało od-powiedź na zagadkę, a tem samem wytłumaczyło tajem-nicę kreacyi — a tu powszednia uwaga przenosi cię w trzeźwy świat najgrubszego materializmu. — Zapewnie to samo zdarza się z przedmiotami historycznymi lub też podaniowo gminnymi; jak owoce hesperidów niemożna zrywać je bezkarnie.

Są ludzie, których dotknięcie się bywa nieszczęśli-we — wszystko pod ich ręką usycha i niknie. Dla tego stokroć lepiej żeby te skarby leżały sobie w stanie natu-ry i czekały na czarodzieja, któryby nowem natchnął je życiem.

Już to nie jeden przedmiot historyczny został zmar-nowany odkąd zjawiała się u nas walterskooka szkoła o wiele w tym względzie szkodliwsza niż dawniejsza tak zwana klasyczna; bo choć tamta brała z historii, niektóre figury i wypadki, ale obrabiała je w sposób tak niewinny, tak niemający na celu nadużycia naszej wiary, że nikt ją nawet grzechem nie nazwie. Był to zawsze sentyment konwencyonalny; sentencye moralno-patriotyczne opieczątowane firmami historycznych imien, i nie więcej — dachu niefałszowano, bo go wzięto z ką-d inąd, nie fałszowano osób i charakterów, bo znano tyl-ko charaktery stereotypowe. Daleko gorzej działało się kiedy przy pomocy ścisłejyszch poszukiwań dziejowych, analizy psychologicznej, archeologicznych nabytków i koloryty wieku, usiłowano odtworzyć minioną rzeczywistość bez prawdziwego talentu umiającego stwarzać; bo naraz krzepły całe epoki, i takie z nich pociągane

zimno grobowe, że długo, ludzie prawdziwie kreacyjnego ducha, stronili jak od zaklętej krainy.

Zle wytłumaczona tajemnica przeszłości schodzi do rzędu gazetarskiej plotki; co się zowie po prostu: zepsuć przedmiot.

Takich nieproszonych psotników przeszłości nie mało mamy w naszej literaturze.

Te kilka uwag mniemałem być potrzebnemi zamierzając powiedzieć, o obrazku historycznym niedawno w Lipsku we dwóch tomach wydany, pod napisem: *Król wygnaniec*, nie dla tego, żebym tu pił do nieznanego autora, lecz że właśnie umiał on bardzo szczęśliwie uniknąć grzechu w który tylu popadło.

Wprawdzie, ile sobie przypominam korespondent poznański do Gazety Warszawskiej wyraził się był z listnym uśmiechem o tym Królu Wygnańcu twierdząc z góry, że to jakiś powtórny płód: bo to — powiada — ani historia ani powieść; a zatem — naturalny wniosek — kiedy się nie mieści ani w jednej ani w drugiej rubryce, musi być godny potępienia.

Smutny to arsenał tych kancelaryjnych rubryk, kratk, metod, teoryjek — bo kiedy się coś takiego zjawi co w kratkę nie wchodzi, już niema miru.

W tem się widać niegodzimy z kor. poznańskim, bo wyskoczyć z rutyny, pokazać jeśli nie całkiem nowy, to zawsze rozumny sposób potocznego obrabiania dziejów tak, iżby fantazyja nieprzemagała nad tem, co ściśle źródła dostarczyć mogą, a z drugiej strony, żeby opowiadanie miało żywszy interes niż suchy zebranie i uporządkowanie faktów i dat — będzie zawsze zasługą godną większych względów, niż korespondent autorowi *Króla Wygnańca* wymierzył; tem bardziej że dość to dziełko przeczytać (co się nie zawsze recenzentom zdarza) aby miłe i budujące odnieść wrażenie. Gdyby nie więcej nie znaleźć w niem tylko zebrane rysy z życia

Maryi Leszczyńskiej na tronie Francyi, tego zycia o którym powiedziano: *że nie było pasmem zdarzeń ale jedną modlitwą* — to jużby powinno natchnąć każde szlachetne-serce tą piękną dumą, że z krwi naszej niewiasta jaśniała taką świętością, takim wzorem cnót chrześcijańskich, wśród otaczających ją pokus zepsutego dworu.

Lekceważenie tej doskonałości idealniejszej niż wszystkie heroiny romansów, a tak interesującej jak one, wygląda na anachronizm pod piórem dzisiejszego pisarza; przecież nie żyjemy pod panowaniem przyjaciółek Ludwika XV, ani pod cenzurą kanclerza Miromenil aby *niewolno* nam było rozpisać się nad książką malującą cnoty małżonki Ludwika XV?

Ta uwaga przysłała mi po przeczytaniu Króla Wygnańca, i niepomalu zasmuciła; miałaby szkoła francuzkiego romansu tak dalece znarowić umysły, tak je przytępić dla wszystkiego co czyste, co po bożemu piękne doskonałością, że książka pisząca o królu dobroczynnym filozofie, i o córce jego tej nieporównanej Maryi, zyska tylko pogardliwą wzmiankę w publicznem piśmie?

Nie chcąc o to pomawiać korespondenta, wolę przypuścić że nie czytał więcej krom tytułu. Gustaw Planché i tej pracy sobie oszczędza, a dla tego słynie. —

Miałem sobie za powinność zrobić tę małą wycieczkę przeciw zdaniom obalamującym publiczność, z czem skończywszy, przystępuję do bliższego rozpatrzenia się w książce o której mowa.

Jest to obrazek historyczny — jak go sam autor mianuje, a zatem nie powieść i nie romans — Obrazek obejmujący peryod 11tu lat zycia króla Stanisława (od 1714—1725) lat tęsknego wygnania, niespokojności, cierpień i strat domowych i publicznych, a zawsze piękny przykład jak znosić z godnością upokorzenia prześladowczego losu.

Kiedy uparty Karol XII nie mógł nic wskórać w Turcji i zabierał się z powrotem do Szwecyi, nie wypadło i Leszczyńskiemu dłużej zostawać w Benderze — ruszył więc tajemnemi drogami do Xięstwa Dwumostów należącego do korony Szwedzkiej. Mały ten kraik przynoszący 70 tysięcy talarów, przeznaczył mu Karol nie tyle na reprezentację godną monarchy, ile na utrzymanie rodziny i kilku wiernych przyjaciół niedoli.

O pół godziny drogi od miasteczka Dwumostów, leży urocze miejsce zwane *Czyfikiem* — tam król wygnaniec obrał sobie rezydencję. — Opis tego miejsca zdejmował autor z natury i restaurował podług tych szczątków jakie uszły zniszczenia czarnej bandy w czasach pierwszej rewolucyi. Tu widzimy zbierającą się rodzinę Leszczyńskiego; żona jego Opalińska, dwie córki Anna i Marya oraz z starą matką z domu Jabłonowską przyjechały ze Szwecyi — znalazło się i kilku dawnych przyjaciół politycznych i domowników, jak generał Poniatowski, Wojewodzie Tarło, Urbanowicz, Telebski. — Mała osada polska przynosząca patryarchalizm nasz na ziemię francuską, rozpoczyna ciche życie domowe podzielone między biednych i cierpiących mieszkańców bipontyńskich, między troski o los kraju, z którego dochodziły smutne wieści, o los dobroczyńcy, Karola XII, ginącego w lat parę na szanłcach Fridrichshallu, a zakłócone nieraz zamachami wysłańców Augusta II, zasadzonych na pochwycenie zdetronizowanego króla, drugi raz znowu na otrucie go tytoniem którego nadzwyczaj wiele palił. — Dyplomacya jak widać, nie wiele miała zawsze skrupułów wszystko uważając za dobre, co prowadziło do celu. Najboleśniejszym dla Leszczyńskiego rodziny domowym ciosem była śmierć ich córki Anny, a politycznym śmierć Karola; z tą bowiem tułacz tracił przytułek godny koronowanej głowy. Xięstwo Dwumostów obejmował na siebie fałzgraf Gustaw Samuel — położenie

Leszczyńskiego stawalo się wielce krytycznóm, bo sąsiednia Francya szła wtedy drogą polityki przeciwnéj zabiegom hrabi Görtza, tego dzielnego dyplomaty szwedzkiego, który już był bliskim sklejenia nowéj koalicyi przeciw Augustowi II. Lecz przyjaźń osobista kardynała Rohana mieszkającego w Sawernie, wyjednala u Filipa Orleańskiego ówczesnego Regenta, że ofiarował wygnanemu królowi na pobyt całą Alzację. Wprawdzie Leszczyński nie bardzo dowierzał dobrodziejstwom francuzkim — „zawsze — jak powiada autor — stała mu w myśli zmienność polityki księcia Regenta. Kraj, co mierzy obowiązki ludzkości podług gabinetowych widoków, nie przedstawia tak bardzo bezpiecznego przytułku dla nieszczęśliwych. Człowiek, który cofnął gościnność Jakubowi Stuartowi dla przypodobania się Anglii, nie cofnąłaby ją i Stanisławowi dla przypodobania się jego nieprzyjaciołom?“ —

Koniec końców nie było wyboru i należało przyjąć co ofiarowano. Rodzina Leszczyńskich przeniosła się do Weissenburga, pogranicznej forteczki francuzkiéj. Tu się zaczyna prawdziwy a tak zadziwiający epizod w historii. Córka wygnańca dostaje się na najpierwszy tron w świecie. — Marya idzie za Ludwika XV. Dzieje zapisały prosty fakt — ale zastanowiwszy się nad konkurencją około stu księżniczek z rodów panujących o zaszczyt dzielenia korony francuzkiéj z młodzieńcem Ludwikiem, uważać to potrzeba za prawdziwy cud, za łaskę Opatrzności okazaną nad domem wygnańca, że wybrana została cicha Marya. Zdaje się, iż właśnie jéj przymioty wpłynęły na wybór; tak ministrowie, jak rozmaite kobiety otaczające regenta, bojąc się aby znaczenia swego na dworze nie uroniły, zgoda wszystko co było interesowane, dało króskę na Maryę. Choć w zepsuciu po uszy, poznano się na jéj wielkiéj miłości chrześcianskiéj i pokorze ducha — przekonano się że nie

będzie chciała przewodzić w polityce, bo jej głównie szło o to, aby jak mówiła: *dla korony ziemskiej nie straciła niebieskiej*. I w rzeczy samej Marya, zajęta samemi miłosierdnymi uczynkami, nigdy nie mieszała się do polityki—choć to nie pozyskało jej serca Francuzów, którzy lubią aby ich królowe mieszały się we wszystko, choćby z ich szkoda. Nie był to jednak ów samolubny kwietyzm potakujący złemu. — Richelieu w pamiętnikach tak ją maluje: „Uprzejma w obejściu, dowcipna w rozmowach, posiadała serce niewymownej dobroci i dla każdego wylane. Ubóstwiana przez ojca, nauczona jego nieszczęściami, odziedziczyła wszystkie jego patryarchalne cnoty; nieprzyjaciółka niepotrzebnych wydatków, trapiła się do rozpacz każdą klęską publiczną. Francuzów uważała za własne dzieci; dla ich narodu miała jak najwyższy szacunek, wspominając zawsze z uwielbieniem o jego czynach, wojnach i zwyczajach. — Względem męża okazywała się ciągle jako pierwsza poddanka, przemawiając do niego z uniemożliwiającą i pokorą, kochając go i wielbiąc jakby bóstwo jakie na ziemi.“—

.. Lubo autor *króla Węgier* nieprzedstawił nam Maryi na tronie, ale Maryą będącą jeszcze przedmiotem ubiegania się o jej rękę takiego margrabiego Badenskiego, hrabiego d'Estrée, który naśbardziej pozyskał serce dziewczęcy, następnie księcia de Bourbon, jednakowoż postać jej niemniej tu zajmuje i tworzy prawdziwy ustęp romansu. Zakochana w hrabi d'Estrée ulega bez szemrania woli ojcowskiej, kiedy ten każe jej zapomnieć o tym związku niegodzącym się z widokami monarchy, co jeszcze nietraci nadziei zasiąść na tym tronie, na który go podniosły wolne głosy narodu.

Wszystko tu jest zgodne z prawdą historyczną; piszący bardzo ostrożnie i sumiennie pozwala sobie wprowadzać rozmowy; a i w tych niepuszcza się na nie ta-

kiego coby nie było usprawiedliwione jakim pamiętnikiem, lub coby fałszowało charakter historyczny człowieka. To ujęcie osób i wypadków w ramy umiarkowania, niemożna bynajmniej ubóstwem fantazyi tłumaczyć, z którą autor widocznie niechoiał mieć do czynienia; natomiast niezmierna szczegółów obfitość, zebranych z dzieł ówczesnych pozwala mu ubarwiać opowiadanie tą pamiętnikową barwą, która zawsze więcej się ceni, niż zbyt jaskrawy koloryt romansopisów, co pragnąc zbyt wiernie malować czas i ludzi, najczęściej przesadzą. Do bardzo szczęśliwych ustępów, pokazujących że ta powieść nie jest fraszką służącą li ku rozrywce niezatrudnionych głów, ale czemsić zbliżajacem się w formie do pamiętników, z których można się czego nauczyć; jest cała rozmowa króla Stanisława z księciem kardynałem de Rohan, rozmowa osnuta z jednej strony na wyobrażeniach francuzkich o monarchii tak często spotykanych w pismach statystów owój epoki i późniejszych, kiedy podług nich sądzą stan wewnętrzny i instytucye naszej Rzeczypospolitej; — a z drugiej, na książce Leszczyńskiego: *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, w której ten król filozof, (ale filozof w niedoli) widzi jedyny sposób naprawy swojej Ojczyzny przez reformy, w duchu jej instytucyi starożytnych i wkorzenionych w naród, przeprowadzone. Niektóre postrzeżenia kardynała trafnie odgadują przyczynę upadku Rzeczypospolitej: „Polakom zawsze się zdaje, powiada on, że mają tylko do walczenia z Tatarami i Kozakami; do téj tylko potrzeby stosują swoje instytucye, niepomni, że więcej im grozi postęp moralny cywilizacji Zachodu niż pograniczna swawola barbarzyństwa. Polska niechce ni dyplomacyi, ni wojska, ni pieniędzy w skarbie, niewiedząc że w dzisiejszych czasach na tych trzech potęgach stoi bezpieczeństwo państwa.“ Powinien był dodać że u nas wysoka idea narodu, nieprzeszła była w idee

państwa, przez co Rzeczpospolita tworząc dysharmonię w powszechnym koncercie, powinna się albo nagle przeistoczyć, albo zniknąć.— Koniec rozumowań kardynała zamykał się naturalnie tém przysłowiem: *a Deo rex, a rege lex*.

W prawdzie król Stanisław przyznając w wielu punktach słusność wyłuszczonej zasadom księcia Rohana, przywiódł co do ostatniego punktu świeży przykład zastosowania tego pryncypium w Anglii przez Sztuartów, na czem nienajlepiej wyszli; gdy przeciwnie dom Hanowerski uszanowawszy swobody narodu, nieujął Anglii ani znaczenia, ani potęgi. „W mojem przekonaniu powiada on, Rzym pod konsulami zwyciężał, upadł pod rządem Cezarów. Królem jestem, mości kardynale, a pod pewnymi warunkami niewyrzekam się ojca mego maxymy: *malò periculosam libertatem, quam quietum servitium*..... Prawa nasze nie są złe, zła tylko ich egzekucya. Przodkowie nasi założyli doskonale fundamenta Rzeczpospolitej, zasadzając ją *in justo aequilibrio*, między powagą majestatu a władzą praw i prerogatyw narodu. Chcieli aby królowie hamowali wolność, a wolność ambicję królów..... Konstytucya nie tém grzeszy że hołduje wolności, ale że jej należyście nieubezpiecza. Cała zatem sztuka nie natem zawisła żeby wolność znieść, ale żeby ją obwarować i każdemu przystępną uczynić.— W doskonaleniu państw trzeba za coś liczyć i przyrodzony duch narodu.“—

Również trafną myślą odpiera Leszczyński zarzuty przeciw elekcyi, której nie chciałby znosić a tylko zmienić formę. „Trzeba żeby elekcyje nie działały się jak dotąd pod gołym niebem, po tatarsku, na koniach, wśród tumultu i wrzawy, ale pod dachem w sposób przystojny, poważny, ludziom polerownym właściwy. Niechby. na przykład jednego dnia w całym Królestwie, sejmiki, każdy w swoim powiecie, wybierały kandydatów; niech-

by z tych kandydatów, sejm zgromadzony w stolicy wybierał króla, a sama ta forma zasłoni naród od wielkich zawichrzeń i nieporządku. Tym sposobem i dziedzienność tronu przyszlaby z siebie. Z początku byłaby zwyczajem, później prawidłem — Niech kto co chce mówi, Polska ma obyczaje monarchiczne; nie trzeba brać niezrządnej monarchii, za republikę! — Na te wszystkie pomysły do przyszłej reformy, tak stósownie włożone w usta króla, miał kardynał wyborny argument: — Niegdyś Sobieski przysłał był Ludwikowi XIV na pokaz kilku Ussarzy polskich w całym rynsztunku. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie na Paryżanach zrobiły owe skrzydła u ramion, skóry lamparcie, koncerze, proporce, jedném słowem owe kuźnie żelaza na ciele rycerzy. — Cóżby to było żeby który z królów polskich przysłał nam innego rodzaju ciekawość, to jest exemplarz szlachcica obradującego no sejmie, z ową ogoloną głową, w owym azyatyckim stroju, z krzywą szablą u boku. Chciałbym go słyszeć jak wykrzykuje zuchwale: *niepozwalam!* na traktat z Moskwą; *niepozwalam!* na wojnę z Portą; *niepozwalam!* na podatki, a ty Rzeczpospolito leż mi u nóg i błagaj abym ci obradować dozwolił! — Wierz mi królu, na to widowisko biegliby Francuzi z większą ciekawością niż na Fedrę Rasyana, lub Tartufla Moliera . . . “

Szlachetna dasza Stanisława odbijała się całkiem w tych planach, jakie przed kardynałem rozwinał — były to pełne miłości chrześcijańskiej reformy i widoki — owoc tułackich rozmyślań, lecz do przeprowadzenia trudne, prawie niepodobne przy ówczesnym stanie umysłów rozsławolonych wojnami domowymi, zepartych przekupstwem różnych kandydatów do tronu. Ostatnie słowa Xięcia Rohana: monarchia, silna monarchia — ta was tylko ocali! — zrzecście się wolności na lat 50, byleby postawić rząd mocny i energiczny by królowi

w Europie jaką taką powagę wyjednać — Utraconą wolność snadno odzyskać, ale utraconą niepodległość bardzo rzadko — Słowa te, acz tak pełne politycznego rozumu i zdrowej praktyki — nie dały się wprowadzić urzeczywistnić z własnego popędu narodu, co nieprzeszkodziło, iż owa dysharmonijna nuta w wielkim europejskim koncercie, musiała zamilknąć. —

Zajmująca ta powieść, napisana stylem niepretensjonalnym, wcale jasnym i gładkim, nie powiem, żeby w niektórych miejscach nie cokolwiek suchym, zostawia po odczycie bardzo przyjemne wrażenie: umysł czuje że się wzbogacił i oświecił, serce doznaje nader słodkiej pociechy przez samo zetknięcie się myślami z taką doskonałością jak Marya.

Przykład wielkiej cnoty na tronie — to piękniejszy ideał niż wszystkie antyki, aczkolwiek gorąco zalecony przez usta estetycznych kapłanów. —

Kto jest autorem Króla Wygnańca? Niewiadomo — jednak domyślaćby się można przynajmniej z niektórych miejsc, że je kreśliła ta sama ręka, co Pamiętnik Franciszki Krasieńskiej i Jana Kochanowskiego. —

Obstawać przy tem przypuszczeniu nie myślę — podobieństwo stylu i obrazowanie miejsc i osób, może często być tak ładzące, jak nieraz ładząca bywa fizyonomia widziana z daleka — biegniemy powitać przyjaciela — tymczasem to ktoś nieznajomy . . .

LUCYAN SIEMIŃSKI.

DWA TRAKTATY.

Czytelnicy nie wezmą za złe, jeżeli podobnie jak w zeszłym miesiącu, tak i w tym powołać się wypadnie na artykuł poprzednio w tém piśmie zamieszczony. Nie ma w tém usprawiedliwiania z wypowiedzianych przewidywań, ani téż chęci wykazywania trafności spostrzeżeń, ale po prostu staranie, aby uniknąć o ile być może niepotrzebnych powtarzań, skoro o tym samym pisze się przedmiocie. Jest także owa konieczność pewnego ciągu i związku rozumowań w peryodycznym piśmie, które w końcu winny tworzyć pewną całość i dokładnie oznaczać stanowisko z jakiego się na bieżące wypadki zapatruje.

Owóż w artykule pod napisem „Równowaga europejska i rękojmie pokoju“ w zeszycie lutowym zamieszczonym, głównem zadaniem było wykazać, że rękojmij równowagi europejskiej a zatem i pokoju, skoro ten ostatni od przywrócenia i utrzymania pierwszej ma zależyć, próżno byłoby szukać w osiągnięciu warunków

znanych pod nazwiskiem czterech punktów; że zaspokojenie postawionych żądań w propozycjach austriackich załatwić mogło chwilowo spór rosyjsko-turecki, zakończyć wojnę, ale nie było w stanie zabezpieczyć nadal równowagi; наконец, że bezpieczeństwo takowe polegało głównie na trwałości nadal przymierza Francyi z Anglią. Ogłoszone w bieżącym miesiącu dokumenta potwierdziły to przypuszczenie. W protokółach posiedzeń kongresu paryżkiego widzimy ciągle dwa rzeczone mocarstwa występujące razem i w tych samych sprawach, dążące w jednym kierunku, jakkolwiek nieraz jedno szło dalej niż drugie, popierające się nawzajem we wszystkich prawie kwestjach; widzimy w końcu pełnomocnika angielskiego biorącego inicjatywę w złożeniu podziękowania Cesarzowi Francuzów za udział jaki w doprowadzeniu do skutku dzieła pokoju przyznać mu wypadało. Uznanie to ze strony dumnego Albionu, dla którego zawarty pokój nie przedstawiał zbyt wielkich korzyści, ani którego oczekiwań zadawałniać nie mógł, musi być policzone na karb chęci zachowania przymierza. Jak wielką rolę odgrywała ta chęć, dowiodły także rozprawy w parlamencie, gdzie szczególny nacisk kładziono na ów alians, który nie tylko że podpisaniem traktatu nie na mocy nie stracił, ale przeciwnie, nowe zdobył na przeszłość siły.

Byłoby pozostało wprowadzić zagadkę na czém takowe siły polegać mogły i gdzie rękojmię trwałości tego przymierza upatrywać wypada, nawet po ogłoszeniu protokółów; — bo zgodność w widokach mocarstw wojujących mogła się tylko ograniczać do osiągnięcia wytkniętych celów w *ultimatum*, mogła być rzeczywistą w obecnej chwili a tylko pozorną na przyszłość. Byłoby pozostało zagadką, nawet po ogłoszeniu tekstu traktatu z 30go marca; — bo traktat nie rozwiązywał stanowczo wielu kwestyj, a przynajmniej wykonanie warunków na pó-

zniej odkładał. Nakoniec już sama liczba państw podpisujących traktat, ich różne stanowiska i nieaz sprzeczne interesa, pozwalały się domyślać, jak trudną byłaby zgoda w pojedynczych częściach traktatu zawieszonych chwilowo, jak trudny sąd o należytem warunków wykonaniu; a tém samém osłabiały rękojmię traktatu złożoną w solidarności siedmin państw zarówno w traktacie uprawnionych, i wskazywały wyraźnie potrzebę jakowejś energiczniejszej i więcej skupionej rękojmi dla przywróconej równowagi europejskiej opartej na nowej podstawie. Mówiono zresztą o różnych innych przymierzach jakie się z łona konferencyj paryskich wywiązać miały, przewidywano różne kombinacye które nie szły na korzyść trwałości przymierza francusko-angielskiego. To co pełnomocnicy angielscy głosili w parlamencie; można było uważać za obronę gabinetową, za pokrycie indywidualnych odpowiedzialności.

Wszakże zagadkę tę rozwiązał hr. Clarendon, złożeniem w biurze Izby angielskich traktatu z 15 kwietnia. Rozwiązał ją przynajmniej co do dalszego istnienia przymierza francusko-angielskiego. Przymierze to przetrwało podpisanie traktatu z 30 marca, a siły swe czerpie jak dawniej w przymierzu 2go grudnia, którego traktat z 15 kwietnia między Austryą, Francją i Anglią zdaje się być następstwem i dalszym ciągiem. Ową ściślejszą i energiczniejszą rękojmię równowagi europejskiej przywróconę traktatem z 30go marca, znajdujemy właśnie w traktacie z 15 kwietnia; — ściślejszą, bo między trzema wielkimi mocarstwami będącemi już podczas wojny w przymierzu; — energiczniejszą, bo wszelkie nadwrgnęcie traktatu z 30 marca, traktat z 15 kwietnia uważa za *casus belli* i stosowne kroki wojenne lądowe i morskie bezzwłocznie zastrzega. Silniejszej rękojmi na papierze zapisanej wystawić sobie niepodobna.

Stąd więc zamiast o jednym traktacie jak się ogólnie

spodziewano, o dwóch traktatach mówić wypada. Jednego bez drugiego ocenić należyć nie można, zwłaszcza, jeżeli się traktatu z 30 marca nie ogranicza jedynie do sporu który wojnę wywołał, ale się go rozciąga do ogólnych widoków polityki europejskiej. Nie może jednak być zadaniem niniejszej pracy, aby rzeczony traktat szczegółowo rozbierać. Uczyniły to już dzienniki i broszury, i nie mały tom złożyłby się dało z artykułów i rozpraw w tym względzie napisanych. Zająć tylko można i to bardzo pobieżnie w różne strony z jakich się traktat przedstawia, wytknąć główne i ogólniejsze jego cechy, dające rzeczywiste o jego istocie i duchu wyobrażenie. Z takowego bezstronnego przeglądu wyświeci się może sytuacja polityczna Europy po podpisaniu pokoju, do tyła, aby dalsze wypadki do przyszłych wiązać się dały w pewnym logicznym następstwie.

A naprzód, ważną jest bardzo w traktacie z 30 marca strona materalna, to jest krótki przeciąg czasu jaki trwały obrady. Trzydzieści pięć dni upłynęło od zawiązania konferencyj (25 lutego) aż do podpisania aktu (30 marca), a nawet powiedzieć można, że całe dzieło ukończonem zostało w przeciągu dni piętnastu, bo 10go marca już zaproszono Prusy i wszystkie główne kwestye były załatwione. Pospiech ten telegrafami wytłumaczyć się nie daje: nigdy nic podobnego w dyplomacyi nie zdarzyło się, wtedy nawet gdy szło o rzeczy nierównie mniejszej wagi i między mniejszą liczbą państw. Łop tłumacząc ten wypadek wyraził hr. Walewskiego, który zaraz na drugiem posiedzeniu zaproponował, aby wszelkie kwestye dłuższego na rozwiązanie szczegółowe wymagające czasu, na później odłożyć, a przystąpić do zawarcia traktatu pokoju „na który czeka Europa“. Pokój zatem był z góry ułożonym; rzeczywistość stała się wraz z przyjściem przez Rosyę *ultimatum*. Szło więc przedewszystkiem o skończenie wojny; nadecho-

dząca pora roku wymagała pośpiechu. Warunki na ogólnych podstawach były zakresłone: ułożenie ich i wykonanie do dalszego czasu mogło być odesłane. Zważając na sposób całkiem niezwykły, w jakim przeprowadzano dzieło pokoju; na ów pośpiech, który rzeczy można, obradami kierował i nie jedną kwestyę rozstrzygał; na ową zgodę często niespodziewaną, w kwestyach trudnych, zawitych, zgodę niejako przymusową w obec jak się zdaje postanowienia, aby „nie przedłużać oczekiwania Europy” — zważając wszystkie te okoliczności towarzyszące samemu układowi traktatu, przychodzi na myśl, że skoro dzieło nie mogło być ukończone, skoro wiele warunków zostawiało w zawieszeniu, przeto też wymagało zapewne i większej a przynajmniej odmienniej niż zwykle rękojmi; że skoro tak działać postanowiono, już przez to samo obmyślono z góry zabezpieczenie traktatu szkicującego tylko niektóre punkta — czyli że myśl traktatu 15 kwietnia towarzyszyła może już układom traktatu z 30 marca, ułatwiała i przyspieszała jego zawarcie.....

Lecz nie wdając się w żadne nazbyt śmiałe domysły, utrzymywać można, że co się tyczy sporu Wschodniego, traktat z 30 marca jedną tylko stanowczo i zupełnie rozwiązał kwestyę, to jest, że rozwiązał ją tak, iż nie może już być o nią nowego sporu bez wyraźnego nadwerżenia istoty traktatu. Wprawdzie, pomogła mu do tego wypadku wojna. Fakta wojenne rozstrzygnęły neutralizacyę morza Czarnego przez zniszczenie floty i zdobycie Sebastopolu. Na tej stanowczej podstawie wszystko dało się uzupełnić. Rosya nie ma floty na morzu Czarném; nic więc łatwiejszego, jak zapisać, że jej więcej mieć nie będzie. Arsenaly morskie przeto niepotrzebne; Mikołajew dostarczy statków pomniejszych do utrzymania morskiej policyi, a liczba ich i wielkość oznaczona w osobnej między Rosyą a Turcyą umowie.

Konwencya z 13 lipca 1841 co do zamknięcia cieśnin dla okrętów wojennych potwierdzona, żaden okręt wojenny nie może przebyć Dardanellów ani Bosforu bez osobnego sułtańskiego firmanu, morze Czarne otwarte wyłącznie dla handlu całego świata; nie przeto naturalniejszego, jak że w portach będą ajenci konsularni obcych mocarstw, mający na pieczy interesa handlu a oraz stróżę ścisłego wykonania zapisanych w traktacie warunków co do trzeciego punktu podstaw, na których zawiązały się układy.

Ale wojna nie ułatwiła w ten sposób innych punktów. Zajęcie Księstw Naddunajskich przez Austryę, zatrzymało wojnę z tej strony, a oraz zawiesiło rozstrzygnięcie kwestyi tak Księstw jakoteż wolności żeglugi na Dunaju. Kongres paryzki nie miał czasu rozwiązać ich stanowczo. Odesłał sprawy te do komissyi. Komissya wytknie nowe granice w Besarabii, komissya wyrobi plan organizacyi Księstw, w którym ma pogodzić życzenia mieszkańców, dawne ich swobody i przywileje z prawami zwierzchniczemi Sułtana; inna znów komissya ułoży statut wolności żeglugi na Dunaju, stosując zasady uznane w traktacie wiedeńskim co do żeglugi rzecznej do zasad wolności żeglugi i praw państw nadbrzeżnych; inna nareszcie komissya nieustająca zatrudni się urzędzeniem przepisów zachowywanych przy przepływie Dunaju, pilnować będzie aby przeszkody jakich żegluga w tém miejscu doznawała usunięte były na przyszłość, oznaczy taryfę opłat, będzie sobie miała powierzona policją itd. itd. Traktat z 30 marca zastrzegł tylko dla nich niektóre prawidła, ale tak ogólne, że nawet kwestya najważniejsza połączenia Multan i Wołoszczyzny w jedno księstwo mogłaby jeszcze wyjść na wierzch. W takim stanie rzeczy nie jeden spór przewidzieć się daje; wykonanie mogłoby nie zupełnie odpowiedzieć literze traktatu, litera bowiem rozmaicie da się tłumaczyć.

Pozostaje pytanie, do kogo należeć będzie sąd, czy traktat został nadwerężony lub nie? Mają być na nowo zwołane konferencje wszystkich mocarstw?... A w razie gdyby nie było wtedy zgody, bo pośpiechu już wtedy nie będzie, a okoliczności zmienić się mogą, któż przewagą swą rozstrzygnie?... I tu nasuwa się jako odpowiedź traktat z 15 kwietnia.

Podobnież i punkt czwarty pozostał jeszcze więcej nieoznaczony jak pierwszy i drugi. *Hattihumajon* odesłał kwestję rajasów, czyli wykonanie równouprawnienia Chrześcian poddanych Turcyi z innemi muzułmańskimi jej mieszkańcami, w dalszą jeszcze nierównie przyszłość, aniżeli wyznaczenie komisyj kwestye Księstw Nadduńajskich i wolności żeglugi na Dunaju. Co do tych ostatnich, traktat z 30 marca wyznaczył terminu w przeciągu których winny wykończyć prace, a zarazem miejsce, to jest Paryż, gdzie takowe odesłać należy. W kwestyi rajasów, najważniejszej, z której cały spór się wywiązał, której mniemane zadość uczynienie posłużyło Rosyi na usprawiedliwienie przed Rosyą i całą Europą przyjęcia niejednego dość przykrego w *ultimatum* warunku, traktat z 30 marca zapisał tylko ważność ogłoszonego *hattihumajonu*, i to jeszcze z zastrzeżeniem, że tem zapisaniem nie przesądza bynajmniej zupełnej niepodległości Sultana w wykonywaniu praw zwierzchniczych i nie przyznaje nikomu władzy mieszania się w wewnętrzne stosunki państwa Ottomańskiego. Z tem oświadczeniem trudno zaprawdę pogodzić opiekę zbiorową mocarstw nad Chrześcianami poddanymi Porty, trudno upatrzeć rękąmi zabezpieczającej wprowadzenie w życie *hattihumajonu*; a co najtrudniej, to nieprzeczuwać różnych trudności, które pod względem zapewnionych Chrześcijanom swobód nadwerężyć mogą traktat. Że na takowe Rosya czujne będzie miała oko, to pewna, ale któż będzie trybunałem przed którym sprawy podo-

hać wytaczane być mają? Któż osądzi i orzecze granice traktatu co do owego nadwężenia tak stanowczo wypowiedzianych zapewnień, a tak słabo zapisanych rękojmi? . . . Brak tychże, tak dalece czuć się daje w traktacie z 30 marca, iż pełnomocnik turecki, szukający bardzo skwapliwie wszelkiej sposobności do powiększenia władzy sultanańskiej i zastosowania do Porty idei państwa w tem znaczeniu jaka przeważała na konferencyach, pochwycił bardzo zręcznie zapisaną ważność *hatti-humajonu*, aby z niej już wywnioskować zupełną wolność Dywanu w sprawie rajasow. Zdawało mu się, że skoro Europa solidarnie bierze pod opiekę wszystkich Chrześcian państwa Ottomańskiego bez różnicy wyznań, skoro walka dopiero co zakończona miała w zarodzie za powód uroszczenia Rosyi do protektoratu Chrześcian „prawosławnych“, już tém samém i kapitulacye dawniejsze innych państw obowiązywać Turcyę przestały; słowem, że *hatti-humajon* stanie za wszystkie rękojmie. Takby się w istocie wydawać mogło z litery traktatu. Ale ogłoszenie *hattu* wystarczyć nie może, a do wykonania tegoż jeszcze daleko. Reformy dopiero zapowiedziane, obiecane — jeszcze nie spełnione. Mogą one podać przedmiot do niejednego sporu: niewykonanie ich może stanowić nadwężenie traktatu z 30 marca, może więc i traktat z 15 kwietnia znaleźć swe zastosowanie, a to tem więcej, że Francya ob staje przy dawnych kapitularzach, a Austria również w traktatach Passarowickim, Belgradzkim i Systowskim, zastrzegła także prawa Łacinników. Pierwszy raz wzmiankować tu wypada, że dawne prawa przysługujące tym dwóm mocarstwom w obronie Chrześcian na Wschodzie połączone zostały w jednym traktacie.

Łatwiejsza nierównie sprawa była z owym tajemniczym punktem piątym, którego nader elastyczne granice rozciągać się miały aż do interesów europejskich.

Warunki nim objęte przygotowane także były po części przez wojnę. Zburzony był Bomarsund — żądano aby na wyspach Alandzkich nie odnawiała Rosya fortyfikacyj. Ukończenie wojny samo wskazywało ewakuacyę terytoryów tureckich, skoro wojska sprzymierzone półwysep Krymski opuszczają. Trudniejszym był przegląd granic Azyatyckich Rosyi, i wytknięcie stanowcze takowych od strony państwa Ottomańskiego. To znów wymagało dłuższego czasu: pośpiech wskazywał oddanie rzeczy całej staraniom nowej komissyi, jako jedyny ratunek, aby „Europa na zawarcie pokoju nie czekała“

Oto i cały punkt piąty. Na nim kończy się ściśle biorąc strona Wschodnia traktatu z 30 marca to jest odnosząca się do sporu rosyjsko tureckiego. Są wszakże pytania tekstem traktatu nierozwiązane, a na które odpowiedź jest prawie konieczną, chcąc go nieco gruntowniej ocenić i pojąć w dalszych następstwach i dążnościach. Czy rzeczywiście pośpiech ten życzeniem Europy był wywołany, lub też czyli go potrzebowały mocarstwa i które? Czemu żądania dotyczące się piątego punktu były z jednej strony tak skromne, a czemu z drugiej strony to jest od Rosyi tak mało opozycyi? Czy istotnie interesa Europy nie wymagały żadnych więcej warunków, czy równowaga europejska była już istotnie przywrócona i niepodległość Turcyi zabezpieczona i zapewniona?....

Na te i inne rozliczne pytania które się następczają, rzuca pewne światło stanowisko każdego z państw reprezentowanego na konferencyach paryzkich, to jest określone tak, jak się przedstawia z traktatów 30 marca i 15 kwietnia, ogłoszonych dokumentów i rozpraw w Izbach angielskich i turyńskich.

Od samego zawiązku sprawy Wschodniej stanowisko Austrii było przeważne. Miała ona w ręku swoim ciągle jak to mówią klucz sytuacji. Każde jęj wystąpie-

nie zmieniało postać kwestyi, jeżeli nie plan wojny. Przymierze jój z Zachodem odosobniło Rosyę: *ultimatum* wreszcie podała Austria na mocy tego przymierza. Lecz jakkolwiek przeważne było i być musiało stanowisko tego państwa na kongresie paryzkim, towarzyszyła mu jednak pewna odrębność. Od Rosyi poparcia w żadnej kwestyi spodziewać się Austria nie mogła. Jako rzeczywista reprezentantka interesów niemieckich spotykała antagonizm Prus. W kwestyach dwóch, dla siebie najważniejszych, to jest Księstw Naddunajskich i wolności żeglugi na Dunaju, polityka nie pozwalała jój być jednego zdania z jój przymierzeńcami Francją i Anglią. Turcyą, lubo w kwestyi Księstw Naddunajskich zgadzała się z Austrią i nie chciała połączenia ich w jedną wielką udzielną prowincyę, to z innej strony nie bardzo przyjaznem spoglądała okiem na korzyści, jakie dla Austrii płynęły z kolei nadanej całej sprawie i z wpływu jaki wywierała i nadal wywierać musi. Polityka Austrii wiązała ją do utrzymywania traktatu Wiedeńskiego w jak największej ścisłości, przy którego zachowaniu nie miały powodu obstawać ani Francya ani Anglia, a przeciw któremu chętnie byłaby wystąpiła Sardynia. W kwestyach jakie ta ostatnia podnosić miała zamiar, Austria nie tylko musiała jój być przeciwną, ale nadto tradycyjna jój polityka i interesa monarchii nie dozwalały zapatrywać się z tego samego stanowiska co Francya i Anglia. Tylko idea państwa w imieniu której kongres obradował, mogła zespolić tak różne polityki, widoki, interesa, i doprowadzić zgodę do skończenia wojny i ułożenia równowagi. Pośpiech przypadał na rękę Austrii, bo przybliżał cel kongresu, a oddalał kwestye których nie chciała aby poruszano. Zawieszenie niektórych spraw, odsyłanie takowych do późniejszych komisyj, mogło być dla niej niekorzystnem, gdyby jój nie było z téj strony zasłaniało przymierze

2go grudnia. Przymierze to, trwające pomimo zebranych konferencyj, zabezpieczało ją również od zbytniego zbliżenia się Rosyi do Francyi, które w widokach na przyszłość mogło się stać niebezpieczeństwem; osłabiało wszelkie usiłowania Piemontu i nakoniec zapewniało korzyści już otrzymane lub w dalszym rozwoju traktatu przedstawić się mogące. Przymierze 2go grudnia przetrwało koleje kongresu, skoro traktat z 15go kwietnia zawartym został po podpisaniu traktatu z 30go marca, a przed nadejściem wszystkich tegoż ratyfikacyj. Nareszcie Austria życzyła sobie pokoju i dążyć musiała pociąganie do zgody, bo dalsza wojna przedstawiała takie ewentualności, na które narażać się wzbraniała jej rozsądna i przezorna polityka, a pora roku groziła konieczną wojną jeżeliby pokój w krótkim czasie zawartym nie został.

Francya zdobyła w sprawie Wschodniej takie stanowisko, że pokój zawarty w jakichkolwiek warunkach na zebranych kongresie, musiał być dla niej korzystny. Korzyści materialnych nie potrzebowała Francya ani też ich żądała; polityczne korzyści już była otrzymała. Przymierzem z Anglią wyszła z owego fatalnego odosobnienia, z jakiego napróżno wydobyc się starała Restauracya i monarchia Ludwika Filipa. Przewagą, wojak i flot swoich nie tylko utrzymała powagę mocarstwa pierwszego rzędu, ale ją powiększyła, a nadto zniewolili Anglię do tego przekonania, że wojny bez Francyi prowadzić dalej nie może, przekonanie zaś to dawało jej głos stanowczy w sprawie pokoju. Zawrzeć go życzyła sobie Francya, bo nie było zdaje się innego sposobu wycofania armij swoich z Krymu. Dalej, zgoda jednomyślna mocarstw, aby w Paryżu odbywały się konferencye, i przymierze 2go grudnia z Austryą, postawiły ją w tem pomyślnem położeniu, iż nie potrzebowała występować przeciw traktatowi Wiedeńskiemu; wszystko bowiem co-

kolwiek w nim drażliwego lub apokarzającego być mogło dla jej godności, zniweczeniem zostało przez uznanie tak zaszczytne jej obecnej potęgi ze strony całej Europy. Utrzymać więc i wzmocnić świetne swoje stanowisko było jej zadaniem. Utrwalenie przymierza 2go grudnia odpowiadało wybornie temu celowi, zaslaniając ją na wszelki wypadek przed powrotem świętego przymierza. Rola bezinteresowności jaką otwarcie przyjęła, ujmowała Rosyę, której zbyt wiele osłabiać nie widziała potrzeby, w razie gdyby przymierze z Anglią ustać kiedy miało. Uwzględnienie aż do pewnego stopnia życzeń Sardynii wzmocniało jej wpływ we Włoszech, a z drugiej strony przyciągało Austryę. Dodać tu można, że śmiałość inicjatywy dowodziła siły, pewności stanowiska i schlebiała Francyi i Anglii zarazem, gdzie kwestye włoskie są popularne; podobnie jak inicjatywa w zawezwaniu Prus do konferencyi, musiała znaleźć echo w Niemczech. Nakoniec, traktat zawarty 15go kwietnia, czynił Francję jednym z najwyższych rozjemców w sprawach Turcyi, zapewniał przewagę na Wschodzie, a oraz odpowiadał polityce katolickiej państwa będącego najstarszym synem Kościoła.

Inaczej rzecz się miała z Anglią, której pełnomocnicy oglądać się musieli na wewnątrz i zewnątrz. Wymaganiom narodowym nie dopisywał pokój, zwłaszcza na podstawach kongresu paryzkiego, ale bez udziału Francyi prowadzić wojny dalej nie było sposobu. Interesa Anglii nie były zaspokojone; rokowane zniszczenie floty rosyjskiej na Bałtyku nie przyszło do skutku. Korzyści z zawartego traktatu nie odpowiadały wyłożonym ofiarom. Wojna dwuletnia dowiodła Anglii, że jakkolwiek jest mocarstwem pierwszego rzędu na morzu, przewagę swoją na lądzie utrzymać tylko zdoła za pomocą przymierza. Przymierze też z Francją, oznaczało jej stanowisko na konferencyach. Zbliżanie się Rosyi do Fran-

cyi musiało ją niepokoić, bo połączenie sił tych dwóch mocarstw, nawet na morzu mogłoby się stać dla niej groźnem. Przymierze 2 grudnia zasłaniało ją przed podobną ewentualnością, utrwalila je więc podpisaniem traktatu 15 kwietnia. Dzielila się wprawdzie tym sposobem wpływem na Wschodzie, o którego monopol zawsze dawniej walczyła, ale za to starała się rozszerzyć go we Włoszech, podejmując bardzo energicznie projekta Sardynii. Przystąpiła również bardzo chętnie do zmian proponowanych przez Francję w prawie publicznem morskiem, odstąpiła od prawa wizytowania okrętów w zamian za zniesienie prawa uzbrajania korsarzy. Cios wymierzony był przeciw Ameryce. Wszakże powiedzieć można w ogóle, że siła stanowiska Anglii na kongresie paryzkim polegała głównie na przymierzu jakie ją z Francją łączyło. W tem przymierzu była przeto granica, której Anglii ani w rządaniach ani w uporze przekroczyć nie mogła.

Prusy w całym biegu sporu Wschodniego starały się zachować neutralnie, traktat wszakże tak ważny jak traktat z 30 marca zawartym być nie mógł z ich wyłączeniem bez ubliżenia godności mocarstwu pierwszego rzędu. Prusy jako takie mocarstwo podpisały tak zwaną konwencyę cieśnin z 13 lipca 1841, zostały przeto zawezwane do konferencyj paryzkich gdy szło o potwierdzenie rzeczonęj ugody. Samo już to zawezwanie odpowiadało stanowisku jakie Prusy zająć mogły na kongresie, całą bowiem dążnością ich polityki w bieżącej sprawie, było usiłowanie, aby nie sama Austria reprezentowała interesa Niemiec. Zaspokoili je zapewne całkiem widok, że Bawarya i Wirtemberg mają udział w komissyi o wolności żeglugi na Dunaju. Nie odrzuciły bynajmniej dyskusyi nad wniesioną przez Francję kwestyą włoską, jednak zdawało im się słusznie, że proponowane środki sprowadzić muszą skutki

całkiem przeciwne i powiększą złe, miasto je zmniejszyć. Owszem, korzystały z tej dyskusyi bardzo zręcznie, aby postawić i przypomnieć zarazem Europie kwestyę nieszatelską. Potrafiły się utrzymać na zajętem neutralnem stanowisku względem Rosyi i zachowały swą powagę w obec Zachodu. Nie starały się o żadne przywierze, pozostały odosobnione, jakby chcąc Niemcom pokazać, że na sile Związku niemieckiego polegają zupełnie.

Rosya podpisując *ultimatum* kazała się domyślać, że chciała ukończyć wojnę. Czy ją do tego zmuszało jak mówiono wycieńczenie sił państwa, czy nakłaniała polityka, czy też i jedno i drugie — rozbierać nie ma powodu, bo fakt zostaje niezmienny. Lecz obok niego staje drugi, zdaje się równie pewny, a bez którego nie tylko stanowisko i postępowanie Rosyi na kongresie paryżkim, ale nawet samo podpisanie przez nią *ultimatum* wytłómaczyć byłoby trudno, to jest, że Rosya przyjmując propozycye austriackie w d. 16 stycznia, postanowiła już była zmienić politykę swoją, jeżeli nie co do ostatecznych jej celów, to w każdym razie co do środków ku ich osiągnięciu. Być może, i znalazłyby się niejaki dowody na poparcie tego zdania, że zmiana o której mowa, była już w myśli jeżeli nie w zamiarze polityki gabinetu rosyjskiego, nawet w roku przeszłym; lecz względy przeważne „rosyjskie“ niepozwalają jej przyjść do skutku; jakkolwiek podczas konferencyj wiedeńskich byłaby bezsprzecznie większą korzyść dla Rosyi przyniosła. Bez przypuszczenia atoli takowej zmiany w kierunku a nawet po części i w dążnościach polityki rosyjskiej na przyszłość, postawione w *ultimatum* warunki nabierają niesłychanej wagi i są jeżeli tak wyrazić się wolno, za twarde. Podpisać je, było to jednym pociągami pióra rzec się polityki Piotra W., wymazać z historii rosyjskiej wiekowe usiłowania jego następ-

ców i utracie otrzymane już w tym kierunku ogromne korzyści. Jakikolwiek Rosya ponieść mogła w tej wojnie ofiary i straty, przewyższała je co do wartości utrata morza Czarnego, ujść Dunaju i protektoratu w Księstwach, nie mówiąc już o innych pomniejszych ustąpieniach. Lecz zdaje się, że następstwa z wywołanego sporu przekonały Rosyę o niepodobieństwie postępowania dalej tą drogą jaką szła od wieku. Różne są sposoby wiodące do tego samego celu. Środki tak zwane cywilizacyjne, jakich używała przeciw Rosyi koalicya, dowiodły swęj wyższości nad temi, których się trzymało zbyt upornie państwo Piotra W. Okoliczności w Europie były mu w tej chwili nieprzyjemne, a państwo zwłaszcza takie jak Rosya, czekać może. Do sukcesy w polityce można być powołanym choćby nie koniecznie z bronią w ręku, ale prawem geograficznego położenia i naturalnym wpływem wyższym nad kombinacye polityczne. Człowiek którego Rosya za „chorego“ uważa, nie wyzdrowiał zapewne jej zdaniem, przez powiększenie liczby lekarzy zajętych przedłużeniem mu życia. Chwila zgonu może zastać Rosyę silniejszą niż kiedy, bozaopatrzoną w zasoby, jakich jej dostarczyć mogą środki cywilizacyjne, koleje żelazne, kapitały, handel, przemysł, słowem reformy, które w swych manifestach ogłasza. Tym sposobem tłumaczy się przyjęcie *ultimatum* i podpisanie traktatu z 30 marca, który, zwłaszcza poparty traktatem z 15 kwietnia wydaje się wprost przeciwny widokom dawnęj polityki rosyjskiej. To też domysły o zamierzonej zmianie przebijają się ciągle w konferencyach paryżkich, a stanowisko zajmowane w nich przez Rosyę usprawiedliwia je po większej części. Stanowisko to zasadzało się na tem, że ogłoszenie *hattihumajonu* czyniło zadość celowi jaki miała w wojnie, ukończyć ją przeto teraz mogła. *Hattihumajon* przewyższał nawet nadzieje Rosyi — dodawali złośliwie

pełnomocnych rosyjacy, i dla tego zapewne sami jedni nie uznawali zapisania ważności tego aktu w traktacie za dostateczną dla Chrześcian rękojmiją. Chcąc ukończyć wojnę, musieli chcieć także zawarcia pokoju i to z pośpiechem, jaki nakazywała pora. Z wielką też uprzejmością i łatwością przykładali rękę do zgody. Rosya podpisywawszy raz *ultimatum*, przyjmowała wszystkie pływające z niego jako i z faktów wojennych następstwa. Nie szło jej ani o arsenały morskie, ani o ilość statków na morzu Czarnem, skoro na niem floty mieć nie mogła; nie chodziło jej tak wiele o granicę bezarabską, skoro już podpisała utratę ujścia Dunaju. Więcej przykładala wagi do organizacyi Księstw naddunajskich i zapewne w widokach przyszłości popierała połączenie ich w jedną prowincję, przeciw zdaniu Austrii i Turcyi. Przystała z łatwością na ewakuacyę Karsu, a pilnie strzegła swych posiadłości w Azji, raz dla wpływu na Wschodzie, drugi raz, aby niedogodzić widokom Anglii. Nieupierała się przy prawie fortyfikowania wysp Alandzkich, czując dobrze, że Francya i Anglia od tego warunku odstąpić nie mogą, a niechcąc z tego powodu zachwiać postanowienia zawarcia pokoju. Flota angielska zebrana w Spithead była ważnym w sprawie bałtyckiej argumentem. Przyjęła więc Rosya ten warunek jako następstwo faktu wojennego zburzenia Bomarsundu, i zapisała to, żądając w protokóle, aby warunek ten przez nią jedynie i mocarstwa wojujące na Bałtyku, Francyę i Anglię zawarty, przyłączony był do traktatu. Wszystkie te następstwa czyniła Rosya nie w tem znaczeniu, jakoby do nich była zmuszoną, ani też tego po niej inne mocarstwa żądały. Nie czyniła ich również uznając konieczność, ale skłaniała się do nich, chcąc przywrócić pokój europejski i przychylając się do opinii mocarstw jakoby tego od niej wymagała równowaga europejska; a wreszcie z tego powodu, że one odpowiadały części-

wo nowęj polityce jaką u siebie przeprowadzić zamierała. Popierała też tak zwane cywilizacyjne dążności, ile razy zdarzała się do tego sposobność, i uznając Francję za reprezentantkę takowych, zbliżała się do niej, a niepokoiła tem samem Anglię i Austryę. Krom tego, że pierwszej zdawała się przypisywać zaciętość w wojnie jeżeli jaka była, i projekta większego siebie osłabienia, a do drugiej miała niechęć z powodu zawiedzionych nadziei jakie pokładała w dawniejszem z nią przymierzu i w pamięci oddanych przysług, które przesadzała — z obu temi państwami interessa jęj były sprzeczne, z Francją tylko w żadną nie zachodziły kolizyę. Rada też była raczej anizeli przeciwna widokom Sardynii, ale ich nie popierała; bo lubo traktat wiedeński z tęg strony obchodzić jęj nie mógł, wszelkie atoli nadwergężenie a nawet odwoływanie się do niego groziło jęj niebezpieczeństwem. Miała bowiem Rosya jedną stronę wielce dotkliwą, to jest, tęg właśnie przez którą wpływ na Europę środkową i zachodnią wywierają. Tu, *noli me tangere*. Utrzymać wpływ zachodni z poświęceniem nawet w terażniejszości nieco z wpływu wschodniego, było podobno usiłowaniem Rosyi na konferencyach. Zabezpieczało ją pod tym względem aż do pewnego stopnia podczas wojny przymierze z 2go grudnia: względ ten był zapewne przeważny w przyjęciu *ultimatum*, towarzyszył w kwestyi szwedzkiej podczas kongresu, a nawet może i traktat 15 kwietnia znajdzie w nim w oczach Rosyi niejakię usprawiedliwienie.

Sardynia była jedynem państwem drugiego rzędu zasiadającym na kongresie paryzkim. Prawo do tego używała śmiałem przystąpieniem do przymierza zachodniego i posłaniem armii do Krymu. Ważną w oceniu jęj stanowiska odgrywa rolę chwila tego przystąpienia w styczniu r. 1855. Poparła ona tym sposobem stronę mocarstw sprzymierzonych na zawiązanych właśnie

konferencyach wiedeńskich; dowiodła trafności politycznej, przewidując że obrady rzeczzone nie zostaną pomyślnym uwieńczone skutkiem. Omyliła się jednak w rachubie tak co do wojny, jako też co do przymierza z 2go grudnia. Wojna nie sprowadziła ewentualności jakich sobie po niej obiecywała; przymierze 2go grudnia zachwiane nieco niepomyślnym wypadkiem konferencyj wiedeńskich, odżyło na nowo i w takiej sile, że w końcu zdobyło na Rosyi *ultimatum*. Jakkolwiek zaś zawarcie pokoju niekorzystnem było dla Piemontu, to jest dla jego widoków, przeszkodzić temu nie był w stanie. Przyznanie chwilowo prawa dyskusowania spraw europejskich na równi z mocarstwami pierwszego rzędu, nie daje jeszcze siły, a siła tylko liczy w systemacie dzisiejszym równowagi. Pomimo przeto dwóch reprezentantów na konferencyach, Sardynia pozostała co do głosu na nich mocarstwem drugiego rzędu. Nieuzyskała też żadnej innej rzeczywistej korzyści prócz zaszczytu podpisania traktatu z 30 marca. Wpływ jej jednak był większy aniżeli innego mocarstwa tego samego rzędu, raz z powodu przymierza Francyi i Anglii, powtórze że występowała jako reprezentantka całego półwyspu Włoskiego, nakoniec że przyjęła na siebie rolę opozycyjną przeciw Austrii. Tym trzem okolicznościom zawdzięczała Sardynia, że stanowisko jej nie było całkiem obojętne, o tyle przynajmniej, iż Francya wniosła tak zwaną kwestyę włoską na posiedzenie, a Anglia silnie ją poparła. W obec atoli trwającego przymierza 2go grudnia, które głównie stało i stać musiało na zawadzie projektom sardyńskim, inicjatywa Francyi sprowadzić rezultatu nie mogła, a traktat z 15 kwietnia, lubo wyłącznie dotyczący się spraw w traktacie z 30 marca zapisanych, zawsze jednak nadzieje Piemontu mocno zapewne osłabił. To też hr. Cavour najlepiej sam ocenił stanowisko Sardynii mówiąc w Izbach, że przywozi

z Paryża szlachetne życzenia Francyi i Anglii, odnowioną przyjaźń książąt Sabaudzkich z domem Romanów, i stosunki polityczne z gabinetem wiedeńskim te same, jeżeli nie więcej jeszcze oddalone.

Stanowisko Turcyi na kongresie paryzkim można w kilku nacechować wyrazach: kandydatura na państwo europejskie z 19go wieku. Przygotował ją był wprawdzie Mahmud II zniesieniem janczarów i Abdul Medtyd usiłowaniami na drodze reform, ale najwięcej pomogła jej Rosya wywołując missyą księcia Menszykowa kwestyę o prawa zwierzchnicze Sultana. Kandydaturę tę nakoniec postawiły mocarstwa sprzymierzone na konferencyach wiedeńskich a zatwierdziły ją na kongresie paryzkim. W traktacie z 30 marca Turcyja jako państwo ottomańskie weszła w skład mocarstw europejskich, i w tym już charakterze podpisała ten akt prawa publicznego. Idea państwa taka jaką jest dzisiaj, zcentralizacyą będącą jej następstwem, dziwnie przypadła jak się zdaje nowemu państwu — dawniej bowiem Turcyi już nie ma. O islamizmie pełnomocnicy tureccy ani wspomnieli, nadspodziewanie prędko przejęli się nową rolą, i z szczególną zręcznością używając cywilizacyi za narzędzie starali się utrzymać przy prawach przysługujących państwom europejskim. Przebijająco to bardzo wyraźnie w dyskusyi nad organizacyą księstw naddunajskich, których połączenia w jedną prowincyę niechcieli; w dyskusyi nad prawami rajasów, gdzie stanowczo oparli się zamieszczeniu *hatti-humajonu* w tekst traktatu. Otrzymali to drugie, a wstrzymali pierwsze, bo kongres, aby postępować loicznie, musiał uwzględnić i prawa zwierzchnicze i godność państwa i niezawisłość zarządu wewnętrznego, słowem postępować z Turcyą jako z państwem. Pełnomocnicy tureccy zniewoleni jednak byli przyjąć ów protektorat sześciu mocarstw zaręczający niepodległość i nietykalność państwa ottomańskiego, in-

bo wnosząc z okazyj kilkokrotnie przez nich przenikliwości, widzieli zapewne dobrze, jakie im zagraża niebezpieczeństwo. Od protektoratu do podziału droga nie daleka i znana. Ale niebezpieczeństwo zbiorowe zasłaniało ich chwilowo od niebezpieczeństwa, jakie im od pojedynczego mocarstwa zagrażać mogło, a do tego im większa liczba opiekunów tém zgoda trudniejsza. Traktat wprawdzie z 15 kwietnia ścieśnia ten protektorat do trzech i na nich rękojmię ostateczną ogranicza, ale z drugiej strony utrudnia zgodę ewentualnością wojny, która w położeniu w jakim teraz jest Turcja, zawsze korzystnie dla bytu jej wypaść musi. Z rezygnacją też prawdziwie wzorową przyjęli pełnomocnicy tureccy i ów protektorat i miejsce przeznaczone w tym składzie mocarstw europejskich do którego ich przypuszczono z oświadczeniem: że istnienie państwa ottomańskiego potrzebnem jest dla równowagi europejskiej. Starali się tylko zdobyć jak najwięcej praw, jak najwięcej bezpieczeństwa — na dzisiaj, i oddać im należy wszelką w tej mierze sprawiedliwość. O jutrze myśleć nie mogli: zakrywała je dla nich więcej jeszcze niż dla innych przyszłość pomroka, a sam protektorat wykluczał wszelkie odrębne przymierze. Turcja zostawszy kosmopolitycznem państwem, przestała należeć do siebie samej — należy do świata.

Z tego aczkolwiek w głównych tylko rysach przedstawionego obrazu stanowisk państw reprezentowanych na kongresie paryżkim, łatwo pojąć, dla czego w traktacie z 30 marca o samej kwestyi wschodniej wyłącznie mowa być mogła. W tej tylko sprawie, a nawet w tych tylko może warunkach w jakich ją spór rosyjsko-turecki postawił, i w tych tylko może okolicznościach jakie towarzyszyły obradom kongresu, można przypuścić, aby tak rozmaite i sprzeczne widoki i interesa ku jednemu celowi skierować się dały. W każdej innej kwestyi zgo-

da byłaby niemożliwą. To też traktat z 30 marca nie dotknął żadnej takiej, któraby się nie wiązała bezpośrednio ze sprawą wschodnią. Za taką bowiem uważać wypada kwestyę, do której się odnosi warunek niefortyfikowania nadal wysp Alandzkich. Zbyteczném byłoby powtarzać i dowodzić, że jak w ciągu bieżącej sprawy, tak i przy jej ukończeniu więcej miano na oku Rosyę niż Turcyę; że więcej może jeszcze szło o ukrócenie powagi Rosyi niż o zapewnienie niepodległości Porcie; że nakoniec chciano wojną sprowadzić Rosyę do zmniejszenia dążności swęj polityki, a zawarciem pokoju zabezpieczyć Europę od powrotu podobnych zawikłań jak spór rosyjsko-turecki. Teatrem potęgi Rosyi jako państwa morskiego jest morze Czarne i Bałtyk: Bosfor prowadzi do morza Śródziemnego, jak Sund do Oceanu, i pod tym względem położenie Turcyi i państw Skandynawskich w obec polityki rosyjskiej ma wielkie podobieństwo. Mocarstwom więc zachodnim, sprzymierzonym z Turcyą a wojującym na morzu Czarném i na Bałtyku, wypadało koniecznie wzmocnić również państwa Skandynawskie, aby przewadze rosyjskiej skuteczną położyć tamę. Stanął przeto traktat z 21go listopada r. z. między Szwecyą, Francyą i Anglią, w którym nietykalność pierwszėj zagwarantowaną została równie silnie, jak nietykalność państwa ottomańskiego traktatem z 15go kwietnia. Przymierze z Szwecyą jakkolwiek tylko obronne, nie mało zapewne wpłynęło na przyjęcie *ultimatum* przez Rosyę; z nadchodzącą bowiem porą nowęj na Bałtyk wyprawy, łatwo na zaczepne przemienić się mogło. Zawarcie pokoju nie zniosło traktatu 21 listopada; mocarstwa przeto zachodnie musiały w traktacie z 30go marca szukać sposobu zabezpieczenia siebie i Europy przed ewentualnością wojny jakaby wypaść mogła, gdyby Rosya w przyszłości na Bałtyku potęgę swoją rozszerzać miała zamiar. Zażądały przeto od Rosyi, aby

nie fortyfikowała więcej wysp Alandzkich zagrażających Sztokholmowi zbyt bliskiem sąsiedztwem. Wymagał tego traktat z 21go listopada, który stawia *casus belli* w razie, gdyby Rosya nadwerężyła granice Szwecyi, podobnie jak traktat z 15go kwietnia ten sam wypadek zastrzega względem Turcyi.

Kilka tych uwag wystarczy aby dowieść, że artykuły w traktacie z 30 marca dotyczące się wysp Alandzkich, lubo na pozór zdają się obcą stawiać kwestyę, ściśle się jednak wiążą ze sprawą wschodnią. Są one zresztą bardzo ważne, mają wielką doniosłość na przyszłość i stanowią główny rys europejskiej strony traktatu z 30 marca.

Nie ma w nim atoli wzmianki o innych obcych kwestiach, których kilka spór wschodni wywoływać się zdawał. Niektóre z nich widzimy podane do dyskusyi kongresowi, ale z protokółów nie weszły one do traktatu, już dla tego, że zgody co do nich być nie mogło; już dla tego, że jedynym celem zebrania się kongresu miało być ułożenie traktatu pokoju kończącego obecną sprawę wschodnią. Jeżeli tak było, jak to wyraźnie oświadczyli niektórzy pełnomocnicy, to konferencye paryzkie miały sferę bardzo ograniczoną i wiele im brakowało aby stanąć na równi z ich poprzednikiem kongresem wiedeńskim. Zdaje się, że ta dyplomatyczna ich strona nie została dokładnie wyświeconą, że instrukcye gabinetów w tej mierze były różne, lub też stosownie do potrzeby przez pełnomocników używane. To jednak pewna, że kongres paryzki nie chciał sobie przyznawać prawa interwencyi w sprawach europejskich, a. gdy wszystkie obce sprawy przed sąd jego wniesione na tej głównie obracały się osi, przeto orzekać o nich wzbraniał się. Wy tłumaczyć trudno istotną przyczynę tego postępowania, bo przecież sprawa wschodnia nie była czém innym jak interwencją na ogromny rozmiar w stosunki

Tureyi i Rosyi, a w skład kongresu wchodziły wszystkie mocarstwa pierwszego rzędu, których wyroki bez żadnego odwołania stanowią dzisiaj prawo publiczne. Lecz bądź jak bądź, traktat z 30 marca z dyplomatycezanéj uważany strony, nie zniósł żadnego poprzedniego traktatu, oprócz traktatów między Rosyą a Turcyą, które już samym faktem wojny między temi państwami obowiązywać przestały; potwierdził konwencją Ciasnin z 13 lipca 1841 r. i uznał traktat wiedeński stósując zawarte w nim przepisy do organizacyi żeglugi na Dunaju.

Co jednak nie przeszkadza że w prawie publiczném europejskiém ważną zapisał zmianę, przyjmując w skład mocarstw europejskich chrześcijańskich muzułmańskie państwo. Przyjęcie to, które nastąpiło równocześnie z podaniem wszystkich Chrześcian tureckich pod opiekę zbiorową Europy, uderza wprawdzie pewną anomalią, ale najlepiej cechuje ducha jaki kierował obradami kongresu. Idea państwa była w nim zasadą tak dalece posuniętą, że doszła do granic fikcyi. I potrzeba jéj téż nieco było, aby społeczność na islamizmie opartą, a nie mającą innego w Europie prawa jak prawo zdobyczy i prawo mocniejszego wykonywane przez trzy miliony muzułmanów na jedenastu milionach chrześcian, przemienić za pomocą kilku artykułów w traktacie zapisanych, w państwo europejskie. To téż jak się z protokołów pokazuje, nie mały był kłopot o wyrażenia jakimi udzielić wypadało Turcyi tę polityczną inwestyturę. Nie mało wyłożyć trzeba było starań i usiłowań, aby wszelkie reformy nałożone Turcyi przez Europę przybrały taką formę, jakby płynęły z samodzielności lub wspaniałomyślności sultańskiej. Dość spojrzeć na dyskusye nad organizacyą ostateczną księstw naddunajskich i nad wykonaniem ogłoszonego *hatti-humajonu*, aby się przekonać, jak trudno było pomimo najlepszej woli, przypisać Turcyi ini-

cyatywę tam, gdzie tylko jest konieczność wykonania obcej woli; jak trudno pogodzić „państwo“ z „protektorem“. Lecz kongres dokonać dzieła tego musiał, bo mu za podstawę służyła idea państwa, a w następstwie solidarność interesów europejskich. Tę cechę nosi też traktat z 30 marca, z dodaniem cechy cywilizacyjnej, którą dawniej zwano liberalną, a która się odbija głównie w zmianach powyżej przytoczonych, jakie tenże w prawie publicznem morskiem zaprowadził. Tu była zgoda, jakkolwiek rzecz nie wypływała bezpośrednio ze sprawy wschodniej, bo cywilizacja ogólna, niejako kosmopolityczna, odpowiada zupełnie zasadzie wspólności interesów i jej wymaganiom.

Tak się przedstawia traktat z 30go marca ze strony swojej społecznej; pozostaje jeszcze dotknąć strony jego politycznej czyli równowagi europejskiej. Tę nierównie więcej wyświeca traktat z 15 kwietnia aniżeli ogólny traktat pokoju. Pisano, że pełnomocnicy tureccy zadziwić się mieli, gdy powzięli wiadomość o tym odrębnym akcie. Trudno temu uwierzyć, bo z przenikliwością, jakiej odczytując protokoły posiedzeń, odmówić im nie można, spostrzegli zapewne, że miejsce ich w składzie mocarstw europejskich było podstawą na której układała się równowaga. Systemat ten polityczny potrzebował podstawy: za takową służyć mogło tylko państwo, a że go nie było, przeto Turcyę w państwo zamienił. Cóż lepiej tłumaczy i ów protektorat całej Europy i zarazem owe odosobnienie w jakim znajdowało się nowe państwo Ottomańskie? Nie sąż to właśnie warunki w jakich zostawać winno państwo służące za podstawę równowadze? Nie powinnoż ono mieć tyle siły, aby się utrzymywać zdołało, a znów nie posiadać jej dosyć, aby samo przez się cokolwiek rozpocząć było w stanie? Czemuż więc miał dziwić pełnomocników tureckich traktat z 15 kwietnia, wyrokujący stanowczo o nierucho-

mości podstawy europejskiej równowagi, skoro w ciągu układania traktatu z 30 marca tylokrotnie mieli sposobność przekonać się, że nie chodziło o Turcyę jako Turcyę, ale o państwo do równowagi europejskiej koniecznie potrzebne?....

Z tego stanowiska zapatrując się na traktat 15 kwietnia, jest on nie tylko sankcyą traktatu z 30 marca, bo stawia *casus belli* w miejsce protektoratu, który lubo zapewne był rękojnią, ale nie podawał sposobów do jej wykonania; jest nie tylko traktatem zaczepnym i odpornym, bo w razie niedotrzymania warunków zapisanych w traktacie pokoju wypowiada wojnę; ale nadto traktat z 15 kwietnia wraz z traktatem szwedzkim z 21 listopada wydają się i słusznie jakoby dwie warownie obie zbrojne, stojące na straży systematu europejskiego z ukończonych zawikłań wynikłego, jedna na Wschodzie druga na Północy.

Zapewnie że niezwykłym to jest wypadkiem w dziejach dyplomacyi aby po zawarciu ogólnego traktatu, niektóre mocarstwa mające w nim udział, zawierały jeszcze traktat odrębny i bez wiedzy reszty państw, nadający warunkom w ogólnym traktacie objętym najwyższą rękojnią polityczną — wojny. Ależ zapominać nie trzeba, że wszystko było niezwykle w tej sprawie którą zakończył traktat 15 kwietnia. Nie byłże nadzwyczajnym ów stan społeczeństwa europejskiego, stan pokoju i wojny; owa wojna prowadzona równocześnie z układami o pokój; owe konferencye w Wiedniu i w Paryżu gdzie nie było „ani zwycięzców ani zwyciężonych“; ów traktat nareszcie pokoju „dla wszystkich stron równie zaszczytny“? — Cóż więc dziwnego że sankcyą tego traktatu wyszła ze zwyczajnych dyplomatycznych kolei, że postawiła *casus belli* którego stawiać ogólnemu traktatowi nie przystało?.... Czyż zresztą święte przymierze nie przetrwało kongresu wiedeńskiego, jak

przymierze z 2go grudnia konferencyj paryzkich? Czy święte przymierze nie zawierało później osobno traktatów i konwencyj, jak uczyniło przymierze z 2go grudnia w traktacie z 15go kwietnia?.... Jest tu więc raczej różnica co do formy i czasu aniżeli co do istoty rzeczy. *Nil novi sub sole.*

Upatrywać także chciano w rzeczonym przymierzu Austrii, Francyi i Anglii oznakę nieufności dla innych mocarstw, które podpisały traktat pokoju, spuszczać z uwagi, że każdy systemat polityczny postępować musi, rozwijać się w swych zasadach i w następstwach wydoskonalać. Tak też i z systematem równowagi politycznej. Przedstawia on się daleko wybitniej niż dawniej. W systemacie gdzie siła jest żywiołem i prawem, o bezwzględnem zaufaniu mowy być nie może. Nie ma też nieufności, jest tylko ostrożność, wskazująca te środki, jakie do trwałości ustalonej równowagi najpewniejszą podają rękojmię. Takową podawać się zdają przymierza. Wprawdzie mają one swą niebezpieczną stronę, że łatwo w koalicję przerodzić się mogą, ale gdy z jednej strony, doskonałej równowagi zaprowadzić się nie da, a wspólność interesów solidarnością mocarstw wywołana, wszelką ważniejszą sprawę przed trybunał całej Europy powołuje, przeto środek utrzymania równowagi za pomocą przymierza zdaje się coraz więcej w polityce nabierać mocy i praktyki. W końcu wyjdzie to na jedno: miasto państw pojedynczych, równoważyć się będą przymierza interesami skojarzone.

Niepodobna wszakże rozbierać szczegółowo wszystkich zdań i domysłów czynionych nad traktatem z 15 kwietnia, jakoto: że wymierzony jest przeciw Rosyi tak jak traktaty wiedeńskie wymierzone były przeciw Francyi, że zawarty był w celu zabezpieczenia Austrii w sprawach włoskich, i znów że Francya i Anglia podpisały go, aby tem łatwiej sprawy te przeprowadzić a

oraz zabezpieczyć Turcję od zbytniego Austrii wpływu, czyli mówiąc po prostu, że z Austrią przeciw Austrii zawarto traktat. Wszystkie te i tym podobne wnioski nie mają dostatecznej podstawy w literze traktatu, a na niej ograniczyć się należy, bo nie prócz samego tekstu nie jest dotąd znanem.

Leż jakkolwiek litera ta odnosi się tylko do sprawy Wschodniej, a nawet do samych warunków traktatu z 30 marca, niemniej jednakowoż uważać należy traktat z 15 kwietnia za nader ważny akt europejski, który niemało charakteryzuje sytuację polityczną, pozwalając przewidywać choć w części, następstwa z niezupełnie dokonanego jeszcze dzieła kongresu paryżskiego. Nie tylko bowiem zagraża wojną, gdyby warunki podpisane w Paryżu dotrzymane nie były, ale tem samem stawia trzy mocarstwa które go podpisały, jako sędziów, czyli te warunki nadweryżone zostały lub nie? Któż bowiem inny rozstrzygać może w tej nader ważnej kwestyi, jak państwa pierwszego rzędu związane w tym przedmiocie traktatem opartym na *casus belli*? W polityce, tam gdzie jest siła i zamiar wykonania wyroku, tam i sąd być musi. Traktat więc z 15 kwietnia samą literą, swego tekstu stawia najwyższy trybunał, który lubo oświadczył, że w jednej tylko sprawie orzekać będzie ostatecznie, jednakowoż samém już przyznaniem sobie tego prawa, takiej dowiódł przewagi, że obrót dalszej polityki i spójność społeczności europejskiej od jego postanowień zależeć się zdają.

MAURICY MANN.

KRONIKA.

Kraków w maju.

Kiedy Cesarz Mikołaj przyjrawszy się z daleka wspaniałej panoramie Krakowa, zapowiadającej o wiele okazalsze miasto, niżeli jest w istocie, odbył potem przegląd wojsk na błoniu, ucieszony, że tak rozległy tuż pod miastem znalazł plac ćwiczeń, zawołał: „To miasto stworzone jest na stolicę!”

Kiedy bankierowie pruscy zjechali się do Krakowa dla zakładania kolei krakowsko górnośląskiej i ujrzeli spławną Wisłę, kilka strumieni przerzynających przedmieścia i okolice miasta, a w pobliżu kamień, wapno, marmury, cynk, węgiel, siarkę i sól, zawołali: „To miasto stworzone jest dla przemysłu i handlu!”

Słowa Cesarza Mikołaja znalazły już usprawiedliwienie swoje w dalekiej przeszłości; słowa bankierów pruskich zaczynają się sprawdzać.

Tak myślałem sobie widząc krzątanie się około przygotowań do jarmarku na ś. Wojciech. Wyobrażałem sobie olbrzymie piramidy skrzyń z towarami zalegające rynek, szeregi bud ustawionych w ulice, które musiano oznaczyć drogowskazami i doraźnymi nazwami, żeby w labiryncie ich nie zbladzić, ~~tam~~ różnostrojny na ulicach

począwszy od poważnego Anglika ubranego w tuzin paletotów jeden na drugim, z nosem w szalu ukrytym, do flegmatycznego Turka kurzącego spokojnie fajkę, a między jednym i drugim roje różnego ludu, komisanty i meklery z pierścionkami na palcach i dewizkami u zegarków, gadający po francuzku berlińskim dyalektem żydowskim; wszystkie domy zamienione w hotele, wszystkie sienie w kramy; dalej teatru, koncerta, ognie sztuczne, wyścigi konne, widowiska wszelkiej nazwy i wartości, zjazd artystów z całej kuli ziemskiej począwszy od śpiewaków i wirtuozów aż do baletniczek i akrobatów, clownów i kuglarzy, i tak bez końca nie zatrzymując się aż na tych, którzy zbiegli z klatki menażeryjnej zajęli deski teatralne mieniając się także artystami.

Pstry ten kalejdoskop miał mi przedstawiać nowoczesną wielkość Krakowa w zamian za jego wielkość minioną.

Okropne to było wszakże rozczarowanie kiedy ujrzałem wózek żydowski w wigilią otwarcia jarmarku przewożący pod zasłoną zmroku wieczornego cały sklep z Kazimierza do budki na rynek, a nazajutrz tegoż samego brodatego „kupca“ ofiarującego mi toż samo mydelko i szczoteczkę, na które wczoraj ani spojrzeć nie chciałem, w nadziei że na jarmarku kupię coś prawdziwie zagranicznego i to za pół darmo. Odszedłem wielce zgorzchniony i przyszła mi na pamięć owa komedia tak często pod różnemi względami w praktyce zastosowana, że stara panna dopiero jako młoda wdowa znalazła męża. Widziałem jak te same osoby co nie chciały kupować wczoraj w sklepach, gdzie grymasiły i przerzucały towar rozsiadając się na podanych sobie krzesłach, dziś stojąc przy budzie, potrącane od przechodniów, chwytają przez ramiona drugih podany sobie ten sam towar i bez targu płaciły.

Poważne Sukiennice pod których skrzydłami tuliły się przed wieki kramy kupieckie różnych narodów, spoglądały dziś smutno na budy jarmarczne, których wartość razem wzięta jednego dawniej kramu bogatego nie byłaby zapłaciła. Tędy to ciągnęły karawany towarów ze Wschodu; tutaj Hanza i miasta włoskie i hollenderskie miały swoje składy; tu Węgier, Ormianin, Grek, Włoch, Francuz, Flamandczyk i Niemiec rozkładali

w dni targowe towary swoje, a weksle ciągniono w późne jeszcze potem lata na Wenecyą i Amsterdam. To też choć nie rozprawiano tyle co dziś o przemyśle i handlu, bankierowie krakowscy zakładali udzielne w Niemczech księstwa, a burmistrz krakowski dawali w Sukiennicach uczyć Cesarzowi Rzymskiemu i kilku naraz królom.

A dziś co tu zachodu i hałasu, że kilku kupców zabrawszy z sobą trochę towaru wskoczyło do wagonu i w kilku godzinach stanęło w Krakowie.

A przecież przyjazd ich nie dał spokojnie spać paniom naszym na długo przed tem. Zapowiedziały wyraźnie, że choćby im przyszło zedrzeć się do ostatniej sukienki, a z bielizną czekać póki się takowa w nowomodną *gipiurę* nierozleci, to jednego strzępa nie kupią w tutejszych sklepach. Skądże taka zawziętość?

Posłuchajcie.

Było to niepowiem gdzie i niepowiem kiedy, dość że przed samym jarmarkiem. W kółku pewnym siedziały same damy i rozmawiały ze sobą po francuzku bardzo żywo.

A zkądżeś przyszedł to tego? — zapyta mnie czytelnik, nie sądząc abym był kobietą.

Rzeczywiście nie jestem kobietą, ale mam niektóre ich przymioty i wady. O pierwszych przez skromność zamilczę, do drugich zaś policzę ciekawość, którą z obowiązku kronikarza w wysokim posiadać muszę stopniu. Drzwi były uchylone; siedziałem przy partyi. Rober się skończył, trzej moi partnerowie zajęci byli obrachunkiem a ja wstawszy zacząłem się przechadzać po pokoju, bo nie cierpię rachować się, i temu głównie przypisuję, żem się zawsze w życiu niedorachował. Otóż mijając drzwi na pół uchylone słyszę z salonu dochodzące mię wyrazy:

Maurice ... Saxe ...

Oho! pomyślałem sobie, coś te panie spór historyczny wiedzą. Rozmowa bowiem szła dość żarliwie, ale mi się tylko nazwisko tego wojownika o uszy obilo. Wcisnąłem się więc do pokoju środkowego i takam podsłuchiwał rozmowę.

Pierwszy głos. Ale kiedy ja przysiądzbym gotowa że nie przyjedzie.

Drugi głos. Wszelako ja utrzymuję że przyjedzie.

Trzeci głos. Czy pani masz prywatne wiadomości? Ja, bo posyłam codzień rano i po południu do hotelu drezdeńskiego. Zrana mi mówią że przyjedzie, po południu że nie. Ostatni barometr stoi na *nie*.

Czwarty głos. Prawda, prawda. Zamówił mieszkanie a potem odwołał, potem znów zamówił, a potem znów odwołał....

Piąty głos. Ach! jaka ja niespokojna!

Pierwszy głos. A więc odwołał, w końcu odwołał. Stanęło na mojem że odwołał. O, wiem ja dobrze co mówię.

Drugi głos. Chociaż odwołał, ale ja temu nie wierzę.

Trzeci głos. A to przedziwnie!

Czwarty głos. Telegrafowałam do niego.

Piąty głos. Ach pani! tyle poświęcenia!

Chwila milczenia. Powszechnie oczekiwanie.

Zdawało mi się w mojem ukryciu, że na tych czterech twarzach musiał się malować znak zapytania w całej swojej skulonej ciekawości, połączony z podziwem ale i powątpiewaniem. W głosie który tak stanowczo wyrzekł: „telegrafowałam do niego“ nie było ani uniesienia, ani chęci sprawienia efektu lub okazania tryumfu ale taka powaga spokojna, taka pewność siebie, iż uczulem w tej chwili, że głosowi temu uwierzyłbym choćby najskrytszą opowiadał plotkę.

— Tak moje panie — mówił dalej głos piąty. — Telegrafowałam do niego. Dowiodłam mężowi że taniej wypadnie sprowadzić go do Krakowa niż do niego pojechać, a byłabym pojechała, bo w tutejszych sklepach niepodobna co kupować. Zważcie sobie moje panie co mię spotkało niedawno w kościele. Siadam w ławce obok jakiejś jejmości, pociagam suknię, a moja sąsiadka pyta mię, czego ją szarpie. Spoglądam, aż tu ja trzymam w ręku nie moją suknię, lecz mojej sąsiadki. Spozstrzegłam wtedy dopiero, że słowo w słowo taka sama suknia.

— Któż to był ta pani? czy jaka znajoma osoba?

— Żeby to jeszcze! byłybyśmy uśmieły się z mojego roztargnienia *nb.* po kościele, ale to jakaś rzemieślniczka, a co najwięcej kupecowa. To mię tak oburzyło, że m się zaraz przesiadła do innej ławki i postanowiłam nie

nie kupować u tutejszych, gdzie mię codziennie taki sam przypadek spotkać może.

— A z suknią co się stało?

— Pewnie mię nie posądzicie, abym w nię chodzić jeszcze miała.

— Już to panna służąca najlępiej pewnie na tem skorzystała.

— O wcale nie. Przekonałam się że nie dziewczyny w służbie nie psuje jak suknia z pani, trzewik z pani, rękawiczka z pani. Sprzedalam suknię faktorce.

— A ona obnosi ją po mieście i opowiada każdemu od kogo ma.

W tej chwili usłyszałem jak partnerowie moi ruszyli od stolika, wyszedłem więc naprzeciw nim.

— Patrzcie go — rzekł jeden z nich — przegrał i czmychnął do salonu. Pewnie opowiadałaś damom żeś w karty nieszczęśliwy, żeby się domyśliły iż szczęśliwy jesteś w miłości. Koncept to już przestarzały i dziś zupełnie fałszywy. Zgraj się do grosza, a potem próbuj czy się konkury udadzą. O czemże tam była rozmowa z paniami?

— Hm! o wojnie trzydziestoletniej podobno — odrzekłem nieśmiało — właśnie że nie byłem w salonie, dopiero się zabierałem..... słyszałem tylko że panie mówiły o Maurycym de Saxe, potem o telegrafach i strojach.....

— *A propos* telegrafów, czy wiecie moi panowie, że musiałem mojej żonie zapisywać telegrafem od Moritza Sachsa z Wrocławia jakieś tam materye i koronki. Co to za wyborny wynalazek ten telegraf!

Teraz dopiero zrozumiałem podsłuchaną rozmowę w salonie. Aha! Maurice de Saxe — Moritz Sachs!.... no proszę, jak to ja się przesłyszałem.

Nazajutrz złapała mię jedna z tych pań, właśnie kiedy na rogu ulicy czytał olbrzymi afisz zaczynający się od słów: „Trzeba widzieć aby wierzyć!“ Musiałem ję torować drogę pośród tłumu ciekawych, który się rzucił oglądać co mu pierwszy dzień jarmarku przyniósł. Zmęczony i znudzony, żeby wreszcie zasmakować w jarmarku, kupiłem pod wieżą ratuszową piernik. *L'appetit vient en mangeant* pomyślałem sobie, nie biorąc wszakże przysłowia tego tak literalnie — i kupiłem parę świecidełek z „prawdziwie“ naśladowanego złota, na które

gdy dziś patrzę, przypomina mi się napis na afiszu jarmarcznym, ale na wspak: „trzeba wierzyć aby widzieć.“

I tak skończył się jarmark. Przeminał jak tyle innych wielkich wydarzeń, o tyle od nich szczęśliwszy, że znalazł we mnie swojego historyografa, a w Anczycu swojego dramaturga. Krotoczwila jego „Jarmark w Krakowie“ pożegnało nas grono aktorów polskich puszcza-
jąc się na wędrowkę jarmarczną po świecie. Oby i w obczyźnie znaleźli na towar swój odbył!

Głucha cisza obsiadła napowrót mury Krakowa; prze-
rywa ją tylko wieczorny śpiew pobożnych przed cudo-
wnym obrazem Matki Boskiej na zewnętrznej ścianie
kościół Maryackiego. Miesiąc maj wyłącznie też czci
Jég poświęcony. Nigdzie go nie obchodzą zapewne z ta-
ką jak w Krakowie pobożnością. Oba kościoły maryackie
w rynku i na Piasku pełne na wieczorném nabożeństwie
majowém osób wszelkiego stanu, płci i wieku, a wymo-
wa kaznodziejska garnie ku sobie chętnych słuchaczy.

Nie tu miejsce do poważnego i wytrawnego jég oce-
nienia; ilekroć wszakże zdarzy mi się słyszeć kazanie,
czuję, że bogactwo wysłowienia, rozległa wiedza i ozdo-
by krasomowcze nie wynagradzają mi jeszcze téj ję-
drności języka, téj mocy wyrażen i tego porywającego
zapału, jakie cechowały u nas mistrzów słowa bożego
dwa wieki temu z okładem. Wprawdzie siła tych ka-
znodziei nie z nich samych jedynie płynęła, ale była
jakby zespoleniem ich dzielności z dzielnością słuchaczy.
Nie tylko bowiem uczucia mowcy przelewają się w słu-
chacza, lecz i duch słuchacza podnosi mowę. Dziś
wielu idzie na kazanie ulubionego kaznodziei z tém uczu-
ciem, z jakimby chodziło na prelekcyę professora wy-
mowy, i nie wiele brakuje, aby mu nie przykłaśnięto,
ile razy piękny zwrot słowny, potoczysty i okragły okres,
szczęśliwe wyrażenie usposobi przychylnie audytorium
złożone po większej części z czułych pań i wykształconej
młodzieży. To téż wpływ tego co otacza, wpływ ludzi
i stosunków działa przeważnie na zdolnego nawet ka-
znodzieję, a choć go w sługę ich nie zamieni, to mu
przecież zakresła pewne koło po za które przejść mu
nie wolno. Jeśli prawdą jest co powiedział Goethe, że
najlepsza poezya jest okolicznościowa, to wyrazi te tém
więcej jeszcze dadzą się zastosować do wymowy, a na-

wet do wymowy kościelnej. Najlepsze też kazania bywają z okoliczności, a takowych następują obficie i życie publiczne i życie prywatne.

W roku bieżącym skupiło się w maju tyle świąt, że gdyby pogoda służyła, byłoby mnóstwo sposobności i wolnego czasu do wiosennych wycieczek. Ale rzadko u nas spotkać kogo na przechadźce po za obrębem plantacyj. Inne miasta mniej nawet ludne mają swoje zamiejskie niedzielne ustronia, które lubo przestają być ustroniami napelniwszy się ludem miejskim, wszelako pozwalają większej swobody niż konwencyonalna przechadzka w około miasta, przeznaczona jakoby więcej na pokaz niż dla ruchu. Ociężałość ta fizyczna jaką się tutejsi mieszkańcy przed innemi odznaczają, wpływa nader szkodliwie na stan zdrowia i umysłu, mianowicie u kobiet, i to w klasie czysto mieszczańskiej, gdzie kobiety są prawdziwemi *glebae adscriptae* w tym wieku usamowolnienia i podróży koleją żelazną. *Shocking* angielskie przesadziło w Krakowie ojczyste swoje gniazdo. Chodzi ono w sukience wydmuchanej której przysiąść nie wolno, w ciasnym trzewiczku, wysnurowane że się ani zgiać nie mogą, z parasolką chroniącą nie od słońca lecz od oczu, z ustami na których nigdy wesół śmiech młodości nie powstał, a takie *shocking* czyżby mogło biegać po błoniach, albo się przedzierać przez gałęzie bielańskiego lasu lub czepiać po skałach Panieńskich, których nazwa nie ztąd pochodzi, że to miejsce rozrywki dla pańien, lecz że zachowały jeszcze całą swoją dziewiczość, pomimo że o pół godziny drogi od Krakowa leżą.

Prędzej to jeszcze spacerowym pociągiem pojechałoby się do Krzeszowic, gdyby spacerowe pociągi chodziły. W Krzeszowicach to jak na plantacyach w Krakowie. Czasem się wprawdzie jaki śmiałek zapuści na Czernę, rzadko się to jednak zdarzy, i dla tego też na Czerny wędrownik nie zastanie nic prócz tej studni w skale, z której dla ćwiczenia się w gimnastyce sam sobie wody naciągnąć może. Tego lata wszakże i pociągi spacerowe nie chodzą, przynajmniej do końca maja jeszcze się nie ruszyły. Czyżby czekano z niemi na decyzję, komu się dostanie kolej galicyjska?

Pytanie to trzymało mieszkańców naszego miasta przez

cały ten miesiąc na „co słychać?” Gdnieć się ruszył, o niczem tylko o kolei mowa. Nieznający miejscowych stosunków mógłby z tego wnosić, że Kraków cały jest jedną wielką giełdą, a każdy z jego mieszkańców bankierem! Każdy chciałby się zapisywać na akcye, główna tylko rzecz o kaucyę. Gdyby słowo i goły podpis obstały za kaucyę, cały kapitał zebrano by w Krakowie. Są wprawdzie i malkontenci, a należą oni szczególnie do liczby tych, którzy dla tego nie wróżą temu przedsięwzięciu powodzenia, że nie ich zawezwano do zasiadania w Komitecie który w Wiedniu traktuje w imieniu obywateli galicyjskich. Mogłbym i ja liczbę ich powiększyć, lecz wolę podzielać trudy i owoce pracy późniejszej dyrekcyi, a wtedy zaprowadzę spacerowe pociągi na całej linii od Oświęcima do Czerniowiec; może pośród tego gwaru rozruszanych mieszczan schwycę choć jedno słówko dowcipne do Kroniki krakowskiej, może w tym steku różnorysowych twarzy znajdę choć jedną odmienną od tych, jakie tu oglądam codziennie. Jednostajność mię zabija, ani jednego nawet skandalu. Przyzwyczajenie aż do znudzenia — każdy się boi być *shocking*.

Lwów w maju.

Spisując dla was kronikę miejscową patrzę w mój kalejdoskop po jednomiesięcznym obrocie tegoż, i widzę w nim mało różniące się wzorce od dawniejszych. Obok owych wielostronnych zmian i tak rozmaitych barw życia, które przedstawiają skąd inąd nadesłane wam obrazy, mój jest szkicem ubogim; odmienny tylko w głównych rysach całości, w pojedynczych scenach zawsze zachowujący jakby stereotypową przyrodę. Przypomina mi to ów zarzut robiony nieraz literaturze naszej, dla czego obok świetności w innych rodzajach poezyi, dzieł jej dramatyczny zawsze jeszcze w znacznej części odległym leży. Zdaje mi się, że ta okoliczność ściśle wiąże się z patryarchalnym życiem, jakie przedstawiają dawne nasze dzieje. Jednostajność i naturalny bieg stosunków w każdej niemal warstwie społeczeństwa, życie ziemiańskie, tętnące bardziej błogim pokojem, niżeli napiętą

grą woli indywidualnej, występującej do zapasów z ustawami świata i społeczności, nakoniec pewna odrębność warstw społecznych i równoległość interesów każdej, bez krzyżowania się i ścierania z sobą, w celach i dążeniach — te i tym podobne stosunki dziejowe nie wiele nastroczają treści dla poety dramatycznego. Co na polu dramatycznej literatury obcej, ze względu na ową wielostronną grę życia zdaje się prawdopodobnym, u nas, w dramacie swojskim, uderzałoby może niepodobieństwem.

Dziś nawet rzekłbyś, że u nas raczej czas lub zdarzenia pozaspołeczne, albo też losy nasze wnoszą nowość w bieg potoczny rzeczy niżeli woła indywidualna i własna wrodzona do zmian poehopność. Jesteśmy społecznością ściśle zachowawczą przyrody; kto nas z tej strony nie poznaje, nie badał nigdy na dobre dziejów naszych.

Tocż i dzisiaj snujemy wątek życia po staremu, nowością jest dla nas to co obchodzi lub społeczeństwo w ogóle, lub potrzeby miejscowe. I tak np. zajmuje nas towarzystwo S. Wincentego à Paulo, związane w celu niesienia duchowej i fizycznej pomocy chorym. Pierwszy w niem udział mają damy. Witamy serdecznie to towarzystwo, jak każdy szlachetny popęd serca a oraz jako objaw wzmagającego się w czyn coraz bardziej ducha pobożności prawdziwej, który dzięki staraniom duchowieństwa naszego, krzewi się i obfity plon obcuje. Zajmuje nas także nadzieja, że Galicya otrzyma pozwolenie na budowę dalszą kolei żelaznej. Jest to dla nas nowość, mająca prócz spodziewanych korzyści dla kraju, osobny jeszcze urok — urok przejścia częściowego z czysto-ziemiańskich zatrudnień w zakres przedsiębiorstw przemysłowych, co dla prowincyi naszej nie-malym byłoby krokiem naprzód. Zabawną jest rzecz, jak akcyonaryusze kolei północnej zbierają skwapliwie nasze nawykiłości pewne, aby opinię publiczną na korzyść swojej kieszce obrócić:

— A cóż, będziemy budować kolej żelazną, my Galicyanie?

— Ny, na eo się to przyda, chyba ziemiaki wozic za granicę, aby nie pogniły w domu, albo obornik, tam gdzie go nie mają.

— A zboże, produkta surowe, woły, nierogacizna, przedziwo, len, konopie, skóry?

— A na co nam tego? Alboż to kupiec lub jego faktor nie przyjdzie do domu, nie zakupi co Pan Bóg dał? Alboż to nie wygodniej sprzedać kiedy się chce, kiedy potrzeba pieniędzy, choćby jeszcze rośło lub się tuczyło, albo dopiero w gorzelnii wyrabiać się miało?

— Ależ tak wiecznie nie może być; handel i gospodarstwo nie na tém stoi, aby miało wiecznych pośredników i wiecznie obie ręce w jednej kieszeni. Niech tylko kolej wybudujemy.....

— Ny, to nie pańska rzecz budować drogi.

I dodając z pewnym wyrazem znaczącym:

— Pańska rzecz pojechać na wojaz, na kontrakty, na karnawał, polować, bawić się — — drogi budować, to dla spekulantów, to nie dla panów.

— A pan Rotszyld nie jest panem?

Zaprzeczenie było widocznie niemiłe i nie na rękę; więc na *argumentum ad hominem* inne pytanie:

— A gdzie my mamy tyle pieniędzy co Rotszyld? U nas kraj biedny, robotnika mało i niezdatny; my — ot nie byliśmy nigdzie w takich spekulacjach — inna rzecz rządzić wsią i dziesięcioma, a inna —

— A żeglugę na Wiśle i jej administracyę czy także stworzył pan Rotszyld? A na Węgrzech, czy także pan Rotszyld budować będzie?

Ta i dalsza osnowa rzeczy mego przeciwnika, lubo jak widzieć okrywa się płaszczem dziurawym i dawno z mody wyszłym, lubo przegląda przezeń całą nagość interesu, przecież ma swoje tu i owdzie powodzenie. Są ludzie co słuchają i odchodzą z półwiarą w to co słyszeli, aby w ciemnych zakątkach swoich, znowu być echem powtarzającem to, co im włożono w ucho. Rzymianom zarzucał niegdyś rzymianin dwie wady wręcz przeciwne sobie: skąpstwo i rozrzutność, (*avaritia et luxuria*) nam możnaby także zarzucić dwie ostateczności: zbyt wielkie zaufanie w sobie i zbyt wielką w sobie nieufność. Zdaje mi się, że niejednen z nas napisałby spore komentarze do tego zdania.

Nasze zabawy wiosenne bardzo szczupłą miarą odmierzone. Jednych owionął jakiś duch sielankowy i już na wieś jechać i uprawiać *paterna rura bobus suis*, a ra-

częj obliczyć się z zimowemi wydatkami w stolicy i pościagać siły na przyszłą z nimi kampanię; drudzy zaledwie uprzątnęli się z zatrudnieniem codziennem, spiesząc odetchnąć na plantacjach i przechadzkach „świeżem“ jak mówią „powietrzem“. Raz tylko w naszej wiosnie przeniewierzyliśmy się w wielkiej liczbie i odwiedziliśmy teatr.

Było to przedstawienie na korzyść szpitalu dzieci, zarządzane staraniem księżny Jadwigi Sapieżyny, niewyczerpanej w sposobach wspierania zakładów dobroczynnych, pod jej opieką zostających. Widzieliśmy więc znowu naszych dawnych artystów p. Aszpergerowę, pp. Nowakowskiego i Starzewskiego. „*Niebezpieczna Ciotunia*“, „*Projekta przedślubne*“ i małe sceniczne przedstawienie „*Pójdź tu*“ odświeżyły we wdzięcznej pamięci, którą dla naszych dawnych artystów chowamy, cały urok dawniejszej sceny lwowskiej, całą rokosz jaką sztuka na wysokim stopniu zachwycić zdoła. Dla spragnionych i stęsknionych za grą w wyższem pojmowaniu sztuki, wiecзор ten był zaprawdę błogiem zjawiskiem. Przyczyniły się także do urozmaicenia go muzykalny udział miłośników i artystów z opery i orkiestry tutejszej, a między pierwszemi śpiew panny Bogdanowicz, nadzwyczaj miły i dochodzący niepospolitej biegłości, był powitany oklaskami rżęsistemi, gdzie oprócz podziękowania za udział w koncercie na ubogich, oddawano także sprawiedliwość talentowi. Był też tego wieczora odegrany przez p. Jerzyczkę utwór muzykalny na oboju. Należy oddać wszelką słuszną artyście, który niepospolite pokonywał trudności, ale nie mogą zataić, że oboj nie jest instrumentem do koncertowego *solo*. Jest to jakby głos Satyra pośród śpiewających nimf i przypomina niby gęsią krztań, niby pewną nosową wadę — słowem muzyka dźwięczna, ale niewdzięczna w obu znaczeniach. Zresztą — *chacun à son goût*, i dlatego też w sztuce tak nieznoszającej ścisłych określeń jak muzyka, zdarza się, że wybór koncertowych instrumentów i skład orkiestry często podlega osobistemu smakowi. Przypomina mi to owego majora rosyjskiego na Kaukazie, który na uroczystość imienin córki kazał zawołać muzykę batalionu, składającą się z dwóch klarynetów, trąbki i jednych skrzypców. Aby podnieść znaczenie tej szczu-

plój orkiestry kazał dodać sześć bębnow. I podobalo się na Kaukazie.

Z przelotnych meteorów artystycznych zjawila się ta Miss Lydia Thompson, o której *quot capta tot sensus* w publiczności krąży. W ogólności nie wiele wrażenia artystycznego zostawia. Więcej pochwał i oklasków, nawet u znawców, zjednały sobie dwie panny Dalken, z których jedna odznacza się nadzwyczaj gładką i miłą grą na fortepianie, wstępującą na szczybel wyższy w dziedzinie sztuki; druga na instrumencie *Concertina* czyli *Melofon* zwanym w swój sposób zająć umieć.

Więcie już że „Dziennik literacki“ zaczął na nowo wychodzić. Doznał w początku trudności. Jedną tylko przyczynę skoliczność tyczącą się pism czasowych, sprawującą po wielkiej części że się często pojawiają a krótko trwają. Jest nią, jak nam się zdaje, niedokładne zbadanie potrzeb społeczeństwa i czasu. Jakiegokolwiek pole dla pracy literackiej otwiera czas i oświata społeczna należycie pojęta, zadaniem jest pisma czasowego uprawiać je; a praca treściwa i zastosowana do potrzeb dobrze zrozumianych społeczeństwa i czasu, nadewszystko zaś budująca, nie rozprzegająca lub waśniąca, znajdzie zawsze i wszędzie uznanie. W tém jest według nas takt redaktorski jedyny, trafny, patrzeć na cały skład społeczny i jego potrzeby, lecz patrzeć nie ze stanowiska, choćby tylko pozornie koteryjnego. Są czasy, kiedy roztropność pisarza większe jedna sobie zasługi, niżeli dowcip i usiłowanie zająć publiczność nowością. Są rzeczy, o których czasem lepiej nie mówić, niżeli mówić choćby najogólniej, a wyzywać mimowolnie odgłosy dwuznaczne, z których każde ucho to chwytą, co mu do smaku przypada lub do czego nastrojone. Tego rodzaju ogólności budującej społeczeństwo, nie zaś waśniącej, życzylibyśmy wszystkim na przyszłość pismom czasowym, jeżeli chcą uniknąć zarzutu jakowejś wyłączości, niepojmowania składu społecznego i wymagań czasowych. Wymagania te łatwo zawsze odgadnąć ów instynkt zachowawczy, którego nie wolno nieśłuchać ani społeczeństwu, ani pisarzowi, i sam nawet rzut oka w około siebie. Goethe powiedział: aby pojąć, że niebo wszędzie niebieskie, nie trzeba odbywać podróży naokoło ziemi. —

Wiedeń w maju.

Leniwy z natury a z musu jednak w ciągłym ruchu, kurjer wasz, zapomniał odwiedzić was w przeszłym miesiącu. Wprawdzie nie wieleście na tem stracili, gdyż wyjąwszy dwóch traktatów i kilku politycznych mniej ważnych wypadków, o których inną drogą stosownie wiadomościom zostaliście, nie bym wam ciekawego nie mógł donieść z tutejszego towarzyskiego życia. Dziś kiedy powabna choć dotąd bardzo kapryśna wiosna, wprowadza na wieś politykę, dyplomacyę i powoli tak zwany cały świat wyższy, pośpieszam zapowiadając wam na przyszłość nie jedną o okolicach Wiednia sielankę, przesłać pośrodkiem zdanie sprawy z tego, czem w tych ostatnich tygodniach najwięcej się zajmowała stolica.

Przejsie od zimy do wiosny jest tu tak w atmosferze, jak w zwyczajach i powierzchownych stosunkach ludności, niezmiernie trudne do określenia. W kwietniu mieliśmy ciepło duszące i na przechadzkach ubiory letnie; a od początku maja aż do dziś dnia mamy na przemian zimno i gorąco i przypatrujemy się dziwnej mieszaninie kolorów i wyrobów w strojach, mianowicie dam. Prater dokąd się z nałogu i z mody cały elegancki świat ciśnie, przedstawia najdziwniejsze pod tym względem panorama. O godzinie 12tej widzę toczące się przed oknami memi wzdłuż wspaniałej ulicy *Jägerzeile*, karety i zamknięte koczki z dziećmi w płaszczykach zimowych. O 3ciej z południa te same powozy już otwarte, odświeżone z liberyą nową, pełne dam z przyborem w stroju, na każdy nieprzewidziany kaprys powietrza, odpowiednim. Wieczorem o 6tej ta sama procesya ma widok jeszcze więcej różnobarwny i jeszcze staranniej na obliczeniach meteorologicznych oparty. Lecz najczęściej próżność lub chęć oszczędzenia przezroczytych muslinów i lekkich koronek, przemagając nad zdrową radą, rozumu lub lekarza, zostawiają spokojnego choć troskliwego o zdrowie i życie kobiet tutejszych widza, w smutnej niepewności czy każda z nich jeszcze dnia następnego, w tym samym powozie, i z tą samą świeżością i wesołością na twarzy zobaczy. „Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.“ Tak zdają się myśleć tutejsze kobiety aż do lat przy-

najmniej sześciudziesiąt! Że się mylą, dowodów niestety niebraknie. Katary, gorączki i choroby piersiowe są w Wiedniu tak częste i tak uporczywe jak nigdzie. Walka z wiatrem nieustannym i pyłem, który nieraz na ulicach przypomina pustynię Sahary, jest nie do wytrzymania. Najszkodliwiej czuć się ona daje przy wyjściu z teatrów, których szczupłość i zła budowa, już niejednemu przedwczesnej śmierci stała się powodem. Lekarze utrzymują, że hr. Zamojski umarł z przeziębienia po przedstawieniu Levassora w Karl-theater, gdzie go istotnie na kilka dni przedtem tak czerstwym i wesołym, jak był ciągle, widziałem.

W przeszłym tygodniu mieliśmy wyścigi konne. Pod tym, jak pod wielu innemi względami, Austria nie może jeszcze iść w porównanie ani z Anglią, ani nawet z Francją. W Anglii chodowanie koni jest nie tylko ulubionem zatrudnieniem, ale rozległą wielką gałęzią przemysłu narodowego. Rasa koni przeznaczonych na wyścigi w tym kraju, należy do najslawniejszych w Europie. Same wyścigi stanowią pewien rodzaj gry, korzystnej pod względem pieniężnym i pełnej życia pod względem moralnym. Oprócz sum ogromnych, które wchodzią w zakłady, idzie w tej grze tak zainteresowanym osobom, jak całej publiczności, o honor osobisty i prawie narodowy. Liczne towarzystwa złożone z najbogatszych ludzi w kraju, poświęcają tej spekulacyi i zabawie znaczne zakłady. Konie przeznaczone na wyścigi sprzedają się po kilka i kilkanaście tysięcy złotych reńskich. Uwieńczone nagrodą, przechodzą do historii wyścigów w opisach z portretami i z genealogicznym wywodem ich pochodzenia. Znam w Wiedniu jednego z dyplomatów, który całe swe życie prawie przepędził w Anglii, biorąc w tych rozprawach czynny udział, a który patrząc na ryciny dzielnych koni, zdobiących ściany swego polityce teraz poświęconego gabinetu, opowiadał mi nieraz z największym zapalem nadzwyczajne czyny każdego z tych czworonogich bohaterów. Każdy ma swoje nazwisko; każdy prowadzi z sobą do potomności nie tylko swych rodziców, ale swego szczęśliwego właściciela. Widziałem na niektórych z tych rycin, razem portret całej tak ciekawej grupy; wyznaję, że w niej lord właściciel nie pierwsze zajmuje

miejsce. Francuzi powiadają że język angielski jest wyborny do gadania z końmi. Jabym dodał, że tylko z końmi angielskimi, gdyż istotnie cała edukacya tych zwierząt odbywa się tam, w dobrych naturalnie domach, za pomocą wyłącznie mowy. Dyplomata o którym wspomniałem, zamiast rozprawiania ze swemi pegazami w języku włoskim, francuzkim lub niemieckim, mówi do nich ciągle po angielsku, i byłem sam świadkiem że go wybornie rozumieją. Sprowadził teraz cztery nowe, młode, prześliczne i przepędza z nimi po parę godzin na dzień na gawędzie o Anglii i o wspólnych znajomościach i przyjaźniach. Właściciel który te konie wychodował, ma przeszło lat 80 i nie podróżuje nigdy inaczej jak konno. Przedał on niedawno Cesarzowi Napoleonowi konia za 10,000 franków, który przeznaczonym już był do jednej z stajen tutejszych. We Francyi chodowla koni dawniej zaniedbana, zrobiła już pod rządem Ludwika Filipa znaczne postępy. Cesarz Napoleon znawca i miłośnik pięknych koni poświęca polepszeniu rass znaczne summy, jak powiadają, ze swęj prywatnej szkatuły. Widziałem dawniej dzielne konie do jazdy i do wyścigów u hr. de Morny, u ks. de Montebello i u p. de Vitry. Izby wotowały co rok znaczne pieniądze na nagrody. Wyścigi w Paryżu i w Chantilly uchodziły za dobre. Lecz w porównanie z angielskimi iść nie mogły, ani pod względem koni, ani pod względem zapachu z jakim publiczność angielska spieszy na te widowiska. Widzę często u wspomnianego powyżej dyplomaty dwa wielkie obrazy przedstawiające wyścigi w Epson, słyszę co mi o nich opowiada i pojmuję że kilkuset jeźdźców rzuconych w zawód i krocie widzów zebranych na to widowisko, są przez kilka godzin jedną prawie duszą jeźli nie jednym ciałem. Mówiliśmy właśnie z nim o tych wyścigach na godzinę przed udaniem się na tutejsze, i przyznam się, że przybyłem z nim na pole, położone jak wiadomo za Praterem przy Dunaju, z pewnym rodzajem uprzedzenia przeciwko temu com miał widzieć. Znalazłem że miał słusność mój doświadczony angłoman, nazywając z góry wyścigi tutejsze *biedną karykaturą*. Było właściwie pięć koni przeznaczonych do biegu. Właściciele oficerowie i cywilni, chcieli sami waleczyć o palmę pierwszeństwa. Przy pierwszej baryerze dwóch z nich

książę L... i baron von B... sekretarz pewnego poselstwa, tak się starli ze sobą, że jeźdźcy i konie padli razem na stronę, szczęściem bez szwanku. Z pozostałych trzech ks. Turn i Taxis półkownik, dotarł sam jeden do mety i otrzymał przeznaczoną nagrodę. Drugi po za nim o kilkadziesiąt kroków dający jeździec wzbudził litość dla konia, którego nieszczęściwie okładał kijem i prał ostrogami. Cała scena trwała pół godziny. Nie słyszałem ani krzyków, ani oklasków, ani najmniejszej oznaki zadowolenia lub nieukontentowania. Publiczność składała się wyłącznie z dam w powozach otwartych i z jeźdźców, których co dzień widzieć można na tych samych koniach w Praterze. Po wyścigach trzeba było przebrnąć wśród pyłu prawdziwą stepową przestrzeń aż do wielkiej drogi na Praterze, która jedna dotąd ma przywilej być skrapianą i czyszczoną, żeby się dostać szczęśliwie do domu. „*Eh bien!* nie miałem ja dobrego przeczucia? — rzekł mi mój dyplomata, przerywając rozmowę, którą naprzód odbył po angielsku ze czterema swemi, któremi sam kierował końmi — co za karykatura! I to nazywają wyścigami.“ A że miał dnia tegoż właśnie, głównych jeźdźców z siebą na obiedzie, przyrzekał sobie dać im drugie widowisko, prowadząc ich przed te malowane wyścigi, o których nadmieniliśmy. Dowiedziałem się po obiedzie, że otrzymał więcej, gdyż zapewnił sobie i członkom towarzystwa wyścigów przyrzeczenie Ministra barona Bacha, który był tamte na obiedzie, że rząd z pewną sumą do urządzenia tych popisów na rok przyszły przystąpi. Tą razą nagrodą było 700 złr. złożonych przez towarzystwo. Przy baryerze zebrane damy a między innemi, hr. Clam-Gallas, księżna Obrenowiczowa, robiły między sobą małe zakłady.

Nim się świat modny wyniesie na wieś lub do wód, stara się korzystać jak może w stolicy z przyjemności wiejskich. Oprócz przechadzek na Praterze i po ogrodach prywatnych i publicznych, których Wiedeń ma znaczną liczbę, widzieć można co wieczór nie mało powozów na drodze do Schönbrun. Wycieczki do Laxenburgu gdzie bawią NN. Państwo, do Baden do Vöslau, do Brühl, są co dzień liczniejsze. Wiele bogatych rodzin ma przytem w okolicy tak nazwane wille, lubo są to po większej części stare rudery zamków lub proste

jakby w mieście budowane domy. W jednej z takich ustron mają się rozpocząć wkrótce tańczące śniadania pod sterem ks. de Win... i i hr. de Bat... Zaproszenia będą nieliczne, poufale, toalety wiejskie; wesołość zapewne wyjęta z pod kodeksu praw stykiety. Słowem, wszyscy mi mówią o tych balikach, każdy chciałby być wciągniętym na listę, każdy się zwija, kręci, gubi w grzecznościach dla dam trzymających klucze tej czarowanej lub czarować mającej *villagiatury*. Są to nowe i prawdziwe wyścigi, lecz pieszo, ale też za lepszą może nagrodę....

Wieczory, cały świat o którym tu mowa, przepędza w teatrze. Opera włoska jest tego roku zadawalniająca pod wielu względami, lecz niemożna szukać porównania z ową którą słyszeliśmy wszyscy przez lat kilkanaście w Paryżu i która zachwycała na przemian Londyn i Petersburg. Rubini, Tamburini, Grisi w kwiecie młodości, potem Mario, ciągle dzielny i czerstwy aż do tąd Lablache, i dźwięczna Persiani, i Albertazzi zgasa w poranku prawie życia! Był to skład rzadki, cudowny, trudny do powtórzenia! W operze tutejszej są jednak talenta, które już mają wielką i zasłużoną sławę, jak baryton Debassini, lub które jak pani Borghi-Mammo występują nagle i w zupełnem od razu świetle. Jest to jedna zdaniem tutejszych znawców z najlepszych spiewaczek wesołej zwłaszcza muzyki Rossiniego. W *Cenerentola*, w *Il Barbiero di Siviglia* jest wyborną. W *Don Giovanni*, roli Zerliny nie słyszałem od dawna oddaną lepiej. Pani Borghi-Mammo ma *mezzo-soprano* giętkie, wyrobione w doskonałej szkole, metaliczne i przyjemne. W koloryturze posiada zadziwiającą czystość i śmiałość tonów. Paryż umiał ją ocenić zamawiając na dwa następne lata. Tenor Bettini (starszy) ma głos przyjemny i dość silny, ale brakuje mu dostatecznej rozciągłości i dobrego niekiedy smaku. Śpiewa dobrze gdzie może, gdzie niemożna nagradza wysileniem, to jest krzykiem. W muzyce Verdego uchodzi to do pewnego stopnia. Lecz Rossini potrzebuje innych tłumaczy. I dla tego słaby w *Otello* p. Bettini, jest dość dobrym w *Il Bravo* Mercadantego, a jeszcze lepszym w *Ernani*. Bassista serio p. Angelini i Buffo p. Rossi są na swoim miejscu i odbierają zastawione okłaski. Balet tego roku jest tro-

chę zaniedbanym. Mielśmy dotychczas jeden tylko nowy, który się dosyć podobał, ale raczej wystawą niż tańcem.

W Burgu pani Bayer-Brück miała kilkanaście dni prawdziwego tryumfu. Szkoda że się starzeje. Jest to talent dramatyczny niepospolity.

W *Carl-theater* p. Treumann kopiuje jak może Le-vassora i ściąga licznych co wieczór widzów. W innych teatrach pustki.

Ogrody, szczególnie *Paradiesgarten* zaczynają się ożywiać. Skutek to wiosny i nałogu, gdyż muzyka którą tam słyszeć trzeba, jest nielitościwa i lody na pół nie-zmarzłe.

Berlin w maju.

Poczyna się tedy, za zgodą twoją szanowny Redaktorze, kronika moja towarzyskich stosunków Berlina—od ucha. Temu to cudownemu, a fizyologicznie najmniej jeszcze zbadanemu organowi słuchu zawdzięcza ludzkość większą część swojej cywilizacji, a wśród niej najidealniejszą ze wszystkich sztuk pięknych — muzykę, którą jako najwydatniejszą stronę towarzyskiego życia stolicy pruskiej, zgodnie z wskazanym w poprzednim liście planem, najprzód odszkiełować postanowiłem.

Cóżbyś powiedział mój Redaktorze, gdybym przystępując wprost do rzeczy, zaczął tak sobie aż od stworzenia świata? Wiész, że mam zamiar pisać gruntownie i systematycznie; wiész że dziś każda specjalna nauka, czy to z świata natury czy z świata ducha, jeżeli chce coś znaczyć, musi zstąpić do swych żywiołów, do pierwotnego swego źródła; wiész, że Kant chcąc poznać istotę wszechświata, badał wprzód istotę władzy, którą tamtę miał poznawać; wiész, że za tym przykładem każdy gruntowny pisarz w Niemczech tak głęboko śledzi prawdy, że częstokroć nie może się z nią wcale na wierzch wydobyć; wiész, że niektórzy i z naszych uczonych śledzili np. początków Słowian aż w Chinach, a pochodzenia rycerskiej kasty Lechów aż za Wezerą; wiész albo może i nie wiész, że pewien orientalista polski dowodzi, że Wedy pisane były nad Gopłem, po pol-

sku; wiesz, że pan Buchman na obradach w zaścianku Dobrzyńskich także od pierwotnych dziejów rodu ludzkiego rozpoczął rzecz swą o pojęciu władzy; wiesz nareszcie, że każda kronika poczyną się od stworzenia świata. Ponieważ przeciw tak oczywistym argumentom trudno ci będzie coś powiedzieć, musisz pozwolić, że i moja kronika, a w szczególności oddział pierwszy o muzykalności Berlina, tak samą się poczyną.

Lecz nie z samych tylko powierzchownych pobudek tak mi zacząć wypada. Mam i głębsze, istotne, z przedmiotu samego pochodzące. Pierwsza rzecz jest, wiedzieć, co jest muzyka? Uchowaj Boże, mój najmuzykalniejszy Redaktorze, żebym miał wątpić, że nie wiesz tego: znam przecież gruntowne muzykalne recenzje twoje w *Kronice Czasu*. Nie wątpię również ani chwili, żeby który z szanownych czytelników nie miał wiedzieć jak najdokładniej, co jest muzyka: zkadźeby było u nas tyle w niej upodobania, tyle o niej przy każdej sposobności stanowczego sądu? Jednakże wiedza a wiedza w jednym i tym samym przedmiocie, mianowicie zaś w przedmiotach sztuki, a w szczególności muzyki, bywa bardzo różna. Włoch, Francuz, Niemiec — trzy narody, które najwięcej muzykę wykształciły i najwięcej liczą kompozytorów i wirtuozów — mają o muzyce w ogóle, a w szczególności o charakterze i piękności pewnych jej rodzajów i gatunków, tak we względzie pojęcia jak we względzie formy, bardzo różne, częstokroć całkiem przeciwne wyobrażenia. Cóż mówić o Angliku — wielkim wśród Europy Mogole w sferze muzykalnej wiedzy? Cóż dopiero o Turku z janczarską swoją kapelą? Sądzę, że i u nas, których natura obdarzyła niepospolitym słuchem — świadkiem język, wydający prawie wszystkie możebne brzmienia mowy ludzkiej — nie jest we względzie wiedzy muzykalnej inaczej.

Rzecz to na pozór bardzo naturalna i prosta. Słuch, to dla każdego najwyższy sędzia w muzyce. Każdy powołuje się do niego jako do ostatniej instancyi. Słuch uważa się za zmysł, który się nigdy nie myli. Dźwięk brzmiący przyjemnie jest przyjemny, brzmiący nieprzyjemnie jest nieprzyjemny. To każdy czuje bezpośrednio. Brzmienie, dźwięk, głos, ton, są materiałem muzyki, przystępnym i zrozumiałym dla każdego. Ucho oddaje

go wiemie, tak jak go pochwyci. Kompozytor może łączyć, wiązać, podnosić, zniżać, wzmacniać, łagodzić, przyspieszać, zwalniać, przemieniać, kombinować w najrozmaitszy sposób tony, czy to przyrodzone, czy sztucznie wydobyte; natury ucha zmianie nie może. Słuchający może w każdym razie powiedzieć: to mi brźmi przyjemnie, to mi brźmi nieprzyjemnie, tak samo jak jedzący: to mi smakuje, to mi nie smakuje, nie pytając się wcale o sposoby, któremi kucharz potrawę przyprawił. Sąd gotów. *De gustibus non est disputandum*. A ponieważ nadto materiał muzyki nie jest ani widzialnym, ani tak dotykalnym, jak materiał innych sztuk: drzewo, kamień, kruszec, farba; ani wprost myśl pewną tak wyraźnie wydającym jak mowa głosowa lub pisanie, i tylko jeszcze, oprócz organu słuchu, może być przez ogólny zmysł czucia bliżej ujętym i pojętym; pręto sąd o muzyce zdaje się być zupełnie dowolnym, od śladnych prawideł estetycznych niezawisłym, bo wszystkim w ogóle i każdemu z osobna, którzy uszy mają, i nie są głusi, jakby z prawa natury przypadającym. Wyrok wydany przez uczucie odpycha wszelkie uwagi myśli. Muzyka jest sztuką wyrażającą za pomocą tonów najdelikatniejsze usposobienia serca i duszy, lecz z głową, z myślą, z refleksją, nie ma nic do czynienia. Rzecz skończona, wszelki spór ustaje.

Wszakże z tą, abym się tak wyraził, przyrodzoną o muzyce wiedzą, nie radziłbym nikomu pójść na wielką, jaką klasyczną operę lub koncert w Berlinie, i w przekonaniu o nieomyślności sądu swego, jawnie i głośno okazywać swoje zadowolenie lub niezadowolenie. Przyrodzony estetyk mógłby się nie spodziewanie ujrzeć strasznie skonfundowanym przeciwnym sądem publiczności; mógłby także przypadkiem być wzięty za najłosego klasacza lub gwizdacza, i z największą grzecznością być za drzwi wyprowadzonym. Przypadki podobne dość często się zdarzają. Lecz często także, gdy się opinie podziela, zdaje się, że jedna połowa publiczności chce drugą połowę za drzwi wyrzucić. Przytrafia się to najczęściej przy wykonywaniu nowych dzieł. Przeciwno dziełom zaś uznanym za klasyczne, i będącym raz na zawsze w poszanowaniu publiczności, chociażby i sądowi jej nie były przystępne, a więc dla prostego lubownika

muzyki nudne, niebezpieczna jest okazywać, nie mówię już jakiegokolwiek niezadowolenia, lecz najmniejszej nudy. Trzeba słuchać, podziwiać, mieć oklaski wspólnie z drugimi, albo zatkać sobie uszy, milczeć lub wyjść z sali.

Jednego razu poszedłem z dwiema rodaczkami przybyłymi świeżo z kraju, na przedstawienie klasycznej opery Glucka: „Ifigenia w Aulii.“ Na opery Glucka, mianowicie na rzeczona, na Alceste, Armidę, Ifigenię w Tauris, publiczność tutejsza chodzi jak na nabożeństwo. Rodaczki moje przyszły na teatr i na zabawę, lecz chciały także poznać, będąc bardzo muzykalne, charakter klasycznej muzyki niemieckiej. Nie znalazłszy czego szukały, zaczęły się nudzić, rozmawiać i uśmiechać do siebie. Siedząca obok Niemki, skandalizowane taką mniemaną profanacją najwznioślejszego według ich pojęcia arcydzieła sztuki, rzuciły raz po raz wzrokiem gniewu na barbarzyńskie cudzoziemki, których jednakże powierzchowność, toaleta, rozmowa francuska, jakiś wyraz godności i wyższości kazały przeciwieście liczyć je do wyższych sfer cywilizowanego towarzystwa. Nie zważały one wcale na to co się działo w sąsiedniej łóży, a kiedy, znajomy lepiej usposobienia publiczności muzykalnej, przestrzegł je o gotującej się burzy, bawily się więcej niecierpliwością sąsiadek niż teatrem, nie przestając raz po raz szeptać do siebie. Jedna z Niemek, niecierpliwiona do reszty, odezwała się: *Aber mein Gott, so seien Sie doch still, und stoeren uns nicht.* Najbliższa z rodaczek odpowiedziała jej na to podniesieniem głowy i wzrokiem, co to zamyka usta mówiącemu, chociaż tenże ma rację. Nie wytrzymały do końca przedstawienia, wyszły przed ostatnim aktem, pożegnawszy sąsiadki grzeczno-ironicznie: *Viel Vergnuegen, Alles wundervoll!*

Niemki zatruty miały cały wieczór, i niezawodnie całą noc nie spały. Tyle srebrników i fenigów z opłaconego biletu straconych było nadaremnie! Rodaczki zaś moje nie mogły się nadziwić teatralnemu nabożeństwu Niemców, z jakim słuchano opery, być może jak najklasycznej, ale dla ich muzykalnego słuchu niespospolicie nudnej. Powie kto, nie znaly się. Powtarzam, że obie dwie były gruntownie w muzyce ukształcone, jedna prawdziwa wirtuożka na fortepianie, druga w śpiewie; doda-

je, że gdy innego dnia poszły na „Normę,” nie posiadały się z rozkoszy, i byłyby, podobnie jak czcicielki Glucka, interpelowały w teatrze każdego, ktoby był śmiały okazać niezadowolenie jakie z arcydzieła Belliniego. Wreszcie, wiadomo obeznanemu z historią muzyki, że gdy Gluck z Ifigenią swoją wystąpił w 1774 r. w Paryżu, miał z niezmiernymi trudnościami do walczenia, nim dzieło swoje wprowadził na scenę. Utworzyły się dwa stronnictwa, włoskie i niemieckie, znane pod nazwiskiem Piccinistów (od Picciniego ówczesnego reprezentanta muzyki włoskiej w Paryżu) i Gluckistów, które o pojęciu, charakterze i powołaniu muzyki najzaciętszy spór z sobą wiodły, wciągając do niego lud i najwyższe koła towarzyskie stolicy, a nawet cały dwór i sam tron, gdy królowa Marya Antonina była za Gluckistami, król za Piccinistami. Królowa, niegdy uczennica Glucka w Wiedniu, przeważyla zwycięstwo na jego stronę, dając rozkaz do przedstawienia opery, którą w ciągu dwóch lat następnych 170 razy powtórzono. Chciałbym patrzeć na zadziwienie Francuzów, gdyby im dziś Ifigenią jedną i drugą, Alceste, Armidę, i im podobne inne opery, ochrzczone nazwą klasycznych, z kolei na scenę wprowadzano. W Berlinie samym, opery te bywają nader rzadko przedstawiane. Partytury ich wyciągają się z szaf tylko na pewne wielkie dworskie uroczystości, jak stare ubiory, które wyszły z mody, ale niezaprzeczoną powagę w sobie zachowały. Znawczy tylko, i którzy znawców udają, oraz ludzie z professyi, chodzą na takie opery. Teatrby zbankrutował, gdyby je często powtarzał. Wielka publiczność nudzi się na nich, bo ich nie rozumie, ani czuje wysławianych przez narodową krytykę piękności. To nie przeszkadza, aby była przed nimi czołem, jak przed najwytworniejszemi arcydziełami sztuki, i w nich tylko i w im podobnych uznawała najwyższe pojęcie i cel muzyki. Gluck hołdował spirytualnemu jej pojęciu, wydawał w tonach więcej myśli niż uczucia; charakter deklamacyjny cechuje większą część jego kompozycji. Charakter ten jest dotąd właściwym muzyce niemieckiej. Niemcowi nie dosyć na tém, że muzyka mile mu brzmi w uszach, że trafia mu do serca, że wyraża i obudza w nim te i owe uczucia. Jemu potrzeba myśleć, czy wyraża je dokładnie, prawdziwie, zupełnie,

i jakich sposobów, jakich tonów, jakich figur, jakich instrumentów do ich wyrażenia używa. A ponieważ nie-masz uczucia bez myślenia, przynajmniej dla filozofującego berlińczyka czucie takie nie ma żadnej wartości, przeto muzyka powinna posunąć się o jeden stopień wyżej, i jeżeli można, filozofią Hegla oddać mu w tonach, a w przydatku nawet odmalować i landszaft. Refleksya, jak w innych zajęciach i zabawach jest nieodstępną towarzyszką berlińczyka, tak i w używaniu muzyki jest naczelną, że nie powiem jedyną jego doradczynią i przewodniczką.

Przed dziesięciu laty była tu stała opera włoska, raz mierna, drugi raz bardzo dobra, jak to się prywatnym przedsiębiorstwom przytrafiać zwykło. Publiczność, która na nią najwięcej uczęszczała, i prawdę mówiąc, głównie utrzymywała, składała się z Włochów, Francuzów, Polaków, Rossyan, Mogolów-Anglików, Janczarów-Turków, Żydów, zgola z wszystkich innych narodowości, nieodłącznych od każdego wielkiego miasta, najmniej z miejscowej niemieckiej. Opera włoska obok narodowej niemieckiej razila niezmiernie uszy dumnego z muzykalności swęj miasta, obrażała próżność, że wszyscy cudzoziemcy wyłącznie prawie na nią uczęszczali. W włoskiej muzyce przemagała zawsze i przemaga dotąd pewna naturalność tak w motywach jak w formach, pewna przezroczystość i jasność w harmonii, nie wydobywanęj przesadzonemi sztucznemi środkami, przede wszystkim zaś ciągła, powabna, każdemu słuchowi łatwo udzielająca się, lecz dla tego często powierzchowna, a stąd łatwo pospoliciejąca melodyjność. Krytyka berlińska tak długo szydziła z zmysłowo-melodyjnego charakteru oper włoskich, dopóki towarzystwo utrzymujące się przez kilka lat względami samych prawie cudzoziemców nie rozwiązało się i nie pożegnało Berlina. Dziś najlepszemu towarzystwu śpiewaków włoskich niepodobnaby było długo się tu utrzymać, chociaż terazniejsza opera niemiecka bynajmniej ani nowemi dziełami ani śpiewakami publiczności nie imponuje. Cenniejsze dzieła opery włoskiej nie zeszły jednak ze sceny. Rossini, Donizetti, Bellini, nie mogli zniknąć z repertoaru, uznani i poważani przez cały świat muzyczny. Verdi dotąd na niemieckiej scenie nie znany. Taki jednak jest prąd opinii dzisiejszej

w północnych Niemczech, a zwłaszcza w Berlinie, w rzeczach muzyki, że tylko klasyczność, klasyczność w której przedewszystkiem żywioł harmonii góruje, u znawców i wykształcenijszej muzykalnej publiczności popłaca: reszta utworów muzycznych, jakiegokolwiek rodzaju, w których żywioł melodyi góruje, mało tutaj jest cenioma, i uważa się tylko za przedmiot chwilowej rozrywki. Nawet na Normę krytyka tutejsza patrzy z góry. Między operami jedyny Cyrulik sewilski zasłużył sobie u niej na wszelkie względy i poważanie.

Więcej niż włoska pobbazania znajduje muzyka francuska. Niemcy uważają ją w połowie za swoje dzieło, podobnie jak swoich mistrzów wpływowi przypisują głębokość starowłoskiej, mianowicie kościelnej muzyki z XVI wieku, z epoki Palestriny, ponieważ panującym żywiołem jej jest harmonia. Ta też muzyka włoska, i późniejsza francusko-włoska Cherubiniego i poczęści Spontiniego, przypisywana wpływowi Glucka, stoi u krytyków tutejszych w wielkiem poważaniu, i najcenniejsze tego rodzaju dzieła, nawet msze, przychodzą tu podczas pory zimowej do wykonania. Istnieją tu nawet towarzystwa muzykalne, które tylko tego rodzaju muzyką program stałych koncertów swych zapełniają. W operach francuskich znajdują Niemcy niezaprzeczony wpływ Glucka. Deklamacyjna ich forma, mocne cieniowanie ućuć, sytuacji i charakterów, to mają być cechy wpływu muzyki niemieckiej. Śpiewność i melodyjność mają być skutkiem wpływu włoskiego. Lekkość, wykwindność, efektywność, niekiedy dziwaczność w harmoniowaniu, mają być oryginalną własnością francuską. Niezawodnie opery francuskie dają Niemcom więcej do myślenia niż włoskie, i dlatego więcej im się podobają. Zaprzeczyć jednak niepodobna, że widać w nich daleko więcej wpływu włoskiego, niż niemieckiego. Boyeldieu, Halevy, Adam, Auber, znajomsi i ulubieńsi są na tutejszej scenie, niż wielu niemieckich kompozytorów. Niemcy i Meyerbeera liczą do kompozytorów szkoły francuskiej. Doświadczywszy on bezskutecznie sił swoich w charakterze muzyki włoskiej i niemieckiej, znalazł rzeczywiście odpowiadające sobie pole w duchu muzyki francuskiej. Niewiem, jak wysoko stawia Meyerbeera krytyka francuska, tutejsza stawia go w drugim rzędzie. W pier-

wszym stoją Mozart i Beethoven, obok nich Haydn. W trójej tej Niemcy widzą osiągnięty cel najwyższej doskonałości muzyki. Wyżej sięgnąć nie można. Beethoven jest najwyższym.

O pojęciu i charakterze słowiańskiej muzyki milczą dotąd dzieje, podobnie jak milczą o innych słowiańskich sztukach pięknych, z wyjątkiem poezyi, polskiej i rosyjskiej. Dziwna jednak, że cała Europa przywłaszczyła sobie, razem z tańcem, polski polonez, mazurek, krakowiak, czeską polkę. Brzmi zapewne coś takiego w tej drobnej muzyce, co przemawia do zmysłów, do serca, do duszy całego świata. Pierwszy Chopin wysnuł z niej większe utwory. Świat się zadumał, że może być w muzyce jeszcze coś nieznanego i odrębnego; pokochał przesłannika muzyki polskiej, znaną dotąd tylko z imion kilku znakomitszych kompozytorów i wirtuozów, ale nie z ducha. W Berlinie Chopina bardzo wysoko cenią. Hold, który mu oddają, jest jednak dotąd więcej prywatny i salonowy, niż publiczny. Niemcy nie dosyć się jeszcze w niego wgłębili, aby śmieli publicznie się z wykonaniem dzieł jego popisywać. Wgłębienie się to także właśnie dla Niemców, nie będzie bardzo łatwe. Pojmą myśli kompozycyi, ale nie zrozumieją uczucia; poznają harmonię, ale nie trafią w właściwy rytm jej, i nie póchwycą unoszącej się nad nią melodyi. Dosyć, że Chopin zyskał i tutaj powszechne uznanie, i powinien być uważany za pierwszego, który dla muzyki polskiej zdobył prawo obywatelstwa w historii, podobnie jak Mickiewicz zdobył je dla poezyi.

Z tego pobieżnego rozbioru ścierających się z sobą wyobrażeń o naturze, zadaniu i charakterze muzyki, racz się przekonać, szanowny Redaktorze, że nie na próżno rzuciłem na samym wstępie pytanie: co jest muzyka? Rozstrzygnij, proszę, jeżeliś łaskaw, dla czego Niemiec nudzi się słuchając jakiej muzyki włoskiej, w której większa część publiczności inonarodowej znajduje prawdziwe upodobanie, i przeciwnie? Przyznaj, że pytanie to nie jest wcale tak łatwe do rozstrzygnięcia, i żeby dokładnie na nie odpowiedzieć, trzeba, jak nadmienilem wyżej, zacząć koniecznie od najpierwszych żywiołów muzyki, czyli, co na jedno wypadnie, od stworzenia świata. Spodziewałeś się podobno, a może i cie-

szyleś, żem zapomniał o takowym początku. Mniemałeś, że to była tylko fantazyja moja, którą dalszy ciąg listu uczynił niepotrzebną. Przekonywaś się sam, że tak nie jest, i że kto zamierza głęboko w ziemi kopać, powinien szeroko zacząć, aby się sterczące ze wszystkich stron warstwy nad nim nie oberwały. Szeroko zacząłem, zobaczysz w następnym liście, jak się dalej do gruntu idę muzyki niemieckiej kopać będę.

Paryż w maju.

Najważniejszym wypadkiem literackim tego miesiąca jest pojawienie się dziesięciu tysięcy nowych wierszy Wiktora Hugo. Hufiec to nie lada! Skrzydlaty jak orłów stado — kolorowy jak obraz Rubensa — potężny jak geniusz — ognisty jak błyskawica, a jak piorun zapalny! Pojmujesz jakie musiał uczynić wrażenie wpadłszy niespodzianie pomiędzy znudzonych i drzemiących Paryżanów, których od czasów Hernaniego pod pozorem prostoty pasą samém tylko wodnistem mlekiem i wymiśloną słomą.

Ruch był powszechny. Rzesza co nie rozumem ale czuciem i przecuciem się rządzi, zgalwanizowana nazwiskiem z którym tyle gorących wiąże ją wspomnień, które stało się dla niej synonimem piękna, zapалу i podniosłości — hurmem obiegła księgarnie domagając się snopka przysłanego jej z wygnania przez ulubionego poetę. — Ci co myślą i rozumują, kupowali niemniej skwapliwie, bo każdy miał swój powód. — Stronnik przeciwnego obozu ujrzawszy za szybą sklepu nienawistne imię co jak *mane tekel fares* zaświeciło mu w oczach, wsuwał się za drugimi i wyciągał rękę po książkę, pragnąc się dowiedzieć co rychlej, jakie tam znów myśli sprośne lub czarne spiski na porządek społeczny podszeptuje Francuzom ów bannita, ów niepoprawny gorszyiciel niewiniątek. — Malarz, obcy zazwyczaj sympatyom lub antypatyom, jeżeli nie dotykają malarza tylko poetę, sięgał także po ową książkę spodziewając się znaleźć cudne dla pędzla kolory. Rzeźbiarz porywał ją, pewny że tam na każdej karcie napotka wzór dla

dłuta, posąg jakiś z kararyjskiego wykuty marmuru, jakiś symbol wzniosłej idei. Nieszczęśliwy, cierpiący, smutny, skwapliwie chwycił dzieło jak upragniony balsam na ranę lub spólcucie niedoli. Literat, dziennikarz, krytyk od dawna czekający natchnienia, porywał książkę chcąc przed innymi zrabować myśl jaką. Obojętny, (których tacy jak Hugo nie znajdują wielu) kupował także dzieło spodziewając się w jego towarzystwie mile przepędzić wolną chwilę — dosyć, że z tych lub owych powodów kupowali wszyscy, i nikt się nie zawiódł prócz tych co spodziewali się wynaleść w *Kontemplacyach* nową broń na nieprzyjaciela.

Pierwszą edycję wyczerpano we dwadzieścia cztery godzin. Książka rzewne i głębokie sprawiła wrażenie. Wbrew zwyczajowi, przez dni parę żaden głos się nie ozwał z pochwałą lub naganą — i było cicho jak po zaśpiewaniu pieśni której słuchacz nie poklaski ale fzę daje w ofierze. — Po dłuższej dopiero chwili ozwał się chór uwielbienia, który jakkolwiek na wysoki ton nastrojony, mniej był wymowny od milczenia przeciwnego stronnictwa, które pewnie nie z obojętności pochodziło. Żadne z pism nie wystąpiło z naganą — najniechętniejsze nie śmiały się targnąć na to dzieło, tak kompletnie niezły się tą razą przegłosowane.

Kontemplacje zajmują dwa grube tomy w dużém in 8vo; pierwszy nosi tytuł *Autrefois*, drugi *Aujourd'hui*; pierwszy dział obejmuje peryod od 1830 do 1843 — drugi od 1843 do 1856. Każda z tych dwóch części dzieli się na trzy księgi — trzy pierwsze pod napisem: *Aurore, l'Ame en fleur, Les luttres et les rêves* — trzy drugie: *Paucæ meæ, En marche, i Au bord de l'infini*. Dzieło rozpoczyna krótka przemowa, a kończy wiersz do zmarłej pierworodnej córki, która bardzo młodo zaślubiwszy w Paryżu Karola Vacquerie, umarła we trzy lata po ślubie, a w pół roku po niej mąż, nie mogący przeżyć swęj straty. Wiersz ten pod napisem: *A celle qui est restée en France*, którym poeta dedykuje zmarłej swoje *Kontemplacje*, pełen niezrównanego czucia, jakby łzami pisany — jednogłośnie uznano za koronę dzieła, chociaż mojem zdaniem, w księdze: *l'ame en fleur* znajdują się rzeczy piękniejsze, jeżeli w obec tytuł arcydzieł wybór jest podobny.

Jak możesz wnosić w podziału i tytułów, *Kontemplacje* całą całkowitą klawiaturą, uczuć ludzkich, dagierotypem moralnym człowieka co się spodziewał, wierzył, kochał, cierpiał, wątpił, przeklinał — i w końcu przeszedłszy całe to cierniowe koło zwane życiem, znowu pokochał i uwierzył, ale już nie w ludzi. Hugo w przedmowie zowie *Kontemplacje* *pamiętnikami duszy*. Posłuchaj jak swe dzieło sam definiuje:

... „Dwadzieścia pięć lat zamknąłem w tych dwóch tomach. *Grande mortalis aeri spatium!* Książka ta, sama napisała się we mnie; życie sącząc się po kroppli przez wypadki i cierpienia złożyło ją w mém sercu. Ci co weń spojrzą, obaczą własne postacie odbite w téj smutnej i głębokiej wodzie, która się powoli nazbierała w głębi serca.

„*Kontemplacje* możnaby nazwać pamiętnikami duszy. Są to rzeczywiście wszystkie wrażenia, pamiątki, rzeczywistości i mary, weselne lub żałobne, wywoływane jedno po drugim i zmieszane w jednym ciemnym obłoku. Jestto istnienie ludzkie wychodzące z zagadki narodzin, a sięgające zagadki grobu; jestto duch co bieży od światła do światła, zostawiając za sobą młodość, miłość, złudzenia, walki, rozpacz, i w końcu staje znękany na progu nieskończoności. Jestto pielgrzymka co zaczyna się uśmiechem, trwa we łzach, a kończy odgłosem niebieskiego apelu.

„Przeznaczenie jest tu spisane dzień po dniu.

„Jestże to życie człowieka? Tak — życie jednego i wszystkich, bo nikt z nas nie stanowi wyjątku. Moje życie jest twojem — twoje jest mojem; ty przeżyjesz co ja przeżyłem — przeznaczenie jest jedno. Weźcież więc to zwierciadło i przeglądajcie się w niem. Ludzie skarzają się czasem na autorów zarzucając im że mówią o sobie. Mów o nas — wołają wszyscy. Niestety! kiedy mówię o sobie, mówię o was. Jakże wy tego nie czujecie? Szalony co mniemasz że nie jestem tobą!”

Po téj definicyi mało co dodać można, to tylko chyba że *Kontemplacje* są największém dziełem liryczném wielkiego liryka, który od szesnastu lat żadnych tego rodzaju nie ogłosił poezyj. Biorąc materialnie, książka składa się z dziesięciu tysięcy wierszy — moralnie, obejmuje cały łańcuch ziemskiej niedoli, poczynawszy od

skargi akoszzonego kwiatka, a skończywszy na rozpacz y oja kładącego w trumnę własne dziecie. Piękna to girlanda uwita z róż i cyprysów — kwiatów wesela i kwiatów śmierci — z uśmiechów i westchnień, stoi na równi z młodzieńczemi utworami Wiktora Hugo. Cóż więcej na pochwałę nowego dzieła powiedzieć można? Na nią kończę, nie znając nic nudniejszego nad wszelkie rozumowane rozbiory poezyi i muzyki. Nie jestże to toż samo co chcieć rozbierać łzę, uśmiech, westchnienie, zapach kwiatu, kolory tęczy drżącej na niebie? Poezya uczuciowa, natchniona, taka jak Wiktora Hugo, sercem się tylko pojmuje, ten co ją na zimno po doktorsku zechce krajać skalpelem, opisywać, tłómaczyć, choćby się z tego jak najmańdrzej wywiązał, zdaniem mojem zawsze rozprawiać będzie jak ślepy o kolorach i tracić czas na próżno, jak pedagog dający lekcye poezyi.

Jeszcze w tym roku wyjdą w Paryżu dwa nowe poemata Wiktora Hugo: *Dieu*, i *La fin de Satan*. Słychać że od czasu wyjazdu z Francyi, Hugo napisał mnóstwo nowych rzeczy, które zapewne nie rychło wyjdą na widok publiczny. — Krążył tu niedawno list z wyspy *Guernesey* gdzie obecnie przebywa autor *Hernaniego*, pisany do jednego z tutejszych literatów, zawierający ciekawe szczegóły o rodzinie i nieznanych dziełach poety, które zapewne nie będą ci obojętne. Przytaczam kilka ustępów z tego listu, żałując iż ich dosłownie powtórzyć nie potrafię — prócz bowiem że jest bogaty w fakta, list o którym mówię, zaleca się bogactwem języka.

Skreśliwszy historią wyspy *Guernesey*, jej polityczne przemiany i kataklizmy, jakich doznała od natury, opowiedziawszy sposób życia małej francuzkiej kolonii, która ją zamieszkuje, autor listu mniej więcej tak dalej mówi:

... Dom Wiktora Hugo jest przybytkiem sztuk pięknych. Kto się nie przekonał naocznie, nie uwierzy nigdy ile tam dzieł sztuki rozkwita naraz pod tchnieniem tej artystycznej rodziny. — Młodszy syn Karol, umie robić wszystko co zechce: maluje, pisze wierszem i prozą, gra, śpiewa, a zawsze z tym gustem i niewysłowionym wdziękiem; którego żadna nauka nie da, jeżeli go nie dała natura. Obecnie zajęty jest fotografią

którą do wysokiej doprowadził doskonałości. Ale jako prawdziwy artysta, Karol za małą to sobie uważa zasługę, i żeby nie dać się prześcignąć słowcu, komponuje do odbitych portretów lub pejzaży godne ich ramy, ułożone z misternych gałązek, kwiatów, ptaków, motyli malowanych lub żłobionych na kości słoniowej, kamieniu lub drzewie. — Karol jest niewyczepany w pomysłach; a przy tem, co rzadko chodzi w parze, ma niesłychaną cierpliwość do wykonania najsubtelniejszych i najdziwniejszych częstokroć marzeń swoich.

Chociaż to praca nie lada wlewać życie w kamienne kwiaty, gnieść marmur jak koronki, drewnianym motylom nadawać przeźroczystość gazy — malować obrazy, które są jakby otwarte okna po za którymi uśmiecha się natura — przecież młody artysta, pędzel, dłuto i wszelką ręczną robotę uważa jako odpoczynek myśli — a skoro tylko odpoczął, powraca do pióra. Wtedy powieści i sonety sypią się jak z rękawa.... I cóż dziwnego? czyż nie wychował się razem z literaturą — czyż najpiękniejsze rymy nie kołysały do snu złotej jego główki? —

Starszy syn Wiktor nie podobny wcale do brata, zawsze smutny i zadumany, tłumaczy Szekspira. Przekład powinien być dobry; Szekspir tłumaczony z synowską miłością przez syna Wiktora Hugo. W każdym razie będzie to przynajmniej przekład Szekspira, nie Letourneura, którego tłumaczenie tłumaczą zwykle Francuzi. — Wiktor, trzymając się ściśle oryginalnej edycyi, odrzuca wszystkie dodatki nowoczesnych wydań — prostuje często skrzywionego rozmaitemi poprawkami pierwotnego ducha — oraz kasuje wprowadzony później podział dramatów na akty, o którym się Szekspirowi nie śniło. —

Pani Hugo pisze żywot męża. Nikt zapewne nie potrafiłby go tak napisać jak ona. Jeżeli kto, to ona może powiedzieć z ręką na sercu, że nie odstąpiła męża. Od dwudziestego roku życia poety, patrząc nań dzień po dniu, godzina po godzinie — towarzysząc mu wiernie w dobrych i złych losach, dzieląc z nim każdy uśmiech i łzę każdą, pani Hugo zna nie tylko czyny, słowa i dzieła męża, ale myśli które je natchnęły. — Książka jej szczerą i dokładną, będzie dopełnieniem pism Wiktora Hugo, gdyż prawdziwym komentarzem dzieła

jest życie autora. Jakim człowiekiem był poeta? Jakie było pasmo dni jego? Z kim przestawał? Jaką miał rodzinę? Przez jakie przeszedł cierpienia? Jaka gwiazda opromieniała mu życie? Gdzie, kiedy i pod jakim wpływem pisał ten lub ów dramat? Co miał wtedy w sercu? Co miał przed oknem? Wszystkiego tego dowiemy się od żony wieszczki, która sama jedna na te pytania odpowiedzieć może, bo czego nie zrozumiała w tej niepojętej mieszaninie najszczytniejszych natchnień i najpospolitszych przywar z których zwykle złożony charakter poety, to pewnie jasnowidzącem odgadła sercem. —

Córka Wiktora Hugo posiada rzadki dar improwizacji muzycznej, dar zupełnie samoistny, oryginalny, rozkwitły zdala od Opery i Konserwatorium, nie naśladowający żadnego ze sławnych muzyków. Pieśni Mozarta i Beethovena nie dolatują tutaj — w *Guernesey* znane tylko symfonie ziemi i nieba. Wielki, tajemniczy mistrz harmonii, rozdaje nuty zefirom, morzu i dębom, które pośród cichych czerwcowej nocy przy akompaniamencie pluskających o statki bałwanów, wykonują koncerta napawające rozkoszą, lub przejmujące grozą, jeżeli zamiast podmuchu wiosny po kwiatach, zimowy huragan pocnie dąć w kominy i targać okrętowe sznury jak wątle struny gitary. — Córka poety słucha tych koncertów, rozróżnia instrumenta i głosy, chwytą tony i szmery, miesza je z głosem własnego serca co tęskni i kocha — i tak pomieszane wylewa w muzyce, w której źródła płaczą wraz z wspomnieniem — skowronek rozmawia z nadzieją — słowik śpiewa miłość i piękność. —

Kołysany pieśnią córki ojciec, spisuje natchnione myśli. Od czasu wyjazdu z Francji Wiktor Hugo napisał wiele dzieł nowych; trzy poemata: *Dieu*, *La Fin de Satan* i *Les petites Epopees*; trzy dramata: *Homo*, *Le Theatre en liberte*, *Les drames de l'invisible*; w rodzaju lirycznym: *Kontemplacje*, i *Les Chansons des rues et des bois*. Obecnie pracuje nad wykończeniem wielkiego poematu filozoficznego pod napisem: *Essai d'Explication*, który jest owocem dwudziesto-pięcio-letnich dumań poety.

Kontemplacje wydane teraz w Paryżu są najkompletniejszym dziełem lirycznym Wiktora Hugo. Wszystkie

jego dawniejsze wiersze tego rodzaju opiewały zawsze jedną tylko część natury, lub jedną stronę uczucia. *Ody* śpiewają miłość kochanki; *Orientale* sztukę; *Jesienne li-seie*, rodzinę; *Chants du Crepuscule*, *Les Voix intérieures*, *Les Rayons et les Ombres*, społeczeństwo. Poeta maluje tam naturę ale jej nie bada. W *Kontemplacyach* nie tylko sławi piękność formy, ale szuka i spowiada jej ducha — nie tylko podziwia blask słońca, ale pyta kto je zapalił. Badana przyroda odpowiada: wiatr staje się głosem, a krople rosy łzami.

Po dwóch komedjach „*Franciszka*” i „*Jak wam się podoba*”, których pani Sand dostarczyła paryżkiej scenie, a raczej po burzy jaką wywołała tutaj jej przedmowa do tłumaczenia Szekspira, w której powiada bez ogródki że Francuzi go nie znają — w teatrach tutejszych cisza nastąpiła wielka. Przez dwa tygodnie (rzecz niesłychana) nie pojawiło się na scenie nic nowego, i nawet sprawozdawcy dramatyczni umilkli, ostrzegając żeby na zapowiedzianą *Bursę* Ponsarda.

W braku sztuk nowych i w braku przekładów obrazających próżność Paryżanów którzy wolą zawsze oryginalne głupstwo niż tłumaczone arcydzieło — wznowiono odwieczną komedię Regnard’a *Gracz*, która jest antypodą *Życia Szulera*, owego pocziwego starego dramatu pełnego strasznych obrazów i scen rzewnych, mogących poruszyć najzatwardziałośc grzesznika. Wesoły *Gracz* Regnarda, przeciwnie, rzekłbyś iż się obawia żeby kogo przypadkiem nie poprawił, tak starannie unika wszelkiego moralu, tak stara się rehabilitować spotwarzonych kolegów trudniących się tą niewinną zabawą. Ugrzeźniony, miły, jest tylko kochankiem *Damy Kierowej* i dla niej, jak mówią Francuzi, *il fait des folies*. Z resztą nie mu zarzucić nie można: dobrze wychowany, nie unosi się ani nie gniewa, zawsze pozostając w harmonii z sobą i z drugimi, jak przystało na faraonowego *wirtuoza* w koronkowych mankietskach, nie podobnego w niczem do pospolitego *gracza*.

Inne wprowadzone do sztuki osoby, jak oto kotr służący, kalkowany na Molierowskiego *Scapena*, subretka zdradzająca swą panią, Ojciec także z rodzaju Molierowskich ojców, którym na to tylko dana głowa, żeby

mieli na czeł powiesić perukę, Matka spekulująca na wdziałkach córki, i tym podobne rzeczy, dowodzą, że autor miał słabość do wszelkiego rodzaju nieprawości, i że zawsze je z najprzyjemniejszej strony przedstawia.

Wiedząc kto jest autorem sztuki, dziwiłby się można wtedy dopiero, gdyby była inną a nie taką jaką jest. Nikt nie daje więcej nad to co dać może; ale że taki utwór przedstawia najpierwszy teatr paryzki: *Théâtre Français*, a jeszcze bardziej że nim zachwyca tutejszą publiczność, temu zaprawdę dziwiłby się można, gdybyśmy nie byli przyzwyczajeni w Paryżu, nie tylko na scenie napotykać takie typy i takie ideały.

Literat mający sto tysięcy dochodu jak Regnard, dzisiaj jeszcze jest niesłychaną rzadkością, a cóż dopiero w siedemnastym wieku, kiedy nawet gieniusze nie stały samoistnie — kiedy Racine przykuty do monarszego podnóżka, jak heliotrop za słońcem obracał się za wejrzeniem Ludwika XIV, kiedy Molière był rodzajem nadwornego błazna, który nawet bez pozwolenia króla nie mógł się kazać pochować — kiedy sam wielki Corneille dla kawałka ohłcha pisać musiał pokorne dedykacye wyglądające przy wzniosłych jego tragediach jak żebraczki w przedśionkach świątyń rzymskich. Za owych to czasów jeszcze smutniejszych dla literatów niż dzisiejsze, Regnard syn paryzkiego mieszczanina był milionerem — nie zależał od nikogo — odznaczał się lekkomyślnością, którą wtedy trudno się było odznaczyć, żył jak bimbasza, i pisał komedye, bo mu się śmiać chciało. Jakżeż nie mają być wesole?

Rzecz prosta, że od takiego człowieka nie można żądać lekcji moralności, ani filozoficznych uwag nad niekczemnością rodu ludzkiego, tém bardziej, że mając zawsze pieniądze, miał zawsze stałych przyjaciół. Jak prawie wszystkie komedye z owego czasu, sztuka Regnarda niczego dowieść nie chce, prócz tego chyba, że ze wszystkich egzystencyj na tym świecie najmiłsza jest *ta beata vita del porco*. O gustach się nie dysputuje — Paryżanie zaś widąc że do dziś dnia podzielają to zdanie, gdyż dawno nie byli tak zadowoleni jak na przedstawieniach *Gracza*.

Za to Ponsard nielitościwy, w swój pięcio-aktowej ry-mowanej *Bursie*, którą wczoraj po raz pierwszy przed-

stawiono w Odeonie, nagromadził moralów tyle, że go o mało nie wygwizdano. — Zanim stosy tutejszych feletonów doniosą ci jak zwykle, wprost przeciwne zdania o tej komedyi — zanim jedne będą ci ją wynosić pod niebiosa, drugie ganić na zabój — nadmienię *en passant* że jest dosyć mierna, zdaniem mojem daleko niższa od *l'Honneur et l'Argent*, i mniej moralna chociaż moralniejszą być usiłuje. Wiersz piękny, obrobienie staranne — ale brak życia, brak serca; znać że tego dzieła nie natchnęło już to młodzieńcze oburzenie przeciw złemu, które tak silnie przebija w poprzednim utworze Ponsarda. — Najtrafniej zdefiniował tę sztukę jakiś dowcipniś, czy podrażniony *gieldzista* wychodząc z pierwszego przedstawienia: „*Cette Bourse-la*, rzekł do drugiego, *cela manque d'actions! Il n'y a pas d'intérêts! C'est bon à liquider!*” —

Musiałem na chwilę przerwać rozmowę i ugrzać się trochę przy kominku, bo drżałem od zimna i czułem że mi ręka do papieru przymarzła, czego zapewne byłbyś się domyślił po stylu. — Jak Francya Francją nie pamiętają tak zimnego maja. Słońca niewidzieliśmy tu od trzech tygodni. Deszcz lodowaty pada po całych dniach i nocach; każdy kurczy się i krztusi, ale nie narzeka i udaje że kontent, bo taka teraz moda — moda do której każdy ściślej się stosuje niż do lilowych, i paliowych sukien, lub kapelusików na których marzną bzy i żonkille — moda daleko ważniejsza niż wszystkie mody które Paryż zwykł narzucać światu, bo dowodząca loiki o którą nikt dotąd nieposądzał Francuzów.

Tak więc choć ci ta wiadomość do toalety nie posłuży, zważywszy na ważniejsze jej aplikacye, mam sobie za obowiązek donieść tobie i wszystkim komu o tém wiedzieć należy, że najpierwszą modą w Paryżu jest teraz *zadowolenie* nie częściowe ale całkowite: tak dobrze z siebie, jak z żony, męża, handlu, majowej pogody, zawartego pokoju, formy rządu i wszystkich jego czynności. Mianowicie też w tym ostatnim punkcie usposobienie Francyi jest zupełnie odwrotne od tego jakie było za Ludwika Filipa. Wtedy (nie więcej temu jak lat ośm) jeżeli rząd postanowił wprowadzić najmniejszą jaką reformę, jeżeli np. chciał przyszyć choćby jeden guzik więcej do żołnierskiego kamasa, wnet dzienniki wrzeszczały na całe gardło, że to niepotrzebny wydatek,

że wymysł śmieszny, zbyteczny, dziwny i t. d. każdy zaś mieszczanin po przeczytaniu gazety napuszał się i kładł ręce w kieszenie mówiąc: *il faut que je donne une leçon au gouvernement*. Teraz gdyby rząd kazał każdemu obywatelowi jadać flaki na śniadanie, jadłby je niezawodnie, a co większa, iżby powiedział: jem flaki bo mi się tak podoba!

Londyn w maju.

Od początku maja mieliśmy wciąż zimna—teraz jest dżdżysto. Niedziela Zielonych Świątek była tu najśliczniejszym dniem wiosennym, przedzielnym, przedzielnym zimno od słoty, acz już znacznie ocieplonej. Dzień ten jako różniący się śliczną pogodą od poprzednich i następnych, odróżniał się zarówno odmiennym ruchem i postaciami całej stolicy—był prawdziwie dniem świątecznym, nie powszednim tego roju dwu miliona ludności. Tyle ludzkich istot w świątecznych ubiorach,—z wypogodzoną, wesołą twarzą,—jest samo przez się ciekawym widowiskiem, nie zdarzającym się, jak tylko w wielkich stolicach świata, a i on różny w Paryżu, w Wiedniu, w Warszawie i Moskwie, podług odmiennego temperamentu, zwyczajów i ducha narodu. Londyn jako stolica ludu wyspiarskiego, przedzielonego morzem od reszty Europy, albo jak już Rzymianie go opisywali *toto orbe remoti Britani*, przedstawia pod tym względem szczególniejsze widowisko. Widać to było w dzień niedzielny Zielonych Świątek. Jedni, a ci zamożniejsi wychodzili z pysznych swych gmachów do świątyni Pańskich, aby szukać w tym dniu natchnienia jakby najskuteczniej słowo Boże rozszerzać wielorakimi językami na okręgu ziemskim; drudzy, a ci ubożsi, wyrobnicy całotygodniową pracą znużeni, lub ślęczący po kantorach i kupieckich sklepach, dla których zarobek na życie jest wszystkim a miejsca w kościołach (choćby i radzi w nich bywać) zbyt kosztownym zbytkiem—napelniali ulice, dążąc ze ścieśnionych, szczupłych mieszkań do parków—tych płuc (*lungs*) jak je nazywają stolicy—aby tam wolnym i czystym powietrzem oddychać. Omnibusy jedne za

drugiem, pełne ludu wewnątrz, pełne na wierzchu — flakry i pojazdy różnego kształtu, jedne o dwóch, drugie o czterech kołach, — snuły się w różne strony po ulicach, wywołując pieniężniejszych dalej za miasto, rodziców i dzieci w odwiedziny do krewnych lub przyjaciół; lecz powszechniej dla zdrowia ze zmiany powietrza, dla nasycenia się widokiem przyrodzenia, dla przypatrzenia się ogrodom, sadom w kwiecie, i zieloności pól. Dla wielu rodzin żyjących przez cały rok wśród rozległej stolicy, nie widzących jak domy a domy, bruki a bruki, tegoroczne Zielone Świątki zostaną pamiętne na całe życie; dzień ten słoneczny, łagodny, z powietrzem balsamicznym, był dla ludu, a zwłaszcza dla młodzieży, pełen zachwytu i radości. Nad wieczorem orkiestry muzyki wojskowej grały w parkach, — grywały tak przez kilka niedziel tej wiosny. Tę rozrywkę dla ludu sprawił Sir Benjamin Hall, minister leśnictwa, mąż światły i ludzki. Wojskowi to chętnie i bezpłatnie czynili. Lud poczytywał to za wielkie dobrodziejstwo od rządu; zgromadzało się go od 80,000 do 100,000 na słuchanie tej muzyki w parkach. Przechodząc w ten sam dzień przez *Kensington Garden*, widziałem tam dla lepszej wygody słuchających porobione ławki pod drzewami, i rzędy stołków bliżej orkiestry. Uważano to ze wszech stron za rzecz stosowną, niewinną, pochwalano całe urządzenie i cieszą się z niego. Nie tak jednak wydawało się to duchowieństwu i partyi nabożnisiów. Obrzucali oni wciąż prośbami rząd przeciw tym orkiestrom dla ludu, wystawiając, że to z świętością dni niedzielnych nie zgadza się, aż w końcu wymogli na Lordzie Palmerstonie cofnięcie w tym tygodniu własnego jego rozporządzenia. Odtąd muzyki niema być w parkach. Niezmiernie tym zakazem rozjętrzył lord Palmerston lud na siebie i na duchowieństwo, tak dalece, że lękają się aby to nie spowodowało jakich zaburzeń. Cokolwiekby, krok ten nie podoba się tutaj, wykrywa słabość rządu i nie rokuje mu długiego trwania. Da się to poznać po głosach w parlamencie i podczas nowych wyborów jeśliby przyszło do rozwiązania izb, o czém ciągle jest mowa. Ministeryum z polityką tak chwiejącą się, albo raczej z żadną, jak to było dotąd — długo utrzymać się nie zdoła.

Lord John Russell, korzystając z wakacyi parlamentowej, dał dla Towarzystwa wzajemnego kształcenia się (*Mutual Improvement*) istniejącego w Stroud—publiczną prelekcją: „O uczeniu się historii.“ Prelekcya trwała pełna dwie godziny, w których szlachetny mówca po objaśnieniu właściwości dziejopisarstwa i dziejopisów starożytnych, przystąpił do skreślenia główniejszych epok historii nowoczesnej, mianowicie: hiszpańskiej, francuskiej, angielskiej i amerykańskiej — w ten jednak sposób, że zaszłe wypadki odnosił i ciągle rozwijał z pewnych przyczyn. Ostrzegał aby w razie poróżnień między narodami nie rwano się od razu do oręża, lecz starano się raczej uprzętać przyczyny prowadzące do zwad i kłótni, i tём zapobieganiem niszczyć zarody do wojen. Przemawiał za powszechną tolerancją tak wyznań religijnych jak opinij politycznych, przedstawiając Anglią z ostatnich lat za przykład. Przy końcu do radzał on słuchaczom zgłębianie raczej pojedynczych jakowych okresów historycznych, śledzenie w nich przyczyn i skutków, aniżeli przeciążanie pamięci chronologicznemi datami, nie mającemi często najmniejszego związku z ważnością wypadków. Zgoła, aby historia stała się pożyteczną, należy naukę jej oprzeć na zasadach filozoficznych. Mamy o tём gruntowne pismo p. Cieszkowskiego, znane wam pewnie. Ile mogę przypomnieć sobie, czytałem je w niemieckim języku, ale tytułu nie pamiętam. Wartoby je upowszechnić w polskim języku. Zawiera ono obszerniej to, co lord John Russell zdaleka słuchaczom swym napomyka.

Umarł w Edynburgu dnia 6 maja Sir William Hamilton, baronet, profesor logiki i metafizyki tamtejszego uniwersytetu. Jest to po sławnym John Wilson, profesorze filozofii moralnej i znakomitym poecie, druga wielka strata jaką w ostatnich latach ta wszechnica ponosi. Sir William Hamilton należy do pierwszego rzędu filozofów nowoczesnych, i pisma jego psychologiczne miały wielką wziętość tak na stałym lądzie, jak w Ameryce — większą nawet niż we własnej ojczyźnie. Jego *Discussions in philosophy* były tłumaczone na język francuski, i niedawno p. Karol Rémusat zdał obszerną sprawę o pracach i zasługach jego dla filozofii w *Revue des Deux Mondes*, naznaczając znalazłemu miejsce pomiędzy

najgłębszymi badaczami działań umysłowych. Pisywał Sir W. Hamilton często do *Edinburgh Review* o różnych przedmiotach filozofii, gdzie znajduje się także artykuł jego o konieczności reformy uniwersytetu Oxfordskiego, który sprawił wielkie wrażenie na umysłach przywiązanych do scholastycznego trybu udzielania nauki. Przeczeń wpłatał się on w spory z ludźmi będącymi odmiennego zdania—i te spory toczyły się niejaki czas nawet w pismach dziennych. Przeciwnikami jego byli: arcydziekan Hare, professor Morgan i Dr. Cunningham. Wychowany początkowo na prawnika, łączył on do subtelności dyalektyki jasność mowy, co mu wielce do zwalczania mniej ukształconych przeciwników służyło. Zawód uniwersytecki rozpoczął był Sir W. Hamilton od professorstwa historii; dopiero roku 1836 objął katedrę logiki ofiarowaną mu przez Radę miejską Edynburską. Był on ozdobą i wielkim filarem szkoły szkockiej filozofii—spodziewać się należy nie ostatnim, bo wiele znajduje się ubiegających o zajęcie miejsca po nim. Od niejakiego czasu trudnił się on przygotowywaniem dzieł szkockich filozofów do nowych wydań, z objaśnieniami swemi. Wydał tak przed parą laty wzorowe dzieło Reida: O władzach umysłowych (*Intellectual Powers*); a przed samą śmiercią zajęty był doglądaniem druku wszystkich dzieł Dugalda Stewarta, zebranych przez niego. Miały one wyjść razem z biografią tego sławnego patryarchy filozofii szkoły szkockiej. Ta edycja zatem zostaje nieukończona. Po nim samym pozostały *Prelekcye o Loice*, które dawał w uniwersytecie, tudzież inne drobniejsze dzieła w rękopismach. Tych wydanie poruczone zostało p. Baines, znanemu zaszczytnie publiczności z własnych pism tegoż rodzaju.

Aby upamiętnić zawarcie pokoju czynem przebaczenia, Królowa Wiktorya raczyła ulaskawić wszystkie osoby pod karą zdrady kraju zostające, czyli tak zwanych politycznych więźniów. W skutek tego ulaskawienia wolno będzie panom Smith O'Brien i Martin, którzy przed niewielu laty byli naczelnikami buntu w Irlandyi, wrócić do ojczyzny. P. Frost dowódzca Chartistów i wszyscy jego współnicy, którzy roku 1839 z bronią w ręku byli ujęci a sądem skazani na transportacyą do karnych osad, są, także tém ulaskawieniem objęci, i mogą z Au-

stralii wrócić do kraju. Wyłączeni są wszakże od tej łaski ci z pomiędzy Irlandczyków, którzy zostawieni na słowo uciekli do Ameryki; lecz ci już nie za zdradę kraju, lecz jedynie za naganne wiarołomstwo. Rzecz więc godna zastanowienia, iż w tej chwili nie ma ani jednego Anglika, któryby był więziony lub zostawał na wygnaniu za przestępstwo polityczne. Trudno znaleźć podobnego przykładu w dziejach świata. Anglicy pysznią się z tego.

Znane wam pewnie od kilku lat istniejące Towarzystwo uczonych angielskich dla postępu umiejętności (*British Association*). Tegoroczne posiedzenia jego w Cheltenham rozpoczną się dnia 6 sierpnia. Czas pokoju zwabi pewnie wielu uczonych z kontynentu, i między nimi już stoi na liście książę Lucyan Bonaparte, znany ze swoich obszernych wiadomości o ptastwie. Prezesem tegorocznym towarzystwa jest książę Argyll, minister państwa; następcą jego na przyszły rok ma być Dr. Daubeney, sławny matematyk. Warto byłoby, żeby kto z naszych stron na ten zjazd uczonych przybył, dla obeznania się z najwyższymi postęпами wiedzy ludzkiej. Rozwijanie jej w różnych gałęziach umiejętności jest celem tego stowarzyszenia, i po każdym posiedzeniu wydaje ono Rocznik prac swoich.

Rzym w maju.

Jakżeż podzielam kłopoty waszego dowcipnego współpracownika, który w swojej *Kronice* „Kraków w marcu“ mówi, że każde jego słowo biorą na tortury i wynajdują osobistości we wszystkim co napisze! A któżby dopiero pomyślał, że żyjąc o paręset mil od miejsca gdzie się drukuje *Dodatek*, spotka waszego korespondenta takiż sam los. Skoro egzemplarz *Dodatku do Czasu* dojdzie do Rzymu, zaraz powstaje burza! A kto pisze? A kto śmiał powiedzieć że polskie salony nudne? I ten Judasz żyje między nami!

Galeotto fu il libro e chi lo scrisse.

I dalej szukać onegoż korespondenta! Dla uspokojenia więc czytelników *Czasu* w Rzymie i poniekąd na-

wet dla usprawiedliwienia się, powiem, że tam nie masz żadnych osobistości, gdzie kto używa ogólników. Nie pisałem, że ten lub ów salon polski nudny, tylko twierdziłem, że byli niemi tej zimy wszystkie. Poprawię się na przyszłość, ale odwołać nie mogę, wychodząc z tej zasady, iż każdy korespondent powinien się trzymać jak najściślej prawdy. I cóż ja na przykład winien, że zaraz na wstępie dzisiejszej korespondencyi, wpadnę w nową niełaskę u naszych rodaczek bawiących tutaj? Ale mając tą razą za sobą Ojca świętego, bez żadnej obawy i skrupułu opowiem jak było.

Jedną z naszych polskich dam, której chodziło o spieszny a niecierpiący żadnej zwłoki rozwód, przyszła na myśl rzecz nader prosta, choć mało dotąd w użyciu będąca — udać się do samego Piotra Śgo w osobie jego następcy i zapukać do Watykanu, aby jej ztamtąd wyniesiono tęsknione unieważnienie dławiących ją nieznośnie więzów i ślubów małżeńskich. Cóż, kiedy to na takie więzy nie masz innej rady jak nożyce Parki i kosa Saturna. I sam djabeł Twardowskiego czuł, że się nie wywiąże ze ślubnej matni! Otóż nasza pani skracając drogę za pomocą kolei żelaznych, poczt i parostatków, dopada bram Rzymu i uzyskawszy niezwłoczne posłuchanie, z namiętym pośpiechem wlatuje na *scala regia* na schody królewskie, prowadzące do sali posłuchań. Niestety! cóż powiem dalej? jakiemi dokończę wyrazy!.. Rozczarowania wszędzie bolesne, ale boleśnieszemi zapewne pod temi freskami Rafaela, w obec tysięcznych watykańskich posągów, które swe marmurowe oczy zasłupiły w twą, niedolę, pod tem niebem jednostajnem jak życie małżeńskie i na którym naprózno byś szukał chmury jak rozvodu w Rzymie... Ojciec święty zgromiwszy naszą Polkę, kazał jej wrócić niezwłocznie do znienawidzonego małżeńskiego pożycia. Niewiem czy wróciła, ale znikła z widnokręgu, znikła jak wirgiliuszowa Eurydyka porwana wirem małżeńskiej otchłani i na próżno do swego Orfeusza wyciągając dłonie:

Invalidasque tibi tendens, heu, non tua! palmas.

Niechaj to służy jako *avis aux lectrices* naszym rodaczkom wybierającym się w tym celu do wiecznego miasta.

Przed kilku miesiącami wykończono wewnętrzne restaurowanie świątyni Minerwy, co pociągnęło za sobą tak wielkie wydatki, że zabrakło funduszów na projekto-

waną zewnętrzną facyate, na którą potrzeba jeszcze sto tysięcy skudów. Podano więc następną myśl kardynałowi Antonelli i o ile o tej rzeczy można wiedzieć z pewnością, miał ją wysłuchać przychylnie pan minister stanu. Papiież miałby niby utworzyć stu kawalerów nowego orderu „Niepokalanego Poczęcia“ a każdy chcący go nabyć musiałby złożyć dowód szlachectwa i dodać tysiąc skudów.

Po zabawach zimowych i Świętach Wielkonoenych zaczyna się powoli Rzym wypróżniać. Cudzoziemcy uciekają przed nadchodzącymi upałami udając się na północ. Anglicy spieszą na *saison* do Londynu lub do nadreńskich wód. Panowie rzymscy zawsze powolni do opuszczenia stolicy, także już myślą w jakiej willi przepędzić tropikowe godziny. Jeszcze miesiąc, a będzie tutaj tak cicho jakby w jakim małym miasteczku na prowincyi. Można powiedzieć, że się cudzoziemcy porachowali po raz ostatni na obchodzie artystów *la Cervara* lub też *il carnavaletto degli artisti*: jest to rodzaj komerszu uniwersyteckiego w Wroławiu lub Halli. Artyści opuszczają zwykle na lato Rzym w celu pracowania. W ten to dzień więc, dzień niby pożegnania, wyjeżdżają do Cervara przebijając się w bogate i różnobarwne stroje. Prezes zagałwszy posiedzenie mową, wychyla kielich na powodzenie sztuk pięknych. Potem są dwa *Steeple Chase*. Pierwszy na koniach, drugi na osłach. W pierwszym wygrał młody Rossyanin, ubrany bardzo bogato w strój tatarski. Tuż za nim, jak to mówią panowie *sportu*, o głowę końską, jechała młoda artystka Amerykanka, zwyciężając przeszkody jak najzuchwalszy jockey. *Steeple Chase* na osłach wygrał jakiś brodaty artysta, przebrany za Araba. Po wyścigach wielki obiad pod gołym niebem, przy śpiewach i mowach w różnych językach, przypominających wieżę Babel. Zaś mniej poetycznym jest sam koniec dnia, gdzie Bacchus gra tak wielką rolę, iż się wszystko zwykle kończy chorobą morską. *C'est le revers de la medaille*.

We wielkim i eleganckim świetle panuje powszechna cisza. Ostatni raut był u posła pruskiego pana Thile, gdzieśmy widzieli dużo cudzoziemców, ale prawie nikogo z towarzystwa czysto-rzymskiego. Śmierć księcia Piotra Odessalchi, margrabiny Capranica i kardynała Fran-

soni, znowu zmusiła kilka familij do przywdziania żałoby. Powiadają, że na miejsce kardynała Fransoniego, ma być mianowanym Monsignor Medici.

W teatrze zawsze pełno, chociaż Rzymianie przyjęli jak najzimniej operę *Marino Faliero*. Mojem zdaniem, chociaż Verdi jest znakomitym kompozytorem, to jednak słuchać ciągle muzykę jego, tak gust popsuje z czasem, jak czytanie złych romansów francuskich. Miałem tego dowód nietylko na tutejszej publiczności, ale nawet na sobie samym. *Marino Faliero* nie jest najlepszą operą Donizettego, ale ją można zawsze porównać do kompozytycy Verdeggo. Mimo tego nasłuchawszy się przez całą zimę tej łatwej do spamiętania i przyjemnej uszom muzyki autora *Due Foscari* i *Ernani*, znudziła nas niemało *Marino Faliero*. Dopiero i jedynie w trzecim akcie, jak De Giuli wydobywszy ostatnich sił zaśpiewała arzę:

*Tra due tombe, tra due spettri,
I miei giorni passeranno;*

to taka *furia* opanowała Włochów, że śpiewaczkę trzy-naście razy z kolei wywołali. Można jak najdłużej bawić we Włoszech, a zawsze zadziwi mieszkańca północy ten młodociany zapal którego się oddają Włosi a szczególnie Rzymianie. Ztąd poszło zapewne, że w Paryżu płatnych klakerów nazywają *les Romains*. Ale jedna arza nie stanowi powodzenia całej opery i jeżeli cenzura nie wypuści ze swoich szponów nową operę młodego Rzymianina p. Fenzi, to będziem się musieli wrócić znowu do Verdeggo, zapewne do nieszczęśliwej i już tak często przedstawianej muzyki *la Traviata*. W małym teatrze, *il Teatro nuovo*, grano trzy tygodnie temu niezmiernie dramat, a że afisz ciekawy, więc przepisaawszy, posyłam wam go *in crudo*.

*Dal comico Giuseppe Parisini verrà posta in Scena
un dramma storico faceto in 2 Atti
intitolato*

*Lodovico Re di Polonia
con Gilotto*

finto cieco e mulo per la fame. ()*.

(*) Przez komika p. J. P. będzie odegranym dramat historyczno-komiczny w 2 aktach, pod tytułem: Czyn sprawiedliwości Ludwika króla Polskiego i Gilotto udający z głodu ślepego i nieme.

Zanadto szanuję waszą cierpliwość, żeby wam przesłać choćby najmniejszą o tém recenzją, ale chcę dać tylko do poznania, w jakim to rodzaju napisane. W chwili kiedy nasz król wchodzi na scenę ubrany w biały ale brudny mundur i kiedy cała szlachta i dygnitarze padają na kolana, on się obraca do nich i z najzimmniejszą krwią mówi: „*Non facciamo complimenti.*“ Reszta sztuki utrzymuje się zawsze na téj saméj wysokości.

Z naszej polskiej kolonii nie wam nie donoszę, kiedy się ta już prawie zupełnie rozbiła. Nadmienię tylko, że dwie z naszych panien zostaną tu pono na długo, chociaż każda z nich obrała przeciwną drogę. Jedna panna P. C. wstąpiła do zakonu *Sacré Coeur*, druga jak *fama* niesie, idzie za mąż za tutejszego prefekta policyi francuskiej p. Maugin.

Na wystawie kwiatów w pałacu księcia Doria, dostał medal złoty za najładniejsze i najrzadsze egzotyczne rośliny, ogrodnik księcia Torlonia, Orzechowski Polak, rodem z W. Księstwa Poznańskiego. A kiedy mowa o Torlonia, powiem, że na seryo myśli zamknąć swój dom bankowy. Uzbierawszy blisko półtora miliona franków dochodu, powiada biedak że umie na małym przestawać i że na zawsze opuszcza wszelkie spekulacye.

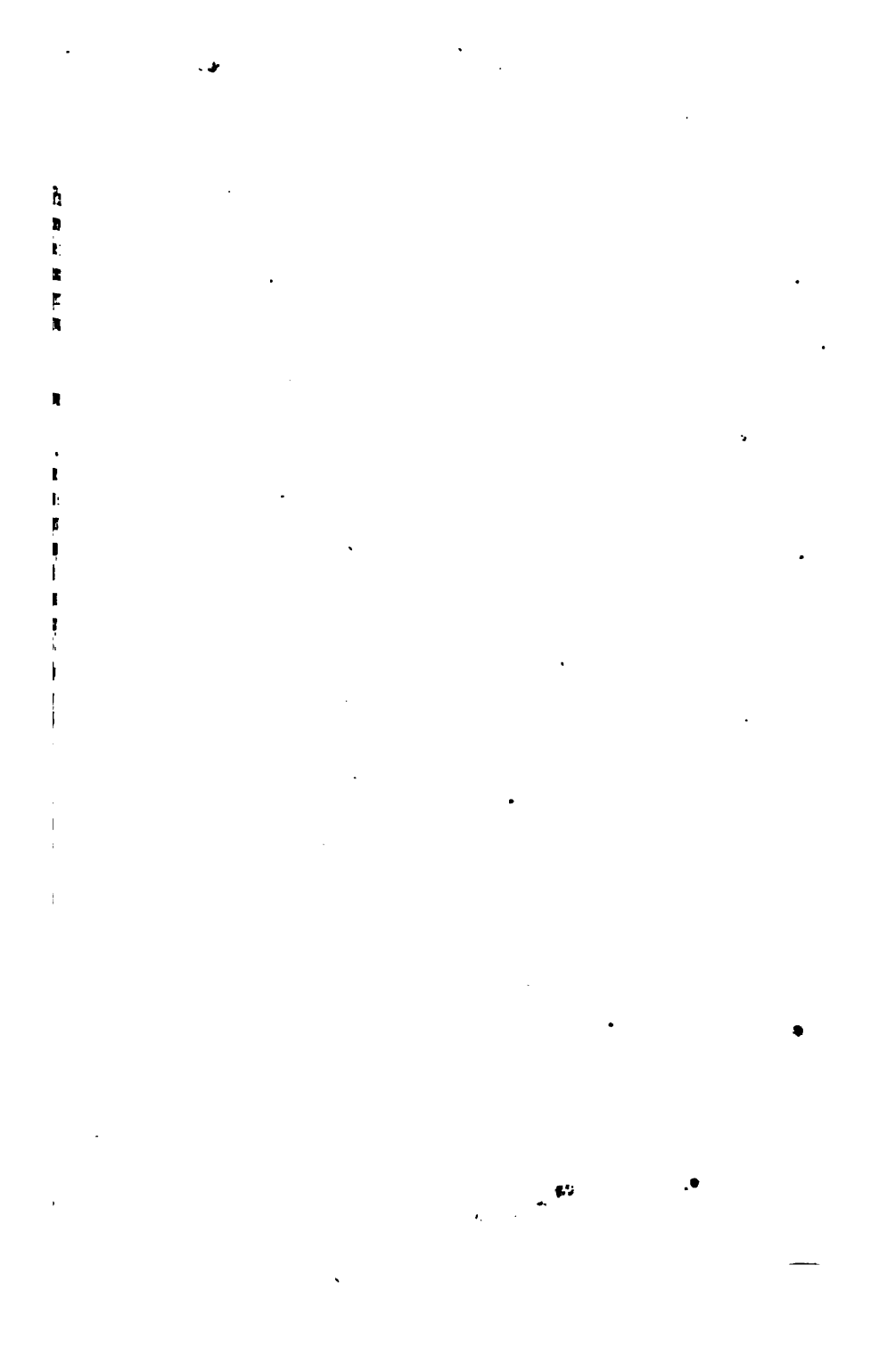
Już was doszedł i czytaliście bardzo dobry artykuł o teraźniejszej literaturze polskiej, umieszczony w *Civiltà Cattolica*, pod tytułem: *Un saggio della presente letteratura Polacca*. Trudno w tak krótkich słowach powiedzieć więcej. Zajął on niezmiernie publiczność włoską; tak mało obeznaną z naszą literaturą. *Civiltà Cattolica* ma 15,000 prenumeratorów, a prawie wszystkich we własnym kraju, wychodzi co miesiąc w każdą pierwszą i trzecią sobotę, i chociaż jest redagowana przez jezuitów, podlega surowej cenzurze. Przechodzi ona, jak wszystko to co się tu drukuje, przez dwie cenzury, to jest, przez polityczną i przez religijną, a oprócz tego trzy dni przed drukiem przesyłaną bywa Ojcu Świętemu, któren jeszcze daje swoje uwagi, jeżeli tego rzecz wymaga.

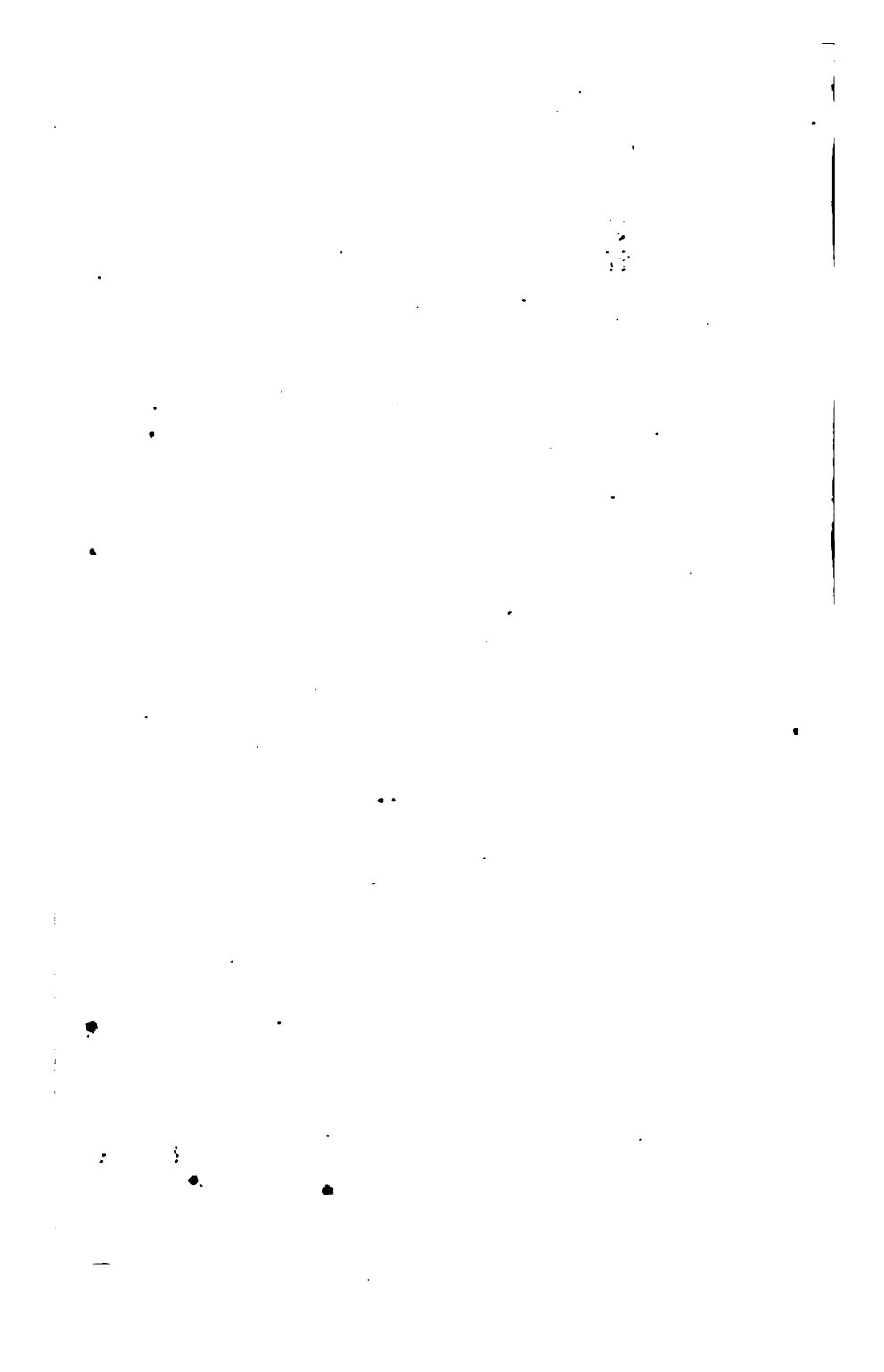
Z końcem przyszedł miesiąc lub początkiem lipca, mają otworzyć kolej żelazną do Frascati. Smutno pomyśleć, że kiedy w Europie wszystkie kraje poniekąd już przerzniete kolejami, kiedy je budują w Egipcie i w Indyach, tu dopiero zrobiono dwie mile. Jest to

więc pierwsza kolej w państwie Kościelném, a Pius IX będzie pierwszym papieżem który się koleją przejedzie. Wiadoma rzecz, że Grzegorz XVI nie dał sobie nigdy wspomnieć, jak mówił „o tym piekielnym wynalazku” i dzisiaj są jeszcze starzy pałacy, którzy na przywiezione z Anglii lokomotywy patrzą ze zgrozą, uważając je jako istne dzieło szatana.

P. S. Odebrawszy wasz dziennik z 27go kwietnia, otwieram mój list i dodaję parę słów.

Jesteśmy bardzo tu zajęci czytaniem recenzji „o Wystawie sztuk pięknych w Krakowie” i dziękuję autorowi za przyjęcie wyrazu *rodzaj potoczny* zamiast słowa francuzkiego *genre*. Jednomyślnie został on przyjęty przez naszych tu artystów. Dodam także, żeśmy naszym oczom wierzyć nie chcieli, wyczytawszy, iż obraz p. Simmlera usunięty został z wystawy. Śmieszny to i nie do pojęcia wandalizm. Jakże przedstawić kapiącą się Zuzannę? Czy ubraną? Niech ten *collet monté* sztuk pięknych nie przyjeżdża nigdy do Włoch, bo cóżby powiedział na Danaę Corregia, na polowanie Dianny Dominikina, na Adama i Ewę tegoż samego, na Venus Tycjana i na tysiące innych arcydzieł? Mogę go z góry zapewnić, że mu tu nic nie pozwolą wyrugować, ani nawet najmniejszej *wszetechnosci* z galeryi watykańskiej. Jeżeli ostro powstają, to jedynie w obronie malarzy. P. Simmler może kilka miesięcy pracował — poświęcił swój czas tak drogi każdemu artyście i potem taka go nagroda czeka. Kończę dodając, że wystawa obrazów nie jest miejscem dla dzieci i dla panien.





Czerwiec — 1856.



O NAJZNAKOMITSZYCH TEGOCZESNYCH MOWCACH RELIGIJNYCH *).

II.

Słowo będące przedmiotem wymowy religijnej, jest to dar święty, uczyniony człowiekowi przez Boga — dar poświęcenia się Słowa Przedwiecznego; pierwszym też warunkiem kaznodziejstwa było, jest i będzie zawsze *poświęcenie*. Co najwyższa Miłość darowała rodzajowi ludzkiemu, to tylko przez miłość, godnie rozdzielanem być może i to przez miłość która się nie cofa przed żadnem poświęceniem. Mniej więc każde *Słowo* wymaga miłości i poświęcenia dla sprawy, w której jest podniesione i w braku tego warunku nigdy mieć nie może prawdziwego powodzenia, wszakże jak siła poświęcenia decyduje o wygranej lub przegranej, tak znów wartość sprawy stanowi o wysokości poświęcenia. Gdyby kaznodzieja wystąpił w obec społeczności, do której przemawia, jako profesor w obec swych słuchaczy, lub jako mowca parlamentarny w obec izby,

*) Patrz zeszyt kwietniowy.

naprzód można ocenić skutek jego pracy i z pewnością zawyrokować, że skutek ten będzie albo bardzo słaby, albo prawie żaden, albo całkiem zły. Najpotężniejszy talent, największa nauka, najkorzystniejsza zewnętrzność zwiększają tylko liczbę zer, przed którymi jeżeli nie stoi ilość poświęcenia, zawsze zostaną tylko zerami — a bodaj czy nawet nie znakami ujemnymi przed ilością kapłańskiego charakteru. Niema nic smutniejszego jak zimny erudyta, albo szumny deklamator mówiący z miejsca, ku któremu zwracają się ludzkie umysły i serca po Słowo boskie — po ten chleb żywota. Niema nic boleśniejszego jak kaznodzieja, który zgasiwszy w duszy swojej zatloną przez Sakrament iskrę zapału dla sprawy Pańskiej, mówi o niej jakby mówił o najpowszejdniejszej sprawie tego świata. Słuchacz widzi w nim wprawdzie anioła pańskiego, ale anioła, który dotknąwszy się ziemi, zapomniał zkąd wyszedł i nikogo do Boga niedźwiga, *bo sam niewstępuje* i nikogo ku niebu niewabi boską siłą i pięknnością swego charakteru, bo ta piękność obok zimna duszy im jest wyższą, tem bardziej odpychającą stanowi disharmonią. Kościół wie o tem — on też swoich kaznodziejów stawia w obec wiernych jako żywe personifikacye poświęcenia. Za nim mowcę wysła z *Słowem*, wprzód go przygotowuje modlitwą, odosobnieniem, ślubem dozgonnej czystości, ślubem swęj miłości dla sprawy bożej i pasuje go na rycerza téj sprawy mieczem krzyża i poświęca go do *zapasów poświęceniem się samego Zbawcy działającém przez Sakrament*. Wszakże z poświęceniem takim winno się jednoczyć *poświęcenie osobiste*, bez którego tanto pierwsze jest wprawdzie ważne ale dopiero w możności (*in potentia*), a nie w czynie (*in actu*). Kiedy apostołowie uczuli się poświęconemi z góry, mogli wówczas wyjść lub nie wyjść ku nieustraszonemu opowiadaniu Ukrzyżowanego. Gdyby nad poświęcenie przemogła oba-

wa o wolność lub życie, niemniej byliby poświęconymi w moc swojego charakteru, ale by niebył poświęconym ród ludzki, który jednak mocą boskiego i osobistego ich poświęcenia został przykuty do krzyża. Zawsze w kościele potęga kaznodziejstwa ma się w stosunku prostym do mocy poświęcenia — bo kaznodziejstwo, jak powiedzieliśmy wyżej, to rozkazywanie Boga przez człowieka, więc im doskonalej człowiek przestał być sobą, wyzwał się z swęj osobistości, tem żywiej przedstawia osobistość Słowa, tem dzielniej każe w imie Boga. Były epoki, w których ogromne znakomitości pod względem wymowy przebrzmiały bezskutecznie i niedobrały się do serca swęj społeczności, bo to były tylko geniusze rozumu, nauki, wymowy, a w imiona takie można rozprawiać, bawić, zajmować, ale nierozkazywać — i były znowu epoki, w których prawie nieznajdujemy wielkich imion pod tym względem, ale w których widzimy potężne działanie słowa rwącego dusze do Boga, bo to były epoki geniuszów poświęcenia.

Tak to zawsze pojmowano w kościele, tak to pojmowali pierwotni kaznodzieje Chrystyanizmu, których głos obok głosu Zbawiciela słyszan będzie aż do końca świata, a to dla tego, że poświęceniem najbliżej stanął boskiego swojego wzoru; tak to pojmowali Ojcowie kościoła — mężowie zakonnego poświęcenia w najwyższém znaczeniu tego wyrazu — jak naprzykład ś. Grzegórz, ś. Bazyli, ś. Augustyn, Hieronim lub Efrem, tak to pojmowali wielcy kaznodzieje średniowieczni, prawie wszyscy założyciele wielkich zakonów, albo wielcy święci; jak święty Bernard, ś. Dominik, ś. Bonawentura, ś. Tomasz i inni; tak to pojmowali ludzie występujący do walki z odradzającym się poganizmem, jak ś. Ignacy Lojola a później ś. Franciszek Salezysusz i ś. Wincenty a Paulo; tak to nakoniec pojmuje kościół, który ludziom zakonnego poświęcenia zawsze powierza wszelkie nad-

zwyczajne missye kaznodziejstwa, który przez jednego z największych swoich Papieży potwierdził *Zakon kaznodziejski*, który mu przez wszystkich błogosławi dotąd, który w tym zakonie powracającym do pierwotnej surowości pokłada wielkie nadzieje, który inny zakon mający także głównym celem kaznodziejstwo, uważał zawsze jako czoło swęj duchowęj armii; który gotów był zrzec się przychylności najpotężniejszych tronów Europy aniżeli zezwolić na rozwiązanie tęg swojej przednięj straży, który wreszcie ustąpiwszy z jak największą boleścią przed nagłacemi okolicznościami w rozwiązaniu owego zakonu widział rozbrojenie swych najwaleczniejszych rycerzy a odradzających się powitał z tkliwą radością i przyklaskuje ich kaznodziejskiemu działaniu na misjach.

Temu też poświęceniu zawdzięczamy ową działalność Słowa wstrząsającego coraz potężnięj wszystkie warstwy dzisiejszęg społeczności. Ludzkość pogrążona w materializmie gniewa się i miota, że to słowo wciąż ją niepokoi; owszem przeciwko niemu stawia słowa *ojca kłamstwa*, krzyczy, przeklina, bluźni po dziennikach o ile tylko stanie na to czasu przy gorączkowem zajęciu się produkowaniem, konsumowaniem i giełdą — a pomimo tego słowo działa, słowo walczy, słowo zdobywa coraz silniejsze stanowiska, słowo tryumfuje! Świat wojujący jak tytan górami egoizmu zdaje się słabnąć, wyczerpywać ostatki swych sił; od czasu do czasu zdradza uczucie szalonej rozpacz y a słowo idzie naprzód i ciągnie za sobą rydwan Chrystusowy, bo słowo idzie niczem niewstrzymaną siłą ofiary, a słowo coraz to pięknięj króluje, bo jego majestatem jest poświęcenie!

I uważajmy że koryfejami dzisiejszęg wymowy religijnęg są same mnichy, to jest ludzie zakonni — ludzie poświęcenia ewangelicznego — że ten, o którym mówiliśmy dotąd jest to dominikanin, czyli brat kaznodzieja,

a ten o którym mówić zamierzamy — to jezuita, — że nareszcie z dwóch innych, których następnie pragniemy przedstawić, jeden jest teatynem, drugi oratorianinem.

Co większa, jak za czasów Ludwika XIV, w epoce wielkiego przesilenia we Francyi obok jezuity *Bourdal'ego*, który głębokością rzeczy i męzkością formy góruje nad samego Bossuet'a i Massillon'a widzimy mowców drugiego rzędu, wszystko zakonników, — jak prawie jednocześnie we Włoszech, około wzniosłej postaci jezuity *Pawła Segnier'ego* grupują się kaznodzieje *mnichy*, — jak nawet w smutnej pod względem kaznodziejstwa epoce Benedykta XIV, cały ruch utrzymuje ubogi reformator, błogosławiony *Leonardo da Porto Maurizio* jak wreszcie i samemu Lacordair'owi przygotował owo niesłychane powodzenie zakonnik (jezuita) *Mac-Carty*, którego nawet bezbożny jeszcze Paryż słuchał ze zdumieniem, i którego kazania są jakby dalszym ciągiem Bourdal'ego zastosowanego do dzisiejszych potrzeb, tak i dzisiaj obok owych czterech filarów kaznodziejstwa słyszymy mowców-zakonników takich jak O. Felix, Fontana, Marquet, Lefèvre, których słowo działa i działa daleko potężniej, jak owe okrzyczane kazania *Doucet'ów* i *Duval'ów* jak najściślej według prawideł retorycznych ułożone i właśnie dla tego, że *ułożone* nie na wiele przydatne.

Jak zaś było i jest we Francyi lub we Włoszech, tak samo pod tym względem było i jest u nas. Słowo poświęcenia działało i działa tylko przez ludzi spotęgowanych poświęceniem. Nasz złotousty Piotr Skarga, to zakonnik — to mowca, który do każdego kazania przygotowywał się modlitwą postami i dyscypliną, a który umarwszy sobie tryskał życiem bożem, gdzie się tylko obrócił, wstrząsał, ratował, prorokował i zdobywał. Nasz najznakomitszy homiletyk Jakób Wujek chwalał kościoła w Polsce to także zakonnik. Nasz Fabian Birkowski,

który mimo całej surowości karciciela i nieogłady zewnętrznej był ulubieńcem równie uczonych jak prostego ludu, równie żarliwych katolików i ludzi ascetycznych, jak nieujętego żołnierstwa i poczynającego smakować w zachodniej wykwinności dworu Władysława IV, to dominikanin. Nasz dzisiejszy najznakomitszy kaznodzieja, którego kilkunastu kazań powiedzianych w kraju, żaden z słuchaczy dotąd niezapomniał a którego kazania i mowy ogłoszone drukiem tak nam żywo przypomniały najpiękniejsze czasy wymowy religijnej w Polsce — to także człowiek zakonnego poświęcenia. Nasz nieodżałowanej pamięci Ojciec Karol Antoniewicz, ów żarliwy misyonarz, ów apostoł królestwa Chrystusowego, o jakim dawno przed nim, bardzo dawno wśród naszego narodu niesłyszano, a który gdzie się tylko zjawiał, wszędzie był witany jak anioł światłości, zwiastun miłosierdzia i pociechy — to żywa miłość — to uosobione poświęcenie, to mąż chodzący w doskonałości zakonu, to dusza całkiem w zakonie krzyża żyjąca i działająca.

Tak jest — po wszystkie czasy i na każdym miejscu Chrystyanizm działający w pośród ludzkiego rodzaju drogą kaznodziejstwa posługował się ludźmi poświęcenia. I jakkolwiek on sam przez się, będąc w najwyższem znaczeniu tego słowa poświęceniem, bo poświęceniem Boga dla człowieka, mógłby się obejść bez osobistego poświęcenia tych, którymi się posługuje jako narzędziami, to jednak pewna i jak najwidoczniejsza w dziejach kościoła, że tam działał najpotężniej najtrwalej, najobszerniej, gdzie żywiołu kapłańskiego poświęcenia znalazł najwięcej. Gdzie jest ten żywioł, tam mimo najwidoczniejszych oznak niewiary lub obojętności ze strony społeczeństwa, mimo nawet pewnych przerażających symptomatów moralnej śmierci można mieć

dobrą otuchę, — gdzie zaś między duchowieństwem wygasał, tam nawet przy religijnem usposobieniu wiernych, przy najmoralniejszych dążnościach społeczeństwa słusznie obawiać się można ostatecznego upadku, bo tam zamilkło słowo, które jak samo żywot prawdziwy daje, tak go też samo utrzymać jest zdolne. Niech w takim razie biskupi jak najuczeńszych ludzi wysyłają na ambony, niechaj mowcy jak najwyborniej według przepisanych prawideł deklamują — niech nawet jak najobficiej i jak najrzęczniejszycy cytują Pismo święte, zdania Ojców i doktorów kościoła, to wszystko przebrzmi bez żadnego skutku i będzie tak, jak gdyby niebyło ambony i jakby mowcy zupełnie milczeli; ale niech się uczoność, znajomość Pisma świętego i Ojców znajdują w człowieku *poświęconym* sprawie Bożej, niechaj tych zasobów użyje w mowcy *miłość Boga, miłość kościoła, miłość dusz, żarliwe pragnienie*, aby w pośród społeczności, do której przemawia królował Chrystus a w ten czas potędze słów jego żadna siła oprzeć się niezdola i będzie tak jak było i jest wszędzie, gdzie poświęcenie, ten najwymowniejszy kaznodzieja nauczał, gromił, pocieszał, dźwigał i ożywiał.

Będzie tak, jak było i jest w kraju i stolicy, gdzie niedawnemi czasy nienawiść Chrystyanizmu jak najotwarciej wystąpiła przeciw niemu, gdzie istniało ognisko sprzysiężenia przeciw kościołowi, gdzie było źródło wszelkich błędów i wszelkich występków, a gdzie od lat dwudziestu rozpoczęła się błogosławiona reakcja na rzecz prawdy i postępuje olbrzymim krokiem, skoro przed zgniłą na poły społecznością stanęli z słowem tacy kaznodzieje jak ten o którym mówiliśmy dotąd — jak ten, o którym mówić teraz chcemy, to jest Ravignan.

Przypatrzmyż się już bliżej tej postaci pokornego

zakonnika, i zobaczymy, kto on jest, co to za słowo, jeszcze w tej chwili tak silnie działające, choć piersi jego prawie już żarem miłości strawione.*

Biografia Ravignan'a wcale nieobfituje w zdarzenia i pod tym względem stanowi pewien miły kontrast z zajmującą na pierwsze wejrzenie postacią Lacordair'a. Jak tego ostatniego żarliwość religijna pobudzała do ciągłej działalności, zetknęła go z wszystkimi znakomitościami katolicyzmu, wmięszała we wszystkie wydatniejsze zdarzenia dotyczące w jakibądź sposób kościoła we Francyi — tak znowu taż sama żarliwość — ta sama chęć poświęcenia się spowodowała Ravignan'a do obrania sobie życia zakonnego, biernego, tak, że jego indywidualność prawie ciągle nieznana, ukryta, zanegowana. Ktoś powiedział, że chcąc pisać jego historią, trzeba by pisać historią zakonu, do którego należy, co zresztą może czynić kłopotliwem położenie biografą, ale mowcy dało ogromną potęgę i otwarło do nadzwyczajnego powodzenia. Ta trocha, którą wiemy o jego życiu, tłumaczy nam dla czego nie wiemy więcej. Cichy i unikający wszelkiej nadzwyczajności w owych młodzieńczych chwilach, kiedy świat robił mu piękne nadzieje, kiedy mu przyjaciele rokowali świetną przyszłość, mógłże być innym później jako kapłan, lub jako zakonnik? Z drugiej strony zdawałoby się, że człowiek, którego imię należy do najpopularniejszych we Francyi, o którym tak wiele rozpisywały się dzienniki najsprzeczniejszych barw, którego zawsze słuchano z uwielbieniem a chwalono bez najmniejszego *ale*, że człowiek taki w życiu swoim powinien być niezmiernie zajmujący. Tymczasem on działa, wstrząsa, zachwyca, on tak mówi, że się zdaje iż słowem swoim na popiół spali i zetrze wszystko co

w nowożytnej Babilonii śmiało się wznieść przeciw Prawdzie — i kiedy wszyscy widzą, podziwiają, czują w sobie potęgę tego działania, gdy rezultat słowa coraz większy, dotykalszy, człowiek przecie, który w ruch wprawia wszystkie tego słowa sprężyny był i jest prawie zupełnie nieznany.

Jeżeli o nim mówiono, to zawsze jakby o jakiejś istocie abstrakcyjnej — o człowieku, który się zjawił jako wielki mówca, ale który zresztą jest, jak gdyby go nie było. Tyle był znany swoim słuchaczom i swym wielbicielom, ile się dał poznać z ambony; same dzienniki, zwykle tak chciwe szczegółów o każdym, kto w jakibądź sposób dał się poznać publiczności i takie pod tym względem domyslnie, ograniczały się na przedstawieniu tego, co mówił, lub jak mówił, a wiele kroć razy dotknęły samej osoby mówcy, to zawsze tylko w ogólnikach. Pisano więc, że Ravignan dał się słyszeć w tym lub owym kościele, że to, co mówił cudnie odpowiadało jego silnie południowej fizyonomii — mówiono dalej jak w nim wszystko mówi — jak żywe i płonące oko — szerokie i wypukłe czoło, ten majestatyczny i niezawodny znak wyższości ducha a przytém gwałtowne i zachwycające ruchy podnosiły w nadzwyczajny sposób działalność głoszonego przezeń słowa. To znowu rozpisywano się nad głosem wprawdzie słabym pod względem donośności, ale tak pewnym, tak żywym, tak na wskrós przenikającym, jakby mu był umyślnie dany na wyrażenie tych myśli, z których każda była jakby płomieniem zastępującym z nieba i téj silnej nigdy niepokonanej a zawsze pokonywującej loiki, która przedewszystkiem stanowiła jego oryginalność. Raz pisano o niezwykłym a dziwnie rozrzucającym sposobie w jaki prosił obecnego Pasterza o udzielenie sobie błogosławieństwa i przytoczono z tego powodu epizod nie z życia mówcy ale przecież taki, że co stanowi całą jego

piękność, to wyłącznie jest mowcy własnością. Pobożna pewna matka chcąc zniewolić klęczących około siebie synów do serdecznego ukorzenia się podczas pacierzy przed Bogiem, rzekła do nich: „A czy nie pamiętacie, „jak to dzisiaj O. Ravignan z wielką pokorą schylił „głowę, prosząc o błogosławieństwo Arcybiskupa? uczyni- „cież podobnie prosząc o błogosławieństwo Boga — „uczynicie przed Bogiem, co wielki mowca czyni przed „namiestnikiem Boga“. Może ktoś powie, że to tkliwo- ści kobiece? — Tak jest, to ta błogosławiona tkliwość, która w kobiecie jest ciepłem miłości, a której gdyby ewangelia nie pielęgnowała, światu bardzo byłoby zimno z całą ścisłością męskiego rozumu. Wszakże tkliwość kobieca, z jaką owa matka powyższe słowa wyrzekła to tylko forma owego święcie-męskiego słowa, które w mowcy wypowiedziało się aktem; to tylko *głos* rozpowszechniający wśród rodziny to, co się wypowiada w kościele, bądź słowem bądź czynem; to dalszy ciąg działania kaznodziei wówczas, kiedy zeszedłszy z am- bony zniknął z oczu publiczności i zstąpił na *czas nie- jaki* do grobu swęj celki. Komu by się to jeszcze zda- wało maluczkiem, temu przypominamy, że Chrystyanizm z nakazu Mistrza drogą maluczkości idzie, działa i zdo- bywa; że ta maluczkość właśnie tworzy ową popular- ność, obok której popularność największych geniuszów świata, zaledwie że jest *dojrzaną*. Dobrze to czuł ulu- biony pisarz francuzki, p. Scribe, kiedy wyszedłszy raz z kościoła po kazaniu O. Ravignan'a wyrzekł te słowa zaraz w kilku dziennikach powtórzone i komentowane: „*Voilà de quoi faire bâtir plus d'églises que je n'ai fait de pièces*“.

Pomimo tego, kiedy o panu Scribe tak już wiele na- pisano, i kiedy do kilku-tomowych memoarów, jakie przygotowuje dla publiczności, chciwiej tego rodzaju strawy, nie braknie zapewne przedmiotów, może ich na-

wet będzie zbyt obficie, — o Ravignan'ie tymczasem mało co wiadome, a i to co jest wiadome nie zawsze pewne, a z resztą choćby wszystko było pewne, wszystko by się zmieściło na arkuszu druku.

Że nie wszystko pewne, najlepszym tego dowodem jest niepewność co do jego pochodzenia. X. Baintain, autor dziełka pod tytułem: *Esquisses sur les Orateurs sacrés*, pisze, że X. Ravignan urodził się w Paryżu. Tymczasem autor *Biografii Współczesnych Znakomitszych Duchownych* utrzymuje, że Ravignan urodził się więcej jak o sto mil od Paryża, w najodleglejszej południowej części Francyi. Paryżanie utrzymują jednozgodnie, iż mówi akcentem gaskońskim, że ten akcent tak jest u niego silnie zdecydowanym, naturalny, tak nawet uporczywy i nie do pozbycia, że sam stanowi świadectwo jego metryki. Nie nabył go w szkołach, ani w uniwersytecie, bo nauki swoje odbywał w Collège Bourbon, a kurs prawa *dans le quartier latin*, gdzieby się go raczej powinien był pozbyć, jeźliby takowy nabył przypadkowo. A potem dziecko Paryża nie ma, ani téj siły expressyj w liniach twarzy, ani téj gwałtowności życia tak doskonale harmonizującej z cerą śniadą, z wyrazem posępnosci i z tym nadzwyczajnym ogniem spojrzenia. Sam z resztą rodzaj wymowy, to niesłychane bogactwo figur, ta śmiałość i pełność pomysłów, rozległość planów, dźwięczność frazesów płynących z największą łatwością, ta nakoniec że tak powiem, nadobfitość loiki i rozumu, będąca najwybitniejszą cechą jego konferencyi lub kazań, wszystko to nader głośno świadczy o pochodzeniu nieledwie hiszpańskiem.

Jakiem było jego dzieciństwo, jak przeszła pierwsza jego młodość, o tém nikt nic nie wie, więc téż i nic powiedzieć nie można. Tytuły rodzinne mają być znakomite, ale poblady w obec imienia, na jakie sam sobie zarobił. Matkę miał wyborną chrześcijankę, która

wczas wpajała w serce jego miłość Boga i rozwijała szlachetne do cnót popędy. Z pomiędzy kilku sióstr, jedna była żoną jenerała hrabiego Excelmans, para Francyi, do którego Napoleon po zajęciu pod Wertingen był wyrzekł: „trudno być odważniejszym jak ty nim jesteś“.

Po skończonym kursie prawa wszedł do trybunału sądu apellacyjnego jako adwokat i czas niejaki występował z dobrém powodzeniem. W roku 1816 został mianowany radcą-audytorem. Miał podówczas lat dwadzieścia trzy. Rzecz nadzwyczaj rzadka i wielce dla niego zaszczytna a pomimo tego na udzielenie mu pozycyi tak zaszczytnej zgodzono się jednogłośnie. Spokojny, działający z namysłem, chociaż w decyzjach tak zawsze szybki, że namysłu nikt nie spostrzegał, przenikliwy a postępujący z szlachetną i miłą prostotą, mniej uderzał i zdumiewał jak Lacordaire, ale więcej przekonywał. Biorąc górę nad przeciwnikiem starał się o tyle tylko przewyższać, o ile było koniecznie potrzeba, dla tego sami przeciwnicy w sądach byli jego szczerymi przyjaciółmi. Mniej przyjacielscy nie śmieli zaprzeczać wartości i zasługi temu, co mówił lub działał, z obawy, ażeby młody obrońca przez swą niepokonaną skromność nie zgodził się z nimi na ten dotkliwy zarzut i ażeby tém samém nie zrobił walki śmiesznej albo całkiem niepodobną. Owszem, nietylko że milczeli, ale mu sami przyklaskiwali wraz z wszystkimi innymi, a czynili to często nie z pewnej tylko przyzwolitości albo z prawniczęj taktyki, ale chętnie i z przekonania, że mu się poklask w samej istocie należy.

Mówiąc o tych przymiotach młodego Ravignana, nie chciałbym, aby je brano za jedno z owemi instynktowymi usposobieniami sprawiedliwości i słodyczy, które według pewnych moralistów stanowią człowieka społecznie uczciwego. Przekonany jak najgłębiej, że o podobnych uczciwościach mówić tylko może albo obłuda,

albo gruba nieznajomość ludzkiej natury, przekonany, że owe religije *według upodobania* są tylko złudzeniem albo po prostu głupstwem, jeżeli już nie wymysłem zepsucia i znikczemnienia, wiem też dobrze, że podobne usposobienia nie istnieją wcale, że choćby nawet istniały nie mogłyby mieć w żaden sposób wartości i zasługi cnoty. Chciałbym więc, aby mnie dobrze zrozumiano co do enotliwego usposobienia Ravnigan'a. Jego cnoty wypływały z zasady nadnaturalnej miłości Boga i bliźniego. Były one owocem katolickiego wychowania i katolickiego życia; dla tego też były czemś więcej jak pięknymi wyrazami, bo były praktyką. Teorye cnoty zwykle kłamliwe i nędzne byłyby w nim zabiły zaszczerpioną przez matkę i wypielegnowaną wiarę — tymczasem cnoty praktyczne czerpiąc z wiary, żywotność i siłę, nawzajem ją ożywiały i umacniały.

Ale zkadże znowu czerpał tę właśnie cudowną siłę miłowania i Boga i ludzi, która go zawsze wznosiła po nad namiętności i czyniła zdolnym cnoty? Oto ztąd, że wypełniał jak najściślej obowiązki chrześcianina. Ewangelia, nie tak jak ją przedstawia osobisty rozum, ale jak ją wyklada boski rozum kościoła, była dla niego prawem życia i postępowania. Ona go nauczyła, że kto się modli i modlitwą rozmawia z Bogiem, ten w rozmowie z ludźmi i w rozprawach potrafi uniknąć owych uniesień i gwałtowności, które zwykle rzucają przepaść pomiędzy serca a serca. Ona go nauczyła, że człowiek sam z siebie niezdolny jest dobrych myśli, dobrych uczuć i czynów, dla tego jednocząc się z tym, który jest wszystką siłą i pięknnością chrześcijanina, nierozmyślał nigdy niesprawiedliwości w swém sercu; nikogo nie uraził, nikogo nie odepchnął — a ten, który w nim mieszkał, zjednywał mu przychylność ludzi najsprzecznijszych usposobień. Wypełnienie obowiązku, to był jego interes, to mu wystarczało za sławę. Czyste sumienie,

to ta wysokość do której zawsze podążał i na której nigdy mu nie było dosyć.

A przecież Ravnigan znał świat, a przecie nawet jaśniał w pośród świata. Jego towarzystwo, jego rozmowa, jakkolwiek pełne prostoty, miały zawsze pewien wdzięk, który około niego gromadził równie ludzi poważnych, jak dowcipnych i salonowych. Szukano go i niemal z rąk go sobie wydzierano, co przecie nigdy ani z serca ani z oblicza nie starło tego aksamitu skromności i wstydu, skutkiem których każda pochwała, każda grzeczność rumieniła go, jak młodą, niewinną panienkę. A więc się rumienił bardzo często, bo pochwał było bez liku. Niewspominalibyśmy o tém, gdybyśmy się nieobawiali zarzutu, jaki zwykle spotyka ludzi młodych, zdolnych i pobożnych, jakoby praktyka życia chrześcijańskiego była w nich czemś tylko *wyemnem*, to jest skutkiem nieznamomości świata i niezdolności zastosowania się do form wyższych towarzyskich.

W roku 1821 został mianowany zastępcą prokuratora królewskiego przy trybunale Sekwany. Wówczas to prezydent Séguier przyjmując go wyrzekł w obec licznych świadków: „Miło mi jest powitać pana w tej nowej godności, mam nadzieję, że niezadługo zasiądziesz moje „krzesło, którego już dzisiaj radbym ci ustąpił“. Słowa te tém piękniejszém były dla niego świadectwem, że prezydent wcale nie był komplementystą ale człowiekiem poważnym i może nawet za nadto realnym. Dla spełnienia tej zaszczytnej przepowiedni potrzeba było wprowadzić pewnych zasług, ale nadewszystko trzeba było innego powołania jak to, które Ravnigan coraz wyraźniej czuł i żywił w sobie. Zobaczymy zaraz, jak w jednej chwili, przy najlepszem powodzeniu zrzekł się wszelkich zaszczytów i wszelkich prezydencji tego świata.

Po roku nowego urzędowania, kiedy praca, zdolności i zawsze też sama słodycz charakteru zjednały mu sza-

cunek i przychyłność powszechną; kiedy jak najzupełniej usprawiedliwił pokładane w sobie nadzieje; kiedy nie takiego nie zaszło, co by mogło wpłynąć na zmianę jego wewnętrznych usposobień a wszystko składało się na to, aby ze stanowiska swego był zadowolniony, wróciwszy wieczorem do domu siadł i napisał list do p. Bellart prokuratora jeneralnego, w którym mu oznajmia, iż stanowczo pragnie być uwolnionym od swego urzędowania i w jak najkrótszym czasie wstępuje do seminaryum.

Pod dniem 6 maja p. Bellart odpowiedział mu w następujący sposób:

„Mój dobry i drogi Ravignan'ie!

„Gdybym nie był równie jak ty przekonany, że wszystkie zaszczyty ludzkie są tylko smutnemi i niebezpiecznemi złudzeniami, twój list bardzo by mnie głęboko zasmucił; żałowałbym, że mnie i światu ubywa tak miły i cnotliwy młodzieniec, po którym przywykliśmy się spodziewać, że będzie chlubą magistratury, że ojczyźnie odda znakomite usługi. Żałowałbym, że w ten sposób chcesz skończyć zawód, któryby cię mógł doprowadzić do bardzo świetnej przyszłości a tym sposobem uczynić zadość uczuciom godziwej i szlachetnej dumy i dać ci sposobność stania się użytecznym religii, społeczności i królowi na wysokiem stanowisku, któremu zapewnie i światłem i prawością umiałbyś godnie odpowiedzieć. Wszakże jakkolwiek radząc się własnych moich usposobień i własnego przekonania, niemógłbym w żaden sposób zaprzeczyć słuszności temu krokowi na jaki się zdecydowałeś tak prędko; jakkolwiek doświadczając sam nieraz obrzydzenia na widok szaleństw i przewrotności tak, niestety, częstych w samych trybunałach gdzieby powinny działać tylko rozsądek i cnota, nader się czuję skłonny do pochwalenia twojego zamiaru; to przecież

mam sobie za święty obowiązek wznieść się po nad ten rodzaj samolubstwa, skutkiem którego raczejby mi się chciało zazdrościć ci twego postanowienia nie zaś potępiać i zapytać cię, jeżeli nie z powagą do jakiej mi twój szacunek daje prawo, to przynajmniej z troskliwością przyjaciela, czy się zastanowiłeś dobrze nad tém co chcesz wykonać. Mój drogi Ravignanie, stan, do którego sądzisz się być powołanym, to stan wcale nie łatwy, jego obowiązki nader są twarde, ofiary jakich wymaga są prawie nadludzkie — a przecież ofiary te podjąćbyś musiał nie na dzień, nie na rok, ale na zawsze, na całe życie i to bez szemrania a nadewszystko bez żalu, chętnie, z zamięłowaniem walki przeciwko samemu sobie!

„Sądzisz-li, że będziesz miał dosyć sił i stałości do podjęcia takiego życia walki i poświęcenia? — w takim razie winszowałbym ci z głębi serca, że opuszczasz ten świat, na którym tłumy namiętności roztrącają się wzajemnie. Oh bo ja mój drogi, zbyt żywo sam doświadczam śmiertelnej nudy z tego rodzaju życia, abym nie umiał oceniać całej wartości słodkiego pokoju duszy, jakiego muszą używać ci wszyscy, którym Bóg użył dość łaski, aby żyć mogli z daleka od tego zgiełku wyuzdanych namiętności, głupstw i występków. Jednakże, proszę cię, zastanów się i powiedz, w postanowieniu twojem nieznajdujesz-li więcej samolubstwa niż szlachetnego popędu do poświęcenia się Bogu w życiu odoobnionem, w życiu umartwienia? Czy jesteś w samej istocie pewny, że upodobaniu własnej spokojności nie poświęcasz pewnych obowiązków względem społeczeństwa wśród którego postawiła cię Opatrzność!

„Oh ja uwielbiam, ja cześć tych bohaterów religii, którzy zerwawszy z światem poświęcają się na to życie doskonałości i ciągłej ofiary, bo kiedy to czyniąc mają na widoku tylko niebo a w sercu tylko miłość Boga,

mogą w ówczas bez porównania więcej uczynić i dla siebie i dla drugich niż my, którzy ciągle się miotając i siebie samych męczymy i drugim jesteśmy ciężarem. Ale, żeby takim bohaterem być rzeczywiście, jakże wielkich trzeba na to łask. Jakiejże trzeba potęgi, aby z człowieka stać się aniołem, a jeżeli anioł upadnie i wróci do stanu człowieka, już on w ówczas jest mniej niż człowiekiem, czémś straszliwie nędznym i nieszczęśliwym. Zastanów się nad tém mój drogi. Być może, iż dla tego, że sam czuję się niegodnym do próbowania tego rodzaju wysiłen, sama myśl o nich już mnie przeraża. Wierzę, żeś ty mocniejszy a jednak się lekam, bo ciebie kocham i piszę co ta miłość pisać każe. Przecież nie myślę występować przeciw temu coś postanowił, proszę tylko chciej zważyć com ci przełożył. Wszakże zamiar jeszcze nie spełniony?—jeźliby już był spełniony, w ówczas chciałbym cię tylko, o ile bym zdołał utwierdzać w miłości nowego stanu i modlić się abyś w nim był zawsze, czém być powinienś. Ściśkam cię „Bellart“.

Ravignan w samą rzecz odebrał ten list przed spełnieniem swego zamiaru i uwagi P. Bellart zrobiły na nim silne wrażenie. Sam opowiada, iż w całym swym życiu nigdy nie doświadczał podobnej niespokojności, że udręczenie jego było nad wszelkie wyrażenie; pomimo tego wytrwał w postanowieniu i niezadługo wszedł do Saint-Sulpice. Po całorocznym pobycie w seminaryum poznał, iż stan świeckiego kapłana nie zaspokoi chęci poświęcenia jaką się paliła dusza jego — więc opuścił Saint-Sulpice i wszedł do zakonu jezuitów w Montrouge. Czy w samą istotę znalazł seminaryum nie dość odpowiednio urządzone pod względem wykładu teologii i prawa kanonicznego, jako też pod względem karności i kierunku duchownego i czy to był rzeczywisty powód, który go zniewolił do zamiany Saint-Sulpice na Mont-

rouge, tak utrzymuje wielu, nam się jednak zdaje, że powód leżał w głębi serca. Ravnigan w rzeczy tak wielkiej wagi nie mógł się radzić okoliczności zewnętrznych i gdyby się nie czuł powołanym do wyższego poświęcenia się Bogu, byłby zmienił seminaryum na seminaryum, ale nie na nowicyat zakonny. Uczynił to jako alumn, co Lacordair'e wykonał już jako kapłan — obadwaj poszli tylko za głosem wyższym, który powołując ich do wielkiej missyi kaznodziejstwa i chcąc mieć jednego dopełnieniem drugiego, wskazał im dwa zakony — ale zakony, które obok pewnych różnic pod względem urzędu wewnętrznego i form zewnętrznych w tem się jak najzupełniej zgadzały, że aby być narzędzieniem Boga nauczającego i rozkazującego ludziom, trzeba wprzód zerwać wszystkie węzły stosunków czysto doczesnych a przez życie odosobnione w jak najściślejsze wejść stosunki z niebem; zakony, które też po wszystkie czasy swojego istnienia były prawdziwemi seminaryami kaznodziei i z których zawsze wychodzili potężni głosiciele *Słowa*.

Jak tylko wszedł do nowicyatu w Montrouge zaraz zwrócił oczy wszystkich na siebie. Pozycya do jakiej już był doszedł skutkiem zdolności, pracy a szczególnie skutkiem rzadkiej prawości charakteru, rozgłos niepoziem sławy, jakkolwiek świat zaczynał mówić o sławie, ale rozgłos powodzenia i szacunku jakich doznawał wśród zajęć nader trudnych i w pośród ludzi poważnych, wszystko to wprzód go zrobiło znajomym w zakonie nim objawił chęć swoją służenia w nim Bogu i kościołowi. Że sami Ojcowie dziwili się temu powołaniu, to rzecz bardzo prosta, jakkolwiek bowiem *Societas* miewała w gronie swoim wielkości wszelkiego rodzaju, obok których młody podprokurator z całą swą zdolnością i wziętością u świata zaledwie mógłby być dojrzalszym, jakkolwiek wpraszał się do niej jak najpokorniej

ludzie, którzy zeszli dobrowolnie z najwyższych społecznych lub naukowych stanowisk, a którzy, gdyby zechcieli na owych stanowiskach pozostać, świat byłby im stawiał ołtarze, to przecież piękne te chwile, zdawało się, że przynajmniej dla Francyi przeszły już na zawsze. W owych czasach, kiedy Ravignan zapukał do furty klasztornej, przestano już wierzyć, aby ktoś mógł porzucić stan dający sposobność zrobienia fortuny i nadzieję wysokiego dostojenstwa a porzucić dla tego, *żeby zostać jezuitą!* Dzisiaj Bogu dzięki, rzeczy coraz lepiej stoją, dzisiaj tego rodzaju powołania coraz częstsze — wielkie imiona historyczne i naukowe już niezadziwiają w katalogach klerikalnych — ludzie pewnych zasług społecznych dopraszają się natrętnie o zakonną sukienkę, równie jak ludzie młodzi i wielkich nadziei, — samę nawet nowicyaty jezuickie, do których niedawno jeszcze zaledwie śmiała się zbliżać młodzież z samych niższych warstw społeczeństwa, zaludniają się we Włoszech, w Niemczech i we Francyi ludźmi pod każdym względem wyborowymi. Dla tego dzisiejszym stanem rzeczy w żaden sposób niemożna mierzyć ofiary, jaką z siebie czynił Ravignan, kiedy w brew opinii powszechnej piętnującej nazwę jezuitę zapragnął jako jezuita poświęcić się sprawie Bożej. Stawszy się w krótkim czasie pociechą i nadzieją swoich ojców i współbraci sam zawsze był przekonany, że w przyjęciu do zakonu dostąpił wielkiej łaski i w tym duchu zawsze postępował. To tem więcej zasługuje u nas zwłaszcza na podziw i uwielbienie, im częściej się zdarza, że ludzie młodzi wstępujący bądź do seminarjów, bądź do zakonów i czując w sobie nieco więcej zdolności lub nauki, rozumieją że czynią łaskę zakonowi lub kościołowi i chcą, aby ich tak uważano. Nic śmieszniejszego, ale razem nic niebezpieczniejszego nad tego rodzaju pretensye i biada seminaryom lub nowi-

cyatom, gdzie się często one powtarzają. Pochodzi to ponajwiększej części ztąd, że przełożeni więcej uważają na zdolności umysłowe, niż na ducha powołania, pytają się pilnie kandydata, o to co umie, ale niestarają się zbadać, co go powoduje do wejścia w stan duchowny. Ztąd bowiem idzie, że kandydat nabiera przekonania, jakoby na niego wiele rachowano, jakoby tem większe przedstawiał nadzieje, im zupełniej ma skompletowane świadectwa skończonych szkół lub *maturitatis*. Gdzie to nieszczęście najwięcej grasuje, tam duchowni i zakonnicy większym bywają kłopotem dla kościoła, niż sami przeciwnicy. Gdzie przeciwnie w przyjmowaniu i próbie przedewszystkiem uważają na przymioty serca, na skłonności i kwalifikacye, które świadczą o rzeczywistości i stopniu powołania, tam duchowni niebędą może filozofami, geologami, botanistami, literatami, filologami, ale będą tem, czem być powinni, będą sługami bożymi, będą siłą i pociechą kościoła. Z drugiej strony, wszelkie obawy, aby się duchowieństwo nie znalazło w braku światła, jakiego nawet dzisiejszy świat wymaga, są bezzasadne a może nawet nieszczere. Bo najprzód, sprawa, której duchowieństwo ma służyć nie stoi światłem nauki ludzkiej, ale światłem boskim; bo powtórę duchowieństwo nie na to się kształci, aby czyniło zadość wymagalnościom świata, który był i jest zawsze ten sam i którego mądrość jest głupstwem przed Bogiem, ale na to, żeby odpowiedziało godnie wymagalnościom swego stanu, którego celem jest szukanie królestwa Bożego; bo po trzecie, doświadczenie jak najsmutniej uczy, że gdzie najwięcej zwracano uwagi na wykształcenie umysłowe duchowieństwa z zaniedbaniem strony praktycznej, tam najmniej prawdziwie uczonych i głębokich teologów, mowców, spowiedników i misyonarzy, tam są tylko owe *uczonostki*, z którymi niewiedzieć, co robić i

jak się niemi posłużyć, a któremi się często przeciwko kościołowi posługuje świat; bo nakoniec zawsze i wszędzie gdzie w przyjmowaniu i kształceniu młodzieży na duchownych rządzono się duchem ewangelii, nauką, prawami i radami kościoła, tam chociaż niewiele zwracając uwagi na świadectwa szkolne lub uniwersyteckie, nigdy przecież niebraknie ludzi wyższych zdolności i wyższej nauki, którzy przy rozwinięciu duchowem, przy żywem przejęciu się świętością swego posłannictwa, przy żarliwej miłości kościoła, przy dobrze ustalonej pobożności sami zrozumieć są zdolni, w jakim celu ze strony umysłowej Bóg ich więcej uposażył, i tym są pokorniejszemi a w usługaniu Bogu żarliwszemi im lepiej czują, że więcej wzięwszy, ściślej też kiedyś rachować się będą ¹⁾).

Otóż, jak powiedzieliśmy, Ravignan w przyjęciu swoim do zakonu widział łaskę Boga i dobrą wolę ludzi. Kiedy czuł, że coś dla niego czynią ze względu na jego przeszłość, radby był całą tę przeszłość jakkolwiek piękną i nie czyniącą wyrzutu przemazać, aby z tej strony niczem się nieróżnić od swych współbraci i tem zupełniej być z nimi jedno. Tak zaś po prostu, tak naturalnie starał się wypełniać przepisy, że choć nieraz żywsza żarliwość unosiła go nieco wyżej, on pracował, on walczył z sobą, aby się utrzymać na zwyczajnej drodze i aby w niczem współtowarzyszy nie przewyższać. A współtowarzyszę dobrze to czuli, więc też taką otoczyli go przyjaźnią, takim szacunkiem, że nieraz biedny nowicjusz mocno nad tem cierpiał, iż mimo woli stawał się codziennie więcej przedmiotem (tak zwaną w języku zakonnym) *partykularnej miłości*. Niezadługo, na

¹⁾ Tanto ergo esse humilior, atque ad serviendum Deo promptior quisque debet ex munere suo, quanto se obligatiorem esse conspiciat in reddenda ratione (*S. Greg. P. Hom. 9 in Evang.*)

przekór świata, który bądź z niewiadomości, bądź z za-
wiści utrzymuje, że w zakonie jezuitów nie znoszą żad-
nej wyższości i z reguły wszystko niwelują, na prze-
kor mówię podobnym sądom, Ravignan sam niewiedząc
o tem, począł nawet na starszych wywierać ów prze-
ważny wpływ, jaki zwykle daje prawdziwa, niezaprze-
czona wyższość. Naśladowali go sami nawet Ojcowie—
zwykle go nazywali pomiędzy sobą *człowiekiem modli-
twy*. Bo też on zawsze w tém cudowném a niewyczer-
paném źródle czerpał z żywym pragnieniem i wiarą, a jak
dawniej przez modlitwę, którą wyprzedzał i kończył
swe prace, usposabiał się do każdego wystąpienia w iz-
bach sądowych, tak teraz łączył ją ustawicznie z bada-
niem naukowem i każdą pracą, gotując się do wysta-
pienia w wielkim zawodzie profesorstwa i kaznodziej-
stwa.

Ale Ravignan miał dosyć piękny majątek. — Świat
zaraz gotów powiedzieć: „dla tego też jezuita tak go
chętnie przyjęli.“ — bo świat nigdy nie chce tego pojąć,
że gdyby jezuita w samej istocie w podobnych wido-
kach działali, jużby dawno wszystkiemu powinni dać
pokój a przynajmniej tamby niepowracali, gdzie ich
z wszystkiego obdzierają, i gdzie osobne prawa prze-
ciwko wszelkim pojęciom o własności stanowią, aby ni-
gdy do żadnej własności przyjść nie mogli. A co do
Ravignan'a, właśnie go dla tego tak chętnie przyjęli,
że w ich oczach jak najchętniej zrzekł się wszelkiej
własności na rzecz swój rodziny. Kiedy przed nim sta-
nął notaryusz publiczny, znający go przedtem i powa-
żający, kiedy go objaśniono w jakim celu został wezwa-
ny, zapytał zdziwiony:

- Kogóż Pan postanowiłeś zrobić spadkobiercą?
- Moich braci i moje siostry — odrzekł Ravignan.
- Jakąż więc część majątku chcesz im przekazać?
- Wszystko, bez żadnego ograniczenia.

— Ale czy się Pan dobrze nad tem zastanowiłeś?

— Jak najdoskonalej, to moja stanowcza wola.

— Pozwolisz jednak, iż Akt uskutecznienia téj woli odroczę do dni piętnastu, tymczasem może się Pan jeszcze rozmyślisz.

— Niech i tak będzie — ale za dni piętnaście nic innego Panu nie powiem, jak dzisiaj.

Po upływie dni piętnastu wezwano go do rozmownicy, gdzie nań czekał notaryusz i wchodzącego zagadnął:

— Eh bien! Monsieur l'Abbé?

— Eh bien! terminons.

I kontrakt został podpisany, a Ravignan zawołał z radością: „Bogu dzięki, teraz jestem zupełnie wolny, bo już nic nie mam.

Wszakże ta święta wolność, której się posiadaniem tak cieszył nie tyle zawisła na zerwaniu z tem co zewnątrz posiadamy, ile od owéj boskiej harmonii duszy z Bogiem, polegającej na wewnętrzném przekonaniu, że się nie działa z pobudek miłości własnej, dla dogodzenia samemu sobie, ale że przez nas Bóg działa. „O jak często mówi ś. Grzegorz, nie jest nam trudno „zrzec się tego co mamy, ale dziwnie trudno wyjść „z samych siebie, przestać należyć do siebie, stać się „własnością Boga *)!“. A Ravignan jakkolwiek za nic w świecie nie chciałby pomieniać nowo obranego stanu, jakkolwiek zrzekłszy się całkowicie i stanowiska w świecie i dosyć znacznego majątku, czuł, że serce jego za innemi tęskniło skarbami, że do zbierania tych skarbów już nie miał żadnej przeszkody, czasami przecież czuł, że jakaś dziwna, niewysłowiona, dręcząca niespokoj-

*) Et fortasse laboriosum non est homini relinquere sua: sed valde laboriosum est relinquere semetipsum. *S. Greg. Hom. 32 in Eoag.*

ność chwytala go za serce i gdyby nie ta otwartość bez granic, z jaką zawsze w podobnym razie przed starszymi otwierał to serce, niespokojność owa, jak sam wyznaje, nieraz byłaby go potraciła w zwątpienie, czy w samej istocie idzie za wolą Boga — czy wyrwawszy się z rąk świata nie wpadł w szpony egoizmu. Już jak widzieliśmy przed wejściem do Seminarium dręczyły go podobne obawy z powodu przyjacielskich uwag p. Bellart — teraz po owym pięknym akcie zrzeczenia się wszelkiej własności musiał przejść przez ogień daleko bolesniejszej próby. Już nie świecki jakiś przyjaciel, ale mąż będący we Francyi chlubą kościoła, wielki w swym czasie obrońca Chrystyanizmu, mąż zajmujący wysoki stopień w hierarchii kościelnej — biskup Frayssinous dowiedziawszy się, iż Seminarzystą Saint Sulpice przywdział sukienkę zakonną, zapytuje go w liście pełnym wyrażen ojcowskiej tliwości „czy Bóg na to mu „udzielił tych pięknych talentów aby je schował pod „korzec? czy godziło się samemu, bez zasięgnięcia „rady ludzi starszych, doświadczeńszych i miłujących „Boga rzucać się w stan, który w obecném społeczeń- „stwie zdaje się, że do żadnego przyjsć nie może wpły- „wu?.... Czy zresztą nie było to zbyt niemiłym ufaniem sa- „memu sobie, tak się prędko decydować na krok, od „którego może być, że zawisło wszystko, ale który nie- „roztropnie wykonany może też i zgubić wszystko; tém „więcej, że ludzie nawet wielkiego światła i doświad- „czonęj cnoty z wielką ostrożnością zwykle sobie w tej „mierze postępowali... “itd. itd.

List ten wręczył mu sam rektor przeczytawszy go poprzednio według przepisów zakonnych i rzekł odchodząc te słowa:

— Czytaj, mój synu, i bądź spokojny; jeżeliby ci zaś chodziło o to, co masz odpisać — to, pomódl się gorąco i pisz co ci podda miłość Boga i miłość zba-

wienia — pamiętaj jednak, że to pisze do ciebie biskup, i że te wszystkie uwagi wypłynęły z jego pasterskiej dla ciebie miłości.

Ravignan uczynił jak mu polecono — modlitwa wlała pokój w udręczoną nowemi obawami duszę — chociaż te obawy przez czas niejaki często wracały i wznawiały burzliwe przejścia. Z początku uczuł głęboki żal do biskupa — później żal ten przeszedł w słodkie rozrzewnienie w uczucie niewysłowionej wdzięczności dla Boga, iż kiedy w samej istocie tylu innych tak długimi i ciernistemi drogami zaledwie przyjąć mogli do zrozumienia względem siebie woli Bożej — on ją wyrozumiał tak prędko i łatwo... i wróciła dawna cichość, ale wróciła na zawsze. Była to jak sam wyznaje, najcięższa walka, ale też za to ostatnia — i biskup Freyssinous pisząc we trzy lata potem do jezuitę Ravignana list swój kończy temi słowy: „Błogo mi zamilknąć po „tylu latach pracy, gdy tobie mogę przekazać dotychczasowe moje posłannictwo.“

Jako kapłan mianowany był najprzód profesorem teologii dogmatycznej; nowy dowód, iż *Societas* umie oceniać prawdziwą wyższość pod każdym względem i w uczniach swoich to najusilniej rozwija, w czém największe okazują zdolności, — dowód także, iż zna się na środkach rozwijania dostrzeżonego talentu i umie je zastosować, aby ów talent nie chybił swego przeznaczenia. Ażeby Ravignan już z natury usposobiony na mowę, mógł wystąpić z całą głębokością i siłą nauczycielstwa, ażeby owe zdolności naturalne jak najlepiej zużytecznieć, ażeby przyszłemu kaznodziei dać silną podstawę i otworzyć jak najrozleglejsze pole działania, kazano mu uczyć dogmatyki, a tem samem badać dogmata wszechstronnie i już z wyższego stanowiska; te dogmata, bez znajomości których kaznodziejstwo chybiałoby celu i schodzi albo na czeze gadulstwo, albo na

nudne moralizowanie. Ravignan z powierzonego sobie stanowiska bardzo był uszczęśliwiony i zaraz cały się oddał badaniom dogmatu, który zawsze był najulubieńszym przedmiotem prac wszystkich głębszych umysłów katolicyzmu. On widział w dogmatach nie samą tylko abstrakcyjną formę prawdy ale samą żywą, boską prawdę w rozlicznych stosunkach do ludzkiego rodu — on je pojmował jako światłość, żywioł i zasadę życia — on pojmował, iż sprawiedliwy dla tego *żyje z wiary*, że przez wiarę bierze w siebie dogmat, przez który znowu udziela się *Słowo wychodzące z ust Najwyższego*, będące przyczyną wszelkiego bytu i wszelkiego życia. A co tak pojmował, niepodobna, żeby się do tego nie palił. To też ogromna folia stały się dlań najmilszym towarzystwem po towarzystwie z Chrystusem i z braćmi. Podziwiał i naśladował świętego Bonawenturę, który u stóp krzyża przychodził do najwznioślejszych pomysłów, wszakże nie wnosił ztąd, jakoby ów doktor Seraficki pogardzał nauką i badaniem i jakoby można zostać wielkim teologiem trawiąc czas na próżnych gadaninach i towarzystwach bez celu. Mniej się zajmował gazetami lub czytaniem autorów podających wielkie prawdy w mizernych ramach encyklopedyzmu bez żadnego odniesienia do życia, jak obrazki na parawan, ale za to wertował ustawicznie Summę świętego Tomasza, Izaijasza proroka, ś. Pawła i ś. Augustyna, te swoje najulubieńsze księgi. Ani też przestawał na samém tych dzieł czytaniu, ale badał, zestawiał, medytował i jak po szczeblach mistycznej skali to w górę wybiegał uogólniając prawdy podrzędne w Prawdzie wszech prawd, to zbiegał na niziny praktyczności wnioskując i szukając strony, którą się życie ludzkie o owe prawdy zaczepia. Obok tego wczytywał się w dzieła starożytnych, badał teogonią pogańską, wpatrywał się w dzieła herezyi, zbierał noty i tym sposobem gromadził owe skarby mądro-

ści i wiadomości z którymi potem stanął w obec dumnej swą niewiarą Francyi aby jej powiedzieć z słodyczą boskiego Mistrza: „jesteś ślepa i umierająca — oto „masz światłość i życie!“

Profesor dogmatyki nagle został wezwany przez arcybiskupa Paryzkiego aby wstąpił na mównicę Notre-Dame. Było to w roku 1837. — Rok przedtem na téjże saméj mównicy widziano Lacordair'a. — Utrzymać się na niéj z powodzeniem po takim mowie, jak był Lacordaire rzecz trudna — wszyscy mówili, że niepodobna, ale kiedy się Paryż dowiedział, że następcą ma być Ravnigan, tłumy niezliczone napełniły wielką Bazylikę a niecierpliwość oczekiwania była w całym znaczeniu tego wyrazu — gorączkowa.

Autor *Biografii Współczesnych* przystępując do konferencyi Ravnigan'a utrzymuje, że w tym rodzaju wymowy religijnej przewyższył wszystkich nie wyjmując nawet Lacordair'a, na co, jakkolwiek konferencye te mają niezawodnie swe wielkie zalety, zgodzić się przecież nie możemy. Sąd ów tak niby pochlebny, więcéj był wypływem osobistéj niechęci dla Lacordair'a, niżeli trzeźwego uwielbienia dla kaznodziejskich prac Ravnigan'a. Konferencye tego ostatniego mogą mieć wyższość pod pewnym względem — one są wykończone, ściśléj teologiczne, ale słuchane a nawet czytane obok konferencyj Lacordair'a mniej są wymowne, mniej kaznodziejskie. Aby zrozumieć w czem się głównie różnią dość jest powiedzieć, że Lacordaire mówił zawsze z natchnienia, a Ravnigan pomysły swoje spisywał, porządkował i już w doskonale urządzonej formie wynosił w swéj pamięci na ambonę. W porównaniu z innemi mowcami, mniej jest harmonijny niż Frayssinous, za to więcéj ma rzeczy; — mniej rozprawia niż Bautain za to więcéj uczy; Cambalot pięknie maluje cnoty ewangeliczne, on zaś dzielniej je wpaja; O. Felix uczeniej przedstawia, ileby

społeczeństwo zyskało gdyby chciało być jedno z kościołem, on zaś społeczeństwo do którego mówi zniewala, aby nie było czem innem, *tylko Kościołem*. O. Felix walczy z teoryami antykatolickimi i wykazuje jak straszliwie wpływają na życie indywidualne, rodzinne i społeczne — a O. Ravignan nie chce o nich wiedzieć, ani ich wspomina, jakby uważał ich nazwy za profanacją miejsca, z którego zawsze tenże sam Chrystus przemawia ale za to taką wpaja miłość prawd katolickich, że przed ich ciepłem wszystkie owe zasady jak brudne mgły pierzohają; jednym słowem O. Felix, któremu dzisiaj po Lacordierre i Ravignanie jakby w wyłączny monopol oddano ambonę Notre-Dame, tém najwięcej różni się od nich, że kiedy tamci podnosili dusze opustoszałe przez niewiarę, złamane zwątpieniem, sponiewierane nędzą bez ubóstwa, boleścią bez krzyża — on tymczasem wszedłszy na opuszczone przez nich pobożowisko uciera się z podnoszącymi głowę tu i owdzie doktrynami, aby na nowo dusz rozjaśnionych, posilonych, pocieszonych nie obalamowały. Można powiedzieć, że jak Lacordaire jest drugim rozdziałem Frayssinouse, tak Ravignan w swoich konferencyach jest trzecim rozdziałem Lacordair'a, tak nakoniec O. Felix jest epilogiem całego dzieła. On kończy szereg mowców por restauracyjnych, których posłannictwem była walka nie tylko przeciw naukom i dążnościom antykatolickim, ale i przeciw wszelkim projektom zgody i wzajemnych koncesyj między tem co jest z Chrystusa a tem co jest z ojca kłamstwa. Konferencye Notre-Dame były jednym z owych działaczy, które przygotowały pokój między Francją a Kościołem, one nam przypomniały tę świetną epokę, w której pierwsi Ojcowie pracowali nad podbiciem społeczności pogańskiej pod panowanie Chrystusa, zobaczmyż jakie są w tej mierze zasługi Ravignan'a.

Krytycy *à la Revue des Deux Mondes*, ludzie, którzy żywiąc całą nienawiść przeciw kościołowi, dla tego tylko przeciwko niemu otwarcie nie walczą, żeby do reszty nie stracili popularności w obec społeczeństwa, które jak najwyraźniej powiedziało, że *jest i chce być katolickim*; ludzie którzy tonem śmiesznego umiarkowania wszystko krytykują na niekorzyść, co tylko silniej w imieniu katolicyzmu wystąpi, którzy przy całej swojej układności, chęci zgody, galantomii względem tego co nienawidzą zbliżają się, że tak powiem na paluszkach do wszystkiego co stanowi sprawę katolicyzmu, podglądają, podsłuchują a nie mogąc nic wynaleść, chwalą bezczelnie co koniecznie chcieliby zmieszać z błotem, chwalą dla tego, żeby od pochwały mogli przejść do pewnego *ale* i dostrzegłszy niby jakiejś słabej strony wskazują takową łatwowiernym i nieświadomym mówiąc z judaszowskim ubolewaniem: „Ach! to przecie nie jest tak dobre, czyste „i piękne jak wam się zdawało“ — tacy ludzie dowodzili i dowodzą bardzo obszernie, że jak Lacordaire tak i Ravnigan nie są bez *pewnej* wartości, że wszakże katolicy błędzą grubo, jeżeli rozumieją, jakoby ich konferencye jako apologia miały jakąś rzeczywistą wartość, że one więcej zaszkodziły sprawie religii, niż jej pomogły. Ale dla czego? Pan Alexander Thomas w jednym z swych artykułów, gdzie mówi o konferencyach Lacordair’a odpowiada: „Dla tego, że stanęli na gruncie wcale niekatolickim, dla tego że zeszli ze stanowiska tradycyi, że się nawet znajdują w pewnej sprzeczności z tradycją?“ Z jaką tradycją? Czy z tradycją kościoła katolickiego? „To nie, ale z tradycją kościoła we Francyi — według nich Bossuet, to gallikanin, więc na „bok z nim, bo moda jest być ultramontanem. Fénélon nie więcej wart, bo zanadto pachnie wiekiem ośmnastym. Massillon, to biskup-dworak a dzisiaj moda „należyć do opozycyi, odwoływać się przeciw rozpo-

„rządzeniom królewskim do paragrafów prawa kanonicznego lub bo decyzji Rzymu ³⁾“. I myślałby kto, że to krytyk gruntownie katolicki, bo przecie katolicyzm każdą powagę podnosi, uświęca, tymczasem to tylko zręczna appellacya już nie do usposobień Gallikanizmu, którem jak niegdyś jansenizmem grzecznie szarpano kościół, a który Bogu dzięki już tylko jako nieboszczyk tu i owdzie jeszcze wspominany, lecz appellacya do katolików, którzy w prostoduszności, lub zarozumiałości wierzą mocno, że gdyby nie Bossuet, jużby Kościół dawno był zaginął, lub też po prostu do próżności narodowej. Chcesz się przekonać, czytaj co w tymże samém przeglądzie piszą o kilka numerów wprzód lub potem panowie *Consortes*. Czytaj naprzykład co o konferencyach Lacordair'a i Ravignan'a trzyma P. Emile Saisset. Według niego prace kaznodziejskie tych dwóch mówców nie mogą mieć żadnego wpływu, bo to są odgrzewania rzeczy dawnych, które dla dzisiejszego społeczeństwa wszelki smak straciły ⁴⁾. Czytaj co w tym samym roku napisał p. Luandre. Oto są jego słowa: „Ravignan najznakomitszy reprezentant *szkoły starożytnej* z całą powagą, poprawnością i metodą kaznodziei zakonu, do którego należy. . . . Ravignan zawsze *podany niezłomnym prawom tradycyi* (soumis aux règles inflexibles de la tradition) — on przedstawia *przeszłość* w ciągłych zapasach z postępującym duchem czasu — on przez powagę swych ruchów przez jakiś wyraz ascetyzmu, przez duchowość malującą się w obliczu i całej postaci ma coś w sobie świętego, czem pociąga i zniewala“. (Dotąd pochwała — teraz *ale*). „Wszakże

³⁾ Les Sermons de M. Lacordaire par M. A. Thomas. (Revue des deux Mondes 1845. N. 4. Avril).

⁴⁾ De la Philosophie du Clergé. VI. p. E. Saisset (1844. N. 4. Avril).

kazania jego działają daleko słniej na niewiasty, niż na umysły męzkie, bo ten zapal miłości, z jakim zwykle mówi działa daleko więcej na wyobraźnię niż na umysł.“ I dla czego jeszcze? „Dla tego, że jego pomysły są to rzeczy dawne, znane, tylko w nową przestrojone formę. Dla tego, że w myślach brak oryginalności, że się niczem nie odznaczają, że za nadto się wdaje w dyskusye dogmatyczne. Gdy walczy sceptycyzm albo herezye wciąż się ucieka do faktów i dowodów historycznych; w przedstawieniu prawd religijnych, w dowodzeniu ich boskości wciąż się powołuje na świadectwa . . . itd. itd. ⁵⁾.

Tak więc, co według jednego, *gdyby było w mowcy*, byłoby dopełnieniem jego wartości, to według drugiego właśnie dla tego, że *jest w mowcy*, stanowi jego słabą stronę. Nieprzypatrzilibyśmy tego rodzaju krytyki, gdyby szło tylko o to, jak w niej prace Ravignan'a ocenia szkoła tak zwanych umiarkowanych, której stanowisko mimo całego pozoru umiarkowania, wyrachowane jest zawsze z pokrytym fanatyzmem na zniweczenie wzrastającej popularności katolicyzmu. We Francyi, gdzie opinia publiczna pod względem religijnym dzieli się na dwa obrazy, *za* i *przeciw*; gdzie jak przychylność tak i nieprzychylność jest zawsze *ultra*: we Francyi, gdzie zasady o tyle tylko mają szansy na polu działania o ile są wyraźnie i stanowczo oznaczone; we Francyi powtarzamy, tego rodzaju dwulicowa propaganda najmniej pewnie jest niebezpieczną. Dzienniki, przeglądy i dzieła w jej duchu pisane, być może, iż mają najwięcej prenumeratorów, alebym powiedział, że właśnie dla tego, najmniej mają popularności. Nikt może więcej

⁵⁾ Du Mouvement Catholique, dernier partie, par M. Ch. Louandre (1844 N. 2. Février).

niemiał czytelników jak Lamartine lub Thiers a pomimo tego na polu działania nikt podobną większością głosów odepchnięty niebył. Przecież niepiszemy dla Francji — a u nas w skutek niestałości, albo raczej braku opinii, rzeczy stoją zupełnie inaczej. Dwójznaczność u nas wielką odgrywa rolę, nie dla tego, żeby miała leżeć w naszym charakterze, ale dla tego, że często pod względem zasad sami niewiemy czego chcemy, lub też niewiemy czego i jak chcieć. To usposobienie sprawia, że zwykle jesteśmy skłonni iść za opinią katolicką, byle nieszła za nadto daleko i wciąż przeciwko temu *nadto* protestujemy. Zeszedłszy z granitowej opoki wiary, która nam wystarczała za próbiez milion razy pewniejszy niż *to*, co świat dzisiejszy zowie *opinią* i co jest jego wyrocznią, a ledwie stanawszy na tym nowym, elastycznym i ustawicznie chwiejącym się gruncie, to najłatwiej przyjmujemy, ku wyrabianiu zasad, co w samej istocie robi nas ludźmi bez zasad. Ztąd idzie, że nawet dzieła i czasopisma najwyraźniej antykatolickie, jakimi na przykład były dzieła Trentowskiego, lub czasopisma poznańskie, jakkolwiek przemawiające do wszystkich naszych słabostek i z gorączkowym szaleństwem czytane, nieosiągnęły przecież zamierzonego skutku, tylko owo chwieianie się umysłów zwiększyły. Ztąd idzie, że pisma najgruntowniej katolickie, pisma najzbawieniejszych i silnie zdecydowanych dążeń przyjęte były z pewną śmieszną nieufnością, lub (mówiąc prawdę), z obawy onego *nadto* wcale nieprzyjęte. Ztąd idzie, że każda hegeliańska czy prudhonowska doktryna złagodzona jakąś dozą katolickich pojęć, lub wcale tylko katolickich wyrażen, staje się dla słuchających albo czytających prawidłem pojmowania, rozumowania i sądu. Ztąd też nakoniec i owa zachodnia literatura gazetarska albo przeglądowa panów de Sacy, de Broglie, de Remusat, de Saisset i mnóstwa innych, jest dla wielu

jak owe *Verba Magistri*, na któreby może nieprzysięgli, ale któremi przecie umysły swe karmią jako chlebem nadzwyczaj do strawienia łatwym, ale też dla tego pozor tylko siły dającym. A przecie nie jest to rzecz do pominięcia, kiedy się zważy, że owo wygodne złudzenie staje się potem punktem wyjścia do sądzenia o ludziach i rzeczach a tem samem wpływa na wytwarzanie opinii w massach już i tak dziwnie pozorniej i niebezpiecznej. Mniejsza byłoby jeszcze, gdyby szło tylko o ocenienie tego lub owego pisarza, publicysty lub mowcy pod względem ich literackiej wartości, ale niemniejsza, kiedy ów pisarz czy mowca jest oceniany jako reprezentant pewnej akcji lub reakcji, jako wyraz pewnego społecznego ruchu⁶⁾. Dla tego pozwoliliśmy sobie na to może przydługie zboczenie, ale wcale nie od rzeczy; wiemy bowiem, że jak na przykład oburzano się na owe szlachetne zapasy, które duchowieństwo francuskie stacza z gallikanizmem — a oburzano się jedynie dla tego, że według *Revue des deux Mondes*, walka ta idzie za daleko, że jest zabójstwem tradycyi(?) — tak podobnie z podejrzeniem mówią o działaniu znakomitszych duchownych, coraz to zbawienniejszy wpływ wywierających, nie na same kobiety, jak pisze pan Luandre, i jak u nas *powtarzają*, ale na wszystkie warstwy społeczeństwa. Że tak piszą pokryci nieprzyjaciele sprawy katolickiej, usiłując tym sposobem odwrócić od niej umysły chcące uchodzić za *mężkie*, to niedziwno, ale że to u nas *powtarzają* tak lekkomyślnie ludzie uchodzący za katolików; ludzie, których w żaden sposób niemożnaby podejrzewać o intencje wprost prze-

⁶⁾ Artykuł p. Luandre, z którego przytoczyliśmy powyżej krytykę Ravignan'a właśnie jak tego rodzaju — sam autor nazwał go rozprawą *O ruchu katolickim*. Nieidzie mu o Ravignan'a ale o ruch w jakim Ravignan wziął udział.

ciwne wyznawanym głośno zasadom — to istotnie byłoby nie do pojęcia gdyby z drugiej strony od zarzutu dwóznaczności, nie broniła ich ta smutna prawda, że owo wyznanie jest raczej przyznawaniem się do zasad, których się wcale niema.

Ale wróćmy do Ravignan'a.

Oto co o nim pisze jeden z redaktorów *l'Université Catholique*:

Ravignan w konferencyach swoich nieokazał wprawdzie owych na pierwsze wejrzenie uderzających wielkiego mowy przymiotów, jakimi Opatrzność czuwająca nad społecznością naszą uposażyła Lacordair'a, ale też za to wolny od wszystkiego, co w dominikanie raziło, co stanowi jego słabą stronę, posiada wszystko co do mówienia z silnem i stałem wrażeniem pomaga. Jasność myśli, łatwość przekonywania a zwłaszcza żelazna we wszystkim loiczność oraz słodycz i spokojność obok zapалу, który go nieopuszcza na chwilę i najściślej teologiczne wywody ożywia, oto są przymioty, któremi niezawodnie z poprzedzicielem swoim staje na równi. Ktoś powiedział, że kiedy słuchając Lacordair'a trudno jest wstrzymać się od poklasku, to podczas gdy mówi Ravignan, serca słuchaczy uderzają w poklask wdzięczności przed Bogiem. Gdy mówi Lacordaire rzekłbyś, że głowy słuchaczy się palą, a gdy się odezwie Ravignan słowo jego rozjaśnia umysły a zagrzewa serca. Tamten zdobywa skutkiem niesłychanego entuzjazmu jaki obudza przez nie zrównaną swą oryginalność i wielu wierzy temu, co on mówi, dla tego właśnie *że on mówi*; ten zaś każe miłować prawdę, dla tego, że jest piękną, wielką, boską, dla tego, że jest prawdą i sama przez się jest miłości godną. Gdy na konferencye Lacordair'a cisną się tłumy pociągnięte urokiem jego indywidualności — Ravignan'a tymczasem biegną słuchać z potrzeby, aby się nauczyć i wzmocnić. Lacordaire skutkiem swych

stosunków z Lamenem pojęcia religijne często mieszał z politycznymi i tak je nawet nieraz wynosił na ambonę; Ravnian w całej czystości opowiadał Słowo Pańskie, a na jego ustach nigdy nie takiego niepostało, co by w nim mogło zdradzać człowieka tej lub owej barwy politycznej. Kiedy ktoś zrobił mu z tej strony zarzut on miał odpowiedzieć: „pozwól mi pan, abym o ile Bóg „pozwala był wszystkim dla wszystkich; a kiedy wier- „nych Chrystusowych tak smutno dzielią czasowe poję- „cia, pozwól mnie kapłanowi zbliżyć i jednoczyć boskiej „prawdy pojęciami. Nasza polityka — to miłość wszy- „stkich ludzi w Bogu i dla Boga.“ Komuś innemu czyniącemu podobny zarzut odrzekł z słodyczą: „to „wszystko mój bracie niewarto jednego Ojciec nasz.“

12 lutego 1837 roku rozpoczął konferencyę. Przedmiot był ważny i zajmujący; to co mówił, dowodziło, że znał dobrze swój czas i wiedział czemu społeczeństwo trzymało się prawdy, a czem od niej odstawało. Najprzód wykazał, że to społeczeństwo niemoże być jak tylko katolickie, bo to, co stanowi jego żywioły wzięte jest z katolicyzmu i gwałtem do niego prowadzi; potem przedstawił jako społeczeństwo będąc w walce z katolicyzmem, jest tem samem w walce z sobą i wykazał powody tej walki. W tem pierwszym wystąpieniu pokazał się równie wielkim znawcą dziejów, literatury i ludzkiego serca jak głębokim teologiem: Obraz postępu katolicyzmu w obec postępu umiejętności był śmiały, rozległy i wykończony — wrażenie było ogromne. Na- zajutrz dzienniki pełne były sprawozdań i recenzyj, już to o samym mowcy — już o tem co mówił już wreszcie o dążnościach rozpoczętych konferencyj. *Constitutionnel* nieposiadał się z gniewu — groził stolicy ukno- waną machinacją przez jezuitów — ostrzegał, że jeżeli Ravnian wystąpi podobnie jeszcze kilka razy, to się wnet za nim ukaże w Paryżu cała armia synów Lojoli.

Inny tejże barwy dziennik upatrywał w dążności *nowego słowa* chęć zaczepiania Uniwersytetu a nawet wypowiedzenia mu wojny. Czemużby *nie*, jeżeli w samej rzeczy uniwersytet czuł się sam w wojnie z katolicyzmem, którego obronę wielki mówca podjął?

W konferencji następnej dowodził równie szczęśliwie że zaprzeczenie grzechu pierworodnego ⁷⁾ jest przyczyną wszystkich błędów i całego nieszczęścia społeczności męczącej się z złem po za sobą a zwiększającej je w sobie. W tłumie słuchaczy można było widzieć dwóch biskupów oraz internuncjusza rzymskiego. Chateaubriand i Berryer żadnej konferencji nie opuścili. Mowca silne pomysły de Maistra wprowadził na najwyższe przyczółki teologiczne. Pod światłem zasadniczego dogmatu katolicyzmu o upadku pierwszego człowieka jak pod światłem krwawej pochodni poglądał z wysoka na dzieje, to znów zastępował w tajniki ludzkiej natury i wskazywał straszliwe jej upadku ślady. Mówiąc o Bossuetcie jako o człowieku, który najgłębiej pojmował historię ludzkiego rodzaju tak się odzywa: „Zjawił się Bossuet „i objawszy spojrzeniem orla ten niezmierzony łańcuch „pokoleń, którego my wszyscy jesteśmy zaledwie dojrzanymi ogniwami, widział, jak się w nim olbrzymie „mi zarysami objawiała ta myśl boska, która w odwieczności przygotowała nieomylny środek naprawy „dla upadłego stworzenia. Cała historia ludzkiego rodu była przed jego oczyma jak jeden wielki obraz, „którego pierwszym wyrazem był grzech pierworodny, „a ostatnim odkupienie. Upadek monarchii, tworzenie „się na ich gruzach coraz to nowych społeczeństw, zjawianie się wielkich wojowników, ich powodzenie w pod-

⁷⁾ Deuxieme Conference. Que le dogme du péché originel est la seule base de la véritable philosophie; de l'histoire. 19 Février 1837.

„bijaniu narodów, zbrodnie tyranii, szaleństwa ludowe,
„strasliwe szamotanie się anarchii z despotyzmem i de-
„spotyzmu z anarchią, wszystko to we wzniosłem jego
„pojęciu pracowało nad spełnieniem wyroku sprawie-
„dliwości i miłosierdzia boskiego, wszystko ostatecznie
„służyło mającemu przyjść Zbawcy Jezusowi Chrystu-
„sowi. Gdyby dziejopisarze chcieli mieć zawsze ten wzór
„przed oczyma, gdyby się wzniosła filozofia historii na tę
„wysokość gdybyście czytając i rozważając dzieje ludzkie-
„go rodzaju na takim oparli się gruncie, gdybyście to wszy-
„stko, co się stało za własnej waszej pamięci i co obe-
„cnie się dzieje, co was otacza, dotyka, zdumiewa,
„przeraża, zasmuca i boli podobnie stawiali między
„przyczyną, którą jest grzech, a celem, którym jest
„odkupienie — O wtenczas wszystko byłoby zrozumiałe,
„jasne, a nie jak bywa zwykle, ciemne, strasliwe i
„w przepaść rozpaczy spychające!“

W dalszych konferencyach przedstawił dzieje *Prawdy* poczynawszy od pierwotnego objawienia aż do Jezusa Chrystusa i wykazał najprzód; jako w religii pierwotnej; w podaniach pałryarchalnych, w całej epoce przed Mojżeszowój, ta Prawda mimo niezliczonych błędów i zbrodni, kalających drogę, którą w tym czasie przeszedł ludzki rodzaj, przechowała się cudownie zawsze czysta, niezwyciężona, tryumfująca! Jeden z najznakomitszych tegoczesnych pisarzy katolickich Donozo Cortez w swém nieśmiertelném, acz małej objętości dziele *O katolicyzmie i socyalizmie* widocznie miał przed sobą te konferencye, kiedy kreślił obraz społeczności pierwotnej, rozbitej i tonącej wśród bezbrzeżnego oceanu piętrzącego się coraz to nowym buntem przeciw niebu — obraz społeczności wciąż spiknionej przeciw prawdzie, a mimo tego, siłą tej prawdy uratowanej. Obraz ten przepychem kolorytu, potęgą expressyi niezawodnie przewyższa wszystko, co w tej mierze w czasach naszych powiedziano lub

napisano, ale mistrzowi nie ubliża to wcale, że kreśląc wielki dziejowy epizod radził się mowcy, który na rzeczy spoglądał z Bossuetowskiej wysokości.

Po przedstawieniu pochodnu prawdy w czasach religii pierwotnej, przeszedł następnie do epoki Mojżeszowej. Tu wyłożył znaczenie teokracji tak fałszywie zwykle pojmowanej i jeszcze raz dowiódł jak się głęboko wtajemniczył w myśl Bossueta, gdy wykazał; iż katolicyzm w swoich pojęciach o Władzy i w swoich dążnościach nigdy nie wiódł ani wiedzie do teokracji; że teokracja była tylko dziejowym momentem prawdy, że ta prawda już jęj dzisiaj nie potrzebuje objawszy wszystkie stosunki i przewodnicząc rodzajowi ludzkiemu w poszukiwaniu królestwa Bożego, które raz na zawsze odbudował Chrystus — a w obec którego teokracja Mojżeszowa ma już tylko znaczenie figury. Wystawiwszy dalej wszystkie zgrozy poganizmu, tego wielkiego odszczerpieństwa od prawdy, dowodzi, iż bałwochwalstwo w swoich tradycjach jest najświetniejszym tęg prawdy tryumfem a zadając sobie to zapytanie z De Maistre'm:

„*Quelle vérité ne se trouve pas dans le Paganisme* *)?

Wykazuje nareszcie z Bossuetem, że wszystkie błędy religij bałwochwalczych są tylko sfalszowanemi prawdami.

W dalszej konferencyi przedstawił prawdę idącą w krwawe zapasy z pogaństwem w chwili ukazania się Chrystyanizmu — i zakończył obrazem jęj stanowczego tryumfu. Walki i zwycięstwa prawdy pod panowaniem ewangelii, były przedmiotem zapowiedzianego słowa na Niedzielę następną. Napływ słuchaczy tak był wielki, że się prawie duszono, a mimo tego głos mowcy zwy-

*) Tem zapytaniem de Maistre rozpoczyna traktat „*O ofiarach Théorie chrétienne de Sacrifices*”, jako ustęę dodatkowy do *Wieszczeń Petersburgskich*.

kle niedonośny, tą razą mimo nadzwyczajnego ścisku wszędzie był słyszany. Ravignan nie mogąc rozszerzyć świątyni, zdawało się, że rozszerzył swe piersi. Była to szkoła miłości, ale ta szkoła wiele kosztowała mowę, Wszakże pojmuje się bardzo, że dla przychodzących słuchać z taką chciwością o tryumfach Zbawiciela — błogoby było nie tylko kilka lat życia poświęcić, ale choćby też od razu całe życie oddać. Konferencya ta powszechnie była uznana za najpiękniejszą. Mówił, jak przeciwko Prawdzie tryumfującej na gruzach majestatu bogów a uznanej i uwielbionej przez majestat Cezarów wystąpił do walki Ojciec kłamstwa w postaci filozofów liżących stopy ukoronowanego Apostaty, a potem w postaci herezyi, zwłaszcza arianizmu i jako z téj walki prawda broniona krwią nowych męczenników i żarliwością biskupów wyszła jeszcze piękniejszą i potężniejszą. W konferencyi przedostatniej odmalował dwojaką napaść fałszu przeciw Oblubienicy Pańskiej, pierwszą przez miecz i ogień, czyli przez fanatyzm Mahometyzmu, drugą przez biblią i rozum, czyli przez fanatyzm protestantyzmu. Portrety Mahometa i Lutra zdają się być Tacytowską ręką wykonane. Kończąc ten pierwszy oddział, zesumował wszystko, co był dotąd powiedział i ostateczną konkluzję zamknął w tych trzech słowach: *le catholicisme est un fait accompli* ⁹⁾.

Kiedy już skończył i w słowach zwróconych ku arcybiskupowi oświadczył jak najtkliwiej wdzięczność swoją, iż mu pozwolił wziąć udział w téj nowego rodzaju misyi, a z podziękowaniem za chętnie przyjęcie słowa, przez które usiłował przelać w ich serca miłość Chrystusa i miłość kościoła połączył cudnie piękne wyznanie pokory, — wówczas arcybiskup, którego oblicze rozjaśniało wyrazem apostolskiej radości i dumy, wy-

⁹⁾ Septième Conference. 10 Avril. 1837.

rzekł te słowa będące niezawodnie najpiękniejszą pochwałą mowcy:

„Najmilsi! Kiedy rok temu równie licznie zebrani zgnałście ulubionego mowcę udającego się do stolicy „Książęcia Apostołów po nowe światło i siły, żaden „z was zapewne nie domyślał się, aby przed jego powrotem z tego świętego miejsca mogło z równą mocą „brzmieć słowo Pańskie. Tymczasem jak widzicie Bóg „dał wam kapłana, który w cichości i odosobnieniu „uspósobił się na narzędzie łaski i pociechy. Dziękujcież mu i umiejcie okazać się godnymi tego *nowego* „*Chryzostoma* unosząc w sercach swoich głoszone wam „przezeń prawdy i czyniąc je prawem życia.“

W rok potem, Ravignan wezwany przez arcybiskupa ukazał się znowu w Notre-Dame. Tą razą już nietylko Quélen, ale i cała kapituła z wyższém i niższém duchowieństwem oraz cała katolicka publiczność oświadczyły się za nim. Lacordaire był jeszcze w Rzymie i nie prędko myślał powracać, dopóki zaś on niewracał, prawie już niepodobieństwem było dzieło konferencji komuś innemu jak Ravignan'owi powierzać. Rodzaj kaznodziejstwa de Dupanloup, de Guerry, de Combalot po tém wszystkiém, co Paryż przez dwa lata słyszał już był nieco za słaby. Jakkolwiek bowiem mowcy tego rodzaju mówili zawsze z wyższym talentem i gorliwością, to przecież ambona metropolii już za nadto świetna otaczała auręolą, ażeby tam mogli być słuchanymi i z zajęciem i z pożytkiem. Zresztą szło głównie o to, żeby jak najwięcej pociągnąć dusz i sprawie dobrej pozyskać, nikt przeto nie mógł mieć za złe tej preferencji, ale owszem każdy lepiej myślący i życzący kościołowi chętnie się na nią zgadzał.

Zatém jak powiedzieliśmy, Ravignan znowu się odezwał, a zapal z jakim był przyjęty z niczém porównać się nie da. Mówił o katolickim pojęciu Boga.— W tym

tak trudnym przedmiocie a szczególnież trudnym dla kaznodziei, który nie może przemawiać ani jako filozof, ani jako teolog, ale musi nauczać w formie popularnej — w tym przedmiocie, który jest najważniejszym i najpierwszym punktem spornym pomiędzy racjonalizmem a katolicyzmem — mówca uniknął szczęśliwie dwóch szkopułów, o które się zwykle rozbijają systemata tak zwane filozoficzno-teologiczne. Oznaczając granice rozumu nie zaprzeczył mu jego praw ani możliwości w dochodzeniu egzystencji Boga — ale z drugiej strony przedstawiając, co rozum pod tym względem *może*, wypowiedział zaraz z nader silnym przyciskiem *jego absolutną niemożność pojęcia osobowości Boga*. Rozum może dowieść, że Bóg jest, bo człowiek ma ideę Boga a jak się wyraża de Maistre: nie można mieć idei tego, co nie istnieje ¹⁰⁾, ale ze względu na pojęcie Boga rozum jest ciemny i niepłodny. W konferencyach z roku 1843 ¹¹⁾ dotykając tegoż samego przedmiotu tak się wyraża: „Od „sześciu tysięcy lat rozum szuka i szuka a wiele razy „się dotknie owych wielkich idei, które człowiek nosi „wryte w swoim sumieniu, wielokroć razy chce do- „wieść nieśmiertelności duszy, osobowości Boga, stosun- „ków duszy z Bogiem lub jej ostatecznych przeznaczeń, „tyle razy znajdował i znajduje zwątpienie i rozpacz.“

Przedstawiwszy chrześcijańskie pojęcie Boga, przeszedł następnie do działania boskiego, czyli do pojęcia Opatrzności ¹²⁾. Konferencya ta jest areydzieniem dyalektyki. Tu wykazał, jako samo pojęcie Boga wiedzie wprost koniecznym następstwem do pocieszającej idei Opatrzności. Samo *złe moralne*, którego widok wprawia rozum w jak największy kłopot, lub po prostu jest dla

¹⁰⁾ Les Soirées de Saint Petersburg. Tom II. Huitième Entretien.

¹¹⁾ Conférences de Notre-Dame 5 mai 1843.

¹²⁾ Conférence sur l'action divine et le naturalisme 11 mars 1836.

niego argumentem przeciw istnieniu Boga, samo to *złe* wlokąc za sobą łańcuch *złego fizycznego* dowodzi Kato-likom, że Bóg jest i jest sprawiedliwy i jest opatrzny. Kiedy filozof materyalista jako ów szalony w Psalmiście powiada: „jest złe, więc nie ma Boga, który gdyby był, więc albo mógłby złemu zaradzić, tyłkoby nie chciał a wtenczas nie byłby dobrym, albo chciałby złemu za-
radzić, tylko by nie mógł a wtenczas nie byłby wszech-
mocnym“, — kiedy z drugiej strony filozof racjonalista powiada, iż ponieważ złe w sobie sprzeciwiałoby się pojęciu bóstwa, *więc* to złe rzeczywiście nie istnieje i jest tylko pewną względną formą bytu lub formą na-
szego pojmowania, — kiedy nakoniec filozof fatalista utrzymuje, że gdy złe *jest równie* jak dobre, więc to złe jest objawem bóstwa równie jak i dobre, czyli że złe i dobre to dwa bóstwa w wiecznej walce, — filozof ka-
tolik zawsze z jak najgłębszém przeświadczeniem po-
wtarza: Bóg jest sprawiedliwy, który za wszystko do-
bre nagradza a za wszystko złe karze — i tą odpowie-
dzą katechizmową wyraża najwznioślejsze pojęcie Opatrz-
ności Boga.

Konferencye o fatalizmie, o wolności, o nieśmiertel-
ności duszy i o cechach nauczycielstwa religijnego mają
pomiedzy sobą ściśle logiczny związek a odznaczają się
wielką znajomością ludzkiego serca i głębokiem przeję-
ciem się klassycznymi pisarzami kościoła. Święty Augu-
styn, święty Bonawentura i święty Tomasz zdają się
być razem autorami tego systematu przeprowadzonego
z żelazną ścisłością a wyłożonego z łatwością niezró-
wnaną. Wszystko to było wielkie, następujące bardzo
wiele do myślenia a przecież wszystko wszystkim przy-
stępne i zrozumiałe. Bo czegoż miłość nie ułatwi, nie
rozjaśni? — czego poświęcenie nie wpoi? Często sły-
szymy kaznodziei mówiących rzeczy zwykłe, proste, po-
wtarzane, a mimo tego ciemne, zawile, trudne do zro-

zumienia dla wiernych — dla czego? Bo kaznodziei wszystko jedno, czy go kto zrozumieć, czy nie, — czy kogo podniesie na duchu, rozjaśni, wzmocni, pocieszy, lub czy słuchacz jaki przyszedł, taki odejdzie! Ah gdyby przezeń mówiła miłość Chrystusa i miłość dusz ludzkich, wnetby się stał wymownym, jasnym, wnetby umysły zajął, serca ku dobremu skłonił. Ravnana rozumieją wszyscy, bo też przez niego miłość apostołuje.

W roku 1839 — 17 lutego rozpoczął trzeci oddział i mówił o przesadach różnego rodzaju stawiających zapórę działaniu katolicyzmu. Do najstraszliwszych policzył przesady uczonych, wątpiących, szukających a nieznajdujących nigdy. Przesady prostego ludu to błogosławieństwo w porównaniu z tamtymi, które są zwykłe wieczną negacją. Po téj konferencyi ktoś o mowcy napisał te słowa: Ravnana kiedy mówi, to każdemu z jego słów oddaje świadectwo ta świętość, którą widzimy zawsze rozlaną w jego obliczu. Po całym roku milczenia staje przed nami jeszcze wymowniejszym. — Cóż go mogło podnieść na nową wysokość? Czy nowe prace — czy dnie i noce spędzone nad badaniem wielkich teologów i filozofów? Zapewnie, że i to, ale tak wielu pracuje a któż podobnie jak on do umysłów i serc przemawia? To go podniosło, co w jego obliczu tak pięknie jaśnieje, — podniosła go modlitwa, umartwienie, podniosły go ćwiczenia miłości nieskończenie dzielniejsze, niż wszystkie ćwiczenia nauki ¹³⁾.

Tegoż roku mówiąc o chrystyanizmie historycznym i mając przed sobą w tłumie słuchaczy kilku biskupów i mnóstwo znakomitości literackich, w ten sposób tłumaczył znaczenie zapowiedzianego przedmiotu: „Chocież „wiedzieć, co rozumiem pod tém wyrażeniem *Chrystyjanizm historyczny*? Jest to sam Chrystus żyjący w prze-

¹³⁾ L'Ami de la Religion.

„szłości, teraźniejszości i przyszłości rodzaju ludzkiego. „Jest to nauka Zbawiciela świata, do której zakon niewinności, zakon patriarchalny, zakon Mojżeszowy jest „tylko przepysznym wstępem. Jest to odkupienie w oczekiwaniu, w spełnieniu, w działaniu. Słowem jest to „chrystyanizm wiary, chrystyanizm katolicki, chrystyanizm nauczający, nawracający, uświęcający — chrystyanizm — życie, które się objawia wszystkim cokolwiek „widzicie, słyszycie i bierzecie w kościele. Najistotniejszym typem, najprawdziwszą i niczem niezatartą cechą religii Jezusa Chrystusa jest właśnie to, że jest „historyczną. Historyczność to kamień próbieńczy, który „najlepiej pokazuje, czém są wszystkie Chrystyanizmy „niekatolickie, nie mające żadnej przeszłości, na żadnym „boskim nie oparte czynię — w faktach swolch czysto „ziemskie, niekonsekwentne, same z sobą sprzeczne, „żadnego odniesienia do prawdziwych duchowych potrzeb ludzkości nie mające. Ale taż sama historyczność „dowodzi, że katolicyzm, chrystyanizm, Ewangelia, Odkupienie, Jezus Chrystus, Bóg i człowiek, to rzeczy „jak najżywotniejszym związkiem z sobą połączone. Więc „Chrystyanizm historyczny niczem inném nie jest, tylko „tém, co wierzone po wszystkie czasy, co zowiemy „Chrystyanizmem faktów, co odpowiada wszystkim szlachetnym pragnieniom i nadziejom, co nam tłumaczy „wszystko, co jest balsamem na wszystkie boleści, co „samo jest zdolne ratować, podnieść i uspokoić dzisiejszą społeczność ¹⁴⁾.

W konferencyach następnych przedstawia *cud historyczny* jako razem jedną z podstaw i jeden z objawów historycznego Chrystyanizmu. Lacordaire mówiąc w kilka lat potem w tymże samym przedmiocie, przewyższył

¹⁴⁾ Troisième Conférence. 3 mars. 1839. du Christianisme historique.

go tylko sobie właściwą śmiałością poglądu i oryginalnością dowodzenia, przecież nie jest ani tak ścisłym, ani tak głębokim. W tej konferencji jednego zdania, jednego słowa nie ma za nadto. Niepodobna dać jej treści, bo cała zdaje się być treścią tego, co mowca nagromadził w głębi swego ducha. Nazajutrz p. Eugeniusz Briffaut felietonista dziennika *le Temps*, napisał, że *Ravignan jest więcej kapłanem niżli wszystko duchowieństwo razem*. Przytaczamy ten frazes mimo całej jego niełoiczności jedynie dla tego, aby dać poznać jak potężnym musiał być wpływ wywierany słowem Ravignana na opinią publiczną, kiedy mimo tego, że był jezuitą, pisarz znany z swoich niekatolickich zasad osądził za rzecz stosowną zamieścić jego pochwałę. Pochwała ta była wcale niekatolicką i krzywdzącą duchowieństwo najniesprawiedliwiej — to prawda — wszakże gdy zwążywszy, że Ravignan był w całym znaczeniu tego wyrazu kapłanem i kaznodzieją *Societatis*, zawsze ona będzie chlubnym świadectwem tryumfu, jako poklask nieprzyjaciela.

W przedstawieniu nauki Jezusa Chrystusa, jej niezmienności pod względem istoty, jej rozwoju pod względem formy, jej działalności, wzniosłości i prostoty zdawał się być samą miłością wszystkiego co Chrystusowe. Ślusznie napisano w ówczas, że aby podobnie widzieć i malować boską piękność owej nauki, przedewszystkiem trzeba się w niej rozmyślać — trzeba być głębokim ascetą. W tydzień potem mówiąc z tekstu: *Praedicamus Christum crucifixum Dei virtutem et Dei sapientiam* udowodnił, że cała mądrość, siła i działalność Chrystyanizmu płynie z krzyża, który jest najwznioślejszym wyrażeniem poświęcenia się Boga-Człowieka dla upadłych synów ludzkich. W tej konferencji dowiódł także, że jest znawcą, a zatem i miłośnikiem krzyża. W kilku słowach, przemówionych w celu zachęcenia do składek na

poratowanie mieszkańców Martyniki dotkniętych klęską trzęsienia ziemi, do łez rozrzewnił słuchacza. Kwesta była ogromna — dawali wszyscy nie wyjąwszy nawet protestantów i Żydów, których podczas konferencyi Lacordair'a i Ravnigan'a zawsze było pełno. — Trzeci ten oddział zakończył tkliwém pożegnaniem, w którym się maluje niezmordowana żarliwość dla sprawy Bożej i smutek, że znowu na czas niejaki przestanie się palić na ołtarzu poświęcenia. Oto są jego słowa: „Ciężko myśleć, że się znowu rozłączymy, ale rozłączenie to nasze w tém najcięższe dla mnie, że miłość Jezusa Chrystusa przestanie się waszym sercom udzielać przez moje usta. Wiecie jak tklive zawiązały się stosunki między Apostołem a tymi którym opowiadał Ewangelią i wiecie, że jak ich przedmiotem tak równie ich twórcą był Chrystus. Tenże sam Chrystus jest dzisiaj węzłem dusz waszych, a gdy tak jest — i coś dziwnego, że was już żegnać nie umiem bez głębokiego wzruszenia. Wszakże dla tego samego, rozłączenie się nasze jest tylko pozorne. Pamięć o was będzie mi towarzyszyć wszędzie i gdy już przestanę mówić do was o Chrystusie, w ówczas z Chrystusem będę o was rozmawiać w modlitwie.....“

Arcybiskup Quélen odpowiedział mowcy w imieniu swojej owczarni. Tą razą nazwał go wskrzeszonym Bossuetem (*c'est Bossuet en chaire.....*), a Ravnigan odwdzieczył się w kilka miesięcy potem za to wyrażenie pasterskiego zadowolenia prawdziwie Bossuetowską mową pogrzebową. I on i Lacordaire głęboko uczuli zgon arcypasterza i w śmierci jego oplakiwali stratę najgorliwszego swego protektora.

W roku 1840 kapituła powołała go na nowo. Czwarty ten rok równie się udał szczęśliwie jak wszystkie poprzednie. Ravnigan stanął już w obec swego auditorium, jak ojciec w obec swych dzieci i cieszył się że Paryż i

Francya mimo wszystkich zabiegów nieprzyjaciół katolicyzmu staje na katolickim gruncie; cieszył się swoim tryumfem, widząc w nim tryumf sprawy Pańskiej na tem samem miejscu, na którym książę ciemności tak już był swój majestat rozwinał straszliwie. W konferencyach z tego roku przedstawił walki, jakie nauka katolicka wytrzymać musiała z systematami filozoficznymi i religijnymi — walki z teoriami antyspółecznymi, walki z dążnościami czasu, z odradzającym się duchem poganizmu w prawodawstwie, nareszcie walki z faktami systematycznie wyrachowanymi na ujarzmienie kościoła. Obraz pobojowiska, na którym prawda katolicka już rozpoczęła swój tryumf był zachwycający. W dal szym ciągu wykazał, że Chrystyanizm jest to jedyna religia, na którą ludzki rozum całkowicie zgodzić się może i powinien. W konferencyi o *dzielnosci wiary* odmalował jako straszliwy kontrast téj dzielności zgniłą nieczynność lub szalone miotanie się protestantyzmu. Tu przywiódł słowa Melanchtona, zwanego Fenelonem protestantyzmu, który przewidując w samym początku dokąd wiedzie reforma na podstawie buntu, swawoli i obłudy dokonana, napisał do Lutra że, cała Elba niewystarczyłaby na łzy, któremi by godnie opłakać można wszystkie nieszczęścia przez nią spowodowane.

Jak potężne było już w ówczas działanie mowcy na odrodzenie społeczeństwa, jaki dzielny wpływ na umysły, jak potem mówiąc razem z Lacordair'em w tejsze samej świątyni i do tychże samych słuchaczy, nigdy nie objawił najmniejszego współzawodnictwa, ale owszem mając zawsze na celu tryumf miłości Boskiej nad szamotającą się nienawiścią i pychą pod zasłoną pięknych wyrazów i ludzających manifestów, szedł zawsze ręką w rękę i z Lacordair'em i z wszystkimi, którzy z żarliwszą miłością do téj walki pod sztandarem krzyża występowali — o tém świadczą najlepiej krzyki wychodzące

z obozów przeciwnych i coraz częściej i coraz gwałtowniejsze i coraz wyraźniej rozpaczą nacechowane. Taka książka jak *Żyd tulacz* jeżeli ma jakieś znaczenie w oczach głębszego człowieka, to właśnie z tej tylko strony, że jest owym rozpaczliwym krzykiem wywołanym powodzeniem katolicyzmu—krzykiem zastępu, który przed chwilą czuł się jeszcze na czele ludzkości i strasliwém *hura!* zachęcał ją do ostatecznego zrzucenia z siebie słodkiego jarzma Ewangelii, do jej stargania i podeptania — a który nagle ujrzał się opuszczonym, samotnym, podejrzanym, wzgardzonym, znieawidzonym. *Żyd tulacz* to ohydny, strasliwy symptom konania ośmnastego stulecia—to charkanie wolteryjskiej epoki — ale charkanie takie okropne, takie pełne zgrozy—że cały świat na chwilę pohlądł strachem i zatrzęsł się dreszczem. Cała ta książka jest jakby echem owęj gromady otaczającej pałac rzymskiego Prokonsula a wrzeszczącej: ukrzyżuj! ukrzyżuj! — ale na szczęście ludzkość już Piłatem być przestała i nie obłudą, ale wiarą i miłością obmywała swoje ręce z śladów przelanej krwi. Książka ta prawdziwie jest *Żydem tulaczem*, *Żydem*, który zamordował Chrystusa w jego osobowém człowieczeństwie, i usiłując Go zniweczyć w człowieczeństwie powszechném, wścieka się i pieni kłamstwem, potwarzą, obelgami i bluźnierstwami, iż Go zamordować nie może, że Go widzi zmartwychwstającego w tryumfie i to wtenczas, kiedy Go miał za zwyciężonego i zgubionego na zawsze. Rodin—to Judasz, Kajfasz, Herod, Neron, Julian — Wschodnie Cesarstwo — herezya — odszczepieństwo, Henryk IV, Henryk VIII, wiek ośmnasty! — Rodin to *Żyd* — to ten sam Judasz, który Chrystusa całował niby jego zwolennik ¹⁵⁾—*Żyd* wówczas przebrany za Apostoła, potem za

¹⁵⁾ Rodin, w dziele Eugeniusza Sue przedstawia *Societatem*; ale tak jak Judasz przedstawiał *Kollegium Apostolskie*.

Reformatora — potem za przyjaciela ludzkości — a następnie za jezuitę, a to wszystko, ażeby zabić Chrystusa — przez nadużycie, przez oplwanie, przez zdradę tych świętych tytułów, — to Judasz w rozpacz, który widząc iż mu się równie nieudało z nazwą jezuity jak z nazwą apostoła, że imiona te pozostały święte i drogie ludzkości, jak droga i święta rzecz, którą wyrażają — chce otruć tę ludzkość i sam się truje swym jadem nie na śmierć chwilową ale na wieczne konanie! Cała z resztą postać téj książki, cała jęj poezya — cały przepych obrazów, scen i stylu — to owa wzniosłość idąca zawsze w parze z ohydą w konaniu i śmierci strasliwego zbrodniarza. Tak jest — społeczeństwo tak zrozumiało tę książkę, tak ją przyjęło z przerażeniem i odrzuciło jako *przeklętą*. Jezuita-mowca ani razu o nięj z ambony nie wspomniał — żadnęj nawet nie zrobił do nięj alluzyi — ani na chwilę nie stracił pokoju swęj duszy, swęj słodyczy i miłości, ani na chwilę nie przygasał w świętym zapale; i tak jak przedtęm stawał w obec tłumu słuchaczy — i tak jak przedtęm mówił i jeszcze potężnięj niż przedtęm umysły i serca rwał za sobą do Chrystusa. *Żyd tulacz*, w niezliczonych edycyach spłynął sam przez się jako kał w najniższe (moralnie) warstwy społeczeństwa, a i tam ostać mu się nie da czynna i żarliwa miłość francuzkiego duchowieństwa, ale kał spycha do piekieł a nieszczęśliwe owe warstwy obmywa wodami łaski i karmi chlebem żywota. Czynią to na przekor ojca kłamstwa sami Jezuitci, już po całej Francyi przyjmowani i słuchani z wdzięcznością i uwielbieniem. Skargi wytoczone przeciwko nim przez takich pisarzy jak Michelet i Quinet, nie więcęj im zaszkodziły jak potwarze pana Sna. Kto dzisiaj o nich wspomina? kto się na nie powołuje? — we Francyi garstka studentów lub rzemieślniczków a u nas ludzie bez zasad, ludzie, którzy jednak i z tychże samych powodów powstają przeciw

Jezuitom, co i przeciw relikwiom, odpustom, papieżowi, przeciw duchowi czysto-rzymskiemu itp.—ludzie, którzy rozprawiając wiele o postępie, cali są po za postępem i mniemają a nawet są przekonani, że cytować takie imiona jak Michelet i Quinet jest to cytować jakoweś wielkie powagi. O temby się można, niestety—bardzo szeroko rozpisać, aleć do tego spodziewamy się jeszcze znaleźć nieraz sposobność, gdy tak trudno czegokolwiek się dotknąć w klawiaturze zasad, aby zaraz coś fałszywego nie zabrzączało — teraz zaś wróćmy do konferencyj Ravignan'a i kilku z nich ustępami zakończmy.

Głęboki i uderzający w przedstawieniu zasad katolicyzmu, wzniosły i zajmujący w teoryi, silny, żarliwy, pełen miłości w obronie prawd religijnych, jest prawie niezrównany kiedy zstępuje na grunt zastosowania praktycznego. Pod tym względem jest prawdziwie kaznodzieją *Societatis*, której działanie zawsze cechuje praktyczność. Niech mówi o najwyższych dogmatach, o najgłębszej tajemnicy, zawsze słuchacz wchodząc w zakres życia i działania, wie co i jak sobie począć, aby się doskonalić w duchu Ewangelii. Nie jest to przecie praktyczność zimna i twarda, ale owszem jest to zasada tryskająca życiem, jest to działanie czerpiące żywioł i siły w Prawdzie prawd. Nie jest to także owa trywialność i rubasznność odsłaniająca z miejsca świętego wszelkie brzydoty ludzkiej natury, karcąca bez miłosierdzia, szydząca, jęcząca — ale owszem jest to razem znajomość ludzkiej natury, i znajomość środków zaradzających jej słabościom w połączeniu z *wiarą* i *miłością poświęcenia*, z temi dwoma potęgami, przez które kaznodzieja *zna, chce, może, działa i skutecznia*. Skutkiem tej praktyczności w mowcy, kazanie działa praktycznie w słuchaczu. Ale praktyczność mowcy—to jego zjednoczenie, zlanie się z Słowem żywém, przez które wszystko się dzieje, a bez którego nic się nie dzieje —

z Słowem, które, aby mogło być dla zbawienia ludzkiego rodzaju praktyczne, stało się *Ciałem* i niezamieszkało gdzieś w obłokach, ale *między nami*. — Jeżeli mówca tak jest praktyczny, to jest nim przez wiarę, przez modlitwę, przez badanie, przez Sakrament, przez żarliwość; naówczas też Słowo wcielone udzieli się przez jego usta słuchaczowi w sposób najpraktyczniejszy — jako pełne prawdy ku poznaniu i pełne łaski ku wykonaniu; „*plenum gratiae et veritatis*.” Daj nam Boże taką praktyczność, a nie będziemy lamentować na wybredność i zepsucie słuchaczy.

Wybredność i zepsucie nigdzie zapewne w ostatnich czasach do tego stopnia niedoszły jak w Paryżu a pomimo tego królestwo Boże nigdzie się dzisiaj praktyczniej, czynniej i zbawienniej nie objawia jak w tym samym Paryżu. Ale też tam duchowieństwo nieoprzestaje na powiedzeniu kazania *ex officio*, tylko mówi, naucza, działa, pociesza bez wytchnienia partę miłością Chrystusa, miłością kościoła, miłością dusz, miłością żywą, praktyczną; miłością która je czyni boskiem *perpetuum mobile*, albo raczej *perpetuum movens*. Przedmiotem jego działania jest cały człowiek w swoich duchownych, religijnych potrzebach, równie jak całe społeczeństwo. Jak niema jednej epoki w życiu człowieka, w którejby go z pod owego działania emancypowało, tak też niema jednej strony w układzie społeczeństwa, którejby pod uświęcający wpływ Ewangelii nie podbiła. I Ravnigan pod tym względem jest tylko uosobieniem owej działalności na rzecz królestwa Chrystusowego — on wstępując w zawód kaznodziejski powiedział sobie: „będę zdobywał Panu mojemu” — i zdobywał w samej rzeczy — i dla tego mówił ażeby zdobywał. Mówiąc o człowieku pod wpływem katolicyzmu, przedstawiając jego wyższość, świętość, pokój, pewność i szczęśliwość, mnóstwo z słuchaczy swoich pod

ten błogosławiony wpływ podbił. Malując dziewicę, kapłana i bohatera katolicyzmu rozbudzał w młodych sercach żądze poświęcenia się Bogu i ludziom w tych stanach — mówiąc o świętości dziecięcia Chrześcijańskiego zniewalał rodziców do uznawania w swych dzieciach własności społeczeństwa, własności kościoła, własności Chrystusa! Oto co mówi w tej mierze: „Dzieciństwo — „to nadzieja, to kwiat w pączku, to promień jutrzejki „zwiastujący piękny dzień życia, to źródło, z którego „ma wypłynąć potok, rzeka ku użyźnieniu pól, ku roznoszeniu bogactw! W dzieciństwie, czyż niewidzimy „uwiniętych mnóstwo myśli, postanowień, czynów. „Ta światłość która oświeca każdego człowieka na ten „świat przychodzącego skupiona w niemowlęciu jakby „w ognisku i gotowa trysnąć w duszę, w serce, ząk „potem świeci w ustach, w oczach, na czole jak podobieństwo do Stwórcy, jak promień boskiej mądrości „i boskiej dobroci! Oh tak rodzice — ja w waszych „niemowlętkach mogę widzieć i witać wszelkie nadzieje „i wszelkie pociechy, skoro mi tylko powiecie, że przez „wody chrztu stały się dziećmi Boga uczniami i braćmi „Jezusa Chrystusa, że są powołane do walczenia w sprawie królestwa Bożego i do wzięcia w niem wiekuistego udziału, — ja wtenczas mogę w tym maluczkim „Chrześcijaninie powitać wieczność, niebo, Chrystusa „mojego! I mimo całej nędzy otaczającej jego kolebkę, „mimo tych łańchmanów, któremi załedwie w waszém „niedostatku okryć to niemowlę zdołacie, mimo twych „westchnień biedny Ojcze, który będziesz miał pod „dwoie pracę rąk i pot czoła na wychowanie drogiej „ci istoty, mimo twych łez i jęków o matko, jakiemi „zapowiadałaś przyjście na świat nowego człowieka — „ja w dziecięciu waszem okiem wiary widzę wielkie, „święte, boskie przeznaczenie, nadzieję i chwałę!
• Nadzieję! A jednak ta nadzieja łatwo stać się

„może straszną obawą i groźbą! Dzieciństwo przedsta-
„wia nadzieję, ale kiedy jest czyste, wierne, chrześci-
„jańskie. Ale mój Boże, gdzie jest ta czystość; ta nie-
„winność dziecinnego wieku! Strach i boleść patrzyć
„na dzieci, co są jak zwiędłe kwiaty zwieszzone na ma-
„łej i słabój łodydze — na dzieci nieodświeżone modli-
„twą, nieodżywiane boskiem życiem Chrześcijańskich
„Ojców i Matek! Chwałę! Oh tak w Chrześcijań-
„skim dziecięciu okiem wiary widzę chwałę, ale ta
„chwała prędko się może zamienić na hańbę. Ojcowie
„Kościoła już w owych złotych wiekach Chrystyanizmu
„byli tłumaczami jęku wydzierającego się z serc nie-
„szczęśliwych dzieci. Już wówczas przez usta świętego
„Cypryana krzyczały dzieci złych rodziców: To nie my!
„nie myśmy się potępilli! rodzicielska zatraciła nas nie-
„wiara, czujemy jak nas gniecie dzieciobójcza dłoń ro-
„dziców! *Non nos perdidimus, . . . perdidit nos paterna*
„*perfidia, . . . parentes sensimus paricidas.*“ Tak jest,
„o tak jest rodzice, jeżeli światłość wiary zgaśnie dla
„ich oczu, jeżeli zgaśnie w ich sercach; jeżeli te serca
„staną się lupem żądz zepsutej natury, jeżeli się nierząd-
„ną miłością występku zapalą, czy wiecie co się wów-
„czas stanie z tą chwałą, która promieniem nadziei lśni
„na ich czołach, z tą niewinności aureolą otaczającą
„małą ich kolebkę? to wszystko zgaśnie a na tych czo-
„łach występki wypiętnuje się hańbą i zesromoceniem,
„i społeczeństwo, pokładające w pokoleniu dzieci na-
„dzieję swego szczęścia, swój chwały, będzie zmuszo-
„ne bronić się przeciwko niemu — czy wiecie czym?
„Więzieniem, kajdanami, rusztowaniem!

„Ale wy macie oh! macie środki zapewnienia i tej
„nadziei i tej chwały i tego szczęścia! W waszych rę-
„kach Opatrzność włożyła te środki! Wam powierzyła
„wychowanie waszych dzieci — to wasz najświętszy
„obowiązek — Wy zatem za dzieci wasze odpowiadać

„będziecie przed Bogiem. Ich wiek, ich cnoty, i cnót
„zarody i wszystkie pierwsze łaski, to depozyt waszój
„straży powierzony. Czyście go dochowali? Czy mie-
„liście lub macie sobie za najszacowniejszy skarb nie-
„winność tych dusz pod waszem rozwijających się okiem?
„Czy się troszczycie o ich wychowanie religijne, chrze-
„ściańskie? O rodzice zaślepieni, rozproszeni, rozszar-
„pani przez świat, uwikłani, skrępowani kajdanami
„spraw doczesnych, nigdyż o tem nie pomyślicie nigdy!
„nigdy tak jak tego własne wasze i waszych dzieci
„szczęście wymaga?”

Przedstawiwszy następnie obowiązek poświęcenia się
dziecku przez danie mu wychowania chrześcijańskiego,
wzniosłość tej misyi będącej jakoby współdziałaniem
z Stwórcą i dopełnianiem dzieła stworzenia tak się od-
zywa: „Tak jest, wasze posłannictwo o rodzice i na-
„uczyciele! jest rzeczywiście boskie, wy to czynicie, co
„sam Bóg czyni. Bóg nie chciał bez was dokonać swo-
„jego dzieła. Bóg złożył w dziecięciu nasienie myśli
„i wolności sam, lecz ani myśli ani wolności sam roz-
„wijać nie chciał i dla tego w wychowaniu, które jest
„ostatecznem wykończeniem duszy postanowił się Wa-
„mi posłużyć, waszem staraniem, waszem usiłowaniem
„waszem poświęceniem Kiedy zapalony miłośnik
„sztuk pięknych znajdzie przypadkiem w jakimś cie-
„mnym kącie, okryty prochem i na pół zniszczony o-
„braz wielkiego mistrza, patrzcie czego nie czyni, aby
„mu tylko wrócić całą jego piękność, całą majestaty-
„czność. Ależ ta dusza dziecka, to obraz, to wizeru-
„nek Boga, to areydzioło boskiej myśli i boskiej twór-
„czości, a wy ją lekceważycie, wy nią pogardzacie
„wy jój pozwalacie zmarnieć, spodlić się, zginąć, nie
„pomyślawszy o jój boskiem pochodzeniu, o nieśmier-
„telnych jój przeznaczeniach? I kiedy Was Opatrzność
„wzywa, abyście podjęli to dziecię, abyście w niém od-

„nowili ślady podobieństwa z Bogiem zatarte może przez
„nędzę, przez niewiadomość, występki, wy możecie
„niewzruszyć wnętrzości, nie poskoczyć natychmiast
„zapaleć świętej miłości i radości, wy możecie sta-
„wić opór temu pociągowi, tym dzielnym natchnieniom
„wiary? Zbawić duszę dziecka, powrócić jej boską pię-
„kność i godność, posłać ją do nieba, postawić ją wpo-
„śród zastępów Syonu, oddać ją Bogu to wam się zda-
„wać może rzeczą małą, to wam się może wydawać
„niczem! Ależ Opatrzność na tej ziemi nie sobie wyż-
„szego nie zamierzyła. Zbawienie duszy, to cel dzia-
„łania Boga! i was w tym celu Bóg trzyma na ziemi—
„i wszystko co tylko istnieje, wszystko co jest w spó-
„łeczności, w jej władzy, w jej bogactwach w jej umie-
„jętnościach i wynalazkach i cała świętość, całe bogac-
„two kościoła, cała ta majestatyczność świątyni Pań-
„skiej, to wszystko dla zbawienia duszy biednego
„dziecięcia!“

Wyraziwszy dalej swe uwielbienie dla owych rodzi-
ców, którzy zrozumiałwszy wielkość i trudność swego
posłannictwa stowarzyszają się pod władzą i kierunkiem
biskupa, aby utworzyć dla wychowania dzieci szkoły czy-
sto-katolickie, ostrzega ich aby przy zwracaniu uwagi
na wykształcenie umysłowe, zawsze na pierwszym miej-
scu kładli wykształcenie religijne ducha. Przez to wy-
kształcenie nie rozumie on bynajmniej samego pamię-
ciowego uczenia formuł wiary, lub rozumowania o rze-
czach religii, ale żywe, ciepłe i dzielne rozwinięcie zmy-
słu religijnego, ustalenie stosunku pomiędzy duszą a Bo-
giem, nie przez rozum, ale przez wiarę, modlitwę i mi-
łość. Do tego szukać mają nie tyle doktora Teologii ile
kapłana razem oświeconego w wierze i z żarliwą tej
wiary miłością. Religia dla młodzieży nie powinna być
ani być może przedmiotem kursów, odczytów, rozpraw,
ale nauką życia, którejby się uczono z wiarą, którąby

przyjmowano z miłością. Tu sobie pozwolimy zrobić małe zboczenie ze względu na miejscowe nasze potrzeby. Nie smutniejszego i nie niebezpieczniejszego dla dusz młodych, jak kiedy nauczyciel religii staje przed nimi, tak jak każdy inny nauczyciel bądź grammatyki, bądź arytmetyki; kiedy zamiast uzbrajać się łaską, mówić do nich z Bogiem w sercu, uzbraja się nudnemi zeszytami i mówi do nich jak *za pańskie*, aby przegadać, albo przesiedzieć godzinę. Uczeń tyle zrozumie i pojmie, ile kocha — kapłan też tyle nauczy i poda ile i sam kocha i miłość wzbudzić potrafi. — Wszyscy inni nauczyciele winni być także dobrymi katolikami, bo jak każda umiejętność przy usposobieniu gruntownie religijném nauczyciela prowadzi do Boga — tak znowu każda przy usposobieniu niechętném lub obojętném dla wiary lub dla kościoła, bardzo łatwo złym wpływem wykrzywić może pojęcie i skazić uczucia a co najgorsza rozwinąć pychę rozumową. Młodzieńczej duszy najmniejszy powiew niewiary, sarkazmu, powątpiewania lub negacyi może śmiertelnie zaszkodzić i na całe życie najgorszy wpływ wywrzeć. Religia to areyumiejętność umysłu i serca — ognisko wszech umiejętności. Wszystkie nanki winny być przedstawiane jako promienie z tego ogniwaku uszlachetnieniu człowieka wychodzące i do niego wraz z człowiekiem wracające. Często umiejętności ludzkie stoją z sobą w pewnej sprzeczności, lub co najmniej stoją obok siebie bez żadnego związku jak linie równoległe a tym sposobem rozdrabniają, rozpraszają ducha — przeciwnie zaś, im się same bliżej czują Boga, tém są bliżej siebie, tak jak dwa promienie zbliżające się do siebie w stosunku jak się zbliżają do środka. Bez przeświadczenia o tej prawdzie, każdy z nauczycieli traktuje swoją umiejętność, jako dobro bezwzględnie, jako *całość w sobie*, jako rzecz absolutnie konieczną i pcha ją w głowę ucznia jak snop siana, nie troszcząc się o

to, co i jak sobie z nią pocznie w stosunku do społeczeństwa i czasu, w którym żyć będzie i w stosunku do wiecznych przeznaczeń. Ztąd też idzie ta najnieszczęśliwsza zasada w dzisiejszem wychowaniu, ażeby *wszystkich uczyć wszystkiego*; bo jeżeli każda umiejętność jest w sobie rzeczą absolutnie dobrą i skończoną, więc każda ma prawo uważać się nie jako środek, ale jako cel więc też wreszcie każda z równym prawem narzuca się człowiekowi. Któż nie czuje jak ta zasada jest przeciwna naturze ludzkiego ducha, jak jest nieludzka, okrutna. Wychodzi ona, jak powiada jeden z uczonych redaktorów najwyborniejszego Przeglądu Europejskiego¹⁶⁾ na coś bardzo podobnego, jakgdyby powiedziano, iż ponieważ każdy pokarm jest w sobie rzeczą dobrą, więc go trzeba dawać wszystkim jak tylko można najwięcej. Czyż wówczas pokarm, który jest rzeczą *dobrą*, ale *względnie dobrą* nie stałby się dla wielu trucizną?

Konferencya o wychowaniu jest jak powiedzieliśmy wyżej zstąpieniem z wyżyn zasad na grunt zastosowania, przejściem z teoryi w zakres praktyczności; — ażeby się przekonać, jaka to praktyczność pozwalamy sobie przytoczyć z niej jeszcze ustęp ostatni — czyli konkluzya.

„W tych młodych sercach głos namiętności już się „odzywa niby głos dalekiego grzmotu wielką zwiastującą burzę. Nauki przewrotne, niebezpieczne, uwodzające, już na te serca czekają, z drugiej strony zepsucie moralne, zgorszczenia, wystąпки świata zbiegają się „ku nim jak ohmury, aby się zetrzeć z chmurami zepsutej natury i uderzyć w społeczeństwo nowemi piorunami zbrodni. Spieszymy się o bracia, zaklinam was, „spieszymy się z położeniem tamy tym straszaym nie-

¹⁶⁾ La Civiltà Cattolica. Anno Sesto. Seconda Serie. Vol. Nono. Nr. CXVIII. 1865. Le Scuole Letterarie per Tutti.

„bezpieczeństwom. Czyńmy to przez gruntownie chrześcijańskie wychowanie, przez zakładanie chrześcijańskich „szkół, chwytajmy te młode serca, bo jeżeli zaniedbamy, „to natychmiast inne schwytają je ręce, inna opieka „rozciągnie nad niemi swą władzę, inne szkoły zajmą „się ich wychowaniem! Spieszmy się — bądźmy gotowi „natychmiast do szlachetnych ofiar, bo na nie zasługuje „dziecię chrześcijańskie, bo zresztą gdzież potrzebniejsza „ofiara!.....

„W téj chwili przychodzą mi na myśl słowa wielkiego myśliciela. „Jeżeli jest sposób zreformowania ludzkiego rodzaju, pisze Leibnic, to tylko jeden, a tém „jednem jest wychowanie.“ Niestety! my niemożemy „przedsiębrać reformy ludzkiego rodzaju, jakkolwiek „bardzo by tego ludzki rodzaj potrzebował, ale możemy „przynajmniej temi środkami, jakie w rękach naszych „złożyła Opatrzność przyłożyć się do téj reformy, do „polepszenia warstw społeczeństwa skazanych na pracę „i niedostatek. Wszakże i dla tych dzieci niebo otwarte; „wszakże religia jest tak dla nich, jak i dla was przeznaczona; im równie jak wam przekazana prawda, „łaska i krew Zbawiciela! Zważcie teraz o drodzy bracia, że wasza obojętność, wasze skąpstwo, wasze samolubstwo to byłyby przyczyny pozbawiające biedne „te dzieci owych boskich skarbów. Jezliby wasza szczodroblliwość niezdolna wystarczyć na otwarcie potrzebnej liczby przytułków i szkół, ah wówczas gorzko „byśmy płakali nad stratą tych dzieci..... Zeszedłszy „ztańd pójdę do stóp ołtarza, rzucę się do nóg pasterza „i tam z obliczem zaciśniętem w dłonie czekać będę „na odpowiedź — a jeżeli się dowiem, że się nie stało „jakom zachęcał, prosił, zaklinał; jeżeli szkół chrześcijańskich niestarczy, będę wówczas skarżył przed Bogiem „moje niedołęztwo; będę błagać Pana, aby raczył przyjąć moje poświęcenie; będę płakać nad zgubą tego

„miasta, nad nieszczęściem waszych rodzin, was będę „skarżyć o obojętność, o brak religii!.... Nie, nie, bracia „drodzy, nie będę was skarżyć, będę was owszem błogosiławił za waszą wiarę, za waszą pobożność, ah bo „je nadto znam dobrze, bom ich tak często doświadczył, bom je widział działające, bo dusza moja cieszy „się w Panu owocem tego działania! Bądźcież błogosławieni w imie Boga trzykroć świętego! Chrzęścianie! „wierni wszelkiego wieku i wszelkiego stanu! wszak „mnie rozumiecie w Bogu, pokażcie, żeście zrozumieli, „dowodźcie jałmużną jak najszczodrzejszą, bo niemożecie dać na wyższy, na świętszy cel! O daj to Boże, „aby się na was za spełnienie téj proźby zlały wszelkie błogosławieństwa, w chwili, kiedy Arcypasterz wzniesie dłoń swoją ku uświęceniu owocu mych ubogich „słów!“

Tak mówi Ravignan. Z podobną gorliwością, choć nie z taką wymową każe duchowieństwo francuzkie, a słuchacze odpowiadają ochronkami, szpitalami, szkołami, przez które coraz się piękniej dopełnia reforma wielkiej stolicy i wielkiego narodu.

W roku 1851 mówił jeszcze w Notre Dame. Konferencye były o Męce Pańskiej w godzinach wieczornych, bo Lacordaire mówił w południe. Jeden i drugi mówił z takim młodzieńczym zapalem, jakgdyby po raz pierwszy występowali z poselstwem od Boga — jeden i drugi taką się ciżbą słuchacza otoczył, jakby się o potęgde ich słowa dopiero zwiedziano. A przecież Lacordaire mówił, jak gdyby wieki badał wielkie postacie Ojców swojego Zakonu; rzekłbyś, że to Dominik, że to Wincenty Ferreriusz, — a przecież Ravignan kazał, jakby się wychowywał pod okiem wielkiego Lojoli; rzekłbyś słuchając i patrząc, że to apostoł Indyi, że to Franciszek Xawery! W roku 1852 Lacordaire zakończył swe posłannictwo do stolicy Francyi, ale go niezakończył dla

Francyi i dla kościoła — a Ravnian w miejscu konferencyj rozpoczął kazania rekolekcyjne, które prowadził szczęśliwie przez lata następne. Rekolekcyje te dawane publicznie dla wszystkich przychodzących były dla apostołskiej jego żarliwości słodkim owocem i najpożądniejszą nagrodą dwudziestoletnich prac kaznodziejskich. W samej istocie, cóż być może słodsze, co bardziej pocieszającego, co szacowniejszego dla kapłana Ewangelii, jak mówić wśród tłumu ludzi pod jego okiem i głoszonem przezeń słowem nawróconych, ludzi którzy po słowa nauki, pociechy i życia nieprzychodzą z rozumami, ale z wiarą, na których obliczu w miejscu dawnej boleści zwątpienia jaśniej radość chrześcijańskiej nadziei i chrześcijańskiej pewności; ludzi którzy pragną rozwijać, rozszerzać w sobie znalezione królestwo Boże — ludzi, którzy z najżywszą wdzięcznością przyjmują wszystko, co się im poda w imieniu Boga, aby swe istoty usposobić na mieszkania Boga!

Takię rozkoszy pełne dzisiaj serce Ravnian'a, taką pociechę oddycha dzisiaj pierś jego na pół przetrwioną pracą i zarem miłości. Co siłą tej miłości wyrwał ze szponów ojca kłamstwa i powrócił Zbawicielowi, to dzisiaj tą samą siłą, jak nierozzerwanemi a świętymi więzami kępuje do stóp krzyża. Błogosław ma Panie a nam użycz sług podobnych!

X. ZYGMUNT GOLIAN.

O RASACH

ZWIERZĄT DOMOWYCH.

O co chodzi w chodowli zwierząt domowych? Cztery tylko przypadki, zdaje się są tu możebne.

1) Chodzi o utrzymanie doskonałej obcej lub krajowej rasy w celności jej budowy i przymiotów czyli krócej o jej niewyrodzenie się. N. p. w chowie owiec cienkowłnistych nie żądają zazwyczaj gospodarze więcej nad to, aby owce ich zachowały w dalszych pokoleniach zalety runa, jakimi odznaczały się indywidua, z których powstały szlachetne ich stada.

2) O polepszenie podłej rasy krajowej zwierzętami obcemi, posiadającemi lepszą budowę i celniejsze przymioty. W tym celu używa się krwi obcej dotąd, dokąd nie zleją się w żądanym stopniu przymioty jednej rasy z drugą, albo też pokąd nie przybierze podła rasa wszystkich przymiotów szlachetnej.

3) O polepszenie rasy krajowej samą sobą, przez

dobór z niej do rozplodu zwierząt najlepszych i przez lepsze ich karmienie i pielęgnowanie. Nakoniec

4) O utworzenie zupełnie nowej rasy, odpowiedniej pewnemu użytkowi, żądaniom konsumentów albo warunkom miejscowej produkcji.

W każdym z tych warunków potrzebna jest znajomość warunków, wśród których utrzymują się rasy lub zmieniają, oraz oznaczenie, pod którymi wpływami i jak się zmieniają?

Gdyby wpływ przyczyn zewnętrznych na organizmy był nieznacznym, nie mogłyby np. owce z jednego stada przeniesione do dwóch gospodarstw, karmione i pielęgnowane w obydwóch zupełnie podobnie i dostatecznie, poprawiać się i uszlachetniać w jednym, a podupadać i wyradzać się w drugim z tych gospodarstw. Takie wypadki jednakże są liczne.

Nie chcąc działać na chybił, trafił, potrzeba wiedzieć, jaki jest wpływ organiczny rodziców na dzieci, jaki różnych pokarmów na budowę i przymioty nowych pokoleń niemi żywionych, jak działa ten lub ów sposób używania, pielęgnowania zwierząt itd.?

Kwestya ras należy do weterynaryi i do nauki chodowania zwierząt domowych; mimo ważności swojej dla gospodarstwa wiejskiego nie doznała ona ze strony naukowej gruntownego i wszechstronnego opracowania. Wszystko co wiemy o rasach ogranicza się na znajomości wpływu organicznego, czyli na oznaczeniu stopnia w jakim udzielają się dzieciom przymioty rodziców, w warunkach sprzyjających rasie. Które warunki sprzyjają pewnej rasie, a które jej szkodzą, o tém milczy teorya chodowli, podając jedne tylko dla wszystkich ras ogólne zasady weterynarskiej higieny, czyli sposobu karmienia i pielęgnowania zwierząt. Najprościejsze i codzienne doświadczenie wskazuje już niedostateczność w pewnych przypadkach ogólnych przepisów. Co do spo-

sobu karmienia naprzykład: Jestże to i w chowie młodych i rosnących zwierząt prawdą, co jest nią w utrzymaniu dorosłych, a to, iż 300 funtów słomy karmią tak samo, jak 100 fnt. siana albo 180 fnt. ziemniaków, jak 35 fnt. bobu itd.? Podobnie jestże to wszystko jedno w chowie bydła dojnego, czy cielęta ssają swe matki, lub też karmione są sztucznie zaraz od urodzenia? Twierdzenie takie byłoby sprzeczne z zasadami fizyologii, która wskazuje: że różne przyczyny mechaniczne, fizyczne i chemiczne różne wydają skutki tak dobrze u istot organicznych i żywych, jak u nieorganicznych i martwych; powtóre że organizm zwierzęcy ma tylko w pewnym stopniu moc oparcia się wpływowi nadającym mu nienormalną budowę.

Rasą nazywają się dziedziczne odmiany, któremi różnią się zwierzęta tego samego gatunku jedne od drugich. Niemcy, osobliwie teoretycy przyjmują jeszcze osobne podziały ras głównych na podrasy, na rody, plemiona i odmiany. Podział ten wszakże nie był przez nikogo dokładnie przeprowadzony na wszystkich rasach i między zwolennikami tych podziałów nie ma żadnej zgody w ocenieniu oznak rasy głównej, podrasy i podobnych drobnostek niemających żadnej podstawy naukowej ani wartości praktycznej. Za osobną rasę można przeto uważać każdą odmianę budowy i przymiotów, która w sprzyjających jej okolicznościach stale przenosi się z pokolenia na pokolenie.

Różnica między rasą a gatunkiem jest ta: że zwierzęta dwóch ras wydają bastardy płodne między sobą, w najdalszych pokoleniach; dwa gatunki zaś, chociaż się płodzą, młode ich są najdalej przez dwa pokolenia między sobą płodne. N. p. bażant złoty wydaje ze zwyczajnym bażantem bastardy płodne między sobą, ale samiec i samica tych bastardów nie wydadzą młodych, któreby się skutecznie między sobą płodzić mogły. Naj-

różniejsze przeciwnie gołębie domowe dają mieszańce płodne między sobą w najdalsze pokolenia. Dla tego bażanty złote są jednym gatunkiem bażantów, a zwyczajnie drugim, gdy wszystkie gołębie domowe jednym tylko, dzielącym się na różne rasy. Gatunki są stałe, bo są dziełem pierwotnym, rasy są dziełem sztuki i przyczyn zmiennych, powstają też nowe ze zmianą dawnych okoliczności.

Charakterem ras wszystkich jest: 1) dziedziczność w przyjaznych im warunkach, 2) zdolność mieszania się jedna z drugą w stopniu mniej więcej możebnym do oznaczenia, 3) zależność od dwojakich przyczyn, mianowicie organicznych czyli leżących w organizmie zwierzęcym, i nieorganicznych, istniejących za jego obrębem.

Jak rasy powstają, jak się zmieniają pod wpływem różnych pokarmów, sposobu użycia i pielęgnowania zwierząt, o tém panują niepewne tylko domysły. Gospodarze, których przedmiot ten najmocniej obchodzi, trzymają się w uszlachetnieniu zwierząt domowych dwóch sposobów. Jedni utrzymują, że celne i ustalone rasy zwierząt domowych przeniesione w nowe okoliczności nie wyradzają się, byle dobierane były do rozplodu zwierzęta krwi czystej i byle był przychówek dobrze karmiony i pielęgnowany podług ogólnych zasad chowu. Przeciwnicy tego zdania twierdzą, że rasy są więcej zależne od przyczyn zewnętrznych, niżeli od organicznych, że najczystsze i najstalsze rasy wyrodzić się muszą wśród innego, ogólnym zasadom chowu wcale nie sprzeciwiającego się sposobu żywienia i pielęgnowania. Ztąd są jedni zwolennikami krzyżowania i uszlachetnienia za pomocą celnych ras obcych, inni obiecują sobie pewniejsze osiągnięcie celu przez stosowny wybór do rozplodu zwierząt z rasy potrzebującej uszlachetnienia i przez odpowiedni celowi sposób karmienia przychowka. Doświadczenia przytaczane do poparcia jedne-

go lub drugiego zdania, nie przedsięwzięte umyślnie i nie przeprowadzone z potrzebną ścisłością i dokładnem oznaczeniem wszystkich okoliczności, które wpływają na rezultaty, nie mogą być dostatecznym dowodem. Przykłady tego rodzaju są wzięte z chowu owiec merynosów i uszlachetnienia koni i bydła w środkowej Europie. Dla oznaczenia wszakże wpływu przez kilka pokoleń przyczyn nieorganicznych na budowę większych zwierząt trzeba czekać najmniej lat kilkanaście. Okoliczność ta czyni podobne doświadczenia niezmiernie kosztownemi a wnioski z nich wyprowadzone niepewnymi. Dla samej taniości nastroczają się do tego rodzaju doświadczeń najlepiej zwierzęta małe i mnożne, a skłonne do odmian i wyradzania się n. p. psy, kury, gołębie i króliki. Obierając kilka par do przeprowadzenia jednego doświadczenia, możnaby w ciągu jego zabić jedną sztukę i badać ją anatomicznie lub poddać w potrzebnym razie chemicznej analizie pojedyncze części jej ciała. Nadewszystko dałyby takie doświadczenia w jednym roku już znacznie objaśniające rezultaty. Ciągłe powstające nowe rasy małych zwierząt domowych przedstawiają już dzisiaj szereg przykładów mało co mniej licznych niżeli są rasy czyli właściwiej odmiany uprawianych roślin. Jeżeli jest prawda, że ogrodnicy wiedzą już dzisiaj, jakich środków użyć potrzeba i jak pielęgnować roślinę, aby spotęgować jej płodność, albo powiększyć nadzwyczajnie tę lub ową jej część, dla czegożby chodownicy zwierząt domowych nie mogli cieszyć się nadzieją, że zoologia i pomocnicze jej nauki zdolają zbadać przyczyny i prawa, podług których powstają odmiany czyli rasy zwierząt domowych?

Jak powstają rasy? U zwierząt dziko żyjących, a przynajmniej płodzących się podług upodobania powstają one pod wpływem przyczyn działających mniej więcej jednakowo na całe stado. Pojedyncze wyrodki powstałe

w skutek działania wyjątkowych przyczyn, albo silniejszego działania téj lub owéj powszedniej przyczyny, giną w massie zwierząt i dla braku warunków do rozrodzenia się w osobną rasę. Czarne wilki n. p. a białe kuropatwy nie są zbyt rzadkie, pierwsze w łagodnych klimatach, drugie w ostrych, a przecież nie ma nigdzie przykładu ich rozrodzenia się w stado czarnych wilków albo stado białych kuropatw. Nienormalnemi w znaczeniu chorobliwości nie można nazwać podobne wyrodki ani powstałe z nich rasy. Wszelka słabowitość ciągnie za sobą przyspieszenie śmierci i krótszy żywot, zwierzęta domowe téj lub owéj rasy wysoko uprawnej różnią się znacznie od zwierząt tego samego gatunku, żyjących w stanie natury, nie mnożą się jednak mniej i nie żyją krócej od dzikich, budowę zatem zwierząt uprawnej rasy, nie można właściwie nienormalną nazwać. W ogóle wyrazy normalne pożywienie i naturalne warunki nie mają tak wielkiej wartości, jaka im zwykle w chodowli przypisywana bywa. Dziko żyjące zwierzęta dwóch niepodobnych do siebie okolic żyją odmiennie pokarmami i w odmiennych warunkach, jedne jak drugie są mimo tego w stanie normalnym, w stanie właściwym ich naturze.

Daleko łatwiej powstają rasy u zwierząt żyjących w niewoli, których rozplód zostaje pod opieką człowieka. Nierówne działanie jednych i tych samych przyczyn nierozłączne od chowu domowego, daje już powód do licznych odmian i różnic czyli wyrodków. Prócz tego jeszcze występują przyczyny działające na niektóre tylko zwierzęta, których się wcale nie spostrzega, dokąd w oczy wpadające ich skutki nie każą się ich samych domyślać. Gdy w naturze pojedyncze wyrodki rozmnożyć się nie mogą dla braku warunków sprzyjających więcéj ich rozrodzeniu się, niżeli temuż zwierząt tego samego stada w stosunku do nich normalnie zbudowanych, roz-

radzają się z łatwością w osobne rasy różne wyrodki pod opieką człowieka. Weźmy np. przypadek, że śmierć samicy, zanim jej młode dostatecznie są odkarmione pozbawia je mleka w chwili najsilniejszego wzrostu zmusza dożywienia się karmą mniej pożywną i mniej stosowną dla ich wieku. Wzrost tego przychowku będzie już niepowetowanie stracony, skarłowaciały. Przyczyna tej odmiany jest nieorganiczna i przypadkowa, działanie jej ograniczało się na kilka lub dwa tylko indywidua. Dajmy na to, że one dla jakiegokolwiek widoku i celu rozmnożone być mają i że ich użyto do rozplodu. Naturalnym wynikiem miernego lub wcale skąpego karmienia ich w czasie, gdy będą miały młode, będzie, że przychówek od nich nie dojdzie miary wzrostu dziadów i pradiadów swoich. Co więcej karłowatość utkwi w tym przychowku mocniej niż w rodzicach, a to z dwójakiego powodu, najpierw w skutek przyczyny organicznej czyli karłowatości rodziców, a powtórnie w skutek przyczyny nieorganicznej to jest niedostatecznego pożywienia. Drugie to karłowate pokolenie wyda już zapewne mimo dostatecznej karmy dawaną mu w stosunku do jego masy, dokładniejsze od siebie karły, posiadające większą dążność do zostania karłami, niżeli ją mieli rodzice. Przypadek ten powstał pierwotnie w skutek przyczyny nieorganicznej i zewnętrznej stał się w dwóch pokoleniach organicznym i udzielającym się dziedzicznie.

Zupełnie podobne przypadki dają zapewne początek innym odmianom dziedzicznym czyli rasom. Wyjątkowa i nieorganiczna przyczyna na jedno lub kilka indywiduów tylko w stadzie działająca, albo mocniejsze działanie powszedniej przyczyny na jedną n. p. matkę, nadaje jej płodowi przypadek wyjątkowy w małym i nieznacznym stopniu. Dobierając do rozplodu takie mało co wyrodne indywidua i łącząc je między sobą, albo

przynajmniej z najbliższemi choćby normalnie uprzymiłowionemi krewnemi, potęguję się wyraźnie ich wyrodność. Taki przypadek przypominam sobie w stadzie, w którym znałem doskonale rodowód każdej sztuki. Składało się z koni, które były bardzo szczęśliwą mieszaniną szlachetnej rasy polskiej z holsztyńską. Powszeczna maść koni tego stada była kasztanowata i siwa najroźniejszych odcieni z mniejszemi i większemi łysinami i mniej lub więcej białemi nogami. Gniada i kara maść były w tém stadzie wyjątkiem, bułanej nie było w niej. wcale przez lat 30. Klacz kasztanowatego rodu i kasztanowata sama, odznaczona bardzo małą gwiazdką i dwiema białemi pęciami, wydała po siwym synie swoim, spłodzonym z nią przez siwego ogiera, pochodzącego z łysych koni, żróbka ciemnodeszczowa tego, mocnołysego i odnanzonego czterma wysoko białemi nogami. Ten żróbek zostawiony na ogiera wydał z trzema kobyłami, mianowicie z rzeczoną matką swoją, ze siostrą, która była także kasztanowata i z klaczą siwą na czarnej skórze ale łysą, troje źrebiąt zupełnie białych na białej skórze. Jedno z tych źrebiąt, biały syn jego, spłodzony z matką, odznaczał się we wszelkim względzie celniejszemi przymiotami i lepszym wzrostem niż ojciec. Użyty ów biały ogier do karéj i od dawna z karych pochodzącej kobyły innego stada i innej rasy wydał wprawdzie syna karego, z małą łysiną nieco i tylko białemi nogami, czego nie miała kara matka, ale ten kary syn jego spłodził następnie z dwoma innymi kobyłami kasztanowatemi owego rodu holsztyńsko-polskiego, źrebięta tak białe, jak był biały dziad ich czyli ojciec tego karego ogiera. Częstkowa zatem białosc skóry, bo na łysinie i czterech nogach spotęgowała się i rozciągnęła na całe ciało przez stanowienie matki z synem, który już był synem swego rodzoného brata.

Każdy prawie miłośnik chowu zwierząt domowych jest w stanie przytoczyć przykłady, gdzie łączeniem w bardzo bliskiem pokrewieństwie ten lub ów przymiot mało znaczny u rodziców do rzeczywistej potęgi podniesionym został u dzieci i wnuków wynikłych z tego łączenia mało co wyrodnych a niezmiernie z sobą spokrewnionych indywiduów. Angielskiego trzeba było geniuszu do należytego ocenienia tego rodzaju zjawisk. Gdy u nas trzymając się panującej jeszcze niedawno teorii Buffona przestrzegano, w dobrze utrzymywanych stadach, łączenia w pokrewieństwie i uważano je za absolutnie szkodliwe, umiał genialny Backwell ocenić niezależnie od wszelkich teorii wartość w pewnych wypadkach łączenia zwierząt we krwi. Z początku unikał on wprowadzania obcych zwierząt do swoich przez skąpstwo i zazdrość, usiłującą ukryć sposób dochowania się celných zwierząt, bardzo rychło jednak spostrzegł on, że to ograniczenie się na własnych tylko samcach i samicach, przymuszające go do łączenia zwierząt niezmiernie z sobą pokrewnionych, wydawało niespodziewanie pomyślne rezultaty, i w tem właśnie największa jego zasługa, że je nie przypisywał innym przyczynom, że je zdrowo osądzał. U nas przeciwnie, w stadach, gdzie przez pewną niedbałość nie odmieniano samców i nie odświeżano krwi przez kilkanaście lat jako n. p. w powyż wspomnianym stadzie, poczytywano to pojawienie się zupełnie białych koni, choć były duże i doskonałe, nie za skazówkę do otrzymania wielkich i bardzo pomyślnych rezultatów, ale za zwiedzenie się rodu, za odrodki w najdalszych i niepamiętnych prapradziadów. Zamiast szukania pamięcią dowodu, że stado rzeczywiście się zwiedło, że te białe konie są odrodkami, (jak Niemcy nazywają Rückschläge) w dalekich prapradziadów przedstawiano na fałszywej teorii, nasuwającej się zamiast faktu.

Czy nie tak samo miała się zapewne rzecz z owcami, psami i innemi zwierzętami domowemi, których rozplód nie był tak pedantycznie strzeżony, jak kosztownych koni? Ten lub ów mało co wyrodny samiec został przypadkowo dla dobrych przymiotów swoich i mimo małej odmiany wyrodnej lub umyślnie dla niej zostawiony przez kilka lat na wyłącznego i jedyne go stadnika. Córki jego mogły mieć w mniejszym stopniu jego wyrodny przymiot lub wcale go nie mieć. Córki tych córek spłodzone z ojcem swych matek odziedziczyły już zapewne po większej części przymiot ojca przynajmniej w stopniu jemu równym, a niektóre córki i syny przewyższyły go w tem z pewnością. Wszystko jedno teraz czy wyrodny ojciec był nadal zostawiony do rozplodu z córkami i wnuczkami swemi, czy wyrodniejszy jeszcze syn jego zawsze przymiot, powstały pierwotnie może z przyczyny nieorganicznej, stał się organicznym, z małej i nie znaczącej skłonności do dziedziczenia się, stał się zupełnie i silnie bo w pewnej potędze dziedzicznym. U zwierząt małych i mnożnych występuje ta dziedziczność odmiany w 3 lub 4 pokoleniach, u zwierząt większych około siódmego pokolenia.

Wielka część odmian mogła stać się tym sposobem rzeczywistemi rasami przez samą tylko przewagę w rozplodzie, daną jednemu indywiduum, łączonemu ciągle z najbliższymi krewnymi swemi, są jednak wypadki, gdzie sama ta jedna przyczyna nie mogła dać początku nowym rasom. Tak np. szczególnie do tuczności skłonne i prędko dojrzewające rasy powstały pewnie z dobierania ciągle i łączenia indywiduów, które posiadały ten przymiot. Domyślać się można z wielkiem prawdopodobieństwem, że wielka skłonność do tuczności i wczesna dojrzałość są skutkiem obfitego karmienia zwierząt w najmłodszym ich wieku i w czasie silnego wzrostu. Dobierając zwierzęta obojga płci z tym przymiotem do roz-

plodu, a nie karmiąc obficie ich młode, treściwą karmą nie spotęguje się przymiot rodzicielski, przy skromnym karmieniu za młodu zniknie zapewne nawet. Karmiąc przeciwnie obficie i treściwie od najmłodszego wieku przychowek od rodziców, które prędko dojrzały i odznaczają się większą od innych skłonnością do tuczenia, spotęguje się pewnie u przychowku przymiot rodziców do wydatniejszego stopnia.

Rozróżnić zatem wypada rasy, których przymioty dziedziczą się mało zależnie od sposobu karmienia i pielęgnowania czyli rasy głównie w organizmie własnym uzasadnione od ras, których przymioty jakkolwiek bardzo zależne od organizmu zwierząt rozplodowych, zależą zarazem niezmiernie od pewnego sposobu karmienia i pielęgnowania. Pierwsze dziedziczą i udają się w najróżniejszych miejscowościach, drugie wyradzają się i zwozdzają łatwo w rasę miejscową.

Którym wpływom zawdzięczają rasy swe powstanie? Różnym niezawodnie, a w szczególności niektóre głównie fizycznym i mechanicznym, inne głównie chemicznym, inne nakoniec nieoznaczonym, powstałym przez kulturę. Ztąd można rasy podzielić na trojakie, mianowicie na *miejscowe, pokarmowe i sztuczne*.

Do *miejscowych* należą: a) stepowa, b) żyławska, c) alpejska, d) podgórska. Rasy te będąc odbiciem sumy przyczyn miejscowych utrzymują się w czystości dotąd tylko, dokąd każda z tych przyczyn jednakowo działa na zwierzęta. W miarę opieki człowieka i ścisłego doboru zwierząt do rozplodu powstają nowe odcienia, które mogą zmienić charakter miejscowej rasy bez najmniejszego mieszania jęj z inną i bez szczególnie odrębnego pielęgnowania tych z niej zwierząt, które mają dać początek nowemu jęj odcieniu. W dzikich stadach najmniej jest wyrodków, a najwięcej do siebie podobnych indywiduów, w każdym jednak stadzie odkryje oko tro-

skliwego badacza różnice małe i niespostrzegalne dla mniej badającego. Dobór tak mało odmiennych indywidualów jest dostatecznym do wychowania z nich nowego odcienia miejscowej rasy. Dowodem tego wszystkie te rasy psów, gołębi, kur, kanarków, królików, które powstają niespostrzeżonym sposobem z zwierząt miejscowych i bardzo powszednich, bez wiadomości kto je wychował i bez najmniejszej chwały dla twórcy swego.

Do ras *pokarmowych* liczyłbym dwie: a) *grubokośćistą*, która jest zazwyczaj gruboskórną, zarazem i b) *drobnokośćistą*, która bywa przytęm cienkoskórną i cienkowłosistą. Jaki sposób karmienia daje każdej z nich początek, będę się starał wykazać niżej mocą faktów naukowych.

W sztucznych rasach trudno jest rozróżnić pewne oddziały. Najlepszém byłoby może klasyfikowanie ich podług części ciała, lub zdolności, któremi odznaczają się sztuczne rasy jedne od drugich.

Zaczynając od głowy możnaby przypuścić a) rasy *intelektualne*, do których należą wszystkie psy pożyteczne intelektualną niejako zdolnością swoją, np. pudle, wyżły, psy owczarskie, nowofundlanckie, używane do ratowania ludzi itd.

b) *włosiste* odznaczające się obfitością włosów albo pierza na całym ciele albo na niektórych częściach jego, np. owce merynosy, angorskie kozy, koty i króliki, kury porośnięte krętym czyli zajeżonym pierzem, gęsi z krętymi piórami, wiszącymi jakby wpół skrócone tasiemki.

c) rasy *szczególnie tuczości* np. świnie chińskie, owce niektórych ras orientalnych odznaczających się kilku do kilkunastofuntowym i w tłuszcz obfitym ogonem.

d) rasy *mleczne* np. duża rasa mlecznych kóz egipskich, bydło holenderskie.

e) rasy *karłowate* np. pieski pokojowe, bydło chińskie, karłowate kozy afrykańskie, kury bantam itd.

Intelektualne rasy utworzył człowiek niezależnie od klimatu, miejscowości i pożywienia przez ćwiczenie zwierząt do jednej służby i przez dobór do rozrodu takich, które się szczególnie do tej służby nadawały. Natężanie i ćwiczenie sił jednych więcej niż drugich, dało pierwszym większe wykształcenie i przewagę nad inne do tego stopnia, że organizm ulegnął sztuce działającej na niego przez kilkanaście pokoleń, przybrał dziedzicznie odpowiednią jej budowę i przelewa tę budowę i zdolność do właściwej mu służby na dalsze pokolenia. Stałość i niewyradzanie się ras intelektualnych są zależne od czystości pochodzenia rodziców i od sposobu pielęgnowania t. j. od wprawiania każdego pokolenia do właściwej mu służby. Wspólnym warunkiem niewyradzania się wszystkich ras powstałych przez wprawę jest właśnie ta wprawa. Bez niej znika pierwiej zdolność, a następnie zmienia się budowa powstała w skutek wprawy, a nie w skutek klimatu i pożywienia: chart, wyżeł, zarówno jak koń wyścigowy, chodząc gnuśnie przez kilka pokoleń po górach, tracą zdolności swoje i stają się psami zwyczajnymi i końmi mniej sposobnymi do wyścigów i polowania.

Widząc jak gęstym puchem porastają zwierzęta na zimę w krajach północnych, możnaby sądzić, że zimno skłania wśród obfitego karmienia do wyrostu krętego włosa i pierza. Temu jednakże sprzeciwia się spostrzeżenie, że owce cienkowelniste, pudle, angorskie kozy i królik, iżate kury i gęsi z kręconymi piórami pochodzą wszystkie z krajów łagodnego klimatu. Niedocieczona dotąd przyczyna, która sprawia, że w stadzie zwierząt jednorakich rodzi się jedno z włosem dużo mniej kręconym, dłuższym lub cieńszym, musi być gwałtownie i wyjątkowo działająca. Inaczej dałoby się spostrzedz stopniowe wyradzanie się np. owiec wełny krętej w niekrętą i nie u jednego jagnięcia, ale u całego stada, a

przynajmniej u większej części jego, co się przecież nie zdarza.

Wielka skłonność do tuczenia zdaje się być skutkiem obfitości i treściwej karmy, dawananej od najmłodszego wieku. Ta sama przyczyna, która skłania do wielkiej tuczności i wczesnej dojrzałości, jest zarazem powodem do cieńszego włosa i cieńszej skóry i wyrastania stosunkowo mniejszych kości. Dorosłe nawet bydło, konie i świnie dostają włos cieńszy i miękniejszy przez obfitą i treściwą karmę. Wysoki stopień tuczności skłania do utraty włosa, co szczególnie widoczne jest u angielskich owiec bardzo tuczonych. Codzienne już doświadczenie nasuwa myśl, że cienkość skóry, miękki i ślniawy włos; drobne kości, wczesna dojrzałość i wielka skłonność do tuczenia są tak samo skutkiem obfitości a treściwej karmy, jak przeciwnie gruba skóra, gruby i ostry włos, grube kości, późna dojrzałość i mała skłonność do tuczenia się, są wynikiem jałowej paszy. Wszystkie rasy odznaczające się pierwszymi przymiotami są od najmłodszego wieku żywione ziarnem i pożywnymi odpadkami gospodarskimi, wszystkie zaś podle, grubokościste i grubym włosem pokryte, są żywione słomą, sianem i trawą. Najstalsza zatem rasa drobnokoścista wyrodzi się, co bym tu nazwał zdzieniem i spodleniem, gdy przez kilka pokoleń będzie karmiona jałową paszą. Najbardziej przeciwnie uszlachetni się sama w sobie co do powyższych przymiotów, gdy będzie dobrze żywiona. I jeżeli która próba warta być przedsięwziętą na małych i mnożnych zwierzętach, np. na drobin, to pewnie ta, bo mogłaby wykazać w krótkim czasie skutki, jakie ciągnie za sobą żywienie treściwą, a jakie jałową karmą.

Młeczne rasy nie są skutkiem klimatu ani gatunku żywienia. Niektórzy fizyologowie utrzymują wprawdzie że w gorących krajach krowy nie są młeczne z powodu

wielkiej transpiracji skóry, przeszkadzającej utworzeniu się większej ilości mleka. Zdaniu temu sprzeciwia się mleczność bawolic i kóz w gorących krajach. Mleczność powstaje przez częste i zupełne wydajanie, które popierane obfitą karmą drażni naczynia млeczne i wykształca je nienormalnie. Mлeczne krowy znajdują się najobficiej w krajach słynnych z dobrych pastwisk i gdzie jest zwyczaj nie dawać cielętom ssać własne matki, ale karmić je sztucznie zaraz od urodzenia. W krajach tych przypuszczają też do buhaja jałowki półtorarocznie i 14-miesięczne nawet. Zdaje się, że obfite karmienie młodziutkich cieląt sztucznym mlękiem czyli polęwką, żywnością, zatem mniej strawną niż mlęko, czyni zwierzę żarłocznym, a przecież mało skłonnym do tuczenia się; ruch na pastwisku sprzyja też mniej tuczności niżeli obfite karmienie przy gnuśnym stanie na stajni, wcześnie nakoniec zapłodnienie jałowki i wydajanie młodej krowy odprowadza strawioną żywność i nie da jęj obracać się w tłuszcz i mięso. Przeciwnie postępowanie, osobliwie wcześnie tuczenie, albo też opóźnione stanowienie przeistaczają pierwsze млeczną rasę w tuczną, drugie w dużą może, ale podlejszą, później dojrzewającą. Ciekawą jest rzeczą, czy nie będą od jednej i tej samej krowy i po tym samym buhaju te jałowki dojniejszemi krowami, które urodziły się, gdy u matki ich rozwinęła się млeczność do najwyższego u niej możebnego stopnia, a mniej dojną ta, która była pierwszym jęj płodem i przy której ona z jałowki krową została? Analogia z dziedzicznością innych przymiotów czyni domysł ten bardzo prawdopodobnym. Wiadomo bowiem, że źrebięta urodzone od kobyły przed jęj ujeżdżeniem pod wierzch lub do sztuk konnych, bywają mniej układne pod wierzch i do sztuk konnych, niżeli źrebięta od tej samej kobyły, urodzone po jęj ujeżdżeniu. Ten sam przy-

padek jest u pudłów i wyźłów uchowanych od suk przed ich układaniem i po wyuczeniu ich do pewnej służby.

Zastanowiwszy się nieco nad skutkiem różnego sposobu pielęgnowania, chodowania i karmienia, jestem winien zastanowić się nad wpływem braku lub obfitości światła i nad wpływem soli kuchennej i saletry na budowę i przymioty zwierząt.

Białość częściowa lub całkowita skóry, której towarzyszy srokaczna lub zupełna białość sierści, zdarza się bardzo często w chowie stajennym. Najobfitszemi w tę odmianę bo nawet w kakerlaki są króliki trzymane całe życie w miejscach pół ciemnych. Nigdy przeciwnie nie zdarza się ta odmiana w królikarniach gajowych, gdzie się zwierzęta te jak np. w Francyi wolno i pod gołym niebem chowają. Białowłose zwierzęta są też częstym zjawiskiem w wysokiej północy. Niektórzy utrzymują, że myszy chowane w klatce, gdy częstego doznają głodu rodzą młode zupełnie białe lub biało-srokate. Niedostateczne wszakże żywienie i częsty głód wpływają zapewne bardzo mało na białość skóry, włosa i pióra. Przy najobfitszym żywieniu, w najróżniejszych klimatach, w moczarnych zarówno jak w suchych i górzystych położeniach, przy treściwym zarówno jak przy jałowém pożywieniu jest białość stałą towarzyszką chowu stajennego. Z wielkiem przeto prawdopodobieństwem można ją przypisać przytłumionej transpiracji i brakowi światła. Siwienie zwierząt na starość w zimie i w wysokiej północy przemawia za tém. Jeżeli prawdą jest, że kwiaty kolorowe w psie się zmieniają przez uprawę na gruntach nawożonych saletrą, to mogłaby sól ta sprawić srokacznię i zupełną białość u zwierząt w chowie stajennym, saletra bowiem powstaje nadto łatwo około domów i stajen, aby jej nie miały zawierać w małych ilościach wody wszystkich studzien blisko domów i stajen leżące.

Że sól kuchenna czyni włos bardziej ślśniącym i gładkim, dowiódł Boussingault. Jaki jest wpływ jej na resztę organizmu, mianowicie na wielkość błon śluzowych i na grubość kości, nie wiadomo. W ogóle jednak zdają się mieć wielki wpływ na włosy sole, których zasady są alkaliczne. Profesor Flourens w Paryżu utrzymuje, że żrebięta, które się rodzą przypadkiem w salinach Wielkich, od kobył w żrebnym stanie do kopalni spuszczonej, bywają mało lub wcale nieporosłe włosami.

Przerost czyli wyrost nieprawidłowy bądź całego ciała, bądź pojedynczych jego części, jest bardzo zwyczajnym w chowie stajennym. W stanie natury wyrasta nad miarę całe ciało zawsze w skutek obfitości pożywienia. Każdy prawie gatunek zwierząt domowych przedstawia przykłady nieprawidłowego wzrostu to całego ciała, to pojedynczych jego części. Między uprawnemi rasami koni są niektóre dwa razy większe od dzikich; celne rasy bydła, koni, owiec i świń odznaczają się wszystkie przerostem to jest nienormalną wielkością zadu i części ciała obfitujących w mięsco czyli muszkuły. Jakię przy czynie można przyznać tę nienormalność? Oczywiście żadnej innę, jak obfitości karmy i doborowi do rozrodu zwierząt niezwykle zbudowanych. Małe różnice, zaledwo spostrzegalne u zwierząt miernie karmionych i nie powiększające się prawie przy szczupłym karmieniu przychowku, którego oboje rodzice mieli w małym stopniu ten przerost, występuje bardzo znacznie u przychowku obficie karmionego. Wielka część tych przerostów jest rzeczą upodobania, nie mówiąc jednakże o samych tylko odmianach pożytecznych, ale w ogóle o wszystkich i bez względu na ich użyteczność u jednych a zbyteczność u drugich zwierząt, wyrażam fakt, że wszelkiemu wyrostowi nad normę całego ciała lub niektórych tylko członków sprzyja obfite karmienie, a stoi na zawadzie skromne. Długość nienormalna uszów u

królików, wysoko ceniona przez miłośników ich chowu, wielkość kokonów u jedwabników i t. p. nienormalne przerosty dają się osiągnąć tylko przy obfitém karmieniu.

Co za przyczyny dają początek czyli zarodek skarłowacenia pojedynczych części ciała jest tak dobrze dotąd tajemnicą natury, której się trudno domyśleć, jak i przyczyn, które sprawiają przerost pewnych członków. Niektóre z przerostów zdają się być wynikiem przyczyn mechanicznych. Tak wyrasta np. zad zazwyczaj dokładniej w miejscach górzystych, krótkie nogi towarzyszą więcej bujnym równinom i żuławom, lecz wyrost nad miarę uszów, brak kości pacierzowych stanowiących ogon i inne skarłowacenia są skutkiem przyczyn, których nie wiedzieć nawet gdzie upatrywać i szukać potrzeba. Gdy się ustalą przez kilka pokoleń odmiany te w cechę osobnej rasy, okazują się ponajwiększej części niezależnemi od miejscowości, sposobu karmienia i pielęgnowania. Badać należałoby warunki w których rozwijają się do wyższego stopnia, a w których znikają łatwo. W kwestyach tego rodzaju jest fizjologia zupełnie niema, dla tego nie może być jeszcze mowy o fizjologii zastosowanej do chowu zwierząt i roślin, o której marzyli Niemcy na trzynastém posiedzeniu niemieckich gospodarzy w Magdeburgu w r. 1850. Do takiej fizjologii potrzebne jest zebranie faktów i doświadczeń z praktyki, z chowu zwierząt, z ogrodnictwa, ze spostrzeżeń na jarmarkach i z badań długoletnich. Fizjologia ogólna czyli naukowa wyświeca tylko skutki przyczyn szybko i gwałtownie niejako działających, gdy zadaniem fizjologii rolniczej byłoby wyjaśnienie skutków tych przyczyn, które nie jednorazowém działaniem, ale działając przez jedno lub dwa pokolenia pomagają lub przeszkadzają gospodarzowi do jego celów.

Środki do bardzo znacznego i spieszego modyfikowania budowy i przymiotów, zostające w mocy czło-

wieka są: 1) gatunek i obfitość karmy, 2) stanowienie wyłącznie lub przeważnie jednym samcem, 3) łączenie zwierząt w najbliższym pokrewieństwie.

Najwięcej różnaitości z tych wszystkich przedstawia *pożywienie*. Weźmy np. jak różnie może mechanicznie i chemicznie działać karmienie trawą. Inaczej będzie skutkować ta pasza, gdy ją zrywa sobie zwierze samo na polu i łąkach, inaczej, gdy ją dostaje w świeżym stanie w okole lub w stajni, a inaczej gdy będzie dawana w suszonym stanie.

W pierwszym przypadku trzeba większych ilości karmy z powodu ruchu, jaki ciągnie za sobą chodzenie najmniej raz na dzień na pastwisko i powrót na noc do stajni, nakoniec oziębienie przez dėszyce, zarówno jak powiększona transpiracya w czasie upałów. Właśnie ten ruch i wybór roślin najsmaczniejszych tylko nie zdeptanych i nie powalanych czyni, że zwierze nie może łatwo tyle zjeść w jednym dniu na pastwisku, co w stajni. Wielkie rasy są dla tego częściej wynikiem dawania przynajmniej połowy karmy w stajni lub w okole, a zbierania sobie drugiej tylko połowy przez zwierzęta same na pastwisku. Sztuczne tylko albo wyjątkowo z natury już bardzo urodzajne pastwiska i łąki mogą wypędzić nienormalnie wzrost zwierząt. Natomiast wykształca ruch na pastwisku muskularność i nadaje kształtniejszą i silniejszą budowę nóg. Ciężar ciała spada w czasie powolnego ruchu i na nierównym miejscu z jednej nogi na drugą i rozdziela się równiej; ztąd mniej koszlawych, krzywych i orczykowatych nóg w stadach pasących się w lecie, nie wiązanych za młodu i chodzących w zimie na spacer, niżeli u więzionych i dręczonych cały rok w stajni. Ta sama różnica grzbietów jest podług chowu wolnego albo dręczenia wiązaniem. Czy widział kto owce, psy lub kozy z tak potwornie krzywemi nogami i wklęsłemi grzbietami, jak są krowy

stajennie chowane? Słoty i małe zimna na pastwisku ściągają skórę, czynią ją grubszą i włos ostrzejszym i gęstszym; ruchem ciągłym wykształca się kosh piersiowy, natomiast rozwija się lepiej w stajni skłonność do tuczenia, lecz nigdy nie wyrówna wesołością, kształtnością i wytrzymałością na zimno i słoty zwierzę na uwięzi chowane temu, które w wolności wyrosło. Wielka nawet skłonność do tuczenia się będąc nierozłączną od szerokich piersi i obszernego kadłuba, nie może być osiągniętą przy chowie młodych zwierząt zupełnie stajennym.

Siano powinno zawierać te same części pożywne co trawa, z której powstało, analiza chemiczna wykazuje też tę samą pożywność siana, jaką powinny mieć, gdyby trawa stając się sianem traciła tylko większą część swojej wody. Zważywszy jednak, iż mało jest lat, w których uda się zrobić siano tak aby nieokruszyły się listki i nie zmoczył go żaden deszcz, przyznać trzeba, że inny musi być skład i inna pożywność siana robionego w laboratorium chemika, a inny skład i pożywność siana robionego pod gołym niebem i w wielkich rozmiarach.

Ważna jeszcze zachodzi różnica w składzie mleka, co do zawartego w niem masła, podług tego czy matki chodzą na pastwisku lub trzymane są ciągle w stajni. W pierwszym przypadku i w zimie jest mleko bogatsze w twaróg, w drugim w masło. W zimie obfituje ono więcej w sole nierozpuszczalne w wodzie, w lecie w rozpuszczalne. Tłuszcz zawarty w mleku matki staje się zapewne tak znowu tłuszczem młodego zwierzęcia, jak to ma miejsce u innych pokarmów, zjadanych przez zwierzęta dorosłe.

Brak rozbiórów chemicznych, z którychby widzieć można, jaki jest skład mleka jednej i tej samej matki, gdy jest żywiona pewnym pokarmem, a jaki, gdy ży-

wiana jest innym, nie pozwala wnioskować, jaki może być wpływ mleka na budowę młodych, podług tego, czy matki zjadają te lub owe pokarmy.

Zastanawiając się nad ilością mineralnych części w różnej karmie, zastępującej 100 funtów siana, czyli karmiącej tak samo jak 100 fnt. siana, okazują się bardzo znaczne różnice w ilości mineralnych części zjadanych w tej lub owej rocznej karmie, wynoszącej zawsze tę samą wartość siana. I tak:

	bywa mineralnych części
W 100 funtach siana łąkowego . . .	5 do 8 funtów.
W 470 „ najlepszej trawy (pół koniczu czerwonego, pół rajgrasu)	6,2 „
W 167 funtach płów mieszanych z róż- nych gatunków zboża	20 „
W 300 funtach słomy z różnych ga- tunków zboża	15 „
W 600 funtach brahy czyli wywarów ziemniaczanych	10 „
W 430 funtach pasternaku lub marchwi	6 „
W 663 „ turnipsu czyli rzepy angielskiej	4,5 „
W 39 funtach makuchów pół lannych pół rzepakowych	3,5 „
W 223 funtach młóta	2,7 „
W 309 „ buraków cukrowych	2 „
W 183 „ ziemniaków	1,5 „
W 50 „ owsa	1,15 „
W 35 „ bobu	0,9 „

Mineralne części wchodzi wprawdzie w skład mięsa, skóry, krwi, włosów, wszystkich soków i części ciała zwierzęcego, głównie jednak służą one do sformowania kości, jako stałej podstawy ciała zwierzęcego. Nie wszystkie istoty mineralne wchodzące w skład organi-

zmów znajdują się w równej ilości w różnych częściach organizmu. W kościach przeważa nadewszystko fosforan wapna, którego zawierają w przecięciu przeszło 50%, gdy w mięsie zupełnie wysuszonym jest go zaledwie 1%. We krwi przeważają alkalia i więcej jest żelaza, niż w którejkolwiek innej części organizmu zwierzęcego. Krzemionki zawierają wszystkie części ciała nadzwyczajnie małe ilości, w największej jeszcze znajduje ona się w włosach i piórach. W chrząstkach jest więcej siarkanów alkalicznych, niżeli w innych częściach ciała.

Nie twierdzą wcale, że kości zwierzęcia zjadającego więcej niż potrzeba karmy obfitą w wapno lub w kwas fosforowy zawierać będą nienormalną ilość tych istot mineralnych, choć to bardzo być może, lecz utrzymują, że młode zwierzę zjadając więcej karmy obfitującej w części mineralne kościotworne, więcej w kości wyrostać będzie, niżeli inne młode zwierzę zjadające karmę mniej obfitującą w te części. Młode zwierzę żywione cały rok słomą, sianem i płowami będzie mieć grubszą kości, niżeli inne zwierzę młode dostające ziarno zbożowe zamiast $\frac{1}{4}$ części płów i słomy.

Gdyby organizm zwierzęcy w tak małych granicach mógł się zmieniać jak minerały, gdyby zatem miał normy tak stałe, jak one, byłoby pole doskonalenia zwierząt i tworzenia ras nadzwyczajnie małe. Szczęściem tak nie jest, organizm może bez ucierpienia na zdrowiu bardzo daleko odstąpić od normy naturalnej czyli dzikiej, mianowicie równie w ilości pokarmów, w ich gatunku i fizycznym stanie, jak i w istnieniu wśród bardzo różnych stopniowań przyczyn fizycznych, jakimi są klimat, miejscowość itd. Porównajmy co do wzrostu kucykowego konia dzikiego z angielskim koniem piwowarskim; stosunek jednych części ciała do drugich w szkapie podłej rasy do stosunku tego w koniu wyści-

gowym arabskim lub angielskim; ospałość pierwszjej a żywość i wesołość w drugim; opasłość świni chińskiej z budową i hybkością dzika; płodność gołębia domowego z przymiotem tym u dzikiego; nagiego psa afrykańskiego do welnistego pudla lub puchowatego pińcza, porównajmy szczególnie różne rasy psów co do budowy, kadłuba i szczęki a nawet ilości i jakości zębów, co do wzrostu, co do czasu ciężarności i innych przymiotów psów różnych ras. Gdzież tu szukać tak ścisłej normy w żywieniu się i w zamieszkaniu pewnej miejscowości?

Czy można twierdzić w obec tych różnic, że organizm zwierzęcy ma pewną miarę, instynktową lub jakiegokolwiek natury, do zjadania różnych pokarmów w takim tylko stosunku jednych do drugich, jakiby czynił niemożliwym różny skład jego soku limfowego? Równie twierdzić nie można, że organizm przybiera z każdej karmy jednakowe ilości mineralnych części, że nieprzyswaja sobie zbytku jednych lub drugich lecz wydziela go z siebie. Przeciwnie da się znacznie modyfikować organizm, bez uszkodzenia jego zdrowia, a silnym środkiem do tych modyfikacyi jest gatunek karmy, jój stan fizyczny i ilość. Nie chodzi tu wcale o oznaczenie granic, w których nadziewać niejako i napychać można zwierzęta dla nadania im większego wzrostu, mniejszych kości, większej skłonności tuczenia się albo porastania grubym lub ciekim włosem, ale rozliczne fakta wskazują, że to *jest* w mocy człowieka.

Przyjęte jest, że młode i rosnące zwierze jest dostatecznie karmione, gdy dostaje na każde 100 funtów swęj wagi na nogach 3,8 fnt. siana dziennie, albo odpowiednią temu ilość innęj karmy. Akuratność wzoru tego, czyli formułki tēj, została w tych czasach bardzo mocno zachwianą pracami Alliberta, profesora zootechniki w szkole rolniczej w Grignon, lecz stosunek mineralnych części spożytych w karmie rocznej jałowęj do ilości tychże

części w karmie treściwej nie zmienia się przez to wcale. Mała też wypadnie różnica, gdy kto przyjmie inne leczyby zastępne siana, zamiast tych, których użyłem tu trzymając się doświadczeń Wolfa, profesora z Hohenheimu.

Przypuściwszy, że młode, od cycka odsadzone zwierzę potrzebuje w przeciągu pierwszego roku życia swego 8000 funt. siana lub wartość jego, natenczas:

I. Żrebie jałowo karmione zjada:	krzemionki	potażu i sody	wapna i magnezyi	tlenu czyli niedokw. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f u n t ó w					
W 750 funt. siana składającego się na pół z koniczu czerwonego, a na $\frac{1}{2}$ z rajgrasu	14,6	12,9	12,6	0,2	3,0	1,1
W 3525 funt. téj paszy w stanie zielonym	14,6	12,9	12,6	0,2	3,0	1,1
W 2250 funt. słomy złożonej w $\frac{1}{2}$ z pszennej, w $\frac{1}{2}$ z żytniej, w $\frac{1}{2}$ z owsianej, w $\frac{1}{2}$ z jęczmienniej i bobowej	48,7	25,9	15,0	0,6	4,0	3,1
W 1250 funt. plów mieszanych	114,0	16,0	14,0	1,7	7,0	2,7
razem	191,9	65,7	54,2	2,7	17,0	7,9
Rocznie zjada w téj karmie, prócz zawartej w niej soli kuchennej 338 funt. mineralnych części.						
II. Treściwie karmione zjada:						
W 750 funt siana i 3225 trawy	29,2	25,8	25,2	0,4	6,0	2,7
W 313 funt. plów	34,0	4,0	3,2	0,4	1,4	0,4
W 375 funt. owsa	4,0	1,0	1,0	0,1	2,0	0,4
W 138 funt. bobu	0,2	2,0	0,5	0,05	1,7	0,11
W 562 funt. słomy	12,6	5,7	3,7	0,1	2,0	0,8
razem	79,4	39,0	33,0	1,2	12,1	4,3

Numer ten zjada w swój paszy, prócz zawartej w niej soli kuchennej 167,5 funt min. części, czyli o 50% mniej, niżeli numer poprzedni w karmie swojej, mającej tę samą wartość pokrywą.

III. Ciele jałowo karmione zjada:	krzemionki	potażu i sody	wapna i magnezyi	tlenku czyli nieczystk. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f u n t ó w					
W 750 funt. siana i 3225 funt. trawy	29,2	25,2	25,2	0,4	6,0	2,0
W 4500 funt. brahy ziemniaczanej	8,0	72,0	10,0	?	16,4	10,4
W 2250 funt. słomy mączanej	48,7	23,0	15,0	0,0	4,0	3,4
razem	85,9	121,7	50,0	1,0	26,4	15,0
W tej paszy zjada prócz soli kuchennej 290 funt. miner. części.						
IV. Ciele treściwie karmione zjada:						
W 750 funt. siana i 3525 trawy	29,2	25,2	25,2	0,4	6,0	2,0
W 139 funt. bobu	0,2	2,0	0,5	0,05	1,7	0,05
W 1486 funt. turnipsu	0,5	4,0	1,0	0,05	0,0	1,0
razem	29,9	31,2	26,7	0,5	8,0	3,05
Ciele treściwie karmione zjada w swój paszy rocznej 100,7 funt. min. części, czyli o 64% mniej niż numer poprzedni w paszy swojej, mającą tę samą wartość pożywną.						
V. Dwoje prosiąt jałowo karmionych zjada przez 9 miesięcy:						
W 405 funt. płów mączanych	48,0	5,0	4,5	?	1,5	0,15
W 1156 funt. trawy	4,5	4,2	4,1	?	0,2	0,2
W 1476 brahy ziemniaczanej	2,0	25,0	3,0	?	5,0	3,4
razem	50,7	34,2	12,2	„	7,7	4,2
Zjadają w tej paszy 109 funt. min. części.						

VI. Dwoje prosiąt treściwie karmionych zjada przez 9 miesięcy:	krzemionki	potasu i sody	wapna i magnezy	tlenku czyli niedokw. żel.	kwasu fosfor.	kwasu siark.
	f u n t ó w					
W 1156 funt. trawy	4,5	4,2	4,1	?	0,9	0,1
W 95 funt. makuchów	1,7	1,7	1,7	?	2,5	0,1
W 566 funt. młóta (jest 6 funt. popiołu).	2,0	?	?	?	?	?
razem	8,2					
Zjadają w tej paszy 27,8 funt. min. części, czyli o 73% mniej niżeli numer poprzedni w karmie swojej, mającej tę samą wartość pożywną.						
VII. Kilka sztuk drobiu jałowo karmionych przez 6 miesięcy zjada:						
W 850 funt. młóta (10 funt. popiołu)	4,0	?	?	?	?	?
W 667 funt. siemniaków (5,8 funt. popiołu)	0,06	2,0	1,6	0,06	2,0	1,0
razem 15,8 funt min. części.						
VIII. Kilka sztuk drobiu treściwie karmionych przez 6 miesięcy zjada:						
W 175 funt. kukurudzy (1,9 popiołu)	0,6	0,6	0,2	?	0,2	0,01
W 182 funt. owsa (4 funt. popiołu)	1,5	0,9	0,4	?	1,0	0,01
razem 5,9 min. części czyli o 62% mniej niżeli numer poprzedni w karmie swojej, mającej tę samą wartość pożywną.	2,1	1,5	0,6	?	1,2	0,01

Z powyższych liczb można wnioskować, że jałową karmą żywione młode i rosnące zwierzęta muszą mieć grubsze kości, niżeli inne treściwie za młodu karmione. Ostatnie muszą pierwój dojrzewać, tuczyć się i większe wyrastać niż pierwsze, słowem gatunek karmy jest silną potęgą do modyfikowania budowy i przymiotów zwierząt. Bo czy może to być wszystko jedno dla organizmu, czy on dostaje swoje roczne pożywienie w 4351 czy w 2481 funtach? W I. bowiem przypadku zjada tę samą ilość pożywnych części w 4351 funt. suchej treści. w II. przypadku w 2481 funt. czyli w karmie blisko dwa razy treściwszej. Nikt też zapewne utrzymywać nie zechce, że ilość wody potrzebna do rozmoczenia 2481 funtów suchej treści i do wyciągnięcia z nich rozpuszczalnych części wystarczy także do rozmoczenia w tym samym stopniu 2 razy tak wielkiej ilości. Innego wreszcie czasu potrzeba do zjedzenia 10 funt. słomy, a innego do 3,4 funt. siana, albo do zjedzenia 1½ funt. owsa itd.

Treściwie pokarmy zajmują zwykle małą objętość w porównaniu do jałowych, higiena weterynarska mówi zaś, że do dobrego trawienia potrzebne jest pewne wypełnienie żołądka. Czy to rzeczywiście tak trudno osiągnąć pokarmami treściwymi? Mleko jest ze względu na stałe części swe najtreściwszym z wszystkich pokarmem, zawarta w niem woda nadaje mu przecież objętość potrzebną do strawności. Któż zatem karma może nie stanowić wraz z potrzebnym do niej napojem czyli wodą objętość niedostateczną do wypełnienia żołądka zwierzęcego w stopniu potrzebnym do trawienia? Ciele na przykład dla pewnego celu, 6 miesięcy treściwą tylko karmą żywione nie ucierpi wcale na zdrowiu, umiarkowaną ilością karmione rośnie mocno i uszlachetnia się, zbytnią tuczy. Mnóstwo przykładów dałoby się przytoczyć na dowód, że nauka chowu nie jest zawsze wy-

razem doświadczeń i spostrzeżeń i nie wskazuje dróg do celów specjalnych.

Próbujmy teraz wyprowadzić, z teoretycznego poglądu tego na rasy, wnioski praktyczne, stosujące się do wymienionych czterech przypadków, możebnych w chodowli zwierząt domowych.

Jestże w chowie owiec merynosów dostatecznem wprowadzenie najlepszych matek i tryków i oddanie ich pod opiekę owczarza i ekonoma, z których żaden nie rozumie więcej nad to, że potrzebna jest na każdą sztukę pewna ilość tej lub owiej paszy, czystość, ciepło w stajni itd. Dla czegoż w Niemczech, osobliwie w wielkiej części Prus udają się doskonale owce cienkowelniste? W niektórych owczarniach osiągnięto nawet znaczne ulepszenie bądź co do obfitości runa, bądź co do cienkości wełny. Przyczyną częstego niepowodzenia owczarni naszych, osobliwie galicyjskich, jest nieznanomość szczegółów w sposobie klasyfikowania owiec, niedbałość w karmieniu, a jeszcze większa w doborze tryków. To samo w chowie koni krwi pełnej wyścigowej. Chodownicy nasi trzymają się zazwyczaj ogólnych tylko zasad, do których należy np. dobór zwierząt krwi pełnej, dobre karmienie w ogóle i t. d. A przecież może żrebna i karmiąca stadnica dobrze wyglądać na samém sianie, choć ono niedostateczne jest dla niej do należytego wykarmienia zrebnięcia przeznaczonego do wyścigów. W najczystszej wreszcie rasie zdarzają się liche i wyrodne indywidua, które mimo czystości ich pochodzenia wykluczyć należy od rozplodu, wybierając natomiast zwierzęta mniej czystej krwi, ale silne i dorodne. Pełna krew jest tylko rękojmią dziedziczności typu swjej rasy, ale nie jest wcale rękojmią przeciw chorobliwemu niedołęztwu, i nie może być tarczą przeciw skarłowaceniu wśród niedostatecznej karmy. W ogóle przesadzoną bywa u nas wartość czystej rasy i krwi pełnej.

W polepszeniu rasy podłej szlachetniejszą jest częstokroć rzeczywista wyższość poprawiającej rasy czystym wynikiem lepszego karmienia i wyrozumowanego doboru zwierząt do rozplodu, a oznaki rasy są tylko formą nie mającą żadnej rzeczywistej wartości. Cóż bowiem zależy na tem w poprawieniu bydła polskiego szwajcarskiem lub holenderskiem, czy otrzymane mięszańce będą tej lub owej maści, czy oddziedziczą podgardle po szwajcarskiej rasie, albo krótkie i na przód pochyłone rogi po holenderskiej, byle były duże, a krowy z nich młeczne? Całe powierzchowne podobieństwo poprawnych zrebیات do ogierów szlachetnych i cieląt do buhajów poprawiającej rasy, jest rzeczą zupełnie obojętną. Celem krzyżowania jest nadanie rasie podłej spieszno i najdalej w dwóch pokoleniach tych własności, które jej lepszym karmieniem i troskliwym doбором z niej zwierząt do rozplodu nadać można w równym stopniu za ledwo w kilka pokoleń. Dla tego jest rzeczywistym zepsuciem rasy stanowienie kobył małych naszej fornal-skiej czyli tak zwanęj chłopskiej rasy ogierami szlachetnymi, gdy ogiery te nie są już same raczej dużemi roboczemi końmi niżeli zbytkowemi. Nie zdaje się też wcale, aby konie bardzo wczesnie dojrzewające lub odpowiednio temu karmione mogły mieć należyte grube kości i tak wielką masę w stosunku do swego wzrostu, jak ją powinny mieć konie przeznaczone do ciężkiej i ciężkiej pracy.

Wady i zalety zwierząt naszej krajowej rasy bywają niezawodnie przesadzane. Bydło krajowe ma być mięszaniną ras rozmaitych, konie zaś chłopskiej rasy mają być niezmiernie czystego i dzielnego, lecz podupadłego rodu. Owcom naszym grubowłnistym przypisują jedni zalety, jakich one mieć nie mogą, inni osadzają ich jednostronnie i widzą w nich tylko wady.

Bydło nasze jest mniej mieszaniną, a więcęj wyrazem niedbałej chodowli i dla tego jest różnorakie i rzeczywiście podle w porównaniu do ras uprawnych. Te same przyczyny, które posłużyły w innych krajach do wychowania rasy bardzo mlécznej, albo łatwo tucznej i prędko dojrzewającej, wydałyby i u nas te same skutki. Baczemu oku nie trudno jest upatrzeć między bydłem krajowej rasy pojedyncze sztuki jeżeli nie celnej budowy, to przynajmniej bardzo do niej zbliżonej. Przymioty celnych ras bydła nie są wynikiem szczególnych i wyjątkowych przyczyn, ale prostym skutkiem pielęgnowania odpowiedniego pewnemu celowi i skutkiem dobrego karmienia. Gdyby sobie kto założył przeprowadzenie koni rasy ciężkiej lub podłej w wyścigową, albo owiec grubowłnistych w merynosy, musiałby zapewne pracować wytrwale wiek cały, ale różnica między zwierzętami budowy celującej dla rzeźnika a średniej nie jest przecie tak oddalona. Ten sam przypadek jest co do mléczności; niewychowaliśmy tego w kraju o co się nikt nie starał i starać nie umiał, przymioty przeto naszych zwierząt chowanych dla mięsa i mléka są tak dziełem przypadku, jak celne przymioty angielskiego bydła, owiec, świń i drobiu są dziełem usilnej pracy i wyrozumowanego doboru zwierząt rozplodowych. Czas potrzebny do uszlachetnienia rasy krajowej samej w sobie może być bardzo krótki i rezultaty mogą być w drugim lub trzeciem pokoleniu ogromne, a mogą też być małe i nieznaczące w dziesiątém jeszcze. Wszystko to zależy od doboru pierwszych zwierząt, osobliwie matek, co wcale nie jest łatwe. Bystre tylko oko i pilna uwaga potrafią rozróżnić pomiędzy tysięcem złe i mierne zbudowanych zwierząt jedno celne. Uwzględnijmy do tego mały wzrost, ochudłość i złe utrzymanie przytłumiające niezmiernie dobrą budowę, a przyznać należy, że ta sama bystrość i pilna uwaga potrzebne do ku-

pną kobył w założeniu stada, jeszcze potrzebniejszymi okazują się w doborze samiec do chowu zwierząt dla mleka i mięsa. Od tego zaczynali wszyscy gospodarze angielscy, którzy ulepszyli do wysokiego stopnia rasę krajową. Niezmiernie opóźniającą w téj mierze jest chęć zrobienia wszystkiego odrazu, a to przez zły wybór dużych matek dla osiągnięcia odrazu dużych zwierząt i stanowienie tak jednostronnie dobranych, bo wzrostem tylko celujących matek szlachetnie zbudowanymi samcami. W tém chybiamy zarówno w krzyżowaniu rasy krajowej, jak i w uszlachetnianiu jój samej sobą. Zwierzęta celnie zbudowane należące do rasy krajowej nieposiadają zazwyczaj w stopniu ustalonym i mocno dziedzicznym celne przymioty swoje, pierwszą przeto rzeczą jest ustalić je w nich samych. Najczęściej jest zarazem potrzebne uwydatnienie i spotęgowanie tych przymiotów. Do tego wiedzie najspieszniej zamknięcie rasy czyli łączenie najlepszego z najlepszem bez względu na pokrewieństwo a nadewszystko bez przypuszczenia do rozplodu zwierząt obcych dokąd nie otrzyma się zwierząt obojga płci z wydatnie szlachetniejszą budową i z własnością przelania swych przymiotów na młode splodzone z niepokrewnymi i obcemi sobie zwierzętami.

Konie chłopskiej rasy są skarłowaciałym rodem koni dużych najróżniejszego pochodzenia. Dostatek jest porównać z uwagą kilkadziesiąt chłopskich koni, aby spostrzedz między nimi bardzo znaczne różnice. Wspólne im są tylko te przymioty, które są więcej skutkiem jednakowego sposobu karmienia i pielęgnowania, a raczej niedbaństwa i częstego niedostatku. Nie ma stada, w którymby nie było przypadków skarłowacenia pojedynczych indywiduów przez choroby, przedwczesną utratę matki i inne przyczyny. Półskarłowaciale indywidua takie, dostatek jest aby się dostały w ręce mniej dbałych opiekunów, aby pierwsze ich pokolenie oddaliło się już

nie do poznania od dziadów swoich wzrostem, grubszym włosiem i niepozornością swoją. Porównajmy tylko konia jakiegokolwiek rasy skromnie za młodu karmionego i już przy cycku zaniedbanego z koniem od tych samych rodziców, ale od najmłodszego wieku pielęgnowanym i dobrze karmionym, a wielki tylko znawca zgadnie jedność ich pochodzenia. Kto się przypatrzył źrebcom czystej chłopskiej rasy, gdy matka i źrebie są dobrze karmione, spostrzeżł pewnie, jak małe i ledwo znaczne wady i zalety rodziców występują zawsze w takim źrebiciu wybitniej i czynią go czasem bardzo dzielnym podjezdkiem, a czasem lichym tylko wy-paskiem.

Zalety chłopskich koni leżą w ich małym wzroście, w przyzwyczajeniu do skromnej karmy i właśnie w tém zaniedbaniu, które raczej dzikim chowem niżeli zaniedbaniem nazwałoby można. Od dzikich koni różnią się tylko obłaskawieniem i przymiotami takiego chowu stajennego, który mało się różni od dzikości. W stosunku do koni ras uprawnych są one karłowatą i podupadłą rasą, w stosunku do dzikich obłaskawioną tylko. Karmione od młodu obficie, ale strawą jałową, trzymane dużo na uwięzi w stajniach dobrze od zimna zaopatrzonych ale zarazem dusznych i dobierane podług wielkości masy, wyrodziłyby się pewnie w ciągu kilku pokoleń tak dobrze w dużą, chorobliwą i najpodlejszą z wszystkich rasę czeską, jak wyradzają się przez kilka pokoleń u dobrych gospodarzy w najlepsze półrosłe konie fornałskie, zdatne zarówno do lekkiej konnicy, jak i do gospodarskiej pracy. W chłopskich koniach jest materiał tak dobrze do dzielnych koni roboczych miernego wzrostu, jak i materiał do koni dużych, zawsze więcej niż małe i średnie obfitujących w niedolegi.

Wielkość sama nie ciągnie za sobą skłonności do kalectwa, ale sposób pielęgnowania dający koniom wzrost

wielki: przesadne karmienie obok małego albo zbyt rzadkiego a za to natężającego ruchu wyradza kalectwo i skłonność do niego. Rzadko kiedy i wyjątkowo tylko zdoła człowiek podnosić jednocześnie dwa odrębne, choć nie przeciwne sobie przymioty; w miarę podnoszenia jednych, zaniedbuje drugie, ztąd jednostronność ledwo nie konieczna dzieł wysokiej kultury.

Krzyżowanie krajowej rasy szlachetną obcą, nie jest zawsze najkrótszą drogą poprawienia, czasem bywa nawet zupełnie daremną. Cóż pomoże np. uszlachetnienie koni polskich arabskimi lub wyścigowymi dla nadania im cienkiej skóry, jedwabnistego włosa i szczególnego klusa, kiedy się sprzeciwia pierwszym dwom klimat nasz i sposób karmienia więcej sianem niż ziarnem, a poziomemu i sztychującemu klusowi górzyste położenie niektórych okolic naszych? Nadewszystko jaki może być rachunek w podobnej walce daremnej z miejscowymi cenami, klimatem i zwyczajem? Drugie pokolenie pokrywa się już sierścią odpowiednią paszy i klimatowi, w którym żyje, a całe odświeżanie krwi niezbędne w tak uporczywym przedsięwzięciu jest tylko zabawką kosztowną, a niepożyteczną nikomu, bo sprzeczną z naturą kraju i potrzebami jego. Mniej ozdobny włos koni zupełnie spolszczonych nie jest jeszcze szpetnym, a odpowiada lepiej miejscowości i użytkowi, do jakiego służą u nas konie. Ogier kosztujący 200 do 300 dukatów może się u nas bardzo dobrze rentować pokoleniem swoim, ale nikt nie znajdzie u nas rachunku w ogierze za 400, 500 albo i więcej funtów sterlingów, a przecież mało jest wypadków, aby celnego ogiera arabskiej lub angielskiej rasy wyścigowej za tę cenę dostać można.

Uszlachetniając krajowe konie obcemi, daje się często pierwszeństwo zróbkom najwięcej podobnym do ojca w przymiotach nawet które nie mają żadnego związku

z użytecznością, natomiast odsuwa się od rozploda te, które choć mniej podobne do arabskiego lub angielskiego ojca swego, są rzeczywiście lepsze. Ztąd pochodzi ta obfitość nieużytecznych koni między wysoko uszlachetnionemi, niemlęczność krów między poprawnemi i t. d.

Mając celne rasy bądź do aklimatyzowania, albo też do uszlachetnienia niemi zwierząt krajowych, zdaje się być zbyt łatwym tworzenie nowej rasy. Celna wszakże rasa bydła czy koni, świń czy drobiu może być nie tylko jedna. Owce grubowelniste mogą stać się rasą celną, odpowiednio szczególnemu celowi lub potrzebie przemysłowej tak dobrze jak są rasą celną owce merynosy. Charakterem starożytnej kultury jest jednostajność, nowej różnorodność. Bo gdy w dawnym przemyśle, podstarzały koń rycerski do ciężarów służył i wystarczały dwa gatunki wełny, służy dziś inny koń pod żołnierzem, a innej rasy koń ciągnie ciężary; przemysł dzisiejszy wyrabia kilka rzeczywistych gatunków wełny, z których każda ma jeszcze swoje sorty, utrzymywane umyślnie do sporządzenia różnych wyrobów. Odpowiednio nowym żądaniom przemysłu lub nowym warunkom najkorzystniejszej produkcji gospodarskiej stają się potrzebnymi i tworzą się nowe rasy. Różnica wreszcie między uszlachetnieniem rasy, czy to samą w sobie, czy zapomocą obcej jest zazwyczaj bardzo mała i często zależna od miejscowości. Gdyby Holendrzy byli sami tak wysoko uszlachetnili swą rasę bydła, jak to uczynili Anglicy z rasą z Hollandyi sprowadzoną nienazywałaby się rasą durham ale uszlachetnioną holenderską. To samo można powiedzieć o koniach angielskich ciężkich, o wyścigowych, słowem o wszystkich ich rasach.

Dziwną jest rzeczą, że w naszym kraju, gdzie oświecone klasy, bo duchowieństwo i szlachta zajmowały się same gospodarstwem wiejskiem, gdzie rolnictwo stało się upodobaniem narodu, nie dokonano zgoła nic zna-

komitego i samoistnego w ulepszeniu zwierząt rasy krajowej. Użyteczność naszych zwierząt jest mniej wynikiem kultury niżeli sprzyjających okoliczności przyrodzonych. Lepszego nad obce rasy, używane do poprawienia krajowej, niewychowaliśmy nic. Niemcy sprowadzają ciągle obce rasy koni, bydła, świń i drobiu, przyznać im wszelako należy udoskonalenie owiec merynosów, gdyż saskie przewyższają zaletami hiszpańskich przodków swoich.

Przyczyną zależności naszej kultury gospodarskiej od obcej były ostateczne rozmiary dawniejszych gospodarstw naszych. Właściciel rozległych i kilkusetmorgowych folwarków choć ma kapitał i potrzebną inteligencję, nie wchodząc w szczegóły gospodarstwa swego nie może łatwo zajmować się doskonaleniem swych zwierząt. Włościanin zaś odrabiający pańszczyznę, nieposiadał ani kapitału ani wyższej znajomości swego zawodu, a wolnych i ukształconych posiadaczy średniej wielkości gospodarstw nie było prawie u nas dawniej. Przysłowie nasze: *Pańskie oko konia tuczy* jest wielką prawdą w tem znaczeniu, że ukształcony tylko i sam w szczegóły wchodzący gospodarz może niepowszednie osiągnąć rezultaty.

JÓZEF BOGDAN ROGOJSKI.

DWA USTĘPY

z rękopismów pozostałych

po jenerale

KAZIMIERZU MAŁACHOWSKIM

herbu Gryf.

(Ur. 24go lutego 1765 roku, um. 5go stycznia 1845 roku.) *)

I. Krótka wiadomość o Legionach polskich we Włoszech zamieszczona pod nazwą: Legionów Dąbrowskiego.

II. Wiadomość o wyprawie części legionów polskich na wyspę San Domingo w r. 1808.

I.

Niezaprzeczoną jest prawdą, że pierwsze legiony we Włoszech formował jen. Dąbrowski na mocy układów zawartych z Konwencyą Narodową, ówczasowym Rzecząpospolitą francuzkiej rządem, stósownie do projektu

*) Zaszczytne i długoletnie zasługi wojskowe jenerała Kazimierza Małachowskiego, prawosć jego charakteru i rzadka skromność zjednały mu powszechny szacunek i poszanowanie. Był to człowiek prawy w całym znaczeniu tego wyrazu, a zatem każde słowo od takiego mędra pochodzące i odnoszące się do wypadków których był naocznym świadkiem lub w których brał udział, zasługuje na zupełne za-

przez Dąbrowskiego uczynionego, a popartego przez akredytowanych przy tymże rządzie znakomitych Polaków w Paryżu bawiących. — Formowanie to z wyraźną dewizą *Legions Polonaises Auxiliaires* w rzeczonej konwencji zawarowaną odbywało się ku końcowi 1796 r. w epoce najświetniejszych Bonapartego powodzeń we Włoszech, zdobycia przez niego całej Lombardyi, i niezwłocznego ogłoszenia jej Rzeczpospolitą *Cyspadanią*. Ale Dąbrowski temi legionami do końca nie przywodził.

Wiadomo bowiem, że w ciągu wyprawy egipskiej, podczas której cała flota Bonapartemu pod *Abukir* przez anglików pod komendą Nelsona zabrana została — nowo utworzona koalicya odnosząc nad Francuzami znakomite zwycięstwa, grożące samemu nawet bytowi Francyi a przypisywane jedynie niemocy Dyrektoryatu i słabym jego rządóm, zrzuciły potrzebę porozumienia się nad zmianą onego, wtedy to Bonaparte opasał armią egipską, przemknął się szczęśliwie pomiędzy flotami angielskimi, wylądował na brzegach francuzkich, wpadł do Paryża bez odbywania kwarantanny, i uprojektowaną przez patryotów zmianę spełnił gwałtowném rozpięciem Dyrektoryatu, sam zostając pierwszym między trzema konsulem.

Wiadomo także że bardzo prędko pod Dyżonem (*Dijon*) uformował armią rezerwową, z nią szczęśliwie przebył góry piemonckie, pokonywając wszystkie na téj drodze przez nieprzyjaciela poczynione zapory, zeszedł na równiny Lombardyi, i stanowiącą z połączonemi siłami

usanie i drogo ostateczne być powinno. Z tego mianowicie względu, niniejsze ustępy własną ręką generała spisane, acz w krótkości skreślone i niektóre tylko szczegóły z dziejów legionów polskich w sobie mieszczące, tem skwapliwiej podajemy do wiadomości publicznej, że co do wypadków o których traktują, uważane być mogą jako Dokumenta historyczne.

(P. R.)

austryackimi stoczył pod *Marengo* bitwę, która długo będąc niepewną, po trzygodzinnem ciągłym cofaniu się piechoty francuskiej ku Medyolanowi, nagle zmieniła się na wielkie i stanowcze zwycięstwo niespodziewanem zjawieniem się Dezego (*Desaix*) z Egiptu przybywającego.

Desaix padł ofiarą swego zapału, ale pierwszemu konsulowi bohaterską śmiercią swoją wiekopomną zjednał chwałę zwycięstwem, które samo jedno dostatecznym było do odzyskania Włoch całych, i stało się ciągłym pasmem powodzeń i zdobyczy, aż póki rząd Austriacki nie znalazł się w potrzebie żądania pokoju, którego najprzód w Lunewillu rozpoczęty, a później w dyplomacyi znany pod nazwą traktatu lunewilskiego, pomiędzy sekretnymi obustronnymi zobowiązaniami się, jakich podobno historia nie dotknęła, zawierał koncesyję, pomiędzy innemi i tę, że legiony polskie nie będą istniały ani we Włoszech ani we Francyi. — Tym więc końcem legią formowaną przez Kniaziewicza nad Renem w ciągu wojny z Austryą 1799 r. na mocy postanowienia Dyrektoryatu, umyślił oddać pierwszy konsul w służbę nowo utworzonemu przez siebie królowi Etruryi, po zabranii mu jako Infantowi Hiszpańskiemu dziedzicznych jego księstw: Parmy, Placencji i Gwastali, i przyłączeniu takowych do Francyi zamieniając Toskanią na znane w epokach jeszcze przed rzymiańskich królestwo Etruryi.

Ale Kniaziewicz, któremu z Bawaryi aż do tego tak odległego kraju spieszny marsz nakazano, przez przyjaźń, jaką miał z jen. Moreau i szacunek jaki od tego wodza odbierał, potrafił rzecz dobrze wyrozumieć, za przyprowadzeniem więc legii swojej do Florencyi zaraz się podał do dymissyi, nie ukrywając przed swoimi podkomendnymi prawdziwych jej powodów. — Objawienia takowe zrobiły pomiędzy oficerami najwię-

ksze wzburzenie, zaczęli głośno i z największą goryczą wywoływać, że nie przybyli jak Szwajcary służyć za pieniądze, ale walczyli obok Francuzów w innym celu, a kiedy ten przy traktatach zapomniany, hurmem tedy do dymissy podawać się zaczęli, a wtedy legia już była z porządku starszeństwa pod komendą szefa sztabu legionu pułkownika Sokolnickiego. —

Działo się to w chwili, kiedy Murat generał en chef armii francuskiej we Włoszech konsystującej równie jak i innych wojsk w tym kraju znajdujących się, wyprawiał niektóre regimenta francuskie na wyspę St. Domingo, te znając zabójcze jej klima, buntowały się i na okręty wsiadywać nie chciały, że aż musiano przystąpić do surowości decymowania. — Umiął pierwszy konsul korzystać z pory, kazał zaproponować naszym, że kiedy nie chcą służyć królowi, a legionistami być nie mogą, może przyjmą projekt wzięcia siebie do składu wielkiej armii francuskiej, i zostania jednym z jej regimentów. Przyjęli to dobrze legionieści, i zostali 113 regimentem piechoty liniowej francuskiej. —

Kiedy się to działo w Toskanii a raczej w Etruryi, jednocześnie legia pod komendą jła Dąbrowskiego zostająca, składająca się z 7miu mocnych batalionów piechoty, i 8go takiegoż artylleryi, zgromadzoną została w Reggio, Modenie i okolicach tych dwóch miast, dla jakiejś nowej organizacyi, a jakeśmy byli przekonani dla podzielenia nas pomiędzy regimenta włoskie. — Łatwo sobie wystawić, do jakiego stopnia doszło pomiędzy nami oburzenie: że za tyle kampanij odbytych i tyle krwi przelanej w sprawie Francuzów, Bonaparte Iszy konsul tak haniebnie nas niszczył. — Zrobiliśmy projekt a na naszym czele stanął jen. Dąbrowski, ażeby opuścić Włochy, przepłynąć na półwysep *Morei*, i tam zostać zbrojno pod opieką Turcyi do dalszych wypadków. — Wykonanie projektu było łatwe, gdyż rozłożeni

w niewielkiej odległości od brzegów Adryatyckiego morza, mogliśmy na przewiezienie nas zabrać tyle okrętów i rozmaitych statków handlowych kupieckich, ile było potrzeba, a że tym sposobem byliśmy pewni utraty zaległości, jakie nam był winien rząd włoski, gdy na jego byliśmy żołdzie, i włoskie nosiliśmy kokardy, postanowiliśmy więc jak najskrupulatniejsze po *kassach* krajowych złożyć rachunki, i takowe kazać sobie zapłacić, a pierwszemu konsulowi posłać treściwy adres obejmujący wszelkie powody, jakie nas do takiego czynu zmusiły — chodziło tylko o porozumienie się z legią w Toskanii będącą, która składając się z czterech batalionów piechoty, regimentu jazdy i kompanii artylerii konnej podnosiłaby siłę naszą do szesnastu tysięcy wyborowego i starego żołnierza, grózną dla Rzeczypospolitej Włoskiej, ażeby śmiała przeciwko nam cokolwiek rozpocząć. — Lecz tam wzburzenie i niejedność wykryły plan — Dąbrowski wezwany do Medyolanu, już więcej do nas nie wrócił. Murat przysłał natychmiast dla dywizyi francuzkiego *Chabot* dla objęcia nad nami komendy i razem z nim *Jla* Vignolle byłego ministra wojny wojsk włoskich na prezydującego w *Jury* pod kierunkiem którego pułkownik *Grabinski* i nas czterech podpułkowników: *Chłopicki*, *Małachowski*, *Jasiński* i *Zawadzki*, wszyscy przez Murata wybrani, na członków tegoż sądu i podług danej instrukcyi, zreorganizowaliśmy naszą legią na dwie półbrygady, każdą o trzech batalionach; — te półbrygady zaraz wcielone zostały pierwsza do pierwszej a druga do drugiej dywizyi włoskiej.

Po spełnieniu u nas tej nowej organizacyi, regimentowi kawalerii polskiej należącemu do legii *Kniaziewicza* dano rozkaz z Toskanii, czyli jak już wówczas zwano *Etruryi*, udać się do Medyolanu, a nie dochodząc do tej stolicy, już wojska włoskie oczekiły na rozebrawie go

po między regimenta jazdy swojej, dokazał przecież pułkownik Roźniecki dowódca tego regimentu, że Murat wstrzymał rozkaz Igo konsula, lubiąc niezmiernie ten piękny korpus złożony ze starego żołnierza, doskonale w szybkich obrotach wyćwiczonego, i siedzącego na pięknych, dobranych, banowerskich koniach. —

Rząd włoski w tém nowém dla nas położeniu okazał całą swoją przychylność, ubrał nas na nowo i bardzo ozdobił w narodowe i narodowego koloru kurtki, zachował nam do komendy język polski; ale to wszystko robił dla uspokojenia nas i przyciągnięcia ku sobie, a razem do powolnego a w istocie niechętnego spełniania zawartej przez naczelnika rządu francuzkiego umowy zniszczenia legionów — Tym końcem oficerom chcącym przechodzić w służbę włoską ofiarował wyższe stopnie, a żołnierzom gratyfikacye, widząc zaś że i takowe propezyce nie nęciły, udał się do innego pobratania nas środka, wysłał sekretnie emissaryuszów dla założenia u nas łóż massońskich, połączenia ich z łóżami po regimentach włoskich istniejącemi, i wciągnięcia do Wielkiego Wschodu Medyolańskiego, całkiem oddzielnego od Wielkiego Wschodu Paryzkiego i oddzielną mającego konstytucyę —

Udało się to w naszą drugą półbrygadzie, ale dowódca nasz pułkownik Axamitowski (*) przed którym kryto się ze wszystkim, wyszedł, a drogą szpiegostwa zle zainformowany, jakoby to miał być spisek uorganizowany przeciwko rządowi francuzkiemu, strwożony, oskarżył przed Muratem rząd włoski, że nas do niego wciąga.

(*) Pułkownik Axamitowski a późniejszy generał o którym tu mowa, był bratem starszym pułkownika Józefa Axamitowskiego, znanego ze ówczesnych W. X. Kapitanem jako majora placu miasta Warszawy.
(P. R.)

Zrobiło to wielkie zamieszanie i dało pozór prawdzie gdyż właśnie w tymże czasie okazały się zaburzenia w Ferrarze i Bolonii gdzie nawet wielki teatr spalono.

Założyciel u nas takiej łązy pułkownik włoski *Aurora* w kajdany okuty i do więzienia wtrącony, a dwudziestu kilku oficerów naszych wożono do Ferrary i Bolonii do indagacyi, kiedy się zaś z nich wykazało, że wzburzenie ludu w tych miastach z innych wcale nastąpiło przyczyn i rząd ze wszystkiego się wytłumaczył, wtedy zamyslał usunąć Axamitowskiego, a dać nam innego pułkownika.

Strwożonemu Axamitowskiemu utratą stopnia i korzystnej posady w administrowaniu półbrygady, naturalnie wypadało udać się do protekcyi Murata, i nowém kłamstwem zrobić sobie zasługę, że za przywiązanie do rządu francuzkiego jest prześladowany od włoskiego tak dalece, że ono rozciąga się na cały korpus, i w tak przykrym sposobie, że oficerowie podają się do dymissyi a żołnierze dezertują.

Nie potrzeba było więc Muratowi, pierwszy kurjer wysłany do Paryża przywiózł mu w odpowiedzi od pierwszego konsula postanowienie, że jesteśmy wcieleni do wielkiej armii francuzkiej pod Nrem 114go regimentu liniowego, że jak tylko staniemy nogą na ziemi francuzkiej, zostajemy naturalizowanymi francuzami i należymy do wszystkich praw i prerogatyw służących obywatelom francuzkim, a tą ziemią jest wyspa Saint Domingo, dziś *Hayty*, gdzie od dawnych czasów najdystygowańsze regimenty francuzkie za czyny wojenne posyłane bywały, i gdzie płaca dla wszystkich stopni jest półtoraczna. —

Wyszły tedy rozkazy Murata pod datą 29go grudnia 1802 r. zgromadzenia nas rozłożonych na leże zimowe po departamentach Krostolo, Panaro i Reno w mieście

modeńskiém Reggio i wydania marszruty de Genui, punktu wsiadania naszego na okręty, sam zaś przybył do Parmy, na którą nam marsz przypadła dla ogłoszenia osobiście takowego postanowienia Konsulatu, ale trwózony przez pułkownika Axamitowskiego na kilka dni wprzód do siebie sprowadzonego, że przy takowym ogłoszeniu może wielkie wzburzenie nastąpić, uwierzył, i w chwili kiedy awangarda nasza wchodziła do miasta, Murat wymknął się z Parmy i do Mantuy pojechał, zostawując jednego ze swoich adjutantów dla ogłoszenia nam tak ważnego prawa, które odczytane naprzód, wszystkim w jedno koło zgromadzonym oficerom, a potem każdemu z osobna batalionowi, wydały kilkakrotne okrzyki: niech żyje Francya, niech żyje rząd francuzki, niech żyje pierwszy konsul — wtedy dopiero otworzyły się pozamykane okna rozmaitych pałaców i domów otaczających ten obszerny i piękny plac, na którym trwózący całe miasto akt się odbywał — Wnet wszystkie balkony okryły się damami wywołującemi pochwały nasze i na znak radości powiewającemi chustkami — w rzeczy saméj dzień ten był uroczystym dla Parmy, a dla nas dniem pewności, że udajemy się tam, dokąd rokiem wprzód wysłano braci naszych, ambarkując ich w porcie liwurneńskim już jako 113 regiment francuzki.

Wszystko się szybko robiło — w kilkanaście dni, to jest w sam dzień nowego roku 1803 weszliśmy do Genuy, odbywając marsze jak najporządniej i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przewidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korespondencyj od naszych wprzód tam zasłanych, jako i z dzieł opisujących najgorszy téj wyspy klimat i jéj zabójczą żółtą febrę — obojętność zaś na widoczną naszą zagładę pochodziła ztąd, żeśmy zupełnie stracili nadzieję i wszystko nam jedno było, czy tracić życie we Włoszech czy gdzie indziej.

Wsiedliśmy 4go lutego na eskadrę z Brestu pod komendą kontradmirała Bedout przybyłą, składającą się z trzech okrętów liniowych, dwóch fregat i jednej korwety. — Okręt liniowy *le Fougueux*, na którym ja byłem z moim batalionem, najszybciej z całej marynarki francuskiej, wytrzymał straszną pięciodniową burzę, która zaraz w pierwszym dniu okręty nasze rozproszyła, sam jeden przybył do cieśniny gibraltarskiej a po pięciodniowym pasowaniu się z pędem wód Oceanu wiecznie tym kanałem wlewających się do morza Śródziemnego, szóstego w nocy z burzą od Wschodu przybywającą, przebył tę cieśninę, i w trzydzieści dni sam jeden stanął tam, gdzie dla nas grób był przygotowany, gdyż reszta eskadry ledwo we 20 dni później nadpłynąć zdołała, kiedy ja prawie już blisko połowę ludzi moich utraciłem w bojach i przez choroby. —

Nasz pułkownik Axamitowski nie był z nami. — Marat pozwolił mu zostać we Włoszech z kilkoma członkami rady gospodarczej, między którymi zatrzymał brata swojego Falkowskiego (*) jako kapitana ubiorczego, dla oblikwidowania się i odebrania zaległości, jakie nam rząd włoski był winien, a które później sam nam miał przywieść. Tym szczęśliwie pozornym a w gruncie nie prawdziwym powodem uniknął ambarkowania się, którego się nadewszystko lękał, bo już się rozpoczynała nowa z Anglią wojna, a z nią pewność, że wszelka dla Francji żegluga zamknięta zostanie — Na moją tedy osobę z prawa starszeństwa przypadła komenda rzeczzonego regimentu, a jen. Rochambeau najwyższy

(*) Falkowski wówczas bardzo młody oficer, znakomity później wojskowy, został przywołany do boku Cesarza Napoleona jako *officier d'ordonnance*. W tym stopniu odbył kampanie z r. 1806 i 1807. Następnie postąpił na pułkownika dowodząc pułku w r. 1810. a za W. X. Konstantego został generałem brygady w piechocie.

razdca, swoim dekretem kolonialnym podniósł mnie na stopień pułkownika, lecz jego nominacye z powodu że kolonia upadła, przez Napoleona przyjętemi nie były, i ja wrócić musiałem do mego stopnia podpułkownika.

Kolonia zaś upaść musiała nie przewagą murzynów, ale straszliwie w nią grassującą chorobą i prawie zupełnem nas wyniszczeniem tudzież blokowaniem przez Anglików wszystkich punktów i odcięciem nam wszelkiej komunikacyi do tego stopnia, że szczątki nasze wszędzie z głodu musiały kapitulować i iść w ich niewolę — taka też kolej przyszła i na miasto *Cayes* w którym ja znajdowałem się z dwoma moimi batalionami i szczątkami 113go regimentu, wszystkie z tysięcy zredukowane do dwóchset kilkudziesiąt głów schorzalych żołnierzy i ich żon.

Takiemu samemu losowi uleść miała i pierwsza półbrygada, dla dopełnienia zamiaru całkowitego nas wyniszczenia, ale wojna z Anglią i jej potęga na morzu stanęły na przeszkodzie, wkrótce też nowa wojna z Austryą i całą koalicją niszczyły wszelkie poprzednie układy, tym sposobem Isna półbrygada utrzymała się we Włoszech, do której i ja puszczony na parol do Stanów Zjednoczonych Ameryki, wydobywszy się z niewoli angielskiej i do Paryża przybywszy, posłany zostałem w skutek mojej noty podanej Napoleonowi ażeby mnie podług nabytego prawa jako francuza rozkazał umieścić we właściwym stopniu w jednym ze swoich regimentów wielkiej armii.

Rzeczoną półbrygadę znalazłem w Pulii, jednej z nadmorskich prowincyj królestwa neapolitańskiego, składającą część pierwszej dywizyi Włoskiej, która w parę miesięcy później wraz z wojskami francuzkiemi wyprowadzoną została aż ku granicom Tyrolów włoskich, dla prędszego dokonczenia wojny z Austryą. — Wypadło że w czasie kiedyśmy Wenecyą blokowali, spadł na nas

korpus austriacki dowodzony przez księcia de Rohan emigranta francuzkiego z Tyrolów wyparty w zamiarze połączenia się z korpusem Wurmsera w Wenecyi zamkniętym — korpus ten Rohana w bitwie stoczonej pod *Castel franco* z naszą półbrygadą pod komendą jen. *Saint Cyr* i regimentem Szwajcarów pod komendą jen. Regnier zostającymi, całkowicie prawie przez naszą półbrygadę i z swym księciem do niewoli zagarniętym został. — Wkrótce też ogłoszono i pokój z Austryą.

A że w czasie ewakuacyi naszej królestwa neapolitańskiego monarcha kraju tego zerwał ugodę z Francją zawartą, przyzywał w pomoc wojska obce i wpuszcł do Neapolu sprzymierzeńców swoich Anglików i Rossyan, znowu więc Napoleon widział się zmuszony do prowadzenia nowj wojny, posłał na nią swoje regimenta, z niemi naszą półbrygadę i regiment Szwajcarów — stało się to bardzo prędko, bo po szybkim przebiegnięciu krajów Papieżkich, zaraz zdobyliśmy twierdzę *Kapue* Neapol zasłaniającą, a kiedyśmy byli w marszu już ku samemu Neapolowi, król nie czekając odwiedzin naszych, z familią, ministrami, całym swoim dworem, tudzież najznakomitszemi królestwa tego familiami odpłynął do Sycylii i założył rezydencyą w stólecznym tej wyspy mieście Palermo, oddając całą tę wyspę a więc i siebie pod opiekę angielską. — Neapol a szczególnie prawdziwa jego siła lazarony, których zawsze na 40 tysięcy rachują, bronić się nie chcieli, Rossyianie i Anglicy szczęśliwie sobie odpłynęli a my spokojnie weszliśmy do stolicy, która nas powtórnie jako zwycięzców a razem jako i gości witała, gdyż tą razą prowadziliśmy na jej tron wielkiego Francyi konnetabla Józefa Bonapartego brata Napoleona. —

Po zajęciu Neapolu i ogłoszeniu królem tegoż Józefa, spieszenie organizowano pod komendą Reniego (*Regnier*) nowy na wyprawę do Kalabryi korpus, do którego i nas

już w ówczas dość znacznie naprzód, bo aż do Salerno posuniętych przyłączono. — W prowincjach tych skoncentrowane były wojska neapolitańskie i cała ich dzika i okrutna ludność przeciwko nam wzburzona i uzbrojona — Wojska te w stanowczej pierwszej bitwie w jednej z najmocniejszych pomiędzy skałami tamtejszemi pozycyi, zwaney *Campo tenese* zniszczone, większa część poszła w niewolę naszą, reszta ratowała się ucieczką, i na przygotowanych tym końcem statkach do Sycylii odpłynęła.

Ale nie to samo działo się ze zbuntowanymi, których my zwaliśmy *brygandami*. — Działania przeciwko nim szły nam z wielkim oporem, raz przez górzyste położenie kraju i w wielu miejscach prawie niedostępne, powtórę przez słabość sił naszych, które lubo były dostateczne do pokonania wojska, ale nie były takimi do obsadzenia całego nieprzychylnego i wzburzonego przeciwko nam kraju, nadto przez oderwanie znacznej części wojska na zdobycie pogranicznej twierdzy *Gaeta* rozpoczęte na samym wstępie do tego królestwa.

Ciągająca się bez żadnego rezultatu w Kalabryach z powstańcami wojna, coraz bardziej niszczyła siły nasze, a wzmocnić ich nieczem nie można było gdyż Napoleon w téj chwili odmawiał bratu swemu zasiłków, sam znajdując się w nowój z Prusakami i Rosyanami wojnie. — Taką to upatrzone porę do wysłania z portu sycylijskiego *Malazzo* skombinowaney floty angielskiej i neapolitańskiej w liczbie 50 żagli to jest okrętów różnej wielkości pod komendą sławnego admirała angielskiego *Sidney Smith*, która w zatoce *Santa Eufemia* wylądowała znaczne obu tych narodów siły pod komendą jen. angielskiego *Stuard*, przeciwko którym na prędece zebrał Regnier swoje siły całkiem nie odpowiednie, gdyż w kraju, w którym drogi nie znane, niemógł mieć żadnej artylleryi naprzeciwko tysiącom dział gra-

jać z floty i szalup wzdłuż brzegów rozciągniętych; przegraliśmy więc tę bitwę, która powstańców bardziej jeszcze przeciwko nam rozogniła i wojnę okrutniejszą zrobiła, że tylko w masie całym korpusem mogliśmy się trzymać.

W takim znajdowaliśmy się położeniu, aż póki miona twierdza Gaeta leżąca na pograniczu królestwa i na krawędzi prowincyi Ferra di Lavoro nie poddała się na koniec Massenis, po wielomiesięcznym oblężeniu, gdyż zdobywanie jej było zbyt trudnem, jako skały w kształcie amfiteatru całkiem na morze wysuniętej, do koła ufortyfikowanej, i stykającej się z lądem tylko bardzo wąską szyją o jednej bramie i bronioną 80ciu działami, prócz tego floty angielskiej rozłożonej w obszerniej i wygodnej zatoce przez cały ten czas silnie i skutecznie na oblęgających działającej — wszystkie te jednak zawady męstwem i wytrwałością Francuzów pokonane zostały — Na barkach znoszono ziemię na wierzchołek upatrzonej nagiej skały, ścieżkami w gzygzak wykutymi dla porobienia na niej działobitni, wywindowania dział wielkiego kalibru i burzenia niemi fortyfikacyj a zarazem i dosyć pięknego jej miasta, aż póki żądany nie nastąpił skutek — W ciągu oblężenia flota angielska i twierdza tyle na oblęgających wyrzuciły rozmaitego rodzaju pocisków, że z nich później ułożono kilka dużych piramid zadziwiających podroźnych.

Tak pomyślny wypadek zasilił nas żołnierzem od rzezonanej twierdzy ściągniętym, że mogliśmy się na nowo rozdzielić i na wielu działach punktach — Gwiazda też szczęścia ciągle Cesarzowi Francuzów przyświecająca, zmieniła postać rzeczy. Potęga Pruska w pierwszej raz bitwie pod Jena rozbita nigdzie się zatrzymać nie mogła, oddamy jej rejtując się różnemi punktami ściągane przez Francuzów, taki przestrah rozniosły, że nawet ich fortece dobrowolnie się poddawały, i otwierały

zwydęzcy wolne wnijsie do Warszawy, gdzie zaproponował wystawienie 40 tysięcy wojska polskiego, zaś do przypieszenia takowej organizacyi zażądał Cesarz od brata swojego króla Józefa przysłania 24 oficerów z naszej półbrygady i 12 oficerów także z naszej kawalerii polskiej, a wtedy już mógł posłać mu nowe z Włoch zasilki. Wprawdzie wojna nie była jeszcze ukończona, ciągnęły ku Warszawie świeże wojska rossyjskie, do których przyłączyły się i szczątki pruskich, ale i te z kolei pobite zostały pod Gelyminem, Pułtuskim i Preussisch Eylau. — W téj właśnie porze nasza półbrygada, zastąpiona legią cudzoziemską *Latou-ra* z Ankony przybyła, zciągniętą została do Neapolu, zkąd oficerów w liczbie żądanej wysłano pocztą do Warszawy, między którymi i ja przybyłem do niej 13go kwietnia 1807 r. gdzie wszedłem na Gros Majora do pułku I. piechoty formowanego przez pułkownika Michała Grabowskiego — Wkrótce téż nastąpiła świetna dla oręża francuzkiego bitwa Frydlandską zwana, a po niej pokój i traktat Tylżycki. Wtedy już król neapolitański nie widział potrzeby podług pierwiastkowego zażądania Cesarza posyłać nam do kraju naszą półbrygadę. Żołnierzy rozebrano pomiędzy regimenta gwardyj, a samych tylko podoficerów i oficerów jako kadry posłano do Wrocławia, gdzie im nowo utworzone Księstwo Warszawskie dostarczyło kantonistów na trzy kompletne regimenta, każdy o trzech batalionach, te najprzód posłane do Niemiec a później do Hiszpanii znane tam były przez cały ciąg wojny pod nazwiskiem Legii Nadwiślańskiej.

To co do Legionów.

Co zaś do jenerała Dąbrowskiego — Wezwany do Medyolanu jakim wyżej powiedział, zaraz po naszym rozdzieleniu na dwie półbrygady wszedł w służbę włoską, został inspektorem jenerałym jazdy téj rzeszypolskiej, organizatorem nowo formujących się regimen-

tów, i ich prawdziwym instruktorem. Powołany od rządu, — w czasie koronacyi Napoleona należał do składu delegacyi włoskiej złożonej z najznakomitszych obywateli, wyprawionej do Paryża dla ofiarowania cesarzowi korony włoskiej. — A jako najpierwszy organizator Legionów Polskich we Włoszech, wezwany od Napoleona na wojnę Pruską, najpierwszy także za wkroczeniem Francuzów do Poznania, wojsko polskie organizował, nowe pułki formował, i najpierwszy z nieprzyjacielem boje staczał jak tego dowodem są pomiędzy innemi, których nazwisk nie pamiętam: bitwa pod *Czerwem* i oblężenie Gdańska. —

II.

Wątpię, ażeby ktokolwiek z tych co należeli do wyprawy na wyspę San Domingo mógł ułożyć rzetelną i dokładną całość, przez rodzaj wojny jaka w zbuntowanej kolonii prowadzoną była; i tak na przykład jak wieść powszechna chodziła: że legia przez Kniaziewicza nad Renem formowana, wzięta do kadrów armii francuskiej i jak 113 regiment liniowy téj Rzeczypospolitej pod komendą pułkownika francuskiego Bernard, był ambarkowany w Liworno, nie cały od razu, ale częściowo, po większej części na najętych statkach kupieckich, te nie płynąc razem, pojedynczo zawijały do portów hiszpańskich dla zreparowania uszkodzeń jakie ponieść mogły od burz morskich, i tam podług upodobania, krócej lub dłużej bawiły, co zrządziło pewien nieład, gdyż żołnierze zostawali się w Hiszpanii i nie wszyscy do miejsca doprowadzeni być mogli, znalazło się nawet kilku oficerów, którzy wysiadłszy na ląd, podawali się do dymisyi jako schorzali i niemogący znieść klimatu mor-

skiego. Zatem okręty nie razem do kolonii przybywając, wysadzały oddziały na nich znajdujące się w rozmaitych miejscach, w takich nawet, z których połączenie się z korpusem albo było zbyt trudnem albo niepodobnem; niknęły więc pojedynczo i bez żadnej z ogółem komunikacyi — a więcby wypadało, ażeby każdy taki oddział miał swego historyka do sklejenia całości, a to jest niepodobnem.

Powtóre. Druga półbrygada polska, której dowódcą był pułkownik Axamitowski i w której ja się znajdowałem, zamieniona na 114 regiment liniowy francuzki, rokiem później od wyż wspomnionego ambarkowany był w Genuy, ale i o tym więcej drobnostek aniżeli ważnych rzeczy objawić jestem w stanie.

Pułkownik Axamitowski otrzymał od Murata pozwolenie zostania chwilowo we Włoszech dla obrachowania się z rządem włoskim i odebrania zaległości jakie nam tenże rząd był winien, gdyż na jego zostawaliśmy żołdzie, zatrzymał z sobą brata swego Falkowskiego jako kapitana ubiorczego, Darewskiego kapitana i parę indywiduów z niższych stopni, wszystkich jako członków rady gospodarczej.

W zastąpieniu pułkownika Axamitowskiego, komenda przypadła na najstarszego pułkownika jakim był Zagórski szef kontroli (stopień, jaki później zamieniony został na gros-majorowski); wiedzieć wszelako wypada, że zaraz za naszym do Genuy przybyciem, przysłał pierwszy konsul do komenderowania nami jen. brygady francuzkiego Spital, który miał za adjutanta przy sobie rodzonego brata swojego.

Weszliśmy do Genuy w sam dzień Nowego roku 1803, a we 12 dni później weszła do przystani gennenskiej i rzuciła kotwice eskadra z Brestu przybyła pod komendą kontradmirała Bedout, składająca się z trzech okrętów liniowych, kontradmirałskiego *l'Argonaute*, *Héros* i *le*

Fougueux, z fregaty *la Vertu* i z korwety *la Serpente*. Te pięć okrętów zajęły się zaraz braniem świeżej wody, dokompletowaniem na długą żeglugę i powiększoną liczbę gęb dostatecznej żywności, a żołnierze nasi układaniem broni w paki, przewożeniem jej na okręty, w kitalach z szarego płótna, jakie całemu dano regimentowi dla oszczędzenia mundurów w pracach do jakich w ciągu podróży użyci być musieli, zastępując uszczuploną liczbę marynarzy, dla zrobienia im większego miejsca.

Regiment ze swymi oficerami wsiadł na okręty 3 tego na noc, a 4go po południu wypłynął na morze w następującym porządku: najprzód kontradmirałski, na którym był jen. Spital, podpułkownik Zagórski z żoną i trzeci batalion komenderowany przez kapitana Tyson w zastępstwie podpułkownika Zawadzkiego, za urlopem we Lwowie pod ówczas znajdującego się. Za nim drugi batalion pod komendą podpułkownika Jasińskiego, a za tym fregata i korweta z resztą ludzi, którzy się na okrętach pomieścić nie mogli, został tylko *le Fougueux* na którym ja byłem z 1szym batalionem, dla wydobywania z morza kontradmirałskiej kotwicy i wciągnięcia jej na swój pokład przysyłając tym końcem linę od niej, ale kotwica tak się zahaczyła o skały w morzu, że użytych sześćdziesiąt grenadyerów pracując przez 2 godziny oderwać jej nie mogło. Zniecierpliwiony kontradmirał że okręt tak długo stoi na miejscu, daje nam sygnałami rozkaz, zapewne nieprzyjemny — kapitan zestawia wielką szalupę z 60 majtkami i jednym oficerem dla jej wydobywania, a sam wypływa na pełne morze.

Burza już wtedy, która się niespodzianie zerwała, coraz bardziej się wzmacniać poczyniała i wieczór nadchodził, przyciągano na wierzchołki masztów pozapalane latarnie dla oryentowania się, ale je burza pogasiła, a okręta w ciemnościach nocnych zupełnie się pogubiły i rozproszyły. Kapitan okrętu naszego, troskliwy o ludzi

których zostawił dla wydobywania kotwicy, staje *en panne*, to jest: tak nastawiając żagle, że wiatr prąe z równą siłą na wszystkie strony, trzyma okręt na miejscu; w takiej pozycyi doczekał się przecie owęj szalupy, która po największych wysileniach, straciwszy maszt swój złamany i wraz z żaglem w morze porwany, dobiła do okrętu, który dla dania jęj znaku, trzymał majtków z latarniami na galeryi głównego masztu — jednego z nich burza zerwała, spadł na działo, a zgruchotana czaszka w tymże momencie śmierć mu przyniosła — resztę nocy poświęcono na wywindowanie 3ch szalup na pokład okrętowy, włożenie ich jedna w drugą i przymocowanie do tegoż pokładu.

Za nadejściem dnia żadnego nie dostrzeżono okrętu, a tak sam jeden pasując się z burzą trwającą 5 dni i nocy, w największém zostawał niebezpieczeństwie rozbicia się o brzegi Sardynii, od której na żaden sposób oddalić się nie mógł, a choć manewrował dolnemi tylko żaglami, gdyż górne wraz z ich masztami na dół ściągnięte zostały, wiatr tak silnie działał, że dwa razy poszarpawszy wielki żagiel zwany *grande voile de misène*, dopomógł bałwanom okręt zupełnie na bok położyć. W tak straszném niebezpieczeństwie, i ażeby całkiem przewróconym nie być, kapitan rozkazał uchwycić sterkiery, obciąć liny i wszystkie działa z zatopionego boku wpuścić w morze dla dania drugiemu przeciwwagi, ale kiedy już do takiej rzuceno się pracy, nadzwyczajnym trafem przyszedł bałwan, który silném adereniem wyprostował go.

Po ustaniu burzy płynęliśmy w takim kierunku, żeśmy zawsze widzieli brzegi Hiszpanii; przed samą Malagą, i kiedyśmy się znajdowali w małej bardzo od niej odległości, nadeszła cisza morska, która nas resztę dnia tego i cały następny na miejscu trzymając, ciekawym Hiszpanom przyjemny mogła sprawić widok, ale nikomu

z okrętu nie wolno było wysiąść na ląd, gdyż był rozkaz żadnej z ziemią nie mieć komunikacji. Zonda w tém miejscu puszczona pokazała 300 sążni głębokości. — Trzeciego dnia wzmógł się lekki wiatr i dozwolił okrętowi wniknąć do cieśniny Gibraltarskiej, a że nie był tak silny, ażeby mógł pokonać pęd wód Oceanu wiecznie tamtędy wlewających się do morza Śródziemnego, męczył się przez 5 dni i nocy, aż nakoniec 6go z nadchodzącym silnym wiatrem od wschodu burzą grożącym, wśród ciemności nocnych ryzykując się nawet na niebezpieczeństwo, przebył szczęśliwie tę cieśninę i na Ocean wypłynął.

Przez cały ten czas nie ukazał nam się żaden z okrętów naszej eskadry, tak więc sam jeden płynąc, kapitan był kontent że się uwolnił od rozkazów przykrego dla siebie komendanta — a że okręt jego *le Fougueux* był jednym z najszybciej płynących w całej marynarce francuskiej, stanawszy tedy na wysokości wiatrów alizejskich ciągle od wschodu wiejących i pewny dalszej swojej żeglugi, odjętą przez kontradmirała ludziom naszym trzecią część kompletnej żywności przywrócił, nakazując taką samą jaką majtkowie pobierali, nadto wodę kazał dawać na dyskrety, której pospolicie udzielano jedną tylko butelkę na 24 godzin.

Reszta żeglugi była przyjemną i tak pewną, że dniami wprzód wyrachowano godzinę o której spostrzętem *Portorico*, toż samo i przylądek *Samana* już do St. Domingo należący, równie jak i godzinę o której weszliśmy do portu stołecznego miasta *Cap Français* połowy wyspy do Francji należącej, gdyż druga jej połowa była hiszpańską i miała za stolicę miasto Santo Domingo, ostatnim traktatem cała do Francji należąca, ale nie objęta w posiadłość dla toczącej się z murzynami wojny.

W pięknym tém i niegdyś bogatém, dziś całkiem zburzoném mieście utrzymywała się jeszcze główna kwatera

jenerała Rochambeau, naczelnego rządcey wyspy— W porcie znaleźliśmy kilkanaście rozmaitej wielkości okrętów wojennych i admirała *Latouche Trévil*, któremu składając raport, dostrzeegliśmy łódź od brzegu płynącą, był to nasz kapitan Przebendowski, teraz adjutant jen. Rochambeau, wysłany dla dowiedzenia się co miał znaczyć ten nowo przybyły okręt.

Zaprošzony, wraz z kapitanem okrętowym na obiad i posadzony po lewej stronie rządcey, zapytany od niego, jak ten kraj uważam? odpowiedziałem: że bardzo górzysty.. Rozumiem, odrzekł mi, znam ja was we Włoszech i lud wasz za ciężki do działania w górach, dla tego poszlę was w równiny do części południowej bynajmniej nie zniszczonej, gdzie powinno wam być dobrze. Jakoz drugiego dnia kapitan okrętu odebrał rozkaz udać się z nami do *Cap Tibouron* i tam nas na ląd wysadzić, a mnie, dowiadywać się o najbliższego jenerała i pod jego pójść komendę.

Okręt dla przeciwnego wiatru nie mógł wnijsć do przystani, ale dostrzeegliśmy w głębi jęj okręt na kotwicy stojący, był to liniowy nazwiskiem *Atalante*, który na 10 dni wprzódę wylądował z jenerałem *Sarrazin*, batalion 14go regimentu lekkiej piechoty, z którym tenże jenerał przeszedł lądem do miasta *Cayes* z największą wprawdzie trudnością, lecz mu się udało, gdyż był najpierwszym i niespodzianym w tém miejscu ruchem. Musiał więc okręt nasz krążyć po morzu, a mnie szalupą na ląd wyprawiono. Wysiadłem pod całkiem zburzoném miasteczkiem *Tibouron*, w którém zastałem kilka sporych szop z desek zbitych i bardzo niewielką ludność; tam się dowiedziałem, że najbliższym jenerałem w tamtych stronach komenderującym był jen. *Darbois*, mający swoją kwaterę w mieście *Gérémie*, tam tedy posłałem w oryginale dany mnie od jen. Rochambeau rozkaz.

Jenerał Darbois rozkazał mi przyplłynąć z batalionem do Gêrémie — przesadzono tedy batalion z okrętu na kilkanaście małych statków, nie bez wzajemnego rozczulenia się z zabraną na nim przyjaźni i prawdziwej sympatii, tudzież dziękczynień dla tak dobrego kapitana jakim był *Bescogne* i jego oficerowie.

Jenerał Darbois jak tylko dostrzegł tę flotyllę na morzu, wysłał przeciwko niej adjutanta, żeby się do brzegu nie zbliżała, tylko żebym ja sam z tym adjutantem przybył do niego. Jenerał ten, zmienił swój plan, kazał wracać do Tyburon, tam na ląd wysłać i na siebie oczekiwać — jakoż przybył niezwłocznie i rozpoczął takąż samą lądową ekspedycją, jaką poprzednio zrobił był do Cayes jen. Sarrazin.

W pierwszym zaraz dniu takiego pochodu wzdłuż brzegu morskiego, obok ciągłego pasma gór odwiecznym lasem zarosłych, wyszliśmy na płaszczyznę zagłębiającą się w nowe gór pasmo, które przedzielała nie wielka rzeczka w morze wpadająca, dolinę tę zwano *Cazarehanac*, od której nazwisko wzięła mocna reduta murzynami obsadzona na wyniosłej górze w morze spadającej, około której kręciła się przypadająca nam droga. Redutę tę wypadało naprzód zdobyć; w tym celu ruszyły dywizye batalionowe dla przedzierania się pobocznymi górami, okrążenia tej reduty i odcięcia jej z tyłu komunikacyi. Spostrzegłszy to murzyni, po słabym oporze i ranieniu kilku tylko żołnierzy, wyszli z niej — ale uważałem, że wszyscy byli należycie uzbrojeni i kompletnie w mundury francuskie ubrani. — Droga robiona o której wspomniałem, w wielu miejscach miała pokopane rowy, a za niemi wzniesione parapety z podwójnymi ustępami dla ukrywania się w potrzebie.

Po wzięciu tej pozycyi zeszlśmy na obszerną w kształcie amfiteatru dolinę zwaną *Aux Anglats*, opasaną dookoła wzniosłemi górami w morze zapadającemi — tam

resztę dnia przepędziliśmy wśród poburzonych młynów cukrowych i kilku knp kawy nasypanej na ogromne liścia figi bananowej, lecz zarazem uważaliśmy ciągle tłumy murzynów z bagażami, dążące górami w stronę którejdy nam marsz przypadał.

O trzeciej po północy ruszyliśmy z miejsca tego, mając rozkaz nie nabijać broni ażeby się nie bawić strzelaniem, ale prosto iść na nieprzyjaciela z nadstawionym bagnetem. Szliśmy dość długo spokojnie, mając po prawej stronie brzeg morski, a po lewej okrywając się łańcuchem woltyżerowskim od zasadzek jakie mogły mieć miejsce pomiędzy plantacyami cukrowemi; ale jakeśmy się zbliżali ku miejscu które pomimo ciemności nocnej odkrywało oczom naszym bliską górę, spostrzegliśmy, na jeden raz, sygnał w rozciąglej linii zrobiony ze spalania na panewce prochu, którego nas przekonywał o czujności i gotowości nieprzyjaciela. W krótkie też sygnął się rzęśisty karabinowy ogień; był to murzyński ogień na naszą sekcję woltyżerską prowadzoną przez podporucznika *Wejgiel*, za nią rzuciła się naprzód kompania grenadyerów w awangardzie idąca a następnie i reszta batalionu; ale również przywitana, w tył cofać się zaczęła. Wypadało więc przeciwko ogniewi na nas sypanemu front uformować i podobnyż na nieprzyjaciela rozpocząć. Kiedy się to dziać zaczęło, ciemna noc w okamgnieniu zamieniła się na dzień zupełnie widoczny — gdyż w tamtych klimatach świtania nieznane, a wtedy dopiero postrzegliśmy górę przez którą szła droga w skale kuta, na kondygnacye, zatarasowana rowami i parapetami, murzynami obsadzonemi; na zwierzchniej zaś jej płaszczyźnie trzy reduty osadzone mnóstwem zbrojnego ludu. Tam to zginął ze swoją sekcją podporucznik *Wejgiel*, kapitan grenadyerów *Mesange*, adjutant-major *Królikiewicz*, wielu grenadyerów zabitych i rannych. — Nie można było w takiej zbyt nas rażącej

utrzymać się pozycyi, posunęliśmy się na lewo, weszliśmy w krzaki, z nich staraliśmy się górami okrążyć pozycyą — ale nieznana w Europie gęstość lasów powiązanych *lianem* rośliną, zbyt tam mnogą, ogromne rozpadliny w górach, jak mówiono będące skutkiem dawniejszych okropnych trzęsień ziemi, wszystkie nasze usiłowania daremnemi czyniły tak, że jen. Darbois około południa osądził potrzebę ustępu. Ten się rozpoczął, może z zadziwiającym jenerała porządkiem, wśród rżącego nieprzyjacielskiego ognia, i z taką zimną krwią, jak gdyby się to na mustrze działo — ale przyznajmy z drugiej strony: że w klimacie tak gorącym, w samo południe, żołnierz wyniszczony fatygą nie mógł być rześkim, a tém samém stał się obojętnym. — Murzyni nie umieli nas ścigać, przedstawiali na przeraźliwych wyciach, a zabiegać nam nie mogli, gdyż im przeszkadzała wielka przestrzeń plantacyi cukrowej wodą zalanej — resztę naszego marszu odbywaliśmy spokojnie, i kiedy już byliśmy niedaleko Tyburon, jenerał bierz z sobą kompanią grenadyerów a mnie każe wracać do owej reduty pod Carvahanac — szczęściem nie była jeszcze przez murzynów zajęta i ja do niej spokojnie wszedłem. Tam przez dwa dni zostawałem żadnego nie odbierając rozkazu ani żywności, szczęściem znaleźliśmy świnie blakające się po lesie, te żołnierzom dostatecznie racye zastąpiły. Jenerał na drugi dzień ruszył sobie do Gérémie i dopiero w drodze przypomniał, że żadnego dla mnie nie dał rozkazu, wątpił nawet czy już nie byłem zabrany, kazał tedy mnie wyszukiwać. Wyszedł najprzód oddział żandarmów, za nim kompania grenadyerów. Żandarmowie zbliżając się ku reducie, poedynczo wymykali się z lasu i napowrót szybko się kryli, że to zrobiło pewien rodzaj trwogi na tych co takowy ruch dostrzegli, ale pokazywało, że tam murzyni być nie mogli, gdyż przed godziną zrobione patrole nie nie

odkryły — kazalem tedy na wielkiej żerdzi wśród reduuty wznieść naszą trójkolorową chorągiew z kogutkiem, wtedy dopiero pokazali się żandarmy, a za niemi i nasza kompania grenadyerska. — Wróciłem do Tyburon, wsiedliśmy na te same statki które nas do Gérémie wozily, ja z kompanią grenadyerską na tenże sam co wprzód bryg armatorski *Bonaparte*, na który zabrałem wszystkich rannych i morzem udaliśmy się do *Cayes*, zostawiając podług rozkazu jeneralskiego jedną kompanią w reducie nad Tyburon będącej. W téj żegludze dwa mieliśmy wypadki; pierwszy, że korweta angielska kazała naszemu brygowi stanąć, sama do nas przyплыnęła, komendant jej wszedł na nasz pokład, cały statek zrewidował, a znalazłszy go napełnionym żołnierzami tak zdrowymi jak rannymi, słowa nie mówiąc, oddalił się i ze swoją korwetą odpłynął. Wizytę taką nasz kapitan wziął za niewątpliwy znak wypowiedzianej Francyi wojny — zrobił z tego zdarzenia protokół i zachował dla przesłania go wyższym władzom. — Drugi, szczególny w swoim rodzaju, był ten, że podporucznik *Bergonzoni* który jeszcze pod *Carrahanac* był zachorował, pewnego poranku, na samém rozwidnieniu wszedł do izby kapitańskiej w której ja się znajdowałem; zapytany odemnie: czegooby żądał? odpowiedział, że przyszedł zameldować się że umiera — a na moją perswazją, żeby tylko był spokojny a żyć będzie i zdrow zupełnie — słowa więcej nie wyrzekłszy, wyszedł, kilka kroków zrobił, padł i już nie żył. W podobnym téż rodzaju miał i pogrzeb: po zrobieniu protokołu, zaciągnięciu go do dziennika morskiego i wydaniu mnie duplikatu, wsunięto ciało jego w wór, tenże zawiązano u głowy z kulą wielkiego kalibru i w przytomności nas zgromadzonych wpuszczono po desce do morza; — takim sposobem odbyły się obrzędy religijny i świecki razem.

Statki nasze, jedno wcześniej, drugie później przybi-

jając do brzegu u miasta Cayes, ściągnęły mnóstwo ciekawych, tak białych jak czarnych; biali szczególnie witali nas z oznakami szczerzej radości, i bardzo sprawiedliwy mieli do tego powód, gdyż na parę dni wprzód miasto było atakowane przez murzynów i cudem prawie utrzymało się od rzezi, jakaby niewątpliwie nastąpiła gdyby miasto było zdobyte.

W mieście tém, nielicznym garnizonem francuzkim komenderował jen. brygady *Laplum*, rodowity murzyn, pozostały wiernym rządowi francuzkiemu — gdyż wiedzieć potrzeba, że kolonia utrzymywała 12 tysięcy regularnego wojska należycie wyćwiczonego, z samych murzynów złożonego, dla zastąpienia europejskiego, któremu we wszystkich epokach klima tamtejsze stawalo się śmiertelne, nie dziw zatém, że z owego wojska dawały się widzieć porządne oddziały.

Tenże jen. *Laplum*, kontent z naszego przybycia, codzienne na nieprzyjaciela zaczął robić wycieczki, sam zawsze na czele, ubrany w paradny mundur generalski. — W mieszkaniach duch na nowo ożył, rzuceno się do wzmocnienia miasta zasłaniając miejsca przystępniejsze, z początku szańczykami z beczek i różnych pak kupieckich ziemią przysypanemi, a później na ciągle opasanie miasta wałem i rowem podług reguł fortyfikacyjnych z bateriami, w których się znalazło 50 dział dostatecznie amunicją zaopatrzonych. Takie wzmocnienie i czujność nieustanna, niezmiernie powiększyły służbę garnizonową a z nią i śmiertelność; nie było dnia, ażeby z głównych *hauptwachów* w ciągu tych wałów pozakładanych, nie wywożono trupów — bardzo często znajdowano dwugodzinnych sztyldwachów zmarłych przy ich złuzowaniu: toż samo się działo po szopach nam na koczary przeznaczonych.

Ale wróćmy z tego smutnego obrazu do naszych, których na Śródziemném zgubiliśmy morza. Okręt kontr-

admiralski *l'Argonaute*, budowa hiszpańska wygodna ale do żeglugi niepospieszna, zatrzymując przy sobie, daleko skorsze budowy francuskiej, zrzuciła to, że ledwie we 20 dni po mnie do *Cap Français* zawinąć mogły; także same otrzymała rozkazy udania się do Cap Tiburon i tam wysadzenia na ląd wojska, które zaraz drugiego dnia zaczęło doznawać skutków klimatu, gdyż między najpierwszemi tamże zmarłemi, znalazł się nasz jen. Szpital ze swoim bratem i kapitanem *Petrykowskim* z batalionu 3go, a nim się zebrały oddziały francuskie do wyprawy kajskiej przeznaczone i generałowie niemi dowodzić mający, już bataliony nasze, znaczną w zmarłych poniosły klęskę. Przyszła nakoniec chwila ekspedycji, niestety! rozbiła się w tém samym miejscu, z którego ja ustępować musiałem; nic nie pomogły kilkakrotnie ponawiane ataki i eskaladowania, wrócić do Tiburon wypadało, stamtąd 2gi batalion z podpułkownikiem *Jasieńskim*, łodem posłany został do Gérémie, a podpułkownik *Zagórski* z 8im batalionem i oddziałami francuskiemi ambarkowany do Cayes, wyniesiony został na ląd chory, zmartwiony niepowodzeniem jakie pospolicie z podobnych zdarzeniach nierozsądni kierownicy starają się na kogoś obcego zwalić, umarł pierwszój zaraz nocy i drugiego dnia ze wszystkiemi honorami pochowany został. Przybyli także generałowie dywizyjny naczelnie komenderujący *Brunet* po nim *Darbois* i *Serolu* a z nimi kilku sztabsoficierów od inżynierów i artylerji na fregacie *La Vertu*, która po kilkodzińwém wypoczynieniu, i nowém zaopatrzeniu się miała wracać do Europy. Na nią wsiadła z małym synkiem włoszka wdowa po *Zagórskim*, otrzymawszy od naszej Rady gospodarskiej poświadczenie prawości testamentu, którym nieboszczyk czynił ją dziedziczką całego swego majątku w kraju posiadanego. Fregacie zawinąć wypadało do *Port au prince* gdzie już była główna jen. *Rochambeau* kwa-

tera, dla odebrania ekspedycyi do rządu francuzkiego. Uroda i wdzięki téj kobiety, która do oddzielnej należy historyi, tyle ujęły serca młodzieży głównego sztabu, iż okazali swego, że do nowéj okazji między nimi pozostała. Znikła później wszelka okazyja. Anglicy okrętami swojemi oblokowali wszystkie porty i przecięli całkiem komunikacyę wodną, a lądowéj już dawno dla przemagającej siły murzynów nie było. W tak ścisłym zamknięciu zaczęło wszędzie brakować żywności, gdyż magazynów zapasowych nigdzie nie było skutkiem złego powietrza które w krótkim czasie wszystko psuło, nawet lekarstwa po upłynioném półroczu traciły właściwość swoją — rzucono się na prywatne spiżarnie obywateli, ale te na bardzo krótki czas wystarczyć mogły, później na muły, osły, psy, koty a nawet i szczury po magazynach, z czasem i to się przebrało.

Na kilka jednak miesięcy wprzód nim te klęski nastąpiły, Francuzi starali się wszędzie wziąć przewagę nad zbuntowanymi murzynami. Nasz garnizon Cayes robiąc częste wycieczki, upatrzył pozycyą, był to piękny i obszerny wzgórek wzniesiony wśród plantacyj cukrowych obok dwóch pięknych krzyżujących się dróg robionych, palmowém drzewem wysadzanych zwanych *quatre chemins*. Na tém wzgórzu założono obóz z nazwą *Camp Bourdet* jako miejscu zburzonej temu obywatelowi pięknej habitacyi, do którego zaraz w pierwszych dniach przybycia swego trzeci nasz batalion zgromadzony został i tam się do ostatka utrzymywał. Wzgórek ten wkrótce zamienił się na małą forteczkę okopaną szerokim rowem, zasłonią mocnym parapetem z bateriami, w których się znajdowało ośm dział obsługowanych po większej części przez dawnych kanonierów murzynów pozostałych wiernymi dawnemu swojemu rządowi. Była ta pozycya bardzo bliska obozów murzyńskich na górach

rozłożonych, która im wszelkich działań na miasto przeszkadzała.

Na wspomnionój fregacie *La Vertu* odpłynął do Francji już żadnej nie mający komendy jen. Sarrazin i jen. Laplum; ten umarł w Kadyksie z dawniejszego w piersi postrzału i niewydobytój kuli. W naszym punkcie, oprócz głodu i zamknięcia portu jednym okrętem angielskim, nie było nic rozpaczającego, lecz nie tak się działo na innych. Mieszkańcy zaczęli opuszczać miasta i udawać się do wysp sąsiednich, najwięcej do hiszpańskiej *Kuby*; z takiej sposobności korzystał w Gérémie *Fresinet* wsiadł na obywatelski okręt z adjutantami swoimi, i z nimi i kapitan *Zimirski* po wymarcie starszych, komenderujący batalionem 2gim, gdyż już od dawna nie żył podpułkownik *Jasiński* odebrawszy sobie życie wystrzałem pistoletowym. Cóż tu powiedzieć o batalionie zostawionym w reducie nad miastem będącój? Porucznik *Rusiecki* zeszedł na dół z raportem do swego komendanta, a że go już zastał na okręcie nie miał nic lepszego do zrobienia jak porwać żonę z dziećmi i zostać pod dalszemi jego rozkazami bynajmniej niedając znać w reducie co się na dole działo. Opuszczone miasto zajęli murzyni, oblegli redutę i po dwudniowém traktowaniu weszli do niej, znalezionym tamże francuzom toporami na pieńku głowy poucinali, a naszych oddali anglikom, którzy ich zaraz ubrawszy w swoje mundury, kurtki polskie i cały ich ubiór oddali murzynom; w takim to ubiorze przyszedł nam się prezentować jeden batalion murzyński. Zbliżała się i dla nas chwila, ewakuowaliśmy miasto *Aguin* zajmowane jedną kompanią z batalionu 1go; dowódzca jój kapitan *Zieleniewski* zrąbany przez kawalerią murzyńską, po dostaniu się do *Cayes* umarł. Jenerał dywizyi *Brunet* zwołał radę wojenną i podał projekt przedzierania się do *Kartagony* na statkach obywatelskich na jakich w porcie nie zbywało, wszystkie te

jednak projektu nie przyszły do skutku, przybyło więc okrętów angielskich i z komodorem *Cumberland* nie mi komenderującym ugodę zawrzeć musiano, mocą której oddawano anglikom: miasto, arsenał, zgola wszystko co było rządowego albo wojskowego, anglicy zaś obowiązywali się zaprowadzić nas na swoją wyspę *Jamaikę*, tam oficerów przesadzić na okręta transportowe i odwieźć do Francji napowrót, a żołnierzy do dalszego czasu zatrzymać jako jeńców wojennych. Hurmem za nami, rzucili się obywatele na statki z rodzinami swemi, ale dużo pozostało w mieście ufnych w kapitulacyą angielską. Ci najprzód zajęli wszystkie po nas poczty, a przy ambarkowaniu się wprowadzili do miasta niewiele lądowego żołnierza. Po wyjściu z portu i zbliżeniu ku wyspie zwaney *l'Isle à Vache* na przeciw Cayes leżącej, na której zawsze utrzymywałem oddział z 50 ludzi złożony z jednym oficerem, obok której nieszereka była głębia, którą jedynie mogły wchodzić i wychodzić okręty, reszta w kształcie ogromnego półkola zamknięta pasmem skał pod powierzchnią wody ukrytych, dostatecznemi były że w tém miejscu postawiony jeden okręt angielski najściślej nas blokował, i wszelką więcęć jak przez trzy miesiące odjął nam komunikacyą. W tém tedy miejscu, cała ewakuacya nasza ze wszystkiemi statkami obywatelskiemi na kotwicy stanęła, a komodor *Cumberland*, ze świtą oficerów wziętą ze wszystkich swoich oficerów, ku wieczorowi odpłynął do miasta. Była to chwila wpaszczenia tryumfalnego do Cayes, jenerała murzyńskiego *Dessalines* z wojskiem jego. Huczne natychmiast usłyszeliśmy okrzyki, całe miasto rżęsiście oświecono, śpiewy i nieustanne strzelania dowodziły powszechnej radości wśród której odbywała się uczta dla anglików wyprawiona, ta się przeciągnęła aż do następnej nocy i niewróciła nam anglików na okręta aż trzeciego dnia rano znużo-

nych biesiadami ale dobrze obładowanych złotem za sprzedanie murzynom tego miasta. Naród przemysłny wszędzie znajdzie dla siebie korzyści i u nas takż, chociaż w niegodziwym sposobie, dla anglików się wydarzyła.

Jenerał Darbois jeden z najbogatszych w gotówkę jaką łatwo kilkoletnim pobytem w kolonii mógł nabyć, ambarkowany na okręt tegoż kapitana który nas blokował, żywy z temperamentu, w zajściach musiał czemsiś pogrozić anglikowi, że ten oskarżył jenerała jako buntującego polaków na ten okręt wsadzonych ażeby go opanowali i wieść siebie kazali gdzie się jenerałowi podoba. Jenerał tedy aresztowany, na dnie okrętu osadzony, za wnijściem do *Port Royal* wyprowadzony do tego ufortyfikowanego miasteczka zastaniającego ogromny port w głębi którego znajduje się miasto *Kingstown* stołeczne wyspy Jamajki i w nimże w areszcie zatrzymany przy zabranii wszystkiego co posiadał, co dało najfałszywszy powód jakoby francuzi zgwałcili kapitulacyą z komandorem zawartą. Gubernator wyspy ogłasza ją za niebyłą, zatrzymuje wszystkie okręta pod témże miasteczkiem i przez dni kilka anglicy ściśłą odbywają rewizyą, zabierając wszystkie pieniądze jakie tylko znaleźć mogli, gdyż byli pewni że nie małe znajdą summy, wszystkich bez wyjątku ogłaszają jeńcami wojennemi, z zabranych pieniędzy tak najmłodszemu podporucznikowi jak najstarszemu jenerałowi, ni mniej ni więcej, dają po dwadzieścia pięć talarów, z szyderstwem: że ponieważ u nas równość panuje, oni ją szanować umieją. Tak nas oporzadziwszy, wprowadzili okręty w głąb portu, nas pod samym *Kingston* na ląd wysadzili i jako jeńców zgromadzili do miasta *Spanishtown* 14 mil angielskich w głąb kraju będącego, gdzie gubernator wyspy miał swoją rezydencyą i w którym skoncentrowane były władze, tak sądownicze jak administracyjne, wziął na

swój dwór 14tu pozostałych nam muzyków, z 30tu niegdyś dobranych amatorów, tym się dobrze u hucznego rządzcy powodziło. Znaleźliśmy także w tém mieście kapitana *Zimirskiego* i porucznika *Rusieckiego*, o których wyżej była mowa wpadłych podczas swęj żeglugi w ręce angielskie. Wkrótce za nami przybył i *Rochambeau* ze swemi sztabami i garnizonem *Port au Prince*, który był ostatnią ewakuacją.

Tu się zastanówmy i zapytajmy się: co się stało z temi 600 kilkudziesiąt ludźmi choremi których ja z *Cayes* na jeden raz odesłałem do lazaretu w *Mole St. Nicolas*, gdzie była reszta naszego 113 regimentu wcielona rozkazem dziennym gubernatora do naszego 114go, w czasie ogólnej organizacyi podczas której, kilka zniszczonych, w jeden zlewano regiment, gdyż ja uznany za komendanta, i na przedstawienie jen. dywizyi *Brund* podniesiony na stopień pułkownika, ani tych ludzi ani ich chorągwi i kassy nie widziałem, wiedziałem tylko że przed nami byli polacy z *Cayes*, mężnie się trzymali, szczególnie wychwalali kapitana *Dziurbas* tamże poległego, i pamiątkę jego uświetniono, nazwaniem wznieśionego szanca *Fort Dziurbas*; żalowano także mocno podpułkownika *Bulaste* w *Jaquemet* zmarłego, co się zaś stało z jego wojskiem? niewiadomo, gdyż my musieliśmy tam posłać nowy garnizon pod komendą kapitana *Mościckiego*, a co się i z tym stało, także mnie niewiadomo, gdyż kapitan przybywszy sam po żołąd, nie znalazł prędkiej okazji do powrotu, zachorował i umarł, a my tymczasem kapitulowaliśmy i jako jeńcy wojenni dostaliśmy się w moc angielską. Więcej jeszcze podobnych znalazłoby się wypadków, które szczególnych, z tożsamości wypływających potrzebują świadków.

Anglicy, po kilkunastodniowém nas zatrzymaniu, zaczęli głosić: że gubernator chętnie by nas do Francyi odesłał gdyby miał przewozowe statki, gdyż wojennych

okrętów do tego użyć nie może, ale pozwoli nam częściowo udawać się do Stanów Zjednoczonych Ameryki o swoim koszcie, gdzie konsulowie francuzcy łatwe znajdą sposoby, wyprawienia nas jako parolowanych do Francyi. Tak się też i stało, do trzeciego transportu ja się podałem i znalazłem siedmiu ochotników, którzy zemną odpłynąć chcieli, wszystkich komisarz angielski akceptował, ale kiedy przyszła kwestya ażeby mnie wydał mojego służącego, który nie będąc żołnierzem nie mógł podpadać pod kategorię jeńców wojennych, na zapytanie jakiego był narodu? kiedy mu odpowiedziałem że Polak — jak skoro Polak, to wydany być nie może, zapytany przezemnie: dla czego? odpowiedział komisarz: „mogliście służyć Francuzom: przelewać krew w ich sprawie i ginąć, to żołnierze wasi mogą służyć Anglii, a będą lepiej odziani, zapłaćeni i zaszanowani, a jeżeli chcesz mieć służącego, wybierz sobie między Francuzami jaki ci się podoba, a będzie wydany,” zacząłem w żywszą nieco wchodzić rozmowę a widząc że próżno odszedłem.

Pozwolono nam udać się do *Kingstown*, tam znaleźliśmy bryk amerykański *Federaliste*, który wyprzedawszy swój towar, deski, miał próżno do Karoliny południowej odpływać, ale znalazł nas do 40 osób najwięcej Francuzów z żonami i dziećmi, mających zamiar osiąść na zawsze w Ameryce — Bryk ten już był kondemnowany, uznany za niezdatny do żeglugi, przecież chciwy kapitan jego *Eborn* znalazł sposób wymknięcia się, nie miał nawet bussoli, bez której żaden okręt podróży morskiej nie odbywa, i pewnieby nas w kanale *Bahama* zatopił, gdybyśmy szczęśliwym trafem nie mieli między sobą kapitana z zabranego przez Anglików okrętu, ten nas od niezawodnej uratował śmierci; rzuciwszy się sam do rudla i zakomenderowawszy manewr przerzucenia zagli, jakiśmy dobrze znali, w chwili wpadania statku

na ukryte w wodzie skały. Działo się to o 9 w wieczór, byliśmy wszyscy na pomoście, i dla tego bardzo szybko ten manewr się spełnił, a skierowany w inną stronę statek, już nie miał żadnego niebezpieczeństwa; ale go czekało drugie. We dwa dni później zblżyliśmy się wieczorem ku brzegom portu *Charlestown* a że żaden okręt bez pilota do portu nie wchodzi, rzucono kotwicę, tę burza zrywa, okręt w temże miejscu uszkadza, że się weń woda gwałtownie wdziera — rzucono się do pompy, ta niedostateczna — rzucono się do różnych naczyń i nie mi wodę wciąż wylewano — burza wpędziła nas na pełne morze. Kapitan nie mając bussolki ani żadnego potrzebnego instrumentu, nie wie gdzie jest — szczęściem jego pomocnik dostrzegł w odległości ziemię, rozpoznał że to był *Cap St. Antoine*, zblżyliśmy się do brzegu, weszliśmy na rzekę *Savannah*, i tam już więcej wody nie wylewając, ani pompując, pozwoliliśmy brygowi osiąść na dnie — drugiego zaś dnia szczęśliwie dostaliśmy się do miasta *Savannah*, gdzie nam w ciągu kilkunastodniowego bawienia, Amerykanie pokazali grób *Kazimierza Pałowskiego* wymurowany w miejscu, w którym spadł z konia nasz rodak komendant jednego regimentu kawalerii francuskiej przesadziwszy wał i spadłszy w środek re-duty angielskiej.

W tém na nowo z pożarów wznoszącym się mieście, pamiętném klęską francuzów wspierających amerykanów wybijających się na wolność, nie wypadło długo bawić, nam trzeba było szukać takiego, w którembyśmy mogli znaleźć jakiego Francji agenta, a takim był wytyj wspomniany *Charlestown* stołeczne miasto Karoliny południowej, do niego więc udaliśmy się, to jest nas trzech: ja, kapitan *Bogusławski* i kapitan kwatermistrz *Trusztalski* lądem, odbywając tę 40 milową podróż, dość wygodnym dyliżansem, samemi jak świat starymi lasami, pomiędzy którymi znajdowaliśmy same tylko stacye

poztowe z niewielą domkami i ludnością zabezpieczającą miejsca te od napadu Indyan, a reszta naszyeh morzem. — Przybyliśmy do *Charlestown* w wilią Bożego Narodzenia 1803 roku, w którym już dużo zastaliśmy Sandomingowskich Francuzów tak cywilnych jak i wojskowych; był w niem komissarzem do interesów handlowych: *Commissaire des relations commerciales*, nazwiskiem *Soult*, ten nam wszystkim bez wyjątku dawał także samą placę 6 talarów na tydzień jakąśmy od anglików mieli, możeby kto powiedział: dość dobrą, kto nie zna niezmiernej w owych krajach drogości. — Tenże komissarz wynajął dla nas okręt kupiecki trzymasztowy zwany *Minerwa* własnością hiszpańską będący, mający swego kapitana i kilku majtków hiszpanów, a że mocarstwo to, równie jak i Francya było w wojnie z Anglią, więc dla zabezpieczenia tak okrętu jak i nas od napadci nieprzyjaciela, komisarz ugodził do komenderowania nim, anglika z wyspy *Jersey* nazwiskiem *Messaray*. Okręt ten napełniony i cywilnemi z żonami i wojskowemi, między którymi i my, wszyscy w liczbie 8miu znajdowaliśmy się, wypłynął z portu 1go marca 1804 roku po wytrzymaniu 58 dniowej wśród srogich burz żeglugi, która miotając nami od *grands bancs de Terre neuve*, czyli niebezpiecznego pasma piasków morskich, i raz pędząc ku Norwegii, to znowu odwrótnie ku brzegom Afrykańskim i wyspom Kanaryjskim, dozwoliła w końcu, nieoszacowanemu kapitanowi naszemu wniknąć do *golfu Gaskońskiego*, a następnie w ujście rzeki *Dordony*, gdzie po 4ro dniowym nas zatrzymaniu dla przekonania się o stanie zdrowia całego ekwipażu wpuszczono do *Bordeaux*, zkad żadnemu wojskowemu nie wolno było ruszyć.

Tu mi wypada nadmienić o czynie krzywdzącym charakter i honor polaka, ale tego wymaga po mnie prawdziwość historyi. Kapitan *Zimirski* osobną drogą przy-

były do Paryża, dowiedziawszy się o moim do *Bordeaux* przybyciu, pisze list donoszący mnie że dzienniki francuzkie, a za nimi i wszystkie zagraniczne głosiły, że my przechodzili na stronę murzynów i z nimi przeciwko Francuzom walczyli, i że dla tego kolonia utrzymać się nie mogła. Tak dotkliwą odebrawszy wiadomość, postanowiłem udać się do Paryża, jakoż po zakomunikowaniu prawdziwego celu takowej podróży generałowi *Acril* komenderującemu 11tą dywizyą wojskową, otrzymałem od tegoż żądane pozwolenie, tak dla siebie jak i dla kapitana kwatermistrza *Truskolaskiego*.

Nie było pod ówczas w Paryżu ani Murata, ani *Berthiego* (*Berthier*). Oba towarzyszyli Napoleonowi w objędzie departamentów po ukończonej sprawie *Morego* (*Moreau*) a widzieć ich koniecznie mnie wypadało. — W tymże czasie stolica wielkie robiła przygotowania do koronacyi Bohatera wieku. — Mogłem tylko podać notę ministrowi marynarki *Decraye* nie ukrywając bynajmniej smutnego z naszym drugim batalionem wypadku i razem dowodząc, że on nie był owym haniebnym zarzutem zbiegostwa do Murzynów — reszta czasu zostawała nam do obrachowania się z ministeryum marynarki z zaległości które przyjęto i zdecydowano, że będą wypłacane w miarę jawiących się indywiduów z pewnemi dowodami, których nazwiska znajdują się w złożonych listach imiennych i księgach kontrolowych, — gdyż wiedzieć i to potrzeba, że korpusa przeznaczone do kolonij, wychodziły ze składu wojska lądowego i zupełnie do morskiego należały, dopóki na nowo do lądowego przelaniem nie zostały. — W tymże samym czasie zainformowałem się, że istotnie znajdowała się w ministeryum wojenném lustracya 113go regimentu: w której podana była znaczna liczba dezterterów; — wprawdzie nadmieniono mnie było jeszcze w kolonii, że Polacy umieli oszukiwać inspektorów — ja to wziąłem za rzecz bardzo

naturalną, gdyż pospolicie w całej armii francuzkiej i włoskiej kapitanowie podawali za obecnych ludzi od dawna nie istniejących dla pobierania za nich płacy i żywności, które częstokroć stanowiły im więcej jak podwójną gażę, a na nakazaną lustrację najmowali ludzi najczęściej dworskich,¹ których dosyć było ubrać w mundur i postawić w szeregu: ażeby jak kolej nadejdzie odezwał się słowem: francuz lub włos *présent*, a polak *je-siem*, gdyż inspektora obowiązkiem było porachować ludzi, sprawdzić listy przyzowne i potwierdzić takowe dla ułożenia płacy na obecnych pod bronią i potrącenia tego co nadebrane być mogło. — Ale nasz 113ty regiment za daleko manewr ten posunął. Kapitanowie nie podawali zmarłych wśród widocznej śmiertelności, dostrzeżono to, nakazano ścisłą lustrację *revue de rigueur*; nie było dla nich innego do ratowania się środka, jak podać na raz kilkuset dezterterów. — Taką to lustrację wraz z wieloma od innych regimentów i różnemi od jen. Rochambeau expedykami, tak do ministerium jako i do rządu zawiózł do Paryża *Boyes*, jeden z oficerów głównego sztabu, wkrótce po naszym do kolonii przybyciu i wprzód niż ona przez Anglików oblokowana została. — Taki czyn bynajmniej nie ściągał się do naszego 114 regimentu, śmiało więc prosiłem o andyencyę *Murata* jako naszego protektora, i tego, który nas do St. Domingo wyprawił — otrzymałem ją w *Neuilly* rezydencyi tego księcia, tam w salonie znalazłem bardzo wielu jenerałów w obec których oświadczyłem księciu Newszatelskiemu że jako komendant 114go regimentu w kolonii, przybywam prosić go o sąd lub komissyą, ażeby mnie kto chciał dowodzić ześmy nie byli wiernymi rządowi i przechodziliśmy na stronę murzynów i z niemi przeciwko francuzom walczyli, a ja daję głowę moję w zakład.

Taisea *sous* zawołał *Murat*, Cesarz się o wszystkim przekonał i wie co to wszystko znaczyło, nawet jest niekontent, że to do pism podano, a więcój ani słowa o tém. Zaczęto mnie na wszystkie strony obracać i robić projekta: czyby nie dobrze było kirysayerom dać mundurów krojem podobnych do mojej kurtki — na tén się skończyła dana mnie andyencya, i ja już śladnych dalszych nie czynilem kroków.

Kiedy się ta nadzwyczajna odbywała koronacya na którą przybył z *Rzymu* Papież ze wszystkimi swoimi kardynałami, i z całych prawie *Niemiec* udzielni książęta Rzeszy, również jak i królowie utworu Napoleona, jednocześnie przybyła z Medyolanu delegacya ofiarująca Cesarzowi Francuzów koronę włoską, imieniem całego narodu, w niej znajdował się jrt. *Dąbrowski*, jako jenerałny inspektor jazdy téj Rzeczypospolitej. — Zdarzyło się że podczas jego bytności w Paryżu wydebarkował w Bordeaux nieznany mnie z nazwiska i rangi oficer 113go regimentu; ten uchronioną jedną ze swoich chorągwi odesłał mnie przez kapitana *Bogusławskiego* przechodzącego do *Chalons sur Marne* gdzie wszystkich polaków z różnych stron na rezydencyę posyłało. I dla mnie było tamże przeznaczenie, na które udałem się po sześciomiesięcznym przeszło w Paryżu pobycie, wprzód jednak nim to nastąpiło, zapytałem *Berthiego*, co każe robić z dwiema chorągwiami u mnie będącemi, gdyż jedną z 114go regimentu jeszcze przed kapitulacyą u siebie zachowałem — a kiedy żadnej nie odbierałem odpowiedzi — „oddaj mi“, rzekł *Dąbrowski*, — tak zrobiłem — Owe te chorągwie złożone były ze wszystkiemi darami przez *Dąbrowskiego* testamentem zapisanemi w domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, i na tén rzecz całą kończę. —

WIERSZ

Stefana Garczyńskiego

napisany

w tygodniu po płynięciu Ródką na Lemanie.

Ber, 3 lipca 1833.

1.

Płynąłem — ciche wiatry kołysały łodzią,
Drgającą na wód głębi jak motyl na trawie,
Już był dzień ku schyłkowi — już po zwykłej wrzawie
Z rozbiegłą nad brzegami rodzinnymi młodzią
Ojciec rybak ostatnie porozstawiał sieci.
Tu łódka rozwieszony w słońcu żagiel pali,
Tam druga brzeg dopędza — a wyżej i dalej
Na niebie i na wodzie i gdzie wzrok doleci
Jak lutni brzęk w śpiewaków nastrojonym chórze
Ogień zachodni słońca topił się w lazurze.

2.

Wiatr powstał — czolgająca łódka w pędzie nagi
I jam chciał żyć inaczej — rzucał się do żagli,
I żagle rozpostarłem — pędzę przez wód piany
Pędzę ale napróżno! — napróżno obwiany
Wiatrem, serce poruszam — próżno drżącą dłonią
Czerpam wodę i rzucał na wyblądle lice;
Myśli moje ścigają inne okolice
Myśli moje na powrót ku rodzinie gonią!

3.

Dawniej — lecz na co przeszłe wywoływać duchy?
Życie w przeszłości śmiercią prawdziwą w zarodzie;
Więc wołać do żyjących! — wołałem — świat głuchy,
Opuszczam tedy żagle — na brzeg pchnijmy łódzie —
Obojętność jest pierwszym rozstania się godłem.
Jam się stał obojętnym dla całego świata;
Życia mało — przeszłością niech zajmą me lata.
Na ludziach się i ogniu i wodzie zawiodłem!

KSIEŻNIE M. C.....

za muzykę Szopena

przez autora „Błogosławionej“.

O! księżno moja gdy pod twoją dłonią
Śpiewają dziewic naszych usta smętne,
Kościółów pańskich ciężkie dzwony dzwonią,
I szemrzą głucho słowa boju chętne.
Gdy szumy wichrów co po polach gonią
I głosy z harfy wzbijają się namiętne
I jęk zmieszany z łamiącą się bronią
Dnie przypomina boleścią pamiętne —
Patrzę na ciebie rychło mi od ziemi,
Odlecisz skrzydły niesiona srebrnemi.

Ty może sama nie wiesz księżno moja!
Jaki otacza ciebie orszak biały:
Na jednym z wodzów, złota lśni się zbroja
Nad drugim sępie skrzydła się rozwiały
W koronie z pereł starsza siostra twoja
Z zamkowych progów niesie wzrok nieśmiały

Grecka dziewica z nad cichego zdoja,
Rzuca przed tobą wonne liście chwały,
Snują się dzieci a wieśniacy w dali
Biją do taktu w podkówki ze stali.

Jedne i drugie rozrządzasz orszaki
Zwracając dłonią w tę to w ową stronę,
Skinieniem palca zczarowałaś ptaki
Słowiki w gajach ciemnych zatęsknione
Więc i zniwiarki strojne w polne maki
Co noszą sierpy w księżyc zaostrzone,
Więc i rycerze których rzą rumaki
I szemrzą pióra w skrzydła utwierdzone,
Wszystko się kwoli twym skinieniom składa,
Żyje, porusza, coś śpiewa, coś gada. —

Patrz Czarodziejko na izby klepisku
Wali się mazur że aż dusza rwie się,
Dłoń z dłonią spojna w serdecznym uścisku
Radosne krzyki wiatr po lipach niesie,
Tymczasem starce gwarzą przy ognisku
Jak siwe dęby w nieprzejrzanym lesie,
A przy gwiazd górnych migotliwym błysku
Śród łóz po których bujny powój pnie się
Rodzinna Wisła powoli, wspaniale,
Toczy do morza burzliwe swe fale.

Patrz Czarodziejko pod dłońmi twojami
Jaka powstaje z jęj wody wodnica,
Ledwie się stopy dotyka lekkimi
Gwiazdzistej wody mgłana tanecznica,
Warkocze liśćmi ubiera długimi

Szaty jęj wietrzyk z cichych błęń rozchwycę
I węglę niebieską roznosi po ziemi,
Co cieniem nocnym pochmurzyła lica.
Tymczasem twoja królowa strumieni
Budzi słowiki śpiące wśród drzew cieni. —

Widzisz ją widzisz! — jak długie warkocze
Jak len, jak złoto, lecące strumieniem
Splata, rozplata, aż jasność migocze,
Kiedy je czesze srebrzystym grzebieniem;
Przejrzy się, całe rozbłyska przezrocze,
Zanika, wierzby okrywa się cieniem,
Jak miesiąc świeci, jak słowik szczebiocze
I niby śmiechem jest, niby westchnieniem;
Tyle prostoty i smutku w jęj głosie,
Co w młodej głowie i w pieśniach po rosie.

Wodnica znika — niebo się pochmurza
Gwiazdy pogasły, szary świt w obłoku,
Poranek słotny: ni cisza ni burza —
Widzisz tych dwoje stojących w półmroku
Dziewczyna wodę ciągnie wśród podwórza
Zdala przybyły chłopiec przy jęj boku,
Na nim i na niej nie widać wesela,
Choć to poranek i choć to niedziela. —

„Nie będę twoją“ — zabrzmiała piosenka,
Ani niczyją — dalej giną słowa. . . .
O! Czarodziejko czemu twoja ręka
Dwoje tych pięknych postaci mi chowa?
Uderzasz w struny że aż serce pęka
Powstaje tetant, grami trąba bojowa,

Każdy głos struny jak miecz stary szczeka
W chrobrym zamachu na bramach Kijowa,
Ojcowie moi chorągwiami wieją,
Patrzają się na mnie i idą i śmieją. —

Na twardych zbrcjach brody się kędzierzą,
Długie proporce wiatr unasza letni:
Poważnym wzrokiem pole bitwy mierzą,
Tacy zwycięzcy i tacy szlachetni.
Więc i trębacze długie trąby dzierzą
Których głos pędzi po przestrzeni kwietnej
Jak snopy żółte lute wrogi leżą
Ojcowie moi jakżeście wy świetni!
Och na kolana przed wami się chylę
Jak polny oset na głuchej mogile.

Księżno ty moja, gdzie oni? gdzie oni?
Jak wszystko nagle w ziemię się zapadło,
Jak na pogrzebie struna twoja dzwoni,
A lice dziwną błądzącością pobladło,
Straszne bo chmury pędzą z pod twój dłoń
Pochodnie skrawe, cmentarzów widziadło,
Zgrzyt słyszę tylko kurzącej się broni,
Przy krzyżach płaczek kilkoro usiadło
W oczekiwaniu mar idących z cieni,
Pod światłem skrawych języków płomieni.

Anioł rozpaczy pieśnią pożegnalną
Żegna rozbitą drużynę sierocą
Pieśnią pogrzebu tak smutnie kryształną
Gdy wierzchołkami drzew wichry szamocą
Żadne się gwiazdy na niebie nie złocą.

Grom tylko huczy przed burzą nawalną
Daleki puszczyk odzywa się nocą
Szarymi skrzydły bijąc w ścianę skalną
Orszak iskrami rzuca w wiatru fale
I anioł nuci kryształowe żale.

O przestań, przestań, bo jeśli się zbliżę
Jeśli mnie powiew pogrzebu owieje,
Jeśli mnie zgłuszy dzwon straszliwą spizą
Serce pożegna ostatnią nadzieję.
Ręce się moje nad grobem rozkrzyżą
I mrok podziemny do mnie się rozśmieję.
Zasłoń przedemną zasłoń ręką chylą
Owe tak straszne a za bliskie dzieje.

Niech mi się zdaje że ona oddycha
Że przy jej stopach dzieci plotą wieńce
A ona święta tak przedziwnie cicha,
Królewskie z góry podaje im ręce
Tego całuje temu się uśmiecha
Ten jej radości sprowadza rumieńce,
Ten jej podaje złote zboża kłosy .
Ten lutnię strojną pieśniowe niebiosy.
Cisza — muzyka przebrzmiewa, zamilka
I czarodziejka za mgieł srebrną smugą —
Była to chwilka, ale taka chwilka
Wystarczy w życiu na długo. —

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

VII.

Po gwałtownej scenie jaka na pensyi wazsla, Zosia nie mogła tam dłużej już pozostać; wyrzawszy więc oknem i przekonawszy się, że doróżka z Grucą zniknęła już z przed domu, zbiegła na dół nie zatrzymana przez nikogo i udała się wprost do Konieckich. Jedyne to było miejsce, gdzie na czas jakiś znaleźć jeszcze mogła przytułek. Wprawdzie miała ona kilka innych znajomości w domach dawniejszych koleżanek swoich, które wprzód od niej pensyę były opuściły, wiedziała wszakże iż spotkanie z Grucą nie pozostanie tajemnicą i że musiało ono przeciąć od razu wszystkie stosunki jakie ją zaczynały wiązać ze społeczeństwem do którego wejść pragnęła.

Przybywszy do Onufrych opowiedziała im w krótkich słowach, jak Gruca pijany wpadłszy na pensyę narobił wrzawy, jak ją szarpał i do szynku chciał ze sobą ciągnąć, jak jęj narobił wstydu i wystawił na szyderstwo

Patrz zeszyty marcowy, kwietniowy i majowy.

wszystkich panien, które się od niej natychmiast odzwały, dowiedziawszy się że jest córką szynkarki. Wśród płaczu opowiadanie jej przerywającego prosiła Onufrego żeby ją wywiozł z Krakowa dla ukończenia edukacji, lub pomyślał o umieszczeniu jej z dala od napastał tego ordynarnego człowieka, jak nazywała Grucę.

— Wszystkiemu temu ja winna! — zawołała pani Koniecka. — Stałam się współniczką kłamstwa zezwalając na to, aby Zosia pod przybranem nazwiskiem zostawała na pensyl. Trzeba ją było oddać na naukę w takie miejsce, gdzieby stan jej matki nie był jej poczytywany za występki, gdzieby nazwiska swego niepotrzebowano się wstydzić.

— Prawda że się źle stało — dodał Onufry, czując że i on zawinił. — Kłamstwo utrzymać się długo nie mogło. To co się dziś stało, byłoby zawsze stać się musiało, nie tym to innym sposobem. Dziwi mnie jednak, skąd Graczyński mógł być pijanym, on co podobno nie pijał?

— Pijanym był, pijanym! — zawołała Zosia — oto mi porobił since na rękę, a potem się potoczył i musiano go sprowadzić po schodach i dorózką do domu odesłać.

— Dziwna jednak rzecz — mówił dalej Onufry — Wczoraj jeszcze przyrzekał księdzu Janowi że się z nią pojedna i Zosię przyjmie do domu jak córkę.

— Teraz o tym ani myśleć. Ale cóż z Zosią zrobimy? — zapytała pani Koniecka.

— Ha, zobaczymy naprzód co ona umie.

I Onufry pamiętny swojego dawniejszego zawodu nauczycielskiego, jął wypytywać dziewczynę o to i owo w ogóle, pewny będąc, że z niewielu pytań można będzie łatwo poznać co uczeń wart. Zosia wymawiała się z początku bólem głowy i wielkim swoim strapieniem, które jej przeszkadzało zebrać myśli, a kiedy to nie uspokoilo Onufrego, który wpadł w dawny swój nauczycielski zapal, oświadczyła mu, że takich pytań w kaje-

tach jęj nie było, lecz gdyby je miała ze sobą, toby mu na wszystko co w nich jest odpowiedziała co do słowa.

Pani Koniecka błagała męża na migi, aby dał temu wszystkiemu pokój, lecz kto wie czyby jęj był usłuchał, gdyby Szczepanowa nie była przerwała tego egzaminu, wpadłszy nagle do mieszkania ich i zawoławszy:

— Panie Koniecki! ratuj pan! Gruca nie żyje, a Chłapczyński wyprowadza wódkę ze składu.

— Co? Gruca umarł! — zawołał przerażony Onufry i już był za drzwiami, a Szczepanowa teraz dopiero spostrzegłszy Zosię, zapomniała na chwilę o zmarłym i o szynku, i z otwartymi rękami pochwyciła Zosię, wołając:

— O moja Zosieńko! moja ty pociecho!

— Ach! mój kołnierzyk! na nic się pogniecie!

Szczepanowa albo tych słów niedosłyszała, albo tę nieprzywiązywała do nich żadnej wagi, gdyż uściśawszy opierającą się wnuczkę wybiegła za Onufrym; lecz pani Koniecka je dosłyszała.

Onufry przybywszy do szynku, spłoszył naprzód Chłapczyńskiego, który nasprawdzał wyrobników i wypróżniał sklep bocznemi drzwiami, bo przodowe, że to niedziela, były zamknięte. Wszedłszy potem do izby tylnej, zastał ją pełną ludzi, z których jedni ciekawie gapiąc się otaczali trupa, a drudzy przeglądali wszystkie kąty mieszkania. Na środku stał chirurg wycierając szmatą lancet i pytając obecnych:

— Któż mnie zapłaci?

W kącie siedziała skulona Pawłowa, prawie nieruchoma, nie słysząc co się w koło niej dzieje. Na twarzy jęj malowało się jedno tylko uczucie, przerażenia, i żadne inne w tęg chwili przystępu znaleźć do niej nie mogło. Powoli zaczął się gwar zwiększać, każdy miał coś powiedzieć: ten, że ratunek winien być spieszniej-

szy, tamten udzielał rad i przestróg, inny chciał się zajmować pogrzebem, a każdy przyznawał sobie tytuł przyjaciela nieboszczyka. Kiedy Onufry w sieni ucierał się z Chłapczyńskim i kryminalną mu nawet sprawą groził, Szczepanowa wypraszała za drzwi przyjaciół natrętnych poglądając im na ręce i odbierając niejednego drobniaczka, któryby chcieli z sobą unieść jako pamiątkę po zmarłym przyjacielu.

W klasie zamożnej zauszniki obojęd płci lub służba wypróżnia częstokroć gabinety, szkatułki, gotowalnie i pugilaresy; w klasie zaś tej do której należał Gruca, czynią to pierwsi lepsi sąsiedzi, a nawet obcy, łatwy mając w takich razach wstęp do mieszkania.

Onufry powagą swoją a nawet siłą wsparł Szczepanową i jednych wypraszał, drugich wypychał za drzwi, ale trudniejsza była sprawa z kobietami które obsiadły Pawłową, i mimo wszelkich przedstawień nie ruszyły kroku, poczytując sobie za powinność zawodzić żale i pocieszać wdowę. Zastępują one miejsce starożytnych płaczek z tą różnicą, że czynią to bezpłatnie i że zamiast łzawic używają chustek do nosa albo i zapasek. Też same kobiety idą z pogrzebu na ślub lub chrzciny, bo prośzone czy nie prośzone, wszędzie być muszą gdziekolwiek się cieszą lub smucą, gdzie tańczą lub płaczą. Mają one do każdej okoliczności gotowy wielki zapas przypowieści i przysłów, któremi jakby ozdobami krasomówczemi mowy swoje przystrajają. Ich to wymowie przypisać wypada, że nieraz zanim świeża mogiła trawą porośnie, już się rozpoczynają swaty.

Starania ich nie pozostały i tym razem bez skutku. Zaledwie się skończył pogrzeb i rozpoczęto postępowanie spadkowe po zmarłym, a Szczepanowa objęła dawne nieograniczone za szynkfasem panowanie, kiedy zaczęły się już schodzić kumoski perswadując, że gospodarstwo bez mężczyzny grozi upadkiem, że Pawłowa

jest jeszcze dość młodą, aby nie miała znaleźć męża, a dość bogatą, aby się o nią ktoś lepszy nawet starał. W samą rzecz obie kobiety nie mogły sobie dać rady z takim gospodarstwem, jakie Gruca prowadził i nie pozostawało im nic do zrobienia, jak albo połowę jego zwinać, albo szukać jakiego wiernego pomocnika.

Zosia pozostała u Onufrych, bo matka o to prosiła, uznając że niestosownem byłoby dla panny która już na pensję chodziła, mieszkać przy szynkowni. Pani Koniecka nalegała na męża, aby ją gdzie umieścił, lecz Zosia ani raz skłonić się nie chciała, żeby iść na pensję w Krakowie.

Wśród tego Chwałkiewicz wraz z wychowanicą swoją Anną przyjechał do Krakowa, chcąc wpłynąć przez siostrę na brata i uzyskać połowę owych dziewiętnastu tysięcy zostawionych Onufremu przez Stanisława, a których drogą procesu wymusić na nim nie mógł. Onufry przyjął siostrę z wylanem sercem, nie wymawiał jej z go procesował, lecz Chwałkiewicza zimno powitał. Szczupłe mieszkanie Konieckich musiało się jeszcze rozdzielić na dwie połowy, z których jedną oni sami z dziećmi zajmowali, a drugą ustąpili Zosi i Anieli. Obie dziewczyny najsprzecznieszy przedstawiały widok. Córka szlachcica słuchała z podziwieniem jakby czegoś zupełnie dla siebie nowego opowiadań o wielkim świecie, jaki jej małowala córka szynkarki, która z pensyi swojej jakby przez dzinrkę od klucza przyjrzeć mu się nie kiedy miała sposobność. Aniela powzięła wielki respekt dla Zosi, uważając ją za coś od siebie wyższego, zosiła jej wszystkie przywidzenia i grymasy i usługiwał jej na każde zawołanie.

— Ja ścierpieć tego nie mogę — mówiła pani Koniecka do męża nazajutrz po przybyciu Anieli — że a Zosia tak tyra twoją siostrą.

— Tak ci się tylko adaje moja Maryśtu, bo odgad Zosia jest u nas, mass do niej jakieś uprzedzenie.

— Nie jest to uprzedzenie, ale rzeczywistość. Do tej niechęci się przyznaję i błagam cię, abys tę dziewczynę z domu wydalili.

— A to czemu? — zapytał Onufry urażliwie.

— Ty pytasz: czemu, głosem tak dziwnym, jakbyś mię chciał posadzać o zazdrość. Onufry! ta myśl nigdy we mnie nie powstała. Nie chciałabym abyś moje uczucia wyprowadzał z pobudek tak niskich chociaż często słusznych, lecz nie dla tego Zosia mię niepokoi. Znam twoją dla mnie miłość, a bardziej jeszcze znam twój charakter i prawość. Dla czego ja mam ku Zosi niechęć: oto że z ust jej usłyszałam jedno słowo powiedziane do starej Szczepanowej, a to słowo wiele dało mi do myślenia i odtąd wszystko co ona mówi i czyni przymierzam do tego jednego słowa, i rzecz szczególną, jak to wszystko przystaje!

— Nie rozumiem cię wcale.

— Nic dziwnego! Wy mężczyźni zajęci pracą która umysł wasz w różne rozrywa kierunki, nie możecie skupić myśli waszych w jeden punkt. Nas kiedy coś uderzy, to mamy czas rozbierać to wrażenie, obracać je na wszystkie strony, ważyć, oceniać a potem zapisać w pamięci naszej głęboko. Ręka która szyje, nie przeszkadza myśli pracować, a że myśli nasze w małym obracają się kółku, więc muszą zapuszczać się w takie drobnostki, jakie dla waszego umysłu byłyby nawet nieprzystępne. Wierżaj mi Onufry, Zosia jest złą dziewczyną.

I jakież to było słowo tak straszne, które ją tak czarno w oczach twoich wystawiło?

— „Mój kołnierzyk!”

Onufry spojrział na żonę z podziwieniem, lecz zanim

mu zagadkę tę mogła rozwiązać, wszedł Chwałkiewicz, i powitawszy Konieckich tak rzecz zaczął:

— Panie Koniecki prawowaliśmy się z sobą, tyś wygrał a ja przegrałem. Nie mam do ciebie żalu że ci szczęście a raczej nieostrożność brata posłużyły.

— Proszę się nie zapominać!

— Tylko mi nie przerywaj. To co mówię, mówię nie z własnego serca, lecz z aktów prawnych, z resztą opieram się na zdaniu Stanisława, który był pewnym, że połowa pieniędzy przez niego zostawionych, dostanie się Anieli.

— Tego nigdy Stanisław do mnie nie powiedział. Pieniędami temi chciał on spłacić dług serca; ja temi pieniędzmi spłacam własny dług jego obowiązków.

— Wiem o wszystkim. Pani Gruczyńska opowiadała mi kto jest Zosia i że pan dajesz na jej utrzymanie. Domyślam się że to jest ta sama summa, o którą się proces między nami toczył.

— Tak jest.

— Więc rzecz skończona co do tego punktu. A teraz przystępuję do drugiego. Od pana Stanisława mam sobie przyrzeczoną rękę mojej wychowanicy a jego i pana siostry. Spodziewam się, że i pan mi jej nie odmówisz, a lubo Aniela jest pełnoletnią i może sobą dowolnie rozrządzać, wszelako radbym od braci jej tyle na mnie łaskawych przychylnego zdania.

— On taki stary; — szepnęła pani Koniecka mężowi.

— W tym względzie — rzekł Onufry — muszę pami z całą otwartością powiedzieć, choćbym go miał sobie narazić, że lubo nie mam prawa rozporządzać ręką siostry pełnoletniej, wszelako radbym od niej samęj usłyszeć, co ona o tém małżeństwie myśli. Aniela nie za ludzi, wychowana w zakącie, zajęta tylko gospodarstwem niemiała może czasu i sposobności rozpatrzyć się we

własném sercu. Zresztą wychowanie jęj było tak zaniębane, jak gdybyś ją pan nie na żonę dla siebie chciał wychować. Nie życzyłbym sobie tego, aby Aniela miała się stać okupnem tęg dzierzawy, którą, jak mi ona sama mówiła, Stanisław panu wypuścił.

— A gdyby i tak było? Czy pan sądzisz, że Aniela znalazłaby stósowniejszą partyę? jeżeli pan jesteś tego zdania, to chyba że zamierzasz te dziewiętnaście tysięcy przeznaczyć na posag dla nięj. Zresztą jak panu mówiłem, Aniela jest pełnoletnią, a krok ten mój jest raczej grzecznością niż obowiązkiem. Gdybyś pan rzeczywiście nie miał zamiaru przeznaczyć dla nięj kapitału służącego dziś na utrzymanie Zosi, jestem pewny, żebyś go już był przepisał na imię owęj Zosi, skoro dziewczyna dochodzi już podobno tego wieku, żeby niezadługo mogła iść za mąż. Bez przepisania zaś na jęj imię kapitału, nikt nie będzie mógł liczyć na ten posag. Wyznaję jednak, że to wstrzymywanie się pana jest dla mnie wielką otuchą.

— A jaką?

— Że część tego kapitału, jeżeli nawet nie cały, ma być przeznaczony dla Anieli.

— O co w tem, to mogę pana upewnić, że oprócz Zosi nikt grosza z niego nie otrzyma.

— Daruj pan, że ja jako obeznany z interesami, przyrzeczenia tego nie uważam za nieodwołalne. *Verba pannie volant, scripta tylko manent*. Któż zresztą może ręczyć za jutro? Jesteśmy śmiertelni. Upadam do nóg kochanym państwu, proszę mię uważać jako przyszłego męża Anieli.

— Jednakże on ma słuszość co do Zosi — rzekł po chwili namyslenia Onufry do żony,

— O, zrób to, choćby dla tego, aby mu odebrać nadzieję posagu za Aniela. Ten człowiek wcale mi się nie podoba. Jabym Anieli za niego niepuściła.

— Aniela jest panią siebie. Wreszcie jakież my mamy prawo rozrządzać jej losem lub z góry zapowiadać, że ten człowiek szczęśliwym jej nie uczyni? Aniela nie tyle potrzebuje miłości, ile raczej zajęcia. Uczucia wszystkie swoje skupiła ona głównie w zwierzętach co ją otaczały, bo ludzie którzy byli blisko niej, nie umieli ich wzniecić. Zostawmy ją taką jaka jest. Któż nam powie, że inaczej byłaby szczęśliwszą?

Przez ten czas inna zupełnie toczyła się rozmowa na dole przed mieszkaniem Onufrego. Chwałkiewicz zszedłszy z góry zastał już Chłapczyńskiego czekającego niecierpliwie skutku odwiedzin.

— No jakże? — zapytał pisarz pokątny.

— Niech mię djabli porwą, jeżeli go w pole nie wywiódł!

— Zobaczymy do jutra. Jeśli do jutra żadnego nie zrobi kroku dla przepisania summy tej na rzecz Zosi, to

— No to co?

— To się nam trzeba żenić z Anielą, bo możeby się nie opłaciło z wdową.

— Jakto nam?

— E, to termin adwokacki. Kiedy ja komu radzę, to póki interes nie skończony a honorarium nie ściągnięte, uważam sprawę za wspólną. Więc jeśli się nam uda, to honorarium jak było wymówione: dzierżawa konsensa dla Jakubowej bezpłatnie i okowity kufa na kredyt.

— Słowa nie cofam. Djabli mi już potem po konsensie, okowitę musicie za rok zapłacić, bo inaczej to konsens odbiorę. Jestem więc swego pewny.

Chłapczyński i Chwałkiewicz nie zawiedli się bynajmniej w swojej rachubie. Koniecka nie dała mężowi pokoju, nalegając na niego, aby kapitał zaraz jutro przepisał na imię Zosi i zbył się raz już z głowy kło-

potu, który mu tyle sprawia przykrości i dobre imię jego na szwank naraża; skoro po śmierci Gruncy niema obawy, aby kto z tych pieniędzy dla siebie chciał użytkować. Koniecki, którego Pawłowa uprosiła na członka rady familijnéj, uznał sam, iż i tak bez niego pieniędzy tych nikt podnieść nie może, i z dochodów ich rachować się musi; nie stawiał przeto w tym względzie trudności. Nazajutrz więc zwołał radę familijną i zajął się przepisaniem summy dziewiętnastu tysięcy do dyspozycji jego zostawionéj, na rzecz małoletniéj Zofii Wojtasionki.

Chłapczyński który miał znajomych po wszystkich biurach, sądach pokoju i kancelaryach notaryalnych, téj saméj jeszcze chwili wiedział o spisaniu rzeczzonego aktu i spiesznie o tem nowego klienta swego zawiadomił. Chwałkiewicz pospieszył do Pawłowej, ofiarował swoją rękę i majątek, zrobił intercyzę, zawarował na przypadek zawodu zobopólnego wynagrodzenie pieniężne i cichaczem, wyniósł się do Brzezinki, nie obiecując zjechać do Krakowa aż po skończeniu żałoby i nie mówiąc ni słowa Onufremu i Anieli, którą zostawił jak to mówią na koszu.

Nazajutrz kiedy Onufry szedł do bióra, zastąpiła mu drogę Szmulowa, pytając:

— Czy jegomość niema rubli obrączkowych?

Onufry skoczył jak oparzony, lecz upamiętawszy się zaraz, odrzekł obojętnie.

— Niemam.

— I nie będzie ich więcej. Jegomość mię nie usłuchał, kiedym dobrze radziła, a teraz już zapóźno. I pieniądze Zosine stracone, i Chwałkiewicz żeni się z Grucową.

— Co ty gadasz stara żydowico?

— Ny, co ja gadam, niech się jegomość zapyta Chłapczyńskiego.

— O co ?

— Że Chwałkiewicz zeni się z Grucową a nie z panną Aniela. Oto niech jegomość patrzy, Chwałkiewicz wchodzi *pod beczkę* jak dawniej kiedy żył Gruca.

Onufremu zdawało się, że marzy. Szedł do bióra nie wiedząc jak zaszedł, pisał nie wiedząc co pisze, narobił pomyłek w referacie, cytował mylnie przepisy senackie, pomieszał akta dwóch odrębnych przedmiotów i zyskał naganę od senatora, a śmiech, od kolegów, którzy już wiedzieli, że pieniądze o które się procesował i które wygrał, teraz tak puścił bez niczego. Posądzano go wyraźnie o bzika.

Wróciwszy do domu przekonał się, że słowa Szmulowej były prawdziwe. Zosia w tryumfie opowiadała pani Konieckiej, że matka jej idzie za mąż za dzierżawcę, że ona wyjeżdża zaraz na wieś i zajmie się urządzeniem dworu tak jak widziała u rodziców jednej z pensyonarek, z którą była pewnego razu na wsi na Zielone Świątki.

— W Brzezince moja pani Koniecka to nie tak jak w Krakowie. Tam mię inaczéj uszanują. Żał mi tylko panny Anieli, która z pewnością liczyła na pana Chwałkiewicza. Ale ja mu się nie dziwię. Trudno bo to było zająć się nią, kiedy ona tak mało zna świata. A pan Chwałkiewicz to człowiek bardzo rozsądny.

— Moja Zosiu, pamiętaj żebyś i ty u Chwałkiewicza nie zeszła na dziewczkę do bydła. Co się zaś tyczy Anieli. mocno się cieszę, że tym sposobem uczyni rozbrat z tym człowiekiem, do którego serce jej nie lgnęło. Nie prawdaż Anielo?

— Żał mi tylko — rzekła Aniela z westchnieniem — tych ślicznych krówek moich i tych pastwisk w Brzezince, na które się tak cieszyłam. Panno Zofio, pamiętaj o siwuli!

— A pfe! a gdzieżby ja się zajmowała takimi rzeczami! A od czegoż ludzie? Ja sobie już ułożyłam co robić będę. Mama mi kupi fortepian, będę grać, książki francuzkie czytać i po parku się przechadzać w piękny wieczór przy księżycu, a potem dumać w grocie, lub spoczywać nad sadzawką. Piękny też tam jest park w Brzezince panno Anielo?

— Co to park?

— No taki park, gdzie drzewa; ja przyznaję się, że jeszcze parku nie widziałam, lecz czytałam we francuzkich książkach, że taki park musi być zawsze około zamku.

— O, drzew jest tam dosyć i parkany są, i laszek brzozowy i sad, i wierzby u grobli. Stawu bo tam nie ma, lecz trzęsawica tylko gdzie chodzą kaczki. Ale panno Zofio, żeby nie pasać tam bydła na moczarach, bo to bardzo szkodliwe.

Zosia widząc, że się zbliża czas powrotu Onufrego z bióra, wyniosła się mając pełną głowę projektów urzędzenia w Brzezince dworu, i po drodze przypominała sobie, wszystkie opisy pięknych zamków jakie czytała. Tak postępując machinalnie ku mieszkaniu matki swojej nie spostrzegła się aż się zetknęła z dwoma pannami idącymi na pensję.

La princesse du tonneau — rzekła z nich jedna.

— Moja panno Adelo, bądź łaskawa odwiedzić mię na wakacye w Brzezince, przyślę po ciebie konie jeśli zechcesz, bo mieszkać będę u siebie na wsi. *Au révoir ma chère, vous me ferez plaisir de passer la saison chez moi à la campagne.*

Impertinente! — zawołała panna Adela i pociągnęła swoją towarzyszkę spiesźnie za sobą.

Zosia przybywszy do matki zastała liczne towarzystwo. Były to te same przyjaciółki, które na pogrzebie odgrywały rolę płaczek, a teraz ze zmianą okoli-

czności przybywały z powinszowaniami. Zosi nie w smak było to towarzystwo a i kumoski również z podziwieniem na nią spoglądały.

— Jakże też to wyrosło i wyładniało moja Walenta! ady ja to pamiętam, to niedawno jeszcze biegalo boso przed domem.

— A edukowana nieprawdaż? chodzi do Madam. Cót pani Pawłowa myśli z nią? pewnie na guwernantkę.

— Na co Bóg da moja kumo, jeszcze czas między ludzi; może też nie będzie tego potrzeba. Zresztą, naradzimy się.

— Z mężem?

— Tak, niby. . . .

— Powiedzcież mi moja pani Pawłowa, zkąd to tak nagle poszło?

— Ej co tam o tem gadać! albożto pewna?

— Pewna czy niepewna — zawołała Szczepanowa — to nie o to rzecz idzie; boć to i od ołtarza a rozchodzą się. Więc pewnego nigdy nie ma póki się nie stanie. Ale kiedy kumosce o to idzie żeby wiedzieć zkąd do tego przyszło, to ja powiem.

— Chłapczyński po śmierci Grucy przeprosił się z nami. Już to on źle z nim był w ostatnich czasach, a to dla tego, jak mi mówił Chłapczyński, że mu radził pogodzić się z żoną. Nieboszczyk, Panie święć nad duszą jego! był prędko a uparty. Jak mu było powiedzieć biało, to on czarno, a jak czarno to on biało. Chłapczyński wiedząc to do niego, podbudzał go przeciwko żonie, bo kiedy go namawiał do dobrego obchodzenia się, to właśnie najgorzej wypadało. Kasia oczywiście nie dorozumiewała się tego, ani ja też, więc obieśmy go nie cierpiały. Otóż . . . ale na czemże ja to stanęłam? Aha, już wiem. Otóż . . ., ale nie to chciałam powiedzieć . . . Jakaśmy się z Chłapczyńskim pogodziły, takżeśmy się naradzali, co dalej robić, a tymczasem przy-

jechał tu pewien szlachcie z Królestwa, i że mu było potrzeba dłużej zabawić, więc mu zbrakło pieniędzy. Chłapczyński przyprowadził go do nas, żeby mu pożytyć. Szlachcie wdowiec, Kasia wdowa, podobala mu się i nie mogła mu odmówić przez wzgląd na Zosię. Dziewczyna w szynku niczego się dobrego nie nauczyła, pensję już ukończyła, mówi nawet po francuzku, a mnie też żal żeby się dziecko po cudzych kątach tyrało, mając swój grosz. Z dworu to łatwiej ją i wydać za mąż, i może się trafić jaki bogaty człowiek. Alboż to moja pani kumo i nad nami nie prawdziwe szczęście? Czy to człowiek się za młodu spodziewał, że będzie miał swój kawałek chleba na starość? Ale się dosyć przeszło i z moim i z zięciem.

— Co było a nie jest nie pisze się w rejestr.

— Ja też to mówię zawsze Kasi, bo ona głupia załuje jeszcze Pawła, jakby się nie dosyć bicia nabrała. A i to dziecko! pójdźno tu sama Zosiu!

Zosia siedziała zdala od towarzystwa i z wlepionemi w książkę oczyma słuchała ciekawie opowiadania babki.

— Nie słyszy, tak się zaczytała! Co to za szczególna pasya u téj dziewczyny do nauk!

Pawłowa przez cały ciąg opowiadania matki siedziała milcząca, lecz czując że się jej łzy do oczu cisną, powstała i wyszła do sieni, wstydząc się płakać po stracie męża, którego niekochalała, i po którym wdowią żalobę tak długo tylko nosić miała, jak tego wymaga przepis prawa. A przecież płakała.

Był to płacz po stracie zmarnowanej młodości. Żal jej było tego życia pełnego uciech i swobody jakiego zaznała będąc we dworze; żal jej było tych lat strawionych bez radości pod żelazną ręką męża, który wprzął ją do pracy jak bydlę do deptaka, co choćby chciało ustać, to niemoże, bo mu krążec z pod nóg się usuwa; żal jej było wreszcie téj wdowiej szaty, którą

oszołomiona namową matki, prośbami córki i złudzeniami przyszłości, zrzucić miała tak wcześnie i po raz drugi iść za mąż, za człowieka, którego ledwie widziała, który niemógł od niej żądać niczego prócz posagu. Dziś mąża niema a jest niewolnicą we własnym domu i żeby się swobodnie wypłakać, cichaczem do sieni i na podwórze wynosić się musi, a cóż będzie potem?

Wróciła do izby z mocnem postanowieniem zerwania układów, choćby miała to przypłacić częścią majątku, lecz zamiar ten postanowiła ukrywać, a wykonanie jego zostawić stósownej chwili.

Tymczasem nadszedł ś. Jan a z nim i pora objęcia dzierżawy Brzezinki przez Chwałkiewicza. Doniósł on o tem Chłapczyńskiemu a zarazem radził co zrobić, bo bez gospodyni ani myśleć, i nie ma nikogo coby mu Anielę zastąpił.

Chłapczyński niczego się bardziej nie obawiał, jak aby klient jego nie zechciał wrócić się do Anieli. Przepadłoby wtedy honorarium i urwałaby się sposobność dokuczenia Onufremu, do którego oprócz dawniej niechęci przyczyniła się nowa, kiedy go tenże zdybał na wyprawdzaniu wódki w dzień śmierci Grucy. Po długim namyśle postanowił śmiały krok uczynić i sprowadzić Chwałkiewiczowi na tymczasem Szczepanową, której nie było obce gospodarstwo. Zeby zaś mocniej utrwalić ten węzeł i zastaw niejako dać Chwałkiewiczowi w rękę, zamierzył dodać Szczepanowej Zosię. Miał on przytem i ten jeszcze plan, że postępowanie spadkowe było na ukończeniu, to sobie Gruczyńska bez niego nie poradzi mimo opieki Onufrego. Będzie się więc musiała w niejednem na niego spuścić, a może nawet nastęrczy się sposobność dodać jęj w szynku wcześniej Jakóbową do pomocy.

W tym celu postanowił Chłapczyński działać przez Zosię, poznawszy po niej, że się jej przykrzy takie ży-

cie, i że radaby wyrwać się z domu, tylko niewie gdzie. Z Zosią sprawa była łatwa, a przez nią i ze Szczepanową, która za niczem tak niewzdychała, jak żeby choć raz w życiu wrócić na wieś. Wspomnienia dawniej karczmarki zawsze żywo w niej się odzywały, i zdawało jej się, że jest jeszcze tak rześką jak kiedy mieszkała w Mazowieckiem.

Najtrudniej — myślał sobie Chłapczyński — przyjdzie namówić Pawłową, dla tego niepomału się zdziwił, kiedy ta za pierwszym napomknięciem przystała na wyjazd matki. Pawłowa rada była w tej chwili, że znajdzie sposobność być samą, że będzie mogła rozpatrzyć się w swoim położeniu, bo zaczynała już żałować iż dała słowo Chwałkiewiczowi z takim pośpiechem, jak to uczyniła była idąc za Grucę. Z Zosią trudniej jej się było rozstać, lecz i na wyjazd jej przyzwolić wreszcie musiała, bo nie tylko że Szczepanowa nie chciała się bez niej ruszyć, ale i Zosia naparła się wyjechać, a umiała już ona postawić na swoim.

Chłapczyński postanowił sam odwieźć obie do Brzezinki, aby i Chwałkiewiczowi usprawiedliwić się z tego kroku i cudzym kosztem zwiedzić Kielce, gdzie niejedna sprawa sądowa w styczności z Krakowem zostawała.

Pawłowa zostawiona samą sobie, przez cały dzień i wieczór nieustannie krzątać się musiała w szynku, ale kiedy godzina 10ta wybiła i patrol policyjny resztę uporeczywych pijaków. wyprowadził za drzwi, znalazła się sama, pierwszy raz w życiu sama. Służąca jedyna tej samotności towarzyszka weszła na stryszek po ową drabinę, po której przed kilku laty Zosia do swojej sypialni wbiegała. Teraz dopiero znalazła Pawłową chwilę, gdzie mogła bez przeszkody zastanowić się nad położeniem swoim: nie było męża przed którym co wieczór składać musiała rachunek z całego dnia nie-

tylko z pieniędzy, ale ze wszystkiego co się w szynku zdarzyło; niebyło matki, która po śmierci Gruzy odżyła całą gadatliwość, i kończyła wieczorem wszystkie w ciągu dnia przerwane opowiadania. Ciało snutone całodziennem utrudzeniem dopominało się spoczynku, więc Pawłowa zapaliwszy kaganek noeny układała się zamierzając w łóżku oddać się myślom. Przebiegła całą swoją przeszłość aż do ostatnich czasów, lecz kiedy nadeszła kolej na śmierć męża, ogarnęła samotną kobietę jakaś nieprzewyciężona lękliwość; przypominała sobie że w tej samej izbie o krok od jej łóżka leżał na innem łóżku trup rozciągnięty, a w tem miejscu gdzie stoi stół na środku z kagankiem, stała trumna. Czerwonawy płomień oleju połyskiwał mdłym światłem, które zamiast rozegnać ciemność, o tyle ją tylko rozwidniło, iż wszystkie przedmioty znajdujące się w izbie nabyły nieoznaczonych zarysów, pozwalających wyobraźni rozmaitemi oblekać je kształtami, stósownie do tego ku czemu myśl się skierowała. Pawłowa usłyszała skrzypnięcie drzwi, zaciśnęła więc głowę w poduszki, a pomimo dusznego, wyziewami wódczanemi i kopciami lampy nasyczonego powietrza, zimno przebiegło ją po kościach. Chciała wołać na sługę, lecz głos zastął jej w piersiach, chciała przetrzeć oczy żeby lepiej rozeznąć co się koło niej dzieje i przekonać się że nie śpi, lecz ręka jakby spętana, ani sposób dźwignąć ją do góry. Nagle płomyk lampki zatrzeszczał, zrobiło się prawie zupełnie ciemno, a potem znów nagle rozwidniło się w izbie i Pawłowa z wielkiem przerażeniem swoim ujrzała postać zmarłego męża. Zimny pot oblał jej czoło, dreszcz przebiegł po ciele, a serce bić poczęło gwałtownie. Przysłknęła oczy, lecz słyszała przytłumiony brzęk pieniędzy liczonych na stole i szeptanie przy ich liczeniu zupełnie tak jak to zwykł czynić Gruca kiedy się wszyscy układli. Za chwilę pieniądze zsywały się zwolna do trzosa i

znów zrobiła się cichość. Ośmielona tą ciszą, zaczęła wmawiać w siebie odwagę, a wreszcie podniosła oczy, lecz w tej chwili ujrzała tę samą postać nachyloną nad sobą z tym samym złośliwym uśmiechem, jaki zawsze na ustach Grucy był widoczny, ile razy miał jęć jakąś przykrość wyrzucić. Krzyknęła, ale głosem tak głuchym, że nawet służąca usłyszeć go niemogła, bo sił jęć nie stało do dobiecia z piersi krzyku, zamknęła oczy i już nie wiedziała co się z nią dalej stało.

Nie długo wszakże potem zbudził ją brzęk jakiś w szynkowni, zerwała się z łóżka, a i służąca która brzęk ten usłyszała zbiegła na dół. Pierwszy brzask dzienny przedzierał się przez kratę okna, a od ulicy dmuchnął nagle świeży powiew wiatru. Drzwi prowadzące z izby do szynku stały otworem, a drzwi z szynku na ulicę również były uchylone.

— To złodzieje! — zawołała służąca — drzwi od wewnątrz odryglowane.

Pawłowa drżała jak liść osiki i nie śmiała przestąpić progu izby, lecz kiedy służąca rzekła: „to złodzieje!“ uspokoiła się znacznie.

— Mówisz że złodzieje? chwała Bogu!

— Jakto pani? alboż mogło być co gorszego?

— Ach, to był zapewne sen! — rzekła Grucowa jakby mówiąc do siebie.

Obie weszły do szynkowni, a pierwsza rzecz która uwagę ich zwróciła na siebie, był rozbity gąsiorek z wódką leżący na ziemi w tem samem miejscu gdzie przed kilku miesiącami wypadł był gąsiorek z rąk Grucy. Służąca się schyliła i podniosła szyjkę butli pokazując ją Grucowej. Na szyjce przylepiona była karteczka z napisem „Goldwasser“.

— To on! — wymówiła cicho wdowa. — O, to okropne! ja myślałam że to sen tylko!

— Nie, to chyba nie złodzieje — rzekła służąca która przez ten czas przejrzała wszystkie kąty — Wszystko na swoim miejscu, nie nietknięte. Ja myślę, że wczoraj wieczór musiał jaki pijany człowiek zostać się w szynku, i zamknęliśmy go. Jak się obudził, to szukał kłódki wyjść, i dla tego otworzył drzwi do izby paninej, a potem wyszedł sklepem i albo się chciał napić tylko, albo też brał ze sobą flaszkę wódki i rozbił ją niebędąc całkiem trzeźwy.

Pawłowa niesłyszała rozumowania bardzo zresztą prawdopodobnego swojej służącej, bo umysł jej zajęty był widzeniem nocnem. Przypominała sobie każdy ruch tej postaci, która się jej dzisiejszej nocy ukazała, a rozbita butlą z wódką, utwierdziła ją w tem przekonaniu.

— Zostań tu Magdusiu, ja się zbiorę i dam na Mszę świętą za pokój jego duszy. Czy ty wiesz Magdusiu kto to rozbił butlę i drzwi pootwierał?.... to mój mąż nieboszczyk!....

— E, co też to jejmość gada! skądżeby znowu?.... już to prawda, że to bywa niekiedy, że straszy w jakim domu, alem nigdy niesłyszała żeby rozbięto flaszki z wódką.

— Ja ci powtarzam, że to on był.... Widziałam go widziałam go na żywe oczy i myślałam że już po mnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała służąca z przerażeniem.

Zaledwie Pawłowa wyszła do kościoła, zaczęły się schodzić do szynku kucharki idące do miasta i muraże do fabryki. Magdalena opowiadała każdemu co się stało dziś w nocy, pokazywała kawałki szkła z potłuczonej flaszki, a faryniarka która przyniosła gęsinę na sprzedaż zapytała Magdaleny, czy pozostanie nadal w służbie w domu gdzie straszy.

— Za nic w świecie! — odpowiedziała służąca.

Szczególna to natura ludzka! Magdalena porzuciła własne swoje przekonanie tak zgodne z rzeczywistością, a poszła za zdaniem Pawłowej dla tego tylko, że tłumaczenie nocnych odwiedzin przez tę ostatnią, znamionowane było nadzwyczajnością.

Grucowa ledwie do wieczora zdołała przytrzymać w domu służącą; sama jedna lękała się również, potrzeba jej było koniecznie jakiejś rady, więc się po nią udała do Onufrego.

Pani Koniecka nie wpuściła jej do izby męzowskiej bo Onufry ciężką złożony był chorobą. Wależył on długo z przeciwnościami, aż wreszcie praca i zmartwienie tajone przed żoną i przed światem powaliły go na łóżko. Procesa w które mimowolnie się wplątał, opieki familijne, powrót niespodziewany Anieli i porzucenie jej przez Chwałkiewicza zaraz po oświadczeniu się i przyjęciu takowego, a wreszcie bieda starych Kosińskich w znacznej części na jego kieszeń zredukowanych, bo ksiądz Jan nie mógł tyle co się spodziewał rodzicom dosyłać, wszystko to razem wzięte musiało zachwiać zdrowiem jego, długą i mozolną pracą styranem. A do tego żadnej zniskąd nadziei, żadnego widoku! Młodszym będąc sądził, że na tej ziemi pracą dokupi się wszystkiego, a kiedy siły stargał na pracy, dopiero się przekonał, że sama praca ledwie wystarczy na zaspokojenie dzisiejszego głodu. Niepokojony przyszłością żałował niekiedy, że pieniędzy Stanisława nie obrócił na swoją i swojej siostry korzyść; lękając się przeto aby ta myśl nie wzięła z czasem góry, pochwycił chętnie pierwszą sposobność jaka mu się nadarzyła, aby je na własność Zosi przepisać, usprawiedliwiając się sam przed sobą, że to nie z własnego czyni popędu. Zapóźno spostrzegł, że aktem tym zniweczył prawie to wszystko co dotąd dla dobra Zosi uczynił, że sporządzenie takiego aktu było dowodem słabości charakteru, świadectwem mało-

też duszy samemu sobie wydanem, że wreszcie pieniądze te oddał na pastwę chciwości Chwałkiewicza, bo one to wydały w ręce tego człowieka i wdowę której był opiekunem i córkę. Przyłączyła się do tego troska o przyszłość Anieli, nieumakniona konieczność nowego procesu z Chwałkiewiczem o rachunki z opieki siostry i zwrot jej posagu, bo nie miał nadziei odzyskania go dobrowolnie. Tyle utrapień naraz musiało go o chorobę przyprowadzić. Dzień w którym Pawłowa rady jego zasięgnąć przyszła był dniem bardzo dla chorego niebezpiecznym.

Pani Koniecka zgadywała przyczynę choroby, a rezerwy dopełniła sobie z tego co mąż jej wśród gorączki wypowiedział, a lubo słowa te były przorywane, dał się z nich jednak ułożyć cały szereg utrapień jakie go dręczyły. Nie była więc przed Pawłową przyczyną choroby męża, a opowiadaniem swem mocne sprawiła wrażenie na umyśle wdowy rozdrażnionym już wypadkami dzisiejszej nocy. Pawłowa pożegnawszy więc ze żłaną strapioną, wróciła do domu nie wiedząc co począć sobie. Zastąpiła pełny szynk ciekawych, którzy się schodzili oglądać plamę na podłodze gdzie była wódka rozlana i okruszy szkła ze stłuczonej flaszki. Wyniosła się czempredzej z domu nagabywana przez chciwych nowości, i własny dom stał się jej w tej chwili nieznosnym. Byłaby chętnie ukryła się przed oczami ludzkiemi śledzącemi każdy jej ruch, pytającemi o przyczynę płaczu, którego ślady były widoczne. W tem strapieniu pobięła do starych Kosińskich błagając ich jak o łaskę, aby objęli jej gospodarstwo, jeżeli niechęcią aby je pierwotnemu lepszemu oddała. Kosiński nie dał się długo prosić. Brak zarobku wielce go martwił, zwłaszcza czując że jest ciężarem żłociowi. Kilkoletnia bieda przywaliła go trzemienniem swem, lecz sama myśl, iż będzie mógł za-

rabiać na siebie, nowych mu sił dodała i wyprostowała zgarbione plecy.

— Za szynkarza? dobrze? — zawołał.

— A pamiętasz — zapytała go żona — iż chciałeś osiąść przy Grucy i oddać mu warsztat; a teraz wolisz służbę niż chleb u dzieci, chociaż ci tego chleba nie zabiją, i ostatkiem dzielą się z tobą?

— Ależ nie o służbę tu idzie moja pani Ignacowa. Jahym wam chciała oddać całe gospodarstwo na spłatę.

— Na spłatę? a kiedy my biedni i niemamy czem zapłacić.

— Nie troszczcie się o to, będziecie mię spłacać ratami jak się da. Ja nigdy już szynku trzymać nie będę. Osiadę z matką na gruncie co go mam za miastem, a z niego i z tego co od was mieć będę, wystarczy dla nas obojga do śmierci. Zosia dzięki Bogu ma edukacyą i posag, to się o nią nie boję.

Tegoż jeszcze dnia Kozińscy objęli szynk na siebie, a Pawłowa pozostała u nich czekając przyjazdu matki i córki, do których list na ręce Zosi napisała. Kiedy w kilka dni potem Chwałkiewicz wrócił do Krakowa, nie mógł dorazn pojąć co się stało. Przedstawienia jego na nie się nie przydały, bo Grucowa była na nie głębszą, Koziński zbywał go niczem, a z Onufrym widzieć się nie mógł, bo go niewpuszczono. Długo też czas Onufry nie wiedział o tej zmianie, tały ją przed nim żona i Aniela, a obie trzymały go w takiej kurateli, że niht aboy przystępu do niego mieć niemógł.

— Tyś się masiała Marysiu bardzo zadłużyć przez moją chorobę? — rzekł rekonwalescent do żony.

— Kilka złotych tylko winnam i to rodzicom.

— A oni skąd mają?

— Ojciec znalazł robotę i ma odbysia.

— Dzięki Bogu!

VIII.

W taki sam piękny dzień niedzielny, jak przed kilku laty, zbliżał się Maciej do Brzezinki. Niebył to już wszakże ani ów zwinny terminator Maciek, ani nawet ów nieokrzesany a dobroduszny czeladnik Kozińskiego, z którego ruchów dorazu poznać było jego zatrudnienie. Dzisiejszy Maciej był tem względem dawnego, czém wyćwiczony żołnierz w porównaniu z rekrutem. Każdy ruch jego dziś taki pewny, każdy krok dosadny, suknia nawet jakoś inaczej na nim leży. To też pomiędzy dzisiejszym a dawnym Maciejem leżała nie tylko przestrzeń lat kilku, ale cała zarazem szkoła wielkiego miasta. Surowy i szorstki wyraz twarzy jego zmiażdżył jakoś i złagodniał, czoło wyszlachetniało, usta nabrały pewnego wdzięku, ruchy ciała stały się okraglejszemi, a lubo nie była to jeszcze mina panicza, wszelako mniej znający towarzystwo mógł go być wziąć za takiego, zwłaszcza jeżeliby się ich obu obok siebie nie postawiło.

W Kielcach dowiedziawszy się Maciej że ksiądz Koziński zawsze jeszcze wikarym w Brzezince, niemógł przenieść na sobie, żeby go nieodwiedzić. Zostawiwszy więc swój tłumoczek podróżny, ogarnął się w niedzielę z rana porządnie, a ubrany na pół świątecznie na pół po podróżnemu stanął w Brzezince i udał się wprost do kościoła, gdzie już nabożeństwo było się rozpoczęło.

Główną ławkę przy wielkim ołtarzu zajmował Chwałkiewicz ze Zosią, której Maciej wcale nieznał, a przynajmniej znał jeszcze małym dzieckiem. Była w kościele i Szczepanowa i Chłapczyński lubo w innej ławce. Maciej niezmiernie się zdziwił, że w tej wiosce tyle znajomych, a przynajmniej znanych sobie znalazł osób; lecz głównie zajmowała go Zosia. I jej uwagi nie uszło pojawienie się w kościele jakiegoś nieznajomego i dostrze-

gła, że oczy jego głównie na nią zwrócone. Ciekawa była dowiedzieć się ktoby to był. Mając głowę nabitą książkami, z których świat i społeczność poznać się starała, pozbawiona sposobności poznania go na praktycznej drodze życia, a przez to samo nie umiejac pomiedzy książkami samemi czynić wyboru, brała je na oślep lub też w miarę jak drażniły imaginacyę. Nie dziw więc, że w nadzwyczajnościach się lubowała, zwłaszcza kiedy życie jęj dziwnie niemi było przeplatane. Najprostsze przeto zdarzenie przybierało w jęj oczach jakąś niesłychaną ważność, bo się jęj zdawało, iż z każdego może się jakiś ważny wpływ na jęj życie wysnuć. Ukazanie się obcego dla nięj Macieja w kościele musiało zdaniem jęj mieć styczność z jęj losem, a wyobrażenia niedozwalała jęj przypuszczać, aby to się zwykłym przypadkiem zdarzyć mogło, lecz jakieś nadzwyczajne okoliczności winny były towarzyszyć wszystkiemu co z życiem jęj ma styczność. Niczego bardziej niechętna się jak powszedności, jak owego spokojnego trybu jakim idzie żywot większėj części ludzi.

W marzeniach swoich dwie ostateczności przewidywała dla siebie: albo nowoczesnego Rinaldiniego, albo też wielkiego pana, który u nóg jęj złoży tytuły i majątek. Była pewną, że nieznajomy ten umyślnie przybył żeby ją widzieć, dziwiła się tylko że czynił to tak jawnie. Z pozoru nie wyglądał on wprawdzie na zbójcę, który jak wiadomo powinien być udrapowany w płaszcz, z piórem u kapelusza i sztyletem za pasem; podobniejszym zaś był do pana, bo miał odzież świeżą i modną, nie zupełnie zgodnie z przysłowiem, które mówi, że szewc bez butów chodzi.

Po nabożeństwie udał się Maciej do księdza, który niezmiernie się ucieszył ujrawszy go i nie tylko na obiad zatrzymał, ale posłał po tłumoczek do Kiele chcąc gościa swego parę dni u siebie przytrzymać. Na opo-

wiedanin o sobie zeszło im szybko, a ksiądz słuchał z ciekawością jak mu Maciej roztaczał dziwne miast wielkich które widział. Pytany ciągle nie miał sam wiele czasu do zadawania pytań, a dowiedziawszy się tylko że wszyscy znajomi w Krakowie zdrowi, poprzestał na tem na dziś, nie chcąc odrazu zaczepiać gospodarza swego o Zosię. Gdyby mu widok Zosi był obojętnym, byłby się niewachał zaspokoić swojej ciekawości, ale mu się wydawało, iżby z ócz mu wyczytać można, że go dziewczyna nieznajoma obchodzi, gdyby tylko pierwsze słowo o niej z ust wypuścił. Na zapytanie o Szczepanową i Chwałkiewicza odrzekł ksiądz sucho, że pierwsza prowadzi u dzierżawcy gospodarstwo, a drugi niekiedy tu przyjeżdża.

— Ale daj mi tam pokój z temi ludźmi — odrzekł wikary — ani jako ksiądz, ani jako człowiek nie mam najmniejszej styczności ze dworem; gadaj mi raczej o sobie.

Po tych słowach ani sposób dowiedzieć się było ocaleć o nieznajomej piękności.

Po niesporach wypadło księdzu jechać do drugiej wsi do chorego, pożegnał więc Macieja obiecując wrócić późno wieczorem. Maciej zostawiony sam sobie przeszedł wieś, a potem go znęcił lasek brzozowy, gdzie płynęła ta sama struga wody, przez którą niegdyś Maciej przeprowił się wstępując pierwszy raz do Brzezinki. Przedarłszy się więc wikliną wzdłuż strumienia wszedł do lasku, szukając najdogodniejszego miejsca, gdzieby usiąść i podumać troszkę, a może i zdrzymać się, bo Maciej nie był z rodzaju tych ludzi poetycznych, którzy nad strumykiem marzą szmeru jego tylko słuchając.

Zosia która w gaju tym mieszała swoje najcichsze ustronie, gdzie czytywała książki, dostrzegłszy zbliżającego się Macieja wprzód zanim on ją mógł ujrzeć, jak spłoszona sarna sunęła w bok, nie tak jednak ci-

cho aby Maciej nie zwrócił uwagi w stronę gdzie gałęzie zaszeleściły. Uciekając zostawiła książkę na murawie, Maciej nie śmiał jej ścigać, podniósł książkę i zaczął ją przeglądać, nie wiedząc co robić. Zawsze jednak przypadek ten był mu na rękę, bo mu dał sposobność prędzej czy później mówić z piękną nieznajomą. Zosia przypomniła sobie o zgubie i wróciła po nią. Rozmowa stała się nieuchronną.

— Ach to moja książka!

— Szczęśliwy jestem, że ja pierwszy znalazłem zgubę.

— O, niebyłaby tu ona zginęła, tu do tego lasku nikt prócz mnie niechodzi.

— Mogłoby to być dawniej, lecz od dziś jak pani widzisz, las ten przestał być niedostępnym. Chyba że pani każeś,...

— A w takim razie?

— Przyznaję, że rozkaz ten byłby dla mnie bardzo surowym.

— Nie jestem tak okrutna, abym miała pana pozbawić jedynego miejsca przyjemnego we wsi. A nadto niemam do tego żadnego prawa, będąc tu tylko w gościnie.

— Bardzo wdzięczny pani jestem, że mię ośmielasz korzystać z tego ustronia, wszelako wymawiam sobie, że przechadzka moja nie przerwie odwiedzin jej w tym lasku.

— Na warunek ten z góry przystać niemogę.

— A to czemu?

— Bobym się musiała obowiązać bywać tu i rano i wieczór, jak to zwykle czynię.

— Więc przynajmniej do jutra rana.

— Niech i tak będzie.

— Od starań moich teraz zależy, warunek ten co dzień ponawiać.

— A przez jak długi czas?

— To znów od pani zależy.

— A prawda, że to ja mam dawać panu pozwolenie bywania w lasku od rana do wieczora i od wieczora do rana.

— Nie tylko w lasku ale i w Brzezince.

— Mogłabym słusznie nie przyjść jutro do lasku, bo pan przekraczasz warunek. Na ten raz panu odpuszczam i żegnam.

— Pani pozwoli....

— Towarzyszyć sobie? nie.

— Pani kończy moje słowa inaczej niż ja zamierzałem. Pytania tego jakie pani sobie uzupełniłaś, niechciałem tak wcześniej zadawać.

— Żegnam.

To mówiąc pobiegła w stronę przeciwną najbliżej do dworu wiodącą. Maciej został i długo jeszcze dumał upojony szczęściem, lecz w obawie, aby to suche pożegnanie nie było dowodem rozgniewania się.

Zosia wyszedłszy z lasku wracała wolnym krokiem do domu. Całe postępowanie nieznajomego utwierdzało ją w domysle, że ona głównym celem jego pobytu w Brzezince. Myśl ta pochlebiała jej wielce, zwłaszcza, że spotkanie w lasku było bardzo podobnem do tych jakie natrafiała w romansach.

Nazajutrz rano schadzka w lasku powtórzyła się. Rozmowa trzymała się w tym samym co i pierwsza zakresie i kończyła się pożegnaniem tak zimnem ze strony Zosi jak przeszłego wieczora, co Macieja tém więcej drażniło. Przez cały dzień był bardzo zamyślony, tak iż ksiądz nawet zwrócił uwagę na to, lecz Maciej tłumaczył się znużeniem z wędrówki, które nie zaraz czuć się zwykło. Zostawiony sam sobie zaczął się rozpatrywać w swoim położeniu i postanowił jak tylko można najrychlej wyjść z niepewności.

— Jeżeli ona jest bogatą szlachcianką, na cóż wszystkie moje plany i zabiegi? — mówił do siebie — Czyż zechce ona ze swoim majątkiem i edukacją podzielić los rzemieślnika, nie mającego nic prócz dziesięciu palcy? Dla czegoż rzemiosło w takim jeszcze poniżeniu?... Lepiej wcześniej jak zapóźno powiedzieć jej, że ja krawczyk, sierota znaleziony pod plotem i wzięty przez listotę na wychowanie od wieśniaka.... tak, powiem jej to wszystko i już więcej nie pokażę się w Brzezince. Rzucę się w świat napowrót, może łatwiej o niej zapomnę.... A jeśliby, pomimo wyjawienia jej mego stanu, nie odepchnęła mię od siebie? nie, to być nie może!... ja sam nie powinienem na to pozwolić. Ona pomiędzy czeladzią i chłopcami, może jak stara Kozińska przy kuchni gotując jadło dla ludzi, albo jak żona czeladnika pomagać mężowi w szyciu! Czemuż nie jestem panem! Złożyłbym jej u nóg cały mój majątek. A jeżeli się ja łudzę tylko, jeżeli ona ze mną rozmawia tak jakby rozmawiała z każdym kogo spotka?... Obojętność jej byłaby okropniejszą niż gdyby mię przez wzgląd na nierówność stanów odepchnęła. Pójdę do lasku, los mój dzisiaj się rozstrzygnąć musi.

I poszedł. Siedział do zmroku, siedział do ciemnej nocy, Zosia nie przyszła.

Wikary bardzo się z początku dziwił, że Maciej przybywszy do niego w gościnę ucieka od jego towarzystwa wtedy właśnie, kiedy najwięcej mogliby ze sobą pogadać. Potem zaczął się nawet niepokoić, czy mu się coś złego nie przytrafiło i niecierpliwie przybycia jego oczekiwał. Maciej powiedział mu, że wyszedłszy w pole na przechadzkę usnął pod krzakiem, a wikary przestał go dalej badać.

Maciej przepędził noc bezsenną, pierwszą w swoim życiu noc taką. Zdarzało mu się nieraz i dawniej nie zmrzyć oka przez noc całą ślęcząc nad pilną robotą,

ale na posłaniu do białego dnia przeleżeć, przedumać i przeboleć, tego nigdy jeszcze nie doświadczał. Okropne téż myśli przesuwaly się przez jego głowę, zwątpienie, rozpacz, wszystkie cierpienia zawiedzionej miłości, a w miarę jak się im oddawał, miłość jego ku Zosi rosła, i czekał tylko niecierpliwie aż nadejdzie godzina wstania, bo gotów był pobiedz do dworu, rzucić się do nóg kochanki, choćby nawet w obec świadków, wyznać jej swoje uczucia i żądać od niej, aby wydała wyrok, wyrok szczęścia lub potępienia.

Naprzeciw posłania jego wisiał zegar ścienny, którego penduł klekotał jednostajnym biegiem. Maciej utkwilił oczy w skazówkę, która mu się zdawała iść ociężale, a uchem całém był w sypialni księdza, czekając poki tenże nie da znaku ocknięcia się. Lękał się wstać przed nim, żeby nieobudzić podejrzeń zaledwie uspiionych wieczorem. Lecz w sypialni księdza panowała cichość zupełna. Tak wytężone zmysły znużyły się rychło, i kiedy ksiądz wstawał, już go Maciej nie słyszał. Zerwał się wreszcie z pościeli, spojrział w okno, słońce wysokie już było na niebie, wypadł przed dom, odepchnął chłopaka który go na śniadanie chciał przytrzymać i pobiegł do lasu brzoźowego. Na ławeczce darniowej gdzie Zosia siadywała, leżał skrawek papieru załamany. Pochwycił go z chęcią, lecz papier był czysty. Dawniej na taki skrawek papieru z inném Maciej spoglądał uczuciem, upatrując na nim ząbków wyciętych na znak miary grubości lub długości, dziś papier ten inne mając przeznaczenie, inne zupełnie miał znaczenie. Załam jego świadczył, iż służył za zakładkę do książki. Czy zguba ta była przypadkowa, czy umyślna? Zarozumiałość kazała mu to ostatnie przypuszczać, a gdyby i tak nie było, to zawsze paperek ten świadczył, iż Zosią dziś rano tu na tej darni siedziała. Przeklinał Maciej swoją ospałość, lękał się czy mu ta obojętność

nie będzie za złe poczytana i przemyślana jakby przedsię obrażoną. Papierek ten schował jako pierwszy upominek, pierwszy zadatek wzajemności, i byłby go nieoddadł dziś za skarby całego świata. Smutek i radość miotaly nim na przetalan tak dalece, że przy obiedzie lay mu stawały w oczach, kiedy go ksiądz rozweselić się starał, a znów śmiał się wśród najpoważniejszej rozmowy. Wstawszy od stołu wymknął się za wrota probostwa i sunął szybko do lasu, bo mu się zdawało, że słońce musi zająć niezadługo. Zwolnił dopiero kroku kiedy wszedł w wiklinę i postępował zwolna dumając o swojem szczęściu, którego wszakże jak wszyscy kochankowie nie umiał ubrać w szaty rzeczywistości. Gdyby kto się go zapytał w tej chwili, jakie to jest owo szczęście, byłby mu wskazał na ten kawałek papieru i na darniową ławeczkę. Przedzierając się gęstwiną usłyszał jakiś szmer jakby głos ludzki, lecz potem wszystko ucichło, a kiedy zbliżył się do miejsca zwykłych odwiedzin swoich, ujrzał dwoje osób znanych sobie, siedzących na tej samej darniowej ławeczce. Byłby je w pierwszym uniesieniu zepchnął z tego siedzenia, którego niegodne były zajmować, lecz się powstrzymał żeby się nie zdradzić i przesunął się obok nich, niby idąc dalej, i nie pozostało mu też nic innego, tylko drugą stroną lasu wyjść na otwarte pole skąd dwór był widny. Zdawało mu się, że w jednym z okien mignęła sukienka, nieśmiało więc, jak gdyby w dalszym kierunku swój przechadzki zbliżał się ku dworowi ukosną. Kiedy już był blisko, ukazała się Zosia w oknie otwartym, a Maciej dobywszy zakładkę papierową, przycisnął ją do ust, pierwsze oświadczenie miłosne czyniąc na migi, którym zawsze wolno być śmielszymi niżeli słowem głośnym. Zosia musiała pojąć eo to znaczy, bo na przed pogroziła, a potem położyła palec na ustach jakby nakazując milczenie i wreszcie znikła z okna. Ma-

cięż upojony wrócił do plebanii i zasiadł do pisania pierwszego w swém życiu listu miłosnego, nie będąc pewnym czy zajdzie potrzeba a wreszcie i możność wręczenia go.

Wśród tego osoby które siedziały w lasku na dami prowadziły dalej zaczęłą rozmowę, którą zjawienie się Macieja przerwało.

— Więc to on? — zapytała Szczepanowa kiedy Maciej znikł już im z oczu.

— Ten sam krawczyk, o którym wam mówiłem — odrzekł Chłapczyński.

— Anibym go poznała. Ale skąd wam przyszło panie adwokacie myśleć, że on tu siedzi dla Zosi?

— Skąd? rzecz bardzo prosta. Miałem Zosię na oku, więcem ich oboje podsłuchał a potem przeszkodziłem Zosi, żeby tu wieczór nie przyszła.

— Dziękuję wam panie adwokacie, że tak czuwacie nad moją wnuczką. Tegoby jeszcze potrzeba, żeby ją z majątkiem i edukacją wydać za krawca. Nie będzie z niego pewnie nic lepszego tylko drugi Gruca.

— Ale gdzie tam! przeciwnie, ona ani się domyśla że to krawczyk, ja jęj też nie myślę wyprowadzać z błędu, ale powiem że to jakiś hrabiec, który tu umyślnie przyjechał za nią i ukrywa się pod imieniem Macieja czeladnika krawieckiego, żeby nie dać po sobie podejrzania.

— Czyście wy oszaleli panie Chłapczyński, żeby tak dziewczynie głowę zawracać, kiedy jęj i tak państwo na myśl.

— Ba ba! co tam z wami o tém mówić. Jabym tu rychło interes skończył, żeby nie to iż muszę do Krakowa. Jeżdżę tu i tak często, a jak mi nie zapłacicie, to sobie róbcie co chcecie. Człowiek ma sprawy ważne które opuszcza, byle wam dobrze było. Wasza córka zrobiła głupstwo, niechże wnuczka interesa naprawi za

matkę. Żebym ja nie był wtedy Pawłowej odstąpił, nie byłoby wcale do tego przyszło.

— No, ale cóż chcecie teraz zrobić? Dziewczyna gotowa się w tym Maćku pokochać, i znów będzie jak z Grucową.

— Ja też chcę żeby się pokochała w nim, lecz nie w krawczyku Maćku, tylko w panu hrabim.

— No to cóż z tego?

— Albo ja się nie znam na ludziach, albo Zosia pokochawszy hrabiego Macieja, kiedy się dowie że to Maciej prawdziwy, odpędzi go obrażona że ją zwodzi i w żalu i gniewie przestanie na szlachcicu.

— Ależ bo to źle wypaść może.

— No, to Chwałkiewicz naprawi. Tylko mi szyków nie psujcie. Może jeszcze wstrzymam się z wyjazdem, jeżeli mi co dacie dla Jakóbowej... choćby te korale.

— Zobaczę, zobaczę. Ale nie mogę być z tego mądra, co mi mówicie.

— Tylko mi zostawcie całą sprawę, ja już ją pokieruję; nie takie ja małżeństwa kojarzył!

I rozeszli się oboje. Szczepanowa poszła na folwark, a Chłapczyński do dworu.

— Spotkałem też dawnego znajomego — rzekł do Zosi — Bogaty to panicz, wraca właśnie z podróży. Znałem go jeszcze dzieckiem. Zwierzył mi się ze wszystkiego i prosił o instancję.

— A do kogo? — zapytała zarumieniona.

— Do kogóżby jeśli nie do panny Zofii?

— Panie Chłapczyński, ja żartów nie lubię.

— Ja też nie żartuję. A że mu życzę dobrze, więc się podjąłem zlecenia, niezważając nawet żem za stary do miłosnych posyłek.

— O, to już tego za nadto!

— Panno Zofio, powinszowałbym ci z całego serca, gdyby to była prawda. Więc kochasz hrabiego Zwoj-

niczego? bóg ci zapominał powiedzieć to mu na ten
hrabia Zwojnicki. No, przyznaj się.

— I odtąd panno do tego, że się tak wypytujesz?

— O i bardzo, niechoiałbym żeby sobie chłopiec na-
daremnie głowę zaprzętał. Wybyście i tak bezczemnie się
obeszli, ale ja tu długo siedzieć nie mogę, a kto wie,
czyby Chwałkiewicz pozwolił na to, aby panień był
w domu.

— A czy to pan Chwałkiewicz moim opiekunem?
Mnie wolno stąd odjechać kiedy mi się podoba.

— Zwolna, zwolna. Dokąd i z kim? do matki? Fi-
kne rzeczy żeby taki pan chodził z wizytą do szyka-
wni. A babka twoja panno Zofio, także nie szczególnie
w oczach jego opiekuna. Ta na wsi, gdzie mu na-
pełnie wasze stosunki nie wiadome, gdzie ma się zdać
że jesteś szlachcianką, to jakoś rozważy nie stawia na-
ci na przeszkodzie. Łatwiej potem, kiedy go już bę-
dziesz pewna, wyznać mu kto jesteś, a już wtedy ja we-
zmę na siebie rzecz zwolna przygotować. Pamiętaj
panno Zofio, że w oczach jego jesteś daleką krewną
dzierżawcy, bogatą dziedziczką.

Nieczekał Chłapczyński odpowiedzi, zostawiając Za-
się w zdumieniu i poszedł szukać Macieja.

— Jeśli się nie mylę, mam zaszczyt mówić z panem
hrabią Zwojnickim? — rzekł do niego.

— Mylisz się pan.

— Najmocniej przepraszam. Byłem tego tak pewny,
iż ujrawszy pana zdaleka, powiedziałam pannie Zofii,
która mię wypytwała o pana, że pan jesteś hrabią
Zwojnickim.

— Któż jest ta panna Zofia?

— Daleka krewna tutejszego dzierżawcy, ale to bę-
gaczka całą gębą, zresztą znasz ją pan.

Maciej spuścił głowę smutnie.

— Nie uwierzysz pan jakie na niej uczyniłeś wrażenie. Biedaczka, w całym domu nie miała się przed kim zwierzyć, i byłaby się i przedemną nie wydała, lecz że ją prawie zmusiłem do wyjawienia mi uczuć swolich. Opowiadała mi wasze spotkanie w lesku z takim zapalem, że sobie postanowił zbliżyć was do siebie, choćbyś mi pan poczytać miał ten krok za zachwalstwo.

— Panie — rzekł Maciej stłumionym głosem — muszę wywieść i ciebie i pannę Zofię z błędu. Nie jestem tym za kogo mię macie. Ubogi wędrowny rzemieślnik ośmieliłem się rzucić okiem na kwiat, po który mi nigdy ręką sięgnąć nie wolno. Niebaczność tę ciężko mi opłacić przyjdzie. Powiedz pan pannie Zofii, kto ja jestem i prosz ją tylko, aby wspomnieniem tych kilku chwil przypadkiem z nią spędzonych nie wzgardziła. Będzie ono dla mnie jedynym skarbem, jaki ztąd uniosę. Zresztą źle czynię, że się tak rozrzewniam w obec pana, który się z takich uczuć naśmiewasz.

— A czy to pan mię znasz?

— Znam dobrze, jesteś Chłapczyński, a ja jestem czeladnik krawiecki Maciej....

— Ah, teraz mi dopiero przychodzi na myśl, zkąd ja pana znam, a to u starych Kozłńskich. Jaktó? to ów Maciek?

— Tak jest Maciek, ten sam Maciek. Więć widzisz pan że Maciek nie może i nie powinien myśleć o panie Zofii.

— O poczeiwa dusza! niechże cię uściskam! Ale poczekajno przyjacielu, to się nie może tak skończyć. Ja się muszę zająć tobą koniecznie. Oto masz moją rękę że Zosia będzie twoją. Dziwnie się na mnie spoglądasz. Ja wiem co ty myślisz o mnie. Ty zawsze sądzisz że Chłapczyński to stary lis, boście mię za takiego okrzyczeli w Krakowie, dla tego że umiał kręcić na wszystkie strony żeby wyżyć. I cóż w tém dziwnego? —

Zebym był tak jak ty krawcem, tobym się starał robić suknie jak najlepiej, a że żyłem z procesów, to musiałem tak je prowadzić, aby mi przynosiły zarobek. Ale teraz mogę być uczciwym człowiekiem, bo mam być o czem. Wierzaj mi, że to wielki do uczciwości bodziec, kiedy się widzi, że tyle można zarobić na prostej drodze co i na krętej. Kómużby się to w takim razie nie chciało iść prostą drogą? Otóż ze mną taki sam zachodzi przypadek, a że i wiek się zbliża, w którym człowiek już nie sobie nie zarobi, przeto czas dawne sprawy porzucić. Ale wróćmy do Zosi. Powiadam ci, że się da wszystko na dobre wykierować, tylko trzeba umieć.

— I na cóż to się zda wszystko? Między mną a nią leży przepaść, której nie zapełni miłość.

— Co ty mi gadasz mój chłopcze o przepaści. Tam niema przepaści tylko jest głęboka fosa którą przebyć trudno, ale nie myśl znów, że niepodobna. Oczywiście, że przeskoczyć się nie uda, ale przebrnąć zawsze ją można. Już ja biorę wszystko na siebie; tylko ci jeden stawiam warunek.

— A ten jest?

— Abyś był dla Zosi hrabią Zwojnickim, póki ja ci nie dam znak, byś maskę zdjął.

— Jak to? ja mam pod przybranem nazwiskiem uchodzić za tego kim nie jestem?

— Ba, ba! i cóż w tem złego? a czy ty wiesz czem ty jesteś i czem będziesz?

— Czém? najwyżej majstrem.

— E, co mi takie rzeczy pleciesz, ja powiadam ci, że się jeszcze wykierujesz na takiego wsiowego pana, iż zje ten licha co cię pozna. Rodowód szlachecki zrobi ci pierwszy lepszy pieczętarz, tylko mnie słuchaj. Jedno słowo twoje może wszystko w niwecz obrócić, trzeba żeby się dziewczyna na prawdę do ciebie przywiązała, żeby cię tak pokochała, iżby żyć bez ciebie

nie mogła, a wtedy i o stan twój pytać nie będzie. Alboż to jedna wielka pani poszła . . . za lokaja? Mnie o tem nie gadać. Zresztą Zosia nie ma bliskich krewnych co by jej przeszkadzali, a we mnie zupełną pokładą ufność. Ja dla jej własnego szczęścia chcę żeby poszła za ciebie. Tylko mi zostaw wolne ręce i nie zdradź się. Ale ale . . . bylbym zapomniał małej bagateli. Wiem, żeś nie bogaty, ale parą dukacikami mógłbyś mi się przysłużyć, będę miał z twojej przyczyny różne wydatki; no, nie zechcesz przecie żebym ja szkodził.

Tym sposobem Maciej mimowolnie naprowadzony został do odgrywania roli której się nigdy nie uczył i do której zresztą najmniejszej nie miał zdolności. Ale że całe publikum składała Zosia, więc mu uchodziły usterki w grze, nawet najgrubsze. Schadzki w lasku zamieniły się na wizyty w oficynie, gdzie Chłapczyński miał izbę, której chętnie użyczał kochankom. Parę dni wystarczyło na to, aby po utorowanej przez niego drodze miłość tak szybkim posuwała się krokiem, iż bez utrudnienia minęła pierwszą stacyę: oświadczenie. Maciej był uszczęśliwiony choć goły. Chłapczyński wyssał z niego cały fundusz uciulany pracą, bo zabierał się jak mówił do przygotowań dla niego ślubnych, a pieniędzy tych potrzebował na stęple, metryki itp. Zosia była również uszczęśliwiona, marząc o wielkości i tytułach. Chłapczyński nie zostawił nigdy sam na sam kochanków, czuwając by się które z nich nie wydało czem jest w istocie, i samym nawet wzrokiem utrzymując ich przy roli im naznaczonej.

Tak rzeczy szły do drugiej niedzieli. W sobotę jeszcze Chłapczyński powiedział obojgu kochankom, że nazajutrz nie może ich przyjąć u siebie, bo dzierżawca w tej izbie zbiera koło siebie karbowych, leśniczych, stawowych i wszystkich niższego rzędu zawiadowców

majątku. W miejsce tego radził im, że jeżeli mają sobie co do powiedzenia, to niechaj na jego ręce piszą.

Jakżeby się romans obszedł bez listów? Wprawdzie od soboty do niedzieli nie się takiego nie zdarzyło, żeby o tem pisać było potrzeba, ale kochankowie znajdują sobie zawsze przedmiot niewyczerpany, bo im się zdaje, że jeszcze nie wypowiedzieli całej swojej miłości. Chłapczyński odprowadzając Macieja szepnął mu, żeby w liście co ma napisać natrącił już z lekka że nie jest tem czem się być mieni, obiecując, że go wesprze u Zosi, jeśliby zachodziła tego potrzeba.

Nazajutrz rano list Macieja już był w ręku Chłapczyńskiego. Rozpieczętował go, przeczytał, i wkładając do kieszeni rzekł:

— Czas już skończyć tę komedję.

I siadłszy do stolika napisał w miejsce schowanego listu, następujący:

„Kochana Zosiu! Czas już skończyć tę komedję. Nie jestem ja hrabią, tak jak ty nie jesteś dziedziczką. Wracam z wędrówki jako czeladnik krawiecki, a dowiedziawszy się, że ci w głowie pańskość, chciałem pod pokrywką jej zyskać twoje serce. Kiedy jestem dziś pewny tego, że mię kochasz, więc niemał powodem ukrywać dłużej stan mój i zamiary moje na przyszłość. Jak się pobierzemy, obejmie szynk *pod beczką*, gdzie będziemy żyć tak szczęśliwie jak twoja matka z ś. p. Gracą, któremu zawsze szanował terminując pod nim, chociaż był trochę surowy. Jeżeli mi nie odmówisz twę ręki to mi daj znać, a będę prosić o ciebie twę babkę i pana u którego ona służy. Kocham cię bardzo, ale nie mam czasu bałamucić się tutaj, bo trzeba by co zrobić żeby mieć kilka złotych na gospodarstwo.

Wiernie cię kochający
Maciej.

Zosia odebrawszy list taki zbladła jak chusta, nogi

się pod nią zachwiała i gdyby nie pomoc Chłapczyńskiego byłaby padła jak długa na ziemię. Gniew, wściekłość, obrażona duma, zawiedzione nadzieje a może i isierka prawdziwego przywiązania miotały nią na przemian. Uczuła że jest bezsilną, aby taką obelgę ukarać, zakrywając więc twarz rękami zaczęła płakać. Byłaby wiele dała za to, żeby tych łez nie był widział Chłapczyński, lecz nie była dość panią siebie aby je powstrzymać. Chłapczyński nadaremnie pytał coby jej było, nieodpowiadała mu słowa, bo usta jej drżały; chciał jej list z ręki wysnać, bo nie lubiał dowodu swojego szalbierstwa w cudzych zostawiać rękach, ale Zosia w ściśniętych dłoniach trzymała papier, a potem zmiawszy go z wściekłością włożyła w zanadrze. Otarła oczy, wychuchała chustkę i wygrzała na słońcu, a potem przykładała ją do oczu, żeby nie było znac śladu płaczu i weszła do mieszkania dzierżawcy.

— Cóż mi powiesz moja Zosiu? zapytał Chwałkiewicz pieskciwie.

— Chciałam pana prosić, żebyś tego krawczyka co stoi u księdza wikarego, kazał ze wsi wypędzić.

— A to dla czego moja ty księżniczko?

— Obraził mię, śmiał do mnie pisać.

— Co? pisał do ciebie? a to hukaj! jak on to się poznał na twojej urodzie!

— Jegomość sobie żartuje, a mnie na płacz się zbiera.

— A widzisz moja duszo, to zawsze taki los czeka pannę, że ktoś się o nią starać musi. Więc ci się ten krawczyk nie podoba?

— Jakto? to jegomość chce, żeby ja za krawca poszła?

— Ty wiesz Zosiu za kogo bym ja chciała żebyś ty poszła. Ale ja cię nie zmuszam. Namysł się dobrze. Długo bawić tu nie możesz, bo cię koniecznie chcą do

Krakowa sprowadzić i wydać za mąż za jakiegoś tam Macieja, co dawniej terminował u Kosińskich, czekając tylko jak on wróci z wędrówki.

Zosia stanęła jak wryta. Zamyśliła się głęboko i wyszła powolnym krokiem z izby.

Przy obiedzie rzekł Chłapczyński do Chwałkiewicza:

— Kiedyż pan wyjeżdżasz do Warszawy?

— Zapytaj się panny Zofii — odpowiedział Chwałkiewicz.

— A skądże ja mam wiedzieć?

— Zostawić cię tu nie mogę bez opieki moja Zosiu, a nużby jaki drugi krawczyk....

Zosia złożyła ręce i spojrzała na niego błagalnie.

— Wziąć także cię nie mogę z sobą, chyba....

— Chyba co? jakbym ja chciała widzieć Warszawę!

— No, to zresztą pojedziemy ale w tydzień po ślubie.

— Niech i tak będzie — rzekła Zosia cichym głosem.

— A widzisz, że to nie tak trudno zdecydować się.

Kiedy obaj mężczyźni zostali sami, rzekł Chłapczyński nalewając sobie wino.

— Ale też sprawa szła djable uporeczywie. Napracowałem się dosyć.

— Więc ty powiadasz — rzekł Chwałkiewicz niby nie słysząc przymówki prawnika — że Gruczyńska wstąpiła do klasztoru?

— To jest nie do klasztoru, ale jakby do klasztoru, bo została siostrą Miłosierdzia na Wesołej. Powiadał mi właśnie wikary, u którego byłem żeby Macieja jak najrychlej wyprowadzić od siebie, otóż powiadał mi, zwyczajnie zapewne przesadzał, że stary ojciec Kosiński co jest u dziadów na Zamku, tak jęć głowę skotłował, to jest, ksiądz nie gadał o skotłowaniu głowy, bo owszem bardzo to wziął za dobre....

— No już wolę zaczekać, bo jak gadasz a popijasz co słowo, to się nie możesz wygadać.

— I cóż w tem dziwnego, uwaga w dwie strony skierowana. Zdrowie panny młodej!

— Tylko gadaj żywo.

— Więc stary ojciec Kosiński, któremu Grucowa sny swoje opowiadała namówił ją, żeby się poświęciła posłudze chorych u św. Łazarza. Mówiła mu bowiem, że jej się zawsze śni, iż podaje lekarstwo swojemu mężowi, a ten ją prosi, by mu na łyżkę lekarstwa jedną łzę uрониła, że go to wyleczy.

— Co, ta łza?

— No jużci, ale kiedy go nie wyleczyła za życia, to co mu już pomoże po śmierci? Zwyczajnie, oszalała baba, bo nie co innego. Ale jegomość na tem najlepiej wyjdzie.

— Licha tam! gotowaby klasztorowi zapisać.

— Nie, wszystko dla Zosi, tak powiedziała i u notaryusza złożyła testament. W szynku siedzą starzy Kosińscy i oddają za wódkę pieniądze do tego samego notaryusza, który ich kwituje.

— A Aniela gdzie?

— Nie wiem, nie pytałem księdza, może i on nie wie, bo mi z listu Onufrego nic o niej nie czytał.

— Szkoda dziewczyny! Jak ona umiała koło bydła chodzić!

(Dokończenie nastąpi).

ALEKSANDER SZUKIEWICZ.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Czytam w czerwcowym zeszycie *Bibl. Warszawskiej* pomiędzy *Doniesieniami literackimi*, wzmiankę że w Poznaniu wyszła książka pod napisem: „*Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską*. Godna uwagi przedmowa, z nowego stanowiska skreślona, wnika głębiej w dziejowy rozwój XVII i XVIII wieku, i wykrywa spętyły które późniejszy rozstrój narodu spowodowały.“ —

Tyle słów Biblioteki. —

Wiedząc że podobne doniesienia i uwagi zamieszczane przy końcu każdego tomu pomienionego pisma, najczęściej są podawane albo z dzienników, albo z prywatnych listów, przeto nie kładę zdania tego na karb wydawców Biblioteki, którzy przy światłej krytyce historycznej nigdy niemogliby *Przedmowie* tej przyznać ani nowego stanowiska, ani głębszego wnknienia w dzieje, ani wykrycia spętyły prowadzących późniejszy upadek narodu.

Jak na przekór, to co podniesiono w powyżej przytoczonych wyrazach, nie znajduje się ani w przedmowie,

ani w dziele, oddane w świetle rzetelnej prawdy i ze znajomością stosunków politycznych ówczesnej Europy. Autor — jak sam powiada, początkujący — pomimo jasnego i płynnego opowiadania trafnie ugrupowanych zdarzeń zebranych starannie, należy do rzędu apologetów dawnych instytucyi Rzeczypospolitej; widzi w nich „szczytny pomnik naszej zbiorowej dojrzałości i naszego rozumu politycznego w tych czasach, kiedy inne narody rządzą się bądź to wolą absolutną monarchy, bądź zachciankami panów feodalnych, bądź też przypadkową bardzo i nieczęstą dzielnością indywidualną. Tylko Anglia i Polska — powiada dalej — każde naturalnie według swego charakteru narodowego, potrzeb i widoków, zdobyły się wtedy na myśl, aby wciągnąć cały naród zbiorowo w rządy kraju, ograniczyć władzę panującego, napisać sobie wyraźny i wszystkie szczegóły obejmujący system postępowania w życiu publiczném.“ (kar. XII i XIII).

Ani słowa przeciw temu, bo tak było; mieliśmy instytucye tak wolne, tak wolne że aż musiało przyjść do złamania wszelkiej równowagi między rządem a rządzonymi, a władza nieskupiająca się w jedném ognisku, lecz rozdzielona na krocie, byó nią przestała. Gdzie nie ma władzy, musi być bezwładność. Doskonałość więc instytucyi prowadzącej taki rezultat, staje się dość wątpliwą; a jakkolwiek świadczyć może o dzielnym animuszu naszych przodków, niewiele świadczy o ich politycznym rozumie.

Byt narodu zawsze trzymać powinien przodek przed dogodnościami i przyjemnościami wypływającemi z mniej lub więcej rozwiniętych swobód; ztąd zachowanie równowagi w ten sposób, iżby władza nieszwankowała przez zbytek swobody podwładnych, a podwładni nieczuli się ubezwładnionymi przez władzę, zawsze należy być i należało do głębokich zadań rozumnej polityki.

Autor *Dziejów panowania Augusta II* zapewne wie o tém, bo myśl umiarkowanego instytucjami monarchizmu podnosili nieraz rozumni politycy, a szczególnie francuzcy, ilekroć szukali z nami przymierza. Oświadcza się nawet z swoją historyczną sympatją do Francyi, kiedy powiada, że zdrowy instynkt narodu od wieków ciągnął bardziej do Francyi niż do bliższych mocarstw (k. XXII); żałuje nawet, że po śmierci Sobieskiego nie utrzymał się książę Conti. — Ale to wszystko nie przeszkadza mu łącać *pessimistów historycznych*, i *aposteryorycznych historyzofów*, że chcieli „zmiany dawniej i historycznie rozwijającej się ustawy“ — bo podług niego, było to jedno, co „zanegować całą przeszłość Polski i kazać jęj od Piastów Ziemiomysłów teoretycznie i dzisiaj wymarzoną kolej rzeczy raz jeszcze przechodzić.“ Daruje autor, lecz to nie od dziś nalegano na tę zmianę; nalegały przyjazne gabinety ilekroć starały się o sojusz z Rzeczpospolitą, w przekonaniu, że z hałaśliwymi nie nieuchwalającymi sejmy sprzymierzeniec co nie jest ani dość silny, ani dość powodujący się widokom kierującej polityki, na niewiele może się przydać; nalegali wreszcie, i ciągle nalegali królowie nasi w tém nie szczęśliwi, że gdy im zawsze czasu zabrakło na długie dzieło reformy, nie mieli jęj komu przekazać.

Autor, jak widać, wierny zwolennik pewnej szkoły historycznej, wywodzącej formę republikańskiego rządu jeszcze od Piasta i Ziemiomysłów, nie przypuszcza nawet, żeby jakakolwiek zmiana w tym kształcie rządu mogła była udać się. Oto są jego słowa: „Zmiana ustawy polskiej z republikańsko-szlacheckiej na absolutnomonarchiczną z wszelkimi dobroczynnymi następstwami, wygląda nieźle na papierze i w abstrakcyi, ale myśl jęj była w ciągu życia całego Polski tak obcą wyobrażeniom jęj mieszkańców i takiem w ogóle niepodobną

stwem, że według niej i na jej podstawie historii polskiej wcale poprawiać nie można.“ — (k. XXI).

Rozumie się, że teraz poprawiać nie można, tego, co się raz dokonało — ze szkoda; ale historyk zawsze ma pole sądzić naród w wyborze drogi którą poszedł, jeżeli historyk nie należy do smutnej szkoły fatalistów.

Również trudno zgodzić się, aby monarchizm u nas był taką abstrakcją; przeciwnie praktyczna ta, najpraktyczniejsza z politycznych myśli 17 i 18 wieku, wciskała się do nas i przyjmowała w głębszych umysłach statystów i panujących, którzy widząc jakiej reformy wymaga Rzeczpospolita, aby mogła iść w równi z innemi państwami stałego ładu, nieraz kusili się o złamanie wszechwładnego żywiołu gminowładztwa szlacheckiego. Czyż nawet wielbiony przez autora Władysław IV, nie ruszył na ten cel kozackiego żywiołu? Że się to niepowiodło, nie wynika ztąd, iżby idea tej reformy była dobrą li *na papierze*; prędzej temu przypisać, iż się nie znalazł mąż na tronie, któryby dość energii i woli posiadał, do urzeczywistnienia tej myśli; a choćby i niebrak takiego człowieka, to prędzejby przypuścił, że sama natura owęj ustawy, zagradzała zwycięzko drogę wszelkiej reformie. Póki ją podtrzymywał wielki duch obywatelski, gotowość do poświęcenia osobistego interesu i ambicyi, póty i trwała ta anormaliczna organizacya.

Przodków naszych którzy stworzyli instytucję wolnego obierania Królów przez Szlachtę, którzy uświęcili obyczaj *liberum veto*; nie możemy potępiać bezwzględnie i nie potępiamy. Kształcenie się instytucyi narodowych — ślicznie powiada Sienkiewicz — odbywa się w obec nieczytelnej chmury, która przyszłość zakrywa; bywa dziełem chwili, a ta chwila wieki pożera; zależy często od trafu, a traf ten pojęcia ludzkie w opętanie wikła. Narody nie mają objawienia Religii politycznej; — ale

zawsze mogą mieć tyle zdrowego rozsądku, żeby się cofnąć przed przepaścią, kiedy widocznie ku niej idą, i tyle woli ducha, żeby się na ofiarę zdobyć, kiedy potrzebna na okup tycia.

Pięknie to być liberalnym pisarzem, i stawać w obro- nie politycznej wolności; lecz czy tym kluczem otworzą się wszystkie historyczne zagadki, czy ta pochodnia rzuca właściwe światło na przyczyny i skutki zdarzeń, czy nam wykrywa główne prądy każdej epoki?— o tém chce mi się wątpić;— idea absolutnej wolności, tak popłacająca u retorów, najczęściej brzęczy fałszywą nutą w historii i polityce.

Młodemu pisarzowi mogło bić serce kiedy słońcem Jagiellonów oświecił sobie wspaniały ów organizm Rzecz- pospolitej, wyrabiającej w naturze naszych przodków jakiś pierwiastek szlachetny, jakiś impet duchowy, który się tak często w wielkich czynach i w pięknych chara- kterach objawiał, że nawet długo jeszcze i w ruinach majaczy... ' Jednakowoż kiedy oko jego wyłącznie za- wiesiło się na tym gmachu zsuwającym się w przepaść, kiedy wziął się rozpowiadać płaczliwe dzieje Sasów, które każdy omijał *jak mogiłę samobójcy*, mógł być prze- cież wyciągnąć inną prawdę, dla postawienia jej jak stawiają słup z ostrzegającym napisem nad urwiskiem. Prawdę tę byłby znalazł — bo była namacalną, gdyby kreśląc cały pochód naszych dziejów ujął je z tej stro- ny, z jakiej prawdziwy dziejopis przedmiot swój ująć powinien, jeżeli nim nie miota namiętność, a powoduje miłość prawdy.

Rozpatrując się w naszych dziejach, leży jak na dłoni, że tylko władza monarsza mogła być temu krajowi na- dać i wewnętrzną i zewnętrzną siłę; forma ta rządu, pomimo nowszej teorii republikańskiej, aplikowanej do całego rozwoju dziejowego, praktykowała się przecież i najlepiej odpowiadała potrzebom, kiedy widzimy naj-

wyższą pomyślność i znaczenie Polski pod rządami Jagiellonów, a nie musiała to być urojona błogość, kiedy każdy niemal czy wierszem czy prozą poczynawszy od Jana Kochanowskiego, przez długi lat szereg przechowywał tradycję tych czasów, jak niegdyś pogańscy pisarze ciągle śpiewający o złotym wieku.

Uwaga ta często nasuwała mi się, ilekroć wnikałem w ducha nastrojającego lutnię naszych starych poetów i zapytywałem się: zkad te skargi na złe czasy? zkad odnośnienie się do szczęśliwszego wieku, dawniej prostoty obyczajów, niezachwianej wiary, rycerskiej tęgości? Czemu te narzekania na obecność, w której:

Dużo postawy, wątku mało?

Zawsze ten jeden ton powtarzający się jak zwrotka w pieśni, musiał mieć swoją moralną przyczynę, kiedy wybuchał gorzkim wyrzutem dla teraźniejszości. I rzeczywiście, ideałem tym wybornych stosunków społecznych, najprościejszej i najdogodniejszej formy rządu były czasy Jagiellońskie, była gruntowna władza monarsza, złagodzona dobrocią charakteru tej dynastyi, wsparta poważnym senatem duchownym i świeckim złożonym z najdostojniejszych mężów Korony i Litwy. Pod Zygmuntem Starym, tym ostatnim, a najdoskonalszym reprezentantem idei jagiellońskiej, widzimy pierwsze dwa zamachy na zwalenie tego stanu rzeczy — oba prawie z wnętrza narodu wychodzące, lecz popchnięte siłą pędzącą cały świat ówczesny ku nowym kolejom. Rozumiem tu sekularyzację Prus krzyżackich, gruby grzech polityczny, wręcz przeciwny się jagiellońskiej tradycyi, i rokosz Gliniański, gdzie drobna szlachta zazdroszcząc senatowi władzy, krzykliwie domagała się udziału w rządach. Następstwem tego kroku był jak wiadomo późniejszy pomysł męża wyuczonego na weneckim rozumie: liberum veto i wolna elekcya; — pierwszego natu-

ralnym skutkiem musiał być targ na koronę, ztąd intrygi i sprzedajność; drugiego: konfederacye, wojskowe bunt, zupełne osłabienie majestatu władzy — z wszystkiego zaś poszła wielka przewaga możnych, a z niej ucisk ludu, otwarło się szerokie pole do pokus, mogących skazić charaktery choćby najbardziej na rzymski wzór przykrojone.

Za nadto przywykliśmy zwać wszystko złe na osoby; — tymczasem gdy w polityce, jak już powiedziałem — objawienia niema, więc i twórcy politycznych błędów, aczkolwiek srodze szkodliwych w następstwach, nie mogą porównie być kładzionymi na szali, z prostym zbrodniarzem popełniającym występki ze świadomości. Zła instytucja świadczy o krótko widzącym umyśle; zdrada i przekupstwo o skażonej duszy.

Trzymając się tej prawdy, ile sędzę, dość oczywistej, autor panowania Augusta II byłby niezawodnie mniej o nieszczęścia chylącej się Rzeczypospolitej obwiniał o *we zdemoralizowane dygnitarstwo*, mniej nawet Augusta II myślącego o zaprowadzeniu rządów absolutnych przez zalanie kraju wojskami saskimi; a więcej przypisał złego owej *ustawie*, która doszedłszy ostatniego stadium nie była już zdolną ani sama siebie ratować, ani szukać ratunku na innej drodze wskazanej przez politykę wszystkich państw postronnych.

August II aczkolwiek go autor od wszystkiego odsądza, wiedział jednakowoż że machina rządowa nie może funkcjonować w tém rozstrojeniu w jakim ją znalazł. Przymierze z Piotrem W. pokazuje nawet, że mu chodziło o zaprowadzenie silnego, skoncentrowanego rządu — o absolutyzm dla zachowania całości i niepodległości tronu, na który go wyniósł wybór narodu. Był więc rozum polityczny, kiedy szukał przymierza z monarchą mogącym mu dopomóc do zaprowadzenia innego porządku wewnątrz, a wreszcie i z konieczności, bo

Polska wyjęta z ogólnego systematu polityki europejskiej, nie mogła dłużej odgrywać tego politycznego monologu, bez szkody. Mam jednak to przekonanie, że organizacyjna i przewidująca głowa Piotra Wielkiego nasunęła Augustowi pierwszą myśl zaprowadzenia gwałtownej reformy w Rzeczpospolitej, bo cóż mu po sprzymierzeńcu zawisłym od jednego niepozwalam, co po tytule bez zasługi? Polityka też Rossyi w początkach panowania Piotra W. zupełnie inne miała względem Polski widoki, jak później. Dziwi mię, że na to historycy nasi niezwrocili uwagi. Staraniem jej było mieć w sąsiedzie silnego alianta przeciw Szwecyi i Turcyi — i dla tego chciała wszelkimi siłami zaprowadzić u nas monarchię — co gdy się nie powiodło — zmieniła później tę politykę, zwłaszcza gdy tak Szwed jak Turek przestał być dla niej groźnym, i zaczęła gorliwie protegować ustawę konstytucyjną, a z nią wspierać anarchię.—

Jak we wszystkim, tak i w polityce są momenta w których się o przyszłość zacząć można; gdy przejdą — już nie łatwo dobry wątek pochwycić. —

Później, tak zwana *familia*, wyobrażana przez dwóch znakomitych mężów stanu usiłowała podjąć tę myśl Piotra W. i użyć jej do przeprowadzenia reformy — ale już było po niewczasie; gdyż polityka rossyjska niepotrzebowała w Polsce silnego alianta; a dla utrzymania dobrych stosunków sąsiedzkich umiała prawie zawsze skłaniać się do podobnych wezwań, z tą różnicą, że nie przychodziła organizować porządek, lecz wspierać wewnętrzną dezorganizację, aż do zupełnego rozkładu. Jak się to odbywało, wiadomo z naszej historii. Dzieje zaś Szwecyi jeszcze wyraźniej pokazują i związek tej polityki i jej nacisk, i wreszcie uczący środek jakim może się panujący od niej wyzwolić, jeśli go niebo obdarzyło jasną myślą i niezłomną wolą.

Mało to są znane u nas szczegóły; bo dotąd nasi pisarze historii skąpo oddawali się badaniu postronnych stosunków dyplomatycznych — gdy tymczasem jest to pewnik, że sprawy tego świata a w szczególności sprawy państw muszą się układać do powszechnej równowagi, czyli wchodzić w zakres ducha epoki. Opieranie się takiemu wpływowi, może trwać długo, lecz w końcu ustępuje mu, dobrowolnie lub poniewolnie. Toż samo i w pisaniu historii nie można nigdy brać żadnego narodu w odosobnienie — bo nawet i Chiny pomimo granicznego muru, nie były wolne od stosunków i wpływów, odbijających się potem w życiu politycznem i umysłowem narodu.

Ależ chciałbym rzucić kilka rysów o Szwecyi, która już toczyła się po tej samej pochyłości co Rzeczpospolita, i byłaby niezawodnie znalazła swego Lewiatana, gdyby nie energiczny Gustaw III.

Bitwa Pułtawska zadała cios potężde Szwedzkiej szeroko rospartej po obu brzegach Bałtyku. Państwo to później, bo w r. 1721 po zaprowadzeniu u siebie reformy, pragnąc kres wojnom położyć, zawarło pokój oddający Rosyi najpiękniejsze prowincye: Inflanty, Estonię, Karię. Szwecya chciała używać rokoszy konstytucyjnej reformy, w ten sposób dokonanej, że w miejscu władzy królewskiej postawiła niebezpieczną oligarchię która rządziła wszechwładnie bez uczestnictwa innych stanów. Po osłabieniu zewnętrznem, nastąpiło jeszcze i wewnętrzne. Nie uszło to baczного oka Rosyi. —

Odtąd zmienia się polityka Piotra Wielkiego względem dwóch swoich sąsiadów. Ze zmianą monarchicznej formy rządu we Szwecyi, prędkiej później miała nastąpić anarchia, ta uprzejma gospodyni zawsze otwierająca wrota przekupstwu i intrydze. Do współnictwa tych wiodków trzeba było przypuścić nowe państwo, spłodzone politycznym grzechem Zygmunta I które pełne młodej

ambicji łatwo dało się ująć nagrodą niektórych posiadłości szwedzkich w Rzeszy. Rosya i Prusy solennie zagwarantowały Szwecyi konstytucyę z r. 1720, nieprzystając podsycać walki dwóch stronnictw *czapek* i *kapełuszy*. Podziemna robota trwała dość długo, nie bez osłabienia Szwecyi, która w roku 1741 straciła już część Finlandyi.

Powoli dojrzewające plany miały się dokonać na Szwecyi mniej więcej około tego czasu, kiedy się u nas spełniły. Ciekawe w tym względzie rzuca światło niedawno ogłoszony przez Barona Manderstroema Zbiór dokumentów dotyczących się Szwecyi; między innemi sekretny traktat Rosyi z Prusami zawarty w Petersburgu w r. 1769 wyraźnie zastrzega, aby ministrom pełnomocnym w Sztokholmie polecić jak najtroskliwszą pieczę około konstytucyi — w razie zaś gdyby jakiej facyi udało się zważyć artykuły fundamentalne konstytucyi z 1720 roku, a to w ten sposób, iżby królowi przywrócona została moc stanowienia praw, wydawania wojny, pobierania podatków, zwoływania stanów i rozdawania urzędów bez zezwolenia Senatu — natenczas mocarstwa przyrzekają sobie wspólną pomoc, a mianowicie król Pruski nie omieszką zająć Pomeranii Szwedzkiej itd.

Wszystko było już przygotowane do bliskiej katastrofy — lecz energia Gustawa III odniosła tryumf nad spiskiem dyplomatycznym. Królewicz ten wychowany przez matkę swoją Luizę-Ulrykę w nienawiści do oligarchii, odgadł przyszłość i przejrzał hańbę i niedolę przygotowywaną swemu narodowi. —

Przymierze z Francją wydobyło go z téj toni.

W tym celu udał się na dwór Wersalski, gdzie znalazł wszystko przygotowane przez ministra Choiseuil, tego szczerego obrońcy mniejszych państw przeciwko wzrastającym potentatom. Książę d'Aiguillon następca

Choiseuila trzymał się stale polityki swego poprzednika przynajmniej co do Szwecyi.

Demonstracya Francyi dość miała grózną postawę, kiedy w dwa lata potem, gdy Gustaw już od roku objął był rządy po ojcu swoim, kurjer wysłany ze Sztokolmu wręczył Ludwikowi XV własnoręczny list Gustawa donoszący o szczęśliwym dniu 21 sierpnia 1772 r. w którym stronnictwa zostały stłumione, oligarchia starta, władza królewska przywrócona.

Francya mogła już śmiało dawać mu subsydia w pieniądzach i sile zbrojnej, bo miała do czynienia z silną i prawowitą władzą.

Rzecz osobliwa: ten sam Choiseuil w naszej Rzeczpospolitej wspierał konfederacyę. — Nie wchodziło więc w rachubę ówczesnej polityki principium monarchiczne, ale działanie jakąkolwiek drogą na osłabienie Rossyi.

Gdyby Stanisław August mniej był się poczuwał do obowiązku wdzięczności za swoje wyniesienie, a więcej rozumiał politykę będącą na dobie, ani wątpić, iż ministerium Choiseuila wspierałoby go daleko szczerzej, niż konfederatów, a równie ze skutkiem jak Gustawa.

Sama impozycya gabinetu Wersalskiego paraliżowała kroki przeciwników korony Szwedzkiej. Fryderyk W. nieposiada się w gniewie i zarzuca Gustawa listami; w jednych ubolewa nad zdławieniem oligarchii, w innych wzbudza trwogi o los Szwecyi, każe nieufać Francyi, a menażować Rossyę — nakoniec przepowiada mu koniec jaki spotkał Cezara...

Wygląda to zupełnie na przekleństwo wyrzeczone w stylu dworskim i dyplomatycznym...

Przekleństwo spełniła później zbrodnia Ankarströma — lecz już największe niebezpieczeństwo dla niepodległości państw Skandynawskich minęło.

Wątek myśli obudzony przedmową autora Panowania Augusta II, uniósł mię do Szwecyi. — Mniemam że

ta wycieczka na boczny gościniec, pomogła do objaśnienia spornego punktu, o tyle przynajmniej, że w tych samych warunkach i przez tychże prawie aktorów odegrany dramat na innéj scenie, pokazał experimentalnie, co należało i w Rzeczypospolitej naszej w podobném położeniu robić. —

Któryś francuski publicysta mądrze powiedział: *La politique est comme la phisique. Il n'y en a qu'une de bonne: c'est l'experimentale.*

To samo da się zastosować i do ocenienia wpływów jakie wywarła ustawa rządząca Rzeczypospolitą na jej koleje. Robić się zatem jej apologistą w historii, dla tego, że miała kilka szczęśliwych chwil natchnienia, kilka rzutów entuzjazmu prawdziwie poetycznego, a za to długie lata niemocy i wewnętrznej i zewnętrznej — jedno jest co pisać pochwałę absolutnej wolności w stosunku do prawa, administracyi, polityki itd.

Autor przedmowy wybaczy mi te uwagi, wywołane potrzebą obecnej epoki, domagającej się od pisarza historii nie jakiejś sentymentalno retorycznej teoryi przeprowadzonej przez całe warstwy dziejów, ale zestawienia faktów w tak rzetelném świetle rozumnej prawdy, aby w nich czytać można ze zbudowaniem się i pożytkiem.

Historyczne fakta są to posagi — ustaw je jak najlepiej, a tylko oświeć fałszywem światłem teoryi niesprawdzonej praktyką, albo sprawdzonej smutném doświadczeniem, co wyjdzie na jedno — a wyższa myśl i nauka w nich zawarta zostaną dla ciebie stracone. —

Zresztą zdaje mi się, że pisząc historię naszą od traktatu Westfalskiego, po którym Rzeczypospolita została zupełnie na boku, obok tworzących się państw, ona jedna z postaciami narodu — nie obejdzie się bez bardzo pilnego zbadania polityki i dyplomacyi mocarstw postronnych, o niemal wszystkich. Uważając bowiem wy-

padki li tylko ze stanowiska gruntowego, okiem ówczesnych mowców i statystów sejmowych, niewiele się zrozumi z ogólnego toku polityki, a wykrycie prawdziwych sprężyn zawsze będzie wątpliwe, lub źle wytłumaczone.

Jakkolwiek ogólny pogląd na dzieje Rzeczypospolitej nie powiada nam nic nowego w przedmowie — zachowując stanowisko zbyt ciasne, bo niepokazujące nawet Kościoła w wielkiem jego posłannictwie, przy tworzeniu się państwa, ani w przeważnym wpływie przez ciąg średnich i jagiellońskich wieków, a zatem z wyraźnem usunięciem tego co stanowiło główną myśl i żywioł — z tem wszystkiem należy się podzięka młodemu pisarzowi za starannie uporządkowane i pięknie opowiedzianę poszukiwania w mało dotąd używanych źródłach do początków panowania Augusta II; lubo z drugiej strony, jak już nadmienilem, nienatrafiał on na właściwe znamię czasu, pojmując sprawy polityki jak je ówczesna pojmowała Rzeczypospolita: — często szlachetnie, zawsze namiętnie, rzadko bardzo ze znajomością rzeczy i z tym zimnym rozumem dyplomaty, bez którego wszelka walka, na polu not i memoryalów musiała być zawsze nierówną i kończącą się porażką jednej strony, choćby najsprawiedliwszej.

LUCYAN SIEMIENSKI.

NASTĘPSTWA

BLIŻSZE I DALSZE

What next? — and next?....

Cóż potem? — a potem?.....

Pytanie to rzucił jak wiadomo Cobden w chwili, gdy Rosya podpisała *ultimatum*, gdy w Wiedniu spisywano protokół zwołujący konferencyę do Paryża. Zawarcie pokoju przebijające w rzeczonych aktach, nieodpowiadało widokom stromnika pokoju wieczystego; przewidywane następstwa nieodpowiadały w umyśle jego dokonanym faktom, zamierzonym celom, a w nieufności zadawał on sobie pytanie: coź będzie dalej i dalej?...

Na pierwszą część pytania odpowiadały konferencyę traktatem z 30 marca, a więcej jeszcze mocarstwa sprzymierzone 2go grudnia, traktatem z 15go kwietnia.

Cóż potem? — pyta p. Cobden.

Oto wojna skończona. Wojska sprzymierzone opuszczają teorytoryum rosyjskie — wojska rosyjskie cofają się z posiadłości tureckich w Azji.

Oto pokój podpisany. Podpisany zaś nie tylko przez wojujące państwa, ale przez wszystkie wielkie mocarstwa Europejskie, i przez Austryę jako mocarstwo sprzymierzone z Zachodem a pośredniczące, i przez Prusy jako mocarstwo pierwszego rzędu, które dawniej w sprawach Wschodnich udział brało;— pokój podpisany na podstawach przez wszystkie mocarstwa uznanych za niezbędne do przywrócenia równowagi europejskiej.

Ależ koniec wojny i podpisanie pokoju to sam wypadek kongresu. To dzieło dopiero — to jeszcze nie skutki; to fakt— nie następstwa. Zgoła, *coż potem?*....

Idźmy więc dalej.

Otóż, sprawa Wschodnia wywołana sporem rosyjsko-tureckim chwilowo ukończona. Ukończona w tych rozmiarach, w jakich ją zaraz z początku opisano; to jest w granicach czterech punktów: organizacyi księstw Naddunajskich, wolności żeglugi na Dunaju, neutralizacyi Morza Czarnego, równouprawnienia rajasów.

Otóż, polityka Rosyi zagrażająca swą przewagą równowadze europejskiej ograniczona, od wschodu neutralizacyą Morza Czarnego i wolnością żeglugi na Dunaju, od północy traktatem zawartym między Francyą, Anglią i Szwecyą, potwierdzonym niejako w traktacie z 30 marca przez uwolnienie wysp Alandzkich od wszelkich fortyfikacyj rosyjskich.

Otóż, równowaga europejska przywrócona, oparta na nowej podstawie; w skutek czego Turcyja zasiadająca na kongresie paryzkim jako mocarstwo europejskie, przyjęta w skład systematu politycznego, a nieetykalność i niepodległość jej zaręczona przez prawo publiczne aktem traktatu z 30 marca.

Otóż nakoniec, wszystkie te trzy ważne wypadki, zaręczone osobnym traktatem, z 15 kwietnia; poddane jakoby akcyje siedmiu akcyonaryuszów, pod syndykat złożony z trzech wielkich mocarstw, sprzymierzeńców 2go

grudnia, zapewniający ostateczne wykonanie dzieła, jeżeli nie rozporządzający wyłącznie środkami do wykonania użytemi.

Ważne to są wprawdzie wypływy dzieła pokoju, ale nie są to jeszcze następstwa. Są to dopiero zasady orzeczone, zastrzeżone rękojmie — słowem same dopiero traktaty, ich istota, a nie następstwa onych. Oceniając nawet jak należy wszystkie te okoliczności, zawsze jeszcze zostaje pytanie: *Cóż potem?* —

Przejdźmy zatem do najbliższych następstw.

Wskazał je sam traktat z 30 marca.

Na pierwszym miejscu ukazują się komisye wyznaczone do zastosowania zasad orzeczonych w traktacie. W każdej z nich niesłychanie wiele trudności; każda z nich nosi w sobie niejako zaród nowego kongresu.

Komisye do oznaczenia granic azjatyckich między Rosyą a Turcyą, i do sprostowania (według brzmienia traktatu) granicy besarabskiej, mają do walczenia z trudnościami materyalnemi, jeograficznemi; prócz tego zachodziły spory co do nominacyi samych komisarzy. Przeszkody wymagają ciągłych odwoływań się do dworów po nowe instrukcye, odległość bardzo znaczna; — prace więc zaledwie rozpoczęte, a od ich ukończenia zawisło jak się zdaje otworenie innych komisyj.

Komisya wyznaczona w celu uorganizowania księstw Naddunajskich nierównie jeszcze trudniejsze mieć będzie zadanie. Główna trudność leży bezwątpienia w samym tekście traktatu, w zastosowaniu wyrażonej w nim zasady. Komisya winna pogodzić patronat całej Europy z prawami zwierzchniczemi Sultana; widoki polityczne mocarstw z życzeniami ludności tych prowincyj; zasady państwa ze swobodami narodowemi. Czy tego dokazać potrafi? Nadto jeszcze gótuja się inne walki w jej łonie. Na polu kwestyi połączenia Multan i Wołoszczyzny w jedną prowincyę, lub pozostawienia ich w tym po-

dziale w jakim są dzisiaj, różne przewagi polityczne do boju wystąpić zamyślają. Zdaje się nawet że kwestya niemiecka chce także stanąć w szrankach pod hasłem antagonizmu Austrii i Prus, skoro te ostatnie zażądały, aby im służyło prawo wysłania komisarzy do Bukaresztu. Komisya w stolicy Wołoskiej będzie więc równie liczna, a nierównie dłuższego potrzebująca czasu, i nierównie więcej mająca przeszkód do zgody, aniżeli konferencya w Paryżu.

Ustanowienie wolności żeglugi na Dunaju mniej bezwątpienia zatrudni wyznaczoną *ad hoc* komisję, lubo i tu znajdują się przeszkody, które już w Paryżu występowały podczas dyskusyi nad tym przedmiotem. I tutaj także kwestya niemiecka, a przynajmniej interes niemiecki będzie jednym z żywiołów wchodzących w skład sprawy; pośpiechu przeto spodziewać się także nie można.

Obok tych komisyj staje neutralizacya Morza Czarne-go, czyli wykonanie tej zasady, wprowadzenie jej w życie. Do tego następstwa traktatu z 30 marca, łączy się kwestya ewakuacyi; bo dopiero gdy takowa całkowicie nastąpi, będzie można myśleć o zaprowadzeniu konsulów obcych we wszystkich portach Morza Czarne-go, o ścisłem zamknięciu cieśnin dla statków wojennych, o przemianie arsenatów morskich na doki, i tym podobnie. O ostatecznym atoli terminie ewakuacyjnym niema jeszcze dotąd mowy; a obiegające pogłoski, lubo pogłoski tylko, zawsze są oznaką, że różne jeszcze w tej mierze mogą zajść przeszkody.

Nareszcie, i co najważniejsza a oraz najtrudniejsza: wprowadzenie w czyn reform tureckich. Jakkolwiek państwa europejskie w traktacie zapisały tylko wzmiankę o *hatti-humajonie* z całem uwzględnieniem praw zwierzchniczych Sułtana, to jednakowoż trudno przypuścić, aby samo ogłoszenie firmanu zadowolnić je miało. Pię-

kanie to, ale nie dosyć. To dopiero intencya, — ale nie czyn jeszcze. Turcya wchodząc w skład mocarstw europejskich, opuściła stanowisko wyłączne islamizmu; lubo zasiadała w kongresie z fezem na głowie, przyjmowała na siebie obowiązek obleczenia się w reformy cywilizacyi chrześcijańskiej. Turcya nie może być chrześcijańską w Paryżu, a muzułmańską u siebie; nie może być nawet cywilizowaną w Stambule a pozostać barbarzyńską w Azyi. Czy dokaże tego przeobrażenia? czy go dokona bez obcej pomocy? i co ztąd wyniknie? Na te pytania niema odpowiedzi. *Hattihumajon* w Azyi wywołuje zaburzenia i rzezie; Arabcy się buntują i wzbraniają pielgrzymom tureckim, *hadzi*, przystępu do Mekki. W samym Stambule i w prowincjach europejskich, *rajasy* nieukontentowani z poboru do wojska, chociaż cały ów pobór z trzech tysięcy ludzi złożony jest tylko podatkiem, dawnym *haraczem*, pogłównym w nowej formie. Turcya ani krokiem jeszcze nieposunęła się w reformach od ogłoszenia *hattihumajonu*; bo przejazdżki i musztry Sultana, przypuszczenia gjaurów do uroczystości Bajramu, to dopiero rozprężenie islamizmu, ale jeszcze nie równouprawnienie Chrześcian. A takowe ma być skutkiem ukończonej sprawy Wschodniej.

Wszystkie okoliczności wyżej dotknięte, są już bezsprzecznie następstwami. Przeszkody które je otaczają czynią z każdej z nich kwestyę i zaprawdę dość ciekawą i ważną, aby jej obrót i wypadek mógł zaspokoić opinię publiczną, która natychmiast po zawarciu pokoju powtarzała Cobdenowskie pytanie: *coż potem?*

Szakając następstw z pewną gotączkowością, nie chciała ich widzieć w rzeczonych kwestyach. Bądź że przeszkody w komisjach uważa za usunięte w obec przeważnej sankcyi traktatu z 15go kwietnia; bądź że jej się wydaje, jakoby z komisyj nie mogła już powstać żadna ważna komplikacya, a warunki traktatu

uważa już za fakta dokonane, to wszelako pewna, że wszystkie sprawy Wschodu dotyczące, małe bardzo przedstawiają dla niej zajęcie. Mniej jeszcze zajmuje opinię publiczną kwestya morza Czarnego i tutaj łatwiej się to pojmuje. Sprawa ta jest najdalej posuniętą, a wolność handlowa jaką w przyszłości rokuje, nie wiele powiększyć może tę, jakiej Europa na Wschodzie używała przed sporem rosyjsko-tureckim. Nie przygląda się również rozwinięciu ogromnej kwestyi *hattihumdjonu*, a równouprawnienie Chrześcian na Wschodzie nie wiele zdaje się ją obchodzić. Czy zrażona losem jakiego przez lat szesnaście doznawał w państwie Ottomańskim *hattiszeryf* z Gulhany, ów poprzednik *hattihumajonu* na drodze reform tureckich, odkłada wszelkie skutki z tego ostatniego do odległej bardzo przyszłości; czy też osądziła wprowadzenie go w życie za zupełnie niepodobiestwo i przewiduje pierwój kataklizm tego państwa, który na nowo sprawę Wschodnią wywoła; — to pewna, że uwaga jej w inną zwrócona stronę, że następstw z ukończonój co dopiero sprawy szuka gdzieindziej i upatruje, przerzucając się z jednego pola na drugie. Słowem, opinia publiczna w ostatnich czasach nosiła na sobie cechę pewnej obawy, pewnego oczekiwania jakby powtarzała drugą część pytania: *A potem?*...

Nie należy wszakże symptomatów tych w opinii, o których się każdy mógł dostatecznie przekonać, komu tylko ruch polityczny w ostatnich czasach nie był obcy, całkowicie przypisywać drażliwości wywołanej długo trwającą sprawą, lub niespodziewanem jej zakończeniem. Nie należy kłaść ich jedynie na karb owę ciekawości, co to niezaspokojona bliższemi następstwami, będącemi niejako pod ręką, sięga po dalsze ponętniejsze, bo ukryte. Przyczyna tych symptomatów, leży podobno głębiej — w naturze ludzi i rzeczy.

Człowiek przyzwyczajony jest do pewnych loicznych

następstw tak w świecie fizycznym jako i moralnym. Jeżeli ma przed sobą nagromadzone żywioły do burzy, jeżeli widzi horyzont tak ciężkimi i czarnymi pokryty obłoki że dnia prawie od nocy rozróżnić nie można, czuje prądy wichrów tak gwałtownych, że wiekowe drzewa naginają ku sobie; jeżeli słyszy huk grzmotów i piorunów wstrząsających w posadach najsilniejsze budowy, to wygląda koniecznie skutków odpowiednich podobnym wstrząśnieniom, i dziwi go nie pomалу, skoro takowych po ustąpieniu burzliwych fenomenów, niedopatrzy. Niedowierza czy burza przeminęła, a w końcu, zwłaszcza jeżeli słońce nie wystąpiło jeszcze w całej swjej promienistej jasności, jeżeli błękit niebios nie doszedł całkiem pogodnej barwy, jeżeli tu i owdzie pojawiają się chmury, a powietrze ciężkie i oddychać nie łatwo, obawia się czy burza nie wróci.

Toż samo zachowanie towarzyszy ludziom w obec wypadków moralnych, toż samo uczucie ogarnia społeczność w obec wypadków politycznych mających wielkie niekiedy do burzy podobieństwo. Chcieć widzieć następstwa jest właściwem naturze ludzkiej: w ich upatrzeniu lub odgadnięciu leży pewne zaspokojenie, tak jak w przeciwnym razie wyradza się pewna niespokojność lub oczekiwanie. Na takowy zawód często wystawiona jest ludzkość. Szuka zawsze chociaż nie zawsze znajduje; szuka pomimo ciągłego doświadczenia, pomimo świadomości, że ostatecznych przyczyn ani skutków dociec nie potrafi, bo one są ogniwami owego łańcucha, w który Opatrzność wiąże wypadki tego świata.

Poszukiwania te na polu politycznym są ogólniejsze i żywsze aniżeli na polu czysto moralnym, i nie bez powodu. Polityka w prostym znaczeniu tego wyrazu, jako dzieło ludzkie ma sferę ograniczoną, czasową, chwilową. Rozporządza ona mniej więcej żywiołami z których składają się wypadki do niej należące, wskazuje

sobie cele, układa środki, a mądrość w polityce zależy głównie na przewidywaniu następności. Nie potrzebuje z resztą odgadywać następstw ostatecznych, ale bliższe lub dalsze wystarczają na zwyczajny jej pochód. Tém większe téż zadziwienie w społeczności, skoro takowych nie spostrzeże; tém większe oczekiwanie i wreszcie obawa, jeżeli po skończeniu jakiego ważnego zdarzenia następstwa pozostaną w ukryciu, a lubo istnieją -to istnieć muszą, na jaw nie wystąpią.

Sprawa wschodnia była właśnie takim czynem w polityce, że opinię publiczną w ciągłej utrzymywała wątpliwości. Wykazaném już było dawniej na tém samym miejscu, że nie mogła ona sobie zdać sprawy dokładnie z powodów które wywołały wojnę; po zawarciu pokoju widzieć ją można w ciągłym poszukiwaniu następstw. Opinia publiczna znalazła się w położeniu owego człowieka o którym wyżej mowa, co szuka skutków po przeminieniu burzy, a porównanie to wybornie można tu zastosować. Sprawa Wschodnia nagromadziła tyle niebezpiecznych żywiołów, zaciemniła tak dalece widnokrąg polityczny, poruszyła tyle kwestyj, skojarzyła tak nieprzewidziane przymierza, zerwała tak mocno na pozor spojone, wywiodła w pole tyle środków zniszczenia, wstrząsała takimi potęgami, iż dziwić się nie można, że po jej ukończeniu upatrzeć chciało koniecznie następstw odpowiednich tym ogromnym rozmiarom. Warunki położone w traktacie a będące oraz najbliższymi następstwami, nie mogły zaspokoić opinii publicznej, nie dla tego aby ich za takowe uznawać nie miała, ale dla tego że niedopisywały jeszcze oczekiwaniom, które ta olbrzymia sprawa przez trzy lata trwająca i z takimi wysileniami prowadzona, obudziła. Rzucono się przeto z pewną zapamiętałością na pozostałą po niej spuściznę, i tam starano się dopatrzeć następstw, chociażby nawet po za właściwą jej sferą leżących.

W apisie inwentarza znaleziono wiadomy protokół z 8go kwietnia, a w nim trzy kwestye dotknięte: wolności prasy, ewakuacyi królestwa Greekiego, i spraw włoskich. Podjęła je z razu europejska prasa i to bardzo namiętnie; pod jej piórem przybrały one wielkie rozmiary, jak przystało na wyniki zgody zapadłej między wielkimi mocarstwami w olbrzymiej sprawie. Nie spostrzegła się ona z razu, że dwie pierwsze kwestye były tylko wstępem do trzeciej; że mówiono o Belgii i Grecyi dla tego tylko, aby nie mówić o samych Włoszech; że gdyby Cesarz Napoleon uznawał za stosowne powściągnąć wolność a raczej swawolę prasy belgijskiej, innych użyłby do tego sposobów, aniżeli skarżąc się na nią przez swego ministra w obec kongresu; że ewakuacya Grecyi zależała w owęj chwili całkiem od dobrej woli mocarstw zachodnich, i to tak dalece, że nawet o tém przez cały ciąg konferencyi mowy nie było. Przekonawszy się wkrótce atoli że zamiarem państw nie było wcale wymierzyć nowy zamach na wolność prasy, bo ta istnieje o tyle tylko w Europie o ile się zgadza z ideą państwa i niesprzeciwia jego interesom, a dziennikarstwo jest raczej narzędziem aniżeli siłą; powziąwszy oraz przekonanie, że kwestya o Grecyi jest całkiem podrzędna, opinia publiczna zwróciła się ku sprawom włoskim i całą na nie uwagę swą skupiła. Porzuciła Wschód dla półwyspu włoskiego, bo się jej zdawało, że tam ukażą się olbrzymie zjawiska owęj politycznej burzy przez trzy lata grożącej. Sprawę bardzo umiarkowaną przez ministra francuzkiego podniesioną, przybrała w narodowe barwy, żądając niemal po „państwach“ interwencyi w sprawie „narodowości“. Nie cofała się przed żadnym środkiem ku dopięciu owego domniemanego celu, który uważała za jakieś konieczne następstwo. Nie zatrzymywały jej żadne zmiany, ani oderwanie Legacyj od Rzymu, ani sekularyzacya rządów papieżkich, ani

nowa próbka formy konstytucyjnej w stolicy Piotra Śgo, ani nawet zmiana dynastji w Neapolu gdyby nie było innego sposobu do zaprowadzenia żywotnych reform w tém państwie.

Rozczarowanie wkrótce nastąpić musiało, i nastąpiło téż niebawem. Przygotował je był znakomitemi nader słowy minister pruski, a przynajmniej przygotować je był powinien, gdy zaraz na posiedzeniu 8go kwietnia powiedział: „że nie odmawia dyskusji w sprawach włoskich, ale że nie od rzeczy byłoby zapytać się, czy podobne rozprawy w tym przedmiocie nie wywołają nadziei, które całkiem różne skutki mieć mogą aniżeli te, jakich sobie życzy konferencya“. Wyrazy te wskazywały aż nadto dobitnie, że sprawa włoska wywołana przed kongres w Paryżu nie miała wcale wielkich rozmiarów, że takowe przybierała jedynie dla tych, którzy się na nią zapatrywali jakby przez szkło powiększające, przenosząc ją na stanowisko następstw domniemanych sprawy wschodniej. Wyrazy te dowodziły nadto, że sprawa włoska była na polu polityki państw i że formy dyplomatycznej nie porzuci; że skoro odda posługi jakich się po niej spodziewano, skoro część z niej zaczerpnie Francya jako dowód siły nie lękającej się tak drażliwej inicjatywy w obec Europy, drugą część znów Anglia, aby wzmocnić stanowisko pokojowe gabinetu w Parlamencie; trzecią częścią na koniec jeżeli zechcą zaspokoić wymagania Piemontu — mało co zostanie się z jej istoty i ważności na korzyść Włoch.

Jakoż zaledwie wielka owa na pozór sprawa przeszła przez dyskusye parlamentarne, a przekonano się że nie można w niej upatrywać żadnego bezpośredniego następstwa. Pokazało się, że odłączenie Legacyj od Stolicy Piotra Śgo było niemożliwe, raz dla tego że naruszało *statu quo*, którego naruszać nikt nie miał zamiaru, powtóre iż prowadziło do rozdrobnienia jeszcze więk-

go krajów włoskich, zatem do nowych niespokojności i zakłóceń. Pokazało się również, że sekularyzacya administracyi w państwach papieżkich była już doprowadzoną do tego stopnia, do jakiego tylko posunąć ją można w państwie gdzie panujący jest monarchą świeckim a zarazem głową Kościoła. Żadne z państw europejskich nie chciało przytém nadwierać bynajmniej praw zwierzchniczych, monarszych, ani Papieża, ani króla Neapolitańskiego, wmieszanem się gwałtownem w sprawy wewnętrzne ich państw; a ogłoszenie traktatu z 15go kwietnia okazało całą błahość rachuby na zbrojne interwencye bądź Francyi, bądź Anglii, odsyłając rzecz całą do przedstawień bardzo względnych w notach dyplomatycznych. Pozostawały już tylko memoryały hr. Cavoura, jako jedyny blichtr w całej téj sprawie, ale i ten zdjął hr. Clarendon ostatnią swą odpowiedzią, gdzie całą kwestyą ograniczył na prostych usiłowaniach mocarstw, aby prowincye papieżkie i stolica z czasem ewakuowane być mogły. Malą więc co dni kilka sprawa włoska, i nakoniec w przeciągu kilku tygodni zesłała z ogromnych rozmiarów do tak maluczkich, iż dziś wydaje się jakby kto na nią odwróconą stroną teleskopu spoglądał.

Cały ten obrót sprawy włoskiej był tylko jednym dowodem więcej, że komu niewystarczają następstwa wprost i bezpośrednio z traktatu 30 marca płynące o których wyżej, kto szuka innych, dalszych, w takich rozmiarach, aby do nich kompas sprawy wschodniej się nadał, ten nie może chcieć upatrywać ich w faktach. Fakta uważane jako następstwa, nie mogły być wielkimi, nie mogły odpowiadać ogromnemu zakresowi sprawy która się toczyła, skoro naprzód zapowiedzianem było, że *statu quo* zachowanym zostanie, że nie ulegnie żadnej zmianie materyalnej. To zapowiedzenie, tylokrotnem oświadczeniem poparte, i z taką usilnością utrzymane,

było: oczywiście skazówką, że spór i wojnę prowadzone nie o fakta ale o dążności. W dążnościach też, w dalszym kierunku polityki, leżą istotne następstwa sprawy ukończonej traktatem 30go marca. Im wybitniej występują te dążności czyli rzeczywiste następstwa, tém bardziej maleją pozorne czyli fakta. W obec ogłoszenia traktatu z 15go kwietnia zniknęła prawie kwestya włoska!

Nie łatwo bezwątpienia oznaczyć tych dążności czyli kierunku; biorąc atoli za przewodnika zasady na jakich odbywały się konferencye i podstawy na jakich oparto traktaty, domyślać się wolno, że rozwinięcie systemu politycznego w Europie na idei państwa, jest głównem następstwem wypadków któreśmy mieli przed oczami. Rozwinięcie to w dwóch zdaje się postępować kierunkach: w jednym politycznym przez zaprowadzenie systemu równowagi zależącej nie tyle już na równowazeniu siły mocarstw, jako raczej na wspólności zasad politycznych i społecznych; w drugim kierunku, materialnym, na potęgowaniu coraz większym interesów, obok związania ich ścisłą solidarnością między wszystkimi państwami europejskimi. Systemat rządów w Europie dąży do jedności zasad politycznych i do wspólności interesów, czyli do kosmopolityzmu politycznego.

Nie ma tu zamiaru przesądzać przyszłości, ale z tego stanowiska zapatrując się na następstwa ostatnich wypadków, znaleźć można nie jeden fakt dość ważny i dość odpowiedni wielkości sprawy wschodniej.

I tak co do pierwszego zwyż wspomnianego kierunku, przeważnym nader jest fakt przyjęcia Turcyi do składu państw europejskich. Turcyja jako taka, winna przyjąć te same polityczne zasady co inne państwa; żądane po niej reformy wewnętrzne w ścisłym też zostają stosunku z ideą państwa, a islamizm o tyle ustąpić będzie musiał, o ile się jęj sprzeciwia. W tej idei leży miara i

ustąpien ze strony Turcyi i wymagań ze strony państw. Porta potrzebna do równowagi, nie może w niej pozostać anomalią co do zasad.

Anomalię, lubo nie tak wielką ale zawsze anomalię, znosi także traktat 15 kwietnia, zmuszając po części Francję a zwłaszcza Anglię do opuszczenia dotychczasowej swój polityki narodowej. Anglia przyjmując następstwo tego przymierza przechodzi na politykę państw. Nota hr. Clarendona w odpowiedzi na notę hr. Cavoura, o której była już wzmianka, jest tego oczywistym dowodem. Większym jeszcze nierównie dowodem jest spór amerykański, który postawił Anglią w alternatywie między poświęceniem interesu lub ustąpieniem z godności. Dawniej utrzymanie godności dawało Anglii zarazem siłę w obronie interesów, dziś ustąpić trzeba z godności aby interesa ocalić.

Nadto jeżeli przymierze z 15 kwietnia wykryło pewną słabą stronę Anglii, tak znowu niweczając wszelkie nadzieje skojarzenia się napowrót świętego przymierza, dowiodło całej mocy, jaką wspólność zasad politycznych w systemacie równowagi posiada. O tej mocy wnosić można z wrażenia, jakie wywarł traktat z 15 kwietnia szczególnie na Niemcy, z podróży cesarza Aleksandra do Berlina, do której wiążą projekta przymierza między Rosją a Prusami; z nagłego obrotu sprawy Włoskiej, a wreszcie i z owęj obojętności opinii publicznej na wykonanie traktatu z 30 marca.

Siła ta pochodzi ztąd głównie, że wspólność owa zasad wiąże się bardzo ściśle z solidarnością interesów. Interesa zaś materyalne zwiększają się w niesłychanej progresyi. Idea państwa znosząc przewagi w korporacjach, musiała skupiać w inny sposób indywidualne usiłowania, w sposób odpowiedni swęj istocie i tak, aby całym ruchem pokierować mogła. Stowarzyszeń jakie ztąd wyniknęły, użyła do spotęgowania interesów, a

gdy te w granicach państw zamknąć się nie dały, nastąpił ruch ogólny handlu, przemysłu, przedsięwzięć w całej Europie, który i Rosyę wkrótce zapewne ogarnie, i który przyspieszył ów fakt solidarności, rozstrzygający dziś nie jedną polityczną kwestyę. Interesa materialne państw są tak z sobą połączone, że coraz większemu staje się niepodobieństwem, aby które z nich w jakowej bądź kwestyi osobno i na własną działać mogło rękę.

Zapewne nie stało się to odrazu, ani sprawa Wschodnia nie była przyczyną tych nowych dążeń. Przyczyniła się ona jednakowoż do wykrycia tego stanu rzeczy, samą trudnością z jaką podjęto wojnę, z samem wahaniem z jakim ją prowadzono i pośpiechem z jakim ją ukończono. Przyczyniła się głównie do uznania nowego systematu politycznego przymierzami jakie skłarzyła i owym brakiem następstw w faktach a wydawnością w dążnościach. W zgłębianiu ich podobno znajdują tylko odpowiedź ci, którzy wraz p. Cobdenem pytają: *cóż potem? — a potem?*

Nie idzie jednak jeszcze za tem, aby p. Cobden miał być zadowolniony, aby traktat z 30 marca miał zaręczyć światu pokój wieczysty. Wszakże wątpić nie można że dążności, czyli następstwa rzeczzonego traktatu, mają na celu utrudnienie wojny. Zmiany w prawie publicznem, zwłaszcza co do prawa morskiego są wszystkie w tym kierunku. Zniesienie prawa uzbrajania korsarzy, i zabezpieczenie prawa własności państwom neutralnym nawet pod nieprzyjacielskim pawilonem, wszystko to odnosi się do rozwijania coraz swobodniej interesów materialnych, do zasady ich solidarności. Gdyby zasady te przyjęła była Ameryka, nie mogłaby dziś wystawiać się na wojnę z Anglią; gdyby nie obawa że wojna z ogłoszenia wolności wszystkich ciałnin wyniknąć

może, kwestya Sundu byłaby już może od dawna rozstrzygniętą....

Ale zapuszczać się zbyt daleko w takie domysły nie wypada. *What next? — and next?* nie napisał zapewne p. Cobden dla jednego pokolenia.

MAURICY MANN.

KRONIKA.

Kraków w czerwcu.

Na jałowej pustyni kroniki czerwcowej jedna tylko zieleni się tu oaza: — wystawa bydła. Cała też czereda zgłodniałych dziennikarzy, sprawozdawców i korespondentów rzuca się na nią, nie przepuszczając nie tylko poważnemu i roslemu potomkowi flegmatycznej rodziny holendra, ale i niewinnemu cielęciu w którego niewykształconych formach upatrują znawcy niezatarty typ cudzoziemski mlekodajnych prababek.

Koń niespokojny w nowej tymczasowej stajni pod płóciennym namiotem rzy i strzyże uszami, nawet ciężki pociągowiec parska niecierpliwie, bydle zaś rogate obojętném spogląda okiem na wielbicieli swoich przezuwając ostatni swój obiad.

Rozstawione na trawniku maszyny i narzędzia rolnicze dziwnego kształtu i zagadkowego przeznaczenia nęcą oko widza. Szlachcic ze wsi ledwie spojrzy na dziesiąte, ale czasem zatrzyma się przy bardzo prostym i nieznaczającym na pozór sprzęcie, przyłoży doń rękę, poruszy, i już wie co wart dla niego. Natomiast mieszczanin czystej krwi, który nakręcając codziennie swój zegarek, a niekiedy regulując go według zbuntowanych przeciw systemowi słonecznemu zegarów krakowskich, mniema,

że zna prawa mechaniki na palcach, gardzi ładajakiem piugiem lub broną, a bierze się zaraz do wielkich i skomplikowanych machin, bada je i próbuje, rzucając zdumionemu fabrykantowi w oczy kilka słów naukowych o ruchu rotacyjnym, sile odśrodkowej lub coś podobnego.

Posiada on również i znajomość gospodarstwa wiejskiego, bo assystując jako delegowany obywatel owego rek i piątek przy spisywaniu cen zboża na Kleparzu, miał wielokrotną sposobność przekonania się o widocznej różnicy, jaka zachodzi między owsem a pszenką. Nie obca mu orka i włóczenie, bo pijając wody gorzkiej co rano, przyglądał się tej robocie przy rogatce mógłskiej. Zna się również i na bydle, bo zawsze kucharek swojej powtarza, ile to ważyła owa olbrzymia polędwica, z której jak czytał w gazetach, jednego i tegoż samego dnia o jednej i tej samej godzinie król Ludwik Filip w Paryżu i królowa Wiktoria w Londynie na uświęcenie *entente cordiale* jedli bifsztyk, on z truflami, a ona z ostrym sosem angielskim. Mieszczanin nasz najlepiej sądzić może o wartości doju i obejdzie się nawet bez mlekomierza; wie on bowiem ile czerpaków śmietanki wytrzyma jego fiżzanka kawy, żeby nabrała tej pięknej barwy, jaką napróżno malarze znaków kawiarnianych nadać chcą malowanej szklance kawy. Tęsknym okiem spogląda na rozrosłe buchając, marząc o owych błogich czasach, kiedy to funt mięsa w Krakowie kosztował 6 gr pol., a i tak każdy rzeźnik miał własną swoją kamienicę. Jako wyznawca jednak nowej szkoły ekonomicznej pociesza się tem, że wysokość ceny jest dowodem powiększenia się konsumpcyi. Niezmiernie wiele liczy na nowy wynalazek lakierowania mięsa, spodziewając się, że dostawa jego w tym stanie z Buenos Ayres zastąpi brak bydła rzeźnego w kraju. Nowe wynalazki są w ogóle dla niego niewyczerpanem źródłem, z którego wszystkie teraźniejsze i przyszłe potrzeby zaspakaja. Wierzy w postęp ludzkości, w parę, gazy i banki kredytowe, i na nie zwała cały ciężar pracy przyszłych pokoleń. Gniewa go tylko że jeszcze w dzisiejszych czasach musi się kłopotać o zaspokojenie codziennych potrzeb, że pomimo pary musi na własnych jeszcze chodzić nogach i własnymi pracować rękami;

mimo gazu, musi kupować drzewo i węgle na opał ślęczyć przy lampie nocnej; że mimo banków kredytowych, podpis jego nie ma żadnej wartości na giełdzie, a żyd lichwiarz bez zastawu i wielkiego procentu na krótki termin kredytować mu nie chce. Z lekceważeniem przeto mówi o obecnym wieku, lituje się nad ubóstwem wystawy, z pogardą spogląda na plugi, których para nie porusza, a zaledwie rzuci okiem na większe maszyny.

Mimo tego jednak nieprzepuści żadnej korbie ani kieratowi żehy ich nie obrócić, bo się ma za człowieka o sile dziesięciu koni. To też pod ręką jego wszystkie maszyny idą wybornie, cepy młocarni tłuką na sucho po drewnianem boisku narządu, że aż w uszach huczy, noże w sieczkarni świszczą obracając się luzem, a wieńnik zbożowy dmucha jak miech w organie. Każda maszyna, każde narzędzie znane mu doskonale, nazw ich wyuczył się, czytując pilnie inserata *Czasu*, a kiedy dopatrzył na każdym sprzęcie wystawy kartkę z napisem, zdawało mu się, że mu ten komitet wystawy ubliża.

Jedna wszakże maszyna zwróciła uwagę jego szczególnie, a właściwe jej przeznaczenie pozostało nierozwiązaną dla niego zagadką. Oglądał ją na wszystkie strony, ani raz dojść do czego by była. Wszystkie obroty korby w prawo i w lewo znosiła w milczeniu kręcąc się około swojej osi. Ta maszyna wyraźnie popsula mu humor, podkopala reputację jego jako biegłego przewodnika dam, które oprowadzał. Żółta na niej blaszka jak na puszcze sardynek niczego nie nauczała, prócz że fabrykant zwie się tak i tak i jest *brevet*.

— Ale cóż to znaczy że patentowany? Powiedzcie mi moje panie, co dziś na świecie nie jest patentowanym, poczynawszy od słoika pomady aż do tej wielkiej lokomotywy, od koleczka którym przymocowana podeszew obuwia do śruby poruszającej okręt? Zapewniam że ten narząd na nic się nie zda. A potem proszę mi powiedzieć co w nim za konstrukcja? cylinder blaszany dziurkowany, lejek u góry, lejek u dołu i zaraz *brevet d'intention*!

— Ale do czegoż ta maszyna?

— Alboż to maszyna? piękna mi maszyna bez kół, bez łożków, bez....

W tem przypadku pewien dobrze poinformowany, opowiadając, że ten a ten znany i zamożny obywatel sprowadził z ostatniej wystawy paryzkiej wiejnik do czyszczenia zboża i pralnię do bielizny nowego wynalazku całkiem odmienną od pralni Moora, i że przy sposobności wystawy krakowskiej kazał jedną z tych machin rozpakować w Krakowie.

— Ale którą? zapytano.

Nasz przewodnik wyraźnie zagniewany, udał że nie słyszy.

— Tego niewiem z pewnością — rzekł informator — lecz mogę zaręczyć, że jedno z tego dwojga: albo pralnię albo młynek do wiania; zawsze ona coś czyści, tylko nie wiem co, czy zboże czy bieliznę.

Nasz przewodnik zaczął się uśmiechać, jak gdyby wiedział dobrze o co rzecz idzie, lecz chciał się ubawić kosztem obecnych. W samej rzeczy dwie te wersje o przeznaczeniu maszyny paryzkiej znalazły każda swoich zwolenników. Jedna partya utrzymywała że w cylinder dziurkowany wkłada się bielizna do prania przeznaczona, a lejem w górze umieszczonym wpuszcza się woda gorąca, która przecisnąwszy się przez szpary mydłem potarte wychodzi przeciwnym otworem jako mydliny. Strona przeciwna dowodziła znów, że lejem tym sypie się zboże, które po odsianiu plew i pośladu szparami, wychodzi spodnim otworem jako czyste ziarno.

Obie strony zacięty spór wiodły ale się nawzajem przekonać nie mogły, i o mało że nie przystąpiono do próby, tylko że niebyło ani wody gorącej pod ręką ani zboża świeżo omlóconego, bo zresztą o materiał surowy do próby prania niebyłoby zapewne tak trudno.

W każdym zebraniu znajdują się ludzie zgodę nad wszystko miłujący. Jeden z takich zwiastunów pokoju chcąc zwaśnione strony przywieść do zgody utrzymywał z wielkim śmiechem publiki, iż maszyna o której mowa, obie te czynności zarówno odbywa, gdyż dowcipny francuz połączył w niej i pralnię i młynek do wiania. Przewodnik nasz odprowadzając damy zaręczał, że z tej maszyny ani bielizna ani zboże czystoby wyjść niemogły.

Chcąc zatrzeć wszakże zwątpienie w swoją wszechstronność, rozprawiał bardzo rozlegle o przyszłym prze-

znaczeniu ludzkości, która tylko cewkę jedną w ruch pnie, a cały organizm jej pójdzie swoim trybem jakby machina parą poruszana.

— Patrzcie panie! oto machina do robienia zrazów i kotletów, tu się wkłada mięso, stopień ten żelazny naciśnię się nogą, i wychodzi kotlet albo zraz *nb.* nie zawijany, na tej blasze która go podaje jakby na talerzu. Można by połączyć z tą machiną narząd kuchenny Elsgera z Berlina, który za kilka fenigów gotuje obiad gazem, a wtedy kotlet już usmażony pada machina.

— Pan się myli — rzekł z uśmiechem jakiś obecny jegomość — do tej maszyny ta kartka należy, lecz ją ktoś przez żart odmienił. Przewodnik spojrział na kartkę właściwą, na której stał napis: „Machina do dachówek,“ i śmiejąc się zawołał do dam towarzyszących:

— Widzicie panie jak edukacya kobieca jest niedostateczną w dzisiejszych wiekach oświaty i wynalazku. Mechanika kuchenna zupełnie wam obca, niewiecie nawet że ręka która kotlety sieka jest jednym z trzech rodzajów drażka i dla tego tak łatwo dajecie się zwodzić mężczyznom jak mnie naprzykład w tej chwili.

— Czy pan sądzisz że aby zwieść znów mężczyznę potrzeba znać mechanikę? — zapytała młoda męzatka.

Zapytanie to wiele dało do myślenia naszemu przewodnikowi, a obecny jegomość który pokazał że to co miało być kotлетem jest w samej rzeczy dachówką, użył tej wolności mówienia, żeby się przyczepić do towarzysstwa.

Żar słoneczny doskwierał na wystawie i żalować tylko należało, że p. Bernreiter uczeń Stuwera, który przejął od niego sztukę ściągania chmur swojemi ogniami, niepomyślał o zabawieniu gości wystawy. Ale zajęty wyłącznie swoim „rajskim ogrodem“ wszystkie rajskie rozkosze chciał do niego tylko ściągnąć z widoczną szkodą ogrodu Strzeleckiego, który główne dawniej stanowił miejsce wytchnienia. Dziś publiczność ogrodu Strzeleckiego rozbiegła się na wszystkie strony, uporczywi tylko miłośnicy dawnego, niedają się odstraszyć wiecznymi tumanami kurzawy, nawykłazy od młodych kroki swe kierować w tę stronę.

Po zamknięciu wystawy wszystko co ma wieść lub co się czuje albo też mienić być chorem, wyjeżdża z Kra-

kowa to na wieść, to do kąpiel. Kronikarz tylko krakowski skazany jest przesiedzieć lipiec, żeby z atomów życia tutejszego złożyć jako tako parę stronnicę tój książki. Będzie to wprowadzie homeopatyczna Kronika, jak atomy które w skład jęj wchodzą, lecz niechcąc się uciekać do heroicznych środków skandalu, trudno zaparawdę z mdłych objawów życia tutejszego zebrać materiały choćby na ziarnko gorczyczne.

Lwów w czerwca.

Zaczynam od pogody. Mamy tu porę stale pogodną, a lubo czasem w nocy deszcz pókropi, to dniem jednak upał wzmagą się chwilami silnie i zmusza szukać ochłody i pogadańek w zaciemnionych pokojach. W odwecie za ten kilkugodzinny areoszt, spieszymy około godziny szóstęj tłumnie na górę Franciszka Józeffa, niegdys Wysoki Zamek. Piękne to i wielostronne panorama na tęj górze! mało miast, co się może pochlubić przechadzką wzniesioną tak wysoko nad atmosferę miasta i z tyłu widokami różnemi. Góra Franciszka Józeffa jest dla nas neapolitańskiem *Corso*, wiedeńskim *Praterem*, paryskim *Bois de Boulogne* i co chcieć. Zresztą, aby uludę wzmocnić, towarzystwo nasze muzyczne wyprowadzić tam zamysła wieczory muzykalne, i właśnie powracam z takiego koncertu. — Jak wypadł? pytanie bardzo względne — i dla tego względnie odpowiadam: dobrze! Trudne początki wszędzie, a szczególnie w sztuce, wszakże usilnym staraniom i dobrym chęciom zawsze hołd składamy. Pogodne te wieczory i przechadzki na naszęj ulubionęj górze, pozbawiają teatr widzów, od dawna już dość rzadkich, i trzeba istotnie nadzwyczajnej siły organizmu jęgo, kiedy dotąd nie uległ suchotom. Aby zapobiedz tęj katastrofie dyrekcyja wynalazła receptę zawierającą według niej specyficzne środki na sprowadzenie publiczności do teatru. Jest to, jak sama ogłasza, zamiar przedstawienia utworów dramatycznych polskich „przedpółwiekowych“, których szereg rozpoczął się już „*Dziewicą słońca*.“ Wkrótce zapewne nastąpi „*Syrena z Dniestru*“, „*Różko Cymbałek*“ itp. Wi-

dziecie więc, że nietylko *uczony* Berlin smakuje w za-
bytkach dawniej sztuki, w *Antygonie* i w *Królu Edypie*,
lecz i Lwów podobnie, a ponieważ stolica nasza nie
szczyli się tak chlubnym przydomkiem, jak Ateny nad
Sprewą, więc dyrekcyja teatru układa następujący sto-
sunek: tak się ma Berlin do *Antygony*, jak Lwów do
Syreny z Dniestru. Rozwiązanie uzasadnione tego zada-
nia wraz z korzyściami ztąd wynikłemi, zostawiamy kas-
syerowi teatralnemu.

Jakieś nieprzyjazne fatum zawisło w tych czasach nad
sceną polską, a utwierdza nas w tém mniemaniu wy-
cieczka p. Pfeiffra do Wiednia z gromem artystów kra-
kowskich. Czytając dzienniki wiedeńskie i sprawozda-
nia z przedstawień polskich w nich umieszczone, wie-
rzymy mocno w gościnność i przychyłność Wiedeńczy-
ków dla sceny naszej; wierzymy mocno w głębokie
znawstwo sztuki ze strony tamecznej publiczności i spra-
wozdawców; lecz sprawozdanie wygląda nam coś wię-
cej na gościnny przysmaczek, niżeli na zasłużony kęs
chleba. Rozumimy, że artystów naszych wybierających
się do Wiednia z przedstawieniami polskimi, nie wio-
dła jakaś *auri sacra fames*; że występować w stolicy
Cesarstwa, (zdarzenie pierwsze w dziejach teatru polskie-
go), przed publicznością, która widziała Anschützów,
Wilhelmi, Löwe, Rettich, i dziś jeszcze tyle znakomito-
ści widzi, jest niejako pokazać jak dalece postąpiła u
nas sztuka, jak ją pojmujemy; słowem, że się wybrano
nietylko na reprezentantów swego talentu lecz oraz i
sztuki swojskiej. Takie jest z góry przypuszczenie o
każdym artyście, co na obcych deskach w swoim po-
pisuje się języku. Oddajemy cześć należną każdemu za-
sługom, ale nie możemy przy najlepszym nawet powo-
dzeniu i łasce publiczności wiedeńskiej pochwalić po-
mysłu p. Pfeiffra, aby się wybrać do stolicy, niemając
w gronie imion scenicznych pierwszego rzędu. *Quand
on parait en public, il faut s'endimancher*. Artysta nie-
tylko do siebie należy, lecz i do kraju. I nie można
nam brać za złe, że mamy jak każdy naród swoje
narodowe pretensye do cywilizacyi. Zresztą cieszy-
my się wielce, że pochwalne oklaski spotykały na-
szych rodaków; ale umiemy rozróżnić grzeczność pu-
bliczności światłej do stanowiska tej reprezentacyi do

sztuki u nas i do naszych o sztuce wyobrażeń. I w tém, zdaje nam się, pomysł p. Pfeiffra był jednostronnym.

Z literackiej dziedziny, miłą niosę wam wiadomość. Hrabia Wiktor Baworowski powrócił z Warszawy z nabytkami ważnemi z księgozbioru Stronczyńskiego, które do biblioteki swojej wciela. Dotąd Lwów nie miał źródeł dawniejszych do dziejów Polski, nad sięgające wieku pietnastego. Sam nawet Zakład imienia Ossolińskich nie może poszczycić się dawniejszemi. Kto w nie zajrzeć potrzebował, musiał zwiedzić Kraków, Warszawę, Wrocław, Petersburg, i gdzie takowe można było widzieć. Hrabia Wiktor Baworowski posiada teraz w bibliotece swojej we Lwowie źródła do dziejów narodowych z wieku dwunastego, i otwiera uczonym sposobność zasięgnąć rady tychże, ilekroć do prac swych tego wymagać będą. Pomijam ważność, jakiej nabiera teraz biblioteka hr. Baworowskiego pod względem tak ostatnich, jak i dawniejszych nabytków, które zapewne później w szczegółowym opisie do wiadomości publicznej podane będą. Przesyłam pobieżną tylko wzmiankę ogólnie cechującą te nabytki, w interesie tych, co by się chcieli w pracach zasilać pod względem grafiki, źródeł historycznych, heraldycznych, prawniczych, monografij dziejowych, wiadomości numizmatycznych lub autografów. Są n. p. rękopisy obce z wieku 12go: *De sanctitate meritorum b. Caroli Magni* pergamin pisany za Fryderyka Rudobrodęgo. *Vita S. Gregorii Papae. Albohali de nativitatibus* perg. rok 1193. Z wieku 13go: *Biblia sacra* rękopism treści religijno-ascetycznej. — *Tabula decretorum*. Z wieku 14go rękopisy: *Biblia sacra* 1389. *Der Koyser und der Kunig Cronik*, kronika austriacka. Rękopisy z 15go wieku *Origenesa homilie*, wiele innych treści religijnej, książki do nabożeństwa, pisane i rysowane z całą ozdobnością ówczesnej sztuki graficznej. Z rękopisów dotyczących dziejów Polski są: *Kronika Kadłubka*, (pismo wieku 15go), druga z roku 1450. *Rocznik benedyktyński*, doprowadzony do roku 1410 (pismo wieku 15go), kilka kronik Długosza lub streszczonych lub w całym tekście, (pismo wieku 15 i 16). *Kronika Bielskiego Joachima* obejmująca Bezkrólowie po śmierci króla Stefana i dalej do r. 1598. *Annales civitatis Lovicensis, Annales monasterii Sti Crucis*

in Calvo-Monte, 1707 (rękopis niedrukowany, po zagięciu oryginału jedyny). Wiele źródeł historycznych jak n. p. *Liber privilegiorum Civitatis Poznaniae* od 1252 do 1388, parg. *Oryginalny spis przywilejów metryki koronnej* z roku 1682. — *Tomiciana* jeden tom pismo w 16ca. *Volumen negociacyi między dworem królewsko-polskim a królewsko-francuskim* od r. 1527 do 1629, pisany. — *Akta różne kancellaryi królewskiej* od r. 1555 do wstąpienia na tron króla Stefana. *Rękopis* obejmujący różne szczegóły życia Orzechowskiego. Z rękopisów heraldycznych: *Herbarz rodzin pruskich Konopackiego*. — *Jabłkiewicz* dzieło genealogiczne; z rękopisów prawnych: *Statut Wiślicki*: rękopis łaciński z r. 1472, i tenże z r. 1450 z uwagami J. J. Bandtkiego. *Fragmenta statutorum Vislicensium* (pismo w. 15). *Statuta regis Casimiri Petricoviensia*, (pismo w. 15). *Statuta Nieszawskie* (pismo w. 15) i wiele innych nader ważnych rękopisów, które pomijam, niechcąc zbyt przydłużać korespondencyi w nadziei, że wkrótce pojawi się dokładny opis dla wiadomości publicznej. Dodam jeszcze to, że biblioteka hr. Baworowskiego (połączywszy dawniejsze nabytki od p. Ambrożego Grabowskiego) przeszło pięćset rękopisów posiada.

Innem znowu niemniej miłym dla Lwowa jak korzystnym dla kraju zdarzeniem, jest zakład na wielkie rozmiary ogrodu botanicznego i szkoły ogrodników. Podniesiona suma znaczna jako indemnizacya z dóbr niegdyś Głowińskiego, stanowiących dziś fundacyę stypendyów tegoż imienia, obróconą została na zakupienie domu i ogrodu Czerwińskich, przyległego tutejszemu ogrodowi botanicznemu.

Połączone oba ogrody stanowić będą odtąd ogród botaniczny, przy gmachu wszechniicy tutejszej, a renta roczna około 800 złr. m. k. z domu wspomnianego, będzie służyć do funduszu stypendyów. Mamy więc nadzieję, że ogród nasz botaniczny, przy coroczném wsparciu pieniężnem ze strony Rządu, wzrośnie z czasem do znakomitości niezwykłej, którą dziś już wielkością swoją zapowiada. Winni będziemy przysłać tę ozdobę miasta jakoteż korzyści założenia szkoły ogrodników Jego Ekszelleneyi Namieśnikowi, którego myśl przeniknęła jedną z naglących potrzeb, tak w zakresie umiejętności

przy wszechmocy tutejszej, jak w pożytkach kraju, czującego brak dotychczas wykształconych ogrodników.

Świat elegancki wyniósł się na wieś, do wód lub za granicę. Lwów zajmuje się dziś prozą życia — jarmarkiem, jeszcze w przeszłym wieku dozwolonym, a w tym roku po raz pierwszy w życiu wstępującym, — i nadzieją zysków na przedsiębiorstwie mającej się budować kolei żelaznej. I jarmark i kolejowe przedsiębiorstwa mają tu swoich zwolenników i przeciwników. Co do pierwszego, łatwo pojąć kto przeciwnikiem; co do drugiego wyznają, że przeciwników i ich argumentu dotąd nie pojąłem. Ależ bo i trudno poznać się na czém — mówią oni — chcą sprzedać nam kota w worku; zażdrość lub brak odpowiednich zasobów pieniężnych, lub jakaś dzika nieufność, zakrywa się parawanem „niebezpiecznego, niepewnego przedsiębiorstwa, ile zrozumianego interesu krajowego“ lub Bóg wie, jakie tam inne powody, o których tyle chyba powiedzieć, ile Krasicki o Ryczywole.

Wiedeń w czerwcu.

Jeszcze przyjemności stolicy zatrzymują na przepalonym bruku znaczną część wyższego tutejszego towarzystwa, lecz upały od dni kilkunastu są tak nieznosne, że z każdym dniem wzrasta się liczba uciekających na wieś lub do wód. Na wieczorze muzycznym w *Volks-garten* widzieć wszakże było można kilka dam z arystokracji i z dworu, kilku dyplomatów i mnóstwo innych salonowych osób. Oprócz muzyki wojskowej, grała orkiestra Straussa. Pomimo przesłiznionej, pełnym księżycem oświetlonej nocy, gorąco w zakreślonym dla krzesel i stolików kole było duszącem, lecz światło gazuwa dodawało twarzom i toaletom pewnego uroku, którzy przechadzających się i siedzących w nieustannem trymał zachwyceniu. Ze wejście kosztowało tylko 24 kr. i odbierający bilety nie miał prawa do żadnej innej kontroli, widzieć przeto było można i twarze i ubiory, któreby śmiało walczyć mogły o prawo obywatelstwa w *Mabile* lub *Chateau-rouge*. I niestety tak tu jak w Pa-

rytu eleganckie motyle przy tych najwięcej kręciły się światełkach, co wszakże nie przeszkadzało bynajmniej wielkim damom rozmyślać z uśmiechem nad próżnościami tego świata, dyplomatom mówić o polityce, oficerom sprawdzać w zastosowaniu niektóre prawidła taktyki wojennej, i naszym *Gründerom*, (bo tak ich tu zowią,) przewidywać różne koleje losu, przez jakie przejść może przyszła kolęj galicyjska. Nie małą uwagę zwracali na siebie oficerowie angielscy wracający z Kryma, w mundurach prawie zupełnie kozackich. Jeden z nich oświadczył mi wychodząc, że mu się ta cała nocna *exposition* bardzo podoba.

Przed niewieleu dniami mieliśmy drugą podobną wystawę w ogrodzie Dommayera w Hitzing. Któż nie zna tego restauratora wiejskiego, który kuchnią, patriotyzmem i filantropią zakasował wszystkich oberżystów stolicy? Daje jeść lepiej i taniej niż oni, podpisuje na wszystkie składki, karmi darmo ubogich i wychowuje sieroty, jest jedném słowem prawdziwym restauratorem ludzkości. Publiczność tutejsza go lubi i przy każdej sposobności daje mu tego niezaprzeczone dowody. Jednym z nich była uroczystość, o której chcę mówić. Samo nazwisko *Rosen-Fest* wywieszone od dni kilku na afiszach, podniecało ciekawość i zapowiadało liczne zebranie. Gdzie kwiaty tam i kobiety et *vice versa*. A gdzie jedno i drugie, tam i z kuchnią i piwnicą dobry rachunek. P. Dommayer zna swą publiczność i umie się jej podobać. Przy wejściu do ogrodu zastawionego nakrytymi stołami, stały dwa ogromne kosze z różami. Każda dama odbierała w podarunku malenki bukietek, za który grzeczny mąż, ojciec lub przyjaciel płacił tylko 30 krajcarów. Zapłaciłem i ja tę niewinną daninę, podając rękę jednej z pięciu córek, z którymi wchodził bogaty ale trochę skąpy bankier mój znajomy. Co go kosztował cały wieczór nie wiem, gdyż z współki dalszej należeć nie mogłem, byłem bowiem zaproszony na obiad, który dawał swym rodakom i przyjaciółom, gościnnie i uprzejmy hr. Kr.... Znajdowali się na nim i *Gründorowie*. Szumiał szampan na cześć pierwszego galicyjskiego przedsięwzięcia w zakresie dróg żelaznych, i to tem weselej, że amfityryon nie ma w niem żadnego wyłączonego udziału. Obiad był dobry, rozmowa wesoła i

żywa. Hr. Kr... był duszą obu. O godzinie 7ej rozpoczęła się muzyka wojskowa i cywilna, pierwsza pod przewodnictwem p. Fahrbacha, druga p. Gunkla. Artysta ten ma w Berlinie znakomite imię. Tutejsza publiczność znajduje go trochę zimnym i przenosi Straussa. Lecz brzęk talerzy, noży i szklanek zagłuszył wkrótce wszelkie dyskusje o pierwszeństwo tych mistrzów. O godzinie 8mej ogród był przepelniony. Przy wyziewach potraw i blasku różnobarwnych lampowych ogni zwiędła niejedna róża; ale się rozjaśniło niejedno bladawe lub posępne przedtem lice i zaiskrzyło się niejedno oko. Czynnny gospodarz krążył jak czarnoksiężnik pomiędzy stołami obsypując je wszystkimi swęj sztuki i przemysłu wynalazkami. Lecz niedokazał jednego cudu! niepotrafił wszystkich zwrócić oczy na gwiazdę północną, tak wielbioną ze swęj piękności na balach cesarskich w Paryżu! Pani Sz... któręj wdzięki ubóstwiały dzienniki francuzkie, znalazła na tym wieczorze znajomych już dawnięj tylko sobie wielbicieli. Publiczność jadła i piła i cieszyła się wdziękami narodowemi. I w rzeczy samęj, była jedna węgierka która i polski sąd przeciągała na swoję stronę.

Druga ta, że powtórzę słowo mego bohatera angielskiego, ekspozycya, skończyła się o godzinie 11ej.

Przy odjeździe widziałem czule i ciekawe sceny. Lecz nie znając końca ich, nie chcę mówić o początku. Zdaje mi się że każdy wrócił jeśli nie domu, to do miasta, z lżejszą kieszenią, lecz z pełniejszém sercem. A kto nie dostał powozu, pozostał na miejscu i przemarzył noc pod pięknem gwiazdzistym niebem!

Jedną z ozdób Hitzingu jest pyszny ogród i park cesarski w Schönbrunn. Utrzymują, że Napoleon I. powiedział, iż chciałby ten park i ten ogród przenieść pod Paryż. Rysunek tego zakładu jest w guście angielsko-francuzkim. Przestrzeń ogromna. Drzewa piękne, dobrze dobrane i wybornie utrzymywane. Widok z *Gloriette* wspaniały. Cesarz ma w tym ogrodzie swe kąpiele i swoje polowanie. Parter przed pałacem jest wysłany kwiatami. Sam pałac niewielki i prostęj budowy, lecz wewnątrz ubrany przyzwoicie. Ściany kilku salonów są pokryte pejzażami sławnego Salvatora Rosa. Teatr bardzo ładny.

Wracając do miasta coż wam mam donieść? Opera włoska już się kończy. Inne teatru są puste dla gorąca. Na ulicach wśród dnia ruchu mało. Wieczorami wszystko na lodach u Dehne lub na Grabenie. Ale piwo przemaga.

Poznań w czerwcu.

Welna, welna, było to niegdyś słowo uroczne, które rozjaśniało twarz, tak dobrze obywateli wiejskich jak miejskich, bo pierwsi sprzedając swój produkt, byli pewnymi pozbycia się kłopotów świętojańskich; drudzy byli pewnymi znacznego zysku ze sprzedaży towarów i z pobytu liczego i wesoło usposobionego obywatelstwa na jarmarku w Poznaniu. Ale nie tak się rzeczy mają w roku bieżącym, welny nie zwieziono i trzeciej części tego co zwykle, raz z powodu że wiele owczarni już od roku przeszłego pustych i zamkniętych; powtóre, że i w tym roku niejedna okolica znaczne straty w owcach poniosła; potrzebie zaś, że z powodu panującego księgośmieszku, z Królestwa welny nie wpuszczono, również jak i z powiatu Szremskiego, gdzie ta zaraza panuje. Do tego jeszcze na domiar zawodów, które gospodarzy naszych od lat dwóch spotykają, nadzieje co do cen wyższych już w Wrocławiu się nie ziściły, a tu mniej jeszcze, gdyż zaledwo zeszłoroczne ceny płacono, co także o wielkie straty przyprawiło mniejszych krajowych handlarzy, którzy przed jarmarkiem welny pozakupowali według dużo świetniejszych przewidywań, niż się to na jarmarkach okazało. Nikt nie umiał sobie zdać sprawy, co mogło wpłynąć na niżenie cen welny w chwili jarmarków, kiedy od pół roku cały świat handlowy i fabryczny o znacznym poskoczeniu cen był przekonany. W skutku tego wszystkiego jarmark tutejszy, tak jak wrocławski, włókł się długo, bo producentom trudno się było rozstać z cenami, których się od kilku miesięcy spodziewali; a tak dobrze producenci jak kupcy bardzo zafrasowane okazywali oblicza. Rzecz oczywista, że jarmark podobny na odbył towarów jak najniekorzystniej wpłynął, a zapewne da się uczuć i w czasie kontraktów

sto-jańskich. Żadnych publicznych ani prywatnych zabaw nie było tą razą, nie było też i teatru polskiego, a tylko dwa koncerty dane przez mniej znanych artystów; a wszakże jarmark welniany bywa pod tym względem najświetniejszą epoką w roku.

W czasie jarmarku rozpoczęła się wypłata raty Towarzystwa kredytowego: w pierwszych dniach kasa nie zbyt licznie odwiedzana była, i nie jesteśmy bez obawy tak o niniejszą ratę Towarzystwa jak i w ogóle o wszystkie interesa sto-jańskie. Nasi posiedziciele nie mieli żadnych dochodów w zimie, żadnego zboża na sprzedaż, teraz nie mają rzepek i mało lub wcale nie wełny; żądze będzie zapłacić procenta; a mało takich dóbr, nawet obywateli najzamożniejszych, któreby przynajmniej znaczną pożyczką Towarzystwa kredytowego obciążonemi nie były.

O nowém Towarzystwie kredytowém chyba w oficjalnych sferach coś wiedzą i rzeczą się tą trudnią, do ogółu publiczności nic z tego nie dochodzi, tém naturalniej, że instytut ten, jeżeli przyjdzie do skutku, nie wyjdzie z sfer i wyłącznej opieki rządowej administracyjnej. Bank prowincjonalny zatrudnia podobno wiele akcyonaryuszów, to jest miejscowych żydów, ale koncesyi rządowej jeszcze nie otrzymał.

Księgosusz jeszcze nie ustał w Księstwie i o ogromne straty przyprowadził powiat Szremski, a tém boleśnieszę, że może byłyby się dały uniknąć; kiedy bowiem zaraza wybuchła początkowo w pewnej wiosce, właściciel jój uwiadomił bezzwłocznie władze i oświadczył, że to według jego przekonania jest księgosusz; sprowadzono komisyję złożoną z weterynarzy i urzędników, którzy nie mogąc przypuścić, aby szlachcic polski prędzej niż ludzie co egzamina składali, poznał się na rodzaju choroby, nie poczytali tego za księgosusz, nie nakazali kordonu, a zjad zaraza się rozeszła na okolice. Teraz wojskowy kordon przeszkadza gwałtownemu szerzeniu się księgosuszu.

Z powodu tej zarazy nie będzie w tym roku wystawy zwierząt gospodarskich, za to wyścigi konne nas nie ominą, chociaż w małym i biednym zakresie jak Księstwo — korzyści ogółowi one nie przyniosą, bo albo obcy wygrywają, albo krajowcy rujnują się na konie:

nieodpowiednie potrzebom naszym, a najbardziej nieodpowiednie majątkom tutejszym.

JO. Arcypasterz już powołał tu dotąd Siostry Serca Jezusowego, mające otworzyć żeński instytut edukacyjny. W tych dniach zbierają się damy które się składką na ten cel trudniły i dalszego urządzenia materialnego podjęły; dowiemy się więc wkrótce, jaki fundusz się zebrał i czy będzie można dom na ten cel zakupić. W każdym razie, JO. Arcypasterz powoławszy do Poznania po raz drugi te zakonnice, musi mieć pewność i niezłomną wolę utrzymania ich w dyecezyi. Z wielką też dowiadujemy się przyjemnością, że Ochrona, Szwalnia itd. pod imieniem Śgo Józefa a zarządem Sióstr Miłosierdzia, przeniesioną będzie jeszcze w tym roku w inną zdrowszą część miasta, a zwłaszcza do obszerniejszego i wygodniejszego budynku, ale zmiana ta uskuteczni się li kosztem prywatnym; niemniej Rząd poczuwać się musi do obowiązku uczynienia czegoś podobnego dla głównego Domu Sióstr Miłosierdzia. O tém wątpić nie można, bo Rząd pruski, który posiada w ręku swém miliony dawniej Kościołowi katolickiemu należące, a okazuje tyle starań o urządzenie więzień dla zлочyńców, nie zostawi Domu Sióstr Miłosierdzia, w którym w ciągu roku tysiące chorych staranie i przytułek znajduje, w takim stanie zniszczenia, wystawionego na coroczne powodzie, i uwzględni zapewne prośby, podania, wnioski na wszystkich szczeblach hierarchii administracyjnej składane.

Berlin w czerwcu.

Nie lękaj się szanowny redaktorze, abym zastanawiając się nad charakterem muzyki niemieckiej, a więcéj jeszcze nad właściwością muzycznego ucha publiczności berlińskiej, miał zamiar wykladać ci teorią lub historią muzyki w Kronice. Moim zamiarem tylko jest, wskazać ten jéj żywioł, na który słuchacz niemiecki największą zwraca uwagę, do którego w muzycznym dziele największą przywiązuje wartość, i w którego śledzeniu, chwytaniu i rozmyślaniu największe ma upodo-

banie i największe znajduje zadowolenie. Żywiłem tym jest Harmonia. Kto wie, co się w muzyce zowie harmonią, i z poprzedzających listów moich przypomni sobie, że charakterystyczném znamieniem umysłowego usposobienia Berlińczyka jest refleksya, ten łatwo sobie wytłumaczy, dla czego muzykalna publiczność stolicy pruskiej chętniej słucha i wyżej ceni np. „Passyonalną muzykę“ Bacha, niż „Stabat Mater“ Rossiniego, „Ifigenią“ Glucka, niż „Normę“ Belliniego, i t. d. Ma ona w tém o tyle racya, że bez harmonii nie masz prawdziwej muzyki. Lecz mają takąż racya i ci, którzy twierdzą, że nie masz jej i bez melodyi. Na harmonistów i melodyistów można w ogóle muzykalną publiczność dzisiejszą podzielić wszędzie tam, gdzie się poważnie muzyką zajmują, gdzie ją traktują nie li jako środek zabawy, lecz jako sztukę piękną, jak to jest w Niemczech. Przyczyna tego podziału leży najprzód w naturze muzyki samej, powtórę w indywidualnym charakterze ducha nie tylko pojedynczych ludzi, ale całych narodów. Zastanówmy się nad tém bliżej i zrobmy zastosowanie do Niemiec.

Materyałem muzyki jest ton. Jak wszelka żyjąca istota, drzewo, nawet kruszec i kamień, za słabszem lub mocniejszem ciałem swego wstrząśnieniem, wydają z siebie pewien dźwięk, który jest charakterystycznym, niekiedy bardzo wyrazistym znakiem ich indywidualnego wewnętrznego życia lub fizycznego ich ciał składu; tak człowiek, samą siłą przyrodzonego usposobienia, popędu lub woli, wydobywa z siebie głos, który już samem brzmieniem swém, bez mowy, wyraża wszystkie wewnętrzne jego wzruszenia, stanowiące w dalszém rozwinięciu świat jego uczuć i usposobień duszy. Głos ten jest krótki, przeciągły, silny, cichy, groźny, łagodny, twardy, miękki, gruby, cienki, wrzaskliwy, dzwienny, stósownie do poruszenia, jakiego człowiek wydając go, doznaje. Radość i smutek, wesele i boleść, zdumienie i przestrah, miłość i nienawiść, gniew i rozpacz znajdują w nim odpowiedni, bezpośrednio zrozumiały wyraz. W pierwszym głosie człowieka, wydanym po stworzeniu, w pierwszym wykrzykniku, wyrażającym usposobienie jego duszy, spowitym był początek muzyki. Muzyka jest zatem najdawniejszą ze wszystkich sztuk pię-

knych. Początek jój w raju. W niebie stoją Serafowie około tronu Boga i śpiewają pieśni na chwałę Jego. Śpiew też był najpierwszą muzyki formą. Droga do niego od pierwszego, uczuciem przepełnionego głosu, prosta, naturalna, niedaleka. Jeżeli się z nim połączy poezya, mająca także żywioł swój w głosie ludzkim, podniesionym do mowy, a połączeniu się temu, z natury swój idealnemu, towarzyszyć nadto będą tony przez sztukę, to jest przez instrumenta wydobyte; to harmonia ta wydawać się będzie surowym jeszcze ludziom dziełem tak czarującym, że wyobraźnia ubierze ją w myt, początek muzyki odniesie do bóstwa, i otoczy wpływ jój niezrozumiałą dziś dla nas cudownością. Tak było u Żydów i Greków, dwóch najmuzykalniejszych w starożytności narodów.

Po przejściu Żydów przez morze Czerwone, śpiewała Mirjam siostra Aarona hymn dziękczynny Bogu przy towarzyszeniu instrumentalnej muzyki, którą składały bębny! (Meyerbeer nie zaniedbał z téj harmonii korzystać). Mury Jerycha runęły w gruzach na odgłos puzań Jozuego! (Zabawki dziecinne — bombardony Sachsa u Halewego). Dawid był wielkim artystą na harfie: pastuch, przyzwany do króla Saula, rozpędzał śpiewem i grą melancholią jego. (Respekt przed psalmistą — poetą; śpiewem i grą harfiarki czeskie większych cudów dokazują). Inne instrumenta żydowskie były: piszczałka, którą wynalazł Jubal jeszcze przed potopem, i pewien rodzaj lutni. Poeci i śpiewacy byli zwykle jedną osobą. Za Dawida i Salomona muzyka miała dojść do najwyższej doskonałości. Składała ona część nabożeństwa, jak i u innych narodów. Śpiew był rzeczą główną; muzyka instrumentalna była służebnicą, przejętą od Egipcyan, najniemuzykalniejszego w starożytności narodu.

U Greków podania mytyczne o muzyce daleko są bogatsze i rozmaitsze. Muzy są córkami Jowisza. Muzyka, która od nich bierze nazwisko, jest sztuką *par excellence*, jakoby harmonią wszystkich duchowych zajęć człowieka. Takie też było pierwsze jój pojęcie, łączące nierozzerwanie z sobą poezyą, muzykę, nawet wymowę. Muzy przy biesiadach bogów olimpijskich są śpiewaczkami, którym Apollo przewodzi i towarzyszy na lutni. Instrumenta są wynalazkiem bogów: Merkurego siedmio-

strunna lutnia czyli lira, Pallady flet, Pana piszczałka. Muzycy i poeci są synami Muz i bogów; Amphion synem Jowisza i Antiopy córki rzecznoego bożka Azopa, Linus synem Apollina i Kalliopy, Orpheusz synem rzecznoego bożka Oegra i tejże Kalliopy. Muzyka ich cuda tworzyła. Na dźwięk lutni Amphiona poruszały się kamienie i powstały mury Teb. Linus szedł z Apollinem o pierwszeństwo w grze na lutni, za co od niego śmiercią był ukarany. Orpheusza śpiew przy siedmiostronnej lutni wprowadzał w ruch skały i drzewa, uśmierzał dzikie zwierzęta, uspokajał wiehry i burze morskie, wyswobadzał mu z piekieł żonę Eurydykę. Śpiewającego przy dźwięku lutni Ariona słuchały delfiny morskie i ratowały od śmierci. Terpandra śpiew i dźwięk lutni uśmierzyły w Sparcie bunt ludu. Tyrteusza pieśniom przypisano zwycięstwo Lacedemonczyków odniesione nad Messenńczykami.

Te cywilizacyjne cuda muzyki zniknęły wprawdzie w dalszym, dojrzalszym rozwoju ducha Grecyi. Uznawano jednak zawsze wpływ jej na umysł ludzki; zatrzymano ją więc przy nabożeństwie, obrządkach, uroczystościach publicznych i prywatnych, i zastósowano do przedstawień teatralnych. Muzyka stała się tak pospolitą w Grecyi, jak inne sztuki. Mimo to pozostała ona do końca i umarła pięknem dzieckiem — nie dojrzawszy. Życie Greków było zanadto na zewnątrz zwrócone, i duch ich zanadto miał upodobania w plastycznym kształtowaniu realnego świata, aby był mógł zwrócić się do wydoskonalenia sztuki, mającej główne źródło swoje w czuciu i usposobieniu wewnętrznem duszy. Płato i Aristoteles uważali muzykę tylko za środek wychowania, a pierwszy nadto mniemał, że zmieniać jej istniejące prawidła, formy i użycie, znaczyłoby to samo, co wstrząsać podstawy państwa. Pythagoras uważał muzykę za środek czyszczenia i uspokajania duszy, też za środek lekarski dla ciała, trudnił się nawet, wynalazszy monochord, matematycznym rozmiarem tonów i dopatrywał w dźwięku ich harmonii świata. Lecz z badań tych, ani późniejszych Euklidesa nie korzystnego dla muzyki nie wypłynęło. Muzyka pozostała śpiewem, lub jak w chórach poezyi dramatycznej, deklamacją, z pro-

stém i dość pospolitém muzykalném towarzyszeniem. To co o różnych skalach muzyki greckiej piszą, jest i będzie zapewne zawsze, dla braku dowodów praktycznego zastosowania, rzeczą nierozwiązaną.

O muzyce starożytnych Rzymian nie ma co mówić. Przejęli oni ją głównie od Greków, zwłaszcza tę, której używali do towarzyszenia w przedstawieniach teatralnych, i od Etrusków, której używali przy nabożeństwie i obrządkach religijnych. Wykształcili jednak muzykę polową, do której używali dętych instrumentów. Prócz tych mieli podwójny flet, lutnie i liry. Muzykantami byli niewolnicy, co nie mogło się przyczynić do podniesienia muzyki na stopień wyższego ukształcenia.

Z wszystkiego co tu było powiedzianem można wyciągnąć ten wniosek, że muzyka u narodów starożytnych, nie wyjmując najwięcej ukształconych Greków, zaledwo była wyszła z granic tak zwanej muzyki naturalnej czyli przyrodzonej. Muzykę taką mają wszystkie narody, a ta w miarę niższego lub wyższego usposobienia ich duszy, jest już mniej już więcej ujmująca i czarująca. Nie przenosząc się do innych narodów, zatrzymam się u Słowian. Czem są wyżsi wspomniani wyżej piewcy greccy, Amphion i Orpheusz, synowie Muz od naszego Bojana, syna Welesa, słowika ubiegłych wieków który umem wzlatywał w niebiosa,

. . . . myślą uganiał przez bory,
Wilk ziemią, w wiatrach orzeł chyżopior;

a jeśli k' czyjś cześci pieśń tworzył,

To nie sokołów na stada łabędzie
Bojan, o bracia! wypuszczał ku walce,
Jeno na struny kładł swe wieszcze palce,
A sławą książąt żywe brzmiały struny;

albo od owego Lumira,

Co potęgą pień i słów
Wstrząsał Wyszegrad i włości wzruszeniem;

albo czém był wyższy Tyrteusz od owego Zaboja,

Co serce ku sercu ześpiewywał pieniem
Z środka goryczy — i miał dar od Bogów
Pieśnią zagrzewać serca przeciw wrogów?...

To są te same wyobrażenia pierwotnej, początkowej cywilizacji, te same pojęcia wyłamującego się z więzów natury człowieka o potęgze połączonych z sobą muzyki i poezji. Połączenie to trwa w pieśniach ludowych do dziś dnia, tu więcej, tam mniej. W polskich np. przeważa wyraźnie melodia; słowa ich niekiedy wcale albo mało znane, często dość pospolite i nie zawsze poetyczne; niekiedy jedna tylko zwrotka utrzymuje się w pamięci, w której cała myśl zamknięta; melodia stała się wszystkim, i przechodzi, zawsze świeża, od pokolenia do pokolenia. Przywoździć na to przykłady, byłoby zbyt cennym. Przeciwnie w ludowych pieśniach serbskich przeważa wyraźnie poezja; muzyki często trudno pochwycić, trudno ująć w karby taktu i rytmu; często jest ona tylko, jak w pieśniach epicznych, podobnie jak u Greków, prostym towarzyszeniem poezji, celem podniesienia deklamacji; piękność i zupełność formy poetycznej, obfitość obrazów i myśli przytłumiają tu pod pewnym względem polot twórczości muzycznej.

Podobne stosunki napotkać można w pieśniach ludowych wszystkich narodów. Z nich można bardzo łatwo rozpoznać charakter muzycznego usposobienia tychże, albowiem muzyka takowych pieśni nie jest produktem umiejętności i refleksji, lecz wpływem natchnienia, które uchyla się od surowości prawideł teoretycznych i konwencyonalnych, i wydaje tylko to, co rzeczywiście duszę narodu napędza i unosi. Z takiej muzyki można często wyczuć, odgadnąć cały charakter narodu. George Sand, która w dziełach swoich tyle pięknych rzeczy o muzyce powiedziała, trafnie się i o muzyce ludowej wyraża: „Ktoby potrafił z całą wiernością i naiwnością oddać muzykę rozmaitych ludów, i ktoby umiał słuchać jej jak należy, ten nie potrzebowałby przedsiębrać podróży naokoło świata, zwiedzać różnych ludów, zaglądać do ich pomników, czytać ich książek, ani przebiegać ich stepów, ich gór, ich ogrodów, lub ich puszczy. Śpiew żydowski wiernie oddany wprowadza nas do synagogi; cała Szkocja mieści się w prawdziwej piosnce

szkockiej, jak cała Hiszpania w prawdziwej piosnce hiszpańskiej. Ja bywałam często w Polsce, w Niemczech, w Neapolu, w Irlandyi, w Indyach, i znam lepiej tych ludzi i te strony, aniżeli bym je była poznała przez wieloletnie podróżowanie. Nie potrzeba mi było więc jak jednej chwili, aby się do nich przenieść i żyć całym życiem, które w nich wybija. Była to istota tego życia, którą sobie przyswajałam pod urokiem muzyki⁴.

Wszystko to prawda; a jednakże cała ta starożytna i nowoczesna przyrodzona ludowa muzyka, o której dotąd mówiłem, z całą cudownością swoją, z całym uroczym wpływem na umysł człowieka, bardzo daleką jeszcze jest od tego, co my dziś pod muzyką rozumiemy. Jest to tylko materiał, materiał surowy jednego z dwóch głównych żywiołów muzyki, o których wyżej wspomniałem, to jest, melodyi. Żywiołu harmonii wcale jeszcze w nim niema; jest tylko możność jej. Harmonia ta musi być dopiero stworzona; a tworzy ją nie natura, nie natęczenie, lecz sztuka; tworzy ją rozum, zimny matematyczny rozum, zgłębiający naturę tonów, odważający je stosunkami liczbowymi, i przygotowujący dopiero tym sposobem materiał i podstawę odpowiednią dla prawdziwej muzyki.

Rzeźbiarstwo i malarstwo poczynają bezpośrednio od naśladownictwa natury, i biorą od niej materiał do pewnego stopnia gotowy. Poezya nawet sama ma w wyrabiającem się naturalnie słowie i w złożonej w nim myśli gotowy materiał i podstawę do odpowiedzenia swemu zadaniu. Przeciwnie muzyka, podobna w tym względzie do budownictwa, lubo materiał swój bierze także w znacznej części od natury, to materiał ten opiera się na tak tajemnych i szczególnych prawach, że muzyka musi wprzód prawa te poznać, to jest, materiał swój niejako nanowo sobie stworzyć, aby właściwemu zadaniu swemu odpowiedzieć była w stanie. Natura tonu, wydobytego czy to naturalnie przez głos ludzki, czy sztucznie przez różne instrumenta, drżenie jego, trwanie, miara materialna i czasowa, odstęp stosunkowy jednego od drugiego, skala, rodzaje tonów, takt, różność tychże, rytm, uderzenie, przedziały czyli interwala, assonanse, dissonanse, akordy, kontrpunkt — wszystko to wymagało bardzo pilnych i długich badań

fizycznych i matematycznych, zanim było jak należy pojęte. Bez nauki akustyki i matematyki, muzyka w dzisiejszem pojęciu była niepodobną, bo dopiero przez ścisłe, za pomocą ich oznaczenie wyżej pomienionych żywiołów, stanowiących naukę harmonii, przygotowane zostały całkowicie i materiał i podstawa do kompozycji, które wynoszą muzykę do sztuk pięknych.

Muzyki tak pojętej nie można zatem uważać za najdawniejszą, ale raczej za najmłodszą pomiędzy sztukami pięknymi. Jest ona też rzeczywiście, bez względu na jej estetyczny cel, uważana tylko z czasowego punktu swego możebnego rozwoju, z większém jeszcze prawem niż malarstwo, sztuką chrześcijańskiego świata. W nim powstała i dojrzała; w nim podniosła się, stawszy się muzyką instrumentalną, do bezwzględnej wolności i udzielności, jakiej żadna inna z sztuk pięknych nie posiada. Mogąc zaprzeć się swego przyrodzonego początku, głosu ludzkiego, z którego istotnie wyszła, jest prawdziwą sztuką *par excellencje*, o jakiej Grecy marzyli w swych mytach, absolutną panią siebie, królową w świecie własnego stworzenia, noszącym nazwę: Harmonia.

Lecz w tej bezwzględnej wolności rozpościerania się na niezmierzonym polu sztucznych kombinacji harmonijnych, w które tak obfituje dzisiejsza muzyka, leży zarazem niebezpieczeństwo dla estetycznego jej przeznaczenia jako sztuki pięknej. Harmonia staje się bowiem wtedy łatwo żywiołem wyłącznie w niej panującym, a harmonia sama przez się nie jest ostatniem zadaniem muzyki, jak nią nie jest, wedle tego com wyżej powiedział, sama przyrodzona melodia.

Oba żywioły są nieodzownymi warunkami muzyki, ale dopiero w połączeniu się obu dopina muzyka ostatniego swego celu. Harmonia sama przez się, przy całej wewnętrznej zgodzie tonów, z całym bogactwem rytmów, akordów i tego wszystkiego co ją składa, nie zdolna jest wydać wewnętrznego naśposobienia duszy; może obudzić podziwienie cudownością swojej architektоники, zająć myśl, wstrząsnąć nerwy, ale poczyli muzyki, właściwej mowy duszy, wydać sama przez się nie jest w stanie. Osięga możność tę dopiero przez spojenie się z melodią, której właśnie przyrodzonym przymiotem jest, oddawać w tonach różne wzruszenia i usposobienia

wnętrza ludzkiego, takowe łagodzić, uszlachetniać, albo też i budzić i podnosić. Ale znów wzruszenia i usposobienia te mają bardzo różne stopnie. Uczucia np. radości i smutku, jak różne mają powody, tak też bardzo różne mają sposoby objawiania się. Jest tu cała skala odmian, od spokojnej wesołości do tryumfującego szalu, od cichego cierpienia do gwałtownej rozpacz. Melodya sama nie jest w stanie oddać tych odmian, jeżeli się nie oprze na harmonii, w której sztucznym składzie tonów, akordów, rytmów, daną jest właśnie możność dopomagania melodyi do charakteryzowania takowych odcieni. Nie dość na tém. Połączenie się harmonii i melodyi nie powinno być tylko zewnętrzne, powierzchowne, tak aby jedna szła obok drugiej, harmonia tylko towarzyszyła melodyi. Tak się ma rzecz w większej części kompozycji, do których śpiew wchodzi. W jednych bywa melodya panią a harmonia służebnicą, w drugich harmonia panią a melodya Bóg wie czém. Połączenie się ich powinno zaś być jak w jestestwach organicznych spójnia kości i ciała, jak w mowie ludzkiej związek spółgłosek i samogłosek. Melodya wyrastać niejako powinna z harmonii, jak kwiat z łodygi; unosić się nad nią, nie odłączając się od niej, związana, jak myśł w brzmieniu słowa.

W tém i takowém harmonii i melodyi połączeniu leży główna wielkich muzykalnych kompozycji tajemnica i wartość. Ściaga się to zarówno do kościelnej jak światowej, do wokalne jak instrumentalnej, niemniej do połączonej wokalnie instrumentalnej muzyki. Chorał, msza, oratorium, trio, kwartet, koncert, sonata, symfonia, uwertura, opera, tworzą tu główne jej gatunki. W tego rodzaju dziełach muzyka jako sztuka piękna osiąga ideal przeznaczenia swego.

Jaki z tego wszystkiego wniosek wyciągnąć chcą dla siebie harmoniści i melodyści, zostawiam to ich własnemu sądowi. Mnie pozostaje zrobić zastosowanie do muzykalnych Niemiec, w szczególności do publiczności berlińskiej, o czém będzie w przyszłym liście. Mniemam, że to więcej warto, niż wyścigi konne, które w tym miesiącu całe miasto zajmują.

Paryż w czerwcu.

Teraz kiedy Ristori opuściła Francją, a Rachel głucha na wołanie Paryżanów, niechce wyjść z ukrycia — kiedy w świątyni Melpomeny zostają dwa wielkie miejsca próżne, które już zapewne nie za naszych czasów się zapelniają — kiedy znikły żądze osobiste co wzrok zaciemniają, a obiedwie te muzy przechodzą już w zakres pamiątek — nadszedł dla nich dzień sądu ostatecznego w dziedzinie sztuki. Krytycy z zimną rozumą archeologów rozprawiających o wykopaliskach Niniwy lub Herkulanum, rozpoczęli długie dyskusye o dwóch tych tragicznych kolumnach; jedni piszą ich historią, inni badają, porównują i mierzą, która z nich wyższa — której należy się palma pierwszeństwa: Ristori, czy Racheli?

Pytanie to dotąd nie zostało w Paryżu rozstrzygnięte, bo jak w każdej, tak i w tej kwestyi niemasz prawdy bezwzględnej. Długo jeszcze zapewne Ristoriści i Racheliści klócić się z sobą będą, zanim z tych sprzeczek wyniknie sąd trwały dla potomności; ostatecznie jednak mniemam, że córka Corneilla zwycięży — nie dla tego, żeby Ristori nie dorównywała jej talentem, ale dla tego że geniusz Racheli miał daleko szersze pole do rozwinięcia swęj potęgi — dla tego że Ristori pokazuje tylko czemu by być mogła, a Rachel stoi na wyżynie do jakiej dojść może dramatyczny artysta — dla tego nakoniec, że Włochy nie miały swojego Corneilla ani Racina.

Promienna Italia, ziemia zapachów i harmonii, usypała nieledwie z prochu arcydzieł — ziemia na której sztuki piękne kwitły pośród pomarańcz i laurów różowych, gdzie ludzie rodzili się żywotniejsi niż w innych częściach świata — Italia która wydała największych poetów, architektów, rzeźbiarzy, malarzy, muzyków, polityków i mędrców — która liczyła w gronie swych dzieci Danta, Petrarke, Tassa, Ariosta, Machiavela, Leonarda da Vinci, Michała Anioła, Rafaela, Correggia, Ticianiana, Pawła Veronese, Palestrinę, Pergolesa, Cimarozę, Rossiniego, Krzysztofa Kolumba, Galileusza — Italia tak bogata, iż dotąd króluje poezyi epicznej nowoczesnej swą *Boską komedyą*, *Jerozolimą wyzwoloną* i *Ro-*

landem — nie posiadała w tym samym stopniu geniusza dramatycznego; nie ma ona żadnego imienia któreby mogła postawić obok Szekspira, Calderona, Corneilla, Racina lub Moliere. *Mandragora* Machiavela, *Aminta* Tassa, *Pastor fido* Guariniego, a później naśladowane z francuzkiego tragedye Metastasia, Maffei i Alfierogo, mimo swęj wielkiey wartości nie wystarczyły do utworzenia we Włoszech samoistnego teatru.

Brak wolności, a mianowicie ogromne rozwinięcie muzyki, wpłynęło szkodliwie na rozwój dramatu we Włoszech. Poeci pisali tylko dramata liryczne. Na lekkiey zbudowanej przez nich klasycznej kolumnadzie, melodya rozwieszała swoje girlandy, strojąc gmach którego ozdobę budowniczy jęj kaprysowi poruczył; dialogi rozpadały się na dueta, monologi zmieniały w *aria di bravura*; chóry poczęły śpiewać, zamiast rozprawiać o znikomości rzeczy ludzkich — słowem, wszystko poświęcono potrzebie zachwycania ucha. Ludy południowe mają tak mocne poczucie plastyki, iż z łatwością dają się uwieść dźwiękiem swęj mowy, nie zważając czy te melodyjne słowa zawierają myśl jaką. Włoch po całych godzinach gotów słuchać z rozkoszą muzyki rymów, chociażby one nic nie wyrażały. Dramatyczna fantazyja ograniczyła się przeto na tak zwanych *commedia dell'arte*, które improwizowali dowcipni aktorowie osnawając na pierwszém lepszém podaniu.

Później Goldoni chcąc naśladować Moliere, dawne wesołe żarty i szaloną werwę południową zastąpił północnym zdrowym rozsądkiem. — W chwili ruchu romantycznego który odrodził sztukę we Francyi, Anglii i Niemczech, Włochy kołysane rozkoszną pieśnią swych starych wieszczów zaledwie od niechcenia wzięły udział w rewolucyi literackiey. Manzoni napisał wtedy *Hrabiego Carmagnola*. — Od czasu téj innowacyi która przebrzmiała bez echa, Włochy ograniczają się na naśladowaniu lub tłómaczeniu bez wyboru wszystkich dramatów i wodewilów francuzkich: one co dały niegdyś Szekspirovi legendy o *Julcie*, *Dezdemonie*, *Szyloku*, żadnym nowym pomysłem nie z bogaciły swęj sceny. Sława miękkich dramatów Felicea, co płaczą jak gołębie w sponach jastrzębia, a nawet sława granitowych utworów Alfierogo, bardzo długo nie mogła się wydobyć po za Alpy, po

których tylko strumienie włoskiej muzyki płynęły nienastannie i zalewały świat cały. Podczas kiedy Europa sławiła imiona Catalani, Pasty, Grisi, Rubinięgo, Lablacha i Mario, nikt prawie nie słyszał o Ristori od dawna sławnej w ojczyźnie. Dopiero Wystawę powszechną zwołaną do Paryża owa wielka artystka, dała się poznać światu, ale w rolach tak niewdzięcznych, że tylko talent jej mógł je jako tako ożywić.

Wystąpienia swoje rozpoczęła od *Franceski da Rimini* Silvia Pelicco. Następnie grała *Maryą Stuart* Szyllera w przekładzie pana Maffei — potem dwie tragedye Alfieriego *Myrrhę* i *Rosmundę* — zakończyła zaś *Medeą* pana Legouvę, którą dla niej na język włoski przetłumaczył Montanelli.

Myrrha Alfieriego zjednała jej w Paryżu głośną sławę, której odpowiedziały echa całego świata. Najfatalniejsza z bajek starożytnych, czarna zagadka namiętności do której rozwiązania żaden chrześcianin nie znajdzie już dziś klucza, jedynie tajemniczą grozą jaką jej nadaje gra Ristori, wpłynęła na widzów, bo słów mało kto rozumiał, a cóż dopiero myśli ogólnej. Paryżanie jak Atenzycy szukają jedynie mocnych wzruszeń na scenie; doznali ich patrząc na konwulsye Ristori w której wpada *Myrrha* przy ołtarzu, i okrzyknęli ją arcykapłanką sztuki.

Raz wszedłszy w modę, Ristori znalazła tłumy cierpliwych słuchaczy, co nie zdrzymnąwszy się ani razu, siedzieli po pięć godzin na włoskiem kazaniu, przysłuchując się rzymskim i barbarzyńskim tragedjom, przyklaskując klasycznym giestom artystki, na której spoczywał cały ciężar ożywienia bezkolorowych utworów dramaturgów włoskich. Ristori sama jedna zastępowała zawsze myśl, intrygę, akcyę i dekoracyę sztuki. Tylko we *Francesce* znalazła jedną taką scenę, jakich Rachel napotyka tyśiące w swym nowym repertuarze. Chce mówić o scenie miłosnej z Paolem, którą Dante tak wymownie zakończy mówiąc, że tego dnia już nie czytali więcej, a którą Silvio odmalował z niewysłownym wdziękiem. Tutaj Ristori miała sposobność odkryć liryczną stronę swego talentu, stronę potężną, którą jedynie może rywalizować z Rachelą. Czwarty akt *Franceski* grała z naiwnem czuciem i gracyą pełną lubego

przymilenia zupełnie nieznaną w Paryżu, gdzie sceny miłosne są tylko pojedynekami kokieterii.

Pierwszy raz na tutejszym teatrze ujrzano obraz prawdziwej miłości. Złudzenie było tak wielkie, że patrzący zapominał o scenie . . . wydawało mu się że rozchyliwszy gałęzie szpaleru lub fałdy zazdrosnej firanki widzi niepostrzeżony parę kochanków — *soli . . . e senza alcun sospetto*, używając Dantowego wyrażenia — że jest świadkiem owych zachwyków, wyznań poprzedzonych nagłym rumieńcem — że słyszy ową rozmowę o niczem, owe westchnienia przerywane długim młeczeniem, owe pocałunki porwane z uśmiechniętych ustek podobnych do serca na pół rozkwitłej róży . . . słowem wydawało mu się że patrzy na cały ten wzniósł i tajemniczy dramat miłości, który się odgrywa w cieniu, zdala od spojrzeń ludzkich.

Ten czarowny ustęp jest rękawicą którą rzymianka rzuciła Racheli, zdając się mówić złoto-ustej a zimnej rywalce: „ty walczysz na rozumy, ja wyzwę na serca!“ Ale czar ten za rychło tonie w nudnej monotonii sztuki, żeby miał trwale zostawić wrażenie — jest atoli dość mocny, aby dać wyobrażenie, gdzieby mógł zająć talent Ristori, mając dla siebie stosowne pole.

Ale czemu jest ten błysk przelotny w porównaniu do ról w których Rachel całą potęgą geniuszu swego i potęgą wielkich myśli jakie wypowiada, zaćmiewa wszystkie pojęcia jakie sobie słuchacz o wielkości wymarzył. Czemże jest rola *Franceski*, *Myrrhy*, *Rosmundy*, w porównaniu z rolą *Fedry*, *Emilii* w Cynnie, *Pauliny* w Polyeukcie, *Chimeny* w Cydzie? Czemże uwiędły wieniec kochanki Paola w porównaniu z brylantowym dyademem greckiej królowej, córki słońca? W rolach serdecznych, uczuciowych, Ristori przewyższa Rachelę — ale tam gdzie potrzeba oddać złość, nienawiść, pogardę, zazdrość, wyniosłą dumę lub stalowy hart duszy, Rachel o całą głowę przewyższa włoszkę.

Porównanie przekonujące najlepiej o prawdziwości twierdzenia, następuje *Marya Stuart*, gdzie obiedwie artystki występują w roli królowej Szkockiej. W stanowczym spotkaniu Maryi z Elżbietą, Ristori wywołuje rzewne współczucie, głęboką litość dla swjej niedoli — Rachel budzi wszystkie szalone namiętności

jakie wstrząsały sercem stronników Maryi — daje pojęcie o władzy jaką miała nad duszami owa czarująca grzesznica. Żeby zrozumieć te słowa, potrzeba ją widzieć najprzód zgiętą u nóg dumnej Elżbiety, wylewającą wszystkie skarby słodkiej wymowy, wszystkie pociski spojrzeń, cały urok anielskich uśmiechów kiedy ją chce pokonać łzami — a potem, kiedy ją królowa od kolan odpycha, prostując się nagle jak nadepnięta zmija, i wyrzucającą potok słów z których każde rani jak żądło jadowite.

Do tej wyższości moralnej, przybywa w pomoc Racheli uroda i młodość. Rachel ma teraz lat trzydzieści jeden — Ristori mogłaby niemal być jej matką. — Ristori jest wysoka, szczupła, ma rysy regularne, wyraziste — ale grube, prawie męskie — postawę szlachetną, ramiona szerokie, kościste, ruchy śmiałe — całość przypomina Polymnię kopiowaną ze starych fresków przez Angelikę Kaufmann, której delikatny pędzel zwykł starożytne rysy powłóczyć nowoczesną melancholią.

Rachel do wszystkich zalet Ristori, łączy własne jakich nikt prócz niej nieposiada. Formy jej i proporcye są uduchowione tak wysoko, tak artystycznie, że raczej już do dzieł sztuki niż do rodzaju niewieściego należą. Rysy jej drobniuchne są jakby żyjącą kameą grecką, kształt czaszki i zawieszenie głowy przypomina Venus florencką — a małe oczka nadzwyczajnej czarności rzucają blask dziwny, tém przenikliwszy, że mają nieruchomość posagu. A cóż powiedzieć o ruchach, wymowie, draperyach, które tak nosi jakby w życiu swoim w innym nie chodziła stroju; o całym ubiorze którego gatunek i forma nadaje jej cechę zupełnie wyłączną najwyższego piękna, niedającą się porównać z niczem.

Jakoż, nie małe muszą być te zalety i nie mały talent, skoro potrafił wskrzesić zabita tragedję i postawić ją wyżej od dzieł genialnych nowatorów. Rachel wstąpiła do teatru francuzkiego w czasach najświetniejszych tryumfów romantyzmu. Nowa poezya pełna ruchu, komplikacyi, kontrastów, samowładnie panowała wtedy na tutejszej scenie. Młodzi autorowie których ówczesna krytyka zwała barbarzyńcami, zburzyli klasyczne pałace Cezarów i porąbali posagi. Dialogi wolne, urywane,

poufne, zastąpiły miejsce strof mierzonych i powagę starych pisarzy — śmiech wprowadzony do dramatu przeplatał wrzaskliwie surową ośnowę dziejowych wypadków.

Zbawienne to wstrząśnienie, owa potężna burza która nalała świeżej krwi w formę zużytą nieudolnym nasładownictwem i odmłodziła całą literaturę, jak każda rewolucya dopuściła się także nadużyć. Młodzi autorowie znienawidziwszy bezduszne kopie, rzucili kłatwę na tragedję. Wielu z nich zapomniawszy że sami na starych wykształcili się wzorach, wyszydzała zawzięcie wielkich swych poprzedników, a upojeni samochwalczą dumą stawiali siebie wyżej od nich, podobni do tych chłopców co wdrapawszy się na ojcowskie ramiona wołają: patrzcie, ja wyższy od papy!

Długiego potrzeba było czasu ażeby się upamiętano i przyznano nareszcie, że tragedia jest najwyższą formą sztuki i dla tego właśnie nie znosi mierności. Jeżeli nie jest szczytem do jakiego może dobieść genjusz ludzki, musi być nudna, a nawet śmieszna, gdyż *le sublime touche au ridicule* — jeżeli zaś odpowie swoim warunkom, góruje nad dramatem jak posąg Fidiasa nad tłumem, tём samém że się z nim nie łączy. W tragedji sztuka dramatyczna prawie zupełnie oczyszczona z materji, kształtu używa tyle tylko ile go koniecznie potrzeba do wcielenia ducha; bohaterowie jęj wybrani z pomiędzy wybranych, wyrażają sami tylko potężne i wzniosłe uczucia, dotykają tylko solennych chwil życia. Język ich piękny i głęboki, podnosi słuchacza do czysto duchowej atmosfery, w której gromadzą się wypadki, równoważą żądze, a osoby wyższe nad nikłą prawdę miejscowego kolorytu, noszą myśli wielkie i moralną potęgę trzymającą na wodzy namiętności.

Ten to rodzaj nieśmiertelnej piękności Rachel przywróciła scenie i dała go poznać młodemu pokoleniu, które bez niej byłoby do dziś dnia uważało tragedję jako nudną i przestarzałą formę. Rachel wskrzesiła nie tylko Corneilla i Racina, ale Eschyla i Sofoklesa — wystąpienie jęj było rewelacją która przywróciła właściwą hierarchję w scenicznych utworach i dowiodła Francuzom, że wyższą nad jaskrawe i krzykliwe efekta, jest poważna i surowa ekspresya sztuki.

Czyż takie zasługi, taki promienny geniusz zdola zaimięć w przelocie jedna włoska kometa? Dla honoru Francuzów mniemam że nie, i sądę że wkrótce nie będzie już sprzeczki w Paryżu komu przysądzić palmę pierwszeństwa: Ristori czy Racheli? —

Kończąc czwartą stronę arkusza spostrzegam dopiero iż może za obszernie dotknąłem tej kwestyi która ciebie w oddaleniu mniej obchodzi niż tutejszych diletantów; że może zamiast tych uwag tragicznych, wolałbyś znaleźć w tym liście prosty register brukowych wiadomości. Ale cóżbym ja ci mógł donieść czego byś już pierwój nie dowiedział się od licznych korespondentów *Czasu*? Zresztą, mając do wyboru dwie tylko kwestye i to nie żywotne: spory artystów i wystawę bydła — bo Paryż w tej chwili nie prócz potopu nie zajmuje — pochwyciłem pierwszą, i uciekłem z obory do przedsiönka Melpomeny, pewny, że mi na ten raz moją niepraktyczność darujesz.

Londyn w czerwcu.

Mieliście już zapewne opis tutejszego obchodu pokoju, niezawadzi sądę jednak dodać parę szczegółów. Jeśli ten obchód górował niewyrównaną wspaniałością ogni sztucznych i oświetlenia w stolicy, wtedy nie pewnie przewyższyc go nie mogło pod względem szczodroblwości w dniu tym okazanej dla ubóstwa po prowincyach. Jeden choć przykład na to przytoczę. Miasto Exeter wyprawiło dla swych ubogich sutą ucztę, na 10,000 osób. Trzy obszerne rynki zastawione były stołami. Że ta uczta musiała być obfita, łącno już z tego powziąć wyobrażenie, skoro spotrzebowano mięsa wołowego i baraniego 10,000 funtów na pieczyście, pudręgów różnych 5,000, chlebów 9,850 i 2,250 garncy piwa. Oprócz 10,000 starszych mężczyzn i kobiet, nie liczy się jeszcze 4,000 dzieci od dziesięciu lat i młodszych, które także częstowano kawą, herbatą i bułeczkami. Widać w tém chwalebny wzór uczucia miłosiernego i ludzkości; lecz zarazem widno także, w jakim stosunku zostaje ubóstwo, czyli ci co nic nie mają, i że tak powiem, z ręki do

gęby żyją — do zamożniejszej klasy. Exeter mało ma więcej nad 50,000 ludności, proporcya ubóstwa więc znaczna, choćby w to policzono niższych najemników, a po naszymu parobków, których zapewne wielu u stołów się znajdowało. Zgoła, podług spisu statystycznego, w Anglii na dziesięć ludzi bywa jeden ubogi, i kosztem ich jest utrzymywany. Burmistrz miasta i drudzy urzędnicy miejscy u stołów z ubogimi zasiadali.

Inne i wcale odmienne od tego widowisko miało miejsce w Oxford. Uniwersytet Oxfordzki obchodził także pamiątkę pokoju nierazem z wszystkimi jednego dnia, lecz dnia 6go czerwca, i obchodził ją w gronie najświetniejszego zgromadzenia, z całą pompą i okazałością akademickiego obrzędu. Obecni byli książę Albert małżonek królowej, książę Rejent Badeński, Fryderyk Wilhelm książę pruski i wielu najznakomitszych cudzoziemców i krajowców różnego dostojenstwa i rangi. Na tymto obrzędzie tak świetnym a zwanym *Commemoration*, uniwersytet Oxfordzki aby przekazać pamięci wypadki w niniejszej epoce zdarzone, zaszczycił stopniami doktoratu mężów tak swoich jak zagranicznych, którzy się w niej chwalebnie odznaczyli. Zaszczyt takowy podług ich nazwania, jest doktoratem *Legum Civilium*, przez skrócenie *D. C. L.*, a odpowiada doktoratowi filozofii naszych uniwersytetów, jakiego oni nie mają. Jest on li honorowym stopniem *honoris causa*, udzielany bywa zarówno osobom wsławionym nauką, jako i słynącym w każdym zawodzie życia publicznego. W miarę więc rozległości pola do rozdawania doktoratu, poczet zaszczyconych nim może być nader liczny a nawet rozliczny, w ten sposób bowiem uniwersytet łączy i nie jako wciela w siebie nietylko to co celuje nauką, zaśluga i urodzeniem w kraju, ale i po za krajem, obdarzając ministrów zagranicznych i samych nawet panujących tym zaszczytem; i niebyło jeszcze przykładu, żeby kto odmówił przyjęcia jego. Na dowód tego najlepiej posłuży tegoroczny wybór na doktorów. Imiona ich podawał hr. Derby, który jest kanclerzem Uniwersytetu, i przyjęte były przez powszechne *Placet* od całego zgromadzenia członków, a niektóre z nich przy najhuczniejszych okrzykach radości oznaczającej powszechne zadowolenie. Wyliczę imiona ich z porządku, jak czy-

tane były z listy: Fryderyk Wilhelm książę pruski, książę Rejent Badeński, hrabia Bernstorff poseł pruski, Mussurus bey poseł turecki, hr. Clarendon minister spraw zagranicznych, hr. Elgin, lord Ashburton, admirał Sir Edmund Lyons, admirał Sir R. Saunders Dundas, Sir Henry Holland M. D., generał Sir Colin Campbell, generał Sir W. Fenwick Williams sławny dowódzca w Karsie, generał Sir Harry Jones dyrektor wojskowego instytutu w Sandhurst, lord Abercorn, Dr. Sandwith i Dr. Barth sławny podróżnik afrykański. — Po ogłoszeniu tej imiennej listy, prof. poezyi Cloughton miał łacińską mowę na cześć fundatorów i dobroczyńców Uniwersytetu; następnie czytano kilka rozpraw uwiecznionych do nagród, między któremi łacińskie poema *Mors Socratis*, i angielskie pod tytułem: „Król Alfred w Oxfordzie za dni dzisiejszych.“ Piękniejsze miejsca tego poematu były przyjęte hucznemi oklaskami przez liczne zgromadzenie alumnów i gości.

Po zakończeniu tego poważnego obrzędu, na chwilę gmach się wypróżnił. Lecz to tylko na chwilę, gdyż jakby dla złagodzenia imponującej powagi akademickiej znowu się cały zapełnił na słuchanie muzyki — a tą Eratą nowoczesną czyli Polihymnią — bo nie wiem jakby właściwiej ją nazwać, była w ten dzień słynna z wdzięcznego głosu Jenny Lind. Zjechała była tam z panią Viardot, by dać się słyszeć w znanem oratorium „Stworzenie“; a miała tylu słuchaczy, że gmach jakkolwiek obszerny, nie mógł ich wszystkich pomieścić, a wiele jeszcze osób stojąc pod oknami, słuchało przedudnych chórów tego najwznioślejszego utworu muzycznego.

Nazajutrz (dnia 5 czerwca) oba Uniwersytety: Oxfordzki i Kambridzki miały zaszczyt mieć posłuchanie u Królowej w Londynie dla złożenia jej adresów z powodu zawarcia pokoju. Głowy (*heads*) różnych kolegów, profesorowie i studenci, stawili się wszyscy w swych akademickich ubiorach, togach i biretach. Przedstawiali widok nadzwyczajny, dziwny i jaki można było tylko widzieć za średnich wieków. Orszak ten poprzedzany przez kanclerzy obu Uniwersytetów, hr. Derby i ks. Alberta (kanclerza Kambridzkiego), ubranych podobnież w togi urzędowe z długimi ogonami, które z nimi nie-

ili słudzy, wprowadzeni byli do sali tronowej, dla wzięcia N. Pani adresów od obu uniwersytetów. Królowa przyjmowała kolejno obie deputacje siedząc na tronie z dyademem dyamentowym na głowie i otoczona całym dworem. Tu naprzód hr. Derby odczytał adres od uniwersytetu Oxfordzkiego, a po nim ks. Albert od Kambrydzkiego. Poczem nastąpiło podziękowanie od N. Pani i prezentacya z osobna członków każdego uniwersytetu składających delegacye.

Takie to staroświeckie obrzędy i zwyczaje można jeszcze widzieć w Anglii. Aleć bo też i to królestwo Angielskie stare, połączające w sobie tyle wieków, z których każdy dokładał cegielkę do jego teraźniejszej potężnej budowy. Wystawcie sobie, gdyby wasz uniwersytet Jagielloński, lub gdyby Sorbona paryzka były z dawną powagą przyjmowane u tronów. Lecz inaczej się stało, wszystko w nich przybrało postać nowości, i wielką jest zagadką, czy nie z wielkim uszczerbkiem dla nauk, a nie większym jeszcze dla społeczeństwa. Nie sądzicie przecię, żeś ślepym wielbicielem tych dwóch wszechnic angielskich: mają one swe wady jak każda rzecz dawna i przestarzała; widzą to sami Anglicy, i parlament od trzech lat gotuje dla obu reformę w celu postawienia ich na jednej stopie z postępem i wymaganiami wieku. Na ich niedostateczność za dni dzisiejszych, na ich wyłączność i zwyczaje prawie klasztorne, nie ślepy był naród Angielski; wznosił i uposażał przeto inne uniwersytety na nowszych zasadach, a między któremi najznakomitszy londyński. Są nadto uniwersytety szkockie i jeden irlandzki w Dublinie — żaden z nich przecię nie zdołał wydrzeć palmy Oxfordowi i Cambridge. A czemu? oto jedynie że są najstarożytniejsze, z istnieniem narodu od wieków zespolone, a tem samem zostały nadal dla niego potrzebą. W nich zbiegają się i łączą, jako w dwóch ogniskach zachowawcze narodu potrzeby i idee; i dla tego uważane są za najstosowniejsze szkoły do kształcenia młodzieży do przyszłych usług tak w kościele jak i w sejmie. Nowsze instytucye nie mają za sobą takich gwarancyj, a przeto jakkolwiek przewyższają je, jak też niektóre rzeczywiście przewyższają w różnych gałęziach umiejętności i nauk, uważane są wszelako przez Angli-

ków bardziej jako instytucje specjalne, aniżeli powszechne, więcej jako zakłady naukowe niżeli narodowe. Narodowość ta pozostała Oxfordowi i Cambridge wyłącznie udziałem. One pielęgnują ją i starannie czuwają nad nią — są prawdziwie *Almae matres*. Wszelką reformę odpychają od siebie jako niebezpieczną nowotność, narażającą narodowość na szwank. W obecnej chwili zacięty spór wiodą z rządem i komisją rządową projekt do reformy gotującą, uporeczywie obstając przy tem, że wszelka reforma jest naruszeniem dawnych ich przywilejów. Sprawa ta wytoczy się łada dzień przed parlament, a wtenczas zobaczymy, na czém się skończy. Nie będzie tam zbywać uniwersytetom na licznych i żarliwych obrońcach, arystokratycznych ich wychowawcach, którzy zwykle w Oxford lub w Cambridge edukację otrzymują.

Prawdziwa plaga jak tu twierdzą spadła na Francję, że zagęścili się tam nad miarę różnego rodzaju spekulacye kolejowe, bursowe, kredytu ruchomego i tym podobne. Wszędzie dokądkolwiek się obrócisz, widać tam *sacram auri famem*, czemu aby żadość uczynić, mienia uczciwie posiadane lub nabyte dla większego zysku puszczane są na hazard z taką zapamiętałością, że szulerstwo i kosterstwo jakich dawniej bywały przykłady, mogłyby w porównaniu z niemi uchodzić za niewinne zabawy. Ogromne fortuny z rąk do rąk jak piłki przerzucają się, dziś zyskane, a jutro stracone. Z bogaczy robią się bankruty, nie sami jedni, bo to byłaby mniejsza, lecz pociągający wierzycieli i tych, co ich uczciwości zaufali w jedną za sobą przepaść i wtrącający liczne rodziny w nędzę i ubóstwo. Do takich należy policzyć świeżego bankruta paryzkiego p. Place, który posiadając własnej fortuny 300,000 fr., żył tak jakby to był nieprzebrany wieczny kapitał, prowadził dom wspaniały, trzymał dom wiejski (pod Melun), gdzie pełno w parku zwierzyny, przyjmował u siebie na polowanie hr. Morny, p. Foulda i samego księcia Hieronima, a 500 bażantów w jednym dniu ubijano w tem wiejskim jego ustroniu. Odkryło się także, że ten człowiek żyjący jako milioner i uchodzący za takiego, gonił osadkami. W drodze do Konstantynopola gdzie miał zakładać nowy *Credit Mobilier*, kiedy wsiadł na okręt

w Marsylii, za długi przytrzymany został. Te długi są milionowe, jakby na szyderstwo, że za milionera uchodził, gdyż samemu p. Pereire który go był przyaresztował, winien jest 5 milionów, księciu Galliera 4 miliony, i tak dalej wielu innym grube summy.

Przykre to zrobiło wrażenie na bursie i wywarło zły wpływ na cyrkulację papierów. Obawiać się należy, żeby przy mnożących się podczas pokoju różnych przedsiębiorstwach u was, podobni spekulanci, zbiegi z własnych krajów do was na pomoc nie zbiegali się. Ostrożność wszelką radziłbym zachowywać względem przybyszów obcych.

Miał wielką rację hr. Montalembert widząc taki schorzały stan społeczeństwa, kiedy niedawno w Izbie prawodawczej wyrzekł: *Ces fortunes scandaleuses faites sans travail, sont également sans honneur.*“ Te gorszące majątki tak bez pracy nabyte, są również i bez honoru. Izba wiedziała do kogo te słowa były wymierzone. Niedziw przeto, że je pominięto w protokóle podanym przez sprawozdawców, na co szlachetny mowca miał słuszny powód uzalania się przed prezesem Izby hr. Morny. Przez jakiś szal trudny do usprawiedliwienia, bo niezgodny z dostojenstwem które piastują ministrowie i najwyżsi urzędnicy francuzcy, wdają się, jak to tutaj utrzymują powszechnie, w hazardowne przedsiębiorstwa, trudnią się grą giełdową, a mając pod swym zarządem telegrafy i ledwo nie losy narodów, nie dziwnego, że się im ta gra udaje. W Anglii gdyby się coś takiego okazało, usunięto by ich z urzędów; we Francyi przeciwnie, puszczą się to im płazem, a wyższe klasy pociągają za sobą niższe, osobliwie mieszczańskie, które tym samym niebezpiecznym idą torem. Hr. Montalembert przypisuje ten spodlony stan kraju upadkowi życia politycznego, skrópowaniu prasy, która będąc tłumaczem opinii powszechnej i jeszcze niezwichniętą, mogłaby hamulec na nadużycia nałożyć; tak zaś duch narodu nie mając szlachetniejszego zakresu i celu do osiągnięcia, musiał koniecznie w inny kierunek rzucić całą czynność swoją i na nieszczęście opanowany został gorączką spekulacji, niepohamowaną żądzą zysku — zysku już nie dla dobra powszechnego, lecz jedynie dla dogodzenia osobistym widokom i chuci. To skrzywienie dążenia w wyż-

szych i świetlejszych klasach, wpływa zdaniem hr. Montalemberta jak najszkodliwiej na niższe i mniej oświecone warstwy ludności. Nie widząc dobrego przykładu z góry, tworzą one między sobą sekretne towarzystwa na najzgubniejszych zasadach i popuszczając cugli dzikim namiętnościom, pod zasłoną socjalizmu krzywdzą i plamią rozkiełznaniem swém samą ideę społeczną. Jawny dala z siebie tego dowód towarzystwo tajne (*Marianne*) odkryte niedawno w Angers, i jak hr. Montalembert twierdził, że częstokroć osoby stawiane przed sądy w Paryżu jako i na innych miejscach, tchnęły tą samą zarazą. Wszystko to nie dowodziło zdrowego stanu społeczeństwa we Francji; zagęszcza on między wyższemi klasami samobójstwa, z powodu utraty majątków, a dla ubóstwa co nie niema do stracenia a wszystko do zyskania, staje się podniętą do zaburzeń.

I w Anglii daje także się spostrzegać częściej niżeli za lat dawnych, ta szkodliwa żądza rychłego bogacenia się spekulacyami i nieprawemi zyskami; bo nie mówię tu o zwyczajnych korzyściach kupieckich, które są prawe i odbywają się z dobrem kraju. Tu jednak złe z innego pochodzi źródła, a jest niem próżność, chęć wyrównania zbytciem wyższym klasom, życie nad dochody, a przeto kosztem wierzcicieli i ze szkodą społeczeństwa. Nazwać to można po prostu oszustwem (*swindling*). Wielu w Anglii bywa takich, co jedynie z tego żyją, i można ich spotykać figurujących w pierwszych towarzystwach. Niektórzy dorobiwszy się grosza w kupieckim lub rękodzielnyim zawodzie, nieograniczają się do życia w mieście i przy swych kantorach, lecz tracą kapitały na kupno majątków ziemskich, na utrzymywanie kosztownych koni i domostwa, lub też rzucają się w różnych kierunkach, na rujnujące spekulacye, dopóki obciążeni długami i niemogąc ich dłużej zaciągać, podają się sami lub podani bywają przez wierzcicieli za bankrutów. Takiego właśnie losu doznał tu obecnie jeden budowniczy okrętów na Blackwall, nazwiskiem Mare. Dochody jakie z swego rzemiosła miał były znaczne, i bezwątpienia mogłyby wystarczyć mu na wszelkie potrzeby, gdyby się był ograniczył swym stanem a nie puszczal się przez próżność na rzeczony spekulacye. Wliczam tu tylko poniesione przez niego straty; bo to

ciekawą rzeczą, ile taki budowniczy miał i ile marnował. Miał majątek w Chestershire, na nim stracił 42,000 fst., miał konie wyścigowe w Newmarket, na nich stracił 17,448 fst., miał drugi majątek w Staffordshire, i na tym stracił 8,000 fst. W pierwszym majątku na samo zagospodarowanie się i różne ulepszenia wydał 22,000 fst. W Newmarket majątek był wartający tylko 11,194 fst., a wydatek na budowę stajen, cieplarnie i inne upiększenia 14,753 fst. Kogo tu nienderzy ta niezmierna rozrzutność grosza nie swego ale pożyczanego na to marnotrawstwo? Czy nie uczciwiej byłoby mu żyć przy dokach londyńskich, budować okręty, niż odgrywaniem roli dżokeja rujnować swoje i cudze mienie? Ale tak próżność chciała, tak mu doradziła. Co więcej, zapragnął był przed kilką laty zostać członkiem parlamentu: rozrzucił 16,000 fst. między wyborców w Plymouth na zakupowanie wotów; przekupstwo to było mu dowiedzione, i wybór został unieważniony. Założył tam nawet swym kosztem dziennik który teraz sprzedany został za kilkaset funtów. Taki jest obraz jednego utracjusza, a jakich zdarza się często widzieć w kupieckiej i rękodzielnej klasie, psujących dla niej kredyt i sławę w rzetelności. Między wyższymi klasami podobnie się dzieje. Awanturnicy z niczego przychodzą do wielkiego znaczenia, wziętości i nawet wysokich urzędów; ludzą mniemanem bogactwem, majątkami które zaciąganiem długów sobie przywłaszczają; lecz miara w końcu przebiera się, i ohydne ich oszustwa i całe przebiegi wychodzą na jaw, a kończą się zgrozą. Takim był ów Sadleir, o którym pisałem, co trucizną odebrał sobie życie, i takim był zbrodniarz Palmer, który znów innych otrował aby ugasić żądzę zysku. Lecz ręka sprawiedliwości go dosięgła, dnia 14 b. m. ukarany został szubienicą. Przed kilku dniami p. Ewart zapytywał w Izbie niższej, czy rząd zamierza wnieść tego roku projekt do zniesienia zupełnego kary śmierci? Od kilku lat był to ulubiony zamiar filantropów. Lecz w obec takich zbrodni jak z zimną krwią i rachubą była popełniona przez Palmera, jakże rząd mógłby pozbawić kraj jedynego środka surowości do ukarania takiego winowajcy i powściągnięcia nadal innych od popełnienia podobnego występku? Naturalnie,

p. Ewart otrzymał odpowiedź, że niniejszy rok nie był na to sposobną porą. Pomimo tego, mityngi zwolowane są na poparcie projektu p. Ewarta, i jeden taki odbył się niedawno w London Tavern. Mówiacy o tym przedmiocie nie uważali kary śmierci ani za środek zapobiegający ani też odstrasżający, owszem jako demoralizujący tylko lud. Opinia publiczna brzydzi się i potępia owe krwawe widowiska gladyatorów walczących na śmierć z sobą, olbrzymich Daków na noże, lwów afrykańskich w cyrkach szczwanych psami, jakie bywały u dawnych Rzymian. Dziś cywilizacja i ludzkość wołają o łagodność i dozwoleńia czasu do opamiętania się i skruchy nawet dla największych zbrodniarzy. Czyni się to na zasadach chrześcijaństwa i postępu oświaty.

W City u p. Sennings wystawione są na widok publiczny dwa ciekawe rysunki Sebastopola: jeden wyobrażający to miasto warowne i obszerne doki, w całej świetności jak były odrysowane przez kapitana Simeonowa roku 1848; a drugi po zburzeniu w teraźniejszym ich stanie, z fotografii sporządzony za pozwoleniem ks. Gorczakową przez Wasiłowicza polskiego artystę. Widok tych krwią zboczonych ruin wzięty był podobnie jak pierwszy ze wzgórza Sewernaja, czwartego dnia po upadku Sebastopola. Niepodobna silniej oddać okropności wojny: tak wybitnie one okazują się na tej fotografii. Próżno oko śledzi, aby choć jedno upatrzeć miejsce niedotknięte, nie noszące na sobie znamię zburzenia. Porównywając tę fotografię z obrazem pierwszym, nie znajdziesz tam murów olbrzymiej warowni ani żadnej budowli któraby była do poznania z całego niegdyś tak pięknego i malowniczego miasta. Wszystko zamienione w kupę gruzów, poroztrącanę, podziurawione, ziemia porwana strzałami, a co nad nią to okopcone ogniem jakby na obszerném pogorzelisku. Wielkie składy i twierdze przez eksplozje leżą zamienione w kupy gruzów. Wszystko to jak na każdych dobrych fotografiach wydane na zmniejszonej skali czyli w miniaturze z uderzającą wiernością, bo bez bojaźni, bez faworu i bez afektacyi. Efekt największy pochodzi z porównania i kontrastu Sebastopola jakim był, a nigdy nie będzie widzianym, i jakim jest obecnie, kiedy upadł pod straszliwym ciosem wojny. Nic z niego rzeczywiście nie po-

zostało. Istnienie jego dziś tylko punktem na mapach i pamiętą przestrogą dla przyszłych pokoleń.

Nie wiem jakie u was jest zdanie o mesmeryzmie, ale tu nie stracił on zwolenników. Mieli oni tego tygodnia publiczny mityng i w odczytanym raporcie rocznym chlubią się z tego, że za pomocą mesmeryzmu dokonywali kuracyj, na które zwyczajne lekarskie środki nie były dostateczne, ani skutkujące. I tak mieli w kuracyi w ogóle 237 pacyentów, z nich 49 przywróconych było do zupełnego zdrowia, 5 prawie już zdrowych, 55 doznało znacznej ulgi, 47 przychodziło do zdrowia, a jeden tylko umarł. Mają osobny składkowy fundusz z którego opędzają kosztą kuracyi. Dr. Elliotson stoi na czele tej szkoły Mesmerystów.

Wenecya w czerwcu.

Kiedy tyle miast stawia do waszej Kroniki miasto Dozów nie może w tyle pozostać. Pogwarzy i ono z pośród swoich lagun z pod marmurowego świętego Marka kościoła, by przypomnieć sobie i całą dawną świetność, bo jej dzisiejszej miarą są ciasne jej uliczki. Kamienie przetrwają; architektura, ta stwardła w kamień muzyka, wypowiada nam w tém co tu wielkiego, majestatycznego, oryginalnego utworzyła, jaśniej tajemnicę potęgi i dzieje Wenecyi, niż wszystkie Tycyany i Tintoretty, które w swych pinakotekach i kościołach chowa. Ale niech bez obawy będą wasi czytelnicy i — czytelniczki, nie o tém wszystkiém im nie powiem, co *handbook* lepiej im wyjaśni lub Orgelbranda polski „Podręcznik,” co mi się przy licznych francuskich przynajmniej w jednym egzemplarzu u podróżującej po Włoszech polki widzieć zdarzyło. W ślad pójdę w tej mierze za waszym rzymskim sprawozdawcą, którego skrupulatnie omija termy, łuki, wieże i wodociągi.

La bella Venezia daje mile odetchnąć po innych Włoch miastach. Tak Odyssowi być musiało na opasanej morzem

wyspie Kalypso, na której i tu nie zbywa błogo, komu traf nadarzył być boskim synem Laertes, ale biada komu Circe nie szczerdzi metamorfozy. Nie oryginalniejszego jak *la città dei dogi*, ale choć z wszystkich włoskich miast najwięcej żywiołu kryje słowiańskiego, najmniej tu natrafić Polaków. Grona ich takiego jak indziej nie zdobiesz. Wina tego zapewne w posępnym miasta wejrzeniu: Wenecya jest piękną, ale smutną jak czarnemi są gondole na jej wodach, jak melancholiznem uderzenie ich wioseł w cichęj nocy księżycowej. Już Rada dzieściu nie zebrana w Dożów pałacu na wyrokowanie nad Marinem Falierim; porządek największy, zabaw nie brak, a jednak wszędzie indziej aż do Neapolu Polaków więcej, choć niemniej tu skarbów sztuk i piękności, co umysł i oko nasycają. Woda jest niepokoju symbolem, a Polak zwierzem lądowym, trzeba być amfibią, żeby się u siebie czuć w Wenecyi, aklimatyzować się tu nie łatwo.

Jak trumny wyglądają czarne bark baldachimy, które z wieczorem wzdłuż kanału wielkiego na brzegu wioślarze składają i weselszą wtedy przybierają postać fiakry morskie na wieczorną zapraszające przejażdżkę. Nie trzeba przybywać nad laguny z wygórowaniem poetykiem usposobieniem, przepelnionem hexametrami niemieckimi autora fatalnego widelca. Platen może słyszał jeszcze barkarole; płynąc do ogrodów Napolena i pełen reminiscencyi z Verdegó oper, zaintonowałem sam, by niemego gondoliera pobudzić, piękną z Nieszporów sycylijskich barkarolę, ale moje solo bez odgłosu, takiegoby prędko powodzenia doznało, jak proza pana Lecomte w tutejszym teatrze ś. Benedetto, kiedyś *fascheggio* podług wyrażenia dzienników włoskich — bo *Sclavus saltans*, ale rzadko *bene cantans* — gdyby zemną płynący Neapolitańczycy melodyi po manowcach błakającej się nie przywiedli na drogę powabnych kadencyj. W bliskości każda piękność traci, nie tylko kobieca; choć więc i gondolier nie zaśpiewa, tyle uroku w lagun perspektywie, że ubolewać mi przyszło nad pewnym cudzoziemcem, co razem z nami przybywając do ciasnego passażu, rady sobie dać nie umiał, jakby równocześnie oczy bolejące i nos fetorem drażniony jedną zakryć chustką, — bo drugi z Estetycznych Zarysów Siedmiu i w tem ład odkrywa este-

tyczny. Uderza płynącego nocną gondolą słabe światło dwóch małych lamp tonących w morzu światła jasnych, którymi cała dół kanału okryta. Co noc się tak pała od wieków na pamiątkę niewinnie skazanego Fornaretto (bohatera opery Sanellego) jedyna, co krom nazwiska przypomina straszliwy *ponte dei sospiri*. Jęki zamiast nily się na wzdychania i przeniosły do położonego obok *hôtel royal, na riva dei Schiavoni*.

Tam w *albergo di Danieli*
Jeden z naszych łani anieli.

„Gwiazda Północna“ w swoim powolnym pośpiechu na północ, zatrzymała się nad lagunami i wreszcie tak pewna jak zwyczajna zwycięstwa, wzięła *il Moro in Venezia*, powiodłszy do róg sweich mimo zamku bieżącego i Desdemony, która na przekór Szekspira rolę zazdrości na siebie brała.

Utrzymują, że murzynów — t. j. wenecki Szekspira, nie jest murzynem, historycznie, że się tylko zwał *Moro* i był jenerałem czy też dyplomata tak białym, *tout comme nous autres Polonais*. Zresztą to naniejsza, łatwo do tej pomyłki Szekspirowi, kiedy tu nie rzadko, jak np. w hotelu pod księżycem — który przy wzmiance o gwiazdach przychodzi mi na myśl polecić jeżdżącemu — pod oko wpada murzyn olbrzymi nakształt karyatydy za kandelaber służący. Gaz w jego rękę rozświetlony daje znak że już czas na zająkanie wieczornych sorbetów. Gorąco minęło, teatr od piątej otwarto zamknął się, cały świat elegancki zbiera się na *piazza di s. Marco*, gdzie przez dzień cały lewanekiej rasy gołąbki spokojnie się przechadzały od przechodniów chętnie łakociami karmione. Skrzydlaty łow na swej kolmanie ginie w zaciemnionem przestworzu; s. Teodor, pierwszy przed Markiem patron miasta, z jednej, księżyc również z wysokości z drugiej strony przygląda się ciekawie tłumowi pstrokatemu i wielojęzycznemu, co rozsypał się na krzesłach głównie przed wielkim *Café Florian*, krom którego na okół placu jeszcze zewnętrznie jest innych, otaczając austriacką kapelą, między europejskimi i innymi wojskowymi odznaczającą się dohorem

muszykusów i grą melodyjną. Po zakończeniu militarnej gry *guitara* i *mandola* czyli *liuto* odzywają się, ale w obec już coraz przerzedzającego się świata, bo chłód wieczorny i krzyki gondolierów do bark wabia. Taką przejażdżką do późnej nocy kończy się dzień każdy w Wenecyi. Wieczorem jeżdżą po lagunach na ochłodzenie się i *per far l'amore*, bo tu odmienny żywioł i miejsce na to odmienia, którem w innych miastach jest okno, gdzie się na *dolce appuntamenti* luba lubemu ukazuje. Dniem tam jeżdżą po interesach, barki są drożkami, koni ani na lekarstwo. Był tylko jeden, co zbytek taki sobie pozwolił, po którym do dziś tu pełno wspomnień i dużo ekstrawagancyi pamiątek *dużych*, lord Byron, ów Albionu *Nostradamus* — z różnicą wielką, że *noster Adamus* nie zacierał nigdy życiem, przez co pismem zasłynął — i jak ów na wyspie Lido, tak był i drugi jeszcze, co w Wenecyi cugi trzymał, nie ocuciwszy Grecyi Dziaurem, grecki hrabia Papadopoli; dziś już po nich niema śladu końskiego.

Tak do późna gondolując nie dziwne że Wenecyanki i Wenecyanie, szczególnież Forestieri tu przebywający z kogutami się nie budzą, bo tylko u nas z kurami idą spać, jak niedawno musiałem usłyszeć z młodych ust. Za to *nasze* kury codzien jaja znoszą. Poczołwe nasze dobra zwyczaje, uciészne wioski które Pan Bóg pozakładał, djabłu pobudowanie miast zostawiając. W miastach tylko też lęgną się *sigisbei, affidati, custodi*, do nas i Amerykanie nie znajdują tak łatwo przystępu, którzy na wojażu towarzystwo polskie łączno polubią. Ale — do kogutów wracając, nie można mieć za złe odmiennego od naszego trybu życia przy niezdolnym skwarze. Gorąco się terażi przez trzy miesiące codziennie wzmaga, w Wenecyi jeszcze znosienniejsze, przynajmniej przez większą część dnia niż indziej. Właściwa więc *la bella stagione* jest tu w czerwcu, która w tym roku zaczyna się szczególnie świetnie. W teatrze *Fenice* już próby się odbywają na *Guillemo Tell*. Wenecyanie będą mieli zasługę powrotu do Rossiniego i dawniejszych maistrów; na tę operę oczekują najlepszą dziś w Włoszech żyjącą primadonnę *Medari*, która z Wiednia na dwa lata idzie do Paryża, na co krzywem okiem patrzą Włosi i zapowiadają *sfortuna*. Upadek hr. Capranica - Ristori w opi-

nii Włochów zaczął się od pójścia do Paryża, co ja przedtém w tutejszém s. Benedetto na ręku noszona. Krom opery wielkiej proza i opery na pięciu innych teatrach, teraz w jednym *Malibran* tylko Alfieri ubóstwiany i *Commedia*. — Uświetni ku końcowi czerwca *la stagione del' estate* inne jeszcze widowisko od lat zaniechane, *la Regata*, wyścigi barkowe. Gondola w tym *steeple chase* wygrywająca znaczną otrzymuje premię. To też pieści się gondolier i śpiewa ze swoją barką jak Arab z dzianetem swoim, że aż zrosną w jedno, jako to myt o centaurach prawi. Ktoby nie chciał być Petrarką i być Laurą, ze swą barką?

Florencya w czerwcu.

Gdzie dwór, tam stolica więc i miasto Kwieć zazdrośne na swoje koleżanki i pragnące należne swoje wśród nich zająć miejsce, wam i waszój Kronice powonne swe z pośród róż posyła pozdrowienie. Korespondent wasz z nad Tybru snąc daleko mieszka od Watykanu ani zaprzęta się nadto sprawą religijną, lubo Romasanta nie od zabawy przydomek ten dzierży. Tém mniej ta gratiosa Firenze takich relacyj dopuszcza i chwilkę tylko zajmę wiadomością podobną z małej tej nibyto Sodomy.

Dziś kiedy zakon Jezuitów do dawniejszej coraz wzrasta potęgi wzdłuż Italii aż na północ Europy i na drugiej ziemi części, tu co do liczby najslabiej się przedstawia, trzech ich tylko jest tego zakonu, prywatnie mieszkają i kościołem ich jest kapliczka familii Strozzi, ale mają na czele innego Antoniewicza w osobie ojca Franco, który sam za dziesięciu i każe i czynność zbawienną rozszerza. Temi dniami dopiero potwierdzono projekt kolei żelaznej z Bolonii na Ankonę do Rzymu. Ztąd szyny wprost wiodą tylko do Sieny, ale i tak Florencya nie dość oddalona od ogniska katolickiego, żeby nie mieć podobnych do rzymskich korporacyj, zwyczajów i obyczajów religijnych, jakie się oku zewnątrznie w różnorodności habitów, w ceremoniach pogrzebowych i pochodach przedstawiają. Wpływ duchowieństwa na

lud tutejszy jest wielki. Po każdej mszy ciśnie się w takie ilości na pocałowanie ołtarza, do miejsca, które kapłan przed chwilą zajmował, jak rzadko nawet w dalszych Włoszech widzieć się daje.

.Święto Bożego Ciała nie było tym razem tak uroczyste, jak tu bywa, dla nieobecności dworu i choroby arcybiskupa Minucci, ale jednak i mimo rychłej godziny tłumy ludu zalegały place i ulice a strojna Florencya balkony lub kościoły, a to pochwały godne, bo *giga* jest dewizą Fiorentinów, co więcej, zabawa w późną noc. Należy do złego tonu zjawić się w salonie przed dziesiątą a tańce mimo gorąca do porządku dziennego. Nie potrzeba na to balu zapowiedzianego, pary zawsze ocho-
cze po odśpiewaniu wśród grzmiących oklasków tutti-frutti z oper Verdeggo, stawają do Lanciera-gęsiego, ułatwionego miękkimi dywanami, a oto wieczór muzykalny z rozkoszą balu połączony, od którego poważniejszą tylko część towarzystwa splinowski whist wyłącza. Ale nie myślcie, żeby tytułowa nazwa tych zebrań była tylko od biedy dana, produkcyje muzykalne tylko złem koniecznem, jak to indziej bywa z znieważeniem przyjęte a czémprędzej opuszczone. Bynajmniej! z największem zajęciem przysłuchują się po tysiąc i pierwszy raz aryj faworytalnych i wynagradzają produkujących się tém, czem primadonnę na scenie. W dobór dylettantów oboj jej płci obfituje tu zawsze salon hr. Graziani, co sam grą pianową celuje; uprzejmość gospodyni z nad Sprei wabi co tydzień amatorów z wszystkich narodów na okół siebie.

Straszy mię obawa wyrzutu, że laury pana Jules Le-comte spać mi nie dają, którego świeżo tutejsze lokalne pisma obwiniają, że krytykuje co drudzy chwalą et vice versa, nie rozszerzę się więc o tutejszych towarzystwach, jak to w niedobry sposób niedawno uczynił autor „des Salons de Florence“. Trudno w ogóle miarę trzymać w tej rzeczy, bo jak bądź wołają: si tacuisses! — Co nas bliżej obchodzi, polskie grono jest szczupłe, i to większa część wracających z Rzymu, których tabellaturę wam daje skrupulatnie korespondent tamtejszy. Maj jest porą ściągającą tu swojską i zagraniczną arystokrację, w tym roku spóźniono się nieco. Z osiadłych tu forestierów jest najwięcej Anglików i Rosyan.

Liczbą pierwszych zaś takich przeważa, czego dowodem na sklepach artystycznych zbiorów napisy często tylko angielskie. „Na co po włosku,” uważają się „kiedy tylko do Anglii sprzedaję?” Jak Poczdam mieści kolekcję dymissjonowanych praskich jenerałów, tak tu z ekonomicznych powodów przesiedlają się kapitanowie angielscy. Bo w ogóle, gdzie zobaczysz familię angielską jeżdżącą po stałym lądzie, możesz być pewnym, że należy do mniej bogatych i dla oszczędności robi tour trough Europe. Z Polaków mało ma stałą tu siedzibę, kilku nad wolę dłużej tu przytrzymanych od lekarza, niby to dla zdrowia, — jakby to i nasze powietrze nie było czyste i zdrowe! właściwiej zaś że mu się dzienne Franceschini z polskiej kieszeni podobają.

Ognisko nie tylko Polaków nad Arno przybywających, ale i włoskiego świata wyższego aż do Grandukessy stanowi salon od lat kilku tu przemieszkującej pani Strzyżowskiej. W Florencyi nie być u niej, jest to samo, co z Rzymu wyjechać papieża nie widziawszy. Godna to siostra pani Colloredo, o której wam z Londynu doniesiono. Polskiem sercem i ojczystym polskim językiem rodaków przyjmuje. Trzy godziny przedobiednie od 3ej do 6tej drzwi się nie zamykają u niej od ciągłych odwiedzin. Wiek nie pozwala recepcji wieczornej, choć na jej humorze i zdrowiu nie zostawia śladów. Na jej zapytanie: quel âge me donnez-vous donc? Włoch jakiś odrzekł: vingt-huit ans! — Taisez vous, petit flatteur, j'en ai déjà trente cinq! i tym żartem doskonale oznaczyła peryod lat, do którego się zwykły dzisiaj kobiety przyznawać. Że już ma niemal 40 latów więcej, lubi powtarzać, i jest to druga dopiero kobieta, która nie tai się z swoim wiekiem, jaką w życiu zdarzyło mi się spotkać. Codzień nowe jej bon-mots są powtarzane. Z jaką radością dalem jej racją na twierdzenie, że niema jak polka dobrze wychowana, lub podług wyrażenia autora Mohorta i St. K. jak się uda, i w ułożeniu i w powabach aż do późnej starości; choć i bez restrykcji umiująca jest zawsze, o czém ta szeroko rozpowiadają. Na jednę z recepcyj u dworu odebrano już nie na onych deskach, które świat znała, ale w samym świdie Szklankę Wody; imię Improvisowanej

lady Marleborough z greckiego pokój sławne, Bollingbroka samby Seydelmann się nie powstydzil.

Ładne towarzystwo zbiera się co czwartek w salonie hr. Dzieduszyckiej, której udatne córki tradycyjną przyjemność polek w pamięci Włochów odświeżają. Na jednym z tych czwartków, zajął mię młody Etruryjczyk ukiadnością i niezwykłą, hyperwłoską żywością. Tańczono, proponowano mazurka, do którego tu zawsze amatorów i znawców w Florencyi znajdzie. Ow pan Capelli, prowadził tańcząc tak z mazowiecka, że już nie wahałem się po polsku doń przemówić. Po matce Litwinie urodzony w Polsce od lat już siedząc w Toskanii nie przestał kochać język matki, którym najczęściej mówi. W tem właśnie ta wielka różnica między cudzoziemcami i Polakami na obczyznę przeniesionymi, że ostatni swój język pielęgnują jako drogą pascizną, pierwsi zaś na wielkim świecie, kiedy swoim chcą mówić, wpiers się niby usprawiedliwiają: „Lubię też bardzo mówić po niemiecku.“

Żeby się z waszym dziennikiem i Dodatkiem tu spotkać, trzeba by daleką wprzód odbyć podróż, która wszakże się wynagrodzi ze wszech miar. Niedaleko za porta Pinti uderza swoim położeniem i najwspanialszym widokiem na miasto spodem leżące jak w kotle kwiatów i drzew Villa Dante, dawniej obok tego, miano willi Poniatowski dziś Buturlin nosząca. Gdyby rajska natura potężniej nie przyciągnęła do siebie, miałbyś tu w pałacu sposobność zapoznania się z najcelniejszym zbiorem arcydzieł katolickich polskich i wszystkich języków, od Venturów i Balmesów do Fabrów nie zbywa tu na żadnem. Pod górę najciadniejszą drogą, zaszedłszy za Fiesole widziałem przed sobą na najwyższym punkcie jeden z owych zamków, którego opis wyszukać sobie u Walter Scotta. Skwapliwie żeby czem prędzej dojść, przedzierałem się po kozacku, omijając dalszą po gościńcu drogę, przez jaz i kamienie. Nareszcie stanąłem na wyżynie, w grodzie pagórkowym i. e. Castello di Poggio. Panoramą zachwycające, powietrze tchu najczystsze! Posiadłość dawniej Mantellinich dzierży dzisiaj malarz polski, hr. Boratyński. Taka siedziba musi twerzyć potęgę, wykształcać talent już od natury dany. To też Boratyński zamiechał swój pracowni w Florencyi i sta-

dyum swe pełne najrozmaitszych malowideł, od portretów i przygodnych do pejzażów przeniósł do dawniej baszty. Szybko tam się zapomina, że się w głębi jest Włoch, i pan grodu i syn i ludzie po polsku przemawiają, po polsku cię goszczą. Po komforcie i gustowném urządzeniu ustronia poznasz że niewieścia delikatna ręka jednej z cór Albionu tém wszystkiém włada, salonów ściany zdobne w widoki, sceny i szkice wysokiego talentu, utwory właściciela grodu. — Drugi malarz rodak osiadły w Florencyi, Fannhausen, krom własnych prac znakomitych posiada bogaty zbiór antyków.

W ogóle z artystów przeważająca liczba jest malarzy, którzy w Café Michel Angelo się schodzą — a gdzie malarki, których także potężna liczba, już tego nie wiem. Kto ich ciekaw, niech się pofatyguje do Uffizj. Raz, nienasycony jeszcze freskami boskiego Krawca w s. Maria Nunciata, którego śpiewak Grażyny nad Rafaela nawet przekładał, chciałem sobie więcej odszukać tych Andrea del Sarto w galeryi Uffizj. Zastałem tam kopiującą zagadkową istotę. Artystka francuzkiego nazwiska, polskiej krwi, niemieckiego wychowania, od Anglików uwielbiona, którzy na każdy jój dowcip ledwo z poza płotu jój zębów wymykający się, już w zachwyceniu powtarzają: „Oh, yes!“ — i zawsze nic więcej jak „Oh, yes!“ — pracuje ona pilnie w galeryach lub poobiednie wieczorne godziny widzieć ją można wraz z panią Solms i tu admirowaną jak wszędzie, tejże siostrą p. Adelina Weiss i z całą arystokracją florencką na *Haszynch*. Jest to miejsce przejażdżki i przechadzki eleganckiego świata, jak Corso i Longchamps. La cascina jest właściwie miejscem, gdzie się cascia (sér) robi, ztąd ma wspinały park niedaleko dworca, dokąd pyszna platanów alea prowadzi, swoje nazwisko. Co czwartek i co niedziela tu kapela gra, ale codzień pełno tu karos, kolas i faetonów. Jak ów Niemiec, co w ambarasie rozmowy, zawsze zaczynał: Czy pani lubisz sera? tu ledwo sobie dadzą czas na przywitające Addio, by rozmowę zagaicić: Co słychać na Kaszynch? Kto był wczoraj w Hassynch? Co dopiero wracam z Chassyny. Dant mówi o Firenze „dove il s suona.“ Słuszniej podziwiać Florencję, gdzie *ch* chrapi. Sławna na całe Włochy jest tutejsza włoszczyzna. Polska wywozi swoje córki do Drezna na

nabywanie umiejętności, często z uszczerbkiem języka swojskiego. Aż z Lombardyi oddają tu na pensyą wieloletnią swoje córki, li tylko żeby po *włosku* się uczyły. Sława zasłużona, ale i słuszne przysłowie: la lingua toscana in bocca romana, bo choć Rzymianie więcej śpiewają, to pronuncyacya wykwinutna. Il toscano hammina o va a havallo alle hascine, nigdy a cavallo. Kiedy nie w Cascina, jest w ogrodzie Boboli, za pałacem Pitti. Nad galeryą tego pałacu jest biblioteka Palatyna z listami Władysława IV do Galileusza. Nie mając szacownych Przeździeckiego Wiadom. Bibliogr. pod ręką, wspominam tylko pobieżnie, że w Archivio Mediceo oglądałem cztery Filze pod rubryką Polonia, gdzie listy króla Stefana i rzeczy Władysława IV, bo strach mi zarzutu, że odkrywam jak niegdyś Jastrzębski bazylikę ś. Piotra w Rzymie. Ale co bądź pozwólcie mi jedno nadmienić. Wiadomo, że w bibliotece s. Lorenzo pyszny znajduje się rękopism Ciolka de perspectiva z figurami matematycznymi, konserwowany nie można lepij. Zdarzało mi się słyszeć nieraz, że to kopia współczesna Vitella, nawet że z r. 1221. Tak nie jest. Daję za pewne, że jest z wieku XIV; tak mię zapewniał kustosz uczonej który od dwudziestu kilku lat nad manuskryptami zęby zjadł, a który od razu tak go szacował, choć od lat go nie miał w rękę, i o temże przeświadczyłem się potem zajrzawszy w rozmaite indexa biblioteczne. Śmiał się serdecznie dobry kustosz z dzikięj pretensyi, chcieć odgadywać z charakteru i pisowni manuskryptu, czegoś więcej nad wiek jego. Ani pół wieku oznaczać nie podobna, cóż dopiero dziesiątki lat jak to czasem robi autor Prawodawstw słow. W katalogu rękopism ten oznaczony jako Vitellonis genere turingorum *Germaniae*.... Persp. Biedny Ciolku, ojczu optyki, wiekujący przed Bakonem! Nie mało się kustosz zadziwił, gdy mu mówiłem, że Vitello był Polakiem, i w tekście rękopismu mu wyszukałem: Vitello, filius Thuringorum *et Polonorum*. — Florencya odznacza się grzecznością urzędników publicznych i uprzejmością dla zwiedzającej publiczności. Na kolei żelaznej i w galeryach *mancie* vulgo łapowe rządowemi afiszami zakazane, publiczne zbiory *co dzień* prócz świąt otwarte, w Archiwum (bibliotekarz Bonaini) osobny pokój dla studiujących i kopistów cu-

dziemieców, co bezprzykładnem prawie w włoskich archiwach rządowych, największy porządek i elegancya, najdokładniejsze katalogi, uprzejmość zawsze gotowa bibliotekarzy wszystkich, że prócz innych tylko kanonika Vettori w Laurentiana, i w równie bogatej Ricciardina Zannoniego wymieniam. Nie dziw więc, że Florencya i pod tym względem do siebie wabi. Nie ma też pewnie miasta zagranicznego, gdzie się wjeżdżający tak odrazu czuje jak w domu, gdy przeciwnie indziej dopiero czas przepędzony, stosunki zawarte, miejscowość polubiona nas przywiązuje; tu tęsknota za krajem uśmierza się przy wjeździe, budzi się z czasem; gdzie indziej bywa odwrotnie.

W Florencyi się bawią i umieją się bawić. Il cavovale liczył wieczorami do czterech balów, na które też młodzież w jeden wieczór, żeby razem uczęszczać, musiała naturę Filadelfii wzuć. Guerazzi ledwo trzechby zebrał, gdyby dziś powrócił; tutejsze gazety wychwalały poetę Achille Monti, który pierwszy coś o *patris* zanucił po długim ogólnem milczeniu. Jeżeli Włochy na wulkanie stoją, to Włosi chyba wybuchną podskokiem trzęsionki, która gdzieindziej prawie zapomniana tu obok lanciera dygów główną ośnowę balowych stanowi regulaminów. Nie wiem, czy wiadomo, że ostatni taniec grożący zupełnie wyrugowaniem wdzięcznego kadrila wymyślono w Rzymie na cześć pobytu króla praskiego terazniejszego i tańczono pierwszy raz u Borghezów. Ion wskazuje na popsucie dobrego gustu, jak dyrekeye teatrów znajdują i czas i sposoby na wszelkiego rodzaju opery, a jeżeli zapowiedziana jaka opera klasyczna, to albo la stagione się kończy lub zachodzą inne jakie przeszkody, jak teraz tu *miał* być dany Mozart Don Giovanni. Materyalizm musi iść w parze z wygórowaną żądzą zabaw. Dopóki wojsko austriackie tu było, patrzano na nie niechętnym okiem, teraz go żalują, perohè avevano dei quatrini. — Jest tu sześć teatrów, co wieczór cztery opery otwarte. Wielka opera w teatro Pagliano zachwycała naturalnie, jak wszędzie, operami Verdego. Il cigno di Busseto zmusił do milczenia łabędzia Pezarskiego. Violetta, la Traviata i Nieszpory w Sycylii bez końca powtarzane. Do podziwienia jest takt Włochów, by uczcić zasłużonego mae-

stró ganiąc robociznę. Żeby okazać, jak mizérne H-bretto Scribe w swoich Vêpres porodził, gwizdano na samym końcu, przez ciąg satuki szalonemi swoją faworytkę Albertini i Bancardé obsypując oklaski. Po ich odjeździe w Pagliano, teatrze większym niż della scala w Medyolanie z przepyszném oświeceniem, dają *Poliuto*. i maestra Donizetti, i w dwóch innych jeszcze jest aplaudowany teatrach Alfieri i dei Intrepidi. La prima donna Orecchia śpiewa doskonale, sławny duet „il ston delle arpe angeliche“ wywołuje najfanatyczniejsze oklaski i okrzyki *bis*, ale po Violecie Poliuto, to woda różana na nerwy postronkowe. Dopiero teraz zmierzyc można olbrzymiość wielkiego teatru degli antiche stinche, bo rari nantes in gurgite vasto klaszczą tu owdzie, a po spadnięciu kortyny sykają, bo chcą czego innego. Teatro Cocomero (dla dramatów) daje nową komedią, której sceną Floreneya autor Florentyńczyk, un Anonimo, ale jak wszyscy nonymy od autora Wawerleya, aż do ostatniego i Sermierza z Revenny znany, bo już i znany z innych komedyj. Publiczność zawsze ta sama czy w Toskanii czy w Polsce. Na palcach tu wylieżają nazwiska właściwe pożyczanych figur, jak kiedyś od razu w Tartuffe prezydenta Lamoignon poznano. Jakby sobie więc słowo dano, nie loju tutejszego, jak mówią u nas, nie było w łóżach, młodzież śmietankową w parterze przyjmowała chłodno i *Rispetti umani* szczeniujące arystokrację i dające kronikę zgorszeń, ale podobąło się, że heroina *salvata*, której niewinność się wykrywa przy katastrofie. — Pierwszy akt téj komedyi zapelnia scena w Café, gdzie złota młodzież po północy zebrana. Kto zna wielką rolę włoskich kawiarń, przyzna trafność tego wyboru. Sądząc po nazwach tutejszych poczulby rzeczywiście wulkan kołysający się pod nogami: Café dell'alleanza de popoli, l'unione dei Forti, al Leone d' Etruria, ale że tyleż widzimy składów Sale e tabacchi (bo sól i tytoń monopolem), gdzie cygara hawańskie, a nierównie więcej jeszcze ateliers de Frisori e Perucchieri, gdzie pachnidła ofiarują co trzy kroki i na bale stroją, a w drodze do Cascine tyleż krenolinek pieszo marszerujących, ile w najtyczankach się roztaczających, nabierzem znowu otuchy, że wulkan

ten tylko się kurzy i przygotowuje się jak Wezuwiusz — w gazetach.

Oprócz sądowych gazet i Monitora toscano, wychodzi tu niemała liczba dzienników sztuce, teatrom i *przemysłowi* poświęconych. Jako Nota Bene, bo rzadkość fenomenalną wspomnę, że nowe pismo La Lanterna di Diogene, rodzaj Kladderadacza, drugie pisma choć rywalki *radośnie* powitały.

Florenceya w ciągłym jest postępie, wciąż się buduje, nowe ulice powstają, gazem oświecona cała, bruk w ciosy wielkie, tylko podczas deszczu brudny, bo owo *a suo commodo*, na które jeszcze Goethe przed laty się użalał, zagrodzone nie tylko osobnym ad hoc urządzeniem, ale i innym pociesznym nieco, kiedy się tak godzi nazwać, przynajmniej wymysłem al barocco. Pałace, jak Orlandini, największa część kościołów i inne budynki noszą, często przez długość całej facyaty, ogromne namalowane krzyże z napisem: Rispetto a Maria, Voi chi portate, il nome del Christiano, il tempio del Domino rispettate, i tym podobne. Wszędzie uczczono marmurowemi tablicami dom Alfierego, kamień Dantego. Tylko na dom jego nie miano funduszów, żeby z niepozorności wydzwignąć; stoi na najbrudniejszej ulicy, w najbrudniejszym kącie, zadymiony, z oknami wybitymi, na całą ozdobę napis: In questa casa degli Alighieri nacque il divino poeta. A że Florenczycy tyle mają gustu, rząd żadnych nie szczędzi nakładów, bo nawet z loteryi i tombol zyski oddaje na upiększenie miasta, umiem sobie tak mało to zapomnienie tłumaczyć, jak to, czemu przed Uffizi posagi wszystkie od Danta, Michel Angiolo aż do Amerigo i Galilei głowy mają nakryte, a jeden tylko Benvenuto Cellini w odosobnieniu czapkę pokornie trzyma w rękę? Zapewne przed swoim vis-a-vis Michałem Aniołem, przed którego Aurorą i Nocą w s. Lorenzo ja głębiej zapomniałem zamknąć.

Na wzmocnienie do Cascina i z powrotem na pogadankę o przygodach w Cascina zbiera się złota młodzież w słynnym Café Doney, gdzie ci chcąc niechcąc la Fioraja di Firenze, jak Małgorzata u Fausta ni panna ni ładna, swoje róże wmusza, od której natrętności tylko quattrini lub ucieczka salwują. Żeby nie być o równą

kwieciarce pomówionym natrętność od was i waszych czytelników — bo czytelniczki są pobłażliwsze — urywam na tém, nie mogąc i tak w jednym liście wszystkiego wyczerpnąć, bo co niepodobna, to i być nie może.

Rzym w czerwcu.

Pierwszego czerwca zamknięto tegoroczną wystawę sztuk pięknych, wypada więc kilka słów o niej powiedzieć. Umyślnie odłożyliśmy do tej pory nasze sprawozdanie, bo w Rzymie wystawa obrazów jest poniekąd latarnią czarnoksiężką. Każdemu artyście wolno wystawić prace swoje na parę miesięcy, na tydzień, nawet na dwadzieścia i cztery godzin. Czytaliśmy różne recenzje po włoskich i niemieckich gazetach, nawet i w *Kuryerku Warszawskim*, ale to były zawsze recenzje obrazów wystawionych właśnie podczas wizyty krytyka, a zatem recenzje cząstkowe i przedwczesne. I naszym również zadaniem nie jest rozpisywać się szczegółowo nad wszystkimi utworami, bo sumienne sprawozdanie pociąga za sobą wielką znajomość sztuki, której nie mamy pretensyi posiadać, a do tego liczba obrazów nad którymi się nie warto zatrzymywać jest tak znaczna, iż żadnego artysty lub amatora sztuk pięknych zająć nie może, a cóż dopiero ogół waszych czytelników. Pójdziemy więc na wystawę obrazów, jakbyśmy poszli do pierwszej lepszej galeryi i zwrócim waszą uwagę na te obrazy, które nas najwięcej zajęły.

Chociaż się towarzystwo wystawy zawiązało już przed kilkunastu laty, można powiedzieć, że od dwóch dopiero panowie artyści zaczęli przedstawiać publiczności swoje roboty. Panował dotąd fałszywy przesąd między niemi, że w Rzymie amatorowie sztuk pięknych powinni odwiedzać każdą pracownię z osobna. Do tego trzeba dodać, że za staraniem prezesów margrabiego Campana i p. Cholmeley, otrzymano darmo sale od rządu i wyłomaczono artystom, że można bez żadnego uszczerbku honoru, obraz wystawić i przy sposobności dobrze go spieniężyć. —

P. Riedel, bawarczyk, wystawił tego roku kilka swo-

ich utworów. Jest to jedyny malarz w swoim rodzaju, i chociaż w ostatnich czasach pociągnął za sobą wielką naśladowców, nikt go dotąd doścignąć nie zdołał. Postracie p. Riedla zawsze są ślicznie oświecone. Waleczny z największymi trudnościami i przełamując takowe, umiał on połączyć naiwną prostotę rysunku z kolorytem najlepszych malarzy szkoły weneckiej. Wystawił on portret naturalnej wielkości pani O. i jej córek, chłopkę w ubiorze albańskim i inną wieśniaczkę śniadej cery, którą wymalował po mistrzowsku na tle prawie zupełnie białém; a jestto trudność niełatwą do pokonania dla malarzy chcących zachować harmonię obrazu.

P. Capalti, rzymianin, wystawił także portret wielkości naturalnej. Ten artysta dużego wzięcia i reputacyi, przypomina w swoich portretach Van Dycka.

P. Montessuy, francuz, obrał sobie szczęśliwy temat. Przedstawia on nam chwilę, kiedy biedna wieśniaczka przyprowadza dziecię swoje do wróżki, która jej przepowiada, że jej syn zostanie papieżem. Chłopak mający około lat dziesięciu, przyszły Syxtus piąty, w stroju pastuszym, patrzy się z zdziwieniem na wróżkę, a na twarzy matki jego maluje się wdzięczność i radość. Silny koloryt i wielka harmonia w całości utworu apstrzegać się dają, a wykończenie szczegółów przypomina szkołę holenderską. Obraz ten chociaż nie wielki, został zakupiony za 5000 franków.

W rodzaju potocznym (genre) odznacza się p. Wiedes prusak. Możemy go policzyć do lepszych malarzy bawiących chwilowo w Rzymie. Przedstawił nam dwie sceny z karnawału rzymskiego, kilka portretów pastelowych i akwarelowych, a nareszcie swój własny olejno malowany.

Szkola złodziei, p. Malhyssen belgijczyka. Przywiązany sznurem do sufitu wisi manekin, na którym jest kilkadziesiąt dzwonków. Uczeń stojący na jednej nodze stara się wyciągnąć z kieszeni chustkę bez porażenia dzwonków. Myśl oryginalna, a wyraz osób tego dobranego towarzystwa wyśmienity.

Nie zapomnijmy wspomnieć o cyganach węgierskich p. Muroh, niemca. Dziwną poezją rozlana w całym obrazie. Na dzikim stepie po zachodzie słońca, spoczywa familia cyganów przy tlejącym ogniu, a dwoje dzie-

tek słucha ojca grającego na skrzypcach. Drugi obraz tegoż artysty przedstawia wnętrze kaplicy Sykstyńskiej. Mimo wielkiego podobieństwa Ojca świętego, kardynałów i całego dworu papieżkiego, nie jest nam ten obraz sympatycznym i zdaje się być utworem innego pendala.

Możemy śmiało powiedzieć, że najlepszy tegoroczny krajobraz jest pendzla naszego rodaka p. Alberta Zemetta. Przedstawia on widok jeziora Castel Gandolfo. Dziennik tutejszy *Giornale di Roma*, który jak najenergiczniej sądzi obcych artystów, liczy p. Zemetta do najlepszych pejżażystów w Rzymie. My zaś nie wahamy się twierdzić, że on należy do najlepszych w Europie, lubo mało dotąd jest znany. Natura z dziwną prawdą oddana w jego obrazach; nieporównane stopniowania światła i cienia, pary ubarwione od słońca, które na włoskim widnokręgu czarodziejskie sprawiają widoki, ale zarazem czynią wiele trudności do przeniesienia na płótno. One dymniste głębiny powietrza, one odległości jakoby zasute gazą ze światła i kolorów: wszystko to nader szczęśliwie i wiernie połączone i naśladowane w malowidłach polskiego Claude Lorena. —

Tivoli, krajobraz p. Knebel szwajcara, jest także bardzo piękna robota. W wykończeniu widać wielką pracowitość, ale zarzucim artyście, iż zanadto rozpuścił wodze swojej imaginacji. Jest to ładny obraz, ale nie Tivoli.

P. Lehmann, hamburczyk, ten sam co posłał „Grazie” na zeszłoroczną wystawę do Paryża, dał nam scenę z Karnawału rzymskiego. Kilka szczęśliwie ugrupowanych kobiet stoi w oknie i rzuca kwiaty na przechodzące maski.

P. Walborn, szwed, wystawił bitwę pod Lützen w chwili kiedy ginie Gustaw Adolf. Kopie dobrze rysowane i stroje sumiennie oddane.

Nareszcie powiemy, że najlepsze obrazy olejne były: Dziewczyna z maską w ręku p. Orłowa rosyjanina. — Krajobraz margrabiego d'Azeglio piemontczyka. — Modląca się matka z dziećmi, p. Brula belgijczyka. — Agar dająca piś Izmaelowi, p. Lazzerini włoska. — Widok Kampanii rzymskiej, p. Poingdestre angiłka. Podziwialiśmy także liczne akwarele, krajobrazy p. Müllera niemca i kilka ładnych portretów p. Horraka z Wiednia. —

Ogromne upały wypędziły już z miasta wszystkich tych, co mają jaką bądź tylko pretensją do elegancyi. Panowie rzymscy udali się już do wód lub na *villagiaturę* — dyplomacya pędzi swobodne i spokojne dni po willach we Frascati lub Albano. Jedném słowem, w starym Rzymie cicho, nudno a szczególnie gorąco. I nam także przyjdzie uciekać i prosić was o kilkomiesięczny urlop. Idąc na wieczór artystyczny do państwa Z. wdzialiśmy po raz ostatni frak, który się staje przy tych upałach nieznośnym. Zabawiono się tam z przyniesionej przez młodego rzymianina w rękopismie parody całej kwestyi wschodniej. Występują tam wszystkie narody a każdy z nich figuruje jako jedna z oper włoskich. Tak np. Anglia przedstawioną jest raz jako *Gazza ladra* (sroka złodziej) a drugi raz jako *Il Corsario* (korsarz). I jak tylko ję się uda, to albo cichaczem kradnie, albo jeżeli mocniejsza to rozbija. Dobra także scena jest, kiedy Francya w roli *Viscardello* spotyka *Normę* i śpiewa ję:

La donne è mobile
Qual piuma al vento
Muta d'accento
E di pensier.
E sempre misero
Chi a lei si fida
Chi in lei confida
etc. etc. etc.

a Norma cała ubrana w bieli odpowiada ję:

Qual cor tradisti, qual cor perdesti
Quest'ora estrema tel manifesti.

.....

W teatrze Argentina opera dogorywa. Mamy przed sobą już tylko trzy reprezentacye. Cenzura wypuściła w tych dniach operę młodego rzymianina p. Fenzi, którą nam przedstawili pod tytułem: „*Maria di Biscaglia*“. Opera ta została przyjętą z wielkiem zadowoleniem publiczności i możem liczyć nadal p. Fenzi do dobrych kompozytorów naszego stulecia. Muzyka wdzięczna i

oryginalna, odznacza się szczególniej zupełnie nowemi melodyami. Arya w trzecim akcie odśpiewana wybornie przez barytona Dellesedie, jest arcydziełem świeżości i dobrego smaku. Polecam ją wszystkim diletantom popisującym się po salonach. Zaczyna się przez słowa:

Era pura qual del cielo
Per le sfere l'aura è pura
Jo la vidi e in roseo velo
Mi sorrise la natura.

Jedną rzecz zarzucim p. Fenzi, to jest, że czasami orkiestra zagłusza śpiew i tak prima donna prawie ciągle musi walczyć z trąbami i kotłami. —

Jeżeli nie mam nic do doniesienia nowego z Rzymu, bo tu cicho jak na cmentarzu, to znowu na prowincyi ma się inaczej, dochodzą nas bowiem co dzień wiadomości o nowych rozbojach po drogach publicznych. Doszło to prawdziwie do bajecznych rozmiarów, i nie pojmuję, że rząd nie może temu zapobiedz. Nie mija tydzień żeby kuryerów, dyliżansów lub weturynów nie rozbito na drogach do Florencyi, Ankony lub Neapolu. Posyłam więc przestrozę wszystkim tym rodakom co się wybierają do Włoch, żeby ze sobą nie brali ani za wiele pieniędzy ani zausadto mało. Trzeba mieć przy sobie oprócz listu kredytowego koniecznie przynajmniej z kilka lujdorów. Tradycyjną grzeczność zupełnie zarzucili potomkowie Rinalda-Rinaldiniego, i gdy teraz napadłszy cudzoziemców, każą im robić *faccia a terra* dla rewidowania kieszeń; to skoro nic w nich nie znajdują, przeciwną stronę która się staje *faccia al sole* niemiłosiwie okładają razami. *Avis aux voyageurs!*

Warszawa w czerwcu.

Niepamiętam już który z humorystów niemieckich podobno Heine, opowiadał, że kiedy Pitagoras wynalazł wielki pewnik matematyczny, taki był uszczęśliwiony z tego wynalazku, iż na dowód wdzięczności sprawił bogom hekatombę to jest kazał zarznąć dla nich sto sztuk

bydłał na ofiarę. Od tego czasu skoro tylko pojawi się pomiędzy ludźmi jakie dobre i użyteczne dzieło, zaraz wszystkie bydła zaczęły nań krzyczeć w niebo głosy, bo się boją żeby je na ofiarę nie zarznięto. Oto macie najprawdziwsze wyjaśnienie wrzaskliwej i rozwlekłej krytyki, jaką w ostatnich czasach przeciwko wam wymierzono.

Kiedy już mowa o wystawie bydłał (tym razem bez alluzji) tegoroczna była bardzo nędzna. Z bydła rogatego jeden byczek i to z Warszawy, który żadną miarą nie mógł być przedstawionym do nagrody, kilka niezłych tryków i owiec, parę nędznych szkapin i ot wszystko. Sędziowie wszelkich sił dokładali żeby wynaleźć jakie nagrodowe przymioty w przedstawionych egzemplarzach, ale było to prawie niepodobieństwem. Z jednej strony księgosusz, z drugiej drogote kosztów sprowadzenia i nieodpowiednie nagrody, które ani części tych kosztów niezwracają, jeżeli bydło zdaleka do Warszawy sprowadzać potrzeba, są tego powodem. Ale najważniejszą przeszkodą jest oziębłość samego obywatelstwa, które w czyn wprowadziło znane francuskie przysłowie: *cha-eun pour soi, Dieu pour tous*. Tymczasem korzyść ogółu nieodłączną jest od korzyści jednostek i nawzajem: trzeba to przecie raz pojąć. Niemożemy i niepowinniśmy zasklepiać się w pojedynczych usiłowaniach, bo te do nieczego nie doprowadzą.

A u nas we wszystkim jeszcze widać to sejmikowe *veté*, które choć tajne, nie straciło jednak na swojej sile. Ot niedaléj szukając, tworzone komiteta mające na celu ochronić bydło od księgosuszu. Wszakże ta klęska całemu krajowi dała się we znaki, więc ogół jednomyślnie powinien szukać środków na poskromienie jej, a kiedy znalezione jąć się ich usilnie. Ale choć niektóre powiaty poformowały komitety i wprowadziły je natychmiast w czynność, inne ani chciały myśleć o tem mówiąc że to nam niepotrzebne, że się bez tego może obejść. Aż nareszcie kiedy rząd nakazał wszystkim wprowadzić w wykonanie ten projekt, wzięto się do dzieła ale z przymusem dopiero. A przecież pomysł ten podwójnie jest pożyteczny; zaprowadza on bowiem kontrolę obywatelską, *nie urzędniczą* nad obywatelami, co jeszcze dotychczas u nas nie miało miejsca. W nagrodę

braku bydła na wystawie sprowadzone więcej niż innych lat koni wyścigowych. Zapisów było tak wiele że musiano wyścigi aż na trzy dni rozłożyć. Wprawdzie na programacie figurują zawsze prawie jedno i też same nazwiska, choć tym razem konie książąt Sanguszków ze Sławuty z wielkim kosztem sprowadzone, stanowiły jakąś dywersję. Nieszczęśliwie im szło jednak tym koniom, żadnej nagrody nie wzięły, szkoda, każdy prawie miał dla nich sympatyę.... przez wzgląd na właściciela.

Już to na każde wyścigi mnóstwo mamy obietnic, zawsze drukowane na programacie jakieś gonitwy z przeszkodami, wyścigi samych panów i t. p. A zawsze z tego nic. W najlepszym razie kiedy ma nastąpić taka nadetatowa gonitwa, która nawiasem mówiąc najwięcej ma pojęty dla widzów, jeden koń wyjdzie w szranki, obiegnie metę, i bardzo naturalnie wygra. Po co zawsze obiecywać a nie dotrzymywać nigdy. Tem bardziej kiedy nazwiska zapisanych na takie gonitwy drukowane bywają wielkimi literami dla wiadomości publicznej.

Pomiędzy wysyłającymi konie na wyścigi są tacy, którzy wielką z tego chwałę ciągną, i mają słuszość, bo jedynie hodowaniu koni wyścigowych się oddają. A wszystko z angielską, Żokejów wygrywających prowadzą pod rękę na wino, na dowód że umieją uczyć jenjalność i wysokie talenta, a wykrzykują głośno i stawają na stronie żeby ich każdy widział i wiedział, że oni są zawołanymi sportmanami, tak iż mogą z końmi i żokejami rozmawiać się po angielsku. Tym czasem publiczność zamiast admiringować, śmieje się. Doprawdy że bywają ludzie co z najlepszej nawet rzeczy potrafią u nas robić karykaturalne widowisko. Co wolno Anglikom, nawet Francuzom, tego u nas nie wolno, nie godzi się czynić.

Jarmark na wełnę nie bardzo jest ożywiony. Dotychczas wełny przywiezione jako tako, ale kupno leniwe idzie. Wprawdzie i wrocławski jarmark jak wiecie zapewne, nie szczególnie się powiodł. Szlachta wyrzeka ale trzyma się w cenie.

A tym razem więcej niż kiedykolwiek potrzeba było żeby pieniądze dopisały naszym obywatelom wiejskim. Wprawdzie każdorocznie czerwiec sprowadza do Warszawy nową flotę pieniężną, która z kieszeni szlachty

zasila nasze miasto. Ale w roku bieżącym rachowano na większy przybytek. Nie rachując już loteryi fantowej w Saskim ogrodzie, która bez przesady mówiąc udała się dobrze i znaczną sumę dla ubogich przyniosła, wystawa archeologiczna w pałacu hrabstwa Augustów Potockich urządzona, jest także na cel dobroczynny. A piękna i pożyteczna to nowość. Dla zasilenia tej wystawy otworzyły się skarby znakomitszych zbieraczy naszych, więc też w Polsce nie widziano tak pięknego zbioru, trudno nawet o lepszy i za granicą. Obcych zabytków nie wiele tam, ale polskich mnóstwo i bardzo piękne. Zrobiło się to jakby rodzaj muzeum i bogdaj czyby nie mogła przyjść do skutku myśl utworzenia u nas oddzielnego towarzystwa archeologicznego; wszakże w Wilnie pozwolono. Żywiółów znalazłoby się dość, mamy skrzętnych pracowników na tem polu. I zbiory prywatne bardzo bogate i popęd raz już dany, skoro w resursie istnieją czwartki archeologiczne.

Wracając do wystawy, dochód z niej obrócony na wsparcie Instytutu domu przytułku pod Opieką Najświętszej Maryi Panny. Myśl i wprowadzenie w wykonanie pani Petrów, ale hrabina Augustowa Potocka najwięcej przyłożyła się do utrzymania tego instytutu. Obraca ona na ten cel znaczne fundusze i za jej staraniem wystawa przyszła do skutku. Zaczyna ta i rozumna dama, pojmując obowiązki niewiasty polskiej, pojmując ciężary jakie wysokie stanowisko na nią wkłada i wywiera się z tego sumiennie, a co więcej z wielkim taktem za siebie i za drugich. Z trudnych dla siebie okoliczności umiała ona wychodzić bardzo zręcznie i teraz niedawno rozum jej i takt ukazały się w całym blasku, właśnie kiedy go trzeba było *za wielu* mieć, i jednego i drugiego. *Sapienti sat.*

Nie uwierzycie ile tych zakładów dobroczynnych utworzyło się w Warszawie, ile ich każdy dzień prawie przysparza — Instytut przytułku Najświętszej Panny Maryi, Instytut świętej Marty o którym szerokie sprawozdania mieliście w *Tygodniku Warszawskim*, mnóstwo domów ochron, instytut świętego Wincentego a Paulo dla ochrony ubogich dzieci, i drugi oddzielny zupełnie od tego, do którego najzacieśniej nasze należą. — Wzięły one na siebie obowiązek wyszukiwać ubogich po domach

i wspierać ich — Podzieliły się na oddziały i każda ma swój wyłączny. Piechotę, pojedynczo albo po dwie bez żadnej służby, obchodzą one strychy, piwnice i liche domostwa gdzie się nędza ukrywa. — Poświęcenie własnej osoby cenniejszem jest od poświęcenia pieniędzy. — Te są właśnie zasługi które trzeba na jaw wyprowadzać i wskazywać wdzięczności publicznej

Warszawiacy rozjeżdżają się. — Ułatwienie uzyskania paszportów wywołało mnóstwo osób za granicę. — Wdzieliśmy w przejeździe kilku obywateli z Wołynia, Podola i Ukrainy i dla nich teraz lżej o paszporta, co dawniej nie bywało. — Jeszcze zjazd jarmarczny ożywia na chwilę Warszawę ale wkrótce będą tu pustki. W mieście naszym pozostaną ci tylko, których konieczność przywiązuje do gruntu. Może to właśnie są właściwi mieszkańcy Warszawy, reszta to wędrowne ptaki co przybywają na zimę a odlatują na lato w weselsze kraje.

Mówią o szkole medycznej że ma być zaprowadzoną, ale już dawno o tem mówią, podobno teraz zamiar ten ma wejść na dobre w wykonanie. Istnieje już szkoła sztuk pięknych, przebąkują też coś o prawnej, byłoby to jakby parę wydziałów uniwersytetu. Bogdaj to wszystkie wieści sprawdziły się! Młodzież nasza nie ma co robić z sobą, nie wie czego się jąć wyszedłszy ze szkół; wielkie nieraz zdolności muszą się marnować. Do uniwersytetów Petersburgskiego i Moskiewskiego więcej uczniów wybiera się tego roku niżli w latach zeszłych. Ściągają ich tam ważne prerogatywy nadane studentom po skończeniu tych uniwersytetów. Piszą nam ztamtąd, iż wielu z naszych odznacza się tam w naukach. To nie nowina, zdolności nam nie brak, tylko trzeba mieć gdzie je użyć. Ci z tutejszych, którzy kończą uniwersytety rosyjskie, wychodzą po większej części jako celujący. Dawniej wielu z Warszawian wolno słuchających zdawali od razu całkowity egzamen i co rok kończyli czteroletnie kursa uniwersyteckie. Mieliliśmy kilka takich przykładów. Teraz już tego czynić nie wolno, a może i lepiej, boć to zawsze owoc przedwczesny, niepodobna aby ważne nauki mogły tak prędko strawić się gruntownie. Ale większa część kończących szkoły, którym brak funduszków na wyjazd do Rosyi albo za granicę

udać się na aplikację tu i owdzie. Więc też bióra przepelnione młodzieżą, awanse trudne, niepodobne prawie. Pensye porozrabniane, a tak są szczupłe że niepodobna za nie się utrzymać, zwłaszcza przy ciętych cenach jakie obecnie nastąpiły i ciągle wzrastającej drożyznie. Urzędników niesłychana moc, najmniejsze biuro przepelnione niemi. Sprawa publiczna nie zyskuje na tem, ale cóż czynić, z czegoż ci ludzie mają żyć? Prawdziwa jest bieda z wyprowadzeniem w świat młodego człowieka ze szczupłemi funduszami albo zgoła bez funduszów. Ja sam niepojmuję co robi z sobą ta ogromna liczba młodzieży, która co rok szkoły kończy. Zyskali jakieś początki i to bardzo niedostateczne a potem nie wiedzą gdzie się obrócić. Już to teraźniejsze pokolenie lepsze wprowadzie od tego które kilka lat temu wychodziło ze szkół, bo przynajmniej teraz widna jakaś chęć kształcenia się, szukania jakiejś drogi w świecie, dawniej i tego nie było. Wszystko kończyło się na życiu kawiarnianem, restauracyjnem, lub pohulańkach za granicą, stosownie do możności każdego respective. Teraz przynajmniej młodzi ludzie wstydzą się nieuctwa i chcieliby się kształcić, jest jakiś popęd ku dobremu. Więcej czytają i mają też więcej do czytania. Literatura od pewnego czasu zrobiła ogromny krok naprzód więcej wprowadzie co do ilości niż co do jakości, ale jedno drugie przygotowuje. Kto się zaprawi do czytania, stanie się z czasem wybredniejszym, a nowo nastające potrzeby wyrodzą to co je zaspokoi; tak musi być.

Chciałbym na poparcie twierdzenia mojego o literaturze donieść wam o licznych jakich nowościach, ale niestety prawie od początku bieżącego roku idzie ona kulawą nogą. Tylko jeden doktor Trippin fabrykuje na gwałt swoje romanse po obłokach i po morzu, po łądzie i po niebie, otoczony czterema pisarzami, którzy nie mogą starczyć na przepisywanie i tłumaczenie miejsc zaznaczanych w różnych dziełach. Bawi się w Damascu.

O *Gazecie Codziennej* słyszałem, że ma przejść w inne ręce albo raczej że p. Przezdziecki dobiera akcyonaryuszów. — Jeżeli tak jest, trudno będzie się tam rozemnać pomiędzy tym lasem właścicieli, współwłaścicieli i cząstkowych posiadaczy. Ależ z drugiej strony niepodobiestwo dozwolić żeby pismo peryodyczne upadło, a ma

wielka to byłaby szkoda, a co gorsza niepowetowana. Wdzięczność należy się więc krabiemu Przedzieckiemu, który z taką bezinteresownością i poświęceniem tak długo na to pismołożył znaczne koszty. I teraz nie odbiega on od dalszych ofiar, ale pragnie nie sam ponosić ciężary i odpowiedzialność z wydawania pisma, które z resztą w ostatnich czasach znacznie wzrosło.

Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych idzie coraz lepiej i ilość prenumeratorów ciągle się zwiększa. Wpadła ona na nowy tor, właściwy gazetciarski, drukuje bowiem z różnych stron naszego kraju mnóstwo sprawozdań przemysłowych, handlowych, poglądów ekonomicznych i artykułów poważnych bliżej obchodzących ogół a mianowicie obywatelstwo wiejskie. Dobrze życzący temu pismu pragnęliby jednak, żeby strona literacka więcej tam była dotknięta, i żeby poważna toż jaką się redakcyja osłania, dozwoliła czasem miejsca lżejszym artykułom, chcąc bowiem korzyśćnie działać na ogół, trzeba i dogadzać czasem temu ogółowi który pragnie zabawy. W każdym jednak razie, ze względu na staranność redakcyi i wartość artykułów, możemy śmiało postawić *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych* na czele tutejszego piśmiennictwa peryodycznego.

O nowym popędzie do wydawania pism na użytek młodzieży naszej wiecie już zapewne z gazet. Jeszcze ani zapowiedziana *Zorza*, ani *Rozrywki* nie wyszły na świat, chociaż prospekt pierwszej ogłoszony już. Widocznie nasze autorki zaczynają pojmować swoje stanowisko i sposób w jaki najlepiej będą mogły zużytkować talent, jeżeli je Bóg takowym obdarzył. W niektórych literackich kółkach prawia już o zamierzonym wydawaniu ilustracyi polskiej. Najważniejszą do tego przeszkodą będzie brak drzeworytów, ogromne koszty i niektóre trudności do zwalczenia. Pomimo jednak tych przeszkód, ilustracye mogłyby się u nas udać, i kto wie czy ten pomysł nie przyjdzie do skutku. Samych ilustracyi francuzkich mamy prenumeratorów w Królestwie przeszło pięćset — wszakże to jasny dowód jak u nas gustują w publikacyach podobnego rodzaju. A młodych zdolnych rysowników nie brak, pisarze takżeby się znaleźli.

Mówią tu o innej publikacyi, o jakimś piśmie literackim, które będzie mogło być bardzo *śmiało* redagowanym bez oglądania się nawet na koszt. Ale o tem bardzo mało wiem, więc wolę przemilczeć, dopóki nie zasięgnę pewniejszych jakich wiadomości. —

Bawił tu przez pewien czas Czajkowski Antoni z Petersburga. — Nie ustał on w literackiej pracy, jakkolwiek od dawna nic nie drukuje, podobno w tece mnóstwo ma tłumaczeń z francuzkich i angielskich poetów. — Ale to wszystko czeka na lepsze czasy. —

Faleński młody i utalentowany poeta wydał tomik poezyj pod tytułem: *Kwiaty i kolce*. — W dziełku tym dobrze nazwanem, są utwory poważniejsze i niby humorystyczne. — Drugie szkodzą pierwszym. — Humorystyka nie jest drogą właściwą dla poety, uchodzi ona w piosnkach Berangera, wabi w poematach Alfreda de Musset, ależ to wszystko pisane po francuzku, to jest w języku w którym wszystko ująć może. Heine nawet ten znakomity talent często jest trywialnym. Kto niema talentu Heinego albo Berangera a pisze zwłaszcza w polskim języku, ten niechaj się strzeże tego obosiecznego miecza — zwłaszcza przy pierwszym wyjściu w świat. — A w zbiorze pana Faleńskiego tyle jest prawdziwie pięknych utworów napisanych z łatwością i wdziękiem, że szkoda psuć wrażenie wywołane przez nie. — Pan Faleński ma podobno kilka powieści przygotowanych do druku ale czeka z niemi. — Dobrze robi, za wiele bowiem u nas *stante pede* piszą.

Syrokomli utworów poetycznych ciągle nowe tomiki w świat wychodzą. Niedawno mieliśmy „Hrabiego na Wątorach“, teraz znowu za nim „Wielki Czwartek“ go ni. — Ten ostatni jest wcale udatnym poemacikiem w którym Syrokomla w przedmowie usprawiedliwia się że nie przestał być gawędziarzem i pieśniarzem, wstawiając jak to zwykle czyni słówko na krytyków. — A krytycy obrażeni odpowiadają mu wręcz, iż najniesłuszniej reklamuje, bo oni okazali się jeszcze dla niego bardzo względni. — „Hrabia na Wątorach“ (krotochwila polska z XVI wieku!) miała być po wielu trudnościach przedstawioną na scenie naszej — Już wszystko było gotowe, artyści nawet umieli role, ale Rychter za słabł i przedstawienie odwleczone do zimy. — Za to za-

powiadają u nas jakiegoś „pana Ciapucińskiego,” czyli „Kantor małżeństw”. Ma to być także komedia i to oryginalna, wierszem napisana.

Teatr dawał nam w tych czasach same wznowienia i to wybierano sztuki najnieprzyzwoitsze. — Nie rozumiem jak można paść publiczność romansami Kocka ułożonymi w formy dramatyczne. — Nasze damy z największym niedowierzaniem wchodzą do łoży, i najczęściej w połowie widowiska muszą uciekać. Bo żebyć to się skończyło na mniej przyzwoitych dowcipach jako tako gazowanych, ale mamy na scenie i to w wielkim teatrze jakieś baby uganiające się za mężczyznami w zamiarze pocałowania ich („wyspa miłości” balet) w teatrze znów Rozmaitości co chwila dwuznaczniki i piosnki, że dziewczyny kawiarniane słysząc je, musiałyby sobie uszy pozatykać. Widzieliśmy baletniczki rumieniące się w łoży i kilka hecarek od Renza, którym wytłumaczono to na niemiecki język, wychodzących z sali, bo znajdowały rzeczą nieprzyzwoitą żeby je widziano przysłuchujące się takim sztukom.

Głoszono nam jakoś, że teatru mają być odnowione przez lato, a nawet zupełnie więcej przebudowane, i w tym celu podobno nawet Renz został sprowadzonym do Warszawy, żeby przez ten czas Publiczność miała czém się zajmować. Przebudować warto, plan bowiem naszych teatrów zupełnie był inny a inaczej potem wybudowano, zakrawało to na jakieś olbrzymie rozmiary a potem zmniejszono na gwałt. Skutkiem tego w wielkim teatrze takie cugi, że za otwarciem drzwi od łoży, spektatorom w sali i artystom na scenie co chwila paraliż grozi, w teatrze zaś Rozmaitości wszystkie przejścia są tak wąskie, że znam osobę, co nie może być nigdy w łoży, chyba by musiała połowę siebie w domu zostawić. A tak z wielkiego teatru jak i z Rozmaitości jedno tylko wyjście, wystawcież więc sobie coby się tam działo w przypadku broń Boże pożaru. — Temu wszystkiemu możnaby zaradzić, pieniędzy nie powinno być brak, bo teatru zawsze przepełnione, a oprócz tego od wszelkich widowisk i koncertów teatr bierze tantiemę. Sam Renz płaci podobno szóstą część swoich dochodów *brutto*, co wyniesie niezawodnie więcej niż tysiąc złotych dziennie. Ależ podobno Renz, cho-

ciaż mu bardzo dobrze idzie, nie chce tu dłużej pozostać i wyjeżdża z końcem tego miesiąca, a to z powodu trudności jakie mu robią. — Truppa jego wyborna, z paryzką może się równać. — Publiczność nie szczędzi przywołań ani bukietów. — Tak jest rzucają bukiety: pannie Seigneurie i pannie Adelinie że dobrze skaczą na koniu. — Bogdaj to być skoczkiem, byle kark mieć mocny to wszystko dobrze pójdzie, gdy przeciwnie w zwykłych okolicznościach życia, kto niema giętkiego karku ten zginął z kretesem. —

Czas mamy piękny, o urodzajach nie źle mówią, ceny jednak nie zniżają się dotychczas. — O cholerze dzięki Bogu nie słychać. Księgosusz także ustał — Komety jeszcze nie widać, to niegrzecznie z jego strony dla astronomów i pism które tak stanowczo ogłaszały jego przybycie.

12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1

— 14 —



This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine is incurred by retaining it
beyond the specified time.

Please return promptly.